Biblioteka Sejmu Śląskiego
4620
1906 I A

497

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna 47.

Ogólnego zbioru Tom 261.

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

**poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.**

Rok 1906.—Tom I.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1906.

4620. 1906. 1
II 1
30.000,—
X-14362
4620 II 1.
1906

# Z życia ministra Lubeckiego.

I.

## Wigilia Św. Andrzeja.

Dziwny urok poezyi osłania u nas wigilią św. Andrzeja; odgaduje się przyszłość; lud wierzy, że tego wieczora rozstrzygają się jej tajemnicze zagadki...

Lubecki nie miał nigdy nic wspólnego z poezyą. W jego papierach zachował się, co prawda, bilet przedpłaty na *Poezye Adama Mickiewicza* z własnoręcznym podpisem 22-letniego poety; w rachunkach zaś z pobytu ministra w Petersburgu z r. 1828 czytamy: „29 lutego J. W. Jelskiemu za dwie książki Mickiewicza przez Xięcia prenumerowane Konrad Wallenrod zapłacono 20 rub. ass.“ Może zatem książe-minister czytał Mickiewicza, choć zaręczyć za to nie można, co innego bowiem „prenumerować“ a co innego czytać. On wogóle do r. 1831 mało czytał, bo nie miał na to czasu; i później, gdy w przymusowem bezrobociu nie brakło czasu do czytania, z początku czytał „książki pięknym stylem pisane, ale więcej dla przepędzenia czasu, jak żeby jaki z tego był użytek.“ Dopiero, gdy mu się sprzykrzyła ta lektura „kazał sobie przynieść dzieło o gospodarstwie,“ i to go — pisze — „tak zainteresowało, że w domu od trzeciej zrana do siódmej wieczór z krzesłam nie wstał....“ Może też książę-minister nie widział tak dalece różnicy między poezyą Mickiewicza a tym pięknym „kantem,“ wyrobu jakiegoś poleskiego rymarza, który w r. 1807 śpiewano w Ponoście na jego własnem weselu:

Teraz głośna muzyko ozwij się wesoło,
Wszak to Xawer z Marysią zaczynają koło,
Radosne formują skoki;
Niech im sprzyjają wyroki...
Tu to wszelka uciecha, tu wszystkie są gody,
Kędy z kniahynią nową rej wiedzie Pan Młody...

A jednak były przedmioty, które ten zimny, szlakami ścisłej logiki kroczący, umysł wprawiały w nastrój poetycznego istotnie entuzyazmu i nawet ze zwykłej równowagi łatwo mogły wytrącić. Wtedy styl jego listów suchy i bezbarwny, nabiera dziwnego, poetycznego niemal ożywienia, mimo wszelkich niedostatków formy i wadliwej budowy zdania. Widać to mianowicie w listach, pisanych z Akwizgranu, podczas kongresu monarchów r. 1819, gdy przerwa w rokowaniach dyplomatycznych pozwoliła Lubeckiemu wyrwać się na krótką wycieczkę, dla zwiedzenia różnych fabryk belgijskich. Pod urokiem widzianych maszyn i urządzeń fabrycznych, Lubecki wypełnia długie listy istnemi „marzeniami“ na temat stworzenia i rozkwitu krajowego przemysłu. Zdawałoby się, że jedną znał poezyę, poezyę cyfr, rzecz jasna, cyfr o długich szeregach zer; w niższych cyfrach za wiele było prozy i dla niego. Może to, między innemi, było także przyczyną, że w miarę zajmowania się wysokiemi cyframi, w interesach publicznych, obojętniał coraz bardziej dla toku własnych interesów, powierzając je wyłącznej opiece nieocenionej siostry i teściowej, ruchliwej zawsze i czynnej pani starościny lidzkiej.

Napróżno starała się go z tej obojętności rozbudzić sama starościna, w imię uczuć, które temu uosobieniu prozy zastępowały od młodości wszelką poezyę, bo z nich tryskała żywa, szczera poezya życia: w imię uczuć rodzinnych. Miłość żony i dzieci, serdeczne przywiązanie dwóch ukochanych sióstr: to poezya życia księcia-ministra, niewyczerpane źródło silnych uczuć, jasnych, pogodnych wrażeń; przez długie lata krzepił i odradzał niemi niespożytą energię woli i inteligencyi, nie domyślając się nawet istnienia potrzeb, które innym zaspokajał nieznany mu świat piękna, poezyi, sztuki. I tego się niezawodnie sam nie domyślał, ile poezyi było w tych uczuciach, w pełnem prostoty a tylu subtelnemi odcieniami nacechowanem przywiązaniu zimnego męża stanu do licznej gromadki dzieci, od dorosłej już księżniczki Augusty do dwuletniego „hajdamaki“ Olesia; do ich młodej w oczach ministra zawsze — w r. 1830 istotnie młodej jeszcze, a przez męża jak dziecko pieszczonej — matki; do oddanej

mu całą duszą starościny, *soeur et maman*; do Józi, drugiej siostry, którą inaczej znowu kochał, jeżeli sobie życzył — ten trzeźwy człowiek — znaleźć grób przy jej grobie. Gdy ostatni raz — jako minister — przebywał w Petersburgu, od grudnia 1829 do końca kwietnia 1830 r., częste przerwy w zajęciach urzędowych dozwalały mu nieraz rozpisywać się szerzej, niż kiedyindziej; prowadził wówczas mozolne rokowania z rosyjskim ministrem Skarbu i z posłem pruskim. Nigdy nie było mu w listach żony i starszych córek dość szczegółów o figielkach Olesia, o kaszlu Sewerynki, o naukach i haftach Julki, której silne „jak postronki“ nerwy uważa za dziedzictwo po ojcu. Wśród zapasów z Kankrynem — było o co mocować się, o 67 milionów — polski minister Skarbu tem samem piórem, którem do muru przypiera rosyjskiego ministra, spisuje całą litanię szczegółowych pytań o Gucię, Julkę, Józia, Wefcię, Sewerynkę, Olesia; nie zapomina i o najmłodszem, którego nie może jeszcze nazwać, bo nie wie, czy to będzie trzeci syn, czy też piąta córka, ale tem więcej wzdycha do upragnionego powrotu, żeby znaleźć się w domu przed przybyciem nowego gościa. Tem bardziej irytuje go niepotrzebny atak podagry; musi bezczynnie w domu siedzieć; w Warszawie mógłby dyktować raporta, leżąc na kanapie, lub przygotowywać materyał do przyszłorocznego budżetu; a wreszcie mógłby sobie na to pozwolić, na co rzadko znalazła się chwilka wolnego czasu, mógłby spokojnie poleżeć na kanapie „z lulką w ustach“, wśród „szumu“ młodszej dziatwy, w towarzystwie Guci i Julci, którym przesyła z Petersburga obfity zapas włóczki o najróżnorodniejszych kolorach.... Książę minister zanadto był zajęty, by myśleć o wychowaniu dzieci, by wchodzić w ich duchowe potrzeby; nie miał czasu, bo nie umiał nic robić połowicznie; gdyby się tem zajmował a nie oddawał takich rzeczy razem z interesami majątkowemi, wyłącznemu staraniu siostry, musiałoby go to odciągać od wyłącznego zajęcia sprawami publicznemi. One i tak nieraz ledwie mu dozwalały czterogodzinnym snem pokrzepić siły Ale w tem słońcu domowego szczęścia odradzały się niespożyte siły niestrudzonego ministra. Nie skąpił też on sobie wygrzewania się w złotych promieniach tego słońca, ile razy znalazła się wolna chwila; ilekroć jasny blask jego przysłoniła jaka chmura złowroga, jedyna to była rzecz, co go mogła wytrącić ze zwykłej równowagi umysłu. A nie wiedział jeszcze, gdy w maju 1830 spieszył do domu, że ten nektar życia dopóty był nektarem, póki pił go z ambrozyą niezachwianego powodzenia w życiu publicznem. Ostatnie to zaś już były błyski słoneczne w życiu

księcia-ministra; później „nie było szczęścia w domu, bo go nie było w ojczyźnie.“

W jesieni 1830 r. smutno było na Placu Bankowym, w pałacu ministra Skarbu: żałoba zaciężyła nad domem, szczera i serdeczna żałoba po marszałkowej Pusłowskiej, tej ukochanej Józi, która umarła w Karlsbadzie z początkiem września. Mimo silnych nerwów ministra, obawiano się o jego zdrowie, gdy z Karlsbadu spadła niespodziewana wiadomość o śmierci „Józi.“ Liczne grono najbliższych osób koiło niezabliźniony jeszcze ból kochającego serca, tym ciosem istotnie zdruzgotanego: obydwaj starsi bracia, książę Onufry i książę Karol, ich synowie dorośli, Ignacy i Włodzimierz — obaj już urzędnicy w ministeryum Skarbu — wreszcie syn „Józi,“ młody Franciszek Pusłowski, szczególny faworyt obojga księstwa Ksawerych. Starościny tylko nie było do końca października; była na Litwie, by pod pozorem spełniania ostatnich rozporządzeń siostry, czuwać nad biednym szwagrem po powrocie starca do domu. Oczekiwano jej przybycia na imieniny ministra, 3-go grudnia. Listy jej z Litwy, pełne wspomnień o „Józi,“ a zarazem nacechowane jakimś niepokojem, jak gdyby na tem nieszczęściu nie był jeszcze koniec. „Nowy nasz Anioł familijny czuwa nad nami u Boga i uprosi błogosławieństwo Jego dla nas wszystkich...“

Gdy Starościna odpędzała od siebie w Szczuczynie takie niepokojące myśli, pragnąc co rychlej pospieszyć do Warszawy, w pałacu ministeryum Skarbu pasował się już ze śmiercią jej najmłodszy wnuczek, ten, którego ojciec nie umiał jeszcze nazwać przed kilku miesiącami, malutki Jaś. Książę Ksawery, czuły dla wszystkich dzieci ojciec, najwięcej przywiązania zawsze uczuwał dla najmłodszego. Całą noc z 28-go na 29-ty listopada spędził przy konającem dziecku; nazajutrz, zamknąwszy powieki na zbolałych oczętach zgasłej dzieciny, uczuł potrzebę wypoczynku; trzeba było powrócić do życia i do pracy, siły pokrzepić. Położył się zatem o zmroku krótkiego dnia; niebawem go obudzono nielitościwie: „Mości książę! w Warszawie rewolucya! [1]).

[1]) Postępowanie Lubeckiego w pierwszych dniach listopadowego powstania — to niezawodnie jedna z najzawilszych zagadek nowszej naszej historyi, zagadka, której rozwiązanie nie może być obojętnem dla sądu o tem wydarzeniu dziejowem; por. Barzykowski: „Historya listopadowego powstania“

W tej samej chwili na innym końcu miasta, kto inny wpatrywał się w stygnące oblicze starego ojca, pragnąc z obumierających rysów wyczytać: wyżyje czy nie wyżyje — Joachim Lelewel. Obu czekały ważne zadania, dziś jeszcze, jutro, pojutrze. Nikt ani się domyślał, ile w losach, w przyszłości Polski miała w tych dniach zaważyć „dobra wola“ i „przytomność umysłu“ Lubeckiego i Lelewela.

Gdy obudzono Lubeckiego, już wrzało na ulicach Warszawy. Który to był moment, która godzina, niepodobna ściśle określić. Zapewne około ósmej. Już odegrał się posępny i nie bezkrwawy dramat w Belwederze, już wojska rosyjskie z koszar, bliskich placu Bankowego, pociągnęły ku rezydencyi Wielkiego Księcia, za niemi podążały i niektóre polskie oddziały, w ich liczbie przedewszystkiem pułk konnej gwardyi strzelców. O tem wszystkiem może nawet i nie wiedział Gustaw Małachowski, który obudził Lubeckiego. Był on członkiem Komisyi umorzenia; pospieszał do Banku, z Morozewiczem, drugim kolegą, a słysząc, że minister w głębokim śnie pogrążony, mimo oporu służby dostał się do jego sypialni. Lubecki „z początku nie chciał wierzyć, lecz gdy go Małachowski uroczyście zapewnił, zerwał się, otarł powieki ze snu i łez i rzekł: *Trzeba być na swojem miejscu.*“

---

I, 126. 368, 389. Zawdzięczając uprzejmości wnuka ministra, księcia Władysława Druckiego-Lubeckiego, swobodny w całem tego słowa znaczeniu dostęp do nietkniętych jeszcze dotychczas osobistych papierów ministra, opracowałem ten przedmiot, w znacznej przynajmniej części na podstawie nieznanych materyałów. Obok papierów Lubeckiego danem mi było także korzystać z ważnych materyałów do historyi wybuchu listopadowego powstania, znajdujących się w Bibliotece Polskiej w Paryżu (Quai d'Orléans 6), pomiędzy którymi wymieniam zwłaszcza: protokóły posiedzeń Rady administracyjnej, Wydziału wykonawczego i Rządu tymczasowego (wydane wprawdzie jeszcze w r. 1872, choć dotąd niemal zgoła niespożytkowane, a ze względu na właściwość pobieżnych zapisek protokółowych, wymagające niezbędnie krytycznego oparcia się o podstawę rękopiśmienną); dziennik Krysińskiego, generalnego sekretarza Dyktatora; protokóły posiedzeń sejmowych, które wprawdzie zakresem czasu wykraczają po za pierwsze dnie powstania, lecz w przemówieniach posłów zawierają liczne reminiscencyo i pierwszorzędnej wagi wyjaśnienia, odnoszące się do pierwszych dni grudnia 1830 r. Nadmieniam tu tylko, że praca niniejsza jest częścią większej całości, która wkrótce ukaże się, jako książka osobna, z obfitym aparatem krytycznym i dowodowym.

I Małachowski nie zdawał sobie jasno sprawy, co się właściwie dzieje. „Rewolucya...“ Od miesiąca i więcej wywieszano straszaka rewolucyi. Już na 14-go października zapowiadano powstanie; w ciągu dwóch ostatnich miesięcy, tak smutnych w domu Lubeckich, żałobnych miesięcy, każdy dzień przynosił posępne wiadomości o ważnych niby odkryciach różnych tajnych policyj, nawzajem sobie w działaniu przeszkadzających; o aresztowaniach między młodzieżą uniwersytecką i w szkole podchorążych. Lubecki gardził zawsze podłymi zausznikami Wielkiego Księcia, którzy w tych „odkryciach“ maczali ręce, przedewszystkiem obłowienie własnej kieszeni mając na celu, i nie wierzył złowrogim wieściom. Ocknąwszy się ze snu twardego, mimo zapewnień „pana Gustawa,“ jeszcze im nie dowierzał: może to jakieś awantury uliczne, które lada patrol uśmierzy. Wysyłano na zwiady urzędników, którzy znaleźli się w gmachu ministeryum Skarbu. I z ich opowiadania nie wiele można było się dowiedzieć. Słychać strzały; przed arsenałem, o jakich tysiąc kroków od placu Bankowego, pełno ludu i wojska; podobno u Karmelitów rozbito bramy i uwolniono uwięzionych studentów. Naraz i plac Bankowy zaroił się od wojska: przybył z niem generał Mroziński bronić Banku Polskiego. Wtedy i Lubecki uwierzył, że to chyba coś więcej, niźli prosty rozruch uliczny.

„Wojskowi spieszyli do Belwederu — mówi Barzykowski — cały świat cywilny do pałacu ministra Skarbu, który pomimo woli Lubeckiego stał się nietylko głównym punktem schadzki, ale nawet — może to jak na tę chwilę zawiele powiedziano — główną kwaterą powstania. Nikogo nie było u prezesa Rady Administracyjnej, nikogo u ministra Spraw Wewnętrznych, do którego spokojność kraju należała; przeciwnie, u ministra Skarbu napchano, pełno było. Widziano tam posłów, urzędników, obywateli, nawet generałów, co zdania i rady jego szukali i zasięgali. Przez napływ tylu osób wiedziano już coraz lepiej, co się dzieje w mieście; prócz tego urzędnicy ogólnej służby, Łęski, Wolicki, Thys — ludzie, wszystko Lubeckiemu zawdzięczający i szczerze przywiązani do niego — jako galopeny głównej kwatery, byli wysyłani do miasta dla dowiedzenia się, jaki obrót rzeczy biorą.“

Pomiędzy przybyłymi około jedenastej, zjawił się generał Potocki, „Staś Potocki“, jak go nazywał każdy Warszawiak pomimo siwych oddawna włosów, równie znany jak lubiony w Warszawie. „Staś“ miał podobno najwięcej do powiedzenia. Przybywał wprost od W. Ks. Konstantego, do którego pospieszył na

pierwszą wieść o powstaniu, odwiódłszy po drodze, na placu św. Aleksandra, sześć kompanij karabinierów, grenadyerów i strzelców pieszych od połączenia z czerwonymi podchorążymi, sprawcami rewolucyi. Zdał o tem raport Wielkiemu Księciu, zapewnił go o swojej wierności i oddał się na jego rozkazy. Konstanty, wystraszony i ogłuszony, miał w tem spotkaniu z Potockim pierwszą jaśniejszą chwilę od nocnego napadu na Belweder. Może przejdzie jeszcze ta burza i nic złego nie będzie, jeżeli kilka słów jenerała wystarczyło do „opamiętania“ żołnierza; sześć kompanij dało się otoczyć przez kawaleryę i zaprowadzić do Belwederu. Kto wie, czy to chwilowe powodzenie Stasia Potockiego nie wpłynęło na losy listopadowego powstania, więcej niż na to w każdym razie zasługiwało. Była to podobno pierwsza jakaś pozytywna wiadomość, którą Konstanty otrzymał z miasta, pierwsza, jaką w swem oszołomieniu jasno zrozumiał. Odtąd jedno ciągle powtarzał: *Que les Polonais s'arrangent eux mêmes*; *je ne m'en mêle pas*. Miał przy sobie kilka tysięcy rosyjskich wojsk, a nie pozwolił się ruszyć ani jednej rocie, mimo próśb i nalegań rosyjskich generałów, ani teraz, gdy jedna szarża kawaleryi mogła powstanie stłumić w samym zawiązku, ani nazajutrz, czy po dwóch lub trzech dniach, kiedy istotnie wystąpienie rosyjskich pułków nie mogłoby się już było obejść bez poważnego starcia. Źle uczynił czy dobrze — jak na Cesarzewicza i wodza polskiej armii — to nie da się zaprzeczyć, że uśmierzenie powstania bez jednego strzału z *rosyjskiej* strony byłoby miało wielką doniosłość polityczną i wartość nieobliczoną. Nic dziwnego zatem, że popularny Staś Potocki wydał mu się człowiekiem opatrznościowym; tak dobrze zaczął, niech tylko dalej robi to samo; kazał mu też czemprędzej spieszyć do miasta i — uśmierzać powstanie.

„Staś,“ stary żołnierz, znał swoje „dzieci;“ przekonał się wreszcie w powrocie z Belwederu, że nie ze wszystkimi pójdzie tak gładko, jak z temi sześcioma kompaniami na placu św. Aleksandra. Na tem samem miejscu spotkał — co prawda — podchorążych, z Wysockim i ze Szleglem na czele. „Ci, poznawszy go, pobiegli ku niemu, prosząc o przyjęcie dowództwa. Gdy ich ofuknął, błagali, zaklinali, do stóp jego się schylając...“ Wszak w marzeniach gorącej młodzieży Staś Potocki albo Chłopicki — jeden z nich miał być wodzem w boju o niepodległość; wierzono więcej w geniusz wojskowy Chłopickiego; „Staś“ za to, serdeczny, zawsze z sercem na dłoni, bohater z pod Raszyna, Zamościa i Możajska, przyjaciel ks. Józefa, a w młodych latach także

kościuszkowski żołnierz — był oddawna ulubieńcem całej młodzieży w wojsku. On teraz, spotkawszy podchorążych, nie próbował już z nimi szczęścia; jakże odwieść od rewolucyi tych, co wracali z napadu na Belweder. Łajał tylko szalonych młokosów. Zaklinania Szlegla i Wysockiego, do próśb podchorążych dodane, wywoływały tem większy opór i gniew generała; zamilkł nareszcie, jakby ogłuchł, i stał pośród proszących, jak posąg niemy. Podchorążowie, straciwszy wszelką nadzieję, opuścili go bez gróźb, bez złorzeczeń, i dalej idąc w miasto, krzyczeli „do broni!“ ale echa żadnego nie znajdował ten okrzyk.“ Generał mógł w tem czerpać nadzieję, że da się jeszcze zażegnać katastrofę, byleby jąć się dzieła roztropnie... U kogo zaś szukać rady, jak nie na placu Bankowym, u Lubeckiego. Książę minister utwierdził go w zamiarze dalszego spełniania rozpoczętej misyi, „a Potocki, przyrzekłszy uczynić wszystko, co tylko będzie w jego mocy, by uśmierzyć powstanie, pożegnał go i ku arsenałowi pospieszył. Po drodze spotkał kompanię 5-go pułku piechoty liniowej, która od Leszna strzegła przystępu do arsenału. Zaraz więc zbliżył się do żołnierzy i począł ich namawiać, aby opuścili powstanie, nie mające żadnego celu i nie mogące mieć dobrego skutku, wzywał ich do wierności wykonanej przysiędze i wreszcie dał rozkaz Lipowskiemu, dowodzącemu oddziałem, aby z kompanią udał się do Belwederu. Kilku cywilnych, widząc, co się dzieje, pragnęło wstrzymać wahających się już żołnierzy. Pobiegli do Zaliwskiego, stojącego opodal na Tłómackiem, i donieśli mu to, czego naocznymi byli świadkami. „To palcie mu w łeb, jak psu“ zawołał Zaliwski; ci też, przypadłszy do Potockiego, ściągnęli go z konia, odgrażając się i złorzecząc. Otacza pospólstwo siwego, jak gołąb starca, nastaje na niego i ściska. Potocki, dobywszy szpady, chce sobie torować drogę, łamią mu szpadę, zrzucają z białej głowy kapelusz. Wtem nadchodzi patrol żandarmów. Posypały się do nich strzały z grenadyerskich szeregów i padł Potocki od kuli nie jemu przeznaczonej.“ Po krótkiem pasowaniu się ze śmiercią, wyzionął ducha w pobliskim pałacu Zamoyskich. Przytomny do ostatka, żałował, że ginie od polskiej kuli.

Gdyby był został przy Wielkim Księciu; kto wie nawet, gdyby Lubecki nie był go zagrzał, nie dalej jak przed kwadransem, do niebezpiecznej misyi: nie byłby tak marnie skończył życia, steranego w bojach o cześć i niepodległość narodu. Na placu Bankowym słychać było tę salwę, od której padł generał, przed chwilą gość Lubeckiego, przezeń jakby na śmierć wysłany

do żołnierzy... Przykro było „gawędzić“ z coraz nowymi gośćmi... W salonach ministeryalnego pałacu stawało się coraz ludniej i gwarniej. Już rozbiegła się publiczność z teatru, gdzie Chłopicki nie pozwolił aresztować obecnych na przedstawieniu rosyjskich oficerów, biorąc ich pod swoją opiekę. Z teatru, z kilku większych wieczorów, gdzie wigilia św. Andrzeja zgromadziła towarzystwo warszawskie, mnóstwo osób spieszyło do salonów ministra Skarbu, tak pustych do niedawna i posępnych z powodu świeżej żałoby. Co raz to świeże przybywały nowiny; każdy niemal gość słyszał przez zamknięte szyby karety: „Polacy! do broni! Moskale naszych w pień wycinają!“ Niektórzy już wiedzieli o towarzyszach losu Stasia Potockiego, jak on zabitych, o sędziwym legioniście, bohaterskim obrońcy Zamościa, o Trębickim i Siemiątkowskim — tych dwóch gwiazdach wojska polskiego, po których zdolności i dzielności ojczyzna miała prawo tyle się jeszcze spodziewać...

Lubeckiemu coraz duszniej było w salonach ministeryum Skarbu. Nie jego to rzecz uśmierzać powstanie; jego rzecz, członka rządu, czekać tylko wezwania na posiedzenie Rady Administracyjnej, której zwołanie należało do prezesa Rady, Walentego Sobolewskiego. A kwadrans mija po kwadransie, stary safanduła nie daje znaku życia... Dość już tego: Lubecki kazał zakładać konie.

Zanim konie podano, wpadł nowy gość; miał więcej do powiedzenia, niż wszyscy razem wzięci, więcej nawet od „Stasia.“ Młody, 27-letni podporucznik, Władysław Zamoyski, przybywał, jak Potocki, od Konstantego, ale ważniejsze, bo świeższe przywoził wiadomości o W. Księciu, a po drodze widział się ze swoim wujem, Adamem Czartoryskim, i od niego był do Lubeckiego wysłany.

Zamoyski nie miał służby 29 listopada, nie był zatem w Belwederze podczas napadu. Dowiedział się o nim od rosyjskiego kolegi Bezobrazowa, także adjutanta W. Księcia. Honor wojskowy i obowiązek służby kazały mu pośpieszyć do wodza. W. Książę wysłał go jednak napowrót do miasta po wiadomości. Młody adjutant z trudnością już dotarł do placu Bankowego, gdzie spotkał się z Potockim, przed samą katastrofą nieszczęśliwego „Stasia:“ obecnie, gdy się pojawił u Lubeckiego, już po raz drugi przebył tę niebezpieczną drogę z Belwederu do Banku. Wówczas bowiem, więcej niż przed godziną, Potocki polecił mu był powiedzieć Konstantemu: „Niech W. Książę rzuci całą jazdę

w ulice; niech szwadrony kłusem zmiatają, co tylko napotkają, i na wszystkich z kolei punktach się ukazują. Oto, co mu pozostaje do zrobienia; lecz niech nie traci czasu; od trzech godzin powinien był to zrobić.“ Takie były ostatnie niemal słowa Stasia Potockiego. Z niemi pośpieszył Zamoyski do belwederskich alei, gdzie W. Książę się przechadzał, wylękły, wśród licznych szwadronów rosyjskiej kawaleryi, obok pułku polskich szaserów i paru innych oddziałów polskiego wojska.

„Zsiadłem z konia — opowiada Zamoyski — i powtórzyłem słowa generała Potockiego. W. Książę z żywością odpowiedział: „Kawaleryi? Nie mam kawaleryi.“ Widząc zaś moje zdziwienie i oczy moje zwrócone ku dywizyi kawaleryi na tym samym punkcie zebranej, dodał: „To są Rosyanie, a żaden Rosyanin, jeżeli dla własnej obrony nie będzie zmuszony, nie da ani jednego strzału, ani szabli nie dobędzie w tej całej sprawie... Zbrodnia jest po waszej stronie; ja do niej nie chcę przykładać ręki. Przyszli mnie zamordować w moim domu; zarąbali mojego pierwszego adjutanta; to wojsko mnie zasłania od nowego napadu; ale, jeżeliby chcieli nas atakować — ha, to wojsko się cofnie... Żaden Rosyanin nie wmiesza się do tej sprawy: Polacy ją zaczęli; to ich rzecz; niech sobie radzą ze swoimi. Teraz pokaże się, czy zasłużyli na tyle dobrodziejstw.“ W końcu powiedział: „Wreszcie, są tu szassery, weź ich, zaprowadź do Stasia; to Polacy; niech z nimi robi, co mu się spodoba, albo zresztą...“ Urwał, przyzwał generałów Krasińskiego i Kurnatowskiego i rozkazał im udać się do miasta z tym pułkiem.“

Obaj ci generałowie nie dotarli z pułkiem szasserów do Banku; może po drodze doszła ich wiadomość o Stasiu Potockim. Skończyło się na paru dość miękkich szarżach w okolicy Saskiego placu, gdzie pułk pozostał przez resztę nocy.

Zamoyski też pogalopował do miasta, zdaje się, jeszcze przed szasserami. Młody podporucznik, syn prezesa Senatu, bystry, inteligentny, żołnierz dotychczas tylko, ale politycznym sprawom nie obcy, chociażby tylko przez częste przysłuchywanie się rozmowom w salonach rodziców lub wujostwa: Zamoyski zrozumiał doskonale, że musi zanieść w tej chwili Czartoryskiemu słowa, które usłyszał z ust samego W. Księcia. Słowa te w każdym razie olbrzymiej doniosłości, bo dawały rękojmię bezczynności Cesarzewicza, a na Polaków zwaliły wyłączną odpowiedzialność za dalszy przebieg krytycznego w dziejach Polski momentu, powinny były niezwłocznie dojść do wiadomości tego człowieka, któ-

ry był, obok Aleksandra I, twórcą Królestwa Kongresowego; a ten człowiek był przecież rodzonym wujem podporucznika.

Czartoryski wrócił był właśnie z wieczoru u wojewodziny Potockiej, gdzie go zaskoczyło powstanie. Długo się nie namyślał. Był członkiem Rady Administracyjnej, najwyższej krajowej magistratury, właściwego rządu Królestwa. Od lat czterech szczególnie, od śmierci pierwszego i ostatniego w konstytucyjnem Królestwie namiestnika, który zresztą był nie czem innem, jak namiestnikiem królewskim w Radzie, ona w pełnym swym składzie reprezentowała pod nieobecność króla osobę konstytucyjnego monarchy. Książę Adam od lat dwunastu wprawdzie nie pokazywał się wcale na posiedzeniach Rady; zawsze jednak miał prawo w niej zasiadać, a w takiej chwili miał i prawo i święty obowiązek. Widząc, że Sobolewski nie zwołuje Rady na posiedzenie, pośpieszył w lot do niego, Zamoyskiemu zaś kazał popędzić do Lubeckiego i namówić go do jaknajrychlejszego przybycia, zanim w tem zamieszaniu otrzyma urzędowe wezwanie. Zamoyski przybył na plac Bankowy, gdy Lubecki miał siadać do karety, by właśnie jechać do Walentego Sobolewskiego. Zamoyski siadł obok niego; powóz podążył szybko do pałacu Branickich, do prywatnego mieszkania prezesa Rady. Nie było chwili do stracenia. Zamoyski mówił, że za kwadrans będzie już napewno za późno i żadna siła nie utoruje drogi powozowi ministra na ulicach, przytykających do placu Bankowego. Rozbito już w pobliżu arsenał, lud uzbrojony w broń rozchwytaną przeciągał po ulicach. Osoba ministra Skarbu nie była szczególną rekomendacyą dla przeciskającej się wśród tłumów karety; konwój młodego adjutanta Wielkiego księcia nie dodawał jej bezpieczeństwa, jeśliby go poznano w karecie Lubeckiego. Czy próbowano go powstrzymać od niebezpiecznego wyjazdu: żona, starsze córki, bracia, Wolicki, Thys...? Niewiadomo. Powóz zajechał; Zamoyski siadł obok Lubeckiego. Pojechali na Krakowskie Przedmieście, do pałacu Branickich: tam mieszkał Walenty Sobolewski.

Było już dobrze po północy, gdy Lubecki i Czartoryski spotkali się w mieszkaniu prezesa Rady. Wystraszony gospodarz — bliski powinowaty króla Stanisława Augusta — zamiast myśleć o obowiązkach prezesa Rady, kazał był tylko zatarasować bramy pałacu, tak, że Błotnicki, sekretarz Czartoryskiego, musiał przez mur przełazić, żeby wymódz otwarcie bramy. Widząc u siebie Czartoryskiego, a zwłaszcza Lubeckiego, szczęśliwy był Sobolewski, że ma z kim odpowiedzialność podzielić. Nie domyślał się

jednak, ile w losach nieszczęśliwego narodu zaważyć miało to spotkanie dwóch książąt, potomków Ruryka i Gedymina. I oni sami nie mieli o tem wyobrażenia.

## II.

## W pałacu Branickich.

Lubecki i Czartoryski znali się blisko od lat 18-tu. W Petersburgu bowiem nie spotykali się chyba przed laty 35-u, gdy Lubecki uczył się jeszcze musztry i geometryi w kadeckim korpusie, a starszy o sześć lat książę Adam przyjaźnił się z przyszłym samowładcą wszej Rosyi, ulubionym wnukiem carowej Katarzyny, marząc razem w cesarskich ogrodach o uszczęśliwieniu narodów i odbudowaniu Polski. Poznali się podobno dopiero w r. 1813, gdy pamiętny list Aleksandra, datowany z Lejpun 13 stycznia, podczas pościgu za armią napoleońską, wyprowadził znowu na polityczną widownię Czartoryskiego, w imię dawnych, tylekroć zbladłych, brutalną rzeczywistością zdeptanych, i tylekroć znów jutrzenką nadziei różowiejących młodzieńczych marzeń. Zawiązała się wówczas korespondencya między oboma książętami; Lubecki, zarządzając w Najwyższej Radzie w Warszawie wydziałem spraw wewnętrznych, uciekał się nieraz do pośrednictwa Czartoryskiego, by wykołatać jaką ważną decyzyę u Aleksandra w dalekiej głównej kwaterze w Troyes, w Paryżu, lub w końcu na Kongresie wiedeńskim. Gdy Lubecki na dobre znowu osiadł w Warszawie, jako minister Skarbu, Czartoryski uważał już od lat kilku zawód swój za skończony; rzadko nawet w Warszawie się pokazywał. Zamało zatem i zarzadko spotykał się z Lubeckim, żeby się zawiązała prawdziwa przyjaźń; dość jednak było między nimi styczności przez lat 18-cie, żeby się utwierdził stosunek, nie bliski wprawdzie, ale oparty na wzajemnym, szczerym i rzetelnym szacunku. Cenili się nawzajem — rzec można — wyjątkowo; Czartoryski wierzył niezachwianie w rozum i charakter księcia Ksawerego, Lubecki mu tem samem odpłacał, a nadto liczył się z szeroką skalą bogatych a wszechstronnych doświadczeń księcia Adama.

Ktoby trzymał się ściśle tekstu listów, które mamy przed sobą, mógłby zaprzeczyć powyższemu twierdzeniu, że stosunek obu książąt nie był „przyjaźnią“ we właściwem znaczeniu tego

słowa. „Dałeś mi W. X-ca Mość tyle dowodów swej przyjaźni...“— „Udaję się do łaskawej przyjaźni J. O. W. X. Mości z prośbą, abyś mnie raczył wesprzeć dobrą radą...“ — każdy list kończy się zapewnieniem „przyjaźni,“ istotnie brzmiącej nie jak czczy frazes; świadczy o tem dobór przymiotników: mowa tu raz o „dawnej,“ to znów o „stałej,“ to o „nieodmiennej“ przyjaźni. Mało tylko styczności mieli z sobą. Za to, gdy zaszło coś szczególnie ważnego, umieli zawsze odszukać się wzajemnie, choć w oddaleniu. Wiadomo, jak Czartoryski nie poznawał się długo na Nowosilcowie, „serdecznym przyjacielu“ z czasów petersburskich, którego Lubecki — choć równie skłonny do łagodnego o ludziach sądu, rychlej nierównie przejrzał i ocenił, jak należało. Zapóźno przyznaje mu książę Adam słuszność w liście z Wilna, z pamiętną datą 13-go września 1823 r.: „Napróżno W. X. Mość objawiłeś wcześnie proroctwo swoje, aby od jego wykonania odstręczyć. Proroctwo się ziściło; raport p. Nowosilcowa (o Uniwersytecie wileńskim) uniewinnia niektóre osoby, żadnego *factum* nie dowodzi, ale wszystkie szkoły i cały systemat i sposób uczenia oskarża, jako najniegodziwszy i najniebezpieczniejszy. Tak wogóle z pewnością mi powiadano, lecz nie wiem nic o szczegółach, jakie zawiera i jaki obrót dany oskarżeniom i jak poparte. Niech Xiążę będzie łaskaw da mi wiedzieć, jeśli można, szczegóły o tym raporcie, jakie wrażenie uczynił i co prorockim swoim duchem dalej z tego przewidujesz. Uczynisz mi W. X. Mość wielką przysługę i łaskę, abym mógł obronę przygotować i swoją decyzyę wziąć.“ Gdy na Lubeckiego sarkano za ucisk fiskalny, Czartoryski bronił go w rozmowach ze znajomymi przy każdej sposobności, do niego samego jednak nie zawahał się pisać z ostrzeżeniem 10 lipca 1824 r.: „Znam dobrze, mój Xsiążę kochany, że nie wiele dbasz o popularność, kiedy w sercu swojem jesteś przekonany, że wszystko czynisz, co tylko można, dla dobra ojczyzny; lecz nie wiem, czy jesteś i czy możesz być zupełnie uwiadomionym o prawdziwym stanie kraju. W rzędzie przyjaciół, pozwól, abym się między najprawdziwszymi policzył. Powodowany przywiązaniem mojem, nie ukryję...“ Cały list wypełniony wyjaśnieniem opłakanego stanu materyalnego kraju, wymagającego zdaniem księcia Adama większej łagodności w funkcyach machiny fiskalnej; kończy się zaś pięknym prawdziwie a tak serdecznym ustępem: „Niech Bóg W. X. Mość oświeca i wspiera, i dozwoli, aby Jego niezmordowane starania kiedyś szczęściem kraju były uwieńczone. Niech się doczekam momentu, w którymby Polska

cała tak Xięcia poznała, jak ja Go znam, i oddała zupełną sprawiedliwość Jego rzadkiemu poświęceniu i nieskażonej duszy.“

Najciekawszy jednak dokument do poznania stosunku między Lubeckim a Czartoryskim, to list księcia Adama z 23-go sierpnia 1825 (z Puław):

„Z prawdziwą wdzięcznością przyjmuję propozycyę W. X. Mości zjechania się z Nim. Będzie to dla mnie chwila nader przyjemna i interesująca. Wiem, że w niej wiele zaczerpnę nauki z uwag W. X. Mości i tyleż pociechy z niezmordowanej jego stałości w dźwiganiu biednego naszego kraju. Ja tu do 10-go przyszłego miesiąca bawić mogę. Wieś mojej siostry starszej, Pilica, będzie może W. X. Mości dogodną; tambym zjechał 10-go września. Jeżeliby Xięciu prędzej wypadło wyjechać, prosiłbym o uwiadomienie, w którym dniu mam się zjawić w Pilicy; ta wieś jest blizko drogi W. X. Mości do Radomia. Nie będę teraz wchodził w żadne dyskusye i odkładam to do szczęśliwego momentu, w którym Kochanego Xięcia uściskam i choć godzin kilka z Nim się nagadam...“

Istotnie, we wrześniu Lubecki wyjechał w Kieleckie, dla obejrzenia tamtejszych zakładów górniczych i przemysłowych; przed 18-ym września był już w Kielcach. Spotkanie obu książąt, umówione na dwa tygodnie naprzód, odbyło się niezawodnie w Pilicy, jakby przypadkiem. Widocznie Lubecki pragnął zobaczyć się z Czartoryskim; do Puław nie było mu znów tak bardzo z drogi; mimo to, proponuje księciu Adamowi na dwa tygodnie naprzód spotkanie, jak gdyby przypadkowe, w drodze, gdzie nie zwracając niczyjej uwagi, w majątku księżnej wirtemberskiej, mogliby odbyć swobodną konferencyę. Było to w dwa miesiące po ostatnim pobycie Aleksandra I w Warszawie, w parę miesięcy po słynnym, przez Lubeckiego jedynie kontrasygnowanym t. zw. dodatkowym akcie do Konstytucyi Królestwa, znoszącym jawność sejmowych obrad. Propozycya tej tajnej konferencyi, wychodząca od Lubeckiego, i to, że Czartoryski ją przyjmuje, jako rzecz naturalną, jak gdyby Lubecki nie mógł przybyć do Puław bez narażenia sprawy — to dokument niezmiernie charakterystyczny, ze względu na sytuacyę w ostatnich miesiącach życia cesarza Aleksandra I. Wszakże to było tuż niemal po zamknięciu ostatniego za jego życia sejmu, podczas którego konstytucyjny król polski bez ustanku powtarzał dawne przyrzeczenia w sprawie przyłączenia polskich gubernij do Królestwa. I do stosunku między intellektualnym twórcą konstytucyi z r. 1815 i urzędowym jej „gwałcicielem“ przyczynek bardzo ważny i wiele objaśniający.

Obaj książęta — szczęśliwymi czuli się bez wątpienia, że w tak doniosłej chwili mogą sobie dłoń podać i wspierać się wzajemnie. Lubecki, choć nie było jego zwyczajem poddawać się jakiemukolwiek wpływowi, wyjątkowo, w tym zaiste historycznym momencie, musiał uczuwać wielką ulgę w sumieniu, że niepokojące pogłoski o spiskach i aresztowaniach sprowadziły od paru dni do Warszawy tak rzadkiego w stolicy gościa, jak książę Adam. Książę minister czuł niezawodnie, że w tych trudnych okolicznościach koledzy w Radzie pójdą ślepo za jego zdaniem, zwłaszcza, jeżeli będzie wiadomem, że cesarzewicz w nic się nie miesza i bierną zupełnie zachowuje postawę. Na to mógł liczyć tem pewniej, im trudniej mu było zawsze przeciągnąć na swoją stronę biernych i apatycznych kolegów, ilekroć jego zdanie było w jawnej sprzeczności z wolą wielkiego księcia, której bezmyślnymi wykonawcami gotowi byli stawać się na wyścigi członkowie Rady administracyjnej Królestwa. Odwykłszy zdawna od tego, żeby mieć własne zdanie, pozbawieni nagle bussoli, za którą obracali się niewolniczo, pójdą dziś za Lubeckim — tak on mógł i musiał przypuszczać — pod naciskiem jego rozumu, silnej woli, energii; pod wpływem ustalonego oddawna przeświadczenia, że Lubecki z najtrudniejszych okoliczności umie wyjść cało, i jak kot z wysokiego piętra rzucony, zawsze padnie na cztery nogi. Tem większa była jego odpowiedzialność; tem większe uczucie ulgi, że minister-urzędnik — bo to pewna, że Lubecki był raczej urzędnikiem, niż mężem stanu — może podzielić się odpowiedzialnością z dawnym ministrem-dyplomatą, co kierował zagraniczną polityką Rosyi w owych czasach, gdy on ledwo zrzucił był z siebie mundur rosyjskiego podporucznika, okopcony dymem bojowym pod Marengo i Novi. I jedno jeszcze. Lubecki, urzędnik-obywatel w całem tego słowa znaczeniu, był Polakiem i miał się niezawodnie za dobrego Polaka; dzielić jednak odpowiedzialność w tej ciężkiej nocy z Adamem Czartoryskim — to było niezawodnie nieporównaną ulgą dla polskiego sumienia księcia ministra Skarbu. „Znam, co Ci Polacy winni — pisał do niego jeszcze przed 13 latami — Nie ustawaj Xiążę, byśmy Jego idąc przykładem tyle przykładali się, ile to od nas zależeć będzie.“

---

Obaj książęta — Lubecki i Czartoryski — przybyli do pałacu Branickich z tą samą myślą, z jednym i tym samym pro-

jektem, który wpłynął decydująco na historyę listopadowego powstania. Na jednego i na drugiego w równej zupełnie mierze spada za to odpowiedzialność. Czartoryski mieszkał opodal Sobolewskiego, pierwszy też pieszo do niego przyszedł i nie czekając na Lubeckiego, bezzwłocznie zwierzył mu się z tym doniosłym projektem. Oto Rada administracyjna zapracowała skutecznie na jedno tylko w ciągu piętnastoletniego urzędowania: na powszechną nieufność, mało powiedzieć, na niechęć i pogardę. W oczach całego społeczeństwa, nie warchołów tylko ulicznych, ale najtrzeźwiejszych, najrozumniejszych ludzi, Rada administracyjna Królestwa — to było stado tchórzliwych i bezmyślnych baranów, ślepo spełniających nietylko każdą komendę z Petersburga, ale — co gorsza — każdą zachciankę Konstantego, każdy rozkaz Nowosilcowa. Co się napracował Lubecki, żeby w tej Radzie odwrócić tyle razy złe, płynące z jednego i drugiego, a zwłaszcza z trzeciego źródła — o tem wiedział dokładnie Czartoryski, wiedział może to i owo niejeden dobrej woli senator albo poseł; nie wiedzieli tylko lub też nie chcieli wiedzieć ci, co dali hasło do rewolucyi. Mniejsza wreszcie o „jednego sprawiedliwego“; w opinii o całości najwyższej magistratury — jeden był sąd, i słuszny najzupełniej, zarówno niepoprawnych warchołów, jak i filarów konstytucyjnego tronu polskiego, o ile w nich nie zgasło narodowe sumienie. Zasiadali w niej dwaj ludzie niecni, generałowie bez wojskowej zasługi, kreatury wielkiego księcia, orderów łaknący i awansu. Na drugim końcu stał człowiek zacny, dobry Polak, szczerze pragnący dobra kraju, z piękną przeszłością, ale sterany wiekiem i zmiennemi kolejami losu, wygodny, bez żadnej inicyatywy i bez szczypty odwagi; rozbitek na zdruzgotanym burzą statku nieszczęśliwej ojczyzny, zawinąwszy do bezpiecznego portu, lękał się trwożliwie wszystkiego, coby mogło zagrozić nową burzą i statkowi i sztabowi załogi. Inni, nieźli nawet ludzie, „szambelańskie natury“ temi samemi obawami osłaniali przed swem własnem sumieniem brzydki serwilizm wobec cesarzewicza i ohydnych kreatur Belwederu. W żadnym z nich nie miał Lubecki sprzymierzeńca, na nikogo nie mógł się spuścić, gdy przyszło wybrać między dobrem kraju a kaprysem wielkiego księcia.

Ta Rada nie zażegna powstania, skoro już raz wybuchło, nie opanuje; *po za nią* zaś, po za legalnym, przez króla ustanowionym i mianowanym rządem, utworzyć jakiekolwiek ciało z pretensyą do rządzenia — to byłby jawny bunt, woda na młyn rewolucyi. Jedyne wyjście: wzmocnić zdyskredytowaną

Radę przybraniem kilku poważnych ludzi, z pośród senatorów szczególnie, posiadających powszechne zaufanie. Nie był to krok legalny; w takiej chwili, gdy cesarzewicz od wszystkiego umywał ręce: *aux grands maux grands remèdes*...

Sobolewskiego — i nie dziw — zgroza przejmowała na samą myśl takiego *rewolucyjnego* kroku; wszak mianowanie członków Rady — to, według art. 63 Konstytucyi, jedna z najważniejszych atrybucyj samego Króla. Ale i z tego Sobolewski zdawał sobie najjaśniej sprawę, że Rada, której on przewodniczył, powstania nie uśmierzy; dlatego na wieść o rewolucyi — kazał tylko zatarasować bramę mieszkania... więcej nic. Pod naciskiem argumentów Czartoryskiego, zaczynał już się zwolna oswajać z tym projektem, ale pod jednym tylko i jedynym warunkiem, *conditio sine qua non*, jeżeli za tem będzie — Lubecki...

Zadudniło na Krakowskiem Przedmieściu, zatrzymał się powóz przed pałacem Branickich; wszedł Lubecki z Władysławem Zamoyskim. Wszedł i począł z właściwą sobie siłą argumentacyi wykazywać nieodzowną konieczność wzmocnienia Rady przybranymi członkami, nieposzlakowanymi w czystości uczuć patryotycznych, posiadającymi powszechne zaufanie. I tak był przekonany o *wyłącznem*, własnem autorstwie tej brzemiennej w następstwa myśli — że nie zaparł się go po czterech tygodniach, w okolicznościach, w których przyznawać się do niego było niezmiernie niepolitycznie. „Trzeba było zastąpić brak siły materyalnej siłą moralną, że zaś członkowie Rady nie wzbudzali u społeczeństwa żadnej ufności, *ja* zaproponowałem, żeby do jej grona powołać kilka osób, które zażywały powszechnego szacunku...“ Oto słowa, których Lubecki nie wahał się wypowiedzieć przed Mikołajem 26-go grudnia 1830 r., czem — niedziw — ściągnął na siebie straszliwe gromy z ust Jowisza z nad Newy. Gdyby rzeczywiście było inaczej — byłby to z jego strony zupełnie niepotrzebny heroizm: osłaniać sobą nieobecnego i bezpiecznego w Warszawie księcia Adama. Prawość nakazywała jednak nie zaprzeć się przed cesarzem autorstwa niebezpiecznej myśli, i dla tego jej się nie zaparł; to niewątpliwe, w tych okolicznościach klasyczne świadectwo w całem tego słowa znaczeniu, że Lubecki nietylko zgodził się z propozycyą Czartoryskiego, ale sam z tym wnioskiem wystąpił, niezależnie od poprzedniej rozmowy, która przed przyjazdem jego toczyła się u Walentego Sobolewskiego.

Wiedział on już może, że w Czartoryskim znajduje sprzymierzeńca; może po drodze, w karecie, dowiedział się był o tem od Zamoyskiego. Ale to mogło go tylko utwierdzić silniej w je-

go własnej myśli, z którą jeszcze przed przybyciem Zamoyskiego wybierał się do prezesa Rady Administracyjnej. Zrodziła się w nim ta myśl w salonach Ministerstwa Skarbu, wśród rejwachu, pomiędzy rozmową z coraz nowymi gośćmi a raportami „galopenów," przybywających z miasta z nowymi szczegółami. Kto wie, czy nie zrodziła się pod wpływem pewnej suggestyi; czy z tym pomysłem nie odezwał się pierwszy Gustaw Małachowski, nie spodziewając się nawet, że znajdzie u ministra dla niego grunt tak przyjazny. Lubeckiego bowiem jedno najwięcej interesowało od samego początku; o jedno tylko wypytywał każdego nowego przybysza z miasta i na każde takie pytanie żadnej odpowiedzi nie otrzymywał, bo żadnej odpowiedzi na to — nie było. Pytał, kto jest przywódcą ruchu, kto kieruje tą rewolucyą, która nie miała wodza. Nie wierzył temu; w logicznej głowie Litwina nie mogło się pomieścić pojęcie takiego „bezhołowia." Myślał jeszcze, że wódz gdzieś tak zręcznie ukryty. Ale wszystkie doniesienia zgadzały się: niema wodza, ani żadnego planu działania niema. Wszakże sami podchorążowie, ci, co rewolucyę podnieśli, chcieli zmusić biednego „Stasia Potockiego," by stanął na czele ruchu, na chwilę przed jego zgonem za króla i legalny rzeczy porządek. Nie było zatem wodza. Dziwne. Dziwniejsze, że się dotąd jeszcze nie znalazł, byle kto. Nie generał, to jaki niższy oficer, weźmie władzę leżącą na ulicy. A weźmie ją — to już trudniejsza sprawa będzie z tą rewolucyą. Chwili nie było do stracenia. Dopóki nie ma wodza, władzę może wziąć byle kto, nawet i rząd legalny, rząd królewski i w króla imieniu działający — byle osłonięty powagą takich ludzi, jak książe Adam, legalny zresztą choć od dawna nie czynny członek Rady, i paru innych poważnych, wpływowych ludzi, których się przybierze do składu Rady. Nielegalny to środek, ani słowa. Niechaj tylko przezeń wróci legalny porządek, a nielegalność da się usprawiedliwić przed królem Mikołajem. To już *cura posterior*; w tem Lubeckiego głowa.

Tak stało się, że w rządzie królewskim, w obliczu wybuchłej rewolucyi, gładko, bez żadnego protestu, powzięto to pamiętne postanowienie, które było samo przez się krokiem na wskroś rewolucyjnym, przywłaszczającym Radzie królewskie atrybucye, bez innej racyi, jak dla zdobycia sobie powagi u rewolucyjnej ulicy. Nie sprzeciwiał się już prezes Rady, nie namiestnik wprawdzie królewski, ale przewodniczący ciała, które „w nieobecności króla zarządza w jego imieniu sprawami publicznemi Królestwa," a tem samem przedewszystkiem obowiązany stać na straży nietykalnych atrybucyj Korony; odkąd myśl Czartoryskiego przybrała

postać pozytywnego wniosku ministra skarbu, Sobolewski nic mu nie miał do zarzucenia. Zgodził się nawet szwagier Sobolewskiego, Stanisława Augusta syn, lękliwy minister oświaty i wyznań, Stanisław Grabowski, zawsze skory do sprzeciwiania się Lubeckiemu, ilekroć to mogło podobać się w Belwederze. I generał Kossecki, nie zdobył się na słowo protestu czy wątpliwości, Rautenstraucha nie było. Ich starszy kolega, sędziwy weteran Hauke, minister wojny, padł trupem przed dwoma godzinami; kto wie, czyby on był podzielał to powszechne milczenie. Fredry nie było na nocnem posiedzeniu, równie niebezpiecznem i dla przedmiotu, dla którego je tak nagle zwołano i dla uzbrojonych tłumów ulicznych, u których kurator królewskiego Uniwersytetu nie mógł liczyć na szczególną sympatyę. Mostowskiego zaś, ministra spraw wewnętrznych, niepodobna było nawet zawezwać, „bo mieszkanie jego — świadczy Zamoyski — przytykające do arsenału, było w samem ognisku powstania.“

I o to nie było długiego sporu, kogo przybrać do Rady. Lubecki szybko porozumiał się z Czartoryskim; inni potakiwali. Pięciu postanowiono przybrać: Paca, księcia Michała Radziwiłła, Kochanowskiego, senatorów; starego Niemcewicza, sekretarza Senatu i generała Chłopickiego, bożyszcze armii i gorętszej młodzieży, choć od dawna usunął się od służby i ani jednym nie schlebiał, ani drugim; przeciwnie, ofukiwał opryskliwie niespokojne duchy, zarówno między wojskowymi jak cywilnymi.

Jasny, logiczny umysł Lubeckiego rozumiał to doskonale, jak nielegalne było postanowienie, które zapadło na jego wniosek. Jeśli prawda, że tę myśl podsunął mu Małachowski, pewno do niej większej nie przywiązywał wagi, dopóki się nie dowiedział o bezczynności cesarzewicza. Bierność Konstantego, jego słowa, wyrzeczone do Zamoyskiego — a z drugiej strony uzasadniona troska, żeby rewolucya przecież się nie zdobyła na utworzenie rządu rewolucyjnego: oto było — w umyśle Lubeckiego — dwa elementy tego śmiałego i ryzykownego pomysłu, na gruncie którego zeszedł się tak dziwnie z księciem Adamem. Jedno tylko mogło usprawiedliwiać ten krok „rewolucyjny:“ bezczynność tego, do kogo należała komenda nad siłą zbrojną. Rządu obowiązkiem było uśmierzyć rewolucyę; w tym krytycznym jednak momencie mściła się na ustanowionym przez Aleksandra porządku rzeczy ta monstrualna istotnie anormalność, że rząd nie miał siły zbrojnej na swe rozkazy, a wódz naczelny, brat panującego monarchy, odmawiał wszelkiego współdziałania i mimo to nikomu nie oddawał komendy: położenie było rzeczywiście zupełnie wy-

jątkowe. „W braku materyalnej siły — należało ją zastąpić moralną,“ jak Lubecki wkrótce potem powiedział w oczy cesarzowi Mikołajowi. Dla tego też zatrzymał Zamoyskiego i zawezwał go, by do protokółu podyktował słowa cesarzewicza. Adjutant wielkiego księcia uczynił to bez wahania, dodał nawet: „Rada Administracyjna może wysłać deputacyę do cesarzewicza, dla przekonania się o jego usposobieniu i o jego woli.“

Tymczasem przybyli zawezwani na posiedzenie senatorowie. Zapytani, czy są gotowi „wpływem swym wspierać Radę w trudnem zadaniu, jakie jej przepisują jej obowiązki względem Najjaśniejszego Pana“ — wszyscy oświadczyli, że są gotowi, i usługi swoje ofiarowali. Nie było tylko jednego Chłopickiego; z teatru, gdzie się dowiedział o rewolucyi, nie powrócił do domu, nocował u znajomych i nikt go nie mógł odszukać tej nocy.

Pac, Kochanowski, Radziwiłł i Niemcewicz przyrzekli współdziałać z rządem w interesie króla i tronu; to nie było jeszcze ich wstąpieniem do rządu. Dla czego tak sformułowano zapytanie, wystosowane do czterech senatorów, jakoby cofając się przed śmiałym krokiem, na który była przed chwilą zgoda? Wskutek myśli poruszonej przez Zamoyskiego, Lubecki i Czartoryski postanowili udać się w niebezpieczną drogę do Belwederu. Były wszelkie widoki, że cesarzewicz nietylko powtórzy im to samo, co powiedział był Zamoyskiemu, ale że jeszcze więcej, coś ważniejszego jeszcze przywiozą z Belwederu na dalszy ciąg posiedzenia. Obaj książęta — a obu się zdawało, że znają przecież dobrze cesarzewicza — nie mogli dotąd wyjść z zadziwienia, że ten satrapa w takiej chwili od wszystkiego umywa ręce, mając na swe rozkazy 7,000 doborowego wojska rosyjskiego, oprócz polskich oddziałów, które nie złamały wierności i stały w pogotowiu bojowem opodal belwederskich alei. Lubecki, który tyle z Konstantym miał do czynienia, w rozmaitych okolicznościach, nie widział go naturalnie nigdy w podobnem pożołeniu, gdzie główną, jedyną niemal sprężyną wszelkich ruchów psychicznych wielkiego księcia — był bezgraniczny strach. Jak zatem długo nie mógł uwierzyć w taką lekkomyślność inicyatorów powstania, iżby rozpoczynali dzieło rewolucyi bez planu i bez przywódcy: tak i w podanych przez Zamoyskiego słowach wielkiego księcia skłonnym był podobno czegoś głębszego się dopatrywać, niż instynktowego odruchu tchórzliwej natury. Ludzie z głową i charakterem nieraz błądzą, mierząc drugich własną mniej więcej miarą, nie licząc się dostatecznie z ludzką głupotą i brakiem charakteru. Wiedział Lubecki o niezmordowanej w ostatnich czasach nagonce

szpiegów, o licznych śledztwach, o przepełnieniu więzień aresztowaną młodzieżą. Trudno było uwierzyć, żeby wybuch powstania zaskoczył cesarzewicza nieprzygotowanego zupełnie, bez jakichś jasnych instrukcyj czy chociażby wskazówek z Petersburga, dokąd nieustannie, w ostatnich zwłaszcza czasach, wysyłano sztafety z Belwederu; Lubecki wiedział, że przedwczoraj, w sobotę, przybyła sztafeta od cesarza z ważnemi papierami. I to wiedział dobrze, że w obecnym właśnie momencie polskie powstanie byłoby bez przesady ciosem dla Mikołaja, bo sam prowadził korespondencyę z sekretarzem stanu, Grabowskim, o wojennych planach cesarza, z powodu lipcowej rewolucyi i belgijskiego powstania. Jeśli zatem bezczynność Konstantego była może dziełem petersburskich instrukcyj, kto wie, czy nie da Radzie wyraźnego upoważnienia do wzmocnienia się przybranymi członkami. W każdym razie, rozmowa z cesarzewiczem mogła odsłonić motywy jego niezrozumiałego postępowania i dostarczyć jakiejś dyrektywy dla rządu, w nowym składzie odrodzonego. Jak dotąd, błąkać się trzeba było w gęstym lesie najzawilszych zagadek, bez wiadomości, kto stoi za powstaniem, do czego ono zmierza, czego chce wreszcie ten, który wbrew konstytucyi, wbrew pisanemu prawu, trząsł dotąd Królestwem przez lat piętnaście, a teraz, z założonemi rękami przechadzał się w cieniach nocy po belwederskich alejach.

„Książe Czartoryski i Lubecki — słowa Barzykowskiego — wyznaczeni zostali w deputacyi do wielkiego księcia. Dwie pierwsze to illustracye, ale i dwie osoby, których Konstanty najwięcej nie cierpiał. Przyjął ich też zimno i źle. Zamiast zacząć od wysłuchania, po co przybywają, on, człowiek namiętny, od wyrzutów rozpoczął. Czartoryskiemu przypomniał Uniwersytet wileński, kuratoryę jego, sąd sejmowy, i dowodził, że rewolucya jest skutkiem zaszczepionego przezeń ducha. Lubeckiemu zaś monopolia, prawa skarbowe wytykał i twierdził, że one to są przyczyną powszechnego nieukontentowania i że tem samem na nich dwóch spada cała wina zerwania się do broni i insurrekcyi.“

Ciekawa anegdota, niezawodnie zupełnie wiarogodna. Lubecki pominął ją naturalnie milczeniem w ustnym raporcie, który o ostatniej swojej wizycie w Belwederze złożył cesarzowi Mikołajowi 14 (26) grudnia 1830 roku. Oto słowa tego raportu:

„Przybywszy do Belwederu, usłyszeliśmy z ust Jego Cesarskiej Wysokości szczegóły zbrodniczego napadu, tak niedawno dokonanego, a zarazem stanowcze postanowienie tego Dostojnego Księcia, żeby nie używać rosyjskiego wojska do uśmierzenia buntu. Z naszej znów strony przedstawiliśmy W. Księciu obraz za-

palnego stanu, w jakim stolica się znajdowała, i niebezpieczeństwa grożące życiu i mieniu obywateli. Na oświadczenie nasze, jaki krok zamierza uczynić Rada (przybranie nowych członków), J. C. W. odpowiedział, że taki krok przekracza atrybucye Rady, ponieważ pomnożenie jej składu jest zastrzeżone wyłącznie dla Monarchy. Staraliśmy się wyjaśnić, że — co do nas — nie widzimy bezwarunkowo żadnego innego środka, któryby mógł skutecznie posłużyć do podźwignięcia się z anarchii, że jednak mimo to z wszelką gotowością pójdziemy za *radami* J. C. Wysokości, jeżeli tylko raczy wspierać nas swą mądrością (*mais que nous nous empresserions de suivre les conseils de Monseigneur, s'il Lui plaisait de nous aider de sa sagesse*). „Róbcie, co wam nakazuje sumienie — była odpowiedź W. Księcia — ja ani nie aprobuję waszej idei, ani jej też nie ganię“ (*je n'approuve ni ne désapprouve votre idée*). To rzecz Rady, obmyślać stosowne środki dla przywrócenia porządku i spokoju. Usłyszawszy to, prosiłem W. Ks., żeby pozwolił Radzie przenieść się do Belwederu i przy Jego osobie zająć siedzibę, ale ta propozycya nie spotkała się z uznaniem J. C. Wysokości. „Ja nie chcę“ — była objekcya W. Ks. (*objectait Elle*) — „mieszać się do rzeczy, która się mnie nie tyczy (*qui ne me concerne pas*); to obowiązek Polaków: uśmierzyć ruch, który oni sami wznieсili!“ W ten sposób Rada, sama sobie pozostawiona, po naszym powrocie jeszcze raz odbyła dyskusyę, rozważając kwestyę praktycznej nieodzowności i legalności zamierzonego kroku, a to w obecności generała Rautenstrauch, który na rozkaz J. C. Wysokości wziął udział w naszych naradach. Nie znając jednak żadnego innego środka, któryby rokował tyle widoków powodzenia, a nadewszystko rozumiejąc, że przybierało się nowych członków w imieniu Króla i w interesie królewskiej służby: Rada zamieniła dotychczasowy projekt w stanowczą uchwałę (*ordonnance*); zredagowaliśmy ją w zwykłej, przyjętej formie, a ja ją kontrasygnowałem.“

Oto brzmienie uchwały, podpisanej przez przewodniczącego Rady Administracyjnej, Sobolewskiego, kontrasygnowanej przez Lubeckiego, z datą 30 grudnia 1830 r., ponieważ zapadła ostatecznie o 3-ej po północy:

„Zważywszy nagłość obecnych okoliczności Rada Administracyjna postanowiła wezwać, jako też niniejszem wzywa do zasiadania w swem gronie i wspólnego działania: Księcia Adama Czartoryskiego, Senatora Wojewodę, Księcia Michała Radziwiłła, Senatora Kasztelana, Ludwika hr. Paca, Senatora, J. U. Niemcewicza, sekretarza Senatu i generała Józefa Chłopickiego.“

Pierwszym krokiem Rady, w nowym jej składzie, było wydanie odezwy do narodu.

Jest w niej ubolewanie nad „smutnemi wypadkami wczorajszego wieczora;“ są zaklęcia w imię „drogiej a skołatanej ojczyzny,“ jest wyraz troski o „samo jej istnienie;“ nie brak ustępu o „poszanowaniu praw i konstytucyjnych swobód krajowych“ — brak tylko jakiejkolwiek wzmianki o królu i jego prawach, o monarsze, w imieniu którego i ta „wzmocniona“ Rada przecież działała. A jednak — tu cytujemy dalej znowu dosłownie Barzykowskiego — „tak postanowienie co do zmiany składu Rady Administracyjnej, jak i odezwa do narodu, wydane były w imieniu Mikołaja, cesarza rosyjskiego a króla polskiego. Odezwa była podpisana z dawnego składu tylko przez Sobolewskiego i Lubeckiego, oraz przez wszyskich członków nowo powołanych. Niepodpisanie jej przez innych członków Rady nie było skutkiem przypadku, lecz owszem namysłu. Mniemano, że przez opuszczenie tych imion nada się i rządowi i odezwie więcej popularności i stanie się ona gwarancyą, iż w duchu narodowym nowa władza postępować będzie. Chłopicki odezwy nie podpisał, bo mimo najstaranniejszego szukania wynalezionym być nie mógł, dodanem więc tylko było, iż do składu rządu przybranym został.“

Tak, pierwszym swoim krokiem, nowa Rada wstąpiła na pochyłość, po której miała się staczać coraz bardziej — ku rewolucyi, chociaż ją i jej samo istnienie już nazajutrz nazwano „kontrrewolucyą.“ Czy Lubecki zdawał sobie jasno sprawę z doniosłości swego podpisu, położonego — co prawda — obok podpisu przewodniczącego, z królewskiej nominacyi, ale zresztą tylko w towarzystwie nowych członków, o których król nic nie wiedział, a których przybranie brat króla, bądź co bądź, napiętnował jako krok nielegalny, a z wykluczeniem innych kolegów, ministrów i radców stanu, mianowanych przez króla? . . . Może — o drugiej po północy, po nieprzespanej poprzedniej nocy, po stracie dziecka przed kilku godzinami — i jego żelazne nerwy były wyczerpane . . .

O drugiej bowiem dopiero, po zredagowaniu odezwy, dawni i nowi członkowie Rady opuścili pałac Branickich; na wniosek Lubeckiego naznaczono następne posiedzenie na ósmą rano.

Powracając do domu, rozpamiętując wydarzenia ostatnich godzin, Lubecki — o tem nie wątpić — był kontent z siebie. Ludzie z jego temperamentem nie mogą, wśród gorączkowego działania, oddawać się wątpliwościom, czy się nie mylą, czy dobrze robią; inaczej niby się im nie udało. Lubeckiemu, z jego

temperamentem i charakterem, dość było tej pewności, że spełnił obowiązek, niczem innem się nie kierując, jak rozsądkiem, który go jeszcze nigdy dotąd nie zawiódł, i sumieniem, które mu nic nie miało do wyrzucenia. Nie przywiózł wprawdzie z Belwederu aprobaty dla przybrania nowych członków do Rady, ale tej jazdy do Belwederu chyba nie żałował. Nie trzeba było na to bystrości Lubeckiego, żeby się przekonać w rozmowie z wielkim księciem, że biedny Konstanty poprostu stracił głowę, że nie działa bynajmniej według jakichś instrukcyj z Petersburga; i to ważne dla zoryentowania się w sytuacyi.

Z takiemi to zapewne myślami wstępował o trzeciej w nocy na schody ministeryalnego pałacu, spiesząc do swej ukochanej Marysi, która przy zwłokach dziecka drżała o życie męża. Uściskał żonę i starsze córki; nie było czasu rozpowiadać, co przeżył w tych ostatnich godzinach. O ósmej posiedzenie; ledwie cztery godziny snu zostawało, jeśli potrafi zasnąć. Byle zasnąć... Kto wie, co będzie o ósmej rano, w mieście i w Belwederze, co tam powie Warszawa, gdy odczyta odezwę rządu, którą w nocy drukują. A tu trzeba myśleć za wszystkich; i dziś, co Lubecki wymyślił, to się stało; wszyscy tylko potakiwali...

## III.

## Wzmocniony Rząd.

O ósmej rano, w ostatni dzień listopada 1830 r., jakiż był bilans minionej nocy? Rozgrabiono arsenał, uzbroiły się ladajako uliczne tłumy, kilka magazynów rozbito i poturbowano przechodniów: nieporządki, nie wiele gorsze od tych, na które Warszawa spoglądała przed paru miesiącami, w styczniu czy w lutym 1905 roku. Kilkunastu sołdatów padło pod arsenałem, przypadkiem zginął jeden Francuz generał, ranny był ciężko jeden Niemiec w rosyjskiej służbie; rosyjscy generałowie: Isaakow, Engelmann i pewna liczba oficerów bezpiecznie przebywali w mieście pod strażą; zakłóto — prawda — pułkownika Sassa, „dubeltowego,“ jak mówiono szpiega, bo należał do tajnej policyi cesarzewicza, a zarazem szpiegował go i posyłał o nim tajne raporty do Petersburga. Zresztą żadnemu sołdatowi włos nie spadł z głowy. Natomiast poległo sześciu polskich generałów; dla każdej armii ciężka stra-

ta, zwłaszcza dla polskiej, w przededniu wojny; w ich liczbie, przestało bić niejedno gorące serce, gorętsze od tych, które los oszczędził pod generalskim mundurem polskiego wojska. Król polski miał wszelki powód żałować wiernych generałów, którzy w młodości tyle zasług sobie zdobyli w bojach o niepodległość, tyle krwi rosyjskiej przelali. Cara — obrażał głównie nocny atak na Belweder, nieudany zamach na brata, którego, jak wiadomo, nie lubił, płacony za to najrzetelniej taką samą monetą.

Lubecki żałował poległych generałów, ale o wojnie ani myślał i łatwiej było mu przeboleć tę stratę, niż gdyby się krew rosyjska polała na ulicach Warszawy; ona wołałaby o pomstę, pomsty domagałby się honor Rosyi i jej samowładnego monarchy, trudniejsze byłoby zatem porozumienie, zawilsza sytuacya.

I tak — dobrze nie było w mieście. „Rada administracyjna — raportował Lubecki cesarzowi — zebrana nazajutrz na posiedzeniu, nie mogła nie uznawać poważnych niebezpieczeństw, które ją otaczały i groziły zupełnym wywrotem dawnego porządku rzeczy. Tłumy pospólstwa, uzbrojone, rozgrzane trunkiem, chciwe łupu, włóczyły się po ulicach. Żołnierze, przez całą noc wystawieni na zimno i na trudy służby pod bronią, byli nieodżywieni, głodni, zniecierpliwieni; lada chwila groziła ruina wszelkiej dyscypliny wojskowej, jeżeli dłużej pozostaną bez wodza..."

Obraz posępny a jednostronny. Co prawda, Lubecki nie mógł go malować szeroko w obliczu niecierpliwego cesarza, chodziło mu zaś o to, żeby kilku słowami jaskrawo zaznaczyć zamęt i brak zupełny wszelkiego bezpieczeństwa i osób i mienia prywatnego, a tem usprawiedliwić dalsze kroki odmłodzonego Rządu. Nie minął się wreszcie z prawdą, nie dopuścił się nawet przesady. Właśnie około ósmej, gdy się Rada zbierała na posiedzenie, na ulicach zawrzało rabunkiem pijanego motłochu. Dziwić się tylko, że nieprzyszło do większych nieporządków, gdy władze bezpieczeństwa ukryły się pod ziemią, wojsko było bez wodza, a szumowiny miejskie wydobyły się na wierzch i zaczynały hulać. Skończyło się na splądrowaniu kilku szynków i sklepów z żywnością i trunkami, odbito i rozgrabiono prowiantową kasę rosyjską. „Szalała — jak mówi Barzykowski — *uliczna hałastra*, zasilana, na wieść o rozbijaniu szynków i kas, coraz nowym przypływem z nad Wisły, z Solca, przewodzili sapery, maruderzy, co się odbili od batalionu. Jeden oficer, Piotrowski, bez rozkazu z góry, stanął przeciwko motłochowi. Wprawdzie sam padł ofiarą rozzuchwalonych saperów, lecz za jego przykładem poszli in-

ni oficerowie i bagnetem kazali rozpędzić motłoch, pieniądze odebrać, a winnych saperów aresztować.“

A cóż miasto, mieszczaństwo? Spokojniejsi siedzieli w domu, czekając, co z tego będzie, ruchliwsi wałęsali się po ulicach, czytali odezwę Rządu, ganili, chwalili, rozprawiali. Młodzież nie spała w nocy; coby też to była za młodzież! Krzątali się pomiędzy młodzieżą niektórzy goręsti profesorowie, przedewszystkiem Lach-Szyrma, profesor filozofii. On to, gdy zaświtało, blisko tysiąc młodzieży przyprowadził pod mury arsenału, gdzie było skoncentrowane wojsko, łączące się z powstaniem.

Biedne wojsko, mniejsza o to, że zziębnięte i głodne; co gorsza, nieświadome, czego od niego chcą, co je czeka. Ani żołnierze nie wiedzieli, ani oficerowie, kto powstaniem kieruje, jaki cel jego. Bić się byli gotowi, przelać krew za ojczyznę; z kim się bić i od kogo czekać rozkazu? Wszak wiedzieli, że na „Moskali“ nie trzeba czekać; dość ich było przy Wielkim księciu; a tu żadnej komendy; stój dalej o głodzie i chłodzie pod arsenałem. Radość też wielka zapanowała w szeregach, kiedy profesor Szyrma przyprowadził studentów. Może oni coś wiedzą?

Cięższa była, o wiele cięższa dola „wiernego“ żołnierza. Nawet i najwierniejszy pułk strzelców konnych gwardyi, z tak gorącem uznaniem przyjęty pod Belwederem przez W. k. Konstantego, miał tylko jedną chwilę animuszu, pod wpływem dziękczynnych słów Naczelnego wodza, że „się im oddaje w opiekę, że na ich honorze i wierności polega.“ Osłabł animusz, gdy szassery — wieczorem jeszcze — podążyli do miasta i z pod ewangelickiego kościoła szarżowali na swoich, na tłum, zalegający Królewską, Saski Plac i Wierzbową. Nie było jednak śladu niesubordynacyi. Nie było go i nazajutrz rano, po nocy przepędzonej pod bronią na Saskim Placu, i na Krakowskiem Przedmieściu, gdy ze świtem garstki pospólstwa, młodzieży, niedorostków raz wraz rozpoczynały harcować ze strzelcami; padały kamienie i pogróżki i wyzywania od „moskiewskich dusz,“ „zdrajców“ i „zaprzedańców.“ A to był przecież pułk, do którego najdawniejsi, na wszystko niegdyś zdecydowani należeli spiskowcy, towarzysze Łukasińskiego, Krzyżanowskiego. Nie drgnęli, gdy koło ósmej stanęli oko w oko naprzeciw „swoich:“ naraz od Krakowskiego Przedmieścia nadciągnęli sapery i jedna kompania pieszych strzelców z dwoma działami Ekielskiego, od Wierzbowej dwie kompanie 8-go pułku liniowego piechoty; jedno i drugie, wojsko, które się już połączyło z powstaniem. Zagrzmiała komenda, zwinięto szwadrony kawaleryi, „wierny“ pułk uczynił odwrót w stronę

Belwederu, ku Placowi św. Aleksandra. Posypały się za nim kartacze, kilku strzelców spadło z koni i zostało na bruku, pułkownik Kurnatowski nie dał nowej komendy, podobno nie był już pewny, czy znajdzie posłuch. I szasery zresztą więcej się domyślali, niż wiedzieli, co znaczy ten „rozruch w mieście.“

Oprócz „wiernych,“ jak dotąd, i „insurekcyjnych“ oddziałów były wahające się, niezdecydowane. Ich los chyba najcięższy, rozpaczliwy. Generał Żymirski dowodził na placu Marsowym grenadyerami gwardyi. W szeregach i przed frontem głośno szemrano, oficerowie i żołnierze wyrzucali generałowi, że ich odwraca od sprawy narodowej, domagali się połączenia ze „swoimi.“ Nie wiele brakowało, a siódmy generał polskiej armii byłby padł ofiarą powstania przed pierwszą wymianą strzałów z nieprzyjacielem. Żymirski jednak zachował zimną krew; upewniał niecierpliwych słowem honoru, że nie jest gorszym od nich Polakiem, powtarzał, że nie nadeszła jeszcze chwila działania. Czekał, choć nieustannie odbierał rozkazy cesarzewicza, żeby niezwłocznie uderzył na powstańców i bunt poskromił, skoro ma tyle wojska pod swą komendą. Odpowiadał W. księciu, że nie ręczy za wierność wojska; jeśli, zamiast uderzyć na „insurgentów,“ połączy się z powstaniem, może na jego stronę szalę przeważyć. Napróżno zagrzewał go do działania generał Rautenstrauch, jak dotąd jeszcze, członek odmłodzonego Rządu. „To obowiązek Rządu — mówił Żymirski — uśmierzyć rozruch; wojsko nie od tego, żeby strzelać do swoich.“ Czekał, wyglądając chwili, rychło go dojdzie komenda skąd inąd, jak z Belwederu.

W tym stanie rzeczy, pierwszem zadaniem Rządu było dać wojsku wodza, wodza za jakąkolwiek cenę, a jeden człowiek, który w całem wojsku mógł znaleźć posłuch, „wpadł, jak kamień w wodę“ — mówił stary Niemcewicz. Chłopickiego w tym celu przecież przybrano do Rady, by popularnością zasłużonego i nieskalanego nazwiska nietylko osłonił jej reputacyę, lecz zarazem przemówił do serca, do sumienia i do wyobraźni wszelkich „niespokojnych duchów,“ a wojsko za sobą porwał i ślepem zaufaniem do swej osoby zastąpił główną dźwignię rozluźnionej karności, zagubioną w cieniach wczorajszego wieczora, wierność przysiędze.

Trudna rada, daremnie go już szukano 12 godzin, dłużej nie mogło wojsko być bez komendy; dziwno, że do tej chwili lada chłystek nie stanął na czele „insurrekcyjnych“ oddziałów i nie powiódł ich na Belweder. Między przybranymi członkami Rządu byli dwaj dawni wojskowi: Pac i Radziwiłł. Pac uległ nalega-

niom, przyjął tymczasowo komendę. Nie chciał wprawdzie słyszeć o projekcie Lubeckiego i Czartoryskiego, żeby objął dowództwo aż do tej chwili, kiedy je będzie mógł oddać Chłopickiemu. Stary żołnierz nie pojmował takich niejasnych zobowiązań, nieokreślonych. Podjął się obowiązków naczelnego wodza na godzin 24; tymczasem Chłopicki wyjdzie gdzieś z nory, wyjaśni się, czy można na niego liczyć. I to już było wiele. Pac wybrał Wąsowicza na szefa sztabu, Kickiego, Czetwertyńskiego i Szydłowskiego na adjutantów; objeżdżał wszystkie stanowiska, zajęte w mieście przez wojsko, przywrócił pewien ład, a przynajmniej powstrzymał postęp rosnącej z każdą chwilą w wojsku anarchii. Wszędzie powtarzał zapewnienie, że niebawem dowództwo obejmie Chłopicki.

Nim Pac wyruszył na objazd wojskowych posterunków, Rada postanowiła przenieść swoją siedzibę nie do Belwederu, jak to w nocy proponowano W. księciu, ale w bezpośrednie sąsiedztwo mieszkania Lubeckiego, do Banku. Uczyniono to właśnie na wniosek Lubeckiego, jak on sam cesarzowi tłómaczył, „aby nietylko ubezpieczyć skuteczniej nietykalność Banku, ale zarazem zapewnić sobie niezbędną szybkość w publikowaniu wszelkich uchwał i ogłoszeń, co ułatwiała bardzo bliskość bankowej drukarni.“ Dla Lubeckiego miałoby to postanowienie nieobliczoną wartość, dla ojca rodziny niemniej jak i dla męża stanu. Bezpieczniej było odtąd na Placu Bankowym, albo, w danym razie, może i niebezpieczniej, jeżeliby się prąd rewolucyi zwrócił przeciw Rządowi; w każdym razie Lubecki pozbywał się niepokoju: co się dzieje u niego w domu, gdy w dzień i przez znaczną część nocy był na posiedzeniach Rady. Zawsze był blizko swoich; gdyby groziło jakie niebezpieczeństwo, mógł obmyśleć zawczasu środki ratunku. A oprócz tego, przywykł już oddawna pracować na Placu Bankowym i do tego również się przyzwyczaił, a to od bardzo dawna, że w każdem ciele zbiorowem główny, jeśli nie cały, ciężar pracy spadał na niego. Brak zwyczajnego „sztabu,“ który go zawsze otaczał, w biurze czy też w podróżach, zwalałby na barki ministra taki olbrzymi ciężar pracy, że nawet jego siły wypowiedziałyby posłuszeństwo. Było jednak miał w każdej chwili na zawołanie Łęskiego, Thysa, Bouqueta, nie lękał się żadnego zadania: on myślał i dawał rozporządzenia, oni pisali, wykonywali. Rząd, przychylając się do wniosku ministra Skarbu i przenosząc swoją siedzibę o ścianę od jego gabinetu, nie zdawał sobie sprawy, jak tem samem wszystko oddaje w niezmor-

dowane ręce Lubeckiego [1]). Co prawda, gdyby był tego świadom, może jeszcze skwapliwiej byłby się przeprowadził na plac Bankowy, taka była gotowość, zarówno u dawnych jak i u nowych członków, iść w chwilach niebezpieczeństwa za jego zdaniem, zawsze jasnem, pewnem, nigdy się nie chwiejącem.

Przenosiny odbyły się uroczyście. Rewolucya — to rewolucya, a do najmniej niebezpiecznych akcesoryów każdej rewolucyi należy niewinny aparat zewnętrznych środków, działających na wyobraźnię ulicy, choćby nawet ze stratą jakiej godziny drogiego czasu. Na wszystko trzeba czas znaleźć, jeżeli to się opłaci. Gdy się w mieście dowiedziano o przenosinach Rządu, mnóstwo ludu gromadziło się na ulicach, pomiędzy Nowym-Światem a Bankiem. Odesłano zatem powozy. Ojcowie narodu szli piechotą wśród tłumów, powoli, żółwim krokiem, choćby tylko dla sędziwego wieku Juliana Ursyna Niemcewicza, w którym lud witał z radością posła Sejmu czteroletniego, towarzysza Kościuszki, kroczącego poważnie wśród grona ludzi w połowie znienawidzonych, w połowie samem nazwiskiem i przeszłością uspokajających wszelkie obawy o dalsze kroki Rządu. Pac tylko, jak na wodza przystało, jechał konno, w karmazynowej konfederatce; obok niego Wąsowicz, dziś jego, niegdyś Napoleona adjutant. Za nimi wszyscy pieszo; najpierw rada w całym swym składzie, za nią przyboczni adjutanci Paca, potem straż wojskowa, a za strażą „tłoczyły się tłumy ludu, tak liczne, że kiedy czoło orszaku dochodziło do Banku, koniec znajdował się jeszcze pod gmachem Towarzystwa przyjaciół nauk.“ Było to między godziną 10-tą a 11-tą z rana.

Nie dość jednak tej pompy teatralnej. Udały się szczęśliwie *Circenses*, dalej — do wypiekania powszedniego chleba, także zaprawionego smakiem w guście tych mas narodu, co z entuzyazmem witały pochód uroczysty rządu po ulicach Warszawy. Tym chlebem, najpotrzebniejszą narazie strawą dla uspokojenia moralnego głodu stolicy — były środki do utrzymania naruszonego

[1]) W papierach Lubeckiego zachowały się najważniejsze akta Rady Administracyjnej z pierwszych dni powstania, bruliony, *pisane ręką Thysa lub Bonqueta z własnoręcznemi poprawkami Lubeckiego.* Rzadko zaś niezawodnie umiał ktoś tak włożyć swoich sekretarzy do oddawania swoich myśli według danych im ustnych dyspozycyj, jak to udało się Lubeckiemu w ciągu 10-letniego urzędowania z tymi dwoma urzędnikami, z którymi też nigdy się nie rozstawał.

i ciągle zagrożonego bezpieczeństwa, w podnieconem wczorajszemi wydarzeniami, pozbawionem wszelkiego kierunku a w gruncie tak poczciwem, tak łatwem do prowadzenia mieście. Władzy miejskiej nie było; znienawidzony prezydent Wojda, kreatura W. księcia, znikł z widowni. Chcieć go w tej chwili utrzymać na stanowisku: to byłaby jawna i wstrętna prowokacya. Pierwszym też krokiem Rządu w jego nowej siedzibie było złożenie Wojdy z piastowanej przez lat tyle godności. Na jego miejsce zamianowano prezydentem miasta sędziwego prezydenta z czasów napoleońskich, którego nie kto inny jak właśnie W. ks. Konstanty zrzucił z urzędu, chcąc mieć na ważnem tem stanowisku powolnego rozkazom swym policyanta. Gubernatorem miasta został Sierawski, bohater z pod Raszyna, generał przez Konstantego szczególnie nielubiony i zawsze prześladowany. W wypadkach minionej nocy nie brał udziału, bo ją spędził w areszcie, w mieszkaniu nieboszczyka Siemiątkowskiego, aresztowany przez starszego rangą kolegę, gdy go namawiał do połączenia się z „insurrekcyą."

Nie mamy właściwego protokółu pierwszego posiedzenia Rady w gmachu bankowym, nie wiemy zatem, jakie stanowisko zajmował książę-minister wobec tych uchwał. Był to chleb zdrowy, jak na tę chwilę, bo miasto uspokoiło się w mgnieniu oka i powaga Rządu urosła; chleb jednak, bądź co bądź wypieczony na drożdżach rewolucyjnych. Ani wątpić jednak, że Lubecki nie oponował, prawdopodobnie nawet uchwały te zapadły na jego wniosek. Nie zastanawiał się nawet może, czy takie folgowanie prądowi nie rozbudzi w Warszawie apetytów, których Rząd nie będzie mógł zaspokoić. Jemu o jedną rzecz chodziło. Tak, jak rzeczy stały przed paru godzinami, lada śmielszy okrzyk w rodzaju: „Do broni, na Belweder!" mógł rzucić na brata cesarskiego i podniecone a zbrojne tłumy i wojsko, u którego Pac nie miał tyle powagi, by je powstrzymać od połączenia się z ludem pod takiem hasłem. A wtedy wszystko przepadło. W ciągu dnia nadeszła wprawdzie wiadomość, że Belweder już pusty, „do wynajęcia," jak przepowiadały przed paru tygodniami dowcipne ogłoszenia warszawskich łobuzów. Ale i do Wierzbna, o pół mili tylko od ówczesnych rogatek, nie było tak daleko, żeby po drodze ostygł zapał podnieconego ludu, jeśliby się tylko znalazł taki śmiałek, któryby stanął na jego czele. Tam bowiem przeniósł Konstanty swoją kwaterę — równie bezczynny w dzień, jak i w ubiegłą noc, równie głuchy na wszelkie zaklęcia generałów,

na prośby Gerstenzweiga, który napróżno prosił o oddanie komendy, ręcząc, za skutek śmiałej szarży na zbuntowane miasto.

„Przez właściwy mu kaprys“ — opowiada Zamoyski — W. książę nie w domu właściciela (Wierzbna), ale u ogrodnika stanął razem z żoną, księżną Łowicką. Dom ten miał tylko dwie izby. Księżna i W. książę zajmowali jedną, druga służyła za przedpokój i kuchnię. Kilka osób ze świty W. księcia leżało w niej na podłodze.“ Poza to była czy też bezradność i prostracya?

Po nominacyi prezydyum miasta i gubernatora — Tomasz Łubieński miał jako wiceprezydent pomagać staremu Węgrzeckiemu — przyszła na porządek dzienny sprawa organizacyi gwardyi narodowej. Myśl tę poddał znów Gustaw Małachowski, ten sam, który wczoraj Hiobową wiadomością o wybuchu powstania rozbudził Lubeckiego. Gorący patryota, konspirator z przed lat dziesięciu, członek niegdyś tajnego Towarzystwa patryotycznego, doczekał się nareszcie powstania. Jako poseł i delegowany od Sejmu członek komisyi umorzenia długów krajowych, miał prawo, w takiej chwili poniekąd i obowiązek znajdować się w murach Banku. Korzystał z tego i nie ruszał się z Banku, póki rząd obradował. Wiedział, że on inaczej patrzy na powstanie, niźli członkowie Rady, niż Czartoryski a nawet i Niemcewicz. Uzbrojenie ludności, nie dorywcze, bezładne, jak ubiegłej nocy pod arsenałem, uzbrojenie wolnych obywateli na wzór Paryża i Brukseli, wydało mu się potężną dźwignią rozpoczętego ruchu, rękojmią niepodległości. Niewiadomo, komu poddał ten projekt, kto z członków Rady podjął go, jako formalny wniosek i przedstawił na posiedzeniu. Lubecki i temu wnioskowi się nie sprzeciwił. Na Starem Mieście żywe były tradycye Kilińskiego; wszakże rok 1794 bliższy był temu pokoleniu, niż nam 1863. Lepiej mieć — rozumował książę minister — szewców, krawców, rzeźników uzbrojonych, ile się da, porządnie musztrowanych i do pewnej karności włożonych, pod komendą wojskową jakiego rozsądnego człowieka, niźli ten zbrojny tłum, który już rozbijał szynki i kasę prowiantową, chwilowo się uspokoił, ale lada chwila znów zacznie dokazywać. Jednym zamachem zdobyć rządowi wiele popularności w mieście i rozbroić uliczne tłumy, którym w ten tylko sposób rozgrabioną z arsenału broń można było odebrać — niezła myśl. „Proponowana gwardya obywatelska — przemówił na posiedzeniu — może oddać ważne usługi, tak dla utrzymania spokojności w mieście, jak i dla skutecznego poparcia sprawiedliwych żądań; nie dawajmy jej tylko nazwiska gwardyi narodowej,

bo to będzie naśladownictwem rewolucyi paryskiej i brukselskiej, a tego nam należy wystrzegać się starannie. Niech się nazywa: Straż bezpieczeństwa.“ Wszyscy uznali trafność propozycyi i uchwalono organizacyę Straży. Były nie tak dawne wspomnienia gwardyi narodowej z napoleońskich czasów, był gotowy naczelnik, organizator Straży, komendant gwardyi narodowej za Księstwa warszawskiego, Piotr Łubieński — jak wszyscy Łubieńscy, jak Tomasz, przed chwilą mianowany wiceprezydentem miasta, jak Henryk, wice-prezes Banku Polskiego — jeden z „ludzi“ księcia ministra Skarbu. Każdy przyklasnął, Piotrowi Łubieńskiemu oddano organizacyę Straży i naczelną komendę.

W ratuszu spisano następujący protokół:

„Działo się w ratuszu głównym miasta stołecznego Warszawy, dnia 30 listopada 1830 r.

„W dniu dzisiejszym Rada administracyjna Królestwa, na posiedzeniu w Banku Polskim odbytem, prezydentem miasta stołecznego Warszawy mianowała Stanisława Węgrzeckiego, dawnego stolicy tej prezydenta. Po ogłoszeniu nominacyi tej, na temże posiedzeniu Rady, nowo-mianowany prezydent przez obywateli z Banku Polskiego do ratusza przy głośnych okrzykach radości zgromadzonego ludu odprowadzony został. Tak samo i jednocześnie odprowadzonym był Piotr hr. Łubieński, na temże posiedzeniu Rady administracyjnej naczelnikiem Straży bezpieczeństwa mianowany. W sali sesyonalnej ratusza prezydent zapewnił zgromadzonych, że gotów jest majątek i życie dla dobra obywateli poświęcić. Zachęcił do utrzymania jak największego porządku; wskazał niebezpieczeństwo dla spokojności obywateli z zagęszczającego się pijaństwa wynikające i oświadczył, iż zawsze i dla każdego będzie dostępnym. Poczem naczelnik Straży bezpieczeństwa wystawił zgromadzeniu naglącą potrzebę jak najrychlejszego jej urządzenia, aby niezwłocznie wszelka obawa o spokojność obywateli zniknęła, aby zwykłe, codzienne życia czynności w biegu swoim nie były przerwane, aby handel dłuższej nie doznawał przeszkody i aby stolica pod tarczą własnych swoich mieszkańców, spokojna i swobodna, od wszelkiego targnięcia się całkowicie zabezpieczoną została.

„Zgromadzeni obywatele najżywszą radość na te zapewnienia okazali, na wezwanie prezydenta z sali zgromadzeń członków municypalności ustąpili.“

Dokument — jak na datę 30 listopada 1830 r. — niezmiernie ciekawy. Czytając go, mimo daty na wstępie położonej, prawie oczekuje się końcowego ustępu, stwierdzającego, że nowy

prezydent wzniósł okrzyk: „Niech żyje Najjaśniejszy Pan, Cesarz i Król, Mikołaj! — a zgromadzenie z zapałem go powtórzyło...“

Nareszcie udało się i to, co przez tyle godzin wydawało się kwadraturą koła: odszukano „opatrznościowego człowieka,“ generała Józefa Chłopickiego.

Mało było w Polsce ludzi, taką przejętych abominacyą do wszelkiej myśli o powstaniu, a przecież na Chłopickiego od dawna były zwrócone oczy wszystkich konspiratorów, on był w opinii wszelkich tajnych związków i rewolucyjnych organizacyj: mężem przyszłości, przyszłym wodzem w walce o niepodległość. Był generałem napoleońskim i przez Napoleona cenionym; mimo lat dopiero 58 w r. 1830 — bo młodo bardzo do wojska wstąpił — był kościuszkowskim jeszcze żołnierzem, a w legionach dosłużył się stopnia podpułkownika. Ale kościuszkowskich żołnierzy, legionistów, generałów, okrytych wawrzynami w wojnach napoleońskich, pozabijano w nocy 29 listopada; czy Chłopicki, jako generał, więcej był wart od Haukego — trudno osądzić, bo nie dał tego dowodów; i ten i tamten dowodzili co najwięcej dywizyą na placu boju, żaden z nich nie miał na wojnie naczelnego dowództwa. Czy lepszym był od Haukego Polakiem — i na to nikt nie da odpowiedzi. Że mu było daleko do czegokolwiek w rodzaju szowinizmu narodowego — to pewne, i tem się od Haukego nie różnił. A gdyby istniał jaki miernik uczuć patryotycznych, u Chłopickiego stałaby wskazówka bezwarunkowo niżej, niźli u Potockiego, Trębickiego albo Siemiątkowskiego. Nie żeby nie był dobrym Polakiem; to byłby zarzut krzywdzący, niesprawiedliwy. Nie entuzyazm powiódł go jednak do legionów po upadku sprawy narodowej, nie tyle w każdym razie wiara w odzyskanie niepodległości, co namiętność żołnierska, gorące zamiłowanie wojskowego zawodu. Pod rosyjskim czy pod pruskim sztandarem kościuszkowski żołnierz nie byłby służył; do legionów pociągnęła go przedewszystkiem wojaczka i sława wodza, dorównywająca sławie Cezara i Aleksandra Wielkiego. Napoleona ubóstwiał, nigdy nie zasępił mu duszy żal do cesarza, że w Tylży, czy też po przekroczeniu Niemna, nie ogłosił niepodległości Polski. Okrył się sławą we Włoszech, w Niemczech, w Hiszpanii, „z ziemi włoskiej do Polski“ wrócił dopiero w r. 1812, przemknął się szybko przez Litwę w pochodzie do Moskwy i z powrotem, a Warszawę ujrzał po tylu latach wojennej tułaczki dopiero po upadku Napoleona, pod komendą W. ks. Konstantego, który go nienawidził. Nie mogło być inaczej. Chłopicki całe życie spędził w trudach bojowych; cesarzewicz nie cierpiał

wojny; i niebezpieczna, i żołnierza „niepotrzebnie“ demoralizuje, odzwyczaja od musztry i parady na placu, od czyszczenia guzików i munduru, uczy tylko niechlujstwa. Generał wsławiony w napoleońskiej szkole, to była *bête noire* Konstantego, o ile nie umiał ugiąć się przed bratem cesarskim, przybrać fałdów po myśli W. księcia, z tych czy owych pobudek, jak Zajączek, Hauke lub Wincenty Krasiński.

Chłopicki ani nie umiał, ani nie chciał. Godził się jednak z losem, póki mógł; mimo wstrętu do jałowych parad na placu Saskim, strzegł się pilnie każdego uchybienia przeciw tancmajstersko-gimnastycznym upodobaniom cesarzewicza, w których zamykała się alfa i omega jego sztuki wojskowej. Żal mu było rozstać się z mundurem, „raz był dzień bardzo gorący; Chłopicki w czasie parady mundur rozpiął.“ Konstanty na to tylko czyhał: połajanie — aresztowanie — prośba o dymisyę. To było nie na rękę W. księciu; chciał upokorzyć generała napoleońskiej armii, nie rad był wystawiać się na wymówki cesarza Aleksandra. Na nic jednak nie zdało się pośrednictwo generała Kuruty, *factotum* Konstantego, na nic wszelkie zabiegi księcia Namiestnika. Chłopicki był nieugięty; napróżno podczas Sejmu sam cesarz starał się po swojemu oczarować go i przejednać; Chłopicki, na balu w oczy powiedział Aleksandrowi, że będzie zawsze na rozkazy monarchy w czasie wojny; teraz pokój. Była to szlachetna duma zasłużonego w ćwierćwiekowych bojach żołnierza; nic więcej i nic innego.

Nie dziw jednak, że taki koniec karyery otoczył Chłopickiego aureolą pośród wojska i u mieszkańców Warszawy, którzy ze czcią uchylali głowy przed bohaterem w skromnym cywilnym surducie. Człowiek czysty, jak kryształ, baron napoleoński, który tak ubogim zakończył służbę, jak ją rozpoczynał w szeregach niepodległej Rzeczypospolitej, musiał budzić szacunek powszechny, sympatyę. Mało kto znał go bliżej; Chłopicki wiele się nie udzielał, na większych zebraniach rzadko bywał, miał swoje kółko, w którem mu dobrze było; lubił ćwika i teatr, często go widywano w Rozmaitościach. Żył najbliżej z domami kilku napoleońskich także żołnierzy, nie z wojska Księstwa warszawskiego, które w jego oczach zawsze było czemś pośledniejszem, ale — jak on — *de la Grande Armée*. Najlepiej mu było w dobranem kółku, przy kominku u państwa Wąsowiczów; on — adjutant „Cesarza,“ który z nim spędził w saniach całą drogę od Smorgoń do Warszawy w r. 1812; ona — czarująca niegdyś Aneta Tyszkiewiczówna, rozwiedziona z Aleksandrem Potockim, zawsze,

i w r. 1830 jeszcze, gdy już minęła jej pięćdziesiątka, pełna uroku, ożywienia, humoru, tryskająca dowcipem. Do serdecznych przyjaciół Chłopickiego należeli Łubieńscy, także koledzy, chociaż młodsi: zmarły przed kilku laty (1826 r.) pan Franciszek, kapitan „starej gwardyi,“ pan Tomasz, także baron „Cesarstwa,“ generał brygady z r. 1813, pan Piotr, oficer w armii Księstwa, komendant gwardyi narodowej.

Ci znali dobrze Chłopickiego. Młodsi oficerowie, którzy go już nie widywali na placu Saskim, rzadko mieli sposobność zbliżyć się do generała. Gdyby Dąbrowski nie był umarł przed kilku laty, gdyby stary Kniaziewicz nie mieszkał za granicą, Chłopicki miałby był niebezpiecznych rywali w popularności, o którą zresztą zgoła nie dbał, lekceważąc ją raczej. Tak zaś on był jedynym przedstawicielem zaszczytnej, a żadnemi podejrzeniami nieskalanej tradycyi; gdyby Haukemu czy Krasińskiemu wydarzyło się było podobne zajście z cesarzewiczem, gdyby — jeszcze raz gdyby — który z nich był taksamo głuchym na pochlebne słowa cesarza Aleksandra: Chłopicki znalazłby łatwo materyał na współzawodnika, lub przynajmniej dzieliłby się z nim może popularnością. Tego monopolu, niepożądanego zupełnie, żaden z dawnych kolegów nie mógł mu odebrać, choć on sam szorstki i popędliwy, podkopywał go nieustannie — a bezskutecznie. Wszelka myśl o powstaniu była w oczach napoleońskiego żołnierza szaleństwem i absurdem. Zrywać się z garstką paradyerów z placu Saskiego na ten kolos, któremu nie dał rady sam „Cesarz“ z całą Europą! Waryaty i półgłówki! Umińskiemu, gdy go w r. 1821 zaklinał na ojczyznę, odparł szorstko, trywialnie: „Moja ojczyzna — namiot, wasza nawet butów mi nie sprawiła.“ Krzyżanowskiemu powiedział: „Dajcie mi sto tysięcy regularnego wojska, a wtedy pogadamy.“ Niebaczne słowa, rzucone dla przecięcia dyskusyi; gorącej młodzieży to wystarczyło: stary żołnierz, nie rzuci się na oślep, czeka stosownej chwili.

Lubecki mało znał się z Chłopickim; nie było między nimi nic wspólnego, coby ich mogło zbliżyć. Było raczej nie jedno, co Chłopickiego odstręczało od księcia-ministra. On wogóle do książąt nie miał sympatyi. W dworku szlacheckim się urodził, krwawym znojem dosłużył się szlif generalskich; później już to szło raźniej, ale w legionach, bez żadnego poparcia prócz bojowej zasługi, ciężko było wyrąbać sobie stopień podpułkownika, w tych legionach, przeciwko którym walczył pod Suwarowem, książę Lubecki. Może kiedy spotkali się u Łubieńskich, albo u Wąsowiczów; w każdym razie za rzadko, żeby bliżej się po-

znajomić, bo Lubecki mało miał czasu na życie światowe; gdy się zaś gdzie pokazał, otoczony był chciwymi protekcyi i względów ministra Skarbu.

Znał jednak Lubecki Chłopickiego z opowiadania wspólnych, jednemu i drugiemu bliskich przyjaciół. Pani Wąsowiczowa lubiła księcia-ministra; imponował jej bystrością, trafnością sądu; dawna znajomość, jeszcze z czasów Najwyższej Rady, przed Kongresem wiedeńskim, kiedy zapracowany książę nieraz w letnie wieczory używał w Natolinie krótkiego wypoczynku, krzepiąc się świeżem powietrzem i perlistym szampanem interesującej rozmowy z panią Anetą, wówczas jeszcze Aleksandrową Potocką, ledwie czterdziestki dopiero dosięgającą. Z Łubieńskimi zaś łączyła Lubeckiego — wiadomo — ścisła choć nie dawna zażyłość, od r. 1825, od pamiętnego Sejmu, na którym szczęśliwie doprowadzono pod dach jedno z najnowszych jego dzieł, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie. Henryk Łubieński, poseł na Sejm w r. 1825, dał się poznać Lubeckiemu jako tęga głowa finansowa, co księciu ministrowi rzadko zdarzało się spotykać między Koroniarzami. Był to prawie najmłodszy z sześciu synów sędziwego Feliksa Łubieńskiego, zasłużonego ministra Księstwa warszawskiego; mimo to największą miał w rodzinie powagę, dzięki właśnie tej głowie finansowej, która tak zainteresowała ministra Skarbu. W ciągu paru lat pan Henryk stanął na czele Banku Polskiego, drugiego, tak wielkiej doniosłości, dzieła księcia-ministra, a tak szczególnie przezeń ukochanego. Zarazem całą rodzinę zbliżył do Lubeckiego, zwłaszcza zaś starszego brata, Tomasza, który zdolnością, wykształceniem i zaletami towarzyskiemi podbił sobie szczególnie serce ministra. Powstał niebawem dom bankowy „Łubieński i Jezierski," z programem rozległych operacyj finansowych i przemysłowych przedsiębiorstw, gorąco popierany przez Lubeckiego, a oparty jedynie na nieograniczonym niemal kredycie w Banku Polskim; na czele tego domu stał Tomasz Łubieński, obecnie — od południa 30 listopada — nowy wiceprezydent miasta Warszawy.

Od Wąsowiczów zatem i od Łubieńskich Lubecki wiedział jak najlepiej, co generał Chłopicki myśli o rewolucyi. Mąż zaufania armii, pośród której ruch powstał i szerzył się coraz bardziej, generał, którego imię było świętością dla najgorętszej młodzieży — Chłopicki wydać się mógł Lubeckiemu istotnie „opatrznościowym człowiekiem," jedynym, co uśmierzy powstanie bez krwi rozlewu, powstrzyma je od starcia z cesarzowiczem, przywróci i utrwali porządek. Gdy Chłopicki wyszedł z ukrycia —

zapewne na wiadomość o przyjęciu komendy przez Paca — sprowadzono go nareszcie do Banku. Przybył, jako przybrany członek Rady, ale ani mówić sobie nie dawał o przyjęciu komendy. Napróżno wzywał go Czartoryski w imię sprawy narodowej, w imię uczuć Polaka; nadaremnie zaklinał go na wszystkie świętości stary Niemcewicz, ze łzami w oczach. Lubecki milczał; on był przygotowany na opór generała i przygotował zawczasu środki działania. Tomasz Łubieński miał najwięcej wpływu na generała. Przez niego w inną uderzył strunę. Chłopicki rozpoczął był życie i służbę w tych pamiętnych latach, kiedy już powszechnie piętnowano anarchię, jako przyczynę upadku Polski. Patrzył na ostateczny koniec niepodległości, a w obozie, w szkole karności i porządku, spotęgował się jego wstręt do wszystkiego, co anarchią trąciło. „Patrz, co się dzieje; ty jeden możesz tej anarchii łeb urwać, bo ciebie jednego będą słuchać.“ To był argument, który podziałał na Chłopickiego: objął komendę. Ułożono odezwę do wojska; Chłopicki nie chciał pod swem nazwiskiem napisać, jak mu proponowano *Naczelny Wódz*, podpisał *Generał polski*; tego tytułu nikt nie mógł mu odmówić.

Pod rozkazami Chłopickiego w kilka godzin zapanowała w wojsku przykładna karność. I w mieście było spokojniej, pod kierunkiem ukochanego, starego prezydenta, przy pomocy sprężystej ręki Tomasza Łubieńskiego. Tak minęła pierwsza doba powstania. Jej owoce — przywrócenie spokoju i ostateczny rozdział polskiego garnizonu stolicy. Mniejsza część stała w Wierzbnie, razem z rosyjskimi pułkami, przy Wielkim księciu; wśród reszty, pozostającej w mieście, ustał dotychczasowy rozdział na „walające się“ i „insurekcyjne“ oddziały, wszyscy słuchali *polskiego generała*, w którym widziano wodza powstania, chociaż on sam powstanie potępiał najenergiczniej. I jeden był jeszcze owoc, zarówno kłopotliwy dla Rządu, jak i dla Chłopickiego. Namnożyło się *jeńców*, rosyjskich jeńców. Niektórzy rosyjscy generałowie i wielu oficerów nie zdążyło dostać się w nocy 29-go do Belwederu; o ile odrazu nie byli aresztowani, ukrywali się po domach prywatnych. Chłopicki wziął ich wszystkich pod szczególną opiekę; kazał przeprowadzić do zamku i pod straż oddać. To była jedyna rękojmia, że im nic się nie stanie; lud widział w nich rzeczywistych „jeńców“ i zakładników.

Zaświtał drugi dzień rewolucyi, 1 grudnia. Kto poprzedniego wieczora łudził się nadziejami łatwego uspokojenia i rychłego powrotu do normalnych stosunków, z nastaniem dnia coraz bardziej rozstawał się z tą nadzieją. Uspokojenie nie czyniło po-

stępów. Główne ulice pełne były podnieconego ludu; na Krakowskiem Przedmieściu spokojni obywatele wynosili się z mieszkań, szukając schronienia u znajomych w odleglejszych dzielnicach; tu i owdzie powtarzały się wybryki wczorajszego poranka; „Straż bezpieczeństwa“ nie była jeszcze zorganizowana; Chłopicki miał posłuch u żołnierza, znać było jednak, że jego miejsce w bojowym pyle, przed frontem dywizyi, nie zaś we wzburzonem mieście, za którego rogatkami stał Wielki książę, cel i przedmiot trzymanej na wodzy zapalczywości ulicznych tłumów.

Niebezpieczeństwo bynajmniej się nie zmniejszało (*le danger était loin de diminuer*),“ jak później cesarzowi raportował Lubecki o sytuacyi ku schyłkowi pierwszego i z początkiem drugiego dnia rewolucyi. On — w oficyalnym raporcie — wymienia dwa czynniki, które ludność stołeczną wprawiały w podniecenie: „obecność wojsk rosyjskich i nieustające pogłoski, że cały nasz byt polityczny był zagrożony (*la présence des troupes russes, le bruit qu'on ne cessait pas de propager, que notre existence politique était menacée*).“ Było dużo więcej tych czynników rewolucyjnego fermentu, o których minister nie miał powodu mówić Mikołajowi na audyencyi 13/26 grudnia, w obecności W. ks. Michała, Dybicza i kilku dygnitarzy, niecierpiących ani Polski, ani Polaków. Sam na sam, we cztery oczy, możeby był coś więcej powiedział.

Stanisław Smolka.

# NAD GŁĘBIAMI.

## I.

*Dn. 2 sierpnia.*

Przepraszam Cię bardzo, za mój ostatni waryacki list, ale prosiłaś mnie najwyraźniej przed wyjazdem, abym pisał wszystko to, co mi nasunie się pod pióro. Ja też korzystam z tego w całej pełni.

Przedewszystkiem wiem, że bawią Cię moje koziołki, a powtóre szczerze Ci powiem, mam nawet pewne zadowolenie, że ktoś czyta moje bazgroty i przeżywa po raz wtóry to, co już należy do przeszłości.

Wprawdzie jesteś moją siostrą, więc stosownie do panujących zwyczajów powinniśmy zaciągnąć między sobą wstydliwą firankę i Ty z tamtej strony a ja z tej powinniśmy robić święte miny, choć nasze myśli i uczynki „wdziewają na się kształt grzechu“ — ale na szczęście żyjąc samopas od dzieciństwa, oboje wyrobiliśmy w sobie ducha rewolucyjnego...

I wiesz co Ci powiem?

Mieć takie porządne siostrzysko, jak Ty, takiego zaufanego spowiednika, który nigdy nie pociągnie za uszy, ale pogłaska, który zamiast załamywać ręce, śmieje się do rozpuku z mojego hottentotyzmu,—to ostatecznie można wytrzymać na świecie wśród tych pobożnych ateuszów, dyplomowanych okpiświatów, rogatych mężatek i mężów, dobrze urodzonych plebejuszów e tutti quanti, którą to mieszaninę spotyka się na każdym kroku.

Jak Cię kocham, kiedy tak patrzę na te odgryzki przyrody, które kręcą się koło mnie w wagonach, na stacyach, w salach

restauracyjnych, muzeach i orfeach, w kościołach, kopalniach i na pokładach marnych parowców, dziwię się, jak może Pan Bóg, we wszelkiej postaci, jaką ma, wytrzymać tak długo i nie wymieść raz tak zwanej ludzkości do pierwszego lepszego morza. Gdybym był Bramą, albo Jehową, albo Mahometem, zesłałbym pewnego wieczoru wśród śpiewu słowików i dyskretnego srebrzenia księżyca dwa legiony stróżów niebieskich z miotłami; ustawiłbym ich po obu stronach Uralu i rzekłbym do nich: „wyczyśćcie mi świat na zachód i na wschód z potomków Adama i Ewy— oszczędzajcie z wrodzoną wam delikatnością rodziny psie, kocie, końskie, lisie i wilcze, nie obrażajcie kaczek, gęsi, indyków ani pantarek, ale za to z wrodzoną wam bezwzględnością zmiećcie ludzkie śmiecie do kałuży Bałtyku i Śródziemnego, do morza Karaibskiego i Żółtego, ogółem do każdego zbiornika nieczystej wody.“

Takbym rzekł, gdybym był władcą niebios.

Niestety, muszę poprzestać na układaniu listów do Michasi, która teraz godziną wieczorną, kiedy piszę do niej, siedzi na werandzie białego dworku w podkarpackich stronach i tuli na kolanach główkę złotowłosą Jasia. Pod czerwonym parasolem zachodzącego słońca jedzie na żwawym koniku od łąk kwiecistych i łanów pszenicznych pan o dużym, szumnym wąsie — a Michasia uśmiecha się do swego męża, choć zdaleka widzi tylko jego miniaturę...

Ach, jak ja Ci zazdroszczę, że znalazłaś sobie słodkie lekarstwo na wszystko, jakiem jest mąż dla zakochanej żony i że duch szczęścia stanął w bramie Waszego domu! Powtarzaj swojemu Wickowi, że powinien doskonalić się codzień rano i codzień wieczór, dopóki nie zamieni się nakoniec w modernistyczną linię dobroci i powabu i nie nagrodzi w ten sposób Twego lukullusowego serca.

Bo czemże byłbym bez Ciebie moja bogińko o różowych policzkach, włosach szarych, jak kora drzewa wiśniowego i liliowych łapiętach? czem?

Poświęcałaś dla mnie figle pensyonarskie i baczyłaś, aby pięcioletni August nie odczuł przedwczesnej straty matki i spędził wesoło dzieciństwo, póki życie nie otworzy mu oczu na prześnioną bajkę młodzieńczą i na wystraszone matematyczne zrównanie rzeczywistości.

Tak się stało.

Nie pamiętam twarzy matki, ale pamiętam za to doskonale, jaką twarz powinna mieć każda matka...

Kiedy ryczą bałwany morskie i huragan gwiżdże mi nad uchem aryę z „Opętania,“ napisaną przez elfów Atlantyku, napada mię czasem ogromna tęsknota, aby przenieść się na mgnienie oka w wasze strony, popatrzeć przez drzewa sadu, jak w świetle lampy spożywacie wieczerzę, w postaci srebrnej muszki upaść na biały wasz obrus i napoić oczy waszem szczęściem, a Tobie Michasiu skrzydełkami alabastrowemi pomuskać ukochane paluszki.

Ach doprawdy, to jedno, że pogoda życia rozpięła swój czarowny namiot nad Waszem gniazdem, godzi mnie z karykaturą życia.

A ja czy nie mógłbym znaleźć na tym świecie choć cienia podobnego szczęścia?

Tandem przypinam do piersi znak średniowiecznego rycerza i ruszam w świat, aby zdobyć serce kochanki. Czy mi to jednak łatwo przyjdzie, wątpię. Średniowieczna kochanka miała tylko jedne purpurowe usta i jedną słodką kibić — ta moja kochanka, której szukam, miewa podwójne usta i podwójną kibić — raz ma postać prozaicznej panny ubranej w suknię paryską, drugi raz ma mgławicowy kształt ducha i wzrok rzucony w bezprzestrzeń...

Czy ja wiem, w której imieniu mam walczyć? czy w imieniu tej pięknej, która ma papę i mamę i ciocie i posag w dodatku — czy w imieniu tej, która nie ma nazwiska ani krewnych, a mieszkaniem jej jest wszechświat, a bogactwem odwieczna tęsknota?

Uważasz Michasiu, jakie zygzaki popełniam? Wytłómaczę Ci, skąd to pochodzi.

Oto dziś w południe siedziałem nad brzegiem morza długie godziny i patrzyłem, jak rozpłakana fala biła nieustannie o zardzewiały bazalt, osnuwając go białą pianą i dzwoniąc łzami bez końca.

I pomyślałem wtenczas, że są dusze, które tak samo płaczą bez końca i całują zimny bazalt i nigdy nie mogą ukoić swojego pragnienia.

Zato kiedy wracałem, w oknie moich sąsiadów ujrzałem parę błyszczących ócz z pod długich rzęs, purpurowe usta, usłyszałem srebrny śmiech trzpiota-panny — i tak powstał mój symbol podwójnej kochanki.

Mniejsza zresztą, o jaki ideał będę się bił, byłem miał o co się bić i z kim. Czasem napada mię złość straszna na samego siebie, że mi życie schodzi na niczem. Ojciec zdziwaczał jeszcze bardziej, niechętnie opuszcza swój domek w Krakowie. Ty na wsi z mężem i dzieciakiem — ja tu nad morzem, w pogoni za wrażeniami.

Już dwa miesiące tłukę się po Europie, ale szczerze Ci powiem, że mnie to nie bawi. Owszem wiele rzeczy jest pięknych do zakochania, nie powiem jednak, aby to dawało mi rozkosz zupełną.

Zawsze po tych Madonnach, freskach, po cudownie rzeźbionych nagrobkach i wzniosłych nawach pozostaje we mnie uczucie niedopowiedzianego ostatniego słowa.

Czasem nuda wypędza mnie z najczarowniejszych kątów i gna mię kilkadziesiąt mil na północ lub południe — czasem wracam tam, gdzie zdawało mi się, iż cudowny spokój był przy mnie przez chwilę, lecz wracam, niestety, napróżno.

Ogółem, moja kochana, przekonuję się, że nie jestem wcale tak kulturalnym człowiekiem, za jakiego mnie macie. Kiedy chodziłem po białym dachu katedry medyolańskiej w słoneczne popołudnie, dziwiłem się, co tym kamiennym taflom mają do powiedzenia przyjezdni, którzy mierzą codziennie swoje wrażenia na kilometry...

Zdziwaczałem, jak możesz wnosić z mojego listu. Ile razy opuszczam Was i próbuję zaczerpnąć świeżego powietrza daleko za granicami kraju, tyle razy efekt końcowy jest kapitalnie nikły. Innemi słowy, zaczerpnięcie powietrza jest dla mnie rzeczą zbyteczną. Może wpływa to dobrze na nerwy wyniszczone ciągłą walką, ale z czem ja walczę? z wiatrakami?

Daruj mi, kochana, te moje mizerne wywody, na usprawiedliwienie jednak powiem, że przy rzecznej kąpieli napiłem się morskiej wody, bo fala dość duża szła, a mnie zachciało się z nią walczyć — stąd gorzkość i słoność mojego listu.

Poprawię się w następnym. Zobaczysz, że zrobię coś takiego, co będzie godnie odpowiadało mojemu narwaństwu.

Kończę list, bo idę pod okno mojej sąsiadki, korzystając z tego, że jej papa i mama oddają się lekturze w ogrodzie przy świetle lampy a ich latorośl młoda liczy modremi oczami kwiatki na grządkach i ząbki sztachet.

Może tam znajdę wyjaśnienie mojej hypokondryi.

*Dn. 6 sierpnia.*

Piszę na kartce pocztowej, bo nie mam czasu. Prawdopodobnie zakocham się po uszy — tym razem naprawdę. Nie wypominaj mi moich poprzednich ideałów, bo wiesz sama najlepiej,

jakie to były przelotne miłości. Moje bóstwo w niczem nie jest podobne do swoich poprzedniczek—całkiem nawet nie jest w Twoim guście, bo najpiękniejsze jest wtenczas, kiedy się śmieje. Ale również wtenczas, kiedy milczy, jest porywająco śliczne. Jeżeli nie wierzysz mi, gotówem rzucić się w wodospad Niagary.

Pomyśl sobie, że dziś rano ruszyłem na... zbieranie kwiatów polnych i położyłem je na okienku, do którego trzpiot-panna przybiegła w szlafroczku i zobaczywszy je — ucałowała... a ja trząsłem się ze strachu za parkanem, bojąc się że mnie rodzice zobaczą...

Nadmorska idylla! ach wreszcie!

*Dn. 11 sierpnia.*

Otrzeźwiałem. Jutro wracam do kraju. Ostatecznie wszystko ma swoje granice. Przypuśćmy nawet, że stanę na ślubnym kobiercu z panną Gamą lub Deltą, jaki pożytek będzie z tego? Żaden. Wiesz dobrze, że głowa moja przedstawia jeden chaos złych i szlachetnych porywów — że właściwie jestem niczem, kochanem przez Was, że wyrosłem w atmosferze, która pasowała mię na bohatera... przyszłości — a ja dotychczas nie wiem jeszcze, na czem ta bohaterskość ma polegać.

Po co więc mam unieszczęśliwiać swoją osobą istotę, która w zachwycie zarzuci mi alabastrowe ręce koło opalonej szyi i będzie śniła bajkę o królewiczu? A jeżeli odkocham się po ślubie? jeżeli zapalę się do małżeństwa tak, jak zapalam się do zbierania japońszczyzny, historycznych cacek i renesansowych miniatur? Od moich zbiorów mogę uciec na koniec świata, kiedy mi się sprzykrzą, takoż od moich przyjaciół, jeśli mi nazbyt połaskotają duszę — ale od biednej żony?

Powiesz, że chwytam ryby przed niewodem i że od poznania do ślubu droga daleka. Ale moja dobra Michasiu, taki już chód mojej myśli, że chwyta ostateczności każdej rzeczy i kojarzy początek z końcem. Gdybym wiedział, że w sercu mam choć słaby cień Twojej stałości, rzuciłbym się na złamanie karku w tę podwzrotnikową wyprawę — wśród upałów sercowych...

Ale tak boję się — boję się — wolę uciec...

Z Wiednia poproszę Was o konie na dworzec.

*Dn. 12 sierpnia.*

Rzecz naturalna, że pozostaję. Nie umiem Ci opisać, co się ze mną stało. Chodzę po wybrzeżu morskiem i nucę arye, jak tenor — zaprzyjaźniam się z gadatliwą gawiedzią gwiazd, które plotą mi o cudach i tajemnicach kochania swojem srebrzystem migotaniem. Zdarza się, że rano wstając, podskakuję do góry jak wówczas, kiedy nosiłem krótkie spodenki — jednem słowem po charakterze zachowania się poznasz, że kocham się bez pamięci i ze wzajemnością.

Cudowna dziewczyna! Miałem uciekać, dziś wstydzę się nawet do tego przyznać. Jej papa pracuje w palestrze warszawskiej. Moja Kama jest najmłodszą z trzech sióstr, które powychodziły już za mąż. Brat jej grzebie naftę na Kaukazie. Kama ma białego, ślicznego pinczerka. Szelma zazdrosny o swoją panią, jak stary mąż.

Raz — „zbrodnia to była niesłychana“ — chciałem w ogrodzie, w altanie dotknąć się ślicznej łapki mojej Kamy, ale bestya pinczerek ugryzł mnie do krwi w palec.

Odtąd jesteśmy w zgodzie z białym pieskiem, ale w duszy przysiągłem sobie strzelić mu w łeb po ślubie przy pierwszej lepszej sposobności.

Oboje szalejemy za sobą. Kama ma wicher w uczuciach i błyskawice intuicyi w duszy — ja płonę przy niej jak zorza polarna. Co za szczęśliwe godziny przeżywamy obecnie! nie mam słów na powtórzenie.

Wy oboje najlepiej to zrozumiecie. Tak niedawno jeszcze przeżywaliście całą poezyę wstępnych złudzeń, uniesień, Kolumbowych odkryć, zawodów i zatargów.

Nie śmiejcie się zatem z biednego Gustka.

Dopóki Michasia podsuwała mi konfitury i lekturę poważną na podwieczorek, miałem oczy zamknięte na piękno kobiece. Któż prócz Michasi mógł mieć prawo, abym spojrzał w jego stronę?

Ale dziś? Sam siedzę już od lat czterech w cichym domostwie ojca. Spotykam się z moim rodzicem rzadko we dnie — częściej wieczorami, ale i wtenczas nie wiele mamy sobie do powiedzenia. On zapatrzony w przeszłość i zakochany w pamiątkach ostatniej narodowej tragedyi, niechętnie mówi o teraźniejszości — ja niechętnie zwracam się myślą ku przeszłości, która patrzy na mnie przez oczy ojca... wstrząsającymi błyskami.

Ach te nasze wspólne wieczerze — te cztery nakrycia z rozkazu ojca stale ustawiane — Twoje Michasiu, ojca, moje i nieboszczki matki. Pomyśl, czy można przestać cierpieć, kiedy się widzi, jak łzy kapią z pod powiek ojca, ilekroć razy spojrzy na nieme, niezajęte miejsca. Pomyśl, co się ze mną dzieje wtenczas, kiedy napadnie mnie tęsknota za Tobą i halucynacye przeszłości rozpalają mi wyobraźnię...

Tu, nad morzem, zapominam o tem, lecz często wyrzucam sobie, że jestem podłym. Na co to moje osobiste szczęście, kiedy moi najbliżsi tak bardzo cierpieli? — na co ten taniec na grobach, na łzach, na cierniach w szalonej bezpamięci o tem, co było i o tem, co będzie? na co ta cała tragikomedya ludzkiego szczęścia, które jest tylko fantazmatem chwili...

Gorzko mi — o jak mi gorzko.

Zacząłem ten list w porywie romantycznym a kończę go elegią.

Co mam począć? Powinienbym przy ojcu być i z nim pełnić służbę czatów, zali nie przychodzą duchy płaczące do wiązanki cierni, które wiszą pod portretem matki. Wstążka, która je wiąże — w krwi była maczana...

Powinienbym.

Moja dobra — nie potępiaj mnie za to, jeśli tak nie uczynię. Gdybyś wiedziała, jak teraz moje serce płacze...

*Dn. 15 sierpnia.*

Jakie Wy macie dobre serce dla wartogłowa takiego, jak ja! Ucieszyłem się z Waszego listu, jak małe dziecko cieszy się z nowej zabawki.

Macie słuszność. „Można bawić się w konika polnego, dopóki to nie dzieje się z czyją krzywdą. Tam zaś, gdzie krzywda się poczyna, trzeba przemienić się w dobrego ducha.“

Tem jednem zdaniem rozcięłaś Michasiu wszelkie moje wahania. Odtąd stanę się poważnym, jak Anglik w swoje Sundays, i będę łapał się za uszy, jeśli mi jakie głupstwo skoczy do głowy. Jaka szkoda, że mojej dobrej Michasi, niema tu przy mnie. Wszystko wzięłoby zaraz inny obrót.

Lecz co do jednej rzeczy nie łudź się kochana ani na chwilę. Moja miłość jest całkiem poważna. Kto raz chce zacząć

prowadzić porządne życie, musi patrzeć na miłość zupełnie innemi oczyma, jak ja patrzyłem dotychczas.

A może już czas największy zacząć porządnie żyć. Gdybym był biednym chłopakiem, byłbym już dziś albo lekarzem, praktykującym gdzieś w zapadłej prowincyi i niósłbym światło zdrowia do dymnych chat wiejskich, albo darłbym koty z prokuratorem w obronie mizeraka, który skradł dwie poduszki, bo uważał to za najtańszy sposób zarobkowania, albo pracowałbym w jakiej bibliotece, dumając nad foliałami zapisanemi krwią, łzami, lub łajdactwem. Czasem tęskno mi za tem mrówczem życiem, za tym potem codziennych trosk, za tem udręczeniem, które nie zostawia chwili wolnej na lenistwo, ani na rozmyślanie.

Tak jak obecnie, jestem jedną nicością.

Nie osładzajcie mi tego autooskarżenia przypomnieniem, że i tacy ludzie, jak ja, są potrzebni. Moje zbiory japońszczyzny nie uszczęśliwią nikogo. Choćbym ich miał sto razy więcej i sto razy staranniej dobranych, nikomu tem łez nie otrę. Moje kolekcye miniatur są fantazyą bogatego człowieka, który niema na co wydawać pieniędzy, więc wydaje grosz zamiast na kochanki na cudowne cacka. Prawda, że czasem kocham się w moich mahoniowych gablotkach, w których kryją się skarby egzotyczne — ale to kochanie nie przeniknęło mnie całego — nie wstaję z niem rano, ani nie kładę się wieczorem na spoczynek.

Dajcie mi je, dajcie mi je tylko — niech ono będzie szaleństwem, niech będzie bojem, męką nieustanną, nawoływaniem pustelnika — ale niech przyjdzie do mnie i weźmie mnie w posiadanie całego od pierwszej do ostatniej cząstki, niech się zapalę, jako pochodnia i gorzę, gorzę, bez pamięci — to mnie ocali.

I tak rok po roku upływa. Czasem błysk gorącej myśli zrywa mnie na równe nogi. Czasem zaczynam coś robić, co mi zdaje się być czemś lepszem niż maniactwo zbieracza... ale to trwa tak krótko.

Patrzę na świat tępemi oczyma. Wiem to dobrze, bo jestem dostatecznie wrażliwy i zdaję sobie sprawę z różnicy pojęć, jakiemby mogło być moje życie, a jakiem niestety nie jest.

Oto Twój wpływ zbawienny Michasiu, że nie utonąłem w samolubstwie. Dzięki Tobie, choć nie jestem porządnym człowiekiem, jestem przynajmniej człowiekiem, który wie, że żyje nieporządnie. Jest to samokrytyka, a ta zapobiega skrystalizowaniu się mojej psyche w jej obecnym podłym stanie.

Łudzę się czasem, że wejdę na właściwą drogę — przypadkiem. Ale napróżno czekam i tak czekać mogę bez końca. Dzie-

dziczność, czy okoliczność, czy kultura zabiły we mnie dar własnej inicyatywy. Jestem jak korek, który trzyma się na powierzchni fal i nie tonie, lecz dlatego tylko nie tonie, że jest gatunkowo lekki... ale owa droga, jaką przebywa? — jego losy? — to tajemnica morza, burz i wybrzeży.

Ile takich biednych, gatunkowo lekkich korków ginie bezpowrotnie!

*Dn. 19 sierpnia.*

Musisz znać Kamę. Mówi mi ona, że jej najstarsza siostra chodziła z Tobą na pensyę w Krakowie. Mieszkała wtenczas u swojej ciotki. Kama często wpadała z Warszawy do naszego grodu, aby odwiedzić siostrę i tam miała Cię widywać. Pyta się przezemnie czy pamiętasz jej siostrę Relę Kolecką o wielkim czarnym warkoczu i modrych oczach? Była zapaloną amatorką teatru.

Moja Kama oswoiła się już zupełnie. To ptak drapieżny. Nigdy niepodobna przewidzieć, kiedy skoczy do oczu, nasroży pióra, albo kiedy jest ucywilizowaną. Ja już przystosowałem się do jej temperamentu... Kiedy skacze mi do oczu i trzepocze skrzydłami, topię w jej źrenicach melancholijne błyskawice i proszę o względy — a kiedy ptak udobrucha się, opowiadam mu tysiączne waryacye na temat sercowy i śmiejemy się wtenczas, jak dwoje waryatów.

Dziwna dziewczyna. Nosi na palcu obrączkę z czarnego drutu i długo za żadne skarby świata nie chciała mi się przyznać, co ma oznaczać ta pamiątka.

Ale byłem niestrudzony. Czarny drucik nie dawał mi spokoju.

Nareszcie wczoraj, kiedy wybraliśmy się w licznem towarzystwie łódkami na przejażdżkę wzdłuż brzegów, stało się tak, że ni stąd ni zowąd wiatr rozpędził łódki na wszystkie strony i odłączył mnie z Kamą od papy i mamy.

Dziewczyna udawała wielkiego zucha. Ale jak łódka zaczęła pracowicie kołysać się na boki, to znowu w przód i w tył, jak słońce wdziało na ognistą twarz brunatny welon chmur i fale zielone poczęły gwałtownie nabierać blasków sinych — Kama pobladła.

Pamiętam jak dziś naszą rozmowę.

— Do brzegu niedaleko, prawda? — pytała mnie z lękiem w oczach, choć usta układały się jeszcze w linię czupurną.

— Bóg wie jeden — odparłem nielitościwie.

— Przecież to brzeg panie Auguście — nalegała na mnie, wskazując mi bladożółtą linię wybrzeża.

— Chmury — zapewniałem ją.

— A tam?

— Tam burza, która ciągnie ze strony przeciwnej.

— To nie może być — zawołała, chwytając mnie za rękę.

— Może tak, a może nie tak — draźniłem się z nią — ale prawda za prawdę. Powiem pani gdzie brzeg, jeśli mi pani powie, co oznacza ta czarna obrączka.

Zamknęła oczy na chwilę, walcząc z obawą, ale po chwili ścisnęła mnie jeszcze silniej za rękę, kiedy fala zakołysała nami gwałtownie.

— To pamiątka po tym, który już nie żyje — szepnęła.

— Nie żyje? kto to był?

— Powiem, ale najpierw muszę wiedzieć, gdzie jesteśmy, słyszy pan? — i popatrzyła na mnie z taką bezwzględnością rozpaczy, że nie chciałem już dłużej wystawiać jej na próbę.

— Za chwilę będziemy w bezpiecznem miejscu — rzekłem — ten brzeg, gdzie błyskają przez mgłę białe plamy, to nasze wille.

Westchnęła z uczuciem ulgi i posłała mi wdzięczne spojrzenie, ale nie wierzyła jeszcze.

— Powiem wszystko, kiedy wysiądziemy z łódki.

Jaki ja byłem wtenczas szczęśliwy przez tych kilkanaście minut, kiedy zimna, pomarszczona otchłań niosła nas na swoim grzbiecie, sinymi językami łasząc się dokoła łódki i zalewając nam ubranie, kiedy wicher przelatywał ze skowytem koło zwiniętego żagla i ciskał nam co chwila pianę lub podarte, mokre włosy fal w oczy, i pod nogi, a Kama siedziała niespokojnie naprzeciw mnie, ufając mi więcej niż mruczącemu coś pod nosem rybakowi...

Gdyby nas wtenczas kaprys morza wywrócił, poszlibyśmy na dno, trzymając się za ręce. Jak mało człowiek lęka się o siebie w takich chwilach... Mrok i zimne fale byłyby naszym orszakiem weselnym...

Wysiedliśmy.

W milczeniu wiodły nas kroki ku willi.

Kama nie odezwała się do mnie ani jednem słowem. Ja nie chciałem przypominać jej danego przyrzeczenia.

Nagle podniosła rękę do ust i ucałowała czarną obrączkę.

— Patrz pan — rzekła do mnie — to relikwia po jedynym człowieku, który mnie kochał prawdziwie.

— Co się z nim stało? — zapytałem.

— Odebrał sobie życie. Odmówiłam mu ręki. Nie wiedziałam, że tak szalony i że tak kochał.

Kiedy dochodziliśmy już do domu, przystanęła na chwilę i rzekła smutnym głosem:

— Mówią ludzie, że przynoszę nieszczęście tym, do których się zbliżę. Czy pan się mnie nie boi?

— Nie, choćby nas burza zaniosła w łódce na środek oceanu.

Popatrzyła mi wyzywająco w oczy a potem zaśmiała się wesoło tak, jak gdyby udał mi się najlepszy dowcip.

— Po morzu już więcej jeździć nie będziemy — odparła — a tu na lądzie burze mają swój czar. Dobranoc.

Ze śmiechem pobiegła ku rodzicom, którzy zatrwożeni naszą długą nieobecnością, właśnie wychodzili naprzeciw nas.

A ja zostałem sam z głową pełną marzeń.

Jakby to było cudownie, gdybym kiedy mógł przyprowadzić ją za rękę do Waszego sadu w jaki piękny, lipcowy wieczór i powiedział do Was: — Oto moja towarzyszka życia.

A wy uśmiechnęlibyście się wesoło i podalibyście nam ręce, jak swoim dobrym znajomym.

Jakby to było cudownie!

*Dn. 22 sierpnia.*

Piszesz mi, że przypominasz sobie Kamę, jak przez mgłę. Może tak i lepiej. Nie masz przynajmniej do niej żadnych uprzedzeń. A kobiety miewają silne uprzedzenia do swojej płci.

Niech mnie Bóg broni, abym chciał przyrównywać Ciebie w czemkolwiek do tej pustej szarańczy, która gniewa się o piękniejsze stroje i o większą ilość kochanków. Bywają uprzedzenia głębsze, płynące z przeciwieństwa światopoglądu, a nawet tylko z różnicy pojmowania codziennego życia.

Pod tym względem ostatnim Kama należy do typu, którego nie lubisz. Może przesadzam. Może po poznaniu bliższem zyskałaby Twoją przyjaźń. Ale gdyby tak nawet nie było, co mam począć, jeżeli jest w niej coś, co mnie ożywia, jak silny prąd elektryczny, co budzi we mnie drzemiące od dzieciństwa wybuchy fantazyi, energię czynu, smak do potężnych wysiłków. Kiedy

idę obok niej, niosę w sobie ocean dyabelnie dobrych instynktów— jakąś przedziwną wiarę w to, że w tej miłości może się Twój Gustek odrodzi i że z tej miłości może wziąć pchnięcie do ogromnych rzeczy...

Może tak bywa z każdym człowiekiem, którym owładnie potęga miłości. Może to pospolity ton majowych trylów słowiczych, który rozpływa się następnie w całkiem poziomych instynktach rodzicielskich i w beznadziejnej monotonii egoizmu obracającego się pośród uścielonej słomy własnego gniazda.

Wolę o tem nie myśleć. Nie wierzę nawet, aby tak być mogło zawsze. Gdyby tak istotnie było, gdyby każda miłość zaczynała się od tonów silnych a kończyła na pospolitej piosnce nad kolebką i żłóbkiem — przestałbym wierzyć w ludzkość.

Zdaje mi się, że kiedy ze słońca poczynały się ziemie nowe, wyrzucone w bezprzestrzeń na żywot własny o milionowych latach — w łonie słońca musiała grać pieśń niepojętej rozkoszy.

A my — my epigoni tych bohaterskich okresów natury, my małe światy wyrzucone w bezprzestrzeń na żywot o milionowych sekundach — mielibyśmy być tylko piłkami szarlatańskiwa i niemielibyśmy ciągnąć dalej tej pieśni rozkoszy?

Droga Michasiu — szczery jestem względem Ciebie aż do granic ostateczności. Drudzy wolą milczeć w okresach przełomowych — ja nie mogę. Tak bardzo stałaś się dla mnie dalekim duchem opiekuńczym, że Ci się spowiadam z moich myśli, choć krążę koło innej istoty.

Nie myśl, że bezkrytycznie przywiązany jestem do Kamy. To, co jest we mnie, to nie jest przywiązanie. To jest potrzeba ścierania się z indywidualnością całkiem inną niż ja — z kimś, kto w poprzek staje na mojej drodze i woła:

— „Idę przed siebie, a kto z drogi nie chce mi ustąpić, musi iść ze mną lub zginąć — żyję sama dla siebie, dla mojej przepotężnej młodości, dla czaru moich ust, dla piękna mojego ciała— żyję dla moich świeżych, boleśnie śmiałych zaborczych instynktów — nie znam żadnych układów z życiem i jego etyką. To jest dobrem, co jest dobrem dla mnie, to nienawidzę całą duszą, co jest złem dla mnie!

— „Kto się chce mierzyć ze mną? kto chce, abym poszła za nim? kto jest tym mitycznym śmiałkiem, któryby zakochał się w purpurze moich warg, błękitach moich oczu, metalowym błysku moich włosów i wiośnie moich powabów, a nie poszedł w rydwanie moim?“

A mnie chciałoby się krzyczeć: ja, ja, ja, ja!!! po tysiąc razy ja!!! właśnie dlatego, że taką jesteś inną, właśnie dlatego, że trzeba Ciebie zwyciężyć, właśnie dlatego, że widzę w twoich oczach ogrom pogardy dla wszystkiego, czego nie możesz nazwać swoją własnością, chcę być Ci najbliższym i najbardziej zarazem przeciwnym, chcę Ci wskazać... te ciche drogi ducha — chcę Ci powiedzieć...

Co? tak wiele mam do powiedzenia i tak bardzo nic. Sam żyję jeszcze bez programu — sam jestem nieokreślonym dla siebie i nieskończonym. Czyż walczyć mam tylko frazesem przeciw niej, która ma za sobą czyny swojej indywidualności?

Ach! ma je i jak bardzo wołające o pomstę do nieba! Ona sama przyznała mi się do tego - ale z jakiem oburzeniem, choć wszystko to co mówiła, krzyczało przeciw niej.

Czy wiesz co się stało z Relą, jej siostrą, z którą chodziłaś na pensyę w Krakowie? Zerwała wszelkie stosunki ze swoją rodziną i tuła się gdzieś po świecie, jako nauczycielka.

Przez kogo i dlaczego, zapytasz? przez Kamę i dla jej egoizmu. O — pospolita to historya, lecz jakże jednak bardzo niepospolita.

Posłuchaj.

Rela wyszła za mąż — za człowieka starszego od siebie o lat dziesięć. Z usposobienia trochę artystka i aktorka, nie wiele dbała o męża, który widział w niej bóstwo, i dla dzieci chciał zebrać jak największy majątek. Nie dbała o niego, bo nie wierzyła w to, aby go mogła kiedy stracić.

— Przyjechałam do nich na wieś — opowiadała mi Kama podnieconym głosem, kiedy raz na balu wypiła dużo szampana i poczęła po swojemu waryować.

— Po co pisała po mnie? po co? czy chciała mnie kłuć w oczy tem, że on zakochany w niej do szaleństwa, a ona mimo to nic nie dba o niego? waryatka — to mogło komuś imponować, kto ma gusta plebejuszów, ale mnie?

— Tańczmy walca — szepnęła do mnie, kiedy po sali błyszczącej taflami posadzki, lustrami, morzem elektrycznych ogników, poczęły płynąć od estrady płomienne, powolne tony taneczne.

Poszliśmy w wir pod okiem kilkuset par oczu.

O ten taniec! nie zapomnę go.

— Czy wiesz pan — mówiła dyszącym ze zmęczenia głosem — jak mnie przywitała na samym wstępie? Powiedziała mi, że mąż wyjechał na folwark, bo od ślubu zobojętniał zupełnie dla innych kobiet.

— Aktorka — wyrzuciła przez usta z nienawiścią — chciała grać przedemną komedyę kobiety, kochanej aż do obrzydliwości przez mężczyznę. Co mnie obchodziło jej szczęście? sama zbliżyłam ich do siebie.

— To jeszcze nie zbrodnia, to słabość — zauważyłem.

— Tak — to nie była zbrodnia, ale to była taka obrzydliwa, czysto babska zarozumiałość i podłość — skarżyła się dalej namiętnym głosem. — Kiedy wrócił z folwarku, pierwsza rzecz, którą mu powiedziałam wprost bez ogródek, to było to, że nienawidzę niewolników, którzy po ślubie przestają być ludźmi wolnymi.

— Ona kochała go, słyszysz pan! kochała go podobno, ale dlatego, że ja tam byłam, okazywała mu jawną pogardę. Aktorka. Dlatego, że mówił ze mną, że zaczął mi się zwierzać, że jeździł ze mną konno, poczęła nas oboje obrzucać wymówkami, zaczęła nas śledzić, podglądać.

— Dlaczego pani nie wyjechała?

— Hahaha — nie, tego nikt nie potrafi zrobić w takiej sytuacyi. Pomyśl pan, że raz w nocy wpadła do mojego pokoju, kiedy spałam najsmaczniej i biła mnie po głowie pięścią! targała mnie za włosy!!! zdarła ze mnie pościel, bieliznę i drapała mnie do krwi.

— Zawołałam go. Przyszedł. Powiedziałam mu, że to przez niego. Błagał mnie, abym wyjechała. Nie — zawołałam — nigdy. Dopóki Rela nie przestanie nas podejrzewać, nie wyjadę.

— I ona także nie chciała mnie puścić. Znajdywała w tem rozkosz, że może nas dręczyć. Cóż dziwnego, że on począł się skarżyć przedemną na nią? cóż dziwnego, że wynajdywał różnice między nami dwiema?

— A ona co zrobiła, aby go przejednać — czy pan wiesz? jak najpodlejsza aktorka w najpodlejszej sztuce, poczęła udawać, że się kocha w Angliku, którego trzymała dla syna. Dla tego Anglika nauczyła się jeździć konno — czego nie chciała zrobić dla męża. Dla tego Anglika uczyła się gramatyki angielskiej.

— Kiedy raz szliśmy do altany, aby ochłonąć po skwarze dziennym, zastaliśmy Relę z książką angielską. Rzuciła nam wejrzenie wzgardliwe i wyszła deklamując:

„I love You my dear boy.“

— Hahaha, aktorka podła. Kiedy siedliśmy do kolacyi, obdzieliła nas wzgardliwem wejrzeniem, tak, aby to Anglik widział. Tego białego pinczerka, którego mam obecnie, całowała dlatego, że włóczył się za Anglikiem, jak cień. Wszędzie był Anglik.

— Raz pojechałam z Wacławem do lasu. Nie wiem jak długo to trwało. Może nawet bardzo długo. Czy kto w takich chwilach może wiedzieć, jak czas biegnie? wróciliśmy. Ale nie zastaliśmy w domu już ani Anglika ani Reli. Uciekli.

— Hahaha! Aktorka. Czy pan uwierzysz, że z Wiednia telegrafowała nam po angielsku „Jesteście podli oboje, jadę do Londynu“ — a w rzeczywistości porzuciła Mr. Bastow i przyjęła posadę nauczycielki w jakimś dworze na Litwie.

— Mnie po tej całej tragedyi pozostał biały pinczerek, którego biedny Mr. Bastow nie zdołał zabrać ze sobą.

— Nie pogodzili się? — zapytałem.

— Rela z mężem? po co? jemu samemu lepiej. A zresztą pan jej nie znasz. Jej zadraśnięta duma przetrzyma głód, nędzę i pragnienie, ale nigdy nie przestanie być aktorską dumą.

— To nie aktorka — rzekłem — to kobieta o biednem, zazdrosnem sercu.

— Takiem jak pan — rzuciła mi w oczy.

Odurzony hulałem do ostatniego tchu. Na ramieniu mojem opierała się dzika dziewczyna, której oczy płonęły niebezpiecznym ogniem. Dziwne wrażenie. Bałem się jej i kochałem ją coraz mocniej. Jakieś bolesne kłócie w sercu ostrzegało mię przed katastrofą — ale uczucie grało mi szaloną pieśń podboju.

Miałżebym być tym mitycznym śmiałkiem, którego jej natura wyzywa do walki? Miałżebym z drapieżnego ptaka, który rozkochał się w grabieży, wyrwać krwiożercze instynkty?

Wszystko rozhulało się we mnie i poszło w taniec zmieszany. Jakaś burza poczęła we mnie grać piorunami postanowień i pragnień.

Ach! gdyby człowiek mógł w tem samem mgnieniu oka dokonać tego, co czynem staje się w jego myślach, jakież cuda stawałyby się na ziemi...

A tak?

Dziś, kiedy piszę ten list do Ciebie Michasiu i rozpamiętuję to, co przeżyłem, ogarnia mię ból, iż ten cały cudowny a zarazem złowieszczy świat wrażeń, po jakim teraz wędruję, zapadnie się lada godzina w niepamięć lub stanie się bezowocnym.

A może nie? a może wydźwignie się z tego chaosu jakiś kształt głębokich uczuć i w mojem biednem sercu rozpoczną się dnie pogody — jak w Waszych sercach?

Tęsknię za takimi pięknymi dniami — czy jednak dnie te przyjdą?

Może trzeba będzie rzucić tego drapieżnego ptaka, który przeleciał bez troski nad grobem samobójcy i nad rozbitem gniazdem zrozpaczonej kobiety? Tak mało wysiłku trzeba było z jej strony, aby doprowadzić do tego. A jednak w tym trującym kwiecie tyle cudownych rodzi się myśli!

Nie bój się o mnie Michasiu. Nie należę do rzędu tych niewolników, którzy od godziny poznania pięknej kobiety przestają być wolnymi ludźmi.

*Dn. 28 sierpnia.*

Nie dziwcie się, jeżeli Was zawiadomię, o poważnym kroku w mojem życiu.

Zastanowiłem się głęboko nad całą moją dotychczasową Odysseją i przyszedłem do przekonania, że będę szczęśliwy z Kamą. Oświadczę się rodzicom, bo z ich strony jestem już pewien poparcia. Przytem i im należy się cząstka bezpośredniej radości po całej epopei naszych szalonych konceptów i tragikomicznych przejść. Dobrzy ludzie.

*Dn. 2 września.*

Przyślijcie konie po mnie jutro wieczorem. Jestem od kilku godzin w Wiedniu. Wszystko zerwane. Kopnąłem białego pinczerka.

## II.

Srebrny blask księżyca wędrował powoli po podłodze aż oparł się o jego głowę. Na zmęczonej twarzy kładł się leciuchnymi palcami i całował mu włosy bujne.

Słodkie, kojące światło zbudziło śpiącego. Otwarł oczy i spojrzał do koła. W pierwszej chwili zdawało mu się, że kołysze się na falach morskich — i że z daleka od brzegu dolatuje do niego głos Kamy... Potem zdawało mu się, że ktoś patrzy na niego ogromnie dobrze i ogromnie słodko i prosi go, aby był nieruchomy.

August chciał dotknąć się ręką dobrego ducha — i zrozumiał wszystko.

Spał we dworze Michasi. Przez okno otwarte wpływał świeży powiew nocny, a poprzez gałęzie jabłoni świecił latarką magiczną księżyc, który obchodził ciemne niebiosy, patrząc, zali wszystkie gwiazdy ułożyły się na spoczynek po całodziennym trudzie.

Cisza oparła swoją zadumaną głowę o szybę okna.

Złe, uporczywe skomlenie fal morskich bijących o brzeg przestało go dręczyć. Daleko za sobą pozostawił ocean, rozpalone wybrzeże i wystrojone wille.

Wszystko stało się tak nadspodziewanie szybko, i tak nieodwołalnie stanowczo. Nie miał już po co wracać i do kogo.

Rozejrzał się po pokoju, głowę zwiesił z poduszki i śledził, jak czarna siatka liści zmieniała kształty powoli i jak przez nią, jak przez przetak, przelewało się błękitne światło księżyca.

Uczucie ulgi przeniknęło go całego. Jeszcze wczoraj kiedy liczył słupy telegraficzne przez okno wagonu, ból ściskał mu skronie. Chwilami głucha wściekłość porywała go na siebie samego i cały świat i wówczas jego ucieczka wydawała mu się ogromnie podła i tchórzowska.

Ale skoro owiało go powietrze Mięckowic, skoro ujrzał na progu Michasię i jej męża, kiedy padł im w ramiona — przeszłość niedawna zmalała do kształtów znikomych.

Miał swój klasztor, miał asylum, do którego mógł się schronić.

To też teraz, kiedy zdaleka dolatywał do jego uszu szum błogi górskiego potoku, co przewalał się po pod skałami, okrytytemi czarnym lasem, kiedy cudowna noc jęła wysyłać oddechy zrywającego się, jędrnego powietrza, ogarnęło go wzruszenie.

Przeżyte dnie wydawały mu się niespokojnym, bolesnym snem, który męczył go przez noc całą. Tyle myśli, tyle fantazyi włożył w ten sen, taka silna pieśń życia poczynała się zrywać w jego piersi — i po tem wszystkiem nie pozostało nic, tylko przykry rozdźwięk.

Czyżby istotnie tak bywało w życiu, że najpiękniejsze wzruszenia duszy rozpryskują się o lada lichą przeszkodę, o lada lichy oset, który kole?

Chciałby wołać do Kamy z tego cichego, podkarpackiego ustronia, aby nie była tak złą i tak samolubną, ale rozumiał żeby to był krzyk próżny. Choćby słyszała, odwróciłaby się od niego z tym samym bezdennie wzgardliwym ruchem, jak wtenczas.

Nie jej mu żal — żal mu za temi chwilami, w których uczucia jego i porywy rozkołysały się, jak dzwon wielki. Cokolwiekbądź wyrwałoby go z odrętwienia, cokolwiekbądź rzuciłoby go na drogę wytężonego ruchu myśli, było dla niego świętem.

I tego mu właśnie żal było najbardziej, że w szarudze codziennych drobnych pożądań i drobnych wysiłków — napotkał promień, który przeniknął go nawskroś i zdawał się przekształcać w wielki dzień... a okazał się bengalskim ogniem.

Dokąd teraz pójdzie? na czem zaczepi swoją uwagę?

Padły łzy z jego ócz w tę cichą, dobrą noc...

Zasnął. Obudziły go wesołe głosy, dolatujące z ogrodu. Poznał głos Jasia, drgający jak srebrny dzwonek po rannej rosie sadu. Serdeczny, jasny śmiech zbliżał się coraz bardziej do jego okna.

— Jasiu! Jasiu! — jakiś głos kobiecy wołał — obudzisz wuja!

— Nie widziałem go wczoraj — odpowiadał chłopiec — położyliście mię spać razem z kurczętami, zanim wuj przyjechał. Muszę go zobaczyć choć przez okno. Muszę. Może wujowi broda urosła tak, jak tatusiowi. Jak pani myśli?

— Jasiu cicho! co wuj pomyśli o nas? Jeszcze da nam burę za te hałasy.

— Powiem wujowi, że to nie ja tak hałasuję, tylko pani Nala.

— Byle wuj chciał w to wierzyć.

— Uwierzy!

W tej samej chwili ukazały się w oknie dwie drobniuchne łapki i głowa Jasia, zaczerwieniona jak wiśnia od zmęczenia i rannych całusów powietrza. Z pod ogromnych szarych włosów błyszczała para ócz, tryskających ciekawością.

August zmrużył oczy i udał śpiącego.

— Wuj chrapie — zawiadomił Jaś stojącą pod oknem kobietę.

— Jasiu — brzmiała wymówka — zejdź już raz. Jak możesz zaglądać do pokoju wuja, kiedy wuj o to cię nie prosi.

— Pani Nalo! wujowi całkiem broda nie urosła. Dlaczego tatusiowi urosła, a wujowi nie?

— Jasiu! zejdź na Boga, bo będę musiała przeprosić wuja za twoją niegrzeczność.

Jaś zeskoczył, jak konik polny na trawnik.

— O ty mały rozbójniku — odezwała się kobieta pod oknem, a potem doleciały do uszu Augusta odgłosy całusów i śmiechu, które oddalały się coraz bardziej w głąb ogrodu.

— Szczęśliwa Michasia — pomyślał i westchnął.

— Jaś ma już cztery lata i jakąś dobrą opiekunkę. Dziwna rzecz, jak Michasia ma szczęście do dobrych ludzi.

— Ta pani Nala musi mieć piękne, słodkie oczy, trochę siwych włosów na głowie i pociągającą twarz. Musi być bardzo podobna do Michasi, bo ma głos łudząco do niej podobny.

— Kto ona jest?

Miał ochotę wstać i przyjrzeć się jej z poza firanki, lecz to wydawało mu się rzeczą niewłaściwą, bo ostatecznie co ona mogła go obchodzić?

— Czy też Jaś podrósł przez lato? — podsunął mu pytanie jakiś głos wewnętrzny.

Zerwał się z posłania i podbiegł do okna, śledząc przez oczka firanek, co porabia Jaś i jego towarzyszka.

Szli właśnie oboje ręka w rękę po wielkiej alei, która przerzynała wzdłuż cały ogród.

— Jaś wyrósł — zauważył August — ma na sobie to samo ubranie, ale spodenki są już teraz bardzo krótkie.

— Ona zapatrzona w Jasia, jak matka. Kocha go pewnie. Zdaleka wygląda jeszcze całkiem młodo.

Jak przez mgłę błysnęła mu w oczach twarz Kamy.

— Tu niema dla niej miejsca — pomyślał z zaciętością w sercu. Ani Michasia, ani Wicek, ani Jaś, ani pani Nala nie mogłyby oddychać tem samem powietrzem co Kama — ani ja teraz — dosnuł po chwili.

Tego samego dnia popołudniu Jaś zaprosił wuja na połów ryb. Na długim, cienkim kiju przywiązany sznurek z pływakiem i małym kamykiem na końcu przedstawiał wędkę.

— Pani Nala także pójdzie z nami — zawołał dobitnie uszczęśliwiony malec, kiedy wszyscy wstali od stołu po obiedzie.

August chętnie przyjął zaprosiny Jasia, bo chciał uniknąć rozmowy ze siostrą, która wprawdzie o nic go nie pytała, ale której wypadało wytłómaczyć ów nagły przeskok psychiczny po takim burzliwym wstępie, jaki zapowiadał się w jego listach. Mówić zaś o tem, co zaszło, było mu niewypowiedzianie ciężko.

Nad górą obrosłą lasem ciemnozielonym stało słońce, grzejąc płomiennem wejrzeniem każdy zakątek doliny. Smukłe jodły objęte gorącymi uściskami powietrza wydawały z siebie balsamiczną woń — pachniały łąki nowym pokosem siana, potok przewalał swoją kryształową wodę po kamieniach białych, mrących z pragnienia.

Cisza stała nad tym zakątkiem górskim, otoczonym ze wszystkich stron błękitnym wieńcem wzgórz.

— Pani już dawno u siostry?—zapytał August, idąc powoli z Jasiem i z panią Nalą ku potokowi.

— Od dwóch miesięcy — odparła zagadnięta i utkwiła w twarzy Augusta szare, spokojne oczy.

— A tak, widocznie. Byłem u siostry w czerwcu, ale pani nie widziałem wtenczas.

Jaś skręcił ścieżką w las.

— Jasiu, a gdzie będziemy łowili ryby?

— Niech wujcio poczeka. Tutaj jest woda płytka, ale za lasem to woda jest bardzo głęboka, i ryby są w niej duże, jakie duże! — i szedł dumnie naprzód, przyśpieszając kroku i potrząsając wędką, na której końcu kamyk kiwał się lekkomyślnie.

Cicha kaplica lasu przepełniona kadzidłami drzew i ziół, roztaczała nad nimi swoje sklepienie. Ścieżka biegła, jakby strzałą wymierzona prosto przed siebie, a na jej końcu buchała łąka ogniście zielonymi blaskami.

August zdjął kapelusz z głowy i szedł przez chwilę odurzony prostotą cudu, który rozlewała dokoła przyroda.

— Jak tu dobrze — wyszeptał mimowoli.

— O tak — rzekła jego towarzyszka — to nasi najwięksi przyjaciele i najbardziej wyrozumiali, te jodły, te tarniny, buki i nad nimi to dobre słońce.

— Pani była na wsi wychowana?

— Nie, w mieście.

— Tak, ale pewnie jeździła pani do krewnych na letnie miesiące?

— Pierwszy raz jestem na wsi — brzmiała odpowiedź.

August spojrzał badawczo na nią i dostrzegł, że twarz jej lekko zadrgała.

Chciał pytać dlaczego, ale delikatność nie pozwalała mu na to.

— Pan pewnie dziwi się temu, prawda? — pytała wzruszonym głosem pani Nala.

— Tak, nie wiem nawet, czy to jest rzeczą możliwą, aby ktoś nie był nigdy na wsi.

— Są i tacy. Ale ja źle powiedziałam. Byłam na wsi, ale to było bardzo dawno. Może miałam wtenczas tyle lat, co Jaś, może byłam trochę starsza... Jak przez mgłę pamiętam te chwile. — Ale później nigdy... nie opuszczałam miasta...

August pomyślał, że kobieta, która szła obok niego, musiała przeżyć i bardzo wiele cierpieć.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł stłumionym głosem — pytałem mimowoli. Nie chciałem być natrętnym.

Ona spojrzała mu z wdzięcznością w oczy i ze zdziwieniem. Uderzyła ją subtelność Augusta. Niczem przecież nie zdradziła się.

— Czy pan słyszał co o mnie?—zapytała po chwili naiwnie.

— Nie.

— Przypuszczałam, że siostra mówiła co panu.

— Nie, ani słowa.

— Jak to pięknie z jej strony — rzekła i w tej chwili zarumieniła się, jak dziecko.

— Polna róża wychowana w mieście — pomyślał August i spojrzał na nią z głębokim zaufaniem.

— Nie dlatego tak powiedziałam — przemówiła po chwili — żebym się czego wstydziła w swojem życiu, ale nie lubię, aby ktokolwiek mną się interesował. To rzecz nie warta zachodu, ani uwagi. Co kogo może obchodzić, czy biedronka lata po dalekich drogach, czy w kółko koło jednego krzaku. Możeby to było tylko ciekawem spostrzeżeniem dla botanika...

— Albo dla kogoś, co połamał skrzydła — rzekł August jak mógł najbardziej drewnianym głosem.

— Może...

Szli w milczeniu dalej. Jaś wyprzedził ich znacznie naprzód, ścigając żółtego motyla, który zabłąkał się w lesie. Ciepły wiatr, który szedł po nad lasem, rozmawiał z koronami jodeł i snać opowiadał im ciekawą historyę, bo głowy drzew chwiały się w jego stronę i potakiwały mu co chwila.

— Kama nosi czarny drucik na palcu — pomyślał August — aby wszyscy mogli ją pytać, co to ma znaczyć.

— Kama opowiadała mi o ucieczce Reli tak, jak opowiada się epizod z polowania na zające...

Uśmiechnął się gorzko.

Usiedli nad potokiem w cieniu olbrzymiej olchy. Jaś zarzucał z niestrudzonym zapałem wędkę, co chwila obwieszczając wujowi i pani Nali, że złapał dużą rybę, a na dowód pokazywał kamień uwiązany na końcu.

— Szczęśliwe dzieci—zauważył August—fantazyą tak wszystko dopełniają, że mają pełne złudzenia rzeczywistości.

— I nam starszym to samo się zdarza—rzekła pani Natalia.

— Z tą różnicą — odparł August — że przebudzenie jest straszne.

— Niech pan obudzi Jasia ze złudzenia, czy będzie mniej nieszczęśliwym?

— Może w pierwszej chwili, ale wkrótce zapomni, i będzie dalej łapał ryby.

— I my potrafimy to samo. Zapominamy równie dobrze, jak dzieci. Pragnienie szczęścia ubieramy po tysiąc razy w odmienne szaty i zdaje się nam, że widmo jest całkiem inne i ręce wyciągamy do niego. Czy nie tak panie?

August spojrzał na mówiącą z uwagą, zawahał się, lecz po chwili zapytał:

— Skąd pani wie o tem?

— Skąd? — odpowiedziała pani Nala — dużo miałam złudzeń w życiu, a jeszcze więcej razy budziłam się po snach okropnych.

— Tak jak ja — mimowoli rzekł August.

Oboje utkwili wzrok w swych oczach ze smutkiem i bolesnym skurczem w kącie ust.

Nad nimi toczyło się olbrzymie słońce, topiąc w swem dobroczynnem cieple pobliską porębę, skarżącą się niebiosom sterczącemi w górę zrąbanymi pniami, na zbrodnię popełnioną na niej. Siwe, błyszczące bliznami kciuki drzew wyglądały jak cmentarz nagrobków po starym borze, a dokoła nich wiło się nowe, zielone, dyszące pożądaniem życie krzewów, ziół i grzybów.

— Pani ma łzy w oczach — szepnął August.

— Ot tak, przywidzenie.

Taka bolesna rezygnacya wiała z jej słów, że August nie wiedział przez chwilę, czy podjąć na nowo rozmowę i uszanować milczeniem jej łzy, czy szukać w niej kogoś, z kim mógłby dużo mówić, bo ten ktoś cierpiał tak jak on, a może daleko bardziej...

— Pani sądzi pewnie, że jestem jednym z tych, którzy lubią się tylko bawić na świecie, że jestem może panem o szerokich skrzydłach, który lubi karmić się cudzym kosztem, aby po chwili odlecieć dalej i dalej, panem o instynktach pasożyta — rzekł z gorzkim przekąsem.

— Nie, nie, — zaprzeczyła żywo — od pierwszej chwili pozyskał mnie pan dla siebie. Mówię to, choć to rzecz całkiem obojętna dla pana, bo nie chcę aby mnie pan źle zrozumiał. Uderzyła mnie pańska dobroć i subtelność. A z tem tak rzadko my kobiety spotykamy się wśród mężczyzn. Tak rzadko mężczyzna i kobieta zbliżają się do siebie bezinteresownie — tak rzadko mówią ze sobą tylko ich dusze a nie... instynkty...

Pani Natalia utkwiła przed siebie wzrok. Rozszerzone tęczówki jej ócz świeciły w cieniu olchy silnym blaskiem.

August patrzał na nią z szacunkiem. Te same myśli przebiegły mu przed chwilą przez głowę.

— Ufa mi pani? — zapytał nieśmiało.

— Tak, ufam, — wyciągnęła do niego rękę z gestem przyjaznym, serdecznym.

— Jak to dobrze się stało, że przyjechałem do Mięckowic. Dużo, dużo będziemy mieli sobie do powiedzenia.

— Jestem tutaj nauczycielką Jasia — odezwała się pani Nala poważnie, ale bez cienia wymówki.

— Ale pozostała za panią przeszłość. Ta przecież do pani należy. Tej przecież nie potrzebuje się pani wyzbywać na rzecz obowiązku. Do niej wolno pani wracać.

— Moja przeszłość? — rzekła pani Natalia — doprawdy jestem dziś tak jak bez przeszłości, bo nic mi po niej nie pozostało, zgoła nic. Przyszłam tutaj, nie pozostawiwszy za sobą nic, coby mnie wiązało ze światem. Takie kobiety, jak ja, lubią wstępować do klasztorów, ale dla mnie klasztorem najlepszym będą Mięckowice. Kocham pracę. To nie moja zasługa. O bynajmniej. Taką mam już naturę.

Jaś zapędził się za rybami daleko w dół strumienia. Pani Nala niespokojnie śledziła jego ruchy. Kiedy spostrzegła, że malec biegnie nazad, wymachując wędką, zerwała się z trawnika i podbiegła do niego.

Jaś krzyczał coś z daleka, ale dopiero kiedy odetchnął, dowiedzieli się od niego, że złapał dwie ryby. Jedną przedstawiał kamień, drugą wodorost zielony, który przyczepił się do sznurka.

— Pokażę mamusi! pokażę mamusi! — wykrzykiwał rozradowany.

— A co zaniesiesz tatusiowi? — rzekł umyślnie August.

— Prawda, muszę jeszcze złapać dla tatusia takiego samego pstrąga. Niech wuj dobrze pilnuje tę rybę, żeby mi nie uciekła— to mówiąc, wręczył Augustowi wodorost z dumą wielkiego lorda, a do pani Nali nachylił się do ucha i szepnął — pani Nalo, proszę pilnować wuja, żeby mi wuj nie zjadł pstrąga. Wuj jest bardzo łakomym rozbójnikiem.

Oboje wybuchnęli serdecznym śmiechem.

— Przywiązałam się tak do tego dzieciaka, jak do własnego syna — rzekła z uśmiechem do Augusta.

— Czy pani ma rodzinę daleko stąd? — zapytał.

Po twarzy jej przeleciał jakiś cień bolesny, usta jej zadrżały.

— O tak, bardzo daleko... nie na tym świecie.

— Wszyscy? — zagadnął przerażony własną niezgrabnością.

— Wszyscy — brzmiała odpowiedź.

August wziął ją nagle za rękę i pocałował. Nie wiedział sam dlaczego to zrobił, ale nie umiał inaczej wyrazić swego

współczucia w tej chwili. Ujęła go jej wielka prostota i jej nieszczęście.

— Utraciłem Kamę — pomyślał — ale mam jeszcze ojca, Michasię i jej męża. Kto powiada, że utracił wszystkich, musiał stać nad taką bezdnią męki, że dziw, iż żyje. Gdybym utracił Michasię, Jasia i ojca? — krew zbiegła mu do serca; ktoś ujął mu skronie i czoło w lodowe palce.

Pani Natalia spojrzała na niego przestraszona. Ten niespodziewany pocałunek zabolał ją bardzo. Nie dała żadnego powodu do tego, aby ją w ten sposób upokarzano. Rumieniec silny przebiegł po jej czole, twarzy i szyi i zniknął. Była blada, nie wiedziała co począć.

Chciała wstać i krzyknąć na Jasia, aby wracał do domu.

— Niech mnie pani zechce zrozumieć — rzekł August. Nie umiem panować nad sobą. Jestem rozstrojony. Przeżyłem w tych dniach takie tortury, że doprawdy... przecież to straszne, co mi pani powiedziała. W pierwszej chwili nie zastanawiałem się nad tem, co robię. Poszedłem za pierwszym odruchem wzruszenia. Kto sam cierpi, tak łatwo umie się zżyć z podobną mu istotą, że zapomina o granicach towarzyskich... Pani mi przebaczy. Uczyniłem to bez celu... Los chciał, że właśnie panią spotkałem tu... Może moje roszczenia są dzikie, ale jeżeli nie wydadzą się takiemi pani, to proszę, bądźmy przyjaciółmi.

Prosił pokornie wzrokiem. Głos mu zadrżał i załamał się na ostatniem słowie. Żądał za dużo i za prędko. Schylił głowę, bo chciał uniknąć jej wzroku, aby nie wyczytała w jego oczach uciekającego wstydu w głąb najtajniejszą duszy.

— Przyjaciółmi? — zapytała po chwili smutnym głosem, — jakież wielkie słowo pan powiedział. Boję się nawet myśleć o tem, że w mojem życiu mogłabym kogoś nazwać jeszcze moim przyjacielem... Wątpię, czy cośkolwiek z mej strony mogłabym włożyć w to uczucie. Jestem taka dziś biedna, tak mało wrażliwa...

— Ale spokojna — rzekł August, czepiając się jej słów, jak rozbitek czepia się roztrzaskanych desek szalupy, byle ocalić życie. Sam nie zdawał sobie sprawy, dlaczego tak nalegał i prosił, pociągał go kontrast bezgraniczny, jaki widział między Kamą a tą nową, nieznajomą kobietą.

— Pan może wyobraża sobie — odezwała się nakoniec — że jestem bohaterką jakiej wstrząsającej tragedyi, a ja jestem sobie ot taką jedną z poszarpanych nici, które życie targa przy przędziwie codziennem. Takie nitki żyją zwykle życiem zadepta-

nych traw, co nie przedstawia znowu żadnego powabu, ani dramatyczności.

August zapatrzony w warczący pod jego nogami potok dojrzał w pianie rozbijający się o skalisty brzeg twarz ironiczną Kamy. Przeniósł wzrok mimowoli na panią Nalę i zdziwił się, że jej twarz wydawała mu się bardziej znajomą i droższą niż tamta, za którą niedawno jeszcze szalał.

— Gdyby pani wiedziała, że to może być dla mnie ratunkiem, gdyby pani wiedziała! — szepnął. Wiem, że jestem dla pani człowiekiem obcym, którego raczej powinna pani podejrzewać jak mu ufać, ale czyż w życiu nie może być wyjątków...

— Ratunkiem — powtarzała sobie w myśli pani Nala — i gniew obudził się w niej na siebie samą, że mogła tak długo nad kimś się pastwić.

— Gdybyś mogła mu w czemkolwiek pomódz, — wzruszenie szeptało w jej sercu, bijąc przyśpieszonym pulsem — gdybyś mogła!

— Nie wiem — rzekła wreszcie przestraszona — czy zrozumiem pana. Słyszałam dużo o panu od pani Michaliny. Jestem bardzo prosta kobieta. Mogę współczuć, ale czy zrozumiem? czy ja potrafię zrozumieć pana? Pan jest głębszym umysłem — ja zaś przyzwyczaiłam się do pracy mrówki. Mogę patrzeć z drżeniem serca, jak motyl robi zawrotne łuki w powietrzu, jak kąpie się w słońcu, lub walczy z wiatrem, ale czy mrówka zdoła zrozumieć, dlaczego motyl zakochany jest w takich właśnie lotach, a nie innych? Boję się, że mówię nie jasno, ale ja chcę być szczerą. Mnie wstyd poprostu, że człowiek pokroju pana...

Zbladła i przestała mówić.

August wyciągnął do niej rękę, w której spoczęła jej drobna dłoń z przestrachem. Oboje spojrzeli mimowoli w górę, gdzie słońce zawisło na rostrzępionym wachlarzu jodły i ogniste strugi przelewało przez czarne igły gałęzi.

— Przedziera się ku nam szczęście — rzekł August podnieconym głosem. Radość błysnęła mu w oczach.

Ręka jej zadrżała i wysunęła się z jego dłoni chłodna, jak lód.

— Widzi pan, jaki pan zrobił zły wybór. Rozejdziemy się przy pierwszej sposobności. Pan marzy o szczęściu, pan tęskni do szczęścia całą duszą, a ja nie wiem poprostu, co to jest szczęście — nie chcę nawet z niem się spotkać, bo zawsze wtenczas, kiedy myślę o czemś podobnem, przekonuję się, że już uciekło odemnie...

— Kto chce, musi je znaleźć, — rzekł z mocą. Cóż z tego że się raz upadnie, lub drugi i trzeci? Kto uporczywie umie po-

żądać, posiędzie je nakoniec. Tak pani Natalio. Dźwignią mojej duszy jest gorące pożądanie szczęścia. Nie mówię o tem banalnem, płynącem z najłatwiejszych uciech, ale o tem wyższem, które płynie z przeświadczenia, że nie my jesteśmy niewolnikami chwili, ale że chwila jest naszym niewolnikiem i idzie w ślad za naszemi uczuciami i czynami.

— A tak — szepnęła pani Natalia.

— Jakby to było ogromnie dobrze — mówił dalej August, czując rozpalający się w swojej piersi ogień entuzyazmu — gdybym mógł iść, jak to słońce gorejące między ludzi i rzucić między nich słowa nowych prawd!... pani Natalio, pani Natalio, gdybym mógł...

— A więc weź pan tę wiarę z siebie, a więc stań się pan niewolnikiem swoich idei, zamknij oczy na wszystko i głoś to, co czujesz i ucz jak trzeba czynić, aby życie innem było jak jest, aby przestało być zmorą, która wyżera mózgi i staje się jednem niezaspokojonem pożądaniem bez końca od kolebki do grobu — ucz, że inaczej powinno być i jak powinno być.

August stał z rozpalonemi oczami, słuchał jej słów, jak grającej muzyki, drżał, bo mu się śniły rozpięte skrzydła...

— O gdybyż umiała mówić tak długo! póty, ażby zerwała się ta moc, co tłukła w jego piersi! o, gdybyż wzięła go za rękę i powiedziała mu: chodźmy... razem... nie opuszczę cię... będę szeptała za tobą bezustannie, po co iść masz, jaką rzecz czynić masz...

Tak myślał i nieruchomy stał, zasłuchany w głos wewnętrzny.

Opuścił głowę.

Spojrzała na niego z boleścią.

— Entuzyasta bez czynu — pomyślała.

A on rzekł:

— Rozumie mnie pani teraz. Zrywam się do czegoś, co rozpala mi duszę, a kiedy chcę się wprządz w jarzmo i orać rolę i zasiewać ziarno, niemoc przykuwa mnie do miejsca. Nie mam wiary w to, co chcę czynić, brak mi sił do przelania w czyn własnej idei... Przecież z takiem podłem życiem warto raz skończyć.

Pani Natalia ściągnęła brwi i pomyślała:

— Komedyant.

— Pani już mnie oceniła. Wiem. We wzroku pani wyczytałem słowo: komedyant. Hahaha. Może tak nawet jest. Może ja sam się łudzę co do mojej wartości istotnej. Może te wszystkie wściekłe burze, które mi drą duszę na sztuki, to wyskoki fi-

lozoficzne nastrojonego pajaca. Hahaha... niech pani poczeka. Zamiast apostołować, zadeklamuję pani coś wesołego, proszę posłuchać:

„Panienko nadobna,
Jest chwila sposobna,
Wiatr płacze i dzwoni
Cichutko w ustroni —
Jak łzy!
Przez okno, przez pole,
Przez zboża, kąkole
Leć żywo z buziakiem,
On siedzi za krzakiem
I drży...

— Hahaha, podoba się pani? ciąg dalszy taki...

Pani Natalia zerwała się z kamienia, na którym siedziała, podeszła ku niemu, spojrzała mu ze wzgardą w oczy i rzekła:

— Niech pan zamilknie. Prosił mnie pan, abym była pańską przyjaciółką. Dla mnie to, co pan teraz robi jest obelgą. Za dużo cierpiałam na świecie, aby lubować się w arlekinadzie.

August spuścił oczy i ciężko oddychał.

A ona mówiła dalej.

— Tu jestem od kilku tygodni. A wie pan dlaczego? bo szukam miejsca zaczepienia dla siebie. Los okradł mnie ze wszystkiego, a ja pomimo to, zaczynam na nowo... Czy pan to rozumie?... zaczynam na nowo żyć.

August zbladł. Słowa jej zapadły się w głąb jego jestestwa, jak zimny o szalonej sile prąd górskiego potoku. Czuł ból bicia — ale czuł zarazem, że zdrowie mu wraca.

— Miałam ojca, który dnia jednego wygrał wielki los. Miał majątek, ale ta wygrana nie dała mu już spokoju — rozbudziła w nim chciwość gracza. W kilka miesięcy później, kiedy siedziało nas troje dzieci z matką przy stole na wsi — miałam wtenczas lat cztery lub pięć — otrzymaliśmy telegram z zawiadomieniem, że ojciec w Wiedniu odebrał sobie życie, bo stracił wszystko. Wyrzucono nas ze wsi, matkę, która całe życie była dzieckiem i która zapadała coraz silniej na czarną melancholię i nas troje. Moja starsza siostra utrzymywała nas w mieście z lekcyi muzyki. Mieszkaliśmy na poddaszu — jak ja ją kochałam! Ale takie życie wieść, tak się bić przez życie, to nie uchodzi bezkarnie. Kiedy już miałam lat szesnaście, odeszła od nas nazawsze.

August z wysiłkiem oparł się o drzewo.

— Na mnie przyszła kolej. Byłam najstarszą. Umiałam szyć. Mnie już było lżej. Miałam utrzymać tylko matkę i tylko młodszą siostrę. Z jaką rozkoszą pracowałam dla nich. Ale przyszedł człowiek, który powiedział, że mi da szczęście większe od tej pracy... że ze mną weźmie matkę i moją siostrę. Nie chciałam, jak bardzo nie chciałam! Matka mówiła: bierz szczęście w ręce, bierz je. Wzięłam...

— Przestań pani, przestań.

— Nie. Musisz pan wysłuchać wszystkiego. Wzięłam to szczęście. To był człowiek, któremu tylko podobały się moje wdzięki, człowiek, który nic nie wiedział, co to jest bić się przez życie. Mnie nie pozwalał pracować, bo się tego wstydził. Utrzymać zaś mnie, matkę i siostrę, było mu za ciężko. Uciekłam od niego ze swojemi. Odszukał mnie, kazał wracać. Zaklęłam go na wszystko, aby nas zostawił swojemu losowi. Nie ustąpił. Poczęło się piekło codziennych walk o chleb, o wstyd i znowu o wstyd i znowu o chleb. Powiedziałam matce, że musimy uciekać i że nigdy już nie wrócimy do niego. Chciałam dostać miejsce nauczycielki ludowej w jakim zapadłym kącie. Przyrzeczono mi tę posadę. Szczęście uśmiechnęło mi się znowu. Kiedy wróciłam do domu, znalazłam dwa trupy, matkę i najmłodszą siostrzyczkę. Matka otruła ją i siebie, aby mnie usunąć się z drogi, mnie, która kochałam je do szaleństwa. On jednak powinien był czuć się szczęśliwym. Ale to dziwny był człowiek. Wziął sobie to do serca, wmówił w siebie, że to przez niego się stało i tak mi ginął w oczach — wstydził się ludzi, nazwiska swojego — ginął mi w oczach i poszedł za niemi. Zostałam sama, wolna — mój Boże — jaka wolna!

Drżały jej wargi. Była blada jak płótno.

Szepnęła:

— Może teraz zadeklamuje mi pan co wesołego.

August spojrzał na nią z rozpaczą.

*

* *

Przez cały wieczór błąkał się po polach. Z miejsca na miejsce przeganiała go gorączka, która paliła mu serce. Co chwila, jak ćma leciał myślami do płonącej lampy bezlitośnej refleksyi i z jękiem kurczył się znowu. Rany paliły go...

Czasem stawał na skraju poręby lub nad potokiem i chciał krzyczeć, że krzywda dzieje się na świecie, krzywda wołająca o pomstę do nieba. On jest syty, on ma majątek, on może od bólu i od wściekłości swojej uciekać z jednego końca Europy na drugi, on jeżeli cierpi, to tylko przez zbytek swobody, przez nadmiar wrażliwości, przez chorobliwość fantazyi — ale inni? Ci inni cierpią całkiem inaczej, cierpią do bólu kości i aż do wrzenia krwi serdecznej.

— Natalia! — ile słów, tyle cierpienia.

— A on? ile słów, tyle czczego uniesienia i patosu.

— Czyż może być podlejszy kontrast — myślał — jak nas dwoje? Czem ja jestem obok niej? Całą zewnętrznością człowiekiem wyższym od niej — ale w istocie rzeczy wychuchanym zlepkiem nerwów, któryby potargał się na strzępy, przeżywszy jedną setną część tego, co ona przeżyła.

Rozkosz wyszydzenia siebie samego i unicestwienia opanowało go do szczętu. Z nienawiścią przypominał sobie, jak tu po tych samych polach chodził przed dwoma miesiącami z pogodą sytego Epikurejczyka, który na każdą zawiłość życia miał cynicznie filozoficzną odpowiedź i który z poza parawanu przyjemnych wrażeń wydawał sądy o ludzkości, bo nazywał ludzkością garść podobnych istot, jak on.

— Psie, przeklęte moje życie — krzyk wydzierał mu się z duszy — ułudy, kapryśne uniesienia, subtelny melodramat!

Napadała go dzika chęć wytarzania się w ostach lub gnania przez krzaki tarniny. Możeby ból fizyczny zrównoważył w nim wybuchający płomieniami ferment duszy.

Nigdzie nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. Szum drzew w lesie wydawał mu się dzikim jękiem głodnych, bezdomnych sierot, podeptanych istot, modlitwą za konających bez ratunku. Rozgrzana wyobraźnia podsuwała mu przeraźliwe słowa pod ten chaos szeptów, mamroczeń, skrzypów i zawodzeń.

Wszędzie dokoła niego las i to morze rozpłakanych zgrzytów.

— Gdyby ten las był lasem ludzi takich jak Natalia — gdybym wśród nich znalazł się tak, jak tu wśród tych buków i olch i jodeł — gdyby zwiesili nademną ręce tak jak ten grab...

— Uchodzić — uchodzić stąd, bo uwierzę, że tak jest...

— Słyszę, co mówią —

— Patrzą na mnie wszyscy...

— Dotykają się palcami moich włosów — włosy stanęły mi dębem — uciekać — moje nerwy uciekają.

— Przecież to fantazya, przecież to moja własna fantazya.

— Uciekać — uciekać.

Jak dziki zwierz, gnany przez naganką, dygocząc na całem ciele przedzierał się przez podszycie lasu, straciwszy ścieżkę i kierując się tylko za blaskiem wieczoru, który sączył się przez gałęzie.

— Ha, nareszcie potok — szepnął, kiedy owiało go zimne powietrze wody.

Czuł, że żadna siła nie zdołałaby go zmusić, aby oglądnął się poza siebie w las, gdzie rozhulały się widma jego fantazyi.

— Nie mógłbym spojrzeć im w oczy, jak nie mogłem spojrzeć w oczy Natalii... — pomyślał.

Po wilgotnym, ciemnym błękicie płynął księżyc błyszczący spokojnie, jak polerowana tarcza. Cała dolina ucichła pijąc niebieskie światło nocy spragnionemi źdźbłami traw i ziół, szerokiemi liściami drzew, igłami sosen, porami pooranej ziemi i białawemi cielskami skał.

Poza potokiem dostrzegł wyniosłą werandę dworu mięckowskiego, zbudowaną na piętrze, na której płonęła lampa i migały cienie ludzkie. Daleko za dworem, w dół potoku, błyskały drobne światełka wsi.

Od lasu szły krzyki i nawoływania wichru, grającego na gałęziach. Hałas tajemniczy rósł i chwytał Augusta za włosy.

— Uciekać do ludzi — podszepnął mu głos wewnętrzny.

— Idą za tobą — powiedziały mu nerwy.

Rzucił się znowu do ucieczki. Siłą woli chciał opanować siebie, ale napróżno. Światło dworu przyciągało go, jak magnes. Tam tylko będzie mógł przyjść do siebie. Byle niezostać sam na sam z nocą i ze sobą.

Po kamieniach oślizłych, wystających z wody, przeszedł na drugą stronę potoku i brzegiem podążał szybko do dworu.

Za nim szło wycie potoku i gwar lasu.

— Gdybym wytężył całą siłę woli, mógłbym stanąć i odwrócić się — zachęcał sam siebie.

— Zemdlałbyś — jakiś szept przeciskał mu się przez gardło.

Przez łąkę, na której pasły zię ciemne sylwetki koni dostał się do ogrodu, a stamtąd do sieni dworu.

Odetchnął.

Wszyscy szli już spać.

Tylko Michasia czytała książkę na werandzie, czekając na brata.

August usiadł obok niej bez słowa. Głowę ukrył w dłoniach.

— Gustek — rzekła po chwili Michasia — czy zapomniałeś zupełnie o mnie?

— Pani Natalia wróciła? — odezwał się.

— Już od kilku godzin.

— Nie mówmy lepiej, nie mówmy lepiej — szepnął zmęczonym głosem.

Michasia podeszła do niego, pocałowała go w głowę, pogładziła mu włosy, a potem stanęła przy słupie werandy i patrzyła w noc.

Mleczne, białe, okrągłe światło lampy płonęło na stole—przez brzegi werandy przelewała się mroczna, niebieskawa ciemność nocy.

— Michasiu — mówił powoli — nie znam życia. Boję się go. Patrz co się teraz ze mną dzieje.

— Gustek — odezwała się, łykając łzy, co spływały jej do gardła — widzę, że jesteś bardzo nieszczęśliwy, ale czy tylko ty jeden na świecie?

— Kazałaś mi patrzeć na świat przez pryzmat poezyi. Odsuwałaś odemnie wszystko to, co jest nędzą, męką i krzywdą. Dziś zapóźno, abym nauczył się trzeźwo patrzeć. Jestem przeczulony. Jak piłka — mówił dalej — odbijam się od jednego wrażenia aby wpaść na drugie i odbiwszy się od tego znowu wpaść na inne i tak bez końca. Jaki to obrót weźmie — nie wiem.

— Gustek, nie mów, nie mów. Rozumiem ciebie, ale lepiej, jak jutro lub za kilka dni powiesz mi wszystko. O nic ciebie nie pytam. Nie chcę nic wiedzieć. Usłuchaj mnie.

— Czekaj — przerwał jej gniewnie — nie wiesz sama, o co mi chodzi. Do dyabła z romansami i Kamą. Twój służący otrzepał ze mnie ostatni kurz po tej nadmorskiej idylli.

— Więc co? — spytała zdumiona.

— To — rzekł wstając — że ty i ojciec wysilaliście się na to, aby mnie wychować jak subtelnego pajaca, a nie jak człowieka. To, żeście mnie oprowadzali po muzeach, galeryach, kościołach, dawaliście mi w ręce filigranowo twory muz, a nie pokazywaliście mi szpitalów, grabarni, przytułków — to wreszcie, że rozniecaliście we mnie ambicyę bohaterstwa, a nie daliście mi miecza ani tarczy do ręki, to, że przez was i przez siebie i przez

całe moje otoczenie jestem niczem, a mogłem być czemś... Tak kochana Michasiu.

Patrzyła na niego oczami, w których wisiały ciężkie łzy. Wargi jej drgały, ale słów nie mogła znaleźć, aby się obronić.

— Jesteś niesprawiedliwy — szepnęła.

— Nie mów mi nic o sprawiedliwości — wołał podnieconym głosem — bo na całym świecie niema sprawiedliwości. Sprawiedliwość mamy na pokaz, ale nie na codzienny użytek. To, co my nazywamy sprawiedliwością, to przypadek. Postanowiłem skończyć raz z tem wszystkiem, co nazywa się delikatnością, piękną formą, subtelnem kłamstwem, wszechwygodnem niedomówieniem. We mnie wszystko krzyczy, szlocha — nie mam przeto ani czasu, ani ochoty, aby być kulturalnie sztucznym. Zaczynam więc od ciebie, bo mnie najlepiej zrozumiesz. Chcę ci powiedzieć, że od dziś dnia będę brutalnie otwartym, że od dziś dnia przestanę pisywać listy pełne frazeologii i zacznę milczeć — że ucieknę od was i że nie wiem kiedy wrócę. To jedno może mnie obroni przed tem, abym sobie w łeb nie palnął.

Puścił jej ręce i nie patrząc jej w oczy, zeszedł ciężkim krokiem na dół.

Michasia stała jak przykuta do miejsca, przepojona bólem i żalem. Czuła, że z Augustem stało się coś dziwnego, ale pojąć nie mogła co. Rozumiała tylko, że był rozdrażniony i że ani jednem słowem, ani ruchem nie powinna mu się sprzeciwiać. Ale myśl, że utraciła przyjaźń brata rwała jej duszę na drobniuchne, bolesne cząstki.

Kiedy pani Natalia dowiedziała się o nagłym wyjeździe Augusta, długo w noc nie mogła zasnąć. Czuła, że mimowoli ona przyczyniła się do tego. Robiła sobie wyrzuty za niezręczność i zbytnią otwartość. Najwięcej bolał ją smutek Michasi. Nie miała siły pożegnać się z Augustem, bo bała się, że nie będzie umiała być dostatecznie obojętną. Bądź co bądź żal jej było, że traciła towarzystwo człowieka, który wydawał się być niepospolitym. Słyszała zajeżdżający powóz, potem kroki schodzących, turkot kół i wszystko ucichło.

— Odjechał w świat — pomyślała.

I poczęła sobie wyobrażać drogę, po której będzie musiał jechać.

— Gościniec równy, jak stół, biały od światła księżyca. Cienie przydrożnych drzew przecinają co chwila jadących... Zimny wiatr wieje mu w oczy — co za rozkosz.

Skurczyła się w łóżku.

- Droga wpada w wąwóz, po obu stronach ściany skaliste. Wierzchem rośnie rząd okropnych topoli. Te topole mają kształt olbrzymich cyprysów — niedobrze jechać taką drogą...

Zimno ją obeszło. Jawa kojarzyła się ze snem.

- Cyprysy łączą się wierzchołkami ze sobą. Straszne sklepienie wisi nad nim. Droga spada coraz głębiej, niżej, w jakąś otchłań bezdenną. Konie zlękły się cyprysów i gnają, jak szalone, w dół. Księżyc uciekł poza przeraźliwe, wysokie skały. Lecą w noc — w dół... Ratujcie go — krzyknęła i przebudziła się z drzemki.

D-r T. Konczyński.

# Wpływ strejków

## na socyalizm państwowy.

Strejki kolejowe i pocztowo-telegraficzne, których jesteśmy świadkami i ofiarami, są to zjawiska historycznego znaczenia nietylko przez korzyści i straty, jakie przyniosły, nietylko przez skutki polityczne i ekonomiczne, jakie wywołały, ale i przez doświadczenie życiowe, tudzież dane faktyczne, które świeżo wniosły w dziedzinę nauki, i pociągnąć za sobą muszą przewrót w pojęciach teoretycznych o roli państwa w gospodarstwie narodowem.

Liberalna szkoła ekonomiczna, inaczej manchesterską zwana, która w ciągu zeszłego stulecia zajmowała dominujące stanowisko w nauce ekonomii politycznej, powszechnie głosiła, a w niektórych krajach, zwłaszcza w Anglii, z nader pomyślnym skutkiem stosowała zasadę indywidualnej w sprawach gospodarstwa narodowego inicyatywy i działalności, polegającą na tem, iż wszystkie przedsiębiorstwa przemysłowe, handlowe, finansowe, komunikacyjne i wszelkie inne, natury zarobkowej, należą wyłącznie do dziedziny działalności indywidualnej, iż tylko osoba prywatna: jednostka, lub stowarzyszenie, pobudzana przez interes osobisty, może z pożytkiem dla siebie i ogółu wytwarzać dobra materyalne; natomiast państwo stać winno po za obrębem wszystkich tych spraw, ograniczać się jedynie zabezpieczaniem wolności osób i mienia świata produkującego, i być, jak się charakterystycznie wyrażano, tylko producentem bezpieczeństwa.

Pod wpływem rozwoju nauki socyalistycznej, przeciwnej indywidualności, a zmierzającej do kolektywizmu, zasada powyższa w ostatnich czasach znacznie osłabła, miejsce jej, miejsce samopomocy jednostki, tudzież mniej lub więcej licznych grup, we wszystkich dziedzinach pracy ludzkiej, zajęła idea rozległej interwencyi państwa w sferę spraw ekonomicznych. Wedle socyalizmu, wszelka własność prywatna, kapitał, tkwiący w ziemi, zakładach fabrycznych i wszystkich w ogóle narzędziach produkcyi przejść winny w ręce robotników, osobistą swoją pracą do produkcyi przykładających się. Miejsce pojedyńczych właścicieli: rolników i przemysłowców zająć powinno państwo, w którego ręku ma się skupiać własność wszechrzeczy i ogniskować całkowita produkcya narodowa. Wówczas nie będzie zysków prywatnych, z których tworzą się milionowe fortuny właścicieli zakładów fabrycznych i obszarów ziemskich, a cała przewyżka wartości (Mehrwerth), pochodząca z pracy robotnika, pozostanie w ręku państwa, które rozdzielać ją będzie sprawiedliwie, każdemu według zasług i potrzeb, pomiędzy wszystkimi, ktorzy przyczyniają się do tworzenia i wzrostu bogactw.

Urzeczywistnienie ideałów socyalistycznych za pomocą stopniowego upaństwowienia środków produkcyi, najsilniej rozwijał, z właściwą Francuzom błyskotliwością myśli, Louis Blanc w swoim planie nowej organizacyi pracy, która w ustroju gospodarstwa kapitalistycznego znajduje się jakoby w stanie zupełnej dezorganizacyi. Opierając się na skonstatowanym w rozwoju przemysłu fabrycznego fakcie, iż konkurencya jest niebezpieczną bronią w ręku silniejszego, rani i zabija słabszego, że dzięki konkurencyi wielki przemysł rujnuje i wchłania w siebie przemysł drobniejszy, Blanc proponuje, ażeby państwo wystąpiło do konkurencyi w charakterze przedsiębiorcy przemysłowego, a dzięki olbrzymim kapitałom i rozległemu kredytowi, jakiemi rozporządza, będzie ono w stanie produkować na tak rozległą skalę i z takiem powodzeniem, że żaden prywatny przedsiębiorca konkurencyi z niem nie wytrzyma, i w ten sposób z biegiem czasu na gruzach przemysłu indywidualnego, państwo całą produkcyę narodową w swoim skoncentruje ręku i wytworzy kolektywne gospodarstwo narodowe.

Znaczna część teoretyków szkoły ekonomicznej, zwłaszcza niemieccy profesorowie z Adolfem Wagnerem na czele, nie godząc się bynajmniej na ostateczne wyniki socyalizmu, zaakceptowali jednak tę część programu socyalistycznego, która zmierza do upaństwowienia przemysłu, a jeszcze bardziej przypadła ona do

gustu niektórym rządom, które w teoryi tej dostrzegły wygodny środek wzmacniania władzy rządowej i wzbogacenia funduszów skarbowych.

Wiadomo, że Bismark sprzyjał Lassallowi, twórcy pokrewnego z Blanc'em planu produkcyjnych stowarzyszeń robotniczych przy pomocy funduszów państwowych, często z nim konferował, i prawdopodobnie z jego nauk korzystał w późniejszej swojej polityce ekonomicznej. Awanturnicze takie przedsięwzięcie natury ekonomicznej, jak kolonizacya niemiecka polskich prowincyj Prus, rzucające na szalę konkurencyi kilkusetmilionowy kapitał państwowy, mogło powstać tylko w głowie polityka, przejętego teoryą o wszechpotędze państwa na polu gospodarczem i zasadami socyalizmu państwowego zgniecenia silniejszym kapitałem państwowym słabszy kapitał prywatny.

W ten sposób rozwinął się w ostatnich czasach pod egidą socyalistów na katedrach (Kathedersocialisten) socyalizm państwowy, głównie w Niemczech i Rosyi. Poczta już od dawnych czasów należała do regalij państwowych, nowoczesny zaś socyalizm państwowy zaczął od skupywania i budowania dróg żelaznych, i w krótkim czasie rządy Niemiec i Rosyi stały się największymi przedsiębiorcami kolejowymi; — za tem poszły rozmaite monopole, jak wódczany i tabaczny, w dalszym ciągu zaczęto zakładać na wielką skalę warsztaty rządowe, głównie dla potrzeb wojska i marynarki, tworzyć instytucye kredytowe, jak banki: państwowy, szlachecki i włościański, wreszcie instytucye ubezpieczeń, jak niemiecką asekuracyę robotników i t. d. — a idąc ciągle po tej drodze państwa zbliżały się coraz bardziej do urzeczywistnienia programu socyalistycznego, jakkolwiek tylko w kierunku, dogadzającym interesom rządowym, ale zawsze w duchu kolektywizmu.

*

* *

Pomijamy w tem miejscu szereg pytań, czy państwo zdolne jest za pomocą swoich urzędników, mających zapewniony byt bez względu na rezultaty przedsiębiorstwa, tak tanio i intensywnie produkować, jak osobiście interesowany w przedsiębiorstwie pry-

watny przemysłowiec; czy po opanowaniu całego rynku przez monopolistę państwowego, będącego w możności nakładać dowolne ceny, przemysł rozwijać się będzie ilościowo i jakościowo w tym stopniu, jak to się dzieje przy wolnej konkurencyi, nie dozwalającej przedsiębiorczości prywatnej ani na chwilę zdrzemnąć i na laurach spoczywać; czy, pominąwszy już nawet względy ekonomiczne, ze stanowiska socyalnego bardziej korzystną i pożądaną jest armia najemnych urzędników od zastępu samodzielnych pracowników; czy wreszcie państwo, przez kogokolwiek ono będzie reprezentowane i administrowane, skupiwszy w swym ręku olbrzymią władzę i stawszy się wyłącznym dystrybutorem dóbr ekonomicznych pomiędzy wszystkimi członkami, wchodzącymi w skład społeczeństwa, zawsze kierować się będzie tylko względami sprawiedliwości, i istotnie każdemu wydzielać będzie taką porcyę, jaka mu się wedle rzeczywistych jego zasług i potrzeb należy, na której to premisie opierają się wszystkie wnioski socyalizmu; — w obecnej chwili zajmuje nas tylko nader drobna w obec powyższych zagadnień okoliczność, iż w miarę rozwoju przez państwo działalności przedsiębiorczej, klasa robotnicza zwracać się do niego zaczyna z temi samemi żądaniami i pretensyami, jakie dotychczas stawiała przedsiębiorcy prywatnemu, że w ten sposób do walki na polu ekonomicznem, która dotychczas rozgrywała się pomiędzy kapitałem a pracą, wciągnięty zostaje rząd, dzięki czemu walka gospodarcza zamienia się w polityczną.

Żądaniom ekonomicznym, stawianym przez klasy robotnicze w kierunku polepszenia ich losu, państwo łatwiej zadość uczynić jest w stanie, aniżeli prywatny przedsiębiorca, ten ostatni bowiem wszelkie niedobory pokrywać musi z własnych swoich środków, podczas kiedy państwo deficyty, wynikające z jego przedsiębiorczości przemysłowo-handlowej, ma możność pokryć z kieszeni kontrybuentów podatkowych.

Wynikałoby z tego, że konflikty pomiędzy robotnikiem a pracodawcą są łatwiejsze do załatwienia, kiedy pracodawcą jest państwo. Tak jednak nie jest. Źródła bowiem dochodów państwowych nie są tej natury, ażeby nie dały się wyczerpać, dowodem czego są długi państwowe, w tak kolosalnych cyfrach zaciągane. Z jednej strony konjunktury przemysłowe i handlowe są tak zmienne i przewidzieć się niedające, iż każdego wogóle przedsiębiorcę do ruiny doprowadzić mogą, a najłatwiej tego, kto mało osobiście interesowany w powodzeniu przedsiębiorstwa, nie wnosi do niego całego swego czasu i całego ducha swojego, co właśnie ma miejsce u państwa, które obok interesów zarobko-

wych, ma wiele innych, nierównie ważniejszych, spraw do spełniania. Przykładów strat, jakie państwu przynieść mogą jego przedsiębiorstwa, dostarcza obficie chwila obecna, kiedy przemysły tak mało podlegające konjunkturom, i mające przytem charakter monopolistyczny, jak koleje żelazne, poczty i telegrafy, popadły wskutek strejków w stan stagnacyi i rozprzężenia. Z drugiej strony i siła podatkowa narodu może na dłuższy lub krótszy czas znacznie osłabnąć, jak to również w Rosyi i u nas obecnie ma miejsce. W takich chwilach, kiedy rządowi z trudnością przychodzi koniec z końcem związać dla zaspokojenia naturalnych i koniecznych potrzeb państwowych, przybywa mu nie lada kłopot wydostania z wyczerpanych kieszeni płatników podatkowych ostatniego grosza dla pokrycia ogromnych strat, wynikłych z lichych interesów, które jak prywatnego, tak i państwowego aferzystę do bankructwa doprowadzić mogą.

W miarę wkładu przez państwo większych kapitałów w przedsiębiorstwa przemysłowo-handlowe, powiększają się, z natury rzeczy, w budżecie państwowym preliminowane pozycye dochodów, przynoszonych przez też przedsiębiorstwa; w budżecie państwa Rosyjskiego dochód z monopolu wódczanego zajmuje nader ważną pozycyę. Strejki, jak widzieliśmy, mogą znacznie wpłynąć na zmniejszenie przewidzianych w budżecie dochodów z przedsiębiorstw, które to dochody przedewszystkiem stale, w cyfrze nie mogącej uledz redukcyi, muszą być przeznaczane na oprocentowanie i amortyzowanie wniesionych do przedsiębiorstw kapitałów, a dopiero pozostała nadwyżka może pójść na zaspokojenie istotnych potrzeb państwowych; jeżeli przedsiębiorstwa te prowadzone są na wielką skalę, kapitały w nich inwestowane są znaczne i przewidziane z nich dochody dochodzą do wielkich rozmiarów,—to deficyty budżetowe, spowodowane przez bezrobocia, mogą nietylko nie dać żadnego dochodu netto z przedsiębiorstw, ale nie starczyć na procent i amortyzacyę, które z konieczności czerpać trzeba z innych pozycyj budżetowych, a tem samem przyczynić się mogą do zachwiania równowagi budżetowej i paraliżowania prawidłowych funkcyj machiny państwowej.

Strejki kolejowe i pocztowo-telegraficzne są tedy ważną przestrogą, na jakie straty finansowe narażone być może państwo w charakterze przedsiębiorcy przemysłowo-handlowego.

* * *

Ewentualność strejków i wyniknąć z nich mogących strat przyjąć musi w rachubę każdy przedsiębiorca, dla państwa zaś noszą one w swojem łonie, obok strat materyalnych, wielkie niebezpieczeństwa natury politycznej.

Od najdawniejszych czasów prowadzi się ustawiczna walka pomiędzy rządzącymi a rządzonymi o granice wolności, — rządzący chcą jej udzielić o ile można najmniej, rządzeni domagają się jej o ile można najwięcej. Walka na tem polu dostarcza dość sposobności do konfliktów, które kończą się niestety zbyt często rozlewem krwi potoków; — bolesnych tych konwulsyj społecznych należałoby ludzkości jak najwięcej oszczędzić, tymczasem rola państwa, jako przedsiębiorcy, przysparza ich przez dodanie do walki politycznej pomiędzy ludem a rządem, walki ekonomicznej pomiędzy tymże ludem, jako robotnikiem, a rządem, jako pracodawcą.

Rząd, który nie jest jednocześnie przedsiębiorcą, nie tylko niema sposobności być wciągniętym w walkę klasową, ale przeciwnie, ma możność łagodzenia tej walki i występowania w charakterze bezstronnego sędziego stron wojujących. Dowodem tego jest interwencya państwa w dziedzinie pracy dzieci i kobiet, urządzeń fabrycznych, ochraniających życie i zdrowie robotnika przy automatycznem działaniu maszyn i t. p. Tego rodzaju mieszanie się rządu w stosunki pomiędzy pracodawcą a robotnikiem nie tylko z żadnej strony na opozycyę nie natrafiło, ale przeciwnie znalazło ogólne uznanie. Z chwilą zaś kiedy rząd staje się sam przedsiębiorcą, powaga jego, jako arbitra, ustaje. Przedsiębiorcy prywatni uważają się za pokrzywdzonych przez nadzór i reglamentacyę ze strony urzędów i inspekcyj fabrycznych, od których wolny jest ich silny konkurent państwowy,— robotnicy znowu uważają, iż prawo fabryczne nie może być w stosunku do nich sprawiedliwie wykonywane, skoro sam rząd, jako przedsiębiorca przemysłowy, jest stroną interesowaną.

A komu lepiej, aniżeli państwu, przypada rola rozjemcy pomiędzy różnorodnemi interesami walczących ze sobą klas społeczeństwa, kto może mieć więcej powagi i siły w dziele łagodzenia i ukrócenia wzajemnych antagonizmów? Tymczasem państwo wstępując w roli strony wojującej na pole bitwy, zamienia ją na bellum omnium contra omnes, w której niema komu przyjąć roli pośredniczenia i pojednania, i zamiast uspokoić walkę, lub nadać jej charakter łagodniejszy, przez interwencyę swoją tylko ją zaostrza i zaognia.

Obok tego, o ile walka ekonomiczna za pomocą strejków rozgrywa się pomiędzy prywatnym przedsiębiorcą a jego robotnikami, ogół społeczeństwa, jakkolwiek nieraz silnie przez to w interesach tych poszkodowany, spogląda na walkę jako toczącą się pomiędzy osobami obcemi, może sympatyzować z jedną lub drugą stroną, ale sam jako osoba trzecia do walki się nie wtrąca, i zachowuje się względem niej biernie; z chwilą zaś kiedy stroną walczącą staje się rząd, reprezentujący ogół społeczeństwa, tenże ogół uważa się sam za stronę wojującą, w walce czynny bierze udział, solidaryzuje się ze strejkującymi, i za wszystkie skutki bezrobocia czyni odpowiedzialnym rząd, obwiniając go, jako stronę silniejszą, o złą wolę lub niedołęstwo, a skutkiem tego i sam rozmiar bezrobocia i jego wyniki nabierają większego znaczenia, aniżeli w przedsiębiorstwach prywatnych.

Przytem do wybuchu strejku istnieje daleko obfitszy materyał palny w przedsiębiorstwach państwowych, aniżeli prywatnych. W tych ostatnich bezrobocie może być wywołane ze strony robotników przez żądanie podwyższenia płacy, skrócenia dnia roboczego i inne tego rodzaju postulaty, mające na celu polepszenie bytu robotnika; w przedsiębiorstwach natomiast rządowych niezależnie od tych postulatów ekonomicznych, strejki stawiają żądania natury politycznej. W historyi strejków nie znajdujemy żadnego, któryby był tak skomplikowany i trudny do załatwienia, jak rosyjskie strejki kolejowe i pocztowo-telegraficzne. Plątały się tu sprawy najrozmaitszej natury: ekonomiczne, wolnościowe, narodowościowe, osobiste i t. p.; zaledwie zdołano się uporać z jednemi, wnet wystąpiły drugie, jedne utrudniały załatwienie drugich.

Dzięki organizacyom robotniczym, strejkujący otrzymują przez czas bezrobocia od swoich towarzyszów zasiłki z funduszów, jakie na ten cel stan robotniczy specyalnie gromadzi. Odznaczają się pod tym względem angielskie *Trades Unions*, których kasy strejkowe do znacznych dochodzą rozmiarów. O ile nie następuje wcześniejsze porozumienie pomiędzy pracodawcą a robotnikami, to z wyczerpaniem się funduszów zasiłkowych kończyć się musi bezrobocie. Inaczej w przedsiębiorstwach państwowych. Tu robotnik uważa się za rycerza, walczącego nietylko we własnym i klasowym interesie, ale w interesie i dla dobra całego ogółu, a skutkiem tego poczytuje się za uprawnionego do żądania poparcia i pomocy ze strony tegoż ogółu, a ten poczuwając się ze swej strony do obowiązku wzajemności, spieszy robotnikom z pomocą i zasila kasy strejkowe. Nie dość na tem, podczas

rosyjskiego strejku na drogach żelaznych, za przykładem pracowników kolejowych poszli robotnicy zakładów prywatnych, którzy działali z nimi w imię solidarności całego stanu czwartego; ponieważ powszechny ten strejk uważany był za wymierzony nie przeciwko pracodawcom, ale przeciwko rządowi, za środek do zdobycia wolności, przeto właściciele prywatnych zakładów, pomimo znacznych strat, jakie im strejk przyczynił, nie mogli uchylić się od płacenia strejkującym za czas, w którym fabryki były bezczynne, co się nigdy nie dzieje, kiedy strejk zamyka się w granicach sporu o warunki płacy pomiędzy robotnikami a fabrykantami. — Okoliczności powyższe składają się na to, że i czas trwania strejku przeciąga się dłużej, kiedy w grę wchodzi rząd w charakterze przedsiębiorcy.

Strejki, jako zjawisko nader często w ostatniem stuleciu się powtarzające, dały już możność zaobserwowania pewnych praw ogólniejszych, wedle których one się przejawiają; uczyniono mianowicie spostrzeżenie, że w czasach pomyślnych dla rozwoju przemysłu szanse zwycięstwa są po stronie strejkujących robotników, wówczas bowiem z jednej strony zapotrzebowanie robotnika jest większe, może on zatem podnieść cenę swej pracy, a z drugiej strony przedsiębiorca, mając obstalunki i zapewniony zbyt swej produkcyi, silnie jest zainteresowany w tem, aby zakład jego był czynny i nie doznał przerwy w robocie, staje się zatem skłonnym do ustępstw; natomiast w czasach zastoju przemysłowego klęska strejkujących robotników jest niewątpliwa, już to dla tego, że wówczas podaż pracy robotniczej jest większa, niż jej zapotrzebowanie, już też dla tego, że przedsiębiorca pracuje wtedy często bez zysku, albo nawet ze stratą, i korzystniej dla niego jest zamknąć na pewien czas fabrykę, aniżeli podwyższać cenę pracy robotnika. W Anglii w pomyślniejszych latach 1872 i 1873 na 29 strejków robotnicy odnieśli zwycięstwo w 18 razach, natomiast w niepomyślnych latach 1878 i 1879 na 121 strejków ponieśli klęskę w 116 strejkach.

Na przebieg tedy bezrobocia, o ile ono zamyka się w granicach ekonomicznych, wpływają czynniki natury również ekonomicznej; rachunek ewentualnych korzyści lub strat z jednej i drugiej strony odgrywa tu przeważną rolę. Czyż te same czynniki mogą być decydującemi wówczas, kiedy w charakterze przedsiębiorcy występuje państwo, względem którego społeczeństwo inne stawia wymagania, aniżeli względem fabrykanta płócienek lub łopat? Wszakże w wypadkach głodu, wywołanego przez klęski elementarne, państwo poczuwa się do obowiązku przychodzenia

z pomocą ludności nim dotkniętej, czyż mogłoby ono zatem patrzeć obojętnie na głód robotników własnych swych warsztatów i usprawiedliwić tę obojętność brakiem zbytu na swoje wyroby?

Właściciele np. przędzalni w Preston mogli w r. 1853 z angielską flegmą przyglądać się przez 9 i pół miesiąca nędzy 17000 ludności roboczej i doczekać się chwili, kiedy po zastawieniu i wyprzedaniu całej swej chudoby, po przebyciu wszystkich męk bezczynności i głodu, wynędzniała i wygłodzona wróciła do pracy na dawnych warunkach. Czyż z równą bezwzględnością mógłby się przyglądać tej tragedyi rząd, gdyby robotnicy ci w jego pracowali zakładach? czyż opinia publiczna byłaby równie pobłażliwą dla rządu, mającego obowiązek dbać o dobro swego ludu, jak nią była dla przedsiębiorcy prywatnego, który bądź co bądź w interesach swych kierować się musi kalkulacyą handlową, a nie względami filantropijnemi?

Czując, iż po stronie strejkujących jest sympatya ogółu, żywioły rewolucyjne nie omieszkały z tego korzystać, i bezrobocia stały się w ich ręku najdogodniejszą i najchętniej używaną bronią w walce z rządem. Dotychczasowe środki rewolucyjne jak barykady, starcia zbrojne, zeszły na plan drugi, a na front wysunięte zostały strejki. Siła ich nie w czynie, ale w bierności, a nierównie trudniej złamać bierny, aniżeli czynny opór. Bezrobocie rzadko się kończy krwi rozlewem, a natomiast tamuje cyrkulacyę krwi w żywym organizmie społecznym,— paraliżuje funkcye administracyjne i wojskowe machiny państwowej, wstrzymuje bieg handlu i przemysłu, obniża skalę ogólnego dobrobytu, rujnuje tak robotników, jak ich pracodawców, zubaża naród cały. Każda rewolucya ujemnie oddziaływa na stosunki ekonomiczne kraju, ale żadna w tym stopniu, jak rewolucya strejkowa, rozgrywająca się właśnie na terenie ekonomicznym.

A broń tę rząd sam przeciwko sobie ukuł swoim socyalizmem państwowym.

Bezrobocie, dziecię fabryki, tam zrodzone i wychowane, nie wyszłoby po za jej mury, gdyby rząd nie był wszedł do fabryki, i sam nie wyprowadził bezrobocia na szeroką arenę państwową. Proletaryat robotniczy uchwyciwszy raz za broń strejkową w walce z rządem, jako swym pracodawcą, nie złożył już jej, dopóki nie rozprawił się z tymże rządem, jako władcą jego praw, — skorzystał on ze sposobności, ażeby upiec przy jednym ogniu dwie pieczenie, załatwić swe rachunki z rządem w jednej osobie, jako przedsiębiorcą i zwierzchnikiem władzy państwowej.

Likwidacya nastąpiłaby nierównie łatwiej, gdyby istniał należyty podział pracy, gdyby mianowicie rachunki z robotnikami załatwiał pracodawca prywatny, a z obywatelami rząd.

*

* *

Celem przeciwdziałania zgubnym dla państwa następstwom ze strony strejkującego personelu urzędniczego i robotniczego w przedsiębiorstwach państwowych, podniesioną została w najnowszych pracach prawodawczych myśl zaliczania wszystkich pracujących w zakładach rządowych do grona urzędników państwowych i karania ich w tym charakterze za niewykonywanie obowiązków służbowych. W tym duchu zapadły prawa w Holandyi i Włoszech, a we Francyi znajduje się na porządku dziennym odpowiednio przygotowana ustawa.

W świeżo wydanych w Rosyi przepisach o strejkach pociągani są do odpowiedzialności kryminalnej urzędnicy i robotnicy na kolejach skarbowych lub prywatnych i wogóle w takich przedsiębiorstwach, w których przerwanie lub wstrzymanie działalności grozi bezpieczeństwu państwa, lub wytwarza możliwość nieszczęścia ogólnego. Przepisy te z innego tedy wychodzą stanowiska: nie czynią różnicy pomiędzy robotnikiem zatrudnionym w państwowych a prywatnych zakładach, lecz pomiędzy przedsiębiorstwami, w których bezrobocie może wywołać dla państwa lub społeczeństwa ogólne nieszczęście, a wszelkiemi pozostałemi przedsiębiorstwami.

Idzie tu naturalnie głównie o przedsiębiorstwa państwowe; gdyby tu w grę nie wchodziły względy fiskalne, silnie dotknięte przez strejki w przedsiębiorstwach skarbowych, tudzież powaga rządu, naruszona przez nieposłusznych urzędników i robotników państwowych, prawodawstwo rosyjskie nie zostałoby prawdopodobnie wzbogacone przepisami przeciwstrejkowemi, wydanemi pod naciskiem chwili, w widokach zażegnania srożącego się bezrobocia, z pogwałceniem zasad prawnych, socyalnych i ekonomicznych, dotychczas za niewzruszalne uznawanych.

Definicya przepisów, wedle której karani są uczestnicy strejków w przedsiębiorstwach, w których bezrobocie grozi bezpieczeństwu państwa lub społeczeństwa, wytwarza trudności w wynalezieniu granicy pomiędzy wspomnianemi przedsiębiorstwami a takiemi, w których bezrobocie skutków tych za sobą nie pociąga; stosunki bowiem społeczno-ekonomiczne stanowią taki łańcuch nawzajem ze sobą wiążących się przyczyn i skutków, iż niekiedy zepsucie się jednego pośredniego ogniwa, może cały łańcuch przerwać, i z przedsiębiorstwa na pozór bardzo niewinnego uczynić zgubne w następstwach dla państwa lub ogółu. Bierzmy modo exempli kopalnie węgla. Czy je zaliczyć do przedsiębiorstw, w których bezrobocie spowodować może nieszczęście ogólne? Nie sądzimy, ażeby interpretacya prawna mogła tak szeroko być stosowaną, a jednak bezrobocie to może wywołać brak węgla dla dróg żelaznych, a skutkiem tego i przerwę komunikacyi. Wiadomo, że nieporządki w przemyśle naftowym wstrzymały niedawno żeglugę i kursowanie pociągów na drogach żelaznych we wschodniej Rosyi. Prawo zatem o bezrobociach w przedsiębiorstwach użytku publicznego musi być rozciągnięte do kopalni węgla i przemysłu naftowego, a w dalszej konsekwencyi trudno będzie znaleźć gałęź przemysłu, do któregoby ono zastosowania nie znalazło. W ten sposób przepisy przeciwstrejkowe jeżeli nie rozciągają swej siły obowiązującej do wszystkich przedsiębiorstw, to w każdym razie do licznych ich kategoryj, nierównie liczniejszych, aniżeliby to z tekstu prawa zdawać się mogło.

W tych wszystkich zatem przedsiębiorstwach, których ogromu przewidzieć nie można, umowa o najem pracy pomiędzy robotnikiem a przedsiębiorcą przestaje na mocy powołanych przepisów być aktem wolnej woli pomiędzy dwiemi równouprawnionemi stronami kontraktującemi, a w jej miejsce wstępuje akt posłuszeństwa podwładnego względem zwierzchnika; bezrobocie przestaje być dozwolonym przez prawo środkiem wywarcia przez robotnika nacisku dla uzyskania korzystniejszych warunków umowy, który to środek służy i pracodawcy w stosunku do robotnika przez wymówienie roboty, a staje się karygodnym czynem buntowniczym ze strony podwładnego przeciwko władzy zwierzchniej.

Po zniesieniu średniowiecznego poddaństwa wszystkie prawodawstwa usunęły ze swych kodeksów pracę przymusową; każde zobowiązanie wykonania roboty, w razie niewykonania jej, pociąga za sobą tylko obowiązek wynagrodzenia spowodowanych przez to szkód i strat (art. 1142 kodeksu Napoleona), tak samo,

jak niewykonanie każdego innego zobowiązania; ustanowienie przez przepisy przeciwstrejkowe kary kryminalnej za niewykonanie roboty, stanowi krok wsteczny w prawodawstwie nowoczesnem, jest to powrót do owych czasów, kiedy to pan feudalny mógł zmuszać swych poddanych do robocizny, albo majster cechowy więzić swoją czeladź za opuszczenie warsztatu, kiedy to chłop był *glebae adscriptus*, do ziemi przytwierdzony, w ten sam sposób, jak to obecnie chce się robotnika do fabryki przytwierdzić.

Pomimo takiego gwałcenia zasady wolności pracy, stanowiącej podwalinę nowoczesnego prawodawstwa, wątpliwem jest czy ono osiągnie cel zamierzony. W normalnym biegu życia politycznego i ekonomicznego do tak radykalnych środków uciekać się niema potrzeby, w czasach zaś ogólnego podniecenia umysłów, kiedy do bezrobocia przystępują dziesiątki i setki tysięcy pracujących, jak to obecnie ma miejsce, represya prawa kryminalnego staje się bezsilną; w tłumie strejkującym znaczna jego część porzuca robotę wbrew własnej woli, już to w imię solidarności koleżeńskiej, już to pod groźbą fizyczną, lub moralną, rewolweru, lub opinii publicznej, — a gdzie człowiek działa nie pod wpływem wolnej, niewymuszonej woli, tam o poczytalności prawnej mowy być nie może i tłumami tego rodzaju przestępców niepodobna zapełniać cel więziennych.

Krótki czas istnienia tych przepisów stwierdził już niemożliwość ich stosowania odnośnie do tych strejkujących, którzy przewidziane przez te przepisy przestępstwa popełnili już po ich opublikowaniu.

A gdyby nawet przepisy przeciwstrejkowe okazały się skutecznemi i wstrzymały robotników od bezrobocia, to zachodzi pytanie, jaką to wartość ekonomiczną może mieć praca, w takich wykonywana warunkach. Strach, przymus nie są twórczemi czynnikami pracy. Doświadczenie przekonało, że najgorszym na świecie robotnikiem był zawsze niewolnik, — starożytne niewolnictwo, średniowieczne poddaństwo zniesione zostały nietylko ze względów humanitarnych, ale i ekonomicznych, — czyż o wiele wydajniejszą od niewolniczej, lub poddańczej, będzie praca robotnika, dla którego bodźcem do pracy jest groźba kary kryminalnej? a rezultatów finansowych pracy żadne przedsiębiorstwo, nie wyłączając rządowego, lekceważyć nie może.

Pocieszać się należy tem, iż przepisy przeciwstrejkowe noszą charakter tymczasowy i obowiązywać mają tylko do chwili wydania ogólnego prawa o strejkach. W czasie tego interregnum

zasadnicze i praktyczne wadliwości przepisów prawdopodobnie o tyle się uwydatnią, iż zamknięty dla nich będzie wstęp do stałego, bodajby na lepszych zasadach, zbudowanego prawa.

*

* *

Pierwsze tedy eksperymenty socyalizmu państwowego, polegającego na upaństwowieniu dróg żelaznych i innych wielkich przedsiębiorstw, wydały wyniki niezadawalające, i staną się może przykładem, odstraszającym dla wszystkich tych, którzy w ślady te wstąpić pragnęli, lub dalsze w tym kierunku postępy uczynić chcieli. Przyniosły one klęski ekonomiczne i polityczne, nie przyczyniły się do usunięcia walk klasowych, a przeciwnie jeszcze je bardziej zaostrzyły. Przepisy przeciwstrejkowe, to wysiłek dla uratowania bankrutujących przedsiębiorstw państwowych, wysiłek błędny w założeniu i bezskuteczny w wykonaniu, bo oparty na pracy przymusowej, przez naukę i praktykę potępianej, nad którą prawodawstwa europejskie dawno już przeszły do porządku dziennego. Usunięcie wszelkich ograniczeń, któremi prawa feudalne krępowały swobodę pracy i zastąpienie ich przez zupełną wolność umowy o najem pracy, z tem jedynie zastrzeżeniem, ażeby ona w interesie robotnika była ograniczona co do czasu trwania i rodzaju zajęć (art. 1780 kodeksu Napoleona), to są zdobycze szkoły ekonomicznej, której za godło służyła zasada: *laissez faire, laissez aller*; przymus pracy, przywrócenie stanowczo już usuniętych robót siłą wymuszanych, to plon nauki socyalistycznej, w której teoryach i praktyce spoczywa zawsze na dnie przymus w tej, lub innej formie.

Gorzkie doświadczenie, które przyniosły w Rosyi strejki kolejowe i pocztowo-telegraficzne, a po części i bojkot monopolu wódczanego, może w znacznym stopniu wpłynąć z jednej strony na poglądy teoretyków, a z drugiej strony na politykę rządów w sprawie upaństwowienia przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych, a tem samem strejki na tak olbrzymią skalę przez partye socyalistyczne wywoływane i przeprowadzane, zamiast zbliżyć

urzeczywistnienie programu socyalistycznego, mogą wywołać skutek wprost przeciwny zamierzonemu, przez wstrzymanie i zaniechanie upaństwowienia środków produkcyi, a zapowiedzią tego są wieści, jakoby rząd rosyjski nosił się już z zamiarem wyzbycia się niektórych ze swych przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych. Znamiennem również jest i to, że sami socyaliści placówkę tę porzucają, i taki koryfeusz szkoły, jakim jest Kautsky, uważa, że w obecnych warunkach upaństwowienie środków produkcyi pożądane jest w wyjątkowych tylko wypadkach. Jest to nowy dowód, jak kruchym się staje socyalizm, ilekroć z obłoków teoryi zstępuje na grunt praktycznego zastosowania.

J. Kirszrot-Prawnicki.

# Patryotyzm Słowackiego.

Jest to jedno z najważniejszych, a zarazem najmilszych zadań krytyka odtwarzać całość duchowego rozwoju poety na podstawie fragmentów jego ducha, jakie wyłaniają się z dzieł poszczególnych i z wypadków życia.

Pragnąłbym przyczynić się nieco do spełnienia tego zadania krytyki względem twórcy „Króla — Ducha."

Z wielostrunnej harfy jego duszy chcę wybrać strunę jedną i jej istotę, jej rozwój, jej znaczenie w poezyi Słowackiego według sił przedstawić.

Struną tą — patryotyzm Słowackiego.

## I.

O patryotyzmie poety przed rokiem 1830 nie wiele da się powiedzieć i sąd stanowczy o nim wydać trudno.

W otoczeniu młodego Słowackiego nie brak było patryotycznego tonu. Rodzina Januszewskich była rodziną szczerych patryotów. Jan Januszewski w powstaniu życie złożył ojczyźnie w ofierze, a że czyniąc to, postępował zgodnie z uczuciami rodziny, że spełniał przez to życzenie rodziców, tego dowodem słowa poety, napisane po otrzymaniu wiadomości o śmierci Jana do dziadka i babki: „Teraz możecie być dumni z waszego syna." Wrażliwy na piękno, ukochał Słowacki przyrodę ojczystą, wrażliwy na wpływy obce, z rodziny i ze szkoły krzemienieckiej czerpać mógł zarodki patryotyzmu. Nie mógł osłabiać tych wpływów ojczym poety, dr. Becu, bo ściślejszy, serdeczniejszy stosunek nigdy ich, zdaje się, nie łączył. Ale w czasie rozkwitu uczuć młodzieńczych brakowało jednego czynnika, ważnego dla rozwoju mi-

łości ojczyzny — brakowało uspołecznienia takiego, jakie zdobył Mickiewicz w gronie swoich przyjaciół.

Jest to cechą natur nerwowych i nadmiernie wrażliwych — a naturą taką był Słowacki — że uczucie potężnieje u nich dopiero wtedy, gdy silnym ciosem zostanie zranione. Wyobraźnia i wrażliwość ich za mało pokarmu znajduje w uczuciach spokojnych, rozwijających się bez przeszkody i zwraca się raczej ku tym uczuciom, które daremnie zaspokojenia się domagają. Zbyt młody, by jasny, realny cel mieć przed oczyma, oddawał się Słowacki, podniecany przez Spitznagla, nieokreślonej, wybiegającej po za świat rzeczywisty tęsknocie i powoli rozwijał w sobie żądzę nieokreślonego ideału, która stać się miała zasadniczą cechą jego indywidualności. Nieszczęśliwa miłość cień przedwczesny rzuciła na jego duszę i wytworzyła w nim poczucie pustki wewnętrznej, którą on zapełniał tem, co mu dawała literatura, dostrojona do smętnego tonu duszy, i fantazya. W świecie, jaki tworzył sobie zgorzkniały poeta, nie brak było i pierwiastków patryotycznych: myśli o walce narodowej przeciw wrogom (Mindowe), o obowiązkach względem ojczyzny (Bielecki) — ale nie wznosiły się one siłą swą ponad inne pierwiastki.

Jak u Mickiewicza, tak i u niego ton utworom młodości dało przedewszystkiem osobiste cierpienie.

Patryotyczne tony w poezyi jego miały wtedy charakter ogólnikowy; ani razu indywidualny stosunek poety do ojczyzny nie wyraził się w młodzieńczych utworach.

To też bez względu na to czy się pewne fakty z młodości Słowackiego uważa za dowody braku patryotyzmu (jak to czyni prof. Tretiak), czy też z patryotyzmu rodziny Januszewskich i z ducha szkoły krzemienieckiej wyciąga się wnioski co do patryotycznego kierunku wychowania poety — w każdym razie przypuszczać należy, że u młodego Słowackiego miłość ojczyzny nie była jeszcze uczuciem górującem.

Że przypuszczenie to jest słuszne, dowodem „Godzina myśli.“ Ów „romans życia, nieskłamany w niczem,“ nie uwzględnia wcale pierwiastku patryotycznego we właściwem tego słowa znaczeniu; podaje tylko czynnik pewien, który jako zarodek patryotyzmu mógł i musiał odegrać ważną rolę: estetyczne działanie rodzinnej przyrody na poetę.

W pamiętniku, malującym młodość Słowackiego, dwa razy tylko spotykamy patryotyczny pierwiastek: przy końcu rozdziału X, pisanego w Paryżu 20 lipca 1832 r. i przy końcu rozdziału XIII, pisanego w dwa dni później; pierwszy z ustępów tych (wrażenie

wycieczki do Tulczyna) nie daje dostatecznej podstawy do wydawania sądu o uczuciu Słowackiego, drugi dotyczy nastroju jego w Paryżu. Dopiero znacznie później wspomniał Słowacki w jednym z utworów o swym młodzieńczym patryotyzmie, mówiąc we fragmencie „Poeta i natchnienie“

. . . . . W myślach moich zamęt
Zwątpienie było, rozpacz nad ubitą
Polską... Gdzież, rzekłem, jest taki sakrament,
Coby w niej martwej chodził siłą skrytą,
Jak krew żyjąca?... taki był mój lament,
Który me oczy wnet zamienił w sito,
Siejące perły łez [1]).

## II.

W chwili wybuchu powstania Słowacki duchowo był jeszcze nieprzygotowany. Powstanie rozpaliło wprawdzie wyobraźnię jego i pobudziło go do napisania kilku utworów patryotycznych i podpisania się na „Akcie jedności;“ poeta sam jednak nie tylko w walce nie brał udziału, lecz w r. 1831 nagle opuścił Warszawę. Gdyby zachowanie się jego w czasie powstania miało być uważane za dowód braku patryotyzmu, to raczej należałoby zarzucić mu bezczynny pobyt w Warszawie, niż wyjazd, dający się łatwo wytłómaczyć czy to niechęcią chorowitego młodzieńca do walki, czy też bolesnem wrażeniem broszury Lelewela (rozdziału p. t. „Obwinienia“). Patryotyzm jego nie był jeszcze tak silny, by zwyciężyć wszelkie względy uboczne i egoistyczne.

Ale gdy Słowacki z kraju wyjechał i gdy niedługo potem szczęście opuściło powstańców i straszna katastrofa kres położyła nadziejom, wtedy to uczucie miłości ojczyzny doznało podniety, której mu dotąd brakowało, a która wobec właściwej Słowackiemu organizacyi psychicznej, zapewniła mu ciągle potężnienie; uczucie to, już dawniej zaprawione smutkiem, zostało silnie zranione, stało się uczuciem nawskroś bolesnem i to potrójnie bolesnem: z powodu opuszczenia kraju, z powodu poczucia osobistej winy, wreszcie z powodu nieszczęść ojczyzny.

Na obczyźnie budzi się w poecie tęsknota za krajem; i on mógł wyrzec słowa, któremi Mickiewicz rozpoczął „Tadeusza.“

[1]) Por.: Grabowski, Młodość Słowackiego („Bibl. Warsz.“ 1905, str. 25).

Tęsknił za ojczyzną jako artysta i jako Polak: „Mamo kochana,“ — pisał—„śliczny kraj opuściłem i może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić“ (17 marca 1831 r.) [1]) „Wasz kraj tak mi się pięknym teraz wydaje, kiedy nie mam prawie nadziei widzieć go kiedy.“ (24 stycznia 1832 r.) [2])

„Wierzby płaczące na brzegach Sekwany“ smutne były dla tęskniącego według słów wiersza p. t. „Paryż“ „jak wierzby Eufratu.“ A silniej jeszcze wyraził tęsknotę we francuskim tekście wiersza tego, wpisanym do pamiętnika Kory Pinard:

Et je m'égare au loin, je rêve sous les ombres
Du sapin murmurant dans nos tristes forêts
Dans nos champs sablonneux, où les sombres genêts
Roulent leurs vagues d'or. Oh! qui voudrait me suivre
Parmis ces verts bosquets, étincelants de givre,
Où le vent fait neiger des cerisiers fleuris,
Ces fleurs, dont sur la terre il sème les débris
Et maintenant! tandis que les flots de la vie
M'emportent sans retour au loin de ma patrie,
J'oubliai, je le crains, au moment de partir
De la bien regarder pour m'en ressouvenir.

Wyrzuty sumienia z powodu wyjazdu odczuwał Słowacki zaraz po opuszczeniu kraju: „Zdawało mi się, że uciekam i teraz jeszcze często kłócę się z mojem sumieniem“ (17 marca 1831 r.). 6 lipca 1831 r. pisał, że „nie jest godzien, aby kto o nim pamiętał i jeszcze go kochał.“

Chwilowo tylko przytłumiła przykre uczucie powierzona mu misya dyplomatyczna. „Mogę teraz doznawać przyjemności, bo zrobiłem rzecz wielkiej wagi“ — pisał z Londynu 6 sierpnia i pod chwilowem wrażeniem powodzenia tego twierdził: „Rodzina nasza (t. j. Polska) będzie zdrowa.“

Ale rychło wróciło poczucie winy i spotęgowało się jeszcze, gdy Słowacki musiał swój wyjazd porównać z postępowaniem wuja, Jana Januszewskiego. To też w liście z dnia 24 stycznia 1832 r. mówi: „Jeżeli umarł, zazdroszczę mu,“ a do dziadka i babki pisze: „Teraz możecie być dumni z waszego syna, który tak skończył, jakbym ja kiedyś życie chciał zakończyć, i przyjdzie

[1]) Daty, podawane przy cytatach oznaczają list do matki z dnia wymienionego.

[2]) Podobnie 3 stycznia 1834 r. „O gdybyście wiedzieli, jak mi się nasz kraj pięknym teraz wydaje.“

jeszcze chwila.“ W liście zaś z d. 4 października 1832 r. ponawia wobec dziadka i babki obietnicę spłacenia długu ojczyźnie.

Myśl o winie wobec Polski dręczy go ustawicznie. „Ty wiesz, droga moja“—pisze do matki 29 listopada 1835 r. z Genewy—„że ja *nic nie zrobiwszy dla naszej kuzynki* (t. j. dla Polski) nie mam prawa upominać się o szczupły zasiłek, jaki mają jej synowie z szczodrobliwości tutejszej. Ty wiesz o tem, ty wiesz, *że ja mam na sumieniu, żem za mało czuwał nad nią, kiedy chora leżała.* Ja mam także sumienie, a jeżelim stetryczniał, to nie mało się do tego przyczyniła ta myśl, *że nieużyteczny byłem, jak chwast*, a każdy smutek w mojem życiu zdaje się być słuszną karą Boga.“

Po latach jeszcze z goryczą powie (w „Rozmowie z Mokrynią“):

„Godności nie mam, od męki uciekłem.“

Obok poczucia winy własnej smuciły go nieszczęścia Polski

And who shall be not free, but thentonian slaves
And shall have our laws, given, but unobserved.

[wiersz angielski [1]), podany w liście 20 paźdz. 1831].

Czasem wprawdzie budzi się w nim nadzieja, którą oględnie wyraża, mówiąc o Polsce, jako o kuzynce: „Wszyscy, co ją kochamy, mamy nadzieję; kiedyś więc może przywiozę do was tę kochaną dziewczynę“ (4 lipca 1832 r.).

Ale częściej smutkiem tchną wzmianki o „kuzynce“ i wówczas, gdy ogół emigracyi żywi gorączkowe nadzieje, on z boleścią mówi, że „na jej słabość niema lekarstwa“ (31 lipca 1832).

Przyczyniają się do budzenia takich myśli ziomkowie, których on sądzi z surowością człowieka, stojącego samotnie na uboczu, chociaż się od życia emigracyjnego nie usuwa i w chwili potrzeby umie brać w niem udział zaszczytny. [2]) Ziomkowie to go gniewają, to nudzą, to smucą.

„Smutno! Smutno!“—pisał 8 grudnia 1832 r.—„Mamy tu niektóre zabijające recepty, przez waszych wydawane doktorów, a okropność zdejmuje widząc, że już truciznę używają.“

Owe trzy czynniki, składające się na wzrost uczucia miłości ojczyzny, wywierają wpływ stanowczy na twórczość poety i na-

[1]) Słowacki udziela tu matce wiadomości politycznych w formie niby wiersza angielskiego.

[2]) Por. list z dn. 8 grudnia 1832 (sprawa medalu dla Lafayette'a).

bierają pierwszorzędnego znaczenia w czasie, gdy poeta przechodzi z epoki byronizmu do nowej fazy twórczości.

Pierwszym utworem, który wyrasta z nowego stanu uczuciowego, jest „Lambro.“ Jeszcze jest Słowacki nawskroś byronistą, byronizm dochodzi nawet w „Lambrze“ do szczytu, ale dochodzi do szczytu dlatego, że nowe uczucia, nie umiejąc jeszcze stworzyć sobie nowej formy, wyrazu szukają w spotęgowaniu dawniejszej.

O utworze swym sam poeta mówi przez usta śpiewaka-Greka, że „miłość go kraju i rozpacz uprzędły.“ A jak ważną rolę w tej rozpaczy grało poczucie winy, poczucie, że życia żałował wtedy, gdy poświęcić je należało i gdy poświęcić je było szczęściem największem — tego dowód znajdujemy zaraz w pierwszym ustępie. Oto gdy pierwszą wzmiankę czyni o ludziach, zamieszkujących Grecyę, powiada:

A ludzie — cierpią, że umrzeć nie śmieli.

Tragizm poematu dosięga szczytu, gdy w duszy bohatera brzmią słowa wyrzutu:

Czemuś nie skonał, gdy wszyscy skonali?

I oto mówi on:

Że nie zginąłem, życie mam za karę;
A to piekielna kara niebios — życie —
Być w świecie dźwiękiem rozwiązanej struny,
Co razi serce, tonące w zachwycie
. . . . . .
To okropnie
Stać jako posąg na ojczyzny grobie.

Mówi tak nie Lambro—mówi tak sam Słowacki. Posłuchajmy słów pamiętnika:

„Jestem posągiem Memnona, postawionym na grobie mojej ojczyzny.“

Dalszym ciągiem „Lambra“ jest pod pewnym względem „Kordyan,“ mianowicie jego akt III. Nie darmo wziął poeta motto „Kordyana“ z „Lambra.“ Spisek koronacyjny wypłynął przedewszystkiem może z owego wyrzutu sumienia i miał być usprawiedliwieniem poety — nie przed ogółem, lecz przed samym sobą. Przedstawił Słowacki, coby się z nim było stało, gdyby nie był opuścił Warszawy i gdyby był wziął udział w narodowej walce przedstawił, że wrażliwość jego i nerwowość czynią go niezdol

nym do czynu i że uczestnictwo jego w powstaniu Polsce nie byłoby przyniosło korzyści, jemu samemu zaś byłoby zgotowało zgubę.

Tak pojmując znaczenie III aktu, zrozumieć można dopiero jego związek z poprzednimi. „Kordyan“ rozpoczyna się, jako autobiografia. Czując, że zaczyna się w życiu jego nowa epoka, Słowacki czyni rachunek sumienia, zdaje sobie sprawę z przeszłości. Czyni to najpierw w „Godzinie myśli,“ następnie w „Kordyanie,“ który jest ściśle z „Godziną myśli“ złączony dramatycznym ciągiem dalszym owego „romansu życia“ i chociaż nie podaje wiernej autobiografii pod względem faktów i zewnętrznych akcesoryów, jest jednak w pierwszych dwu częściach zupełnie wierną autobiografią pod względem nastroju i przedstawionej ewolucyi duchowej. Nagle w III części — w najistotniejszej części poematu — urywa się wątek autobiograficzny. Ale tylko pozornie— w rzeczywistości bowiem, jak sądzę, ściśle się część ta łączy z historyą ducha poety, jako przypuszczalny ciąg dalszy autobiografii, będący usprawiedliwieniem przed samym sobą.

Obrona ta jest jednak zarazem oskarżeniem — oskarżeniem, którego ton bolesny słyszymy w dodanym do „Bieleckiego“ wstępie, w opisie wrażeń, doznanych w Westminsterze:

. . . . . Przebiegałem chmurny
Ów pałac zmarłych z uczuciem przestrachu,
Bo ja sam byłem, jak umarły w gmachu,
A oni żyli . . . . . .
. . . . Samotny wracam dziś i codzień
W dziedziniec, głazem grobów brukowany,
Po których stąpa niemyślny przychodzień.
Ci, co posnęli w tych grobach dokoła,
*Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem.*

Obok obrony własnej i oskarżenia tkwi w „Kordyanie“ (jak po części i w „Lambrze“) także akt oskarżenia narodu, w którym jedni działać nie chcą, a drudzy nie umieją, i który wskutek tego nie dorósł do swego zadania.

„Kordyan“ oznacza zapowiedziany już przez „Lambra“ punkt zwrotny w twórczości i życiu Słowackiego. Decydujący w tem przejściu czynnik wskazuje sam Słowacki w monologu Kordyana na Mont-Blanc — jest nim spotężnienie patryotyzmu.

O jednej przyczynie tego spotężnienia już mówiłem: była nią ta okoliczność, że uczucie miłości ojczyzny zostało silnie zranione.

Druga przyczyna, podobnie jak poprzednia, łączyła się ściśle z ogólnym stanem duchowym poety. Natura jego domagała się jakiegoś punktu oparcia. Oddalony od rodziny, w niej oparcia szukać nie mógł. W ludziach, z którymi się zetknął po opuszczeniu kraju, również go nie znalazł. Z przyjaciół, do których się na obczyźnie przywiązał, jednego — Zienkowicza — zabrała mu śmierć, drugiego — Skibickiego — los od śmierci gorszy. Nie dała mu punktu oparcia miłość; jedyną prawdziwie ukochaną stracił i teraz już nie znalazł pokarmu dla serca ani w przelotnej, gorączkowej miłości zmysłowej,[1]) której echo znajdujemy w stosunku Kordyana do Violetty, ani w „okruszynach miłości“, któremi — według słów własnych — obdarzał „blade widziadła.“ [2]) Pani Patteg i córka jej Eglantyna, mimo całej swej serdeczności, oczywiście też nie mogły wystarczyć poecie. Punkt oparcia znaleźć więc mógł tylko w sferze idealnej. Pragnienie osobistej sławy, które w Paryżu jeszcze panowało w jego duszy, w Genewie mu już nie wystarczało. Starał się więc znaleźć punkt oparcia w miłości ojczyzny—w miłości, która nie tylko tęskni za krajem i nad jego nieszczęściem boleje, lecz jest dążeniem do podźwignięcia ojczyzny i prowadzi do służby w narodowej sprawie. W tem uczuciu szuka więc dusza jego pokarmu, siły i celu.

Miłość ojczyzny! o, to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłościom oddadzą. (Wacław).

(Określenie „serc, co dumne, sieroce, szlachetne“ wskazuje, że Słowacki własne serce miał na myśli, bo on dumę, samotność i szlachetność za cechy swe uważał).

Dawny cel życia — sława — już usuwa się na plan drugi wobec narodowej służby. A służbie tej pierwszą przynosi ofiarę, wydając „Lambra“ i uniemożliwiając sobie przez to powrót do kraju.

„Jeżeli sława“ — pisze — „łechce trochę moją próżność, to prawdziwie, że jest to szlachetne uczucie, bo sławy nie dla mnie, lecz dla mojej kuzynki biednej pragnę... Wierz mi, Matko, że to jest jedyny cel w mojem życiu. Drogo i poświęceniem wła-

[1]) Por. list z dn. 4 paźdz. 1832. „Oszalałem był dla jednej młodej Francuzki, która, jak zdaje mi się, dla mnie także oszalała... Nowa ta Fornarina oczarowała mnie, bo nigdy o podobnie pięknej nie marzyłem w snach gorączkowych.“

[2]) „Ostatnie wspomnienie do Laury.“

snego szczęścia kupuję sobie możność służenia temu celowi, bo inaczej byłbym przy was“ (22 września 1833 r.).

„Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie stracona dla ojczyzny mojej; przynajmniej tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko“ (30 listopada 1833).

Mimo to, uczucie miłości ojczyzny, chociaż już górować poczynało nad innemi, jeszcze nie było zdolne wypełnić mu życia i jeszcze minęły lata, nim odniosło nad wszystkiemi innemi całkowite zwycięstwo.

Ale już przed podróżą na Wschód roznieca ono w duszy poety poczucie narodowego posłannictwa, którego wyrazem są „Ułamki“ — preludyum lub może wstęp do pierwotnego szkicu „Anhellego“ (p. t. „Posielenie“), zaczętego w tercynach.

Na ustach moich węgiel położył czerwony,
Obrócił na północ twarzą
I kazał prorokować hymn wrący, szalony:
Narody ziemskie! kiedy was porażą,
Kiedy stracicie nadzieję,
Słuchajcie wieszczów — byście wiedzieli, co każą.

Poeta opowiada, że zerwał sześć strun swej siedmiostrunnej liry:

Została jedna, ta, co teraz woła:
O wy! co w prochu myśli mażecie i serca,
Z tych serc otrzyjcie rdzę — podnieście czoła!

Tak się przedstawia pierwszy okres w rozwoju patryotyzmu u Słowackiego; etapy jego reprezentuje „Lambro,“ „Kordyan“ i „Ułamki.“ Ostateczny rezultat — to poczucie narodowego posłannictwa, znalezienie w niem ostoi dla moralnych i estetycznych potrzeb duszy; dla estetycznych również, bo Słowacki zawsze czuł, jako artysta, i jako artysta spragniony był wielkości w życiu; na jej brak skarżył się w liście z dnia 27 paźdz. 1833 r. [1]) i tak, jak Kordyanowi, trzeba mu było „myśli wielkiej z ziemi lub z błękitu.“

Jakkolwiek przedstawiony tu rozwój miłości ojczyzny ściśle się łączy z organizacyą psychiczną poety, to jednak w tym okre-

[1]) „W moich uczuciach nic niema wielkiego oprócz jakiejś nieskończonej niespokojności.“

sie nie przedstawia patryotyzm jego żadnych szczególnych właściwości. Dopiero w czasie pobytu w Grecyi zaznacza się odrębny jego charakter, ważny dla duchowego rozwoju Słowackiego i dla jego twórczości.

## III.

Gdy widok Grecyi ożywił w Słowackim zarówno wspomnienia świeżych walk o niepodległość, jak i dawnych bohaterskich bojów helleńskich, a podniecona fantazya silniej jeszcze, niż zwykle, reagowała na wszelkie wrażenia — wtedy to ujrzał on z przerażającą jasnością, że ukochana przezeń Polska bardziej zbliżona jest do Hellady, niż do Polski współczesnej, że przedmiotem miłości jego jest *ideał*, od którego rzeczywista Polska jest bardzo oddalona. A to przeświadczenie, wyłoniwszy się nagle w świadomości Słowackiego, wstrząsająco podziałało na wrażliwą jego duszę. Że zaś w swem podnieceniu, kierowany fantazyą, skłonną do przesady, sprzeczność między Polską idealną a rzeczywistą uważał za daleko większą, niż była ona w rzeczywistości, że nadto na ziemi Milcyadesów i Kanarisów powrotną falą wyrzutów sumienia targany, siebie samego widział wśród tych wielu, którzy winni są owej sprzeczności — więc nawał dręczących uczuć i myśli wybuchnął w nim — „Grobem Agamemnona."

Patryotyzm Słowackiego od tej chwili staje się *patryotyzmem dwoistym*, obejmującym na przemian to Polskę idealną, to rzeczywistą.

Dwoistość pewna patryotyzmu jest zjawiskiem, które nie u samego tylko Słowackiego da się zauważyć. Występuje ona przy wielkiej intensywności uczucia tego i przy odpowiedniej kulturze duchowej. Gdy uczucie miłości ojczyzny siłą swą wzniesie się po nad inne i gdy całe dążenie do ideału, przenikające daną jednostkę, stanie się dążeniem patryotycznem, wtedy oczywiście przedmiot i cel dążenia tego przybiera silne zabarwienie idealne: miłość ojczyzny staje się nie tylko miłością ziemi i narodu, ale miłością idei. U nas, po utracie bytu państwowego, patryotyzm u najwybitniejszych ludzi rychło przybrał taki charakter i stwierdził to Mickiewicz, mówiąc, że Ojczyzna jest ideą. Ale zdaniem jego idea ta tkwi we wszystkich Polakach i jest łączącym ich węzłem duchowym. To też u niego, u wieszcza, obdarzonego silnem uczuciem społecznem i zmysłem rzeczywistości, nie doszło nigdy do nadmiernego spotęgowania dwoistości patryotyzmu i do sprze-

czności między miłością rzeczywistej i idealnej Polski. Uczucie jego pozostało zawsze jednolite. Gdy określał cel swój słowami: „Chcę go (t. j. naród) dźwignąć, uszczęśliwić, Chcę nim cały świat zadziwić“ — wyrażał w pierwszym wierszu miłość swą dla istniejącego właśnie narodu polskiego, w drugim chęć uczynienia go narodem idealnym, najwyższym; ale oba pragnienia te zlewały się w jedno patryotyczne dążenie.

Podobnie Krasiński, wyśpiewując w „Przedświcie“ miłość swą dla idealnej Polski, nie widział sprzeczności między Polską a swym ideałem, nie tracił jednolitości swego patryotyzmu.

Inaczej Słowacki. Uczucie jego wahało się między wymarzoną a rzeczywistą Polską, dochodziło nie tylko do dwoistości, ale chwilowo nawet do rozdwojenia. A dwoistość ta patryotyzmu i płynące z niej przekonanie o dwoistości Polski samej, znalazło silny oddźwięk w jego utworach i było ważnym często czynnikiem w ich genezie.

W naturze poety przewagę miała fantazya — fantazya tak potężna, że bynajmniej nie wydaje się niemożliwą istotna, szczera miłość lub nienawiść względem tworów tej fantazyi. To też jego miłość ojczyzny zapewne już wcześnie była po części miłością jakiejś wymarzonej Polski, istniejącej w fantazyi poety. Ale tego charakteru swego uczucia nie uświadamiał sobie początkowo. Uświadomienie nastąpiło dopiero podczas podróży na Wschód. A przywykły w życiu swem do dysharmonii, łatwo uwierzył w sprzeczność między swym ideałem a rzeczywistością, boleśnie ją odczuł i wyraził z nadmierną gwałtownością w „Grobie Agamemnona.“

Tak pojęty, przedstawia się utwór ten nie jako wyskok chorobliwego kaprysu, lub jako teatralny krzyk pozującego człowieka i nie jako psychologiczna zagadka, ale jako wypływający logicznie z ówczesnej ewolucyi duchowej poety szczery, chociaż przesadnie silny i ostry, wyraz uczucia.

Ideał Polski przedstawia się Słowackiemu jasno ze strony artystycznej, ale i pod względem treści nie jest nieokreślony. Żąda odeń poeta tego, czego brak najbardziej go raził na emigracyi: jedności, wielkości i mocy:

. . . . Wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec,
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Pragnąłby tedy takiej duchowej siły, iżby naród polski dzięki niej umrzeć nie mógł. I to żądanie wewnętrznego spotężnie-

nia — zgodne z „Księgami pielgrzymstwa“ — było czemś wielkiem i potężnem, a miało się odtąd powtarzać w poezyi Słowackiego.

Nie chciał przypuszczać, że między jego ideałem a rzeczywistością jest niezapełniona przepaść, jest sprzeczność nieprzezwyciężona. Sądził więc, że ów ideał tkwi w Polsce, ale jest zakryty i przytłumiony wadami narodowemi, że Polska więzi „duszę anielską w rubasznym czerepie.“

Żądanie, by naród stał się „posągiem z jednej bryły“ świadczy, że za jedną z owych wad narodowych uważał niezgodę. To przekonanie znajdziemy też w „Anhellim.“ Ale większy nacisk kładzie na inną wadę: skoro w Polsce tkwi dusza anielska, to jej przytłumienie zdaje się przypisać należy naleciałościom niepolskim, zboczeniu z polskiej drogi; dlatego nazywa Polskę „papugą narodów.“ A stała się nią Polska, bo zamiast oddać się służbie swej idei, marnowała energię na rzeczy małoważne, zewnętrzne— łudzona „błyskotkami“ była pozorami błyszczącym i krzykliwym „pawiem.“

Ale najważniejszy brak upatruje poeta w braku odpowiedniej kultury umysłowej; on, który w Paryżu ziomków „zebraniem głupców“ nazywał, woła tu:

Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.

A zgodnie z tem przekonaniem powie w „Testamencie:“

Niech przed narodem niosą oświaty kaganiec.

Wspomniałem już, że gorycz, jaką tchnie „Grób Agamemnona,“ źródło miała też w poczuciu osobistej winy. A winę widział nie tylko w wyjeździe swym, ale także w swej młodzieńczej twórczości. W owych utworach upatrywał zapewne te same wady, za jakie Polskę zwał „pawiem i papugą.“ To też dodał:

Mówię, bom smutny i sam pełen winy.

Ciskając straszne słowa „Grobu Agamemnona“ czuł, „że nie zadrżą w sercu długo.“ Zbyt silna była, mimo wszystko, miłość Polski rzeczywistej, której wyrazem „Hymn o zachodzie słońca“ i „Rozmowa z piramidami.“

Polski idealnej oczekiwał w przyszłości, ale zarazem widział jej blaski w przeszłości. Tylko współczesnym Polakom blasków tych nie przyznawał. Dlatego cudzoziemcowi Szamanowi kazał być przedstawicielem narodowej mądrości, ale zarazem powiedział o nim: „I dziwiono się mądrości jego, mówiąc: oto jej zapewne od przodków naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych.“

Jeśli które dzieło Słowackiego nazwać można „czynem narodowym," to przedewszystkiem „Anhellego" — ten pomnik marmurowy mąk polskich, zlany krwią, a osypany różami i liliami, zdobny rytemi na nim przykazaniami narodowemi. I gdyby chodziło o dowód szczerości patryotyzmu poety, dowodem takim może być przedewszystkiem „Anhelli."

Jeżeli Słowacki wracał do ogniska emigracyi z zamiarem zyskania sobie znaczenia i popularności, to zaiste gorszego listu polecającego nie mógł wysłać do Paryża.

Ale on go wysłał, jako świadomy posłannictwa swego poeta narodowy.

„Anhelli" był otwartym, strasznym aktem oskarżenia emigracyi polskiej, której wady poznał Słowacki podczas pierwszego pobytu w Paryżu. A jako taki akt oskarżenia był on niewątpliwie jedną z głównych przyczyn niechęci, z którą się twórca jego spotkał w Paryżu.

Oskarżał emigracyę oczywiście o brak tych cech, których żądał od idealnej Polski w „Grobie Agamemnona," mówiąc o „posągu z jednej bryły, tak hartownym, że w grobach nie pęknie"— zarzucał brak jedności i brak hartu.

„Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych."

Lecz oskarżając emigracyę, czuł zarazem boleść i litość.

„Co uczyniłeś Boże? Azaż każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe? Dla czegoż ci ludzie mają ginąć?"

Obok aktu oskarżenia, łączącego się z „Grobem Agamemnona," i obok obrazu martyrologii polskiej, tkwi w „Anhellim" inny jeszcze ważny pierwiastek, wielką rolę odgrywający w twórczości poety, a łączący się z „Kordyanem" i „Ułamkami." Słowacki stara się określić swój osobisty stosunek do Polski. [1]) W „Kordyanie" doszedł do przekonania, że jest niezdolny do czynu. Sposób służenia Polsce znalazł w poezyi i to wyraził w „Ułamkach." Ale stanowisko narodowego poety nie wystarczało mu. W życiu swem obok poezyi widział jeszcze jeden zasadniczy pierwiastek: cierpienie. A więc począł zastanawiać się nad tem, czy cierpieniem nie służy Polsce. Analogicznie do mesyanistycznej teoryi o ofierze Polski począł samego siebie uważać za ofiarę. Tak zaś określiwszy swój stosunek do ojczyzny, zajął się znowu, podobnie

[1]) Por.: Tretiak, Juliusz Słowacki I, str. 96.

jak w „Godzinie myśli“ i w „Kordyanie,“ analizą swego smutku. I znalazł powody jego w nieszczęśliwej miłości, w braku rodzinnego szczęścia, w samotności, a przedewszystkiem w bolesnym charakterze patryotyzmu swego, na który składała się tęsknota za krajem, boleść z powodu nieszczęść ojczyzny i brak nadziei, by w życiu swem kraj i szczęście jego oglądał.

„Okropności ziemi są niczem, zgryzota moja dla ojczyzny okropniejsza.“

Tęsknotę za krajem cudownie odmalował w wędrówce ducha Anhellego po jeziorze, a wspomniany brak nadziei cień swój na cały utwór rzucił i nawet słowa buntu wyciskał z ust bohatera.

Ów brak nadziei, owo przekonanie, że ideał jego urzeczywistni się dopiero po jego śmierci, [1]) przez czas długi było tonem, powtarzającym się w poezyi Słowackiego. Już w „Podróży na Wschód“ mówił z bólem:

Ojczyzno moja, może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę.
. . . . . .
A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą — spać będę.

W losie Anhellego i w losie braci Wenedów, nad których trupami dopiero ukazuje się Bogarodzica, wyraził owo przeczucie, a w „Beniowskim“ mówił:

Ja jestem gwiazda życia, co o świcie
Skąpana w krwawej jutrzence wychodzi
Różana — a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę.

Jakkolwiek poczucie winy względem ojczyzny w „Anhellim“ się nie odzywa, to jednak bolesny charakter patryotyzmu Słowackiego dosięga tu szczytu.

Wkrótce po „Anhellim“ powstaje inny utwór patryotyczny, jeden z najsłabszych, jakie Słowacki napisał — „Poemat Piasta Dantyszka o piekle.“

Jakżeż się zrodził w fantazyi autora „Anhellego“ utwór taki i co skłoniło poetę do wydania poematu, którego wad nie mógł nie widzieć i który może ze względu na to wydał bezimiennie,

[1]) Por. słowa Szamana: „Bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień, który będzie jutrem śmierci waszej.“

a który jednak za ważny utwór patryotyczny musiał uważać, skoro ten właśnie poemat poświęcił Warszawie?

Że przedstawienie mąk polskich w „Anhellim“ mogło w nim obudzić chęć przedstawienia mąk, na jakie skazani są za karę kaci Polski, że może chciał w ten sposób ulgę pewną przynieść cierpiącemu narodowi—to wydaje się rzeczą zupełnie naturalną. Ale czemuż on, który z pogardą mówił o „rubasznym czerepie“ Polski rubasznego szlachcica uczynił bohaterem? I jakie stanowisko zajmował względem Dantyszka, którego to aureolą otacza, to budzącymi odrazę rysami obdarza?

„Dantyszek“ łączy się ściśle z „Grobem Agamemnona“ i z „Anhellim.“ Wypowiedziawszy zdanie, że ideał Polski ukryty jest w Polsce rzeczywistej, że więzi ona „duszę anielską w czerepie rubasznym,“ chciał pokazać, jak to połączenie wygląda, jak czerep ów kazi duszę anielską, ale jak zarazem dusza anielska opromienia czerep rubaszny. Że zamiar artystycznie się nie powiódł, to rzecz inna.

Nie był to jednak zamiar jedyny. Rozpocząwszy w „Grobie Agamemnona“ i w „Anhellim“ walkę z wadami narodowemi, chce ją wieść dalej w „Dantyszku.“ W „Anhellim“ przedstawił wady Polski cierpiącej, w „Dantyszku“ chce przedstawić zasadniczą wadę Polski działającej.

Jakaż jest główna treść poematu?

Dantyszek, znalazłszy głowy swych dzieci, idzie do Boga, z temi główkami, by zanieść straszną skargę na męczeństwo narodu. Po drodze, ulegając chwilowym uczuciom, porzuca jedną główkę za drugą i wreszcie, porzuciwszy wszystkie główki, do Boga nie dochodzi.

W tem tkwi idea poematu: zarzut marnowania sił w uczuciowych odruchach, tracenia z oczu wielkiego celu dla celów ubocznych. Że Słowackiemu o to właśnie chodziło, że w postępowaniu Dantyszka widział typowy przykład polskiego działania, tego dowodzą słowa bohatera:

> Mamże ja Boga wielką litość głosić?
> Czy się przeklinać, stary człowiek smutny,
> Że byłem trupków pieniądzmi rozrzutny?
> Taki jest Polak — dobra jego sprawa,
> Krwawe zaczęcie i osnowa krwawa;
> Lecz kiedy przyjdzie dobić się do końca,
> To wstydzić mu się księżyca i słońca [1]).

[1]) Jest to echo poglądu, który wyraził Mochnacki na początku „Powstania narodu polskiego.“

Dawał poemat także pewną pozytywną wskazówkę. W „Grobie Agamemnona“ żądał Słowacki od Polski siły wewnętrznej, niedostępnej dla śmierci. I teraz również domagał się woli potężnej, jako rękojmi zmartwychwstania:

Lecz my przysiężmy, że kraj zmartwychwstanie,
A przysiężemy — to zmartwychwstać musi.

Zapowiada się tu już późniejszy Słowacki, widzący w wewnętrznej duchowej sile alfę i omegę świata.

Z „Grobem Agamemnona“ łączy się jeszcze jeden utwór, co stwierdził sam poeta. Umieścił on wiersz ten na końcu Lilli Wenedy i w liście „Do autora Irydiona“ tak o nim pisał:

„Ile razy zetknę się z rzeczywistością, opadają mi skrzydła i jestem smutny, jakgdybym miał umrzeć, albo gniewny, jak w owym wierszu o Termopilach, który na końcu księgi umieściłem, niby chór ostatni, śpiewany przez poetę.“

Ze słów tych widać, że Słowacki sam upatrywał genezę „Grobu“ w sprzeczności między ideałem a rzeczywistością i że istniał dlań związek ścisły między utworem tym a „Lillą Wenedą.“ Na podstawie tego, co powiedziałem o genezie i zasadniczej myśli „Grobu Agamemnona,“ łatwo da się ów związek dokładnie określić.

W „Grobie Agamemnona“ stwierdził poeta sprzeczność, istniejącą między idealną a rzeczywistą Polską, między ideą Polski a narodem, między „duszą anielską“ a „rubasznym czerepem.“ W Dantyszku połączenie to, a zarazem tę sprzeczność wcielił. Teraz pytał, skąd pochodzi ta sprzeczność, gdzie szukać źródła owej dwoistości Polski. Już pierwej w „Balladynie“ sięgnął do bajecznych dziejów Polski. W tych dziejach więc postanowił wskazać źródło i początek dwoistości Polski. Wenedzi są praojcami polskiej idei, Lechici praojcami polskiego narodu i — jego wad narodowych. Symbolem idei, będącej w posiadaniu Wenedów, jest harfa Derwida. O harfie tej mówi wprawdzie Derwid, że po jego śmierci uleci z niej duch wieszczy, ale odpowiedź ta zdaje się raczej jest wyrazem dumnej boleści i oporu względem Gwinony, niż istotnej prawdy. Roza Weneda bowiem, świadoma przyszłości, odmiennie przepowiada los harfy:

. . . . . Zginie
Ojciec mój, ale harfa zwycięży narody.

Wynika z tego, że idea, której symbolem jest harfa, ma przeżyć upadek Wenedów i ostatecznie zwyciężyć. Idea ta zaś

wraz z harfą przechodzi w posiadanie Lechitów, [1]) mimo, że ci do niej nie dorośli. Stąd dwoistość, stąd sprzeczność pewna między ideą polską a narodem.

Przedstawiając zaś siebie i Krasińskiego (który na rozwój patryotyzmu Słowackiego może również wpływ wywarł) jako Lelum Polelum, występował Słowacki wyraźnie jako bojownik idei owej i jeszcze dobitniej, niż w „Anhellim," przeciwstawiał siebie ziomkom swoim.

Brak dalszych dramatów, mających przedstawić przedhistoryczne dzieje Polski, nie pozwala stwierdzić, jak Słowacki chciał dalej myśl swą przeprowadzić; ale zasadnicze pojęcie dwoistości Polski znalazło wyraz w „Królu-Duchu," którego poeta związał z „Lillą Wenedą."

Poeta, który wrócił do Paryża z przeświadczeniem o swem narodowem posłannictwie, z przekonaniem (wyrażonem w „Odpowiedzi na artykuł pana Z. K."), że poezya jego Polsce walkę z wichrami północnymi ułatwi, boleśnie odczuwał niechęć, jaką mu okazywali ziomkowie. A że obok patryotyzmu jeszcze w nim tkwiła żądza osobistego szczęścia, budził się więc bunt chwilowy i chęć zawarcia kompromisu między uczuciem miłości ojczyzny, a innemi uczuciami. Echem tego stanu duchowego są słowa listu z dnia 1 lutego 1840 r., podpisanego imieniem „Zofia." [2])

„Ciebie prawdziwie mogę nazwać matką moją, bo ta, której służę, ma prawo do życia mego, ale nie do mego serca... poświęciłam całe szczęście dla niej, jestem samotną dla niej, czoło moje zmarszczyłam myślami, myśląc, jak ją ślepą wyżywić i ubrać i jak jej łóżko kwiatami posypywać. Wypełniam moje przy niej obowiązki, jako należy się córce, ale już to mnie udręczyło: tobie nie służyłam tak, a ty mnie kochasz."

Ale o opuszczeniu służby tej nie myśli: „Gdybym ja mogła porzucić moją kuzynkę ślepą i sparaliżowaną, już byłabym dawno z tobą" (21 październ. 1840 r.).

Mimo chwilowego zniechęcenia patryotyzm brał górę, a przeciwko kompromisom uczuciowym stawało przekonanie, wyrażone w „Beniowskim" przez usta ks. Marka:

Biada, kto odda ojczyznie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa.

[1]) Że Lechici są spadkobiercami idei Wenedów, zauważył pierwszy Zuławski. (Prolegomena: Król-Duch).

[2]) Słowacki lękał się, by list syna-emigranta nie zaszkodził matce, która dopiero co uwolniona została z pod śledztwa.

Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy
I padnie kiedyś w popiół taka głowa.
Żadną łzą taki Boga nie poruszy —
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Któreby kiedyś jego Bóg rozumiał —
I będzie jak ten dąb umarły, szumiał.

„Beniowski," cięcia i ukłucia rozdając przeciwnikom Słowackiego, zwalczał też ogólne wady emigracyi (przedewszystkiem brak wielkości, skrojenie piersi na „miarę krawca") i w ten sposób toczył również tę walkę, którą wiódł „Grób Agamemnona," „Anhelli," „Dantyszek" i „Lilla Weneda." Zarazem dawał w nim Słowacki wyraz swej miłości Polski idealnej i już zapowiadał jej początek.

A ty się już rodzisz nowa
W żłobku serc naszych biednych położona. (Fragment pieśni VI).

Bojownikiem tej przyszłej Polski miała być nie szlachta, lecz lud, którego imię trzema ognistemi literami wypisane było na sztandarze rycerza-budziciela w „Anhellim." Patryotyzm Słowackiego występuje więc w zabarwieniu demokratycznem, chociaż autor ze stronnictwem demokratycznem się nie wiąże.

Czuję trumnianym pachnący modrzewiem
Naród, i w trumnie grające zepsucie.
A jednak—pod tym mogił chwastem, plewiem,
Jest jakieś dziwne, ciągłe, głuche kucie,
Pod narodową słyszane mogiłą.
Jak gdyby *serce ludu* w kamień biło (Ben. VII).

A tak silna była w nim miłość idealnej Polski, że zmartwychwstania Polski pragnął tylko jako zmartwychwstania Polski idealnej, narodu—według słów Szamana—„prostego i nieskrzywionego na ciele." W przeciwnym razie wolał, by Polska została tem, czem jest — „wielkich ludzi prochem."

Te ostatnie słowa w związku z tem, co w „Anhellim" powiedziane jest o mądrości Szamana, jako mądrości przodków naszych, rzucają światło na stosunek Słowackiego do przeszłości. Coraz to bardziej upatrywał on w przeszłości ślady Polski idealnej, im zaś więcej przeszłością się zajmował — a pisał wtedy „Mazepę," „Złotą Czaszkę," „Jana Kazimierza," „Beniowskiego"— tem bardziej rosła w nim miłość przeszłości, rosła tak dalece, że chociaż Słowacki twierdził: „Kocham lud więcej, niż umarłych

kości," to jednak chwilami miłość przeszłości stawała się głównym tonem jego patryotyzmu:

Dawna ojczyzno moja, o jak trudno
Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy
Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną
Wabił na¡dawnych opłotki cmentarzy.
Inni już pieją twoją przyszłość cudną,
Ja zostawiony gdzieś na mogił straży,
Jak żóraw, abym nie spał wśród omamień,
Trzymam me serce w ręku... serce-kamień —
Biedne, uwiędłe serce! — Inni mogą
Płomieniem twojej przyszłości oddychać;
Ja, twoje biedne dziecko, stoję z trwogą,
Bo mi płacz twoich dawnych mogił słychać.

Ale nie opuszczał stanowiska bojownika Polski idealnej i pragnął pogodzić w poezyi swej miłość idealnej i rzeczywistej Polski:

Najbielsza moja, najsmutniejsza, w *tobie*
Śpiewają jakieś pieśni i *nad tobą*
*Otóż ja złączyć chciałbym pieśni obie.*

Słowa te pisał już Słowacki mistyk [1]).

## IV.

Słyszeliśmy echa walki uczuć, jaka się rozgrywała w duszy twórcy „Beniowskiego." Nieprzezwyciężona jeszcze żądza osobistego szczęścia zyskała wielką siłę wskutek uczucia, jakie wzbudziła w nim pani Bobrowa. Ale najsilniejszy ten przejaw żądzy szczęścia był zarazem ostatnim.

O ostatecznem zwycięstwie uczucia patryotycznego zadecydował towianizm, przez którego mgły Słowacki rychło przeszedł w dziedziny samodzielnego mistycyzmu.

Składa on teraz ze siebie zupełną ofiarę i oddaje się całkowicie służbie idei, cel jedyny widzi w „ojczyznie całej, wskrzeszonej i żywej i zdrowej" [2]). Przejęty poczuciem posłannictwa swe-

[1]) Z pewnych wyrażeń, zawartych we fragmencie, z którego wyjęte są powyższe cytaty, wnoszę, że powstał on już w epoce towianizmu.

[2]) Słowa z protestu przeciw adresowi, wysłanemu przez Koło towiańczyków.

go i sprawę narodową identyfikując ze sprawą Bożą, protestuje przeciw adresowi do Mikołaja I, protestuje przeciw „dążności rosyjskiej," „strzegąc prawdziwej wiary i dawnego sztandaru ojczyzny swojej," a niedługo potem w wierszu „Do autora trzech psalmów" protestuje przeciw wstrzymywaniu upragnionego postępu Polski. Ustawicznie potężnieje w nim poczucie posłannictwa narodowego; przypisuje sobie „wodzowstwo narodu," a wreszcie wizya w nocy z 20 na 21 kwietnia 1845 r., kiedy to się mu według przekonania jego Bóg ukazał, utwierdza go we wierze, że jest „królem-duchem," narodu. Jako taki stara się pokierować odpowiednio ruchem narodowym, gromadzi około siebie garstkę młodzieży, pragnie utworzyć konfederacyę, chce działać w powstaniu roku 1848, a chociaż nadzieje jego nie spełniają się, wierzy, że „już słońce wschodzi dla Polski" (9 paźdz. 1848 do Teofila Januszewskiego) [1]).

Jakkolwiek przeświadczenie o posłannictwie narodowem wiodło go też na drogę czynu, nie była to jednak droga odpowiednia dla niego. On sam czuł to, gdy mówił:

> To droga moja — żyć, cierpieć i tworzyć,
> To wszystko czynię, a więcej nie mogę.

To też i nadal posłannictwo swe spełnia jako poeta—i w twórczości jego nadal szukać musimy podstawy do oceny jego patryotyzmu.

Dwoistość patryotyzmu trwa dalej i najwyraźniej, najwspanialej przedstawia się w „Królu-Duchu." [2])

Chwila, w której fantazya Słowackiego w ślad za duszą Hera uniosła się w zaświaty — chwila ta szczególnie nadawała się do scharakteryzowania ducha poety.

Wszak to, co widzi dusza Hera po wyjściu z ciała, ma się stać pobudką i drogowskazem dla wszystkich dalszych jej żywotów, a więc i dla żywota samego Słowackiego.

Herowi ukazują się dwie wizye: najpierw postać „Umiłowanej odtąd i na wieki," następnie „Piękność, córka Słowa, pani któregoś z ludów na północy."

A Panią tą — Anioł Polski — uosobienie Polski idealnej.

Her Polski nie znał i nie mógł jej kochać. On poznał tylko anioła Polski — Polskę idealną — zstąpiwszy na ziemię nie dzia-

---

[1]) Bliższe szczegóły co do wspomnianych faktów w dziele prof. Tretiaka: „Juliusz Słowacki."

[2]) W nim też przedstawił Słowacki dwojaki sposób służenia Polsce: czynem i ofiarą.

ła dla rzeczywistej Polski (tę on dopiero ma stworzyć), lecz dla jej ideału.

Po spełnieniu krwawej misyi Popiela wraca on znowu do świata duchów i jako duch patrzy na Polskę Piasta. Odmienną jest ona od tej Polski, której pragnął. Ale już zbudziła się w nim obok miłości ideału Polski miłość Polski rzeczywistej i daje on jej wyraz w swem błogosławieństwie.

Choćby już nigdy myśl zbrojami świetna
Nie powróciła na tę ziemię ze mną,
Znienawidzona za to, że szlachetna,
Chce jasnej broni, a gardzi nikczemną;
Choćby już tylko miodem prostym kwietna,
Z myślą, jak chłopek, prostą, ale ciemną,
Ojczyzna ta wstać miała i w postawie,
Chłopka się kłaniać miała — błogosławię.

Ten dwoisty patryotyzm „Króla-Ducha“ — to patryotyzm Słowackiego.

Sprzeczność zaś swoich dwu uczuć patryotycznych ze szczególną wyrazistością przedstawił w wierszu bez tytułu zaczynającym się od słów „Narodzie mój.“ Wiersz ten — na pierwszy rzut oka zrażający niejasnością — można uważać za dyalog poety z duchem wyższym, względnie dyalog dwu głosów wewnętrznych, z których jeden, namiętną miłością Polski idealnej przejęty, znieść nie może wad narodu, drugi sprzeciwia się gwałtowności pierwszego w imię miłości narodu tego, jaki w obecnej chwili istnieje. Przytaczam wiersz ów w całości:

(I). Narodzie mój,
Coś widział miecz,
Na niebie ciemném świecący,
Powrócę ja —
Patrz, Furya zła,
Przyjdę, jak ogień gorący.
Wezmę wichrzyce
I na stolicę
Wpadnę i dachy pozrywam,
W rzeki się rzucę
W krew je obrócę,
W domy zbłąkane powpływam.
Przez nocne cienie
Tak jak płomienie
Pójdę, a wam wzrok wypalę —
Przez błyskawice
Mocarze chwycę,
Nagie postawię na skale.
(II). Przepuść jeszcze ludowi
On sędzie postanowi
I proroki swe boskie wybierze.
Oto leżą jak snopki
Błękitne twoje chłopki
I baranków duchowi pasterze.
Przez błękitne niebiosy
Rozwiń słoneczne włosy
Nie trwóż biednych, patrz — jęczą znędzniali;
Tysiąc lat w gwiazdę Twoją
Idą a w miejscu stoją,

A tak drżą jak gdyby po fali.
(I). A jakiż to lud,
Który broni swych trzód?
Jak przewinił, że nie pomógł żadnemu —
Jeżeli mieczem władnie
A stoi, to upadnie
I blaskowi się pokłoni złotemu.
Obnażę jego wstyd
Z pod sztandarów i kit
Oberwanych, twarz jego zawstydzę,
Bo on sam sobie płacił,
Z chwał się swoich zbogacił,
Kwiat swój wydał na ludu łodydze.
(II). Duchu, na mały czas,
Proszę, pozostaw nas,
Pozwól dożyć spokojnie starości —
Właśnieśmy jak anieli
Wytrzeźwieli, dojrzeli
Krajów naszych cudownej piękności.
Promień nowej oświaty
Na tureckie makaty
W nasze ciemne uderzył alkowy.
Od stepów przyszły szumy
Wiatrów, smętki i dumy,
A od Litwy szum drugi sosnowy —
Ziemi wrócona siła
Oto nas upowiła
I wonnymi oblała balsamy.
Świat snem — snu ziemia łożem,
Ze snu powstać nie możem,
Ale z łoża do Boga wołamy.

Stara się Słowacki w epoce tej określić ideał Polski. Czynił to już w „Grobie Agamemnona“ i za cechy ideału tego uważał jedność, wielkość, niedostępną śmierci żywotność i nieskażoną przez naleciałości obce polskość. Określeniu temu pozostał wierny, ale je rozwinął, rozszerzył i uzupełnił. Przedewszystkiem ideał Polski w jego oczach niesłychanie urasta. Podobnie jak autorowi „Przedświtu,“ tak i jemu przedstawia się, jako przyszła przewodniczka ludzkości ta „pierwsza rasa świata... rasa pierwsza w Słowiańszczyznie — Polska“ („Do księcia A. C.“).

W pieśni XII „Beniowskiego“ mówi on, że Polska, śniona przez Anielę

Świętą jest, wielką, z góry już uderza
Duchem na wszystkie słowiańskie plemiona
I do żywota budzi i przymierza,
Wielka i silnym podniesiona lotem
Nad ludy, w ludach żywot budzi grzmotem.

Obraz tej Polski w oczach mistyka poety w świetne stroi się blaski.

I już nam widać przez oczy proroka,
Jak Polska nowa na stolicy siada,
Kopułą dachów swych świętych wysoka,
A niska, kiedy przed Panem upada,
A kiedy patrzy w świat, orlego oka,
A jako hymn harf, kiedy z Panem gada,
Oblana wdzięków dziewiczych szkarłatem,
A jako tysiąc grzmotów, gdy ze światem.
(Poeta i natchnienie).

Tę przyszłą, idealną Polskę przeczuwa ks. Marek, gdy mówi:

Że tu leży Polska w żłobie,
Lecz Polska nie tego wieku.
. . . . . dziecko małe,
Które będzie żyło wieki!
O! gdybyś widział, jak one
Przed narodami wystrzeli,
Jaką ogromną koronę
Włoży — jakie berło chwyci.

Korona ogromna, berło owo wielkie — to przewodnictwo w dążeniu ludzkości do najwyższego ideału, którego symbolem staje się dla Słowackiego apokaliptyczne, złote miasto, widziane przez św. Jana; symbol ten występuje kilkakrotnie w ówczesnych utworach Słowackiego. Z Apokalipsy wzięty też jest obraz niewiasty ze słońcem na głowie, a księżycem pod stopami, która dla Słowackiego wyobraża Polskę idealną [1]).

O tej roli przewodniczki narodów ciągle mówi Słowacki w swych pismach. W „Zborowskim“ twierdzi:

Że przez ojczyznę naszą szło zbawienie,
Że ona była ostatecznym końcem
Żywota ducha ludzkiego, że ona
Mogła tę ziemię jedna wziąć w ramiona
I umiłować i oddać ją słońcem.

W „Liście do Rembowskiego“ zapowiada, że Polska „do celów ostatecznych ludzkość poprowadzi.“ Ona ma „rozwiązać zadanie człowieka“ (Pamiętnik 3 stycznia 1848 r.). Chciałby Słowacki „rozwiązać narodowości anielstwem ducha polskiego“ (Pamiętnik 13 marca 1848 r.). To też wystąpienie Polski na widownię dziejów uważa za fakt najważniejszy po narodzeniu Chrystusa i widzi w tem wskazówkę Bożą, że początek historycznych dziejów Polski przypada na czas blizki roku tysiącowego, owego „millenium,“ z takim niepokojem oczekiwanego przez ludzi średniowiecza (początek rapsodu o Piaście).

Z tego, że Polska ma powieść ludzkość do ideału, który jest nietylko „złotym celem narodów, ale i duchów celem koniecznym“ („Zborowski“) — z tego wypływa dla Słowackiego wniosek cie-

[1]) Zaznacza to też w swem dziele prof. Tretiak.

kawy. Wierzy on w metampsychozę, wierzy w to, że przez ustawiczne przechodzenie w formy nowe duch wznosi się ku ideałowi. Skoro więc Polska jest ostatnim ziemskim etapem w drodze do ideału, duchy prawdziwie polskie, t. j. mające poczucie Polski idealnej i służące jej, muszą to być duchy, stojące już na ostatnim stopniu rozwoju, mające przeszłość bogatą w innych narodach. Dlatego Słowacki szuka dawnych swych żywotów w narodzie egipskim, żydowskim, greckim (we fragmencie „Poeta i natchnienie," w „Zborowskim," gdzie Helionem jest on sam, w t. zw. „Wykładzie nauki"), dlatego Zoryana — Piasta utożsamia z Eliaszem. W „Zborowskim" wyraźnie stwierdza, że w Polsce gromadzą się stare duchy już wydoskonalone i w tem widzi cechę charakterystyczną Polski idealnej:

...Musi być jakiś kraj gdzie się schodzą
Duchy już godne najwyższego tronu,
Które swój żywot jako harfę godzą
Nie z żadną ciała skruszonego troską,
Ale z harmonią nieśmiertelną boską,
Nie z celem ziemi już, lecz z celem światów.

„Polska — pisze w liście do Stattlera — jest to zbiorowisko najstarszych duchów, które całą przeszłość mają w sobie."

Ustrojenie idealnej Polski w blaski mistyczne nie wystarczało poecie; a gdyby nawet jemu samemu było wystarczało, to czuł i rozumiał zapewne, że nie może wystarczyć narodowi, że chcąc naród do ideału poprowadzić, chcąc mu drogę wskazać, trzeba idealną Polskę jasno i wyraźnie określić, trzeba poetycko-mistyczny ideał uczynić zrozumiałą, uchwytną ideą.

Przed epoką towianizmu określił Słowacki ideał Polski w „Grobie Agamemnona." Idea Polski, której teraz szukał, miała odpowiadać warunkom, postawionym w owem określeniu.

Słowacki żądał od ideału Polski jedności — musiała więc idea Polski być zdolna zjednoczyć cały naród; na to wymaganie kładł poeta nacisk, mówiąc „O potrzebie idei."

Żądał dalej od ideału Polski wielkości i niezmożonej siły żywotnej. Zgodnie zaś z jego obecną filozofią, z teoryą ewolucyi ducha i jego postępu w drodze do ideału, Polska miałaby taką wielkość i siłę żywotną o tyle, o ile przedstawia rzeczywiście konieczny szczebel w tym postępie. Ponieważ zaś postęp ducha objawia się przez twórczość, szukającą co raz to nowych form — najpierw form przyrody nieorganicznej, następnie form roślinnych, zwierzęcych i ludzkich jednostkowych, wreszcie form życia zbio-

rowego — przeto idealna Polska musi być twórczynią nowej i to najdoskonalszej formy życia zbiorowego.

Zarzucał Słowacki Polsce, że była „papugą narodów," że skaziła się naśladownictwem obcych. Idea Polski musi więc być szczero-polska, musi być czemś wyrosłem z czysto polskiego gruntu. Kładzie na to poeta nacisk w liście do księcia Czartoryskiego. Jeżeli ta idea ma być tak szczero-polska, musi mieć podstawy swe w historyi Polski. Wymagała też tego miłość przeszłości, tak silna już u autora „Beniowskiego," i jego teorya ewolucyi. Ale idea ta musiała także w zgodzie być z duchową istotą Słowackiego, ten zaś był nawskroś indywidualistą.

Ideę, którąby odpowiadała wszystkim tym warunkom, znalazł Słowacki u tego, któremu wiele pierwiastków swej poezyi zawdzięczał, u swego „wielkiego pierwszego" Mickiewicza. Już w „Widzeniu ks. Piotra," a następnie w wykładach łączył Mickiewicz ściśle ideę Polski z ideą *wolności*.

Do jaśniejszego określenia tej wolności przyczynił się niewątpliwie fakt ważny z życia Słowackiego. Oto pierwsze stanowcze jego wystąpienie w epoce mistycyzmu było protestem przeciw „dążności rosyjskiej" w Kole towiańczyków, było według własnego jego określenia — *vetem*. To musiało w oczach jego nadać „*vetu*" wielkie znaczenie. Widząc w niem środek potężny w dążeniu do idealnej Polski, uznał „liberum veto" za zasadniczy pierwiastek tej Polski. [1]) Liberum veto, „zaprzeczenie z ducha" odpowiadało zdaniem jego i charakterowi Polski, jako przewodniczki w dążeniu do ideału — bo pozwalało przeszkodzić każdemu fałszywemu krokowi — i miłości przeszłej Polski i indywidualizmowi poety i godności zamieszkujących Polskę „starych duchów." Nie zupełnie jednak odpowiadało pierwszemu i zasadniczemu warunkowi, jaki miała spełniać idea polska, bo chociaż tego rodzaju wolność duchowa mogła być celem jednoczącym wszystkich Polaków, to przecież w istocie swej była przeciwieństwem jedności. Ale znalazł Słowacki pierwiastek, który pod tym względem mógł uzupełnić „veto" i reprezentować zgodę-władzę, płynącą ze zgody wszystkich — wybór przez wolną elekcyę.

I tak znalazł poeta „dwa sfinksowe posągi," postawione w Polsce przez ducha Bożego: „obiór jednego przez wszystkich

[1]) Prof. Tretiak w dziele swem stwierdził, że na ten pogląd Słowackiego wpłynęły też pisma Królikowskiego i Bukatego, których poeta bardzo wysoko cenił.

i zaprzeczenie wszystkim przez jednego“ („Wykład nauki“). Na tych posągach chciał oprzeć przyszłą formę Polski i wogóle przyszłą formę narodów [1]) — formę republiki, reprezentującej wolność idealną i zarazem idealną demokracyę, w którejby *żaden wyższy duch nie ulegał niższemu.*

Misya, polegająca na stworzeniu nowej, najdoskonalszej formy zbiorowego życia, daje właśnie Polsce stanowisko naczelne między narodami i czyni jej zmartwychwstanie sprawą Bożą.

„Bóg nas chce... abyśmy wstali i nie tylko za siebie, ale za narody w cielesnych pracach gnuśniejące ofiarowali nasze żywoty“ (List do Czartoryskiego, ogłoszony przez prof. Tretiaka w „Pamiętniku literackim“).

„Bóg chce od Polski, aby czyniła Wysokość między Wysokościami, do której dążą w ideałach inne narody.“ (O potrzebie idei).

Dlatego to tak ogromnie apoteozował Zborowskiego, który wydawał mu się pierwszym przedstawicielem owej formy przyszłej, opartej na możności „zaprzeczenia z ducha:“

... W nim leżało wszelkie prawo nowe,
Prawo, co wolność ducha zabezpiecza.

W „Królu-Duchu“ zaś tak określił „polskie duchy:“

... Polskie duchy tem przed Bogiem harde
Że się poddają jedynie duchowi,
Że przymuszone z ciała być nie mogą
Przeciwko vetu swemu—żadną trwogą.

Jakżeż wobec owego posłannictwa Polski tłómaczył sobie Słowacki jej upadek i jej nieszczęście?

Dotknął tego pytania w „Anhellim“ i przypisał nieszczęściom Polski niejako rolę wychowawczą; naród miał być — według słów Szamana — ponownie „kładziony w kołyskę, aby wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele.“

Teraz, upatrując najwyższy objaw ducha i jego zadanie w twórczości, widział w upadku Polski bodziec, który miał ducha polskiego pobudzić do energicznego działania twórczego, a wy-

[1]) W t. zw. „Wykładzie nauki“ mówi poeta: „... że z głębi ducha potrafię wyrwać ojczyznę jakąś, którąby mogła być *kamieniem węgielnym budzących się nowo narodów.*

rwać z gnuśności. Tak o zapatrywaniach jego wnosić można ze słów wypowiedzianych w rapsodzie „Miecz i sława:“

Duch wtenczas działa
Kiedy moc jego gniciem zatrwożona,
A on już w zgniłym prochu spać nie może,
Lecz sił dobywa..... i wyżej się porze.

W utworze, który prof. Tretiak nazwał „Listem apostolskim,“ mówi poeta do rodaków:

„Zmierzcie się teraz z narodami i uznajcie, że Pan Ojców waszych jest dobrotliwy.

„Gdyby albowiem nie ukrzyżował, nigdybyście ogromnego głosu nie usłyszeli w duchach waszych.“

Twierdzi też, że narody, które najbardziej cierpiały, muszą przewodniczyć, bo serca przebolałe są bliższe Boga (16 kwietnia 1844 r.).

Spełnienia misyi Polski nadal oczekiwał od ludu; dlatego występuje jako rzecznik ludu przeciw autorowi „Psalmów.“

Określenie i zrozumienie ideału Polski — i co więcej — zrozumienie celu i istoty świata uważał za konieczny wstęp do zmartwychwstania Polski. Przedstawił to w jednej ze swych przypowieści, w której człowiek, reprezentujący samego poetę, od ludzi, pragnących zdobyć dom nieprawnie przez szatana zajęty, żąda znalezienia idei wspólnej i jednoczącej i poznania tajemnicy stworzenia. W żądaniu idei określa ją oczywiście, jako ideę wolności ducha:

„A jeden rzekł: Odstąpmy jeszcze na czas przedsięwzięcia, a ułóżmy między sobą myśl, podług której będziemy on dom kiedyś zamieszkiwali, a niech ta myśl będzie z Boga i dla braterstwa i miłości, a niech nas żadnego osobistej świętej wolności wyrzekać się nie przymusza, ani zbawienia naszego na zgubę nie naraża.“

Widzieliśmy, że przed epoką mistycyzmu patryotyzm Słowackiego przejawiał się głównie w walce przeciw wadom narodowym i w określeniu osobistego stosunku do Polski. Oba te pierwiastki doznają teraz przeobrażenia.

Z początku po przyjęciu idei towianistycznej Słowacki nie porzuca od razu dawnego rodzaju walki. Widać to w ks. Marku, tak namiętnie oskarżającym magnatów, czuć ślady tego w „Zawiszy“ (słowa dziada-Filistyna o Polakach), w wierszu „Narodzie mój,“ w wierszu „Do autora Trzech Psalmów.“ Ale poeta, który wierzył, że los narodu zależy od duchów kierujących, musiał zmie-

nić sposób walki. Jego walka w sprawie narodowej musiała stać się zwalczaniem duchów, idących drogą fałszywą. To też walczy Słowacki z dążnością, którą za fałszywą uważa, w Kole towiańczyków, z autorem „Psalmów“ i z księciem Czartoryskim. Ta ostatnia walka, chociaż z praktycznego stanowiska bezwartościowa, w pobudkach, środkach i tonie jest może ze wszystkich walk, jakie toczył w swych pismach Słowacki z innymi przedstawicielami emigracyi, najszlachetniejsza i najpiękniejsza.

Najważniejszego przeobrażenia doznało przekonanie Słowackiego o swem posłannictwie narodowem. Od chwili, gdy stał się towiańczykiem, poczucie posłannictwa urasta niesłychanie. Nie występuje ono, jako coś nowego. Słowacki, chociaż tak przemieniony, w swej działalności narodowej widzi ciągłość i jednolitość i dotychczasową walkę z wadami narodowemi i bojownictwo pod sztandarem Polski idealnej uważa za godne spełnienia swego zadania. We fragmencie „Poeta i natchnienie“ mówi do Atessy:

Świadcz o mnie, czym ja kiedy Polski ducha
W żywotną jego część i w serce ranił?
Czym gdzie ominął pleśń, szczątki łańcucha,
Fałsz, co źrenice światłami tumanił?

To, co go zajmowało w „Anhellim“ i w „Lilli,“ — określenie swego stanowiska wobec Polski i przeciwstawienie siebie innym — to teraz stanowi jeden z głównych tematów jego poezyj. W Ks. Marku, Agisie, Zborowskim, Zawiszy, — wszędzie przedstawia otoczonego nimbem świętości bojownika idealnej ojczyzny, wszędzie przedstawia stosunek jednostki do narodu analogiczny — według jego przekonania — do własnego. Trzeba takiego wstrząśnienia, jakiem była rozmowa z Mokryną Mieczysławską, by utwór patryotyczny odrzeć z charakteru osobistego.

Ale w miarę jak rosła w jego oczach Polska idealna, rosło też jego własne stanowisko. I starając się ideał Polski określić i historycznie i filozoficznie uzasadnić, stara się też określić i historycznie i filozoficznie uzasadnić swój stosunek do niej (w „Królu-Duchu“), określić i wypełnić tę rolę przewodnika narodu, którą sobie uzurpował przy końcu V pieśni „Beniowskiego“ w pojedynku poetyckim z Mickiewiczem.

Bojownik Polski idealnej — jedyny według przekonania własnego, co stoi przy sztandarze dawnej ojczyzny — uważa siebie za jednego z „Królów Duchów“ Polski i to za tego, który jej pierwszy drogę wskazał i w jej postępie do ideału zdziałał dla niej najwięcej.

A teraz posłannictwo wobec niej spełnia, odsłaniając ideę jej, jej misyę i dając wytłómaczenie tajemnicy jej istoty i tajemnicy świata.

Jak tułającym się na obczyznie Polakom, tak i jemu wśród mistycznych dociekań na pozór obcych sprawie polskiej, „przyświeca myśl, że ojczyznie służy.“ Mówi o tem w „Genezis z ducha:“

„Albowiem na tych słowach, że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, a nic dla celu cielesnego nie istnieje... stanie ugruntowana przyszła wiedza świata i *Narodu mojego*... a w *jedności wiedzy* pocznie się *jedność uczucia*... i widzenie ofiar, które do ostatecznych celów przez ducha Świętej ojczyzny prowadzą.....

„Boże Ojcze... spraw, aby ta jedyna droga rozwidnień i oświeceń, droga miłości i wyrozumienia, coraz mocniej jaśniała wiedzy słońcami... i *lud Twój wybrany, a drogą bolesną teraz idący, do królestwa Bożego doprowadziła.*

Posłannictwo wobec Polski spełnia więc — jako autor „Genezis z Ducha“ i „Króla-Ducha.“

I posłannictwo to spełnia też, utrzymując ducha swego na wyżynach świętości, bo wierzy, że od czystości i wielkości „Króla-Ducha“ zależy los narodu.

Chociaż przeminął dlań już okres melancholii i bolesnego patryotyzmu „Anhellego,“ cierpi on i jako „Król-Duch;“ nie oszczędza mu los przeciwności, (— smucić go musi brak zrozumienia u matki, niesnaski i rozłam w Kole, zarzut Niewiarowskiego, że polską sprawę, jako podrzędną traktuje, rozwianie się nadziei roku 1848—) a podniesienie ducha okupuje poeta walką z samym sobą.

„Cierpię — pisze do Krasińskiego — bo mam wielki cel przed sobą, a sił mi braknie.“

„O Polacy — skarży się w pamiętniku — gdybyście widzieli, przez ile mąk serdecznych otrzymuje się wodzowstwo narodu.“

Bolał nad tem, że naród nie dorósł jeszcze do wysokości idei polskiej i że między poetą a ziomkami ciągle istniało przeciwieństwo. Z boleścią wołał:

Ciągle powtarzam, że kraj się już pali
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
A to się pali — tylko serce moje!

Ale nawet w chwilach zwątpienia nie myślał o porzuceniu posłannictwa:

O tak! nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup, leżąc w grobie, zbrzydła,

Potargam wprzódy ją pieśnią na pierze
Położę wprzódy na pieśniane skrzydła.
Porwę ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
Puszczę — jeżeli żywa, to poleci. (Poeta i natchnienie).

W miarę trwania epoki mistycyzmu ustalała się jednak w Słowackim wiara w zmartwychwstanie Polski idealnej i dowód życia jej widział we własnej swej roli. W brulionie listu do Czartoryskiego [1]) pisał o duchu Polski, „bez którego, nawet po wskrzeszeniu cielesnem Polski, Polskiby prawdziwej na świecie nie było:“

„Ten duch wywołany już, Mości Xiąże — ten duch już wstał.“

A w tym samym liście pisał też:

„Zaprawdę — w tonie listu tego czujesz zapewne W. X. M., że już jest Polska.“

Swój idealny patryotyzm najlepiej określił Słowacki w liście do matki z dnia 22 stycznia 1848 r.:

„Jestem człowiekiem, który ma une idée fixe i w niej żyje, i żyje póty, póki w niej żyje, a bez niej żyćbym się nie zgodził nawet w raju, *nawet w Polsce, gdyby ona tą ideą nie była.*“

Wśród owych objawów mistycyzmem zabarwionej miłości Polski idealnej od czasu do czasu brzmi ton zwykłego materyalnego patryotyzmu, co kocha ziemię i rodaków w ich rzeczywistej, pozbawionej mistycznych blasków istocie — ton dziwnie prosty, szczery i chwytający za serce.

Tęskni poeta całem sercem za krajem, za rodzinnemi okolicami nad Ikwą i woła do Zosi Bobrównej:

Wróć mi więc z kraju taką, jakby z nieba!

Gdy mu los pozwolił raz jeszcze stanąć na polskiej ziemi, pisze z głęboką radością:

„Ja sam się dziwię, że tu jestem, że oddycham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina, że widzę chłopki polskie na wozach i po kościołach. Bóg i Pan mój pozwolił mi widzieć to i uczuć, a ja używam tego szczęścia, o ile mi jest wolno, ważnością chwili teraźniejszej uciśniony“ (Poznań, 2 Dzień Św. 1848).

[1]) Ogłoszonego przez prof. Tretiaka w „Pam. lit.“

Zastanawiając się nad ewentualnym przyszłym swym żywotem ziemskim, powiada:

Jakiego kraju i jakiego nieba
Światło powita mię w progu żywota,
Nie wiem—lecz radbym żył z polskiego chleba.

A Szczęsny Feliński, donosząc Teofilowi Januszewskiemu o śmierci poety, pisze:

„Pytał, czy nie znam jakiego ubogiego rodaka, któryby chciał sypiać u niego, gdyż czuje, że śmierć się zbliża, a wolałby, żeby mu oczy zamknął rodak, niż obcy.“

*

* *

Starałem się przedstawić wiernie ewolucyę patryotyzmu Słowackiego i określić zasadnicze jego pierwiastki, a zarazem oświetlić odpowiednio utwory, w których charakterystyczny wyraz znalazła miłość ojczyzny, i zawarte w nich idee patryotyczne powiązać w organizm jednolity i konsekwentny w swym rozwoju.

Jeżeli staranie to nie doprowadziło do wyczerpania i rozstrzygnięcia kwestyi patryotyzmu Słowackiego, niechaj usprawiedliwieniem będzie ta okoliczność, że trudno o sąd stanowczy i wyczerpujący w analizie rozwoju duchowego poety, że często poprzestać w niej trzeba na hipotezie, zwłaszcza gdy chodzi o ducha tak skomplikowanego, jak Słowacki, tak subtelnego, tak usuwającego się niekiedy z pod ścisłej, logicznej analizy.

Juliusz Kleiner.

# Unarodowienie teatrów warszawskich.

Hasło takie padło na Placu Teatralnym, a nawet znalazło już swój plastyczny wyraz w uczczeniu Mickiewicza, w wystawieniu „Powrotu Posła“ Niemcewicza i „Bogusławskiego i jego sceny“ Rapackiego w teatrze Rozmaitości.

Jakim sposobem stać się to mogło i jaka droga prowadzić ma nadal od hasła do czynu w teatrze, trzymanym dotąd w charakterze instytucyi rządowej?

Odpowiedź na to znajdziemy dziś wszędzie, w całem państwie, którego sytuacya, jedyna może w dziejach, miniaturowemi rysami odbija się w naszym teatrze. Na te znamienne, mikrokosmiczne reprodukcye urzędowych prądów, nastrojów i paroksyzmów; na to przedrzeźnianie w drobnem administracyjnem lusterku wielkostylowych ruchów wahadła politycznego między reakcyą a liberalizmem, zwracałem już niejednokrotnie uwagę czytelników „Biblioteki.“ Obecny stan teatrów warszawskich jest jedną więcej, dziwnie plastyczną illustracyą stwierdzonych oddawna analogij.

Z jednej strony biurokracya, rozpaczliwie czepia się strzępów władzy i przywilejów, które jej się z rąk wymykają; z drugiej, piękna emanacya duszy narodowej — sztuka, zrzuca pęta urzędnicze i wolnem słowem przemawiać chce do tłumów z wolnej sceny.

Chce. — Czy może? Nikt w tej chwili o to nie pyta — i to jest bodaj najcharakterystyczniejsza ogólnej sytuacyi cecha. W społeczeństwie, które przez dziesiątki lat oduczano chcieć, wola doszła do takiego stopnia natężenia, iż sama stała się jakby

skoncentrowanym czynem. Takiego czynu jesteśmy w tej chwili świadkami w teatrze, gdzie on obudził prawdopodobnie pewne zdumienie tam nawet, skąd wyszedł. Jakto? Więc to tak łatwo przyjść mogło? szepcą z pewną jeszcze trwogą, nie dowierzając prawie temu, co się spełniło, sami twórcy faktu dokonanego.

Nie dziwmy się ich zdziwieniu. W ciągu tak długiego czasu mieli w rękach losy sceny polskiej i nie domyślali się tego, i nie spożytkowali, dla zbliżenia teatru ku idealniejszym jego celom, faktycznej władzy, jaką z natury rzeczy posiąść musieli wobec nieudolności biurokratyzmu! Od tak dawna przywykli własną martwotę i apatyę osłaniać argumentami zewnętrznego ucisku!

Nie dziwmy się ich zdziwieniu, ani nieodzownemu w pierwszej fazie wyzwoleńczych uniesień chaosowi pojęć i rojeń o dalszych losach teatru polskiego i o stosunku do odrodzonej sceny tych, którzy wydali pierwsze do tego odrodzenia hasło. Przejście od rządowej opieki do autonomii sceny, bądź pod kierunkiem samorządnego miasta, bądź pod patronatem komitetu obywatelskiego, bądź wreszcie pod dyrekcyą prywatnego przedsiębiorcy, było już na tem miejscu, w różnych swoich kombinacyach, przedmiotem obszernego rozpatrywania. Przyszło to rozpatrywanie łatwo na realnym gruncie stosunków miejscowych, lub też takich, które gdzieindziej, poza krajem, dają mniej więcej konkretny materyał do praktycznych uwag. Inaczej się rzecz ma, gdy idzie o coś niezależnego od takiej lub innej administracyi, nawet od takiej lub innej dyrektywy artystycznej; o coś prawie oderwanego, bo mającego źródło w duszy zbiorowej — o unarodowienie teatru. Tu myśl i uczucie innemi zgoła bujać zwykły szlakami; nie trzeba więc mieć do nich pretensyi, gdy się czasem, chwilowo i na manowce zabłąkają.

Błędnych ogników nie brak. Oto wszystkie siły społeczne w całem państwie budzą się do życia pod znakiem zrzeszenia, wytwarzając nieznaną dotychczas potęgę do walki ze starym porządkiem. Cóż naturalniejszego nad wniosek, zasuggestyonowany w atmosferze zjednoczeń i związków: że stowarzyszenie artystów dramatycznych będzie również owym zbawczym czynnikiem, który odciśnie na scenie warszawskiej narodowe piętno? Rozprawiano tedy nad stowarzyszeniem, postanowiono zespolić się, uchwalono w rezultacie rzecz samą przez się dobrą, zapominając tylko, że w stosunku do sceny i jej kierunku, jestto wlewanie do starych miechów nowego wina, powrót do utożsamiania istoty, treści, zadań teatru z hegemonią aktorstwa. Cóż stąd, że tej hegemonii projektowano nadać wielki styl stowarzyszenia Komedyi Francuz-

kiej, kiedy ten styl, artystycznie rozważany, należy i w Paryżu do przeszłości wobec scen, odrodzonych nowożytnemi reformami, a pod względem społecznym nie może mieć u nas żadnego wpływu na unarodowienie teatru.

Bo stowarzyszenie na nim wzorowane byłoby w Warszawie, jak jest i w stolicy Francyi, stowarzyszeniem, bądź co bądź, zawodowem, które przy najlepszych intencyach ze strony stowarzyszonych, musiałoby siłą rzeczy popchnąć sprawy teatralne w kierunku interesów aktorskich, zwykle sprzecznych z naturą teatru, urzeczywistniającego swoje ideały twórcze jedynie — w literaturze.

Gdzież jest w tej nowej organizacyi teatrów literatura; co z nią zrobiono, jakie jej miejsce zapewniono w projektowanym ustroju? Głucho jakoś o tem; a przecież nawet przy kopiowaniu aktorskiego samorządu Komedyi Francuzkiej, z konieczności trzeba było natknąć się na kierownicze w niej przedstawicielstwo literatury w osobie p. Claretie.

Ale tu właśnie szkopuł. Łatwiej może było w dzisiejszych okolicznościach wyswobodzić się z więzów biurokracyi; łatwiej sięgnąć po samorząd administracyjny i nawet kancelaryę przekształcić na dyrekcyę, aniżeli unarodowić repertuar — a tylko przez literaturę teatr może być unarodowiony. Tymczasem między *chceniem* a *możnością* murem stoi — cenzura.

## I.

Mur dotąd nie obalony — bo przez wyłom, z którego miała korzystać prasa, nie wciśnie się wolność na deski teatralne. Najprzód widzimy codzień na co przydał się prasie ten wyłom, strzeżony przez „wzmocnioną ochronę“ paragrafów kryminalnych; a potem — w przypuszczeniu idealnej nawet ustawy o cenzurze, scena zostanie zawsze na „prawach wyjątkowych.“ Znane są pod tym względem zapatrywania wszechpotężnego do niedawna Komitetu cenzury. Pamiętamy wszyscy konferencyę w teatrze na próbie jeneralnej z krawcami: w jakiby sposób należało skrócić lub zgoła odrzucić wyloty kontuszów, żeby Polacy, nawet przebrani tylko i ucharakteryzowani, nie pozwalali sobie w ruchach „niepotrzebnych rozmachów;“ nie zapomnieliśmy podejrzeń, obudzonych po przebudowaniu teatru Wielkiego z powodu namalowanego na kurtynie

wstylu gobelinowym starca w koronie, w którym malarz „upostaciować miał Króla Polskiego;“ tkwi nam w pamięci owo nadzwyczajne rozporządzenie, nakazujące bohaterowi „Hrabiny“ Moniuszki, wejść na scenę na drugiem przedstawieniu opery z kaszkietem pod pachą, ponieważ na pierwszej reprezentacyi ukazanie się ułana w kaszkiecie na głowie, wywołało niepokojące oklaski. Następujące po sobie generacye przekazywać będą szeregom pokoleń opowieści o owych „racyach stanu“ zabraniających Słowackiemu występować na afiszach pod całkowitem nazwiskiem, a bohaterom jego zjawiać się na deskach teatralnych w monarszym majestacie; i wnuki nasze jednym wybuchem śmiechu przyjmą te krążące z ust do ust biurokratyczne pomysły. Pomijam rozmaite późniejsze zastosowania słynnych, mniej więcej „sekretnych okólników;“ pomijam różne zabawne pseudonimy, któremi posługiwać się musiał książe Józef Poniatowski, albo Stanisław August, niby urzędową przepustką przez granice repertuarowe, — poza temi bowiem wszystkiemi śmiesznościami, wplecionemi nakształt intermedyów komicznych do tragedyi myśli polskiej, stać ma niby jakaś zasada, domagająca się z całą powagą, żeby ją brać na seryo.

Cenzura wytworzyła dla myśli polskiej trzystopniową kontrolę. Książka, dziennik, teatr odmiennej podlegają rewizyi. Książkę czyta się w odosobnieniu; wrażenie niekiedy odbiera się silne, ale pozostaje ono indywidualnem, nie łatwo udzielającem się rzeszy, można więc względniej obejść się z autorem i pozwolić mu pobujać nawet w krainie historyi, nawet na stopniach królewskich tronów. Gazeta krąży wprawdzie szybko i odrazu w mnóstwie rąk, lecz nawałem wrażeń niszczy ich trwałość, neutralizuje siłę; myśl wytryskująca dziś olśniewającą światłością, gaśnie jutro, aby ustąpić nowej błyskawicy. Wygląda to czasem jak burza, niekiedy nawet groźbą piorunów zdaje się pogrzmiewać; ale wszystko trwa krótko, mija prędko i proteuszową zmiennością swoją zażegnywa niebezpieczeństwo. Inaczej z teatrem. Teatr wskrzesza przeszłość w perspektywie mądrości dziejowej; potęguje życie teraźniejszości w drgającej prawdą plastyce; okiem poety-widuna rozdziera tajemnicze mgły, zasłaniające przyszłość—i spełnia to wszystko w realnych konturach, w żywych barwach, w dotykalnych kształtach, wobec tłumu, w którym, od pierwszego wymówionego na scenie wyrazu, wytwarza się jedna zbiorowa dusza, poddająca się całkowicie, niepodzielnie płynącym stamtąd wrażeniom. Nad źródłem tych wrażeń wypada tedy szczególną rozciągnąć baczność. Nikt jeszcze nie zro-

bił rewolucyi po przeczytaniu książki albo dziennika; ale Bruksella powstała w 1830 r. po przedstawieniu „Niemej z Portici.“

Takie mniej więcej były konsyderacye cenzury nad różnemi formami twórczości literackiej; takiemi w dobie zadekretowanej wolności słowa pozostały dla teatru i prawdopodobnie owa niefortunna brukselska legenda wyparła niedawno jeszcze z repertuaru, po pierwszem przedstawieniu, operę Giordana „Andrzej Chenier,“ a poemat Żuławskiego „Eros i Psyche“ skróciła o jeden obraz z czasów wielkiej rewolucyi francuzkiej. Dochodzenie jaką w tem wszystkiem odgrywa rolę ideowa obrona zagrożonej rzekomo „państwowości,“ a jaką — pospolity biurokratyczny nałóg, zadalekoby nas zaprowadziło; to jedno wszakże stwierdzić można niezawodnie z materyału faktycznego, który nagromadziły stosunki z cenzurą, że nikt tam nigdy nie wierzył naprawdę w powtórzenie w jakichbądź formach 1863 roku i że pod osłoną udanej w to wiary, wytknięto sobie cele, zmierzające przedewszystkiem do myślowego odcięcia narodu, zresztą obezwładnionego zupełnie, od jego dziejowej przeszłości. Żeby zaś skuteczniejszą była ta operacya, dokonywana z całą systematyczną konsekwencyą jednocześnie na wielkiej poezyi narodowej z ubiegłej doby, przed którą zamknięto całkowicie drogę do repertuaru i na późniejszych poetach, którym łamano skrzydła ilekroć próbowali wzlotów w krainę historyi, — trzeba też było odpowiednio urobić teraźniejszość. I urabiano ją celowem zacieśnianiem ram repertuarowych, wypierając z nich wszystko, cokolwiek tylko potrącić mogło o palące sprawy społeczne i zwrócić oczy szerokiej publiczności na trudny do wytrzymania ucisk we wszelkich stosunkach życiowych. Nietykalną stała się cała kategorya kwestyj, wytworzonych tym uciskiem; nietykalnemi uczyniono cały zastęp złowrogich postaci, nadających przemocą kierunek życiu społeczeństwa i popychających je do tragicznych konfliktów; umilknąć musiała zarówno satyra, która gdzieindziej w podobnej sytuacyi znalazłaby gotową kopalnię nieocenionych typów; nie odzywał się dramat, bo mu zakneblowano usta żeby nie krzyknął tam, gdzie krzyk jego mógłby wywołać niepożądane echa. Repertuar mieszczański, a w nim niewyczerpane waryacye na temat wiarołomstwa — oto, co najlepiej dogadzało nadzorującej myśl i uczucie kontroli. Miało to podwójną zaletę: najprzód działało rozmiękczająco na charaktery; a potem przez tłómaczoną literaturę kosmopolityzowało je potrochu na najdostępniejszem polu zmysłowych sensacyj. Chodziło tu bowiem tymczasowo o „odpolszczenie“ społeczeństwa; rusyfikacya, — jak mnie-

mali „działacze“ w tym kierunku — przyszłaby później. Oczywiście, że akcya cenzury nie mogła pozostać bez śladów na twórczości oryginalnej; literatura dramatyczna, powtarzająca w wyblakłych odbiciach klisze repertuaru francuzkiego jałowiała i do coraz płytszego spadała poziomu; kto zaś chciał spojrzeć w świat swobodniej, szerzej, głębiej, wyżej i rzucić na scenę obraz życia przez pryzmat duszy, nieskrępowanej żadnemi więzami, ten szukał sobie teatru „za kordonem,“ gdzie nie panował terror „okoliczności miejscowych.“

Można-ż teraz wystawienie „Powrotu posła“ i sztuki Rapackiego „Bugusławski i jego scena,“ w której Stanisław August nie potrzebuje już przekradać się na scenę za cudzym paszportem, — uważać jako stanowczy zwrot w historyozofii cenzury? Logicznie rozumując, — takby należało wnosić. Trudno przypuścić, ażeby pod parciem siły wypadków pewne biurokratyczne argumenty ostać się mogły; żeby niemi można było bronić stanowisk, gdzie stoi się już jak na straconej placówce, zwłaszcza gdy całe społeczeństwo, określiwszy jasno swój do państwa stosunek, odjęło tym posterunkom wszelkie strategiczne znaczenie. Co naprawdę przeszkadzać mogą dzieje Polski na scenie, od której publiczność domaga się żeby przez literaturę i sztukę dała ten sam wyraz duszy narodowej, do jakiego, w zasadzie, przyznano społeczeństwu prawo we wszystkich jego życia objawach? Ale nietylko wzgląd praktyczny ma tu swoją wagę; jest inny, natury ideowej, który nie powinienby zostać bez wpływu w sferach przetrząsających myśl polską. Oczywiście, że nikt nie może mieć do cenzury pretensyi żeby interesowała się rozwojem literatury polskiej, zwłaszcza w teatrze rządowym; ale wolno przecie mniemać, że nawet do urzędniczej inteligencyi znaleźć mogą, bodaj minimalny dostęp, powiewy nowego życia, przenikające na wskroś całe państwo; i że to minimum odżywczych pierwiastków odezwie się w sumieniu biurokratycznem przynajmniej prostem przeświadczeniem o ujmie, jaką nawet samej idei „państwowości“ przynoszą inkwizytorskie instynkty. Gdyby takie uświadomienie stało się faktem, kierownictwo teatrów warszawskich miałoby niewątpliwie ułatwione zadanie. Ale zanim się to stanie, a nawet jeżeli się stanie, jak sobie ma to kierownictwo poczynać w trudnej, mimo wszystko, sytuacyi?

## II.

Bo nie łudźmy się. Zniesienie całkowite cenzury, czy też nastanie w niej pomyślniejszych stosunków, nie jest jedynym czynnikiem w sprawie unarodowienia repertuaru. Teatr, dbający o swoją godność i zdążający ku wyżynom sztuki nie może i nie powinien pod hasłami taniego patryotyzmu wyrzekać się piękna w literaturze i zejść do roli spekulanta, wyzyskującego wrażliwość tłumów na łatwe efekty. Unarodowienie sceny, — to coś więcej niż barwne tło kontuszów, żupanów i czupryn podgolonych; niż zamaszysty gest ku wąsom, wylotom lub karabeli; to oddziaływanie przez teatr na duszę narodową wszystkiem, co z niej wyzwala najszlachetniejsze pierwiastki i spotęgowane artyzmem wciela w życie, jako jedną więcej odradzającą siłę; to uprzytomnienie na deskach teatralnych polskiej myśli, polskiego uczucia, polskiego charakteru w dobrych i złych zwrotach ewolucyjnych, przez jakie historya prowadzi ciężko doświadczany naród; to rodzaj publicznego rachunku sumienia, po którym naród poczułby się lepszym, silniejszym i ufniejszym w przyszłość. Pojęte w ten sposób unarodowienie ogarnia zatem nietylko tak zwane „sztuki patryotyczne," sięgające do dziejów Polski, lub wysnuwane z pewnych suggestyjnych motywów, lecz i literaturę współczesną, przedstawiającą całkowitą psychikę narodową w świetle teraźniejszości — i tu dopiero rozpoczynają się istotne kłopoty kierownictwa.

Dopóki sięgać można do wielkiej skarbnicy poezyi romantycznej, bogactwo wydaje się niewyczerpanem; ale gdybyśmy nawet zdobyli możność korzystania z tych bogactw, — to w końcu wyczerpać się one muszą, a wtedy pustka jakaś przygnębiająca otacza stopniowo kierownika. Po Fredrze (ojcu), Korzeniowskim, Blizińskim i Fredrze (synu) tło w teatrze blednie; coraz niklejsze na niem kontury falują, chwieją się i rozpływają w wyblakłym kolorycie; aż przychodzi chwila gdy iści się w teatrze prawie dosłownie marzenie, niegdyś sformułowane w sferach kontrolujących myśl i słowo: „literatura Polaków powinna stać się tak szarą, bezbarwną, żeby w tej szarzyźnie nie było widać nic." I żyjemy wtedy istotnie parafrazami Augier'a, Dumasa, Sardou; Warszawie paryzkiej na scenie przyklaskuje w widowni Paryż

warszawski; kwestya czy mąż ma kochankę, czy żona ma gacha i kto kogo najefektowniej oszukuje, jest dla nas sprawą pierwszorzędnej wagi; a przez te francuzko-polskie sploty, opasujące repertuar, przypadkiem chyba przeciska się jakiś promyk z szerokiego świata idei, jakiś powiew od szczytów myślowych czy uczuciowych. Wiemy już dla czego tak było; cóż stąd, kiedy przyczyna nie odmieni samego faktu, a z faktu kierownik niewiele uszczknie dla dzisiejszej chwili „na pokrzepienie serc," jeszcze mniej znajdzie tego, coby w jakiejkolwiek fazie uplastyczniało duszę narodu, bo dusza skryć się gdzieś musiała w niedostępne dla oka widza tajniki.

Wyciąga wreszcie ów kierownik ręce z utęsknieniem do „młodej Polski" i wstępuje w niego otucha; znalazł się wobec oryginalnych talentów, a wszakże w talentach, grupujących się pod taką nazwą, musi tkwić pierwiastek narodowy. Zapewne; tylko w jakich sferach twórczości szukać tego pierwiastku? Czy tam, gdzie para kochanków, oderwanych od wszelkich warunków miejscowych, czasowych, rasowych i społecznych w lubieżnych spazmach rozkoszy tęskni do „absolutu," a nie osiągnąwszy go, *triste est* i fizyologię swego smutku inscenizuje z tragicznym patosem, jako zagadkę wszechbytu? Czy tam, gdzie rozgrywa się dramat impotencyi artysty, szukającego w misteryach erotyzmu tajemnicy utraconej siły twórczej? Czy tam, gdzie młodość, odgrodziwszy się od świata czterema ścianami kawiarni, z dymnych jej obłoków kształtuje swoje ideały, a poza temi murami nie widzi w życiu nic, prócz „społecznego tramwaju," pełnego „wstrętnych" filistrów, w którym jest się tylko przygodnym pasażerem, z prawem wysiadania gdzie i komu się podoba, a z obowiązkiem naplucia wszędzie ile tylko śliny wystarczy? Czy tam, gdzie kobieta, ciskając konwulsyjne klątwy na rodzinę za „marnowanie" jej „skrępowanej" indywidualności w „domowych kojcach" córki, żony i matki, woła, wyprężona w histerycznych ciągotach, o prawa kochanki? Co z tego wszystkiego przemówić ma *dzisiaj* do publiczności? Może arystokracya „nadludzkich" subiektywistów, brzydzących się trzodą społeczną? Może demagogia społeczników, mordujących indywidualizm na ołtarzach socyalnych, albo osobliwsza psychologia wspólnej u jednych i drugich pogardy dla „burżujów;" lub może rozedrgane w atmosferze pessymizmu niszczące tchnienie *nirwany*? Niewiadomo dokąd się zwrócić, — zwłaszcza gdy z różnych stron rozlegają się echa urągań nad „filisterskiemi ideałami tak zwanej *Heimatkunst* i *Heimatlitteratur*," powtarzane

za Berlinem i Monachium, które, w ostatnich czasach, podobnie jak przedtem Paryż, były Mekką i Medyną „młodej Polski.“

A jednak trzeba się liczyć z tą literaturą, będącą niewątpliwie i u nas odbiciem przemian, jakie odbywają się na pograniczu dwóch stuleci w duszy nowożytnej; nie można zamknąć uszów na te krzyki buntu, głośne we wszystkich dzielnicach twórczości, na te wołania o „wyzwolenie,“ bodaj z pochodnią nienawiści w ręku, z więzów „historyzmu,“ byle życie ukształtować według protestu zrewolucyonizowanego *ja*. Trzeba się temu wszystkiemu przysłuchać choćby tylko dla tego, że w takiem rzucaniu naokoło pysznych wyzwań rozpętanego indywidualizmu, odzywa się coś z *liberum veto*, pokutuje grzech narodowy, który, jeżeli niegdyś był wrogiem przyszłości, dziś przybiera pozę jej rycerza i cnotą się mieniąc, z niej chce czerpać siłę twórczą. Czekać tedy warto a śledzić pilnie świetne niekiedy momenty tej twórczości, badając, co one przyszłości przynieść mogą.

Ale tymczasem żyć trzeba w teatrze jakąś strawą; a nie można przytem zapominać, że ma się do czynienia z publicznością, ogarniętą uczuciami, z których sama nie dobrze zdając sobie sprawę, nie wie naprawdę czego od sceny wymagać. Wie tylko, że co innego niż dotąd znaleźć tam powinna; wie, że naokoło niej wszystko wre, kipi życiem, wytężonem w jednym kierunku, więc łowi chciwie uchem ze sceny echa tego wrzenia i nie chce patrzeć na to, co ją do niedawnej jeszcze chwili interesowało.

„Ptaszyna“ p. Henryka Bataille'a? A cóż ją to może obchodzić, choćby sztuka, z dużym talentem napisana, była bardzo udatnie grana przez panie Siennicką, Teklę Trapszo i panów Żelazowskiego, Śliwickiego i Wostrowskiego? Na olbrzymim obszarze państwa, do którego losy nas przykuły, w tragicznym konflikcie zmagają się dwie siły: „potęga ciemności“ wcielona w biurokracyę, z rozbudzoną samowiedzą, narodu, wpatrzonego w jutrznię wolności; od wyniku tej walki przyszłość nasza w pewnej mierze zawisła, — a my interesować się mamy przygodami pani baronowej de Rysbergue, rozkochanej w przyjacielu i rówieśniku swego syna i prowadzącej romans podstarzałej mężatki w obecności własnych dzieci, pod dachem ich ojca! Na rozdrożu dziejowem historya o sfinksowem obliczu rzuca stumiljonowemu narodowi pytanie: absolutyzm czy konstytucya? na które i nam sądzono odpowiadać, — a nas wiozą do Algieru, żebyśmy tam byli świadkami kończącej się cudzołożnej idylli między przywiędłą już „maman Colibri“ a znudzonym jej kochankiem i żebyśmy słuchali rozmyślań przeczuwającej swe blizkie opuszczenie heroiny nad

nietrwałością miłosnego szczęścia, wypowiadanych do kokoty emerytki! Cały nasz kraj wstrząsają konwulsye przesilenia, w którem odporność narodowego organizmu pokonywać musi infekcyę socyalistyczną — a od nas domagają się roztkliwiań nad skruchą pani de Rysbergue, zjawiającej się w domu ożenionego tymczasem syna, aby uronić kilka łez pokutniczych nad kołyską wnuka! Był czas kiedy zaciekawiłby nas *paryzyanizm* atmosfery, przeniknionej grzechami życia w „szerokim stylu;“ kiedy z pewnem zadowoleniem przysłuchiwalibyśmy się dyalogowi, pełnemu dowcipu i ciętości, ostrzonej na wszystkich kamieniach obrazy „burżuazyjnej“ etyki; kiedy zdobylibyśmy się nawet na wyrozumiałe współczucie dla porzuconej Dydony, na sentymentalne przywitanie powracającej do swej klatki „ptaszyny.“ Dziś brzmi nam to wszystko obojętnie, obco; dziś doznajemy w zetknięciu z tym światem wrażenia jakiejś niezdrowej suggestyi, którą odpycha dusza, spragniona prostoty — bo zdrowie tkwi tylko w uczuciach prostych, nie sfałszowanych surogatami rozwydrzonej wyobraźni. Sztuczne komplikacye psychologiczne są zwykłą cechą momentów rozkładowych, kiedy sumienie prywatne i publiczne, potrzebując kompromisów, skwapliwie czepia się wykombinowanych z mozołem odcieniów, przeciwieństw, zwrotów i odwrotów i z nich na swój użytek snuje subtelną tkankę sofistyki moralnej. Ogień wielkich przewrotów niszczy te delikatne hafty, zostawiając myślom, uczuciom jakby ryczałtowe kontury. Jest może pewna rewolucyjna bezwzględność w takiej prostolinijnej psychologii; ale wytwarza ją zwykle chwila, kiedy wszystko, zdążając do urzeczywistnienia jakiejś idei, biegnie ku niej najkrótszą drogą.

Ta psychologia przeżywanej obecnie doby tłómaczy dostatecznie zwycięstwo sztuki słabej, jaką jest „Powrót posła“ Niemcewicza nad utworem p. Henryka Bataille'a, bądź co bądź dobrze pomyślanym, zręcznie inscenizowanym i rzucającym niewątpliwie na deski teatralne „szmat życia“ współczesnego. Wszystkiego tego niema w komedyi twórcy „Śpiewów historycznych.“ Postaciom dodatnim, uosabiającym ideał cnót obywatelskich, brak ciała i krwi; blade i bez życia, mają fizyognomie poruszających się automatycznie ogólników. Ujemne typy, z rozmachem molierowskim malowane, wydatnością niektórych rysów potrącają o karykaturę, zatem o „szmacie życia,“ o ileby ono się wyrazić miało w osobistych sprawach bohaterów, mowy tu być nie może. Natomiast krąży w nich życie polityczne, którego źródłem jest sam autor, rozdający swoim figurom role w udramatyzowanej satyrze i pełniący przy nich gorliwie obowiązek sufléra. Państwo pod-

komorstwo nie zajęliby nikogo bezbarwną swoją zacnością, gdyby nie byli oponentami: pan — w dysputce ze starostą Gadulskim, broniącym wszystkich staroszlacheckich przesądów i urągającym wszystkim postępowym dążeniom sejmu czteroletniego; pani — w akcyi przeciw zaletom fircyka Szarmanckiego do przyrzeczonej mu córki starosty, Teresy, którą kocha syn podkomorstwa, Walery, poseł na sejm, powracający właśnie do domu „podczas limity.“ Dysputa i opozycya uwydatnia oczywiście z większą wypukłością plastykę drugiej strony, jak się to zwykle dzieje tam, gdzie do charakterystyki przykłada rękę satyryk. Więc zakamieniały wstecznik Gadulski powtarza z całą zacofańczą swadą i skupia w swojej osobie wszystkie ówczesne, pełne żalu wspomnienia o saskich czasach, kiedy to: „człek jadł, pił, nic nie robił i suto było w kieszeni;“ gdy „bez żadnych intryg i najmniejszej zdrady“ — jeden poseł mógł wstrzymać sejmowe obrady, jeden ojczyzny całej trzymał w ręku wagę: powiedział „nie pozwalam“ i uciekł na Pragę. Cóż mu kto zrobił? jeszcze za tak przedni wniosek — miał promocyę i dostał czasem kilka wiosek.“ Więc wysławia elekcyę i całą zbrojną partyzantkę w obronie elektów. Byłoż z tem źle? Naprzykład „po śmierci Augusta wtórego,“ kiedy „ci bili Sasów, owi bili Leszczyńskiego; palili sobie wioski. No i cóż to szkodzi? Obce wojsko jak wkroczy, to wszystko pogodzi.“ Nie ustępuje też staroście w dosadności rysunku starościna, sentymentalna dama, z francuzka wychowana, wielbiąca Heloizę Rousseau'a, rozkochana w pięknych „pejzażach“ natury, istota pusta z duszą płytką, choć nie zepsutą, jak u modnego franta, którego kandydaturę do ręki starościanki gorąco popiera, przypuszczając w młodzieńcu pokrewną naturę. Zarozumiały samolub Szarmancki nie ma również powodu zazdrościć swoim protektorom szerokości konturów i żywości zabarwienia. Satyryk nie żałował mu kwaczu ani farb, używając do napiętnowania fizyognomii zwykłego sposobu — efektów przeciwstawienia. Kontrast, co prawda nie trudny był do osiągnięcia, skoro fircykowi dano za przeciwnika taką jak podkomorzyc maryonetkę; ale też Niemcewiczowi nie tyle o to chodziło, żeby jego bohaterowie żyli, ile raczej żeby wypowiedzieli wszystko, co podówczas zajmowało umysły, co rozgorączkowywało jednych a oburzało drugich. Staje tedy młode pokolenie do podobnej jak starsi słownej rozprawy, którą zaostrza życiowy bodziec: rywalizacya o względy starościanki. Rzecz prosta, że sprawa sercowa jest tu tylko wygodnym prywatnym motywem, wywołującym starcie publicznych antagonizmów; w tej zaś kolizyi znów jaskrawiej

wychodzi na jaw rozluźnienie obyczajów XVIII wieku, przeniknionych cudzoziemczyzną i pogardą dla wszystkiego, co narodowe aniżeli powaga i dostojność ideałów 3-go maja, których rzecznikiem ma być młody poseł Walery.

A jednak w tym teatralnym przyczynku do publicystycznej literatury sejmu czteroletniego, najsilniej może oddziaływa na dzisiejszego widza to właśnie, co tam z różnych niedomówień wytwarza perspektywicznie tło dziejowe; to, co zdaje się zapowiadać wielką i śmiałą zmianę w instytucyach Rzeczypospolitej. Niknie przedział stu kilkunastu lat, widownia łączy się ze sceną wspólnym nastrojem wyczekiwania na decydujące wypadki; sympatyzuje się z ludźmi, wierzącymi w podźwignięcie ojczyzny, choćby wiarę swoją w dydaktycznych wypowiadali frazesach; pogardza się tymi, co na drodze do odrodzenia piętrzą zapory z sobkostwa i prywaty, choćby satyryk z rozmysłem pokracznie powykrzywiał ich postacie; dusza spektatorów staje się rodzajem arfy eolskiej, zawieszonej nad nizinami teraźniejszości, na której echa, dolatujące z oddali stulecia, wygrywają dziwną jakąś muzykę przyszłości. I koi, wzmacnia ta muzyka, zwłaszcza gdy w wykonaniu uczestniczy grono takich wirtuozów, jak pp.: Leszczyński (Podkomorzy), Frenkiel (Starosta), Nowicki (Walery), Wostrowski (Szarmancki), i panie: Lüdowa (Starościna), Barszczewska (Podkomorzyna). Doskonały ten zespół odczuł, grając, całą odżywczą moc wywołanej przez logikę dziejów aktualności; nic więc dziwnego, że dzisiejszy kierownik dramatu i komedyi, p. Śliwicki, wystąpił z powtórnem zastosowaniem tej *sui generis* telepatyi historycznej, przedstawiając wkrótce potem sztukę Rapackiego p. t. „Bogusławski i jego scena.“

Szło tu naturalnie o inną aktualność, o uprzytomnienie chwili przełomowej w dziejach sceny polskiej. Nie można było wybrać na to stosowniejszego momentu, nad dzisiejsze w teatrach naszych przesilenie; nie można było wymowniej uplastycznić doli i niedoli sceny narodowej, jak w walce twórcy teatru polskiego z urzędowym monopolistą, kamerdynerem królewskim. Teatr polski miewał w różnych czasach różnych Ryxów, ale miał tylko jednego Wojciecha Bogusławskiego; wdzięczne więc podjął autor zadanie, dramatyzując kilka chwil z jego życia, które było życiem sceny narodowej.

P. Rapacki nadał pierwotnie swej sztuce nazwę „widowiska“ znalazłszy się w kłopocie co do kategoryi, do jakiej utwór swój miał zaliczyć. Sama natura przedmiotu nastręczała pod tym względem najrozmaitsze wątpliwości. Akcya odgrywa się na po-

sępnem tle konania Rzeczypospolitej; — wiemy jednak, że nieznać było nigdzie tej przedśmiertnej tragedyi, nie znać jej też w „Historyi teatru narodowego;“ spisywanej przez Bogusławskiego i stanowiącej jedyne źródło, z którego czerpać mógł p. Rapacki.

Bogusławski kochał kraj gorąco, namiętnie, do uwielbienia. Ale był najprzód synem swego narodu, w którego charakterze długo nie było śladu pesymizmu, a potem dzieckiem epoki przejściowej, nadającej ludziom giętkość i hart stali, aksamitną gładkość XVIII wieku i twarde demokratyczne dotknięcie XIX stulecia. Klęski ojczyzny czuł, ale im spokojnie patrzył w oczy; bolał nad ogólnemi nieszczęściami, ale nie umiał wobec nich rąk opuszczać i oddawać się rozpaczy; na wyłomie stał, gdziekolwiek mu los wyznaczył stanowisko; robił wszystko, co było w jego mocy, aby się na zajętej placówce utrzymać i nie było chwil tak krytycznych, nie było okoliczności tak ciężkich, z którychby czegoś dobrego dla swojej idei nie wydobył — wszystko to z niezamąconą na obliczu pogodą, z lekkim, nawpół dobrodusznym nawpół subtelnym uśmiechem, cechującym jego moralną fizyognomię. Ta pogoda udzielić się musiała i p. Rapackiemu w obcowaniu z bohaterem, który, jakkolwiek mógłby być zaliczonym do rzędu najniewdzięczniejszych dla dramaturga „bohaterów myśli,“ nie przysparzał autorowi pod tym względem trudności.

Dramatycznym motywem w postaci Bogusławskiego jest nie wewnętrzna kolizya, nie refleksyjny proces, ale akcya na zewnątrz, pokonywanie otaczających przeszkód. I jeżeli w czem tkwił szkopuł, to w ujęciu i związaniu rozproszonych epizodów walki, odbywającej się coraz gdzieindziej, bez widocznej spójni, jakby za podmuchem przypadku; w pochwyceniu ruchliwej, zmiennej fizyognomii głównego bojownika, który tak dalece był wszędzie, że ograniczenie areny jego działania choćby względną jednością miejsca, przykucie go dłuższe do pewnej chwili jakąś jednością czasu wymagało istotnej zręczności. P. Rapacki, trafnie wybrawszy moment, streszczający w sobie obywatelską doniosłość podjętego przez Bogusławskiego zadania, przedstawił kulminacyjny punkt walki narodowego pierwiastku w sztuce dramatycznej, dążącej do samoistności, z uciskiem monopolu, który wyłączną opieką otaczał cudzoziemczyznę. Kolizya założyciela polskiej sceny z właścicielem przywileju, Ryxem, zakończona zniesieniem na wielkim sejmie monopolu, to jest zwycięstwem Bogusławskiego — stanowi oś akcyi w utworze p. Rapackiego. Dla nadania tej akcyi odpowiedniego stopnia dramatycznego napięcia, musiał

autor poddać się pewnej niedogodności, to jest przedstawić stosunek spraw teatralnych do innych w ten sposób, jak gdyby te sprawy były istotnie osią, około której obraca się wszystko — nawet polityka. Ryx przybiera fizyognomię „czarnego charakteru;“ kwestya znaczenia przywileju teatralnego, którą agituje księżniczka z rodziny królewskiej, i która rozstrzyga się aż uchwałą sejmową, staje się sprawą niemal narodową. Wszystko to mogłoby dać podstawę do zarzutów, gdyby nie rys prawdy, na którym oparta jest cała ta kombinacya stosunków prywatno-publicznych. Kto zastanowi się nad tem jakie sztuka miała znaczenie za panowania Stanisława Augusta; i z drugiej strony, jaka młodzieńcza wiara apostolstwa artystycznego popychała Bogusławskiego do pracy około dźwigania sceny polskiej na narodowych fundamentach; kto wreszcie historycznie spojrzy na rolę, jaką od tego czasu teatr odgrywał aż do dni naszych w życiu narodu — ten nie zgorszy się takiem udramatyzowaniem pierwszych tego teatru początków, tem bardziej, że autor plastyczną charakterystyką postaci, zwłaszcza rzeszy aktorskiej, umiał je uczynić zajmującem.

W „widowisku“ p. Rapackiego przesuwają się kolejno światy: dworski, aktorski, szlachecki, nawet polityczny; autor usiłował spoić je wiązadłami intrygi, w której potrosze występują: i romantyczna przygoda aktorki z kasztelańskim synem; i sentymentalne zajęcie się kuzynki królewskiej młodym dyrektorem młodego teatru; i knowania przeciw scenie polskiej zausznika Stanisława Augusta; i zakulisowe sprawy między aktorami, podzielonymi na stronnictwa — a nad tem wszystkiem panuje, temu wszystkiemu ton nadaje główny bohater sztuki... Bogusławski. Postać założyciela sceny polskiej, odtworzona jest wiernie i przedstawia się tak, jak ją sobie wyobrazić można po przeczytaniu jego pamiętników, jak ją zresztą charakteryzują współcześni.

Bogusławski występuje w sztuce p. Rapackiego jako natura szlachetna, pełna zapału dla ukochanej idei, a zarazem przedsiębiorczej praktyczności w dążeniu do jej urzeczywistnienia. Inicyatywa myśli i stanowczość czynu kojarzą się w nim przy pomocy najszczęśliwszych od natury darów, między którymi talent grupowania około siebie ludzi i utrzymania ich zniewalającemi więzami wyższego umysłu i zacnego serca pierwsze zajmuje miejsce. Bogusławski podbija każdego, począwszy od króla, który go lubi, ceni i szanuje, aż do skromnej figury suflera, który ma dla niego cześć niemal bałwochwalczą. Od tej postaci jasnej, pogodnej, marzącej już wtedy z uśmiechem na ustach o lepszych sztuki dramatycznej zadaniach, wieje jakieś ożywcze ciepło, któ-

re też przenika utwór p. Rapackiego. Dwa szczególniej rysy uwydatnił autor w swoim bohaterze: obywatelskie dążenia, usiłujące nadać scenie podkład narodowy i artystyczne aspiracye dyrektora, dążące do utrzymania teatru na możliwie wysokim poziomie.

— Imci pan Bogusławski — mówi Ryx, gdy sprawę polskiego teatru wytoczył przed króla sam jego założyciel — jako aktor, literat i filozof z bardzo wysokiego stanowiska patrzy na powołanie sceny. Ja, człowiek poziomy, widzę te rzeczy w innem świetle. P. Bogusławski chce teatrem naród kształcić i roztkliwiać, a ja chcę go bawić i ciągnąć zyski; a że ludzie wolą w tych czasach uśmiać się i zabawić, aniżeli płakać i uczyć się, więc im trzeba dawać zabawę aby kieszeń mieć pełną.

— Jestto w istocie — odpiera Bogusławski — odpowiedź poziomego człowieka, jakim się nazwać raczył p. starosta. Rozmawiać z nim o powołaniu teatru, byłoby to samo, co rozprawiać ze ślepym o kolorach. Przyjdzie czas, że ten naród ocknie się z bezmyślnej zabawy i zażąda rachunku z chwil, niecnie mu skradzionych, a wtenczas, panie starosto porachujemy się z tobą.

Może przyszedł właśnie ten czas ocknienia, może nastała ta chwila obrachunku; może dlatego p. Śliwicki, wnikając w samą istotę sytuacyi obecnej, przybrał na siebie postać założyciela sceny polskiej i rozsnuwszy przed nami jej odysseę, zapragnął początki unarodowienia teatru przygotować przerwaną tej odyssei pieśnią; może dlatego artyści, wsłuchani w gorzką apostrofę Bogusławskiego do odstępców, skojarzyli się w stowarzyszenie, o jakiem myślał był niegdyś ojciec sceny polskiej, jeszcze przed moskiewskim dekretem Napoleona I-go, regulującym samorząd teatru Francuskiego; może dlatego wreszcie publiczność, ogarnięta sympatycznem wrażeniem, które wzmacnia jeszcze stylowa gra panów: Frenkla, Śliwickiego, Żelazowskiego, Leszczyńskiego Ładnowskiego, oraz pań: Siennickiej, Tekli i Ireny Trapszo, Leszczyńskiej, tłumnie przypatruje się temu „widowisku“ i skwapliwie pochwyciwszy nić historyczną, przerzuconą jej z tamtej strony stulecia, w podnieceniu czeka na takie samo zwycięstwo ideałów Bogusławskiego, na jakie spada zasłona w sztuce p. Rapackiego.

## III.

Czy to zwycięstwo zobaczy? Zapewne nie na tym gruncie, na którym stoją do dziś dnia teatry warszawskie, bo tam najtrudniej wytknąć jedyną drogę ku unarodowieniu sceny — unarodowienie repertuaru. Starałem się określić, co się w tem pojęciu mieścić powinno, publiczność zaś zajęła już wobec pierwszych usiłowań kierownictwa dość wyraźne stanowisko. Nie należy jednak tego stanowiska przeceniać, a raczej tłomaczyć go ciasno, jednostronnie; w tym bowiem kierunku, jak w każdym innym, jednostronność naraża smak publiczności na spaczenie, z krzywdą literatury, która w teatrze, prowadzonym artystycznie, musi najdonośniej się odzywać.

A nie może odzywać się głosem tendencyi, choćby ją najdostojniejsza chwila w służby swoje zniewolić chciała. Literatura, nawet jako *patriae ancilla*, wyzbyłaby się wtedy swej godności, którą frymarcząc dla przypodobania się widzom, ubliżałaby przedewszystkiem majestatowi swej Pani. Czy jednak za tem idzie, że ma się odstrychnąć od wszystkiego, co w tej dobie zdaje się wciągać ją w tragizm jakiejś wyrocznej sytuacyi? Nie, tysiąc razy nie. Tylko jest tendencya i tendencya. Jest pospolita przynęta, osłaniająca partactwo tandety, i jest coś, co wypromienia się wprost z duszy twórcy, skupiającej w sobie, jak w czarodziejskiej soczewce, całe piękno i całą grozę chwili, która się w niej odbiła. To *coś* może być poetyczną syntezą, mądrością dziejową, filozoficzną ideą; to „coś“ jest może w gruncie rzeczy po staroświecku pojętym *sensem moralnym*; ale to „coś,“ gdyby nawet podobało się komu nazwać je tendencyą, nie będzie nigdy skazą na prawdziwem dziele sztuki. Otóż potrzeba teatrowi przedewszystkiem takich prawdziwych dzieł sztuki, które unaradawiałyby scenę nie teatralną apoteozą patryotyczną, lecz ideałami, tkwiącemi w duszy polskiej, objawionej *sub specie aeternitatis*. Twórczości, powołującej je do życia, nie zacieśnią żadne granice czasu ani miejsca; gdziekolwiek wprowadzi nas poeta, w jakimkolwiek świecie: wczorajszym czy dzisiejszym, zamarłym czy żyjącym, pod jakiemkolwiek niebem znajdziemy się z nim razem, polskiem będzie tam to wszystko, co twórca nosi w sobie bezwiednie, jako schedę stuleci: kult dla dobra i sprawiedliwości; prawość publicznego sumienia, odczuwającego wszędzie cierpienia słabszych, protestu-

jącego zawsze przeciw ciemiężcom pokonanych, wrażliwego na wszelką krzywdę, gdziebądź wyrządzoną; polskiem będzie nadewszystko uwielbienie dla wolności.

Skąd wziąć takie dzieła, i gdzie są poeci, którzy je tworzą? Szukaliśmy ich już między dziećmi doby współczesnej i spotkaliśmy: albo odosobnionych w baszcie egotycznej samo-wielbicieli, albo zaprzepaszczonych w kosmicznych widzeniach tragików erotyzmu, albo wyjałowionych kosmopolityczną cyganeryą studentów literatury, albo muzyków przyszłości, komponujących socyalne symfonie na tematy nienawiści. Miałyżby to być ostatnie ich słowa? Trzebażby przypuścić, że w chwili, kiedy ku wielkiemu dziełu odrodzenia muszą być wytężone wszystkie moce twórcze, jedna tylko literatura dramatyczna bezwładnie opuści ręce?

Niepozwoli na to właśnie ta chwila, nie dopuści do tego moment dziejowy, który kryje w sobie zapładniającą siłę. Z pod działania tej siły nie uchyli się żaden talent tam, gdzie istniał rzeczywiście; nie wyzwolą się też od jej wpływu ci wszyscy, których duszę zaskoczył przełom w jej okresie mgławicowym. Jakim będzie ten wpływ, trudno oczywiście przesądzać; ufać jednak trzeba, że z chaosu przedstworzennego, wyłonią się jakieś nowe światy — może nawet już wyłaniać się zaczęły. Kto uważnie śledzi proces ewolucyjny w młodej twórczości, tego tu i owdzie zastanowić muszą pewne niespodzianki, ten nie może nie dostrzedz, że wobec imponującej afirmacyi narodowej, przycicha w literaturze negacya; że fanatycznych przeczników niepokoją sny o przeszłości, nawiedzają wizye przyszłości. Teraźniejszość zapewne zbyt natarczywie, bezwzględnie, despotycznie bije ich w oczy, by mogła już teraz stać się bodźcem twórczości, ale tragiczny jej zasiew zejdzie; pilnować go więc trzeba, bo plonem może być—wyczekiwany z utęsknieniem, choć dotąd nadaremnie, polski dramat, w którym pioruny nawałnicy współczesnej, oczyszczającej atmosferę, przetopią w nowe formy ideały historyczne i społeczne.

Trzeba tylko, żeby taki polski dramat, skoro się już narodzi, zdobył sobie publiczność. A to nie tak łatwo przychodzi, jakby się zdawało, i jeżeli kiedy, to w tym razie wypadłoby z powodu wszystkich naszych wywodów, przypomnieć przysłowie o rachunku, sporządzonym bez gospodarza. Ten gospodarz bowiem zajął w ostatnich czasach tak dziwnie odporną względem teatru postawę, że absenteizmem jego, opróżniającym kasy teatralne, mogła biurokracya własną nieudolność, własną samowolę osłaniać. Wobec pustych widowni zacierano ręce w pewnych

sferach ze złośliwem zadowoleniem; kto wie, może uda się zamknąć teatr polski i obwinić o to samo polskie społeczeństwo?

Co do źródła tych intencyj, ujawniających się na razie ostrożnie, prawie ukradkiem, nikt zapewne nie będzie miał żadnych wątpliwości. Ale nie o nie w tej chwili chodzi. Idzie o to, czy w tym wypadku publiczność jest istotnie bez winy?

Na usprawiedliwienie jej możnaby przytoczyć nie jedną okoliczność łagodzącą. Najprzód okres, poprzedzający w teatrze ostre objawy przesilenia, odznaczał się tak rozpaczliwą bezbarwnością, takim brakiem wszelkiej siły przyciągającej, że pustki w salach i kasach teatralnych mogłyby być uważane za naturalny wykładnik pustek w repertuarze. To, co się później działo, nie zachęcało również publiczności do odwiedzania teatrów; przy znanym sposobie wprowadzania u nas swobód konstytucyjnych, przy nietykalności osobistej, wyrażającej się w rewidowaniu a nawet turbowaniu po ulicach przechodniów przez przeciągające patrole, zaopatrzone w dyskrecyonalne pełnomocnictwa, stronienie publiczności od teatru wyglądało jakby konieczna odpowiedź władzom, które zarzucając społeczeństwu obojętność dla własnej sceny, nie zaniedbały nic, żeby je od niej odstręczyć. Wszystko to razem wzięte: i zmysł krytyczny, protestujący przeciw nicości repertuaru, i bardzo usprawiedliwiona niechęć do zajść ulicznych z rozzuchwalonem żołdactwem, a nadewszystko usposobienie moralne, stan duszy nie sprzyjający wogóle rozrywkom i zabawie — tłomaczyłyby dostatecznie abstynencyę publiczności, gdyby nie stwierdzony jednocześnie fakt wprost przeciwnej natury — tłumna frekwencya do teatru Nowości; gdyby nie smutny objaw znacznie jeszcze dawniejszy i mocno społeczeństwo nasze obciążający: obojętność ogółu dla opery polskiej.

Pierwszy z tych symptomatów dałby się jeszcze jako tako psychologicznie wytłómaczyć napadami depressyi, która chwyta się bodaj nawet kieliszka ordynarnego trunku byle tylko zapomnieć, byle w odurzeniu uciec myślą i uczuciem od dręczącej duszę niepewności. Ale zobojętnienie dla opery polskiej wyrodziło się w czasie i w warunkach, które nietylko niczem nie usprawiedliwiały takiego objawu, lecz przeciwnie, uczyniły społeczeństwo całkowicie odpowiedzialnem za losy dramatu muzycznego.

W obrachunkach z biurokratyczną administracyą naszych teatrów, jedynie opera polska stanowić będzie niewątpliwe jej plusy. Podźwignięto istotnie tę operę zarówno w personelu śpiewaczym jak i w oryginalnym repertuarze. Grono wykonawców liczyło takie talenty, jak panie: Kruszelnicka, Korolewiczówna,

pp.: Bandrowski, Didur i Leliwa; a i w dzisiejszym komplecie, gdzie figurują pani Zboińska, panowie: Drzewiecki, Dygas, Gorski i młodsze a obiecujące siły, zespół cały przedstawia się dodatnio; kompozytorowie polscy znaleźli również otwarty dostęp do sceny, gdzie nie szczędzono starań, ku wydobyciu z nowych dzieł najwydatniejszych piękności. Stało się to oczywiście nie dla naszych pięknych oczów, nie wskutek samorzutnego uznania w dyrekcyi praw publiczności polskiej do posiadania opery polskiej, ale poprostu pod naciskiem opinii, która systematycznie piętnowała krzywdzące dla tej opery protegowanie wszelakiej cudzoziemczyzny. Ustępstwo, zatem, zrobione opinii w tej sprawie, było krokiem podwójnie zręcznym: miało pozór liberalnego na kwestyę poglądu; było rodzajem okupu za podkopywanie finansów teatru rozrzutnością dla śpiewaków włoskich; na dnie zaś wszystkiego kryła się nadzieja podreparowania tych finansów frekwencyą publiczności polskiej na operę polską, o którą się tak wytrwale dopominała.

Wyrachowanie zawiodło. I to w jakiej chwili! Kiedy należało wszystkiemi siłami wyzyskiwać oportunistyczną politykę dyrekcyi; gdy można było decydująco wpłynąć na losy opery polskiej i w obronie jej posiąść najpotężniejszy argument: pełną widownię i pełną kasę — wtedy właśnie dostarczyliśmy dyrekcyi i sferom miarodajnym wręcz przeciwnego argumentu, skierowanego tam przeciw naszej operze; wtedy padały kolejno, jedno po drugiem takie dzieła: jak „Livia Quintilla“ Noskowskiego, „Manru“ Paderewskiego, „Marya“ Melcera, „Filenis“ Statkowskiego; wtedy pustkami świecił teatr na przedstawieniach oper z obcego repertuaru, śpiewanych po polsku (które wytargowano również ustawicznem nawoływaniem opinii); wtedy wreszcie dano dyrekcyi broń w rękę: możność dowodzenia na podstawie niewątpliwych faktów, że kampania w obronie opery polskiej była dziełem „kilku dziennikarzy“ i że prasa nie jest bynajmniej w tej sprawie wyobrazicielką potrzeb ani żądań powszechności polskiej.

Tak się rzeczy miały z operą. Czy coś podobnego nie stanie się z dramatem? Słyszę w odpowiedzi dwojaki argument: opera wymaga specyalnego zamiłowania do muzyki, którego widocznie nie ma publiczność warszawska; a co do dramatu, powodzenie „Powrotu posła“ i „Bogusławskiego“ jest pewną na przyszłość rękojmią. Replika nie będzie trudną. Dostarczy jej Filharmonia, gromadząca mnóstwo słuchaczów na najrozmaitsze produkcye muzykalne; dramat zaś na obecnych sukcesach trwale budować nie może, bo nie rozstrzyga o nich literatura, lecz

motywy poza nią działające, które nie mogą i nie powinny pozostać wyłącznie rozstrzygającemi. Stosunku zatem publiczności do teatru w dobie przełomowej nie można uważać za ustalony. Ustalić go może dopiero zupełna reorganizacya sceny polskiej na zmienionych gruntownie podstawach, co wobec zamierzonego i omawianego już gdzie należy objęcia teatru przez miasto, zdaje się być bliskiem urzeczywistnienia.

Rozmaite sposoby umiastowienia naszych teatrów były już na tem miejscu przed trzema miesiącami szczegółowo oceniane, a zasady tego przekształcenia, mające jakoby najwięcej widoków realizacyi, nie wiele podobno różnią się od naszych, przedstawionych wtedy postulatów. Ale gdyby nawet sprawa miała być wkrótce pod względem administracyjno-finansowym zasadniczo rozstrzygnięta, ustrój artystyczno-literacki scen warszawskich przetrwać musi fazę przejściową, przebyć okres przygotowawczy, i wtedy dopiero będzie można coś pewniejszego orzec o wzajemnem oddziaływaniu na siebie teatru i publiczności. Wiele rzeczy zmienić się musi całkowicie; organa kierownicze i nadawana przez nie scenom dyrektywa artystyczna otworzą zapewne scenie szerokie widnokręgi wielkiej sztuki; rzesza aktorska, otrząsnąwszy się z urzędowych nałogów, postawiona wobec obywatelskich zadań, nakaże milczenie samolubnym instynktom i pracę szczerą, rzetelną, chętną odda na usługę idei; nawet cenzura — o ile się utrzyma — zrozumie może, iż po odjęciu teatrowi charakteru oficyalnego, inaczej trzeba urządzić swój do niego stosunek. Wszystko to jednak nie wystarczy, jeżeli nie weźmie w tem udziału ogół, kochający instytucyę, która zdąża do unarodowienia. Odrodzenie teatru bez odrodzonej publiczności byłoby fikcyą nieziszczalną.

Władysław Bogusławski.

# NIEOBECNI.

Kiedy Stanisław August Poniatowski, król-estetа, w trosce o podniesienie w Polsce, zaniedbanej mocno przez wychowanie jezuickie, kultury artystycznej i wogóle o rozbudzenie zamiłowania do sztuk plastycznych, sprowadzał forsownie do kraju artystów cudzoziemskich, kilku wcale niepospolicie utalentowanych polaków zdobywało uznanie wśród obcych. W tym że samym mniej więcej czasie, kiedy dwór warszawski wypłaca malarzom włoskim Bacciarellemu i Canalettemu, tudzież francuskiemu rzeźbiarzowi LeBrunowi około trzech tysięcy dukatów pensyi rocznej, Tadeusz Konicz, krakowianin, dawny kuchcik biskupa Andrzeja Załuskiego, zbiera złoto i zaszczyty na dworze madryckim. Kiedy włoch z urodzenia, wprawdzie nobilitowany później w Polsce, Bacciarelli zostaje kierownikiem pierwszej szkoły artystycznej w Warszawie, Daniel Chodowiecki, wielkopolanin z krwi i kości, obejmuje stanowisko dyrektora Akademii sztuk pięknych w Berlinie. Kiedy wreszcie cała plejada przybyszów z zagranicy wyzyskuje na szeroką skalę formalną manię portretowania się, jaką dotknięta była wyższa sfera ówczesnego społeczeństwa polskiego, Aleksander Kucharski, szlachcic polski, paź i stypendysta Stanisława Augusta, portretuje wytworne panie i panów w Wersalu i Paryżu, a nawet królowa, Marya Antonina, pozuje mu do obrazu w Tuilleryach i to w bardzo ciężkiej dla siebie chwili, bo przed samą ucieczką do Varennes.

Artysta polski namalował w tem środowisku zapewne mnóstwo portretów olejnych, pasteli i tak modnych wtedy miniatur, za które, jak wieść niesie, dostawał po dwadzieścia pięć luidorów za sztukę, co na owe czasy jest sumą bardzo znaczną.

Gdybyśmy chcieli z zestawień powyższych, wyprowadzać wnioski ogólniejsze, możnaby, zwracając się z wyrzutem do spo-

łeczeństwa, zacytować pełne goryczy słowa Chrystusa: *Nemo propheta sua splendidus in patria*, ale możnaby też znaleźć inny argument, mniej pochlebny dla wielu artystów wszystkich czasów i krajów, że *ibi patria, ubi bene.*

Słowa te najwłaściwiej, zdaje się, zastosowaćby można było do ostatnio wymienionego Kucharskiego.

Był on, jak się rzekło, stypendystą Stanisława Augusta, co prof. Maryan Sokołowski, na jednem z posiedzeń komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, stwierdził autentycznymi dokumentami [1]) Przedstawił mianowicie oryginalny list Kucharskiego, pisany dnia 9 marca 1765 r. z Paryża, w którym młody artysta polski, nawiasem mówiąc, wcale poprawną francuszczyzną, prosi swego króla o pomoc na dalsze kształcenie się. Przy liście załączał dwa rysunki, *non pas comme des ouvrages coloriés et finis*, jak objaśniał, *mais seulement pour donner à connaitre le besoin que j'ai encore d'étudier.* — Chodziło tylko zatem o przekonanie dostojnego protektora, że otrzymane w pierwszym roku pieniądze nie wystarczyły do ostatecznego udoskonalenia się w sztuce.

O sumie dowiadujemy się z innego znowu dokumentu, przedstawionego również przez prof. Sokołowskiego.

Jestto jakby projekt do budżetu na utrzymanie artystów królewskich, gdzie, między innemi, figurują pozycye po sto dukatów dla stypendystów, Szmuglewicza i Kucharskiego.

Pieniądze owe otrzymywać musieli pierwszy w Rzymie, dokąd wysłany był dla studyów klasycznych, drugi w Paryżu, gdzie kształcił się pod kierunkiem słynnego Vanloo i Vien'a, członka akademii i malarza nadwornego księcia de Condé.

Król, łożąc z własnej szkatuły na naukę młodzieńców na celu miał przedewszystkiem, jak mniemać należy, przysporzenie krajowi dzielnych pracowników na niwie sztuki. Przy czem, jak wnosić można z listu, w którym posyła stypendystom swoim tematy do obrazów konkursowych, więcej nadziei pokładał w Kucharskim. „Król ma prawo więcej wymagać od tego, który kształci się u artystów żyjących, pp. Vanloo i Vien'a niż od tego który studyuje podług antyków."

Istotnie Kucharski ziścił w pewnej mierze pokładane w nim nadzieje. Jakkolwiek niewiadomo czy lepiej od współzawodnika wywiązał się na razie z zadania, i czy wogóle stanął do tego artystycznego turnieju, w którym za temat służyć miała jakaś

[1]) Sprawozdania Kom. Tom VI, zeszyt II i III, str. XXIX.

scena z historyi biblijnej, to pewna przecież, że stał się z czasem wcale niepodrzędnym, pełnym smaku i elegancyi portrecistą, podczas tego kiedy Szmuglewicz pozostał nazawsze zimnym, sztywnym, pozbawionym wyższego polotu, malarzem okropnie nudnych obrazów historycznych.

Ale Szmuglewicz, zdobywszy pewien zapas wiedzy malarskiej, nietylko przez poważne studya nad antykami, ale także przez naukę u żyjącego, choć równie zimnego w swym klasycyzmie, jak martwe antyki, mistrza, Rafaela Mengsa, rozwinąwszy swój niezbyt z przyrodzenia bogaty talent, o ile to było możliwe, wrócił do Polski i pracował uczciwie przez długie lata dla kraju—Kucharski pozostał do końca życia we Francyi i pod tym względem niewątpliwie zawiódł najzupełniej oczekiwania króla-mecenasa.

Nie wiadomo co zmusiło ostatecznie naszego artystę do ekspatryacyi—czy zatrzymały go wśród obcych widoki sutych zarobków, owe dwadzieścia pięć luidorów za miniaturę, czy też inne względy bardziej idealnej natury; to jednak nie ulega wątpliwości, że cały, prawdopodobnie dość znaczny, dorobek utalentowanego wyjątkowo rodaka naszego, przepada całkowicie dla sztuki polskiej.

Redakcya miesięcznika „Sztuka,“ wychodząc z zasady, że, jako naród kulturalny o wielowiekowej tradycyi mamy prawo upominać się o zabytki swojej przeszłości, zwróciła się do kustoszów muzeów europejskich z ankietą, mającą wyświetlić sprawę dzieł polskich w posiadaniu zagranicy. W zeszycie lutowym z 1905 r. pismo, jako rezultat tych wywiadów, podaje odpowiedzi, nadesłane z trzydziestu blizko muzeów, gdzie korespondenci, z najwyższą, przyznać trzeba, gotowością pospieszyli z wiadomościami o istnieniu niezbyt zresztą licznych prac polaków w różnych miastach europejskich.

Niewątpliwie troskliwość taka o duchowe dobro narodowe jest najzupełniej usprawiedliwiona, jeżeli tyczy się to artystów, związanych istotnie z tradycyami sztuki polskiej; ale czy mamy prawo upominać się o prace ludzi, którzy, jak liście oderwane od pnia rodzimego, rozmiecione burzliwymi wichrami po szerokim świecie, utracili wszelką łączność z krajem i jego kulturą?

A właśnie wspomniana ankieta przynosi wieści o kilku takich dziełach malarskich, których jedynym tytułem w tej mierze jest mniej lub więcej polskie brzmienie nazwiska ich autora.

Ja osobiście miałbym co do tego pewne wątpliwości i uważałbym za konieczne w inwentaryzacyi zabytków naszych zachować pewną powściągliwość i godność, jaka przystoi, narodowi istotnie o wielowiekowej kulturze. Jesteśmy już dziś dość zamożni,

posiadamy w sztuce naszej arcydzieła niewątpliwie pierwszorzędnej wartości i możemy się już nie upominać o rzeczy mniej pewne.

Pan Andrzej Perraté naprzykład, kustosz muzeum wersalskiego, obok obrazów Henryka Rodakowskiego, artysty niezaprzeczenie polskiego i jednego z najpoważniejszych koryfeuszów naszej sztuki, wymienia także Kupeckiego i Witkowskiego, których wcale w dziejach malarstwa polskiego nie znamy.

Wśród zbiorów wersalskich znajduje się również portret Maryi Antoniny, malowany przez obchodzącego nas bliżej Aleksandra Kucharskiego, w więzieniu Temple, na krótko przed tragiczną śmiercią królowej na szafocie — portret ze względu na swe znaczenie historyczne niezmiernie ciekawy i bardzo swego czasu popularny, gdyż w licznych kopiach rozszedł się między stronnikami Burbonów, gdzie przechowywany był, jak relikwie.

O obrazie tym dr. Mycielski napisał specyalną rozprawę, która wywołała ożywioną dyskusyę w komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, przy czem komunikaty korespondentów wyjaśniły wiele szczegółów, tyczących się osoby i życia autora.

Był on niewątpliwie Polakiem i prawdopodobnie dopiero, jako młodzieniec dwudziestokilkoletni, wywędrował do Francyi, nie mógł więc zapomnieć o swem pochodzeniu, nie mniej przecież ani wymienionego portretu, ani innych dzieł wykonanych przez malarza tego za granicą, nie uważałbym za słuszne zaliczać do naszego dorobku artystycznego.

Nie wiadomo u kogo kształcił się Kucharski w kraju. Zdaje się, iż początkowo uczył się u ojca swego w Krakowie, który również był malarzem; w każdym razie z epoki tej niepozostało nic, coby uważać można za jego puściznę duchową. Jeżeliby nawet udało się z czasem odnaleść jakieś studya, rysunki, próby, musiałyby to być, bądź co bądź, rzeczy niedojrzałe, nie mające najmniejszego znaczenia artystycznego. Nie ma również śladów twórczości tego malarza, kiedy, jako stypendysta Stanisława Augusta, utrzymując jeszcze stosunki z krajem, powinien był coś robić dla kraju. Badania nie wykryły czy namalował kompozycyę, na zadany przez króla temat i czy kompozycya ta była kiedykolwiek do Polski wysłana. Natomiast cała jego działalność od chwili, kiedy występuje, jako artysta skończony, odnosi się do Francyi, to jest do środowiska, które go zaadoptowało, z którem on się zespolił, z którego ciągnął soki żywotne dla swego rozwoju; niewątpliwie też działalność ta stanowić powinna cząstkę ogólnego dorobku sztuki francuskiej.

Co prawda, wielka, potężna sztuka przestaje być wyłączną własnością jednego narodu — staje się dobrodziejstwem całej ludzkości; ale z drugiej strony prawdą jest również, że mniejsi skąd inąd twórcy mogą mieć nieraz ogromne znaczenie w sferze wpływów bardziej ograniczonych, że tak powiem terytoryalnych.

Włochy, wybrana dziedzina najpotężniejszych geniuszów sztuki, kolebka Michała Anioła, Rafaela i całej plejady gwiazd najpierwszorzędniejszych, dały nam Tomasza Dollabellę, artystę średniej miary, który prawdopodobnie zniknąłby na firmamencie sztuki swego kraju, przyćmiony ogromnym blaskiem tylu wielkości; u nas, w przybranej ojczyźnie, przecież świecił jasno i promieniował potężnie na otoczenie.

Istotnie Dollabella, jako twórca zgoła nie nadzwyczajnych fresków w pałacu Dożów w Wenecyi, zajmowałby jakiś skromny, szary kącik w historyi sztuki włoskiej; jako nadworny malarz królów, Zygmunta III i Władysława IV—zdobywa miejsce poczesne i poważną kartę w dziejach sztuki i kultury w Polsce.

Gdyby wobec tego Włoch jakiś, w imię wspólności pochodzenia przyszedł upomnieć się, jak o swoją własność, o dorobek artystyczny mistrza z Belluino, gdyby dla ścisłej inwentaryzacyi zabytków sztuki własnej chciał wyszukiwać po kościołach naszych puścizny po tym swoim rodaku, który wśród nas długo mieszkał i dla nas pracował, uważałbym to za rzecz najzupełniej niesłuszną.

Tomasz Dollabella, osiedlił się w Polsce na stałe, przyjął obywatelstwo krakowskie, zapisał się do cechu, ożenił się z rodowitą krakowianką, wreszcie tu umarł, nie wracając nigdy do rzeczypospolitej weneckiej, skąd pochodził.

Zjawił on się w kraju w chwili, kiedy rodzime malarstwo cechowe upadało ostatecznie i swoją rzeczywiście ogromną, niezmiernie łatwą twórczością, podtrzymywał ruch artystyczny w kraju i tak potężnie zapisał się w pamięci potomnych, tak w historyi stał się popularny, że wszystkie obrazy tej epoki przypisywano jego pędzlowi. Pracował we wszystkich kierunkach, malował sceny historyczne, dworskie, portrety, obrazy religijne i alegoryczne. Przebywał w Polsce blizko lat 50. Umarł w roku 1650 i pochowany jest w kościele Dominikanów krakowskich, u których długi czas przemieszkiwał. Odcisnął on wyraźnie piętno na całem ówczesnem malarstwie cechowem, które pod wpływem świetności jego kolorytu, poczęło wyszlachetniać się w pewnej mierze i podnosić do wyżyn dotąd nieznanych.

Pozatem zostawił wielu uczniów, którzy, czy to malując bezpośrednio pod jego kierunkiem, czy, wnosząc wiedzę zdobytą od mistrza do robót samodzielnych, wzbogacali kraj sztuką, której bardzo brakowało w owe czasy.

Jakkolwiek signor Dollabella, darł koty z panami majstrami sławetnego cechu malarskiego, nazywając ich pogardliwie barbarzyńcami; jakkolwiek może do końca życia nie nauczył się poprawnie mówić po polsku, działalność jego artystyczna jest niezmiernie ważną dla sztuki polskiej, gdyż stanowi jeden z wytycznych etapów w jej ewolucyjnym pochodzie, należy więc całkowicie do naszych zdobyczy kulturalnych.

Takie same znaczenie w historyi sztuki polskiej miały później prace Norblina, Bacciarellego i innych artystów cudzoziemskich, którzy, osiedliwszy się wśród nas na stałe, wytwarzali atmosferę, promieniującą na szerokie koła społeczeństwa, przyczem sami wsiąkali poniekąd w środowisko, przystosowując się do sposobu życia i obyczajów otoczenia. Skutki takiego promieniowania odbiły się z czasem w ogólnem podniesieniu się wymagań estetycznych i rozbudzeniu zamiłowania do rzeczy pięknych — w rozwoju stopniowym ruchu artystycznego.

Tak przedtem w wiekach XIV i XV wielu przybyszów z Pragi, Norymbergii, Ausburga, z ziem Nadreńskich, przynosząc ze sobą do Polski umiejętności i wiedzę, krajów wyżej cywilizowanych, dawali początek instytucyom urządzeń społecznych, przemysłu, rzemiosł, sztuki — kładli podwaliny rozwoju kulturalnego kraju, który obierali za nową ojczyznę.

Nie widzę racyi, ażebyśmy się mieli wypierać udziału w pracy obywatelskiej około całokształtu naszego jestestwa narodowego Bonerów, Szylingów, Betmanów, którzy, przybywszy ongi ze stron dalekich, dali początek zasłużonym w Polsce rodzinom, jak zresztą obecnie jeszcze spotykamy często zupełnie niepodejrzany patryotyzm polski u dzieci i wnuków obcych przybyszów. Dlatego też twórczość Dollabelli, Bacciarellego, Norblina i wielu innych artystów, którzy się z nami zżyli uczciwie, możnaby śmiało uważać za naszą własność historyczną. Ale też z tego samego powodu, sądzę, że dzieła wielu Polaków wychodźców, stają się własnością społeczeństwa, które ich przygarnęło i usynowiło.

Jestto poniekąd ojczyzna z wyboru, wobec której zaciąga się pewne obowiązki. Nie tyczy się to bynajmniej wyłącznie artystów, ale wogóle znanego po wsze czasy i we wszystkich krajach ludzi typu argonautów, zapędzających się w odległe strony po złote runo. Nie zawsze przyjazne wiatry pozwalają im na

szczęśliwy powrót; zostają więc wśród obcych, zapominając o swoich. Polacy, przyznać trzeba, zapominają trudniej, niż inni, a w życiorysach artystów naszych, pracujących za granicą, spotykamy często stronice pełne dowodów nieukojonej tęsknoty za krajem rodzinnym. Rozrzewniający jest np. szczegół z życia wysoce utalentowanego sztycharza Płońskiego, jak trawiony nostalgią, wybiera się z Paryża do Polski piechotą, zawinąwszy w węzełek kilka blach do rytowania, ażeby mógł po drodze zarabiać.

Jestto rys niezmiernie sympatyczny, ale wogóle tragiczny los tego, przedwcześnie zmarłego, artysty zupełnie inaczej przedstawia się niż świetna karyera Kucharskiego, który zdobywa dla siebie wielki świat paryski i jakkolwiek dzieła jego nie należą może do zabytków sztuki polskiej, on sam, ustawiony na tle niezmiernie ciekawej epoki historycznej, jako jeden z polskich argonautów, jako duch śmiały, który los brał za rogi, jest niewątpliwie ogromnie ciekawy.

Rozprawka d-ra Mycielskiego tudzież wiadomości komunikowane przez prof. Sokołowskiego na posiedzeniach komisyi historyi sztuki w dniach 23 stycznia i 16 lipca 1896 r. oraz 21 stycznia 1897 r., wyjaśniły główniejsze szczegóły biograficzne autora głośnego portretu Maryi Antoniny — malarza Polaka, który konkurował szczęśliwie z malarzami tej miary, co pani Vigée-Lebrun, Roslin i Greuze, który snuł się wśród wytwornych, upudrowanych, pachnących margrabin w uroczych ustroniach Trianonu, który przebył okropności wielkiej rewolucyi i nie zatonął w jej krwawych nurtach, choć nawet konspirował, zdaje się, trochę z rojalistami, lecz dożył sędziwej starości, bo umarł dopiero w osiemdziesiątym czwartym roku życia.

Ostatecznie badania ustaliły datę urodzin Kucharskiego na rok 1736 — umarł w roku 1820 w Sainte-Perin, około Chaillot.

Słynny portret Maryi Antoniny malowany był, jak podaje dr. Mycielski, w roku 1793 między 21 stycznia a 16 sierpnia, to jest datą śmierci króla, a straceniem królowej. Według napisu na kartce, przylepionej do obrazu, znajdującego się w Brukselli, w galeryi pałacu ks. d'Arenberg, wypada, że malarz, jako gwardzista narodowy, trzymając straż w więzieniu, widział królowę w Temple i Conciergerie, że ukradkiem rysy jej naszkicował, a potem w domu portret wykończył.

Owo wykończenie portretu z ukradkowego szkicu, technicznie biorąc, wydaje mi się nieco podejrzane i przypomina zbyt lotną fantazyę romansopisarzów, którzy każą zakochanym mala-

rzom wykonywać z pamięci całe skończone portrety ubóstwianych kochanek.

Znam ten obraz i nieprzypuszczam, ażeby mógł powstać z pobieżnej notatki, ale, że królowa przynajmniej kilka razy musiała artyście pozować.

Jakoż istotnie dr. Mycielski powołuje się na rozprawę p. Maurycego Tourneox: *Trois projets d'évasion de Marie Antoinette*, gdzie wspomniano, że jeden ze stróżów więziennych, niejaki Michonis, ten sam, który konspirował z rojalistami w celu ułatwienia ucieczki królowej, wprowadził malarza do celi raz w Temple, a powtórnie już w Conciergerie.

Potwierdza to przysłany do Komisyi przez d-ra Józefa Korzeniowskiego odpis z biuletynu Trybunału Rewolucyjnego, tyczący się badania królowej, w którym, na pytanie czy w czasie zamknięcia w Temple, portretowała się, Marya Antonina odpowiada najwyraźniej, że malował ją pastelami malarz, Polak, nazwiskiem Coëstier, osiadły od dwudziestu lat w Paryżu, a mieszkający na ulicy Cocq Saint-Honoré.

Niewątpliwie więc oryginał musiał być względnie wykończony pastelami, a obraz ze zbiorów ks. Arenberga jest olejną jego kopią, prawdopodobnie wykonaną przez samego autora, jak kopią również jest egzemplarz znajdujący się w muzeum Wersalskiem, z którego reprodukcyę, zakomunikowaną przez kustosza pana Perraté, podaje „Sztuka.“ Zresztą kopij takich dr. Mycielski zna aż siedem, a musiało ich być znacznie więcej ze względu na znaczenie osoby portretowanej i chwili, w jakiej obraz był wykonany.

Co się tycze zmienionego do niepoznania nazwiska naszego rodaka w ustach królowej francuskiej, to rzecz jest całkiem naturalna. Jakkolwiek on sam podpisywał się Kucharsky, nazywano go także Kokarski z dopiskiem „Français“ (La peinture en Europe par Georges Lafenêstre et Eugène Richenberger), co w dalszych przeobrażeniach w stosunkach codziennych z Francuzami mogło przejść na Coëstier.

Wracając do omawianego portretu, zaznaczyć trzeba, że w kopiach olejnych nie jest on bynajmniej najlepszym utworem malarza. Nieco ciężki w kolorycie, sztywny i twardy jest w modelowaniu. Materyałem, którym się artysta najpełniej wypowiadał, były, zdaje się, pastele.

Według notatek ks. d'Arenberga wykonać on miał portret królowej jeszcze w roku 1780. Później malował ją powtórnie, a było to w 1791 w Tuileryach. Obraz zaczęty przez artystę na

wiosnę, pozostał nieskończony, gdyż w czerwcu przerwała posiedzenia ucieczka rodziny królewskiej do Varennes, poczem już król, królowa i dzieci królewskie, po powrocie do Paryża, osadzeni zostali w więzieniu Temple.

Chociaż utwór jest nieskończony, malarz podpisał go całem swem nazwiskiem i tem złączył je znowu z nader doniosłem wydarzeniem w historyi Francyi.

Rodzinie królewskiej w nieudanej ucieczce towarzyszyła margrabina de Tourzel, ostatnia „gouvernante des enfants de France“— jej to właśnie królowa darowała niedokończony swój portret. Obecnie znajduje się on w posiadaniu wnuka pani de Tourzel, księcia Pérruse des Cars w Paryżu.

Tam też przechowane są dwa inne portrety, zdaje się roboty Kucharskiego, mianowicie małego delfina, Ludwika XVII, tudzież, stanowiący niejako pendent do niego, wizerunek księżnej Maryi Teresy d'Angoulême, jako dziecka.

Oczywiście wszedł też Kucharski w stosunki z osobami najbliżej stojącemi dworu, więc przedewszystkiem z margrabiną de Tourzel i dla niej wykonał istotnie bardzo piękny portret jednej z córek margrabiny, Pauliny,wydanej później za hrabiego de Béarn. Portret ten znany jest z reprodukcyi rytowanej przez Waltnera — o oryginale niema żadnych wiadomości.

Niema również wiadomości o wielu innych portretach, których artysta niewątpliwie zrobił sporo w owym czasie w sferze najwyższej arystokracyi francuskiej, gdyż musiał być malarzem modnym, jeżeli się zważy, że królowa sama zaszczycała go obstalunkami dla siebie.

Pozatem Kucharski, jak wszyscy portreciści współcześni, jak pani Vigée-Lebrun, Füger, Angelica Kaufman i inni, był miniaturzystą i, jak wieść niesie, bardzo wziętym i wysoko cenionym.

Ciekawe więc jest niezmiernie życie tego malarza-Polaka w jedynem swojego rodzaju środowisku, zarówno pierwotnie, na dworze Wersalskim w miękkiej atmosferze przepychu i elegancyi, jak potem w okropnościach teroru rewolucyi, której służył, jako gwardzista narodowy.

Sprawy jego osobiste mogą w najwyższym stopniu zająć nas i zainteresować, rozognić wyobraźnię pragnieniem poznania dróg, jakiemi chodził na obczyźnie dawny paź króla polskiego. Pragnęlibyśmy podpatrzeć go w romantycznem ustroniu parku Trianon, otoczonego gronem upudrowanych dam i panów w barwnych frakach, lub na krwawych ulicach Paryża, jak maszeruje przybrany we frygijską czapkę z karabinem na ramieniu; ale twórczość pa-

na Kokarskiego, czy pana Coëstier, już bezpośrednio sztuki naszej nie dotycze.

Tak też twórczość wielu artystów współczesnych, tych licznych nieobecnych, mieszkających stale zagranicą i pracujących dla zagranicy, jest stracona dla naszego dorobku duchowego, jeżeli oni sami niemają ustawicznego czucia z życiem i sztuką społeczeństwa własnego.

Sfera promieniowania sztuki ich nie sięga na odległość, nie jest w stanie przyczynić się do wytworzenia w kraju koniecznej atmosfery artystycznej i tem samem nieprawdą jest, ażeby nieobecni narówni z nami pracowali około budowy gmachu kultury narodowej, choć dzieła ich wysoko notowane są na giełdzie sztuki wszechświatowej.

T. Jaroszyński.

# ROZMAITOŚCI.

## Błędy językowe.

Od dość dawna już szerszym warstwom naszego społeczeństwa dotkliwie czuć się dawał brak wydawnictwa, poświęconego wyłącznie *ortoepii*, czyli poprawności językowej. Prace Walickiego, Skobla, Szczerbowicza, Blizińskiego — zostały już wyczerpane i zapomniane. Zapomniane nawet słusznie. Nigdy nie czyniły one zadość wymaganiom naukowym, więc i w chwili swego ukazania się na świat boży, a tembardziej dziś. Dziś nawet tych, którzyby w nich porady szukać chcieli, raczejby przestrzegać przed niemi należało. Autorowie bowiem tych prac bardzo słabe o życiu języka mieli wyobrażenie.

Za miarę znajomości i rozumienia zjawisk językowych u Skobla np. służą już same słowa dedykacyi jego pracy zatytułowanej „*O skażeniu języka polskiego w dziennikach i w mowie potocznej, osobliwie w Galicyi*,“ w której I. N. Deszkiewicza zowie „znawcą“ języka polskiego (wyd. 3, Kraków 1872). Ów zaś „znawca,“— prawda profesor „wszechuczelni“ jagiellońskiej, — był to nielada „specyalista:“ w jego „*Rozprawie o języku polskim i jego gramatykach*“ (Lwów, 1843) między innemi „głębokiemi“ myślami czytamy: „Rozumowość pojedyńczych wyrazów jest dziwna. Weźmiejmy (!) jeden tylko przykład wyrazów *kość* i *ość*: o ile kość zwierząt różni się od ości rybiej, o tyle wyraz ostatni przez wyrzucenie *k* traci ze swej twardości“ (str. 7). Albo np. oto co pisał on o wyrazie „wszechnica“ w innem swem „dziele“ p. t. „*Treść gramatyki polskiej*“ (Rzeszów, 1865): wyrazu „wszechnica“ używać nie należy, gdyż wyraz ten właściwego swego przedmiotu nie oznacza... końcówka bowiem *ca*, samicom zwierząt właściwa, później do ludzkich imion żeńskich dla okazania pogardy przeniesio-

na została, np. francuzica, paskudnica, nierządnica, wszetecznica...[1]) Zatem możnaby — konkluduje — powziąść wyobrażenie o najwyższym zakładzie naukowym wcale niepochlebne. Wyraz „wszechnica“ bardziejby mógł się stosować do niewiasty, oddającej się wszystkim, po starodawnemu wszem, wszech (str. 106). — *Risum teneatis amici!!*..

Skobel *et consortes* ufali w zupełności tego rodzaju „znawcom“ języka polskiego (por. jeszcze innych „Deszkiewiczów:“ P. Czarkowski, A. Morzycki, St. Jocher...), to też ich prace nie posiadają — jak rzekliśmy — żadnej wartości. Tymczasem stąd i zowąd odzywały się głosy prasy i publiczności, domagające się „porady“ w kwestyach poprawności językowej. Tu i owdzie też, w różnych czasopismach, czyniąc zadość ogólnie odczuwanej potrzebie, ukazywały się odpowiednie artykuły; np. w „*Głosie*“ (warszawskim) przez lat kilka, od roku 1895 do 1899, prowadził taką stałą rubrykę p. t. „Błędy językowe“ ś. p. Jan Karłowicz. Dopiero jednak z początkiem roku 1901 poczęło wychodzić w Krakowie pod redakcyą Romana Zawilińskiego specyalne czasopismo: „*Poradnik językowy, miesięcznik, poświęcony poprawności językowej.*“ W znacznym stopniu spełnia ono zadanie swe dobrze, — chociażby już przez pobudzanie do zastanawiania się nad zjawiskami językowemi, nie na wszystkie bowiem tłómaczenia redakcyi i różnych autorów godzić się można, a niektóre stanowczo odrzucić należy. Również i artykuły większe nie zawsze pozostają w harmonii z wymaganiami nauki, że przytoczę tu np. wstępne słowa artykułu p. J. Czubka „*Nieco o rozwoju języka*“ (Roczn. II, nr. 1): „Nauka dotarła dotychczas do trzech pewników, że... pierwotne słowa... 2) miały postać samych pierwiastków.“ — Oczywiście „nauka“ nic podobnego dziś nie głosi — i nie od dziś.

Nie będziemy tu jednak zajmowali się „*Poradnikiem językowym;*“ odkładamy to na potem. Na tem miejscu zamierzamy zdać sprawę z dwóch prac, poświęconych również wyłącznie poprawności językowej, a które ukazały się w handlu księgarskim jeszcze w roku ubiegłym. Są to: „*Najpospolitsze błędy językowe, zdarzające się w mowie i piśmie polskiem,*“ opracowane przez p. Antoniego Krasnowolskiego (Warszawa 1903, nakł. i druk. M. Arcta; w wydawnictwie p. t. „*Książki dla wszystkich*“ nr. 123, in 16-o,

[1]) Naturalnie „zapomniał“ autor o wyrazach: kadzielnica, chrzcielnica, strzelnica, wietnica (t. j. ratusz w staropolskim), popielnica, pszenica, obietnica, dzielnica i t. p.

str. 167) i „*Błędy językowe*,“ zebrane przez p. Artura Passendorfera, profesora c. k. wyższej Szkoły realnej we Lwowie (wyd. 2, poprawione i znacznie powiększone; Lwów 1904, nakł. Księgarni Polskiej; Warszawa, E. Wende i Sp.; in 8-o, str. VIII+238).

Obie te prace znacznie się różnią między sobą, tak pod względem układu materyału, ilości zebranych błędów, objaśnień przy nich, jak i pod względem zapatrywania się autorów na owe, omawiane przez nich, błędy językowe.

A więc co się tyczy np. układu materyału, to praca p. Passendorfera jest właściwie „słownikiem:“ błędy językowe ułożone zostały alfabetycznie. Jeśli np. kto wątpi czy *posełać*, *posełka* są formami poprawnemi, znajdzie pod temi wyrazami odsyłaczy do *posyłać*, *posyłka*, pod temi zaś ostatniemi — wyjaśnienie, że należy mówić *posyłać* a nie *posełać*, *posyłka* a nie *posełka* i t. p. Pod *książe*, *ręka*, *kurczę*... znajdujemy odmiany tych wyrazów, nastręczających zwykle pod tym względem pewne trudności; pod *oko* — cały szereg charakterystycznych wyrażeń i t. d. Jeśli kto szuka rodzimego wyrazu równoznacznego zapożyczonemu *portyer*, to pod tym ostatnim znajdzie jego rodzimy równoznacznik: *odźwierny*, pod *gaża — płaca*, *żołd*, pod *furman — woźnica* i t. d. Liczne odsyłacze przy różnych wyrazach i wyrażeniach skierowują czytelnika ku większym artykułom, zatytułowanym: „*Nazwiska miast*,“ „*Nazwiska panien*,“ „*Nazwiska żon*,“ „*Liczebnik*,“ „*Odmiana rzeczowników*,“ „*Czas przeszły*,“ „*Czas przyszły*,“ „*Czasowniki*,“ „*Rodzaj rzeczowników*“ i t. p.

Nie tak łatwo szukać porady w wątpliwościach w książeczce p. Krasnowolskiego. Zebrany materyał językowy omawia autor w specyalnych rozdziałach, odpowiadających poszczególnym częściom gramatyki ogólnej, więc mamy tu: I. Błędy w głosowni, II. Błędy w słoworodzie, III. Błędy w odmianach, IV. Błędy w składni, V. Błędy w znaczeniu. I tylko w tym ostatnim oddziale ułożone zostały alfabetycznie „wyrazy, używane w znaczeniu błędnem;“ w innych — bez żadnego porządku. Dla „wtajemniczonego“ w sprawy językowe podział taki może być ułatwieniem w odszukaniu artykułu, poświęconego omówieniu tego lub innego błędu; ale ci wszyscy, którzy nie są pewni, czy używana przez niego forma jest błędną czy też poprawną (a wszak dla nich chyba owa książeczka przeznaczona), tembardziej nie mogą wiedzieć w jakiej rubryce szukać objaśnień. Wszak przed owem szukaniem trzeba być głęboko przekonanym o błędzie i wiedzieć na czem on polega; jeśli się zaś to wie, to niema już poco szukać objaśnień u p. Krasnowolskiego. Zresztą nawet „specyalista“

nie odrazu da sobie radę z układem błędów we wspomnianej pracy, tak np. *rygski*, *pragski* pomieścił p. Krasnowolski w „głosowni,“ ale przecie z równą słusznością można owe „błędy“ omawiać i w „słoworodzie;“ *weznę*, rozpatruje autor w „słoworodzie,“ kto inny pomieściłby w „głosowni;“ wistocie jednak i *rygski*, *pragski* i *weznę* jako „błędy“ niczem się nie różnią — powstały drogą wpływów analogicznych.

Pod względem zatem praktycznym praca p. Passendorfera znacznie przewyższa pracę p. Krasnowolskiego. „*Błędy językowe*“ p. Passendorfera ułożone zostały bez zarzutu. Na każdym kroku widać, jak wiele włożył autor usiłowań i pracy, aby każdy, poszukujący w tej książce porady, mógł ją odrazu znaleźć. Nawet szukający po omacku, machinalnie, natrafi na cel swoich poszukiwań. Dobór czcionek i wygodny format książki — dopełniają reszty. Słowem, zewnętrznie rzecz p. Passendorfera wykonana znakomicie.

Ilość błędów, zamieszczonych w książce p. Passendorfera, przewyższa znacznie ilość omówionych u p. Krasnowolskiego. Z tego jednak nie można robić p. Krasnowolskiemu żadnego zarzutu: już sam tytuł wskazuje, iż autor zamierzał mówić tylko o „najpospolitszych błędach językowych“ (por. też przedmowę).

Co się tyczy objaśnień autorów, to zaznaczyć należy, iż p. Krasnowolski udziela ich bardzo obficie, p. Passendorfer — z wyjątkiem kilku miejsc — nie daje żadnych. Niejednemu może z czytelników wydaje się przeto, iż owa właśnie okoliczność stanowi zaletę pracy p. Krasnowolskiego. Niestety, tak nie jest; i mianowicie z następujących powodów: przedewszystkiem owe objaśnienia tylko w bardzo nieznacznej ilości wypadków mogłyby się przyczynić, iż czytelnik dla nich właśnie począłby unikać tego lub owego wyrażenia, jako „błędnego.“ Popełniane zwykle „błędy“ — są to w przeważnej części twory analogiczne; jeśli więc autor wykaże, iż ten lub ów „błąd“ nie powstał drogą fonetyczną, to czytelnik, który przypomni sobie wiele innych tworów analogicznych, przeciwko którym nikt nie powstaje, nie będzie wiedział jeszcze dlaczego tamtych właśnie ma unikać. Stwierdzenie i wykazanie, że ta lub owa forma lub wyrażenie nie powstały drogą fonetyczną, nie jest jeszcze dostatecznym powodem do wypowiedzenia im wojny. I chronologia tu mało pomaga: mamy przecie tego rodzaju formy sięgające swemi początkami odległych czasów, a mimo to wciąż i przez wszystkich uważane za „błędne,“ i zatem unikane. Inną część błędów językowych stanowią wyrazy i wyrażenia przejęte z języków obcych. Zwykłe objaśnienie, iż

ów wyraz jest np. rusycyzmem więc nie należy go używać, również niema siły przekonywającej, już chociażby dlatego, że co w jednym „poradniku“ uznano za rusycyzm, to w drugim — za germanizm, a w trzecim — za galicyzm i t. d. Tak się dzieje zwykle. W rezultacie czytelnik ciska w kąt wszystkimi „poradnikami“ i traci do nich wszelkie zaufanie. Otóż p. Passendorfer podobnych objaśnień nie daje. Dla niego wszystko jedno czy ten lub ów wyraz powstał drogą fonetyczną, czy też analogiczną, czy to wyraz od wieków używany, czy też nowotwór. P. Passendorfer poprzestaje na stwierdzeniu, że pewna forma, pewien wyraz, względnie wyrażenie, jest w powszechnem użyciu, że używa go również Sienkiewicz, Konopnicka, Orzeszkowa, Wyspiański, Żeromski, Reymont i inni; w innych wypadkach stwierdza, że dwie formy są w użyciu, sprawdza zatem, która częściej i czy ją wzorowi pisarze używają — jeśli tak, poleca ją, nie potępiając bynajmniej obocznej. W wypadkach mogących budzić wątpliwości nie sili się na karkołomne dowodzenia rzekomej poprawności tego lub innego wyrazu lub wyrażenia, lecz przytacza liczne cytaty z wzorowych, nowszych pisarzów. Kieruje się więc metodą, że tak powiem, statyczną: jeśli wyraz jest w powszechnem użyciu — więc jest dobry, „poprawny.“ Jedynie w kwestyi wyrazów zapożyczonych jest p. Passendorfer mniej wyrozumiały, oto np. zamiast *rebus* bez potrzeby radzi mówić „zagadka obrazkowa;“ zamiast *blagier* — „zależnie od związku: samochwał, łgarz, pyszałek,“ zapominając, iż wyraz *blagier* różni się zabarwieniem w znaczeniu od przytoczonych synonimów; zresztą nie są tu też bez znaczenia i czynniki eufemistyczne; zamiast *boksować się* — „kułakować się, walczyć na pięści;“ ale tu przecie istnieje również różnica znaczeniowa: *boksować się* — to znaczy „kułakować się, walczyć na pięści *podług pewnych, znanych zasad*;“ i t. p. Są to jednak drobiazgi; zresztą niema tu dowodzeń, że tylko proponowane przez autora formy są jedynie poprawne.

Następnie — dlaczego objaśnienia p. Krasnowolskiego nie są zaletą jego książeczki — oto dlatego, że w ogromnej ilości wypadków pozostają w rozdźwięku z danemi naukowemi, niekiedy są wprost błędne, tak np. „prawidło odśredniojęzykowienia“ pierwotnego *e*, podane błędnie (str. 14), o czem autor może się przekonać z każdej elementarnej gramatyki języka polskiego; w tem „prawidle“ opuścił autor *ł*, *n*, natomiast bez dostatecznej przyczyny wciągnął *k*: *wlokę*, *wloką* niczego nie dowodzi, wszak mamy i *wlekę*, *wleką* i zawsze tylko *zwlekam*, nigdy *zwlokam*, a następnie — *piekę*, *rzekę*, *ciekę*... dalej *siekę*, *człowiek*, *rzeka*, *wiek*, *wieko*, *lek*...

Nie chodzi nam tu jednak o wyjaśnienia szczegółów, raczej o stronę metodyczną; ta najbardziej szwankuje: *tłumáczus* (pol. tłómacz) jest tak „po litewsku,“ jak *burmistrz* po polsku (str. 9), więc kombinacye autora, na tym wyrazie oparte, nie posiadają żadnej wartości. Chronologia zjawisk językowych jest dla autora kwestyą bez znaczenia: tu i owdzie przy nowszych wyrażeniach spotykamy takie zdanie: „dla ojców naszych byłyby (owe wyrażenia) wprost niezrozumiałe albo śmieszne.“ To żaden dowód; język na miejscu nie stoi. Mówiąc o imionach własnych obcych (str. 45—48) zapomina autor o stopniu ich przyswojenia. Dlaczegoż mówimy *Konfucyusz* a nie *Kung-fu-tse*, ale *Lao-tse?* Rzecz bardzo prosta. Imię pierwszego częściej się ma na ustach, imię zaś drugiego — rzadziej; imię pierwszego przenikło do szerokich kół społecznych, imię zaś drugiego znane jest przeważnie tylko w kołach specyalistów i pozostających z nimi w bliższych stosunkach. Niema więc sensu na *Albertrandy* wzorawać *Ferri* i pisać *Ferry* etc.; słowem, wszystko „podpędzać“ pod jeden szablon. Mówiąc zaś o nazwach ludów, autor pomija jeszcze i okoliczność od kogo tę lub ową nazwę zapożyczyliśmy. Mówimy zatem *Hindus*, *Eskimos*, *Syngalez*... ponieważ nazwy te w nowszych czasach przeważnie od Niemców zapożyczyliśmy. Co innego *Chińczyk*, *Japończyk* (por. staropol. *Japon*). W XVI wieku, Bielski, w „Żywotach filozofów“ pisał *lidowski* (Lidya), *azyański* (Azya)... my dziś innych przymiotników używamy. *Indus*, *Hindus* — już się utarło; równie dobre, jak nowsze *Ind*, *Hind*, natomiast proponowane przez p. Krasnowolskiego *Indyjczyk* (też *Syngalczyk*) jest zupełnie niepotrzebne. Różnica między znaczeniem *Hindus*, *Hind*, a *Indus*, *Ind* błędnie przez autora wytłómaczona.

Czasami tłómaczenia autora są tego rodzaju, że zdaje się, iż autor drwi sobie z czytelnika; tak np. p. K. słusznie radzi mówić: „mówiłem z *Bergmanem* lub z *Bergmanową*,“ nie zaś w obu wypadkach: „mówiłem z *Bergman*,“ ale dla tego słusznie, że aczkolwiek spotykamy takie wyrażenia, jak ostatnie, to jednak w powszechnem użyciu są sposoby wyrażania się poprzednio wymienione, ale w żadnym razie nie dla tego, że „nie wiadomoby było, czy mam do czynienia z mężczyzną czy z kobietą.“ Przytaczanie podobnych „dowodów“ jest wprost ośmieszaniem się w oczach inteligentnego czytelnika. Wogóle, gdzie autor nie może się zdobyć na jakie takie poparcie proponowanej przez siebie formy lub wyrazu, tam ucieka się do straszenia czytelnika mogącem wyniknąć między rozmawiającymi nieporozumieniem. Oto np. nie można mówić: „człowiek na tyle głośny“ (str. 103) tylko dla tego,

że „Polak, nieumiejący po rosyjsku... pomyśli zaraz o innym „tyle," który nie znajduje się na przodzie." W tłómaczeniu polskiem pisma św. z wieku XV czytamy: „Naprzodku było słowo, a Słowo było u Boga, a Bóg był Słowo. To było naprzodku u Boga" (*Rozpr. wydz. filol.* Ser. II., t. IX 95), — sądzę jednak, że ani w wieku VX, ani w XIX i XX nikt opacznie zdania tego nie rozumiał. P. Krasnowolski nie zaleca 2 przyp. licz. mn. *towarzyszy, niepokoi, partaczy*... bo „mogłoby spowodować dwuznaczność..." „mogłyby być zrozumiane jako 3-ie osoby czasu teraźniejszego od słów *towarzyszyć, niepokoić, partaczyć*" (str. 56)!! Albo np. trzeba mówić „gonić... za kim, albo za czem," bo osoba goniąca rzeczywiście (!) znajduje się za kim z tyłu" (str. 105), ale nie można powiedzieć „śledzić za czem" (str. 104) zapewne dla tego, że osoba śledząca *rzeczywiście* znajduje się *przed* śledzoną!!... Tych, którzy używają wyrażenia „*przeciętny*" (niem. durchschnittlich) autor chce oduczyć od używania tego wyrażenia pytaniem: „Kto to wszystko poprzecinał?" (str. 142). Otóż, *primo*, mówią „przeciętny," a nie „przecięty," a *secundo*, mówimy przecie „na oko" w znaczeniu „pozornie" („blos zum Scheine") i nikt nie pyta czy przy owem patrzeniu „gdzieś komuś ktoś coś" „na oko" położył, czy też to ma znaczyć, że patrzymy wówczas tylko jednem okiem!...

W przeważnej ilości podobnych wypadków autor, kierując się czuciem, ma racyę, wskazując na pewne formy, wyrazy i wyrażenia, jako na „dobre," na inne, jako na „złe," których unikać należy, ale motywy, dla których potępia jedne, a chwali i proponuje inne, nie tylko, że nie mają żadnej siły przekonywającej, ale jeszcze dla czytelników, niezbyt wprawionych w samodzielne myślenie wogóle, a w zakresie poprawności językowej w szczególności, są szkodliwe, wdrażają bowiem umysł w dziwnie niekonsekwentny sposób myślenia (por. „kombinacye" przy *gonić, śledzić* i t. p.), z drugiej znów strony ośmieszają badania językowe, gdyż czytelnik doprawdy może pomyśleć, że „językoznawcy" kierują się w swoich badaniach metodą p. Krasnowolskiego.

Również i cały szereg ogólników, wypowiadanych przez tegoż autora z powodu poszczególnych „błędów" językowych, grzeszy brakiem dokładności, wierności etc. Autor błędnie przedstawia pochodzenie języków romańskich (str. 4). Te ostatnie wcale nie powstały — jak pisze — przez „rozpadanie" się „łaciny" t. j. języka klasycznego, języka literatury, lecz skutkiem romanizacyi języków nie-romańskich za pośrednictwem *łaciny ludowej*. Niedokładnem, a nawet błędnem jest tłómaczenie terminu „makaro-

nizm‘ (str. 161). Autor nawet takie wyrazy jak *charakterystyczny, banalny, objektywny*.... za makaronizmy uważa! Nie należy zapominać, że właściwie makaronizmami zowią się nie „wyrazy obce (łacińskie, greckie, niemieckie, francuskie, rosyjskie i inne), wplatane do mowy polskiej“—jak mniema autor—lecz odwrotnie, pisane łaciną z wplataniem w jej *formy* wyrazów jakiegoś innego języka. Wyrażenie: „mówiłem z panem Piotrowicz“ daje autorowi powód do zapytania: „Co to znaczy? Czy nasz język spadł do rzędu języków niefleksyjnych?“ (str. 71). Dla czegoż „spadł“? Przecie np. francuski lub angielski język, tracąc fleksyę, bynajmniej nie „spadały.“ Niech sobie też autor przypomni, że po niemiecku nie tak jeszcze dawno temu „Goethe schrieb an Vosse*n*“ (dziś już „an Voss“); por. też np. „der Herzog gab Goethe*n* die Hand.“ Nie znaczy to bynajmniej, żebyśmy popierali cytowany wyżej sposób mówienia „po polsku,“ ale dla tego nie popieramy, że nie jest w powszechnem użyciu, nie można jednak tolerować z gruntu błędnego i bałamucącego czytelnika tłómaczenia. Zdanie autora ogólnie wypowiedziane, iż „wielu widocznie mniema, że imiona własne mają jakieś osobne prawa w gramatyce“ (str. 71) jest również błędne, gdyż dość zaglądnąć do jakiejkolwiek gramatyki któregokolwiek języka aryoeuropejskiego, aby przekonać się, że imiona własne osobno są omawiane, że posiadają zatem „osobne prawa w gramatyce,“ wyrażając się słowami autora.

W wielu wypadkach należałoby autorowi wyrażać się dokładniej, tak np. na str. 25 pisze: „Wyraz *gimnazista* jest wzięty z języka rosyjskiego; jest wprawdzie utworzony według analogii rzeczownika *seminarzysta*!!... Jakto — i „wzięty“ i „utworzony według analogii“? „Barbaryzmy semazyologiczne — pisze na str. 123 — jeszcze bardziej szpecą język, niż barbaryzmy syntaktyczne, gdyż głębiej od nich wnikają w ducha języka“ — jakaś to bardzo głęboka filozofia *à la* Deszkiewicz. Dla autora „dziwacznie brzmi“: „Mieszkam Wilcza 53“ (str. 74). Naturalnie, jeśliby tak „brzmiało,“ ale oddając wiernie owo „brzmienie“ żywej mowy należy napisać: „mieszkam: Wilcza 53,“ albo „mieszkam — Wilcza 53.“

Mimo, iż p. Krasnowolski w „Przedmowie“ do swej książeczki mówi, że w ocenie błędów kierował się „oględnością i umiarkowaniem,“ że będzie zwracał głównie uwagę na błędy „najpospolitsze, t. j. takie, które najbardziej zagrażają czystości języka“ — mimo tych zastrzeżeń, co krok spotykamy się z zapędami

purystycznemi ze strony autora, tak np. przymiotniki *łąkowy, brzegowy, śniegowy* zowie dziwolągami i zupełnie niepotrzebnemi“ (str. 20). „Niech — pisze — kwiaty *łączne* nikogo nie rażą, nie wymyślajmy kwiatów *łąkowych*.... Niepotrzebna też linia *brzegowa* i *śniegowa*, gdyż posiadamy przymiotniki *brzeżny* i *śnieżny*.“ Ależ wyrazy *śniegowy* i *brzegowy* — dziś w powszechnem użyciu — istnieją w języku naszym od XVII stulecia, a *łąkowy* od XVIII. Za „niepotrzebny“ giermanizm albo galicyzm uważa autor wyrażenie *jeden* w znaczeniu „pewien, jakiś“ (str. 88). A jednak już Leopolita w swej Biblii (1561 roku) pisał: „Był *jeden* człowiek bogaty....,“ a lud dziś nie inaczej bajkę opowiadać zaczyna, jak od słów: „Był sobie *jeden* król....“

Nie ma też potrzeby powstawać na będący w powszechnem użyciu pleonazm *jednem słowem* (str. 88); zna to wyrażenie i Knapskiego: „*Thesaurus linguae Polonicae*“ (1621); — również i na wyrażenie *być w stanie* (str. 149), bo tak mówimy już od XVIII wieku, a dowcip p. Krasnowolskiego, że „w stanie“ może tylko ktoś być cienki albo gruby — nikogo ani przekona, ani zabawi. Raczej smutne dla autora reminiscencye wzbudzić może w umyśle czytelnika... Również *li tylko* nie jest wcale „głupstwem,“ wyrażając się słowami p. Krasnowolskiego, lecz takim samym, mającym zupełną racyę bytu, pleonazmem, jak już wymieniony „jednem słowem,“ lub „sam jeden,“ lub częste w staropolskim „jedno tylko,“ albo „z dawien dawna“ i „z dawnej dawności,“ jak pisze Konopnicka lub jak piszą Niemcy: „Stillschweigend“ i t. p. Więc niesłusznie potępia p. Krasnowolski te i inne wyrazy i wyrażenia, co więcej nawet sam „kuje,“ tak np. radzi zamiast utartego „spacerowicz“ używać wyrazu „spacerownik“ (str. 43), zamiast „w dwóch, w obu rękach“ — „w dwu, w obu ręku“(!) (stronica 57) i t. d.

Z podobnymi błędami metodycznymi, niedokładnościami i zapędami puryfikacyjnymi nie spotykamy się w pracy p. Passendorfera. Jest natomiast pewna wada wspólna pracom obu autorów, zresztą i wielu innych autorów; p. Krasnowolski jednakowoż „celuje“ w tym kierunku, p. Passendorfer — jak zwykle — ostrożny, wyrozumialszy. Oto np. p. Krasnowolski pisze: „Prawidłowo może być tylko *reparować*“ (str. 6), p. Passendorfer zaś — „*reparować*, niekiedy także reperować,“ a w objaśnieniu: „lepiej: reparować;“ obaj opierają się na łacińskim wzorze — *reparo*. Ale nie zawsze tak łatwo o źródło. Oto np. zaraz po „reparować,“ omawiając wyraz *weranda*, p. Krasnowolski pisze: „podobnież mówić należy:

*weranda*, gdyż ten wyraz w języku portugalskim, z którego pochodzi, brzmi: *varanda*," natomiast p. Passendorfer, polecając formę *weranda* objaśnia: „z hiszpańskiego *veranda*." Opierając się na formie portugalskiej — jak to czyni p. Krasnowolski — staje się niezrozumiałem dla czego pierwsze *a* („varanda") mamy prawo w polskim przez *e* zastępować („weranda"), a drugie *a* („waranda") musimy zachować? Gdzie tu logika? Więc może ma racyę p. Passendorfer, ponieważ forma polska i hiszpańska brzmią identycznie? Nie sądzę. Najprawdopodobniej zapożyczyliśmy *werandę* od niemców — „*Werande*." Źródłem zaś dla języków zachodniej Europy jest niewątpliwie wyraz portugalski, ten zaś bynajmniej nie jest „portugalskim;" jest to bowiem wyraz, zapożyczony przez portugalczyków z języków indyjskich. Tak dobrze zatem można twierdzić, że wyraz polski „weranda" pochodzi z języka portugalskiego, jak i z indyjskiego.

Nie ma również racyi p. Krasnowolski twierdząc, że pol. *szemat* pochodzi z języka greckiego; z greckiego, a najprawdopodobniej z łaciny, pochodzi polskie *schemat*, zaś *szemat* zapożyczyli nasi technicy w nowszych czasach z języka niemieckiego. Podobnież mamy *machina* i *maszyna*. Rozumowanie p. Krasnowolskiego: „Czyż zwolennicy pisowni *szemat* zechcą pójść za przykładem niemieckim, a więc pisać i mówić: szolastyka?" przypomina sylogizm: Kajus ma dwie nogi — gęś ma dwie nogi; *ergo* — Kajus jest gęsią!

Powszechnie używane są wyrazy *biszkopt* i *biszkokt* — ten ostatni naszem zdaniem znacznie rzadziej; jednakowoż p. Passendorfer objaśnia: „ze względu na pochodzenie tego wyrazu (*bis coctus*) lepiej: biszkokt" (str. 9). Oczywiście nic nie przekonywujący dowód. Należy też zwracać uwagę i na chronologię: ten sam wyraz obcy, zapożyczony w różnych epokach, w odmiennych może istnieć postaciach np. *barwa* i *farba*.

Powtarzamy, że w pracy p. Passendorfera z niedokładnościami tego rodzaju spotykamy się nader rzadko; autor zawsze jest ostrożny i umiarkowany; nie narzuca jednych form i wyrazów, nie potępia bez dostatecznych powodów innych; np. *biedaczysko ten* albo *to*, ci *autorowie* albo *autorzy*, tych *badaczów* albo *badaczy*, tych *bednarzów* albo *bednarzy*, tych *bitew* albo *bitw*... *baldachin*, *baldakin* albo *baldachim*... „*Gdzie idziesz?* i t. p. Odwieczny zwyczaj językowy — pisze p. Passendorfer — uświęcił to wyrażenie, można więc mówić: *gdzie idziesz? gdzie jedziesz?*... albo *dokąd idziesz? dokąd jedziesz?*...

I podobnie w wielu miejscach. Taki stosunek autora do różnych form, wyrazów i wyrażeń, dowodzący, że autor rozumie istotę poprawności językowej, życie języka wogóle—stanowi walną zaletę pracy p. Passendorfera. Najjaskrawiej zaleta ta występuje, gdy się porówna to, co mówią obaj autorowie o jednym i tym samym „błędzie“ językowym. Oto np. p. Krasnowolski na stronie 64 oburza się, że *para* w pewnych wyrażeniach oznacza „kilka.“ „Zabawna mowa!—pisze - jakby można było ni stąd ni z owąd postanowić, że trójka ma być parą!“ Tu nic nie potrzeba ustanawiać, ani filozofować *à la* Deszkiewicz, tylko *wiedzieć*, że w pewnych wyrażeniach *para* znaczy „kilka“: „parę flasz wina,“ „za parę dni“. . . czytamy też często w utworach XVIII wieku; również należy wiedzieć, że i „trójka“ może być „parą“ — nawet była i niekiedy jest: oto w dawnej polszczyźnie spotykamy wyrażenie „trzemi słowy“ czyli inaczej „kilkiem słów, jaknajkrótciej.“ Oczywiście „od paru lat“ utworzone nie tylko na wzór „od kilku lat“ lecz i „od dwu (dwuch)... pięciu, sześciu, siedmiu... tylu... wielu... lat.“ Ponieważ w tem wyrażeniu „od paru lat“ — „para“ oznacza „kilka,“ a nie „dwa“ więc i „para“ w tem znaczeniu inaczej się odmienia, wbrew zdziwieniu p. Krasnowolskiego. Tak samo mamy „tego zamku“ i „tego zamka.“ Jakże inne stanowisko wobec powyższego wyrażenia zajmuje p. Passendorfer! Oto pod *para* (str. 138) czytamy: A) *Para* (= dwie osoby lub rzeczy, należące do siebie). Para narzeczonych, para gołębi, para butów. Rzeczownik ten odmienia się jak *ściana* . . . . B) *Parę* (= kilka). Liczebnik nieoznaczony: *parę* odmienia się, jak kilka...“ Zgodnie z tem zatem odmieniamy *para butów*, *pary butów... w parze butów...* lecz — *parę butów*, *paru butów... w paru butach...* Powyżej daliśmy również kilka przykładów, ilustrujących metodę p. Krasnowolskiego: straszenie nieporozumieniami, logicznymi dziwolągami etc. Oto zaś charakterystyczny ustęp z pracy p. Passendorfera: „Od wieków mówiono i pisano: *mieszkam na ulicy*, dopiero w wieku XIX poczęto dowodzić, że „tylko włóczęgi i lazzaronowie włoscy *na ulicach* mieszkać mogą, ludzie zwykle mieszkają w domach *przy ulicy* stojących, a więc mieszkają *przy ulicy*, nie zaś na ulicy.“ Tego rodzaju wywody nie mają żadnego uzasadnienia. Gdybyśmy chcieli tym samym sposobem „poprawiać inne, pozornie niedorzeczne wyrażenia (np. stoję *na* słońcu, stoję *na* deszczu wyjechałem *na* świeże powietrze i t. p.), powstałyby bardzo *logiczne.... dziwolągi językowe*.“ Ale nie będziemy więcej mnożyć owych „porównań.“ I przytoczone dostatecznie charakteryzują wartość obu prac.

Praca więc p. Krasnowolskiego w porównaniu z pracą pana Passendorfera, pozostaje daleko w tyle. Nie dla tego jednak, aby dawała zawsze błędne rady: potępiała dobre formy językowe, a zalecała złe. Nie znaczy to znów, abyśmy się wszędzie z panem Krasnowolskim zgadzali, abyśmy formy, wyrazy i wyrażenia przez niego zalecane, za jedynie możliwe i poprawne uważali. Jeśli się zaś na większość zalecanych przez autora godzimy, to dla tego tylko, że one właśnie w powszechnem są użyciu, potępiane zaś przez niego słusznie, popełniane zostają li tylko przez nieznaczną część naszego społeczeństwa. Za błędne i szkodliwe natomiast uważamy objaśnienia p. Krasnowolskiego bałamucące czytelnika, wprawiające do myślenia urągającego elementarnym zasadom logiki, uniemożliwiające przeto wszelkie zrozumienie istoty zjawisk językowych. Słowem, aby książeczka p. Krasnowolskiego mogła być pożyteczną, musiałaby uledz gruntownemu przerobieniu, od A do Z.

Zupełnie inaczej rzecz się ma z pracą p. Passendorfera, pracą bardzo pożyteczną, doskonale wykonaną. Nie wątpimy, że nasze inteligentne warstwy społeczne potrafią tę pracę ocenić i wyróżnić, że znajdzie ona jaknajszersze rozpowszechnienie, na co ze wszech miar zasługuje. Nie wątpimy też, że niedługo czekać będziemy na nowe, powiększone wydanie „Błędów językowych."

Drobiazgów, któreby, naszem zdaniem, poprawić w owem nowem wydaniu należało, wyliczać tu nie będziemy; natomiast pozwolimy tu sobie słów kilka poświęcić rubryce zatytułowanej: „Błędne wymawianie." Tę rubrykę należałoby całkowicie przerobić, a mianowicie przedewszystkiem z tego względu, iż w niej autor pomieszał błędy „językowe" i „ortograficzne" z błędami „wymawianiowemi." Oto np. *posełać, posełka... oddechać, wdechać...* to nie błędne „wymawianie" wyrazów *posyłać, posyłka... oddychać, wdychać...* Następnie wcale nie jest „poprawnem" ze stanowiska języka polskiego „wymawianie:" *bronz, pensya...* albo *bęben, tętno, tępić....* co innego pisownia tych wyrazów; autor radząc tak „wymawiać," jak owe wyrazy właśnie są wyżej napisane, popełnia błąd metodyczny. Wymowa tego rodzaju wyrazów już dostatecznie wyjaśniona została przez prof. Jana Baudouina de Courtenay, prof. I. Rozwadowskiego i p. T. Benniego. Również błędem metodycznym jest następująca rada: „Nie należy opuszczać końcowego *ł* w formach takich jak *łazł, padł, szedł...* nie: *łaz, pad, szed...*" Zauważę też nawiasem, że błędnie podano *łaz, pad, szed...* zamiast *las, pat, szet...* Również nikt nie mówi: jabko (*jabłko*), lecz

*wszyscy* mówią *japko*. Konsekwentnie autor powinien polecić wszystkim wymawiać: *bez*, *chleb*, *śpiż*, *dąb*, *kolebka*... gdyż każdy „poprawnie“ po polsku mówiący — mówi: *bes*, *chlep*, *śpisz*, *dąp*, *kolepka*... Słowem ustęp ten należałoby zupełnie przerobić. Na zakończenie jeszcze raz gorąco polecamy pracę p. Passendorfera wszystkim miłośnikom ojczystego języka.

Henryk Ułaszyn.

# PIŚMIENNICTWO.

ALEKSANDER KRAUSHAR. *Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk.* Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. 1824—1828.

Autor zaznaczył w przedmowie, iż przedostatnie czterolecie Towarzystwa, mniej zasobne w ważniejsze prace i rezultaty naukowe, zaznaczyło się faktem doniosłym, który na losy jego późniejsze wpłynął decydująco i sprowadził znamienne, w dotychczasowym jego, ściśle zachowawczym, kierunku dążeń i celów, następstwa. Po ćwierćwiekowym przeszło udziale czynnym w rozwoju Towarzystwa, zeszedł Staszic z pola działalności doczesnej, a dziedzictwo po nim przeszło w ręce, mniej może mu duchowo równego, lecz w dążnościach obywatelskich jednako wyszkolonego, Niemcewicza. W tej epoce nie wydało grono członków ani jednego donioślejszego utworu literackiego. Na posiedzeniach publicznych popisywano się utworami poety Kruszyńskiego lub też wyjątkami z „Ziemiaństwa," wówczas właśnie, gdy na szerszej arenie rozbrzmiewały echa „Sonetów Krymskich" Mickiewicza. Wyróżnienie nauk przyrodniczych i przewaga ich nad literaturą piękną, widocznemi są z przemówień Niemcewicza na posiedzeniach dorocznych, publicznych. Nawet Lelewel, historyk, ulega wpływowi owych nauk i bierze udział w posiedzeniach wydziału umiejętności. Do tej przewagi umiejętności ścisłych nad humaniorami, w owym czasokresie, przyczynił się niewątpliwie i nastrój ogólny w życiu publicznem, coraz gęstszemi chmurami się zasnuwającem.

Pierwsze posiedzenie 1824 r., które się odbyło w nowym gmachu, poświęcone było przeważnie uczczeniu Staszica za jego fundacyę Hrubieszowską. Mowę miał Skarbek. Była ona dla Staszica niespodzianką, to też gdy ją rozpoczął Skarbek, Staszic

rozczulony zakrył twarz rękami i tak przez cały czas jego mowy siedział, chcąc ukryć przed publicznością wzruszenie swoje. Opisał Skarbek urządzenie fundacyi, w której, miasto i wioski, przedtem przez czynszowych i pańszczyźnianych wyrobników osiadłe, w których niegdy praca i nędza kilkuset ludzi, zbytkom jednego hołdownicze znosiła daniny—zaludnione zostały obywatelami nieulegającymi władzy lub wpływowi bezpośredniego dziedzica i którzy obecnie na własnym gruncie, dla siebie i dla potomków swoich, owoce pracy zbierają. Wyzuł się dotychczasowy dziedzic tych włości dobrowolnie z ich własności i rozdzielił między osiadłych włościan pola, tak dworskie, jak i włościańskie, i aby osadę tę dobroczynną na zawsze od wypadków losowych, nieszczęśliwych zasłonić, nadał jej formę towarzystwa rolniczego, węzłem wzajemnych potrzeb skojarzonego i ustawom przez założyciela nadanym nazawsze podlegać mającego. Pierwszym obowiązkiem każdego stowarzyszonego, regularne opłacanie podatków, rozłożonych według zasady stałej, stosownie do rozległości gruntów ustanowionej. Za tę opłatę ręczy gmina solidarnie. Władza gminna czuwa nad spełnianiem tego obowiązku stowarzyszonych, zniewala opieszałych karami stopniowanemi, z których ostateczne jest wyzucie z własności i oddanie jej innemu, rządniejszemu.

Niezależnie od dobrobytu zewnętrznego pomyślał fundator o rękojmiach moralności osady, o wszczepieniu cnót samopomocy i pomaganiu sąsiadom w wypadkach losowych, o krzewieniu między osadnikami oświaty, przez ustanowienie szkoły miejscowej i funduszu na kształcenie młodzieży zdolniejszej w szkołach wojewódzkich i w uniwersytecie. Towarzystwo rolnicze hrubieszowskie uwolnionem zostało od nędzarzy i od sierot bezdomnych drogą obowiązkowego nakazu przyjmowania takich sierot przez bogatszych gospodarzy. Żołnierze z osady pochodzący, znajdują na starość przytułek w domu inwalidów. Przezorność fundatora obmyśliła dla osady bank zaliczkowy, kasę oszczędności i pożyczek, magazyny zbożowe. Pożyczki poddano zasadzie amortyzacyi. Dalsze przepisy fundacyi określały warunki wypuszczenia karczem i młynów w dzierżawę wieczystą, utrzymywania domów, grobel, dróg i mostów w należytym porządku, określały skład rady gospodarczej, władzę wójta naczelnego dziedziczną i poddaną kontroli władz wyższych.

Oto jest zbiór zasad, zakończył Skarbek, które służą za podstawę rolniczemu Towarzystwu przez dobroczynność jednego męża zawiązanemu. Oto obraz szczęścia i swobody na wieki kilkadziesiąt familiom zapewnionych, oto jest ten wzór rzadkiej cnoty

i prawdziwie ludzkiej instytucyi, który z chlubą obcym do naśladowania podać możemy. Zwracając się zaś bezpośrednio do Staszica, rzekł Skarbek: „Tłómacz uczuć kolegów swoich, chciałem Ci wynurzyć tę wdzięczność i to uwielbienie, którem są dla Ciebie przejęci. Wieniec zasługi, który dzisiaj koledzy moi na tych sędziwych złożyć chcą skroniach, uwity jest z kwiatów, przez Ciebie samego na polu cnoty zebranych. Żadna zawiść, żadna złość ludzka, ani Ci go wydrzeć, ani zwiędnienia jego zdziałać nie może. A jeżeli kiedy zapuścisz spokojne oko w daleki zawód przyszłości, ujrzysz tam, obok hrubieszowskich pokoleń, przyszłych członków naszego Towarzystwa, na jednym ołtarzu hołd wdzięczności swojej składających.“ Łatwo wyobrazić sobie zapał wzbudzony w słuchaczach i świadkach owej niezwykłej owacyi.

W r. 1824 Lelewel miał odczyt w Towarzystwie, poświęcony historyi Rosyi Karamzina, jako mającej powszechniejszy interes, bo wykłada sprawy większego państwa, niż było rzymskie, „państwa osobliwego i nader ciekawego składu.“ Lelewel wytyka Karamzinowi niedokładności w ocenie zalet starożytnych historyków, w sposobie traktowania pojęcia historyi, w zawiłem nieco poszukiwaniu interesu historycznego. Wbrew twierdzeniu Karamzina, iż czytanie dziejopisów klasycznych przepełnione mowami fikcyjnemi i drobiazgowemi opisami, nadużywa cierpliwości czytelników, staje Lelewel w obronie owych pierwowzorów kunsztu dziejopisarskiego, zaznaczając, że pod piórem pisarzy starożytnych małe nawet widoki stały się wielkimi i nie sama adoracya, z którą najświetniej wystąpili, ale zgłębienie polityki, znajomość ludzi i szczęśliwa kompozycya, Thucydydesa, Sallustyusza, Tacyta i innych historyków, pamiętnymi uczyniła.

Następnie przechodząc do porównania Karamzina z Naruszewiczem, Lelewel oświadcza, że obcy historycy byli synami swego czasu. Jak byt zwątlały, przerwany, tak wątlała i przerywała się Naruszewicza praca, która pozostała niewykończoną. Dla Rosyi rozwinęły się właśnie wieki potęgi i chwały, wiek dojrzały owej pory szukający, gdy Karamzin różny los przeszłości swym ziomkom roztacza. W olbrzymim wzroście przypomnienie lat dziecięcych, upłynionych cierpień, obok dawnej, przypominającej sławy, niezachmurzy rosnącego widziadła. Obaj historycy zaczęli dzieła swoje od dziejów najdawniejszych, słowiańskich, jeden od Piastów, drugi od Ruryków. Naruszewicz więcej się zajmuje dziejami książąt, w notach jedynie podając odmiany zwyczajów, praw i stanu mieszkańców. Karamzin obok dziejów książąt rozważa zmiany wewnętrzne we wszystkich względach politycznych

i kultury, postępu moralnego i cywilnego, piśmiennictwa, sztuk i przemysłu. Tym sposobem budzi myśl filozoficzną, co daje mu nie małe pierwszeństwo przed Naruszewiczem. Polski pisarz zwraca uwagę na polityczny stan postronny, zewnętrzny. Rosyjski—przypuszczając, że czytelnicy znają politykę zewnętrzną, samą tylko wewnętrzną rozwija. Historyk rosyjski miał za przewodnika język grecki, przez co pozostał przy swojej harmonii, nabył powłokłości, utrzymał się na drodze łatwego postępu i doskonalenia. Wykład dziejów Naruszewicza ma charakter narodowy i monarchiczny. Ma go, choć z innych względów i wykład Karamzina. Nadawanie charakteru teraźniejszego czasu wiekom dawnym, wpływa niepomiernie na obrazy przez Karamzina kreślone. Toż samo i uczucie narodowe, które żywym wykład jego pociąga kolorem, toż samo i uczucie religijne prawowierności swego wyznania.

Jeszcze w r. 1823, poruszył Staszic kwestyę odnowienia pomnika na rzecz Unii w r. 1569, przedstawiając podczas bytności cesarza Aleksandra prośbę o odświeżenie dawnego pomnika kamiennego, który tę pamiątkę narodową uwieczniał. Cesarz zgodził się na tę prośbę i zezwolił na wzniesienie pomnika z żelaza. W r. 1825, władze krajowe zwróciły się do Towarzystwa z propozycyą podania godeł pamiątkowych, jakieby na obelisku umieścić należało. Podjął się opracowania owego projektu Bentkowski, którego plan poddany był następnie dyskusyi Towarzystwa. Na temże posiedzeniu, 1825 r., miano odczytać wyjątki z dzieła Gołuchowskiego p. t.: „Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka,“ poprzedzone historycznem rozwinięciem głównych zasad filozoficznych od Kanta do najnowszych czasów. Zaprotestował przeciw odczytaniu tych wyjątków na posiedzeniu publicznem ks. biskup Prażmowski, a uczynił uwagę przeciw odczytaniu owego wyjątku na posiedzeniu publicznem, z zasady, iż publiczność nasza nie jest dosyć na wysokiem postawiona stanowisku, aby styl metafizyków niemieckich pojęła i nie zgubiła się w tłumie nadzwyczajnych metafor i porównań. Przyłączył się do opinii biskupa Prażmowskiego umysł tak pozytywny, jak prof. Skrodzki, który również uznał za rzecz nie dosyć przyzwoitą, aby czytano na posiedzeniu publicznem, wśród tylu rzeczy świeckich, pismo, mające cechę religijno-moralną i w którem święte imię Boga tak często jest powtarzanem. Większość członków poszła za zdaniem tych dwóch i odczyt Gołuchowskiego z programu posiedzenia publicznego usunięto. Dotknięty owym wyrokiem Gołu-

chowski, zachował żal do kolegów i dał mu wyraz w liście, który autor poda w odpowiedniem miejscu.

W r. 1825, wyjątkowo nie odbyły się wybory nowych członków. Nie było to następstwem braku odpowiednich kandydatów, lecz wynikło z powodu wewnętrznego rozkładu i pewnego objawu partyjności, który niewiadomo przez kogo i gwoli czemu, wkradł się był do grona mężów poważnych, nauce oddanych i świadomych doniosłych obowiązków, z interesem Towarzystwa skojarzonych. Wogóle ta epoka (r. 1825) do najmniej pomyślnych w rozwoju instytucyi danej należy. Czuć pewien zanik energii, brak celu, dorywczość zajęć, mechaniczne spełnianie obowiązków. Pierwszą przyczyną, zdaje się, było, chylenie się potężnego umysłu prezesa Staszica ku starości. Częsta jego nieobecność na posiedzeniach, odejmuje zebraniom charakter jednolitości. Cała uwaga skupiona jest około reformy w wyborach. Miesiące przechodzą na obmyślaniu coraz to nowych formalności w przedstawianiu i obiorze kandydatów. Chęć naśladownictwa Akademii Francuskiej, w sposobie zabiegania o tytuł członka Towarzystwa, nasuwa niektórym osobnikom dziwaczne myśli i projekta. Obawa, by do grona z natury swej konserwatywnego, nie dostał się ktoś niepożądany, naprowadza projektowiczów na błędne ścieżki tajemniczości wyborów, osłaniania ich drobiazgowemi formułkami. Wobec takiego kierunku, dziwić się nie można, że w dotychczasowym rozwoju prac ściśle naukowych nastąpił zastój. Zamiast prac organicznych, na których czele było utworzenie szeregu monografij historycznych, prac około języka i literatury, widzimy jedynie dorywcze rozprawki z dziedziny archeologii i astronomii. Odgłosem tej niezaradności i skierowania umysłów mężów uczonych ku drobiazgom, był memoryał Brodzińskiego, w którym znajdujemy wyjaśnienie zakulisowych działań projektowiczów reform wyborczych i powód, dla którego do wyboru kandydatów w owym czasie nie przystępowano. Brak energicznej ręki Staszica daje się coraz bardziej odczuwać nawet w zewnętrznych objawach działalności Towarzystwa.

W r. 1825 zmarł Staszic. Rządy jego w Towarzystwie trwały bez mała lat dwadzieścia pięć. Albertrandi kierował Towarzystwem lat ośm, Niemcewicz lat sześć jedynie. Za Staszica Towarzystwo Przyjaciół Nauk, z pominięciem dwóch lat ostatnich, dostąpiło największego w dziejach swoich rozwoju i na polu postępu wiedzy pozytywnej znakomicie się wyróżniło. Albertrandi był przeważnie klasykiem i archeologiem, Niemcewicz — literatem-poetą. Staszic był nietylko myślicielem, statystą i histo-

rykiem, lecz był przeważnie przyrodnikiem, uczniem tych wielkich przyrodoznawców, którzy badaniami swemi przełom w naukach przyrodniczych wywołali. Był Staszic przedewszystkiem mężem rozległego umysłu i obejmował całokształt wiedzy okiem filozofa, niezasklepionego w ciasnych ramkach drobnostkowych badań literackich i filozoficznych. Za jego rządów wydział umiejętności, obejmujący w zakresie prac swoich nauki przyrodnicze, chemię, fizykę, geologię, nauki matematyczne i ekonomię polityczną, do daleko świetniejszych doszedł rezultatów, aniżeli wydział nauk, którego członkowie stosunkowo mało wnieśli do ogólnego dorobku umysłowego narodu. Nie były Staszicowi obce ważne zadania historyi, filologii i sztuk pięknych, lecz nierównie wyżej od tych dziedzin stawiał on umiejętności praktyczne, z życiem narodu i jego ekonomicznym rozwojem ściśle zespolone. Takiego przewodnika jak Staszic, Towarzystwo, ani w początkach swego istnienia, ani też w końcu swego bytu, nie znało. Z ustąpieniem Staszica nowy, znamiennie różny od poprzednich, zjawił się kierunek prac Towarzystwa.

Po śmierci Staszica, bezkrólewie trwało dość długo w zarządzie Towarzystwa. Niezabierano się do wyboru nowego prezesa. Przeważnie na tę zwłokę oddziaływała niechęć W. Ks. Konstantego do tej instytucyi i do zmarłego jej przedstawiciela. W. Książe nie lubił Staszica, podejrzewając go o szerzenie nienawidzonej przez siebie wolnomyślności. Nie wpłynął na zmianę stosunku W. Księcia do Towarzystwa reskrypt cesarza Mikołaja I, zapewniający względy panującego tej instytucyi. Jedynie życzliwość księżnej Łowickiej dla Niemcewicza łagodziła objawy niechęci W. Ks. Konstantego dla Towarzystwa; mimo to owe często powtarzające się sekatury nie mogły wpływać dodatnio na normalny bieg zajęć naukowych członków Towarzystwa, wywołując apatyę i obawy o przyszłość. W r. 1826 Bentkowski zaproponował ażeby pannę Tańską wybrano na członka Towarzystwa, zaznaczając, że zachęta z naszej strony okazana tak chwalebnym usiłowaniom, jakiemi są panny Tańskiej i ją samą pokrzepić może nowemi siłami i dla innych zbawiennym stanie się bodźcem. Wniosek Bentkowskiego poparł Skarbek, ale deputacya rozpatrująca wniosek osądziła, że ustawa Towarzystwa nie wspomina nic o tem, iż niewiasty przystęp do niego mieć mogą. Przemilczenia ustaw w tym względzie za przyzwolenie poczytać nie można, nie można bowiem przyjąć tego prawidła, że ustawy pozwalają na wszystko, czego nie zakazują. Zresztą gdyby można było przyjmować uczone kobiety do Towarzystwa, niepodlega wątpliwości, iżby Towa-

rzystwo dawno już było powołało do swego grona inne polki, w ojczystej literaturze zasłużone. Wyrażono jednak Tańskiej w inny sposób uznanie. Rada administracyjna w nagrodę dotychczasowych zasług i dla zachęcenia jej nadal do chwalebnej wytrwałości w tak pożytecznych pracach, mianowała ją wizytatorką wszystkich szkół i pensyj w stolicy, z płacą 4000 złp. rocznie, oraz za profesorstwo 2000 złp.

W r. 1827, który Skarbek zwie epoką najsmutniejszą Królestwa, przystąpiono do wyboru prezesa Towarzystwa. Został nim Niemcewicz. Był on, jak świadczy Skarbek, despotą w Towarzystwie. Nawykły do ciągłych hołdów, zepsuty przez kobiety, jak pieszczone dziecko, wzbudzał powszechne poważanie i taką uległość, iż co on uchwalił, to było przez wszystkich uchwalone, co on ganił, to było potępione. W ciągu roku 1827 nie zjawiła się żadna donioślejsza praca w Towarzystwie i zaznaczyć tylko należy, że wybrano na członków zagranicznych Szafarzyka, Beniamina Constant'a i księcia Wiaziemskiego. Wogóle praca Kraushara Towarzystwu Przyjaciół Nauk poświęcona, przedstawia się bardzo interesująco. Autor dzieje Towarzystwa rozsnuł na tle cywilizacyjnem dziejów Królestwa i tem nadał swej książce donioślejsze znaczenie naukowe. Umiejętnie dobrane ilustracye rzeczywiście zdobią wydawnictwo.

A. R.

---

KS. ARCYBISKUP TEODOROWICZ. *Z ostatnich doświadczeń.* Uwagi po sztrejkach.

Kwestya ludowa, jak słusznie zauważył ksiądz arcybiskup, jest w naszem społeczeństwie najwyższej wagi, zwłaszcza od chwili, w której lud wystąpił, jako nowy czynnik polityczny i jako uświadomiony przez szkołę czynnik społeczny. Niezwykła doniosłość sprawy ludowej tembardziej się jeszcze potęguje, iż w kraju nawskróś rolniczym, jak Galicya, przy tak nierozwiniętym przemyśle i handlu, lud stać się musi prędzej czy później osią, około której sprzęgają się najżywsze interesy społeczeństwa. Trzeba jednak sobie powiedzieć, iż nie poświęciliśmy tej sprawie tego stopnia uwagi i intensywności pracy, na jaką zasługiwała i jaka w interesie wspólnym była koniecznie wymagana. Społeczeństwo (galicyjskie) musi się do tego przyznać, iż ogólny strejk rolny był dlań zupełną niespodzianką i niespodziewanem zaskoczeniem. Tem samem zaś oddaje sobie świadectwo, iż we wpływie na lud

dało się wyręczyć innym i w samem rozważaniu sprawy ludowej nie trzymało zupełnie jej pulsu. Trzeba przyznać, iż jakkolwiek dopiero strejków potrzeba było na to, ażeby sprawą tak piekącą umysły rozognić, dziś budzą się u nas nietylko refleksye na całej linii, ale nadto daje się odczuwać wspólność myśli i solidarność w tych warstwach, które dotąd szły luzem.

Wnikając w zajścia ostatnie (galicyjskie) musi się przyjść do przekonania, iż lud strejkujący działał przedewszystkiem pod wpływem czynników socyalnych. Strejk sam w sobie, o ile jest środkiem do rewindykacyi słusznych praw, o ile jest w granicach korzystania z własnej, bez naruszania praw cudzej wolności, o ile dąży godziwie do polepszenia własnego bytu, słusznym jest i dozwolonym. Ilekroć jednakże strejki są tylko środkiem i manewrem politycznym, skoro bez względu na słuszność i istotną potrzebę, agituje się za strejkiem, jako środkiem do oderwania ludu od jednych a przeciągnięcia go pod władzę drugich, skoro w następstwie tej taktyki mniej się uwzględnia istotne ludu potrzeby a bardziej baczy na rozdmuchanie w nim namiętności, pomocnych danej taktyce politycznej, skoro ten lud nie tyle się więzi przy sobie przez rzecznictwo dla jego zagrożonych interesów, ile raczej więcej przez terroryzm i postrach, lub przez nieprawdziwe obietnice; skoro środki nie liczyły się z zasadami prawa i etyki, skoro w tych, którzy odmawiali swej pracy, pojęcia prawne były albo chaotyczne, albo zniwelowane, albo zmieszane z pożądaniami innemi — w takim razie strejk, w takich warunkach dokonany, musi być potępiony i uważany za objaw antyspołeczny. Ostrze takich zaburzeń zwraca się nie przeciw jednej już tylko narodowości, ale wprost przeciw wszystkim, którzy obstają za porządkiem i ładem w społeczeństwie. To, co we wnętrzności ludu wszczepia truciznę pożądań, nie liczących się z prawem, ani z godziwością środków, musi być groźnem i niebezpiecznem dla wszystkich, którzy prawem i moralnością chcą być rządzeni.

Niema dzisiaj dwu zdań, że strejki (w Galicyi) ostatnie są zaburzeniem groźnem, przed którem bronić się należy. Dwa są środki obrony. Pierwszy sposób bardziej zmusza do wnikania w szczegóły indywidualne miejscowości, gdzie strejk wybucha, bardziej jest więc metodą partykularną; drugi zaś, z racyi poszczególnego zdarzenia wypowiada ogólniejsze prawdy i stawia ogólne programy działalności ludowej, bez względu na to, czy strejki w przyszłości będą, czy też nie. Pierwszy sposób przemawia tylko w imię obrony, drugi zaś wykazuje potrzebę obrony dla wyprowadzenia ogólnych prawideł i maksym. Dwie

zasady rządzą dziś zapatrywaniami na kwestyę ludową. Pierwszą zasadą jest jakoby uświęcona tradycya i ma swój wyraz w tem, co nazywamy stosunkiem patryarchalnym do ludu. Druga zasada spłynęła wraz z prądem, który dążył do jaknajszerszej oświaty ludu, i który go darzył prawami obywatelskiemi. Źródłem ożywczem i geniuszem jednej oraz drugiej zasady było serce, była szlachetna miłość ludu. Różnica między niemi tkwiła w samym sposobie działania społecznego. W imię pierwszej zasady wyznaje się, i to z głębokiem przekonaniem, że ludowi należy dobrze czynić, i że w ten lud iść potrzeba. To jednak wchodzenie w lud ma swoje granice i kończy się tam, gdzie się rozpoczyna samodzielne myślenie ludu, samodzielna pomoc sobie i samodzielne używanie praw obywatelskich. Druga zasada wychodzi z tego, że pierwszą i konieczną jest rzeczą dać moralne i duchowe podstawy ludowi, uczynić ten lud ludem chrześcijańskim, i to nie z formy, ale z treści i z ducha. Druga zasada uważa wprawdzie pracę za konieczną i za najniezbędniejszą, jednak z drugiej strony uważa także za obowiązek wykształcić w tym ludzie obywatela.

Ci, którzy się rządzą pierwszą zasadą, wychodzą z tego założenia, iż lud jest dzieckiem nieletniem, za które i dla którego wszystko trzeba robić. Jako naturalna konsekwencya takiej zasady, jest robota dla ludu, ale i bez ludu. Nawet w zakresie materyalnym nie ma się zaufania do pracy samodzielnej ludu i dlatego darzy się go tem, co pracę jego własną ma zastąpić t. j. jałmużną, objawia się mu miłosierdzie, które jest duchem dotychczasowych naszych działań dla ludu. Z drugą zasadą jest wręcz odmiennie. Ci, którzy ją wyznają, nie twierdzą bynajmniej, iż lud dorósł do wszystkiego, ale wierzą w to, że może dorastać, a wychodzą z założenia, iż powinien dojrzewać. To też ich praca dla ludu, rządzona tą zasadą, nie koniecznie jest większą niż pierwsza, może nawet poniekąd mniejsza, bo ten, co wszystko za drugiego robi, więcej zazwyczaj się spracuje aniżeli ten, co wespół z innym działa. Jeśli się zestawi oba te kierunki z chrześcijańską zasadą, to okaże się, iż ta zasada, głosząc miłość dla ludu, bardziej sprzyja temu kierunkowi, który w wychowaniu społecznem uwzględnia nie cząstkę tylko, ale rozwój wszystkich władz duszy i potrzeb ciała, który uszanuje w granicach możliwych to dobro wielkie, jakiem jest wolność i działalność osobista. Autor jednak nie sądzi, że dla tego drugiego kierunku należy obalić to, co w pierwszym kierunku działa, jako oddające się i poświęcające miłosierdzie. W obu tych kierunkach rozchodzi się bardziej

o taktykę i metodę. Dziś też należy sobie przedewszystkiem zadać pytanie: czyśmy w pracy nad ludem dobrą mieli metodę? I u nas metodę patryarchalną trzeba zamienić na tę drugą, nową, jak to stwierdzają eksperymentalnie strejki. Jeżeli lud, w imię metody patryarchalnej trzymany, za pierwszem obcem hasłem i podszczuciem oderwał się od tych, co w imie jej nim rządzili, jeżeli odpadł dziś, to niewątpliwie da się wziąć i jutro — a więc metoda dana nie wystarcza. Ale i drugą naukę mieszczą w sobie strejki. Wykazują one, że nieprzyjaciel wyzyskał w swojem działaniu na lud te właśnie strony, które dotąd były przez naszą pracę nietknięte. Aby zaś zrównoważyć wpływ nieprzyjaciela, nie ma innej rady, jak przerzucić się na to pole, na którem on atakuje i użyć tych środków, które mogą wytrzymać konkurencyę ze środkami, użytemi przez nieprzyjaciela. Na niczem nie zależy bardziej złej agitacyi, jak na odcięciu ludu od reszty zdrowego społeczeństwa, a nigdy agitatorzy tak łatwo terenu nie osiągną, jak gdy zostaną jedynymi jego panami. Aby zaś rozłamu między ludem a resztą społeczeństwa zupełniej dokonać, i aby równocześnie pochlebianiem ludowi słaby i nie rozwinięty jego krytycyzm do reszty uśpić i omylić, najczęściej chwyta się agitacya antagonizmów klasowych. Agitatorzy suggiestyonują ludowi politykę klasową, wysuwając chłopa, jako chłopa w przeciwieństwie do pana. Czyż więc nie jest jednym z najbardziej piekących interesów, ażeby taktykę nieprzyjaciela przejrzeć i w czas ją sparaliżować? Lecz czy naprawdę większy udział ludu w rządzeniu jest malum necessarium?

W Sejmie padły tego roku słowa: „polityka ludowa a narodowa.“ Błędem zasadniczym byłoby odmawiać uzdolnienia w ogólności ludowi do wpływania na politykę narodową. Jeżeli jednak prowadzenie taktyki politycznej wymaga osobnego uzdolnienia, to z tego nie wypływa, aby owo uzdolnienie było jedynym warunkiem zdrowego kierunku politycznego. W ludzie niezepsutym są pierwiastki zasadnicze wiary i etyki, związane razem w pewien zmysł zdrowy, bez którego nie może być nigdy żadnej polityki narodowej. Wszystkie pierwiastki kulturalne, pozbawione tego jednego, poświęcą każdej chwili względy na prawdziwy interes narodowy własnemu interesowi, któremu się uśmiecha dana kombinacya. Tego zmysłu nie daje ani wykształcenie, ani kultura, ani znajomość estetyki i smak sztuki. Naodwrót zaś, niezepsuty grunt duszy ludu, który tak pomaga prostocie i prawości myśli, i skarbiec prawy wiary, razem się składają na jakąś intuicyę prawd głębokich, społecznych i politycznych. Obecna Francya

daje illustracyę, że niezawsze polityka narodowa jest tam, gdzie rządzą ludzie, będący reprezentantami kulturalnej części narodu. W słowach chłopów bretońskich widzimy jeden z licznych objawów, że w zdrowej duszy ludowej są zawsze te wytyczne, po których kroczyć musi każda polityka, jeśli się nie chce sprzeniewierzyć temu, cośmy nazwali polityką narodową.

W materyalnym zakresie lud, wchodzący do rządu, wnosi ze sobą to pewne, zdrowe odczucie, ten pewien akcent na potrzeby rolnicze i ekonomiczne. Ile to u nas jest upośledzenia rolniczych spraw w ustawodawstwie. Inaczejby niewątpliwie było, gdyby politycznie reprezentowały ziemiańskie interesa, prócz nielicznej dotychczasowej garstki, zastępy uświadomione ludu. W polityce narodowej czynnik ludowy dopełnia i uzupełnia się tym czynnikiem, jaki w życie polityczne wnoszą warstwy, wykształceniem przewodzące. Więksi właściciele, jeżeli czują że giną, powinni powiedzieć sobie: jeżeli nie chcemy zginąć, to kształćmy lud tak, ażeby on, choć w swojej pozostając sferze, jedno z nami czuł i rozumiał, zstępujmy do ludu nie po to, by w nim, jako w wielkiej masie rozpłynąć się i siebie zagubić, lecz by nie tracąc siebie, ten lud przyciągnąć ku sobie, byśmy w ten sposób, nie tylko jako reprezentanci garstki, lecz szerokiej i potężnej masy, mogli stać się silni i odrodzeni.

W drugiej części praktycznej swego studyum, autor zaznacza, że doświadczenie, zebrane podczas strejków (w Galicyi), będzie mu jasną pochodnią, wskazującą kierunki dróg. Tę część pracy dzieli autor na trzy działy. W pierwszym zastanawia się nad terenem walki, jaki agitacya wogóle obierała, obiera, czy też w przyszłości sobie obierze. Zobaczymy, oświadcza autor, że terenem tym nie jest miłosierdzie, ale sprawiedliwość. Działalność przez miłosierdzie odpowiada tradycyom naszym przed usamowolnieniem ludu. Dawać z hojnego serca, łechce już miłość własną. Tymczasem obecne strejki wykazały dowodnie, że działalność dla ludu, przez ten jeden pryzmat obejmowana, nie wystarcza. W wielu wsiach, w których czyniono ludowi dużo dobrego, strejki mimo to wybuchały. Agitacya mówi przedewszystkiem do ludu: tyś pokrzywdzony, i tem jednem hasłem zarzuca wędkę, którą przyciąga ku sobie cały lud. Tą drogą socyalizm wypatrzył wszystkie krzywdy, jakie klasie pracującej zadał egoistyczny kapitalizm i tą drogą przemyca wszystkie swoje doktryny.

Co począć, wobec taktyki nieprzyjaciela? Nasamprzód autor pragnie usuwania w stosunku z ludem najdrobniejszych niesprawiedliwości, czy to bezpośrednio mu zadawanych, czy pośre-

dnio przez plenipotentów, a z drugiej strony sprawiedliwe ocenianie jego osoby, jak i jego pracy. Powtóre, potrzeba dać ludowi jasne pojęcia prawne. O ile więc agitacya dąży do obałamucenia przez suggiestyę krzywd nie istniejących, o tyle spotka się z oporem prawnie uświadomionego ludu. Prócz tego, potrzeba bronić lud przed niesprawiedliwością, skądkolwiek ona go dotyka. Niepowołanym obrońcom ludu przeciwnie przeciwstawić należy zastęp tych obrońców, którzy nie szukając siebie i swego, stają się rzecznikami strony obrażonej. Trzeba w ludzie stworzyć to silne poczucie, że się z nim sprawiedliwie obchodzą. Następnie powstaje kwestya słusznego oceniania pracy, z czem się łączy ocenianie czasu i osoby chłopa. Lekceważenie czasu lud łączy w swem przeświadczeniu z lekceważeniem jego osoby, i osobiste traktowanie ludu winno być mierzone nie zapotrzebowaniem go, ale sprawiedliwością. Lud niema pretensyi do tego, by wywyższano nad miarę jego godność osobistą, ale znowu jest niesłychanie wrażliwy na wszelkie uchybienia. Lecz niedość jest samemu bezpośrednio sprawiedliwość okazywać, potrzeba jeszcze przestrzegać tego, by ci, którzy pośredniczą między ludem a chlebodawcami, jak ekonomowie, rządcy, faktorzy i t. d., nie krzywdzili i nie wyzyskiwali tego ludu moralnie, czy materyalnie.

Lud nie tylko nie chce być krzywdzonym, ale także chce i potrzebuje być obranianym. Obronie sztucznej, mającej za broń nienawiść, potrzeba przeciwstawić obronę spokojną, ale konsekwentną, w granicach sprawiedliwości leżącą. Sekretaryat ludowy, mniej znany u nas, rozpowszechniony zagranicą, niewiele potrzebuje przygotowań. Sekretaryat taki zajmuje się posługami ludowemi, jak np.: pisanie listów, informacye prawnicze, ci sami ludzie mogą się także wywiadywać o chorych, dawać kwitki do lekarza, który podjął się leczyć za zniżoną opłatą i t. p. Jednem słowem, po strejkach, nie tylko w imię samej sprawiedliwości, lecz w imię strategii, dobra organizacya obrony prawnej dla ludu staje się postulatem niezbędnym. Dwór posiada przeciw agitatorom broń zawsze zwycięską. Ową bronią jest sprzęgnięcie chaty z dworem tylu ogniwami interesu, że wieśniak od razu obrachować może, iż ile razy da się porwać agitacyi, tyle razy traci, i to traci tem więcej, im więcej dobrego doznaje ze strony dworu. Łączność chaty z dworem nawiąże się już przez to, że więksi właściciele i dzierżawcy staną się przez swoją działalność obywatelską w gminie, w radzie powiatowej, wprost duszą wsi i powiatu. Lud nasz przytem umie się poznać na działalności obywatelskiej i ceni ziemian za nią, nawet w ogniskach agitacyi radykalnej.

Wspominając o instytucyach kredytowych, syndykatach rolniczych i t. p., autor kładzie główny nacisk na to, że jakiekolwiekby były owe organizacye i instytucye, to nie dosyć jest je założyć, ale cały interes od tego zależy, by je z ludem wspólnie poprowadzić. Wtedy bowiem, i tylko wtedy sprzęga się lud ciągłym i żywym interesem z temi warstwami, które mu przez pomoc, inicyatywę, oraz znajomość prowadzenia interesu, stają się wciąż na nowo niezbędnemi. W przeciwnym razie, instytucye przez założycieli porzucone, nie tylko odosobnią się od ludu, ale mogą się stać narzędziem do działania przeciw niemu. Wiadomo, że strejki, które powstawały w Galicyi, były następstwem pewnej broszury. Otóż przeciw takim broszurom trzeba użyć tej samej broni, tylko za taką broszurą winni stać mężowie zaufania tego ludu, do którego za pośrednictwem słowa przemawiają. Pieczęcią wszystkich uwag w pracy arcybiskupa Teodorowicza zawartych, ma być ta myśl praktyczna, że do wprowadzenia w czyn programu pracy społecznej, podyktowanego nieubłaganym eksperymentem, potrzeba związku ludzi, jedną przewodnią myślą ożywionych, innemi słowy, potrzeba organizacyi. Teraz jeszcze czas na nią, jedynie sposobny czas, ale i bodaj, czy nie ostatni czas.

W studyum arcybiskupa Teodorowicza panuje myśl trzeźwa, z miłości całego społeczeństwa, t. j. wszystkich klas galicyjskich płynąca. Nie spotykamy w tej pracy żadnego ogólnikowego frazesu, żadnego talizmanicznego środka usuwającego strejki i całą kwestyę socyalizmu, ale za to spotykamy rozumowanie na doświadczeniu oparte i pragnące za pomocą skombinowania praktyki z teoryą wywołać zbliżenie między dworem a chatą i zapobiedz strejkom ludności rolniczej, które kończą się szkodą stronnictw t. j. dworu i chaty. Studyum ks. arcybiskupa Teodorowicza jest pełne doniosłości i znaczenia dla polityki socyalnej w Galicyi.

A. R.

---

J. K. KOCHANOWSKI. *Szkice i drobiazgi historyczne.* 1904.

Zbiór powyższy „Szkiców i drobiazgów historycznych“ jest przedrukiem kilkunastu artykułów pisanych w latach 1897—1903 i zamieszczonych w różnych czasopismach i wydawnictwach warszawskich. Nie weszły doń studya, traktujące swój przedmiot w sposób bardziej wyczerpujący, ale przeważnie utwory lżejsze o charakterze szkicowym. Pierwszy szkic, noszący tytuł „U pro-

gów doby nowożytnej," charakteryzuje ową dobę, kiedy idee humanizmu, będące pierwszą pobudką do nowożytnej zmiany pojęć, wyobrażeń i porządku w świecie, przypuściły potężny szturm do bram średniowiecza, zasklepionego w odwiecznej rutynie. Stara Europa kona powoli w oplotach nowego życia. Nim jednak wybiła godzina jego tryumfu, stary porządek panuje niepodzielnie, jeśli nie w istocie, to przynajmniej z imienia. Złoty wiek Zygmuntowski sprowadził do Polski przemijającą falę prądów nowych, która w XVI w. odbiła się i na Krakowie, darząc jego uniwersytet usiłowaniami reformy Jana Konarskiego i wykładami kilku humanistów. Początek był zrobiony, ale średniowieczny gmach gotycki za Collegium Jagiellonicum miał pozostać i nadal symbolem niższości nauki polskiej. Wyższe sfery społeczeństwa polskiego, mające ciągłą styczność z Zachodem, skore do wolnomyślności, a cieszące się swobodą w życiu prywatnem i publicznem, domagały się reformy szkolnictwa krajowego, widząc jego braki dotkliwe. Reforma ta, do której dorastały zaledwie jednostki, nie tkwiła jednak jeszcze w duchu czasu i nie stanowiła w Polsce naturalnej potrzeby narodu, którego młodszość cywilizacyjna, zostawiała go daleko w tyle za Zachodem.

Drugi szkic poświęcił autor „Częstochowie w Historyi," zaznaczając na początku, że rolę dziejową Częstochowy, a właściwie Jasnej Góry, nazwać można bez obawy wypowiedzenia paradoksu, zwierciadłem, w którem od wieków odbijała się nie tylko religijna i uczuciowa, ale poniekąd i narodowo-kulturalna strona bytu naszego kraju. Rola dziejowa Jasnej Góry pomimo licznych artykułów, opisów i broszur, nie uległa jeszcze poważniejszemu oświeceniu. Nic dziwnego, gdyż nauki niestać jeszcze na to, aby w studyum nad psychicznym rozwojem narodu, ująć mogła w rysy zasadnicze istotę dziejowego znaczenia podobnych wpływów. Podając kilka ciekawych szczegółów z historyi Jasnej Góry, autor kończy przypomnieniem, że poczynając od Jagiełły, wszyscy królowie polscy zaznaczali cześć swoją dla Ś-go obrazu zarówno w modlitwach, jak i w monarszych darach. Możni prześcigali się wzajemnie w fundacyach, ofiarach i wotach, które składał tłumnie lud ubogi. Rok jedynie 1661 zaznaczony był zatargiem Jana Kazimierza z Paulinami, którzy, zachowując się biernie wobec walki rokoszan Jerzego Lubomirskiego, stoczonej pod Częstochową z regalistami, narazili się na zajęcie twierdzy Jasnogórskiej przez oddział wojsk królewskich.

Trzeci szkic został poświęcony Firlejom. W pracy tej heraldyczno-historycznej zwrócono uwagę na pochodzenie zachodnie

tej rodziny, wśród której hetmanowi i prymasowi przyznano obszerniejsze biograficzne uwzględnienie. Następny czwarty szkic ma tytuł wyrażony w liczbach: 1364, 1400—1900, i jest on artykułem okolicznościowym z powodu 500-letniego jubileuszu uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor sam, wychowaniec tegoż uniwersytetu, zaczyna pracę od wzruszającego wezwania, jakie zawarł król Kazimierz Wielki w dyplomacie erekcyjnym, powołującym w r. 1364 uniwersytet do życia. Wezwanie to brzmi: „Niechaj się stanie umiejętności potężnych perłą, któraby mężów dojrzałych, w cnocie trwających, wszechstronnie przygotowywała. Niechaj będzie źródłem obfitem uczoności, czerpanej przez tych, którzy nauki i jej oznak pragną.“ Jagiellońska „Alma Mater“ kość z kości narodu, nie miała prawa skarżyć się na swych synów, otaczających ją stale miłością i pieczą. Otoczona i teraz miłością powszechną, a zasłużona, dzięki mistrzowi ostatniej doby, odrodzeniem polskiej nauki, dożywa dzisiaj sędziwa a wiecznie młoda wszechnica podniosłej chwili. Z za szeregu pięciu wieków błogosławią jej dzisiaj duchy Kazimierza i Jadwigi.

Następnym w szeregu szkiców jest „JMci Pan Szymon Szczecina i król Władysław Jagiełło.“ Na początku XV w. w gorącej epoce Grunwaldu, wojny głodowej i ciągłych zatargów Polski z Zakonem Krzyżowym, wyróżniał się z grona najruchliwszych a zapewne i najpoważniejszych mieszczan brzeskich, JMć pan Szymon, przezwiskiem Szczecina. Spotykamy go po raz pierwszy w gronie mieszczan brzeskich, jako jedną ze stron w procesie. Dłużnikom bowiem nie zwykł był folgować, raz dlatego, że idąc w parze z obyczajem wieku „per fas et nefas“ gorliwe około dóbr doczesnych czynił zabiegi, a powtóre, że będąc chrześcijaninem prawym, lubował się tylko w lichwie „uprawnionej,“ pozostawiając pobór zwykłych a mniejszych procentów—niewiernym Żydom. Przysposabiając się do roli protoplasty rycerskiego rodu, został pan Szymon ziemianinem, co wobec środków, jakie zdobył przemysłem własnym i żony, posiadającej po pierwszym mężu zasoby pieniężne, nie było rzeczą trudną. Dzięki nieznanym bliżej zasługom otrzymał pan Szymon od króla Jagiełły przyrzeczenie nadania szlachectwa. Przez pewien czas nie mógł otrzymać niezbędnego skryptu, aż dotknięty do żywego w ambicyach swoich przez kmiecia Pawła, udał się sam do Jedlni w r. 1419 do króla, skąd przywiózł niezbędny dokument. Ale to królewskie zaświadczenie nie ochroniło go od dotkliwego poniżenia w innym procesie, gdy mu przeciwnik powiedział — nie jesteś tako dobry z czterech szczytów, jako ja (czyli nie jesteś szlachcicem z ojca i mat-

ki i z obu babek, jako ja). I stała się rzecz niesłychana, nawet sąd stracił rezon wobec tego zarzutu i uznał się za niekompetentnego. Szlachectwo pana Szczeciny pozostało też nadal problematycznem.

Pierwotna germanizacya Słowian pomorskich w świetle historyografii niemieckiej, którą spotykamy na następnem miejscu, jest przeważnie sprawozdaniem dokładnem i sumiennem z pracy Sommerfelda p. t. „Geschichte der Germanisierung des Herzogthums Pommern oder Slavien, bis zum Ablauf des XIII Jahrhunderts.“ Autorowi znanemi były inne prace niemieckich historyków w zakresie powyższego przedmiotu, a więc sprawozdawcza jego praca napisaną została z pewnym zasobem zmysłu krytycznego. We wspomnieniach o Szajnosze, Stosławie Łagunie i Adolfie Pawińskim zawarł autor dużo serdecznego uznania dla tych wybitnych historyków, których zasługa na kartach naszej literatury nigdy nie przeminie.

Następnie spotykamy się z Traktatem Kaliskim, zawartym pomiędzy Polską i Zakonem Krzyżackim, za panowania Kazimierza W-go, dnia 23 lipca 1343 r. Traktat ten zasługuje na miano najpoważniejszego ze wszystkich aktów politycznych, jakie kiedykolwiek Polska Piastowska zawierała z Krzyżakami. Przyszedł on do skutku na błoniach pomiędzy Murzynowem i Inowrocławiem, pod wsią Wierzblinem, a od miejsca rokowań przygotowawczych, przeprowadzonych dnia 8 lipca t. r. w Kaliszu, niewłaściwie zwie się Kaliskim. Traktat powyższy był istotnem i radykalnem zabezpieczeniem Polski od nękających ją tak długo niebezpieczeństw z Zachodu. Nadto dzięki temu właśnie zabezpieczeniu umożliwił on Kazimierzowi W-mu rozwinięcie organizacyi wewnętrznej państwa i planów na Wschodzie, t. j. bogatą w plony a wszechstronną działalność.

W szkicu pod tytułem „Kamieniecey“ przedstawił nam autor jeden z rodów zasłużonych krajowi, niegdyś możnowładczych, a później z masą szlachecką zlanych, który zabłysł jak meteor na schyłku naszego średniowiecza w osobie Mikołaja, hetmana w. koronnego i jego braci, aby zniknąć wraz z nimi z szerszej widowni historycznej. Było to zjawisko rzadkie gdzieindziej, a u nas częste, bo typowe. Stwierdzają to dzieje różnych Odrowążów, Rytwiańskich i Zborowskich, Oleśnickich, po części Tarłów, Łosiów i innych. Z pamiątek po hetmanie Kamienieckim i jego braciach, portrety dostały się do Kijowa, tablica pamiątkowa, ufundowana w Ujeździe, w Sandomierskiem, legła w gruzach. W gruzach legł także zamek w Kamieńcu, średniowieczne gnia-

zdo tej rodziny, a Kamieniec przechodził z kolei w różne ręce. Bonarowie, Firleje i Jabłonowscy trzymali się go w wiekach XVI do XVIII najdłużej.

Ostatni szkic przedstawia z czasów Jagiełły „Karmazyna jakich wielu.“ W pobliżu Brześcia Kujawskiego, w parafii Kruszyn, leży Smolsko, wieś ludna i starodawna, Smolskiem dziś przezwana. Wieś ta składała się w wiekach średnich z posiadłości nietylko szlacheckich, ale i kościelnych, należąc w znacznej części do dóbr Kapituły kujawskiej. O właściwem gospodarstwie rolnem szlachty, a poniekąd i duchowieństwa, nie było wtedy mowy. Naogół, dawny system czynszowy panował jeszcze niepodzielnie, zwłaszcza na Kujawach, gdzie czynsz mógł być wyższy, a sąsiedztwo bliższe z Krzyżakami dawało często sposobność do okazyj wojennych. Posiadłości szlacheckie były rozproszone, a szlachcic, nawet możniejszy, rozpraszał swe usiłowania na chwytanie łanów u kmieci, jakby renty owoczesnej, gdzie się tylko dało. Zrozumieć łatwo, że wśród bliskiego sąsiedztwa ludzi, zgromadzonych na małej przestrzeni, wśród wspólności wielu spraw codziennych, nie mogło w Smolsku dziać się zgodnie. Właśnie w Smolsku ułożyły się tak stosunki, że wśród rzeszy biedniejszych dziedziców znalazło się za Jagiełły troje szlachty zamożnej, u której stóp, jak w cieniu dębów, zmaleli wszyscy inni przedstawiciele miejscowego świata. Wśród tej trójcy zaś prawdziwym bohaterem był dygnitarz nie od święta, rzeczywisty karmazyn, kasztelan kruszwicki, Krystyn Feliks Szeliga.

Pan Krystyn kochał się w Smolsku i pomimo, że nie była to jego jedyna posiadłość, że miał już niejakie łany w późniejszej rezydencyi swojej, w Siemnowie, położonym niedaleko, mieszkał stale w Smolsku i z niego się pisał. Biorąc udział w wojnie głodowej z Zakonem, pan Krystyn zapożyczył się u jednego z usłużnych przybyszów niemieckich, od jakich roił się wtedy Brześć Kujawski, i smutny ten fakt starał się pogrzebać w głuchej niepamięci. To go naraziło na przykrą, sądową sprawę, ale pan Krystyn miewał spraw około dwóch tuzinów rocznie i zazwyczaj miewał słuszność za sobą. Ostatnia jednak sprawa z Tworzyjanem dojadła mu do żywego, pogardził Smolskiem i osiadł w Siemnowie.

W szkicach Kochanowskiego znajdujemy dwie postacie szlacheckie z czasów Jagiełły: Szczecinę i Krystyna, które rzucają charakterystyczne światło na życie ówczesnej szlachty wiejskiej. Postacie owe zostały odtworzone na tle nawet humorystycznem przy wyzyskaniu obfitem materyału źródłowego, archiwalnego.

We wszystkich zaś szkicach panuje bezpretensyonalność, opowieść łatwa i jasna. A przedewszystkiem wszystkie szkice są owocem poważnej pracy.

A. R.

---

IGNACEGO DANILOWICZA, b. profesora w uniwersytetach: wileńskim, charkowskim i kijowskim, *Kodeks Napoleona* w porównaniu z prawami polskiemi i litewskiemi. Rozprawa opracowana w roku 1818 na temat zadany przez radę b. uniwersytetu wileńskiego — z autografu znajdującego się w dziale rękopisów Biblioteki Cesarskiej, publicznej w Petersburgu — wydał Aleksander Kraushar. Warszawa, 1905.

Przed wprowadzeniem do kraju prawodawstwa Napoleońskiego — jak objaśnia wydawca — nie było na terytoryum Księstwa Warszawskiego żadnych szkół specyalnych prawniczych. Magistratura rządów pruskich posiłkowała się osobistościami obcemi, z prawodawstwem miejscowem zupełnie nieobznajmionemi. Z wprowadzeniem nowego kodeksu francuskiego, utworzono w Warszawie szkołę prawa, która następnie weszła, jako fakultet prawa i administracyi, do założonego w r. 1816 Uniwersytetu Królewskiego. Stojący na czele katedr prawniczych mężowie, zbyt mało posiadali czasu i możności, by w wykładach swoich uwzględniać teoretyczną, naukową przeważnie, stronę przedmiotu i w objaśnianiu i porównaniu zasad dawnego prawa polskiego z nowem prawodawstwem Napoleońskiem, przygotować młodzież do karyery naukowej. Pierwsze też pytanie, które zajęło uwagę wydawcy było: dla czego następstwami wprowadzenia kodeksu Napoleońskiego zajął się nie uniwersytet Królewski warszawski, którego, z natury rzeczy, przedmiot ten, mógł i powinien był obchodzić bliżej, lecz uniwersytet wileński, dla którego statut litewski dawny i prawa miejscowe były obowiązującemi i nie zagrożonemi w ówczesnych okolicznościach żadną zmianą.

Daniłowiczowi, autorowi rozprawy, ubiegającemu się naówczas o katedrę praw polskich na uniwersytecie wileńskim, powierzono temat powyższy, który miał posłużyć do ocenienia zdolności, wiadomości i gorliwości autora, a zarazem wskazać, gdzie ma być nadal do nauki wysłanym i jak w naukowym zawodzie użytym. Nie ulega wątpliwości, że dyskusye nad kodeksem Napoleona, w owym właśnie czasie, przygotowawczo, w kołach spe-

cyalistów, a następnie na sejmowych obradach w Warszawie prowadzone, dały impuls uniwersytetowi wileńskiemu, mającemu na czele księcia wojewodę Adama Czartoryskiego, jako kuratora szkół litewskich, do wybrania takiego właśnie tematu. Czartoryski czytał uważnie rozprawę Daniłowicza i taką jej ocenę krytyczną przesłał w liście do rektora Malewskiego: „Sposób, jakim p. Daniłowicz myśli swe wyraża, bywa czasem niedokładny, tak, iż rozmaicie słowa jego tłómaczyć można i stąd część uwag moich zapewne powstała. Życzyć także wypada, aby autor więcej dawał baczności na ducha ogółu, a w podobnych, jak ta rozprawa, kwestyach, na roztrząsane Kodexu, nietylko prawnika, ale prawoznawcy, moralisty i polityka, starał się patrzeć okiem. Niektóre także błędy autora może są skutkiem wiary w opinię, która przez czas jakiś była u nas powszechną, a którą nazwaćby można, nie tak skutkiem rozwagi i doświadczenia, jak raczej uczuciem narodu wdzięcznego. Wreszcie p. Daniłowicz wart zachęcenia i opieki uniwersytetu i zasługuje, aby mu podać sposoby dalszego doskonalenia się.“

Prócz tego książe Adam tekst rozprawy Daniłowicza zaopatrzył w uwagi, które wydawca zamieścił wiernie u spodu stronic. Z uwag powyższych dostrzedz łatwo, że Czartoryski nie należał zupełnie do wielbicieli Kodeksu Napoleona, a tembardziej do wielbicieli Napoleońskiego świata. Przesadne czy powierzchowne pochwały kodeksu zaopatruje Czartoryski w trzeźwiące uwagi, starając się zmniejszyć zachwyt autora dla praw francuskich. Nawet dygnitarzom prawniczym napoleońskiego świata nie może książe Adam wybaczyć i np. Cambaceresa obdarza uwłaczającymi i niezbyt sprawiedliwymi epitetami. W każdym razie uwagi księcia Adama są niezmiernie charakterystyczne i z nich wyłania się stanowczy przeciwnik Kodeksu Napoleona, jakiemu równego nie miało Księstwo Warszawskie.

Rozprawa Daniłowicza, traktująca Kodeks Napoleona ze stanowiska historycznego i porównawczego jest w literaturze naszej unikatem. Posiadamy bowiem rozprawy objaśniające przepisy pojedyńcze prawa francuskiego, posiadamy nawet Komentarz Wołowskiego, ale traktatu naukowego porównawczo-historycznego dotychczas nie mieliśmy. Rozprawę swoją ukończył Daniłowicz w r. 1812, a więc oceniać ją należy ze stanowiska naukowego owoczesnego, a nie późniejszego. Wszystkie owoczesne sławy naukowe i najwyższe powagi, jak np. Montesquieu i Bentham, były Daniłowiczowi dobrze znane i sumiennie przestudyowane, ale wogóle kryterya jego porównawcze nie były zupełnie wystar-

czające nawet na owe czasy, a znajomość zasad głównych prawodawstwa niemieckiego powierzchowną. Wykład Daniłowicza, jak to zresztą Czartoryski słusznie wykazał, nie odznacza się jasnością i logicznością rozumowania. Panuje w nim zbyt często ogólnik nie wzbudzający zaufania, czego powodem jest niedostateczna erudycya autora. W każdym razie rozprawa Daniłowicza jest dowodem, że i na tem polu nie próżnowaliśmy swego czasu, i dla tego wdzięczni jesteśmy wydawcy, że ją nam w druku uprzystępnił.

A. R.

# Kronika miesięczna.

Lud wiejski na arenie politycznej. — Próba charakterystyki chwili obecnej. — Artykuł „pana“ Nałkowskiego w „Młodości.“ — Walka bratobójcza.

Lud wiejski — ten rdzeń i ostoja narodu, dziedzic odwieczny tej ziemi, którą własnemi uprawia rękami i z którą jest zrośnięty wszystkiemi włóknami swojej prostej, niezłożonej duszy — nie zabierał dotąd głosu w sprawach politycznych. Kiedy w Warszawie na rozmaitych wiecach radzono nad położeniem kraju i kiedy, jak z rękawa, sypały się daleko idące postulaty i dźwięczne a jaskrawe frazesy — wieś polska milczała. Przedstawiciele jej nie przemawiali publicznie, nie rzucali żadnych haseł. Za to u siebie w domu pracowali, zakasawszy rękawy.

Ale przyszła chwila, kiedy potrzeba było zgromadzić się i wypowiedzieć jasno swoje żądania i zamiary.

I lud uczynił to, zwołując do Warszawy przedstawicieli wszystkich gmin, aby na wspólnym wiecu ustalić program dalszego działania.

Wiec włościański odbył się d. 17 grudnia i urósł do miary wydarzenia historycznego w naszem życiu publicznem.

Pierwszy to raz od czasów Piasta, jak słusznie zauważył pisarz „Gazety Świątecznej,“ K. Prószyński, lud obradował nad sprawami kraju, a obradował rozumnie, statecznie, po obywatelsku.

Na mównicy w wielkiej sali Filharmonii stawali włościanie w barwnych strojach krakowskich i w szarych świtkach podlaskich i lubelskich i w zwyczajnych kubrakach, a z ust ich płynęły

słowa, podyktowane szczerem umiłowaniem ziemi ojczystej i głęboką troską o jej przyszłość. Znać było, że to mówili prawdziwi gospodarze tej ziemi, która jest ich ojcowizną i ich ojczyzną. Znać było, że są oni świadomi istotnych potrzeb kraju i doskonale zdają sobie sprawę z tego, jaka różnica zachodzi pomiędzy pracą narodową twórczą, a dezorganizacyjną robotą agitatorów socyalistycznych.

Uczestnicy wiecu wynieśli też naogół wrażenie, że naród, którego najpotężniejszym czynnikiem składowym jest tak po obywatelsku myślący lud, może być spokojny o swoją przyszłość, że żadne burze i kataklizmy rewolucyjne, gdyby nawet nie dało się ich uniknąć, nie zdołają zepchnąć nas z drogi prawidłowego rozwoju kulturalnego, że ład i porządek wyłoni się zawsze z tej ziemi i potrafi stłumić wszelką importowaną zkądinąd anarchię.

Rękojmię tego dają powzięte przez zjazd włościański uchwały, które dadzą się streścić w następujących 6-iu punktach:

1-o, Zważywszy, że Królestwo Polskie jest krajem odrębnym i że ma odrębne potrzeby społeczne, religijne i narodowe, zkąd wynika potrzeba odrębnych urządzeń politycznych; że kraj może być dobrze zagospodarowany tylko wtedy, kiedy ludność nie jest odsunięta od głosu, ale sama w sprawie tej gospodarki postanawia; że władze krajowe mogą umiejętnie i sumiennie rządzić tylko wtedy, gdy wyjdą z łona społeczeństwa i gdy przeto w naszym kraju z Polaków składać się będą; że czterdziestoletnie rządy urzędników rosyjskich przyniosły krajowi nieobliczone szkody; że dzisiejsze władze rosyjskie nie zdolne są nawet do pełnienia swego najpierwszego obowiązku t. j. do zapewnienia mieszkańcom kraju bezpieczeństwa życia i mienia, — zjazd włościan Królestwa Polskiego uchwala:

porządek społeczny i pomyślny rozwój w Królestwie Polskiem możliwe są tylko po gruntownej przebudowie urządzeń politycznych kraju t. j. po wprowadzeniu w Królestwie Polskiem samorządu narodowego czyli autonomii, która ma polegać na zasadach następujących:

a) wszelkie prawa i przepisy dla kraju stanowi sejm w Warszawie, złożony z przedstawicieli całego kraju, bez wyłączenia jakiegokolwiek stanu, jakiejkolwiek klasy ludności, a więc obrany przez powszechne, równe, bezpośrednie i tajne głosowanie wszystkich ziemi polskiej mieszkańców,

b) rząd krajowy składa się z Polaków, a urzędowym językiem w szkole, w sądzie i urzędzie jest język polski,

c) rząd krajowy jest odpowiedzialny przez sejmem.

2-o. Zanim autonomia zupełna będzie wprowadzona w życie, konieczne jest natychmiastowe wprowadzenie języka polskiego, jako urzędowego we wszystkich szkołach, w sądzie i urzędach cywilnych, oraz powołanie Polaków do cywilnego zarządu krajem.

Konieczne jest również ogłoszenie zasad manifestu z d. 30 października, nie jako obietnicy, ale jako ustawy konstytucyjnej, i zaprzysiężenie tej konstytucyi przez monarchę.

3-o. Gmina wiejska, jako podstawa samorządu, a tem samem całego urządzenia politycznego kraju, ma swoje wielkie zadania i obowiązki i musi je spełniać każdej chwili, niezależnie od stanowiska rosyjskich władz rządowych.

W chwili obecnej, kiedy w rządzie rosyjskim panuje nieład i władze jego nie pełnią swych czynności, gmina nie może czekać na wezwanie urzędów rosyjskich i oglądać się na ich pomoc, ale musi tem gorliwiej pracować, zaspokajając samodzielnie swoje potrzeby, rozciągając pieczę nad mieszkańcami i strzegąc bezpieczeństwa ich życia i mienia.

4-o. Lud polski stoi na gruncie jedności narodowej, bo w jedności tylko skuteczna będzie praca narodowa i walka o prawa narodowe. W chwili obecnej, kiedy cały naród ma prawa do zdobycia i cały się znajduje w niebezpieczeństwie — zgubę gotują mu ci, którzy podżegają dziś do załatwiania rachunków wewnętrznych drogą przemocy i gwałtu. Przeciw wszelkim takim próbom włościanie polscy występują z całą siłą.

5-o. Zjazd uznaje, że obowiązkiem wszystkich uświadomionych obywateli kraju jest pośredniczenie w nieporozumieniach i sprawach pomiędzy pracownikami a właścicielami folwarków tak, żeby zgodnie i polubownie załatwiane były.

6-o. Lud polski przez usta swych przedstawicieli na zjeździe włościan Królestwa Polskiego stwierdza swoje przywiązanie do wiary świętej katolickiej, do swojej Ojczyzny Polskiej i chce budować przyszłość kraju na zasadach *narodowych* i *religijnych*, przekazanych nam przez ojców naszych.

Oto czego lud pragnie i do czego dąży. Jestto program trzeźwy, nie łudzący nikogo obietnicami zdobyczy nieosiągalnych, ale stojący twardo przy tem, co jest istotnie dla rozwoju kraju niezbędne.

Lud polski chce autonomii, chce ładu i porządku polskiego, przy którego pomocy mógłby zacząć budowanie tych rzeczy, które czterdziestoletnie rządy dotychczasowe bądź zburzyły doszczętnie, bądź uszkodziły i wypaczyły, bądź też do których budowania nie dopuściły wcale. Całe nasze gospodarstwo narodowe wymaga ol-

brzymiego nakładu sił i pracy do tego, aby je podnieść na ten poziom, na jakim w normalnych warunkach byłoby się już oddawna znajdowało — i stan włościański zdaje się rozumieć dokładnie ciężar tych obowiązków, które w tej pracy na jego spadną barki. Rozumie on, że nie czas jest na spory, waśnie i porachunki międzyklasowe teraz, kiedy wszyscy powinni wziąć za młot i kielnię i stanąć do zgodnej, łącznej, ożywionej duchem jedności i miłości pracy twórczej. Rozumie dalej, że przyszłość narodu nietylko zależy od wyniku prądów dążących do reformy stosunków w państwie rosyjskiem, ale, i to przedewszystkiem, od tego, co naród sam sobie zdobędzie i od tego, jak się sam w nowych warunkach życia urządzi. Rozumie jeszcze i to, że anarchia wewnętrzna, rozprzęgająca porządek społeczny, nie jest bronią, skierowaną tylko przeciw rządowi, ale jednocześnie drugim ostrzem swoim rani ona, i to rani bardzo głęboko i boleśnie, własne społeczeństwo.

Będąc konserwatywnym z natury, lud ten nie chwyta na ślepo haseł przewrotowych, które mu podsuwa usłużna agitacya, ale sądzi je surowo i odtrąca od siebie, jako nie odpowiednie, wysuwa natomiast naprzód swoje interesy i interesów tych zamierza bronić.

To poczucie i zrozumienie własnego interesu dowodzi, że włościaństwo polskie dojrzało zupełnie do tej roli politycznej, jaką rozwój dziejowy przeznaczył dla niego w chwili dzisiejszej i w najbliższej przyszłości. Roli tej nie odpycha ono od siebie, przeciwnie, idzie na jej spotkanie śmiało i z tem przekonaniem głębokiem że nikt inny wyręczyć go w tem nie może — i rolę tę niewątpliwie odegra ku ogólnemu pożytkowi kraju, spełniając swoją misyę polityczną bez emfazy, bez krzykliwego wychwalania się, bez przypisywania sobie zasług po nad miarę, ale z zupełną i głęboką świadomością, że spłaca dług swój ojczyźnie, która dla chłopa polskiego nie zawsze może była dobrą i pieszczotliwą matką, ale zawsze była macierzą, której się należy bezwzględna miłość i dla której poświęcać się w pracy jest rzeczą słodką.

Tego wszystkiego dowiódł i w tem przekonaniu utwierdził nas pierwszy Zjazd włościan Królestwa Polskiego, włościan uobywatelonych i po obywatelsku czujących, włościan, którzy stają razem z innemi warstwami narodu do wspólnej pracy nad przyszłością i szczęściem kraju.

* * *

Charakterystyka chwili obecnej w Królestwie nie jest rzeczą łatwą, bo w stosunku do zjawisk, których jesteśmy świadkami, brak nam koniecznej do sądu objektywnego perspektywy. Wskutek tego jedne rzeczy wydają się nam zbyt wielkiemi, inne zbyt małemi. W miarę odsuwania się w przeszłość, wypadki nabierają dopiero charakteru wyraźnego i mogą służyć za podstawę do wniosków. Na razie przedstawiają się nam one chaotycznie.

Wskutek tego o jakiejś wyczerpującej charakterystyce chwili, mowy być nie może. Natomiast możliwe są i pożądane próby takiej charakterystyki—i te publicystyka powinna podejmować jaknajczęściej.

Niestety, dotąd w tym kierunku nie posiadamy prawie żadnej pracy. Pierwszą z nich, jeżeli się nie mylimy, jest broszura p. Parvusa p. t. „Chwila obecna w Królestwie“ — broszura ze wszech miar ciekawa.

Pod pseudonymem tym ukrył się wytrawny publicysta, który, z jednej strony zdając sobie dokładnie sprawę z tego, jak trudne podejmuje zadanie, z drugiej — nie wahał się spełnić swój obowiązek publicystyczny, bez względu na to, że z góry wiedział, iż praca jego pewne braki posiadać musi, jak każda praca, która ma do czynienia z ruchliwą i zmienną falą życia, a nie z zastygłemi już i podatnemi do badań faktami historycznemi.

P. Parvus postępował też oględnie i wtrzymywał się od sądów i wniosków tam, gdzie to uczynić należało. I dla tego próba, na jaką się pokusił, wypadła pomyślnie.

Charakteryzując na wstępie rządy rosyjskie w Polsce, p. Parvus zaznacza, że odejmowały nam one po kolei wszystko — najpierw prawa obywatelskie, później prawa narodowe, a wreszcie prawa ludzkie.

Rząd postawił sobie za cel przeszkadzać naszemu rozwojowi ekonomicznemu, skrzywić nasz rozwój socyalny, zniszczyć rozwój umysłowy i rozstroić społeczeństwo pod względem moralnym.

Skutki tej działalności były bardzo poważne i wszystkim są dobrze znane.

Mamy w kraju 70% analfabetów. Mamy ludność włościańską w znacznej części nieoświeconą i biedną. Rosną karłowate gospodarstwa rolne, które obniżają poziom kultury chłopskiej i grożą przyszłości naszego rolnictwa. Klasy robotnicze fabryczne mnożą się liczebnie, ale nic nie postępują cywilizacyjnie, przeciwnie — cofają się. Obniżył się niezmiernie poziom umysłowy kraju, obniżyła się w nim kultura zewnętrzna, szybko postępuje wstecz ogólna moralność. Bandy rabusiów i złodziejów grasują po kraju.

W miastach zorganizowały się i ustaliły zamachy na mienie, a nawet na życie mieszkańców.

Ideały obywatelskie konkretne nie mają żadnego kursu. Klasom mniej oświeconym brak drogowskazu, co czynić i dokąd dążyć. Klasy oświecone rozbite, nie zdolne do porozumienia się w imię czynnej akcyi społecznej. Rosną tylko liczebnie i niesłychanie podnoszą się w podnieceniu zastępy „niezadowolonych.“ Niezadowolenie to jest najpotężniejszem hasłem, łączącem wszystkie klasy i grupy społeczne, ono też dyktuje nakaz walki ze złem, choć nie dyktuje ani jej metody, ani najbliższego celu.

Takie jest położenie ogólne. Badając szczegóły p. Parvus zastanawia się dość szeroko nad działalnością dwóch najsilniejszych w chwili obecnej partyj — demokratyczno-narodowej i socyalistycznej.

O tej ostatniej mówi, że straciła ona obecnie panowanie nad szeregami swoich zwolenników. Dziś — rządzi ulica. Awanturnicy, nieuki, młokosy i szumowiny społeczne kierują w tej chwili ruchem socyalistycznym i narzucają społeczeństwu taktykę działania. Przyłączają się do ruchu tego w znacznej masie żydzi, zwłaszcza rosyjscy, którym leży na sercu rozwój swobód ogólnych, ale nie interes narodowy i którzy dla tego nie obawialiby się nawet okupacyi Królestwa przez Prusaków. Nadto znaczne środki finansowe czerpią nasze organizacye socyalistyczne z Niemiec, których partya społeczno-demokratyczna pragnie za wszelką cenę podsycić ruch proletaryatu. W ten sposób ster wypadków wysunął się zupełnie z rąk socyalistów, pragnących urzeczywistnić swe ideały na gruncie Polski i jak się rzekło — kieruje niemi ulica, kierują żydzi, kierują wreszcie socyaliści rosyjscy i socyalna demokracya niemiecka.

To kierownictwo doprowadziło już do tego, że w kraju jest głód i chłód i tysiące ludzi nie myśli o niczem więcej, tylko o obronie przed śmiercią z nędzy. Zdenerwowanie ogarnęło słabszych, a więc opuściła ich przytomność i jasny sąd o rzeczach najważniejszych, dotyczących przyszłości narodowej. Niektórzy wzdychają do jakiego takiego już tylko „dawnego“ porządku. „Co nam tam — mówią—Polska lepsza i sprawiedliwsza, kiedy teraz bieda, niepokój i nawet niepewność życia. Mamy okrzyki „precz z Polską“ i „precz z orłem białym.“ Mamy motłoch rozpętany i zdziczały, nie wiadomo z kim pragnący walki: z rządem, czy z własnem społeczeństwem i jakie pragnący załatwiać rachunki: polityczne, socyalne, czy poprostu osobiste.

Tak wygląda „chwila obecna.“ Obraz jej ponury, ale zgodny z rzeczywistością, rozwinął przed nami w broszurze swojej p. Parvus.

Ale z tego zamętu, pomimo wszystko, wyłania się przecież świadoma myśl polityczna, świadome dążenie całego narodu, wszystkich jego warstw, partyj i stronnictw.

I autor broszury nie przeocza tego, aczkolwiek zachowuje się na tym terenie z wielką ostrożnością.

Oto — zdaniem jego — położenie jest takie: całe społeczeństwo polskie żąda autonomii kraju, ale rząd nie chce jej dać. Nie chce dać nawet tymczasowych ustępstw w zakresie szkolnictwa i administracyi. Zresztą powierza ostateczną decyzyę woli narodu rosyjskiego, wyrażonej przez usta Izby parlamentarnej.

Cóż więc teraz czynić? Czekać na decyzyę narodu rosyjskiego? Mieć zaufanie, że światła opinia rosyjska zrozumie interes państwowy i interes liberalizmu, tkwiący w sprawie polskiej?

Zastanawiając się nad temi pytaniami, które są obecnie na ustach wszystkich, radzi p. Parvus pamiętać o kilku rzeczach.

Najpierw o tem, że rząd biurokratyczny jeszcze istnieje i że on może się jeszcze dłuższy czas opierać naporowi sił wolnościowych. Jeżeli na taką perspektywę będziemy przygotowani, to zrozumiemy, że wszystko, co daje powód do rządów militarnych, mniejsza o to, że tylko powód formalny, sprzyja rządowi a nam szkodzi. Pod naciskiem praw wyjątkowych wprawdzie ani wrzenie nie ustaje, ani niezadowolenie nie cichnie, lecz za to przerywa się poniekąd praca organizacyjna i konstrukcyjna. Staje narodowa maszyna polityczna, co powoduje straty niepowetowane.

Druga perspektywa jest taka. W Rosyi walczą dwie siły: zdezorganizowana — absolutyzm, druga jeszcze nie zorganizowana — lud. Zwyciężyć może jedna albo druga, albo wreszcie narazie — żadna. Mocowanie może trwać lat kilka. Co z tego wyniknie na chwilę współczesną? Anarchia — najstraszniejszy stan, w jakim społeczeństwo nowoczesne może się znaleźć.

Mając to na widoku, żywioły narodowe, które są w olbrzymiej większości w społeczeństwie, *powinny się skupić, zorganizować, wypowiedzieć stanowczą walkę objawom zamętu i anarchii*, zużywając na to wszystkie zasoby energii, zapału, zdolności i tradycyi, jakie naród posiada.

„Jesteśmy w przededniu nowej ery, obiecującej odrodzenie i rozkwit — kończy p. Parvus — i losy nasze naprawdę spoczywają tylko w naszych rękach.“

To ostanie wyrazy warte są zapamiętania. Gdyby w społeczeństwie naszem istotnie była głęboka świadomość tego, że wyj-

ście z ciężkiej sytuacyi zależy od nas samych — to nie mielibyśmy już u siebie ani komendy obcej, ani strejków, któremi dysponują i do których wzywają naszych robotników Komitety petersburskie, ani tych przykrych objawów, jakie towarzyszyły ostatniemu bezrobociu. Mielibyśmy natomiast liczne zastępy obywateli, stających do pracy twórczej i nie przerywających tej pracy, ani odkładających ją do „czasów lepszych."

Widzieliśmy wyżej, że takie właśnie stanowisko wobec chwili bieżącej zajął zjazd włościański i to powinno nas napełnić otuchą na przyszłość najbliższą, mimo ponurych zgrzytów, wydobywających się jeszcze z łona partyj socyalistycznych.

*

* *

Zdawałoby się, że każde społeczeństwo dumne jest z ludzi, którzy siłą swojego geniuszu stanęli wysoko, że ta sława, która stała się ich udziałem, nie powinna nikogo drażnić, przeciwnie, dla każdego powinna być czystą i podniosłą radością.

I bywa tak istotnie. Ale zdarza się również, że tam, gdzie cześć powszechna otacza jednostkę, nagle podnosi głowę pospolita mierność i kierując się uczuciem nizkiej zawiści, stara się obrzucić błotem to, co inni szanują.

Zdarza się to, niestety, najczęściej u nas. Nigdzie bowiem niema tylu ochotników do obniżania zasługi ludzkiej, jak w społeczeństwie naszem, w społeczeństwie, które wcale niema do zbytku ludzi zasłużonych i wyrastających po nad miarę przeciętną. Ale niech taki człowiek się zjawi, niech tylko zabłyśnie talentem, niech tylko działalnością swoją przysporzy blasku i chwały narodowi, wnet z rozmaitych ciemnych kątów wypełza jadowita intryga i zaczyna prowadzić przeciw niemu kampanię.

Oto opinia powszechna mówi, że ten lub ów jest wybitnym malarzem, że dzieła jego zyskały sobie rozgłos i uznanie w całej Europie, że sława jego jest dobrze zasłużoną. Wszędzie tylko nie u nas. Bo u nas zaraz odezwą się głosy, że to „mydlarz," że to miernota, że to bazgracz, nie mający pojęcia o prawdziwej sztuce. I tak na każdym kroku. Kto inny, dzięki pracy i wysiłkowi, zdobywa duży majątek. I temu również intryga potrafi odebrać dobre imię. Wnet powiedzą o nim, że to nie rozum, praca i wysi-

łek woli, ale spryt i geszefciarstwo, ale wyzysk, i nieprzebieranie w interesach doprowadziły go do fortuny.

To samo spotka każdego, kto wyrósł ponad swoje otoczenie. Ślepa zawiść rzuci się wówczas na niego z całą zaciekłością i będzie go kłóła swojem żądłem — mniejsza z tem czy boleśnie — ale to pewna, że nie zostawi na nim jednego miejsca, wolnego od ukąszeń.

Jestto bardzo znamienny i bardzo smutny objaw naszego życia i dla tego godzi się, aby każdy wypadek tego rodzaju był właściwie napiętnowany.

A wypadek taki zdarzył się świeżo właśnie.

Niedawno ukazał się w Warszawie nowy tygodnik p. t. *Młodość*. W szeregu zamieszczonych tam artykułów, zwrócił na siebie powszechną uwagę artykuł p. W. Nałkowskiego (młodzieńca z górą pięćdziesięcioletniego), wymierzony przeciw Henrykowi Sienkiewiczowi, a tak niepospolicie jadowity w swej treści i taką tchnący zawiścią, że gdyby słowa te nie były wydrukowane czarno na białem, trudno byłoby uwierzyć, że są one rzeczywistością.

P. Nałkowskiemu oddawna już nie podobał się Sienkiewicz.

Nie podobało mu się przedewszystkiem to, że autor trylogii był szczerym i prawym artystą, że nie służył żadnej doktrynie, żadnej partyi, głoszącej jaskrawe frazesy, ale że służył tylko Polsce i tylko sztuce polskiej. Nie podobało mu się następnie, że naród tę służbę zrozumiał i ocenił właściwie, że nietylko był dumnym z pisarza, którego imię powtarzał z uwielbieniem świat cały, ale że czci i wdzięczności swojej dał wyraz realny.

Nie podobało się wreszcie p. Nałkowskiemu, że Sienkiewicz otrzymał nagrodę Nobla.

To, zdaje się, było ostatnią kroplą, która przepełniła czarę. I p. Nałkowski nie mógł już wytrzymać dłużej. Nienawiść bluznęła z niego całym potokiem, na karty pisma, którego sama intytulacya wskazuje, że powinno ono służyć czemu innemu.

Rzecz naturalna, nie będziemy tu powtarzali wszystkich wycieczek p. Nałkowskiego przeciw Sienkiewiczowi.

Nie myślimy go także bronić, bo pisarz tej miary obrony nie potrzebuje, a gdyby nawet potrzebował, to przeciw pociskom panów Nałkowskich *e tutti quanti* najskuteczniej obroniłby go właśnie ten proletaryat, którego rzecznikiem mieni się być autor omawianego artykułu. Wśród tego proletaryatu bowiem Sienkiewicz miał i ma po wsiach, miastach i miasteczkach całej Polski liczną rzeszę czytelników, ma nawet takich, którzy sami *nie umieją* czytać, a którzy książki jego *znają* z głośnego czytania dzieci lub

sąsiadów. Wśród nich, tak samo jak wśród wszystkich sfer naszego społeczeństwa, trylogia spełniła swoją misyę ideową — obudziła ducha narodowego, obudziła *duszę polską* z odrętwienia, w które popadła po klęskach 63-go roku, wykrzesała z niej iskry głębokich i świętych ukochań, nawiązała przeszłość do teraźniejszości. Tam niech p. Nałkowski pójdzie, a znajdzie bardzo wymowną odpowiedź na swój artykuł, tam też nazwą po imieniu całe jego wystąpienie.

Tutaj, wstrzymując się od tego, nie możemy jednak nie wyrazić smutnego zdziwienia redakcyi nowopowstałego tygodnika, założonego i wydawanego przez młodzież.

Jakto? więc młodzież polska tak daleko już odbiegła od wzorów filareckich, że przestała odróżniać fałsz od prawdy, marne pobudki od szlachetnych porywów, warcholstwo od cnoty obywatelskiej?

Przyznajemy otwarcie, że oczekiwaliśmy zgoła czego innego. Czytając zapowiedź nowego pisma, byliśmy głęboko przeświadczeni o tem, że będzie ono służyło interesom i sprawom młodzieży, że na łamach jego młodzież powie nam jasno, szczerze i otwarcie, co myśli, czego pragnie, jak czuje, dokąd dąży, że w ten sposób pomiędzy nią a nami nastąpi bliższe porozumienie się.

Zawiedliśmy się. Młodzież milczała i milczy. Natomiast przemawiają na jej łamach ludzie, którzy już dawno stracili prawo do nazwy „młodych.“ Ale i z tem ostatecznie zgodzićby się można, byle wśród tych przemówień nie było przepojonych jadem napaści w rodzaju elukubracyi p. t. „Proletaryat a twórcy.“

Napaści te społeczeństwo oceni właściwie — to rzecz pewna, ale cień, który od nich pada na *młodzież polską* — wyrządza tej młodzieży krzywdę w opinii publicznej i źle jest, jeżeli młodzież tego nie rozumie.

*

* *

W początkach stycznia zaszedł w Warszawie wypadek znamienny.

Do mieszkania jednego z robotników warsztatów kolei Wiedeńskiej zgłosiło się w porze obiadowej trzech ludzi uzbrojonych w rewolwery. W chwilę potem właściciel mieszkania leżał już nieżywy.

Dzienniki doniosły o tem, jako o zbrodni, dokonanej na tle walki przekonaniowej. Zabity miał należeć do partyi demokratyczno-narodowej, zabójcy podobno byli socyalistami.

Jeżeli tak jest istotnie, a za prawdą takiego przedstawienia rzeczy zdają się przemawiać wszystkie okoliczności, w jakich dokonano zabójstwa, to stoimy wobec faktu, który poważnie każe się zastanowić nad kierunkiem naszego ruchu robotniczego.

Propaganda socyalistyczna zaczęła się u nas przed laty blisko 30. Niedziw, że doktryna ta w środowiskach fabrycznych umiała sobie dość szybko zjednać gorących zwolenników. To co działo się w całej Europie zachodniej, musiało powstać i u nas.

Odrazu jednak, od samego początku ruch socyalistyczny u nas odbywał się nieco inaczej. Wpływały na to przedewszystkiem warunki polityczne.

Gdzieindziej organizowano robotników, pracowano nad ich kulturalnem podniesieniem, nad ich oświatą i polepszeniem warunków pracy, prowadząc jednocześnie robotę polityczną.

U nas — socyalizm kryć się musiał pod ziemią i dla tego, a może w części przez fanatyzm jednostronny swoich przewodników, nic zgoła nie uczynił w kierunku kulturalnym, wytężając wszystkie swoje siły na pracę polityczną.

Na czerwonym sztandarze jego zwolenników nigdy nie było słów miłości, a jeżeli były kiedykolwiek — to nie były szczere. Bronią, którą walczono—to była broń najbardziej destrukcyjna, najbardziej niszcząca moralne pokłady duszy ludzkiej — broń, której na imię *Nienawiść*.

Agitatorowie na zebraniach i w broszurach tajnych uczyli socyalistów-robotników przedewszystkiem *nienawidzieć*. A więc tłómaczono im, że trzeba nienawidzieć kapitał, jako źródło ucisku, burżuazyę, jako przedstawicielkę kapitału, rząd, jako obrońcę burżuazyi i t. d.

Cały ten łańcuch nienawiści, złożonej z pojedyńczych ogniw, tak w końcu oplótł duszę polskiego robotnika, że zwolna zaczęły w niej głuchnąć najszlachetniejsze uczucia. Wiara ginęła, miłość ojczyzny przestawała być ideą zasadniczą.

Na tak przygotowany grunt padły ziarna wzmożonej agitacyi rewolucyjnej, która rozpoczęła się już podczas wojny rosyjsko-japońskiej, a w ciągu roku ubiegłego przybrała charakter groźny nie już dla rządu, ale dla społeczeństwa, któremu starano się narzucić dyktaturę proletaryatu.

Próby tego, co robotnikom mówiono, zachęcając ich do walki, znajdujemy w licznych proklamacyach naszych partyj wywro-

towych, rozsypywanych po kraju w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, tudzież w efemerycznej prasie rewolucyjnej, której świstki kolportowano w ostatnich czasach po ulicach Warszawy.

„Proletaryusz," „Socyaldemokrata," „Trybuna Ludowa," „Naprzód" etc. miały jeden ton wspólny — ton nienawiści przeciw wszystkiemu, co nie jest socyalistyczne.

W tej dobie na sztandarze socyalistycznym wypisano już wyraźnie słowa: „Kto nie z nami, ten przeciw nam" i w myśl tego działano. Ze szczególną zaciekłością rzuciła się prasa socyalistyczna na wszystkie hasła narodowe, starając się je zohydzić w oczach swoich wyznawców.

Patryotyzmu nie wybaczono nawet stronnictwu postępowo-demokratycznemu, które starało się być ogniwem pośredniem pomiędzy obozem narodowym a socyalistycznym, z wyraźną jednak sympatyą dla tego ostatniego.

To wszystko jednak było niczem w porównaniu z wycieczkami, jakie socyaliści urządzali stale przeciw narodowcom. Wszystko skupiło się tu na demokracyi narodowej, jako na stronnictwie najdalej posuniętem w akcyi społecznej, przeciwdziałającej jednolitemu i wyłącznemu panowaniu socyalistów. Zwłaszcza od chwili, kiedy demokracya narodowa zaczęła organizować robotników i znalazła wśród nich, jak się okazało, grunt podatny do pracy — walka przybrała charakter groźny. Tu dopiero puszczono w ruch hodowany przez tak długie lata pierwiastek ślepej nienawiści.

Uczono więc nienawidzieć narodowców całą siłą duszy i wołano na cały głos: „Śmierć demokratom narodowym!"

Groźbę tę słyszeliśmy niejednokrotnie, ale w warstwach kulturalnych społeczeństwa sądzono, że jest to raczej okrzyk podnieconego tłumu, niż zapowiedź czynów walki bratobójczej,

Stało się jednak inaczej. Wypadek, opisany przez nas powyżej, stwierdził, że ziarno nienawiści, tak szczodrą siane ręką, wydało owoce.

Krew niewinna została przelana. Spada ona całkowicie na tych, którzy oddawna już przekroczyli granicę w pracy nad „uświadomieniem" robotnika polskiego.

Tu już została spełniona zbrodnia, tem gorsza od zbrodni pospolitej, że dokonana pod płaszczem idei, która szczyci się tem, że głosi światu sprawiedliwość.

Ta idea przez tę zbrodnię została pohańbiona.

Mordercami są nie ci, którzy broń bratobójczą podnieśli, ale ci podszczuwacze, którzy do użycia tej broni zachęcali, którzy bu-

dzili fanatyzm i doprowadzili proste umysły do zupełnego omroczenia. Mordercami są kierownicy ruchu.

Powiedzieli oni robotnikowi polskiemu, że jest „bojownikiem wolności," ale wytłómaczyli mu tę wolność tak fałszywie, iż on zrozumiał, ją jako *samowolę*.

Nie powiedzieli mu, że wolność obywatela kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność innych obywateli, że w imię wolności nie można teroryzować ludzi odmiennych przekonań, że wolność, która nie uznaje wolności innych, staje się niewolą, że zbrodnią jest zabić brata za to, że myśli i czuje inaczej.

Nauczyli go tylko nienawidzieć.

I oto stoimy wobec ogromnego pytania. Jak się rozwinie ruch społeczny u nas, jeżeli głównym jego motorem będzie i nadal nienawiść? Czy nie stanie się on raczej ruchem antispołecznym, antikulturalnym, prowadzącym całe masy ludu polskiego do barbarzyńskiego zdziczenia, do zwyrodnienia duchowego, do moralnego upadku?

I na to pytanie jest tylko jedna odpowiedź — to zapewnienie społeczeństwu takich swobód politycznych, przy których stosunki jego ekonomiczne kształtowałyby się ewolucyjnie w kierunku coraz bardziej humanitarnym.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

Na posiedzeniu Wydziału Historyczno-Filozoficznego Akademii Umiejętności — odbytem 20 listopada r. z. pod przewodnictwem dr. Fr. Zolla—Czł. *St. Smolka* przedstawił rozprawę p. t.: „Sprawa Litwy i ziem zabranych w grudniu 1830," stanowiącą część wielkiej pracy, poświęconej ministrowi Lubeckiemu i dziejom powstania listopadowego, której pojedyncze rozdziały drukują się w bieżącym roczniku Biblioteki Warszawskiej. W niniejszej rozprawie autor roztrząsa instrukcyę rządu tymczasowego, daną deputacyi, wysłanej do cesarza Mikołaja 10 grudnia 1830 r. Jak wiadomo do deputacyi tej powołani zostali minister Lubecki i hr. J. Jezierski. Z brulionu instrukcyi, znalezionego w papierach po Lubeckim, okazuje się, że instrukcya zawierała dwa punkty, dotyczące Litwy i ziem zabranych. Żądano w nich: 1) rozszerzenia, w myśl traktatów z r. 1815, konstytucyi Królestwa na Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę; 2) zwołania z terminem 1 maja 1831 Sejmu Walnego, do którego by powołano nietylko posłów i deputowanych z Królestwa Polskiego, ale także posłów i deputowanych powyżej wymienionych prowincyj, połączonych z Królestwem Polskiem. Autor roztrząsa powody, które skłoniły Lubeckiego, skądinąd znanego ze swojej trzeźwości politycznej, do wysnuwania tak daleko idących projektów i wyjaśnia drogi, jakiemi Lubecki do zamierzonego w ten sposób celu chciał dążyć.

Na temże posiedzeniu sekretarz wydziału przedstawił pracę p. *M. Roztworowskiego* p. t. „Prawno-polityczna strona budżetów Królestwa Kongresowego 1815—1830." W pracy tej autor wykazuje smutny fakt w dziejach konstytucyjnego życia naszego kraju w XIX w., gdzie w sprawach budżetu prawo konstytucyjne stało się tylko martwą literą. Bo chociaż oba przewidzia-

ne przez prawodawcę systemy powstawania budżetów znacznie ograniczały Koronę, to przecież rządy ówczesne potrafiły opacznie tłómaczyć brzmienie Art. 162 i doprowadziły do tworzenia budżetów wyłącznie biurokratycznych, zatwierdzanych na przedstawienie Rady Administracyjnej.

---

Do biuletynów swoich Akademia Umiejętności zaczęła dodawać, tłómaczone na język niemiecki, streszczenia z artykułów pomieszczanych w wydawanym w Warszawie *Przeglądzie Historycznym*, a to w celu zapoznania obcych uczonych z tem nowem wydawnictwem.

## NOWE KSIĄŻKI.

Książki o Dumie Państwowej. Na czele ich wymienić należy *Stefana Godlewskiego* „Prawa Konstytucyjne z r. 1905," Warszawa, 1906, str. 183, 8-o. Tom ten jest d. c. Zbioru Praw Królestwa Polskiego (dodatek do X tomu). Wydawnictwo to jest cenniejsze od innych, bo pomieszcza obok polskiego tłómaczenia manifestów oryginalne ich brzmienie rosyjskie, łatwo więc na każdem miejscu sprawdzić można tłómaczenie z tekstem oryginalnym, co jest ważne dla czytelnika. Tom zawiera wszystkie akty prawodawcze, dotyczące Dumy Państwowej, począwszy od manifestu 6 sierpnia 1905 r. o utworzeniu Dumy Państwowej, a kończąc na wydanych 2 grudnia 1905 r. przepisach tymczasowych co do karalności udziału w bezrobociach w przedsiębiorstwach, mających znaczenie publiczne lub państwowe. Zawiera także przepisy tymczasowe o wydawnictwach peryodycznych. Razem księga zawiera 11 manifestów, i ukazów mających związek bezpośredni lub pośredni z projektowaną Dumą. W wydawnictwie tem żadnych objaśnień nie podano.

Chabielskiego Ignacego. Ustawy o wyborach do Izby Państwowej. Warszawa 1906, Geb. i Wolff, 8-o, str. 78. Autor stara się wyjaśnić przystępnie dla szerszego ogółu akta prawodawcze, dotyczące Dumy Państwowej. W tym celu we wstępie podaje wyszczególnienie wszystkich ukazów Najwyższych, dotyczących powołania Izby Państwowej i wyborów. W pierwszej części odpowiada na pytania zasadnicze, kto ma prawo przyjmować udział w wyborach, w drugiej części przytacza w przekładzie polskim wszystkie ukazy i przepisy, dotyczące bezpośrednio wyborów do Dumy Państwowej. Po za tem załącza wykaz liczby posłów i wyborców z miast i powiatów Królestwa Polskiego, oraz z dziewięciu sąsiednich gubernij zachodnich.

Zwracając uwagę na dodatnią stronę niniejszej broszury ze względu na objaśnienia poczynione przez autora, jako też systematyczny układ dziełka — zaznaczyć należy, że tłómaczenia ukazów na język polski grzeszą w wielu

miejscach niedokładnością; broszurka więc, aczkolwiek dla ogółu wielce pożyteczna, za źródło naukowe i prawne służyć nie może.

Borkowski Marek. O udziale mieszkańców Królestwa Polskiego w wyborach do Sejmu Państwowego. Wykład popularny, z dołączeniem wszystkich ustaw, przepisów i instrukcyj Sejmu i wyborów dotyczących. Warszawa 1906, 8-o, str, 46 i 71.

Ta książka, zarówno jak poprzednia, przeznaczoną jest do zapoznania szerokich warstw z nowo wydanemi przepisami. Autor zaznacza we wstępie, że według przepisów wybory są u nas: ograniczone, pośrednie, tajne i równe, wyjaśnia te właściwości i rozpatruje prawa wyborcze w następujących rozdziałach: I. kto ma prawo uczestniczenia w wyborach; II. kto z osób posiadających wymagany przez prawo cenzus, jest wyłączony od udziału w wyborach; III. jak się odbywają wybory elektorów (tak autor nazywa wyborców, którzy mają prawo wyboru posła do Dumy); IV. o wyborach posłów przez elektorów. W drugiej części swojej broszury pomieszcza akty prawodawcze w polskiem tłómaczeniu, oraz tablice ilości posłów.

Kto u nas ma prawo wyborcze i jak należy tych praw dopilnować? Wskazówki praktyczne opracowane przez Grono Adwokatów Warszawskich. Warszawa, w drukarni Noskowskiego, 1906. 8-o, str. 24.

Tytuł dokładnie określa treść. Broszurka napisana zwięźle i jasno. Autorowie we wstępie nawołują do natychmiastowego zgłaszania swych praw, które przez opóźnienie przepaść mogą. Dla dobitniejszego przedstawienia rzeczy powołują się na przysłowie: „Kijem tego, kto nie pilnuje swego.“

## WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

Biblioteka dzieł Chrześcijańskich. Warszawa, pod red. ks. Zygmunta Chełmickiego. Zeszyt 57 i 58, Wrzesień i Październik, 1905, 8-o, str. XXVII i 350 IV oraz i 129 — 160. Na czele książki pomieszczono obszerną biografię kardynała Józefa Hergenröther'a pióra ks. *Jana Gajkowskiego*, z portretem kardynała. Na drugiem miejscu „Dokończenie historyi kościelnej“ przez ks. *Antoniego Rewerę*, prof. Seminaryum Sandomierskiego. Praca ta obejmuje pontyfikat Leona XIII i ma za zadanie jedynie tylko kronikarskie zestawienie szczegółów, dotyczących dziejów kościoła ostatnich lat, o których nie czas jeszcze wyprowadzać wnioski syntetyczne. Następuje potem chronologia do całego dzieła ks. Rewery, spis papieży, patryarchów, oraz drobiazgowy indeks osób i rzeczy. Zakończają tom Notatki Bibliograficzne za Wrzesień i Październik, zawierające liczne recenzye najnowszych publikacyi związek mających z naukami teologicznemi.

Homiletyka, pismo miesięczne poświęcone kaznodziejstwu i życiu duchownemu pod kierunkiem lit. ks. *Maryana Nassalskiego* Mag. Teol. Grudzień 1905.

W odezwie „od Redakcyi“ czytamy: „Rok ósmy dobiega do końca, jak prowadzimy wydawnictwo nasze. Czytelnicy nasi rozumieli nasze intencye, ducha naszego pisma..., nawiązała się więc łączność duchowa wspólnej pracy. W ostatniej dobie warunki społeczne wielce się zmieniły. Stanęliśmy do walki z socyalizmem jawnym, nieprzyjacielem Boga, kościoła i ojczyzny. Nieprzyjaciele nasi występują ku nam z bronią ziemską — my z orężem słowa Bożego. Oni z nienawiścią, a my z miłością. Te warunki określają działalność naszą redakcyjną. Gdy dom nasz płomień obejmuje, bezczynnie stać nam nie wolno.“ Następnie zaznaczywszy konieczność gruntownego poznania życia społecznego i rodzących się z czasem potrzeb, Homiletyka w niniejszym zeszycie zamieszcza następujące rozprawy:

1) „Ideał pracy społecznej na gruncie katolickim“ tu autor przedstawia, czem jest praca społeczna w ogólnem znaczeniu, jakie jej zadanie i jaka praca naród uszczęśliwić może.

2) „Ekonomia Społeczna“ rozbiera w dalszym ciągu genezę socyalnej niemocy: fałszywe pojęcia społeczeństwa, pracy i własności.

3) „Doniosłe zagadnienia społeczne czasów obecnych“, biskupa mogunckiego *Wilhelma Emanuela Kettelera*, najwybitniejszego i najpierwszego przedstawiciela ruchu katolicko-społecznego. Pierwsza konferencya ma tytuł: Pojęcie chrześcijańskie o prawach własności. Praca ta tem więcej zajmuje czytelnika, iż autor w 1848 roku poruszał kwestye, które są teraz na dobie.

4) „Kilka myśli o ubóstwie kapłańskiem“ przez *ks. Lemiesza;* ciąg dalszy rozpoczętej pracy. Wreszcie wypełniają zeszyt: Administrowanie Sakramentów ŚŚ. dzieciom ciężko chorym; Głos przestrogi pasterskiej — odezwa ks. Biskupa Stanisława Zdzitowieckiego do wiernych dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej; kazania na pięć niedziel po Trzech Królach, na uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej i t. d. Nadto redakcya „Homiletyki“ zapowiada na rok przyszły, obok dalszego ciągu prac rozpoczętych, artykuły: o Misyach, Kongregacyach dekanalnych, Kazania pasyjne na temat bieżących kwestyj i t. d. Kazania XX: Kajsiewicza, Jełowickiego i innych.

Miesięcznik Towarzystwa Szkoły Ludowej, pismo poświęcone sprawom oświaty pozaszkolnej i narodowego wychowania ludu polskiego. Kraków 1905. Zeszyt grudniowy zawiera: *Jana Świerka*: „Rej wobec ludu“ (autor wykazuje potrzebę wydania wyboru pism Reja dla najszerszych mas). „Zakładajmy szkółki początkowe.“ *Jadwiga S.* „Nasze czytelnie ludowe,“ „O Macierzy Szkolnej Królestwa Polskiego.“ *Ed. Dobrzańskiego* „Projekt taniego domu dla szkółek ludowych w Król. Pol.“ Dr. *M. Stępowskiego*: „Praca oświatowa u obcych.“ *Marya Bandrowska*: „Tematy do pogadanek. Mikołaj Rej z Nagłowic. Kronika. Dział sprawozdawczy Zarządu Tow. Szkoły Ludowej i Przegląd Krytyczny Literatury.“

Poradnik Językowy. Miesięcznik poświęcowy poprawności języka, wydawany pod redakcyą Romana Zawilińskiego. Tarnów, Grudzień 1905. Zeszyt ten poświęcono pamięci Reja, na karcie tytułowej dano wizerunek jego i napis: Temu, który pierwszy udowodnił, „Że Polacy nie gęsi, że swój język mają“ w 400 rocznicę urodzin. Zeszyt zawiera I. *Zawilińskiego*: Ze skarb-

nicy Rejowej kilka uwag językoznawczych. II. Zapytania i odpowiedzi. III. Rozmaitości. W końcu spis wyrazów i zwrotów objaśnionych lub wspomnianych w roczniku V, oraz treść tego rocznika. W odezwie od redakcyi wyczytujemy obietnicę, że w I-ym zeszycie 1906 r. podany będzie przebieg obrad i uchwały zjazdu Rejowskiego w sprawie ujednostajnienia pisowni polskiej. Jest to niemożebne, bo zjazd do Maja jest odłożony, a do tego czasu 4 zeszyty Poradnika ukazać się winny.

Przegląd Historyczny. Dwumiesięcznik naukowy, wydawany pod redakcyą J. K. Kochanowskiego przy udziale komitetu, do którego należą: Ign. Chrzanowski, S. Dickstein, Al. Jabłonowski, St. Kętrzyński, Al. Kraushar, Fr. Pułaski, Wł. Smoleński, W. Sobieski, Warszawa 1905. Zeszyt 3-ci. Zawiera dokończenia prac rozpoczętych w pierwszych dwu zeszytach. Znajdujemy tu ostatnie rozdziały studyum p. *Władysława Konopczyńskiego* o Genezie „Liberum Veto.“ Dokończenie rozprawy *Antoniego Prohaski* „Dwie Koronacye“ (Daniela i Mendoga), koniec pracy *Aleksandra Kraushara* p. t. Księgarze Warszawscy i spory ich z introligatorami. Dokończenie studyum *St. Kujota* o najnowszych pracach W. Kętrzyńskiego o biskupie Chrystyanie i o Krzyżakach. Wreszcie artykuł *St. Zakrzewskiego* p. t. „Nad Wieprzem i Bugiem w wieku XI i XII.“

Narodziny tego miesięcznika poświęconego przeszłości naszego kraju wypadły w porę niezbyt odpowiednią. Społeczeństwo zapatrzone w przyszłość, rozgorączkowane wypadkami chwili, niema czasu zajmowania się przeszłością, nie zwraca tak pilnej jak zawsze uwagi na rozwój nauk... A jednak zaniedbać tej placówki nie sposób. Już jeżeli nie przez wzgląd na przeszłość, na jej umiłowanie, to przez wzgląd na kulturę polską i na rozwój naszej nauki popierać należy to wydawnictwo. *Noblesse oblige.*

Żeśmy dotąd nie mieli tu, w Warszawie organu poświęconego dziejom ojczystym, to nic w tem dziwnego. Stała zawsze na przeszkodzie cenzura prewencyjna dla artykułów historycznych tak nieubłagana. Dziś, gdy ta przeszkoda jest prawie usuniętą, mamy możność rozwijania na tutejszym gruncie nauk historycznych i krzewienia ich u szerszych mas. Niech więc nie pozostaną jałowemi usiłowania komitetu Redakcyjnego Przeglądu, niech społeczeństwo go popiera. Wierzyć należy, że on będzie nie tylko przeglądany, ale starannie czytany.

Przegląd Sądowy i Administracyjny, Lwów, pod red. dr. Ernesta Tilla ze stałym spółudziałem prof. Uniwersytetu lwowskiego i krakowskiego, oraz prawników zawodów praktycznych. Zeszyt styczniowy 1906. Treść:

Z dziedziny materyalnego prawa konkursowego. Napisał dr. *Ernest Till.* O przejęciu długu. Trzy odczyty. Ułożył dr. *Stanisław Dniestrzański.* Sprawozdanie z VII. międzynarodowego kongresu w sprawach ustawodawstwa karnego i więzień, odbytego w Budapeszcie w dniach 3 do 9 września 1905. Odczyt dr. *Józefa Serkowskiego.* Zapiski literackie.

Przegląd Uniwersalny. Kraków, Grudzień 1905 r. Zeszyt XII. Treść:

1) Ks. *J. Pawelski.* Wiec katolików Austryi. 2) *Józef Popowski.* Położenie świata na początku XX w. 3) Ks. *L. Lipke.* Z ruchu chrześcijańsko-spo-

łecznego w Poznańskiem. 4) Ks. *Stanisław Kobyłecki.* Postulaty psychologii doświadczalnej. 5) Dr. *Władysław Czerkawski.* Udział Polaków w wojnie rosyjsko-japońskiej. 6) Ks. *Wiktor Wiecki.* Między Słowianami: Z podróży po Bułgaryi. 7) Przegląd piśmiennictwa polskiego. 8) Przegląd piśmiennictw obcych. 9) Zapiski bibliograficzne. 10) Ks. *Jan Pawelski.* Sprawy Kościoła: Sprawa młodzieży na ostatniej sesyi sejmu galicyjskiego. Powszechne prawo głosowania. Sytuacya w dzielnicy pod rządem rosyjskim. 11) Dr. *A. Krzyżanowski.* Kronika ekonomiczna: Wydział krajowy, a parcelacya. Spółki oszczędności i pożyczek. Drożyzna mięsa. 12) Ks. *Jan Urban.* Z ruchu w Cerkwi rosyjskiej. 13) Ks. dr. *Wł. Chotkowski.* Odpowiedź autora.

Najbardziej dla nas interesującym jest artykuł dr. Czerkawskiego, gdzie autor na podstawie urzędowych zestawień bada liczebność Polaków, którzy brali udział w wojnie japońsko-rosyjskiej i wylicza ilość zabitych i rannych. Z wyliczeń tych, opartych na niezupełnie ścisłych wiadomościach urzędowych, gdzie nie zawsze narodowość wojskowych jest oznaczaną — określić dokładnie ilości poległych Polaków nie sposób; w przybliżeniu jednak da się to przeprowadzić i jak się zdaje ze znaczną dozą prawdopodobieństwa. Na podstawie rachunku p. Czerkawskiego, okazuje się, że mylnem było przypuszczenie, tak ogólnie powtarzane, jakoby procent Polaków powołanych do szeregów był bardzo znaczny — w stosunku do ilości Rosyan, jakoby dochodzący niejednokrotnie do połowy. Mylnem było przypuszczenie, że rząd rosyjski chciał prowadzić wojnę przedewszystkiem siłami podbitych narodów. Dane statystyczne do innych doprowadzają wniosków. Ogółem straty trzech prowincyj byłej Rzeczypospolitej (Królestwo, Litwa, Ruś) wynoszą 9521 ludzi zabitych, rannych lub wziętych do niewoli. Licząc procentowo ludność tych krajów straciła 3,26 na każde z 10,000 mieszkańców, gdy w głębi Rosyi procent ten dochodzi do 5,22.

Przewodnik Naukowy i Literacki wychodzący przy Gazecie Lwowskiej, w zeszycie grudniowym 1905 r. zamieszcza: Listy Zygmunta Krasińskiego do Pani Joanny Bobrowej. Z autografów wydał i przypisami objaśnił *Leopold Méyet.* O Morskie Oko. Wywód praw polskich przed sądem polubownym w Hradcu, napisał dr. *Oswald Balzer.* Pamiętnik *Napoleona Sierawskiego*, oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego. Z dziejów konfederacyi barskiej. Teki Teodora Wessla, podskarbiego w kor. (1769—1772), napisał *Kazimierz Pułaski.* Turzonowie w Polsce i ich stosunki z Fuggerami, napisał *Jan Ptaśnik.* O Misyonarzach w Wilnie, napisał *Wołyniak.* Trzynaście dni na wodach Grecyi, przełożył i opisał *Dezydery Ostrowski.*

# BIBLIOGRAFIA.

## TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

Chwała Maryi. Album jubileuszowy na pięćdziesięcioletnią pamiątkę ogłoszenia dogmatu przez Papieża Piusa IX o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Maryi Panny 1854—1904. Kompozycya i rysunek Adryana Głębockiego. Tekst objaśniający zebrał ks. C. Sokołowski. Warszawa, 1906. Nakł. i własn. T. Głębockiego. Folio duże, str. 15.

Nietzsche Fryderyk. Dytyramby dionyzyjskie, przełożył Stanisław Wyrzykowski. Warszawa, 1906. Nakł. J. Mortkowicz. Skł. gł. w ks. G. Centnerszwera i Sp. 8-o, str. 40.

Tarcza wiary. Porównanie wyznań rzymsko-katolickiego, ewangelicko-augsburskiego, braci czeskich, anglikanów, baptystów i herrnhutów z wyznaniem ewangelicko-reformowanem z dodaniem wiadomości o księgach symbolicznych. Ułożone dla członków kościoła Polskiego Ewangelicko-Reformowanego. W 400-ną rocznicę urodzin Mikołaja Reja z Nagłowic. Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. M. Mietkiego. 8-o, str. 66.

## HISTORYA.

Amira Aleksandro. Storia del soggiorno di Carlo XII in Turchia scritta dal suo primo interprete .... e publicata da N. Jorga. Bucarest, stabilimento grafico I. V. Socecu, Gubryn. i Schmidt we Lwowie, 1905. Pełno szczegółów i aktów do historyi Rzeczypospolitej Polskiej z roku 1710. 8-o, stron 98.

Gloger Zygmunt. Czy lud polski jeszcze śpiewa? Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. Gebeth. i Wolffa. 8-o, str. 24.

Karejew M. prof. Podręcznik historyi nowożytnej z mapami historycznemi. Przekład z ostatniego wydania oryginału, dokonany z upoważnienia autora. Przez ... Warszawa, 1906. Nakł. Tow. Akc. S. Orgelbrandów i S-ów. 8-o, str. 168.

Korzon Tadeusz. Historya wieków średnich wyłożona sposobem elementarnym. Przez ... Z dołączeniem 4 map kolorowych, 61 rysunków i tablic genealogicznych. Wyd. trzecie poprawione. Warszawa, 1905. Nakł. Gebeth. i Wolffa. 8-o, str. XII i 474 i V i II.

Kucharski Władysław. Sanok i sanocka ziemia w dobie Piastów i Jagiellonów. Monografia historyczna. Lwów, 1905. Gubryn. i Schmidt. 8-o, str. 118.

Osten L. Józef Chłopicki, luźne wspomnienia towarzyszów broni generała. Odbitka z „Kuryera Poznańskiego.“ Poznań, 1903. Nakł. autora. L. Leitgeber i Sp. 8-o, str. 38.

Podlasiak P. J. K. Martyrologium czyli męczeństwo Unii na Podlasiu. Z wiarogodnych i autentycznych źródeł zebrał i napisał ... Kraków, 1905. D. E. Friedlein. 8-o, str. 375.

Potkański Karol. O pochodzeniu wsi polskiej. Lwów, 1905. 8-o, stron 48.

Wawrzeniecki Maryan. Ucieszne teatrum albo sprawiedliwe niektórych niewiast karanie u Warszawy. Opisał i przypisami opatrzył ... Warszawa, 1906. Nakł. J. Fiszera. 8-o, str. 23.

Wierzbicki Jarosł. Trzy główne życiorysy św. Wojciecha. (Sprawozdanie dyrekcyi c. k. gimnazyum w Złoczowie za rok szkolny 1905). Złoczów, 1905. Nakł. fund. nauk. 8-o, str. 72.

W rocznicę pięćsetną... założenia klasztoru Bożego Ciała na Kaźmierzu w Krakowie (1405—1905). Szkic dziejów opactwa XX. Kanoników regularnych lateraneńskich. Kraków, 1905. Nakł. XX. Kanoników reg. lat., Spół. wyd. polska. 8-o, str. 120 z 9 ryc.

## ARCHEOLOGIA.

Bołsunowski K. Minusińsk, jako centrum epoki bronzu. Odb. z „Wiadomości numizm.-archeolog.“ Kraków, 1905. Nakładem Tow. 8-o, str. 4 i 1 tabl. z ryc.

Demetrykiewicz Włodzimierz dr. Wykopalisko z Kęblin i ślady rzymskiej „terra sigillata“ w Królestwie Polskiem. Odbitka z „Wiadomości numizm.-archeol.“ Kraków, 1905. Nakładem Towarzystwa. 4-o, str. 18 i 2 tabl. z ryc.

Hadaczek Karol dr. Złote skarby michałowskie, wydanie i nakład imienia Dzieduszyckich we Lwowie. Kraków, 1904. 4-o, str. 30, 2 ryc. w teks. i 23 tablice w heliograwiurze.

## PRAWO.

Hube Romuald. Pisma poprzedzone zarysem biograficzno-krytycznym. Przez Karola Dunina. Tom II. Nakł. M. Arcta. Wyd. im. Andrychiewicza. 8-a duża, str. 576.

Juszkiewicz P. O prawie wyborczem. Przełożył z rosyjskiego Józef Szuster. Warszawa, 1906. Nakład J. Fiszera. 8-o, str. 81.

Konstytucya Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Warszawa, 1905. Skł. gł. w Ks. Powsz. 8-o, str. 24.

Reformy państwowe w Rosyi. Zbiór najwyższych ukazów, manifestów, rozporządzeń i ustaw. (Wydanie nieurzędowe). Warszawa, 1906. Jan Fiszer. 8-o, str. 84.

Reeves William Pember. Prawo wyborcze kobiet w Australii. Spolszczył M. Z. Warszawa, 1905. Skład główny w Księgarni Powszechnej. 8-o, stron 87.

## HISTORYA LITERATURY.

Antoniewicz Władysław Leon. Dzieje krośnieńskiej szkoły ludowej 1786 do 1906. Część urzędowa. Sprawozdanie klasyfikacyjne sześcioklasowej szkoły męskiej w Krośnie za rok szk. 1905. Krosno, 1905. Nakł. fund. szkol. 8-o, str. 30.

Galle Henryk. Wypisy polskie z dziejów literatury do użytku szkolnego. Warszawa, 1906. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 413.

Karbowiak Antoni. Studya statystyczne z dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego 1433/4—1509/10. Odb. z „Arch. dla hist. lit. i ośw.“ T. XII. Kraków, 1905. 8-o, str. 82.

Lachs Jan dr. Lekarze krakowskiej kapituły katedralnej. Odbitka z „Przegl. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 48.

Studnicki Wł. Polityka Rosyi względem szkolnictwa zaboru rosyjskiego. Kraków, 1905. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 260.

Studziński Cyryl dr. Ze studyów nad literaturą polemiczną. Odb. z Rozpraw wydziału filologicznego. T. XVII. Akad. Umiej. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 30.

## NAUKI ŚCISŁE.

Bykowski Juljusz Jaxa. Podręcznik mechaniki technologii. Część 2. Technologia włókna dla użytku szkół technicznych i przemysłowych. „Bibl. politechn.“ Tom XVI. Lwów, 1906. Nakł. komisyi wydawn. „Bibl. polit.“, Szkoła Politechniczna, Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, stron VI, 304, z 210 drzeworytami w tekscie i 4 tabl.

Franke Maryan dr. O wpływie naświetlania promieniami Roentgena na przebieg białaczki. Odbitka z „Przegl. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 20 i 3 tabl.

Korczyński Antoni dr. Podręcznik chemii nieorganicznej dla klasy V szkół realnych. Kraków, 1905. Nakład autora, S. A. Krzyżanowski. 8-o, str. 197 z 40 ryc. i 1 tabl. spektralną.

Pożaryski M. Zasadnicze pojęcia i teorye współczesnej nauki o elektromagnetyzmie. Przez ... Odb. z „Przegl. Techn.“ Nr. 1905. Warszawa, 1905. Skł. gł. w ks. E. Wende i Sp. 8-o, str. 68.

## NAUKI SPOŁECZNE I PRAWNO POLITYCZNE.

Alstone Leonard prof. Zarys społecznych konstytucyj. Wstęp do nauki o państwie. Przekład ... Warszawa, 1905. Nakł. Księg. Popularnej. 8-o, str. 70.

Engels Fryderyk. Rozwój socyalizmu od utopii do nauki. Przez ... Z czwartego uzupełnionego wydania niemieckiego, przetłómaczył A. Warski. Redaktor i Wydawca St. Kucharski. Warszawa, 1905. „Bibl. Naukowa.“ 8-o, stron 95.

Jellinek Jerzy dr. Deklaracya praw człowieka i obywatela. Przełożyła z drugiego uzupełnionego wydania Zofia Libkind-Lubodziecka. Warszawa, 1905. Skł. gł. w Księg. Powszechnej. 8-o, str. 96.

Caro Leopold dr. Studya społeczne. Kraków, 1906, ks. S. A. Krzyżanowskiego. Nakład i druk. „Czasu“. 8-o, str. nl. 2, 404.

Konic Henryk. Samorząd gminny w Królestwie Polskiem w porównaniu z innemi krajami europejskimi. Przez ... Wydanie drugie przejrzane i uzupełnione. Warszawa, 1906. Nakładem księg. E. Wende i Sp. 8-a duża, stron 298.

Lafargue P. Kwestya kobieca. Z francuskiego tłómaczył J. Maciejewski. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. Popularnej. 8-o, str. 32.

Lewiński Jan St. Samorząd miejski w Londynie. Warszawa, 1905. Wyd. St. Kucharskiego. 8-o, str. 152 i IV.

Limanowski Bolesław dr. Rozwój przekonań demokratycznych w narodzie polskim. Wykłady. Wyższe studya wakacyjne w Zakopanem. Kraków, 1905. Sp. Nakł. „Książka.“ 8-o, str. 39.

Lutosławski Maryan. Zasady przedstawicielstwa i prawo wyborcze. Warszawa, 1905. Wyd. „Gońca Wiecz. i Porannego.“ Skł. gł. w ks. E. Wende i Sp. 8-o, str. 15.

Marks Karol. Praca najemna i kapitał. Warszawa, 1905. „Biblioteka Ekonomiczno-Polityczna“ № 2. Nakładem Księgarni Popularnej. Kop. 15. 8-o, str. 40.

Rożkow N. A. O formach przedstawicielstwa ludowego, spolszczył J. Krasny. Warszawa, 1905. Skład główny w księgarni T. Paprockiego. 8-o, stron 21.

Tenże. O formach przedstawicielstwa narodowego. Przełożył K. Kuszel. Warszawa, 1905. Nakł. Księg. Popularnej. 8-o, str. 30.

Zmowa powszechna przeciw rządowi. Warszawa, 1905. Nakł. Ludowego Koła Oświaty. 8-o, str. 31.

Zwiezdicz. Ustrój państwowy i stronnictwa polityczne w Europie Zachodniej, t. I. Austrya. Opracował ... Przekład z rosyjskiego A. Krasnowolskiego. Warszawa, 1905. „Biblioteka Naukowa.“ 8-o, str. 176.

## POWIEŚĆ. — POEZYA.

Denker Jerzy: Pieśń miłości, poezye. Księg. D. E. Friedleina. 8-o, str. 141.

Koszutski W.: Nasze prababki, szkic historyczno-obyczajowy. (Książki dla wszystkich № 241). Warszawa, 1905. 12-o, str. 96.

Koźmian Stanisław: Podróże i polityka. Paryż podczas wystawy. — Z Włoch do Aten. — Konstantynopol.—Sofia i Belgrad. Kraków, 1905. Nakł. i druk. „Czasu“. Spółka wydawn. polska. 8-o, str. 227.

Ostatnie dni Pompei. Powieść historyczna z I wieku po Chrystusie. Poznań, 1905. Nakł. i druk. Fr. Chocieszyńskiego. 8-o, str. 125.

Puffke z Kurowskich E.: Miłość braterska, powieść historyczna z XV w. Poznań, 1905. Nakł. i druk. Fr. Ciecieszyńskiego. 8-o, str. 114.

Rodziewiczówna Marya: Na fali. Powieść współczesna. Warszawa, 1905. „Bibl. dzieł wyb.“ № 401, 402. 8-o, t. I str. 152, t. II str. 120.

Sienkiewicz: Vizözön. Budapest, Rákosi Jenö Budapesti Hirlap Ujságvàllalata, 1905. 8-o, str. 820.

Staff Leopold: Sny o potędze. Wyd. 2. Lwów, 1905. Nakł. B. Połonieckiego, E. Wende i S-ka w Warszawie. 8-o, str. 142.

Świeżawski Leon: Otchłań Polska. Romans narodowy. Lwów, 1906. Księg. Narodowa. 8-o, str. 630.

(Zapolska G.) Maskoff Józef: Pan policmajster Tagiejew. Szósty tysiąc. Powieść współczesna. T. I—II. Lwów, 1905. Nakł. „Wieku Narodowego.“ Księg. Polska. Illustrował Marceli Harasimowicz. 8-o, str. 285 i 2 nl. + 336 i 2 nl.

## MEDYCYNA.

Beck A.: O działaniu promieni radu na nerwy obwodowe. Odb. z „Rozpr. wydz. mat. przyr.“ Tom XLV, ser. B. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiejęt. 8-o, str. 12.

F. Levillain Dr.: Hygiena ludzi nerwowych. (Książki dla wszystkich №№ 231, 232, 233, 234). Warszawa, 1905. 12-o. Część I, budowa i czynność układu nerwowego, str. 60 + 2. Cz. II, układ nerwowy i jego choroby, str. 63. Cz. III, przyczyny chorób nerwowych, str. 101 + 1. Cz. IV, układ nerwów, str. 120 + 2.

Piltz Jan Dr.: Stanowisko psychiatryi w rzędzie innych nauk lekarskich, oraz nowoczesne jej zadania i cele. Odb. z „Przegl. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 30.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

# Sprawa robotnicza.

Według przypuszczalnych obliczeń, Królestwo Polskie posiada w chwili obecnej około 350 tys. robotników fabrycznych. Najmłodsza nasza warstwa narodowa tem większego nabiera dziś znaczenia, im klasa robotników staje się coraz bardziej aktualną sferą społeczeństwa polskiego, im sprawa robotnicza coraz szybciej domaga się rozwiązania w duchu czasu i potrzeb dojrzałych.

Hasłem ogólnem stało się dziś polepszenie warunków pracy i bytu warstw robotniczych, i nie leży dziś już ono w programach jedynie stronnictw socyalistycznych. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności pióra narodowe polskie, jakby unikają zobrazowania stanu obecnej kwestyi robotniczej. Literatura nasza nie posiada zgoła ani jednego dzieła, bezstronnie a wyczerpująco traktującego o stosunkach ekonomicznych i socyalnych głośnej obecnie klasy pracującej. Rzecz oddawna domaga się rozpatrzenia szczegółowego a bezstronnego.

Dla większości, głośno dziś wypowiadających ogólniki i nazwiska Lassalle'ów, Marxów, Engelsów, zgoła nie znaną jest istota naszych warunków robotniczych i socyalnych. To też tem większą jest wina naszych ekonomistów, iż dając wyręczać się tłómaczom broszur socyalistycznych, sami nie przedsiębiorą prac syntetycznych na swoich, a później obcych opierając się materyałach. Wstydem jest, iż tyle omawiana sprawa nie pobudziła dotąd do wytworzenia u nas istnej powodzi dzieł, rozpraw, polemik.

Półki księgarń zagranicznych uginają się pod ciężarem potężnej literatury robotniczej. Ze szczegółami najmniejszymi rozpatrywane są tam wszystkie zagadnienia zawiłej kwestyi i nie ma dnia, aby piśmiennictwa obce nie wzbogacały się nowemi cennemi publikacyami. Z żalem stwierdzić wypada, iż w danym zakresie dawno już wyprzedziło nas nawet piśmiennictwo rosyjskie.

Przystępując do naszych własnych stosunków robotniczych, wypada też do obcej, a nie swojej sięgać literatury. Tem trudniejszem jest stanowisko publicystyki polskiej, która jak drzewo rodzime na swojskiej winna wyrastać glebie i swojskimi karmić się soki. Z licznemi przeszkodami przystępuję do skromnej tej pracy.

## I.

## Teorya płacy zarobkowej

Pod wpływem teoryj ekonomicznych, o zależności podaży od popytu, przy ustanawianiu cen towarów handlowych, przez długi czas w nauce utrzymywało się przekonanie, że wynagrodzenie robotników podlega tym samym normom stosunku zapotrzebowania i zaofiarowania towarów wymiennych. Im popyt na robotników się zwiększa, tem i wynagrodzenie staje się lepsze. Przekonanie to głęboko zakorzeniło się zarówno wśród uczonych, jak i szerszej publiczności. Już z istoty tego ekonomicznego rozumowania upadałaby więc niemal możliwość podwyższenia norm płacy w społeczeństwach, gdzie szeregi ludzi, żądnych zarobku, przeważają znacznie zastęp wolnych warsztatów pracy.

W stosunkach polskich, przy istniejącym nadmiarze proletaryatu (powodem ruch emigracyjny), płaca w myśl utrzymujących się teoryj, corocznie obniżać się powinna... Tym sposobem kwestya normowania płacy byłaby u nas najzupełniej załatwiona; należałoby wzmagać jedynie zakres działalności naszych towarzystw dobroczynności i wspierać nędzniejący z roku na rok polski proletaryat robotniczy. Społeczeństwo stawałoby się bezradne wobec podobnego stanu, naród byłby skazanym na doszczętną degeneracyę klasy pracującej.

Na gruncie teoryi stosunku podaży i zapotrzebowania rąk roboczych powstała jedna z najnamiętniejszych rozpraw Karola Marxa — „Płaca najemna i kapitał," w której autor wyraźnie powiada, że „skala wynagrodzenia podnosi się i opada, względnie do popytu i zaofiarowania, zależnie od konkurencyi pomiędzy nabywcą siły roboczej — kapitalistami i sprzedawcami — robotnikami." W szeregu licznych paradoksów Marx dochodzi do wniosku, że im bardziej wzrastają dochody fabrykantów, tem więcej jeszcze obniża się płaca robotnicza, bo konkurent-fabrykant czuje się silniejszym jeszcze od konkurenta-robotnika. Przy braku u nas należnej kontr-akcyi *naukowej*, teorye Marxa mimo woli wsiąkały

w społeczeństwo, stawać się nawet zaczęły przekonaniem, lubo nie hasłem, licznych przeciwników wielkiego twórcy socyalizmu.

Uznanemu za żelazne prawu o „popycie," kłam tymczasem zadają nowoczesne pojęcia ekonomiczne na Zachodzie. Uczony niemiecki Zwiedineck von Südenhorst, autor wybitnej pracy o „Teoryi i polityce płacy zarobkowej" staje na gruncie historycznym i logicznie dowodzi, że wynagrodzenie robotników łączy się ściśle z *tradycyą* ewolucyjną stosunków przemysłowych danego kraju lub środowiska. „Zapotrzebownie i podaż okazują wpływ na ustanawianie cen towaru, ale wpływ ich okazuje się *już na tej cenie, jakiej żąda sprzedawca, i jaką proponuje kupujący.* Przy określaniu normy płacy zarobkowej, jak i ceny towaru, stosunek pomiędzy popytem i zaofiarowaniem odgrywa dużą rolę. Ale analogię tę pojmuje błędnie, kto utrzymuje, że zapotrzebowanie i podaż są już decydującymi czynnikami, określającymi poziom płacy." Tegoż przekonania jest i ekonomista Konrad Schmidt [1]), który zupełnie słusznie zauważa, że spółzawodnictwem da się tłómaczyć jedynie *wahania płacy* zarobkowej, ale nie istnienie pewnej normy płacy.

Praktyka życiowa najkompletniej potwierdza poglądy obu autorów o płacach zarobkowych. Oprócz poszczególnych wypadków, jest rzeczą wykluczoną, aby fabrykant w miejsce jednego rubla, płacił dwa ruble robotnikowi, jeżeli nie znajduje innych, ubiegających się o miejsce ludzi. „Mało jest również prawdopodobieństwa — pisze Zwiedineck von S. — aby przedsiębiorca mógł wyznaczyć robotnikowi płacę o dziesięć razy mniejszą, jeśli o jedno miejsce ubiega się aż dziesięciu robotników." Istnieją pewne normy zwyczajowe, które strzegą zasady o poziomie płacy, praktykowanej w danem mieście. Tradycya ta jest jednak siłą obosieczną. Równie, jak niezawsze okazuje tendencyę do zniżek, w niemniejszym zakresie niechętnie, wprost z trudnością, nagina się do zwyżek. Tradycyjna, praktykowana stopa zarobkowa rzadko liczy się z wymaganiami i potrzebami danych sfer pracujących. Możność życia nie jest bowiem jeszcze probierzem dostateczności płacy. Dowiedzionem jest, iż można żyć nietylko w dostatku, ale i przymierając głodem.

Należy stwierdzić z całą stanowczością, że w życiu gospodarczem uwidocznia się wszędzie pewna tendencya do *stałości* i, że przemiany w niej zachodzą dopiero pod silną presyą czynników ewolucyjnych. Fabryki i wogóle przedsiębiorstwa z trudem wiel-

[1]) „Der natürliche Arbeitslohn," str. 61.

kim dają się naginać do stopniowego normowania płacy, przystosowywanej do nowych warunków życia, cen produktów i zwiększających się wymagań kulturalnych robotnika. Ale lekceważyć też nie można czynników, wpływających na owe stałe normy wynagrodzeń, jak ustalanie się cen towarów, liczenie się z obcymi rynkami i t. d.

Będące zasadniczo w ścisłej z fabrykantami sprzeczności interesy robotników musiały więc z natury rzeczy wynaleźć sobie broń do walki z konserwatyzmem i tą kategoryą stałych form gospodarczych, które na krzywdę klas pracujących wpływały. Jest więc zupełnie naturalną organizacya spółzawodnictwa słabszej pracy z silniejszym kapitałem. W społeczeństwach zachodnich powaga cywilizacyi i interesy harmonii narodowej normują jednak zapasy tej walki. Sam socyalizm zachodni przyjmuje dziś inne, dojrzalsze formy ścierania się interesów klasowych i wyrósł z okresu niemowlęctwa ekonomiczno-politycznego, na jakim *quand même* utrzymują go do dziś dnia nasi polscy i międzynarodowi marxiści.

Nawet ściśle partyjna ekonomiczna walka inspirowanej warstwy robotniczej (nie mówię o walce politycznej) musi bowiem wytykać sobie wyraźne granice, oddzielające socyalizm od anarchii i warcholstwa społecznego, takt od bezrozumu. Usiłowania skierowane ku poprawie warunków zarobkowych muszą też mieć pewne z góry obmyślone ramy, przystosowane do norm uwzględnić się dających, możliwych do urzeczywistnienia w danej gałęzi produkcyi. „Postulaty (racyonalnej) reformy gospodarczej — pisze ekonomista polski St. A. Kempner [1]) — dążą do zasady t. zw. płacy minimalnej. W wielu dziedzinach pracy na Zachodzie poczęto już stosować w życiu zasadę wynagrodzenia minimalnego, gdyż ona daje najwięcej rękojmi trwałości losu pracowników. Ma tę zaletę, że rozpoczyna normowanie słusznej ceny od dołu, od najbardziej upośledzonych pracowników i tworzy najniższą granicę, od której odbywa się w dalszym ciągu coraz wyższe awansowanie pracowników, zastosowane do ich wytwórczych kwalifikacyj i uzdolnień. *Minimum* płacy wytyka linię demarkacyjną, poniżej której cena pracy spaść nie powinna, zabezpieczając tym sposobem niezłomną wysokość płacy, jako najmniejszą sumę nasycenia potrzeb jednostki pracującej. Jest to niejako rozstrzygnięcie zagadnienia t. zw. prawa do egzystencyi. Ograniczenie wysokości płacy do pewnej granicy minimalnej nie wyklucza swobodnego

[1]) „Bezrobocie“ — *Ekonomista* 1905, zeszyt I.

kształtowania się ceny płacy po nad tę granicę. Powyżej granicy takiej muszą już wchodzić w grę względy na siły i uzdolnienie pracownika.“

Ta, przyjęta w społeczeństwach kulturalnych zasada teoryi płacy robotniczej zda się być najsprawiedliwszem rozwiązaniem zawiłego unormowywania najmu pracowników przemysłowych. Zasada ta nie zamyka pola do dalszych ewolucyjnych dążeń udoskonalania normy i przystosowywania jej do zmieniających się stosunków ekonomicznych. Kontrola nad określaniem *minimum* płacy nie w rękach jednak hałaśliwego tłumu spoczywać powinna. Strzedz jej muszą instancye kompetentne i nie kierujące się żadnemi względami nad sprawiedliwość i prawdę życiową.

## II.

## Uposażenie robotników zagranicznych i polskich.

Pod wpływem strejków i wzmagającej się organizacyi pracy, poczynając od połowy zeszłego stulecia przemysł całego świata począł ulegać znacznym zmianom w ustosunkowaniu płac zarobkowych robotnika. Podług danych „*Office des Travails*“ przeciętne wynagrodzenie robotników pomiędzy rokiem 1850 i 1901 wzrosło w Lyonie z 2 fr. 65 cnt. do 5 fr. 43 cnt., w Marsylii z 3 fr. 3 cnt. do 4 fr. 61 cnt. w Troyes z 2 fr. 9 cnt. do 4 fr. 69 cnt.

Ekonomista francuski Paul Louis [1]) oblicza, że we Francyi, jeżeli zarobki w r. 1900 przyjąć za 100, to w r. 1853 wysokość wynagrodzenia równałaby się — 50. „Nie należy jednak sądzić — dodaje — że we Francyi płaca zarobkowa daje wszędzie możność zaspakajania najpilniejszych potrzeb życiowych; strejk w Armentières w r. 1902 wykazał, że robotnicy znajdowali się w stanie ostatniej nędzy.“ Niemniej przecież przeciętna norma wynagrodzenia robotników we Francyi dochodzi ustalającej sią stopy i statystycznie dla wszystkich gałęzi da się określić na blizko 4 franki dziennie. Robotnicy w przemyśle tkackim zarabiają średnio 4 fr. 50 cnt.

Podług obliczeń tegoż ekonomisty, w Westfalii, pomiędzy rokiem 1888 i 1900 płaca zarobkowa w górnictwie z 3 fr. 36 cnt. podniosła się do 5 fr. 25 cnt., na Śląsku — z 2 fr. 4 cnt. do 4 fr. 46 cnt.

[1]) „Prawodawstwo robotnicze w krajach nowego i starego świata.“

Niemal podobnymże wahaniom zasadniczym ulegały w tym okresie uposażenia robotników fabrycznych w Królestwie Polskiem.

Zgodnie z wykazami za lata 1867 — 9 zarobek roczny robotnika wynosił [1]):

| | | |
|---|---|---|
| w przemyśle | wełnianym . . . | 116 rb. |
| „ „ | płóciennym . . . | 128 „ |
| „ „ | jedwabnym . . . | 144 „ |
| „ „ | chemicznym . . . | 175 „ |

w roku 1888, podług wykazów Światłowskiego („Fabrycznyj raboczyj“) sięgał:

| | | | |
|---|---|---|---|
| w przemyśle | wełnianym | 145 rb. | (przędzalnie) |
| „ „ | „ | 206 „ | (tkalnie) |
| „ „ | bawełnianym | 175 „ | |
| „ „ | metalurgicznym | 288 „ | |

w roku 1897 podług materyałów statystycznych podanych przez W. Załęskiego [2]), zarobki wypłacano:

| | | |
|---|---|---|
| w przemyśle | wełnianym . . | 205 rb. |
| „ „ | bawełnianym . | 228 „ |
| „ „ | płóciennym . . | 143 do 151 rb. |
| „ „ | jedwabnym . . | 226 rb. |
| „ „ | chemicznym . . | 175 „ |
| „ „ | metalurgicznym | 307 „ |

W ostatnich latach (przed strejkami 1905 r.) p. Stanisław Koszutski [3]) oznacza przeciętny zarobek jednego robotnika fabrycznego na 239 rb. Lubo więc w ciągu ostatniego czterdziestopięciolecia przeciętna norma zarobków wzrosła w przemyśle naszym w dwójnasób niemal, to jednak przy stopniowem podnoszeniu się cen żywności i mieszkania, dobrobyt klasy pracującej, ściśle biorąc, wzmógł się niewiele i w każdym razie dotychczasowe zaspakajanie potrzeb robotników było niedostateczne.

Badając odżywianie się robotnika polskiego, dr. Sterling znalazł, iż pracownik fabryczny w Łodzi spożywa dziennie:

| białka | tłuszczu | węglodanów |
|---|---|---|
| 106 gramów | 42 gramy | 511 gramów |

[1]) *Ekonomista* za rok 1869.

[2]) „Statystyka Królestwa Polskiego“ Warszawa, 1901, tom drugi.

[3]) „Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego“ Warszawa, 1905, str. 234.

Wykaz ten okaże się dość smutnym w porównaniu z odżywianiem się zamożniejszego robotnika angielskiego, który spożywa: [1])

| białka | tłuszczu | węglodanów |
|---|---|---|
| 156 gramów | 71 gramów | 567 gramów |

Również przeciętny robotnik we Francyi odżywia się o wiele lepiej od pracownika polskiego. Spożywają tam:

| białka | tłuszczu | węglodanów |
|---|---|---|
| 138 gramów | 80 gramów | 502 gramy |

Dr. E. Kohn [2]) doszedł do przekonania, że wśród robotników w Częstochowie i jej okolicach 55,5% odżywia się miernie lub źle, głównie z powodu niedostatecznej ilości substancyj białkowych i tłuszczów w pożywieniu, co nadewszystko zauważyć się daje wśród licznej rzeszy wyrobników (sublokatorów). „Ludzie tej kategoryi mięsa prawie wcale nie używają, bo nawet nie w każde święto; to samo można powiedzieć o mleku; tłuszczu zaś w miernej i niedostatecznej ilości.“ Typy robotników polskich o suchotniczym wyglądzie, wązkiej klatce piersiowej i przyblakłych, nie śmiejących się nigdy oczach — to stan poważne, trwożliwe nasuwający myśli. To rozdrażnienie, przyjmujące żywiołowe cechy wybuchów, miotania się z nędzą robotników ma swoje głębokie podstawy w istniejących warunkach życiowych. Sferom społecznie myślącym nie wolno też na widok tych stosunków przysłaniać oczy i trwać w zadowoleniu z własnych dostatków. Współczucie i zajmowanie się warstwą robotniczą nie może i nie powinno też być specyalnością lub monopolem naszych frakcyj socyalistycznych, na które zresztą dotąd umiano u nas gniewnie tylko spoglądać, ale nie przeciwdziałać na gruncie podejmowanej akcyi czynnej — organizowania robotników, dopominania się o lepsze warunki egzystencyi naszej warstwy pracującej.

Dane wyżej pomieszczone nie illustrują jednak jeszcze samego sposobu życia robotnika polskiego. Oryginalnemi budżetami rozchodów robotniczych uzupełniamy więc nasz materyał artystyczny. Dr. J. Michalski lekarz fabryki tow. akc. K. Scheiblera w Łodzi obrazuje wydatki rodziny robotnika, składającej się z 5 osób t. j. małżeństwa z trojgiem dzieci, z których najstarsze ma

[1]) Konrad Prószyński „Jak się żywimy.“ Warszawa, 1901.

[2]) „*Zdrowie*“ 1892 r., str. 256 i nast.

10 lat. W fabryce pracuje mąż i zarabia 5 rb. 30 kop. tygodniowo (więcej, niż średni zarobek robotnika).

| | rb. | kop. |
|---|---|---|
| Mieszkanie | 1 | — |
| Chleb | 1 | 05 |
| ¼ korca kartofli | — | 45 |
| 7 kwart mleka | — | 49 |
| Mięsa 2 — 3 funtów | — | 30—45 |
| Słoniny 1 funt | — | 18 |
| Kaszy jęczmiennej 2 kw. | — | 12 |
| Kawy ¼ funta | — | 18 |
| Cykoryi paczka | — | 11 |
| Cukru 1 funt | — | 13 |
| Opał | 1 | 20 |
| Nafta | — | 08 |

Na pozostałe wydatki, z których największe są: ubranie i obuwie, pozostaje od **2 kop do 87 kop.**

*Menu* takiego robotnika. Śniadanie: 2 szklanki kawy i ¾ funta chleba. Kawa przygotowuje się następującym sposobem: 5 kwart wody, 1 łut kawy palonej, za 3 grosze cykoryi, 3—4 kawałki cukru i kwarta mleka. Robotnik jada śniadanie o 8-ej godz. rano w fabryce. Obiad: Barszcz z kartoflami. Kapuśniak z kartoflami. Zupa kartoflana. Zacierki z wodą zabielone mlekiem i chleb. Zupy okraszone słoniną dwa razy na tydzień z ½ funt. mięsa. W wymienionej fabryce (K. Scheiblera) zwykle jada robotnik obiad w sali jadalnej i ma możność odgrzać obiad na piecyku. Kolacya: resztki z obiadu lub kawa z chlebem.

Nieco odmiennym jest tygodniowy budżet rodziny robotnika, składającej się z ojca i matki, pracujących w fabryce (tow. akc. Markus Kohn w Łodzi), kobiety, pilnującej domu i 3 drobnych dzieci. Podług danych, zebranych przez dr. A. Goldmana, zarobek tygodniowy przeciętny obojga rodziców wynosi 7 rubli. Wydatki:

| | rb. | kop. |
|---|---|---|
| Mieszkanie | — | 45 |
| Chleb 52½ funta | 1 | 80 |
| Kartofle ¼ korca | — | 50 |
| Mleko 5½ kwarty | — | 37 |
| Mięso 2 funty | — | 30 |
| Słonina 2 funty | — | 40 |
| Kawa 4 luty | — | 10 |

| | rb. | kop. |
|---|---|---|
| Cukier 3 funty . . . . . | — | 45 |
| Cykorya ½ funta . . . . . | — | 06 |
| Drzewo . . . . . | — | 10 |
| Węgle . . . . . | — | 68 |
| Nafty 3 kwarty . . . . . | — | 24 |
| Barszcz . . . . . | — | 08 |
| Opłata kobiecie . . . . . | 1 | 00 |

Na odzież więc i inne wydatki pozostaje tygodniowo **47 kop.** przy nieprzerywanej cały rok pracy.

*Menu* dzienne takiego robotnika. Śniadanie zabiera z domu i spożywa w fabryce o godz. 8 rano: a) kawa (przygotowuje się wieczorem poprzedniego dnia z 3 kwart wody ¾ łuta kawy i cykoryi za 1 kop.). Ilość ta służy dla robotnika i jego żony; kawę odgrzewa się w fabryce, i b) 2 funty chleba. Obiad (spożywają w fabryce zabrany z domu): a) kawa pozostała ze śniadania, b) 2 funty chleba, c) ¼ funta smalcu. Kolacyę (spożywają w domu): ¼ kwarty barszczu z żytniej mąki i wody (kupują gotowy) i 2 garnce kartofli.

Tak więc w podanych obu budżetach robotnikowi pozostawało na zabezpieczenie starości, ubranie, obuwie, bieliznę, mydło, sól, książki, gazety, teatr i wszelkie inne potrzeby kulturalne jego rodziny od 2 do 47—87 kop. tygodniowo, przy odżywianiu się zresztą więcej niż miernem! Zaznaczyć też należy, iż budżet rodziny robotniczej z tygodniowym zarobkiem 5 rb. 30 kop. do 7 rb. stanowi już pewną normę warstw uprzywilejowanych, w stosunku do pracujących z wynagrodzeniem *od 3 rubli, a nawet 2 rb. 60 kop. tygodniowo*. Jak przedstawia się budżet takiej rodziny?!

Nie potrzeba na to być socyalistą, lecz tylko *człowiekiem*, aby uznać, iż stan taki domagał się bezwzględnej reformy ekonomicznej.

W styczniu 1905 roku, ze wzmożeniem się prądu politycznego i socyalnego, wybuchł w Królestwie historyczny, powszechny strejk pracujących. Robotnicy stawiali różne żądania, niezawsze zresztą należycie i rozsądnie sformułowane, ale w ogólnym rezultacie wynik okazał się dość pomyślnym, i jak w Łodzi np., większość fabrykantów porozumiała się z robotnikami na następujących warunkach: a) 10-godzinny dzień roboczy (zamiast 11 i więcej), b) podwyższenie płacy roboczej w stosunku: 1) dla pracujących na dniówkę, którzy dotąd zarabiali do 3 rb. tygodniowo — o 15%; dla zarabiających od 3 do 4 rb. tygodniowo — 12½%; od 4 do 5 rb. ty-

godniowo — $7\frac{1}{2}$%; od 6 do 7 rb. tygodniowo 5%; c) pracujący od sztuki otrzymują podwyżkę w tkalniach — o 5%, w przędzalniach — o 15%. Mniej więcej w tych samych stosunkach poczyniono podwyżki we wszystkich innych środowiskach przemysłowych, tak, iż łącznie ze skróceniem dnia roboczego, zaofiarowano warunki o 10 do 12% dla robotników pomyślniejsze. Dalsze, w przyszłości, unormowywanie płacy łączy się z zależnością od wielu konjunktur społecznych i ekonomicznych. Ale sama zasada dalszej ewolucyi winna się opierać nie tylko na obciążaniu budżetów fabrycznych, lecz i zreformowaniu norm płacy różnych kategoryj pracujących. Płace nadzorców, kierowników doszły dziś do nazbyt już wygórowanych, wprost nienormalnych wynagrodzeń. Pensye roczne 20, 30, 40-sto tysięczne, gdyby redukować do 4, 5, 6, maksymalnie 8 tysięcy, a podnosić wzamian najniższe wynagrodzenia od 3 rubli tygodniowo zaczynając otrzymalibyśmy to, do czego dążą dziś ekonomiści europejscy, słusznie nawołując o racyonalniejsze unormowanie skali płacy i ustanowienie *minimum* zarobku.

Nawoływania o prawidłowe oszacowanie pracy, w stosunku do zajmowanych stanowisk w przemyśle, nie mogą już dzisiaj być zbyt oddaloną utopią. Przewartościowanie płacy nie wpłynie nawet na „podrywanie“ przedsiębiorstw, jak to niektórzy przypuszczają. Skala rubryki najmu, w niektórych wypadkach, może zostanie nawet tą samą, zmieni się jedynie ustosunkowanie płac kategoryj poszczególnych. W Rosyi wielu dyrektorów w fabrykach pobiera po 75 tys. rubli rocznej pensyi. Oczywiście otrzymują te sumy nie tylko z budżetowym uszczerbkiem fabryki, ale nadewszystko ze szkodą samychże robotników. Wydatkując zbyt wiele na zarząd przedsiębiorstwa, fabryka nie raz nie tylko nie chce, ale *nie może* czynić podwyżek robotnikom. Byłoby nienormalnem żądać, aby analfabeta-zamiatacz miał takąż pensyę, co utalentowany, uczony i bardziej odpowiedzialny inżynier, ale jest *niemoralnem* również, aby tenże inżynier nie wiedział co czynić z pieniędzmi (75 tys. rubli rocznie!), kiedy jednocześnie w jegoż oczach robotnik-analfabeta mrze z głodu! Trzy ruble tygodniowej pensyi będzie zawsze za mało, 75 tys., 50 tys., 20 tys. rubli rocznie będzie zawsze za dużo. Sprawiedliwość, etyka, ludzkość muszą mieć swoje znaczenie i — wpływ normujący.

Prawie zupełnie odrębnie od stosunków płacy robotników fabrycznych ustaliły się wynagrodzenia pracowników w górnictwie naszem. W kopalni hr. Renarda[1]) w ciągu lat 16 ($188^2/_3$—$189^7/_8$ r.)

[1]) Stanisław Koszutski „Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego.“

zarobki przeciętnie wzrosły z 89 kop. do 1 rb. 9 kop. W kopalniach Tow. Francusko-Włoskiego płaca pomiędzy r. 1888 — 1898 wzrosła o 40%. Podług obliczeń wychodzącego w Dąbrowie „Przeglądu Górniczo-Hutniczego“ (tom II № 6) w r. 1904 w Zagłębiu przeciętne zarobki w kopalniach węgla wynosiły dziennie:

| | | |
|---|---|---|
| górnicy . . . . . | 1 rb. 89 kop. | |
| pomocnicy pod ziemią . . | — „ 99 „ | |
| „ na powierzchni | 1 „ 01 „ | (mężczyźni) |
| „ „ „ | — „ 53 „ | (kobiety) |

Ogólny, średni zarobek dzienny wynosił 1 rb. 19 kop. w kopalniach węgla kamiennego, zaś 69 kop. w kopalniach węgla brunatnego. Obecnie, po strejku lutowym 1905 r., zarobki pracujących w Zagłębiu Dąbrowskiem wzrosły do 20% i podług osobiście zebranych przezemnie danych, przeciętnie, w kopalniach wynoszą dziennie:

| | | |
|---|---|---|
| górnicy . . . . . | 2 rb. 50 kop. | do 3 rb. — kop. |
| pomocnicy górników . | 1 „ — „ | do 1 „ 50 „ |
| zwyczajni robotnicy . | — „ 80 „ | |
| kobiety . . . . . | — „ 60 „ | |

Ogólna norma wynagrodzeń w kopalniach jest większą od przeciętnych zarobków pracujących w fabrykach, ale nie przedstawia płac wygórowanych. Podług bezstronych obliczeń osób, blizko stojących warstw robotniczych, w naszych obecnych warunkach, potrzeba 8 rubli tygodniowo, aby żyć, pozbywszy się widma, zaglądającej do domów nędzy.

## III.

## Związki zawodowe.

Długi, zacięty bój wiódł proletaryat robotniczy, zanim wywalczyć sobie zdołał prawo ulegalizowania związków asocyacyi pracy. Sfery rządowe we wszystkich mocarstwach, nie wyłączając państw najwięcej liberalnych, zawsze bardziej występowały w obronie uzależniających je kapitałów, niżli — dopominającej się opieki pracy, po stronie swojej nie mającej ani prawodawstwa obronnego, ani siły militarnej. Należenie do związków robotniczych, nawet w takich państwach, jak Anglia i Francya, pociągało za sobą odpowiedzialność pod najsroższemi represyami, w sta-

nowczości swojej równającemi się karze za zdradę stanu. Zmiana zapatrywań na rzekome niebezpieczeństwo dla państw, wynikające z ulegalizowania związków, dokonywała się w tempie nad wyraz powolnem. „Jakkolwiek w Anglii – pisze prof. H. Herkner[1]) — zmienionym został zakaz stowarzyszania się już w r. 1824, to jednak dopiero znacznie później w latach 1869, 1871, 1875 i 1876 zyskały stowarzyszenia całkowite uznanie prawne. Zakaz koalicyi zniesiono we Francyi w r. 1864, lecz prawnie uznano stowarzyszenia zawodowe dopiero w r. 1884. W krajach państwa Niemieckiego uznaną została wolność stowarzyszeń na podstawie ustawy przemysłowej z r. 1869.“

Wraz z odnoszonem zwycięztwem słusznych domagań się robotników, związki zawodowe zaczynają coraz silniej się rozwijać i przybierać kształty równoważnika pracy wobec wszechwładztwa współzawodnika — kapitału. Im groźniejszą jednak w nierównem współzawodnictwie stawała się organizacya pracy, tem zacięciej przeciwko związkom występowali przemysłowcy. W wielu fabrykach w Europie usiłowano zniweczyć zrzeszenia i wręcz odmawiano przyjmowania do pracy robotników, należących do jakichkolwiekbądź związków lub stowarzyszeń. W istocie jednak tak niebezpieczne na pozór zrzeszenia robotnicze nie okazywały się w praktyce tyle niebezpiecznemi, jak to pierwotnie przewidywały rządy i fabrykanci. Wprawdzie, związki stawiały sobie dwa zasadnicze, nie sprzyjające kapitalizmowi cele: podniesienie płacy robotniczej i skrócenie dnia pracy, ale życie wykazało, iż z rozmnażaniem się związków, najsilniejsza broń — strejk robotniczy nie tylko nie była nadużywaną, lecz przeciwnie – używalność jej znacznie się zmniejszyła. Statystyka angielska wykazuje, że podczas, gdy liczba robotników zorganizowanych w stowarzyszeniach wynosiła w r. 1892 razem 1,502,358, w r. 1900 wzrosła do 1,905,116. W tym czasie w odwrotnie proporcyonalnym stosunku malała roczna liczba dni strejkowych w Anglii:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| w r. | 1892 | było | 17,381,936 | dni strejkowych |
| „ | 1893 | „ | 31,205,062 | „ „ |
| „ | 1894 | „ | 9,322,096 | „ „ |
| „ | 1895 | „ | 5,542,652 | „ „ |
| „ | 1896 | „ | 3,746,368 | „ „ |

[1]) „Kwestya społeczna w Zachodniej Europie.“ Przekład polski. Lwów, 1905, str. 398.

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| w r. | 1897 | było | 10,345,523 | dni strejkowych |
| „ | 1898 | „ | 15,289,478 | „ „ |
| „ | 1899 | „ | 2,516,416 | „ „ |
| „ | 1900 | „ | 3,152,694 | „ „ |

Warto zauważyć, że w miarę stopniowego dojrzewania ruchu robotniczego na Zachodzie, strejk, zwłaszcza zaś bezrobocia powszechne, uważać zaczęto, jako przeżytek nowoczesny, do którego można się jeszcze uciekać, ale tylko w razach ostatecznych, kiedy już wyczerpano wszelkie inne, dogodniejsze sposoby walki o lepszą gwarancyę bytu pracujących. Zadaniami głównemi związków robotniczych zagranicznych jest organizacya pracy zawodowej, zapewnienie pomocy materyalnej w razie kalectwa lub choroby, zabezpieczenie starości, podnoszenie dobrobytu mas, wywalczanie dogodniejszych prawodawstw, organizacya sądów polubownych i urządzanie strejków, ale bynajmniej nie strejków dla strejków.

„Decyzya rozpoczęcia strejku — pisze wybitny uczony, socyalista, prof. A. Lorja [1])— należy do najodpowiedzialniejszych postanowień, jakie tylko związek wydawać może. Istotnie, akceptować strejk mogą stowarzyszenia dopiero upewniwszy się, że skuteczność jego jest prawdopodobną. Dla tego też związki zawsze muszą mieć możność zbadać szczegółowo: 1) ilość towarów, znajdujących się na składzie kapitalisty, bo naturalnem jest, że im towaru posiada on więcej, tem dłużej może sprzeciwiać się żądaniom robotników, bez żadnej straty dla siebie; 2) zbadać okres czasu, w ciągu którego robotnicy mogą strejkować; 3) liczbę robotników bez pracy, którzy mogą zająć miejsca strejkujących; 4) straty, które bezrobocie wyrządzi strejkującym, t. j. sumę płacy zarobkowej, której się pozbędą; 5) straty, które bezrobocie wyrządzi kapitaliście, t. j. sumę zysków, których on się pozbywa; 6) zbadać podniesienie płacy, na które zgodziłby się kapitalista, jeśliby zdecydował się na żądania robotników.“

Tak więc bezrobocia na Zachodzie mają już swoje wytyczne prawidła, i ekonomicznie rozumując, związki doszły do przeświadczenia, że bezcelowem byłoby domaganie się zwyżki w warunkach, jeśli sam przedsiębiorca doszedł do zysków minimalnych, to jest, kiedy dochody jego równają się normie, której obniżenie równałoby się klęsce przemysłu krajowego, lub przez podniesienie cen towarów — wyzbycia się rynków wywozowych. Zagraniczne

[1]) „Ruch robotniczy.“ Oryginał po włosku. Istnieje przekład rosyjski.

stowarzyszenia robotnicze, zwłaszcza tak postawione, jak uspołecznione, pełne kultury *Trades Union'y* angielskie, nie stanowią więc organizacyj bezmyślnie kraj rujnujących. Nie wynoszą walki klasowej i zamachów „na burżuazyę i kapitał“ nad rozum, dobro i ład w ojczyznie swojej! Owszem, warcholstwo wszelkie zawzięcie tępią, a wnosząc kulturę do mas robotniczych, starają się wszelkie na nią zamachy niweczyć.

Należenie do związku robotniczego w Anglii nie daje jednak praw tylko, lecz wkłada również obowiązki. Zarząd stowarzyszenia zawodowego, przekonawszy się pierwej o istotnej fachowości i dobrych kwalifikacyach robotnika, zapisuje go do swego związku, ale śledzi jednocześnie, aby wykonywana przez niego w fabryce praca była sumienną i akuratną, aby nie narażała stowarzyszenia na utratę dobrej opinii, a przedsiębiorstwa przemysłowego na straty. Pod tym względem, w Anglii, regulamin związków przestrzegany jest z nadzwyczajną akuratnością. „W r. 1894 — pisze P. Kedrow [1])—maszyniści, korzystając z nieodzowności ich pracy, w jednym wypadku zażądali od fabrykanta nadmiernie wielkiego wynagrodzenia, w innym — wykonywali pracę niedobrze. Fabrykanci zwrócili się ze skargą do zarządu związku robotniczego i w obu razach otrzymali odszkodowanie z funduszów stowarzyszenia. Robotnicy zmuszeni byli uiścić następnie straty, poniesione z ich winy. Wogóle w zakresie łagodzenia sporów z przedsiębiorcami związki uczyniły bardzo wiele: niejednokrotnie z pomocą sądów polubownych dochodziło do porozumienia nawet w tych wypadkach, gdzie spory, zdawało się, muszą zakończyć się strejkiem.“

Lubo *Trades Union'y* angielskie z wielkimi dla robotników działają rezultatami, to jednak nie cieszą się one nadmierną sympatyą w kołach Socyaldemokracyi międzynarodowej, z której sfer, już od Lassalla poczynając, nie jeden bezskuteczny skierowano pocisk. W Niemczech od r. 1868 dr. M. Hirsch organizował związki zawodowe na wzór angielskich, ale Schweitzer, Libknecht, Bebel i inni rozpoczęli współrzędną akcyę w zakładaniu stowarzyszeń robotniczych socyal-demokratycznych. Zwolennicy poglądów mistrza Socyal-demokracyi, Lassalla, głoszą o niższości celów stowarzyszeń angielskich, w porównaniu do wielkich związków niemieckich, które mają wybawić z ucisku całą „klasę“ robotniczą i oddać jej w ręce berło wszechrządów socyalistyczno-pań-

[1]) „Raboczyje sojuzy.“ Moskwa, 1906, str. 8.

stwowych. Na gruncie ściśle klasowym stojąc, dla wielu trudnym jest wybór w przewidywanej „skuteczności zwycięztw proletaryatu.“ W tym względzie nie sposób odmówić trafności uwag syntetycznych uczonego polskiego, prof. Stanisława Głąbińskiego: „Związki robotnicze *ogólne* czuwają nad ogólnemi prawami i interesami robotników, mając jednak bardziej klasowy i polityczny charakter, nie mogą żądań ekonomicznych na wzór związków zawodowych zindywidualizować. Z tego powodu wiele takich związków popadło w pewien szablon programowy (np. ośmiogodzinny czas pracy, powszechne i równe prawo głosowania) i przyjęło idee socyalno-demokratyczne, zwrócone przeciw całemu systemowi pracy społecznej, mianowicie przeciw własności prywatnej ziemi i kapitałów, przeciw systemowi wymiany, przeciw wolnej konkurencyi, a natomiast za organizacyą produkcyi społecznej. Zasługą związków socyalno-demokratycznych jest międzynarodowa organizacya proletaryatu robotniczego, wadą ich jest jednostronność programu i celów, która wyłącza od organizacyi te wszystkie warstwy robocze, które z przyczyn zasadniczych, lub ze względu na swe doświadczenie ekonomiczne i społeczne, nie zgadzają się na program socyalno-demokratyczny. Związki socyalno-demokratyczne więc nie mogą ogarnąć wszystkich robotników w takim zakresie, jak związki *zawodowe*.“ [1])

Życzyćby należało, aby w Królestwie Polskiem, wraz z otwierającym się polem do większych swobód i wzmożonej wolności stowarzyszeń, powstające u nas związki robotnicze przystosowywały się do dogodniejszych zasad związków angielskich, zapowiadających szersze korzyści dla pracujących. Z kilkunastu powstałych już w kraju związków zawodowych wnioskowaćby należało, że wśród nas nie brak ludzi, którzy odróżniają dobro ogólno-społeczne od nizkich interesów li tylko klasowych. Powstałe dotąd u nas związki stawiają sobie głównie za cel wytyczny: a) zjednoczenie ogółu robotników danego zawodu, b) rozwijanie i wzmacnianie poczucia solidarności robotniczej, c) obronę moralnych i materyalnych interesów członków, d) osiągnięcie racyonalnych, materyalnych i hygienicznych warunków pracy, e) rozwój kulturalny i zawodowy członków. Są to cele zbliżone do zasad naczelnych wszystkich stowarzyszeń robotniczych w Anglii i dobrze też, że wzór ten znajduje u nas zastosowanie, zwłaszcza, że i środki działania mają odpowiadać tym celom; są to: 1) kasa bezrobocia,

[1]) Dr. St. Głąbiński „Ekonomika społeczna.“ Tom I. Lwów 1905, str. 100.

2) kasa pozostających bez pracy, 3) sąd związkowy koleżeński, honorowy i rozjemczy, 4) biuro pośrednictwa w wyszukiwaniu pracy i biuro porad prawnych, 5) biblioteka i czytelnia, 6) szkoły zawodowe i popieranie dążeń naukowych wśród robotników, 7) pogadanki i odczyty, 8) gimnastyka, wycieczki i zabawy, 9) wiece, zjazdy i kongresy robotnicze. Do danego związku należeć mogą jedynie pracujący w zawodzie stowarzyszonych. Warto też podkreślić, że i polskie związki chrześcijańsko-robotnicze nie wyrzekają się strejku, jako środka do walki, o ile on znajduje w odpowiedniej chwili korzystne zastosowanie.

Już w roku 1903 we wszystkich krajach liczono 7 milionów zorganizowanych robotników. Daj Boże, aby ku pożytkowi ogólnemu, związków zawodowych powstawało jaknajwięcej i u nas, ale związków, które organizacyę rozsądną stawiając na pierwszym planie, wyrzekłyby się waśni politycznej, tak szkodliwie zachwaszczającej wszelką pracę pożyteczną. Przekonania polityczne winny znajdować wyraz po za organizacyami zawodowemi, z któremi indywidualne przekonania nic zgoła nie mogą mieć wspólnego.

## IV.

## Ruch współdzielczy robotniczy.

Obok podnoszenia stopy płac zarobkowych istnieją inne jeszcze dążenia, zmierzające do wzmożenia dobrobytu klasy pracującej. Akcya skierowywana ku obniżeniu cen przedmiotów użytku codziennego, w równej więc mierze zasługuje na uwagę, jak i samaż działalność związków zawodowych robotniczych. Dostarczać możliwie tanich towarów, nadto w przednim gatunku — stawiają sobie za cel wytyczny, licznie zagranicą rozpowszechnione i świetnie rozwijające się *stowarzyszenia współdzielcze*. Rozwój wysoce pożytecznych zrzeszeń takich w szczególniejszy zaś sposób znajduje grunt podatny w miastach o ludności fabrycznej. „Rozkwit wielkiego przemysłu — pisze K. Thiess [1]) — stwarza wielkie zwarte tłumy pracujące, posiadające jednakowy poziom i dość stateczny dochód, oraz te same masowe, odczuwane potrzeby. W porównaniu z upadającem rzemiosłem mają one o wiele bardziej zapewnione jutro. Istnieją wśród nich wszystkie warunki dla wspólnego zakupu wiktuałów, węgli, ubiorów, prostszych sprzętów, produktów gospodarskich.“

1) *Braun's Arch. für Sociale Gesetzgebung*, 1896, str. 56.

Nadmiernie rozwielmożnione pośrednictwo handlowe, przechodzenie towarów przez tysiączne ręce większych i mniejszych składów, sklepów i sklepików pochłaniało dotąd połowę niemal sprzedażnej ceny materyałów. Pośrednictwo — to jeden z największych wrogów, zwłaszcza źle uposażonych warstw pracujących, które z musu składają w ofierze kupiectwu niemal połowę swych całodziennych zarobków. To też pionierzy racyonalnego ruchu współdzielczego, założyciele stowarzyszenia spożywczego w Rochdalu (1844 r.), biedni tkacze angielscy, powodowani ostatnią nędzą, zakładali swoją kooperacyę spożywczą, w celu ogłoszenia walki czynnej nadmiernie rozpanoszonemu pośrednictwu. O rozwijającym się, skromnym zrazu sklepiku rochdalskim (pod Manchesterem), o jego powodzeniu, dobrym gatunku towarów i pobieranych dywidendach mówiono wszędzie w sąsiedztwie: w warsztatach tkackich, w chatach wieśniaków, domach górników. „Pionierzy rochdalscy — pisze L. Krzywicki [1]) — za te same pieniądze odżywiali się lepiej, a to nie uszło uwagi sąsiadów; byli lepiej ubrani, to zaś wyróżniało ich od towarzyszy; żony ich nosiły nowe i wykwintniejsze suknie, a to korciło sąsiadki i skłaniało je do namowy mężów, ażeby zapisywali się do stowarzyszenia.“

Przykład tkaczów rochdalskich znalazł żywe naśladownictwo w Anglii, a następnie w świecie całym. W niesłabnącem tempie ewolucyjnem wszystkie kraje cywilizowane, zwłaszcza zaś miasta przemysłowe, pokrywały się istną siecią stowarzyszeń współdzielczych. Podług obliczeń prof. K. Gide [2]), w r. 1901 ogólna liczba kooperatyw, na wzór rochdalskiej powstałych, sięgała na świecie cyfry 12,000 z 5 milionami członków i 2½ miliardami franków obrotu!

Silnie wzmagający się ruch współdzielczy i płynące z niego korzyści dla warstw pracujących, bynajmniej nie zaznały poparcia ze strony Socyaldemokracyi niemieckiej. Spostrzegłszy, iż idee współdzielcze odwodzą robotników od socyalizmu, a nadto że czynnego apostoła ruchu kooperacyjnego w Niemczech — Hermana Schulze-Delitzsch — proletaryat poczytuje niemal za króla państwa społecznego, przywódca partyi marxowskiej, Lassalle, jawnie, choć bezskutecznie, walkę wypowiedział rosnącemu prądowi kooperacyjnemu. Ale „zarzuty Lassalla—pisze prof. Herkner [3])—

[1]) „Stowarzyszenia spożywcze.“ Warszawa, 1903, str. 40.

[2]) „O kooperatywach spożywczych.“ Przekład polski. Warszawa, 1906, str. 26 — 28.

[3]) „Kwestya społeczna w Zachodniej Europie“ str. 455 — 459.

w formie często odstręczającej wypowiedziane, pod względem rzeczowym po części tylko uzasadnione, stały się przyczyną pożałowania godnego niedoceniania wolnego ruchu współdzielczego w ruchu robotniczym. Jeden z zarzutów, czynionych stowarzyszeniom spożywczym przez Lassalla, polega na tem, że nie są one w możności przyczynić się do istotnej poprawy położenia robotników, dla tego, że w miarę, jak środki utrzymania pod wpływem ich działania tanieją, również płace robocze obniżyć się muszą. Doświadczenie uczy wszakże, że stowarzyszenia spożywcze wpływają w większym stopniu na podwyższenie się wymagań robotników, aniżeli na potanienie środków utrzymania. *Robotnicy bowiem nie wydają, pod wpływem stowarzyszenia, mniej na utrzymanie, lecz spożywają więcej i w lepszym gatunku.* A zresztą, nawet wówczas, gdyby stowarzyszenia spożywcze wpływać miały na absolutne zmniejszanie się wydatków na środki utrzymania, płace robocze obniżyćby się nie mogły, przynajmniej dla robotników zorganizowanych w stowarzyszeniach zawodowych.“

Lassalle ignoruje społeczne znaczenie stowarzyszeń współdzielczych i nie widzi specyalnie dodatnich cech, bijących od kooperatyw spożywczych. W dążeniach swoich ultra polityczny przywódca socyalizmu zapominał całkowicie o zaletach pedagogicznych i organicznych, źródło swe znajdujących w instytucyach robotniczych współdzielczych. Bezstronnie rozpatrujący rzecz, lubo sam zwolennik socyalizmu, prof. H. Herkner wyraźnie wydziela te cechy dodatnie, w zapale partyjnym zapoznawane przez Lassalla. „Podczas gdy stowarzyszenia zawodowe — pisze H. — dążą do podwyższenia dochodu robotnika, wolne kasy pomocy do zapewnienia mu pewnego dochodu, działają stowarzyszenia spożywcze w tym kierunku, że wzmagają siłę pokupną jego dochodu drogą dostarczania tańszych przedmiotów użytku codziennego, niezbędnych dla jego utrzymania. Byłoby też zapoznawaniem znaczenia stowarzyszeń spożywczych, gdyby uznawano w nich tylko instytucye dla dostawy tańszych środków utrzymania. Są one czemś więcej: działają bowiem wychowawczo na robotników, znieważając ich przez opłacanie gotówką do *ekonomicznego sposobu życia*; uwalniają one także od niegodnej zależności, w jakiej znajduje się człowiek wobec kredytującego mu kramarza. Stowarzyszenia spożywcze czynią robotnika zdolnym do administracyi i dają niejednę cenną rękojmię dla wpływania na ukształtowanie się stosunku najemnego pracy. W wyborze bowiem przedsiębiorstw, którym stowarzyszenia swych zleceń udzielają, można zawsze

uwzględniać położenie robotników w tychże przedsiębiorstwach zatrudnionych."

Czterdziestoletnie zabiegi, skierowane w celu utrwalenia na gruncie Królestwa Polskiego stowarzyszeń spożywczych, niestety, nad wszelki wyraz słabe dotąd wydawały rezultaty. Przyczyny niepowodzeń kryją się jednak w samej organizacyi istniejących, lub upadłych u nas instytucyj współdzielczych. Wbrew przyjętej w Anglii, a w ślad za nią aprobowanej przez większość ekonomistów europejskich, śmiem twierdzić, iż wadą naszych stowarzyszeń było to, co uznawano za żelazną zasadę: sprzedawać towar po cenie detalicznej, przeciętnie na rynkach sklepów handlowych praktykowanej.

Kulturalnie nizko jeszcze stojący u nas robotnik, poprostu nie widział żadnych korzyści z należenia do stowarzyszeń współdzielczych. Płaci gotówką towar, otrzymuje go po zwykłej cenie, a jeśli obiecują mu „dywidendę," na którą musi rok cały czekać, to od wkładu 10-cio rublowego, ileż może otrzymać? Przy 6% — 60 kop., przy 10% — 1 rb.! Nie ma więc na co się oglądać. Prosta zaś logika nakazuje, by stowarzyszenia mogły w ten sposób się urządzać, aby módz za możliwie najniższą cenę, możliwie najwyższą dostarczać sumę (dobrego) pożywienia, ubrania i t. d., czyli, aby przyczyniać się odrazu do podnoszenia warunków materyalnych i zdrowotnych uczestników kooperacyi. W Anglii, przy odmiennych warunkach uposażenia robotnika, w stowarzyszeniach praktykuje się nieraz wprost przeciwny zwyczaj—pobierania wyższych nawet cen za produkty, niż normalnie, i udziałowcy bynajmniej nie gniewają się za to—jest to tylko forma ściągania oszczędności, które w końcu roku robotnik ma skapitalizowane w formie znacznej dywidendy. Ale Królestwo Polskie to jeszcze nie Anglia...

We Francyi i w Rosyi w wielu stowarzyszeniach praktykuje się system odstępowania rabatu swym członkom—jest to zrozumieniem położenia klasy robotniczej, której dochody częstokroć nie wystarczają na minimum pożywienia. Widzimy to zresztą z praktyki wielu naszych kas pożyczkowo-oszczędnościowych, że uprzystępnianie cen niektórych sprowadzanych dla członków towarów, przynosi jaknajlepsze rezultaty. W Przedczu podnosi się dobrobyt szewców, bo miejscowe Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe sprowadza dla swych członków skóry i sprzedaje je o 5 kop. na funcie taniej, niż tamtejsi kupcy; dostarcza również węgla po cenie zniżonej. Inne Towarzystwo spółdzielcze pośredniczy w sprzedaży herbaty i biszkoptów, dostarczając je członkom o 10—15% taniej, niż w sklepach. Dlaczegoż więc robotnik polski, należąc

do stowarzyszenia, nie może mieć tańszych butów, kaszy, mąki, słoniny, masła... Kooperacya ma walczyć z pośrednictwem, a tymczasem ulega jego cenom. System francuski i rosyjski, być może, nie jest „odpowiednim“, będąc sądzonym z wysokich tronów „teoryi spółdzielczości“, ale życie wskazuje, że w ekonomii wszystko jest pożyteczne, co jest praktyczne, nieodzowne. Przy dobrem potargowaniu się i płaceniu „gotówką“ robotnik może uzyskać rabat nawet w sklepiku prywatnym, tymczasem odmawiają mu go we własnem jego stowarzyszeniu!

Nasze kooperacye spożywcze stanowczo muszą być zreformowane, inaczej nie będą znajdować gruntu pod nogami. Budżety powinny być regulowane tak, jak to ma miejsce we Francyi, gdzie stowarzyszenia udzielają dla członków małe rabaty[1]), a resztę dochodów odliczają w części na dywidendę, w części na cele kulturalne, jak urządzenie biblioteki, czytelni, sali gier, odczytów i t. d.

Pięknie rozwijające się w kraju naszym spółdzielcze kółka włościańskie, nigdy nie mogłyby marzyć nawet o tyle szerokiem rozpowszechnieniu, gdyby stawiały zasadę *doraźnych korzyści*, dawanych swoim członkom. Włościanie garną się do spółek, bo mają z góry zapewnienie, że przy zrzeszeniu się, nawozy, nasiona, maszyny, narzędzia—otrzymywać będą po cenach znacznie niższych, niż w sklepach u przekupniów. Korzyści społeczne, kulturalne i narodowe, wypływające z tych zrzeszeń — to rzeczy pochodne, będące nie celem, lecz skutkiem organizacyi kółek włościańskich. Piękne należy godzić z pożytecznem, zwłaszcza, że ten pożytek materyalny, to cechy najbardziej magnetyczne we wszystkich sferach, a zwłaszcza tych, co żyć muszą w niedostatku i biedzie.

Ale stowarzyszenia nasze muszą nadto przeprowadzić reformę zasadniczą w samym sposobie administrowania sklepami. Z praktyki dotychczasowych kooperatyw spożywczych w Królestwie wiadomo, że kierownictwo stowarzyszeniami dostawało się nieraz w ręce bardzo zacne, ale najmniej powołane. W Łodzi stowarzyszeniem spożywczem „Ziarno“ dwa razy kierowali dziennikarze, raz prefekt szkół średnich. Założono przedwcześnie aż pięć skle-

[1]) Prof. K. Gide występuje przeciwko systemowi obniżania cen w kooperacyach, dowodząc, że zupełnie zbytecznie ściąga to tylko nienawiść właścicieli sklepów. Czyżby jednak prof. G. zapomniał, iż samo założenie kooperacyi nie ma za cel podźwigania pośredników, i że wreszcie już sam fakt powstawania stowarzyszeń i z tem i bez tego sprowadza gniew detalistów-konkurentów?!

pów, urządzonych nadmiernie wykwintnie i posiadających na składzie wino szampańskie, koniak, wytworne delikatesy i t. d., czyli towary, które liczyły na „doborowych“ odbiorców, zamiast utrzymywać się na stopie bardziej ubogiego, ale więcej pożytecznego sklepu z przedmiotami użytku codziennego dla szerokich mas robotniczych. Wybieralne zarządy winny też pełnić misyę czysto kontrolującą, kierownictwo zaś sklepów powierzać ludziom płatnym, fachowym, znającym się na cukrze, pieprzu, maśle, soli... Przy takiem tylko wyrachowanem i ekonomicznem zrzeszeniu stowarzyszenia mogłyby liczyć na rozwój. „Ziarno“ łódzkie, jak i wiele innych tego rodzaju instytucyj w kraju upadło, bo błędnie były postawione już w samem założeniu swojem.

I jeszcze jedna uwaga. Stowarzyszenia powinni zakładać sami robotnicy i sami sobą kierować, zbytni protekcyonalizm inteligencyi nie zawsze okazuje się pożądanym i praktycznym. Robotników należy traktować nie jako dzieci, które same nic zdziałać nie potrafią. Sfery inteligentne mogą dawać pierwsze pobudki, zachęcać do zakładania stowarzyszeń; służyć pierwszą w początkach radą. Ale sam bieg stowarzyszeń zostawmy „chłopskiemu rozumowi“, który częstokroć więcej jest wart od naszych głębokich kombinacyj teoretycznych. Pionierzy rochdalscy byli zwykłymi tkaczami!

## V.

## Kasy chorych.

Omawiając ruch stowarzyszeniowy robotniczy, nie da się pominąć istniejących w Królestwie Polskiem kas pomocy dla chorych, i to tem bardziej, że stanowią one dla nas Polaków pewnego rodzaju dumę, iż wczesnem ich zaprowadzeniem u nas, nie pozostaliśmy w tyle po za ogólnymi prądami, panującymi ówcześnie w Europie. Nie było jeszcze mowy nawet w Rosyi o jakimkolwiek zakładaniu stowarzyszeń wzajemnej pomocy robotników, kiedy u nas, w Królestwie Polskiem, od roku 1821 z inicyatywy Naczelnika urzędu górniczego w Polsce—Stanisława Staszica—powstają tak zwane „kasy bratniej pomocy“.

W głównych zasadach swoich kasy te znacznie różniły się między sobą i, gdy jedne stawiały sobie za zadanie dostarczanie członkom swoim jedynie bezpłatnej pomocy lekarskiej i lekarstw, inne udzielały tej pomocy także rodzinom robotników, a nadto wydawały uczestnikom przez czas choroby zapomogi pieniężne,

oraz jednorazowe zasiłki na pogrzeb; wreszcie jeszcze inne wyznaczały członkom, którzy utracili zdolność do pracy, stałe emerytury, wypłacane, w razie śmierci uczestnika kasy, jego rodzinie. W początkach samych „pomoce bratnie“ istniały jedynie w zakładach górniczych skarbowych, ale rozpowszechniały się stopniowo w kraju, ulegając następnie większym lub mniejszym modyfikacyom, w miarę, jak ustawy coraz więcej upodobniać zaczęto do niemieckich *Knappschaftskassen*, austryackich *Bruderladen*, albo francuskich — *Caisses de secour*. Podług wykazów statystycznych za rok 1898 z ogólnej liczby 38,380 wszystkich robotników w zakładach górniczych w Królestwie, do „kas bratnich“ należało 22,676 osób, czyli 59% ogółu pracujących. W roku 1897 suma wypłat w 18 kasach sięgała sumy 323 tys. rubli. Jest to cyfra poważna, stanowiąca o zakresie działalności stowarzyszeń górniczych.

Niestety, nie da się jednak powiedzieć, aby większość tych kas nie nastręczała poważniejszych motywów krytycznych. Pewna dowolność w układaniu przez przedsiębiorców statutów kas częstokroć na krzywdę pracujących działa, wywołując ztąd wiele nieporozumień, a często starć nawet. Zależnie od brzmienia ustawy robotnikom strącano na rzecz kasy od 1 do 3% całotygodniowego zarobku. W niektórych zakładach i przedsiębiorstwa same dokładały $^1/_3$ do 1% sumy wypłacanej tygodniowo wszystkim pracującym (prócz tego zaliczano na rzecz kasy wszystkie kary, ściągane z robotników). Dyrektor kopalni stawał się jednak pełnym gospodarzem kasy, udział przedstawicieli robotników, obniżając w instytucyi samopomocy niemal do zera. Ztąd wynikały całe systemy kalkulacyi przedsiębiorców i zdarzały się „zwyczaje“, gdzie zakłady na koszt kasy robotniczej utrzymywały lekarzy, ambulatorya i t. d., czyli zaoszczędzały sumy, które winny być wydatkowane z własnych funduszów danej kopalni.

Ogłoszone prawo z dnia 22 marca 1892 r. o przestrzeganiu obowiązku, aby lekarze fabryczni opłacani byli z wyłącznych funduszów przedsiębiorców, ograniczyło w części niesprawiedliwe nadszarpywanie kas bratnich, ale nie zażegnało ogółu nieporozumień, wynikających z pracującymi, z racyi tych instytucyj.

Wprawdzie, od chwili wydania nowego prawa główne powody niesnasek zostały ukrócone, a przez wzmożenie się funduszów kas, pracujący akuratniej mają wypłacane zapomogi (dla chorych do 75 kop. dziennie, na pogrzeby 2 do 50 rb., dla inwalidów do 15 rb. miesięcznie, dla wdów po $^3/_4$ tej normy, a dla sierot do 14 l.t od 45 kop. do 4 rb. 50 kop. miesięcznie), ale na-

gromadzało się jeszcze dość powodów natury bardzo różnorodnej. W niektórych zakładach same ustawy kas były głównym powodem niesnasek. W Tow. Sosnowieckiem i Francusko-Włoskiem istniało np. prawo, że członek kasy, samowolnie nie stawiający się do pracy więcej, niż w ciągu dni 14, traci prawo do zapomóg[1]). Podobny regulamin paraliżował centralną akcyę strejkową robotników. Te i inne powody doprowadziły w r. 1897 do zaburzeń w Zagłębiu Dąbrowskiem, które miały za skutek pomyślniejsze, choć nie całkowicie jeszcze zadawalniające, uregulowanie sprawy kas bratniej pomocy. W dniu 12 grudnia 1900 roku ogłoszono nowe prawo o obowiązku wpłacania do kas przez przedsiębiorstwa $^1/_3$ tej sumy, którą składają robotnicy. Jednocześnie prawem ogłoszono, iż wybrani delegaci od robotników mają sprawować kontrolę przy zarządzaniu i wydaniu pożyczek z pomocy bratnich.

Podobnie, jak w górnictwie, ułożyły się stosunki w wielkim przemyśle fabrycznym. „Kasy chorych“ robotników oparto na tychże samych zasadach, co bratnie pomoce, z tą tylko różnicą, że „prawnie“ już w przepisach z dnia 15 stycznia 1886 roku zabraniano fabrykantom pobierać sum z kasy chorych na rzecz opłaty pomocy lekarskiej, którą przemysłowcy obowiązani byli nieść z własnych funduszów. Wkrótce potem, na skutek starań inspekcyi fabrycznej warszawskiej i piotrkowskiej wypracowano zasadnicze ustawy kas chorych[2]). W myśl tych przepisów przemysłowcy mają prawo potrącać na rzecz kasy z zarobków pracujących nie więcej nad 1%. Do tych składek dołącza się dobrowolne ofiary fabrykanta i wszelkie ściągane kary. Z tak nagromadzających się funduszów wypłaca się: 1) chorym robotnikom zapomogi w wysokości $^1/_2$ średniego zarobku dziennego, ale nie dłużej nad 3—6 miesięcy, 2) brzemiennym robotnicom taką zapomogę w ciągu 2 tygodni przed i po porodzeniu, 3) zapomogi na pogrzeb zmarłych członków kasy w stosunku 20-krotnego średniego zarobku dziennego, 4) jednoczesne zapomogi we wszystkich tych nieszczęśliwych wypadkach, kiedy robotnicy według prawa mogą korzystać z kapitału karnego.

Urządzenie takich kas obowiązuje wszystkie fabryki w gub. warszawskiej, w których liczba robotników nie mniejszą jest nad

[1]) Tirganow. „Kasy wzajemnej pomocy robotników w zakładach górniczych w Królestwie Polskiem“. Petersburg 1900. (po rosyjsku).

[2]) „*Trudy torgowo-promyszlen. sjezda*“ 1896, t. VIII, str. 21—22; t. VIII, str. 407—408.

50. W gub. piotrkowskiej nie tylko kasy te nie są obowiązkowe, ale fabrykanci zakładając takowe, nie mają prawa ściągać składek, o ile robotnicy dobrowolnie się na to nie zgodzą [1]).

W Łodzi kasy chorych istnieją przy wszystkich *większych* zakładach przemysłowych. Podług informacyi „*Rozwoju*“ (1904 r. № 113) „fabrykant obowiązany jest tam płacić połowę zarobku, o ile robotnik nie może pracować z powodu wypadku, jakiego padł ofiarą w fabryce, a nie z powodu choroby. W tym ostatnim razie może dostać tylko zapomogę z funduszu karnego, o ile on jest, a i ta zwykle nie przenosi rb. 1 kop. 50 na tydzień. Po za tem w razie śmierci dziecka na pogrzeb robotnik dostaje 8 rb., na pogrzeb żony 12 rb., w razie śmierci samego członka kasy—15 rb. [2]).

W redakcyi krótkiej wzmianki „*Rozwoju*“ łódzkiego uderzają dwa słowa: „fabrykant płaci“. W rzeczywistości powinno być: kasa chorych płaci. Ale organ miejscowy oddał jedynie charakter samej instytucyi. Istotnie, w przemyśle fabrycznym wielkim stosunki ułożyły się w ten sposób, że w wielu, w większości nawet kas, rzekomi delegaci robotników istnieją tylko na papierze i służą za manekinów do podpisania rachunków w końcu roku. Sam kapitał kasy i jego dysponowanie spoczywa najkompletniej w ręku fabryki, podrywając z jednej strony zaufanie robotników do kasy, zaś z drugiej—narażając ogół pracujących na utratę własnego swego kapitału, w razie bankructwa danego przedsiębiorstwa. W r. 1902 mieliśmy żywy, smutny dowód nierozwagi zapisania na rachunek bieżący sum, składanych przez robotników w cukrowni „Leonów“. Fabryka zbankrutowała, a wraz z nią zachwiało się 175,000 rb. biedaków! „Proszę o zbadanie członków zarządu—wnosił wówczas adw. Czajkowski—w celu wykrycia na kim ciąży odpowiedzialność za roztrwonienie oszczędności robotników i oficyalistów fabrycznych. Wszakżeż fakt taki, jaki się zdarzył obecnie w „Leonowie“ woła o pomstę. Wymaga represyi... Obowiązkiem naszym jest wykazanie odpowiedzialności osób, które do czynów tych rękę przykładały, bez względu na stan ich i stanowisko społeczne. Są winy, które ogniem i mieczem tępić trzeba, a do nich należy ogałacanie biedaków z pracy całego życia“ (*Echa Płockie*—1902 r. № 81).

---

[1]) „*Trudy tow.-prom.*“ ibidem.

[2]) Dane „*Rozwoju*“ nie stanowią istotnej normy dla Łodzi. Większość kas stosuje się do zasad, praktykowanych, jak wyżej, w Warszawie.

Ten wypadek i te słowa warto było przypomnieć tu — *pro memoria*. Warto uprzytomnieć, iż akcya społeczno-ekonomiczna nie powinna być upodobnianą z przedsiębiorstwem, że granicę stawiać jest nie tylko pożytecznem, ale koniecznem.

Nie widzę najmniejszej szkody, jaka wypływaćby miała dla fabryk, gdyby ster kas chorych spoczywał istotnie, a nie w zasadzie, w rękach samychże robotników fabrycznych. Z ust wielu przemysłowców, którzy prawa trzymają się ściśle, niejednokrotnie słyszałem, iż udział robotników w zarządzaniu bezpośredniem funduszami kasy, tylko na dobro i fabrykanta i pracujących wychodzi. Mówiono mi, że robotnicy czynią nader praktyczne i logiczne spostrzeżenia, przeciw słuszności których protestować nie sposób.

Nie będę utrzymywał, że wogóle istniejące fabryczne kasy chorych mogą zastąpić nieodzowną u nas organizacyę związków zawodowych, które zagarną wszystkich robotników, bez względu czy dotąd kasy w fabrykach swoich posiadali, czy też ich nie mieli, ale nie sposób nie uznać, iż przy rozsądnem prowadzeniu, „kasy chorych“ mogłyby z pożytkiem prosperować i nadal, obok związków, lecz z zastrzeżeniem, iż autonomia kas jest warunkiem pierwszym i nieodzownym. W tym duchu występować też powinna i nasza opinia publiczna, która dbać o to musi, aby zawsze sprawę słuszną mieć po swojej stronie i w imię jej dobra walczyć i zwyciężać. Wierzę w to mocno, iż przy jej wpływie udałoby się nieraz dużo więcej przeprowadzić, niż tego zdolne są doścignąć strejki robotnicze, którymi zresztą organizacyom robotniczym dla ich dobra własnego nadmiernie szafować nie wolno.

## VI.

## Program organiczny.

Cztery nierozdzielne, wzajem uzupełniające się instancye wiodą do naprawy socyalnych stosunków robotniczych: przez *samopomoc robotników, akcyę społeczeństwa, działalność gmin i opiekę prawodawstwa państwowego.*

O instytucyach wzajemnej pomocy robotników zagranicą i potrzebie odpowiedniej akcyi u nas, była już mowa w kilku rozdziałach poprzednich. Jest to praca realna, wiodąca do jaknajlepszych rezultatów, ale moralnego poparcia, zachęty i uświadomienia musi znajdować źródło w wypływającej z oświeconych warstw narodu — rozsądnej *akcyi społecznej*. Nie ma mowy o jakimkolwiek przeprowadzeniu rozumnego *organicznego* programu

warstw pracujących, gdzie w szeregach robotniczych analfabetyzm zabija wszelkie pobudki kulturalnej pracy. Ale nie dość jest masy uczyć czytać, lecz nadto trzeba dla nich zabiegać o stworzenie właściwej literatury robotniczej, rozjaśniającej najkardynalniejsze zagadnienia życia, wraz z informacyami o sposobach organizowania się warstw pracujących zagranicą, o zasadach gospodarczości społecznej, podstawach życia narodowego, ekonomicznego, socyalnego, zdrowotnego, słowem ogłoszenia szeregu dzieł, broszur, wydawnictw, sprzyjających cywilizacyjnemu podźwignięciu mas najszerszych. Ta praca twórcza, literacka, musi iść w parze z organizacyą uniwersytetów, wykładów robotniczych i t. d.

Akcya społeczna *czynna* w harmonijnem musi postępować tempie z działalnością społeczną *moralną*. Opinia publiczna narodu, rozporządzając tak wielką potęgą, jaką jest prasa ojczysta, winna stać na straży interesów robotniczych i wnikać, aby krzywda nie działa się nikomu, aby słuszność i sprawiedliwość zawsze znajdowała w społeczeństwie czujnego i bezwzględnego obrońcę.

Nie może być mowy o interesach „klasowych“ tam, gdzie wzgląd na słuszność znajduje przewagę decydującą. Idealna prasa ojczysta nie może więc być „burżuazyjną“, ale polską, narodową i demokratyczną, a przedewszystkiem — aż do krańcowości sprawiedliwą. Taką rozporządzając prasą, potężna opinia publiczna może zażegnywać strajki i wywierać wpływ zarówno na chlebodawców, jak pracujących, słowem może tworzyć szanowaną i wpływową „izbę wyższą“ narodu, której głos stanowić będzie czynnik decydujący.

Tak potężnie postawiona na straży interesów wszystkich klas narodu—wielka opinia publiczna w kraju może i musi odpowiedni wpływ swój wywierać nie tylko na warstwy społeczne, ale instytucye narodowe.

Pierwszą i najbardziej podstawową w ruchu socyalnym instytucyą—po za rodziną—jest ustrój gminny. W ogólnym programie organicznym robotników, autonomiczny ustrój, zwłaszcza naszych miast fabrycznych, będzie miał szerokie i wdzięczne pole do pracy twórczej, lud roboczy uzamożniającej. Nadewszystko zaś domy robotnicze! W roku 1903 należałem do szeregu osób, zajmujących się w Łodzi przeprowadzeniem ankiety „suterynowej“ dla tamtejszego Oddziału Warszawskiego Tow. Hygienicznego. Chodziłem po norach podziemnych dzielnicy najwięcej przez ludność robotniczą zamieszkałej. Przerażająca wilgoć spółzawodniczy tam z brakiem światła, głód z ubóstwem i chorobami mieszkańców. W niejednem miejscu znajdowałem leżących na tapczanie dogorywają-

cych z suchot w kwiecie jeszcze lat robotników. Dzieci nieletnie i żony suchotników w wilgoci suterynowej i biedzie spędzają razem całe miesiące. I mamy się nie wyradzać! Komisye wojskowe są w kłopocie z doborem rekruta w Łodzi, płuca u młodych pokoleń zamierają nie zdążywszy rozwinąć się jeszcze.

Wzorów do naprawy tych stosunków przyszłe samorządy miast naszych szukać muszą zagranicą. „Rada hrabstwa — pisze autor polski o Londynie[1])—po za budową koszar mieszkaniowych, wzięła się gorąco do zakładania kolonij robotniczych zamiejskich w Tooting, Norbury, Surry i Tottenham. Jedną z tych kolonij zwiedzałem w Tooting i śmiało mogę powiedzieć, że jedyne ładne domy (z wyjątkiem londyńskich gmachów publicznych), jakie widziałem w Londynie, tam się znajdują. Koszta budowy tej kolonii wynosić będą około 495,000 funtów a liczba domków 2,000, dostarczą one mieszkań dla 9,532 osób. Oświetlenie będzie elektryczne tak urządzone, że lokatorzy za wrzuceniem do automatu jednego penny mogą przez godzinę palić jedną lampę. W wielu domkach znajdują się pokoje kąpielowe. Prawie każda z tych ślicznych willi ma dwa ogródki, jeden od frontu, drugi od podwórza. Dekoracye drzwi i okien w stylu secesyjnym. Komorne za taki domek, składający się z 3 pokojów, wynosi 12 do 13 szylingów tygodniowo. Do 31 marca roku 1904 Rada hrabstwa na zreformowanie mieszkań klasy robotniczej wydała przeszło 1,731,904 funtów, czyli więcej aniżeli 17 milionów rubli. Liczba osób, znajdujących w domu rady pomieszczenie, wynosiła na początku 1902-go roku 15,060, a niezadługo po wykonaniu rozpoczętych robót wzrośnie do 50,000. Jednocześnie z tą działalnością, Rada hrabstwa coraz baczniej czuwała nad hygieną mieszkań robotniczych, będących własnością prywatną.“

Uzdrowić stan mieszkań robotniczych zdolne będą jedynie samorządy naszych miast polskich. One wytworzą też cały zastęp instytucyj w innych jeszcze kierunkach, zmierzających do wzniesienia socyalnych warunków robotników fabrycznych. Miasta stworzą izby pracy robotniczej, biura pośrednictwa, muzea naukowe i wystawy zarówno przemysłu, jak sztuki, wzniosą pałace ludowe, szkoły i teatry, słowem odegrać muszą pierwszorzędną rolę w ekonomicznem i kulturalnem życiu robotników. I nad tem wszystkiem opinia publiczna wraz ze swą wyrazicielką, prasą,

[1]) Jan St. Lewiński „Samorząd miejski w Londynie“. Warszawa, 1905, str. 70—71.

czuwać muszą, aby rady miejskie program organiczny robotników w czynie rozwijały szeroko i bezwzględnie, aby nie kierowały się żadnemi pobudkami, prócz dobra ogółu narodu, nie zaś wyłącznie służyła jego kapitalistom i klasom posiadającym.

Wreszcie czwarta w ruchu robotniczym instancya — prawodawstwo państwowe zawsze odgrywać będzie potężną i wpływową rolę. Księgę praw piszą ludzie i oni ją układają, ale ustawa fabryczna nie może być płodem lekkomyślności i niewyrachowania. Prawo nie powinno być uprzywilejowanem narzędziem możnych, ale stać na gruncie niezależności od interesów ścierających się klas społecznych[1]). Prawo układać więc muszą wszystkie w parlamencie reprezentowane warstwy. Ochrona interesów robotniczych winna mieć swój wyraz w zagwarantowanem prawie państwowem, ale prawo to musi iść w parze z interesami ogólnej zamożności kraju i dobrobytu wszystkich warstw.

Skutkiem zależności naszych rynków przemysłowych od spółzawodnictwa z fabrycznymi obwodami Rosyi, prawodawstwo robotnicze w Królestwie nie może zasadniczo różnić się od ustaw zatwierdzanych dla całego państwa. Jeśliby u nas miał obowiązywać 9-cio godzinny dzień pracy, zaś Izba państwowa ustanowiła dla Cesarstwa 10-cio godzinną pracę, bylibyśmy całkowicie w przemyśle zbankrutowani. Ustawodawcza instytucya narodowa w Warszawie, na punkcie prawodawstwa fabrycznego, będzie więc musiała (zasadniczo) stosować się do obwieszczeń ogólno-państwowej reprezentacyi.

Cała procedura przeprowadzenia reformy robotniczej wiąże się z kategoryami najprzeróżniejszych konjunktur. Nieuctwem ekonomicznem naszych partyi robotniczych było więc stawianie nagłych żądań w rodzaju *natychmiastowego* zaprowadzenia 8 godz. pracy lub opacznego, wywrotowego ustanawiania norm płacy w przemyśle.

Tak imponujących zdobyczy nie osiąga się w ciągu 24 godzin. Na to potrzeba długich ewolucyjnych prac, które stopniowo,

[1]) Dotychczas obowiązujące u nas prawodawstwo musi podlegz radykalnej reformie. Przepisy zarówno o organizowaniu, graniczącej z hurtowym szablonem, pomocy lekarskiej dla robotników fabrycznych, jak niezawsze właściwie stosowane kary na nich, wreszcie cała ochrona małoletnich robotników i kobiet, prawo o strejkach, odszkodowaniach za ponoszone uszkodzenia na zdrowiu i t. d. winny podlegz kompletnym zmianom, zastosowanym do potrzeb ducha czasu i wymagań człowieka.

w czterech zasadniczych instancyach rozwiązanie znajdować muszą. Stanie się też niejedno faktem, co dziś jeszcze wydaje się utopią społeczną. Ale każde wielkie dzieło nadewszystko wymaga czasu; niemniej rozwagi, taktu i rozumu.

Nienawiść i zabójstwo nie są drogowskazami, do tych zapowiadanych wielkich krain, gdzie ma królować miłość i szczęście. Nienawiść i miłość to dwie antytezy. Rabunek nie wiedzie do uczciwości.

Ci, którzy rzucają rękawicę zasadą, że cel uświęca środki, winniby sami na logiczniejszych podstawach budować własne teorye taktyczne. Obecne metody socyalistyczne nie uszczęśliwią też zwycięstwem wielkiej swojej utopii. Rozwiązania sprawy robotniczej spodziewać się można na gruncie ewolucyjnej pracy organicznej, hasłom szerokiego demokratyzmu sprzyjającej.

Stefan Gorski.

# NAD GŁĘBIAMI.

## III.

Kama wróciła z rodzicami do Warszawy. O Auguście nie pozwalała nikomu wspominać ani słowa. A jeżeli ktoś nieszczęśliwie poruszył tę strunę, wpadała w gniew, zamykała się w pokoju i godzinami całemi nie pokazywała się na oczy ani służbie, ani rodzicom, ani znajomym.

August obraził ją śmiertelnie. Przyzwyczajona do hołdów i do lekceważenia drugich, nie spodziewała się, ażeby ktoś, komu ona okazała swoją niełaskę, porzucił ją, jak zepsutą zabawkę, bez protestu, bez łez, a nawet gróźb.

Nieraz, kiedy zamknęła się w swoim pokoju, wyjmowała fotografię, która przedstawiała ją i Augusta w łódce kołyszących się na falach morskich. Płakała wtenczas ze złości, że w podobnej chwili dała się pochwycić i przykuć do znienawidzonej osoby Augusta.

— On ma taką samą fotografię — myślała z goryczą — i przechwala się przed znajomymi swoją zdobyczą. Przecież trzeba nie mieć oczu, aby nie dostrzedz, jak wtenczas lgnęłam do niego. Położyłam rękę na tem samem wiośle, co on. Pochyliłam się nieznacznie ku niemu, ale mimo to, jak wyraźnie. Takiego samego kroju mam kaszkiet na głowie, jak on...

Załamała ręce w stawach.

— Bezczelny. Umyślnie wybrał taką chwilę, aby potem drwić ze mnie. Bezczelny! żeby tak mnie rzucić przy pierwszej lepszej sposobności! Czekał widocznie na to. Sam starał się mnie rozdrażnić, aby skorzystać z pierwszego słowa i gestu i uciec.

— Nie wróci już nigdy — mówiła do siebie, z nienawiścią patrząc przez okno.

Pilnie czytała dzienniki i przysłuchiwała się rozmowom w salonach, czy nie usłyszy jego nazwiska. Ale dzienniki pisały o wszystkiem, tylko nie o nim — w salonach opowiadano sobie tysiące plotek i wymieniano tysiące nazwisk, tylko nie jego.

Nie opuszczała ani jednego reunionu, ani jednego zebrania towarzyskiego, ani jednego koncertu, zahypnotyzowana myślą, że dowie się czegoś o nim.

— Z Warszawy do Krakowa — powtarzała sobie nieustannie — tak przecież niedaleko. Tylu mam znajomych, którzy muszą z nim spotykać się w Krakowie.

— Co ten nikczemnik porabia?

Ile razy wracała do domu zawiedziona w swych nadziejach, stawała się nieznośna dla otoczenia. Lada drobnostka wywoływała z jej strony zjadliwe, sarkastyczne uwagi. Wszystko, co chwalono, nicowała do szczętu. Chwilami zachowanie się jej miało cechy rozwijającej się choroby nerwowej.

Dostrzegła, że ojciec zaczyna przypatrywać się jej uporczywie i że matka śledzi ją na każdym kroku. Chociaż wiedziała, że robią to z troskliwości o jej zdrowie, nie mogła tego znieść.

— Kamo — szepnęła jej raz matka na koncercie Griega — pan Wiesław Gandorf kłania ci się z pierwszych rzędów.

— Dobrze — rzekła, — lecz spojrzała umyślnie w odwrotną stronę i zadumała się.

— Kamo — za chwilę rzekł ojciec — pan Wiesław pyta ci się, jak spędziłaś lato nad morzem.

Oblał ją rumieniec. W tem pytaniu poczuła pchnięcie sztyletu. Spojrzała wyzywająco w oczy młodemu mężczyźnie, który już stał obok fotelu ojca i bawił go rozmową.

— Jak spędziłam lato? — rzekła.

— Tak — powtarzał uprzejmie pan Wiesław.

— Polowałam na rekiny — odpowiedziała z błyskiem zemsty w oczach — bardzo przyjemny sport, bo rekiny są małomówne i o nic nie lubią się pytać. Może dlatego, że nie znają warszawiaków...

— Ale podobno rekiny lubią jeździć łódkami — odparł napadnięty — i mają wybitną skłonność do pozowania fotografom...

To mówiąc zmrużył oczy, uśmiechnął się, ukłonił i odszedł lekko kołyszącym się krokiem.

— Widział naszą fotografię, — błysnęła jej myśl w głowie — kto mu ją pokazał? kto mu ją mógł pokazać?

— Muszę dowiedzieć się wszystkiego — powtarzała sobie w duszy przez cały koncert.

Kiedy wypełniono już program i tłumy publiczności poczęły cisnąć się do drzwi, Kama ociągała się długo z wyjściem, śledząc kroki Gandorfa. Bała się, że jej ucieknie i że straci sposobność, na którą tak długo czekała.

— Chodźmy już Kamo — prosiła ją matka.

— Niech mama patrzy, co się dzieje przy wyjściu. Pomną mi suknię.

Gandorf zbliżał się ku niej miękkim, posuwistym krokiem. Uśmiech ironiczny zjawił się na jego ustach, kiedy dostrzegł wyniosłą postać Kamy, bijącej blaskiem młodości.

— Trujący narcyz — pomyślał.

Kama zręcznie zebrała suknię i w ostatniej chwili, kiedy w ukłonach przechodził koło nich, znalazła się koło niego.

— Gniew na mnie mecenasie? — zapytała, uśmiechając się swobodnie i bardzo przyjaźnie, szeleszcząc wspaniałą suknią.

Dreszcz rozkoszy przebiegł Gandorfa od stóp do głów. Spokorniał natychmiast.

— Ktoby śmiał gniewać się na bóstwo — szepnął, starając się dotknąć ramieniem jej obnażonego ramienia. Nie broniła mu tego. Było jej to najzupełniej obojętne.

— Gdybym miał dwadzieścia par oczu, — rzekł po chwili, mieniąc się cały pod wzrokiem Kamy — i tak mógłbym oślepnąć patrząc na panią.

— Zbliska wystarczy panu jedna para ócz — odezwała się przyjaźnie, wesoło.

— Synogarlica z piekła rodem — mruknął do siebie.

— A gdzie pan widział te rekiny na łódce? — zapytała nagle, kiedy topił oczy w jej ustach i szyi.

— Hahaha — zaśmiał się, robiąc tajemniczą minę.

— Jakże panu podobała się nasza fotografia? — poprawiła się natychmiast, akcentując słowo „nasza."

Gandorf stropił się.

— O jakiej pani mówi fotografii? — rzucił pytanie, aby zyskać na czasie.

— O mojej i pana Augusta Tarowicza — odparła niedbale.

Spojrzał jej w oczy przenikliwie, przeciągle. Czuł, że go pobiła na głowę.

— Mecenasie, trybunał nie czyha na pańską odpowiedź, aby skazać zbrodniarza na karę śmierci — mówiła swobodnie, śmiejąc

się — wracamy z koncertu Griega i bawimy się wspomnieniami. Zatem?

Wytężyła całą siłę woli, aby nie dopuścić do skurczu ust. Siadała do karety z ojcem i z matką i już powóz miał ruszyć, kiedy powtórzyła ze ślicznym grymasem ust:

— Zatem skrytobójczy mecenasie...

— Hahaha — roześmiał się — pokazywał mi tę fotografię doktor Sobica. Pani go zna dobrze. Nie mnie, ale jemu należy się słusznie ów przydomek skrytobójczego. Kolega to szkolny pana Augusta Tarowicza.

— Dziękuję mecenasowi — rzekła Kama i zaraz zawołała — Michale jedziemy.

Powóz potoczył się po drewnianym bruku. Kama milczała przez całą drogę, zaciąwszy wzgardliwie usta Ani ojciec, ani matka nie mieli odwagi zapytać jej, dlaczego dopytywała się o Augusta.

Ale kiedy po wieczerzy każde szło do swego pokoju, pani Kolecka pocałowała córkę na dobranoc czulej niż zwykle i szepnęła jej do ucha:

— Uważaj więcej na siebie.

— Dlaczego mamo?

— Po Warszawie mówią, że jesteś zakochana.

— W kim? — zapytała gniewnie:

— W nieznajomym z łódki, powtarzają o tobie ludzie uszczypliwie.

— Dziękuję mamie — rzekła Kama łagodnie i wbrew przypuszczeniom matki, pocałowała ją w rękę.

Pani Koleckiej serce zadrżało z radości.

— Niech ci Bóg dopomoże moje dziecko. Nie dbaj o niego. Znajdziesz takich, którzy będą całowali to miejsce, gdzie stałaś.

— Tylko nie on — pomyślała Kama, zamykając się w swojej sypialni.

Teraz dopiero opuściła ją siła woli i panowania nad sobą.

— Ośmieszył mnie, ośmieszył mnie — mówiła do siebie, chodząc tam i napowrót po pokoju.

Rozpacz ją ogarnęła, że jest bezsilną wobec tych wieści, które krążą po Warszawie.

— Sama dałam powód do tego — wyrzucała sobie — straciłam dawniejszą swobodę, przestałam być zajmującą, więcej nadsłuchiwałam, jak mówiłam. I dlaczego? poco? poco? że jeden jakiś nędznik uciekł odemnie, jak ucieka się od zadżumionych?

— Robił wszystko, co chciał ze mną. Waryowałam, jak on, narażałam się na obmowę, jak on, po to, aby on mógł tem się przechwalać.

— Jestem bezsilna! — wołała z płaczem.

— Kto on jest? czego chce odemnie? gdzie jest teraz?

Czuła, że gdzieś musi krążyć w pobliżu, że tylko ukrywa się przed nią, aby tem silniej grać jej na nerwach.

— To on puścił naszą fotografię w obieg — a może kazał więcej takich fotografij zrobić? — rozważała.

— Wszyscy wierzą w to, że jestem w nim zakochana!

— Kłamstwo! kłamstwo — szeptała, przygryzając palce w uniesieniu — nigdy go nie kochałam! nigdy!!

Kiedy uspokoiła się trochę, poczęła chłodniej zastanawiać się nad wszystkiem.

— Doktor Sobica pokazywał fotografię mecenasowi. Kolega szkolny Augusta.

— Dlaczego Sobica przestał bywać u nas? — nie dałam mu przecież do tego żadnego powodu. Nie zwracałam nawet na niego uwagi.

— Może nie miał czasu? Może nasze progi wydawały mu się za wysokie?

— Chłopski syn — pomyślała lekceważąco — ambitny, zdolny, ale nieobyty.

— Zaprosić go? posłać papę do niego?

Przypomniała sobie, że doktor Sobica miewa odczyty w Muzeum.

— Wiem już, wiem — pomyślała z radością — pójdę w czarnej sukni, z obszewką koło szyi. Broszkę z małym brylantem wbiję do kołnierza, a pozatem nie wezmę ani pierścieni, ani złota, nic, nic. Tak będzie chętniej ze mną rozmawiał.

Przez dwa dni nie wychodziła zupełnie z domu. Myśl, że nareszcie dotrze do źródła swego niepokoju i dowie się pewnych, nie ulegających wątpliwości, szczegółów o Auguście, podniecała ją ogromnie.

— A jeżeli August jest w Warszawie?

— A jeżeli zobaczę go na odczycie?

Zaparła oddech w piersiach. Takie spotkanie byłoby dla niej katastrofą. Nie miałaby siły spojrzeć w jego stronę. Cała sala zatańczyłaby jej w oczach... Pokazywanoby ich palcami.

Czuła gorączkę w ustach i w oczach. Całym wysiłkiem wyobraźni pracowała nad zagadką, wobec której stanęła.

— Choćbym miała paść trupem, pójdę, — rzekła wreszcie do siebie z dziką ochotą wyzwania losu.

— Wcześniej czy później muszę się z nim spotkać. Zatem lepiej wcześniej.

Myśl widzenia Augusta opanowała ją zupełnie. Nie mogła wziąć żadnej książki do ręki, ani dziennika — zamknęła fortepian, bo gniewał ją długi, nieruchomy rząd białych klawiszy — odpędzała od siebie bez litości psa, który się łasił koło niej, jak zwykle.

— Po co? po co pójdziesz? — jakiś głos nieświadomej trwogi pytał ją nieraz, kiedy nagle przebudziła się w nocy lub zadumała się w ciągu dnia.

Wtenczas strach ją zdejmował przed tym krokiem i postanowiła zapomnieć o wszystkiem. Naprożno jednak. Wszystkie nerwy, wszystkie utajone głosy w piersi krzyczały:

— Idź, idź, on tam będzie.

Nadszedł nareszcie wieczór upragniony. Zapowiedziała rodzicom, że odtąd będzie stale uczęszczała na odczyty do Muzeum, że musi zająć się poważną pracą, bo ją nudzi czczość codziennego życia, a dalej oświadczyła, że nie przyjmuje żadnej opieki nad sobą na czas odczytów; że raz musi zakosztować tego, jak smakuje życie studentki.

Ojciec spróbował sprzeciwić się.

— Albo mi ojciec nie ufa — odparła Kama, przecinając spór jak brzytwą — w takim razie nie mam co robić w domu ojca, albo mi ojciec ufa i da mi zupełną swobodę.

— Zresztą, jeżeli ojcu chodzi o to — dodała — aby mnie kto nie ukradł na ulicy, pozwalam, aby miss Terry odwiozła mnie w powozie, z tym warunkiem, że miss zatrzyma powóz na dwieście kroków przed muzeum i będzie tam cierpliwie czekała na mnie, aż wrócę po godzinie.

— Kamuś, zlituj się nad Terry — rzekła z boleścią pani Kolecka — ona znowu przeziębi sobie nogi. Znowu dostanie darcia w kościach i będzie jęczała po nocach. Teraz wieczory są bardzo zimne.

— Pozwalam wziąć jej futro na nogi — rzekła Kama — a jak jej to nie wystarczy, niech sobie ogrzewa łapy lampką spirytusową. Skończyłam papo i mamo.

Rodzice z kwaśnemi minami musieli poprzestać na takim układzie. Ojcu nawet podobała się do pewnego stopnia eman-

cypacya Kamy. Widział w tem subtelność, że nie chciała razić nikogo arystokratycznemi formami tam, gdzie tego nie zachodziła potrzeba.

*

* *

Na sali było już kilkadziesiąt osób, kiedy Kama weszła. Rozglądnęła się szybko dokoła. Odetchnęła.

Ani jednej twarzy znajomej.

Usiadła tak, aby Sobica, przechodząc, musiał się z nią spotkać. Kilkanaście jeszcze osób weszło na salę. Za każdem skrzypnięciem drzwi, dreszcz przejmował Kamę. Zamykała oczy. Bała się, że ujrzy naprzeciw siebie Augusta.

— Byle nie on — mówiła ze strachem.

Ale kiedy zawód ją spotkał, coś szeptało w niej z żalem:

— Dlaczego nie on?

Wszedł doktor Sobica.

— Sam, bez niego — w pierwszej chwili pomyślała Kama.

Rozpaczliwem spojrzeniem objęła wszystkich. Nigdzie nie ujrzała twarzy Augusta.

— Niema go w Warszawie — szepnęła do siebie.

Doktor Sobica przeszedł szybko obok niej, nie zauważywszy jej obecności.

Dopiero pod koniec odczytu, rozglądając się po sali, zawiesił wzrok na niej. Nie poznawał jej przez dłuższą chwilę. Uśmiechnęła się przyjaźnie i skinęła lekko głową.

Odkłonił się zdziwiony, pobladł i głos zawiesił na chwilę.

Po odczycie, z którego Kama słyszała tylko pojedyńcze słowa, doktor Sobica podszedł do niej.

— Pani tu? nie poznałbym nigdy pani, taka pani dziś inna — rzekł spokojnym głosem, ale oczy brunatne błyszczały mu ogniem.

— Bo dziś pan jest w roli nauczyciela, a ja uczennicy — odpowiedziała Kama, uśmiechając się przyjaźnie — a to bardzo zmienia postać rzeczy.

— Może, może, przyznam się jednak szczerze, że pani przybycie było dla mnie wielką niespodzianką. Mogłem przypuszczać, że właśnie *mój* odczyt nie obudzi w pani zajęcia. Znajomych lepiej unikać, nieprawdaż? — dodał głosem, który zadrżał lekko.

— A pan? — zapytała, topiąc w jego oczach gorączkowe spojrzenie.

— O mnie się nie mówi. Co tam ja — odparł z chłodnym przekąsem i zamilkł.

— Chodźmy — rzekła, spostrzegłszy, że sala już pusta i że kilka osób, które pozostały, śledzą ich rozmowę.

— Chodźmy — powtórzył jak echo.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Kama ożywiła się. Postanowiła działać. Wiedziała, że ani ojca, ani matki niema w domu, bo pojechali do znajomych.

— Co pan robi dziś wieczór? — zapytała go znienacka, idąc w stronę karety.

— Dużo i nic — rzekł doktor Sobica — pójdę na przechadzkę. Nic, bo będę przez ten czas odpoczywał, dużo, bo prawdopodobnie zmęczę się przyzwoicie.

— Prawda, pan lubi milowe wycieczki przedmiejskie — zauważyła.

Sobica popatrzał na nią podejrzliwie. Zdawało mu się, że dźwięczała w jej słowach ironia.

— A tak, atawizm — odparł — mój ojciec i dziadek robili mile całe, śpiesząc na targ do miasteczka. Takie nawyknienia nie uchodzą bezkarnie. Odbiją się choćby w dziesiątem pokoleniu.

Kama pochyliła głowę. Znała drażliwość Sobicy pod tym względem, zlękła się więc, że mimowoli już go dotknęła.

— Czy pan zauważył — rzekła — że w Warszawie wszyscy lubią ogromnie chodzić? Mnie się wydaje — dodała umyślnie drwiącym tonem — że my wszyscy, od dołu do góry, mamy ten sam atawizm w kościach i muskułach. To pamiątka po Adamie i Ewie.

Doktor Sobica przestał się chmurzyć. Chłód i sztywność opuściły go zupełnie.

Odetchnął.

— Pyszne spostrzeżenie — rzekł, śmiejąc się wesoło — ale coby na to powiedziała warszawska noblessa? hahaha!

— Popełniłaby wielkie głupstwo, broniąc się — mówiła Kama, patrząc mu sprytnie w oczy.

Do ust napłynęła jej krew — policzki zakwitły rumieńcami silnymi, w oczach jej paliło się światło.

— Prześliczna — szepnął Sobica, ulegając jej czarowi.

Patrzyła mu pokornie w oczy.

Strach zrodził się w duszy Sobicy. Bał się, że jednem słowem może rozwiać złotą ułudę i wyzwać nielitościwą rzeczywistość.

Pobladł.

Kama stanęła przy powozie. Miss Terry otworzyła drzwiczki z pośpiechem, robiąc jej miejsce obok siebie.

— Chmurzy się doktorze — rzekła przeciągając słowa — co będzie z przechadzką?

— Mnie to nie dziw — odparł smutnym głosem.

— Ojciec i mama — wtrąciła szybko — będą radzi, jeżeli przywiozę doktora ze sobą. Jeżeli znudzisz się doktorze naszem towarzystwem, uciekniesz i znowu nie pokażesz się przez rok albo dwa, jak teraz. Dobrze?

Sobica zmienił się nie do poznania. Twarz skurczyła mu się dziwnie i drgać poczęła, oczy nabrały ponurego blasku, zesztywniał.

— Nie mogę — odpowiedział chrapliwym tonem — praca czeka na mnie w domu.

— Proszę wsiąść — mówiła przyciszonym głosem — mamy pewne rachunki ze sobą, prawda?

Sama szybko zajęła miejsce obok miss Terry i przytrzymała drzwiczki otwarte. Utopiła w nim swoje duże oczy, takie jasne, takie pociągające, że Sobica uległ im mimowoli.

Postawił nogę na stopniu, zawahał się, lecz już cofnąć się nie mógł, bo wstyd go było. Usiadł naprzeciw kobiet.

Powóz ruszył.

— Mr. Sobica, miss Terry.

Sobica ukłonił się Angielce. Teraz dopiero ją dostrzegł. Odetchnął z widoczną ulgą.

— Możemy mówić zupełnie swobodnie — rzekła Kama po chwili — nasza sąsiadka nie wiele rozumie po polsku, tylko umie kląć zabawnie. Nauczyła się tego od jakiegoś lokaja-pedagoga.

Miss Terry skulona w kącie powozu patrzyła z pod oka na przybysza. Nie kryła zupełnie swego niezadowolenia. Nogi miała otulone w niedźwiedzie futro, choć to były dopiero pierwsze dni października. Zła była, że przez poruszenie się na siedzeniu utraciła cząstkę ciepła.

Powóz toczył się z zawrotną szybkością. Wiatr dmuchał im w oczy, wdzierał się pod suknie wszelkiemi szczelinami.

— Miss Kama — rzekła ze złością Angielka — psiaklew Coachman, leb sklencimy przez on.

— So much the better — odpowiedziała Kama, wybuchając śmiechem.

Angielka obrażona zamknęła oczy i już ani słowa nie odezwała się przez całą drogę.

— Mamy z nią sto pociech — mówiła Kama do Sobicy, błyskając rzędem białych, drobnych zębów. — Trzymamy ją już od lat kilku. Wychowała nas wszystkie. Miała nawet starającego się Polaka, ale rozeszli się, bo złość go w końcu porwała, że nie mógł jej oświadczyć się po polsku. To była cała tragikomedya! Myślałam wtenczas, że umrę ze śmiechu. On był wesoły chłopak i w gorącej wodzie kąpany. Rwał się do całusów. Ona wciąż podejrzliwie patrzyła na niego. Co on zatarł ręce z radości, jej się zdawało, że ją chce sprzedać. Hahaha! Nie mogła pozbyć się tej myśli, że po ślubie wywiezie ją do Rumunii. Powiedziała mu wreszcie: psiaklew, ja nie gupia i została u nas.

Miss Terry otwarła jedno oko. Sucha, szara jej twarz zadrgała. Dorozumiała się, że mówią o niej. Oko zamknęło się znowu. Ten sam wyraz skrzywienia zjawił się na ustach.

— Nie uległa czarom miłości i oto, co z niej pozostało — dorzuciła Kama wesoło, spojrzawszy przez ramię na swoją sąsiadkę. — To przestroga dla nas młodych.

— Sobica milczał. Dałby dużo za to, aby uciec z powozu. Głos Kamy przenikał go melodyą słodką, odbierał mu krytycyzm i swobodę. Znał ten głos dobrze, jak dobrze.

Powóz wjechał do sieni domu. Sobica chciał jeszcze raz pożegnać się z Kamą. Zdejmował go lęk niewypowiedziany, aby nie powtórzyło się to, co już raz przeżył przed rokiem...

— Rodzice zdziwią się bardzo — rzekła Kama — przywiozłam doktora do samego progu mieszkania, a doktor cofa się?

Pochylił głowę zawstydzony i onieśmielony poszedł za nią.

— Niech pan chwilę zatrzyma się w salonie — zapraszała go, kiedy zamknęły się już za nimi drzwi przedpokoju, — zaraz wrócę i przyprowadzę rodziców.

Sobica wszedł do salonu. Zmęczonym wzrokiem powiódł po znajomych mu meblach, dywanach i obrazach. Uśmiech goryczy zawisnął mu na wargach. Dostrzegł fortepian i obok niego palmę szerokolistną, która zwieszała swoje ciemnozielone palce nad białymi klawiszami.

— Wszystko minęło jak sen — szepnął do siebie — ułuda i nicość...

— I po co ja tutaj?

— Aby odwiedzić mogiłkę zakrzepłych wrażeń?

— Aby grzebać na tem samem śmietniku złotych pragnień?...

Łzy zakręciły się mu w oczach. Tak dawno tu był, a tak niedawno.

— Trzeba być mężczyzną — upominał siebie i ociężałym krokiem podszedł do okna i czoło przytulił do zimnej szyby. Czarne widma drzew chwiały się w ogrodzie.

— Po co mnie tu przywiozła? — powtarzał z niechęcią.

— Dla kaprysu, bo tak jej się podoba.

— A moja siła woli gdzie? przez rok cały unikałem jej i byłbym już nigdy tu nie wrócił.

— Wymknąć się — błysnęła mu myśl w głowie — niema jeszcze nikogo. Służącemu powiem, że musiałem iść telegrafować w pilnej sprawie.

Zaczął gorączkowo nadsłuchiwać. Cisza panowała w całym domu.

— Nie chcę jej znać.

Zbliżył się szybko ku drzwiom, rękę położył na klamce.

— Nie uwierzą — pomyślał.

— Będą się śmieli ze mnie, jak z miss Terry.

— Powiedzą: chłop.

Krew zalała mu twarz. Cofnął się i usiadł na najbliższym krześle, zacisnąwszy zęby.

Weszła Kama.

— Pan bez światła? — zapytała.

Przekręciła śrubę. Elektryczność zalała pokój.

Stanęła przed nim zakłopotana.

— Rodziców niema w domu, ale zapewne wkrótce wrócą.

Sobica wstał, jak pchnięty sprężyną.

— Widzi pani — zdołał wykrztusić.

— Tem lepiej — odpowiedziała zalotnie — tacy starzy znajomi, jak my, mamy sobie niejedno do powiedzenia.

— O tu siądźmy — rzekła — pod palmą. Pamięta pan ów wieczór, kiedy uczyłam doktora bostona?

Sobica zadrżał. W mgle wyobraźni zamajaczyła mu głowa Kamy w aureoli bujnych włosów, uśmiechnięta, tuż, tuż przy jego twarzy. Czuł jej oddech gorący na policzkach.

— Wtenczas tańczyła z tobą — coś cicho szeptało mu w duszy — i była, jak dobry duch dla ciebie...

Otwarł oczy szeroko. Widmo znikło, ale przed sobą widział zato ją żywą. Szła wdzięcznym elastycznym krokiem ku palmie.

Pierś podniosła mu się z uczucia rozkoszy.

— Łotr jestem — pomyślał — a to mój dobry duch...

Poszedł za nią.

— Nie uwierzy pan — zaczęła mówić — z jaką rozkoszą wracałam do Warszawy. Bawiłam się nieźle w Blanckenbergu,

ale tam rozprasza się człowiek. Po całym nadmiarze wzruszeń pozostaje tylko wrażenie pustki i niepokoju. Rzadko bywa inaczej. Rzadko spotyka się kogoś, kto wyrasta nad pospolitość...

Sobica uczuł kłócie w sercu. Błysk ponury zaświecił w jego źrenicach przez mgnienie oka.

— Czy pan zna pana Augusta Tarowicza? — rzuciła znienacka pytanie.

— Tak — odparł twardo.

— Dziwny człowiek.

— Tak, może — odpowiedział, usiłując opanować wzruszenie, które poczęło nim owładać.

— To był mój nieodłączny herold w Blanckenbergu — odezwała się.

Głos jej zadrżał, choć usiłowała być swobodną do ostatniej chwili.

Sobica utkwił oczy nieruchomo w pniu palmy. Coś mu oddech zaparło — jakaś kula ognista zapadała się powoli w głąb jego świadomości, paląc wszystko, co spotykała na drodze.

— Zna go pan bliżej? — zapytała po chwili, zniżonym głosem, aby pokryć wzruszenie.

— Mój znajomy z lat uniwersyteckich—rzekł Sobica.—Wypadki polityczne zmusiły mnie do kończenia nauk w Krakowie. Tam go poznałem.

— Ach tak. I on mi także coś wspominał o panu, ale już nic nie przypominam sobie — skłamała.

— Pan widział się z nim niedawno może? — zapytała, całym wysiłkiem woli panując nad głosem, aby nie załamał się na jakiem słowie.

Sobica mimowoli wstał nagle, rękę przeciągając po czole.

— Tak, niedawno — rzekł.

Unikał spojrzenia Kamy. Był niespokojny. Czuł, że stracił samowiedzę myśli i ruchów.

Usiadł, nerwowo zaciskając palce, złożone jak do modlitwy.

— Bawiliśmy się, jak dwoje młodych waryatów — mówiła dalej Kama podnieconym głosem. — To szaleniec w ciele myśliciela. Miss Terry miewała co noc sny okropne o mnie. Hahaha. Ojciec i mama chcieli mnie wywieźć do Norwegii, ale oparłam się i na złość wszystkim dałam się fotografować z panem Augustem w łódce — hahaha — marzycielska fotografia — hahaha.

— Mam ją — wykrzyknął Sobica, lecz zbladł i natychmiast zaprzeczył — nie, nie, chciałem powiedzieć, że widziałem ją u niego.

Kamie cisnęły się na usta słowa:

— Dlaczego tak nikczemnie kłamiesz? Masz fotografię przy sobie. Pokazywałeś ją całej Warszawie.

Ale żal jej się zrobiło Sobicy. Rozumiała, iż był niewinny. Nadto, bała się go spłoszyć...

— I czy uwierzy pan, że po tej całej kanonadzie i wybrykach rozlecieliśmy się, jak dwie piłki — on w swoją stronę, ja w swoją. Zupełnie tak, jakby ktoś rozdarł suknię jedwabną, trzask i już są dwie połówki — mówiła, komicznie ilustrując swoje słowa ruchami.

Sobica nie spuszczał z niej wzroku. Na dnie jego duszy huczała burza wewnętrzna. Usta zaciął, ręce zaś jeszcze bardziej kurczowo zacisnął.

— Hahaha, śmiech mię zbiera — ciągnęła dalej Kama — jak pomyślę o tem. I cóż porabia teraz moje pendant krakowskie? zastrzeliło się? otruło? czy obmawia mnie po cukierniach?

— Nic ze mną o pani nie mówił — rzekł Sobica, jakimś dziwnie świszczącym głosem.

— Nie mówił? — zawołała Kama i zerwała się z krzesła — więc skąd pan wie?

— Co??

Kama, silnie wzburzona, przeszła przez pokój. Wiedziała, że zdradziła się niepotrzebnie, ale w tej chwili już na nic nie zważała. Myśl, że August zapomniał o niej zupełnie, zabolała ją nad wyraz. Wszystkiego innego spodziewała się raczej, ale nigdy takiej obojętności, takiego lekceważenia.

— Doktorze — mówiła, kiedy stanęła przed nim z rozpalonemi oczami — co to za człowiek? powiedz mi? pan go znasz od lat kilku. Żyłeś z nim, patrzyłeś na niego zblizka. Co to za człowiek? Zaciekawia mnie jego osoba, bo chyba niema nikogo, kogoby nie zaciekawiała. Nietylko ja, ale ojciec i mama i wszyscy nasi znajomi, którzy go poznali w Blanckenbergu, dopytują się o niego. Co on porabia teraz? gdzie jest?

— Co porabia? — odparł — kiedy byłem w Krakowie przed dwoma tygodniami, nie dopuszczał nikogo do siebie. Zamknął się w domu na cztery spusty. Ogarnęła go widoczna apatya. To się u niego często zdarza. Gdzie jest teraz, nie wiem. Może w Krakowie, może w Neapolu...

— Dużo mówiliście ze sobą? — nastawała.

— Dużo.

— I ani słowa nie wspominał?

— O kim?

— Choćby o swoich znajomych z Blanckenbergu, choćby o mnie, nic? nic?

— Czy pani tak bardzo zależy na tem, co powiem? — zapytał Sobica rozdrażnionym głosem.

— Czy ja wiem sama jak powiedzieć? może wiele, może nic. Zajmuje mnie ten człowiek, jak każda zagadka. Kto mi rozwiąże zagadkę, zgasi go zupełnie w mojej pamięci. Doktorze... Może ty masz tę moc w ręku swojem, aby zgasić jego wspomnienie...

Sobica wstał także. Nie mógł już usiedzieć na tem samem miejscu. Fotel palił go jakimś nieuchwytnym ogniem. Krew biła mu młotem w skroniach... Pot wystąpił mu na czoło. To, co słyszał, przerażało go. Wszystkie jego przypuszczenia, przekształcały się w rzeczywistość bezbrzeżnie dla niego bolesną.

— Ja mam tę moc, aby zgasić jego wspomnienie — pomyślał z piekącą go ironią.

— Co właściwie pani chce, abym powiedział — rzekł, opierając się o framugę okna — nie wiem, co było między państwem, nie wiem, co panią może boleć, a co radować, nie wiem, czy mam śmiać się, czy szydzić. Mnie trudno mówić, rozumie pani? może temu i owemu, obojętnie stojącemu na boku, przyszłoby to łatwo, ale mnie trudno.

Słowa wychodziły z jego ust dziwnie chrapliwie. Kama niecierpliwie spojrzała mu w oczy.

— Co panu?

— Nic, wolałbym wiedzieć, co pani dolega?

— Więc nic nie mówił z panem, zupełnie nic o swoim pobycie w Blanckenbergu? — pytała, przystępując do niego.

— Dlaczego pani tak natarczywie powtarza to pytanie? — odezwał się Sobica, czując, że blednie.

— Dlatego — zawołała namiętnie — że nienawidzę tego człowieka! nienawidzę go!

— W oczach Sobicy zaświecił jakiś straszny blask i zniknął w tej samej chwili. Usta mu drgnęły, ale ani słowo nie przeszło przez zaciśnięte zęby.

Kama cofnęła się, przerażona zmienionym wyrazem twarzy doktora. Strach załopotał jej w sercu.

— Co mu jest? — powtarzała w myśli z gorączkową zaciętością — co mu jest? dlaczego taki straszny?

Nagle, jak błyskawica buchnęła ogniem utajona myśl.

Kocha mnie.

Cofnęła się instynktownie.

— Ten człowiek pod oknem kocha mnie — powtarzała w głębi duszy z uczuciem nagłej, dzikiej radości — dlatego unikał mnie, zeszedł mi z oczu, nie chciał prosić...

— Doktorze, doktorze — mówiły jej usta machinalnie, kiedy zrobił krok ku niej. Nie mogła zdobyć się na żadne inne słowo. To nagłe uświadomienie odebrało jej siły. Szukała oczami oparcia. Usiadła na poblizkiej kanapie. Rozważała, co ma począć w chwili, kiedy Sobica wybuchnie.

Doktor jeszcze jeden krok zrobił ku niej, lecz opanował się szalonym wysiłkiem woli i zajął to samo miejsce we framudze okna.

— August — rzekł, zduszonym głosem — nie wymienił mi żadnego nazwiska. Nie powiedział mi nawet, gdzie bawił. To tylko mi powiedział, że lato spędził w dantejskiem piekle. Kogo miał na myśli, nie wiem.

— I więcej nic, ani słowa? — zapytała Kama, podrażniona jego słowami.

— Nic.

Zerwała się z kanapy, spojrzała mu w oczy z pogardą i rzuciła słowa, które paliły jej już gardło oddawna.

— Pan kłamie!

Sobica zbladł straszliwie.

— Kto? — wykształsił.

— Pan! po dwieście razy pan!!

— Dlaczego? — miał jeszcze przytomność powiedzieć.

— Dlatego, że pan masz fotografię naszą i obnosisz ją po Warszawie! w jaki sposób przyszedłeś pan do jej posiadania? musiał z panem mówić o wszystkiem, musiał się chełpić, musiał ją panu darować!! Dlatego, powtarzam panu, że pan kłamie.

Sobica mienił się na twarzy. Nie mógł ani słowa wyrzec. Zaprotestował ręką. Wreszcie krzyknął:

— Nie!

Ten jeden krótki dźwięk uderzył w Kamę, jak rzucony ręką ciężki kamień.

— Więc jak? — zapytała zmieszana.

Podszedł do niej. Na czole wystąpiły mu grube żyły. W gardle huczało mu rzężenie. Oczy rozwarte szeroko świeciły bielmem.

— Ukradłem mu fotografię — powiedział chrapliwie.

Kama pobladła. Sobica topił w niej wzrok, w którym przewalała się długo powściągana namiętność. Blask ten nie był jej obcym. Z przerażeniem czekała na to, co mogło nastąpić.

Ale ogień znowu zgasł w szarych oczach doktora.

— Teraz mogę iść, co? — rzekł brutalnie.

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się ku drzwiom bez słowa pożegnania.

Kama była zdumiona. Groza wiała od tego człowieka, który odchodził teraz, unosząc w duszy wszystko. Przerażona radość ścisnęła jej gardło. Chciało jej się płakać.

— Przecież tak być nie może — wyszeptała.

Sobica usłyszał te słowa. Odwrócił się blady, wyczerpany.

— Doktorze, — mówiła, drgającym ze wzruszenia głosem — tak nie godzi się postępować ze mną.

Milczał.

— Przecież nie obraziłam doktora ani jednem słowem.

— Ale ja nie mam ani słowa więcej do powiedzenia.

— Ani słowa?

Szalone pragnienie wyrwania tajemnicy z ust doktora owładnęło ją całą. Takiego mężczyzny nie napotkała jeszcze w życiu. Wszyscy mieli na ustach to słowo „kocham," które zatraciło już dla niej wszelką wartość. A Sobica milczał. Wolał zdusić w sobie całą mękę, jak jednem słowem się zdradzić.

— Doktorze, nie odchodź tak.

— Ze mną się nie igra — szepnął blademi wargami — ze mną źle jest igrać.

— Jak Bóg na niebie—zawołała—ani mi to przez głowę nie przeszło. Więc po co być tak okrutnym dla siebie i dla mnie.

— Mam jeden majątek na świecie — rzekł dobitnie — a tym jest duma. Nikomu nie dam jej poniżyć. Nikomu i nigdy... i dlatego nigdy o nić nikogo nie proszę... to wystarczy... na dobranoc.

— Doktorze!

Wyszedł, lekko pochyliwszy głowę, taki sam dziki i ponury, jak był.

Kama załamała ręce na głowie.

— A teraz co? a teraz co? — powtarzała gorączkowo.

## IV.

Deszcz jesienny, targany wichrem, to znowu przelewający się z rozpaczliwą monotonią nieruchomo, martwo — rozbił swoje namioty nad Krakowem. Mijały godziny, mijały dnie, a z dymiącej opony spadały zimne, szare łzy na ulice. Wyludniło się miasto, kamienice, smagane strugami wody, raziły brutalnie oczy

biodrami poczerniałemi od wilgoci. Bruki lśniły kamieniami oślizłymi. Nagość bezczelna, która w słońcu zatracała swoją szpetność, rzucała się ohydnie każdemu w źrenice. Klony i kasztany odarte z liści, bodły wilgotne, mgliste powietrze, czarnymi, pokurczonymi członkami. Plantacye świeciły z pod zrudziałej trawy rozmokniętem łonem ziemi. Pomniki zabite deskami wołały:

— Przechodniu, oto kiedy czas twój przyjdzie, znajdziesz spokój pośród białych desek, jak i my znalazłyśmy...

August wyszedł na przechadzkę. Czuł się bezpiecznym od napaści znajomych. Przejmujący chłód i deszcz usuwały mu z drogi natrętnych.

Odkąd opuścił dom Michasi i zamieszkał u ojca, odciął się od ludzi zupełnie. W dzień nikt go nie spotkał na ulicy. Siedział w swoim pokoju i robił notatki do studyum psychologicznego: „O wartościach życia współczesnego“ lub godzinami całemi leżał na sofie apatyczny i obojętny na wszystko.

W pierwszej chwili po powrocie z Mięckowic chciał napisać list do Michasi i przeprosić ją za swoje rozdrażnienie. Czuł, że to, co było całkiem rzeczą jasną dla niego, niezrozumiałem było dla siostry. Ale na myśl, że wpadnie znowu na ten sam ton czułostkowości co zawsze, zaciął się i nie odezwał się do niej ani jednem słowem.

— Wrażliwość mnie zabija — rozumował, idąc wolnym krokiem główną aleją plantacyj w stronę Zamku — możeby nawet coś dobrego wykluło się ze mnie, gdybym nie ulegał tak łatwo zmiennym uczuciom.

Kłąb zimnego powietrza, przesyconego mgłą i kroplami deszczu, uderzył z boku w niego.

August uśmiechnął się spokojnie. Rozkoszował się tą wilgocią jędrną, zuchwałą, która wciskała się we włosy, uszy i w rękawy ubrania.

— Gdybym był tak odpornym, jak teraz? gdyby bezsilne były wobec mnie dyabelne oczy Kamy tak, jak ten deszcz? gdybym słuchał spokojnie jej namiętnego tonu, jak słucham tego wiatru i gwizdu gałęzi?

— Może wszystko poszłoby inaczej. Może Kama... patrzałaby mi pokorniej w oczy... Może nie śmiałaby... przenosić psa nademnie.

Wzdrygnął się boleśnie, stanął. Patrzył przed siebie nieruchomo, nic nie widząc. Mgłą zaszły mu oczy.

— Czy ona kiedy pomyślała o mnie?

— Może żałuje?

— Otacza ją rój wielbicieli tak jak zawsze, a dusza jej łamie się, jak akrobata...

Uśmiechnął się gorzko.

— Gdybym jednak wiedział, że w głębi jej istoty śpi dobry duch...

Wzdrygnął się cały, siłą woli przywołał się do pamięci, spostrzegł że stoi, szybkim więc krokiem zaczął iść przed siebie.

— Znowu to samo — wymyślał sobie — znowu ta sama czułostkowość.

A tumany deszczu jesiennego i wycie wichru na wijących się konwulsyjnie gałęziach krzyczało na cały głos rozpaczliwie:

— Porwałbyś ją... porwałbyś ją... na koniec świata...

August pochylił głowę. Ten krzyk szumiał mu w uszach, jak piekielna muzyka.

— Precz, precz — powtarzał wściekły.

Rozejrzał się dokoła, szukając przedmiotu, na którym mógłby skupić swoją uwagę i uwolnić się od wspomnień.

Aleja skończyła się. Przed nim wyrastały ogromne ściany Wawelu. Szalejąca wichura wgryzała się w krużganki, framugi i poddasza — biła szaremi, skłębionemi miotłami deszczu o mury i szyby. Rozbestwiony taniec mgły, wycia i jęku hulał dokoła wież.

— Mały człowieku — szły na niego szepty od ogromnych ścian — jakże zasłuchany jesteś w siebie i w swoje lilipucie gorycze? czemże jesteś? dokąd idziesz? gdzie zajdziesz?

Kiść wielka zimnego deszczu uderzyła w twarz Augusta. Machinalnie otarł oczy i policzki i tą samą drogą którą przyszedł, wracał.

— Trzeba się podnieść na duchu — mówił sam do siebie — trzeba odwrócić się od tego, co było i stać się nowym człowiekiem.

Oczy mu zapłonęły. Po muskułach przebiegł mu dreszcz rozkoszy. Pragnienie starcia się z jakąś przeciwną, potężną siłą podnosiła mu pierś.

— Byłem dotychczas gagatkiem. Lada wrażenie brałem za wielkie uczucie. Dramatyzowałem wszystko, co dotykało mnie bezpośrednio. Lada głupia dziewczyna wyrastała natychmiast na moją Beatryczę.

Hahaha — zaśmiał się sam do siebie — po Ludwisi Marynia, po Maryni Fela, po Feli Kukusia, po Kukusi Kama — hahaha — miałem w życiu pięć Beatrycze — a jeszcze krok dalej miałbym szóstą w Mięckowicach...

— Narwany człowieku — wymyślał sobie — gdzie logika? gdzie poszanowanie dla samego siebie? pięć Beatrycze w życiu?

gdzież do dyabła tyle ideałów wyskrobałeś na tym marnym padole ziemskim?

— Czy pamiętasz tamte? — jakiś głos szepnął nieśmiało w tajnikach jego duszy — nie pamiętasz ani jednej twarzy. Bo tamtych nie kochałeś — bo tamte w tobie się kochały, a ty to tylko odczuwałeś. Ale Kama — czy zapomniałeś twarz Kamy? czy zapomniałeś, jakie drobne a liliowe ma ręce? czy zapomniałeś, jak pochylała kształtną głowę, kiedy niebieskie oczy topiła w tobie? czy pamiętasz, jak wiatr rozsypał jej raz włosy, które pomagałeś jej zebrać?

— Nie pamiętam — powtarzał z głuchym uporem, zamykając oczy, do których cisnęły się obrazy wspomnień.

— A czy pamiętasz słodycz pierwszego wydartego pocałunku?? — ten sam głos brzęczał przenikliwie.

August zbladł, lecz w tej samej chwili prąd gorącej krwi obiegł go od stóp do głów. Zaciął usta, na które wichura rzucała zimne krople deszczu. W gardle czuł ogień. Serce pracowało zawzięcie. Po czole, skroniach i policzkach przebiegały mu płomienie.

— Gdzie ucieknę? — szepnął do siebie z rozpaczą.

Wszystkie refleksye, wspomnienia, cały most logicznych rozumowań, po którym zdawało mu się, że przeszedł na brzeg trzeźwej działalności, zapadł się w nicość. Do oczu wdzierała mu się natarczywie twarz Kamy.

Przerażony wrócił do domu

— Dwa miesiące męki napróżno — rzekł do siebie, kiedy klucz przekręcił w zamku.

— To samo piekielne wspomnienie zżera mi nerwy.

Usiadł przy oknie, opierając głowę o ścianę.

Ale nie mógł patrzeć na ulicę. Każda sylwetka kobiety, przechodzącej chodnikiem, zdawała mu się być Kamą.

Zerwał się z krzesła i rozpoczął ten sam nielitościwy pochód po pokoju, którym mordował się do znużenia prawie codzień.

— Zatem co? co? co? — krzyknął na cały głos, aby zagłuszyć tysiące innych myśli, które pchały mu się do głowy.

— Jeszcze tak jeden miesiąc — rozmyślał — albo dwa, a choćby trzy lub cztery, a przyjdę do zupełnego rozstroju nerwowego. Właśnie wtenczas, kiedy mi się zdaje, że już zupełnie jestem ze sobą w porządku, wraca ta fala powrotna.

— Co to jest? co to jest?

Czy ja ją kocham??

Stanął na środku pokoju, dłońmi ścisnąwszy skronie i myślał całym wysiłkiem mózgu.

Ani jeden błysk świadomości nie dał mu na to pytanie żadnej odpowiedzi.

— Nie wiem — jęknął i dalej krążył po pokoju.

— Kiedy ją porównywam z mojemi myślami, kiedy ją stawiam obok siebie nad tym prądem wielkich idei, które mi duszę rozpierają, kiedy w bezsennych nocach podaję jej ręce na żywot wspólny, zdaje mi się być jakimś cieniem marnym, więdnie mi, jak liść cudownego narcyzu, żółknie i odpada.

— Ona nie dla mnie!

— Zdławi mnie swoją nicością duchową. Zbrzydzi mi wszystko to, co kocham, zabije moje dobre instynkty i chęci.

— Albo być czemś bez niej, albo razem z nią zmarnieć, jak nędzny chwast.

— Widzę to przeraźliwie jasno.

Plecami oparł się o ścianę, tuląc głowę do chłodnego tapetu.

— A wrócę do niej, kopnie mnie.

Wyciągnął pięść i groził tej dalekiej, która, jak złe mamidło, nachodziła go za dnia i po nocach.

— Nigdy nie wrócę.

Zerwał się z miejsca. Błyskawica jasnej myśli olśniła go. Z tryumfem rzekł do siebie:

— To będzie pierwszy mój czyn w życiu.

Fala energii przeniknęła go nawskroś. Zdumiał się, jak wszystkie płomienie wyrosłe ze wzburzonej krwi i z rozdrażnionej wyobraźni pogasły.

— Kto chce zwyciężać, winien zacząć zwycięstwo od siebie.

Duma napełniła go całego. Czuł, że jeden tylko krok dzielił go od wymarzonej przyszłości.

— A więc w tem tkwiłaby tajemnica podniesienia ducha? opanować zmysły i oczy zwrócić ku ogromnym rzeczom? — pytał sam siebie.

Chciało mu się płakać i śmiać zarazem z radości.

— Uratowany jestem — powtarzał przez łzy.

Prąd wartkiej myśli biegł przez jego mózg. Hodowane przez lata całe serdeczne pragnienia, wypieszczone fantazyą i gorącem sercem dobre uczynki, karmione rozmyślaniami i lekturą poglądy, entuzyazm płynący z krwi plemiennej i obracający w czyn najbardziej szlachetne i karkołomne pomysły — wzięły w posiadanie całą jego duszę.

— Czyż trzeba być określonym urzędowo człowiekiem, aby działać — rozumował — czyż trzeba mieć stempel na sobie i być ujętym w ramy ściśle określonego obowiązku, aby być użytecz-

nym? a kto będzie tym, kto nie kółkiem będzie w maszynie, ale wolnym duchem, idącym ku wizyom przyszłości?...

— Ku jakiej przyszłości? jak to pojmujesz? — stawiał sobie krytyczne pytanie.

— Raz już trzeba skończyć z tą mgłą uczuciową, która niema kształtów. Twoje wizye muszą mieć twarz i postać i chód, muszą między ludzi iść, więc jakież są?

— Jakie? jakie?

Mózg jego pracował z niesłychanem podnieceniem. Przelatujące idee odrzucał lub brał pod skalpel krytycyzmu. Wyrastała w ten sposób tłumna mieszanina jakichś niedokończonych, dziwacznych postaci myślowych, które zwijały się i kurczyły pod gwałtownym atakiem rozumowań. To, co w marzeniach fantastycznych zachwycało go nieraz i zdawało się niedoścignionym ideałem doskonałości, postawione nagle pod pręgierzem zuchwałej świadomości, rozsypywało się w proch... A im dłużej trwała ta bolesna dyagnoza, tem straszliwiej mściła się chłodna trzeźwość nad pięknemi urojeniami dawniejszemi.

— Tyle ich przepełniało mię nawskroś, tyle ich podnosiło mi pierś gorączką czynu, gdzież są teraz? wszystkie takie małe i nikłe?

— A może inne były, o których zapomniałem?

Skupił blask świadomości w jedną smugę światła i przechodził razem z nią przez pola pamięci — ale znajdował tylko szczątki lub pokrzywione karykatury tych idej, które go dawniej wzruszały.

— Czemże więc było to — zastanawiał się — co w godzinach samotności wzruszało mię i napełniało tęsknotą do czynienia wielkich rzeczy? czem były te wszystkie upojenia przedwczesne, które dawały mi smak zwycięstw i unosiły moje uczucia i fantazyę w dziedzinę cudownych przeobrażeń? czem to wszystko było?

Długo z zaciętością szukał odpowiedzi w głębi siebie samego. Wytężał wszystkie władze umysłu, aby nie wypuścić z rąk tego wątka rozumowań, który wiódł go przez labirynt sprzecznych poglądów, jak nić Aryadny.

— Szukałeś wyrazu — szepnął cicho jakiś głos w najgłębszych tajnikach jego duszy.

— Szukałeś formy, drogi...

Odetchnął.

— Niestracone są zatem lata mojej młodości — myślał — a już gotowy byłem przekląć je. Intuicyjnie lgnąłem do przyszłości tajemniczej i usiłowałem zedrzeć z niej zasłonę. Pozosta-

ło mi po tych wszystkich próbach zamiłowanie do przypatrywania się rzeczom odległym i do obejmowania szerokich widnokręgów... pozostało mi ukochanie i pożądanie lepszych form życia...

Ból rozkoszy przeniknął go całego.

— Przemienić życie. Zrobić je szlachetniejszem, lepszem...

Muzyka wzruszenia rozegrała mu się w piersiach.

— Kocham ludzi — szeptał — kocham ich bolesne rozterki, kocham ich straszną walkę o nikczemny, codzienny byt, kocham te poniżenia helotów o chleb jutrzejszy.

— Łamią się i giną...

— Ulżyć im — krzyczało w nim serce — ulżyć, bo padają z wyczerpania, bo psują się przez krzywdy... ulżyć im...

Płacz począł nim targać ogromny. Rozszlochały się w jego duszy wszystkie utajone umiłowania, wszystkie obumarłe, zobojętniałe porywy współczucia. W gorących łzach kąpał się jego duch i oczyszczał.

— W świat! — wołał głos wewnątrz.

Zerwał się i słuchał długo siebie samego.

— Gdzie iść i co czynić mam? zapytał wreszcie siebie z przerażeniem.

— Gdzie iść? i co czynić mam?

— Z kim?

— Dlaczego z kim? dlaczego nie sam?

— Przyzwyczajenie, cień Michasi.

Ale na dnie coś szeptało w nim znanymi mu dźwiękami... Zasłuchał się, wyławiał to echo idące z głębi świadomości... w oczach bysnęła mu twarz słodka pani Natalii...

— Z nią — głos szepnął.

Zadrżał.

— Dlaczego nie sam, lecz wiecznie ktoś przy mnie — pomyślał ironicznie — nie Michasia, to Kama, nie Kama, to pani Natalia, nie pani Natalia będzie inna!

— Dlaczego??

— Precz z czułostkowością. Już to raz dobrze powiedziałem Michasi. Czułostkowość zabijała całą moją energię. Teraz czas już zabrać się do działania. Muszę się przyjrzeć, jak drudzy pracują, jak męczą się, jak giną — muszę przejść przez piekło dantejskie nie moich własnych malutkich uczuć, ale przez piekło dantejskie, w którem rozgrywają się małe i wielkie tragedye...

— Moje notatki „O wartościach życia“ są może krytycznie piękne, ale w rzeczywistości całkiem fałszywe...

Stanął w oknie i patrzył na miasto.

— Tam iść i począć z nimi żyć.

Uspokoił się zupełnie. Myśl o Kamie zniknęła, natknąwszy się na szyderczy uśmiech. Barwne wspomnienia o niej pobladły i utraciły swój powab.

Rozejrzał się po swoim pokoju, jak po celi pustelniczej, w której trwał długo na pokucie.

— Wrócę tu — szepnął do siebie z dumą — ale inny.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Szybkim, elastycznym krokiem, z podniesioną głową, z rozpalonemi oczami podszedł do drzwi i odkręcił klucz w zamku.

Do pokoju wszedł doktor Sobica dziwnie zmieniony na twarzy i chudy.

August cofnął się mimowoli.

— Ty tu? — zapytał.

— Jak widzisz — odrzekł doktor stłumionym głosem. Nie wyrzucisz mnie za drzwi?

— Siadaj — rzekł August — nie bierz mi za złe mojego zdziwienia, ale byłeś niedawno w Krakowie, wiem także, że masz mnóstwo pracy w Warszawie, więc...

Sobica usiadł ociężale na podanem mu krześle. Patrzał z pod oka na Augusta, unikając jego wzroku. Brwi ściągały mu się co chwila skurczem nerwowym.

— Co cię sprowadziło? — mów — rzekł August, siadając obok niego.

Doktor skrzywił usta do uśmiechu, ale na wargach zjawiła się tylko bolesna linia goryczy.

— Postawiłeś trudne pytanie — odparł. Takie właśnie, na które przez całą drogę szukałem odpowiedzi, ale nie mogłem jej znaleźć.

August zastanowił się nad tem, coby go mogło tak bardzo rozstroić. Uderzył go wyraz twarzy doktora, jego zachowanie się niezwykłe i nieśmiałość.

— Byłżeby to ten sam Sobica zawsze brutalnie otwarty i brutalnie szczery? — pytał sam siebie.

— Słuchaj stary — rzekł do niego — z Warszawy nie przyjeżdża się do Krakowa dla fantazyi. Przed miesiącem byłeś tutaj w sprawach czysto naukowych, ale teraz? Na dnie musi być powód głębszy.

Sobica podparł głowę na stole obiema dłoniami i wbił wzrok w posiniałą od deszczu szybę okna.

— Jestem chory — szepnął.

August zadrżał.

— Andrzeju — wykrzyknął mimowoli. Obejrzał się na drzwi, na dzwonek, nie wiedział co począć.

Sobica skinął na niego ręką, aby się uspokoił — wziął go za rękę, przyciągnął do siebie i po chwili rzekł posiniałemi wargami:

— Otóż widzisz przyszła na mnie choroba pospolita. Żżera mię. Wybuchła przed dwoma laty. Zdawało mi się, że już ją opanowałem. Odciąłem wszelką łączność ze źródłem choroby. Byłem już nawet pewny zupełnego powrotu do zdrowia. Teraz wybuchła na nowo z taką siłą, że zdaje mi się, iż to mój koniec nadchodzi.

August porwał go za głowę i popatrzył mu w oczy. Były mętne, na dnie ich tłukło się widmo boleści.

— Rozkazuj — powiedział zmieniony na twarzy — zrobię wszystko co zechcesz.

Sobica wstał. Nie spojrzał nawet na Augusta. Przeszedł przez pokój tam i napowrót.

— Nie męcz się — szepnął August.

Doktor stanął przed nim. Po raz pierwszy utopił w nim swój wzrok długo, uporczywie.

— Auguście — rzekł po chwili — czy pamiętasz te lata spędzone razem na naukach? czy pamiętasz nasze rozmowy zaciekłe, bijące się o słowo, jak o wielką wygraną? czy żyje w tobie coś z tego dawnego Augusta, który nie miał przedemną żadnych tajemnic?

— Jestem dla ciebie tem, czem zawsze byłem.

— To dobrze. A więc posłuchaj:

— Usiadł przy stole. Ujął znowu głowę w obie dłonie, oparłszy się o stół i oczy utopił.

— Przed dwoma laty, kiedy powtórzyłem mój doktorat krakowski w Petersburgu i uzyskałem prawo praktyki w Królestwie, poznałem w Warszawie pannę, która wywarła na mnie wpływ straszny od pierwszej chwili.

— Nie dziw się — mówił dalej z goryczą — nie ostrzelałem się z temi rzeczami tak jak wy. Nie miałem na to czasu, aby flirtować. Znałem kobietę z prosektoryum, znałem zwiędniętego trupa, którego krajałem. Znałem także tę uliczną kobietę, która szuka mężczyzny dla zarobku i którą porzuca się, jak zgniły owoc z niesmakiem na ustach. Ale kobiety tej, która ma czar młodości, która jak kwiat chyli się do słońca miłości, nie dotknięta lancetem ani pokalana sprzedajnością — takiej nie znałem. To były dla mnie lotne świtezianki, krążące nad czystą wodą.

August słuchał go ze współczuciem.

— Ale rozumiesz — ciągnął dalej doktor jak to podobno bywa, zanim miałem czas zastanowić się, co się ze mną dzieje, zanim zdołałem zdać sobie sprawę wśród jakich warunków, słyszysz? powtarzam, wśród jakich warunków potoczy się cały dalszy proces, było zapóźno. Stała się dla mnie wszystkiem.

— Śmieszne słowo „wszystkiem“ prawda? — mówił z goryczą, zwracając twarz w stronę Augusta — ale cóż, tak jednak było. Teraz powiem ci, że panna ma rodziców, którzy dorobili się majątku milionowego, którzy zapomnieli z czego wyszli, od czego zaczęli i odcięli się chińskim murem materyalnej niezależności od nas proletaryuszów zarobkujących.

August mimowoli podniósł się z siedzenia. Słowa Sobicy piekły go. On tego nie zaznał.

— Hahaha, rozumiesz — odezwał się znowu doktor po chwili milczenia — ja, praktykujący lekarz w szpitalach warszawskich, zarabiający miesięcznie 50 rubli, a w nadzwyczajnych okresach śmiertelności 60 rubli, miałem starać się o rękę tej panny, której rodzice należeli do arystokracyi dorobkiewiczów! Czy słyszałeś o czemś bardziej potwornem? Jeszcze taki proletaryusz jak ja zakochany w pannie o dziedzicznej fortunie i mitrze ma prawo do szacunku, bo siła kontrastu przemawia za nim, ma za sobą kolory bajki. Ale cywilizowany chłop jak ja, lekarz zarabiający na dziurę mieszkalną na trzeciem lub czwartem piętrze i ona, córka może także chłopa, może mieszczanina, który dochrapał się fortuny i odrazu stał się w stosunku do takich jak ja Panem Bogiem — czy można wyobrazić sobie coś gorszego pod względem ustosunkowania?

— Otóż mój drogi, ja mam swoją ambicyę, ambicyę wykształconego chłopa, na którego u nas wskazuje się palcami w salonie i o którym mówi się za plecami sąsiada: chłop, jakby to było zbrodnią dokonaną przeciw prawom świata. Mam tę ambicyę. To, co się działo w mojej duszy zakopałem na dno samo. Po roku zerwałem wszelkie stosunki, przestałem naprzykrzać się, przestałem odbierać apetyt mamie i papie. Wziąłem się do pracy. Prosektoryum, łóżko chorego na tyfus, biegunkę albo raka, pozieleniałe od wilgoci dziury wyrobników, które Opatrzność uszczęśliwiała czterdziestu dwoma stopniami gorączki, to było moje pole bitwy. Jak pies od rana do wieczora goniłem za tą strawą obowiązku i wrażeń. Trup młodej dziewki pchniętej w brzuch nożem, z której wypływały czerwone wnętrzności i posiniały noworodek, albo trup wyschniętej staruszki, którą głód na ulicy zabił i z której skórę zdejmuje się jak wosk, bo tuż pod

nią piszczele czyściutkie wyrzynają się jak gotyk; albo trup murarza, który uważał za stosowne rozbić łeb o bruk przy budowie pałacu—to były czary życia, jakiemi pasłem się codzień. I tak przeganiałem wspomnienia o niej z dnia na dzień, tydzień po tygodniu. Coraz rzadziej odwiedzał mnie jej cień. Już przestał stawać między mną a umierającemi. Czasem jeszcze, kiedy wyczerpany rzuciłem się w swojej dziupli na łóżko o dwunastej lub pierwszej w nocy, stawała jej postać przy mnie i tuliła głowę do mojej ręki. Paliła mnie ta ręka, jak paliła! — powoli i to powtarzało się coraz rzadziej...

August słuchał przybity, złamany. Słowa doktora padały mu kropla po kropli w serce, jak rozżarzony ołów. Mówić nie mógł — ból ściskał mu gardło.

— Co się stało, spytasz? — rzekł Sobica świszczącym głosem — przyszła sama na mój wykład i zawiozła mnie do siebie. Uległem, pojechałem — i odtąd wszystko poszło wniwecz. Koniec ze mną. Po nocach wyję z bólu i rozpaczy, gryzę poduszkę, gotów jestem kraść, byle wyrównać różnice majątkowe między nami, gotów jestem zaprzeć się ojca i moich braci, byle zetrzeć z siebie stygmat chłopstwa — w dzień nad trupami i chorymi tańczą mi jej oczy — słyszę jej głos, pachną mi jej włosy — koło mnie chodzi już obłęd.

— Andrzeju! — jęknął August przestań już mówić. Rozumiem ciebie Andrzeju — krzyczał przez łzy — dam ci majątek, bierz.

Sobica spojrzał na niego wściekłemi oczami. Zerwał się jak szalony z miejsca.

— Milcz — ryknął zduszonym głosem — kradnę i zabijam, żebrzę ale tylko tam w swojej podłej dziupli, na jawie albo we śnie, ale nie wśród ludzi!!

August cofnął się pobladły.

Sobicy zakręciły się łzy w oczach, płacz huczał mu w piersiach, wahał się, wreszcie otwarł ramiona a August padł mu w objęcia i przytulił twarz do jego rozpalonego policzka. Spazmatyczny szloch wydobywał się z piersi Andrzeja.

— Bratem ci jestem — szeptał August — nigdy nie przestałem nim być... Uspokój się, pomówimy. Znam ludzi w Warszawie. Trafimy do nich. Zrobię wszystko dla ciebie, co będę mógł.

Sobica uścisnął mu rękę. Opanował się.

— A teraz — rzekł — powiem ci jeszcze jedną rzecz, bardzo podłą, bo ją zataiłem. Nie umyślnie, ale mi przez gardło przecisnąć się nie chciała. Mimo to, podła.

— Mów.

Sobica popatrzał mu z pokorą rozpaczliwą w oczy, jakby chciał wyczytać w nich wyrok śmierci lub życia.

— Czy ty znasz Kamę Kolecką? — zapytał chrapliwie — i czem ona jest dla ciebie?

August zdrętwiał. Jakaś dłoń lodowata nagle objęła mu serce i zmroziła mu krew. Czuł, jak krople chłodne spadały mu w głąb wewnętrzną jedna po drugiej. Zbladł.

— Znam odpowiedział zmienionym głosem.

— Wiem, sama mi to mówiła, ale czem jest dla ciebie?

August przeciągnął ręką po czole. Miał odpowiedź na ustach, ale nie mógł jej wymówić.

Sobica położył mu rękę na ramieniu. Patrzył mu teraz natarczywie w oczy.

— Nie przyjechałem prosić cię o pomoc, o nie! tacy jak ja sami dają sobie radę w życiu. Chciałem cię zapytać, czy jest twoją, czy — zawahał się, lecz skończył głucho — niczyją.

— Mów — rzekł twardo, potrząsając nim — nie potrzebuję żadnej łaski. Zerwałeś z nią zupełnie, czy też zerwałeś, jak ja przed rokiem? Ona mówiła o tobie dużo i gorąco. Powiedziałem ci wszystko. Teraz ty mów. Co jest między wami? flirt, czy to, co we mnie?

Błyskawica świadomości przeleciała przez mózg Augusta.

— Mówiła o tobie dużo i gorąco — echo jakieś wewnętrzne szeptało.

— A twoja przyszłość? — nagle zagadnęła pamięć i bluznęła mu w twarz chłodnym wiewem.

August był już panem siebie. Wziął za rękę Sobicę, uścisnął go mocno i rzekł sucho:

— Porzuciłem ją, bo ona nie dla mnie.

— Nigdy do niej nie wrócę.

Sobica zatrząsł się. Opuściły go siły wszystkie. Oparł się z wysiłkiem o krzesło, musiał usiąść.

— Dziękuję ci — szepnął.

August nabrał pewności siebie.

— Podobała mi się, może kochałem nawet, ale to było przelotnie. Od dwóch miesięcy nie staram się nawet dowiedzieć, co porabia w Warszawie.

— Jeżeli to nazwiesz miłością — dodał ze śmiechem ironicznym — w takim razie jestem zakochany.

Sobica u´miechnął się lekko.

— A ty co myślisz teraz począć? — zapytał August po chwili, pogwizdując wesoło — bo rozumiesz, że moja pomoc w tych warunkach byłaby trochę okrutną.

— Ja? — odrzekł doktor, ocknąwszy się z zamyślenia — ano, zobaczymy.

Wstał.

— Ciągnie mnie, rozumiesz? — mówił dalej, błyskając ponuro oczami — uważasz, miałem służyć za przynętę na ciebie. Ale pal dyabli jej zamysły, dość, że mnie ciągnie do siebie. A uważasz, jak mnie kto ciągnie, to ja idę i już nie cofam się, chyba niebezpiecznie dla drugich. Ja sobie to tak przedstawiam.

Dreszcz przebiegł Augusta. Z obawą spojrzał w oczy doktora, które miały błyski szydercze w źrenicach.

— Naprzód owszem — dorzucił złośliwie Sobica — w tył nigdy, chyba razem ja i ona! hahaha.

— Co robisz wieczorem? — zapytał August, aby zwrócić rozmowę na inne tory.

— Wracam do Warszawy odwrotnym pociągiem. Czas już na mnie mój stary — odrzekł doktor.

Rzucił mu się na szyję i wycałował serdecznie.

A od drzwi dorzucił:

— Dowiesz się reszty albo z listu mojego, albo z dzienników... hahaha!

Wyszedł.

August stał długo pod drzwiami. Chciał zawołać na Sobicę. Wiedział, że miał mu coś do powiedzenia, ale w żaden sposób nie mógł uprzytomnić sobie co.

— Dowiem się o nich z dzienników — powtórzył machinalnie — dlaczego z dzienników?

Uczuł pustkę dokoła siebie jak chory, któremu ucięto raz na zawsze rękę. Wyparł się Kamy. Postąpił tak, jak mu to wskazywał rozum. Ale na dnie serca żal jakiś dziwny grał mu muzykę smętną. Coś na zawsze zapadło się w morze niepamięci, co nie miało już prawa do powstania.

— Stało się — szepnął — zostałem sam.

Chłód go obszedł całego. Pokój wydał mu się więzienną celą, z której powinien uciekać czemprędzej. A już na żaden sposób nie chciał dopuścić do tego, aby mózg jego począł zastanawiać się nad tem, co się stało. Łaknął ludzi, rozmowy. Byle zagłuszyć się, byle zabić ten płacz, który zrywał mu się w piersi.

Wszedł szybko do pokoju jadalnego.

Stary Franciszek czyścił lampę.

— Czy pan starszy jest w domu?

— Tak paniczu, u siebie.

August zapukał do pokoju ojca.

— Kto tam? — odezwał się głos suchy, surowy.

— Swój.

— Wejdź.

August uchylił drzwi i wsunął się do gabinetu ojca. Tu story już były spuszczone i lampa paliła się na biurku.

— Możesz usiąść.

August zajął miejsce w kącie sofy. Światło lampy podziałało na niego orzeźwiająco. W pokoju ojca było cicho i ciepło. Przez zamknięte szczelnie okna nie dochodził gwar ulicy. Każdy sprzęt miał tu wyznaczone stałe miejsce i świecił czystością.

Naprzeciw sofy, na której usiadł August, wisiał duży, olejny portret jego matki, która patrzyła na syna słodko i smutnie zarazem.

Pod ramami obrazu wisiała wiązanka cierni, przepięta czerwoną wstążką...

Ojciec siedział przy biurku, jakby nie było nikogo w pokoju, i czytał dalej jakieś pożółkłe papiery.

— Inny świat — pomyślał August — daleki od naszych codziennych, płaskich tragedyj. Poczynam pojmować ojca.

Niezmącona niczem cisza zalegała pokój. Tylko brzęk starego zegaru odliczał sekundy uciekającego życia...

— Mój dawny kącik — przypominał sobie z uczuciem radości — ileż razy, małym chłopcem będąc, wsuwałem się do tego pokoju, jak dziś, i zajmowałem na sofie to samo miejsce, co teraz. Upływały godziny a ojciec czytał... a ja roiłem sny ogromne, zapatrzony w jego postać schyloną nad książkami i w portret matki.

— Ile razy przenoszono mię stąd śpiącego do łóżka. Otwierałem oczy, a nademną pochylała się uśmiechnięta twarz Michasi lub zafrasowana twarz ojca.

— Dawno tu nie byłem — rozpamiętywał — już bardzo dawno. Ojciec zamyślony. Może zdawało mu się, że to mały Gustek wsunął się do pokoju?

Głowa czytającego nagle wyprostowała się tknięta jakąś nagłą myślą.

— Czy tu jest kto? — zapytał mimowolnie pan Henryk.

— Jestem ojcze — odpowiedział August.

— Jesteś — odwrócił się do niego.

Z pod zwisniętych brwi spojrzały na Augusta oczy pełne melancholii i szczerości.

— Dobrze, że przypomniałeś sobie o starym ojcu. Wiem, wiem. Nie usprawiedliwiaj się. Czas twój leci. Wiem, wiem. Mój czas stoi. Ale i tak oba zejdą się razem... później, później... we wieczności...

— Myślałem o tobie w tych dniach — mówił dalej pan Henryk — ale nie chciałem cię zaczepiać. Widziałem, że cię dusi jakaś zmora i że się z nią mocujesz.

August uśmiechnął się.

— Przyszedłeś do mnie. To dużo znaczy. Ja sobie to ważę. Pamiętaj o tem Auguście, że ile razy burza cię zaskoczy i będzie ci duszę wypijała, przyjdź tutaj. Dalecy jesteśmy, ale się pogodzimy. Twój świat śpieszy się naprzód, mój stoi, ale się pogodzimy.

Upłynęła długa chwila milczenia.

Pan Henryk przechylił się przez krzesło. Blask lampy padał mu na siwiejącą głowę. Wyciągnął rękę w stronę syna i zagadnął:

— Cóż Auguście? jakąż mi przynosisz odpowiedź z waszego świata?

Zapytany spojrzał ze zdumieniem na ojca. Nie rozumiał pytania.

— Zapomniałeś. Przypomnę ci. Czy wiesz, jaką była nasza ostatnia poważna rozmowa? Powiedziałem ci wtenczas, kim ja jestem, ja, ten, który się bił za siebie i za drugich, ten, który patrzył na ciosy, ten, który nie zapomniał krzywd wymierzonych nam wszystkim... powiedziałem ci, żem żołnierz do końca życia na placówce...

August pochylił głowę. Słuchał smutny.

— Napadłeś na mnie wtenczas — mówił dalej pan Henryk natężonym głosem — w imię twoich ideałów. Ale miałeś ich tak wiele, że kłóciły się ze sobą. Nie miałeś swej własnej drogi. Miałeś sto ukochanych celów i żadnego. Nie byłeś tym kimś, który stał na własnej placówce — byłeś tylko przelotnym ptakiem z jednej krainy idei do drugiej. Nie rozumiałeś mnie, choć ja rozumiałem ciebie. Może dziś zrozumiemy się.

August wcisnął się w głąb sofy, jak mógł najdalej. Malał we własnych oczach do rozmiarów robaka, który pełza i stanął nagle przed olbrzymiem światłem.

— Do kogo więc mówię? — pytał pan Henryk uporczywie — kim jesteś Auguście? nie pytam się o to, jakie spełniasz obowiązki społeczne, te zewnętrzne, które stwarzają wszelkie rodzaje urzędów i stanowisk, pytam się o to, kim jesteś, jako cząstka narodu? czy idziesz przed się bezmyślnie, niesiony prądem, który

nie zależy od ciebie i na którego bieg nie masz najmniejszego wpływu, czy też pracujesz nad nową ścieżką, która może zamienić się w wielki gościniec w przyszłości. Możesz mi odpowiedzieć?

Słowa jego padały jak ołowiane kule na pierś Augusta. Jakiś nieukojony, fanatyczny napór szedł od tej wyschłej postaci, która pod blaskiem lampy nabierała ostrych rysów. Oczy pana Henryka ani na sekundę nie ześlizgnęły się z twarzy Augusta, onieśmielając go blaskiem żelaznej woli. Dźwięk głosu oschły miał tony ogromnie smutne i bolesne, i to jeszcze bardziej podnosiło urok słów...

August milczał. Rozumiał, że każde tłómaczenie wobec tego starca byłoby pustą frazeologią. W oczach stanęła mu jak żywa, owa gorąca rozmowa z ojcem, w której wojował młodzieńczym entuzyazmem w obronie nieuchwytnych, nowych ideałów. Minęło lat kilka od tego czasu — a on stał w tym samym martwym punkcie. Nie posunął się ani na krok dalej naprzód, przeciwnie cofnął się, bo stracił zapał.

— Nie masz ani słowa jednego na odpowiedź — zagadnął po chwili pan Henryk. Twoja praca zatem, była tylko pracą wiatraku? poruszałeś skrzydłami w tę stronę, ku której dął wicher?

— I dużo jest takich, jak ty, w nowem pokoleniu? — pytał dalej, coraz bardziej szyderczo i boleśnie? — któż dziś tworzy czoło narodu? a może obce jest wam to słowo? obchodzicie się bez niego? Idziecie ławą, jak śledzie w czasie tarcia?

Wstał ogromny, bez ruchu, tylko palce prawej ręki szarpały nerwowo klapę surduta.

— Czemże więc jesteście wy, których życie wydało? Na ustach, póki młodzi, macie płomienie, a potem co się z wami dzieje? wypalacie się? przez co? dlaczego? Co zostało z całej burzy waszego krzyku? co? powiedzcie, co?

Krzyknęliście: Wywiedziemy nową przyszłość z przemysłu. Postawiliście na ołtarzach i we wszystkich zakątkach boga handlu i wizerunki fabryk. Pomyśleliście, że trzeba zamienić się w Fenicyan, aby dojść do celu... A wiecież przez co plemię Fenicyan zmarniało?

August pomyślał, że tak mogłoby stanąć przed nim jego własne sumienie w postaci ojca, i mogłoby wyrywać powoli z ciała jego żywe mięso. Nie śmiałby się bronić.

Pan Henryk wyżej podniósł głowę.

— Zaprzedaliście siebie nikczemnościom życia. Zamiast wielkiego ukochania macie tylko miłostki. Wasze ideały, to nie kochanki do grobu, ale divy błyskotliwe na dziś i na jutro — poju-

trze kolej przychodzi na nowe przelotne damy. Do wszystkiego przyłożyliście miarę miłostki. I dlatego zużywacie się na nic, wypalacie się na popiół i gnijecie, jak pająki na własnych sieciach. Jesteście milion — ale każdy z osobna jest kaleką duchowym.

— Czy masz mi co do powiedzenia na to?—zapytał po chwili rozżalonym głosem.

Usiadł na tem samem miejscu. Plecami oparł się o poręcz fotelu, oczy zamknął, oddychał ciężko.

— Nic i teraz nic — odezwał się szeptem, nie słysząc odpowiedzi syna.

— Rzekłeś ojcze — odrzekł August złamany i wyczerpany.

Staroświecki zegar odmierzał stłumionem tykaniem czas uciekający w przeszłość. Pan Henryk milczał i jakby zasłuchany w pochód nieustanny chwil, które jedna po drugiej mijały w nieubłaganym porządku i spokoju... Każda myśl, rzucona na fale tych sekund, uciekała z przed oczu, jak gałązka brzozy, rzucona na głęboką toń rzeki, która powoli, lecz niepowstrzymana, płynie ku morzu...

— Słyszysz Auguście — szepnął wreszcie — jak czas uchodzi w wieczność dokonaną? razem z nim wszystko ulatuje i to, co się stało przez nas i to, co zmarniało przez nas, i to, co niespełnionem zostało... tak może upłynąć czyjś żywot od kolebki do grobu... fale unoszą wszystko w przeszłość.

— Zawiodłem się na tobie — rzekł w końcu i zamilkł. Siedział nieruchomy. Mogłoby się zdawać, że życie z niego uszło. Ale z pod powiek wysunęły się ciężkie łzy, które zawisły na powiekach, długo ważąc się, póki nie spłynęły po twarzy.

August pasował się ze wzruszeniem, które go ogarniało. Jakaś siła przemożna podnosiła go z miejsca i ciągnęła ku ojcu. Nareszcie zerwał się i przypadł mu do kolan. Położył głowę na dłoniach zimnych, wyschłych. Stłumiony jęk wydzierał się z jego piersi.

Pan Henryk pochylił się nad nim.

— Przyszedłeś do mnie — mówił cicho — po tylu latach ze łzami zamiast z pocieszeniem. Na co obróciłeś wolność, którą ci dałem? Ku czemu służyła ci niezależność, którą ci dałem?

— Winien jestem, po tysiąc razy winien jestem — odpowiadał August — nie mam nic, coby mię mogło tłómaczyć.

Usta pana Henryka zadrżały.

— Biedna twoja matka — wyszeptał — przed śmiercią ucałowała cię w kolebce i życzyła ci, abyś był żołnierzem, gdziekolwiek życie cię postawi.

W piersiach Augusta pękła ostatnia obojętna struna. Serdeczny płacz targał nim do głębi. Ze łzami spływał nieukojony żal, ból i wstyd.

W czerwonym blasku krwi stanęła mu w oczach jego idylla nadmorska. Kuszące oczy Kamy świeciły, jak rozżarzone węgle przez tę czerwień... przypomniały mu się nieprzespane noce w czasie których wił się w torturach pożądania.

— A sięgnij jeszcze dalej w przeszłość — szepnął w nim głos wewnętrzny.

Zamknął oczy. Usta wykrzywiły mu się skurczem goryczy i przykrości.

Przez wyobraźnię jego gnały jakieś postacie kobiece, niesione wichrem pamięci, a każda miała inne włosy i kształt, i oczy, lecz wszystkie miały czerwone, rozchylone pragnieniem usta.

Każdej z nich poświęciłeś cząstkę swoich najdroższych uniesień — jęczały w nim jakieś rozżalone echa, które zrywały się coraz liczniejsze i bardziej śmiałe.

Otworzył oczy przestraszony. Nad nim pochylała się, oświecona blaskiem żółtawym lampy, twarz stroskana ojca. W gardle dusił go straszliwy ryk, który chciał wybuchnąć.

— Zmarnowałeś życie — krzyczała czereda widm surowych, które hulały po kątach pokoju i wyciągały ku niemu ręce.

— Byłeś jak ta brudna piana na falach morskich, którą tuli się do skał wybrzeżnych, bo ma strach przed ogromem.

Nie jak ptak szybowałeś po przestrzeniach wolnych, ale byłeś jak pył nikczemny, który deszcze wdeptały w ziemię...

— Imię twoje jest nic...

August otworzył szeroko oczy.

— Ciągnijmy go za włosy po ostrych kamieniach i po ostach, bo ducha wielkiego był, a upodlił się i zmarniał i nie dokonał niczego...

— Ojcze — krzyknął August.

Czuł, że setki zakrzywionych piszczeli sięga po jego głowę z mrocznych kątów pokoju. Skurczył się i drżał jak w febrze.

Pan Henryk położył ręce na jego głowie.

— Idą na mnie! ratuj — ciągną mnie za włosy — krzyczał August i zerwał się, jak szalony. Jednym skokiem znalazł się na sofie i wcisnął się w kąt.

— Upamiętaj się — wołał pan Henryk zdumiony — upamiętaj się. Jesteś razem ze mną. Co tobie się przywidziało?

August spojrzał przytomnie. Widma zniknęły. Zakrył twarz rękami.

Pan Henryk usiadł obok niego smutny i zbolały.

— Nerwy panują nad Tobą — rzekł po chwili — to źle Auguście. Zaglądaj częściej do mnie... może tu uspokoisz się prędzej, niż gdzieindziej... może usta twojej matki powiedzą ci rzeczy, których nikt ci powiedzieć nie zdoła.

August podniósł rękę ojca do ust i długo trzymał ją przy rozpalonych ustach.

— Pamiętaj — mówił dalej pan Henryk — że wzięliśmy się z przeszłości i dla tej przeszłości winniśmy budować doskonalszą przyszłość. Kto z nas wie, jak dokona się nasze odrodzenie — czy tak, jak przeszłość myślała, czy w innej, szlachetniejszej formie. Ale nikomu z nas nie wolno rąk opuszczać... Pamiętaj o tem, że nasza przeszłość fanatycznie łaknęła wschodu słońca... Nie wahała się nawet życia dawać i krwi... Czy trud jej ma iść na marne?

— Zaglądaj do mnie — prosił dalej — a kiedy cię opadnie niechęć i zgorzknienie, przyjdź i dotknij się tej wiązanki cierni, która wisi pod portretem twojej matki. Wstążka, która je wiąże, w krwi była zmaczana tych, którzy łaknęli wschodu słońca...

Umilkł i pochylił głowę...

August siedział nieruchomo, patrząc przez łzy na portret matki. Pomyślał, że pewnego wieczoru, kiedy wróci złamany do pokoju ojca, na cierniach ukażą się czerwone rubiny krwi...

D-r T. Konczyński.

# Sztuka a iluzya.

Cechą charakterystyczną metafizyki od czasów najdawniejszych było dążenie do wyprowadzenia całokształtu zjawisk z jednej zasady. Dążenie to da się dostrzedz zarówno u najstarszych filozofów jońskich, jak i u filozofów wieku XIX — i przekonanie, że jedynie objaśnienie z jednej zasady jest w stanie dać zupełne rozwiązanie, zapuściło w umysłach ludzkich korzenie tak głęboko, że bywa nawet przez tych podzielane, którzy o metafizyce niewiele wiedzą lub też nie chcą o niej wiedzieć.

## I.

I w estetyce, uważanej dziś jeszcze przez niektórych uczonych za część integralną filozofii, pogląd ów był podzielany przez wielu. Do badaczów tego rodzaju należy też profesor uniwersytetu w Tybindze, Konrad Lange. Założeniem jego wielkiego dwutomowego dzieła [1]) jest twierdzenie, dla autora zrozumiałe samo przez się, że wystarcza znaleźć jedną jedyną cechę, odróżniającą wszelkie przeżycie estetyczne od każdego innego stanu psychicznego, aby rozwiązać wszystkie zagadki estetyczne. Znalazłszy ową cechę, jesteśmy w posiadaniu tej differentia specifica, która nadaje piętno charakterystyczne wzruszeniom estetycznym. Że twierdzenie powyższe jest zasadniczym założeniem Langego,

[1]) Das Wesen der Kunst. Grundzüge einer realistischen Kunstlehre. Berlin, 1901.

dowodzą jego wywody, iż każde zadowolenie estetyczne jakiejkolwiekbądź treści jest zawsze skutkiem tej samej przyczyny. Przyjemność, sprawiona nam przez utwory artystyczne, jest w rzeczywistości zawsze identyczna, i rzekome różnice, znajdywane jakoby w rozmaitych dziedzinach sztuki, nie są więc różnicami natury estetycznej. Ów proces duchowy, stanowiący powyższą „differentiam specificam“ wzruszenia estetycznego, jest bezpośrednią przyczyną rozkoszy. „Należy sobie uprzytomnić — twierdzi Lange — że przyczyną owego procesu duchowego nie jest ta czy inna treść, lub ta czy inna forma, lecz pewien określony stosunek pomiędzy treścią i formą z jednej strony, a pewnemi wyobrażeniami, znajdującemi się w świadomości jednostki podczas trwania wzruszenia estetycznego, z drugiej strony. Zwolennik klasycyzmu i naturalizmu rozkoszują się sztuką nie w różny sposób, lecz wnoszą z sobą inną treść świadomości wobec tego, że jeden ma to, drugi zaś inne wyobrażenie o przyrodzie. Z tego też wynika, że dzieła sztuki, przez nich za piękne uznane, muszą posiadać różną treść i formę, gdyż każdy z nich wymaga od utworu, aby odpowiadał jego własnym wyobrażeniom o przyrodzie. To oczywiście nie dowodzi, że proces duchowy, który w nich zachodzi podczas zwruszenia estetycznego, jest różny. Jakkolwiek części mogą być rozmaite, stosunek jednak pomiędzy temi rozmaitemi częściami może być zupełnie ten sam.“

Z założenia tego wypływa więc, że przyczynę zadowolenia estetycznego stanowi nie forma lub treść dzieła sztuki, lecz pewna swoista, odrębna forma procesu duchowego. Teoryę tego rodzaju, kładącą nacisk na *formę przeżyć*, możemy nazwać formalizmem psychologicznym, którego nie należy mieszać z tak zwaną „estetyką formalną,“ stwierdzoną przez filozofa niemieckiego Herbarta i jego szkołę (Robert Zimmerman, Hanslick i inni).

Na czem więc polega według Langego owa różnica pomiędzy przeżyciem estetycznem, a wszelkiem innem? Jak się nazywa ów proces, owo przeżycie, dzięki któremu da się odróżnić prawdziwe dzieło sztuki od jego surogatów, a więc od figur woskowych w panopticum, od kinematoskopów, tworów sztuki kulinarnej i t. d.? Różnica ta, twierdzi Lange słusznie, nie polega na różnicy pomiędzy zjawiskami psychicznemi a zmysłowemi, gdyż i zjawisko zmysłowe jest zjawiskiem psychicznem. Otóż — *iluzya* jest tem wielkiem słowem, które oznacza różnicę pomiędzy wszelką sztuką a tem, co nią nie jest. Iluzya, złudzenie jest ową jednolitą zasadą, która zaciera wszelkie różnice pomiędzy dziełami sztuki, należącemi do najróżnorodniejszych dziedzin. Lange obja-

śnia to na przykładzie. Portret Velasqueza, przedstawiający króla hiszpańskiego, Filipa IV na koniu i jeździec cyrkowy mają z sobą wiele wspólnego. A jednak wrażenie, jakie na nas wywierają, nie jest jednakowe. Jedynie portret sprawia nam trwałe zadowolenie, gdy tymczasem jeździec cyrkowy jest w stanie zająć nas co najwyżej tylko powierzchownie. „Cała różnica," powiada Lange, „polega na tem, że jeździec namalowany jest *tylko* namalowany, to znaczy martwy, jeździec zaś rzeczywisty jest przeciwnie żywy. Otóż zdawałoby się, co prawda, że jeździec żywy ma więcej danych do podobania się, gdyż oczywiście w warunkach normalnych twory żywe podobają nam się bardziej, niż rzeczy martwe, ruch bardziej, niż brak ruchu. Z tego wyciągam wniosek, że bezpośrednią przyczyną naszego zadowolenia estetycznego jest nie treść postrzeżenia zmysłowego, tu—obraz, tam—jeździec, lecz raczej proces duchowy, dołączający się do owego postrzeżenia zmysłowego. Ten proces duchowy jest w obu wypadkach rozmaity, gdyż patrząc na portret, wyobrażamy sobie, że jeździec żyje, przeobrażamy martwego jeźdźca w żywego." Zadowolenie estetyczne według Langego polega jedynie na stopniu i sile iluzyi, jaką nam artysta w dziele sztuki narzuca.

Lecz iluzya ta, w danym razie iluzya wyobrażeniowa, złudzenie to jest zupełnie odrębne i swoiste. To nie zwykłe złudzenie, będące źródłem wielu gorzkich rozczarowań w życiu codziennem, a powstające wtedy, gdy wierzymy w rzeczywistość czegoś, co rzeczywistością nie jest. Iluzya jest zazwyczaj skutkiem omyłki subjektywnej, naszej własnej, lub też oszustwa innych. Iluzya artystyczna jest iluzyą zupełnie innego rodzaju, jest „świadomem samozłudzeniem." Jednostka, rozkoszująca się dziełem sztuki, ma w świadomości swej nietylko treść iluzyi, lecz i fakt iluzyi, jako taki. Iluzya więc estetyczna w porównaniu z iluzyą zwykłą jest o cały proces duchowy bogatsza: jednostka mianowicie *wie*, że podlega iluzyi. Lange twierdzi z naciskiem, że podczas zadowolenia estetycznego mamy w świadomości jednocześnie dwa szeregi wyobrażeń, gdyż po pierwsze, zdaje się nam, że iluzya ta jest rzeczywistością, po drugie zaś, uświadamiamy sobie, że iluzya ta jest iluzyą. Lange zapewnia w tem miejscu, że chodzi tu o „jaknajdokładniejszy psychologiczny opis jaknajwyraźniejszego procesu duchowego."

Jeżeli zadowolenie estetyczne polega na iluzyi, powstaje pytanie, dlaczego w warunkach normalnych dzieło sztuki nie wywołuje w nas iluzyi zwykłej, najpowszedniejszej. Co czyni iluzyę tę iluzyą świadomą? Przez co jest uwarunkowana owa świa-

doma iluzya? Przez czynniki, przeszkadzające iluzyi, przez czynniki, iluzyę tę niweczące—brzmi odpowiedź. Dzięki tym właśnie czynnikom, złudzenie zwykłe staje się złudzeniem świadomem, dzięki nim właśnie odróżniamy zadowolenie estetyczne od pospolitej iluzyi. Do tych czynników, przeszkadzających iluzyi, należą według Langego w malarstwie—rama obrazu, jego dwuwymiarowość, bezruch; w plastyce—cokół, brak ruchu i barwy; w sztuce aktorskiej—fakt kupna biletu przy kasie, podwyższenie widowni w porównaniu z salą, w której znajdują się widzowie; podczas czytania—czarne litery na białym papierze, sam proces czytania i przewracania kartek; podczas słuchania muzyki — symboliczne przedstawianie wyrazu uczuć, ruchy muzyków, całe otoczenie sali koncertowej i t. d. W tem miejscu zauważymy jedynie, że to powoływanie się na czynniki, niweczące iluzyę, doskonale nadaje się do zniweczenia iluzyi jej autora, co do wartości jego teoryi.

Przyjrzyjmy się dokładniej iluzyom, warunkującym zadowolenie estetyczne. Lange odróżnia trzy rodzaje iluzyi: po pierwsze iluzyę wyobrażeniową, po drugie iluzyę uczuciową i nastrojową, po trzecie iluzyę ruchu i siły. O iluzyi pierwszego rodzaju—wyobrażeniowej była już mowa, gdyśmy dawali ogólną charakterystykę iluzyi estetycznej. Ten rodzaj iluzyi nie sprawił autorowi wielkich kłopotów, gdyż w tem miejscu nawiązuje on swoje teorye do popularnych, a zarazem błędnych poglądów o związku pomiędzy naśladownictwem a sztuką. Dla malarstwa i rzeźby może pogląd ten posiadać na pierwszy rzut oka pewien cień prawdopodobieństwa. Jak to często bywa, tak i tu cecha poboczna została wzięta za istotną. Jeżeli niektóre rodzaje dzieł sztuki zgadzają się pod względem treści z rzeczywistością, to jest to jedynie uwarunkowane tem, że nasz zasób wyobrażeniowy nie jest nieograniczony. W dziedzinie wyobrażeń wzrokowych nie jesteśmy w stanie stwarzać zupełnie nowych treści, możemy jedynie kombinować pierwiastki, spotykane w rzeczywistości i dlatego też artysta musi czerpać materyał swój ze świata rzeczywistego. Że nie jest to jednak bezwarunkowo konieczne, i że z tego punktu widzenia zgodność sztuki z rzeczywistością jest raczej przypadkowa, dowodzą muzyka i architektura. W przyrodzie nie spotykamy czystych dźwięków, które, jak wiadomo, stanowią materyał surowy muzyki, ani ich kombinacyj, lecz jedynie szmery, których charakter, wysokość i natężenie nie da się określić. W dziedzinie wyobrażeń słuchowych, w świecie tonów, twórczość nasza ograniczona nie jest właśnie z tego powodu, że świat zewnętrzny nie narzuca nam swych wzorów. To też nikomu nie

wpadnie na myśl twierdzić poważnie, że nokturn Chopina lub kwartet Beethovena są kopiami jakichś oryginałów. To samo da się powiedzieć i o architekturze.

Langemu jednak ów cień prawdopodobieństwa wystarcza najzupełniej, aby skonstruować dowód iluzyi wyobrażeniowej. Jak będzie jednak z temi dziedzinami sztuki, w których o naśladownictwie mowy być nie może, a więc z poezyą, muzyką, architekturą? Lange stara się sobie pomódz przez zwrócenie uwagi na fakt, że dla wywołania iluzyi nie jest potrzebna zupełna zgodność dzieła sztuki z rzeczywistością, lecz że i sztuki, polegające na naśladownictwie, od rzeczywistości się oddalają—dzięki np. stylizacyi. Jeżeli więc, twierdzi Lange, możliwą jest iluzya w dziedzinach sztuki, oddalających się od rzeczywistości, to jest ona też możliwa i w tych dziedzinach, które na naśladownictwie nie polegają. Niedostateczność tego objaśnienia uderza nas odrazu. Lange nie dowiódł tem wcale możliwości iluzyi w sztukach, na naśladownictwie nie polegających, lecz nawet zachwiał dowód możliwości iluzyi w sztukach rzekomo naśladowczych. Gdyż natychmiast powstaje pytanie, dzięki czemu-to malarstwo i plastyka, pomimo oddalenia się od natury, jest w stanie wywołać w nas iluzyę. Lange trudności tej nie spostrzega i możliwość iluzyi w malarstwie i plastyce jest dlań wyniesiona po nad wszelkie wątpliwości.

Iluzyę w dziedzinach sztuki, nie polegających na naśladownictwie, zalicza Lange po części do iluzyj wyobrażeniowych. „Wyobrażać sobie," powiada Lange, „można najrozmaitsze rzeczy, formy, barwy, ruchy, czyny, charaktery, wyrazy uczuć i t. d." Po części da się więc iluzya uczuciowa, według Langego, sprowadzić do iluzyi wyobrażeniowej, ponieważ, wprowadzeni, że tak powiemy, w błąd przez wyrazy uczuć, przypisujemy postaciom, stworzonym przez artystę, uczucia i nastroje, jakich te, oczywiście, nie posiadają. Powtóre, co ważniejsza, przypisujemy sobie podczas zadowolenia estetycznego uczucia i nastroje, których też, według autora, w rzeczywistości nie posiadamy. Ten rodzaj iluzyi uczuciowej nie da się już sprowadzić do iluzyi wyobrażeniowej. „Polega ona na tem, że wmawiamy w siebie, iż odczuwamy coś, czego w rzeczywistości nie odczuwamy wcale." „Podobnie, jak mogę sobie wyobrazić, że widzę coś, czego w rzeczywistości nie widzę, mogę sobie wyobrazić, że coś odczuwam, czego w rzeczywistości nie odczuwam."

Lange posługuje się w tem miejscu pojęciem, które do współczesnej psychologii i estetyki psychologicznej wprowadziło

wiele zamętu, mianowicie pojęciem wyobrażenia uczucia (Gefühlsvorstellung). Uczucie może według Langego posiadać rozmaite stopniowania. Weźmy przykład: gdy widzę, że ktoś dręczy mego ulubionego psa, powstaje we mnie silne uczucie niezadowolenia; uczucie to będzie słabsze, gdy słyszę opowiadanie przyjaciela o tem, że ten czy inny człowiek w jego obecności dręczył jego psa; jeszcze słabsze uczucie powstanie we mnie, gdy czytam w gazecie, że ktoś dręczył psa zupełnie mi nieznanego. Uczucia estetyczne zbliżają się według Langego właśnie do owego ostatniego słabego uczucia, które Lange nazywa wyobrażeniem uczuciowem.

Błąd całego rozumowania polega na tem, że Lange zapomina, iż uczucie i wyobrażenie—to zupełnie różnorodne pierwiastki duchowe, że więc niemożliwem jest przejście od uczucia do wyobrażenia, gdyż najsłabsze uczucie jest zawsze jeszcze uczuciem i żadnym cudem nie jest w stanie przemienić się w pierwiastek, należący do zupełnie innej kategoryi przeżyć duchowych. Stopniowanie może mieć miejsce jedynie w obrębie jednolitej i jednorodnej kategoryi zjawisk, nie różniących się jakościowo. Wobec tego owo „wyobrażenie uczuciowe“ nie może zajmować stanowiska pośredniego pomiędzy uczuciem z jednej strony a wyobrażeniem z drugiej—już choćby z tej prostej przyczyny, że psychologia współczesna (z wyjątkiem Ribota) przyjmuje, iż uczuciu towarzyszą zawsze bardziej lub mniej uświadamiane wyobrażenia. Dlatego też nie mamy żadnych danych, aby owe „wyobrażenia uczuciowe“ specyalnie wyróżniać i tworzyć z nich odrębną kategoryę zjawisk psychicznych. O ile ktoś kładzie główny nacisk na wyobrażeniową stronę owych zjawisk, ten musi uznać je za należące do kategoryi wyobrażeń, komu zaś uczuciowa strona wydaje się ważniejszą, dla tego zjawiska te będą jedynie jedną z form uczuć.

Lecz to nie wszystko. „Uczucie w pewnych okolicznościach jest w stanie zmienić zasadniczo swój charakter.“ Gdy jem poziomki, powiada autor, czucia smakowe sprawiają mi zupełnie niedwuznaczne, wyraźne zadowolenie. Gdy przypatruję się jednak poziomkom przed jedzeniem, powstaje we mnie określone uczucie zmysłowe, związane z impulsem woli. Gdy zaś widzę zamiast poziomek rzeczywistych poziomki malowane, wtedy powstaje we mnie zupełnie odmienne uczucie zadowolenia. W tym wypadku nie powstaje w umyśle moim myśl o jedzeniu poziomek, gdyż wiem dobrze, że poziomek malowanych jeść nie mogę. Skąd więc bierze się uczucie zadowolenia, pyta Lange — i odpowiada: dzięki iluzyi.

Dopóki Lange stwierdza różnicę owych trzech stanów duchowych, musimy się z nim oczywiście godzić, gdyż każdy jest w stanie stwierdzić tę różnicę bezpośrednio w świadomości. Nikt nie zaprzeczy, że uczucie estetyczne podczas oglądania poziomek malowanych różni się bardzo od uczucia, jakie mamy podczas jedzenia poziomek. Lecz wniosek Langego, że uczucie zadowolenia estetycznego powstaje dzięki iluzyi, jest zbyt pośpieszny. W tem miejscu mamy prawo spytać: czy rzeczywiście dzięki iluzyi i dlaczego właśnie dzięki iluzyi? Pytanie nasze jest całkiem usprawiedliwione, gdyż, jeżeli twierdzenie jakieś zostaje dowiedzione jedynie przez wykluczanie rozmaitych możliwości, mamy prawo i musimy wymagać, by nam dowiedziono, że wszelkie inne próby objaśnienia są niemożliwe. Gdyż nie należy zapominać, że wniosek Langego jest jedynie wynikiem czystej spekulacyi. Nasze żądanie byłoby tylko wtedy nieuzasadnione, gdyby Lange bezpośrednio wykazał, że świadomość iluzyi istnieje w duszy naszej podczas zadowolenia estetycznego. Jedynie w tym ostatnim wypadku byłoby zbyteczne żądanie wykazania *możliwości* iluzyi, gdyż istnienie jest najwyższą instancyą i nie potrzebuje usankcyonowania przez możliwość. Dowodzenie Langego posiada więc także luki natury czysto logicznej.

Teoryę swoją stosuje Lange i do muzyki (iluzya uczuciowa) i architektury (iluzya siły i ruchu). Szczegółowiej zastanawiać się nad tem nie będziemy, gdyż zasadniczo rozdziały te, w których jest mowa o muzyce i architekturze, nie przynoszą nam nic nowego.

Słówko jeszcze o pięknie przyrody. W tej dziedzinie teorya Langego zawodzi go zupełnie. By objaśnić piękno przyrody, wzbogaca Lange psychologię zupełnie nowem pojęciem — mianowicie „odwróconej podwójnej iluzyi.“ Przyroda zostaje według estetyka niemieckiego przełożona na język sztuki i wtedy dopiero powstaje rozkosz estetyczna. „Gdy rozkoszujemy się przyrodą, rozkoszy dostarcza nam nie przyroda, lecz sztuka, o której wtedy myślimy.“ Na zarzut, że wobec tego zadowolenie estetyczne, którego źródłem jest przyroda, byłoby czemś rzadkiem i wyrafinowanem, odpowiada Lange, że estetyczne odczuwanie przyrody jest właśnie czemś rzadkiem i wyrafinowanem.

Przejdźmy teraz do krytyki teoryi „świadomego złudzenia.“

## II.

Przedewszystkiem musimy teoryi Langego postawić zarzuty natury czysto metodologicznej. Z faktu, że podczas oglądania figur woskowych, panoram, kinematoskopów i t. d. czujemy pewnego rodzaju niesmak i rozczarowanie, ponieważ spostrzegamy, że chciano nas przeciw naszej woli oszukać, nie należy jeszcze wyprowadzać wniosku, że podczas rzeczywistego i pełnego zadowolenia estetycznego łudzimy się świadomie i pragniemy świadomego złudzenia.

Błąd metodologiczny podobnych rozumowań polega po pierwsze na tem, że wniosek, wyciągnięty za pomocą prostej dedukcyi, nie został sprawdzony doświadczalnie, po drugie—że wniosek ten został wogóle wyciągnięty. W psychologii często bywa popełniany błąd, polegający na tem, że w przeżyciach, oznaczanych nazwami, mającemi wprost przeciwne sobie znaczenie, przypuszczano też i istnienie procesów wzajemnie się wyłączających i wprost odwrotnych. Dlatego też często z istnienia pewnych procesów podczas stanów przykrości i niezadowolenia, wnioskowano o istnieniu podczas stanów rozkoszy i przyjemności procesów wprost odwrotnych i przeciwnych. Tak naprzykład przypisywano w dawniejszych podręcznikach estetyki niemieckiej, wielkie znaczenie starej zasadzie „jedności w wielości“ (Einheit in der Mannigfaltigkeit). Argumentowano w sposób następujący. Gdy mamy przed sobą dzieło sztuki, w którem części nie są z sobą spojone i nie tworzą jedności, odczuwamy niezadowolenie i dzieło sztuki nam się nie podoba. Niezadowolenie, wypływające z owego źle spojonego i źle zbudowanego dzieła sztuki, da się z łatwością stwierdzić w naszej świadomości; jest ono faktem psychicznym. Otóż, ponieważ w tym wypadku, wada owa, wynikająca z braku jedności, jest empirycznie stwierdzoną przyczyną niezadowolenia, przypuszczano, że w wypadku zadowolenia estetycznego przyczyną tego zadowolenia jest coś psychologicznie wprost przeciwnego, mianowicie jedność w wielości, jakkolwiek podczas analizy psychologicznej nie znajdujemy w świadomości nic, coby owej wielości w jedności odpowiadało. Błąd ten popełnia nawet genialny założyciel estetyki psychologicznej i eksperymentalnej w Niemczech, Gustaw Teodor Fechner. [1]) Oczywiście

[1]) Bardziej szczegółowo poglądy Fechnera zostały przedstawione i skrytykowane w mojej pracy eksperymentalnej p. t. „Über das Wohlgefallen ein-

nie mówimy tu o rzadkich względnie wypadkach, gdy owa jedność w wielości może być stwierdzona psychologicznie, jako przyczyna działająca—uczucie jednak, odpowiadające jej, nie jest uczuciem estetycznem, lecz umysłowem, intellektualnem, lub podług terminologii Jodla „formalnem,“ to znaczy uczucie to jest związane nie z *treścią* dzieła sztuki, lecz zawdzięcza swe powstanie jedynie przebiegowi, formie lub stosunkowi wzajemnemu wyobrażeń, które się na daną treść składają. Uczucia formalne występują naprzykład wtedy, gdy czytamy książkę naukową, w której wnioski zostały wyprowadzone przejrzyście i logicznie, lub też zawile i niezrozumiale, gdy stwierdzamy zgodność lub sprzeczność wyobrażeń i sądów i t. d. Wtedy uczucie związane jest nie z treścią oddzielnego wyobrażenia, lecz wypływa ze stosunku, w jakim do siebie wyobrażenia te stoją. Uczucia te, jak to widać z powyższego przykładu, dają się skonstatować w stanach, nie mających nic wspólnego z rozkoszą czysto estetyczną.

Przykład rzecz tę wyjaśni dokładniej. Gdy słyszymy utwór muzyczny, w którym części źle są z sobą spojone i nic z sobą wspólnego nie mają, w którym zmiana tempa i tonacyi nie są artystycznie umotywowane, a tematy tworzą mechaniczny zlepek, odczuwamy niezadowolenie i niezadowolenie to po części należy przypisać wyżej wzmiankowanym wadom, mianowicie brakowi jedności. Gdy jednak czytamy drobny utwór liryczny, naprzykład „Smutno mi, Boże!“ Słowackiego, lub gdy słuchamy „Marzenie“ Schumanna, lub preludyum Chopina, nie znajdujemy w świadomości absolutnie nic, coby odpowiadało owej jedności w wielości.

W wypadkach podobnych zapominano często, że stany psychiczne, składające się na rozkosz estetyczną i niezadowolenie estetyczne, nie muszą koniecznie zawierać w sobie pierwiastków wprost sobie sprzecznych. Oba te stany należy zanalizować dokładnie, każdy oddzielnie i wykazać, że pierwiastki, tworzące każde z tych przeżyć, istnieją w świadomości, jako causae verae, a nie tylko jako causae fictae. Jest to zasadniczy postulat metodologiczny badania naukowego, sformułowany jeszcze w wieku siedemnastym przez Galileusza — gdy tymczasem psychologowie współcześni często o nim zapominają.

---

facher räumlicher Formen.“ Eine psychologisch-aesthetische Untersuchung, zamieszczonej w „Archiv für gesamte Psychologie.“ Tom VII, zeszyt 1. Porówn. Rozdział 1: „Fechners Voraussetzungen und Resultate.“

Ten błąd metodologiczny popełnił właśnie Konrad Lange. Z faktu, że podczas oglądania panoram, kinematografów, figur woskowych i t. d. odkrycie zamierzonego z góry przez innych „nieświadomego“ złudzenia, obliczonego na to, że nie spostrzeżemy go, wywołuje w nas niesmak i niezadowolenie, wyprowadza Lange niczem nie umotywowany wniosek, że podczas rozkoszy estetycznej musi mieć miejsce coś wprost odwrotnego, a mianowicie, że łudzimy i oszukujemy się zupełnie świadomie.

Dalszy błąd metodologiczny teoryi Langego polega na tem, że w celu objaśnienia wielce złożonego mechanizmu rozkoszy estetycznej, posługuje się on pojęciem złożonem i nie zanalizowanem uprzednio, zamiast starać się przedewszystkiem rozłożyć ów wielce skomplikowany stan na pierwiastki składowe, co wszak stanowi zasadnicze zadanie każdego objaśnienia psychologicznego. Świadome samozłudzenie, świadoma iluzya — nie jest to pojęcie psychologicznie proste i jednoznaczne.

Co rozumiemy przez pojęcie iluzyi? Przez iluzyę rozumiemy taki stan psychiczny, w którym nasze postrzeżenie zmysłowe nie odpowiada objektywnie danemu stanowi rzeczy. Gdy po ciemku w lesie bierzemy pień za człowieka, mówimy o iluzyi. Powstaniu iluzyi sprzyjają niewyraźne wrażenia zmysłowe, zmęczenie uwagi, ogólny stan nastrojowy, obawa, przestrach, zażycie alkoholu i t. d. Wtedy *wyobrażenia odtworzone*, znajdujące się w „ognisku“ świadomości, uzyskują większą siłę, opanowują objektywne czynniki postrzeżenia zmysłowego, wskutek czego te ostatnie zostają zasymilowane przez pierwsze, grające w postrzeżeniu większą rolę. Jeżeli przyczyna iluzyi tego rodzaju leży jedynie *w nas samych*, jeżeli iluzya nie była przygotowana przez kogoś innego, nic nam nie przeszkadza nazwać ją samozłudzeniem. Jako przeżycie, jako stan psychiczny jest ona oczywiście, jak wogóle każdy stan psychiczny, świadoma; bezwiedną jest tylko w tem znaczeniu, że my o niej jako o iluzyi nic nie wiemy, że nie zdajemy sobie sprawy z tego, iż mamy do czynienia z iluzyą. Taki wypadek iluzyi nazywa Lange samozłudzeniem bezwiednem.

Co należy rozumieć wobec tego przez pojęcie samozłudzenia świadomego? W życiu potocznem mówimy o iluzyi świadomej wtedy, gdy przynajmniej częściowo jest ona związana z naszemi życzeniami i wolą. Gdy oczekujemy jakiegoś zdarzenia, którego przebiegu i wyniku nie znamy, jesteśmy raczej skłonni wyobrażać sobie ów wynik w barwach jasnych i różowych, gdyż przenosimy radość nad smutek. Gdy zaś jesteśmy w stanie przewidzieć zdarzenie nieprzyjemne, wolimy i wtedy nie dopuszczać do siebie

myśli ponurych, a przeciwnie zwrócić swoją wyobraźnię ku myślom pogodnym i radosnym. Staramy się wtedy samych siebie przekonać, że oczekujące nas zdarzenie będzie miało przebieg bądź co bądź pomyślny, aczkolwiek doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że większe prawdopodobieństwo ma za sobą coś wręcz przeciwnego. W takich razach mówimy o samozłudzeniu świadomem. Z punktu widzenia psychologicznego, jednak, wyrażenie to nie jest ścisłe. Oznacza ono jedynie, że wyobrażenia o zabarwieniu nieprzyjemnem ustępują kolejno miejsca wyobrażeniom o zabarwieniu przyjemnem, że te ostatnie przeważają i że nasza wola kieruje niemi. Bardziej prawidłowo należałoby wyrazić się, że jest to samozłudzenie świadome, lecz że chce ono być bezwiednem, chce byśmy o niem nie wiedzieli. Z punktu widzenia ściśle psychologicznego „samozłudzenie świadome“ nie jest niczem, jest jedynie błędną terminologią. Lub jest ono samozłudzeniem bezwiednem (lecz nie nieświadomem!). *Coś trzeciego nie istnieje.*

Lange twierdzi, że w rozkoszy estetycznej znalazł właśnie to coś trzeciego. Rozpatrzmy się w tem dokładniej. To coś trzeciego, znalezione jakoby przez Langego w rozkoszy estetycznej, może być podawane w myśl autora niemieckiego albo za proces o właściwościach swoistych i odrębnych, jako zjawisko specyficznie estetyczne—wtedy jest ono psychologicznie błędne i niedopuszczalne; lub też, o ile zechcemy pojęcie iluzyi brać w znaczeniu ściśle psychologicznem, wtedy oznacza ono zjawisko ogólne, zdarzające się w życiu potocznem, a więc nic takiego, coby było swoistą cechą przeżyć jedynie estetycznych. Już bardzo dużo daje do myślenia i wydaje się podejrzanem dla psychologa przypuszczenie, że istnieją specyalne procesy psychiczne, wychodzące na jaw jedynie podczas stanu estetycznego. Im bardziej zagłębiamy się w analizę psychologiczną i im gruntowniej poznajemy życie duszy, tem bardziej przychodzimy do przekonania, że różnice, jakie w niej znajdujemy, dadzą się sprowadzić do różnic jedynie ugrupowania, spojenia i połączenia pierwiastków psychicznych. Dusza nie jest komodą o pewnej ilości szuflad, z których każda zawiera pewien odrębny proces, jakiego nie spotykamy w innej. Przeciwnie, każde zjawisko duchowe—to przecięcie całej naszej indywidualności. „Świadoma iluzya“ Langego i jego „iluzya odwrócona“—to właśnie owe szuflady. Wskutek tego pojęcia te sąsiadują bezpośrednio z dawno już pogrzebanemi teoryami psychologii ośmnastego wieku o „władzach duszy“ — sąsiedztwo dla psychologa współczesnego nie zaszczytne.

Krytyka powyższa teoryi Langego, z punktu widzenia metodologicznego, prowadzi nas bezpośrednio do krytyki psychologicznej.

## III.

Iluzya świadoma tworzy według Langego istotę owego procesu psychicznego, dzięki któremu powstaje rozkosz estetyczna. Lecz jeżeli tak jest w rzeczywistości, jeżeli iluzya owa jest „świadomą“ (w znaczeniu, jakie pojęciu temu przypisuje Lange), to powinniśmy *podczas* rozkoszy estetycznej coś o niej *wiedzieć*. Musielibyśmy wciąż mieć w świadomości naszej myśl, że podczas rozkoszowania się dziełem sztuki nie mamy do czynienia z rzeczywistością. Lange też to twierdzi. Otóż przedewszystkiem musimy zaznaczyć, że twierdzenie to jest zupełnie błędne i bezpodstawne, gdyż świadomość złudzenia lub myśl o iluzyi *podczas* zadowolenia estetycznego w nas zupełnie nie powstaje. Gdy słuchamy Scherzo H-moll Chopina, gdy czytamy Króla-Ducha, lub patrzymy na Szał Podkowińskiego, *nie myślimy* o złudzeniu. Prawdziwa rozkosz i kontemplacya estetyczna polegają raczej na tem, że jesteśmy jedynie oddani treści dzieła sztuki, jesteśmy przez nie całkowicie pochłonięci i właśnie nie odtwarzamy żadnych związków treści dzieła sztuki z rzeczywistością. Wtedy o naszej zwykłej, codziennej rzeczywistości wcale nie myślimy,— myśl o niej nie ma do nas przystępu, gdyż nie rzeczywistość nas wtedy obchodzi, lecz właśnie dzieło sztuki. Gdy jesteśmy wzruszeni Scherzem H-moll lub pochłonięci Szałem Podkowińskiego, nie zadajemy sobie wcale pytania, czy też uczucia, wyrażone w nich, były w rzeczywistości przez kogokolwiek przeżywane, lub też, czy my te uczucia mamy w rzeczywistości, czy też się tylko łudzimy — nie, wtedy całe pole świadomości naszej jest wypełnione jedynie tem, co dzieło sztuki wyobraża i uczuciami, które w nas wywołuje. Zdaje mi się, że przyczyny błędnego twierdzenia Langego należy szukać w jego błędnych poglądach na istotę rzeczywistości. Pojęcie rzeczywistości jest u Langego za ciasne, nie psychologiczne. Lange, zdaje się, zna tylko jeden jedyny rodzaj rzeczywistości — tej mianowicie, gdzie przedmiot, będący treścią postrzeżenia jednego zmysłu, otwiera nam długą perspektywę postrzeżeń innych zmysłów, lub, wyrażając się słowami J. S. Milla, gdzie mamy do czynienia z łańcuchem „stałych i ciągłych możliwości wrażeń,“ gdy tymczasem we wrażeniu estety-

cznem mamy do czynienia jedynie z czynnością postrzeżeniową tych zmysłów, do których zwraca się dzieło sztuki, a więc podczas słuchania muzyki — z postrzeżeniami tonów, podczas oglądania obrazów i rzeźb — z postrzeżeniami wzrokowemi i t. d. O ile z punktu widzenia teoryi poznania rozróżnianie pomiędzy owemi dwoma rodzajami rzeczywistości ma znaczenie i przedstawia dla nas pewną wartość, nie ma ono z psychologicznego punktu widzenia absolutnie żadnego sensu. I podczas rozkoszy estetycznej mamy do czynienia z rzeczywistością, lecz z rzeczywistością inaczej ukształtowaną, z rzeczywistością, posiadającą pewne charakterystyczne cechy, lecz która pomimo to rzeczywistością być nie przestaje.

Oczywiście mogę dzięki całemu szeregowi wielu doświadczeń dojść do wiedzy, że w porównaniu z naszą codzienną, „prawdziwą“ rzeczywistością świat sztuki jest inaczej ukształtowany, t. j. że dzieło sztuki, wobec którego mogłaby być mowa o złudzeniu np. wobec rzeźby nie posiada wielu własności i cech, jakie posiadają przedmioty, które owemu dziełu sztuki w rzeczywistości codziennej „odpowiadają.“ A więc mogę *wiedzieć* o posągu, że nie jest on prawdziwym człowiekiem, że nie jest w stanie poruszać się i mówić, lecz z zadowoleniem estetycznem nie ma ów zasób wiadomości nic wspólnego, zupełnie tak samo, jak nie mają z niem nic wspólnego wiadomości, z jakich pierwiastków chemicznych składa się dany posąg, lub też ile on kosztuje. Są to wszystko wiadomości, które zebrałem nie podczas stanu estetycznego i które się nie przyczyniają wcale do spotęgowania go. Przeciwnie, myśli takie i uświadamianie sobie tego rodzaju wiadomości, skądinąd może nawet niekiedy bardzo pożytecznych, niweczą raczej kontemplacyę estetyczną. Są to stany pozaestetyczne.

Celem dowodzenia naszego było po pierwsze zaprzeczenie twierdzeniu Langego, jakobyśmy podczas zadowolenia estetycznego znajdowali w świadomości myśl o „świadomem samozłudzeniu“ i wykazanie, że myśl ta podczas prawdziwej rozkoszy estetycznej nie ma do nas żadnego dostępu; po drugie — przez zestawienie owej rzekomej iluzyi z innemi myślami pozaestetycznemi dowiedzenie, że iluzya, jak i inne myśli pozaestetyczne, jest najwyżej w stanie rozkosz estetyczną zniweczyć.

Oprócz tego możemy jeszcze, po trzecie, wykazać, dlaczego podczas prawdziwej rozkoszy estetycznej, a więc podczas kontemplacyi dzieła sztuki, czy też przyrody, myśl o „świadomej iluzyi“ nie ma do nas żadnego przystępu. Aby to wykazać, rozpatrzmy pokrótce psychologicznie stan estetyczny.

Gdy zbliżamy się do dzieła sztuki, stan naszej świadomości znajduje się w pewnego rodzaju przygotowaniu, „nastawieniu," gotowością do ujęcia piękna. [1]) Wtedy plan główny naszej świadomości zostaje opanowany tylko przez takie wyobrażenia, które stoją w związku z bezpośrednio przez nas oczekiwanem zadowoleniem estetycznem. Dzięki temu jesteśmy łatwiej dostępni oddziaływaniu dzieła sztuki. Przecięcie poprzeczne duszy naszej, jej stan ogólny, jest inny, jest zabarwiony innym nastrojem, gdy zamierzamy przeczytać poemat liryczny i inny, gdy postanawiamy studyować poważne dzieło naukowe. Z tego powodu mówiono słusznie o apercepcyi estetycznej. Przez te niejasne tendencye wyobrażeniowe i uczuciowe stanu przedestetycznego zostajemy wprowadzeni w właściwy stan estetyczny. Postrzeżenie zmysłowe, a więc treść zmysłowa tego, co dzieło sztuki zawiera, wywołuje w nas określone „masy wyobrażeniowe" i odtwarza je; wyobrażenia te i uczucia zlewają się, spajają i stapiają z danemi zmysłów i tworzą razem jednolitą i niepodzielną całość. Owe wywołane i odtwarzane wyobrażenia znajdują się w jaknajściślejszym związku z tą treścią, jaką odbieramy przez zmysły; treść ich jest przez dane zmysłowe wyznaczona i określona. W ten sposób następuje pewien wybór wyobrażeń, mniej lub więcej określony, zależnie od dziedziny sztuki. Wyobrażenia te podczas stanu estetycznego zajmują plan główny świadomości i wskutek tego powstaje tak zwane względne zwężenie świadomości (Enge des Bewusstseins). Wszelkie wyobrażenia o innej treści i innym charakterze zostają usunięte i rzecby można, że świadomość znajduje się wówczas w stanie ograniczenia pod względem możliwości kojarzeń i odtwarzań dzięki właśnie owym danym zmysłowym, zawartym w dziele sztuki. Stan taki pod względem formy można do pewnego stopnia porównać ze stanem, w jakim się znajdujemy, gdy z wielce natężoną uwagą oddajemy się jakiemukolwiek zajęciu, lub z suggestyą, z tą różnicą oczywiście, że podczas rozkoszy estetycznej brak owego poczucia czynności i wysiłku, charakteryzujących uwagę.

Ponieważ w sztuce dane nam są jedynie formy, barwy, dźwięki i t. d., jest więc jasne, że wyobrażenia, wywołane i odtwarzane, mogą odnosić się jedynie do owych danych zmysłowych, przez które były wywołane i że tylko takie wyobrażenia zostają odtwo-

[1]) Porówn. moją wyż. cytowaną rozprawę: Rozdział IV: „Aesthetische Einstellung."

rzone, które są w stanie zlać się i stopić w jednolitą i nierozerwalną całość z treścią odbieraną przez zmysły. Powyżej opisane zwężenie świadomości nie pozwala nam poprostu o czem innem myśleć, naprzykład o świadomem samozłudzeniu. Powstanie tej myśli oderwanej, jest wobec tego podczas rozkoszy estetycznej zupełnie uniemożliwione, a z chwilą, gdy myśl podobna się zjawia, prowadzi ona za sobą natychmiast zniweczenie rozkoszy estetycznej i owego charakterystycznego kierunku naszej uwagi, zwróconej na dzieło sztuki. Dlatego też „świadoma iluzya“ z rozkoszą estetyczną nic wspólnego nie posiada. I dla tego też nie odnosimy treści dzieła sztuki do „rzeczywiście“ istniejącego świata: dzieło sztuki nie daje nam do tego *żadnego powodu*.

To też musimy przyznać słuszność nie Langemu, lecz raczej Kantowi, który w swej „Krytyce władzy sądzenia“ powiada: [1]) „Chodzi jedynie o to, czy tylko *wyobrażeniu* przedmiotu, jako takiemu, towarzyszy zadowolenie estetyczne, myśl natomiast o *istnieniu* tego przedmiotu jest nam najzupełniej obojętna. („Man will nur wissen, ob die blosse Vorstellung des Gegenstandes in mir mit Wohlgefallen begleitet sei, so gleichgültig ich auch immer in Ansehung der Existenz des Gegenstandes diser Vorstellung sein mag“). Co się tyczy owego myślenia o prawdziwym i rzeczywistym świecie istniejącym, to należy zauważyć, że nietylko podczas rozkoszy estetycznej, lecz też i w „rzeczywistem“ i zwykłem życiu nie zawsze myślimy o istnieniu tego, co przeżywamy. Ma to mianowicie miejsce wtedy, gdy całkowita uwaga zostaje skierowana na rzecz, o którą nam w danym razie idzie, gdy cały inwentarz wyobrażeniowy jest jedynie ową rzeczą zajęty, wszelkie natomiast zależności i związki rzeczy tej z innemi rzeczami są wskutek zwężenia i skupienia uwagi od świadomości naszej odcięte. Wtedy zajęci jesteśmy, podobnie jak to się dzieje podczas rozkoszy estetycznej, jedynie treścią rzeczy, o istnieniu zaś jej nie myślimy. A ponieważ o istnieniu rzeczy nie myślimy, ponieważ podczas stanu estetycznego nie stosujemy wcale do treści dzieła sztuki kategoryi istnienia, nie może być też więc mowy o iluzyi, gdyż warunkiem owej „iluzyi świadomej“ musiałoby być właśnie myślenie o istnieniu. Widzimy zatem, że i analiza psychologiczna rozkoszy estetycznej wykazuje błędność twierdzenia estetyka niemieckiego.

[1]) Kant, Kritik der Urteilskraft § 2 s. 45. Wyd. Kehrbacha.

## IV.

Lecz oprócz tego wydaje nam się, że teorya Langego nie jest w stanie oprzeć się krytyce immanentnej, gdyż zawiera w sobie sprzeczność wewnętrzną. Stopień zadowolenia estetycznego czyni Lange zależnym od stopnia iluzyi. A więc — im większa iluzya, tem bardziej nam się dzieło sztuki podoba. Gdzie iluzya byłaby największą, tam też byłoby najsilniejszem zadowolenie estetyczne. Tak naprzykład w porównaniu z zupełnie słabo rozwiniętą perspektywą obrazów z początku wieku czternastego, obrazy z wieku piętnastego, naprzykład takiego Masaccia, który, jak wiadomo doprowadził w swych obrazach perspektywę do wysokiego stopnia doskonałości, przedstawiają dla nas większą wartość, gdyż iluzya rzeczywistej przestrzeni jest w nich większa. W porównaniu jednak z ukształtowaniem przestrzeni Rafaela, Michała Anioła lub naturalistów włoskich z wieku siedmnastego, obrazy Masaccia przedstawiają mniejszą wartość; jego ukształtowanie przestrzeni nie da się wcale porównać z Rafaelami i Michałami Aniołami, i obrazy tych mistrzów wskutek tego wywołują iluzyę jeszcze większą. Lecz im większy stopień iluzyi, tem większą jest też możliwość najzwyklejszego, „nieświadomego," pospolitego złudzenia, tem więcej prawdopodobieństwa, że wpadniemy w pułapkę i zostaniemy oszukani. Lange, jak to widzieliśmy wyżej, stara się sobie dopomódz wskazaniem na czynniki, przeszkadzające iluzyi. Dzięki nim, twierdzi estetyk niemiecki, iluzya pospolita nastąpić nie może. A więc—im więcej czynników, przeszkadzających iluzyi, tem mniejsza możliwość, że zostaniemy oszukani i przez to samo tem większe prawdopodobieństwo, że złudzenie stanie się „świadomem samozłudzeniem." O ile czynniki, niweczące iluzyę, znajdują się w większej ilości, o tyle wtedy musielibyśmy też odczuwać najwyższe zadowolenie, gdyż wówczas „*świadoma* iluzya" byłaby największą. Tu możemy przykład nasz zupełnie odwrócić. Podług tej zasady powinnyby się nam obrazy z początku czternastego wieku bardziej podobać, niż obrazy Masaccia, obrazy zaś Masaccia bardziej, niż obrazy Rafaela, Michała Anioła lub Caravaggia, gdyż podczas oglądania Rafaelów, Michałów Aniołów i Caravaggiów najbardziej grozi nam możliwość, że wpadniemy w iluzyę zwykłą, że padniemy ofiarą oszustwa. Dobra fotografia powinna być piękniejszą od portretu, malowanego przez artystę, ponieważ iluzya wywo-

łana przez dobrą fotografię jest większa, a to dlatego, że fotografia jest zawsze dokładniejszą kopią oryginału, aniżeli portret. Z drugiej zaś strony, portret powinien nam się podobać bardziej, gdyż posiada więcej czynników, niweczących iluzyę.

Jak to wszystko pogodzić? Gdzie leży środek pomiędzy czynnikami, potęgującemi iluzyę i przeszkadzającemi jej? Kiedy czynniki, potęgujące iluzyę, stają się czynnikami, które iluzyę tę niweczą? Według jakiej zasady należy odróżniać jedne od drugich?

Jeżeli to samo dzieło sztuki, zgodnie z zasadami powyższemi, ma się jednocześnie podobać i niepodobać, co jest rzeczą niemożliwą, to jest oczywiście winą nie dzieła sztuki, lecz raczej teoryi i jest dowodem, że założenie teoryi jest błędne.

Lecz idźmy dalej i wyprowadźmy ostatnią konsekwencyę z teoryi Konrada Langego. Odrębność wrażenia estetycznego miała polegać na owej differentia specifica pomiędzy stanem estetycznym a wszelkiemi innemi. Według Langego przyczyną zadowolenia miała być iluzya świadoma. Widzieliśmy jednak, że sama iluzya jako taka, nie daje nam jeszcze żadnej rękojmi, żadnego kryteryum, któreby nam pozwoliło odróżnić prawdziwe dzieło sztuki od figur woskowych, wystawianych w panopticum. Owem kryteryum ostatecznem są u Langego czynniki, przeszkadzające iluzyi. Gdyby Lange chciał być konsekwentnym, musiałby uważać owe czynniki, przeszkadzające iluzyi, za główną i zasadniczą cechę rozkoszy estetycznej, gdyż one są tą ostateczną differentia specifica, pozwalającą nam odróżnić prawdziwe dzieło sztuki od jego surogatu, wywołującego w nas iluzyę zwykłą, „nieświadomą.“ Wtedy ramy obrazu i cokół byłby ostateczną przyczyną rozkoszy estetycznej, jaką w nas wywołują obrazy i rzeźby, a kupno biletu przy kasie teatralnej byłoby ostateczną przyczyną wzniosłej rozkoszy, jaką odczuwamy podczas słuchania tragedyi!..

Żeśmy w rzeczywistości wyprowadzili tylko ostatnią konsekwencyę z metody Langego, niech dowiodą jego własne słowa. W pierwszym tomie swego obszernego dzieła (s. 164) powiada on dosłownie, że „istotę rzeczy można *logicznie* poznać nie z tego, co owa rzecz ma wspólnego z innemi rzeczami, lecz z tego, czem się dana rzecz od innych rzeczy różni.“ Tu właśnie tkwi zasadniczy błąd estetyka niemieckiego, gdyż jest on przekonany, że przez *logiczne* rozczłonkowywanie pojęć znajdzie on różnice *psychologiczne*, które nadają charakterystyczne piętno zjawiskom estetycznym. Jest to do pewnego stopnia wnioskowanie o bycie z myślenia, wspólne wszystkim metafizykom, hołdującym racyonalizmowi. Tego rodzaju czysto logiczne rozczłonkowywanie zjawisk

estetycznych jest oczywiście zupełnie możliwe i nikomu bronić go niemożna. Nie powinno ono być jednak podawane za estetykę psychologiczną i nie powinno być przedsiębrane tam, gdzie rzeczą rozstrzygającą może być jedynie wykazanie istnienia w świadomości odpowiednich faktów psychicznych w drodze analizy nie logicznej, lecz psychologicznej.

I jeżeli wybitni współcześni estetycy niemieccy, jak Teodor Lipps, Groos, Külpe, Witasek i inni mogą się poszczycić pięknemi rezultatami swych prac, to zawdzięczają zdobycze swe jedynie psychologicznym metodom badania.

Dr. Jakób Segał.

# Ruch literacki w Niemczech.

Bywają lata tłuste i chude, lata błogosławione, bogate w plon, jak np. rok 1890 dla literatury niemieckiej i lata nieurodzaju, bez promienia szczęścia. Peryodyczne te okresy dopływów i odpływów dają się wszędzie w dziedzinie twórczej zauważyć. Niewiadomo skąd wionie duch nowy, przeczucie wiosny ogarnie całe tłumy, dosięgnie najoddaleńszych pustelń, napełni wszystkie niezaskorupiałe w dogmatach serca nową nadzieją... i wszędzie pocznie życie szybszem tętnem pulsować:—zieleń rozszczepia swe żądne złota słonecznego dłonie, kwiaty ukazują swych kielichów cuda, święte poszumy przebiegają dreszczem rozkoszy po brunatnem, ciepłem ciele ziemi... — Wiosna serc!

Ale zdala od tych wielkich rozkwitów prowadzi kamienista, stroma ścieżka jednostki, dążącej ku szczytom. To co się w swym całokształcie twórczym, jako symbol wiosny przedstawia, jest w rzeczywistości kalwaryą wielkich dusz, krwawą ofiarą miłości, całopaleniem... Myśli wielkie na gołębich skrzydłach przylatują, a cuda dzieją się w ciszy samotnej izdebki, w zmierzchach krętych uliczek, na poddaszach, gdzie gwiazdy znaczą godziny objawień i rubinowe blaski jutrzenki budzą świadomość ziemską na wyżartych tęsknotą, pełnych wyniosłości królewskiej twarzach.

Od roku 1890, roku „nowego rozkwitu“ w literaturze niemieckiej upłynęło lat piętnaście. Dość czasu, ażeby módz zdać sobie sprawę co do doniosłości tego okresu, który należałoby porównać z niewielką falą nad brzegiem cichego jeziora. Zabłysłszy

srebrnym grzbietem, plusnęła, zakołysała się i... położyła się spać na piasku wybrzeża... Cicho wkoło, jezioro śpi—ale coś szepce, porusza się... ciepłe oddechy czuć w powietrzu... Oczekiwanie... nadzieja?...

Rok 1890 dał Niemcom Hauptmana, Dehmela, Hartlebena... A rok 1905?

Od cichego jeziora, na którego piaszczystem wybrzeżu srebrna fala roku 1890 zasnęła, ciągnie się sieć kanałów w głąb ogrodów fantastycznych życia. Trzy szczególnie, jakby trzy arteryc główne zwracają naszą uwagę.

Jeden—szeroki, wygodny, zaopatrzony we wszystkie ulepszenia najnowsze, szluzy automatyczne, podnoszące się bez szelestu przed naszą łodzią i opadające bez szelestu za nami... Ocembrowania z cementu, mosty z piaskowca i granitu z rzeźbionemi balustradami i białemi grupami posągów... Nad brzegiem, po obu stronach—aleje wysypane żwirem, asfaltowe trotuary, żywopłoty, białe,.. żółte wille śród zieleni klombów, strzyżone trawników kobierce, kwiaty—wzgórza kwiatów, szyby lustrzane, firanki koronkowe w oknach, palmy!... Czystość, porządek, kultura... To świat, w który nas wprowadza nakład berliński S. Fischera, najpierwszy dziś w Niemczech.

W nakładzie tym wyszły i wychodzą dzieła Gerharda Hauptmana, Hermana Bahra, Altenberga, Hirszfelda, Schnitzlera, Hofmannsthala, Vollmoellera... Utwory ludzi przepojonych kulturą, ludzi, którzy wyjąwszy G. Hauptmana i to nie zawsze, dają nam wyłącznie odzwierciadlenie „kultury," ocembrowanego, spokojnem korytem płynącego życia wielkomiejskiego, wygodnych mostów na granitowych, pewnych arkadach społecznych, bezpiecznych wysypanych żwirem dróg... Czasem zabłąka się pomiędzy te wcielenia porządku doskonałego śmiech nagły, jakby przelotne zwątpienie, ażeby jak chłodny powiew wieczorny musnąć powierzchnię kanału i drzew wierzchołki i skryć się poza fałdami dalekich wzgórz... Chichot szyderczy Schnitzlera... przeciągły, robiony śmiech Hermana Bahra... melancholijny uśmiech Altenberga... Albo dusza, przepojona wiedzą i kulturą, przeżuwa z wyrafinowaniem wizye minionych wieków i rzadkich, wiotkich piękności... Hugo von Hofmansthal, Vollmoeller... Toż samo wrażenie robi literatura belletrystyczna tego nakładu. — Subtelne pastele Jakóba Wassermana, którego „Renate Fuchs" jest jedną z najlepszych charakterystyk nowoczesnej, przerafinowanej kobiety: fantastyczne, z mgieł mistycznych utkane dywany Tomasza Mann'a, szczególnie te, które wyszły pod tytułem „Tristan;" olśnie-

wające waryacye stylistyczne Hansa Landa; poważne socyalne adagia Feliksa Holländera; chora ironia hyperkultury w dziwnem połączeniu ze świeżością gór w utworach Hermana Hesse'go; znakomicie zrównoważony pełen siły i energii męskiej, ale zawsze bardzo trzeźwy talent Emila Straussa, piszącego językiem nieskazitelnie pięknym... Dalej krytycy: — Eloesser, wyborny tłómacz i badacz kultury francuskiej; profesor Oscar Bie, którego wydane niedawno dzieło o tańcu wywołało sensacyę i który, jako wytrawny kierownik w nakładzie Fischera wychodzącego miesięcznika „Neue Rundschau“ (niemieckiej Chimery), kontynuuje tradycye „Pana“ i „Insel“; Ryszard Muther, którego ostatnie publikacye „Historya malarstwa w Anglii“ (1903) i „Malarstwo beligijskie“ zasługują na szczególną wzmiankę; Alfred Kerr, oryginalny, pełen dzikiego temperamentu i zdumiewającej bezwzględności krytyk, twórca nowego, „imperatywnego“, że się tak wyrażę, stylu w niemieckiej krytyce teatralnej...

A teraz płyniemy innym kanałem. — Okolica falowata, brzegi miejscami skaliste... pola... gaje... na wzgórzach podwaliny do monumentalnych gmachów, do połowy wzniesione ściany massywne... ruiny starych budowli... wykopaliska... posągi... starożytne miasteczka, wyglądające jak inicyały średniowiecznych rękopisów, kaplice ze staremi nagrobkami, pokrytemi mchów kożuchem... nowożytne pomniki w ciężkim, monumentalnym stylu niemieckim, w rodzaju Kyffhäusera lub Niederwalda. — To świat, w który nas wprowadza Eugen Diederichs. — Nakład ten postawił sobie za zadanie pogłębienie dzisiejszej kultury duchowej w Niemczech, przez znakomite wydawnictwa z dziedziny filozofii, historyi sztuki, krytyki... Utwory Marka Aureliusza, Seneki, Platona, Plotina, Giordana Bruna, Paracelsiusza, Anioła Szlązaka, Franciszka z Assyżu, Mirandoli, Sören Kirkegaarda, Swedenborga, Pascala, Herdera, Hegla, Fichtego, Schellinga, Schleiermachera, Hamana, Beylego, Ruskina, Emersona, Maeterlincka, Tołstoja... prawdziwie artystyczne monografie, pomiędzy któremi dwunastotomowe wydawnictwo z przeszłości narodu niemieckiego (szczególnie średnie wieki i nowe czasy do XVIII-go stulecia) „Monographieen zur deutschen Kulturgeschichte“ zasługuje na szczególną uwagę... — W nakładzie Diederichsa wychodzą przeważnie dzieła autorów o silnem zabarwieniu germańskiem, ludzi walczących pośrednio lub bezpośrednio przeciw urzędniczo-militarnej pseudokulturze Prus, w imię starych haseł „narodu myślicieli.“ Tacy twórcy jak Wilhelm Boelsche, Bruno Wille, Willy Pastor, Juliusz Hart, tacy poeci, jak Holzammer, Spitteler, autor olbrzymich poe-

matów epickich, Avenarius, subtelny poeta liryczny i wydawca „Kunstwart'a“ — pisma, które co do tendencyi możnaby poniekąd nazwać organem tej grupy... tacy krytycy, jak Schulze-Naumburg, Jan Chrzciciel nowego stylu, który reformuje wszystko: od placów publicznych, bulwarów miejskich, ogrodów... do mieszkań... ubiorów... umeblowań!...

I po raz trzeci zmienia się scenerya!...

Płyniemy wąskim kanałem, którego brzegi zdobią bogate zwoje pnączów. — Balustrady marmurowe drzemią zalane powodzią róż... stare kasztany zwieszają swe konary przed nieruchomą powierzchnią wód... białe łabędzie, lilie wodne, złocone sztachety, amoretki, kioski fantastyczne w głębi pięknego parku... białe pawie, pstre bażanty, szpalery bzów kwitnących, fontanny pluszczące, sączące się zdroje, marmurowe półokrągłe ławy... wazony pokryte misternemi rzeźbami, białe posągi, śród zieleni strzyżonych ścian... Świat tajemniczy, jak z bajki o zaklętej królewnie, do której pałacu tylko wyjątkowo szczęśliwy znajdzie drogę... W ten świat wprowadza nas nakład „Inselverlag,“ który postawił sobie za zadanie szczególne — kulturę książki. Przecudne japońskie, holenderskie, angielskie weliny, safiany, pergaminy, złocenia, złotogłowy, okładki jedwabne, weneckie, secesyjne!... — Treść odpowiada w zupełności formie. Spotykamy tam prawdziwe rzadkości bibliograficzne, wydawnictwa w bardzo ograniczonej ukazujące się ilości, które po dwóch, trzech latach już będą białemi krukami, np. „Gockel, Hinkel, Gakaleja“ Klemensa Brentano, „Simplicissimus“ H. J. Chr. Grimmelshausena, „Petronius, die Begebenheiten des Euklop,“ Wilhelma Heinsego, „Ballada więzienna“ Oscara Wilda, stare włoskie nowelle... W nakładzie „Inselverlag“ zjawiają się utwory barokowe Arno Holza, delikatne, powiewne marzenia poety Rainer Maria Rilke, mistyczne studya Franciszka Blei, znanego estety, odurzające makartowsko-efektowne poezye Schaukala, dziwaczne, groteskowe fantazye humorysty Scheerbarta, poezye malarza-poety Voglera, należącego do oryginalnej grupy artystów, znanych pod nazwą „Worpswede“... Vogler-Worpswede jest obok Fidusa jednym z najzdolniejszych nowoczesnych niemieckich mistrzów winiety...

I znów powracamy nad brzeg cichego jeziora, gdzie na białym piasku zasnęła srebrna fala 1890 roku. Dużo najprzeróżniejszych obrazów pstrej teraźniejszości przesunęło się nam przed oczami, płynęliśmy na srebrnych arteryach, roznoszących przez pola, lasy, łąki i ogrody dużego szmatu ziemi rosę orzeźwiającą i karmiącą, ale tego czegośmy szukali, nigdzie nie mogliśmy zna-

leżć. Zdala od wszelkich lądów na samotnym oceanie znajduje się ognisko centralne wszystkich burz i falowań, lecz dostęp doń mają jedynie jednostki w ekstazie twórczej.

*

* *

Rok 1905 nie należy do lat przełomowych, nie odznacza się wybitnemi cechami. Cicho wkoło, jezioro śpi... Ale coś szepce, porusza się: ciepłe oddechy czuć w powietrzu!

Obchód Szyllerowski, którego jedynym pozytywnym rezultatem była ostateczna rehabilitacya Szyllera, znieważanego tylokrotnie przez pokolenie rewolucyonistów literatury niemieckiej r. 1880, podał niejedną okazyę do najprzeróżniejszych ocen literatury dzisiejszej. Robiono porównania, analogii szukano... Najwięcej głosów otrzymał Ryszard Dehmel.

Otto Juliusz Bierbaum, pisze o nim w szyllerowskim zeszycie znanego pisma „Literarisches Echo“ mniej więcej, co następuje: „śród obecnie żyjących poetów naszych wydaje mi się Ryszard Dehmel jedynym, który godnie przechowuje i kontynuuje tradycyę szyllerowską—zapał, idealizm, polot Szyllera“.

Gwiazda Ryszarda Dehmela podnosi się ku zenitowi... Demoniczno-tytaniczne szamotanie się początkowej twórczości zostało przezwyciężone.— Swoim ostatnim wielkim utworem epicko-lirycznym „Dwoje ludzi“ złożył Dehmel dowód wysokiego mistrzostwa, uprawnił do najwyższych nadziei...

Ani Liliencron, ani Hauptman, ani Hofmannsthal, do tych nadziei już albo jeszcze nie uprawniają.

Liliencron, po wykończeniu 12-tu pieśni swej fantastyczno-lirycznej epopei „Poggfreda“, wpadł w prawdziwą manię poggfredowską i rozszerzył ten i tak już dość bezkształtny poemat impresyonistyczny do potwornych rozmiarów 24 pieśni. „Poggfred“ będzie niezawodnie ostatniem wielkiem dziełem sześćdziesięcioletniego poety. Więcej się po nim spodziewać nie można. Co do mnie, wolę jego utwory liryczne, owe impressyo, obrazki, fantazye, urwane akordy, które pod względem treści i formy, szczególnie zaś pod względem formy, należą do najpiękniejszych kwiatów poezyi niemieckiej ostatniego dwudziestolecia.

Hugo von Hofmannsthal ani swą „Uratowaną Wenecyą“ (1905 r.), ani swym dramatem „Edyp i Sfinks“ (1906 r.) nie wyszedł jeszcze poza obręb „Elektry.“ Pozostaje zawsze jeszcze nierozwiązane pytanie, czy uda mu się zerwać ostatnie welony sztywności i artyzmu, ażeby stanąć nago, jak posąg klasyczny. Dane są po temu.

Najtrudniej da się coś decydującego powiedzieć o Hauptmanie. Twórczość tego poety nierówna, nosząca częstokroć chmurne ślady zmęczenia, pełna jest niespodzianek. Po scenicznie bardzo słabym nokturnie „Elga“ (1905), który przeszedł bez wrażenia, stoimy znów wobec dzieła bardzo obiecującego. O symbolicznym tym utworze, który nosi tajemniczy tytuł: „Und Pipa tanzt“ (A Pipa tańczy) pisać będę w przyszłem sprawozdaniu.

*

* *

Do najciekawszych może kwiatów poetycznych roku 1905 należą nowe poezye Alfreda Momberta, który po dłuższem milczeniu wystąpił aż z dwoma utworami „Blüte des Chaos“ (Kwiat Chaosu“) i „Der Sonne Geist“ (Duch słońca). Z poetą tym zapoznał nas swego czasu w oddzielnem studyum Stanisław Przybyszewski. Na szczególną uwagę zasługuje „Kwiat Chaosu“, w którym odrębność twórcza Momberta znalazła najdoskonalszy wyraz. Wizyoner-poeta znalazł w nim — swój styl. Wszystkie zalety poprzednich utworów poetycznych Momberta połączone są w tym ostatnim w jedną imponującą całość. Mombert jest porywającym wizyonerem, ale do wzniesienia się na szczyty mistycyzmu brak mu koncentracyi. Wizye jego rozpadają się... każda tonie napowrót w nieskończoności. Każda sama przez się jest wspaniała, całość... częstokroć niejasna, zamglona!... Dla zrozumienia „Kwiatu Chaosu“ należałoby napisać obszerny komentarz, przynajmniej trzy razy większej objętości niż sam utwór... Czy w uznaniu tej potrzeby nie leży już poniekąd krytyka?... Ponieważ nie miejsce tutaj, ażeby pisać podobnego rodzaju komentarze, muszę zaniechać streszczenia, które w skróceniu łatwo mogłoby być jeszcze bardziej niejasne, niż sam oryginał. Świat Momberta nie da się ująć w słowa logicznie powiązane. Najłatwiej o nim mówić jąkając się, jakby powiedział mądry Zaratustra.

Z zadziwiającą plastyką maluje Mombert światy wizyj swoich. Oto jeden niewielki przykład:

Trysnęła muzyka skąd — niewiadomo — księżyca światło
tutaj w kommacie — ziemie w zmroku
tam głęboko pod niebiosami!
Noc, blask księżyca i ziemi kraje w zmroku
szumią o pochyloną głowę moją — zagrzmiało morze,
patrzy ku mnie poprzez łańcuch gór —

marząc, śniąc
uśmiecha się olśniony światłem
zwycięzca — myśli śród burz tego świata —
uśmiecha się głowa.

*Tekst niemiecki*:

Aufwühlt Musik wo — Mondlicht
glänzt im Gemach hier — dämmernde Lande
draussen tief unter Himmel!
Nacht, Mondlicht, und der Erde dämmernde Lande
brausen an mein gesunken Haupt — aufrauscht das Meer,
blickt über die Gebirge zu mir her. —

Traumhaft, traumhaft
lächelt der mondbeglänzte
weltbestürmte Gedanken-Sieger —
lächelt das Haupt.

Albo owe niesłychane, sploty rzeczywistości i snów ducha, hypnotycznie odczute.

Duch mój hen na morzu dalekiem.
W wilgotnym wichrze, na żaglowcu białym.
Wielkie wody.
Szumi.

Staruszek idzie do mnie przez wązką uliczkę.
Wchodzi. Słyszę jak drepce
po schodach.
O schody wali spienione morze.
Mewy białe nad głową starca.

Otwiera drzwi.
Znajduje mnie w głębi kommaty,
owiniętego w stary płaszcz brunatny.
Podaje mi rękę.
Kiwam głową. — Mówi.

Dzwon okrętowy dzwoni.

Deszczu smugi na południu.
Przez szczyty chmur przedziera
się światło w dal — tam na nieboskłonie
sunie żaglowiec przez błyszczące wody.

Staruszek dłonie me ściska.
Bada moją twarz,
wzrok wlepia w me oczy — nie znajduje człowieka —
Ryba podnosi srebrny łeb śród fal —
ptaki morskie śmigają przez pokój:
pyszne, białe, wrzaskliwe latawce.

*Tekst niemiecki:*

Mein Geist ist draussen auf dem Meer.
Im feuchten Wind auf einem Segelschiff.
Weite Wasser.
Es rauscht.

Ein alter Mann kommt über die Gasse.
Er tritt ein in mein Haus.
Ich hör' ihn tappen; auf der Stiege.
An die Stiege schäumt das Meer.
Weisse Möwen umflattern sein Haupt.

Er tritt ein in das Gemach.
Findet mich sitzen im tiefen Hintergrund,
Gehüllt in einen alten braunen Mantel.
Er reicht mir eine Hand.
Ich nicke. — Er redet.

Die Schiffglocke läutet.

Es regnet Strict im Süden.
Durch die obern Wolken bricht
Licht in die Ferne — dort am Horizont
fährt ein Segler durch glänzende Gewässer.

Der alte Mann presst meine Hände.
Er forscht in meinem Antlitz.
Er stiert ins Auge —: findet nicht den Menschen —:
Ein Fisch hebt sein silbern Haupt aus den Wogen —:
Meervögel flügeln durchs Gemach:
Prachtweisse Schweber mit hellem Schrei.

Ekstazy mistyczne, złoty taniec słońc i gwiazd, dreszcze wizyj niezwykłych, rytm twórczy narodzin nowych światów, muzyka sfer niebiańskich, życie w splotach snu hypnotycznego, jasnowidzenia szał, chaos krystalizujący się na jedno okamgnienie w kształt, w przedziwny kwiat bytu — to treść tego niezwykłego poematu, który na nas nachodzi, jak chmura wizyj apokaliptycznych.—Analogie duchowe możnaby może znaleźć w niektórych utworach Tadeusza Micińskiego, analogie rytmiczne — chyba jedynie w Dytyrambach Dyonizyjskich Nietzschego.

„Duch Słońca“ wydaje mi się o wiele słabszy. Alegoryi tego utworu brak głębi, naiwność jej razi, pomimo tu i tam pańską dłonią rozsianych brylantów i pereł.

Najsilniejszym kontrastem, jaki sobie wystawić można, są w porównaniu z temi śpiewami ekstazy—poziome poezye Franciszka Wedekinda (Vier Jahreszeiten. 1905) dzikie, bluźniercze piosnki, poświęcone najniższym i najwyuzdańszym instynktom, lęgnącym się w bagnach wielkomiejskich. Pomiędzy temi dwoma ostatecznymi krańcami — cała skala dzisiejszej twórczości. Punkt ciężkości jednakże bliższy jest owej niższej, przyziemnej granicy. — „Czterema porami roku“ nazwał Wedekind zbiór swoich wierszy. Właściwie są to 4 fazy wyuzdania zmysłowego, rozpoczynającego się zuchwalstwem i cynizmem, a kończącego impotencyą, rozpaczą, bezwstydem... Zbiór ten zasługuje na wzmiankę, nie tyle ze względu na treść, która jest ohydna, ile ze względu na niezwykle oryginalną formę. Wedekind posługuje się znanemi rytmami pieśni ludowych i kościelnych, które w niesłychany sposób potęgują jeszcze bezczelność jego cynizmów. Częstokroć też Heine lub Goethe dostarczają mu materyału rytmicznego. Ze znanej, smętnej piosenki Heinego o królewiczu i królewnie powstaje pod jego piórem bezbożnem ballada o grubym piekarzu i jego tłustej małżonce

Sie konnten zusammen nicht kommen
sie waren viel zu dick ...

Poezye te rzucają właściwe światło na autora „Ducha ziemi.“ Po cynizmach i bluźnierstwach, wyłania się naraz twarz wykrzywiona bólem i autor zeznaje:

Mein Herz ist leer wie eine taube Nuss!

albo, schyliwszy swą czworograniastą głowę, robi rachunek sumienia, ażeby zaraz potem z podwójnym cynizmem natrząsać się ze wszystkiego.

Die Sexuelle Psychopatie
Ich habe sie längst überwunden,
und dennoch ich vergess es nie, —
Es waren doch schöne Stunden.

Jedyna prawdziwa wartość poezyj Wedekinda — szczerość. Lepsze to niż pod sentymentalnym płaszczykiem ukryta poziomość w rodzaju „Dziennika upadłej“ (Tagebuch einer Verlorenen 1905), Małgorzaty Boehme. Utwór, który dzięki zręcznej spekulacyi na ciekawość publiczności, stał się sensacyą dnia. Pomimo zapewnień autorki, że całe ustępy „pamiętników,“ a mianowicie notatki z czasów berlińskich i hamburskich Tymiany, są prawie dosłownie wzięte z dziennika prawdziwej „damy z półświatka,“ całość jest niewątpliwie tendencyjnym, histeryczno-sentymentalnym wytworem wyobraźni autorki — bez cienia artyzmu. Autorka widocznie sama aż nadto dobrze o tem wiedziała i nie napróżno w swej przedmowie zapewnia, że pamiętnik ten nie rości żadnych pretensyj literackich lub artystycznych. Fałszem jest w każdym razie mniemanie, jakoby miał być wartościowym przyczynkiem do „palącej kwestyi socyalnej dni dzisiejszych.“ Trudno o wymowniejszy objaw heteryzmu, świecącego zewsząd swą nagością po przez pikantne ażurowe wszywki w wyblakłej niebieskiej rotundzie mazgajskiego sentymentalizmu.

*

* *

Do zwyciężonych roku 1905 należą Suderman i Gustaw Frenssen.

Suderman, w którego szerokiej piersi oddawna już filister walczy z artystą, skłonił się ostatecznie na stronę Blumenthalów, Kadelburgów, Philippich. Smutny koniec po 16-to letniej przeszło pracy dramatycznej, po tryumfach takich utworów, jak „Honor“, „Koniec Sodomy,“ „Morituri.“ Ostatni jego utwór sceniczny „Głaz śród głazów,“ bardzo zimno przyjęty przez krytykę i publiczność, jest rzeczywiście świadectwem wielkiego ubóstwa. Szarża, szablony i efekty teatralne. A był czas kiedy nazwisko Sudermana wymawiano jednym tchem z nazwiskiem Hauptmana.

Kamieniarz Zarnke, jowialny ojciec teatralny ma dziwną słabość do — elewów domu poprawy. Większa część jego robo-

tników i majstrów rekrutuje się z tego rodzaju „byłych ludzi.“ Poczciwy Zarnke cieszy się z ich sprytu i przebiegłości — tak przynajmniej utrzymuje autor; widzowi niekiedy zdawaćby się mogło, że to rodzaj sportu ze strony Zarnkego... Podczas indagacyi jednego z robotników, Struvego, przez komisarza policyi kryminalnej — są bowiem pewne poszlaki, że Struve próbował skraść dyamenty znajdujące się w piłach do rznięcia kamieni — kamieniarz Zarnke, będąc moralnie przekonany o winie swego podwładnego, staje jednakże w jego obronie i na dowód zaufania oddaje mu do przechowania klucze do magazynu, w którym leżą nęcące piły dyamentowe.

Na Struvego, który jest zapalonym wielbicielem życia więziennego i nieustannie deklamuje zupełnie nieprawdopodobne tyrady na cześć celi i kuchni więziennej, niczem nie umotywowany czyn Zarnkego nie wywiera żadnego głębszego wrażenia. Przy pierwszej lepszej sposobności następuje recydywa i tylko uczciwości nowego stróża Biegelera zawdzięcza kamieniarz swe dyamenty. Biegeler — to nie zwyczajny złodziej. W papierach jego wystawionych przez T-wo popierania byłych więźniów stoi notatka i paragraf kodeksu karnego, oznaczający: „ukarany za zabójstwo.“ Z dalszego toku wypadków dowiadujemy się dopiero, że zabójstwo było przypadkowe, w przystępie gniewu. Bądź co bądź biedak ów prześladowany przez wszędzie ścigające go widmo złej opinii, znajduje się już w stadyum ostatecznem, gdy Zarnke, jako anioł zbawczy przyjmuje go do siebie na miejsce starego stróża-niedołęgi Eichholza, którego młoda córka Lora trudni się wyszynkiem napojów dla robotników. Biegeler stroni od ludzi, czem zwraca na siebie ogólną uwagę i wzbudza nieufność robotników, która dzięki nieostrożnemu słowu komisarza policyi kryminalnej, zamienia się w silne podejrzenie. Najgorszy ze wszystkich towarzyszów Biegelera jest Goettlingh, były narzeczony Lory, który dzięki swemu sprytowi zawansował z prostego ex-więźnia na nadwornego rzeźbiarza u Zarnkego. Zarozumiały krzykacz i blagier, donżuan i karyerowicz, Goettlingh ani myśli o dotrzymaniu danego Lorze słowa, pomimo, że biedna dziewczyna przez niego stała się matką. Onieśmielona i zahukana kobieta nie śmie się nawet upominać o swoje prawa. Stróż Biegeler, dla którego Lora zawsze miała słowa współczucia i przyjaźni, ujmuje się za pokrzywdzoną. Efektowne jest zakończenie tego aktu, gdy Biegeler, schwyciwszy kamień ze stołu w obronie przeciw idącemu nań z nożem Goettlinghowi, daje się porwać uniesieniu i zdradza tajemnicę swej przeszłości, że już jednego tak kamieniem niegdyś

zabił. Przestraszony Goettlingh ucieka. Od tego punktu akcya staje się chwiejną, nienaturalną. Autor szuka dróg do zawinięcia do spokojnego portu, w którym wszystko zakończyć się ma ku ogólnemu zadowoleniu... publiki: ukaraniem winnych, zwycięstwem niewinnych, łzawem wzruszeniem, nie przeszkadzającem spokojnemu trawieniu...

Biegelera, który po kryjomu rzeźbi z zamiłowaniem, wybierają towarzysze ni stąd ni zowąd na miejsce Goettlingha: mały efekcik ze spadającym kamieniem: zamach Goettlingha na Biegelera, Lora ratuje mu życie... no i na tem kończy się historya głazu między głazami... Und die Moral? mówiąc słowami Heinego: Między kamieniami, złemi sercami, serce w kamień się zamienia, głazem staje się śród głazów, ale dobroć i miłość głazy roztapia. Ogromnie śmiesznie działa zakończenie, gdy Lora, stojąc nad pijanym ojcem, chrapiącym na bloku granitowym, wsłuchuje się w odgłos świstawki stróża Biegelera i w przeczuciu bliskiego szczęścia woła patetycznie: „szczęście gwiżdże, szczęście gwiżdże!“ Kurtyna spada.

Bywają czasem niezwykłe zakończenia. U Maeterlincka np. gdy Monna Vanna woła: „le beau va commencer“ czujemy w tych słowach dreszcze niezmierzonych przyszłych rozkoszy, urzeczywistnień—przepaście duszy się otwierają, u Sudermana „gwiżdżące szczęście“ robi wrażenie bardzo niefortunne.

Przykrą niespodziankę zrobił swoim wielbicielom, akurat na gwiazdkę, znany autor Jerzego Uhla, Gustaw Frenssen. Niespodzianco tej na imię: „Hilligenlei.“

Hilligenlei, Hilligenland, czyli święta ziemia — tak nazywa autor miasteczko, leżące na wybrzeżu morza północnego, naprzeciwko wyspy Hellgoland. Miasteczko to obrał Frenssen za widownię swej ostatniej powieści. Ma ono być symbolem zmaterya-lizowanego dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego, symbolem zupełnej zatraty ideałów w walce o dobra ziemskie, pod biczem żądzy i jarzmem ciasnej moralności mieszczańskiej. Sam autor w lapidarnych heksametrach, ogłoszonych ex re wyjścia z pod prasy stutysięcznego egzemplarza „Hilligenlei“ stara się dość niejasną treść swej powieści post festum komentować. Wada powieści leży w zbytniej rozwlekłości epizodów, w przeładowaniu szczegółami, w drobiazgowości, graniczącej niemal z gadatliwością. Braki te dadzą się, chociaż w mniejszej mierze, wykazać już w poprzednich utworach Frenssena, nawet w Jerzym Uhlu. Chociaż tam robią zupełnie słuszne wrażenie bogactwa fantazyi, nieprzebranych skarbów twórczości poetyckiej. I w dobrem trzeba

znać miarę należną. Architektonika „Hilligenlei“ jest słaba. Pomimo tego powieść bogata jest w przepiękne, interesujące opisy morza, epizody z życia żeglarzy i nadbrzeżnych mieszkańców morza północnego. Gustaw Frenssen jest bezwątpienia prawdziwym poetą i nawet błądząc potrafi wzbudzać szacunek. Dobrzeby było, gdyby podczas twórczości poetyckiej poety-Frenssena można było wyrzucić pastora-Frenssena za drzwi.

*

* *

Pozostawiając na chwilę zdrowych i chorych na uboczu, pragnę słów kilka poświęcić umarłemu, który niewątpliwie należał do wybitniejszych postaci „młodych Niemiec“. Imię jego Otto Erych Hartleben, a rok zgonu 1905.

Jak większa część poetów, których srebrna fala 1890 r. wyniosła na brzeg uśpionego jeziora, O. E. Hartleben nadziei w nim pokładanych nie urzeczywistnił.

Kto wytłómaczy dziwne fatum zawisłe nad talentami „młodych Niemiec“? O. E. Hartleben jest najpierwszą ich ofiarą znamienną na ołtarzu śmierci. Twórczość swoją rozpoczął, jako liryk—skończył, jako satyryk i komedyopisarz.

Co prawda, utwory liryczne Hartlebena, wyszłe w roku 1895 pod tytułem „Meine Verse,“ noszą późniejszą datę, niż jego znane nowele humorystyczne, które się stały podwaliną jego sławy, lub mniej udatna parodya Ibsenowska „Żaba“ i niektóre komedye. Jeżeli jednakże wziąć pod uwagę czas, w którym pojedyńcze z pieśni lirycznych powstały (niektóre zostały już napisane w roku 1883), to podział powyższy okaże się słuszny. „Meine Verse“ jest najpiękniejszym i najlepszym utworem Hartlebena. Ani późniejsze antologie: „Von Reifen Früchten,“ „Halkyonische Gesänge,“ ani znana tragedya oficerska „Rosenmontag“, nie mogą się mierzyć co do polotu i rozmachu z owym pierwszym tomikiem poezyi, który zaliczyć należy do najudatniejszych utworów „młodych Niemiec.“

Zadziwiające bogactwo i siła! Potężne majestatyczne rytmy morza, zawarte w cyklu, zatytułowanym „der Sünder,“ a napisane w Norderney w r. 1883, w rodzaju następnego wiersza:

Seit jener Nacht spricht die Natur zu mir nicht mehr,
mir schweigt des Lenzes Saatengrün, mir schweigt das Meer!

Ody, pełne klasycznej piękności i młodzieńczego entuzyazmu. Forma Horacyuszowa:

Sträuben sollen wir uns wider das Eisenjoch,
dem der Gewohnheit Schmutz würde des Alters lieh;
wen das steigende Licht grüsst,
nie selm' er die Nacht zurück!

Fanfary, okrzyki bojowe, hejnały. Znakomity cykl pod nazwą: „Moderne Oden.“ Świeże, jasne, czarujące piosnki miłosne, przypominające swym srebrnym dźwiękiem Heinego, Lenaua. Silne poezye socyalne...

Wtem nagły przewrót.—Sarkazmy bolesne, zwątpienie, żal... Wszystko to od pobytu w Berlinie.

Berlin, stolica zwycięskich Prus! Berlin — bogaty, bogaty Berlin...

Jakaś struna zerwała się w duszy poety. Opisując swą rodzinną wioskę w górach porosłych świerkami, skąd po raz pierwszy wzrok jego z zachwytem witał różnobarwne cuda świata, kończy bolesnym spazmem.

Die Welt ist bunt. O, wär' sie bunt geblieben! —

Czara miłości w kielich goryczy się zamienia, a skarga straszna łka:

Oh, dass du mich, o dass du mich erkoren!
Unwert und schwach bin ich:
Ich hab' die Kraft,
ich hab' das Glück verloren,
verlor auch dich! —

Cóż się stało, właściwie? Hartleben jeszcze pełen zapału i illuzyi pogrążył się w odmęty życia berlińskiego. Tutaj śród wszechwładnie panującego materyalizmu, śród orgij egoistycznych, dzikich żądz, pobudzonych do delirium chciwości i bezwzględności przez niesłychany ekonomiczny rozkwit „Państwa“ po wojnie francusko-niemieckiej, młody idealista traci swe białe pióra. — Widzimy go opowiadającego z pogardliwym uśmiechem na ustach dowcipne, sarkastyczne anegdotki z życia berlińskiego i smagającego niemiłosiernie nienawistnych filistrów. Do tego okresu należy słynna historya Hartlebena „O oderwanym guziku“ i jego

komedye: „Angele," „Erziehung zur Ehe," „Hanna Jagert," „Sittliche Forderung."

Moloch-Berlin, pseudo kultura militarno-urzędnicza Prus i napchane złotem kieszenie nadających ton plebejuszów... Tutaj dałaby się niejedna przyczyna nagłego zaśnięcia srebrnej fali roku 1890 odszukać... W tej tłumiącej, dusznej atmosferze podnieconych zmysłów, rozszalałej konkurencyi, sztywnych mundurów, wystrzelających, jak grzyby po deszczu kominów fabrycznych, profesorów wywodzących światopoglądy z cyfr sprawozdań statystycznych i zastępów artystów-karyerowiczów, pracujących gorączkowo dla sensacyi, pieniędzy i orderu.

Hartleben był jednym z tych, którzy do gruntu znienawidzili Berlin. Natura jego miękka, niezdolna do walki, szukająca tylko słodyczy bytu, skłoniła go szybko do odwrotu. W objęciach Bachusa szukał zapomnienia—kufel i kielich stały się jego fatum... podkopały siły herkulesowe i przedwcześnie w grób go strąciły.

Alles ist mir Schnuppe! Gwiżdżę na całą waszą teraźniejszość! — Tym tonem odznaczają się wszystkie jego studenckim dowcipem zaprawione opowiadania. Hartleben stworzył zupełnie odrębny styl satyry, uśmiechniętej i zuchwałej, szydzącej i dobrodusznej zarazem. Satyra jego nie jest biczem, ale cienką, gibką różeczką. Rodzaj ten najlepiej możnaby określić francuskim wyrazem—moquerie.

Napróżno starał się Hartleben później znów nastroić lutnię na tony potężniejsze. Ani późniejsze jego poezye, które pod względem formalnym są utworami udatnemi, ani tragedya „Rosenmontag", utwór cieszący się największem powodzeniem, nie były temi pożądanemi czynami twórczemi. Goethe, Anioł Szlązak, ody klasyczne, Włochy — to harmonie, w których serce jego chore, zatrute wstrętem i pogardą, szukało uzdrowienia.— Zapóźno, niestety.

W komedyach swoich zajmuje Hartleben stanowisko na pozór dość zbliżone do stanowiska Strindberga. „Verachte das Weib" jest mottem jednej, a treścią wszystkich niemal jego komedyi. Ciekawą jest ewolucya typu kobiecego w tych utworach od bezwstydnej kokietki Angeli, szukającej najlepiej płacącego kupca za siebie, do wyrachowanej, mądrej Hanny Jagert, posiadającej cały arsenał nieprzezwyciężonych argumentów. Typem pośrednim jest Meta w komedyi „Erziehung zur Ehe."

Sprawy kobiecej Hartleben nie bierze na seryo. — Któż widział robić z tego powodu taką wrzawę? — Głupstwo! — Ale i typy męzkie jego komedyi nie należą do dodatnich. Różeczką swoją wymierza autor razy zarówno mężczyźnie i kobiecie, a motto

jego: „Verachte das Weib“ możnaby równie dobrze do typów męzkich jego twórczości zastosować. O głupoto męzka! zda się wołać poeta, śmiejąc się do rozpuku, dlaczegoż się tak dajesz wodzić za nos? I jeszcze w końcu wszystko na seryo bierzesz? Sceny takie, jak niezwykle komiczna pomiędzy kandydatem teologii, a byłym kochankiem Angele, albo pomiędzy Ritą Revera, śpiewaczką międzynarodową a Fryderykiem Stierwaldem, właścicielem firmy „C. W. Stierwald i Synowie“ w Rudolstacie (jednoaktówka: „Sittliche Forderung“) są wymownym dowodem, że poeta ani jednej, ani drugiej strony na seryo nie bierze i zupełnie niesłusznie stawiany bywa jako wróg nieprzejednany rodu kobiecego obok Strindberga.

Ostatnie lata swego steranego życia spędzał Hartleben w Saló, nad jeziorem Gardejskiem, w pięknej swej willi Halkyone, którą nabył po dobroczynnym złotym deszczu tantiem i niespodzianych tryumfach tragedyi „Rosenmontag.“ Posiadamy ciekawy opis tego buen-retiro poety przez znanego powieściopisarza Hansa Bethge, który odwiedzał Hartlebena w Saló na rok przed jego śmiercią. Wśród szpalerów róż, z wielkiemi nożycami ogrodniczemi w ręku ukazuje się nam przedwcześnie posiwiały, pochylony poeta (Hartleben umarł, mając lat 40), w cieniu białej kolumnady greckiej, zbudowanej według jego planu i ozdobionej zwieszającemi się festonami winnej latorośli. Przed nim — widok cudny na lazurowe jezioro, potężne zarysy Monte Baldo, Isola di Garda, przypominającą fantazye Boeklinowskie, na pałac Borghese... Fale pluszczą o marmurowe stopnie małej przystani, w której kołysze się łódka z napisem „Ellen, mein Kind.“

„Chcesz pan zostać członkiem mojej akademii?“ pyta Hartleben, i na potakującą odpowiedź gościa prowadzi go ku przystani, gdzie nad brzegiem jeziora stoją w kilku rzędach amfiteatralnie umieszczone fotele marmurowe. „Patrz pan, to halkyońska akademia nauk niestosowanych w Saló, dodaje poeta z najpoważniejszą w świecie miną. Na każdym fotelu już zajętym wyryte jest, jak pan zauważyć może, imię członka.“ Max Halbe, Meyer-Förster, malarz Alf Bachman, rzeźbiarz Habich i w. i. mają swoje fotele. Przywołana dziewczyna przynosi na tacy flaszę Chianti i dwie czary z pięknego szkła weneckiego. Napełniwszy je winem, odkrywa Hartleben głowę i mówi uroczyście: „Niniejszem mianuję pana zwyczajnym członkiem halkyońskiej akademii — Nasdar!“

Wieczory spędzał „il poeta,“ jak go w Saló powszechnie nazywano, w teatrze, gdzie t. zw. „loża królewska“ była stale dla niego zarezerwowana.

W Saló pisał Hartleben swoje epigramaty, wyszłe w r. 1904 pod tytułem „Der Halkyonier," Pieśni Halkyońskie, ostatnią swoją pracę sceniczną „Im grünen Baum zur Nachtigall"...

Ta na pozór szczęśliwa, idylliczna, ostatnia przystań poety nie była w rzeczywistości niczem innem, tylko cichem schronieniem rozbitka, który z bolesnym uśmiechem na ustach szepce: — Ave vita!...

Jezioro, na którego wybrzeżu srebrna fala roku 1890 zasnęła, śpi spokojnie, ale dla uważnie wsłuchującego się powietrze jest pełne szmerów, skarg, westchnień tajemniczych, pytań... nawoływań.

*

* *

Pomiędzy młodszymi talentami, które w ostatnich czasach zwróciły na siebie uwagę, zasługuje na szczególną wzmiankę grupa poetów południowo-niemieckich, żyjąca nad jeziorem Bodeńskiem. Najstarszemu z nich, dziś około 40-tu lat liczącemu badeńczykowi, Emilowi Straussowi, należy się palma pierwszeństwa, pomimo, że sława młodego szwajcara Hermana Hesse i jeszcze młodsza sława Finkha, zaćmiły jego gwiazdę, naturalnie nie w oczach znawcy, ale zato w oczach — publiczności.

Herman Hesse odrazu, pierwszą powieścią swoją „Peter Camenzind" (1904 r.) zdobył sobie serca publiczności. Jest to niezaprzeczenie utwór bardzo udatny: pamiętniki górala, który z czystego i jasnego świata wolnych gór zstępuje w pełne mgieł i zaduchu niziny, widzi miasta, pije ze źródeł wiedzy i sztuki, odurza się różnorodnemi narkotykami cywilizacyi, doznaje zawodów przeróżnych i przeróżnych słodyczy kosztuje, poznaje miłość i przyjaźń... i w końcu rzuca świat nizin, gdzie piersi jego szerokiej brak tchu, a oczom przyzwyczajonym błąkać się ponad szczytami — wolności, ażeby powrócić do wioski ojczystej i jakby nigdy nic rozpocząć życie dziada, pradziada. W biurku jego leży niewykończony utwór (Piotr Camenzind był w nizinach literatem), który mógłby się stać czemś obiecującem, ale Piotr uważa za rzecz ważniejszą łatać dach swej chatki i pić ciężkie wina waadtlandzkie i wetlińskie, słowem — żyć, jak dziad i ojciec żyli. — Powieść ta, pomimo wielkich zalet, pomimo pełnych subtelnej piękności

opisów, robi wrażenie fragmentu; jest w niej coś niedopowiedzianego, jakaś struna niedociągnięta.

W roku 1905 ukazała się druga z rzędu powieść Hessego: „Pod kołem“ (Unter dem Rad), której jednakże niepodobna nazwać krokiem naprzód, chociaż pojedyńcze rozdziały odznaczają się znacznie większą plastyką, niż w poprzedniej. Powieść „Pod kołem“ porusza w ciekawy sposób ciekawą i zawsze palącą kwestyę szkolną.

Chłopaka, który okazuje chęć do nauki i wybitne zdolności, zamęczają pracą. Rektor i pedagodzy szkoły małomiasteczkowej postawili sobie za punkt honoru przygotować go do egzaminów rządowych, dających wstęp do seminaryum, a następnie do uniwersytetu na koszt rządu. Chłopiec zdaje w końcu egzamin. Przychodzą wakacye. Zamiast odpoczynku, znowu nauka. Każdy z profesorów czuje się obowiązany wtłoczyć jeszcze jak najwięcej wiedzy w głowę biednego dziecka.

Tak przygotowanego seminarzystę dostawia ojciec do przybytku wiedzy, pochłaniającej rok rocznie przynależną rządowi hekatombę, w postaci młodych, zdolnych dzieci.

Chłopiec uczy się dobrze, zdobywa sobie wprędce opinię zdolnego i pilnego ucznia. Wtem nagły przewrót. Nastaje niebezpieczny dla zdrowia, dla pedagogów straszny czas przemiany dziecka w młodzieńca. Podkopane zdrowie nie jest w stanie wytrzymać nawet tych pierwszych wiosennych przewrotów i załamuje się nagle. Później drugi cios. Chorego chłopca wydalają ze szkoły. Koła rydwanu państwowego toczą się dalej, po jego ciele i po ciałach wielu innych, którzy corocznie padają. I jeszcze jeden cios: pierwsze zatrute krople zakazanej miłości... Znakomicie opisana jest ta bezkrwista miłość chłopięca ze stygmatem śmierci na czole.

Podobny temat obrał przed kilku laty (r. 1902) Emil Strauss w swej znakomitej powieści „Freund Hein.“

Emil Strauss jest naturą artystyczną, kompletnie zrównoważoną. Rzadko kto pośród dzisiejszych powieściopisarzy niemieckich buduje tak monumentalnie. Powieści jego są prawdziwemi kopalniami dobrego stylu. Robiąc porównania pomiędzy obiema powieściami (Freund Hein stoi pod każdym względem wyżej od powieści „Unter dem Rad“) niepodobna nie zwrócić uwagi na prawie jednogłośnie brzmiące oskarżenia obu autorów przeciw dzisiejszemu systemowi szkolnemu w Niemczech. Jak szkoła niemiecka ogromnym balastem martwej wiedzy przytłacza, zabija wszystko, co jest podstawą życia, jak zapominając o tem, że

non scholae sed vitae discimus, zatraca w skamieniałym formalizmie poczucie swej wielkiej odpowiedzialności względem społeczeństwa, w świętokradzkiej niwellacyi umysłów—sumienie, o tem szczególniej w ostatnich czasach można było wiele słyszeć.

Z dreszczem przerażenia czyta się odpowiednie rozdziały w wymienionych powieściach Straussa i Hessego. Nie daj Boże, ażeby nasi przyszli gimnazyalni profesorowie literatury polskiej traktowali w podobny sposób naszych wieszczów, jak tam traktują Szyllera i Goethego, Platona i Homera. Zuchwały belfer, który brudnemi, atramentem oplamionemi paluchami, gmera w złotych skarbach narodu, składając przed niedojrzałymi młokosami dowody swego krytycyzmu, naszpilkowując każdą „niedokładność“ każdy „błąd“ logiczny lub gramatyczny mistrza—jest widmem, mrożącem w żyłach krew. Nie daj Boże, aby szkoła nasza miała przejść przez to stadyum, któreby większą szkodę społeczeństwu przyniosło, niż niejedna bieda i niejedno nieszczęście, któreśmy dotychczas przetrwali. Wówczas może i w naszem piśmiennictwie zamiast młodych, silnych fal, bijących jędrnym rytmem o brzegi życia, mielibyśmy uśpione, milczące jezioro z srebrnemi, cichemi falami, zasypiającemi na piasku wybrzeża i ciche szepty i skargi żałosne i pytania drżące i zmęczone westchnienia... Żadne skarby Europy, żadne „rozkwity ekonomiczne“ nie byłyby w stanie powetować tej straty.

Punktem kulminacyjnym dotychczasowej twórczości Emila Straussa, jest ostatnia powieść jego: „Kreuzungen“ (1904), poruszająca problemat Getowskiej powieści „Wahlverwandschaften:“ Mężczyzna pomiędzy dwiema kobietami; związany z jedną więzami obowiązku, wdzięczności, szacunku i przyjaźni,—pociągany ku drugiej nieprzepartą potęgą zmysłów i serca.

Język tej powieści Straussa jest nieskazitelnie piękny. Idea przeprowadzona bardzo oryginalnie, zupełnie w duchu współczesnym.

Powieści Emila Straussa mają swoją specyalną melodyę, która długo jeszcze po przeczytaniu utworu dźwięczy nam w sercu. „Freund Hein“ możnaby najlepiej porównać do tęsknej melodyi skrzypcowej, płynącej cichemi falami zmroków; „Kreuzungen“ — to trio. Fortepian, skrzypce i flet. Każdy instrument śpiewa swoją melodyę; dźwięki łączą się, splatają, oddalają, gubią się, łączą ponownie tworząc zupełnie nowe kombinacye i urywają nagłym, jasnym, radosnym akordem.

Pojąć nie mogę, dlaczego artysta tego kroju, co Emil Strauss nie zdobył dotychczas w piśmiennictwie i wśród publiczności niemieckiej stanowiska, które mu się ze względu na jego twórczość

należy. Dla polskiego czytelnika styl Emila Straussa, szczególnie styl „Kreuzungen“ wydawać się będzie na pierwszy rzut oka trochę rozwlekły i nudny. Kto jednakże przezwycięży pierwsze niekorzystne może wrażenie, które na nasz znacznie żywszy temperament mogłaby wywrzeć flegmatyczna, gruntowna natura południowo-germańska, ten sowicie za to wynagrodzony zostanie całym światem prawdziwej piękności i niezwykle misterną robotą psychologiczną.

Do zapoznania się z twórczością Straussa nadaje się lepiej „Freund Hein.“

„Kreuzungen“ należałoby czytać równolegle z getowską powieścią „Wahlverwandschaften.“ Trudno o ciekawszy materyał do porównań, pomiędzy dwoma odrębnemi światami: teraźniejszością a wiekiem Goethego i Szyllera.

Walka tocząca się w sercu Edwarda pomiędzy szacunkiem i przyjaźnią dla żony, Szarlotty, a miłością i uwielbieniem dla nieszczęśliwej Otylii (Wahlverwandschaften), powtarza się w „Kreuzungen.“ Ugrupowanie bardzo podobne, ale jakaż olbrzymia różnica w każdym szczególe. Ludzie w powieści Straussa przesiąknięci są zupełnie innym duchem, żyją według innej moralności, w zupełnie innych warunkach bytu. Edwarda, Szarlottę i Otylię rozumiemy, współczujemy z nimi. Ale Herman, Elfryda i Klara (Kreuzungen), stoją nas nieskończenie bliżej. W ich myślach, uczuciach, czynach odnajdujemy zagadnienia teraźniejszości, w ich historyi życia przeżywamy kawał współczesnych walk. Oba te dzieła w zestawieniu, uczą więcej niż całe stosy broszur o prawach mężczyzny i kobiety, wolnej miłości, nierozerwalności ślubów, doborze naturalnym i reformie instytucyi małżeńskiej.

*

* *

Tak zwana sztuka oficyalna miała w r. 1905 tryumf do zaznaczenia. Uderzono z Weimaru we wszystkie dzwony, ażeby obwieścić światu, że najnowszy utwór Wildenbrucha jest arcydziełem. Wiadomości te są oczywiście przesadzone. Podobno wrażenie premiery „Pieśni Eurypidesa“ było bardzo dodatnie. Bądź co bądź daleko temu dziełu jeszcze, pomimo zapewnień prasy weimarskiej, do klasycyzmu Goethego lub Grillparzera. „Stopienie świa-

ta klasycznego z teraźniejszością!“ Ileż razy słyszeliśmy już ten frazes. Towarzyszy on nieodłącznie prawie wszystkim kulawym dramatom grecko-niemieckim, jak Mefistofeles Faustowi. O ile muzyka, którą kompozytor Maks Vogrich do dramatu Wildenbrucha napisał, ma racyę bytu i czy jest dobra, trudno osądzić, nie znając utworu ze sceny. „Pieśni Eurypidesa“ nie były dotychczas nigdzie wystawiane po za Weimarem. Co do tekstu Wildenbrucha, nie podobna się ani na chwilę łudzić. Wildenbruch, poeta Hohenzollernów, laureat i poeta nadworny, posiada sporą dozę talentu, na co dowody znaleźć można w niejednem dziele jego niezwykle obfitej twórczości. Ostatni jego utwór powieściowy „Das Schwarze Holz“ (1905) jest wcale niezły. Do kompozycyj monumentalnych brak Wildenbruchowi jednakże bardzo wiele. Temat i inwencya „Pieśni Eurypidesa“ są dobre, nie zawsze jednak zdołał poeta znaleźć odpowiedni założeniu wyraz, a tu i tam nawet grubsze usterki się zakradły. Treść dramatu następująca:

*Akt pierwszy.* Noc... Świątynia Ateny... Grecya. Dziewice kapłanki zbliżają się, niosąc płaszcz dla bogini. Jedna z nich otrzymała rozkaz wyszycia na płaszczu wizerunku Eurypidesa, ulubionego przez naród poety. A czyj wizerunek bogini na piersiach nosi, temu nic stać się nie może. Elpinike zamiast podobizny poety wyszyła wizerunek swego kochanka Eurynomosa, prostego żołnierza, mającego wraz z całą armią grecką wyruszyć na wojnę bratobójczą, przeciw Syrakuzom. Po odbyciu ceremonii kapłanki rozchodzą się. Elpinike i Eurynomos. Eurynomos dowiaduje się o czynie ukochanej i poznaje grożące jej z tego powodu niebezpieczeństwo. Pomimo tego, jakby nigdy nic, po modlitwie kochanków, podczas której ukazuje się nagle ponad świątynią błogosławiąca postać Bogini w blasku wschodzącego słońca, Eurynomos wyrusza na wojnę. Pierwszy błąd kardynalny. Elpinike, kochając Eurynomosa, nie może mu powierzyć swej tajemnicy. Jeszcze mniej zrozumiałem jest zachowanie się Eurynomosa, który dowiedziawszy się o grożącem ukochanej istocie niebezpieczeństwie, opuszcza ją.

Dzień. Święto Ateny. Kapłani spostrzegają czyn zuchwały Elpiniki. Naród domaga się jej śmierci. Wtem zjawia się Eurypides. Wzruszony widokiem pięknej Elpiniki i przejęty jej wyznaniem poeta prosi o darowanie jej winy. Naród darowuje mu ją, pozbawioną godności kapłańskiej, jako niewolnicę.

*Akt drugi.* Elpinike smutna, w zadumie, w ogrodzie przed pałacem Eurypidesa. Przed nią morze. Powracający z miasta

niewolnik przynosi wieść o zupełnej zagładzie wojska ateńskiego. Eurypides wraca po długiej niebytności i wyznaje Elpinice w namiętnych słowach miłość swoją. Napróżno szukał zapomnienia. Długa wędrówka była tylko ucieczką przed tem, co przyjść musiało. Teraz jednakże, gdy niepodobna więcej wątpić o zupełnej zagładzie wojska ateńskiego, nadzieja odżyła w jego sercu... Bogowie tak chcieli, kto żyje, musi życia używać... Przerażona, złamana tem wyznaniem uwielbianego poety Elpinike daje się porwać rozpaczy. Boleść z powodu śmierci ukochanego, podwaja jeszcze żal jej do Eurypidesa, który szorstką dłonią zniweczył w jej duszy czar swej boskości, stając przed nią w nagości zwykłego śmiertelnika. (Trudno zrozumieć, dlaczego tę mieszaninę pojęć pogańskich i chrześcijańskich krytyka nazwała kunsztownem stopieniem dwóch światopoglądów). Wtem od strony wybrzeża wpada do ogrodu Stesimbrotos. Na łódce udało mu się uciec z pola bitwy... jemu jedynemu. Stesimbrotos na pytania Eurypidesa opowiada przebieg walki. Podczas bitwy, gdy wojska ateńskie zdziesiątkowane i ze wszystkich stron okrążone gotowały się do ostatniej rozpaczliwej walki, jeden z wojowników Eurynomos zaintonował pieśni Eurypidesa. Hermokrates, wódz syrakuzczyków, wielbiciel poezyi greckiej, darowuje pod czarem tych pieśni ateńczykom życie. — Eurynomos, piewca poezyi Eurypidesowej, i Elpinike jego nauczycielka! Wzruszony do głębi Eurypides daje się poznać młodemu wojakowi i przyrzeka Elpinice wolność i pomoc. Scena ta może być scenicznie bardzo efektowna, co do charakterystyki Eurypidesa pozostawia jednakże dużo do życzenia.

*Akt trzeci.* Syrakuzy. Hermokrates obchodzi swe zwycięztwo nad ateńczykami. Taniec. Muzyka. Z głębi więziennej daje się słyszeć śpiew wziętych do niewoli ateńczyków. Za każdym razem, gdy śpiew ten się rozlega, muzyka tryumfalna syrakuzczyków milknie, taniec urywa się. Wszystko słucha czarownych pieśni Eurypidesa na cześć ojczyzny. Hermokrates każe przywołać jeńca Eurynomosa, aby grał i śpiewał, ale ten, przejęty boleścią chwili, wzdraga się. Wtem zjawia się Eurypides. Naród poznawszy go wraz z Hermokratesem na czele, składa mu oznaki czci. Eurypides ucieszony takiem przyjęciem prosi o wydanie jeńców greckich. Hermokrates waha się. W końcu jednakże pod czarem wymowy Eurypidesa, który apeluje do uczuć pobratymczych, syrakuzczycy wypuszczają jeńców na wolność. Na skinienie poety niewolnik wprowadza Elpinikę, którą przy okrzykach wesołych, podziwiającego piękność jej narodu, Eurypides oddaje oniemiałemu z zachwytu Eurynomosowi. Poeta śpiewa pieśń na cześć Grecyi

i jej dzieci. Na obłoku zjawia się Atena. Naród składa jej hołd i wielbi wielkiego poetę.

Trudno o banalniejsze zakończenie. Po co te rekwizyty zapleśniałe, wzruszenia nic nie mówiące i efekty wyszargane? Życie Eurypidesa, który porzuciwszy Grecyę, przez lata całe żył po za granicami swej ojczyzny i prawdopodobnie przez dłuższy czas bawił w t. zw. Wielkiej Grecyi, nasuwa samo przez się znacznie lepsze, głębsze rozwiązanie. Trudno też uwierzyć, aby syrakuzczycy dla pięknych słów Eurypidesa wyrzekli się odrazu swego całego łupu wojennego, okupionego własną krwią. Pozatem język „Pieśni Eurypidesa“ odznacza się taką koturnową nienaturalnością, takiemi wywichnięciami i rytmicznemi dziwolągami, że niepodobna, pomimo kilku bardzo udatnych scen, przychylić się do zdania krytyki weimarskiej, która może ze względu na zażyłe stosunki, łączące poetę z dworem sasko-weimarskim, czuła się, bardziej niż potrzeba, obowiązana uderzyć w najwyższe tony zachwytu.

*

* *

Do publikacyj, mających dla naszego piśmiennictwa niemałe znaczenie, należy przekład „Hymnów“ Jana Kasprowicza na język niemiecki. Dziełko wyszło w nakładzie F. Fontane i S-ki. Przekładu dokonał Stanisław Przybyszewski, przedmowę napisał Wilhelm Feldman. Zdawałoby się, że nie podobna sobie nic lepszego życzyć. Wilhelm Feldman, znakomity znawca najnowszej literatury polskiej, i Przybyszewski, gorący wielbiciel twórczości Kasprowicza, sam poeta wybitny, twórca takich wspaniałych utworów niemieckich, jak Epipsichidion, Totennesse. Rezultat tej wspólnej pracy—pozostawia, niestety, bardzo dużo do życzenia.

Przedewszystkiem — wstęp Feldmana.

Pomijam, że wstęp ten, pisany więcej może dla czytelnika polskiego, nie zawsze nadaje się do zapoznania publiczności cudzoziemskiej z zupełnie jej obcym duchem „młodej polski“ i tak odrębną twórczością, jak twórczość Jana Kasprowicza. Jest to nieznaczna usterka, wobec fatalnych braków, za które ciężar odpowiedzialności nie spada może wcale na Feldmana, który, o ile sądzić można, nie jest znawcą języka niemieckiego.

Niemiecki wstęp Feldmana robi wrażenie niedbałego tłómaczenia z tekstu polskiego, który naturalnie zupełnie inaczej brzmieć musi. Te konwulsyjne zwroty, bombastyczne superlatywy, bełkotanie, niedołężnie klecone zdania, zadychające się okresy, które trzeba po kilkakroć czytać, ażeby je zrozumieć, to zupełnie zbyteczne nowotwory niemieckie w rodzaju „überfeinerte Nerven," „gotesselige Psalmodie," „gotesherzliches Panorama," „Erdall" i t. p. są niewątpliwie dziełem tłómacza, nie autora.

Weźmy dla przykładu ustęp na str. 14 przedmowy, traktujący o poemacie Kasprowicza: „Na wzgórzu śmierci."

„In diesem Werke ist jener furchtbare Posaunenton, der die Seele durchbebt, um sie mit einer ewigen Melodie der Sehnsucht zu durchschauern. In diesem Werke ist ungeheure Farbenkraft, die zuweilen blind macht (!). Wie er die menschlichen Leidenschaften mit seiner eigenen schöpferischen Kraft auf das Papier wirft (!), ist ein solcher Schmerz, ist ein so furchtbares Leiden, eine solche unfassbare Sehnsucht und ein solcher Leidensrausch, der sich in die lustheisse Umarmung des Satan wirft, das man mit tiefer Verehrung und gleichzeitig mit Angst und Schauer vor diesem Werke stehen bleibt."

Ostatni okres nietylko ogromnie zagmatwany, ale posiada tak ohydne zlepienia jak: ...wie er die menschlichen Leidenschaften... ...ist ein so furchtbares Leiden...

Ale dalej. Na każdej niemal stronnicy znalazłoby się coś podobnego. Na str. 25 czytamy:

„In der ganzen polnischen Poesie ist diese Form durchaus originell, „vers libre," aber durch ihn zu einer ungeahnten Kraft und (?) Macht und (?) Virtuosität gelangt. Ohne die künstlerischen Taktmasse, die man als Reim bezeichnet, offenbart sie sich, „vers libre" (oba razy wstawiono „vers libre" najnieszczęśliwiej w świecie) als Geysir kochender Elemente und (niedbałe, niezgrabne połączenie) nur mit einem Refrain: dem Schlagen und dem Zittern des schmerzüberfüllten Herzens."

Fatalnie działają również w studyum krytycznem nieustanne superlatywy, wyjęte jakby żywcem z niemieckich powieści i poematów Przybyszewskiego. Podobne wyrażenia odpowiadają nastrojowi takich utworów, jak „De Profundis," „Totenmesse," w których przyczyniają się nawet do spotęgowania grozy, tutaj łatwo mogą działać, jako przesada.

Oto mała wiązanka:

„Die Hymne ist eine unerhört wundervolle (widocznie dosłowne tłómaczenie polskiego „niesłychanie"...) Schar von Visionen

des polnischen Dorfes... Das Herz, das auf der Märtyrerbank verreckt... den allmenschlichen Schmerz zum Himmel hinaufheult... zum Heulen der scheusslichsten Blasphemie i t. d. wyje, zdycha, wzdycha tłómacz, — w oczach czytelnika niemieckiego, krytyk — przez 29 stronnic, mających ułatwić publiczności niemieckiej zrozumienie wielkiego, polskiego poety.

O takich błędach jak „Verzweiflung die sich die Haare von (!) dem (!) Kopfe (!) reisst (!) (die Haare rauft)... Gebet des auf (!) dem (!) Kreuz liegenden Menschen (w oryginale polskim stać powinno „krzyżem leżący“ człowiek, tłómaczenie niemieckie zaś oznacza „na krzyżu leżący człowiek“) wstyd wspominać.

Cóż dziwnego, jeżeli Niemiec, który zdecyduje się na wzięcie do ręki dzieła nieznanego mu poety „nawpół dzikiego“ narodu polskiego, już po kilku stronnicach wstępu, powie sobie ze śmiechem: „a toć to komiczna literatura, ta wyjąca, wzdychająca i zdychająca literatura polska,“ i z lekceważeniem zacznie niedbale przerzucać stronnice tekstu.

W swem słowie wstępnem do Hymnów Kasprowicza zaznacza St. Przybyszewski, że podjął się tej niezwykle trudnej pracy przekładu na język niemiecki jedynie ad majorem gloriam odrodzonej literatury polskiej, przytem zastrzega się, że tłómaczenia swego nie uważa bynajmniej za dzieło oddające choćby w części wszystkie piękności oryginału. Głównym celem jego pracy jest bowiem udostępnienie dla literatury niemieckiej poezyi Kasprowicza, aby z czasem może jeden z wielkich poetów niemieckich na podstawie tego przekładu, podjął się nieskończenie trudniejszego zadania:—odtworzenia oryginału w całej jego naturalnej piękności.

Pobudki Przybyszewskiego są niezaprzeczenie szlachetne i piękne, ale... ach, dlaczegoż to „ale“ właśnie być musiało!

Utworów zbliżonych do oryginału, po powyższem słowie wstępnem wymagać nie można, ale jedno żądanie jest niewątpliwie uzasadnione. Przekład musi przynajmniej oddawać wiernie treść i rytm oryginału. Sam Przybyszewski to w swem słowie wstępnem przyznaje.

Braki przekładu pod tym względem są jednakże tego rodzaju, że trudno je pominąć milczeniem.

Zbytnio w szczegóły wchodzić niepodobna. Oto kilka przykładów:

W hymnie „Moja pieśń wieczorna“ (ten tytuł nosi również całe dzieło w języku niemieckim) tłómaczy Przybyszewski pierwsze słowa: „On był i myśmy byli przed początkiem“ przez „Seit dem Anfang war er,“ — co znaczy „od początku.“ Zupełnie inna

myśl filozoficzna; gdyż zupełnie inny światopogląd przedstawia się nam w słowach: „On był i myśmy byli *przed* początkiem... zanim się gwiazdy i słońca..., zanim się stało to, co cię pożera," jak w prostem: „On był i myśmy byli *od* początku." Dalej:

... więc bezlitością swych płomiennych rąk
wyciągnij członki moje do ogromu
Twojego krzyża, na którymś zawisnął
Ty sam, o Panie, ongi przed początkiem.

w tłómaczeniu brzmi:

... entspanne meine Glieder
mit deinen mitleidlosen, flammenden Händen
zu der furchtbaren Grösse
Deines Kreuzes, auf dem man dich angenagelt hat!
Dich selbst, o Herr!

co znaczy „do ogromu krzyża, do którego Ciebie przybito," zamiast „na którymś zawisnął." Tłómaczenie to zaciera potęgę wizyi Kasprowicza, w której Bóg sam się na krzyżu zawiesił...

„Ongi przed początkiem" kiedy się zmuszał „by spokój i miłość
przemienić w ogień trawiący
i w skamieniałe ślepe przerażenie."

Jeszcze niefortunniej działa podobnego rodzaju niedokładność w innem miejscu:

Denn längst ist schon die Zeit gekommen,
da die Liebe und Ruhe
noch nicht zur vernichtenden Flammenlohe wurde
und nicht zu tötender Sehnsucht,
und nicht zu dem steinernen, blinden, schreckerfüllten Graus...

w oryginale ustęp ten brzmi:

bo dawno już przeszedł czas
gdzie miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym,
ani zabójczą tęsknicą,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem.

Przybyszewski tłómaczy „przeszedł" przez „gekommen," gdy należałoby pisać „vorbei;" przyszedł = gekommen, przeszedł = vorbei... Przyszedł, przeszedł... znaczenie wprost przeciwne. Czyżby

omyłka druku? W „Chimerze“ i w wydaniu lwowskiem „Hymnów“ mamy „przeszedł...“

Coś zupełnie podobnego mamy w następującym ustępie:

ku wirchom, skąd pycha
wygraża światu pięściami z granitu.

u Przybyszewskiego:

„zu den Sturmwinden dort hinauf,
von woher der siegesbewusste Uebermut
der Welt mit Fäusten aus hartem Granit droht.

Wirchy — po niemiecku „Firnen,“ wichry — „Sturmwinde.“ Czytając tekst niemiecki możnaby słusznie postawić pytanie „jaki związek mają wichry z pięściami z granitu?“ i t. d. i t. d. Trudno byłoby wszystkie niedokładności i zupełnie pobieżnie traktowane ustępy wyliczyć.

Dla przykładu wziąłem „Pieśń Wieczorną,“ podobne usterki dałyby się jednakże i w innych hymnach, szczególnie w „Salve Regina“ dowieść.

Rymy w przekładzie nigdzie nie są uwzględnione. Szkoda! Ogromna część piękności oryginału ginie przez to bezpowrotnie, gdyż w jakiż sposób dadzą się bez rymu osiągnąć owe wspaniałe crescenda uczuć, któremi Kasprowicz z takiem mistrzostwem włada.

Czyż naprzykład tłómaczenie pierwszych, najeżonych potrójnemi rymami, wierszy potężnego „Dies Irae“ daje choćby słabe pojęcie o oryginale?

Trąba dziwny dźwięk rozsieje,
ogień skrzepnie, blask ściemnieje,
w proch powrócą światów dzieje.
Z drzew wieczności spadną liście,
na sędziego straszne przyjście,
by świadectwo dać psalmiście.

Die Posaune, die das Weltende ver-
|kündet,
wird mit einem seltsamen Klang
|erdröhnen.
Zum Eise wird das Feuer werden,
zur tiefen Finsterniss das Licht!
In Staub wird sich das Geschick der
|Welten verwandeln.
Die Bäume der Ewigkeit werden
|nackt stehen,
ihrer Blätter beraubt,
auf das furchtbare kommen des Rich-
|ters wartend,
um Zeugniss für den Psalmisten zu
|geben.

Któż odgadłby w przekładzie niemieckiem intencye twórcy poematu? Czyż ów „przyszły poeta niemiecki“ będzie w stanie

domyślić się tego wszystkiego? Czyż nie należało przynajmniej oznaczyć w jakiś sposób rymy?

Rymy u Kasprowicza, to prawie zawsze, jak żebra w ciele, których bezkarnie usunąć niepodobna. Rymy częstokroć uwidoczniają u Kasprowicza architektonikę utworu i grupują cienie i światła. Wyjąwszy takie utwory, jak „Na wzgórzu śmierci“ lub „Salome,“ gdzie rymy, zgodnie z intencyą autora, mają znaczenie ornamentów, rymów bezkarnie w utworach Kasprowicza usunąć niepodobna. Któż będzie w stanie zrozumieć ową cudną, kunsztowną architektonikę „Pieśni wieczornej,“ jeżeli pozbawimy utwór rymów — a przez to owej fujarkowej melodyi: „a grajże mi piszczałeczko, a grajże mi, graj!“ lub rozmarzonej skrzypcowej „Rêverie:“

„O tej radości, o tem weselu,
o tem cudownem, ukrytem zielu,...“

albo tryumfalnego śpiewu organów:

„Sam z Siebieś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie...“

Zapewne — trudności niemałe, wymagające rzadkiego zaparcia się, chwilowego stłumienia własnego „ja,“ zupełnego zlania się z duchem poezyi Kasprowicza!

Ale pomijam nawet ten brak.

Dlaczegoż rytm oryginału nigdzie prawie nie jest zachowany? W słowie wstępnem pisze Przybyszewski: „...ograniczyłem się na oddaniu rytmu...“ Dlaczego zamiar ten nie został przeprowadzony? Wyżej cytowane przykłady wystarczają na dowód...

Zachowanie rytmu było conditio sine qua non; bez tej ostatniej podwaliny cały przekład traci racyę bytu. Że rytm oryginału można było bez zbyt wielkich wysiłków ze strony tłómacza zachować, dowiedzie następujące porównanie z „Na wzgórzu śmierci.“

| | *Przekład rytmicznie zbliżony do oryginału.* | *Przekład St. Przybyszewskiego* |
|---|---|---|
| Świat cały drzemie, | Die ganze Welt dämmert | Die ganze Welt dämmert |
| Świat cały śpi... | die ganze Welt schläft | die ganze Welt schläft |
| Olbrzymie cienie kładą | Gewalt'ge Schatten la- | Endlos grosse Schatten |
| się na ziemię, | gern auf der Erde | kauern auf der Erde |
| Nad którą księżyc świe- | darüber unbeweglich | und über ihr, wie erstarrt |
| ci nieruchomy, | glänzt der Mond | ruht der Glanz des |
| | | Mondes |
| Jakby umarły... | wie todesstarr... | wie erstorben... |

| | *Przekład rytmicznie zbliżony do oryginału.* | *Przekład St. Przybyszewskiego.* |
|---|---|---|
| Niebios ogromy | Des Himmelsraums | Die Unendlichkeit des |
| | | ganzen Himmelreiches |
| Ciężko się sparły | Unendlichkeit | ruht schwer |
| Na sennych, mrocznych | auf schläfrig - finstern | auf dem träumenden |
| pochyłościach globu. | Weltabgründen lastet | Schimmernden Erdenall |
| O jakże smutno mi! | Oh, wie das trübe Herz | O, wie mir das Herz |
| | mir bangt! | bangt! |
| O jak mi tęskno samot- | Wie sehn' ich mich in | Bangt und sich sehnt — |
| no i smutno! | Einsamkeit u. Trauer. | o wie ist es so einsam |
| | | und traurig. |
| Lucyferze! Lucyferze! | Oh Lucifer, o Lucifer! | Lucifer! Lucifer! |
| Drogi kochanku mój! | Du Herzgeliebter mein. | Du Herzgeliebter mein. |
| Z tobą wieczyste zawar- | Mit dir hab ich den ewi- | Mit dir habe ich ewigen |
| łam przymierze — | gen Bund geschlossen | Bund geschlossen |
| Czy mnie opuszczasz? | Verlässt du mich? Giess | Willst du mich verlas- |
| Na to sine płótno | auf dies'fahle Linnen | sen? auf dieses Gra- |
| | | beslinnen |
| Mojego lica rozlej bar- | meiner Wangen frischen | Meines Traumgedichts(?) |
| wy świeże — | Farbenzauber — | giess linderuden Tau |
| | | der Frische — |
| Tchów ciepłych zdrój! | Heissen Atems Ströme! | die Quelle heissen Atems! |
| Luby wybrańcze mój. | Oh, Ausserwählter, mein, | Du, mein Einziger, du |
| | | Heissgeliebter, Auss- |
| | | erwählter du! |
| Czemu nie spieszysz do | Was zögerst du mich zu | Warum beeilst du dich |
| swojej wybranej, | umfangen, | nicht, mich zu um- |
| | | fangen, |
| Do swojej duszy? | Mich, deine Seele? | Mich, deine Ausserwähl- |
| | | te und deine Seele? |
| . . . . . | . . . . . | . . . . . |

Poprzestanę na tem. I tak aż nadto! Ale ad majorem gloriam poezyi polskiej niech wyraźnie i bez ogródek będzie powiedziano: — Jeżeli mamy się pokazywać światu, to w szacie odpowiadającej godności naszej. Jan Kasprowicz zasługuje na coś zupełnie innego, niż to, co mu zawieszono na jego potężne ramiona, i lepiej byłoby może, gdyby go Europa w tej szacie nie była poznała!

Jan Kaczkowski.

# Pan Balcer w Brazylii.

## V.

. . . . . .

Port było miasto. Ale aż po ranu
Noc u kościelnych przetrwawszy podwoi,
Sinego morza dojrzeli my łanu,
Gdzie statków gęsto niby kopic stoi.
Rozór ci to był srogi Oceanu,
Co srebrną bruzdą na dwojgo świat kroi,
Że dwoma skiby upada na strony,
Prawą i lewą połową dzielony.

Więc jako pątnik, kiedy mu zdaleka,
W mgle zamajaczy ostrobramska wieża,
A on, choć szczudłak, i choćby kaleka,
Czołem w radości o ziemię uderza,
Iż ujrzał, na co dusza jego czeka, —
Tak tam, gromada nasza, u odźwierza
Powrotu swego padła na kolana...
— Witaj, przewitaj, ty drogo żądana! —

...Któreś nas zwało przez wielkie pustynie
Krzykiem tęskności, co w szpikach aż wierci,
Gdy dusze nasze, wyschnięte w tej glinie
Ciał umęczonych, padały się w ćwierci—
Któreś nas zwało po pilnej przyczynie,
By odnieść kości nasze do tej śmierci,

Co cicha siada na chaty przyproże,
W spokoju zaszłych zórz — zawitaj morze!

...Któreś stanęło okrutnym przestrzałem
Od nas tułaczy, do domu i rodu,
A teraz skrzydłem ponosisz się białem
Od słońca wschodu, do słońca zachodu,
Ciebie ja, naród ubogi, doznałem,
Od piany piór twych, do czarnych żył spodu,
Gdziem widział dziatki moje potopione,
Jakby miesiącem zaszłe — tak zielone.

...Witajcie srebrne wierzeje i wrota,
Którę nam oto Bóg do dom otworzył,
Iżbyśmy swego chwyciwszy się płota,
Jak pień wyrwany byli, co zaś ożył.
Oto nas tutaj przywiodła tęsknota,
Oto lud zdrowiem i życiem nałożył,
By duszę dowlec tu, i spojrzeć w zorze
Nadziei swojej... Zawitaj nam, morze!

...Niechże twe szumy nademną się staną,
Niech mnie korabie twoje precz poniosą!
Bom Łazarz, jedną oskorupion raną,
Od wierzchu czaszki, po stopę aż bosą...
Na ziemię dobrą i obiecowaną
Szedłem, a teraz powracam się, bo są
Niezwyciężone rzeczy, bym ostawał,
Korzenie puścił tu, i owoc dawał!

...Człowiek ja jestem polnego zawodu,
Inakszej roli, z pod inszego nieba...
Lipy mi kwietnej, pszczół brzęku z ogrodu,
Wierzby a brzozy szepczącej mi trzeba...
Nie szukawałem od rodu, prarodu,
Wyżebranego u ziem cudzych chleba,
Anim światami goniwał cudzemi...
Co mi świat? Własnej, rodzonej chcę ziemi!

...Doma chcę! Niechaj twój żagiel zruszony
W ojczyste kraje duszę mą pomiota!
Bom naród-oracz bez pługa i brony,
Bom naród-kowacz, bez kuźni i młota...
Do strzechy żytniej jestem utęskniony,
Jako do matki ubogi sierota...
Nieśże mnie teraz skrzydłami czteroma
Śródniebnych wichrów twoich! Ja chcę doma

Tak mówił Bugaj Piotr, a głos szedł z wnętrza,
Jakoby z żywej i otwartej rany.
A on, gdzie odsyp najwyższy wał spiętrza,
Wparł się w piach mokry oboma kolany.
Już fala bije po nim, która prędsza,
Już na pierś skacze, już szarpie sukmany,
Już przez łeb... Nie czuł, tak żal był w nim srogi.
Dopieroż ja go za kark i na nogi!

Chwiał się chłop chwilę, jakby łyknął z kwartę,
Mokra czupryna zwisnęła na oczy,
A te źrenice szeroko otwarte,
Błędnie chodziły po modrej roztoczy...
Tak zaraz baby uczynią mu wartę,
Iż to i słowo tak człeka zamroczy,
Tak go rozchmieli, rozbierze tak w sobie,
Że klęśnie, jakby po wielkiej chorobie.

. . . . . .

Poszlimy w miasto. Siedziało okrakiem
Na rzece, co my tu za nią bieżeli,
Od kiedy w gorcach porwawszy się ptakiem,
Leciała, szumiąc z srebrzystej gardzieli.
Teraz, skrzydliskiem rozwiana dwojakiem,
W dwoje wód grzmiących potęgę rozdzieli,
Zawściąga wartu, pian puchy rozpierza,
I pełną piersią w ocean uderza.

Dopieroż je tu na uzdę! Most tęgi,
Kraciasty, niby ta zębata brona,
Oba jej boki dymiące sparł w cęgi
Przyczołów swoich. A rzeka zaś ona,
Żwa munsztuk, targa na sobie popręgi,
Niezbytym jeźdźcem będąc przeskoczona,
I piany pluje u każdego słupa,
Jak ogier co w nim ta wątroba chlupa.

Cud było patrzeć stąd na wieże, mury,
Jak to szło jedno drugiemu przez głowę,
Iż brzeg był górny a krągły z natury,
Właśnie jakoby wykuty w podkowę.
Bokami brodził gród, jak czynią nury,
Zaś czubem wiercił tę bożą posowę;
A dym z kominów wprost w niebo tak pędził,
Że miałbyś szperkę w nim, tobyś uwędził.

Pogoda była cicha, rzeźki ranek,
Jak u nas bywa ku świętemu Janu;
Ostatnie gwiazdy gasiły kaganek,
Którym w noc świecą Chrystusowi Panu.
Dalekich statków kołychał się wianek
Na nieobjętych falach oceanu,
A te, jak owce w runie, szły do brzega
Z przepaścistego swojego noclega.

. . . . . .

Jarmark był. Kipiel okrutna, i mrowia
Ludzkiego wrzątek niestrzymany zgoła.
Ledwoś wpadł, jużci od zadu strzeż zdrowia,
Jużci od żeber znów, jużci od czoła...
Strój różny. Tutaj sajeta, tu krowia
Skóra z sierzchułą, a szastnie gdzie poła,
To nagość łyska pisana w kolory,
Jak jajo, onej wielkanocnej pory.

Dopiż wrzask! Każdy cię do swojej kupi
Ciągnie, szamoce, przygwałca i trzyma,
Że człowiek tylko te oczy wyłupi,
A ów mu gębą, jak wiatrem miech, dyma.
A niech zmiarkuje twój rozum, że głupi,
To cię jak hubę namiękłą wyżyma,
Aże ostatnim popuścisz szelągiem...
Nie lża tam inak, jak pięścią a drągiem.

Więc krzyknę: — kupy pilnuj a wal klinem!—
Tak wnet się nasza gromada obwoła.
Ja poprzód, za mną Roch wespół z Marcinem,
Skroś ciżbę pruje, jak byk dając czoła.
Niejeden z okiem odleciał w bok sinem,
Niejednego my zwalili chochoła,
Niejeden stragan pogubił pierogi,
Aż my w tym ścisku dobyli se drogi.

Dobra nas gwiazda wiodła. Kęs na prawo
Był plac. Z nagłości wparli my się w niego,
Jak płocie, kiedy walą gęstą ławą,
Strzymać nie mogąc naporu własnego.
Czarni, obdarci, nakryci kurzawą,
Niźli do ludzi, do stada dzikiego
Rychlej podobni, a każdy kij w garści.
Wtem krzyk:—Stój! Stójcie! Ażeby wciornaści...

Takem otrzeźwiał. Jakby mi więc miodu
Kapnął na serce spalone w goryczy...
Patrzę, na placu moc wielka narodu,
A za ożydle trzęsie mnie i krzyczy
Jakowyś Mazur tęgiego zawodu.
Czupryna lniana, twarz w ogniach, kark byczy,
A tuż przed nosem moim srogie pięści...
Tak wrzasnę:—Bracie! A niech ci Bóg szczęści!..

I nie pytając kto, co, jak, którędy,
Zwaliłem mu się, by kłoda, na szyję.

Tak insi nuż się obłapiać w te pędy...
Mazur, nie mazur, wszystkie parachfije
Za jedno! Nikto nie słucha komendy,
Krzyk z krzykiem, słowo się ze słowem bije,
I nie tak sobą rodzeni się cieszą,
Jak my, we światach tych, swojacką rzeszą.

Wielka to rzecz jest ta pospólna dusza,
Co ją ojczysty zagon w naród wszczepił,
Że jest rodzący, jak jabłoń, czy grusza,
Jednaki owoc, jak żeby kto lepił!
Pomyśleć tylko... Co u paralusza!
Chlebam nie łamał z tobą, wodym nie pił,
A niech cię, chłopie polski, gdzie obaczę,
Razem i radość mam, i razem płaczę.

I zaraz mi się po kościach obzywa
Ten praojcowy ród, ta ziemia macierz...
Hej, niechaj człek się i skóry wyzbywa,
Jedna mu dusza z bracią, jeden pacierz!
Rozerwie-li kto? Aliści, jak żywa,
Zrasta się miazga we pniu, choć go zaciesz
Siekierą, w sam rdzeń, przez biele, przez kory,
I spólnym majem zakwita swej pory!

Tak my się zwarli w kupę. Jezu Chryste!
Jakże nie buchniem duszą, by ukropem!
Jak o ziem czapy nie runą rzęsiste!
Jakże się w bary nie chwyci chłop z chłopem,
Jak nie zajarzą te lica sierdziste
We łzach! To, wiera, że prędzejbyś czopem,
Onego źródła, co bije z pod ziemi
Zatkał, niż serca te, ze łzami temi!

Zaczem po placu pojrzę. Czworobokiem
Stały tam wozy, w półkoszki, w półdraby,
Szkapy żwające po torbach z obrokiem,
Kury a gęsie, prosięta a schaby...

Lud zadufany, nieustępny krokiem,
Chłopy w lejbikach rządnych, w chustach baby,
Pstrzy się to, kwieci, buszuje, pokrzyka,
Głowa przy głowie tuż, przy bryce bryka.

Wszyscy gadają naraz. Jak w podwiośnie,
Sto żył z podziemnych ruczajów wybucha,
Tak huczy wrzawa, tak gwar setny rośnie,
Każdy prowadzi rzecz, a nikt nie słucha.
Dopieroż gdy z tej nagłości ochrośnie,
I oną parę, co pierwszą, wydmucha,
Gdy baby zatchną się, a chłopy spocą,
Jakoweś słówko zrozumiesz przemocą.

Bokami, pośród tumultu babiego,
Bugaj i Marcin Kos trzymali mowy.
Co przerzekł który, to z dziwu wielkiego
Plaskają ręce i chwieją się głowy.
Iż siła lud ten zabaczył, co swego,
I już się po nim przyrzucał liść nowy
W miejscu tem, gdzie miał przez osierdzie bliznę,
Kiedy był szczepion w tę cudzą ojczyznę.

Więc teraz, kiedy mu oną zgrubiałość,
Którą był przyżył w pniu obcym, zdrapano,
Kiedy wspominki podbiły w nim żałość
Za oną chatą a ziemią kochaną,
Leda słóweczko jakie, leda małość,
Bólem go piekły, do krwi zdartą raną,
Iż słychać było w onej zawierusze
Głosów, jęczące i łkające dusze.

Więc tak się stało, że my to, nędzarze,
Nie miawszy w sakwach nic, nawet okrucha
Czarnego chleba, przynieśli w podarze
Karmię dla serca, posiłek dla ducha...
Upragłym wzrokiem patrzają włodarze
Ziem dobrych; sroga pali ich posucha,

A onże Łazarz palec w rosach macza,
I puszcza krople na język Bogacza.

. . . . . .

Lecz Roch, stanąwszy wpośrodku, na ćwierci,
Co nią mierzają podjezdkom obroki,
Pociąga nosem wiatr, a okiem wierci
Opałki, niecki, węzełki, tłomoki.
Aż krzyknie:—Ratuj mnie od głodnej śmierci,
Patronie święty! A toćby tu boki
Godnie wyłożyć było czem, że—rety!—
Tak się rzuciły do wozów kobiety.

Wmig zabielały gomółki, twarogi;
Rzęsiste bochny, słoniny okrajce,
Wnetże kiełbasy w wiankach, wnet pierogi,
Wnet butle z mlekiem, warzone wnet jajce...
Puszczą się nasi, uczynią gwałt srogi
Skroś onych jodeł, co właśnie, jak w bajce,
Aboli we śnie, tak nam się jawiły,
Iżby lud zaczuł w kościach nowej siły.

Ale Żurawa, oburącz przed siebie
Wziął krągły bochen, do piersi przycisnął,
Podniósł źrenice i rzekł: — Miły chlebie,
Któryś nam tutaj pociechą wybłysnął,
Jak owo słonko wiośniane na niebie,
Bądź że pozdrowion! — A tu się zachłysnął
Ślozami, które chciał utłumić w sobie...
Aż w takim dalej powiadał sposobie:

— Oj, zapachniałeś ty mi wioską, chatą,
Oj, zapachniałeś dymem jałowcowym,
Kiedy cię Magda, na wyścig z Jagatą,
W bochny tulają po stole lipowym...
Zaś podebrawszy święconą łopatą,
W czeluść cię sadzą na liściu klonowym,
I podpłomyki skrobają po dzieży,
A z pieca idzie na izbę duch świeży...

Tyś to jest ona strawa pierworodna,
Bez której nijak ostać się nie możem!
Nie jeno żywot, i dusza tam głodna,
Gdzie ty nie pachniesz polami a zbożem...
Błogosławiona treść twoja aż do dna,
I ręka matki, co krzyż kreśli nożem
Przez twą rumianość, nim czeladź obdzieli...
Tu umilkł, dobył kozik z kamizeli,

I uczyniwszy przez bochen krzyż święty,
Stateczną k sobie odwalać jął skibę,
Pruszący łzami na nią. Tak był zjęty
Tą rzewliwością, co kiedy sadybę
Rodzoną spomni, to za sakramenty
Ma sobie każdą rzecz, i jak przez szybę
Miesięczną patrzy, choć na żerdź u płota,
I wszystko jej się w łez srebrze migota.

A tak to po nas poszło, że my z płaczem
Chleb jak opłatek łamali, dzielili...
Człeku, co nigdy nie byłeś tułaczem,
Nie wyrozumiesz ty podobnej chwili,
A jam ją przeżył, i znam moc jej! Zaczem
Kręgiem się chłopi na bruku sadzili,
A wszystkie oczy stanęły wlepione
W jadła, porządkiem w dwie strony dzielone.

Zaczem nastała cichość, jak w kościele,
Tylko chrobocą te zęby, te szczęki,
Tylko ten język obraca, żwa, miele...
Krótka tam droga do gardła od ręki,
Iż nikt nie baczył, co, ani jak wiele...
Czasem śmiech, czasem ponoszą się jęki,
Skroś onej ciszy. Tak z jadłem i z piciem
Naród się witał tam, jak z dawnem życiem.

. . . . . .

Marya Konopnicka.

# Znaczenie przypadku w wynalazkach.

„Chose étrange: nous ne savons pas comment la terre produit un brin d'herbe, comment une femme fait un enfant et on croit savoir, comment nous faisons des idées."

*Voltaire.*

Wynalazek, jako materyalny wyraz twórczości i bezpośredni przejaw geniuszu, stanowi przedmiot tych samych zagadnień i dociekań, jakie występują stale na scenę w sprawie genialności. Wszystkie te zagadnienia, jakkolwiek dotychczas nie rozstrzygnięte ostatecznie, zaprzątały umysły myślicieli w czasach najodleglejszych. Wszakże już w IV w. przed Chrystusem Arystoteles [1]) pouczał, że „umysł czynny (twórczy) stanowi część duszy, coś oddzielnego od organizmu, co do władz duszy, rozwijających się z dołu, dołącza się jeszcze z góry, z zewnątrz; co jest zawartym w organizmie, ale od niego niezależnym pierwiastkiem nadziemskim i boskim." I odtąd przez szereg wieków w dziełach filozofów i badaczów przyrody, w pracach literatów i krytyków-estetów spotykamy stale poszukiwania nad sprawą geniuszu. Od teoryj, które przyjmowały genialność wprost za fatalizm, zależny od losu lub opatrzności, przechodzimy do poglądów najrozmaitszych i najdowolniejszych, lecz odrzucających stopniowo udział cudowności w powstawaniu tego zjawiska.

Jedni autorowie starają się oprzeć geniusz na rachunku prawdopodobieństwa i z długotrwałości rodów wyprowadzają odno-

[1]) Herman Siebeck: „Arystoteles." Warszawa. Wydawnictwo „Przeglądu filozoficznego."

śne wnioski; drudzy probują w sposób bardzo dowcipny zastosować tu teoryę pochodzenia gatunków Darwina i wyjaśnić geniusz, jako przypadkową waryacyę indywidualną; trzeci przedstawiają go, jako newrozę i kładą w równym rzędzie z epilepsyą i obłędem. Inni nakoniec, zwłaszcza w dobie nowszej, przyjmują geniusz wprost za instynkt twórczy, za zjawisko zwykłe, właściwe bio-psychicznej organizacyi człowieka, a nawet posuwają się tak daleko, że uważają go za wyraz normalnego rozwoju, za przejaw prawdziwego zdrowia, prawdziwej dzielności umysłowej, usprawiedliwiającej „sens istnienia naszego na ziemi.“

W oświetleniu tych i tym podobnych poglądów geniusz przestaje być cudem, przerywającym gwałtownie ciągłość zjawisk w przyrodzie. Brany w znaczeniu najobszerniejszem, oznacza właściwie płodność umysłu i jest poniekąd „dalszym ciągiem życia, życia najpełniejszego i najdoskonalszego, które zarówno w sferze ducha, jak ciała, dąży do przyswojenia sobie i zorganizowania wszystkiego, co do ustroju przenika.“ [1])

Dla zrozumienia więc (o tyle o ile) twórczości, nie potrzebujemy już uciekać się do nadzwyczajnych pierwiastków psychicznych lub kategoryj umysłowych, ponieważ pewną jej dozę odnajdujemy bezwarunkowo w każdym osobniku, bez względu na wiek, płeć i rozwój umysłowy. Zdanie wypowiedziane, sąd wydany, czyn dokonany, jeżeli nie są prostem powtórzeniem rzeczy znanych lub słyszanych, zawierać muszą nieznaczną choćby miarę twórczości. „W nieudolnej próbie rękodzielniczej biednego samouka, w spostrzeżeniu dziecka lub głuptaka, w uwadze pretensyonalnego nieuka, mówi Paulhan, tkwić może pewna doza wynalazczości,“ która w innych warunkach i na innem podłożu mogłaby się rozrosnąć i wystrzelić bujnym kwiatem.

Tutaj nasuwa się mimowoli pytanie. Skoro geniusz nie jest ani nadzwyczajnym, ani nienormalnym, skoro dążność twórcza jest właściwą organizacyi człowieka, dlaczego ludzie genialni są zjawiskiem tak rzadkiem, a na wynalazki dużej doniosłości czekać nieraz musimy dziesiątki lat. Odpowiedź na to otrzymujemy zawsze jednaką: przyczyn, że nie każdy, kto dąży na szczyty, dochodzi do celu, poszukiwać należy w sile niezależnych od woli warunków wewnętrznych i okoliczności zewnętrznych, które często powstrzymują, ograniczają lub paczą prawidłowy rozwój czło-

[1]) G. Séailles: „Essai sur le génie dans l'art.“ Paryż, 1897.

wieka, a nieraz przecinają zkyt wcześnie najbardziej obiecujące istnienia.

Nie bylibyśmy zupełnie wspominali o różnorodnych poglądach na sprawę genialności, gdyby nie uwydatniała się w nich rzecz pewna, która nas bezpośrednio obchodzi. Mianowicie, widzimy, że już w teoryach, dotyczących istoty wewnętrznej twórczości, występuje na jaw rola okoliczności niestałych, przypadkowych, które jednak na kształtowanie się tej twórczości i na jej rozwój późniejszy wpływają w sposób pierwszorzędny. Siły fizyczne, stan zdrowia, skala uczuć, rodzaj upodobań, stopień wytrwałości, dalej wychowanie, środowisko, walka o byt — są to warunki dla powstawania twórczości niezmiernie ważne, a tak dalece zmienne, tak bardzo uchylające się z pod wszelkich obliczeń i przewidywań, że najchętniej obejmuje się je ogólnem i wygodnem, bo elastycznem mianem przypadku.

Jeżeli teraz od analizy samego geniuszu przejdziemy do rozbioru konkretnych dzieł, jakie geniusz tworzy, to przekonamy się, że udział przypadku bywa tu coraz szerzej uwzględniany, a jego rola w twórczości oceniana niekiedy w sposób całkiem poważny. Czy będziemy mówili o uczonych badaczach, tworzących doniosłe hypotezy lub skończone systematy naukowe, czy o artystach, zaklinających swe ideały w żywe słowo lub kształty widome, czy o działaczach społecznych i wodzach, przekształcających losy całych państw i społeczeństw, czy nakoniec o genialnych technikach, których pomysły, urzeczywistnione w maszynach i narzędziach, wprowadzają nowe epoki w dzieje ludzkości, często spotykamy się z przypuszczeniem, a nieraz wręcz z twierdzeniem, że źródłem tych dzieł jest przypadek. Przypadek pojmowany oczywiście szeroko, tak szeroko, że pod to miano podprowadzić można wszystko: nietylko sztucznie odnajdywane przyczyny wynalazków lub podniety zewnętrzne, pozostające z nimi w ścisłym pozornym związku, lecz i uzdolnienie, i przygotowanie, i intuicyę, i natchnienie. Obszerniejsze lub szczuplejsze wzmianki o przypadku znajdujemy wszędzie, gdzie o wynalazkach mowa: a więc w książkach dla dzieci, w biografiach wielkich ludzi, w historyi i literaturze. Są nawet specyalne prace filozoficzne, temu przedmiotowi poświęcone i nadające udziałowi okoliczności przypadkowych w tworzeniu, mniejszą lub większą wagę.

Ciekawe, bo bardzo krańcowe i niezupełnie jasne stanowisko zajął tu Sourian,[1]) który w pracy swej p. t. „Teorya wynalazku“

[1]) P. Sourian: „Théorie de l'invention,“ r. 1882.

usiłuje twórczość objaśnić, zbadać jej mechanizm i określić zasadę powstawania. Otóż autor ten dochodzi do wniosku, że w twórczości jedynie przypadek posiada wszechpotężne znaczenie. Chcąc wniosek ten uzasadnić, stara się niejako chwycić twórczość na gorącym uczynku i przedstawia w sposób dość obszerny, po jakiej drodze kroczy jego praca twórcza. „Zdarza się bardzo rzadko, mówi Sourian, abyśmy odnajdowali te myśli właśnie, jakich poszukujemy. Podczas najbłahszej rozmowy nasuwa nam się nagle rozwiązanie zagadnienia naukowego, a przy czytaniu geometrycznego traktatu jakiś pomysł muzyczny. Najczęściej znajdujemy nasze myśli drogą odstępstwa (digression). W chwili np. kiedy zaczynałem pisać tę pracę, starałem się znaleźć przykłady zboczeń mimowolnych, jakim myśl może ulegać i naraz zacząłem się zastanawiać nad stosunkiem krytyki do natchnienia, nad kwestyą, którą w planie mej pracy pomieściłem znacznie dalej. Ponieważ nie mogłem żadną miarą od tej myśli się uwolnić, więc zanotowałem ją w tej formie, w jakiej mi się narzuciła, że w pracy twórczej brak miejsca na udział krytyki, że mogą tu istnieć tylko dwie metody rozwoju: jedna szybka i niewyrozumowana, druga wyrozumowana i bardzo powolna. Aby ów nastrój chwilowy wyzyskać, starałem się iść w dalszym ciągu śladem tej myśli i zająć się wyłącznie sprawą wartości krytyki. Kiedy już napisałem kilka wierszy w tym przedmiocie, doznałem szczególnego wrażenia, jakiego nieraz doświadczamy przy zbliżaniu się do nas osoby, na którą nie chcemy patrzeć. Czułem, że myśli dawne opanowują mnie znowu, że wracają do pierwszego swego przedmiotu i naraz, gdy najusilniej starałem się skupić uwagę nad sprawą krytyki, sformułowało się we mnie bardzo wyraźnie zdanie: trzeba myśleć drogą uboczną. To zdanie wytworzyło się samo przez się i tak niespodziewanie, że zrozumiałem je dopiero później, jak się to często zdarza w chwilach zamyślenia, gdy ktoś nagle do nas przemawia. Tak więc wysiłek myślowy, skierowany na kwestyę krytyki, doprowadził mnie do wniosków o zboczeniach myśli, tak samo jak przedtem z rozważania nad zboczeniem wyłoniła się myśl o krytyce.“

Wniosek ten, wysnuty na ciasnej bądź co bądź podstawie spostrzeżeń osobistych, Sourian uogólnia w sposób bezwzględny i twierdzi, że myśl, aby stać się owocną, doprowadzić do syntezy twórczej, nie może nigdy rozwijać się w raz wytkniętym kierunku prostym, lecz musi albo z tej prostej drogi zboczyć, albo uczynić od niej odstępstwo. Co prawda, pogląd ten nie jest w literaturze odosobniony i widzimy, że autorowie tej miary, co Ri-

bot [1]) i Paulhan, podnoszą również rolę zboczenia w twórczości. Ale Ribot załatwia się z tą sprawą mimochodem, zaś Paulhan ze zboczenia zasady wynalazku nie czyni i traktuje je ubocznie, jako jeden z czynników pomocniczych w rozwoju twórczości, o czem zresztą później obszerniej pomówimy. Tymczasem dla Souriana zjawisko twórczości płynie wyłącznie z dziwnej jakiejś, kapryśnej i niepodległej pracy umysłu, której ani przewidzieć, ani opanować niepodobna. Kroczy ona stale pod drodze odstępstw, a bodźcem do niej jest zawsze przypadek. Wszelkie inne drogi w powstawaniu wynalazków należy wyłączyć. Namysł, rozumowanie, stosowanie pewnej metody logicznej, zarówno w nauce jak w sztuce, są bezsilne i nie mogą stanowić podstawy tam, gdzie idzie o wynalazek.

Autor tak dalece pochłonięty jest myślą o roli przypadku w pracy twórczej, że nie może nawet pogodzić idei postępu wewnętrznego z namysłem (préméditation). „Gdyby działalność naszego umysłu, mówi, ograniczała się tylko do urzeczywistnienia pewnych zamiarów, nie czynilibyśmy kroku naprzód. Myśleć z zamiarem (penser intentionnellemant), to znaczy stosować materyał myślowy przyszły do tego, jaki już istnieje, czyli innemi słowy, znaczy powtarzać się. Łatwo zrozumieć, że jakiś akt materyalny może wynikać z namysłu, ponieważ cel, do którego dążymy, jest czemś zgoła odrębnem od idei, jaką sobie o tym celu wytworzyliśmy. Ale jeżeli zamierzamy powziąć myśl jakąś, to tem samem wiemy, jakiej myśli szukamy, a więc myśl ta byłaby już powziętą i nie potrzebowalibyśmy jej szukać.“ Rozumując dalej w tym sensie, Sourian dochodzi ostatecznie do wyniku, że „umysł nasz kroczy wprawdzie od rzeczy mniej doskonałych do doskonalszych, od obrazów niewyraźnych do ściśle określonych, lecz i w tym razie widzimy, że obraz pierwotny jest zaledwie zarysem, „ale nie wzorem obrazu końcowego,.. że wszystko to, co jest oryginalnem i doskonałem w obrazach ostatnich, niema swego pierwowzoru w pierwszych. A zatem wszelkie doskonalenie się stopniowe nie może wypływać z namysłu (ne peut avoir été prémédité).“

Usuwając tedy na stronę nawet ten wzgląd, że idea celowości może tłómaczyć postęp wewnętrzny, Sourian przypisuje w powstawaniu i rozwoju twórczości rolę dominującą przypadkowi. Od niego czyni wszystko zależnem, zarówno w świecie fizycznym

[1]) Th. Ribot: „O wyobraźni twórczej,“ cz. II. Warszawa, 1901.

jak duchowym i na przykładach faktycznych wykazuje, że to, co poczytujemy za owoc własnej wynalazczości, jest zawsze i wszędzie dziełem przypadku; że może powstać i rozwinąć się dopiero wówczas, kiedy urzeczywistnią się wszystkie warunki do tego konieczne, a nam bliżej nieznane i od nas niezależne.

Jakkolwiek idzie mi tu raczej o przedmiotowe zestawienie poglądów Souriana na stosunek przypadku do twórczości, jednakże trudno wstrzymać się od uwagi, że autor najpierw niesłusznie sprowadza twórczość do powzięcia idei, a następnie nazywa przypadkiem to, co, wnioskując z całego toku jego rozumowania, stanowi prostą konieczność deterministów.

O ile twórczość ograniczałaby się do „powzięcia pewnej idei“ i nie dążyła w dalszym ciągu do urzeczywistnienia się, o tyle byłaby stale tajemnicą umysłu, w którym powstała, i nie wiele wiedzielibyśmy o niej. O twórczości zaczynamy mówić wówczas dopiero, gdy idea pewna wyraża się w sposób materyalny, a więc gdy staje się bodźcem dla aktu woli i zarazem faktem, dostępnym dla naszej oceny. Przytem błędnem jest mniemanie, że twórca lub wynalazca szuka myśli jakiejś, „zamierza ją powziąć.“ Umysł jego jest stale wypełniony bogactwem myśli i obrazów, wśród których mimowoli czyni wybór. Z pewnością na razie twórca nie zdaje sobie sprawy, dlaczego ta myśl, a nie inna, jest w umyśle jego najżywotniejszą, a w uczuciu najbardziej zajmującą, najmilszą. W następstwie jednak, już przy pełnym udziale jego świadomości, myśl ta korzysta dla swego rozwoju ze wszystkich warunków, jakie na swej drodze spotyka. Rośnie, grupuje dokoła siebie niezliczoną ilość szczegółów uzupełniających, wyławia, skąd może, pokrewne pierwiastki psychiczne, budzi uczucia coraz silniejsze, aż w końcu organizuje się w skończoną całość i wyraża tem, co nazywamy wynalazkiem. Widzimy więc, że od powzięcia idei do stworzenia czegoś droga jeszcze daleka i nie zupełnie wolna od udziału świadomości i woli.

Co się tyczy przypadku, to dziwić się wypada, że Sourian, pojmując go głębiej, jako konieczność, jako jedno z ogniw w nieskończonym łańcuchu przyczynowości, tak usilnie wyodrębniał jego wpływ na powstawanie i rozwój twórczości. Wszakże wpływ ten oddziaływa w równej mierze na wszelkie inne zjawiska w przyrodzie. Wobec takiego pojmowania rzeczy można zastanawiać się nad możliwym udziałem okoliczności przypadkowych w tworzeniu, można w sposób mniej więcej prawdopodobny oceniać stopień i siłę wpływów przypadku, ale iść dalej niepodobna. To też Sourian, opierając na takiej podstawie swoje poszukiwa-

nia, nietylko nam twórczości nie wyjaśnił, lecz do zjawiska i tak zagadkowego wprowadził jeszcze jeden czynnik wikłający.

Mach rozpatruje również stosunek przypadku do wynalazku. Nie czyni tego wprawdzie w sposób tak obszerny jak Sourian, ale bądź co bądź poświęca temu przedmiotowi oddzielną pracę.[1]) Ten autor nie jest zbyt skrajnym w poglądach i z przypadku źródła wynalazków nie czyni, uważa go jednak za ważny współczynnik twórczości i daje temu po części wyraz w następującem zdaniu: „jeżeli mówimy o człowieku, że prochu nie wynalazł, to zdaje nam się, iż tem samem przedstawiamy jego zdolności w niekorzystnem świetle. Tymczasem wyrażenie to nie jest szczęśliwie dobrane, gdyż chyba przy żadnym wynalazku namysł poprzedni nie miał mniejszego, zaś szczęśliwy przypadek większego udziału, jak przy tym właśnie.“

Według Macha już przy rozważaniu wynalazków najpierwotniejszych w dziejach kultury, odnajdujemy wyraźne ślady przypadku. Mowa, pismo, pieniądz, użycie gliny w garncarstwie, mostów w budownictwie, to wszystko w surowej swej formie pierwotnej powstało dzięki przypadkowi i „nawet inaczej powstać nie mogło, ponieważ wartość i znaczenie tych wynalazków poznać i ocenić mogliśmy dopiero w miarę ich użycia.“ Przypadek więc jest ważny, albowiem na drodze człowieka układa warunki, które wynalazek przybliżyć lub ułatwić mogą, ale sam przez się nic nie tworzy i musi zwrócić uwagę umysłu niepowszedniego, aby wydać owoce. Tylko umysł genialny potrafi nowy fakt spostrzedz, zjawisko nieznane wyróżnić, poznać, utrwalić w pamięci oraz związać z dawniej nagromadzonym materyałem myślowym w ten sposób, aby z nowego spostrzeżenia dla dopięcia pewnego celu skorzystać. Najpierwszy człowiek w prastarych czasach, który umiał posługiwać się gliną niedołężnie, ale celowo, z obalonego pnia drzewnego most uczynić lub zbudować najprostsze choćby narzędzie, musiał być obdarzony pewnym zasobem genialności. Spostrzeganie świata zewnętrznego tu nie wystarczało. Potrzeba było jeszcze abstrakcyjnej pracy umysłu: nieświadomego pojęcia przyczyny i celu oraz zdolności do uogólniania i czynienia doświadczeń.

Tutaj zaznaczyć muszę, że Mach nie uważa bynajmniej tych pierwiastków psychicznych, jakie się na umysłowość twórcy skła-

[1]) E. Mach: „Ueber den Einfluss zufälliger Umstände auf die Entwickelung von Erfindungen und Entdeckungen.“ Populär-wissenschaftliche Vorlesungen, r. 1903.

dają, za nadzwyczajne i wszelkie różnice, spotykane w sile umysłów, sprowadza nie do natury, lecz do stopnia zjawiska. Wydaje mu się więc i prostem, i naturalnem, że im bogatszą i lepiej zorganizowaną jest treść umysłu, im bardziej rozwiniętą pamięć i wrażliwość, tem łatwiej uwaga wchodzi w styczność z najdrobniejszemi okolicznościami zewnętrznemi. W tych warunkach przypadek błahy daje skutki, często wręcz nieproporcyonalne do wartości podniety.

Wysuwając tedy na pierwszy plan umysłowe zasoby twórcy, Mach nie zmniejsza w niczem znaczenia przypadku i utrzymuje w dalszym ciągu, że dzięki okolicznościom przypadkowym, nietylko nowe obszary faktów roztaczają się przed naszemi oczami, lecz nawet fakty pospolite, dotąd nie wyróżnione, zwracają naszą uwagę. Właśnie miarą bogactwa umysłowego twórcy jest to, że przypadkiem nie gardzi, że może i umie celowo go wyzyskać. Jako przykład podaje tu pierwsze spostrzeżenia z dziedziny elektryczności i magnetyzmu i wylicza nazwiska takich twórców, jak Grimaldi, Arago, Majer, Kirchhoff, którzy w sposób przypadkowy spostrzegli i zrozumieli to, na co inni od wieków obojętnie i bezskutecznie patrzyli.

Pomijając okres wstępny twórczości, do której przypadek może być często bodźcem, Mach dowodzi, że i w późniejszej ewolucyi wynalazku, okoliczności, niezależne od woli i namysłu badacza, mogą poważnie współdziałać i sprowadzać doniosłe następstwa. Mają o tem świadczyć przykłady następujące: „Dufay poznaje istnienie 2-ch stanów elektrycznych, śledząc zachowanie się jednego, którego badaniem był zajęty; Fresnel znajduje przypadkowo, że smugi interferencyjne, występujące na szkle matowem, daleko łatwiej widzieć się dają w powietrzu; zjawisko indukcyi Faradaya odstępuje znacznie od wyobrażenia, które go do doświadczeń skłoniło i staje się właśnie istotnym wynalazkiem“ i t. d.

Poglądy Macha są wogóle słuszne i przekonywające, tylko, naszem zdaniem i ten autor zbyt silnie podkreśla rolę przypadku w twórczości. Zwłaszcza jeżeli mówić będziemy o wynalazkach najpierwotniejszych, to wszelkie wnioski o przypadku, jako jedynem ich źródle, będą dowolne i niepewne, ponieważ nikt nie jest w stanie ściśle określić, jaką tam rolę odegrała najpierw potrzeba tworzenia, a potem siła spostrzegawczości i uwagi. Początek rzeczy tak prostych, np.: jak dźwignia, walec i równia pochyła, ginie poza granicami historyi i niewiadomo, jakie próby i wysiłki poprzedziły ich ukazanie się. Co się tyczy wynalazków późniejszych, to wiemy dobrze, że w powstawaniu wielu dzieł najbardziej

typowych, nie możemy odnaleźć ani śladu przypadku, że są one owocem pracy i poszukiwań. Wiemy również, że są wynalazki, które wytwarzały się w biegu wieków z cegiełek drobnych, świadczących raczej o wydajności twórczej całych narodów, aniżeli o potędze indywidualnej jednego człowieka lubo szczęśliwym przypadku w jego życiu.

Zresztą jeżeli nawet to coś, co nazywamy przypadkiem, stanowi środek pomocniczy w procesie twórczym, to, jeszcze raz powtarzamy, rzecz ta na specyalne podkreślanie nie zasługuje. Wszakże całe życie w przyrodzie sprowadza się właściwie do nieskończenie licznych i różnorodnych seryj zjawisk, które w nieprzerwanym swym ruchu muszą spotykać się z sobą, krzyżować i przecinać wzajemnie, dając przytem wyniki dla nas niespodziewane, szczęśliwe lub fatalne. O ile więc uznajemy, że geniusz nie jest jakimś cudem, stanowiącym odrębną i niezależną od innych zjawisk życia całość, o tyle dziwić się nie będziemy, że podlega prawom powszechnym i nie może się z pod nich wyłamać. Rozumieją to skądinąd dobrze sami twórcy i u Alfonsa Daudet'a znajdujemy zdanie następujące: „Twórca nie jest panem swego dzieła, ponieważ wówczas, gdy je w sobie nosi, wówczas gdy idea pewna wabi go i dręczy, przyłącza się do niej tysiące rzeczy obcych, zbieranych i łowionych zresztą dzięki *przypadkowi istnienia*."

Trzeci z kolei Paulhan [1]), rozważając psychologię twórczości, przedstawia stosunek przypadku do wynalazku w odmiennem trochę oświetleniu. Przedewszystkiem istnienie przypadku uznaje, lecz nie poszukuje go wyłącznie w wrażeniach i spostrzeżeniach świata zewnętrznego. Dla niego przypadek występuje także wewnątrz umysłu, w samorzutnej jego czynności, jakkolwiek „zdarza się to bez porównania rzadziej." „W umyśle, mówi Paulhan, nie wszystko jest systematycznie uporządkowane i ze wszech względów podległe absolutnym prawom celowości. Stosunki, zachodzące pomiędzy pierwiastkami psychicznymi, wykazują niekiedy brak spójni i wyraz „przypadek" może tak dobrze oznaczać spotkanie się z sobą pewnych myśli, należących do odrębnych grup wyobrażeniowych, jak zetknięcie się tych myśli ze światem zewnętrznym."

Brak spójni, jaki Paulhan ma tu na myśli, występuje zawsze tam, gdzie się myśl nowa wykluwa, a więc najczęściej w umyśle twórcy. Nowość, ten najistotniejszy i nieodłączny składnik każdego

[1]) F. Paulhan: „Psychologie de l'invention," r. 1901.

wynalazku, staje się zwykle dla umysłu powodem krótszej lub dłuższej walki i wywołuje szczególną jego czynność: logiczną i nielogiczną zarazem. Logiczną, ponieważ umysł twórcy dąży w rezultacie do połączenia niezliczonych myśli i obrazów w jasną, harmonijną całość; nielogiczną — gdyż mając na celu najdoskonalszą i najściślejszą jedność, zmierza ku temu drogą chwilowych nieporządków i zaburzeń.

Tę właśnie szczególną czynność umysłu, bujną i niezależną, usuwającą się chwilowo z pod kontrolujących praw rozumu i zbliżoną chyba do luźnych procesów, jakie towarzyszą marzeniom i halucynacyom, Paulhan wiąże nierozdzielnie z psychologią wynalazku i obejmuje odrębnem mianem „swobodnej gry pierwiastków psychicznych.“ Jego zdaniem ta „gra swobodna“ jest dla umysłu niezmiernie ważna i pożyteczna, wprawia bowiem w ruch, zużytkowuje wszelkie uczucia i obrazy, wszelkie drobne układy ideowe, jakie pamięć przechowuje często w sposób nieświadomy i tą drogą albo twórczość wywołuje, albo jej rozwojowi sprzyja. Występując przytem, jako stan chwilowy, z którym zmysł oryentacyjny twórcy umie sobie w każdym razie prędzej lub później poradzić, ta „gra swobodna“ nie szkodzi bynajmniej idei przewodniej wynalazku; owszem, wpływa dodatnio na jej kształtowanie się i stanowi to właśnie, co Paulhan odnajduje najczęściej, jako przypadek wewnątrz umysłu.

Jakby na dowód, że Paulhan, podnosząc do wysokiej potęgi znaczenie swobodnej gry pierwiastków psychicznych w twórczości, tem samem umieszcza punkt ciężkości sprawy w osobie twórcy, znajdujemy w jego „Psychologii wynalazku“ następujące wymowne zdanie. „Dążność pierwotna umysłu, całkowicie lub częściowo zorganizowana, jest w znacznej mierze najważniejszym czynnikiem wynalazku. Z dążności tej, i prawie z niej jednej, wyłącznie wszystko logicznie wypływa. Nie poprzestaje ona na przyjmowaniu nowych pierwiastków, jakich jej spostrzeżenia dostarczają. Ona te pierwiastki tworzy, przeistaczając spostrzeżenia tak jak nerw wzrokowy, który odpowiada na podrażnienie mechaniczne wrażeniem świetlnem; ona tworzy równocześnie nowe zjawisko, formę konkretną, w którą się sama wciela.“

Co się tyczy przypadku zewnętrznego, Paulhan uzasadnia i zarazem ogranicza w pewnym stopniu jego działanie, sprowadza bowiem całe powstawanie i kształtowanie się wynalazków, wszelkie nieprawidłowości i zboczenia w ich rozwoju do natury twórczości, którą upodabnia do natury zarodka żywego.

Zdaniem Paulhana każdy wynalazek, czy powstaje szybko lub powoli, czy jest owocem pracy indywidualnej lub zbiorowej, nie ukazuje nam się odrazu w postaci doskonałej, skończonej, lecz podlega prawom życia. Rodzi się w umyśle twórcy, jako niedołężny zarodek, odarzony rozmaitym stopniem żywotności, i musi się rozwijać, musi przebywać pewne fazy ewolucyi, o ile pozostaje przy życiu. Główne etapy w pochodzie tej ewolucyi są nam w ogólnym zarysie znane, a jednak nigdy nie możemy przewidzieć, do czego dojdzie w rozwoju swym zarówno zarodek żywy, jak zawiązek wynalazku. Najdoskonalsza znajomość procesów i zmian fizyko-chemicznych, zachodzących w ustroju, największa przenikliwość umysłu, najdoskonalsza metoda badania tutaj nie wystarcza. Do tego potrzebną byłaby jeszcze rzecz niemożliwa: znajomość warunków, w jakich zarodek taki będzie się rozwijał, i okoliczności, wśród których mu potem żyć wypadnie.

Twórczość składa się właściwie z pierwiastków znanych i zbadanych; zawiera w sobie instynkt, naśladownictwo, rutynę życiową, doświadczenie i t. d. W całości wszakże stanowi zjawisko niezmiernie subtelne i zawiłe, a że przytem żyje i wzrasta na zmiennem i chaotycznem podłożu świata zewnętrznego, więc nie może podlegać ewolucyi całkiem prawidłowej.

Paulhan rozumie wybornie, że niepodobna tu stanowić jakichś prawideł stałych, że każdy podział, wprowadzony do twórczości, będzie sztuczny, a jednak dla łatwiejszej oryentacyi probuje nam wskazać trzy punkty wytyczne, trzy drogi, na których odbywa się najczęściej ewolucya myśli twórczej. Są one następujące: 1) droga prawidłowego rozwoju; 2) droga przekształcania się i 3) droga zboczenia.

Dwa pierwsze typy ewolucyi możemy połączyć w jedną całość, posiadają bowiem wspólną zasadę. Idea przewodnia wynalazku zachowuje się tu od początku do końca i nie zmienia bynajmniej swego znaczenia pod wpływem myśli nowych, dopełniających.

Typ trzeci, zboczenie, jest dla nas najciekawszy, ponieważ równa się mniej więcej „odstępstwu“ Souriana. Co znaczy odstępstwo Souriana, już wiemy. Zboczenie Paulhana jest właściwie mieszaniną 2-ch pierwszych typów ewolucyi i polega głównie na nieproporcyonalnem rozrastaniu się pierwiastków składowych pewnego dzieła. Przewodnia myśl twórcza nie zawsze posiada dostateczną siłę i giętkość, aby przenikające do niej pierwiastki nowe bądź odrazu skupić i zorganizować, bądź rozgatunkować i uczynić w nich wybór. Pozostają one wtedy w luźnym z sobą

związku, rozwijają się równolegle lub rosną „niby pasorzyty“ jedne na drugich. A myśl przewodnia wśród tego ciągłego ruchu ulega również ewolucyi, lecz ewolucyi utrudnionej. Aby się wydobyć z pod tłumiących ją pierwiastków i dać ujście dążności twórczej, nie biegnie ona w kierunku najmniejszego oporu. Przeciwnie, zbacza w prawo i w lewo, odbywa drogę mozolną i daleką, ale przynosi z niej zapas nowych faktów, nowych szczegółów, które myśl przewodnia może na swą korzyść obrócić. Tak się dzieje tam, gdzie pierwotna dążność umysłu potrafi zboczenie opanować i sprowadzić do stanu przejściowego. W innych razach, o ile zboczenie zyskuje niepohamowaną siłę rozpędową, nie mija również bez korzyści dla umysłu, albowiem stać się może zawiązkiem nowej idei, nowego wynalazku.

Logicznie rzecz biorąc, zdawałoby się, że zboczenie w rozwoju wynalazków pozostaje w najściślejszym związku z udziałem okoliczności przypadkowych, a w najluźniejszym z metodyczną, celową pracą umysłu. Tak nas pouczał Souriau, dowodząc, że swobodna, kapryśna czynność pierwiastków psychicznych, krocząca stale po drodze odstępstw i zależna od przypadku, jest jedynem źródłem twórczości. Usuwa ona w cień, a nawet wprost wykreśla z rachunków wszystko, co w tym względzie namysł, rozwaga, cierpliwość i wogóle praca ludzka uczynić są zdolne.

Paulhan dowodzi inaczej. Najpierw nie przypisuje bynajmniej zboczeniu roli ważniejszej w rozwoju wynalazków, aniżeli dwom pozostałym typom ewolucyi. Uznaje co najwyżej, że zboczenie może występować częściej, ponieważ jest bezpośrednim wynikiem kardynalnej czynności umysłu twórczego: swobodnej gry niezależnych pierwiastków psychicznych. Następnie nie wierzy, aby mógł istnieć wynalazek, którego rozwój odbywałby się stale, od początku do końca, podług jednego tylko typu ewolucyi. Mogłoby się to stosować chyba do wynalazków najpierwotniejszych i najprostszych, ale i w tym razie byłoby wątpliwem. Nakoniec Paulhan nie czyni zboczenia bezwzględnie zależnem od przypadku. Przeciwnie, stara się, przynajmniej częściowo, oprzeć je na podstawie stałej i twierdzi, że w pewnych fazach każdej ewolucyi, np.: w okresie początkowym i końcowym, zboczenie staje się prawidłem. W początkowym z tego względu, że umysł nie zdołał się jeszcze przystosować do nowej dążności, że trwa w nim walka pomiędzy pierwiastkiem nowym i dotychczasową indywidualnością twórcy, wytworzoną przez środowisko, wychowanie i rutynę życiową. Okres końcowy ewolucyi daje ze swej strony powód do zboczeń dlatego, że twórca pragnie swe dzieło

urzeczywistnić, usiłuje pewną syntezę ideową, skrystalizowaną ostatecznie w jego umyśle, połączyć z tymi stanami świadomości, które są wyobrażeniem życia i świata zewnętrznego. Odwieczna rozterka pomiędzy potęgą wewnętrzną twórcy a trudnością wywypowiedzenia się całkowitego w dziele konkretnem, na co uskarżają się artyści i poeci, jest właśnie wyrazem tych wahań i zboczeń, jakie za sobą realizacya idei pociąga.

Widzimy więc, że Paulhan pozbawia w pewnym stopniu nawet zboczenie właściwego charakteru przypadkowości i próbuje uczynić z niego mniej więcej stałe i uzasadnione prawidło w ewolucyi twórczej.

Wogóle zdawałoby się, że całe rozumowanie Paulhana zmierza ku temu, aby wykazać, iż wynalazek jest tylko dziełem twórcy, wyrazem silnie uwydatnionej dążności twórczej. Zbieg nieprzewidzianych okoliczności, przypadek, brany w znaczeniu potocznem, ma tu tyleż samo do czynienia, ile w całem życiu człowieka. Tkwi on niejako w porządku rzeczy. Zlewa się z nieskończoną ilością tych faktów i zjawisk, na których tle każdy człowiek żyć i działać musi, które składają się na cały jego materyał myślowy: na spostrzeżenia i doświadczenie.

Tymczasem w książce Paulhana, pomimo omówień i zastrzeżeń autora, rola przypadku zewnętrznego w twórczości jest nietylko uwzględniona, ale poważnie wyodrębniona. Znajdujemy tam zdania w tym rodzaju: że okoliczności przypadkowe grają bardzo ważną rolę w procesie twórczym, że przypadek wyraźny (un hasard manifeste) bywa powodem syntezy twórczej. Znajdujemy nakoniec przykłady liczne i dosadne, gdzie przypadek sięga poza obręb podniet zwyczajnych i nabiera szczególnej wagi.

Jeden z takich przykładów, zaczerpnięty z dziejów fotografii, przytaczam dosłownie:

„Daguerre, następca Niepce'a, prowadził w dalszym ciągu badania swego poprzednika i czynił ustawiczne doświadczenia z płytami fotograficznemi, które wystawiał przez czas dłuższy na działanie światła. Opowiadają, iż razu pewnego przez zapomnienie zostawił w szafie płytę, której ekspozycya trwała zbyt krótko, aby obraz wywołać. Po upływie jakiegoś czasu odnalazł tę płytę, a na niej, ku wielkiemu swemu podziwowi, obraz należycie utrwalony. Przypuszczając słusznie, iż skutek taki należy przypisać działaniu jednego ze znajdujących się w szafie ciał, Daguerre zaczął je kolejno usuwać i umieszczać w szafie coraz nowe płyty, lecz każda próba dawała wyniki identyczne. Szafa zdawała się już opróżnioną, a obraz na płytach występował stale. Daguerre

skłonny był uwierzyć w czary, gdy nagle spostrzegł porzucone w kącie szafy małe naczynie szklane z rtęcią, metalem, który paruje w temperaturze zwyczajnej. Osądził tedy, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa pary rtęci wpływają na wywoływanie obrazu i, aby się o tem upewnić, poddał działaniu tego metalu płytę, wystawioną przez czas bardzo krótki w ciemni optycznej i wolną od najlżejszych śladów obrazu. Wówczas przekonał się dowodnie, że działanie rtęci wywołuje obraz. Jedno z najpiękniejszych odkryć całego stulecia zostało dokonane."

Gdybyśmy przeszukali starannie odnośną literaturę, moglibyśmy przykładów podobnych, lub jeszcze więcej wymownych, znaleźć bardzo wiele. Dostarczają ich w równej mierze dzieje nauki i sztuki. Pomijając szkło i purpurę fenicyjską, wynalazek prochu, klasyczne jabłko Newtona, lampę Galileusza, fruwający papier Montgolfiera, pokrywę Salomona de Caus, żabę Galvaniego oraz inne legendy historyczne—nasuwa się nam przed oczy szereg wielkich ludzi, wyliczonych przez Macha. Przypominają się liczne biografie i autobiografie, gdzie przypadek występuje stale: jeżeli nie jako bodziec bezpośredni do odkryć i wynalazków, to jako regulator całego życia geniuszów, że wspomnę tu tylko życiorys Liebiga.

Wszystkie te przykłady doprowadzają nas wciąż do jednego wniosku, który pośrednio, pomimo zastrzeżeń autorów, możemy też wysnuć z przytoczonych przezemnie 3 prac. Mianowicie, że twórczość, w pewnej części przynajmniej, od przypadku zawisła, że sfera wpływów przypadku bywa niekiedy tak rozległą, iż roztapia w sobie i świadomość, i wolę twórcy. Czy jednak wniosek taki będzie słuszny? czy możemy przyjąć go bez znacznych ograniczeń? Nam się zdaje, że nie i że udział przypadku w powstawaniu i rozwoju wynalazków, jest wogóle w literaturze przeceniany.

Przedewszystkiem ci autorowie, którzy nam najczęściej opowiadają o przypadku w twórczości, nie mają bynajmniej na myśli przypadku wewnętrznego w sensie Sourian lub Paulhana. Dla nich przypadek posiada tylko znaczenie potoczne, jest zbiegiem niespodziewanych okoliczności z naszemi dążeniami, zamiarami, postanowieniami i t. d. Przytem, co jest bardzo dziwne, przyjmują ciągle pod uwagę okoliczności przyjazne, a nic nie mówią o przypadku nieszczęśliwym. Wszakże tak samo, jak szczęśliwy przypadek może wynalazek ułatwić lub przybliżyć—nieszczęśliwy może go utrudnić lub zgoła uniemożliwić. W ten sposób jedno zjawisko znosi drugie, a właściwe jądro sprawy tkwi zawsze w osobie twórcy.

Następnie przypadkiem, czy uważać go będziemy za przyczynę nieznaną, czy za konieczność, czy nakoniec za narzędzie celowości, możemy nazywać tylko fakt taki, który zawsze i wszędzie działa w sposób mniej więcej równomierny. Tłómacząc się jaśniej, czystą postać przypadku spotykamy tam, gdzie w stosunku do niego szanse wszystkich ludzi są równe. Wygrany bilet loteryjny, znaleziony na ulicy przedmiot, spadająca na głowę przechodnia dachówka, pożar w teatrze, katastrofa kolejowa—stanowią istotnie to, co przywykliśmy zwać przypadkiem. Takiemu przypadkowi mogą podlegać wszyscy: zarówno dziecko i człowiek dojrzały, tępy nieuk i najgenialniejszy uczony. Organizacya fizyczna i psychiczna, przygotowanie umysłowe, rodzaj zajęcia—nie mają tu żadnego znaczenia, nie mogą ani pomódz, ani zaszkodzić. Tymczasem historya wynalazków, przykładów takiego bezwzględnego przypadku nam nie daje. Przeciwnie, poucza, że przypadek nietylko w zetknięciu się z człowiekiem nabiera znaczenia i wartości, lecz wprost przez wyłączność w upodobaniach i zajęciach bywa i musi być wywoływany.

Łatwo mówić o szczęśliwej omyłce, która Kolumba do Ameryki zaprowadziła. Ale równocześnie trzeba sobie przypomnieć, że Kolumb już w 14-ym roku życia rozpoczął zawód marynarza, że poważne studya naukowe, korespondencya z najuczeńszymi ludźmi owej epoki, rysowanie map, budowa globusów oraz wciąż przedsiębrane wyprawy podróżnicze, nietylko wypełniły mu życie, lecz stanowiły zarazem namiętnie ulubione zajęcie. Trzeba wziąć pod uwagę, że jedną myślą pochłonięty i ku jednemu ideałowi dążący, Kolumb potrafił 18 lat walczyć, aby pokonać opór tych, których pomoc była mu potrzebną. Odkrył wprawdzie Amerykę, sądząc, że jedzie do Azyi, ale to wcale nie zwiększa roli przypadku w tem odkryciu. Kto wyruszał w drogę, nie znając obszaru ziemi i mórz, musiał spotykać niespodzianki na swej drodze. Nie przypadek więc kierował, niezależnie od woli Kolumba, jego czynami, lecz Kolumb przez całe swe życie usilnie przypadku szukał. Zresztą, jak słusznie zaznaczają [1]), zasługa Kolumba polega głównie nie na tem, że odkrył Amerykę, lecz że w warunkach ówczesnych wyprawę naukową przedsięwziął i uskutecznił.

Ta sama sprawa powtarza się z jabłkiem Newtona. Każdy wypomina mu owe nieszczęsne jabłko. Wskazują nawet na nie,

[1]) H. Joly: „Psychologie des grands hommes.“ Revue philosophique. № 11, 1892.

nietylko jako na moment pomocniczy, lecz jako na punkt zwrotny w poszukiwaniach tego uczonego. A jednak byłoby i słuszniejsze, i sprawiedliwsze, gdybyśmy źródła wiekopomnych odkryć Newtona szukali wyłącznie w jego organizacyi duchowej, w wielkiem zamiłowaniu do nauki i niezmordowanej pracy. Wszakże wiadomo, że Newton, nie mogąc, dla braków w nauce ówczesnej, zastosować na razie prawa ciążenia powszechnego do księżyca i wyprowadzić stąd szybkość jego obiegu dokoła ziemi, potrafił przez lat 14 z rzędu oddawać się pracom przygotowawczym. Przez długie lat 14 czynił wyliczenia astronomiczne i matematyczne, badał optykę i, nie tracąc ani na chwilę z oka swej idei przewodniej, gromadził dokoła niej całe szeregi wynalazków drobnych, częściowych, roztaczał coraz szersze widnokręgi, aż w końcu stworzył swe wielkie uogólnienie, obejmujące ruchy nieba i ziemi. W całokształcie tej olbrzymiej pracy rola przypadku redukuje się do zera. Zresztą na równi z anegdotą o jabłku znane jest zdanie, przypisywane ogólnie Newtonowi, który miał rzec, że wielkie swe odkrycia poczynił, „myśląc o nich stale.“ Zdanie to wskazuje w każdym razie metodę tworzenia Newtona i zadaje niejako kłam wnioskom o przypadku, przynajmniej w stosunku do niego.

Nakoniec przykład Daguerre'a, uważany przez Paulhana za bardzo znamienny, naszem zdaniem również na korzyść przypadku nie świadczy. Któż to był Daguerre? [1]) Najpierw artysta-malarz, który już w wczesnym wieku wystawiał nie bez powodzenia swe prace w salonach artystycznych. Potem słynny dekorator teatrów paryskich i wyborny znawca sztuki dekoracyjnej, a w końcu dyrektor wspaniałej dioramy, która mu zyskała rozgłos wszechświatowy. Rzecz prosta, że na zasadzie swych zajęć dojść musiał do zgłębienia wszelkich tajników światła; stał się też istotnie mistrzem w umiejętności rozkładania promieni świetlnych oraz w otrzymywaniu najbardziej niespodziewanych efektów przez działanie światła na barwy. Cóż w tem dziwnego tedy, że skoro w r. 1817 świeżo poczynione przez Niepce'a wynalazki na polu sztuki fotograficznej zwróciły uwagę Daguerre'a i zachęciły do poszukiwań w tym kierunku, był on nietylko wybornie przygotowanym, lecz niejako powołanym do wprowadzenia tej sztuki na drogę postępu. Tak się też stało. Zaznajomiwszy się więc gruntownie z metodą Niepce'a, Daguerre zaczyna ją stopniowo ule-

[1]) Benj. Gastineau: „Les génies de la science et de l'industrie.“ Bibliotheque utille, t. XXIII.

pszać. Zamiast smoły ziemnej, w której Niepce zanurzał płyty fotograficzne, używa mieszaniny oleju lawandowego, czulszej na działanie światła; płyty miedziane, powleczone cienką warstwą srebra, wystawia na działanie par jodu, a w końcu odnajduje w sposób rzekomo przypadkowy, że pary rtęci wywołują obraz na płycie.

Czy możemy w tym razie mówić z czystem sumieniem o zwyczajnym przypadku? Czy przypadek nie był tu ściśle uwarunkowany przez liczne okoliczności, mające źródło w osobie samego Daugerre'a? Czy nie wywarły tu przemożnego wpływu jego zajęcia, materyały, z jakimi miał w swej pracowni do czynienia, a wreszcie ciekawość i uwaga, z jakiemi za doświadczeniami swemi śledził? Zapewne, Daguerre mógł umrzeć i naczynia z rtęcią nie odnaleźć, ale prędzej lub później byłby to niewątpliwie uczynił jeden z jego następców. I możemy rzec śmiało, nie licząc się wcale z siłą okoliczności przypadkowych, że byłby to uczynił nie gdzieindziej i nie inaczej, tylko podczas doświadczeń w pracowni doświadczalnej.

To rzecz pewna, że pojedyńczy fakt, oderwane spostrzeżenie, choćby największej wagi, nie może nigdy wywołać odkrycia naukowego, kreacyi artystycznej lub technicznego wynalazku. Może, co najwyżej, albo dopełnić poszukiwania twórcy, albo stać się do nich zachętą. Lecz i w tym razie nawet spostrzeżenie takie właściwego charakteru przypadkowości nie posiada, ponieważ musi się ściśle wiązać z całą treścią umysłową i uczuciową twórcy.

Co jeszcze każe nam wątpić o sile przypadku, to ten wzgląd, iż prawie nigdy się nie zdarza, aby geniusz odznaczył się przypadkowo na innem polu działania, aniżeli to, na jakiem z potrzeby wewnętrznej z zamiłowaniem pracuje. Czy ewolucya pewnej idei, pewnego wynalazku odbywać się będzie jawnie, w sposób systematyczny, powolny, czy też trwa głęboko ukryta w umyśle twórcy, poczem występuje napozór nagle, jako owoc natchnienia, szczęśliwy przypadek, który ma w tej ewolucyi współdziałać, spotykamy zawsze tylko tam, gdzie ześrodkowują się wszystkie myśli i uczucia, wszystkie dążenia i poszukiwania twórcy. Kant jest uczonym, Napoleon wodzem i prawodawcą, Byron poetą a Chopin artystą. Genialne ich dzieła poza obręb tych dziedzin nie wychodzą i nie wyrastają, dzięki przypadkowi, za granicami ich właściwego posłannictwa. Wprawdzie geniusz może w każdym zakresie tworzyć dzieła wybitne, pracować z pożytkiem, ale to nie ta praca ryje wieczystemi głoskami jego imię w historyi.

Tem trudniej to objaśnić wobec spotykanych często teoryj, które przyjmują geniusz za ogólne tło umysłu, za uzdolnienie

wszechstronne, pozwalające człowiekowi na każdem polu czynić rzeczy wielkie. Co prawda, nie wiele znajdujemy przykładów takiej genjalności wszechstronnej. Vinci, Michał-Anioł, Baldi, Goethe, Franklin powtarzają się przez wszystkie usta tam, gdzie o wszechstronności mowa, jakkolwiek sprawiedliwość nakazuje wyznać, że działalność tych twórców przedstawia także wyraźne nierówności i nie na każdym punkcie sięga szczytu. Nie o to jednak idzie. Jedni mogą przyjmować geniusz za wszechstronną i równomierną potęgę umysłu, drudzy za pewne usposobienie wyłączne, za dążność szczególną, za „monstrum per excessum“ Schopenhauera, ale na to zgodzić się należy, że bezstronny sąd o rzeczy sprowadza rolę przypadku w powstawaniu i ewolucyi wynalazków do rozmiarów nikłych. W przeciwnym razie, jakim sposobem moglibyśmy wytłómaczyć sobie i na przykładach stwierdzić fakt, że ilekroć geniusz nie zdołał poznać i zgłębić należycie własnych upodobań i dążności, ilekroć oddawał się zajęciom, niezgodnym ze swem usposobieniem, nietylko nie tworzył tam, przy pomocy przypadku np., rzeczy nadzwyczajnych, lecz co prędzej zajęcia te rzucał. Tak się stało z działalnością takich twórców, jak Fulton i Humphry Davy; tak z Schillerem, który zawód literacki rozpoczynał, jako lekarz, od specyalnych prac medycznych; tak z Claude Bernard'em, który naodwrót zaczął swą karyerę, jako mierny pisarz dramatyczny, a skończył jako genialny lekarz.

Trudnoby nam było również pojąć, dlaczego ludzie genialni wiodą po większej części żywot odosobniony, zamknięty w sobie. Dlaczego starają się związek swój ze światem możliwie ograniczyć, chronić się od wrażeń i wzruszeń zewnętrznych, jednem słowem zapewnić sobie jaknajwiększą miarę spokoju i niezależności umysłowej. Wszakże to nie jest droga, na której najłatwiej o działania i wpływy przypadkowe. Popęd twórczy zrodził się razem z człowiekiem i w tylowiekowym swym pochodzie mógł już niewątpliwie odnaleźć drogę, najprędzej i najpewniej wiodącą do celu. Gdyby przypadek zewnętrzny był często odgrywał rolę jeżeli nie światła przewodniego, to przynajmniej małego drogowskazu w życiu twórców, z pewnością nie widzielibyśmy ich tylu, poszukujących natchnienia w ciszy i samotności swych pracowni, skupionych w sobie, a w życiu zewnętrznem mały biorących udział. Znanym powszechnie jest fakt, że działalność praktyczna twórców, poza akcyą tworzenia, sprowadza się po większej części do ciasnego koła zajęć i przyzwyczajeń, dochodzących prawie do granic automatyzmu. Stąd powstał nawet wniosek, że silnie wyrażony popęd twórczy rozrasta się zwykle kosztem innych władz ducho-

wych człowieka, które upośledza lub doprowadza do zaniku. To też co do uczonych badaczów, nikt nie wątpi, że pracują najowocniej w spokoju i ciszy. Co się tyczy poetów i artystów, w ich życiu podnoszony bywa t. zw. „głód wrażeń,“ który ma warunkować powstawanie i rozwój twórczości. Nam się jednak zdaje, że zarówno do jednych i drugich można śmiało zastosować pogląd takiego głębokiego znawcy dusz ludzkich, jak Bourget. Autor ten utrzymuje, że pierwszym warunkiem dla rozwoju każdej siły twórczej jest „samotność ducha, chodząca zwykle w parze z polotem, a nawet zuchwałością myśli.“ Jeżeli poeta lub artysta rzuca się w wir życia, szuka wrażeń, pożąda zmiany, — to stan taki bywa zwykle przejściowym, poprzedza i przygotowuje właściwy okres tworzenia, do którego niezbędne są: skupienie się w sobie, samotność, lub, co najwyżej, współczujące otoczenie.

Wiemy, jak bardzo Mickiewicz kochał swój pomysł do „Pana Tadeusza,“ jak rozkoszował się tworzeniem tego poematu i szukał w nim wytchnienia wśród politycznej i życiowej zawieruchy. A jednak pomimo znanej łatwości tworzenia, wybornej znajomości rzeczy i wielkiej ochoty — praca szła opornie i trwała blizko dwa lata. Działo się tak dlatego, że praca ta, jak sam Mickiewicz w listach do przyjaciół opowiada, przypadła na niespokojny, pełen trosk i przeszkód okres jego życia. Spokój i cisza, „jeden tydzień przeszłorocznej ciszy,“ były w owym czasie celem gorących marzeń poety i wydawały mu się jedyną odpowiednią dla pracy twórczej drogą.

Zresztą myśl podobną wyraził Mickiewicz dobitnie w swych „Uwagach,“ drukowanych w Paryżu w r. 1836, gdzie mówi: „Kto pragnie wieszcze słowo w głębi własnej duszy sam usłyszeć, niech wprzód zamknie uszy.“

Jeżeli teraz, pozostawiając na uboczu twórczość indywidualną, sprobujemy rozpatrzeć dzieje jakiegokolwiek wynalazku w czasie i przestrzeni, to przekonamy się, że w jego rozwoju, przekształcaniu się i doskonaleniu stopniowem, powtarza się ta sama sprawa; brak tu również miejsca na szerszy udział przypadku.

Przedewszystkiem do pierwotnej postaci wynalazku nigdy nie dotrzemy. Zdaniem Tylora, im użyteczność pewnego wynalazku jest większą a budowa prostszą, tem dalej jego początek wybiega poza granice historyi, tem trudniej odnaleźć ogniwa kolejne, wiążące jego przypuszczalną postać pierwotną z tem, na co obecnie patrzymy. To tylko przyjąć należy za fakt niewątpliwy, że każdy wynalazek, który zwraca dzisiaj naszą uwagę, jest po większej części wytworem krótszego lub dłuższego czasu, wytwo-

rem pracy zbiorowej. Z tego stanowiska też, a nie pod kątem widzenia szczęśliwego przypadku, oceniany i sądzony być powinien.

Zastanówmy się choćby nad wynalazkiem tak pospolitym i stosunkowo prostym, jak wóz kołowy, a zobaczymy, jak długą i urozmaiconą ewolucyę przebywać musiał, zanim doszedł do obecnych, wielce złożonych i różnorodnych postaci. Ponieważ początki wozu giną w czasach przedhistorycznych, więc antropologia, [1]) tylko na zasadzie prawdopodobieństwa, poucza, że ongi był to zapewne „prosty wał drewniany, może zwyczajny pień drzewny, na którym przetaczano ciężary.“ Z czasem wał taki, obciosany pośrodku, stanowił oś i koła w jednej całości, a postawiona na tej osi skrzynia była już prototypem dzisiejszego wozu. Odtąd każdy wiek, każdy dziesiątek lat dorzuca do wynalazku tego nowe przyczynki, stosuje ulepszenia i odkrycia, poczynione w różnych dziedzinach wiedzy, komplikuje budowę wozu i doprowadza go do granic najwyszukańszego zbytku. W całokształcie tej długotrwałej ewolucyi tracimy z oka i pierwowzór i pojedyńcze ogniwa w jego rozwoju. Zapominamy, patrząc dzisiaj na parowóz lub samochód, że to również postać wozu kołowego, ale postać rozrosła, potężna, stanowiąca sumę wielu dodajnych, gdzie każda pozycya nietylko inną ręką, lecz często zbiorowemi siłami była pisaną.

W odkryciach poważnych, zmieniających doszczętnie warunki życia ludzkiego, pochód myśli twórczej jest jeszsze wyraźniejszy, odbywa się powolniej, i z większym mozołem. Ot, weźmy pod uwagę przykład takiej doniosłości, jak odkrycie siły poruszającej pary. Ileż to czasu było potrzeba, ile potęgi twórczej, ile badań doświadczalnych i prób nieudanych, zanim człowiek zdołał odkrycie opanować i poznać należycie prawa, na zasadzie których dokonał zamiany ciepła na energię mechaniczną.

Wszakże siła pary została właściwie zużytkowaną dopiero od lat 100 z okładem, a jednak pierwsze odkrycie w tym kierunku przypisywane jest powszechnie Heronowi z Aleksandryi, który żył na lat 217 przed rozpoczęciem naszej ery. Że Grecy i Rzymianie już w głębokiej starożytności znali własności pary, świadczą o tem daty, podane przez Arago w jego mowie pochwalnej, wypowiedzianej na cześć James'a Watt'a w gronie akademików francuskich. Wprawdzie wiadomości, zebrane przez Arago, posiadają charakter cokolwiek anegdotyczny, dowodzą jednak jasno, że świat starożytny umiał się parą celowo posługiwać. Poczynając

[1]) E. B. Tylor: „Antropologia.“ Warszawa, 1902.

zaś od w. XVII historya cywilizacyi przechowała nam wyraźne ślady głębokich poszukiwań nad własnościami pary i pracy twórczej na tem polu. Wszakże z połową XVII w. związane jest nazwisko Dyonizego Papina, który jest już twórcą idei, że para może stanowić motor uniwersalny i po raz pierwszy kreśli obraz przyszłej żeglugi parowej. Od tego czasu do dnia dzisiejszego ciągnie się nieprzerwany szereg wynalazków, mających stale punkt wyjścia w sile poruszającej pary i wkraczających stopniowo w wszelkie dziedziny pracy ludzkiej. Wynalazki te bywają z początku częściowe, niepełne; potem dopełniają się wzajemnie, zlewają z sobą i w końcu wyrastają w potężną całość, np. w dzisiejszą maszynę parową i wszelkie z nią spokrewnione i od niej zależne maszyny i przyrządy. Każdy szczegół wiedzy ogólnej, raz zdobyty, stawał się tu czynnikiem dalszych zdobyczy. Każde nowe doświadczenie, każdy fakt wywiązywał się ze spostrzeżeń i faktów dawniejszych i prowadził w sposób systematyczny, konsekwentny i nieunikniony do nowych pomysłów i nowych uogólnień. Każdy twórca pracę swą rozpoczynał od rewizyi tego, co w danym zakresie jego poprzednicy zdziałali i, biorąc nabytki przeszłości za podstawę, dążył do doskonałości i postępu. Wspólny pierwiastek ideowy zachował się tu niezmiennie, a okoliczności przypadkowe w jednych razach o tyle dopomagały w jego pochodzie cywilizacyjnym, o ile w innych gromadziły zawady na drodze jego postępu.

Dokładna znajomość antropologii i etnografii potrafiłaby nam z pewnością pokazać, że działalność ducha ludzkiego od początku do końca można objąć w jedną spoistą całość. Potrafiłaby dowieść, że wynalazki najodleglejsze i najbardziej z pozoru różne, posiadają wyraźny związek ideowy. To też nie jest pozbawionym słuszności sąd Letourneau[1]), który powiada, że śledząc krok za krokiem wszystko, co człowiek odkrył i wynalazł, można odnaleźć łączność pomiędzy zjawiskami tak odległemi „jak maszyna parowa i krzemień łupany, okręt i tratwa, pałac i grota, wytworny, posiadający odmiany język dzisiejszy i monosylaby ludów barbarzyńskich, rachunek różniczkowy i bezskuteczne próby Australczyka, który własnych palców zliczyć nie może, wielkie religie Aryjczyków i animizm afrykańskiego murzyna.“

To rzecz wiadoma, że twórczość stanowi dotychczas zagadkę nierozwiązaną. W zjawisku tem są dla nas rzeczy niejasne i nie-

[1]) M. Ch. Letourneau: „La préhistoire vivante.“ Revue scientifique. N. 23. 1885.

pojęte. Niepotrzebnie jednak staramy się zapełnić próżnię wnioskami o przypadku. Wyjaśnień należałoby raczej szukać w głębiach historyi lub tajnikach przyrody. Przypadek, wzywany tu na pomoc, nic nam nie mówi i nic nie wyjaśnia. Nie stanowiąc sam przez się żadnej siły realnej, nie może być ani czynnikiem, ani tembardziej podstawą jakiegokolwiek, zwłaszcza złożonego zjawiska. I rozumieć go należy chyba tylko w tym sensie, jak nam to Paweł Janet[1]) tłómaczy. Autor ten mówi: „przypadek, to nie jakaś zamknięta w sobie, istotna całość, nie jakieś bóstwo tajemnicze i zazdrosne, które, ukryte w chmurach, snuje na ślepo nić naszych przeznaczeń.“ Taki przypadek nie istnieje... „To też słusznem jest poniekąd twierdzenie, że przypadku niema, że przypadek — to wyraz pusty, pozbawiony treści i wynaleziony przez naszą niewiadomość.“

Mieczysława Biegańska.

[1]) P. Janet: „Les causes finales.“ Paris, 1901.

# Z życia ministra Lubeckiego.

IV.

## Przeobrażenie Rządu.

Nigdy chyba i nigdzie ludzie z sercem i głową takich nie przechodzili katuszy; i w Polsce nie, bo od rozbioru nigdy tyle nie było do stracenia...

„...Najgłębszy mnie smutek dręczył; przyszłość stawała się coraz bardziej wątpliwą... Wierzyłem, że dałoby się jeszcze zapobiedz zupełnemu zerwaniu; chciałem przynajmniej ścieśnić, o ile można było, granice tego zerwania, gdyż przeczuwałem aż nadto, nieszczęsne a prawdopodobne, następstwa walki z bronią w ręku...“

Tak o tych katuszach pisze Władysław Zamoyski, w całem późniejszem życiu jeden z nieprzejednanych. Z tych mąk wewnętrznych zrodziła się w głowie młodego podporucznika szczególna myśl, żeby Rząd, Rząd królewski i „w króla imieniu działający“ ogłosił niepodległość, i to w porozumieniu z W. Ks. Konstantym. „Mógł jeszcze Rząd nowy owładnąć powstanie, byle tylko wyrzekł słowo: „niepodległość,“ — tak tę myśl osobliwą rozwija — „mogło to słowo, na czas krótki przynajmniej, zaspokoić wzburzenie powszechne... A przecie ogłoszenie niepodległości nie byłoby jeszcze ostatecznem zerwaniem; słowo *niepodległość*, zastosowane do Królestwa Polskiego, sam Cesarz Aleksander wprowadził do akt urzędowych; dowodziło by to tylko, że naród chce sam o swojej sprawie radzić. Zresztą było to wyrażenie ulubione

mas, wyrażenie nieodbicie potrzebne; a z niem można było pogodzić wiele rzeczy, gdyby jedna i druga strona dały się natchnąć umiarkowaniem... Jeżeli nie, to inny Rząd nastąpi niebawem, a wtedy już niepodobna będzie myśleć o żadnem pojednaniu.... Ale niech wie o tem W. Książe: Rząd, jaki teraz istnieje, utrzymać się może tylko pod jednym warunkiem: potrzeba, ażeby dziś jeszcze ogłosił niepodległość Polski.“

Co do takiego „koniecznego, nieuchronnego warunku“ utrzymania Rządu na stanowisku — nie bardzo się może mylił młody adjutant W. Księcia; co do rzeczy samej, sam otwarcie wyznaje: „nie zdając sobie z mojej myśli sprawy dokładnej, widziałem albo przeczuwałem, co było nieuchronnem, co już nie mogło być inaczej.“ Dość, że adjutant przedstawił swoją „myśl“ Konstantemu; ten, choć już na taką rozmowę przez pruskiego konsula przygotowany, ofuknął go zrazu krótko; „Jak pan śmiesz mnie znieważać w ten sposób?“ Ale pojednał się wkrótce z adjutantem, nie z jego „myślą,“ i wyprawił go znów do miasta po wiadomości. „Widząc — opowiada Zamoyski — że mi żadnego polecenia do Rządu nie daje, zapytałem, czy mnie przynajmniej upoważnia zdać sprawę Ministrom z mojej z nim rozmowy; odpowiedział, że mogę mówić i robić, co uznam za stosowne, ale nic w jego imieniu.“

Działo się to jeszcze 30-go przed południem; Zamoyski przybył do Banku niedługo po uroczystem przeprowadzeniu Rady Administracyjnej do tej improwizowanej siedziby. On sam tak opowiada: „Rząd się organizował, zapobiegał tysiącom wymagań bliższej potrzeby. Wszakże, gdym powiedział, że przybywam od W. Księcia, Rada natychmiast zebrała się dla wysłuchania mnie. Opowiedziałem dosłownie, co zaszło między W. Księciem a mną. Po chwili rozmowy między członkami Rady, książe Lubecki zabrał głos w ich imieniu (chociaż nie widziałem, by go do tego wezwali) i oświadczył, że Rada nie dzieli zdania mego o potrzebie ogłoszenia niepodległości; że przeciwnie, wzywa mnie, ażebym zapewnił W. Księcia, że jej członkowie w niezachwianej dla króla wierności trwać zamierzają i że, jakiekolwiekby następstwa z tej okoliczności wynikły, członkowie Rady nie przekroczą granicy, jaką jest utrzymanie imienia cesarza i króla na czele aktów rządowych. „Jednakże — dodał — to coś Pan powiedział W. Księciu, może nam posłużyć. Jeżeli przypuszcza, że się tak daleko damy wciągnąć, o tyle chętniej zapewne uzna naszą zasługę; naprzód spodziewamy się, że wszelkich nieprzyjacielskich zaniecha kroków i wnijdzie w porozumienie z Rządem, przedewszystkiem

dla utrzymania pokoju, a następnie, *by słusznym wymaganiom narodu zadosyć uczynić.*

Lubecki, zawsze skłonny do optymizmu, w jaśniejszych barwach widział rzeczy, niż młody podporucznik. Po tryumfalnym pochodzie Rady przez ulice poczciwej Warszawy — myślał, że już się dosyć zrobiło *dla ulicy.* Cały dzień zresztą zajęły jeszcze narady i zarządzenia w celu uspokojenia miasta; z kolei jednak inna troska stawała na porządku dziennym, troska o uspokojenie, — ale nietylko o samo uspokojenie — drugiej strony, dalekiej wprawdzie, lecz silniejszej od tłumów, snujących się po ulicach Warszawy.

To też kiedy Rada nazajutrz rano (1 grudnia) zebrała się znowu na posiedzeniu, pora była wreszcie pomyśleć o tym, „którego imię — jak Lubecki przypomniał Zamoyskiemu — stało na czele jej obwieszczeń i postanowień“ — o cesarzu i królu. On przecież, w odległości 150 mil, nie mógł dotąd jeszcze nawet przypuszczać, co się dzieje w jego nadwiślańskiej stolicy.

Pierwsza wiadomość o warszawskich wypadkach doszła do Petersburga dopiero późnym wieczorem 7 grudnia, w tydzień właśnie po tej pierwszej dyskusyi o „niepodległości“ w Radzie Administracyjnej Królestwa. Dość późno, jak i na owe czasy, chociaż o wiele rychlej nie można było w tej porze zdążyć z Warszawy do Petersburga, kiedy w Królestwie i na Litwie nie było jeszcze sanny. Wiadomo dobrze z wszelkimi szczegółami, ile czasu potrzebowała sztafeta na przebycie tej drogi; a przecież musimy mieć to nieustannie w pamięci, żeby zrozumieć zdarzenia następnych dni w Warszawie, następnych paru tygodni w Warszawie i w Petersburgu. Tak niedaleko odbiegliśmy od „nocy belwederskiej;“ nie starzy dzisiaj jeszcze, znali dobrze niejednego „Belwederczyka“ i z własnych ust tylu świadków naocznych słyszeli opowiadania o listopadowem powstaniu: wie się o tem, pamięta się dokładnie, jakie były naówczas warunki komunikacyi, a jednak przy ocenieniu każdej chwilowej sytuacyi łatwo nieraz zapomnieć, że to były takie same warunki, jak za Aleksandra Wielkiego, gorsze nierównie, niż za Cezara, a od tych, z którymi zżyliśmy się od dawna, tak zupełnie odmienne. Słowem, cała historya pierwszych tygodni listopadowego powstania, byłaby już nie dalej jak po 30 latach — w czasach kolei i telegrafu — czemś zgoła niemożliwem.

Wzmocniona Rada w nielegalnym swym składzie, już od 36 godzin dzierżyła słabą ręką nominalny ster rządów kraju, a jeszcze nie zdobyła się na to, żeby zawiadomić monarchę o wypadkach, które ją zniewoliły przywłaszczyć sobie królewskie atrybucye,

„w interesie Tronu, legalnego porządku i nienaruszalnego związku Królestwa z Rosyą,“ t. j. powołać do swego grona ludzi, o których monarcha nic nie wiedział. Nie było czasu myśleć o tem zawiadomieniu, tak tłoczyły się wydarzenia pierwszej nocy i następnego dnia. W pierwszej jednak, cokolwiek spokojniejszej chwili, zajęto się tą sprawą i postanowiono wysłać do Petersburga z raportem jednego z członków Rady, z dawnego jej, rozumie się, legalnego składu, królewskiej nominacyi. Wybór padł na Jana Maksymiliana Fredrę, Marszałka królewskiego polskiego Dworu. Równie mizerny tragik, jak znakomitym komedyopisarzem był młodszy jego brat Aleksander, tak jak i tamten żołnierz Napoleoński, z pułkownika wojsk Księstwa Warszawskiego generał brygady po r. 1815; do r. 1828 adjutant Cesarza Aleksandra, ożeniony z Rosyanką, Praskowią hr. Gołowinówną; od koronacyi w r. 1829 i związanego z nią pomnożenia dworskich urzędów, Marszałek Dworu, pierwszy i ostatni; od kilku miesięcy wreszcie Kurator Jeneralny instytutów naukowych, na tem stanowisku następca Dawida Oebschelwitza i równie jak on niepopularny—Fredro nadawał się niezawodnie do misyi, którą mu zamierzano powierzyć. Można go uważać za doskonałego przedstawiciela typu, który tak był szeroko rozpowszechniony między wyższymi dygnitarzami Królestwa Kongresowego. Wychowany w Puławach, za młodu dzielny żołnierz o niepodległość ojczyzny, w wieku dojrzałym do tego stopnia przejednany z nowym porządkiem rzeczy, że się ożenił z Rosyanką, dworak, na stanowisku Kuratora powolne narzędzie Nowosilcowa, a w każdym razie o tyle słaby, że się nie ważył wejść w jakiekolwiek kolizye z Pełnomocnym Delegowanym J. C. Mości. Był u Dworu dobrze widziany, w Petersburgu posiadał rozliczne związki, rodzinne i osobiste; jeżeli zatem podejmował się powieźć raport Rady Administracyjnej o wypadkach 29 listopada i o stanowisku jakie zajęła wobec nich Rada, nie można było znaleźć dogodniejszego delegata; Fredry chyba nikt nie mógł posądzić w Petersburgu o jakieś wykroczenie przeciw lojalności.

Nim jednak raport wygotowano, Rada Administracyjna powzięła nowe postanowienia, wskutek których przestała już być stanowczo Radą Administracyjną Królestwa, jakkolwiek na razie jeszcze nie wyrzekała się tej niepopularnej nazwy.

1-go grudnia doniesiono zebranym na posiedzeniu członkom Rady Administracyjnej, że w gmachu bankowym pojawiła się „Delegacya od członków Senatu i Izby poselskiej.“ Składała się z jednego Senatora, Kasztelana Leona Dembowskiego, i czterech po-

słów; między nimi był Lelewel, główna sprężyna całej akcyi; przewodniczył Dembowski. Jeden z przybranych członków Rady, kasztelan Kochanowski, był teściem Dembowskiego; teść wprowadził na posiedzenie zięcia i jego towarzyszy i poparł ich żądania.

Sam Dembowski pisał po 30 latach w swoich Wspomnieniach: „w istocie, *nadużywając nazwy*, zameldowaliśmy się jako delegacya od członków Senatu i Izby poselskiej.“ Na zaimprowizowanem zebraniu bowiem, które odbyło się na Zamku, było zaledwie kilkunastu posłów i deputowanych; tam jednogłośnie wybrano tę delegacyę. Zebranie poselskie zwołano pod pozorem narady, jakim sposobem położyć tamę „rabunkom“ i „nieporządkom“ w mieście. Po krótkiej naradzie zgodzono się ze zdaniem Lelewela, że cel ten najłatwiej będzie można osiągnąć, „jeżeli z Rady Administracyjnej usunięci będą członkowie, którzy nie posiadają zaufania publicznego, jakimi są Fredro, Rautenstrauch i inni.“ Spisano siedem punktów, które Delegacya miała przedstawić Radzie. Trzy pierwsze były to same rekryminacye, z powodu dotychczasowego postępowania Rady: wyraz niezadowolenia z odezwy, wydanej po wybuchu powstania, i zarzut „że działania Rady są zbyt powolne, że nie są w duchu rewolucyjnym powzięte.“ Trzy dalsze punkta domagały się usunięcia członków Rady, nie posiadających zaufania publicznego, przybrania nowych członków z Izby poselskiej, „bo oni naród reprezentują,“ wreszcie zwołania Sejmu. Ostatni stwierdzał, „że należy obmyśleć żywność dla wojska.“

Takie to miały być, według Lelewela, skuteczne środki powściągnięcia „rabunków“ i „nieporządków;“ w rzeczywistości były to postulata, których przyjęcie przez Radę równało się wyraźnemu przystąpieniu do rewolucyi. To bowiem, co Rada uczyniła na pierwszą wieść o wybuchu powstania, było już wprawdzie nielegalnem wkroczeniem w wyłączne atrybucye króla i wielkiem uchybieniem pod względem formy, dawało się jednak usprawiedliwić zarówno wyjątkowem położeniem, jak i lojalną niewątpliwie pobudką; wszakże przybrani przez nią członkowie „przyrzekli współdziałanie z Rządem w interesie króla i tronu.“ Co innego po upływie półtora dnia przybierać drugą seryę członków nie z własnej, jak wówczas, inicyatywy, lecz pod naciskiem z zewnątrz; co innego zwłaszcza, przybierać ich na miejsce bezprawnie usuniętych legalnych członków Rządu, z nominacyi królewskiej, których sam król miał prawo uwolnić od powierzonych im obowiązków. Równie rewolucyjnym, jaskrawo rewolucyjnym krokiem byłoby, samowolne zwołanie Sejmu, stanowiące jedną z głównych atrybucyj

monarchy, nietylko według litery konstytucyi, ale według kardynalnej, podstawowej zasady parlamentaryzmu.

Gdy delegacya przedstawiła Radzie żądania poselskiej konferencyi, Lubecki uderzył odrazu w najdrażliwszą stronę i zapytał, którzy to są owi członkowie Rządu, co zaufania publicznego nie posiadają? „Książe pierwszy tego zaufania nie posiadasz“—ozwał się głos Sołtyka; inni członkowie Delegacyi, dyplomatyczniej się wyrażając, wyjaśniali, że według głosu opinii publicznej, „stosunki, jakie oddawna łączą Lubeckiego z Dworem, mogą być na przeszkodzie, aby teraz tak działał, jak tego sprawa narodowa wymaga.“ Lubecki nie stracił zimnej krwi; jeżeli swojem dotychczasowem postępowaniem nie zdołał narodu przekonać o swych czystych zamiarach, gotów tej chwili wystąpić z Rady; to oświadczył, powstał i zamierzał wyjść z sali. Zaprotestowali jednak Czartoryski i sędziwy Niemcewicz, a składając wymowny hołd dobrym chęciom i nieskazitelności Ministra Skarbu, zsolidaryzowali się najściślej z Lubeckim; jeśli Lubecki ustąpi, i oni się usuną. Zawtórowali im inni członkowie Rady; i Deputacya zatem „połączyła się z życzeniem Rady, aby Lubecki w Rządzie pozostał.“ Odniósłszy takie świetne zwycięstwo, zajął napowrót swoje miejsce przy stole obrad, nie bez jasnego zapewne przeświadczenia, jak strasznego pozbyłby się ciężaru, gdyby się był uparł w tej chwili i pozostał przy pierwszem oświadczeniu. I to musiał rozumieć bez wątpienia, że ogrom tego ciężaru będzie wzrastał; epizod z delegacyą i rewolucyjnemi jej żądaniami zapowiadał to najwyraźniej. Nie skorzystał z tego momentu i nie usunął się z Rządu, bo przedewszystkiem miał przed oczyma to proste przykazanie, które sobie powtórzył na pierwszą wiadomość o wybuchu powstania: *Trzeba być na swojem miejscu!* Tą dewizą kierował się w całem życiu. Ile mu tę decyzyę ułatwiło zadośćuczynienie, jakiego doznał przed chwilą w uprawnionej miłości własnej, tak boleśnie dotkniętej i w tym samym momencie tak doskonale zaspokojonej? To pytanie, na które chyba i on sam nie potrafiłby odpowiedzieć. Może jedno jeszcze przemknęło mu w tej chwili przez głowę. Cała Rada tak stanowczo za nim stanęła, a przedewszystkiem zsolidaryzowali się z nim ci dwaj członkowie, odświeżonego Rządu, których nazwiska stanowiły dla opinii publicznej główną rękojmię czystości zamiarów i patryotyzmu dzisiejszej Rady. To było dla Lubeckiego czemś więcej jeszcze, niż zadośćuczynieniem obrażonej miłości własnej: to, bądź co bądź, dawało mu pewną siłę, wzmacniało pozycyę Księcia Ministra, nietylko w Radzie, ale

i wobec społeczeństwa. A jemu tak trudno było pozbyć się wiary — w szczęśliwą gwiazdę Lubeckiego.

To pewna, że w dalszym ciągu posiedzenia każdy krok Lubeckiego nacechowany był jakby spotęgowaną jeszcze pewnością siebie. Gdy Delegacya oddaliła się z sali posiedzeń, kasztelan Kochanowski poparł jedno z głównych jej żądań w sprawie przybrania nowych członków do składu Rady: według słów urzędowego protokułu „przedstawił, że nadzwyczajne poruszenie umysłów nadzwyczajnych wymaga środków i że najdogodniej w obecnych okolicznościach byłoby, iżby z pomiędzy członków Izby poselskiej trzy osoby ten sam odebrały zaszczyt, jaki członków Senatu przez Radę wybranych spotkał, i wezwane zostały do zasiadania w Radzie.“ W odpowiedzi zabrał głos Lubecki. Miał odwagę zbyć popularny ten wniosek krótką tylko przestrogą: „baczyć na to potrzeba, żeby Rząd w miejscu rządzenia nie stał się rządzonym.“ Po tem ostrzeżeniu rozbierał dwa inne najważniejsze żądania Delegacyi: sprawę usunięcia niektórych członków Rady i sprawę zwołania Sejmu. Co do pierwszego żądania, nie sprzeciwił mu się wyraźnie, jakby właściwie przystało na Ministra, który był, bądź co bądź, obowiązany, nie zezwalać na usunięcie mianowanych przez króla członków Rządu. Nie można jednak odmówić zręczności stanowisku, które zajął w tej sprawie. Gdy sama Deputacya nie wymieniła, kogo chce mieć usuniętym, i oświadczyła, iż każdy sam się winien ocenić, Rada także nie może, jak tylko własnemu członków ją składających ocenieniu rzecz tę zostawić.“ Była to niemal wyraźna zachęta, skierowana do niektórych kolegów, żeby sami się usunęli; Rada nikogo nie wykluczała ze swego grona. Zwołaniu Sejmu natomiast oparł się stanowczo, „bo król nie zwołał.“ Tak więc oświadczył się w gruncie przeciw wszystkim pozytywnym żądaniom Delegacyi, sprzyjając cichaczem jedynie puryfikacyi Rady z jej znienawidzonych powszechnie żywiołów; oportunista, nie lekceważył korzystnego wrażenia takiej puryfikacyi, upozorowanej dobrowolnem ustąpieniem niepopularnych członków. Czerpiąc zaś naukę z epizodu, który się przed chwilą odegrał, Lubecki rozwinął program dalszego postępowania Rządu. Oto myśli ogólne, krótko i pośpiesznie w protokule zanotowane. „Zapobiedz potrzeba, aby posiedzenia Rady słuchaniem pojedyńczych żądań przerywane nie były; Rada winna działać nie tak, aby chwilowym wymaganiom dogodzić, lecz aby spokojność i prawo, *byt i swobodę* kraju zapewnić.“ Stanowisko godne ministra i obywatela, strzegącego interesów monarchy, ale równie dbałego o utrzymanie i rozszerzenie swobód. Rada działa i działać po-

winna w imieniu króla: roztropność wszakże nakazuje, aby formy tej *„w imieniu króla“* nie używać. Do czegoż dążyć powinniśmy? Do tego, co jest podobnem. Otóż *aby co bądź otrzymać* — trzeba mieć siłę. Siła jest w wojsku, w gwardyi naród formuje się dopiero. Wojsko,tyle ile go teraz, niedostateczne. Trzeba więcej sprowadzić... jenerałowi Chłopickiemu polecić wydanie rozkazów do sprowadzenia wojska, a zawsze w imieniu króla.“

Z tych pobieżnych, niedokładnych zapisek protokułu odsłania się wyraźnie nowa faza w ewolucyi politycznego stanowiska Lubeckiego pod wpływem pierwszych chwil listopadowego powstania. Zrazu na nocnem posiedzeniu w pałacu Branickich, jedyną jego troską było bez wątpienia stłumienie nieporządków, uśmierzenie powstania. W półtora dnia po tem mówi: „aby co bądź otrzymać, trzeba mieć siłę.“ Pożąda siły dla Rządu, do którego należy i którego jest duszą, nie tylko dla poskromienia wszczętego ruchu, a zwłaszcza jego wybujałości, ale i dla poparcia jego uprawnionych dążeń i pragnień. Tak mówi, ale nietylko tak mówi, tak niezawodnie myśli. Stając zaś w ten sposób jedną nogą na gruncie rewolucyi, już nie pod względem formy, jak w pałacu Branickich, ale i w samej rzeczy, nie myśli wcale, żeby tem uchybiał przysiędze, którą jako minister złożył królowi, a z którą liczy się rzetelnie w sumieniu. W jego umyśle interes króla i kraju były nieodłączne. Skoro wybuchło już powstanie, dobro króla i dobro kraju wymaga jednej przedewszystkiem rzeczy: zapobiedz za jakąbądź cenę krwawemu starciu, któreby między królem a krajem wyżłobiło przepaść niewyrównaną. Choćby więc było dość sił do represyi, do stłumienia rewolucyi przemocą, Lubecki opieralby się niezawodnie wszelkiej krwawej represyi. Jeśli zaś uda się wyzyskać wszczęte powstanie dla dobra kraju, dla utwierdzenia i rozszerzenia narodowych swobód, będzie to nietylko zdobyczą dla Królestwa, ale niemniej ważną, rzetelnej wartości wygraną króla, bo, według Lubeckiego, nic nie było równie zgubnem dla żywotnych interesów tronu, jak to wszystko, co niszczyło harmonię między królem a krajem. Gdy krew się lała pod Maciejowicami, Lubecki był petersburskim kadetem; pod Novi, pod Marengo, komenderował może ognia na legionistów: był żołnierzem; między Jeną a Tylżą, gdy formował się pierwszy zawiązek wskrzeszonej Polski, on zaprzątnięty był dyspensą na ślub z córką rodzonej siostry. W ostatnich jednak latach, iluż to weteranów z bojów o niepodległość godziło się bez zastrzeżeń na ówczesne położenie Królestwa, iluż ich było, co sarkać umieli jedynie na zapaleńców i zgubne ich roboty; wówczas jeden Lubecki

nietylko bronił Sądu Sejmowego, ale — co ważniejsza — wytrwale walczył z nieprzyjacielem i w pocie czoła pracował nad wyrwaniem złego z korzeniem. Zanim doszedł do celu, wrzód wezbrał, minęła pora łagodnych środków, powolnych reform; Lubecki i do operacyi był zdolny, gdy widział nieuniknioną konieczność, byle zażegnać katastrofę, ostateczne zerwanie. W imię obowiązków wiernego sługi króla i dobrego obywatela, jedno miał przed oczyma zadanie: znaleźć drogę do rozwiązania pokojowego, bez szkody, a o ile możności z korzyścią dla Królestwa. Kto inny, równie wierny sługa monarchy, stanąłby bezradny i zrozpaczony na samą myśl o tak ślizkiej i ciernistej zarazem drodze, cierniami najeżonej na jedną i drugą stronę. Lubecki miał tę właściwość, że każda trudność go podniecała, wydobywała zeń tem większy zasób energii i pomysłów. Wśród tak wyjątkowych trudności nie zaprzątał się, nie krępował obmyślaniem planów na dalszą metę. Ten umysł nawskroś praktyczny, zwykł był mieć tylko jasny cel przed oczyma; droga do celu, a w braku szerokiej drogi, choćby wązka i stroma ścieżka, znalazła się już zawsze, według okoliczności chwili.

Narazie, pod wrażeniem epizodu z Delegacyą poselską, jedna myśl zajmowała go przedewszystkiem. Czuł słabość Rządu, widział rosnące niebezpieczeństwo nacisku z zewnątrz. Do przysporzenia sił Rządowi zmierzał też wniosek w sprawie ściągnięcia wojsk do Warszawy. Wątła to jednak rękojmia siły, gdy wewnątrz ujawniały się coraz bardziej elementy słabości; z przybranych członków Rady, każdy był dobrą, doskonałą firmą wobec patryotycznej stolicy, nie było jednak nikogo, ktoby głową, odwagą cywilną i hartem charakteru w stosunku do rewolucyjnych żywiołów, pracowitością wreszcie, przydał się na coś w Rządzie. Zaszkodzić natomiast mógł niejeden — jak dopiero co dowiódł zacny Kochanowski — słabością i skłonnością do ustępstw. Lubecki z dwoma tylko gotów był się władzą podzielić: z księciem Adamem i z Chłopickim; obaj mu byli nieodzownie potrzebni, nietylko, jako firma. Zabrawszy zatem głos w odpowiedzi Kochanowskiemu, prócz sprowadzenia wojska jedną myśl jeszcze ważną poruszył — utworzenie Wydziału wykonawczego. Wydział ten miał być — według słów protokółu — Radą nieustającą (permanente), „aby w nocy nawet miejsca posiedzeń nie opuszczali jej członkowie.“ Postulat, w tych nadzwyczajnych okolicznościach uzasadniony, niemal nieodzowny, w oczach wnioskodawcy miał nadto zapewne i tę wartość, że naturalnym biegiem rzeczy usuwał z Wydziału ni pożądanych kandydatów, którym wiek i sterane już

siły nie dozwalały podjąć się tak ciężkiego zadania. I rzeczywiście, gdy w dalszym ciągu posiedzenia Mostowski zaproponował „na członków Rady szczególnej: księcia Czartoryskiego, Lubeckiego i Kochanowskiego," zacny kasztelan odparł: „Muszę się wyłączyć, bo fizyczne siły nie dozwalają mi tego, ale jenerał Chłopicki niech nim będzie." Lubeckiemu pozostawało tylko poprzeć preopinanta: „To samo i ja myślę i mówić chciałem; uprzedził mnie tylko szanowny kolega Kochanowski."

Zanim jednak Lubecki skończył długie swe przemówienie, wpadł do sali posiedzeń nowy gubernator miasta Warszawy, Sierawski, z hiobowemi prawdziwie wiadomościami o zachowaniu się tłumów ulicznych przed samym Bankiem. „Lud po dwakroć tu chciał wejść — raportował stary jenerał — po dwakroć wstrzymywałem; chciano zbrodnię nawet popełnić; piersiami ich (tak) zasłoniłem. Wybaczą więc Panowie, że wymienię tych, na których powstają. Lud powiada, że nigdy nie będzie miał w Radzie ufności, dopóki będą w niej jenerałowie: Rautenstrauch i Kossecki. Jako Polak, odpowiedzialny za spokojność miasta, powiedziałem, co mi zlecono."

Nikt nie żałował Rautenstraucha i Kosseckiego; każdy czuł jednak, jakiem to będzie świadectwem słabości Rządu, jeśli pod takim naciskiem pozbędzie się z swego grona obydwu jenerałów. Czuł to także stary Niemcewicz; ostrzegając — według niezgrabnej stylizacyi protokułu — „że trzeba pamiętać, aby nie nadać otuchy ludowi; że dobrzeby było powiedzieć, iż ci jenerałowie poprzednio sami się usunęli." Niezręczny wybieg, który chyba Rządowi nie przyczynił powagi u „ludu," gdy się dowiedziano o pomyślnym skutku wywartego nacisku. Zgodzono się jednak na projekt Niemcewicza, a sam Lubecki podyktował do protokułu: Rada oświadcza, że przed zaczęciem jeszcze posiedzenia dzisiejszego, Rautenstrauch i Kossecki o uwolnienie siebie prosili, i że Rada odmówić tego na teraz nie może;" w oryginale protokułu „na teraz" dopisano później ołówkiem; charakterystyczne świadectwo, że Lubecki równie dobrze oceniał nielegalność, jak i potrzebę usunięcia tych dwóch członków Rady, mianowanych przez króla. Dobrze — myślał zapewne — że skończyło się na dwóch kozłach ofiarnych; o Fredrę i Grabowskiego nie wiele mu też chodziło, pragnął jednak utrzymać ich w pełnym składzie Rady, ze względu na Petersburg, na „króla." Pierwotny jego wniosek i tak zmierzał do przekształcenia pełnej Rady na chór greckiej tragedyi, służący do aprobaty działań Wydziału wykonawczego.

W ogóle „lud“ okazał się w swych żądaniach dużo skromniejszym od swoich „reprezentantów;“ wszak posłowie domagali się wyrzucenia Rautenstraucha, Fredry, Kosseckiego, Grabowskiego, a przedewszystkiem samego Lubeckiego. I jego własna sprawa znów była dyskutowana w obecności starego Sierawskiego. Znów ta dyskusya przybrała raczej postać owacyi, a zarazem była dowodem, że Minister Skarbu większych miał nieprzyjaciół w szeregach sejmowej opozycyi, niźli wśród „ludu.“ Sierawski od razu zaraportował: „Oświadczyłem ludowi co do księcia Lubeckiego, że sam jestem w tych czasach zaburzenia świadkiem gorliwości i obywatelstwa księcia; odpowiedział mi lud, że Izba poselska chciała księcia przy ministerstwie mieć utrzymanym.“ Jakkolwiek zatem nie było teraz żadnej obawy o Lubeckiego, koledzy korzystali ze sposobności, żeby mu oddać hołd w obecności popularnego jenerała, mającego z „ludem“ tak blizką styczność. Mostowski gorąco się odezwał, „że Rada bez księcia Lubeckiego obejść się nie może i że bez niego wszyscyby musieli ustąpić; prosi więc jenerała Sierawskiego, aby to ludowi oświadczył i że tego zdania są wszyscy członkowie Rady, między którymi są przecież tacy, którzy całego zaufania narodu są godni, jako to: książe Czartoryski, Niemcewicz, kasztelan Kochanowski.“ Wyzwany tem sędziwy kasztelan pospieszył z niemniej pochlebnem oświadczeniem: „Niechętnie wobec księcia Lubeckiego chwalić mi go przychodzi, ale największych godzien pochwał. Jeżeli kto chce rozpędzić Radę, niech księcia Lubeckiego usunie. Wolałbym w szeregach, jako żołnierz służyć, niż tu deliberować. I obowiązki i odpowiedzialność tu większa; ale sumienie i przekonanie o potrzebie, abyśmy tu zostali, pełnić nam każe dalej naszą powinność.“

Po odejściu Rautenstraucha i Kosseckiego, resztę sesyi zajęła sprawa Wydziału wykonawczego. Nie było czasu określać kompetencyi Wydziału i zakresu działania; nie było to też zapewne po myśli Lubeckiego; w braku jakiegokolwiek regulaminu, w okolicznościach tak wyjątkowych, punkt ciężkości Rządu musiał z natury rzeczy przesunąć się do Wydziału. Odezwał się wprawdzie jeden głos, jeśli nie z opozycyą, to przecież z niejakiemi wątpliwościami, głos Chłopickiego, który przybył na posiedzenie już po usunięciu Rautenstraucha i Kosseckiego: „Nie można dopuścić władzy, którąby silniejszą była od tej, która jej istnienie nadaje.“ Na to odparł Lubecki: „Egzekucya tylko zapadłych postanowień do tej Rady szczegółowej ma należeć.“ Przed chwilą, co prawda, w poprzedniem swem przemówieniu, (5-em z rzędu), zakreślał szerszy zakres działania Wydziałowi wykonawczemu, raz tak go

nazywając, to znowu Radą albo Komisyą szczegółową. „Komisyi szczegółowej Rady — mówił — należy dać moc nietylko wykonawczą, ale i upoważnienie do wezwania członków Senatu i Izby poselskiej, dla przygotowania potrzebnych rozporządzeń.“ To też, jeśli kto tylko jaką sprawę poruszył w ciągu tej sesyi, Lubecki w lot przecinał dyskusyę, odsyłając wszystko do Wydziału wykonawczego. Tak Radziwiłł przemawiał za zwołaniem Senatu, poparł go Kochanowski słuszną uwagą, że „Senat może być zawsze przez prezesa zwołany.“ I ten wniosek, i sprawę „raportu do króla,“ i mianowanie dwóch zastępców ministrów — wszystko odesłano do Wydziału. Jedno wreszcie, i to bardzo ważne postanowienie, wykonano w ciągu tego samego posiedzenia; Chłopicki przywołał pułkownika Skrzyneckiego i rozkazał mu przyprowadzić do stolicy 8-my pułk piechoty. Był to początek koncentracyi wojska w Warszawie w myśl wniosku Lubeckiego, koncentracyi, która później tyle się przyczyniła do utwierdzenia powstania. Było jednak coś więcej jeszcze w rozkazie Chłopickiego. Wczoraj, po długiem — jak wiadomo — wahaniu, Chłopicki objął komendę nad wojskiem w Warszawie się znajdującem. Na pamiętnem posiedzeniu 1-go grudnia, gdy Chłopicki wszedł do sali, Lubecki — według słów protokółu — „powtarza, że Rada mniema, iż on z polecenia Rządu wojsko sprowadzić tu winien, i aby jenerał Chłopicki dowództwo już nie wojska stolicy, ale całego wojska polskiego objął.“ I motywuje to w sposób znamienny: „My zobowiązani królowi zdać sprawę“ (t. z. odpowiedzialni jesteśmy wobec króla), „jeżeli energicznych nie przedsięweźmiemy kroków; półśrodki jątrzą tylko.“ W protokule niema ani śladu jakiejkolwiek uchwały lub dyskusyi w przedmiocie tak wielkiej wagi; Lubecki powiedział: „Rada mniema,“ nikt nie odezwał się z opozycyą, a Chłopicki przystąpił bezzwłocznie do wykonania tak powziętej uchwały.

Największa niespodzianka i najdonioślejsza w swych skutkach, zaszła pod koniec posiedzenia w sprawie wyboru członków do Wydziału wykonawczego. Gdy Lubecki poruszył pierwszą myśl utworzenia tego Wydziału, nie wiadomo, co mówił o jego składzie i czy wogóle dotykał tej ważnej kwestyi; przerwał, co prawda, swe przemówienie, gdy wszedł Sierawski. W ciągu dalszej dyskusyi mówiono później o Wydziale wykonawczym w ścisłem znaczeniu tego słowa, o szczupłej liczbie członków; Mostowski trzech proponował. Naraz odezwał się Lubecki: „Trzeba jeszcze wymienić osoby z Senatu, z Izby poselskiej i inne, które do Rady szczegółowej mają należeć.“ Z Izby poselskiej... A zatem

reprezentanci Izby nie mieli należeć do Rady, ale wpuszczono ich do Wydziału wykonawczego. Rzecz to nowa i niezbyt zgodna z przestrogą, wypowiedzianą na samym początku sesyi: „Baczyć na to potrzeba, aby Rząd w miejscu rządzenia nie stał się rządzonym.“ Opozycyi jednak nie było i pamiętne posiedzenie zakończyło się następującą uchwałą:

„Rada Administracyjna, chcąc zabezpieczyć wszystkie części służby, która z przeznaczenia swego w obecnych okolicznościach najnaglejszego wykonania potrzebuje, postanowiła nominować Wydział wykonawczy z członków grona swojego: ks. Adama Czartoryskiego, ks. Michała Radziwiłła, ks. X. Lubeckiego, kasztelana Kochanowskiego, J. Chłopickiego, tudzież z Senatu L. Dembowskiego i z posłów Joachima Lelewela, Władysława hr. Ostrowskiego i Gustawa hr. Małachowskiego. Wydział ten interesy nagłe odbywać i rozstrzygać będzie natychmiast, a odnosić się będzie do całego składu Rady w przedmiotach, któreby nowych potrzebowały przepisów, lub nagłej (nie) wymagały decyzyi.“

Co Lubeckiego skłoniło do takiego *salto mortale*, od wniosku w sprawie Wydziału wykonawczego, który miał swym składem dawać wszelkie rękojmie sprężystości i lojalności, do utworzenia ciężkiego ciała, złożonego z dziewięciu członków, a z tak różnorodnych żywiołów; od przestróg przed przybraniem nowych członków w skład Rządu, do przekształcenia projektowanej komisyi wykonawczej na *nowy Rząd*, składający się niemal w połowie z przedstawicieli sejmowej opozycyi?

Gdy kto opiera wyłącznie na protokółach urzędowych historyę jakiegokolwiek zgromadzenia czy ciała zbiorowego, musi z góry pożegnać się z nadzieją przedstawienia pełnego i prawdziwego obrazu najważniejszych wydarzeń. Kto brał udział w życiu publicznem, wie dobrze z doświadczenia, że fakty najdonioślejsze, decydujące, nie pozostawiają najczęściej żadnego śladu w protokółach urzędowych, toną tylekroć w cichych szeptach pod ścianą sali obrad, gdzie tymczasem toczą się błahe nieraz i nużące rozprawy; rzadko nawet te fakty decydujące dochodzą do świadomości uczestników zebrania, którzy biorą następnie udział w głosowaniu i przypisują sobie naiwnie czynne współdziałanie w powzięciu jakiejś ważnej uchwały. Co było, na posiedzeniu Rady 1-go grudnia, tą ukrytą sprężyną, która pierwotny wniosek Lubeckiego przekształciła w uchwałę tak zupełnie odmienną, i to za zgodą, z czynną pomocą samego wnioskodawcy — to pozostanie chyba zawsze tylko polem domysłów. Być może, że raport Sierawskiego nie pozostał bez wpływu na Ministra, który — bądź co

bądź — o włos był tylko oddalony od losu Rautenstraucha i Kosseckiego; już „lud“ szturmował do gmachu bankowego; oprzeć się w tej chwili żądaniu posłów, reprezentantów ludu — było nietylko niebezpiecznie, ale może istotnie niepolitycznie. Domagając się ustąpienia Rautenstraucha i Kosseckiego, „lud“ popierał tylko jedno z poselskich żądań, w moment po zjawieniu się Delegacyi; łatwo było domyśleć się, i słusznie, że jedna ręka kierowała i garstką posłów na Zamku i „ludem“ stojącym za tą garstką. Lud ująłby się tem pewniej za posłami, gdyby im odmówiono miejsca w Rządzie, którego się domagali; w takim razie dalszy opór prowadziłby koniecznie do abdykacyi Rządu, do ustąpienia steru tej garstce posłów, która się zebrała na Zamku; o represyi nie było mowy.

Temu należało zapobiedz; w tak trudnem położeniu, los ojczyzny złożony w ręku piętnastu doktrynerów pod wodzą Lelewela — to była najoczywistsza zguba. Na to bezwarunkowo zgadzali się Lubecki i Czartoryski, choć podobno nie było między nimi w tej chwili już tej samej zgodności zapatrywania na sytuacyę, co przedwczoraj, przy spotkaniu w pałacu Branickich. Czartoryskiemu coraz bardziej przykrzyła się już fikcya Rady Administracyjnej, z dawnymi członkami Rady, niewiedzącymi, co począć w odmłodzonej bezprawnie władzy, z ciężkiem zaiste i paraliżującem dobrodziejstwem inwentarza, przejętem po dawnej Radzie, z jej powszechnem w opinii zohydzeniem. Gdyby jeszcze teraz przybrać nowych członków do Rady, fikcya stałaby się po prostu farsą; członkowie z nominacyi królewskiej, po ustąpieniu dwóch jenerałów, utonęliby już zupełnie wśród wprost przeciwnych a nielegalnie przybranych elementów. Lepiej stanąć otwarcie na gruncie rzeczywistości; niech Rada Administracyjna ustąpi miejsca nowej władzy, której skład będzie dostateczną rękojmią i dla opinii i dla dobra narodu. Z dawnegoRządu musiałby wejść do nowego Lubecki; mógłby w nim pozostać wreszcie Mostowski lub Sobolewski. Z nich, z członków, którzy weszli w skład Rady 29-go listopada, i z kilku przedstawicieli Izby poselskiej utworzyłby się „Rząd Królestwa Polskiego,“ któryby mógł stanąć na wysokości zadania i wyprowadzić to Królestwo z groźnego przesilenia.

Lubecki natomiast pragnął utrzymać fikcyę Rady Administracyjnej, jako legalnego Rządu, działającego „w imieniu króla;“ pragnął za każdą cenę, póki było możliwe. Zrozumiałe to najzupełniej z jego stanowiska politycznego. To też uchwała, którą zakończyło się posiedzenie Rady 1-go grudnia, ma wszelkie cechy kompromisu między stanowiskiem księcia Adama i Lubeckiego.

W gruncie rzeczy Wydział wykonawczy był istotnie nowym Rządem pod niewinną pozornie nazwą, która jednak, co najmniej, ratowała pozory „działania w imieniu króla“ i wobec króla usprawiedliwiała poniekąd legalność nowej władzy. Tak też, i słusznie, pojęto tę rzecz w Petersburgu. Według komunikatu rządowego, umieszczonego w *St.-Petersburgskich Wiedomostiach*, Rada Administracyjna Królestwa przestała istnieć 1-go grudnia; Lubecki, przeczytawszy w Petersburgu ten komunikat, wystosował obszerne pismo do adjutanta cesarza Mikołaja, w którem starał się zbić to mniemanie i dowodził dalszego istnienia Rady po utworzeniu t. z. Wydziału wykonawczego.

„Faworyt Mikołaja“ — tak nazywano Lubeckiego w Warszawie — nie spostrzegł się, jak został nietylko członkiem, ale i twórcą Rządu, stającego na czele rewolucyi. Spostrzegł się czy nie spostrzegł, to pewna, że w sumieniu był zupełnie spokojny. Zawsze zadowolony z siebie, nie chwiał się w przekonaniu, że to wszystko uczynił w imię przysięgi, którą złożył swemu królowi i której był zdecydowany pozostać wiernym. Sądził, że tem służy królowi, jeśli wciąga do Rządu żywioły rewolucyjne, które inaczej powiodłyby rewolucyę na tem niebezpieczniejszą drogę, groźną dla króla i dla Królestwa. Wiara w samego siebie, dotąd nigdy nie zawodząca i powodzeniem rozzuchwalona, dawała mu otuchę, że on potrafi te żywioły okiełznać, poprowadzić, gdzie zechce. Jeśli się mylił, był u nas jednym z pierwszych, a raczej chyba pierwszym, na szerokiej drodze takich omyłek. U niego jednak miała ta omyłka znamienną, typową cechę, rodzicielki całego typu licznie później rozmnożonych omyłek, charakterystycznych i zrozumiałych w wyjątkowem położeniu narodu. „Lubecki przybieranie nowych popularnych osób do składu starego Rządu nazywał *rewolucyonizowaniem* władzy; Rada Administracyjna, mówił, rewolucyonizuje się przez to.“ Tak pisze o nim Mochnacki, który te słowa słyszał niezawodnie z własnych ust Lubeckiego. Myli się jednak, biorąc je za obłudę, za manewr dla osłonięcia celów „kontrrewolucyi.“ Lubecki szczerze chciał *rewolucyonizować* Radę, chciał nawet samego króla *rewolucyonizować*, w znaczeniu, które przywiązywał do tego słowa, przez siebie ukutego. Rewolucyę potępiał i brzydził się nią z zasady, w Hiszpanii, czy we Włoszech, w Paryżu czy w Bruxeli, a tembardziej w Polsce. Ale żywe były w nim zawsze te same aspiracye, na których gruncie zrodziło się listopadowe powstanie. Tym aspiracyom otworzyć przystęp do lękliwej i ospałej Rady i przez nią, a raczej przez Lubeckiego, utorować im drogę do Mikołaja: to znaczyło w pojęcie

cia Lubeckiego, *rewolucyonizować* Rząd Jego Królewskiej Mości, jedyny w tem położeniu — tak rozumiał — obowiązek Ministra i obywatela, a człowieka z głową i z sercem.

## V

## Układy z Wielkim Księciem.

W mieście wrzało; za rogatkami biedował W. Ks. Konstanty; w Banku Rząd obradował, to Rada, to nowy Wydział. Tak było od rana do późnej nocy.

„Raz po raz przychodziły do Rządu deputacye: od miasta, od wojska, od klubu, od szkół... Na czele zbrojnego tłumu, rozhukanego mowami, stawali na schodach pałacu rządowego zapaleńcy. Po wielekroć przełamawszy wartę, lud wdarł się aż na górę, gdzie powstrzymać go zaledwie zdołało kilku ludzi, posiadających zaufanie powszechne. Niemcewicz powielekroć przemawiał do tłumu, bądź na schodach, bądź z ganku. Powiadał, że wiek, odejmując mu możność służenia krajowi, nadał mu prawo mówienia współrodakom prawdy, choćby surowej. Rząd dawał posłuchanie deputacyom, nawet i pojedyńczym osobom, wybranym z publiczności, niespokojnej o przyszłość. W samejże sali posiedzeń Rady kilku opętańców uniosło się aż do pogróżek sztyletami i pistoletami. Jenerał Chłopicki postawą i znaną tęgością charakteru, hamował zapalczywych. Obecność jego wiele razy przyczyniła się do przywrócenia porządku i oczyszczenia sali Rządu.“

Opis to naocznego świadka, młodego Zamoyskiego, który całe dnie spędzał w gmachu Bankowym lub o ścianę, w pomieszkaniu Lubeckich, a dopiero pod osłoną wieczora przekradał się do kwatery W. Księcia, by nazajutrz przed świtem znów powrócić do Banku. W dzień niebezpiecznie było z adjutancką kitką u kapelusza przejeżdżać przez ulice Warszawy. „Mnie“—opowiada—„od pierwszego dnia, z obawy, by mnie kitka na kapeluszu nie nabawiła nieszczęścia, księżna Lubecka, żona ministra, przypięła łaskawie dużą białą wstążkę... Wszyscy mieli kokardy, ale te kokardy były trojakiego rodzaju. Większość miała białą starodawną. Trójkolorowa świadczyła, że niepodległość i narodowość nie jedne były na celu u niektórych twórców ruchu, oznaczała dążenie do zmian społecznych i naśladowania Francyi. Inni mniemając poprostu, że wypadało przyjąć kokardę odmienną od

tej, jaką nosiliśmy za Rządu poprzedniego, do białej kokardy dodali obwódkę czerwoną...“

Niemniej jaskrawy opis pozostawił jeden z członków nowej władzy rządowej:

„Narady Wydziału wykonawczego odbywały się w Banku, przy tłumie spektatorów, całą salę napełniających. Nie można mieć wyobrażenia o tem, co się działo przez resztę dnia (1-go grudnia) i część nocy w miejscu posiedzeń najwyższej władzy. Owi widzowie, którzy napełniali salę, ciągle mieszali się do dyskusyi w sposób prędzej rozkazujący, jak doradzający. Ustawicznie słyszeliśmy głosy: „Czego Państwo próżnują,“ „Dlaczego nic nie robią“ i t. p. Zniecierpliwiony ks. Radziwiłł rzekł na jedną z podobnych interpelacyj: „Jeżeli Pan chcesz ze mną się kłócić, to proszę na ulicę, a zobaczymy, kto ma silniejsze pięście.“ Obok tego zgiełku nieustannie przybywały rozmaite deputacye... każda z nich zanosiła żądania, czasem zupełnie między sobą sprzeczne... Niektóre z tych deputacyj wyrażały się z umiarkowaniem, inne z groźbami, posuniętemi do tego stopnia, iż nalegano, ażeby żądaniom zadosyć uczynili, bo w przeciwnym razie przez okna nas powyrzucają. Aczkolwiek batalion piechoty trzymał wartę na dole, lecz ten nie słuchał rozkazów Rządu i mimo, że kilka razy udawano się do dowódcy, ażeby rozstawił warty przy schodach i wejściach do sal i nie dozwolił tłumowi wciskać się do pokojów obrad rządowych, dowódca był głuchym na to wezwanie, mówiąc, że ma rozkaz pilnowania Banku, a nie rozstawiania wart honorowych dla Rządu... Tego dnia siedzieliśmy, wprawdzie nie wszyscy, aż do trzeciej w nocy w Banku... Nazajutrz równy zgiełk panował w salach obrad, jak dnia poprzedniego... Znowu siedzieliśmy do godziny trzeciej w nocy. Był to już drugi dzień, w którym, prócz wypitej zrana filiżanki kawy od 48 godzin nic nie jadłem i nie spałem i do tego stopnia znużenia doznałem, iż musiałem poprosić ks. Lubeckiego, ażeby mi kazał przynieść szklankę wina i kawałek chleba...“

Tak opisuje rozkosze władzy kasztelan Dembowski, z przywódcy wczorajszej deputacji poselskiej nowy członek Rządu. *Tu l'as voulu*, mógł mu słusznie powiedzieć dzisiejszy kolega w Rządzie, a dawny członek Rady Administracyjnej; początek zrobiła deputacya garstki posłów zgromadzonych na Zamku, za tym przykładem poszły inne deputacye. Nic dziwnego, że tak dorywcze, tak nieporządne są urzędowe protokóły tych posiedzeń Rady i Wydziału wykonawczego; raczej można się dziwić, że Krysiński i tak potrafił protokółować, wśród tego zgiełku, takich scen

i awantur. Co zaś zwłaszcza widoczne z tych protokołów, to to, że w praktyce nie rozróżniano pomiędzy Radą a Wydziałem; na posiedzeniu Wydziału są obecni członkowie Rady, nie wybrani do Wydziału wykonawczego, na posiedzeniach Rady znów najczęściej głos zabierają Dembowski, Lelewel, Małachowski, po Lubeckim, rozumie się, który najwięcej mówi na każdem posiedzeniu Walenty Sobolewski, przewodniczący z nominacyi królewskiej, rzadko się pokazywał; po wyborze Wydziału wykonawczego uwięziła go w domu — podagra i lojalność. Najwięcej Czartoryski przewodniczył na posiedzeniach.

Ciekawe są przemówienia, któremi Lubecki wyjaśniał swe stanowisko na pierwszem zaraz posiedzeniu Wydziału wykonawczego, gdy po raz pierwszy zajęli w Rządzie miejsca nowo przybrani członkowie z Sejmu. „Jest brat królewski, który ma wojsko rosyjskie i polskie. Jest Rząd w imieniu króla; żeby nie my, Rządu tegoby nie było; żeby nie my, byłaby już wojna między temi dwiema władzami“. Lelewelowi, który wraz z Dembowskim podnosi sprawę przyłączenia Litwy i Rusi, odpowiada Lubecki: „Do króla trzeba napisać, że my dostrzegamy, iż są takie życzenia, ale nie że to nasze myśli. Gdyby wszyscy tak czuli, jak p. Lelewel, wartoby nawet czwartą część ludności ryzykować“—a zatem w wojnie — „ale szanse zbyt niepewne, a i to, co mamy, stracić możemy... Wojsko, które zostało“—t. j. to wojsko, które nie stoi w Wierzbnie przy Konstantym—„logicznie biorąc, nie jest rewolucyjne, bo rzucono hasło, że Moskale chcą wyrzynać; stanęło więc wojsko w obronie. Że tylko dla tego, dowód stąd, że samo nie wiedziało co czynić... Uczucia p. Lelewela nie są uczuciami wszystkich. Słuchają nas, bo w imieniu króla działamy; mało kto bez tegoby nas słuchał.“ Takie miał, jeszcze wieczorem 1-go grudnia, przekonanie o słabości powstania. Nie powątpiewał nawet o lojalności stolicy, po za garstką zapaleńców i pijanego motłochu; „gdyby nie pijaństwo“, mówił w obecności Lelewela i towarzyszy, „nie mielibyśmy ani jednej godziny niebezpieczeństwa.“ Mówił to mimo awantur, jakie działy się w obliczu Rządu, tem bardziej nie wierzył w rewolucyjne usposobienie kraju, nie myślał, żeby hasło powstania znalazło przyjazny grunt w województwach Królestwa. Tak mówił i tak myślał; to pewne. Ale już wówczas bywały chwile, gdzie zaczynał chwiać się w swojej opinii; może się myli, może przecież kraj pójdzie za hasłem ruchu. Tego samego wieczora, raz się odezwał; „My działamy w imieniu króla; zarzucano nam to, ale będziemy tak robić; *jeźli nam się nie uda*, nie będziemy wojny wypowiadać, tylko ustąpimy z miejsc naszych“.

Czy się udał? Póki była jakakolwiek nadzieja: *trzeba być na swojem miejscu*; Lubecki trwał w tej męskiej zasadzie, w imię której przed dwoma dniami rozpoczął śmiałą, niebezpieczną grę. Dla celu, który zawsze miał przed oczyma, nie krępował się ścisłem obserwowaniem formy; i w spokojniejszych czasach nie miał tego w zwyczaju. Można było jaką drobnostką zjednać Rządowi przychylność, zaufanie „ulicy“: i owszem, mniejsza o formalną legalność. Domagano się usunięcia Starnalskiego, znienawidzonego powszechnie urzędnika, prezesa Komisyi wojewódzkiej w Podlaskiem; Dembowski był echem tych żądań w Radzie. „Dać mu zaraz dymisyę“ — odezwał się bez wahania Lubecki; napróżno sprzeciwiał się Prezes Rady, Walenty Sobolewski: „Nie można, bo to do króla...“; w protokóle zapisano: „Rada Administracyjna, z powodu odebranych doniesień o czynnościach Starnalskiego, zaburzeniom powód dających, zawiesza go w urzędzie prezesa Komisyi województwa Podlaskiego i urządzenie tymczasowego zastępstwa jego, ministrowi spraw wewnętrznych poruczа.“

Pierwsze posiedzenie Wydziału, wieczorem 1-go grudnia, całe niemal zajęte było sprawą deputacyi do Konstantego. Zamoyski dał znać Rządowi, że W. Książe chętnie przyjąłby jego członków i wszedłby w porozumienie. Na zawezwanie Czartoryskiego, żeby adjutant powtórzył słowa W. Księcia, rzekł Zamoyski:

— W. Książe kazał mi oświadczyć, że jest przyjacielem Rady i Rządu, który działa w imieniu króla. Z tego, co mówił, zdawało się, że się, spodziewa, iż Rząd przystąpi z nim do negocyacyj; że położenie jego przykre i długo wytrwać w niem nie może; że głodno i chłodno.

Cały Wydział zgadzał się na negocyacye z Konstantym; jeden tylko Radziwiłł odzywał się z wątpliwościami. Postanowiono jednak w tak ważnej sprawie odwołać się do Rady w komplecie, adjutanta zaś odprawiono z oświadczeniem, w którem Lubecki streścił poprzednią w tym przedmiocie dyskusyę, a raczej ściśle biorąc, wyraził swoją własną opinię.

W tej dyskusyi Leon Dembowski rozwinął odrazu obszerny program. Kasztelan po raz pierwszy zasiadał w Rządzie i pierwszy raz głos w nim zabierał. Oto krótka treść tego rozległego programu, według zapisek protokółu: „Nawet i w dzisiejszym stanie fermentacyi, zdaje się, że gdyby warunki polityczne przyrzekł W. Książe wyjednać, zgodziliby się wszyscy. Warunki te są: 1) żeby wojsko rosyjskie z za granicy Królestwa nie otrzymywało rozkazów do marszu; 2) żeby W. Książe obrał sobie środki bądź do wyjścia z Polski, bądź do udania się do jakiej jej

części; 3) niejasności w Konstytucyi uprzątnąć; wyszczególniać ich nie będę, niech Izby o tem postanowią; 4) korzyści Konstytucyi rozciągnąć do gubernij „rosyjskich," t. j. polskich gubernij Cesarstwa, czyli innemi słowy, połączyć Ruś i Litwę z Królestwem.

Dembowskiego poparł energicznie Lelewel, głównie co do Litwy i Rusi; w ciągu dalszej jednak dyskusyi, po ostrzegających wyrazach Czartoryskiego i Gustawa Małachowskiego, i Lelewel nawet oświadczył: „Moglibyśmy ograniczyć działanie na obręb tylko kraju (t. j. Królestwa), jeżeli W. Książe zaręczy za amnestyę, że nie będzie szpiegostwa, że dawne szpiegi nie pokażą się już w kraju, że cenzury nie będzie i t. p." Czartoryski odwodził od żądań, do których poparcia nie było siły: „Idzie o to, czy jest podobieństwo to otrzymać i teraz otrzymać, kiedy nie mamy ani zasobów, ani siły. Byłoby to odstręczać (od rokowań co do możliwych ustępstw). Walka między nami a Rosyą nader nierówna; słaby więc winien starać się siły pokrzepiać i nie puszczać się nieostrożnie na bój, w którym uledz może i musi."

Lubecki długo milczał, wbrew swemu zwyczajowi; dyskusya, w jego oczach, przybierała drażliwy już charakter, zwłaszcza w obecności Maxymiliana Fredry, do którego Książe-Minister nie miał widocznie żadnego zaufania: swobodniej też zaczął dopiero mówić, gdy Fredro się oddalił na znak Czartoryskiego. Co do pierwszego punktu, stwierdził jasno, że nie można o to rokować z cesarzewiczem: w sprawie wkroczenia rosyjskich wojsk do Królestwa nie może on przyjąć żadnego zobowiązania; gdyby nawet przyrzekł, dotrzymanie nie od niego zależy". O Konstytucyę, o Litwę — nie z Konstantym także prowadzić negocyacye; i Dembowski sam przyznał w ciągu dyskusyi, że te dwa punkta poruszyć należy raczej w raporcie do Mikołaja, Lubecki zaś co do formy jedynie się zastrzegał, w jaką trzeba było przyoblec te żądania. Usunął zatem z programu Dembowskiego trzy punkty; pozostał jeden, najpraktyczniejszy: co Konstanty ma począć, z swoją osobą i z wojskiem rosyjskiem, które przy niem się znajdowało. Uznał to sam Dembowski, jak w protokóle wyraźnie zapisano, mówiąc: „Co do 1-go — zbyteczne; co do 3-go i 4-go, ponieważ do króla raport, więc teraz także zbyteczne; pozostaje więc tylko 2." Istotnie, należało rozstrzygnąć, czego żądać od Konstantego w sprawie decyzyi, co do jego własnej osoby. Lubecki jednak, zamiast oświadczyć się jasno w tej sprawie, utopił ją w swem charakterystycznem „gadulstwie," które mu tak często nieocenione oddawało usługi; nie chciał znać o tem decydować w takim składzie obradującego Wydziału, w obecności Lelewela i Dembow-

skiego. W ten sposób zagadał najpraktyczniejszą kwestyę i już do niej nie powrócono. Zawezwano natomiast Zamoyskiego, do którego Lubecki mówił w imieniu całego Wydziału wykonawczego, dawał mu wyjaśnienia na zapytania, interesujące W. Księcia, i oświadczył gotowość wysłania deputacyi do Wierzbna. „Niech W. Książe powie, kogo mamy przysłać; natychmiast go przyślemy. Temu powie W. Książe, czego chce, a niemożność jedynie będzie w danym razie przeszkodą (że żądań jego nie wypełnimy). Ale chcielibyśmy, aby można ogłosić *prawdę*, a prawdę *do wdzięczności dla W. Księcia zachęcającą*.“ Innemi słowy: jeźli ma naszą deputacyą odprawić z niczem, niech lepiej nie nalega, żebyśmy ją wysłali. Przy tem, mówiąc do Zamoyskiego, Lubecki nie szczędził jaskrawych barw w przedstawieniu groźnego położenia w jakiem Rząd się znajdował. Należało przygotować W. Księcia, wprawić go w odpowiedni do rokowań nastrój: niech nie myśli, że Rząd królewski, dlatego, że jest wierny królowi, da się zbyć lada czem; chociażby chciał, nie może, bo sam w przymusowem znajduje się położeniu. „My w niepewności, w której jesteśmy, nie wiedząc, czy noc przeżyjemy, jednak z narażeniem się osób naszych, zgadzamy się na porozumienie z W. Księciem. Jemu zimno i głodno, nam gorzej. On ma wojsko posłuszne, my za godzinę posłuszeństwa nie możemy zaręczyć.“

Zamoyski zrozumiał doskonale myśl Lubeckiego. Nazajutrz rano, zdając sprawę z raportu, który złożył W. Księciu, nie zapomniał o jednym szczególe: „Mówiłem, że był dobyty puginał w tej sali,“ dla zastraszenia Rządu.

Cóż miało jednak — według słów Lubeckiego — „zachęcić do wdzięczności“ względem Wielkiego Księcia? Lubecki, uchylając po kolei wszystkie punkta programu Dembowskiego, wysunął na pierwszy plan dwie rzeczy, o których gorący kasztelan nic nie wspominał; niech Konstanty przyobieca amnestyę, i to amnestyę bezwzględną, bezwarunkową; niechaj odeśle polskie wojsko, które przy nim zostało. Jedno i drugie *mógł* cesarzewicz uczynić; gdyby przyrzekł, jak najrozleglejszą amnestyę, z tem przyrzeczeniem musiałby się liczyć bezwarunkowo cesarz, choćby się na to krzywił. Amnestya zaś, ale właśnie i jedynie amnestya bez jakichkolwiek zastrzeżeń i wyjątków — to, zdaniem Lubeckiego, był jedyny i niezawodny środek do uśmierzenia ruchu, pewny, bezpieczny pomost, na którym powróciłoby wszystko do normalnych stosunków; główne bowiem źródło fermentacyi umysłów widział zawsze jeszcze w obawie odpowiedzialności za wypadki „nocy Belwederskiej.“ Odesłaniem polskiego wojska mógł zaś Konstanty

również narazić się na niezadowolenie cesarza; niezawodnie, w tem jednak znikąd nie doznałby przeszkody; była to rzecz nieodzowna, nietylko dla uspokojenia umysłów, dla zapobieżenia powtórnemu „buntowi“ polskich oddziałów, o których było wiadomem, że już długo nie wytrzymają w coraz wstrętniejszej im „wierności.“ Jeżeli zechcą oddalić się samowolnie, nawet wylękły Konstanty nie będzie chyba bezczynnie spoglądać na taki „bunt“ przed własnymi oczyma; rosyjskie pułki staną przeciw polskim, a w Warszawie atak na obóz mokotowski był przecież ciągle celem trudnej do powściągnięcia pożądliwości uzbrojonego ludu i żołnierza. I po za tem jednak, po za nieodzownym środkiem zażegnania bezpośredniego niebezpieczeństwa, odesłanie polskich wojsk, *w porę*, miało w oczach Księcia Ministra nieobliczoną wartość. Jedno tylko mogło dać siłę „królewskiemu“ Rządowi: wojsko, polskie wojsko, karne i posłuszne rozkazom popularnego wodza. W tym celu postanowiono ściągnąć poblizkie pułki, w tym celu oddano Chłopickiemu komendę nad całem wojskiem. Nie darmo jednak W. Książe, gdy mu adjutant doniósł o tem postanowieniu, zaśmiał się i powiedział: *Et moi?* I miał najzupełniejszą słuszność; temi dwoma słowami trafnie ogarnął sytuacyę. Wierny królowi Rząd, „działający w imieniu króla,“ odbiera naczelną komendę królewskiemu bratu, wodzowi, przez dwóch z kolei królów na tem stanowisku utrzymanemu; mimo to Rząd królewski i brat królewski prześcigają się w przyjaznych oświadczeniach, Rząd w stwierdzaniu swej lojalności, W. Książe w zapewnieniach sympatyi i uznania dla Rządu. Zakrawało to istotnie na farsę, choć nią nie było: na farsę, niebezpieczną zarówno w stosunku do ruchu, jak i do króla: tu podkopywało — i nie dziw — zaufanie do Rządu; tam usuwało niemal możność rozpoczęcia jakichkolwiek rokowań. Lubecki był przekonany: niech Konstanty uwolni polskie wojsko, niech je milcząco odda pod Chłopickiego komendę, a sytuacya wyjaśni się od razu, u góry i u dołu: między narodem a tronem — inaczej już być nie mogło — stanie Rząd silny, zdolny sprostać ciężkim zadaniom, uratować w pożarze rewolucyi — i tron i naród.

Amnestya i uwolnienie wojska — to były zatem w jego oczach dwa postulaty, nie na dziś tylko i jutro obmyślane. W najważniejszej chwili swojego życia, Lubecki pamiętał o przyszłości. O konstytucyę, o jej ubezpieczenie i ulepszenie, nie było co traktować z Konstantym; w tym przedmiocie, jak w sprawie wkroczenia rosyjskiej armii, żadne nawet zobowiązanie W. Księcia nie miałoby najmniejszej wartości. *Co innego* amnestya; w tak zasa-

dniczych jednak przedmiotach, Mikołaj nie mógłby się powodować względami delikatności wobec starszego brata, którego lojalności czy lękliwości zawdzięczał tron. Przeciwnie, jakiekolwiek wyraźne zobowiązania ze strony W. Księcia mogłyby raczej utrudnić rokowania, bo cesarz musiałby stać na straży swej królewskiej powagi. Można było jednak i należało wymódz na W. Księciu współdziałanie z wiernym królowi Rządem, w sprawie rękojmi i ulepszenia urządzeń konstytucyjnych, w myśl tego samego rozległego programu, nad którego spełnieniem Lubecki pracował od lat czterech. On znał grunt petersburski, wiedział co powtarzała tylekroć cesarzowa matka w krwawym dniu 14-go grudnia 1825 roku: *Qu'est ce que l'Europe en dira?* w Europie wywarłoby to z pewnością niemały efekt, gdyby W. Ks. Konstanty poparł jawnie i głośno żądania polskiego narodu, nie występując zgoła z granicy wiernopoddańczych obowiązków względem starszego brata, któremu przed paru laty ustąpił tronu; w ręku Rządu, stojącego między krajem a królem, jawne wobec całego świata orędownictwo cesarzewicza, miało wartość atutu nieobliczonej wagi.

Jawne i głośne orędownictwo: inaczej choćby i najgorętsze nawet współdziałanie W. Księcia traciło wszelką wartość, bo Mikołaj ani nie miał wiary w rozum starszego brata, ani serca nie miał do niego. Dla tego też kamieniem węgielnym całego tego planu było i być musiało: pozostanie W. Ks. Konstantego w Warszawie, przedewszystkiem powrót jego do opuszczonej stolicy z wszelkiemi honorami, następnie zaś bezczynny — ile możności — pobyt w Belwederze, choćby z dawnemi rewiami na Saskim placu, ale z pozostawaniem rzeczywistej komendy w rękach Chłopickiego. Im lepszego doznałby W. Książe przyjęcia w powrocie do Warszawy, im więcej rozgłosu nabrałoby następnie jego orędownictwo wobec „Europy," tem lepsze i pewniejsze widoki otwarłyby się przed deputacyą do Petersburga; dopóki W. Książe skarżył się w Wierzbnie na głód i zimno, nie było z czem i po co wysyłać tej deputacyi, choć wszelka dalsza zwłoka z raportem do Mikołaja stawała się z każdą chwilą coraz bardziej rażącą.

* * *

Nazajutrz rano, 2-go grudnia, zebrała się Rada na pełnem posiedzeniu. Zamoyski przybył już z oficyalnem oświadczeniem W. Księcia, że chętnie przyjmie deputacyę Rządu; wszystko, co mówił, rokowało pomyślny skutek zabiegów Lubeckiego: W. Książe był tak dobrze usposobiony, że nawet „pochwalił wybory do Rady i do Wydziału," t. j. wczorajsze przybranie nowych członków. Adjutant ostrzegł wyraźnie W. Księcia, że przybycie deputacyi do Wierzbna miałoby wprost szkodliwe dla sprawy następstwa, jeźliby rokowania nie odniosły pożądanego skutku. Natomiast zapewniał Konstantego, „że jeźli będzie mediatorem między narodem a królem, może wjechać dziś do stolicy i znajdzie posłuszeństwo." Lubecki nie mógł sobie życzyć lepszego pośrednika; Zamoyski pod każdym względem starał się przygotować W. Księcia i utorować drogę działaniom deputacyi; uspokajał go wprawdzie, że niema mowy o zerwaniu z Rosyą, uprzedzał jednak zarazem, „że idzie o wykonanie konstytucyi i że niektórzy pragnęli otrzymać połączenie Litwy." Jeźli nawet ta ostatnia wiadomość nie wstrzymywała Konstantego od przyjęcia deputacyi „wiernego królowi" Rządu, nie było co dłużej zastanawiać się nad jej wysłaniem. Lubecki zabrał głos po Zamoyskim, streścił przebieg wczorajszych obrad Wydziału wykonawczego i zakończył następującym wnioskiem: „Poślijmy delegowanych: dawna Rada jednego; przybrani jednego; członkowie Wydziału wykonawczego jednego."

Mostowski zaproponował Lubeckiego i Lelewela. „Prosimy o Czartoryskiego" — zawołał na to pewny siebie Książe-Minister, uważając swój wybór za rzecz bezwarunkowo konieczną i niewątpliwą. Niespodzianie jednak odezwał się głos protestu: „Lubecki nie może jechać" — rzekł kasztelan Dembowski — „*są głosy nieufności*; nie mogą zawsze też same osoby jechać." Żywo ujęli się za kolegą Mostowski i Czartoryski, czyniąc z jego wyboru kwestyę gabinetową; jeżeli Lubecki nie pojedzie do Wierzbna, oni ustąpią z Rady; „nikt W. Księciu tyle nie powie, co Lubecki," zapewniał książe Adam.

Był to moment krytyczny; bez jego udziału w Deputacyi, zwichnięty był cały plan działania, znany zapewne Czartoryskiemu i Mostowskiemu. Nim przystąpiono do głosowania, Lubecki jeszcze raz się odezwał i wypowiedział w całem tego słowa znaczeniu mowę kandydacką. Oto jej krótka treść: „Jeźli nie otrzymamy żądań naszych od W. Księcia, ja występuję z Rady; nie będziemy mówić: my żądamy, ale traktujemy; *nous sommes l'écho de la nation;* słuchaj nas i tak pisz do króla, jak my mówimy."

Po krótkiej dyskusyi wybrano Deputacyę. Przemogła w tej chwili jeszcze powaga Czartoryskiego; ten i ów, w tajnem głosowaniu, poszedłby bez wahania za zdaniem Dembowskiego, otwarcie nikt nie odważał się wtórować czerwonemu kasztelanowi. Do trzech zatem proponowanych dobrano Ostrowskiego; przedstawił go Lelewel, sam niby gotów mu swojego miejsca ustąpić. Był to więc pewien rodzaj cichego kompromisu; niechaj wreszcie jedzie Lubecki, ale pod kontrolą aż dwóch przybranych członków Wydziału wykonawczego. Na Lelewela z góry była już chyba zgoda, skoro sam Mostowski go proponował; jego firma mogła skutecznie osłonić Deputacyę w tej niepopularnej wyprawie. I Lelewel jednak i Władysław Ostrowski—to istotnie za wiele, jak na cel Deputacyi.

Wobec całego przebiegu posiedzenia, Lubecki mógł być zresztą zadowolonym, że na tem się skończyło. Inna bowiem zupełnie była teraz temperatura, niźli wczoraj wieczorem. Radziwiłł, co prawda, i wczoraj nie bardzo się zapalał do Deputacyi; dziś, mimo wyraźnego już zaproszenia ze strony Konstantego, wprost sprzeciwiał się tej wyprawie do Wierzbna. „Niech oni przyszłą"—mówił—„niech przyszłą Moskala, nie Polaka; nie traćmy ufności, którą mamy." — „Radziwiłł nie rzecz samą potępia, ale idzie mu o to, żeby się nie narazić" — tłómaczył książe Adam. O to, żeby się nie narazić, chodziło teraz wszystkim, oprócz jednego może, jedynie, Lubeckiego. Przybranym wczoraj członkom nie wypadało jawnie sprzeciwiać się Deputacyi, skoro jeszcze przed kilku godzinami nic jej nie mieli do zarzucenia, o trzeciej zrana, gdy kończyło się wieczorne posiedzanie Wydziału. Ostrowski zatem i Małachowski chcieli przynajmniej zasłonić się patryotyczną odezwą Rządu, z wyjaśnieniem pobudek i celu Deputacyi. Lelewel ułożył tę odezwę; Lubecki przemawiał przeciwko ustępowi o Litwie i o Rusi, wreszcie zgodził się na tekst Lelewela z małemi poprawkami. Wszyscy obecni podpisali tę proklamacyę, zdaje się, że i Fredro nawet podpisał, gdy nagle wszedł Chłopicki. Przeczytano mu gotową odezwę. Skrzywił się: „za wiele tu o Rosyi mowy; proklamacya ta zrobi rozruch w wojsku." Takiego oświadczenia przelękli się sami wnioskodawcy, Ostrowski, Małachowski; uchwalono zaniechać proklamacyi i bez tego uspokajającego środka czterej Delegaci wyruszyli do Wierzbna. Ogłoszono tylko obwieszczenie, że W. Książe zabronił swemu wojsku kroków nieprzyjacielskich i pragnie rozpocząć układy z Rządem; podpisali je w imieniu Rady Administracyjnej Sobolewski, przewodniczący, i Tymowski, Sekretarz.

Przerwano posiedzenie aż do powrotu Deputacyi z Wierzbna. Przed jej wyjazdem odezwało się parę głosów, żeby jeszcze w pośpiechu załatwić naglejsze sprawy. W odpowiedzi, Lubecki wyrzekł znaczące słowa: „Zawiesić do powrotu Delegacyi; pilniejsze rzeczy (bez nas) pocztą uregulować. Dotąd jesteśmy w obrębie konstytucyi; czekajmy, czy będzie konieczność wystąpienia z niego.“ Miał widocznie o tem rozstrzygnąć rezultat układów z W. Księciem.

Było około czwartej popołudniu. „Tysiące ludu na placu Bankowym zebranego otoczyły i zatrzymały pojazd, a otworzywszy go, wynurzały swe uczucia, uniesienia, życzenia, przestrogi, groźby i kawał drogi przez poblizkie ulice towarzyszyły;“ tak opisuje tę jazdę Lelewel i dodaje: „towarzyszyły mu, oczekując w zupełnym umysłów obłędzie rezultatów, które musiały być żadne.“ Znakomity historyk, głośny wyznawca doktryny gminowładztwa, wiedział dobrze, co to tak podniecilo te tłumy, snujące się „w zupełnym umysłów obłędzie“ po wzburzonych ulicach miasta. Wczoraj wieczorem jeszcze wszedł był na posiedzenie Rządu wiceprezydent miasta z pomyślnem sprawozdaniem, „że spokojność wszędzie“ panuje. Podczas tego raportu odbywało się już jednak pierwsze zebranie klubu, który przybrał nazwę Towarzystwa Patryotycznego i obrał prezesem Lelewela, gdy on sam był najspokojniej obecny na posiedzeniu wieczornem Wydziału wykonawczego. „Obcesowo działać byłoby bezskutecznem, gdyż może ani jeden oddział wojska nie byłby udzielił pomocy przeciw Radzie, w której zasiadał Czartoryski, Niemcewicz, Pac, i do której był wezwany Chłopicki; zwołanie klubu było jedynym środkiem do zwrócenia uwagi ludności na cel powstania.“ To słowa Bronikowskiego, wiceprezesa, założyciela Klubu. Od rana, 2-go grudnia, Klub nie próżnował i tak pracowicie „zwracał uwagę ludności na cel powstania,“ że popołudniu droga do Wierzbna była już niebezpieczna; gdyby w powozie nie było samego prezesa Klubu, Deputacya nie byłaby zapewne dotarła do Konstantego. Widział to dobrze Lubecki i rozumiał, skąd się dziś wzięło na posiedzeniu Rady to dziwne podniesienie temperatury, tak widoczne zwłaszcza u Dembowskiego i towarzyszy, a nawet u Radziwiłła; wszak sam Fredro zamiast wysłania Deputacyi radził prosić W. Księcia, żeby raczej przysłał pruskiego konsula Schmidta dla negocyacyj z Rządem.

Obok powozu Deputacyi jechał konno Zamoyski. Zbliżając się do Wierzbna, wyprzedził wysłańców na kilka minut, aby donieść W. Księciu o przybyciu Deputacyi i uczynić go powolniej-

szym na jej żądania. W żywych kolorach wystawił niebezpieczeństwo, na jakie narazili się Deputowani, chcąc spełnić jego życzenie i dodał: „Życie ich było zagrożone, większego dowodu posłuszeństwa dla tronu dać nie mogli.“ Zamoyski dobrze oceniał słabości Konstantego, takie przedstawienie zrobiło na nim wrażenie; kazał Deputowanych natychmiast przyjąć, mówiąc: *Il ne faut pas faire attendre ces Messieurs*.

W. Książe przyjął Deputacyę w obecności żony, która nie oddalała się z pokoju przez cały czas nużącej, pięć godzin niemal trwającej konferencyi. Rozmowa toczyła się w małej karczemce, stanowiącej od dwóch dni rezydencyę cesarzewicza; w ciasnej izdebce o jednem oknie; całe umeblowanie składało się z jednego łóżka, kanapki, krzesła, jednego stołka i małego stolika, „a w przestrzeni“ — mówi Lelewel — „zaledwie parę kroków uczynić było można.“ Gdy Deputacya weszła do izby, księżna Łowicka siedziała na kanapce, opodal, przy łóżku stał W. Książe; „na stoliczku leżały dwa talerze, bo to była godzina 3-cia, obiadowa“ — według Zamoyskiego piąta popołudniu.

Lubecki mówił pierwszy; „gadał długo“—według słów Lelewela. Może istotnie za długo mówił. Jeżeli jednak w obfitym potoku słów nie streścił zwięźle żądań, z któremi Deputacya przybyła: kto wie, może to i tym razem czynił nie z „gadulstwa,“ ale z rozmysłem, według ułożonego planu. Może i teraz nawet jeszcze nie chciał od razu odsłonić swych projektów, nie mogąc zgoła liczyć na poparcie Lelewela i Ostrowskiego; wolał może przygotować raczej grunt do dalszej dyskusyi, z którejby się wyłoniły zasadnicze punkta jego wczorajszego projektu. Sam wreszcie z góry zapowiadał na posiedzeniu, że Deputacya stanie przed W. Księciem, jako echo życzeń narodu i będzie z nim „traktować,“ nie zaś stawiać żądania. Żądań tych zatem może z umysłu nie formułował z należytą precyzyą, wyjaśniał zaś natomiast stanowisko i położenie Rządu, przyczyny i źródło wszczętego ruchu, który Rząd zniewoliły stanąć na jego czele, uprawnione życzenia, których echem Rząd się staje wobec W. Księcia, wreszcie środki zażegnania grożących niebezpieczeństw, polegające na zaspokojeniu tych uprawnionych życzeń. Dwie rzeczy — to pewne — uwydatnił z wielką precyzyą: na dziś nieodzowną konieczność oddania całej armii polskiej do dyspozycyi i pod rozkazy Rządu; na przyszłość równie nieodzowną potrzebę reform, któreby dały pewną i bezpieczną rękojmię przeciw dotychczasowym nadużyciom, jedynemu źródłu niepokojów i wszczętej obecnie rewolucyi. Czy równy na-

cisk położył na bezzwłoczne zapewnienie ogólnej i bezwarunkowej amnestyi — niewiadomo.

Tak mniej więcej można sobie odtworzyć tę mowę Lubeckiego z króciutkiej i niedokładnej wzmianki Lelewela, z pobieżnych notat protokółu spisanego na nocnem posiedzeniu Rady, na którem Deputacya zdawała Rządowi sprawę z układów z W. Księciem, wreszcie z raportu Rady do cesarza, który sam Lubecki podyktował w kilka godzin po powrocie do miasta.

„Celem tej Deputacyi“ — czytamy w raporcie do cesarza — „było: powiedzieć całą prawdę. Przedstawiła więc przedewszystkiem wiernie przebieg wypadków, których przyczynę opinia publiczna upatruje głównie w odstąpieniu od zasad uświęconych w zasadniczym pakcie (pomiędzy królem a narodem, *dans le pacte fondamental*). Następnie starano się wyjaśnić istotne położenie Rządu; pociągnięty okolicznościami, Rząd nie był w stanie nad niemi zapanować bez znaczniejszej i więcej poszanowania obudzającej siły. W tym celu Deputacya prosiła (czy żądała: *elle a demandé*), żeby J. C. Wysokość zechciał oddać do dyspozycyi Komitetu (wykonawczego) całą armię polską. Spodziewano się, że wskutek tej koncesyi mogłyby rzeczy przybrać pomyślniejszy obrót, ponieważ Rada Administracyjna, pozostając i nadal na czele ruchu *(tout en restant à la tête du mouvement)*, nie miałaby trudności w obronie legalnej władzy przeciw wybujałościom fermentacyi, propagowanej w licznych już klubach, przez szerzenie niesłusznej nieufności do Rządu a za pomocą nieszczęsnej egzaltacyi. Deputacya oświadczyła zarazem, że, gdy wybuch 29-go listopada przybrał wszelkie znamiona rewolucyi, która bez żadnego wątpienia znajdzie wszelkie poparcie w województwach Królestwa: należałoby sobie życzyć, żeby Rząd pogodził interesa Monarchy i kraju, a to przez szczere i rzeczywiste odrodzenie całej administracyi, oparte na dostatecznych rękojmiach ubezpieczających przeciw wznowieniu się wszelkich nadużyć, tej istotnej przyczyny tylu nieszczęść.“ Ostatni ustęp brzmiał w pierwotnym projekcie: *pour empêcher le retour de tous les abus, première cause de tant de maux;* złagodzono go przez skreślenie wyrazu *tous* przed *abus* i mniej stanowczą redakcyą: *abus regardés comme la cause de tant de maux.*

Tak czy tak, była to w każdym razie mowa stanowcza i śmiała, nie tyle śmiała wobec W. Księcia, który w tej izdebce o jednem oknie rzeczywiście nie wydawał się strasznym, co wobec Cesarza Mikołaja, któremu w ten sposób i to z zupełnym rozmysłem taki złożono raport o audyencyi u Konstantego.

Lubecki długo mówił, ale nie jednym ciągiem, bo mu W. Książe przerywał. Konstanty nie szczędził rekryminacyj, o „mordercze najście“ na Belweder, które z żywością przedstawiał, jako fakt znamienny, nadający całemu ruchowi właściwe piętno; o komendę oddaną Chłopickiemu, czem ubliżono jemu, jako naczelnemu wodzowi; mówił, „że nie może oddać wojska, bo ono jemu pod komendę oddane.“ — Cóż więc chcecie? ja wojska dać nie mogę, odbieracie mi komendę, którą mi król dał.“ Chwalił wierność polskiego wojska; z wyjątkiem oddziałów, które pozostały w Warszawie—cała armia słucha jego rozkazów. Mówił, że komendanci poodsyłali mu rozkazy, wydane w imieniu Rządu, i pytają, co mają robić; „więc mnie słuchają, nie Was.“ Nie bardzo sam może wierzył w trwałość tej wierności i posłuszeństwa, fakt ten wzmacniał jednak jego pozycyę wobec nalegań Deputacyi, nic dziw zatem, że się nim szczycił.

— My rozumiemy, że nas usłuchają, odparł mu spokojnie Lubecki.

— A jeżeli za dwa dni będę miał całe wojsko przy sobie?... zapytał żywo.

— To będziemy prosić, żeby je nam W. C. Wysokość wydał, a jak my będziemy działać w porozumieniu z W. C. W., to wojsko tem niezawodniej pójdzie za nami; będziemy panami położenia.

Wśród takich przerw i wywiązującej się ogólnej rozmowy, Lubecki nie mógł może na samym wstępie wypowiedzieć wszystkiego, co był sobie ułożył. Z tego powodu, zdaje się, nie zdążył uzasadnić, jak tego pragnął, niezbędnej konieczności przyrzeczenia amnestyi; nie mówił też podobno, jak był do tego obowiązany, o Litwie i o Rusi — może z rozmysłem — choćby w tej formie, jak to zapowiadał w Wydziale wykonawczym, że naród dopomina się połączenia. Wyręczył go Ostrowski, wtrącając się do rozmowy i zapewniając, że to jest właściwym „celem rewolucyi.“

„Wtem — opowiada barwnie Lelewel — zerwała się z kanapki Księżna Łowicka i przyskoczywszy do księcia Lubeckiego, patetycznie, głosem uroczystym poczęła mu wyrzucać, że on, który dotąd zupełne posiadał zaufanie króla, który był jego faworytnym ministrem (*son ministre favori*), teraz go zawodzi i opuszcza; że obowiązek powinien być jedynym działania celem, od którego gdy kto się oddala, wpada w miliony niepewnych cyfr“ (złośliwość wobec ministra Skarbu); „że obowiązkiem jego było Radę Administracyjną zachować, jak ją król postanowił, że wtenczas byłby Książe mocny, ale ją osłabił, przybierając osoby popularne i w re-

wolucyjną zamienił władzę. Książe Lubecki odpierał te natarczywe zarzuty tem, że Rada Administracyjna, będąc w największem niebezpieczeństwie, przez przybranie osób wziętość mających w narodzie, mogła władzę królewską ocalić i stolicę od zniszczenia ochronić; że zapał posunięty jest do najwyższego stopnia i chyba tylko ciężkim krwi rozlewem mógłby być uśmierzony.“ Księżna nie dała się tem przekonać i z wzrastającą goryczą wyrzucała Księciu-Ministrowi, „że polega na osobach, które właśnie rządową moc osłabiają, a w rozczulonej żywości wskazując Lelewela, w nim słowem i gestem sprawcę poburzenia wskazywała.“ Nastąpiła ożywiona wymiana słów. Księżna zwróciła się do Lelewela i Ostrowskiego, „chwyciła ich za ręce i wystawiała im, na co kraj polski narażają. W żywych, groźną przyszłość malujących kolorach, wzywała ich wyrazami najczulszymi, aby chcieli to poburzenie uśmierzyć, bo jest przeświadczona, że to jest w ich mocy. Książe Lubecki, popierając niejako argumentowanie Księżny, utrzymywał, że Ostrowski i Lelewel mają wziętość swoją i że ich powołanie do Rady Administracyjnej i postępowanie obu były jedynym środkiem działanie Rady Administracyjnej zabezpieczającym, lecz że *wstrzymać rewolucyi ani oni, ani już nikt nie zdoła*.“

Taka była — rzec można — dramatyczna strona nużącej konferencyi, istotnie tragicznych motywów nie pozbawiona; w niej rzeczywiście może Lelewel i Ostrowski odgrywali najczynniejszą rolę, bo Konstanty i Księżna ciekawsi byli poznać opinię rzeczywistych niż poniewolnych przywódców rewolucyi. Co do samych układów, te leniwo się wlokły, przerywane takimi drastycznymi epizodami, bo w rzeczach istotnych, zasadniczych, W. Książe do żadnych ustępstw się nie skłaniał. Omal też już raz nie przyszło do zerwania, które nie byłoby się obeszło bez doniosłych następstw; gdyby Deputacya wróciła z niczem, nie można było wątpić, że żadna siła nie wstrzymałaby teraz i tłumów ludu i wojska od ataku na Wierzbno.

Mówiono właśnie o amnestyi. W. Książe chwalił się ostatnim rozkazem dziennym, „zaręczającym amnestyę dla tych, którzy swe błędy wyznają“; po za tę linię ani na krok nie chciał się posunąć, twierdząc, „że niezmierną okazuje wyrozumiałość, gdy wszystkie jakiekolwiek gwałtowne zdarzenia błędem nazywa.“ To naturalnie Deputacyi nie wystarczało; jednomyślnie domagała się poręczenia bezwarunkowej i ogólnej amnestyi (*oubli total*). „Po długiem wzbranianiu się, gdy zaledwie umawianie się nie zerwało, przystał nareszcie W. Książe, że *będzie pośrednikiem* do wyjednania łaskawości króla (*clémence du Roi*).“ „Wojska bezwarunkowo

nie chciał oddać Rządowi; protestował się tylko, że żadnych kroków nieprzyjacielskich nie czynił i czynić nie zamierza; gdyby zaś musiał przystąpić do ataku na miasto, obiecał „ostrzedz o tem Radę 48 godzinami wprzódy.“ Co do Litwy i Rusi, „najmocniej stał przy tem, że nie może ani o to się wstawiać, ani być pośrednikiem u króla.“ Swoją drogą wyrwały mu się ciekawe słowa: *Vous seriez des gens foutres, si Vous ne le désiriez pas.* Ten frazes był jedyną zdobyczą. Lelewel innej jeszcze zapragnął i nadmienił, „że gdy w obecnej rozmowie z W. Księciem rzecz o guberniach polskich była omawianym przedmiotem, tego pewnie J. C. W. nie zaprzeczy.—A nie, odparł W. Książe.—A zatem, dodał Lelewel, pewnie też pozwoli, aby o tem przy umowie w druku wymienić. Na to W. Książe przystał i pozwolił, a nawet nie odmawiał uczynić się mającego przedstawienia do swych rąk przyjąć i królowi go złożyć.“ Ten ostatni szczegół niepewny; w każdym razie była to koncesya bez wartości, obwieszczenie zaś, że Deputacya *mówiła* z W. Księciem o Litwie, mogło być tylko — świadectwem dobrej konduity dla członków Deputacyi. Prezes Klubu rad był i z tej zdobyczy.

W szczególny istotnie sposób „traktowano“ o kwestyi najpraktyczniejszej: co Konstanty ma począć z sobą. Trudno dociec, co teraz o tem myślał Lubecki, kiedy w toku rokowań coraz bardziej przychodziło się pożegnać z nadzieją, żeby W. Książe oddał wojsko do dyspozycyi Rządu i zaręczył bezwarunkową amnestyę. Bez tego zaś—czy można było zapraszać go do Warszawy? Gdy jednak wypadło oświadczyć się w tym przedmiocie, Lubecki pozostawał przy swojem zdaniu. Jeszcze, co prawda, rzecz o amnestyi nie była wówczas zdecydowana; może myślał, że i z nią pójdzie łatwiej, i z uznaniem komendy Chłopickiego, w osobistym interesie W. Księcia, jeżeli postanowi powrócić do Belwederu. Lelewel tak opowiada oryginalne załatwienie tego przedmiotu: „W. Książe pytał, coby mogło najprędzej całe zawichrzenie uspokoić. Ostrowski na to objawił swą myśl, że oddalenie się wojsk rosyjskich od Warszawy i ustęp ich do Rosyi, mogłyby pojątrzone umysły ułagodzić. Wtedy Księżna Łowicka i W. Książe wymówili się, że nietrudno to nastąpić może. Ale razem zaszło z ich strony pytanie, co ze swą osobą W. Książe ma uczynić? Książe Lubecki opiniował, że najlepiej uczyni, kiedy do Warszawy powróci“—jeszcze raz jednak nastawał przy tej sposobności na złożenie komendy nad polską armią. „Rozpoczęło się o to prawdziwe wotowanie. Ks. Lubecki dał głos za zostaniem. Ks. Czartoryski chciał niektóre uwagi nad tem czynić, ale mu W. Książe

przerwał, żądając odpowiedzi: tak albo nie (*Oui ou non?*). Zatem ks. Czartoryski głosował za pozostaniem. Ostrowski był za oddaleniem się z kraju, Lelewel podobnie.“ Tyle Lelewel; Dembowski dodaje: „Wtenczas W. Książe oświadczył, iż widząc równość zdań, przechyla się do zdania panów: Ostrowskiego i Lelewela.“

Może tak istotnie powiedział; byłby w tem humor nie obcy dziwacznej inteligencyi cesarzewicza. Zdaje się jednak, że nie byłby usłuchał większości głosów, gdyby się oświadczyła za powrotem do Belwederu, w obecnych okolicznościach. Sam to wyraźnie stwierdził, 5 grudnia, mając w świeżej jeszcze pamięci tę konferencyę. „Byłbym pragnął“ — mówił 5 grudnia — „żebyśmy mogli między wami pozostać; *nous avons tous des liens bien chers à Varsovie.* Ale wasz Rząd (tu skłonił głowę) powiedział mi przez usta swej deputacyi, bym sobie poszedł *albo też stanął na czele polskiego wojska i z niem wszedł do stolicy.* Odmówiłem, żeby się nie buntować przeciw memu Monarsze (*pour ne point être rebelle à mon Souverain*); nie będę nigdy grał roli księcia Orańskiego: obowiązki moje wytknięte jasno i pozostanę im wierny.“ Niezawodne to zarazem świadectwo, że W. Książe doskonale zrozumiał główną myśl Lubeckiego, jeźli powrót do Warszawy na czele polskiego wojska uważał w tej chwili za krok równający się buntowi. Jest w tych słowach również i pewny dowód, że Lubecki tę myśl swoją zrozumiale w Wierzbnie wyłożył, we wstępnem swem przemówieniu czy też w ciągu dyskusyi; nie zrozumiał jej tylko, czy też z umysłu pominął ją w swem sprawozdaniu — Lelewel.

Do t. z. jednak konwencyi, którą spisano, nie pozwolił bynajmniej włączyć tej oryginalnej „uchwały,“ którą sam dyrymował wobec równości głosów. On w tym przedmiocie, dla siebie najważniejszym, zachował swobodę najzupełniejszą. Nie darmo pytał: „Co będzie, jeżeli *za dwa dni* będę miał całe wojsko przy sobie?“ Póki mógł mieć nadzieję, że armia, rozłożona po województwach, skupi się koło niego — nie mogło być mowy o jakichkolwiek z jego strony ustępstwach na seryo. W tem był węzeł całego położenia; Lubecki miał słuszność najzupełniejszą, gdy nalegał na szybkie ściąganie wojsk do Warszawy, licząc na to, że usłuchają Rządu i Chłopickiego. Konstanty bowiem przedewszystkiem był — tchórzem; więcej tchórzem, niż Rosyaninem, niż Cesarzewiczem. Bał się rewolucyi, zwłaszcza po najściu Belwederu: bał się z nią zmierzyć, choć wszyscy twierdzą, że z samem rosyjskiem wojskiem byłby zgniótł powstanie z łatwością. Bał się jednak także Cesarza; miał przecież w świeżej pamięci śmiałe jego postępowanie w dniu 14-go grudnia, czuł tem więcej całą

mizeryę swego zachowania się w czterech ostatnich dniach. I wiedział, co go czeka, jeżeli mu się nie uda zrehabilitować. Pragnął gorąco powrotu do Warszawy, nie podług myśli Lubeckiego, ale na czele „wiernej armii.“ To jedno mogło go ocalić, wówczas zrobiłby obrachunek z Rządem, „działającym w imieniu króla,“ i nie wątpić, że obrachunek z Lubeckim obudzał w nim szczególniejszy apetyt; można to było wnosić z expektoracyj Księżny Łowickiej. Te dwa dni zatem, o których wspominał, to był widocznie termin, w ciągu którego spodziewał się skupić wojsko przy sobie. To też i w raporcie do Mikołaja jest mowa o dwudniowym terminie. „J. C. W. wyraził w końcu nadzieję, że zresztą za dwa dni będzie mógł z pomyślniejszym skutkiem wznowić rokowania.“ Wtem był także swego rodzaju humor, na którym Deputacya się nie spostrzegła, sądząc może naiwnie, że W. Książe oczekuje jakichś komunikacyj z Petersburga.

Na pewno jednak nie mógł spodziewać się tak pomyślnego obrotu rzeczy: któż zaręczy za wierność wojska polskiego? On sam niedawno ręczył, na kilka dni zaledwie przed najściem Belwederu, i czego się doczekał? Miał więc w odwodzie, jeźli wojsko polskie zawiedzie, retyradę z granic Królestwa, *byle bezpieczną*. Wygadała się z tem Księżna Łowicka; on nie przeczył, że to możebne. Nie dziw też, że zgodził się na tak zwaną konwencyę, w której spisano błahe „obietnice“ W. Księcia. Konwencya nie dawała mu wprawdzie pewnych rękojmi bezpieczeństwa na całe dwa dni następne, dawała jednak w każdym razie wiele *prawdopodobieństwa*, że będzie mu i nadal tylko „chłodno i głodno.“ I druga bowiem strona mało obiecywała — nie dlatego, żeby nie chciała. Na żądanie W. Księcia, żeby nawzajem obowiązano się nie atakować go bez poprzedniego zawiadomienia, Deputacya, sumienna i uczciwa, odpowiedziała zgodnie z prawdą, że za to nie może ręczyć, bo „pohamowanie zbrojnego ludu nie ulega niczyjej mocy.“ „Obietnice“ za „obietnice:“ „Deputacya“ — tak napisano w umowie — „zaręczyła wszelkich dołożyć usilności, ażeby ujętych i przytrzymanych Rosyan, wszystkich w całości do linii wojsk J. C. Wysokości w bliskich godzinach odstawić, a nawzajem i zaraz potem wszystkich aresztowanych, tak wojskowych, jak i cywilnych polskich na wolność nietkniętych wypuścić raczy J. C. W. W. Książę.“

Z takim rezultatem, z przyrzeczeniem, że Warszawa nie będzie atakowana bez uprzedzenia, i z czczą obietnicą wstawienia się o amnestyę, wracała Deputacya przez ciemne już od dawna ulice Warszawy, między dziesiątą a jedenastą. Wiozła jeden jesz-

cze rezultat, i to ważny, choć w konwencyi nie zapisany. Jeźli Lubecki wyobrażał sobie przed wyjazdem z Banku, że Rząd dotąd pozostał „w obrębie konstytucyi," mimo przybrania dwóch seryj członków, i mimo oddania komendy Chłopickiemu, teraz nie mógł się chyba łudzić, że nastała „konieczność wystąpienia z tego obrębu." Kości były rzucone, odkąd W. Książe zaprotestował stanowczo przeciw naczelnemu dowództwu Chłopickiego, a Rząd nie miał na to innej odpowiedzi, prócz natarczywego żądania: „Wojsko oddać!" Tak lakonicznie zapisał Krysiński opinię Lubeckiego w protokóle posiedzeń Rady, streszczając krótko raport Deputacyi. Już podczas tego raportu los Rady był rozstrzygnięty. Nie miała nawet czasu z uwagą wysłuchać sprawozdania swych delegatów. W sąsiednim pokoju wrzało; tam inna czekała deputacya, z kategorycznem żądaniem Klubu, żeby nie wchodzić w żadne rokowania z W. Ks. Konstantym, żeby Chłopicki natychmiast otrzymał rozkaz rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich, żeby ministrów oddać pod straż „aż do dalszego z nimi postąpienia" i t. p. i t. p. Gdy Rząd, po niedługim oporze, przyjął tę deputacyę, wysłuchał cierpliwie rzucone sobie w oczy obelgi i po pełnej patosu scenie pozwolił sobie „złożyć żądania" Klubu — tem samem wydał wyrok śmierci na siebie. Nazajutrz rano sam spełnił wykonanie wyroku: zaprosił przedstawicieli Klubu do swego grona i — przestał istnieć. Rada Administracyjna ustąpiła miejsca Rządowi Tymczasowemu; Czartoryski objął w nim przewodnictwo, do składu Rządu weszli wszyscy przybrani członkowie Rady Administracyjnej, z pierwszej i drugiej seryi (29 listopada i 1 grudnia), z wyjątkiem Radziwiłła, Chłopickiego i Gustawa Małachowskiego. Tak — Lubecki przestał być członkiem Rządu; toż samo wszyscy dawni członkowie Rady, z królewskiej nominacyi.

Stanisław Smolka.

# PIŚMIENNICTWO.

WŁADYSŁAW GRABSKI. *Historya Towarzystwa Rolniczego 1858 — 1861.* Warszawa 1904.

W przedmowie autor zaznacza, że parę lat temu, gdy zaczęły powstawać u nas Towarzystwa rolnicze, obudziło się żywiej wspomnienie byłego Towarzystwa Rolniczego z 1858 r. Wspomnienie to odległe było szczytne. Na ogół widziano w dawnem Towarzystwie rzecz wielką, niedościgłą dla współczesnych, a jednocześnie w swoim czasie nieudaną, której zatem naśladować w obecnej dobie ani można, ani należy.

W r. 1900 autor zajrzał do archiwów Towarzystwa rolniczego. Tysiące w niem dokumentów, setki foliałów, pomimo, że Towarzystwo trzy lata tylko istniało. Treść foliałów odkrywa przed nami cały ogrom pracy konkretnej, fachowej, rolniczej i organizacyjnej, społecznej, jednem słowem realnej. Zetknięcie się z tym materyałem odrazu dało poznać całą niesłuszność dzisiejszych zapatrywań na ówczesne Towarzystwo rolnicze, oraz całą wartość, jaką mieć winno dla współczesnych działaczy na polu rozwoju Towarzystw rolniczych, zapoznanie się z działalnością ich poprzedników. Ażeby przedstawić działalność ówczesnego Towarzystwa rolniczego w należytem historycznem oświetleniu, niezbędnem było poprzedzić samą historyę Towarzystwa szkicem, wyobrażającym tło, na którem się ta historya rozgrywała. Na tło składały się trzy czynniki: rozwój postępu rolniczego i stosunków włościańskich, oraz rozwój pracy organiczno-rolnej. Dla historyi postępu rolniczego w kraju samo archiwum Towarzystwa dostarczyło licznych danych do historyi rozwoju pracy organiczno-rolniczej. Roczniki gospodarstwa krajowego zawierały główne dane, ale najtrudniejszą rzeczą było oświetlić działalność Towa-

rzystwa w zakresie rozwoju stosunków włościańskich. Dla poznania tych zagadnień archiwum nie zawierało dostatecznych danych. Trzeba było zwrócić się do opracowań i broszur, których było wiele, ale przeważnie małej wartości. Autor też podzielił swoją pracę na dwie części; w pierwszej pomieścił szereg rozdziałów, przedstawiających rozwój stosunków włościańskich, postępu rolniczego i pracy organicznej rolniczej w XIX w., do czasu powstania Towarzystwa. W drugiej części pomieścił właściwą historyę Towarzystwa. Z materyału, którym autor rozporządzał, starał się korzystać krytycznie i objektywnie.

Po dokładnym o ile można wstępie bibliograficznym, autor w części I-ej daje rozwój sprawy włościańskiej od 1800 do 1858 r. Dla oświetlenia należytego stosunków włościańskich, autor musiał się cofnąć do drugiej połowy XVIII wieku, gdy się zaczęła reakcya w społeczeństwie polskiem przeciw wszechwładztwu systematu pańszczyźnianego, właściwie przeciw poddaństwu, w jakiem się lud znajdował. W przedstawieniu reform prywatnych włościańskich, autor nie wyzyskał w pełni prac księcia J. T. Lubomirskiego, prof. Korzona i ruskiej Miakotina. Skutkiem tego autor pominął tę charakterystyczną okoliczność, że najwcześniejsze reformy włościańskie zaprowadziło miasto Poznań, dalej pominął te reformy, które duchowni przeprowadzili, i wreszcie dopuścił się drobnej pomyłki, albowiem przywileje lokacyjne Bieżuniowi nadane były w r. 1767 a nie w 1760 roku. Rządy w częściach austryackiej i pruskiej nie omieszkały określić bliżej należnej włościanom opieki prawnej. W r. 1782 patent Józefa II zniósł poddaństwo włościan zarówno w krajach austryackich, jak i w Galicyi. Takież same zabezpieczenie posiadania, ograniczenie pańszczyzny i opiekę prawa dawał włościanom i landrecht pruski (a co się tycze patentu Józefa II, to autor Leibeigenschaft czyli niewolę, wziął za poddaństwo, czyli Erbunterthanenschaft). Poddaństwo włościan i władze dominialne (Gutsobrigkeiten) zostały nadal przez Józefa II utrzymane i nadano im rozmyślnie charakter udręczający lud i wyzyskujący go na korzyść państwa, aby je podać w ohydę, a swoją drogą używać go jako wygodnego środka wzniecania socyalnej waśni. Szkoda, że autor nie wyzyskał pracy Kalinki (Galicya i Kraków pod panowaniem austryackiem) i cennego dzieła Grünberga, kreślącego historyę włościan na Szląsku, Czechach i na Morawach.

Kreśląc obraz prawodawstwa agrarnego za czasów Księstwa Warszawskiego, autor zwraca uwagę czytelnika na projekt uwłaszczenia włościan Surowieckiego, który poprzedził konstytucyę

Księstwa z 1808 r. Projektowi temu jednak za mało poświęca miejsca i w oddawaniu myśli za dużo odstępuje od oryginału. Instytucye gminne, spichlerze, szkoły, ubezpieczenia, wszystko, co miało wspierać uwłaszczenie włościan, autor najzupełniej pominął, a jednak program Surowieckiego nie miał sobie równego, ani w Księstwie ani w ościennych państwach. Prócz tego program reformy Surowieckiego nie był w Księstwie jedynym. Z drugim projektem, zaczerpniętym z własnego doświadczenia wystąpił Klimontowicz, a z trzecim Biernacki, który chciał dla włościan tymczasowo wieczystej dzierżawy, ale z toku myśli jego było widocznem, że środek ten uważał za tymczasowy i prowadzący do zupełnego uwłaszczenia. Był nawet i czwarty projekt, Manteuffla, ale zbyt ogólnikowy, choć swoją drogą za własnością włościan przemawiający. Wreszcie wszyscy reformatorzy zgadzali się na to, że włościanin polski jest ekonomicznie przygotowany do posiadania własności, i że takowa podniesie należycie jego poziom etyczny. Towarzystwo rolnicze, powstałe w r. 1810, ocenia autor za surowo, widocznie porównywając z Towarzystwem rolniczem z r. 1858, bez uwzględnienia różnicy położenia, jakie z biegiem czasu nastąpiło. Towarzystwo rolnicze z r. 1810 utworzonem zostało w epoce wielkiego wycieńczenia ekonomicznego kraju, w której członkowie Towarzystwa musieli poświęcać w innych instytucyach gorliwą pracę dla dobra kraju. Senat, Rada Stanu, Izba poselska, ministerya, władze administracyjne, wojsko, wszystko to pochłaniało siły umysłowe członków Towarzystwa rolniczego, dla którego właściwych zajęć mało pozostawało czasu. Mimo to jest poważny ślad działalności Towarzystwa nawet w r. 1812, czyli w chwili, kiedy wszystkie umysły zajęte były ratunkiem samoistności krajowej, a ofiary materyalne doprowadziły społeczeństwo do zupełnej ruiny. Tymczasem w r. 1858 społeczeństwo miejscowe pozbawione autonomii i samorządu, mogło jedynie za pośrednictwem Towarzystwa wpływać na rozwój rolnictwa, a tem samem na podniesienie się dobrobytu krajowego. Tym sposobem w ograniczonym zakresie, Towarzystwo rolnicze z 1858 r. wywiązało się znakomicie ze swego zadania i na rozwój rolnictwa wpłynęło daleko skuteczniej, aniżeli jego poprzednik z r. 1810, co nie przeszkadza, że i temu należy się obywatelska zasługa, iż w tak ciężkich czasach nie zaniedbał pracy w celu podniesienia rolnictwa.

W r. 1814, powstał nanowo ruch w literaturze na korzyść włościan w Księstwie przemawiający. Ruch ten, któremu główny impuls nadał cesarz Aleksander I, został uwzględniony jedynie

pod względem bibliograficznym, ale ocenienie tych programów drukowanych pozostawia autor na uboczu, jakkolwiek z wielu względów zasługują na uwagę. Prócz tego istnieje jeszcze spora ilość projektów pozostających w manuskrypcie, które, dzięki jednemu z niestrudzonych badaczów przeszłości naszej, ukażą się niezadługo w druku. W przedstawieniu sprawy włościańskiej na sejmie w r. 1831, autor dopuścił się kilku drobniejszych niedokładności z tego powodu, że mu pozostał obcym Dyaryusz sejmowy z 1831 r., następnie dzieło Barzykowskiego, które kwestyi włościańskiej w tej dobie sporo poświęca miejsca i nareszcie czasopisma z tego czasu, które zawarły sporą ilość artykułów czy artykulików sprawie włościańskiej poświęconych. Za te drobne przeoczenia i pominięcia wynagrodził autor sowicie czytelnika, notując skrupulatnie każdy ruch rolniczy, czy w literaturze, czy bezpośrednio na glebie. Zaraz po 1840 r. inteligencya krajowa doszła do zrozumienia i uznania konieczności uregulowania stosunków włościańskich. Spostrzeżono się nareszcie, że należy nawiązać nić między oczynszowaniem a kulturą rolniczą, że należy wytworzyć własne pojęcie kultury rolniczej rodzinnej, wyswobodzić ją z ciasnych ram częściowego naśladownictwa różnych wzorów zagranicznych, a nadać ogólne tło społeczne, uwzględniające miejscowe warunki krajowe.

Zadanie powyższe podjęła spółka wydawnicza Roczników gospodarstwa krajowego, zawiązana dnia 20 kwietnia 1842 r. Spółka ta była przedewszystkiem zjednoczeniem ludzi czynu, a Kurtz powitał ją w „Bibliotece Warszawskiej“ słowami: „my z naszej strony ośmielamy się w powstaniu Roczników widzieć jutrzenkę piękniejszych dla naszego rolnictwa czasów.“ Istotnie prace Garbińskiego, Malczewskiego, Górskiego i innych dowiodły, że krytycyzm i samodzielność myśli znalazły w Rocznikach odrazu swój jasny wyraz. Poznanie, choćby było owocem myśli samodzielnej, nie wystarcza jeszcze do wywoływania czynów, do tego potrzeba działania woli, wpływu określonych dążności i przykładu. Pierwiastek ten, tak zasadniczy, wprowadził do grona, które się skupiło około roczników gospodarstwa krajowego, Andrzej Zamoyski. Zamoyski ujrzał przed sobą odrazu wielkie pole pracy. Jeszcze w r. 1835 objął z ordynacyi Zamoyskiej dwa folwarki w dzierżawę, bez należącej do nich pańszczyzny, a obejmując, zamierzał samego siebie, a następnie zaś i innych przekonać, że gospodarowanie bez pomocy pańszczyzny, jak zagranicą się dzieje, i w naszych warunkach też opłacać się może. Najpierwej w ordynacyi powytwarzano folwarki bez zgoła żadnej pańszczyzny, ale żeby

obsadzić na nich dzierżawców, postanowiono sprowadzić Szkotów. Dopiero wtedy gdy na roli i folwarkach ujrzano cudzoziemców, znaleźli się dzierżawcy z miejscowej ludności. W szeregu dzierżawców, którzy mieli dać innym przykład obok Szkotów, stanął Andrzej Zamoyski. I on z początku myślał sobie sprowadzić rządcę Szkota, ale po ośmiu latach mozolnej pracy wykazał, że bez forsownych nakładów z zewnątrz, którychby już sama rola zwrócić nie zdołała, można istotnie podnieść gospodarstwo, a każdy grosz włożony w gospodarstwo, wracać się w bliskiej nawet przyszłości musi.

W r. 1842, ogłosił Andrzej Zamoyski pierwszą pracę w Rocznikach p. t. „Zdanie sprawy o gospodarstwie na folwarku w Michałowie, w Lubelskiem“ i przez nią stanął odrazu w szeregu ludzi, którzy się koło Roczników skupiali, zwracając na siebie powszechną uwagę. Dnia 16 lipca 1843 r. zjechało się oprócz dzierżawców ordynackich kilkudziesięciu obywateli z całego kraju do Klemensowa, do Zamoyskiego, dla przekonania się o jego dziele w Michałowie. Był to pierwszy zjazd od 1831 r. Nie pozostał on bez wyraźnego i doraźnego wpływu. Oprócz Zamoyskich, Andrzej Koźmian, margrabia Wielopolski, Adam Potocki, dobra swe między 1843 — 1845 r. oczynszowali z uwagą na racyonalne urządzenie włościan. Na drugi zjazd do Klemensowa r. 1845 przybyło stu kilkudziesięciu obywateli. Zamoyski głośno wypowiadał pragnienie, aby w całym kraju mogły się upowszechnić zwyczaje, bardziej zbliżone do istotnych potrzeb i zadań życia społecznego, aniżeli czcze i bezmyślne, jakie przeważają w życiu towarzyskiem. Pierwsze dwa zjazdy w Klemensowie skrystalizowały pewien wyraźny programat społeczny, a mianowicie, programat pracy organicznej, który był w społeczeństwie czemś nowem. Program Zamoyskiego podnosił znakomicie poziom ogólny, który naówczas nie był wysokim, przez ujęcie codziennych czynności jednostki w system obowiązku względem kraju.

Zamoyski w poglądzie na sprawę włościańską zabrał odrębne stanowisko. Wychowany w Anglii, kładł on wraz z Garbińskim, główny nacisk na to, że poprzednio przy pańszczyźnie dochód z całych dóbr był mniejszy, niż następnie z samych czynszów, skutkiem tego czynszowanie ma być połączone z korzyścią zobopólną. Ogółowi szlachty jednak nie przypadało powyższe rozumowanie, bo w wioskach mniejszych pańszczyzna nie była marnotrawiona. Następnie, podług Zamoyskiego, system dzierżaw czasowych, 20 letnich, miał być dla kraju zbawczym, wszelki zaś inny system, jak nadanie własności lub dzierżaw wieczystych spro-

wadziłby wprost przeciwny skutek. W r. 1845 wystąpił Zamoyski z samodzielnym artykułem „O własności i dzierżawie ze względu na włościan naszych," w którym swój pogląd stronniczy jeszcze wyraźniej zaznaczył. Swoją drogą ostrzegał on, że pańszczyzna gospodarstwu naszemu, nam samym i ludowi naszemu do postępu materyalnego i duchowego nieprzezwyciężoną stawia zaporę.

Zjazdy Klemensowskie, po trzecim w r. 1847, musiały być zaniechane, ale sam Zamoyski rozwijał w Rocznikach coraz więcej energii. Powstawał on silnie przeciw uwłaszczeniu włościan i w r. 1848 wydrukował artykuł kwestyi włościańskiej poświęcony, w którym myśl o darowaniu ziemi włościanom nazywa potwornym płodem. Za to wzywa do oczynszowania. Dajmy sobie przyrzeczenie, powiada, że bez dalszej zwłoki szczerze i usilnie weźmiemy się do tej roboty. Odmiennego przekonania był Tomasz Potocki i wielu innych, dość, że sprawa włościańska w Królestwie znajdowała się w r. 1858 na złej drodze, sytuacya stała się niemożliwą i wymagała prędkiego rozstrzygnięcia. Światlejsza część społeczeństwa uświadomiła sobie potrzebę gospodarczego usamowolnienia włościan, ale jak to usamowolnienie przeprowadzić, na to zgody w łonie społeczeństwa polskiego nie było. W okresie od r. 1800 — 1858 dokonano w stosunkach rolniczych w Królestwie wielu zasadniczych przewrotów. Powstała w tym czasie kultura folwarczna, posiadłość zaś folwarczna została ograniczona i uszczuplona. Przez to wytworzył się proletaryat rolny i antagonizm klasy włościańskiej względem całego społeczeństwa, które jej praw uznawać nie chciało. Jednocześnie kultura rolna wytwarzała nowe źródło dobrobytu włościańskiego, osady czynszowe oraz zarobki, ogólnie zaś potęgowała pracowitość i inteligencyę włościan i wyrabiała ich, jako indywidualne, uzdolnione jednostki do walki o byt. Kultura więc rolna była źródłem rzeczywistego postępu, a twórcami tej kultury byli właściciele folwarków. Interesy więc właścicieli folwarków na szwank narażone być nie mogły bez obniżenia ogólnej kultury kraju. Interes kultury kraju, interes ogólny nakazywał pogodzenie sprzecznych interesów dworu i włościan i wytworzenie programu reformy społecznej organicznej, czyli ekonomiczno-prawodawczej.

Tom 2-gi pracy p. Grabskiego poświęcony został właściwej historyi Towarzystwa rolniczego. Zawiązanie jego w r. 1858 powstało, jako naturalny wynik utrwalenia się w kraju pracy społecznej organicznej wśród rolników i długoletniej działalności Roczników gospodarstwa krajowego. Zrazu przeciwko projektowi Towarzystwa rolniczego miał Muchanow pewne wątpliwości, ale

dał się wreszcie uspokoić Zamoyskiemu, choć według przyjętego regulaminu porządek dzienny zebrań publicznych powinien był być z góry ogłoszony, a na zebraniach publicznych nikt dłużej nad 15 minut nie miał prawa głosu zabierać, a w mowie swojej zwracać się winien do prezesa, który mocen jest swoje uwagi mu czynić. Zaraz na pierwszem posiedzeniu założycieli liczba przyjętych członków Towarzystwa doszła do 1102, odrazu zatem kraj cały bez poprzedniej agitacyi, nie czekając dowodów pożyteczności, dał mu od siebie zbiorowe poparcie. Widocznie potrzeba wspólnej pracy była żywa i powszechnie rozumiano, że w założeniu Towarzystwa rolniczego nietylko o rolnictwo chodzi, ale o pomyślność całego kraju. Prezes Zamoyski w przemówieniu inauguracyjnem położył nacisk na to, aby Towarzystwo rolnicze pracą swoją zyskało sobie takie zaufanie monarchy, iżby ten na mocy § 3 polecił mu opracować rozbiór pytań nawet szerszy zakres obejmujących niż ten, jaki ustawa określa. Goltz zaś wyjaśniał, że poza pracami w sekcyach, pozostaje najżywotniejsze oddziaływanie Towarzystwa w zakresie czysto praktycznego życia, które sięgać winno do wszystkich zakątków kraju. Właściwem polem działania Towarzystwa nie są to posiedzenia jego, nie to, co się mówi i pisze, lecz rola, wieś, to, co się działa samemu u siebie i co dla innych może być przykładem.

Pierwszą czynnością Komitetu po zebraniu ogólnem w lutym 1858 r. było wytworzenie w łonie własnem ściślejszej organizacyi. Dla ułatwienia pracy podzielono Komitet na dwa wydziały; pierwszy, gospodarstwa wiejskiego, obejmował wszystkie sprawy specyalnie rolnicze i składał się z 9 członków, drugi z 8-u członków złożony, był wydziałem ogólnym. Jądrem Komitetu stało się jego biuro, składające się z prezesa lub wiceprezesa i dwóch członków, którzy winni byli być ciągle obecni i czynni. Już w marcu 1858 r. Komitet mianował 85 korespondentów, którzy stanowili sztab poważny. Już w maju tegoż roku 80 korespondentów nadesłało korespondencye i prawie kompletne raporty statystyczne. Dnia 19 czerwca odbyło się posiedzenie Towarzystwa rolniczego, na którem Zamoyski ufny w przyszłość wyrzekł: „Piękny się dla nas otwiera zawód, wszyscy rodacy pragną się z nami złączyć. Czerwcowe zebrania staną się kiedyś uroczystością narodową. Pod hasłem postępu w rolnictwie, przemyśle i wykształcenia moralnego ludności, w imię Boże naprzód!“ Edmund Stawiski zaś wyrażając ogólny pogląd na odbyte w kraju konkursy, zaznaczył, że przy rozpoczynaniu działalności pierwszą czynnością Towarzystwa rolniczego było rozbudzenie ogółu z letargi-

cznego odrętwienia, w które było wielu popadło, należało przeto podnieść pracę i zasługę na polu rolniczem do rzędu prac obywatelskich, wskazać zarazem w powołaniu rolniczem wyższe cele moralne nad prostą rachubę korzyści, stawiając w pierwszym rzędzie cele i potrzeby dobra publicznego. Towarzystwo rolnicze w działaniu swem od samego początku nosiło charakter więcej instytucyi społecznej aniżeli specyalnie rolniczej.

Autor przedstawił w dalszym ciągu wszystkie zebrania ogólne w Towarzystwie, a następnie i całą jego działalność zawodowo-rolniczą. Zdaniem jego Towarzystwo rolnicze było niewątpliwie najlepszą instytucyą, na jaką nasze społeczeństwo, a w szczególności obywatelstwo ziemskie, zdobyć się mogło. Postawiło ono sobie zadanie obszerne, głęboko pojęte i właściwie zakreślone, zadanie skupienia całego obywatelstwa ziemskiego około dźwigania rolnictwa z rutyny, zaniedbania w nieruchomości, dźwignięcia ludności wiejskiej z upośledzenia ekonomicznego, wyrwania inteligencyi ziemskiej z bezpłodnego uśpienia, jednem słowem, powołania ogółu wiejskiego do pracy nad odnowieniem, odświeżeniem społeczeństwa. Wszystkie prace Towarzystwa celowo prowadziły do wyrobienia samodzielności w pojmowaniu postępu rolniczego, do wyzwolenia go z naśladownictwa szablonów. Na bankiecie Towarzystwa rolniczego w r. 1859 wyrzekł też słusznie Wodzicki: „Wy, panowie, pojęliście, że macie posłannictwo cywilizacyjne względem braci naszej, mniej zamożnej i mniej oświeconej, i ta to cecha, wyraźnie odznaczająca każde wasze usiłowanie, postawiła was odrazu wyżej od wszystkich innych Towarzystw. Cały ogrom pracy Towarzystwa rolniczego został w lat trzy dokonany. Nie korzystano przytem z żadnych subsydyj, a środki działania osiągano dzięki nadzwyczajnej gotowości ogółu do ponoszenia ciężaru osobistej składki. Komitet Towarzystwa rolniczego w roku 1861 porobił wszystkie przygotowania by 1) znieść pańszczyznę w całym kraju przez zamianę jej na czynsze, 2) ustanowić czynsze znacznie niższe od dochodu z roli, 3) utworzyć fundusz gromadzki, 4) ułatwić włościanom separacyę i uregulowanie serwitutów, 5) wreszcie, i co główniejsza, skupić czynsze, by włościanie posiąść mogli osady swe na własność zupełną. Towarzystwo rolnicze nie z własnej winy nie zdołało dokonać reformy stosunków włościańskich.

W literaturze naszej powstały rozmaite, niedość korzystne sądy, nad działalnością Towarzystwa rolniczego. Niektórzy twierdzili, że zaszczepiło ono w kraju skłonność i zamiłowanie do teoryj oderwanych, inni znów, że bawiło się w politykę, zamiast

dbać o rozwój rolnictwa. Autor udowodnił spokojnie i przedmiotowo, że wszystkie zarzuty podobne nie mają żadnego uzasadnienia i są jedynie tendencyjnym wymysłem. Cała też praca p. Grabskiego Towarzystwu rolniczemu poświęcona, wystawia autorowi bardzo pochlebne świadectwo, świadczy ona bowiem przedewszystkiem o dużej sumienności i pracowitości autora, które to przymioty umiał połączyć ze spokojną rozwagą i z rozumowaniem, któremu przewodniczyło poczucie sprawiedliwości i dążenie do prawdy. Nie wątpię też, że praca p. Grabskiego, pozostanie miłą pamiątką dla naszego stanu ziemiańskiego, albowiem notuje skrzętnie najmniejszą zasługę w dziedzinie rolnictwa i jest niejako aktem wdzięczności względem tych, co przez 3 lata gorliwie pracowali nad podniesieniem gospodarstwa, nadając tej pracy charakter obywatelski.

A. R.

# Kronika miesięczna.

Otrzeźwienie socyalistów a ruina przemysłu. — Ruchy agrarne. — Potrzeba reform. — Kwestya litewska w prasie polskiej. — Podstawy statystyczne projektu odłączenia od Królestwa Polskiego wschodnich powiatów gub. Siedleckiej i Lubelskiej.

W Królestwie Polskiem, jak wiadomo, działa kilka partyj socyalistycznych. Pierwsze wśród nich miejsce zajmuje P. P. S. Obok niej należy postawić „Proletaryat“, który aczkolwiek nie posiada za sobą licznej armii zwolenników, ale z ulotnych pism swoich dał się poznać, jako partya, na której czele stoją ludzie mający coś do powiedzenia i z tego powodu, każe się liczyć z sobą poważnie. Dalej idą: krzykliwa Socyalna Demokracya i jej odłam, znany pod nazwą *Bundu* żydowskiego.

Otóż bywały rzadkie chwile, kiedy te partye działały z sobą solidarnie, poddając się zgodnie pod komendę komitetów i organizacyj rewolucyjnych rosyjskich.

Na ogół jednak zawsze panowała pomiędzy niemi nieprzyjaźń. Szczególnie ostry charakter przybrała ona w stosunku wzajemnym dwóch emulujących się partyj P. P. S. i S. D. Tutaj — po za pewnemi momentami zgody — walka odbywała się ciągle i to walka zacięta. Dość było porównać ze sobą odezwy tych partyj, dość było rzucić okiem na ich „urzędowe“ i „półurzędowe“ organy, aby się przekonać, że idzie tu o wpływy, o hegemonię. Potępiano się wzajemnie, szykanowano i ośmieszano, dając folgę wszelkim namiętnościom. Gryziono się zapamiętale i licytowano jednocześnie w rzucaniu haseł najskrajniejszych. W rozpętaniu tej walki zapomniano też o wszystkiem, nawet o interesach warstwy robotniczej, w których obronie obie partye występowały. Przewo-

dnicy kłócili się, a robotnik tymczasem ulegał terorowi silniejszych i strejkował, popadając sam w nędzę i rujnując jednocześnie przemysł krajowy.

Musiała atoli przyjść chwila opamiętania — i przyszła. Ktoś musiał spostrzedz, że kraj stoi na rubieży ruiny i gwałtowie popychany jest w objęcia anarchii. Powiedzmy szczerze, że spostrzegły to obie partye, bo nie mogły być ślepe na to, co się dokoła działo. Socyalna Demokracya jednak, upojona chwilowemi zwycięztwami i zacietrzewiona w boju „o zasady," nie miała odwagi przyznać się do tego. Uczyniła to natomiast P. P. S. w osobie swego *generalissimusa*, posła do Austryackiej Rady Państwa, p. Ign. Daszyńskiego, który ogłosił w krakowskim „Naprzodzie" znany swój „List otwarty" do Centralnego Komitetu robotniczego P. P. S. w Królestwie.

Ta śmiałość, szczerość i bezwzględność, z jaką oceniona tam została sytuacya polityczna, wytworzona przez socyalistów u nas, zasługuje na uwagę i powinna być zapisana na dobro partyi, która poczuła, że związana jest z ziemią polską czemś więcej, niż interesami klasowemi proletaryatu.

Nie będziemy tu streszczali bardzo obszernego listu p. Daszyńskiego, trafił on już bowiem oddawna do szerszej publiczności. Pozwolimy sobie jednak podkreślić niektóre jego ustępy dla tego, że wiążą się one z tem, co niejednokrotnie na tem miejscu zaznaczaliśmy, dotykając spraw chwili bieżącej.

— Któż zdoła wytłómaczyć — mówi między innemi p. Daszyński — dlaczego podczas większego napięcia i ożywienia rewolucyjnego każą rewolucyoniści zamykać sklepy, kawiarnie, restauracye i cukiernie? Dla czego nie mogą kursować dorożki i tramwaje? Dla czego Warszawa ma wyglądać jak cmentarz, po którym bez żadnej przeszkody mogą krążyć tylko kozacy i patrole?

Tak samo — powiada dalej p. Daszyński — niezrozumiałe jest sekundowanie ruchowi rewolucyjnemu w głębi Rosyi przez zatrzymanie ruchu np. na prywatnej kolei Warszawsko-Wiedeńskiej — i tłómaczy, że w Królestwie jedynie społeczeństwo traci na strejkach, zwłaszcza zaś jego uboższe warstwy.

„I to wszystko dzieje się z nakazu rewolucyjnej organizacyi polskiej, w celu poparcia ruchu rewolucyjnego w Rosyi. Cóż to za poparcie, w którem popierający spełnia na samym sobie pewnego rodzaju dobrowolne samobójstwo? Podobne to do owych strasznych strajków głodowych, do tych demonstracyj ludzi zgnębionych i zrozpaczonych, którzy nie mają już sił do niczego innego, jak

do biernych męczarni i konania z głodu. Straszne to i bezmiarem cierpienia wstrząsające, ale czy to taktyka dostosowana do naszego charakteru, do tradycyi naszych walk klasowych i rewolucyjnych, do naszych wreszcie sił, które są większe, niż w Rosyi.

„Obyśmy tą nie naszą taktyką nie zmarnowali w niepotrzebny sposób tych sił, bo my właśnie będziemy ich więcej w stanowczej chwili potrzebowali, niż jakikolwiek inny naród, jakakolwiek inna partya.

„Dzisiejsze strajki w Królestwie nie mogą mieć znaczenia ekonomicznego, ani politycznego, stają się demonstracyą, która wyrządza więcej szkody klasie demonstrującej, niż rządowi, niż kontrrewolucyi. To wystarcza, ażeby z całą otwartością zabrać się do zmiany tej dotychczasowej taktyki bez względu na to, czy ona gdzieindziej przez pewien czas lub nawet stale jest zwycięzką.

Zważywszy, że to samo przecież przed kilku tygodniami pisał „Proletaryusz,“ organ Proletaryatu, zaznaczając, ze „Socyaldemokraci lubią tylko krzyczeć o strajkach i nawoływać do nich bez względu na to, czy mają one szanse zwycięztwa, czy nie,“ oraz że „cała działalność“ socyaldemokracyi, polega na schlebianiu instynktom mas, na arogancyi, na upewnianiu ich, że same cudów dokażą, na lekkomyślnem wreszcie podjudzaniu ich do bezcelowych często strajków — dojdziemy do wniosku, że w obozie socyalistów polskich nastąpiło, jeżeli nie otrzeźwienie, to w każdym razie jaśniejsze zrozumienie sytuacyi.

Naturalnie — Socyaldemokracya i „Bund,“ stoją poza obrębem tego i dalej trwają w swojem zaślepieniu pseudo-rewolucyjnem. Widać to z oburzenia, jakie list Daszyńskiego wywołał w jednej z głównych i wybitniejszych rzeczniczek programu S. D. — p. Róży Luxemburg.

Ta namiętna osoba rzuciła się na polską partyę socyalistyczną i p. Daszyńskiego z całym impetem, na jaki ją stać było, i w szeregu artykułów udowadnia „burżuazyjność“ P. P. S. i jej wstecznictwo.

Dyskusya taka niewątpliwie jest ciekawa i nauczająca. Jaka szkoda jednak, że toczy się ona dopiero obecnie, na ruinach dobrobytu krajowego. O ileż byłoby lepiej, gdyby sprawa „celowości“ strajków i ich znaczenia, jako narzędzia walki politycznej, oceniona była wcześniej, zanim tak opłakane przyniosła owoce. Jaka szkoda, iż p. Daszyński, który, jako poseł do Rady Państwa, niewątpliwie zna się na polityce lepiej, niż p. Róża Luxemburg,

lub p. Estera Golde, pozwolił tym dwom paniom prowadzić wielką robotę polityczną bez żadnego ze swej strony protestu i dopiero teraz odważył się na powiedzenie im słów prawdy.

Zapewne — lepiej jest uczynić to późno, niż wcale, ale obowiązek obywatelski i poczucie solidarności z proletaryatem polskim w Królestwie, powinny były p. posłowi wcześniej podyktować te rozważne słowa, jakie dopiero dziś z pod pióra jego wyszły.

Niestety—stało się tutaj to, co działo i dzieje się u nas zwykle, a czemu dało wyraz przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie".

I socyaliści polscy zmądrzeli po szkodzie. To samo zapewne będzie i z demokracyą socyalną—tylko na to trzeba jeszcze poczekać, bo socyalna demokracya potrzebuje argumentów silniejszych.

Tymczasem argumenty te, przynosi życie dzień za dniem.

To, co było przepowiedziane, czego się obawiano — zaczyna się urzeczywistniać.

Przemysł jest zagrożony poważnie. Mówi o tem bez ogródki ogłoszony niedawno memoryał Koła Przemysłowców.

Oto kilka ustępów z tego znamiennego aktu:

„Po kilku latach pomyślnych konjunktur i gorączkowego, sztucznego rozwoju, będącego następstwem ówczesnej polityki państwowej, nastąpiło wyjątkowo długotrwałe przesilenie i zastój, a w chwili, kiedy przesilenie zdawało się zbliżać ku końcowi, wybuchła wojna i wstrząśnienia, które całe państwo ogarnęły, a których bezpośrednie skutki odbiły się najdotkliwiej na przemyśle. Bilanse lat ostatnich większości fabryk wykazują nie dywidendy, lecz poważne straty kapitału, znaczna zaś liczba fabryk pracuje nie dla zarobku, lecz świadomie ze stratą, usiłując przetrwać nawałnicę i kierując się obywatelskiemi względami niepozbawiania zarobku wielkiej liczby pracowników. Niestety, najlepsze chęci nie uchronią wielu przedsiębiorstw przemysłowych od przymusowego zamknięcia, likwidacyi czy upadłości, połączonych z zupełną ruiną. W chwili obecnej znaczna liczba fabryk stoi nad brzegiem przepaści i zamknięcie ich nie będzie wywołane przez chęć uchronienia się od strat, ale nastąpi przymusowo, *skutkiem nadmiernych ciężarów, spowodowanych przez strajki*, brak środków pieniężnych, kredytu, oraz obstalunków".

Tak mówili przemysłowcy, a kronika bieżąca notowała jednocześnie bądź zamykanie fabryk poszczególnych w Warszawie i w Łodzi, bądź wróżby rychłego ich zamknięcia.

To samo Koło przemysłowców po posiedzeniu odbytem w dniu 10 stycznia r. b. rozesłało wszystkim pismom polskim komunikat,

który nietylko że obaw poprzednich nie osłabił, ale oświetlił położenie gruntowniej, wskutek czego okazało się, iż jest ono groźniejsze, niż się zdawało!

W komunikacie tym został stwierdzony fakt *zupełnego wyczerpania zamówień w większości fabryk i zakładów przemysłowych naszego kraju*.

„Zastój ogólny w interesach całego państwa — powiedziano tam — nie pozwala łudzić się, że nowe zamówienia do fabryk napływać będą w takiej ilości, by można było nasze zakłady przemysłowe prowadzić w warunkach normalnych, t. j. przy zatrudnieniu w nich zwykłej ilości robotników. *Dziś nie ulega już żadnej wątpliwości*, że wiele fabryk *będzie musiało* w mniej lub więcej znacznym stopniu *zmniejszyć liczbę robotników*, niektóre zaś fabryki postawione będą w tej smutnej pozycyi, że będą musiały zupełnie *zawiesić roboty* na czas nieograniczony."

Oto jest opinia fachowców, z którą liczyć się musi całe społeczeństwo, a więc i socyaliści, którzy ze swej strony niemało przyczynili się do takiego zaostrzenia sprawy.

Przemysł nasz dalszych prób już nie wytrzyma. Albo więc należy wytężyć wszystkie siły, aby mu przyjść z pomocą i zapewnić powolne dźwiganie się z upadku, albo—szerząc w dalszym ciągu rozstrój i odciągając od pracy tych, dla których jest jeszcze praca, stworzyć wielkie rumowisko, pod którego gruzami znajdzie się odrazu kilkadziesiąt tysięcy robotników, co razem z ich rodzinami oznacza cyfrę kilkaset tysięcy ludzi, skazanych na głód i nędzę.

Ale p. Róża Luxemburg zupełnie nie uwzględnia tej smutnej perspektywy i podawnemu dowodzi, że bezrobocia są jedynym narzędziem walki, że tylko „rakarze postępu" sądzić mogą inaczej etc.

Na szczęście lud roboczy poczyna się coraz wyraźniej wyłamywać z pod dyktatury socyalno-demokratycznej i sam oryentuje się w sytuacyi lepiej, niż to potrafili jego dotychczasowi przewodnicy.

Świadczy o tem bardzo wymownie sprawa Żyrardowska, jak wiadomo zakończona ogłoszeniem, wzywającem robotników do powrotu do pracy na warunkach dawnych. Świadczą o tem również coraz śmielej podnoszące się w warstwach robotniczych głosy, oświadczające się za braniem udziału w wyborach, mimo, iż komenda z góry oświadczyła się przeciw wyborom i że agitacya w tym kierunku prowadzona jest bardzo zapalczywa.

Robotnik tymczasem 1-o wraca do pracy, 2-o chce skorzystać z praw, które są jego zdobyczą—to znaczy, że pragnie uspokojenia, wypoczynku i takiego ułożenia się stosunków, które go wyrwą z nędzy, w jaką popadł.

I tu dopiero zaczyna się prawdziwe „uświadomienie“ klasy robotniczej.

*

* *

Niedawno temu p. Jan Stecki, ziemianin z lubelskiego, zwrócił uwagę na łamach *Gazety Lubelskiej* na to, że ruchy agrarne rosyjskie mają niepoślednie znaczenie i dla Królestwa Polskiego.

Wyszedł on z założenia, że dla Cesarstwa stało się rzeczą naglącą niezwłoczne powiększenie obszaru gruntów, będących w posiadaniu chłopów—powiększenie własności gruntowej włościańskiej kosztem własności innych kategoryj. Same tylko użytki rolne dóbr rządowych i apanażowych w tym celu wystarczyć nie mogą, gdyż pierwszych jest zaledwie 3.9 mil. dziesięcin, a drugich 2.6 mil. dzies. w Rosyi europejskiej. Część włościan bezrolnych da się skierować do Azyi, część znów wypadnie zaspokoić *kosztem ziem obywatelskich*. To ostatnie źródło mianowicie jest tem konieczniejsze, że w olbrzymiej ilości wypadków grunta włościańskie i obywatelskie tworzą szachownicę, uniemożliwiającą poprostu wszelką uprawę bez skupienia się w jednych rękach.

Otóż społeczeństwo polskie—zdaniem p. Steckiego—jest podwójnie zainteresowane przez nadchodzącą reformę agrarną w Rosyi. Naprzód dla tego, że obejmie ona (narówni z guberniami centralnemi) olbrzymi obszar kraju, w którym Polacy posiadają rozległe interesy ekonomiczne i kulturalne, a także pewne interesy polityczne, powtóre dla tego, że przebieg jej w Rosyi musi koniecznie znaleźć pewne odbicie w Królestwie. Głód ziemi wśród włościan naszych, lubo inne, niż w Cesarstwie, przybiera formy, jest z pewnością nie o wiele mniej dotkliwy i nie o wiele mniej uzasadniony, wrażliwość ich na przeobrażenia agrarne, przy szalonej zwłaszcza agitacyi demagogiczno-socyalnej, będzie wielka, tendencya zaś do rozciągnięcia na Królestwo Polskie samej zasady regulowania stosunków rolnych z urzędu, nie da się, o ile przewidywać wolno, powstrzymać, jak należy. Da się natomiast zmodyfikować odpowiednio do istotnych naszych potrzeb i rzeczywi-

stych warunków naszego życia ekonomicznego, na to wszakże, aby centralistyczny demokratyzm wyzyskać w kierunku dla siebie pożądanym i na korzyść odrębności naszej obrócić, trzeba gruntownego i wszechstronnego przygotowania.

Zawczasu tedy zabrać się należy do pracy, zmierzającej do gruntownego i wszechstronnego zbadania naszych stosunków agrarnych, zaopatrzyć się w wyczerpujące argumenty rzeczowe i mieć gotowy, wykończony w szczegółach plan reformy, gdyż inaczej najpoważniejsze grozić nam mogą niebezpieczeństwa. Należy bowiem pamiętać, że nietylko biurokracya rosyjska potrafi grać rolę opiekuna włościan polskich, nietylko więc od niej strzedz trzeba równowagi naszego rozwoju ekonomicznego w zakresie gospodarki rolnej.

Wypowiedziawszy te obawy, p. Stecki wzywa nasze Towarzystwa rolnicze, aby jaknajrychlej opracowały, rozwinęły i umotywowały plan reformy agrarnej w Królestwie Polskiem.

Trudno zaprzeczyć, iż głos ten jest bardzo na czasie, zwłaszcza, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy sytuacya na głębokiej nawet prowincyi zaostrzyła się bardzo.

Partye socyalistyczne, uporawszy się z ludnością miast i doprowadziwszy ją do ruiny materyalnej, przerzuciły teraz swoją agitacyę z całą siłą na wieś i ze wszystkich stron kraju nadchodzą wiadomości o wcale poważnych preludyach ruchu agrarnego, który z wiosną może wybuchnąć w rozmiarach daleko większych.

Oto kilka przykładów z tego, co się dzieje:

Z powiatu grójeckiego doniesiono jednemu z pism, że przed kilku tygodniami w okolicach Błędowa i Nowego Miasta poczęły się tworzyć bandy, złożone ze służby folwarcznej. Banda, wyszedłszy z jednego dworu, zabierała z sobą ekonomów, karbowych, parobków z drugiego dworu i w tak zwiększonym komplecie podążała do dworów pp. Bieńkowskiego, Górskiego, Bersohna i innych.

Wszędzie pierwszem żądaniem bandy, dochodzącej niekiedy do 150 osób, uzbrojonej w kije i drągi, było wydanie po 50 kop. na głowę strawnego. Kiedy jeden z właścicieli folwarku odwiedzonego odmówił wydania żądanej sumy, wynoszącej około 75 rb., tłómacząc się, że takiej sumy nie posiada — zabrano go z sobą i przez trzy dni oprowadzano razem z bandą, nie dając mu wstępować do dworów.

Bandy obchodziły dziennie do 6-ciu dworów, tak że każdy uczestnik „zarabiał“ w ten sposób około 3 rb. dziennie. Zabierając ze sobą całą bandę folwarczną, zostawiały one w folwarku zaledwie jednego parobka do krów i koni, co w dużych folwarkach

zmuszało właścicieli do zajmowania się osobiście obsługą inwentarza. Po kilku dniach parobcy dworscy po tej włóczędze wracali i, nie biorąc się do roboty stawiali swe żądania. Żądania te dotyczyły podwyżki wynagrodzenia o 50% w stosunku do poprzedniego.

Strajkowano nawet w takich majątkach, gdzie gospodarstwo i opieka nad służbą są wzorowe, np. w Kozietułach, gdzie jest ochrona dla dzieci służby, bezpłatna pomoc lekarska, mieszkania obszerne i zdrowe, a nawet pensye wysokie. Mimo to parobcy zastrajkowali i posunęli się nawet dalej, banda bowiem dobijała się do gorzelni, chcąc zabrać i wypić zapas wódki.

W innem znów piśmie czytaliśmy o ruchach rolnych, wybuchłych w okolicach Skierniewic i Grodziska. I tam kilkudziesięciu ludzi chodziło od wsi do wsi z rządcą, przymusowo pociągniętym do wędrówki, by stawiać żądania i zabierać służbę.

Argumenty, których używano, łatwo wskazywały swoje źródło. W niektórych dworach mówiono wprost w charakterze pogróżki: „Za nami idą tacy, co zrobią porządek“. Niektórzy przyznawali, że kazali im iść „mądrzejsi“ z pod Skierniewic i powoływali się na „Komitet,“ z którego rozkazu „świątkują.“

Jeszcze inny korespondent zapytywał jednego z ziemian o stosunki obecne na wsi. Rozmowa toczyła się w ten sposób:

— Czy i w stronach pańskich socyaliści mówią ludowi o zamierzonem jakoby przez panów przywróceniu pańszczyzny?

— Naturalnie — brzmiała odpowiedź — Agitacya kieruje się głównie przeciw *panom*, a poprzedza ją zawsze podkopywanie wpływu księży, działających na lud w duchu religijnym i narodowym. Niema oszczerstwa, kłamstwa, potwarzy, którejby nie rzucono na kapłana, jeżeli jest odważnym obrońcą kościoła i uczuć narodowych. Na zgromadzeniach słyszy się bluźnierstwa, od których uszy więdną, bluźnierstwa czasem zbyt wyrafinowane, aby chłop je mógł zrozumieć, a obliczone na podkopanie zaufania do duchowieństwa przedewszystkiem. Nadto urządzane są napady na plebanie...

— Jak jednak wygląda właściwy ruch agrarny?

— Wobec niewłaściwej pory propaganda ogranicza się do podżegania fornali i służby dworskiej. Agitacya wychodzi z komitetów po miasteczkach i osadach fabrycznych. Podżegacze idą po wsiach i namawiają fornali, aby wysłali deputacyę do „pana“. Deputacya zjawia się i przedstawia rzecz mniej więcej w taki sposób: „Bóg dał ludziom wolność i ziemię. Panowie zrobili to, że teraz są i bogaci i biedni na świecie. Nie możemy wyżyć z tego, co mamy, chcemy podwyżki.“

Warunki są zwykle względnie łagodne. Z ostrzejszemi chowają się agitatorzy na czas żniw — o czem zresztą głośno już teraz opowiadają. Na razie zabierają fornali i parobków z jednego dworu i nakazują im obejść czterech właściciali po kolei i zabrać ze sobą służbę dworską. Tworzą się w ten sposób gromady po 300—400 ludzi, które wszędzie stawiają te same żądania, ułożone jak powiadają, przez „Komitet robotników rolnych.“ Żądania te są schematyczne, bez względu na warunki poszczególnych gospodarstw. I tak np. czy kto ma gorzelnię, czy nie ma, otrzymuje żądanie „wytłoków,“ zamienione czasem na 8 miar kartofli. Co lepsze, zdarzają się „programy,“ żądające wytłoków na wiosnę „w podwójnej ilości.“ Zapewne autorzy żądań są przekonani, że wytłoki „rosną.“

— A jak zachowuje się służba wobec tych komitetów?

— Ma dla nich ślepy posłuch. Jest to po części skutek oszukańczych obietnic, po części teroru, który stanowi przykład i budzi w ludziach najgorsze instynkty.

— Czy wiece socyalistyczne odbywają się często?

— Urządzane są przy każdej sposobności, zwłaszcza, gdy przyjedzie z Warszawy, lub z większego centrum agitacyjnego jaki wybitny „towarzysz.“ Wówczas ustawia się estradę, prezydyum zjawia się w komplecie stałym, zagaja obrady, oddając głos przybyłemu. Naturalnie głównym przedmiotem „obrad“ są partye narodowe. Wyzwiska sypią się tak samo silnie na narodowość, jak i na rząd. Jeżeli zaś kto działa w duchu narodowym, może być przekonany, że dostanie wyrok śmierci. Znam księdza, który ma już kilka podobnych dokumentów na biurku i ciągle otrzymuje nowe...

Urywam.

Jeżeli teraz dodamy do tego, że w niektórych okolicach socyaliści podburzają chłopów do rąbania lasów, że jednocześnie po kraju zaczynają krążyć szajki opryszków, że kradzieże są na porządku dziennym i nocnym, a obok tego zdarzają się rozboje i napady o charakterze grabieżczym — to będziemy mieli przybliżony obraz tego, co dzieje się na wsi.

Zapewne — dalekie jest to jeszcze od tego rozpasania ciemnoty i barbarzyństwa, jakich widownią były centralne gubernie Rosyi, zapewne — wobec postawy grudniowego wiecu włościańskiego są także wszelkie zasady do mniemania, że ruchy agrarne nigdy nie przybiorą u nas takich znamion i nie rozlejią się w powódź zniszczenia i anarchii, bądź co bądź jednak obraz, który możemy sobie wytworzyć na podstawie poszczególnych relacyj ko-

respondentów pism z rozmaitych okolic kraju, a szczególnie z radomskiego, z lubelskiego i z okolic, położonych bliżej Warszawy, każe nam się bardzo poważnie zastanowić nad całą sprawą, tem poważniej, że krępujące przepisy stanu wojennego uniemożliwiają wszelkie przeciwdziałanie robocie rozkładowej.

To wszystko przemawia za tem, że głos p. Steckiego, poruszający sprawę reformy agrarnej, powinien być istotnie wzięty jaknajrychlej pod uwagę przez Towarzystwa rolnicze i że Towarzyrzystwa te powinny wytężyć wszystkie siły, aby rzecz jak najgruntowniej zbadać i jak najśmielej w kierunku potrzeb czasu rozwiązać.

*

* *

Z niejednokrotnie już staczanych na łamach pism polskich polemik, znane jest powszechnie stanowisko, jakie względem Polaków zajęło pismo wileńskie „Vilniaus Zinios," szowinistyczny organ nacyonalistów litewskich. Impet tych ostatnich nie słabnie jednak bynajmniej. Przeciwnie, nabiera on coraz większego rozpędu. Oto niedawno wystąpili oni znów z szeregiem inwektyw przeciw polakom. W ten sposób powoli wytwarza się cała literatura, dotycząca „kwestyi litewskiej," literatura smutna z jednej strony, z drugiej jednak zasługująca na to, ażeby się z nią zaznajomić bliżej.

Rozproszone po pismach artykuły nie pozwalają atoli na objęcie całości. Nikt nie może wszystkiego przeczytać, a gdyby nawet to uczynił, to nikt wszystkiego nie zapamięta. Tymczasem, chcąc powziąć jasny sąd o rzeczy, trzeba ją *przestudyować* w dosłownem znaczeniu tego wyrazu.

I stało się to możliwe z chwilą, kiedy p. Zygmunt Gloger wpadł na dobrą myśl wydania broszury pod tytułem: „Kwestya litewska w prasie polskiej."

Wydawca zadał sobie niemało trudu. Przewertował on wszystkie czasopisma polskie, na których szpaltach w ciągu ostatnich kilku miesięcy była mowa o kwestyi litewskiej i wyłowił ztamtąd co najcenniejsze artykuły, aby, zebrawszy je następnie w pełną całość, dać jasny przegląd tych argumentów, przy których pomocy uczeni i publicyści polscy zwalczali poglądy litwomanów.

W ten sposób powstała broszura o 112 stronicach bitego druku, zawierająca cały niemal materyał polemiczny w tym przedmiocie.

Po przeczytaniu tej broszury, czytelnik nabiera dopiero przekonania o tem, jak fałszywe i niezgodne z prawdą dziejową jest stanowisko nacyonalistów litewskich, jak spaczony jest cały ten ruch, oparty na szerzeniu niczem nieuzasadnionej nienawiści i przypisywaniu Polakom roli, jakiej nigdy nie spełniali, tudzież zamiarów na przyszłość, o jakich im się nigdy nie śniło.

Trudno zaiste nie zgodzić się i co do tej kwestyi ze słowami Sienkiewicza, wyjętemi z jego listu, drukowanego w naszej *Bibliotece* przed kilku miesiącami, a podkreślającemi to, że „fanatyczna nienawiść wzniosła przeciw nam wszędzie prawdziwy mur uprzedzeń. Szkalowano nasze dzieje, szkalowano tryumfy, szkalowano zwłaszcza epokę upadku i życie porozbiorowe. Przekręcano fakty i fałszowano na własny użytek historyę. Byliśmy społeczeństwem wyjątkowo przez los prześladowanem, a czyniono nas prześladowcami — byliśmy rozbici, a prześladowano nas, jako rozbijających; byliśmy niejednokrotnie zawiedzeni, a widziano w nas przeniewierców. I czyniono tak nietylko na polu historyi. Obok kłamstw historyczno-politycznych wznosiły się i wznoszą, nie z jednej, ale ze wszystkich stron, całe góry uprzedzeń, zmyślań i faktów, nawet etnograficznych, społecznych, ekonomicznych i wszelkich innych.“

Takiemi właśnie fałszami operuje z niezwykłą arogancyą „Vilniaus Zinios“ we wszystkich swoich artykułach, przesyconych jadem nienawiści dla żywiołu polskiego na Litwie.

Nie dotykamy tu kwestyi, dla kogo właściwie szowiniści litewscy pracują i komu może być i jest na rękę ruch, przez nich wszczynany. Wiemy tylko, że dla nas, jako Polaków, nie jest on niebezpieczny. Inna rzecz, że go nie będziemy od tej pory bagatelizowali. Nie leży jednak w naszem usposobieniu, ani w naszej godności narodowej, ubiegać się o czyjąś sympatyę, i słusznie zauważył kiedyś p. St. Kozłowski, że nikt u nas nie będzie szat rozdzierał nad taktyką obozu litwomanów, zkąd poczynają padać ku nam strzały zatrute. Zwykły to bowiem fortel stronnictw politycznych, słabych i nie skonsolidowanych, że często walczą bronią potwarzy i kłamstwa. Nie będziemy też nauczali „ludowców nadniemeńskich,“ że taktyka podobna odbije się przedewszystkiem na ich własnej skórze.

Będziemy tylko uważnie śledzili wszystkie fazy tego ruchu, a informowanie nas o tych szczegółach jest jednem z koniecznych zadań prasy polskiej na Litwie, która w Wilnie ma już kilka or-

ganów. Sądzimy, że wszystkie one z zadania tego wywiążą się, jak należy.

Panu Glogerowi zaś musimy być wdzięczni za to, że wydawnictwem swojej broszury ułatwił nam zaznajomienie się z dotychczasowym stanem tej sprawy.

*

* *

W pewnych kołach rosyjskich narodził się i bardzo jest popierany projekt oderwania od Królestwa Polskiego wschodnich powiatów gub. lubelskiej i siedleckiej i przyłączenia ich do generał-gubernatorstwa Kijowskiego.

Projekt ten podobny jest do wielu innych, podejmowanych przez miejscową biurokracyę rosyjską, a z góry skazanych na śmierć w archiwach. Świadczy on jednak o tem, że projektodawcy ciągle jeszcze stoją na dawniej zajętych stanowiskach i mimo ukazu o tolerancyi religijnej, mimo manifestu z dnia 30 października, tudzież mimo bijącej w oczy prawdy, dalecy są od zmiany swoich zapatrywań.

Dla nich „Ruś chełmska“ i Podlasie zawsze będą krajami „rdzennie rosyjskimi,“ a ludność tamtejsza zawsza będzie „narażona“ na latynizacyę i polonizacyę, wskutek czego domaga się specyalnej obrony i ochrony przed „zgubnemi wpływami.“

Nie wdając się w szczegółową ocenę „projektu,“ zobaczmy jednak, jak wyglądają te „rdzennie rosyjskie“ powiaty w oświetleniu cyfr prawdziwych, zaczerpniętych z ostatniego spisu jednodniowego z roku 1897.

Cyfry te mówią, że w gub Siedleckiej na ogólną liczbę 722.246 głów ludności, było 510.621 Polaków, 120.152 Żydów, 107.785 Małorusinów, 19.839 Rosyan i 11.645 Niemców.

Ludność niegdyś unicka zamieszkiwała przeważnie powiaty: włodawski, bialski i konstantynowski, oraz częściowo powiaty radzyński i sokołowski. Większość stanowiła jednak ludność ta jedynie w powiatach: włodawskim (54.653 Małorusinów wobec 21.017 Polaków) i bialskim (29.202 Małorusinów wobec 25.978 Polaków). Nie trzeba dodawać, iż obecnie, w skutek manifestu tolerancyjnego, stosunek procentowy grup wyznaniowych, uległ zupełnej zmianie. Ludność prawosławna w powiatach: bialskim, konstantynowskim, sokołowskim i radzyńskim przechodziła gremialnie na kato-

licyzm, który dla niej jest jednoznaczny z polskością, przeprowadzony więc obecnie spis ludności pod względem narodowościowym dałby zupełnie inne rezultaty. Jedynie w powiecie włodawskim niektóre okolice pozostały przy swojem prawosławiu.

Na tych podstawach opiera też swój rachunek p. E. M. w № 44 „Pracy Polskiej“ z r. b., twierdząc, że w całej gub. siedleckiej poza urzędnikami i wojskiem pozostało teraz co najwyżej 30.000 ludu prawosławnego.

W gub. lubelskiej stosunki są nieco inne. Zaliczana dotychczas do prawosławia ludność, zamieszkuje tam powiaty: chełmski, hrubieszowski i tomaszowski, oraz w mniejszej ilości—biłgorajski, zamojski i krasnostawski. Nadto w powiatach, janowskim i lubartowskim znajduje się kilka parafij prawosławnych, które w rachunek wchodzić nie mogą.

Według danych spisów z roku 1897 było w gub. lubelskiej: Polaków 729.529 dusz, Małorusinów 196.476, Żydów 155.398, Rosyan 48.437 i Niemców 25.972.

Przewagę nad ludnością katolicką miała wówczas ludność prawosławna, jeżeli nie liczyć urzędników i wojska, tylko w pow. hrubieszowskim (60.413 Małorusinów wobec 23.387 Polaków) i tomaszowskim (48.940 Małorusinów wobec 36.043 Polaków).

Należy nadmienić, że w samym powiecie chełmskim, będącym rzekomo głośną ostoją prawosławia, było wówczas tylko 46.003 Małorusinów wobec 47.463 Polaków. Dziś zaś, jak wiadomo z doraźnych tylko obliczeń, z liczby tych Małorusinów przeszło na katolicyzm z górą 13000 czyli 28%. O tyleż powiększyła się liczba Polaków.—Obecnie zatem stosunek przedstawia się mniej więcej tak: 60.000 Polaków wobec 33.000 Małorusinów.

Co do innych powiatów nie mamy pod ręką danych o ruchu, wywołanym tam przez manifest tolerancyjny. Należy jednak przypuszczać, iż żadną miarą nie był on słabszy, niż w powiecie chełmskim, a w takim razie obecnie w gub. lubelskiej jest niewiele ponad 130 tysięcy ludności prawosławnej i tylko w jednym pow. hrubieszowskim ludność rusińska dosięga prawie połowy ogólnej liczby mieszkańców powiatu.

Tak wyglądają z blizka „zasady,“ na których opiera się cały projekt, a wobec tego nie potrzebuje on krytyki z innego stanowiska.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z AKADEMJ I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

Dnia 13 grudnia 1905 odbyło się posiedzenie Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce pod przewodnictwem prof. D-ra Maryana Sokołowskiego.

*Prof. Dr. M. Sokołowski* przedłożył rezultaty wycieczki naukowej do Królestwa Polskiego, której członkowie zdejmują plany i fotografie z zabytków dawnej architektury. Dotychczas p. Szyszko-Bohusz zbadał dokładnie dwunawowe kościoły w Wiślicy, Stopnicy i Szańcu.

Referat illustrowany szeregiem doskonałych fotografij, rysunków i planów, obudził żywe zainteresowanie tem więcej, że dotyczył epoki mało znanej, a nader dla historyi sztuki w Polsce ważnej, bo czasów Kazimierza Wielkiego. Obok przepysznych szczegółów architektonicznych, jak rzeźbione zworniki, wsporniki etc. zwracały uwagę śliczne okucia drzwi gotyckich i mensa z XIV w. z kościoła w Stopnicy. Jeżeli poszukiwania w Królestwie pójdą nadal w tem tempie, jak dotychczas, i będą tak fachowo prowadzone, to w niedalekiej przyszłości będzie można spodziewać się ważnych dla nauki rezultatów.

Następnie *X. Kanonik Górzyński* przedłożył komunikat o ornacie Długosza w Kłobucku. Ornat ten jest niepospolitym i rzadkim zabytkiem polskiego hafciarstwa z pierwszej połowy XV w. Przedstawia (na pretekstach) Chrystusa na krzyżu ze św. Janem i Matką Boską u Jego stóp, czterech Ojców kościoła oraz św. Jana Chrzciciela. Ornat zakupiony został—podług miejscowego podania—przez Jana Długosza, który był proboszczem kłobuckim od 1434 do 1449 r. Styl zabytku nie stoi w sprzeczności z tymi datami, a podanie potwierdza herb Długosza Wieniawa, wyhaftowany u dołu na przedniej pretekście.

*Dr. St. Kutrzeba* podał wiadomość o kilku aktach z metryki koronnej i ksiąg grodzkich krakowskich, tyczących się budowy Wawelu, jednej z kaplic kościoła N. P. Maryi w Krakowie, katedry wileńskiej oraz kilku architektów jak Mikołaja de Castiglione, Frankensteina, wreszcie złotników: Piotra Rehmi, Jana Mayhe i t. p.

Z kolei Prof. *Dr. Fr. Piekosiński* przedłożył dwa odpisy z ksiąg poborowych archiwum Komisyi skarbowej, w Warszawie. Jeden z nich z r. 1535, zawiera tekst umowy pomiędzy Bernardem Zanob'im z Krakowa a Mateuszem z Jeżowa w sprawie chrzcielnicy, oraz dwóch grobowców dla Stanisława Lasockiego z Brzeziny i jego ojca, a drugi — z r. 1544 — dotyczy architekty królewskiego nazwiskiem, Job Breytfus.

Następnie p. *Kazimierz Kaczmarczyk* odczytał spis sreber Zygmunta Augusta, znajdujących się w skarbcu ziemskim w Wilnie w 1545 r. oraz komunikat o architekcie Józefie Le Brun, czynnym w Krakowie w końcu XVIII i na początku XIX w. Le Brun przybył do Krakowa prawdopodobnie z początkiem 1787 r. i dostał przywilej od St. Augusta, jako „uprzywilejowany architekt dla Krakowa i sąsiednich miast.“ Data jego śmierci nieznana. W r. 1809 pojawia się jeszcze w aktach; odkąd znika zupełnie. Prawdopodobnie umarł w tym czasie.

Komunikat p. *Stanisława Zarewicza* dotyczył epoki renesansu. Referent przedłożył fotografię interesującego nagrobka z XVI w. wmurowanego obecnie w ścianę kruchty kościoła parafialnego w Sanoku. Rzeźbę tę wykopano na placu św. Michała na miejscu pierwotnego kościoła parafialnego, gdyż obecny kościół, wybudowany w 1879 r., wzniesiono nieco dalej. Zdaniem referenta jest to fragment nagrobka Sebastyana Lubomirskiego, zmarłego w 1558 r. Styl zabytku oraz napis, przytoczony przez Starowolskiego, popierają tę hypotezę.

Wreszcie p. Przewodniczący przedłożył plany i fotografię cerkwi w Uliczu, nadesłane przez prof. Teodora Talowskiego.

— Z Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Na ostatniem zwyczajnem posiedzeniu wydziału przyrodników i techników Towarzystwa Przyjaciół Nauk, odbytem w Poznaniu dnia 30 stycznia, omawiano następujące sprawy:

Ks. kanonik *Adamski* demonstrował fonograf, którego wyjaśniał mechanizm, przedstawił funkcyonowanie i zastosowanie do korespondencyi, wykładów itd. Fonograf wierniej od stenografów notuje każde słowo wypowiedziane.

Dr. *F. Chłapowski* wypowiedział rozprawę „Wydział przemysłowy Kasyna Gostyńskiego i Przewodnik Rolniczo-Przemysłowy 1837—45.“ Tu referent ubolewał nad tem, że tak mało dotąd wiemy o społecznym i kulturalnym rozwoju dzielnicy poznańskiej. Nawet najnowsi dziejopisarze Księstwa Poznańskiego nie znają wszystkich ognisk kultury w tym kraju. Do takich należy Kasyno Gostyńskie, założone w 1835—45 r. przez męża wielkiego serca, *Gustawa Potworowskiego*. Spełniało ono z początku zadanie zespolenia ziemian i inteligencyi w celach towarzyskich. Wkrótce po założeniu powstały w nim dwa wydziały, literacki i przemysłowy, o którym to głównie delegat mówił. Przedstawił więc prelegent akta tegoż kasyna 1835—40, które zawdzięcza uprzejmości synowej założyciela, p. Gustawowej Potworowskiej z Goli — akta tyczące się Instytutu Miłosierdzia (1850—53), jaki tam potem powstał; akta Związku Rolniczego w pow. kościańskim (1852—44) i inne akta dobra publicznego, utrzymywane przez *Stanisława Chłapowskiego* z Czerwonej Wsi, wreszcie 8 roczników dwutygodnika wychodzącego w Lesznie u E. Guenthera, pod redak-

cyą z początku ks. Burowicza, „Przewodnika Rolniczo-Przemysłowego,“ który od r. 1839—1843 był prawdziwym organem tegoż wydziału Przemysłowego Kasyna w Gostyniu, a nieco później także i Towarzystwa Rolniczego W. Księstwa Poznańskiego w Gnieznie.

Wydział przemysłowy K. G. założony w tym samym roku, co to Towarzystwo w Gnieznie (1837), miał z początku odmienne nieco cele, zwłaszcza pod przewodnictwem jego założyciela, Józefa Łubieńskiego. Nazywał się też początkowo wydziałem zachęcającym do przemysłu i rolnictwa. Mylnie więc w nr. 19 V „Rocznika Przewodnika R. P.“—podano pierwotną jego nazwy jako „wydziału do popierania rzemiosł i przemysłu miejskiego,“ gdyż celem jego było od początku podniesienie *wszelkiego* rodzaju przemysłu w W. Ks. Poznańskiem i budzenia w nim wogóle ducha przemysłowego.

Z czasem udział brany w przemyśle rolniczym przeważył do tego stopnia w wydziale, że można go uważać za pierwszą podwalinę do powstania późniejszego zcentralizowanego w Poznaniu Towarzystwa Rolniczego, w którem spłynął wraz z Towarzystwem agronomicznem w Gnieźnie i innemi mniejszemi na prowincyi. Lecz co udać się nie mogło kilkunastu obywatelom wiejskim, zjeżdżającym się kilka razy na rok do Gostynia, — to sowicie nagrodzonem zostało, odkąd Karol Marcinkowski, widząc te chwalebne usiłowania, powziął myśl zorganizowania naukowej pomocy w osobnem Towarzystwie z siedzibą w Poznaniu.

W papierach, jakie po ojcu pozostały w Czerwonej-Wsi, miał prelegent niezbite dowody, że wydział przemysłowy udzielał nietylko rzemieślnikom, ale i studentom zapomogi na studya i podróże i z nimi korespondował. Akta te, wręczone przez prelegenta przed 30 przeszło laty ks. biskupowi Janiszewskiemu, w celu opisania początków Towarzystwa Naukowej Pomocy, zaginęły po jego śmierci; lecz sprawozdania wydziałowe w „Przewodniku,“ (rocznik V, str. 218), świadczą wymownie o tem.

Także i w kierunku zbierania okazów przyrodniczych, które następnie przeszły na własność Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu razem z biblioteką, oraz modeli dla rzemieślników i rolników, które częściowo dostały się do późniejszej szkoły imienia Haliny w Żabikowie—rozwijał czynność nie małą Wydział Przemysłowy Kasyna Gostyńskiego; ale działalność jego nie ograniczała się do tych trzech tylko kierunków, które następnie stały się wytycznemi trzech instytucyj, jakiemi dotąd mamy słuszny powód się chlubić!

W rozprawach w „Przewodniku R. P.“ drukowanych, a w wydziale P. K. G. wygłoszonych, spotykamy i takie, które dotyczą ułatwienia kredytu, podniesienia ludu wiejskiego, zaprowadzenia regulacyi stosunków włościńskich w Królestwie (u nas regulacya już była skończoną), unormowania kwestyi komorników, zaprowadzenia sądów polubownych, wyrzeczenia się faktorów-pijawek, uważania na fizyczny rozwój dzieci wśród ludu, a więc spraw sięgających po za kwestye techniczne, choć i tych nie braknie. Między temi wspomnieć warto kwestyę osuszania Odry, w kilku doskonałych źródłowo opracowanych rozprawach, sprawę komunikacyi t. zw. „makadamizowanych szosei“ i t. d. — Wydział urządzał w Gostyniu wystawy, wyścigi, igrzyska ludowe, z których w „Przewodniku“ zdawał sprawę.

Ze sprawozdań tych widać, że wydział starał się wpływać na całe społeczeństwo, nietylko krajowe, ale i zakordonowe, wreszcie i na władze; widać też pewne poparcie niektórych jego usiłowań przez władze, które mu dostarczały statystycznego materyału z miast i powiatów W. Ks. Poznańskiego.

Po 4 latach praca ta, tak wytężona i rozległa, ustaje. „Przewodnik“ przestaje umieszczać sprawozdania. Mogły się do tego przyczynić nietylko stosunki polityczne zmienione, ale i zmiana komunikacyi, wskutek czego ruch społeczny i narodowy coraz bardziej ześrodkował się w Poznaniu. W każdym razie to, co zdziałało w swoim czasie Kasyno Gostyńskie, podnosząc poziom moralny i intelektualny wielkopolskiego ziemiaństwa i mieszczaństwa, a zwłaszcza to, co jest dziełem zabiegów wydziału przemysłowego w nim — należeć będzie zawsze do najpiękniejszych kart w dziejach porozbiorowych polskich.

Nie mniej pięknym jest i koniec tej instytucyi, która tyle usług oddała nietylko okolicy, ale której wpływ sięgał daleko poza granicę naszej dzielnicy! Co się stało z gmachem, w którym się zgromadzała niegdyś szlachta i inteligencya, tak dla skromnej i przyzwoitej zabawy, jak i dla pouczenia się i pobudzania wzajemnego do najszlachetniejszych celów? Został on z początku przytułkiem dla wzorowej ochronki, w której się ochroniarki wyrabiały. Myśl zakładania ochronek po miastach i wsiach wyszła od Augusta Cieszkowskiego, który tu ją przedłożył. W osobie Edmunda Bojanowskiego z Grabonoga znalazła jednak ona wykonawcę, bo on życie swe i majątek poświęcił na utworzenie Kongregacyi służebniczek N. P. M., które się ochronkami po wsiach miały zajmować. Gdy cholera w r. 1849 w W. Ks. Poznańskiem się pojawiła, do pustego już wówczas domu Kasynowego przywołano Siostry Miłosierdzia z Poznania i pod ich opiekę oddano chorych tam umieszczonych. Gdy zaś niedola licznych sierot po tym pomorze wywołała potrzebę dłuższej nad niemi opieki, natenczas fundusz za staraniem jednego z najgorliwszych członków byłego Kasyna Gostyńskiego, zebrany od obywateli okolicznych, został przeznaczony na początkowe ustalenie *Domu Miłosierdzia* w Gostyniu, w tymże samym budynku, z 20 łóżkami stałemi dla chorych! I dom ten Miłosierdzia został 1851 r. nabyty i dotąd istnieje, jako świadek świetnej i pożytecznej przeszłości Kasyna, a zarazem dobroczynności jego niektórych członków.

## WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Bonieckiego Adama Herbarz Polski. Do cz. I uzupełnień wyszedł zeszyt IV. Obejmuje nazwiska Białoszyccy do Biesiekierski. Najwięcej materyału heraldycznego przybyło do rodzin: Białozorów, Biernackich, Biebrzyńskich i Biesiekierskich. Uzupełnienie do tej ostatniej rodziny, dokończonem będzie w następującym zeszycie.

— Encyklopedya Wychowawcza w zeszycie IV tomu VII-go zawiera: *Malowanki*, przez Anielę Szycównę (dokończenie); *Malecki Antoni*, przez Tadeusza Sinko; *Marcinkowski Karol*, przez Ignacego Zielewicza; *Markiewicz Stanisław*, przez Stanisława Kopczyńskiego; *Marnotrawstwo*, przez Maryą Bielską; *Marrené Walerya*, przez A. Szycównę; *Marycki Szymon*, przez Wiktora Hahna; *Marymont*,

przez Stanisława Rewieńskiego; *Matematyka*, przez Samuela Dicksteina; *Mecherzyński Karol*, przez T. Sinko; *Melanchton Filip*, przez Romana Plenkiewicza; *Metoda dydaktyczna*, przez Antoniego Danysza (początek).

— Kwartalnik Historyczny. Zesz. 3 1905 r. Zawiera: *Majżesza Szorra:* Państwo i społeczeństwo babilońskie w okresie t. zw. dynastyi Hamułabiego. *Fryderyka Papée'go.* O najstarszych wizerunkach świętego Kazimierza, z trzema pięknemi reprodukcyami wizerunków św. Kazim., z dziełka Ferrieriusa r. 1521, z obrazu we Wilnie r. 1594 i z obrazu Krośnieńskiego 1637. Miscellanea. Uwagi o relacyach Langiewicza, przez autora „Dziejów 1863 r.“ — Bibliografię historyi powszechnej *Eug. Barwińskiego;* Bibliografię historyi polskiej tegoż, i Kronikę tegoż. W niniejszym tomie omówione zostały następujące dzieła: Teod. Wierzbowskiego. Komisya edukacyi narodowej 1775 — 1794 zesz. 1 — 6; Bär Maksa: „Uber die Gerichte in Preussen zu Zeit der Polnischen Herrschaft;“ Wesphala P.: „Ein ehemaliger Klosster territorium in Pommerellen;“ Ludtke dr.: „Schematismus des Bistums Culm mit dem Bischofssitze Pelpin;“ Górskiego Władysława: „Powiat Mohylewski w gub. Podolskiej.“ Cztienija w istoriczeskom obszczestwie Nestora XV. XVI. Opis dokumientow Wileńskaho Centralnaho archiwa drewnich aktowych knig II i III; Klima T. Akta do konfederacyi r. 1768 Województwa Krak., a zwłaszcza księstwa Oświęc. i Zator.; Klima T. Przywileje i statuty cechów Wadowickich.; Monumenta Vaticana res gestas Bohemiae illustrantia Ed. Klieman Lad. T. I Acta Clementis VI.; Darowskiego Ad. Bona Sforza; Zembrzuskiego Stef.: Rossya i Król. Polskie; Konica Henryka: Komisya rządząca 1807; Grabskiego Władysława: Historya Tow. Rolniczego.

— Lud. Tom XI, zesz. III. Dr. Bruchmalski Wilhelm, „Pióro jako ozdoba wojaków, i t. zw. prośba o pióro;“ Gawroński Rawita Franciszek, „Geneza legendy o smoku w związku z istnieniem człowieka czwartorzędnej epoki;“ dr. Janik Michał, „Ludność polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej;“ Matusiak Szymon, „O zbieraniu imion własnych;“ Łopaciński Hieronim, „Próba wyjaśnienia początku jednej z zapomnianych gier dziecięcych;“ dr. Dobrzycki Stanisław, „Ludność w Sobótce Kochanowskiego;“ Udziela Seweryn i Kipa Emil, „Materyały historyczne;“ „Odszczekiwanie obmowy;“ „Nieznana piosnka flisacka z XVIII wieku;“ ks. Błachut Augustyn, „Uroczystość poświęcenia pól w Kamieniu w pow. krakowskim;“ Madlowna Nimfa, „Topielec w Czeladzi w pow. będzińskim;“ Taroniowa Helena, „Opowiadania z pod Krakowa;“ Maksonowa, „Dusza po śmierci;“ dr. Potkański Karol, „Sprowadzenie deszczu;“ dr. Franciszek Krček, „Św. Stanisław Szczepanowski;“ K. Potkański, Aleksandra z Lipińskich Krčekowa i Teofil Mleczko, „Pierwszy grzmot;“ dr. Fr. Kr. i K. C. ze Lwowa, „III Maj;“ Mikołaj Rybowski, „Sprawozdanie z czynności dziesięcioletniej Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie;“ Mieczysław Treter, „Przebieg obrad na XI walnem zgromadzeniu Tow. Ludoznawczego we Lwowie.“

— Przegląd Filozoficzny w IV-tym zeszycie za r. 1905, pomieszcza w dziale prac konstrukcyjnych: *Prof. Dr. Juljusz Makarewicz*, Stammlera nauka o prawie odpowiedniem. Oraz następujące sprawozdania: *Józef Słowikowski*, Znaczenie figur Kopernika i Kepplera w przyrodzie, nauce i technice, przez I.

Drexlera. *Dr. Richard Oehler*, Fiedrich Nietzsche und die Vorsokratiker, przez St. Schneidera. *Georg Simmel*, Kant, przez H. Bada. *P. Lacombe*, La représentation proportionelle, przez Stefana Baley'a. Piąty międzynarodowy zjazd psychologiczny w Rzymie, przez K. Appla. W dziale zatytułowanem „Przegląd czasopism“ omawia: Archiv für Geschichte der Philosophie, *N. Perzyńskiego*. Revue Néo-Scolastique, *N. Perzyńskiego*. Vierteljahrsschrift für wissenschaftliche Philosophie und Soziologie, *J. Serwin*.

— Przegląd polski. Listopad. Dr. Kazimierz Morawski, „Elektra. Tragedya Sofoklesa. Słowo wstępne i tłómaczenie;“ dr. Adam Krzyżanowski, „Umiejętność zrzeszania się;“ X. Franciszek Starowiejski, „Z dziejów Stolicy św. za pontyfikatu Leona XII. 1823—1829“ (c. d.); Sprawy krajowe XXXIII. Dr. Stanisław Grabski, „O regulacyi pastwisk wspólnie używanych“.

— Przegląd Sądowy i Administracyjny, wychodzący we Lwowie pod red. dr. Ernesta Tilla, w zeszycie Lutowym r. b. taką zawiera treść: Rękojemstwo w prawie polskiem. Z powodu książki dra P. Dąbkowskiego. Napisał *Oswald Balzer*. O przejęciu długu. Trzy odczyty. Ułożył *Dr. Stanisław Dniestrzański* (ciąg dalszy). Związki zawodowe rolników. Napisał *Adam Krzyżanowski* (ciąg dalszy). Wystąpienie z stowarzyszenia zarobkowego w toku likwidacyi. Napisał *Stanisław Wróblewski*. Zapiski literackie. Kronika.

— Przegląd Wszechpolski. Sierpień — październik. „Rosyjska izba ogólno-państwowa a zadania polityki polskiej;“ R. Dmowski, „Koniec legendy;“ B. Ostoja, „Bilans socyalistyczny wobec zadań ruchu robotniczego;“ Prawnik, „Duma a biurokracya;“ J. L. Popławski, „Polityka interesów ekonomicznych;“ G. Topór, „Rzut oka na wypadki w okresie wojny;“ W. Tokarz, „Ustrój Królestwa Polskiego za czasów Wielopolskiego;“ I. Zasław, „Żywioł polski na Litwie;“ Idem. „Na Podolu i Ukrainie;“ J. L. Jastrzębiec, „Z całej Polski;“ Ko-wicz, „Polityka zagraniczna;“ Ver..., „Listy warszawskie I i II;“ Dokumenty: I. Memoryał, II. Odezwa Ligi narodowej; Uwagi.

— Przewodnik naukowy i literacki, wydawany przy Gazecie Lwowskiej, w zeszycie Styczniowym zamieszcza: 1) *Gustawa Roszkowskiego*, O XIV kongresie pokoju z 1905 r. 2) *Aleksandra Kraushara*, Podróże królewicza polskiego, późniejszego króla Augusta III (Niemcy—Francya—Włochy) 1711—1717 z dyaryusza rękopiśmiennego. 3) *Gustawa Manteuffla*, Birże Litewskie. 4) *Bohdana Barwińskiego*, Zygmunt Kiejstutowicz, Książe Starodubski. 5) *Tadeusza Truskolańskiego*, Andrzej Bohdan Zebrzydowski, biskup Krakowski † 1560, Monografia historyczna. 6) Pamiętnik *Napoleona Sierawskiego*, oficera konnego pułku gwardyi za czasów. ks. Konstantego. 7) *Kazimierza Pułaskiego*, Z dziejów Konfederacyi Barskiej. Teki Teodora Wessla Podskarb. Kor. 1769—1772.

# BIBLIOGRAFIA.

## TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

Bandrowski Bronisław dr.: O analizie mowy i jej znaczeniu dla filozofii. (Sprawozdanie I dyrekcyi c. k. II gimnazyum w Rzeszowie za r. szk. 1905). Rzeszów, 1905. Nakł. funduszu naukowego. 8-o, str. 95.

Bratkowski Stefan ks. T. J.: Przez Maryę do Jezusa. Kraków, 1905. Nakł. Apostol. Modlitwy. 8-o, str. 2 nl. 108.

Encyklopedya kościelna podręczna, opracowana pod kierunkiem ks. ks. Galla, J. Niedzielskiego, H. Przezdzieckiego, A. Szlagowskiego, A. Tauera i redaktora Z. Chełmickiego. T. V—VI. Wydawn. „Bibl. dzieł chrześcijańskich," zesz. 54 i 55. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 419. B—C.

Nietzsche Fryderyk: Zmierzch bożyszcz, czyli jak filozofuje się młotem. Przełożył Stanisław Wyrzykowski. Warszawa, 1906. Nakł. J. Mortkowicza. Skł. gł. w księg. G. Centnerszwera i Sp. 8-o, str 132.

Sieniatycki ks. dr.: Dowód kosmologiczny na istnienie Boga. Odbit. z „Gazety Rolniczej." Lwów, 1906. Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. 66.

Tenże: Ogólna katolicka dogmatyka, podręcznik szkolny. Lwów, 1906. Gubryn. i Schmidt. 8-o, str. IV, 119.

## HISTORYA.

Cholodecki Józef: Lista osób szlacheckiego pochodzenia zasądzonych w Galicyi za udział w tajnych stowarzyszeniach i pracach rewolucyjnych w latach 1833—1848. Lwów, 1905. Nakł. autora. 8-o for. mały, str. 15.

Czermak Wiktor dr.: Illustrowane dzieje Polski. Tom I, od początków do X wieku. Dzieje powszechne illustrowane pod kierunkiem L. Kubali. Część V, t. I. Wiedeń, 1905. Nakł. F. Bondego. 8-o for. większy, str. VIII, 338, przeszło 100 illustr. w tekście oraz 18 na osobnych kartonach i mapy.

Flawiusz Józef: Dzieje wojny żydowskiej przeciwko Rzymianom. Z oryginału greckiego wydania J. Destinowa i Benedykta Niesego, na język polski przetłómaczył, przedmową, uwagami, skorowidzem etc. zaopatrzył Andrzej Niemojewski. Warszawa, 1906. Nakł. Stow. wzaj. pomocy pracowników handlowych wyzn. mojżeszowego. Księg. Powsz. (Okładka i plan ryc. Jana Bukowskiego). 8-o, str. XXXIX, 575.

Gawroński Rawita Fr.: Bohdan Chmielnicki do elekcyi Jana Kazimierza. Lwów, 1906. Nakł. księg. H. Altenberga, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 360 i 2 nl. z illustr.

Jaworski Franciszek: Obrona Lwowa 1655 r. Wspomnienie dziejowe w 250 rocznicę oblężenia miasta przez Moskali i Kozaków. Lwów, 1905. Nakł. gminy m. Lwowa, Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. 44 z ryciną.

Kościński Konstanty: Kaszubi giną. Wiązanka wiadomości historycznych i statystycznych. Poznań, 1905. Nakł. autora. 8-o, str. 67.

Kruczka Wacław ks.: Historya polska w Ameryce. Początek, wzrost i rozwój dziejowy osad polskich w Północnej Ameryce (Stanach Zjednoczonych i Kanadzie) T. V. Wydanie poprawione. Milwaukee, 1905. 8-o, str. 120.

Leciejewski Jan dr.: Runy i runiczne pomniki słowiańskie. Lwów, 1906. H. Altenberg, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. IV, 207 i 2 nl.

Pomniki dziejowe Lwowa z archiwum miasta. Księga przychodów i rozchodów miasta 1414—1426, wydał dr. Aleksander Czołowski. Lwów, 1905. Nakł. gminy miasta Lwowa, Gubryn. i Schmidt. 8-o, for. duży, str. 2 nl. i 187.

## HISTORYA LITERATURY.

Bruchnalski Wilhelm dr.: Pióro jako ozdoba wojaków i junaków i t. z. prośba o pióro. Odb. z „Ludu“ B. m. i r. w. Kraków, 1905. 8-o, str. 18.

Feldman Wilhelm: Henryk Ibsen. Wykłady wygłoszone na kursach wakacyjnych w Zakopanem w lecie 1905 roku. Warszawa, 1906. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 216.

Gawroński Rawita Fr.: Geneza legendy o smoku w związku z istnieniem człowieka czwartorzędowej epoki. Odb. z „Ludu.“ B. m. i r. w. Kraków, 1905. 8-o, str. 6.

Gloger Zygmunt: Nieznany śpiewnik historyczny polski z końca wieku XVI. Warszawa, 1905. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 55.

Jabłonowski Władysław: Maksym Gorkij. (Szkic literacki). Warszawa, 1906. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 54.

Książka zbiorowa ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza w 50-tą rocznicę śmierci poety. Petersburg, 1905. Skł. gł. w księg. Polskiej. 8-o, str. 218.

Sten Jan: Szkice krytyczne. Lwów, 1906. Nakł. księgar. Narodowej. 8-o, str. 206.

## PEDAGOGIA.

Akt fundacyjny fundacyi edukacyjnej ś. p. Wiktora Osławskiego. Kraków, 1905. 8-o, str. 23.

Herodot: Wybór z dziejów opracował dla użytku młodzieży szkolnej P. B. Księga VI. Rozdział 1—213. „Bibl. klasyków rzym. i grec.“ zesz. 235—244. Lwów, Złoczów, 1905. Nakł. i druk. W. Zukerkandla. 8-o, str. 1-320.

Kopczyński Stanisław dr.: Hygiena i szkoła. Uwagi i rady. Napisał ... Warszawa, 1905. Nakł. M. Arcta, Ks. dla wszystkich № 217. 16-o, str. 93.

Łopaciński H.: Próba wyjaśnienia początku jednej z zapomnianych gier dziecięcych. Odb. z „Ludu“ B. m. i r. w. Kraków, 1905. 8-o, str. 12.

Odczytów siedm ... o wychowaniu, wypowiedzianych z okazyi dwudziestopięciolecia Stowarzyszenia matek chrześcijańskich w Krakowie. Kraków, 1905. 8-o, str. 179.

Sprawozdanie VI dyrekcyi kursów wyższych dla kobiet im. A. Baranieckiego za rok 1904—5, istnienia XXXVII. Kraków, 1905. Nakł. Kursów. 8-o, str. 22.

Unszlicht-Bernsteinowa Julia: Przebłyski nowych form wychowawczych. Odczyt wygłoszony w Krakowie w Uniwersytecie ludowym im. Mickiewicza. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. Naukowej. 8-o, str. 22.

Żukowski O. M.: Wychowanie młodzieży w Polsce od IV aż do I połowy XVII wieku, w świetle opisu W. A. Maciejowskiego, wstępem i objaśnieniami opatrzył ... Odbit. z „Miesięcznika pedag.“ Cieszyn. Nakł. pols. Tow. pedagogicznego. Gubrynowicz i Schmidt we Lwowie. 8-o, str. 30.

## NAUKI ŚCISŁE.

Br. L.: Młody chemik. Zbiór doświadczeń chemicznych dla młodzieży. Opracował według K. Scheida. Warszawa, 1905. Nakł. M. Arcta. Moja Biblioteczka. 8-o, str. 135.

Kowalewski M.: Studya helmintologiczne. Cz. IX. O dwóch gatunkach tasiemców rodzaju Hymenolepis Weinl. Odb. z „Rozpr. wydz. matem.-przyrodn.“ Ser. B., T. XLV. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiej. Spółka wydawn. polska. 8-o, str. 19 z tabl. VII, podwójną.

Olszewski K.: Dalsze próby skroplenia helu. Odb. z „Rozpr. wydz. matem.-przyr.“ Ser. A., T. XLV. Nakł. Akad. Umiej., Spółka wydawn. polska. 8-o, str. 7.

Tenże: Przyczynek do oznaczenia punktu krytycznego wodoru. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiej. 8-o, str. 7.

Rachborski M.: O rodzaju paproci Allantodia Wall. Odb. z „Rozpr. wydz. matem.-przyrod. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiej. 8-o, str. 7.

## MEDYCYNA.

Alkoholizm a wiedza. Odezwa lekarzy do polskiego społeczeństwa. Fol. k. 1. Kraków, 1905. Nakł. Tow. Eleuteryi.

Lanche Adam dr.: Szlakami cholery, szkic historyczny. Odb. z „Przegl. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 4 i tabl. VIII.

Nauka o chorobach wewnętrznych, wydał prof. Walery Jaworski. Tom I. Choroby zakaźne. Zatrucia. Choroby przemiany materyi, Opracowali

dr. Biegański Władysław, dr. Marisclder Julian, prof. Domański Stanisław, psof. Prus Jan i dr. Wilczyński Ludwik. Kraków 1905. Nakł. H. Altenberga. 8-o, str. VI, 500 i tabl. XII.

Tom II. Choroby jamy ustnej, narządu oddechowego, serca i naczyń krwionośnych. Choroby mięśni, stawów, kości i gruczołów. Opracowali prof. Głuziński Antoni, dr. Latkowski Józef, prof. Korczyński Ludomił, prof. Pieniążek. Kraków, 1905. 8-o, str. 496 i III tabl.

Ołtuszewski Władysław dr.: Szkic nauki o mowie i jej zboczeniach. (Niemota, bełkotanie, mowa nosowa, jąkanie i t. d.). Oraz hygiena mowy. Z rysunkami i tablicami w tekście. Napisał ... Warszawa, 1906. Nakł. autora. Bibl. lek. rok II, t. X.

Pilz Jan dr.: Stanowisko psychiatryi w rzędzie innych nauk lekarskich, oraz nowoczesne jej zadania i cele. Wykład wstępny. Odb. z „Przegl. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 42.

## SZTUKA

Lobe E. J.: Katechizm muzyki, z 22 wydania niemieckiego przełożył Jan Kleczyński. Warszawa-Kraków, 1905. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, k. nl. 4 + 136.

Makowski Czesław.: Profile, płaskorzeźby osób znakomitszych z krótkiemi życiorysami. Część I. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 116.

Wilde Oskar: Dyalogi o sztuce („Intentions“), przedmowa Nowaczyńskiego, przekład M. Feldmanowej. Lwów, 1905. Księg. Narodowa. (Okładka rysunku Jana Bukowskiego). 8-o, str. XLVIII, 217 z portretem autora.

Witkiewicz Stanisław: Juliusz Kossak. Wyd. 2 powiększone bez ilustr. Lwów, 1906. Nakł. Tow. wydawniczego, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 288.

## POWIEŚĆ. — POEZYA.

France Anatol: Wybór pism IV. Tais, tłómaczył Jan Sten. Lwów, 1905. Polskie Towarz. nakładowe, księg. P. Połonieckiego, E. Wende i S-ka w Warszawie. 8-o, str. 282.

Ibsen Henryk: Związek młodzieży, sztuka w 5 aktach, przetłómaczył Wł. Prokesch. Bibl. powsz. 526 — 527. Lwów - Złoczów, 1905. Nakł. i druk. W. Zukerkandla. 8-o, str. 136.

Krasiński A. I. ks. biskup. Aforyzmy wierszowane. Wydał M. Krasiński. Wydanie II, z życiorysem i portretem autora. Nakł. Księg. Ludowej, K. Wojnara. 8-o, str. VIII, 104.

Mickiewicz Adam: Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego. Tekst pierwotny, z autografu wydał Józef Kallenbach. Paryż, 1905. Wyd. Muzeum A. Mickiewicza. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. III, 54.

Multatuli: Wybór pism. Przełożyła i zaopatrzyła przedmową Malwina Posner-Garfeinowa. Wyd. II. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. Naukowej. 4-o, str. 308.

Niemojewski Andrzej: Z pod pyłu wieków. I. Sokrates, II, Aszur i Mucur. Tom II. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. Powsz. (Książkę zdobił Jan Bukowski). 8-o, str. 160 i 2 nl. + 154 i 2 nl.

Rogowicz Wacław: Mozajka kaukaska. Impresye. Legendy. Kartki z podróży. — Opowiadania. — Wrażenia. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 167.

Staff Leopold: Godiwa, dramat w 3 aktach. Lwów, 1906. Nakł. Księg. Polskiej B. Połonieckiego, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 157.

Walewska Cecylia: Moje służby. Dziennik Marcysi, poprawiony z rękopisu przez ... Warszawa, 1906. Księg. Naukowa. 8-o, str. 138.

## NAUKI SPOŁECZNE I PRAWNO POLITYCZNE.

Komierowski Roman dr.: Koła Polskie w Berlinie 1875—1900. Poznań, 1905. 8-o, str. 343 i XIX.

Popiel Jan: O stanowisku deputowanych z Królestwa Polskiego w Petersburgu. Kraków, 1906. Nakł. i druk. W. L. Anczyca i Sp. 16-o, str. 23.

Suligowski Adolf: Instytucye ziemskie w państwie rosyjskiem. Odb. z „Przegl. polskiego.“ Kraków, 1905. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 24.

Szukiewicz Wojciech: Co to jest współdzielczość? Napisał ... Odb. z „Przegl. współdzielczego.“ Warszawa, 1905. 8-o, str. 51.

Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcyą dr. Tadeusza Pilata. T. XX, zeszyt II. Stosunki zawodowe i socyalne ludności Galicyi według wyznania i narodowości na podstawie spisu ludności z dnia 31 grudnia 1900 r. przedstawił dr. Józef Buzek. Lwów, 1905. 8-o, str. 51 i 31.

Wrzosek S.: Zasady ustroju państwowego na zachodzie. Przełożył A. T. Warszawa, 1906. Skł. gł. w Księg. Powszechnej. Bibl. Społeczna № 4. 8-o, str. 63.

Zdziarski Bolesław: Jaki samorząd czyli autonomia jest potrzebna dla Królestwa Polskiego. Warszawa, 1905. Nakł. autora. 8-o, str. 17.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

# NAD GŁĘBIAMI.

## V.

Rzucił się na ślepo do gorączkowej pracy. Piekły go myśli, wspomnienia i zagadnienia. Chciał trudami i wyczerpaniem zabić w sobie ten zgiełk, który nie cichł ani na chwilę w jego duszy. Nie miał siły ani opanować go, ani dozorować. Umysł, który żył długo tylko wewnętrzną wegetacyą i zadawalniał się fantastycznem rozmyślaniem i fantastycznem kształtowaniem nowych form życia nieokreślonych i nieuchwytnych — przechodził teraz gwałtowne wstrząśnienia. Uświadomienie położyło na całej dotychczasowej pracy jego wyobraźni i wrażliwości bolesny napis „nicość“ i nawoływało krzykiem zdrowych płuc do czynu. A czyn zjawiał się, jako możliwość w tysiącznych postaciach i przemianach, szarpał mu serce i wolę, aby za chwilę odpaść na bok, jako blady, poroniony pomysł.

— Czem być, aby działanie zewnętrzne miało w sobie treść i drgnienia tłukącego się w duszy ideału? — pytał sam siebie, kiedy nagle w biały dzień lub ciemną noc nachodziło go zadumanie.

Wypadało mu wtenczas z ręki pióro, jeśli pisał, książka, jeśli czytał, stawał nad brzegiem Wisły, jeśli szukał wytchnienia za miastem.

Myślą przelatywał wszelkie gotowe formy działalności, jakie mu życie dawało, i w żadnej nie mógł siebie ujrzeć. Zapalał się na moment, na dzień jeden, na tydzień do pewnego zajęcia, do pewnej społecznej pracy, ale zniechęcenie napadało go równie szybko i równie nielitościwie.

Miał za sobą studya lekarskie. Gdyby zdał ostatnie egzamina, miałby już gotowe przed sobą pole działalności.

— Praca w szpitalach — rozważał — chore dzieci, chore kobiety, chorzy mężczyźni, nędza fizyczna, jęki męczących się w agonii, rozpoznawanie śmierci i życia, sekcye otrutych, zamordowanych, topielców, zobojętnienie na ból, na wstyd, na kres... to nie dla mnie, nie dla mnie! to wstrętne! to objawia się w formach strasznych, zeszpeconych, to ohydne przeciwieństwo piękna... to krzyk i ciągły protest na gwałt natury... dlatego porzuciłem studya...

— Mam majątek ziemski — myślał dalej — sam będę rządcą. Wyjadę na rok, na dwa, na studya rolnicze. Wrócę i wezmę się do pracy. Ale jaki w tem cel bezpośredni, najbardziej istotny? jaki? wydobyć z ziemi jak największy zysk? Zmusić rolę, aby wydawała jaknajwięcej owoców? Im więcej ich będzie, tem będę bogatszy, a może i drudzy przezemnie — zatem praca od świtu do nocy nad czem? nad tem, co mi jest obojętnem, co mię zupełnie nie wzrusza, czego nigdy nie ukocham całą potęgą uczucia!

— A więc chodzi o to, co ukocham, za czem będę tęsknił mimo trudów, mimo cierpień, mimo znużenia...

— Gdzie droga? — powtarzał zrozpaczony miliony razy.

— Każde zajęcie, jakie znam w społecznem życiu, to forma zewnętrzna, ale gdzie treść wewnętrzna? czem ma być człowiek, który nietylko ma być urzędnikiem, kupcem, agronomem, fabrykantem, komiwojażerem, architektą, dziennikarzem, sędzią, profesorem, żołnierzem policyjnym, woźnicą, stróżem? czem?

Szukał odpowiedzi, żadna jednak nie wydawała mu się dostatecznie dobrą, każda rozpływała się w karykaturalnych kształtach, rozważona z innego punktu patrzenia czy etycznego, czy praktycznego, artystycznego, partyjnego, narodowego lub filozoficznego.

Umęczony tą bezowocną pracą myśli, która go wyczerpywała zupełnie, począł unikać samotności. Skorzystał z pierwszej sposobności, jaką mu wypadek nastręczył i kupił dziennik, od wydawcy, zniechęconego stratą prenumeratorów. Obojętną było mu rzeczą, czy znajdzie w tem zajęciu zadowolenie, wiedział to jedno, że zajmował placówkę społeczną, na której skupiło się tysiące interesów różnorodnych i że praca wydawnicza pochłonie mu wszystek czas i energię. Tego pragnął.

Odtąd dzień każdy upływał mu na zmudnej, wyczerpującej robocie. Sam był pierwszy przy biurku i ostatni je opuszczał. Interesował się każdą sprawą ważną i drobiazgową. Nic nie

uchodziło jego uwagi. Nie chciał służyć interesom, lecz prawdzie. Z dziennika swojego chciał stworzyć organ krytyczny, który nie lękał się nikogo, lecz gotów był zawsze najbardziej cierpką prawdę powiedzieć tym, przy których wczoraj zdawał się stać najbliżej.

Nie żałował pieniędzy. Wydatki były mu najzupełniej obojętne. Przy stolikach redakcyjnych zgromadził ludzi zdolnych i młodych, w których szukał talentu pisarskiego i obywatelskiej prawości.

Pierwsze tygodnie upłynęły mu wśród mrówczej pracy. Milczeniem zbywano artykuły, w których poddawał zasadniczej krytyce sprawy gminne i kwestye ekonomiczne kraju. Milczeniem odpowiadano na artykuły programowe. Postanowiono za wszelką cenę trzymać publiczność w nieświadomości, że dokonała się reforma zasadnicza w dzienniku, który już upadał na anemię myśli i przedsiębiorczości.

Lecz kiedy to wszystko nie pomagało, kiedy popyt na odmłodzony przez Augusta dziennik począł wzrastać, poczęły padać pierwsze strzały z innych pism. Początkowo były to wzmianki lekceważące o „pewnem brukowem piśmie,“ o „wiatrakach, które mielą piasek,“ lecz wkrótce walka rozpoczęła się na całej linii.

Postanowiono pismo zabić i odrzeć ze wszelkiego uroku. Realne zarzuty stawiane instytucyom publicznym nazywały się „kaczkami wyssanemi z palca,“ dotknięci dygnitarze grozili procesami, lub je wytaczali, odwlekając w nieskończoność terminy sądowe, krytyczną tendencyę pisma wyśmiewano, jako donkiszoteryę nagiej duszy, która w atakowaniu wszystkich widzi swą wyższość i dojrzałość polityczną. Rzucono fałsz, że dziennik stoi na żołdzie zagranicznych rządów, aby zohydzać w opinii świata polskość.

Nie poprzestano na tem, poczęto szarpać osobę samego wydawcy. Puszczano tajemnicze niedomówienia, półsłówka pełne jadu i złośliwości, które, nie wskazując bezpośrednio Augusta, odnosiły się do niego. Zaczęto grzebać w jego życiu prywatnem. Wytknięto mu niedokończone studya lekarskie, jako brak przygotowania do życia publicznego — nie zapomniano również o jego bądź co bądź romantycznej znajomości z Kamą w Blankenbergu. Kuto na ten temat skandal, który począł intrygować całe miasto.

Początkowo August czytał wycieczki przeciw swej osobie na cały głos wszystkim członkom redakcyi, z żartobliwym uśmiechem. Rzadko kiedy odpowiadał w dzienniku. Najczęściej poprzestawał na pogardliwem milczeniu.

Lecz kiedy w pewnem, humorystycznem piśmie znalazł erotyk pod tytułem: „Gust i Kama w Blankenbergu“ — szarpnął nim gniew do głębi duszy.

— Za co to wszystko? — pytał sam siebie. Dlaczego obrzucają błotem to, co było pięknem w mojem życiu?

— Podli! podli! — krzyczał i zaciskał pięści.

Ta sama usłużna ręka wysłała egzemplarze „Hecy“ do Warszawy. Donosili mu o tem znajomi.

— Co Kama o tem pomyśli? a Sobica? — powtarzał.

Postanowił dotrzeć do źródła tej łajdackiej, zakulisowej roboty. Udał się wprost do redaktora „Hecy.“ Postawił kwestyę na ostrzu miecza. Pojedynek, albo zaniechanie napaści. Redaktor tłómaczył się, że wszystko stało się bez jego wiedzy, lecz że da mu pełne wytłómaczenie w ciągu następnej doby.

Przez tę noc, która go oddzielała od rozmowy, przeżył całe morze męki. Chwilami pytał się, czy niepopełnił jakiej zbrodni. Burzyły się w nim piekielne instynkty, które w nienawiści i pogardzie topiły wszystko, co go otaczało. Zwierzę-człowiek począł pokazywać zęby. W wyobraźni doprowadzał całe to zajście do rozmiarów kataklizmu, który musi spaść na głowy jego przeciwników i jego własną. Przestał się dziwić, że ludzie zatracają miarę sprawiedliwości, bo sam wydawał wyroki, które kończyły się krwią i żelazem.

A kiedy równowaga etyczna brała górę i gorycz zalewała mu serce... był zły na siebie, że dał się wytrącić z równowagi głupstwom i nikczemności ludzkiej.

— Mam walkę, której pragnąłem. Poznaję życie ze strony jasnej i ciemnej. Tego przecież pragnąłem. Lepsze te zmory istotne, które mnie dręczą, niż ta niepewność myśli, to szukanie drogi, bo to mogłoby mnie doprowadzić do domu obłąkanych.

Ale równocześnie zaciskał zęby na wspomnienie, że obcy ludzie wywlekają pamięć o Kamie, o której chciał zupełnie zapomnieć.

Na drugi dzień zjawił się w jego gabinecie mecenas Sowak, jeden z najwybitniejszych obrońców i człowiek, który cieszył się mirem powszechnym i o którym mówiono, że jest prawy.

— Czem mogę służyć panu mecenasowi? — odezwał się August, uścisnąwszy jego dłoń — cieszę się, że mogę powitać tak miłego gościa na naszych śmieciach.

— Dawno już wybierałem się odwiedzić pana — odparł przybyły — ale brak czasu, kłopoty, wyjazdy ciągłe na prowincyę tłómaczą mnie po części.

— Więc to tu — dodał, rozglądając się po gabinecie — pańska gazeta stroi się w piórka zapału i zaopatruje na drogę w ziarnka gorczyczne.

— A tak — rzekł z uśmiechem August — wkrótce nawet wyrobię sobie patent na sposób rozdmuchiwania nienawiści wśród bliźnich...

— O, to redaktor umie — zauważył mecenas Sowak, wycierając starannie cwikier.

August spojrzał bystro na mówiącego i dostrzegł w kątach jego ust lekki, ironiczny uśmiech.

— Tak kochany redaktorze — rzekł przybyły — weszliśmy przypadkiem na temat sporny. Przyszedłem do pana z upoważnienia redaktora „Hecy."

August zesztywniał. Wydawało mu się to dziwną rzeczą, że mecenas Sowak, wybitny obywatel, występuje w tak drażliwej sprawie.

— Choć może tak będzie lepiej — pomyślał.

— Widzę, że pan jest zdziwiony — powiedział obrońca, pięknym gestem zakładając cwikier na nos i poprawiając się na fotelu — winienem powiedzieć, że sprawy redaktora „Hecy" zastępuję już od lat kilku, od czasu, kiedy jeszcze... wszystko w tem piśmie było ubrane w koronki i przyzwoite spódniczki...

Uśmiechnął się pod wąsem.

— Trochę chłopczyna zapomniała się w ostatnich czasach — ciągnął dalej tonem subtelnym, wdzięcznymi ruchami głowy, podkreślając słowa ważniejsze — ale to ze zbytku krwi gorącej. Sam kochany redaktor wie, mówiąc między nami, jak to bywa z kobietkami.

Zniżył głos.

— Im człowiek bardziej rozochoci się do ich wdzięków, tem chciałby ujrzeć więcej uroczych stron ciała...

Uścisnął mu rękę pieszczotliwie, przymykając oczy przyjaźnie.

— Nie bronię go — zaczął znowu po chwili — daję tylko tłómaczenie psychologiczne zjawiska.

— Zatem panie mecenasie — rzekł chłodno August — jak przedstawia się moja sprawa? Czy redaktor „Hecy" zgadza się na moje żądania, czy nie?

Obrońca milczał przez chwilę, a potem z wyszukaną grzecznością rzekł:

— Niewinny... to go usprawiedliwia...

Cisza zapanowała przez chwilę. August chciał wstać wzburzony, ale zrozumiał, że nieoględność może go zgubić. Silniej

tylko ścisnął głową poręcz fotelu, na którym siedział, nie odpowiadając ani słowa.

— Ów wierszyk — mówił dalej mecenas — podsunięto mu, nie wskazując osoby, do której treść się odnosiła. Skąd więc mógł wiedzieć, że we wspomnieniach pańskich może żyć piękna sylwetka jakiejś Kamy?

August przyznał mu w duszy słuszność.

— Lecz zamiast go tłómaczyć — mówił dalej obrońca — wolę kochanemu redaktorowi uprzytomnić to, że ta napaść ostatnia była jedną z całego szeregu innych, bardziej dotkliwych i bardziej zjadliwych, z jakimi spotykałem się w pismach. Ów wierszyk inkryminowany jest małem oczkiem w łańcuchu napaści bezczelnych na osobę redaktora. Zdawałoby się, że jedna i ta sama ręka inscenizuje te kalumnie. Skąd to pochodzi?

— Skąd to pochodzi? — wykrzyknął mimowoli August — ja sam pytam się o to.

— To rzecz jasna — mówił z uśmiechem obrońca, bawiąc się złotym łańcuszkiem zegarka — to jeden ze symptomatów bardzo pospolitych... to zwykła homofobia. Panu się szczęści. Pierwszy powód do zawiści i gniewu. Pan jest niezależny, bogaty, powód drugi. Pan prowadzi przedsiębiorstwo, które rozwija się świetnie, ale kosztem cudzych kieszeni i niepokojem wielu wybitnych jednostek...

Utopił w redaktorze oczy zagadkowe, przeszywające na wylot.

August otwarł szeroko oczy. Nie rozumiał słów Sowaka.

— Co mecenas chce przez to powiedzieć? — zapytał, nie ukrywając swego zdziwienia.

— To — rzekł dobitnie zapytany — że dziennik pański jest świetnym interesem, a jest świetnym dlatego, że pan trafił na złotą żyłę. Kochany redaktorze... krytyka zawsze była i będzie lustrem magicznem, które ściąga ciekawość postronnych... a jeśli ta krytyka jest zręcznem piórem pisana i w sam czas podana, efekt musi być tembardziej niezawodny. Pański dziennik daje codzień cięte artykuły, nie liczy się z żadnymi względami, tchórzliwych zachwyca śmiałością, pesymistom daje karm krytyczny, niewiniątkom otwiera oczy... jest, jednem słowem, lustrem magicznem... cudowna żyła... redaktor wszystkim goli brody, wąsy, nawet półgłowy, czy chce czy nie chce... to piekielnie świetna intuicya, w jaki sposób zdobywa się prenumeratorów.

August skulił się na krześle. Na twarz wystąpiły mu silne rumieńce.

— Mecenas robi mnie kupcem — wyrzekł wreszcie i urwał. Na usta cisnęła mu się skarga piekąca, żal bezdenny, ale instynkt mówił mu, że w uszach Sowaka słowa jego będą brzmiały jak przykry dysonans.

— Kochany redaktorze — odezwał się mecenas, biorąc go za rękę — bądźmy między sobą szczerzy. Kto z nas nie jest kupcem? przecież to nawet zaszczyt! czy ja zarzucam panu, że interes prowadzi pan nielegalnie? czy jednak nie jest to zmysł kupiecki tak prowadzić pismo, jak pan to czyni?

August wstał zmieniony na twarzy. Czuł wypieki piekące mu skórę. Ktoś pierwszy raz w życiu deptał po nim, a on nie miał środków odwetu.

— Przecież jest różnica — zaczął mówić.

— Żadnej — przerwał mu obrońca, ubiegając jego myśli — absolutnie żadnej! nie mamy nawet o czem mówić. Przecież, drogi, kochany redaktorze, mnie pan nie odpowie tym pięknym frazesem: „Idę w bój za prawdę.“ Ja, który tyle przeżyłem w życiu swojem i tylu ludzi poznałem, miałem sposobność raz tylko poznać się z takim osobnikiem fanatycznym, ale... ów pan wołał tak, zgrawszy się w karty i straciwszy pięć klepek.

August chciał protestować.

— Pozwól kochany redaktorze. Jeszcze kilka słów, zaraz skończę. Nie chcę być źle zrozumianym. Rzecz inna uczciwość, rzecz inna frazes: „Idę w bój za prawdę.“ Hasło to jest frazesem, jeśli pomyślane jest w oderwaniu od wymagań życia, jeśli nie liczy się z powodzeniem, jeśli niema warunków zaaklimatyzowania się, jeśli jest surogatem czystej abstrakcyi. Czasy cudów minęły. Dziś można iść w bój za prawdę pod warunkiem, że pan dowiedzie swej prawdy przed trybunałem karnym, bo inaczej pan dostanie się do nieidealnej celi więziennej, że pan rachuje na zbyt, bo inaczej znaczenie prawdy zejdzie do zera, i nikt się z niem liczyć nie będzie, że panu ta prawda rentuje, bo inaczej nie będzie pan miał środków, aby inne prawdy wyrazić...

— Oto — rzekł, wstając powoli, z blaskiem pogromcy w oczach — naga istota rzeczy. Kto się z nią rozminie, kręci kark. Kochany redaktor dostosował się do istoty rzeczy i dlatego interesa i przytem „prawda“... idą...

Delikatnie położył mu rękę na ramieniu, uśmiechnął się.

August szukał słowa, w którem zamknąłby się protest jego duszy i krzyk gwałconego uczucia, lecz znalazł tylko jedno słowo blade, rozpaczliwie nikłe.

— Przypadkowy zbieg okoliczności — rzekł, unikając wzroku mecenasa. Bał się, że wybuchnie.

— Hahaha — zaśmiał się obrońca Sowak — niech i tak będzie.

— Przypadkowy zbieg okoliczności — powtórzył August, ale takim zimnym i bezwzględnym tonem, z takim nieugiętym uporem i zaciekłością w głosie, że mecenas przestał żartować i nastroił się na ton poważny.

— Kochany redaktorze — odezwał się — przyjmij od swego przyjaciela jedną radę. Jeżeli kto chce walczyć i zapewnić sobie możność tej walki, to nie walczy nigdy ze wszystkimi równocześnie. Szukaj przyjaciół choćby tymczasowych, ale ich szukaj. Bez nich, bez stronnictwa, na którem mógłbyś się oprzeć, będziesz wisiał w powietrzu... Będą cię wszyscy podejrzewali o najgorsze rzeczy... Idealne kryteryum sprawiedliwości tu na ziemi nie da się stosować.

August chciał rzucić mu w oczy:

— Dlaczego?

Ale nie czuł się na siłach. Otwierała się przed jego oczami głąb potwornych, przerażająco jasnych pytań, przed któremi wolał się cofnąć. Nie odpowiedział nic, zwiesił głowę.

Obrońca stracił pewność siebie. August stał się dla niego zagadkowym. Nie lubił takich ludzi. Zakręcił się niespokojnie po pokoju, a wreszcie zapytał niedbale:

— Czy szanowny redaktor obstaje za otrzymaniem satysfakcyi od mego klienta?

August nic nie odpowiedział. Spojrzał smutnie w oczy mówiącego.

— A zatem? — powtórzył Sowak pytanie oschłym głosem.

— Nie.

Obrońca popatrzał badawczo na Augusta. W głębi duszy zdziwił się, potem przypisał to swej zręczności adwokackiej, uśmiechnął się więc pod wąsem.

— Dziękuję — odparł zadowolony i podał mu rękę na pożegnanie.

Zamknął drzwi za sobą z pewnym hałasem.

— Tylko nie zastanawiać się nad niczem — powtarzał bezustannie August, tam i napowrót krążąc po gabinecie — nad niczem, tylko nie zostać sam na sam, bo tu cienie za mną chodzą! opadną mnie i znowu zacznie się ta męka... potem apatya... potem jęk...

Zadzwonił na służącego.

— Czy panowie są jeszcze w redakcyi? — zapytał.

— Wszyscy wyszli.

— Dobrze. Podaj mi futro. Artykuł zanieś do drukarni.

Wypadł na ulicę. Owiało go mroźne, grudniowe powietrze. Szukał oczami tłumu, zgiełku. Pusty chodnik wydał mu się nieprzebytą przestrzenią.

— Prowadzę interes — mruknął — hahaha!

Za plecami poczuł cień, który mu obie ręce kładł na policzkach — na twarz buchnęły mu rumieńce.

— Za co to wszystko? — szepnął przez zęby.

Stał przez chwilę — zamknął oczy. W głowie poczęło mu wirować tysiące myśli.

Żachnął się i wskoczył do tramwaju, który właśnie nadjechał. Teraz dopiero namyślał się, gdzie ma się udać.

— Do znajomych, albo na wystawę, albo do cukierni...

— Do kogoś, z kim mógłbym pomówić, jak ze starym przyjacielem — ktoby miał miękką, wrażliwą duszę — ktoby nie pytał, a czuł...

Wpatrzył się przed siebie. We mgle błysnęły mu szyby dworu mięckowickiego, wyniosła weranda, skąd widok szeroki na rzekę i wzgórza... dojrzał sylwetkę Michasi... na drodze białym śniegiem okrytej Jasia, panią Natalię... szli naprzeciw niego, trzymając się za ręce.

Ciepłe uczucie ulgi i rozkoszy przeniknęło go całego.

— Tam odetchnę — szepnął do siebie.

Ojca zawiadomił, że jedzie do Michasi. Z drogi telegrafował do sekretarza redakcyi, aby go zastąpił, dopóki nie wróci. W kilka godzin później, wysiadłszy z pociągu, jechał już w saniach najętych do Mięckowic.

Noc była. Powietrze pachniało cudownym, mroźnym oddechem śniegów, które legły zaspami po obu stronach drogi. Białe prześcieradła usłały się po ogromnych pustkowiach i czołgały się potwornemi zsiniałemi łapami aż pod czarne mury lasów, które stały na wzgórzach niby zaklęte krainy sfinksów. Nad oceanem śniegów toczyło się po szafirowem, bezdennem sklepieniu srebrne lustro księżyca. Jakieś przepotężne, świetliste ukojenie szło od niego na zimowy krajobraz podkarpacki...

Sanki dzwoniły, a drżące kołatanie metalu biegło nieśmiało przed się, po świecącej od mrozu drodze.

August otulił się w futro i patrzył na wielką górę, która go oddzielała od Mięckowic. Góra odarta z lasów od podnóża do szczytu, stała, jak widmo skamieniałej, przeolbrzymiej mniszki, ubranej w biały nieskalanej czystości habit. Mniszka

przy blasku niebieskiej, księżycowej lampy mówiła pacierze w kaplicy...

Zamknął oczy.

— Co powiem Michasi?

Uśmiechnął się. Czuł jej ciepłe ręce, obejmujące go za szyję. W pocałunku zamknie wszystko: przebaczenie, powitanie i radość...

— Jedźmy! — zawołał na górala.

Chłop oglądnął się na niego, spojrzał z pod oka i mruknął:

— A dyć dzwonimy, jak na podniesienie...

Sanki sunęły po stromem zboczu, na dnie którego warczała górska rzeka. Czarne, stalowe fale przelewały się po głazach, obrośniętych zmarzniętą pianą i gnały bez pamięci zadyszane w dal...

— Ryk życia — pomyślał August, lecz uśmiechnął się na wspomnienie, że daleko za sobą zostawił miasto, męczącą pracę i rozterki wewnętrzne.

— Czy nie lepiej, jak ta rzeka, gnać przed się, póki sił starczy, tam, gdzie nas pęd niesie? — pytał sam siebie — czy nie w tem tkwi zdrowie natury, że żyje dla siebie, o nic się nie troszcząc?

Niecierpliwie poruszył się na siedzeniu.

— Zawsze to samo... zawsze pytanie...

Gorejąca, zimna lampa nocy ukryła się za górą. Ogromna noc, biaława od śniegów, zagarnęła sanie, konie, woźnicę i Augusta pod swoją oponę. W dali, po bokach, błyszczały wysrebrzone, zbłękitniałe, nieruchome płaszczyzny pól i stała nad niemi półkula niebieska usiana centkami gwiazd drżących od mrozu. Chłód przejmujący buchnął na nich...

— Jedźmy! — rzekł mimowoli August.

Góral nie obejrzał się na jegomościa, któremu śpieszyło się do domu, tylko uderzył koniska lejcami po dymiących bokach i dalej drzemał.

Ale konie zwolniły biegu. Droga szła stromym wąwozem. Górą jaśniały ubielone śniegiem krawędzie i płynął blask księżycowy, jak rozpięta, przezroczysta, szafirowa szyba. Dołem mrok ich ogarnął. Ściany wysokie stały na straży, by cienie mogły się paść w wąwozie na poczerniałych żlebach i potarganych łatach śniegu.

— Z góry ujrzę dwór mięckowicki — pocieszał się August co chwila.

Nareszcie rozstąpiły się boki skaliste... nad saniami ustawił się księżyc, czepiając się gałęzi jodły — konie wjechały na kark a potem na czaszkę olbrzymiej góry, która świeciła od dołu białym habitem...

Augustowi zabłyszczały oczy. Stał, jak na samotnej, osiwiałej wyspie, a dokoła na morzu blasków rysowały się archipelagi innych wysp, również błyskających białemi ciałami i również czerniejących zboczami lasów... a nad tą bezmierną ciszą wzgórz unosiła się wypukła bezdeń błękitnej nocy rozkochana w czarnej, świecącej kuli księżyca i w kryształowych, srebrnych gwiazdach...

Wchłaniał w siebie uroczyste, surowe piękno natury i goił niem spiekotę duszy...

— Jakżem mały — szeptał — i jak daleki od tej niezmąconej harmonii...

Sanie sunęły w dół z szybkością bezmyślną, co chwila zataczając łuki po wyślizganej tafli gościńca i uderzając o miękkie zaspy śnieżne. Konie, czując wieś, gnały, parskając na zawody.

— Dobrze będzie — mruknął góral, oglądając się na Augusta, ale ten ani słowa nie odrzekł, uśmiechnął się tylko na znak zgody.

— Ten ma twarde kościska — pomyślał chłop — albo gdzieś w łeb dostał — i począł ściągać rozbiegane konie.

Brzęk dzwonka hulał po dolinie coraz donośniej i śmielej.

Zdaleka dojrzał werandę, lecz na niej nie było ani żywego ducha. Biały dwór mięckowicki świecił czerwonemi oknami wśród wachlarza drzew.

Sanki zajechały przed ganek.

Służący wyjrzał z przedpokoju.

— Kto tam? — spytał.

— Swój.

August zrzucił futro i wszedł bez pytania do pokoju bawialnego.

— Gustek — krzyknęła Michasia i zerwała się z krzesła wzruszona.

On nic nie mówił, tylko chwycił ją za ręce i całował palce, patrząc jej z pokorą w oczy. Potem uściskał pana Wincentego, małego Jasia i podał rękę pani Natalii.

— Skąd przyjeżdżasz?

— Wujcio! pójdziemy jutro na polowanie...

— Takie długie milczenie...

— Co wieczór czekaliśmy.

— Niedobry.

— Michale, wieczerzę dla pana.

Blask lampy, ciepło pokoju, roziskrzone twarze pytających, przyjaźń, która płynęła z ich ruchów, uścisków, słów, tysiące pytań i wykrzykników, które go opadły, podziałały na niego jak prąd elektryczny.

— Uciekłem do was, jak zbieg z pola bitwy — rzekł rozradowany — i szczerze wam powiem, że to całkiem przyjemne uczucie. Zamiast słuchać świstu kul wpadam do Mięckowic i jestem w zupełnie innym świecie.

Otoczyli go kołem. Usiadł wśród nich. Różowa lampa rzucała im na twarze wesołe tony. Przez szyby okien bieliła się srebrzysta, zimowa noc.

— Zjawił się, jak królewicz z bajki — pomyślała pani Natalia.

Michasi śmiały się oczy do Augusta. Nie dowierzała sobie jeszcze, czy to nie złuda.

— Na długo przyjechałeś? — zagadnął pan Wincenty — czy po ogień, czy na wywczas?

— Na tak długo, dopóki mnie nie wyrzucicie — odparł August. W Krakowie gotów byłem przysiądz, że świat cały, to jeden bełkot i odmęt. Tu, gotówem przysiądz, że świat jest cudowny. Odmłodniałem po drodze. Wasze śniegi, wasza rzeka i ten błękit nocy wyciągnął ze mnie wszystko to, co mi dolegało.

Mówił z entuzyazmem.

— Jestem widać synem ziemi czystej krwi — dodał z uśmiechem — i teraz wracam na jej łono, jak marnotrawny syn.

Pan Wincenty pociągnął wąsa.

— Podobają ci się nasze strony? To dobrze. Ja tam stękam w lecie nieraz, jak mi grad przetrzepie zboże, albo woda zabierze pokos, ale kiedy mię dyabli biorą już na dobre, a Michasi niema w pobliżu, jak podeprę sobie boków, jak stanę mocno tam, uważasz, pod Wysokiem i zawołam do biedy na głos: A chodźno do mnie, niechaj ci zbliska zajrzę w zęby — tak ona nogi za pas i w dół do rzeki, a mnie kamień z piersi bęc na ziemię i za nią w dyrdki... tul, tul, tul — rym, buch do wody, zaś ja wracam do domu ze wściekłą fantazyą. To dobrze, że ci się podobają nasze strony.

August tarł ręce z radości:

— To, to, to... dajcie mi tylko kawał ziemi, serce podeprzyjcie kołkiem, aby się nie skurczyło, a tu stworzę asylum dla wszystkich, którym dusza obumiera.

— Ja wiem, co to jest — rzekł po chwili ze smutkiem — i dlatego byłaby to cudowna rzecz...

— Byłaby to cudowna rzecz — wykrzyknęła pani Natalia, patrząc z uwielbieniem na Augusta.

Po wieczerzy Michasia odprowadziła brata do jego pokoju. Szli oboje pod rękę, nie mówiąc do siebie, tylko dłonie trzymając w uścisku. We drzwiach August ucałował ją w czoło.

Michasia patrzyła mu w oczy bardzo wymownie.

— Chodź — rzekł do niej — pogwarzymy.

Poszła za nim cicho, jak kotka. Usiadła pod oknem, nic nie mówiąc. Czekała, póki sam nie zacznie się wywnętrzać. Rozumiała, że brat dużo przeżył w ostatnich czasach, a wiele było dla niej zagadką.

On chodził po pokoju, nie ukrywając wcale swego zdenerwowania. Pierwszy serdeczny nastrój, który go owiał, minął. Fala zgryzoty wróciła i uderzyła w serce.

Stanął wreszcie przed nią.

— Wiem, że mi przebaczyłaś moją niewdzięczność — począł mówić — ale to nie zmienia postaci rzeczy. Kapitalnie licho zachowałem się względem ciebie. Zdawało mi się wtenczas, że zdobywam się na heroizm, odtrącając wszystkich tych, którzy mi są przyjaźni. Miałem w sobie okrutne pożądanie umocnienia samego siebie wszelkim kosztem i zacząłem kosztem najłatwiejszym, jak dziś widzę, bo zerwaniem z tobą.

— Mój drogi — odezwała się — znam ciebie i wiem, że nie zrobiłeś tego z egoizmu.

— Ach, niechby było nawet z egoizmu — zawołał — byle z tego egoizmu wybuchła jakaś siła, coś, coby mię wzięło za włosy, coś, coby przemożnie targało mną aż do zapamiętania. Chciałem tego, pragnąłem, próbowałem coś zacząć robić, ale już mnie siły opadają — to nie to! to nie to!

— Zniechęcili cię — wtrąciła — wszak tak?

— Nazwij to jak chcesz, kochana, ale ja już nie mogę dawać duszy tej robocie wydawniczej. Myślałem, że początki najgorsze, że przebrnę, że włożę się i tak pójdzie dalej, byle raz już skończyć z tem bezowocnem filozofowaniem, wszystko napróżno.

— Masz punkt zaczepienia dla siebie — mówiła spokojnie — a to dużo znaczy. Nie chcę przez to powiedzieć, że to twój ostateczny cel, ale dobry, jako próba, jako praca.

— Gdyby, gdyby — przerwał jej rozpalony — ja też nie rzucę dziennika, ani go nie sprzedam, tylko mówię, że zamiast przekonywać się do mojej pracy, nabieram do niej wstrętu. To, co myślałem, że będzie środkiem walki, staje się środkiem zysku... w oczach ogółu... mija się ze swojem bezpośredniem przeznacze-

niem, mija się z tem, co zdaje mi się, że kocham nieświadomie, a gorąco... przestaje być szczeblem do ideału — a staje się czemś potwornie odwrotnem...

— Znajdziesz takich, co cię zrozumieją, ocenią... pójdą za tobą — przekładała mu.

Ale August uniósł się.

— Znajdę takich — zawołał szyderczo — hahaha! Właśnie od nich uciekłem do was, aby przyjść do siebie. O nie myśl, że jestem tak czułostkowy, abym aż ideałów szukał w ludziach... ale przekonuję się, intuicyą to wyczuwam, że my ludzie, my społeczeństwo, stoimy jeszcze ogromnie nizko kulturalnie — wśród nas żyć mogą tylko malutkie, zaściankowe ideały — dla wielkich, wolnych niema jeszcze miejsca, niema piersi dość szerokich, więc te wielkie, wolne karłowacieją, rozbijają się o koło młyńskie codziennego życia, które miele mąkę... na strawę... Hahaha... znajdę ludzi, którzy ocenią! mnie, epigona tej strasznej, przeklętej warstwy ludzi, zapalających się do ogromnych rzeczy, ale niewiedzących, jak te ogromne rzeczy wyglądają! hahaha!

— Nie, moja droga — rzekł sucho — tak nie dojdę do niczego. W tej chwili jasno mi się przedstawia wszystko. Kiedy do was uciekałem, i wtenczas z Blankenbergu, i teraz z Krakowa, uciekałem, jak raniony zwierz, nie wiedziałem co z sobą począć — ludzie targali mnie, człowieka, rozumiesz, ludzie mnie, człowieka, a ja gdzie byłem? w obłokach?... zamiast być z nimi wykonywałem ewolucye karkołomne ponad chmurami, ewolucye, nie mające żadnej styczności z życiem realnem, z tem życiem, które mnie gryzło. W tem tkwiła wściekła pomyłka! w tem był cały błąd.

— Ale może w tem właśnie, że byłeś inny, byłeś wielki — szepnęła nieśmiało Michasia.

— Moja złota, skończmy już raz z owem przekonaniem, które utrwaliło się w mojem najbliższem otoczeniu co do mnie. To właśnie, żeście we mnie dopatrywali się kandydata na wielkiego człowieka, było waszym egoizmem, bo dogadzało wam — błagam cię skończmy raz z tem. A może to jest mojem nieszczęściem? może właśnie dlatego nie mogę dostosować się do życia i zrywam się na dziwaczne wysiłki!.. hahaha!.. przecież tak dalej, a będę poprawnem wydaniem Don Kichota.

Michasia namyśliła się i smutnie rzekła:

— Kto z nas wie, w czem tkwi bohaterskość... może w najmniejszym z czynów, jakie dokonywać można codzień...

— Mniejsza z tem, moje złote dziecko, co się mnie tyczy, jestem już na właściwej drodze.

Błysk ciemny zaświecił mu w oczach. Przeszedł niespokojnie tam i napowrót po pokoju.

— Zamiast rozlewać się, poczną się kurczyć — rzekł szyderczym głosem — trzeba się skurczyć, aby wejść w istotę pokurczonych dusz... czyż my wszyscy, jak jesteśmy, nie jesteśmy menażeryą pokurczonych dusz...? hahaha...

Michasia podniosła się z miejsca. Zabolały ją słowa brata.

— I myślisz, że znajdziesz w tem szczęście? — zapytała go jasnym głosem.

August gorączkowym ruchem wzburzył włosy na głowie. Coś zapiekło go w piersiach.

— Dlaczego chcesz — wyrzucił przez zęby — abym ja był inny od was? Dlaczego ja mam gryźć kości kiedy wy wygodnie karmicie się mięsem? co ty za posłannictwo spełniasz na świecie, aby do mnie tak górnie mówić? co?

Zdumiona spojrzała na niego szeroko rozwartemi oczami. Fala jego słów uderzyła w nią z siłą żywiołową. Pierwszy raz ktoś tak do niej mówił i brutalnie targał jej spokojne serce.

A on rozwścieczony tą właśnie myślą, która go żreć poczęła, miotał dalej wyrzuty:

— Po matce dostałaś majątek, tak, co? byłaś więc niezależna, czy to było posłannictwo? Przyszedł pan, powiem brutalnie, pan samiec, do ciebie panny — do panny czekającej — i cóż się stało? — małżeństwo! znaleźliście uzupełnienie wzajemne natur, czy to posłannictwo? — macie syna — i co dalej? gdzie góry? gdzie wasze życie podobłoczne? czy to życie od wiosny do lata, od lata do jesieni i zimy? — hahaha — gdzie w tem posłannictwo? obywatelstwo? — kpię z tego — to używalność przywilejów życia, a nie tworzenie życia.

Michasia zbladła. W przerażająco wyrazistym rysunku ujrzała siebie. Zbladły jej usta i zadrżały. W oczach zawisły duże łzy.

— To nie z żalu — broniła się — tylko powiedziałeś mi taką bolesną prawdę... jaka ja muszę być śmieszna w twoich oczach...

— Ależ nie — mówił żywo August, biorąc ją za rękę — nie jesteś śmieszna, żyjesz, jak żyją ludzie... To właśnie jest może śmiesznością, jeżeli chce się mieć życie innem, jak być ma... Do krocset dyabłów... w mózgu ludzkim tkwi nieuleczalna choroba, którą powinno się leczyć jak dżumę, a tą jest pożądanie nowości, pożądanie ciągłych przemian. Tę chorobę zabić, a nie byłoby wo-

jon religijnych, nie byłoby stosów, nie byłoby filozofów, nie byłoby waryatów!

— Mówię podle — dodał, łamiąc rozpaczliwie palce w stawach — ale mówię trzeźwo...

Michasia cicho płakała. W sercu jej obumierało tajone marzenie... gasła gwiazda nad głową brata.

August nachmurzył się i stanął w oknie.

— Powiedziałem — rzekł po chwili — więcej niż chciałem. Ale ty to rozumiesz. Nie mogę odpowiadać za siebie w takim fermentacyjnym okresie, jaki teraz przeżywam. Jedna myśl pociąga za sobą drugą, a ta niespodziewanie trzecią, całkiem odmienną. Mniejsza z tem. Doszedłem wreszcie dzięki temu do bardzo ciasnego pojęcia, ale jasnego... trwałego... trzeba być człowiekiem... Ojciec nasz dobrze powiada: trzeba być zdrowym człowiekiem. A ja dodam: pokurczonym człowiekiem, byle raz wiedzieć, na czem się stoi i czego się chce.

Zamyślił się.

*

* *

Na drugi dzień śnieg sypał biały, jak puch, i niezmordowany. Z pod szarego baldachimu leciały płatki zmrożone, ścieląc się jedną warstwą na drugiej. Jak przez gęste, bezbrzeżne sito padały białe narcyzy... i zamieniały wszystko w ogród śnieżny...

Zaprzężono sanie. Do jednych siadła Michasia z mężem i Jasiem — do drugich August z panią Natalią.

— Jedźmy przez las — zawołał August.

Po morzu opadłych śniegowych kwiatów mknęły sanki lekkie. Niepokalana białość czepiała się kopyt końskich, uprzęży, siadała na grzywach, na futrach i czapkach.

— Będziemy mieli cudną drogę — rzekła pani Natalia.

— Za godzinę — odparł August z uśmiechem — kiedy wrócimy z przejażdżki — zamiast nas, wysiądą z sań dwa sople lodu i dwie barwy.

— Jakie? — zapytała.

Zamiast odpowiedzieć wskazał ręką na ocean bielący się dokoła, i ten deszcz śniegu, który zasypywał wszystko.

— Wtenczas nikt nie powie — rzekł — że wysiadła pani Natalia i August, ale wszyscy powiedzą, że wysiadły — bliźnięta...

Oboje zaśmieli się serdecznie.

August pomyślał w tej samej chwili, że Sobica i Kama jadą może tak samo sankami po Alejach Ujazdowskich albo na Bielany.

— A ja jadę z panią Natalią — rzekł głośno, aby odpędzić kolec, który wbijał się mu w serce.

Zaśmiał się szyderczo. Z niechęcią spojrzał na swoją towarzyszkę. Zasypana śniegiem patrzyła na niego przez woalkę niebieskiemi oczami zmięszana, niepewna.

— Może zawadzam panu — zapytała cicho po chwili — pan potrzebuje spokoju, a moje towarzystwo niekoniecznie dobrane.

August żywo zaprzeczył.

— Dlaczego pan ze mną nie ma być szczerym — rzekła — ani mnie to obraża ani boli. Owszem będzie mnie to cieszyło, że pan może spokojnie myśleć.

— Na Boga, zostań pani — zawołał August i chwycił ją za rękę w chwili, kiedy chciała zatrzymać woźnicę.

W milczeniu jechali dalej.

August był ponury. Słowa pani Natalii uprzytomniły mu kontrast, jaki zachodził między nią a Kamą. W ustach poczuł smak piołunu.

— Pies dla niej był wart więcej odemnie — pomyślał z wściekłością.

— A teraz — przelatywały mu przez głowę pytania w miarę, jak sanki szybciej lub wolniej sunęły — a teraz co robi? co myśli o mnie? Precz z nią! Darowałem ją Sobicy. Hahaha — tak darowałem mu ją, jak pudełko cukrów. Odstąpiłem mu prawo zjadania słodyczy.

Sanki podskoczyły w górę. Uderzyły o duży kamień, który ukrył się pod śniegiem. August przechylił się mocno w bok i omal, że nie wypadł. Pani Natalia mimowoli wydała okrzyk przerażenia i instynktownie chwyciła go za rękę.

Spojrzał jej w oczy wystraszone ze zdziwieniem. Podziękował jej skinieniem głowy.

— Ratowała pani sopel lodu — rzekł po chwili z gorzkim uśmiechem.

Pani Natalia nic nie odpowiedziała, tylko zamknęła oczy. Uśmiech błąkał się jej po ustach.

— Kobieta — błysk nagły przeleciał mu przez głowę.

— Kama jedzie z Sobicą sankami a ja z nią — powtarzał z uporem.

Szukał jej ramienia. Znalazł je. Oparł się delikatnie. Nie odsunęła się w bok. Dreszcz ciepła przeniknął go całego. Bał się spojrzeć jej w twarz, aby nie wyczytała w jego wzroku czegoś, czego mogłaby się przelęknąć.

Na zakręcie sanie potoczyły się po łuku ostrym. Siła odśrodkowa zesunęła nagle panią Natalię w stronę Augusta. Chwycił ją za rękę, lecz kiedy dalej mknęli nie wypuścił jej dłoni.

— Jaka zimna łapka — szepnął.

Nie odpowiedziała nic, ale ręki nie cofnęła.

— Pamięta pani — pytał cichym głosem — naszą rozmowę w lesie?

— Pamiętam — odpowiedziała — po tysiąc razy wyrzucałam sobie później, że byłam względem pana tak niesprawiedliwa.

— Dlaczego?

— Bo czyż moje życie mogę przeciwstawiać w czemkolwiek panu, który przeżywasz myślą może tysiąc razy większe nieszczęścia. Moje nieszczęścia minęły, jak złamane gałęzie przez wicher — zapominam o nich... A pańskie? te wyobraźnią wykołysane? te w duszy przeżywane?

— Jak ona to dziwnie dobrze powiedziała — pomyślał.

Zmrużył oczy. Śnieg padał mu na twarz chłodnemi płatkami, a on w dłoniach trzymał drobną rękę kobiecą, która z zaufaniem bez zastrzeżeń, dała mu się zatrzymać. Rozkosz posiadania czegoś, coby mu było oddanem ślepo, niewolniczo, bez oporu, bez szarpania nerwów, ogarnęła go całego. Uśmiechnął się mimowoli.

— Czy ona wie, że umyślnie zatrzymałem jej rękę — zapytywał sam siebie — i coby powiedziała?

Chciał jej to dać uczuć, ale przeląkł się, że ją spłoszy i że znowu rzeczywistość wciśnie się między ich ramiona, ich oczy i myśli.

Milczał. Zamknął oczy. Na ustach siadały mu zimne gwiazdki, które rozpuszczały się szybko i grzały mu wargi... Z pod kopyt końskich szedł stłumiony huk, uciekającej w tył drogi... Siedzieli obok siebie blisko, wchłaniając w piersi mroźne, przeczyste powietrze...

— Dobrze tak — rzekł po chwili.

Pani Natalia przechyliła lekko w tył głowę. Blask młodości budzącej się do życia ponownego, siadł na jej policzkach różowych, na ciemnych falach włosów, które wymykały się z pod kapelusza, na rozchylonych wargach...

— O czem pan myśli? — zapytała.

— O tem — mówił stłumionym głosem — że w życiu ludzkiem najlepsze są chwile, które człowiek ukradnie złudzie i że najstraszniej jest, kiedy człowiek nie może tych chwil zatrzymać.

— Nie zapomniał jeszcze o niej — pomyślała pani Natalia.

— Z rozmów z Michasią dowiedziała się o Kamie i o zerwaniu Augusta z nią, resztę dosnuła sobie w duszy.

— Pan sam mówił — pocieszała go poważnie — że każdy może posiąść szczęście. Jeżeli nie jedno, to drugie... a wiara wiele może.

August silniej uścisnął jej rękę. Pani Natalia nie cofnęła dłoni. On zaś czując ciepło jej palców, począł zmysłami ogarniać ją całą, patrząc zmróżonemi oczami przed siebie.

— Jestem mężczyzną — mówił do siebie — mam prawo do życia pełnego. Ona także. Pod soplą lodu jej młode ciało także drży. Dlaczego nie mam być tym, który złudną chwilę przemienia w rzeczywistość? przecież jej rękę trzymam mocno i ona to czuje...

Obrócił głowę, spojrzał jej w oczy blaskiem rozgrzanych źrenic. Wydała mu się piękną — wydała mu się przedewszystkiem kobietą, która jak bluszcz owija się dokoła jego ramion.

Pani Natalia nie zamknęła powiek. Patrzała na niego z uśmiechem.

Widział jej usta rozchylone. Pociągały go siłą nieprzepartą.

— Przypić się do tych warg — krew szeptała w nim głośno — i nic nie mówić, bo wszystko będzie zrozumiane.

Strach go zdjął na myśl o tem, co może nastąpić. Opanował się siłą woli — pochylił głowę, zbladł. Usta mu drżały.

Pani Natalia spostrzegła tę nagłą zmianę w Auguście. Uświadomiła sobie fakt, że jej dłoń spoczywa zbyt długo w jego rękach.

— Czy i on taki, jak inni? — pytała się w duszy z przerażeniem.

Serce jej poczęło gwałtownie bić. Krew uderzyła jej do twarzy. Gdyby mogła, zapadłaby się cała pod ziemię. Chciała cofnąć rękę — lecz w ostatniej chwili, kiedy spostrzegła bladość Augusta, zrzekła się tego oporu. Siedziała odtąd z lękiem w sercu, skulona, bojąca się słów, które mogła usłyszeć.

Ale August milczał. W duszy przeżywał całe piekło wstrząśnień i pożądań, na zewnątrz nie wypowiadał się ani jednem słowem. Tylko usta silnie zacisnął i dyszał.

— Dlaczego Natalia niema być dla mnie taką dobrą, jak Kama? — stawiał sobie pytanie.

— Czy różnią się czemkolwiek?

— Czem?

— Inny ma odcień włosów? inną kibić? inne rysy twarzy?

— Hahaha.

— Obie kobiety, do obu pcha mię ta sama siła, u obu znajdę tę samą rozkosz.

— Kamę sprzedałem, po Natalię tylko ręcę wyciągnąć! będzie moją...

— Nie oprze się...

— Etyka? hahaha...

— Przedewszystkiem trzeba być człowiekiem — trzeba żyć poprostu, jak natura... trzeba pić u źródeł czystych, prostych...

— Ulegam jej ponętom tak, jak uległem ponętom Kamy? czy jest jaka różnica między niemi? niema żadnej.

— A więc?

Pochylił się naprzód — odwrócił głowę ku niej, dłoń jej mocniej ściskając.

Pani Natalia w tej samej chwili chciała wyrwać mu rękę. Oczy mgłą jej zaszły. Nie przemówiła ani słowa, tylko usta jej rozchyliły się więcej, tylko krew bujniej napływała jej do warg.

Szkarłat jej ust palił oczy Augusta. W jej pociemniałych oczach dojrzał głębię, która mogła napoić jego pragnienie. Przypił się ustami do jej ust i nieodrywał ich długo. Burza krwi grała mu w mózgu, w piersiach, w całem ciele.

— Moja, moja, moja — jakiś głos krzyczał za niego w otchłaniach duszy.

A ona próbowała odepchnąć go, próbowała zacisnąć wargi — napróżno. Był brutalnie silny. Osłabła. Głowę przechyliła w tył parta jego płonącemi ustami i przytłoczyła ją do poduszki śniegu, który zasypał oparcie. Chciała krzyknąć, ale myśl, że woźnica usłyszy, zabiła w niej głos.

August pił z jej ust żar rozkoszy. Zwycięztwo odnosił straszne, bolesne. Upajał się niem do nieprzytomności. Ustami szukał jej zimnych policzków, czoła, przestraszonych oczu — pił śnieg wpleciony w jej włosy.

— Moja, moja, moja! — jakiś ryk dziki nieupamiętania darł mu się przez gardło.

Puścił ją. Spojrzał w jej przerażone, nieruchome źrenice rozgorzałemi oczami. Nic nie chciał mówić, bo nie miał co. Nie zrozumiałaby tego. Od niej wszystko teraz zależało.

— Dlaczego nie uderzy mnie teraz — pytał sam siebie — dlaczego nie rzuci mi w twarz słowa: zwierzę? dlaczego zębami nie poszarpie mi rąk, któremi trzymam jej dłoń zsiniałą?

— Dlaczego milczy?

— Zatem niech rzuci mi się na szyję, niech mi powie: twoja jestem...

— Milczy.

Jakaś nieogarniona litość nad marnością własnego postępowania poczęła mu rozpierać piersi — ktoś palcami ściskał mu gardło i wołał do ucha: podły — podły...

Pani Natalia blada siedziała nieruchomo. Ręce ukryła w zarękawku. Z pod zsiniałych powiek nawet łzy nie chciały płynąć.

W Auguście zadygotały wszystkie nerwy.

— Ani moja... ani mściwa... tylko bezbronna... a ja nędznik...

Sanie mknęły po puszystym dywanie śniegu lotem ptaka. Dłonie czarodziejów sypały z bezdennej mgławicy, wiszącej nad doliną, chmury iskrzących się, bielejących płatków. Pod obfitością lecących kwiatków, gwiazdek i kulek wszystko ginęło i upodobniało się do siebie... Ocean bieli przewalał swoje fale dokoła...

August siedział ponury, wściekły na siebie. Piersi rozsadzało mu dzikie pragnienie ucieczki i zakopanie się w tych zaspach śniegowych, które chciał gryść, aby zatopić żar bólu... Na śniegu zostawiłby krew swoich ust i razem z nią życie...

Pani Natalia skulona patrzała przed siebie zamglonemi oczami. Bolesny zawód jękiem grał jej w sercu.

— Taki, jak inni...

Chciało jej się płakać, jak dziecku.

Nie czuła zniewagi, nie miała nawet żalu do niego, tylko gorycz pchała jej się do ust, że August stał się w jej oczach lichym, pospolitym człowiekiem.

Sanie wpadły w aleję dworu mięckowickiego. Woźnica strzelał z bata aż płaty olbrzymiego śniegu oblatywały z gałęzi.

Oboje wysiedli, nie patrząc sobie w oczy. Pani Natalia poszła do swego pokoju.

August widział, jak z wielkim trudem panowała nad sobą. W myśli rzucał jej się do nóg wobec wszystkich — ale rzeczywistość wryła mu nogi w śnieg i biła w twarz mroźnem powietrzem.

— Pierwsza próba kurczenia się — rzekł do siebie szyderczo — nie dała mi nawet policzka... powiedziała mi swojem milczeniem: powieś się, albo palnij sobie w łeb...

Zamknął się w swoim pokoju. Na stole znalazł pocztę krakowską. Przejrzał machinalnie adresy. Uderzył go list ze stampilą warszawską.

— A to od kogo?

Rozerwał list i znalazł podpis ojca Kamy.

— A ten czego chce odemnie?

Przeczytał list z gorzkim uśmiechem. Pan Kolecki upominał go, aby raz zaprzestał uwłaczających wycieczek przeciw osobie Kamy. Augustowi nie pomogą wierszyki humorystyczne. On, jako ojciec, przekonany jest, że ręka Augusta tkwi w tem wszystkiem. Cała sprawa poczyna nabierać kształtów skandalu. August myli się, jeżeli sądzi, że w ten sposób uzyska rękę Kamy. Tak nie postępują ludzie honorowi. On, jako ojciec, nie cofnie się przed niczem, aby ukrócić raz tę bezczelną samowolę.

August rzucił list do pieca. Patrzył bezmyślnie, jak papier buchnął w jednej chwili stosem czerwonego ognia i zczerniał.

— Tyle pozostało po Kamie — rzekł do siebie.

Przeszedł kilka razy przez pokój, zbierając myśli. Nagle stanął uderzony myślą nową.

— Trzeba wszystkim zamknąć usta — powiedział głośno, jakby się bał, że nie dosłyszy własnej myśli.

— Tak będzie najlepiej.

Zapukał do pokoju pani Natalii.

— Proszę — odezwał się jej głos.

Wszedł.

Cofnęła się zmieszana na twarzy. Strach latał jej po oczach. Postawiła lampę, która drżała jej w ręce.

— Pan tu? — zapytała.

— Tak.

— Po co?

August stanął przed nią pełen szacunku i pokory. Patrzał jej w oczy ogromnie serdecznie i ogromnie ciepło.

— Po co? — powtórzyła pytanie.

— Chcę pani postawić jedno pytanie. Pani odpowie mi tak lub nie. Ja wiem, że pani odpowie tak. Pani musi odpowiedzieć tak. Czy pani chce być moją żoną?

Głos mu zadrżał. Jakieś nieznane uczucie rozpierało mu tętnice. Słyszał stukot krwi w sercu...

Pani Natalia zżółkła jak wosk. Oczy zaszły jej mgłą. Najpierw zdumienie, potem przestrach przeleciał jej po źrenicach.

— Dlaczego? — wyszeptała.

August zląkł się jej pytania.

— Sądzi — pomyślał — że chcę naprawić w ten sposób swoje łajdactwo.

— Nie z rycerskości — rzekł głośno — czynię to, ale czynię to z rozumu. Nie chcę kłamać. Nie powiem, żem zakochany w pani, jak szaleniec. Ale wiem, że znajdę w pani dobrą towarzyszkę życia.

Spuścił głowę i dodał smutnym głosem:

— Może powinienem był to wcześniej powiedzieć, zanim... zdobyłem się... na wybryk... ale pani przebaczy...

— Powtarzam prośbę... czy pani chce zostać moją żoną? i o jedno jeszcze proszę... niech pani nie każe mi czekać na odpowiedź... niepewność każda zabija mnie, a zwłaszcza teraz byłaby dla mnie męką... czekam...

Pani Natalia podniosła wzrok. Spotkały się ich oczy przez moment jasne, rozbłyśnięte.

— Tak — odrzekła cicho.

Podała mu rękę. Ucałował ją i wyszedł, nic więcej nie mówiąc.

Pani Natalia długo w noc płakała.

## VI.

Salon państwa Koleckich był zawsze ozdobą Warszawy. Pamiętano czasy kiedy królowała nieszczęśliwa Rela. A kiedy ta usunęła się z oczu ludzkich — zajęła jej miejsce z większem jeszcze powodzeniem Kama. Tej nie zbywało ani na piękności, ani na przymiotach towarzyskich. Przewyższyła zaś siostrę fantastycznym rozmachem, który cechował jej słowa i postępowanie. Zwłaszcza zaś w ostatnich czasach podbijała wszystkich urokiem tajemniczości, który ciągnął się za nią od Blankenbergu.

Osoba Augusta stała się mityczną. Mało kto go znał w Warszawie. Tembardziej też wszystkie wieści nabierały dziwacznych kształtów i zwracać poczęły powszechną uwagę na młodą pannę, która przeżyła niedawno romantyczny epizod w swojem życiu.

Niepospolity dowcip i próżniacza bajkomania, cechujące błyszczącą Warszawę, dodawały kolorów całej historyi i znajdowały w niej temat do długich, zimowych rozmów...

Kama czuła instynktownie, że ten dramatyczny welon, w który ją ubierano, podnosił ją w oczach wielu. Jak początkowo pragnęła stłumić całą legendę o Auguście w zarodku, tak później wiele czyniła, aby pobudzić ciekawość ludzką. Przypuszczała, i może słusznie, że historya jej znajomości z Augustem, mało komu znana w szczegółach, może rozrość się niezwykle, ale nic nie zaszkodzi jej sławie... chyba w oczach matek-purytanek.

Ale w oczach mężczyzn?

Milczenie Augusta kłuło ją niewypowiedzianie. Chwilami rozpacz ją ogarniała, że zginął jej z oczu i że nie może wydrzeć mu z serca tajemnicy, jakie żywi względem niej uczucie po nagłem zerwaniu.

— Powinien wrócić do mnie — mówiła nieraz na cały głos, kiedy kładła się na spoczynek lub wstawała rano.

— Żeby był zimny jak lód, rozgorzałby pod mojemi oczami.

— A potem precz na zawsze! Odtrąciłabym go tak, jak grudę śniegu z bucika. Nie on, ale ja zerwałabym z nim! niechby przeżywał to, co ja przeżywam...

— Wróć, wróć! — rzucała myśl w powietrze, kiedy nagle głowa jego zjawiała się jej we mgle przymkniętych oczu.

Ale echo odnosiło napowrót myśl do mózgu razem z pytaniem, z którem zwracano się do niej w salonie albo z dźwiękami rozkołysanej muzyki, albo z gwarem i chaosem ulicznym.

Zaciskała usta... w oczach migotał jej blask mściwości.

— Kiedyś spotkamy się — szeptała — a wtenczas odpłacę ci za wszystko...

Szukała upojenia w błyskotliwem życiu salonów. Tam czuła się królową. Tam na daleki plan schodziły wszelkie męczące kontrasty i zagadnienia, tam w pustym śmiechu, w dowcipnych pojedynkach słów i spojrzeń, w rozgrzanej atmosferze dostatków, która spoufalała się ze wszystkiem, co mieniło się sztuką, natchnieniem, wzniosłością i ze wszystkiem, co było pospolitą obmową, ubraną w koronki humoru i życzliwej jadowitości i co było czczym altruizmem i błaznowaniem na tematy poważne, wśród przepychu dywanów i mebli, szelestu sukien i czarnych plam fraków... czuła się najbardziej swobodną.

Wspomnienie o Auguście malało wtenczas w jej pamięci i stawało się tylko echem dalekiem, niemal obojętnem.

Była szczodrą — bardziej szczodrą niż kiedykolwiek przedtem. Żaden z mężczyzn nie był jej teraz obojętnym. Każdy przedstawiał dla niej wartość łupu... Czy młody chłopak, któremu kilka zręcznych sonetów wyrobiło imię i otwarło świeżo salony i który z berłem wymarzonem w duszy czuł się dziwnie opuszczonym na gładkiej tafli posadzek, czy wytarty lowelas, który ustami mówił: „pani A ma pożyczoną kolię,“ oczami wołał „czczę cię,“ a palcami dotykał się lubieżnie jej obnażonego ramienia, czy obywatel ziemski, któremu tuzin wsi dawał wstęp wszędzie i który przeglądał zebranie, jak łan kapusty, myśląc o tem, jaka główka najsmaczniejszą będzie, czy wreszcie znudzony technik, który uciekł od żony, bo zabijała go młodą miłością...

wszyscy byli dla niej dobrzy, bo zjadali ją oczami, bo mieli westchnienia lub gorące słowa.

Znajdowała w tem upojenie. Czuła wyciągnięte do siebie ręce, płonące wargi — rozmarzone szepty. Powódź kwiatów i uśmiechów, ciepło salonów, ciepło rąk i objęć tanecznych, światła lamp, kinkietów i żary spojrzeń wytwarzały ten haszysz, którym gasiła gorączkę. Musiało tego być wiele, bardzo wiele, aby zabijało myśl o Auguście i osładzało cierpkość wspomnienia.

Wyrastała na lwicę salonową.

Był jeden tylko człowiek, przy którym traciła swobodę i śmiałość spojrzenia. Instynkt mówił jej, że człowiek ten staje się jej cieniem męczącym, ale nie miała siły pozbyć się go otwarcie. W rzeczywistości miała nawet do niego pewną słabość.

Doktor Sobica był jedynym jej znajomym, który żył z Augustem, a nawet zwał się jego przyjacielem. Wprawdzie Sobica był małomówny, lecz czy mogła przewidywać, kiedy od niego usłyszy coś więcej?

Chwilami szarpał nią ból rozkoszy na myśl, że miłość ku niej może wcisnąć się między dwóch przyjaciół i zerwać między nimi wszelkie węzły.

Ale Sobica miał wielkie wady. Nie był w niczem podobnym do tego tłumu młodzieży, która wybornie harmonizowała lekkością towarzyską z jej upodobaniem. Doktor od ostatniej bytności w Krakowie stawał się coraz bardziej szorstki, a nawet brutalny względem niej. Nie dostrzegało tego otoczenie, bo unikał tłumnych zebrań, a nawet na ogół rzadko się z nią widywał — ale ilekroć razy był z nią sam na sam, dawał jej uczuć swoją przewagę moralną i fizyczną.

Domyślała się, że Sobica musiał dużo mówić o niej z Augustem, ale co mówił?

Chciała go ująć, ugłaskać. Ale Sobica nigdy nie przestawał być sobą.

— Otrzymałam list z Krakowa — skłamała raz, kiedy idąc w towarzystwie miss Terry, spotkała go na Nowym Świecie.

Doktor drgnął, ale po chwili uśmiechnął się obojętnie.

— Od kogo? — zapytał chłodno.

— Proszę zgadnąć — podsycała rozmowę.

— Zgadywać nie lubię, to zajęcie dla dzieci, wolę wiedzieć.

— Nie, nie powiem. Nic panu z tego nie przyjdzie, choćby pan nawet wiedział! — westchnęła — dużo w tym liście melancholii, jeszcze więcej skargi na samotność... to pana nie będzie bawiło.

Sobica spojrzał na nią swojemi szaremi oczami, które miały błysk zimnej stali.

— Po co było w takim razie mówić mi o liście?—rzekł szorstko.

Kama sponsowiała cała. Spojrzała na miss Terry. Ale ta owinęła wyżółkłą twarz w boa i była zła, że zwolnili kroku.

— Pan mówi do mnie — powiedziała po chwili z gniewem — jak do kogoś, co nawykł do bata.

Doktor uśmiechnął się ironicznie.

— Ja tak zawsze mówię — odparł — do panien, które mają bujną fantazyę. Zresztą, po co to wszystko obwijać w bawełnę?— Pani przecież nie otrzymała żadnego listu od Augusta, prawda? pani chciała jedynie przekonać się, jakie to wrażenie wywoła na mnie — prawda?

Kamie łzy stanęły w oczach ze złości. Nie odezwała się ani słowa do niego. Razem z miss Terry przyśpieszała kroku.

Doktor Sobica nie zważając zupełnie na to, szedł obok niej dalej.

Kama pomyślała:

— Mam tyrana.

Ale zamiast oburzyć się, jeszcze bardziej uśmiechnęła się do siebie. Odwróciła głowę, aby Sobica nie dostrzegł tej zmiany u niej. Przyzwyczajona do tego, że wszyscy jej ulegali, znajdowała w tem nawet okrutną przyjemność, ze obcy człowiek, jakim był Sobica, żył z nią wciąż na wojowniczej stopie i znęcał się nad nią.

Trzpiotowatość wzięła nad nią górę.

Przystanęła nagle przed wystawą najbliższego sklepu. Rozpędzona miss Terry uszła z dziesięć kroków, zanim zatrzymała się.

Sobica najspokojniej w świecie zbliżył się do Kamy i rzekł:

— Miss Terry zapóźno zahamowała swój wehikuł.

Kama spojrzała w stronę Angielki. Miss Terry wykrzywiła twarz nielitościwie, jakby miała fluksyę i czekała na nią zrozpaczona. Od zimna oczy wychodziły jej na wierzch.

Kama wybuchnęła śmiechem. Zapomniała o gniewie i swojem upokorzeniu i posłała Sobicy rozkoszne spojrzenie, a z drobnych jej purpurowych warg spadło słowo:

— Niepoń.

— To się pani podoba?

— A tak — odparła z komiczną miną — podoba mi się każdy niepoń. I cóż z tego?

— Z tego ta prawda wynika, że ktoś, kto nie chce, musi mnie cierpieć.

— A jeśli chce? — powiedziała, patrząc mu w oczy z wyzywającą kokieteryą.

— W takim razie najlepiej byłoby, aby miss Terry jeszcze raz rozpędziła się i już całkiem nie zahamowała swego skrzypiącego wehikułu.

Kama zaśmiała się na cały głos i uderzyła doktora po ręce.

Sobica nieznacznie pocałował miejsce zaczerwienione na dłoni i rzekł zniżonym głosem:

— Oddam z naddatkiem przy najbliższej sposobności.

Kama wydęła pogardliwie wargi, ale pomyślała równocześnie:

— Czy by śmiał? jak? kiedy?

Oczy jej zamigotały wewnętrznym ogniem uciechy. Sobica grał jej na nerwach brutalnie.

— Jak on mnie inaczej kocha, jak drudzy! — mówiła sama do siebie w najskrytszych tajnikach duszy.

Wszystko troje szli razem szybkim krokiem. Miss Terry pokazywała Sobicy pożółkłe zęby w uśmiechu, za to, że przyspieszył kroku. Zarzuciła boa dokoła szyi tak, że ukryła w niem uszy, jakby nie chciała słyszeć tego, o czem rozmawiają młodzi ze sobą.

— Miss Terry jest zgorszona — szepnęła Kama do Sobicy z wesołym uśmiechem.

— Miss Terry sprzedała mi panią odparł Sobica — za miskę soczewicy. Pójdę dwa razy szybciej, i założę się, że nakryje całkiem głowę, aby nie widzieć, co się stanie z nami.

— I cóż mogłoby się stać? — zapytała, topiąc w jego źrenicach powłóczyste, dyabelne spojrzenie.

— Wszystko co ja zechcę — powiedział świszczącym głosem. Oczy odwrócił w bok. Nie chciał nic więcej powiedzieć.

Kama sposępniała.

— Czy ten człowiek — pytała się w duszy — nigdy nie powie mi gorętszego słowa? Nigdy nie wykrztusi wyznania miłości?

— Muszę wiedzieć wszystko — wołał w niej głos nienasyconego pragnienia w głębinach duszy.

— A potem co? — szeptał strach w jej uchu.

— Pójdzie swoją drogą a ty swoją — odpowiadał głos rozsądku.

— Zatem dziś albo nigdy!

Sobica równocześnie myślał:

— Za miesiąc będę mianowany sekundaryuszem szpitala. — Zacznę praktykę w centrum. Nie będę wtenczas nędzarzem.

Kama zwolniła kroku umyślnie. Zbliżyła się do Sobicy tak, że jej ciepły oddech uderzał go w twarz.

— W sobotę będzie u nas bal — rzekła — doktor otrzyma zaproszenie. Czy doktor będzie?

— Wątpię—odparł—ale w oczach zatańczyła mu sala błyszcząca od świateł i postać Kamy o bujnych, obnażonych ramionach, w których topił oczy rój młodych ludzi.

Serce zaskowyczało w nim na myśl o tem i krzyczało:

— Będziesz! będziesz!

— Nigdy nie widzę doktora — mówiła Kama dziwnym głosem, w którym brzmiały tony namiętne — nawet wtenczas kiedy chciałabym go widzieć.

— Będzie dosyć takich, co polują na podobną chwilę—mówił Sobica szyderczo. W oczach świeciły mu ognie ponure.

— Czy to dobrze? — pytała, — pochylając ku niemu głowę. Melodya skargi dźwięczała w jej słowach.

— Ja nie wiem — rzekł chrapliwie — pani wie.

Jakieś nieznane głosy krzyczały w nim i zaklinały go:

— Milcz! milcz! Nic nie mów!

Upór Sobicy podniecał Kamę. Rozpalone rumieńce wystąpiły jej na twarz. Serce biło w niej głośno.

— Niech będzie co chce, musi mówić — powtarzała w myśli, oszalała niezaspokojoną ciekawością.

— A jeśli serce czyje umęczone woła, że mu się krzywda dzieje, woła ratunku, woła wybaw mnie.... a słyszy tylko milczenie.... czy to dobrze?

Sobica stanął. Pierś szarpały mu sprzeczne porywy. Jęk bitego, katowanego uczucia, które rwało się do jej postaci, huczał w nim jak dzwon żelazny.

— Ręce wyciąga do ciebie — łkały w nim głosy — a ty ją odpychasz? bierz ją! twoja!

— Milcz! milcz! — przerażone myśli powtarzały.

— Czy to dobrze? — szepnęła Kama, zamykając oczy.

W tej chwili gotowa byłaby rzucić mu się na szyję, gdyby otwarł ramiona.

Sobica szedł obok niej zimny, ponury, tylko usta mu drżały chwilami.

— Pan nie odpowie?—rzekła wreszcie ze łzami w głosie... Zdawało jej się, że traci kogoś najdroższego na świecie.

Sobica chwycił ją za rękę.

— Pani chce wiedzieć — mówił świszczącym, nieubłaganym głosem — pani będzie wiedziała. Na to przyjść musi czas. Mój czas. Do widzenia... na balu.

Ukłonił się jej i znikł w tłumie.

Kama wróciła do domu rozdrażniona. Czuła, że z Sobicą przegrywała stawkę po stawce. Każdy ryzykowny krok z jej strony zbliżał go do niej więcej, niż chciała.

Kiedy w myśli przebiegała ostatnią z nim rozmowę na ulicy, nie mogła wstrzymać się od płaczu. Widziała jasno, że nie ona, ale on wyszedł zwycięzcą.

Zdejmował ją lęk przed tym zagadkowym dla niej mężczyzną, który oczami mówił jej o tem, że szalał za nią,—a na ustach miał słowa ostre, jak lancety.

— Czego on właściwie chce odemnie?—stawiała sobie gorączkowe pytanie — czy się boi Augusta? czy mści się na mnie? za co?

— Czy nie chce rodzicom oświadczyć się o moją rękę?

Cała burza zastygała w niej na myśl o tem. Jakieś chłodne palce wnikały jej w piersi i wyrywały dygocące serce.

— A jeśli tak będzie? — szeptało w niej złe przeczucie.

Wiedziała, że może odpowiedzieć:—nie wiedziała, że rodzice z pewnością odpowiedzą „nie,“ lecz czy to wystarczy?

Nie znajdowała na to odpowiedzi. Przestraszona wyobraźnia pierzchła przed tem bezlitosnem pytaniem, jak ptak przed jastrzębiem. Obumarła cisza zaległa jej mózg. Życie zdawało się stawać w niej na chwilę, jak zatrzymany zegar...

Odtąd niepokój dręczył ją dziwny, niewytłómaczony. Chciała ojcu powiedzieć o wszystkiem, ale wydało jej się to śmieszną rzeczą.

Zresztą ojciec za bardzo brał sobie do serca wszystko to, co się jej tyczyło. Tak było ze złośliwym wierszem, pomieszczonym w „Hecy,“ której egzemplarz przysłano im z Krakowa.

Kama broniła wprawdzie Augusta, że nie byłby zdolny do czegoś podobnego, aby siebie i ją wyśmiewać publicznie, i że to zrobili jego nieprzyjaciele, ale pan Kolecki nie dał sobie tego wytłómaczyć.

W tajemnicy przed córką napisał też list do Augusta, sądząc, że w ten sposób przetnie całą intrygę.

Tem bardziej pragnął świetnym balem zadać kłam wszystkiemu.

Splendor domu, tłum sproszonych gości, przepych przyjęcia, miały być tym stalowym puklerzem, od którego powinny się odbić zaśniedziałe groty ludzkiej obmowy.

Zachowanie się Kamy w ostatnich czasach niepokoiło go silnie. Nie widział celu w tej gorączce towarzyskiej, która ją trawiła. Kiedyindziej byłby nawet z dumą patrzał na to, jak rój złotej młodzieży otaczał jego córkę i pochylał głowę przed nią, jak łan barwnych kwiatów.... może wsłuchiwałby się w muzykę śmiechu, który dolatywał od jej koła, jak w najpyszniejsze ustę-

py jakiej symfonii — ale od powrotu z Blankenbergu raziła go lekkomyślność córki.

— Wpłyń na Kamę — mówił w przeddzień balu do żony — aby zaczęła poważniej patrzeć na życie. My bale wydajemy nietylko dlatego, aby się bawiła, ale przedewszystkiem dla tego, aby to bawienie skończyło się małżeństwem.

Pani Kolecka podparła głowę i westchnęła.

— Pewnie że tak powinno być — rzekła — ale Kama śmieje się, kiedy jej to powiadam. Zarzeka mi, że ty wydajesz bal dla reklamy swego nazwiska, a nie dla niej.

— Moja droga — odparł rozgniewany — to już twoja rzecz. Jesteś matką. Do ciebie należy wybić jej głupstwa z głowy. Każda panna starzeje się i ona także.

— O, o, daleko jej do tego — zaprotestowała pani Kolecka.

— A ja ci powiadam, że starzeje się. Ma już lat dwadzieścia trzy... Za rok wyjdzie zupełnie z kursu. Od lat pięciu bywa na balach, a ludzie zrobią z tego lat dwadzieścia.

— Jaką wychowałeś, taką masz — broniła się pani Marya — zrobiłeś z niej despotkę, która nam i sobie zatruwa życie.

Pan Kolecki rzucił akta na biórko i zamyślił się posępnie.

— Nie martw się Wojtusiu — uspakajał go żona, widząc, że jest smutny — zrobię co będę mogła, wpłynę na nią... Kama ma poczciwe serce.

— Z nią trzeba ostrożnie — powiedział pan Kolecki melancholijnie — czy wiesz co się stało z Relą? wiesz?... trzeba z Kamą ostrożnie... niedobrane małżeństwo, to wcześniej czy później skandal albo męczarnia.

Pani Marya ucałowała męża w czoło i łzę mu otarła płynącą niespodziewanie z oczu.

— Straciliśmy Relę — szepnęła — to była twoja najukochańsza...

Pan Kolecki zerwał się z fotelu, złapany na gorącym uczynku tkliwości.

— Mogłabyś raz przestać mówić o tej waryatce...

— Sam wspomniałeś jej imię.

— Bo mnie wolno — zaperzył się — bo ja wiem co mówię, bo chciałem ci dać przykład.

Pani Marya z rezygnacyą patrzyła na męża.

— Tak Wojtusiu — rzekła po chwili — masz słuszność. Z Kamą trzeba ostrożnie, ale koniecznie trzeba coś zrobić. Tu moja głowa nie wiele poradzi. Ty musisz się wziąć do niej. Masz argumenty, masz stanowczość w głosie, wreszcie krzykniesz na nią... ona ciebie usłucha.

Pan Kolecki zmarszczył brwi. Pamięć przyniosła mu z przeszłości obraz bolesny, jak za dręczenie kanarka chciał ukarać dwunastoletnią Kamę, i jak ona wtenczas skoczyła na okno i zagroziła mu, że się rzuci na ulicę, jeśli ojciec podniesie na nią rękę.

— Nikt jej nie zmusi do niczego — szepnął — ani ja.

— Wiedziałam o tem — westchnęła pani Marya.

Ale na balu odgrywali rolę ludzi, na których niebo łaskawe i żadna chmurka nie zasłania słońca powodzenia.

Rozległe stosunki, wytworność przyjęć, olbrzymi majątek, gromadziły w salonach państwa Koleckich mnóstwo osób. Zwłaszcza młodzież o pięknych nazwiskach gęsto przeplatała towarzystwo.

Pani Kolecka miała talent rozgrzewania atmosfery salonowej. Łączyła zręcznie ze sobą osoby, które szybko znajdowały wspólnotę myśli i spoufalały się ze sobą. Nie pozwalała nikomu ziewać z nudów. Dopóty krążyła w koło, dopóki osowiałego pana lub panią nie zajęła czemś, co ich silnie poczęło interesować.

To też w ramach olbrzymich sal, na błyszczących, jak tafle wody posadzkach, wśród makat, drogocennych luster i wytwornych obrazów, gwar rozmów kołysał się, jak wiosłem gnane fale, i odurzał każdego, kto tu pierwszy raz zawitał. Śmiechy, rozbawione twarze, czarujące spojrzenia, dowcipy błyskające co chwila niby ognie sztuczne, toasty, upajające tony muzyki, wir pląsów tanecznych, młode ciała kobiet, wychylające się z kielichów sukien tkanych barwami kwiatów, białe gorse męzkich ubrań, surowym kontrastem podnoszące bogactwo kolorów—zlewały się w jedną, natężoną harmonię błyszczącego, pieniącego się, jak szampan życia.

D-r T. Konczyński.

# Z życia ministra Lubeckiego.

VI.

## Rząd i Klub.

W pierwszych dniach listopadowego powstania „Książę Lubecki szczególniejszą obudzał drażliwość“ (u Czerwonych) „z powodu wielu postanowień przeciwnych konstytucyi, których się sam dopuszczał, albo które swoim podpisem zatwierdzał. Jednakże umiano cenić i z wdzięcznością wspominano, że podniósł skarb krajowy, że w Radzie Administracyjnej stawił czoło p. Nowosilcowowi, którego obecność na tej Radzie w charakterze komisarza cesarskiego sama przez się była złamaniem konstytucyi; że się samymże nakazom W. Księcia śmiał opierać. Teraz znowu ze wszystkich kolegów najdzielniej opierał się burzy. Przytomność umysłu i cierpliwość niewyczerpaną okazywał w odpowiedziach i przekonywaniu; brał na stronę jednego po drugim, najgorętszych z całej gromady; sam wywoływał z przeszłości najdrażliwsze kwestye; przyznawał otwarcie, że wielkie zaszły błędy i nieregularności tak z jego, jak i Rządu strony; ale zarazem tłómaczył, uniewinniał intencye; przywodził wypadki, cyfry, rezultaty pewne, któremi podziw sprawiał; wreszcie, używając naprzemian otwartości, lub półzwierzeń, wymowy lub poufałości, ujmował jednych, drugim plątał szyki, biorąc ich z kolei do rozmowy.“

Takie żywe a wymowne świadectwo daje niespożytej energii Lubeckiego naoczny świadek, który był *magna pars* opisanych wydarzeń, całe dnie przepędzając w gmachu Bankowym a noce w Wierzbnie: sam Władysław Zamoyski; tak mówi w Pamiętni-

ku, który spisał w rok niespełna po tych chwilach, tak doniosłych w dziejach narodu, w listopadzie roku 1831.

Istotnie, przez pierwsze trzy dni powstania, od północy 29-go listopada, do powrotu delegacyi rządowej z Wierzbna, ster Rządu znajdował się w ręku niezmordowanego Ministra. Inni członkowie czy to Rady, czy też później Wydziału wykonawczego, rozprawiali, stawiali wnioski, oponowali czasem i przysparzali tem pracy Lubeckiemu, musiał ich bowiem „brać na stronę i przekonywać;“ wszelkie jednak uchwały zapadały po myśli Lubeckiego, co najwięcej z jakimś odcieniem kompromisu, zwłaszcza wobec księcia Adama. Ale nawet i te ustępstwa, jeśli Lubecki uznał je za konieczne, przekształcały się w jego głowie na zawiązki nowych pomysłów, nowych środków do tego samego celu, od początku tego samego, który stał ciągle przed bystremi oczyma Księcia, jak gwiazda świecąca sternikowi ponad wzburzonem morzem.

A przecież, gdyby nie on, gdyby nie Lubeckiego żelazna energia, gdyby nie jego zdumiewająca w tych trzech dniach czynność i pomysłowość: czy przetrwałoby powstanie nawet i przez te dwa, trzy dni, to powstanie, które on za największe poczytywał nieszczęście? Pytanie—bez odpowiedzi; pytanie jednak, które narzuca się samo przez się, z koniecznością nieubłaganą. I nie dziś tylko, z oddalenia trzech ćwierci wieku; narzucało się ono współczesnym, entuzyastom nawet i przeciwnikom listopadowego powstania. Tak myślał W. Ks. Konstanty i wypowiedział tę myśl ustami żony w gorzkich wyrzutach, z któremi Księżna Łowicka napadła na Lubeckiego. Ta sama myśl snuje się nieprzerwanie w opisie Barzykowskiego; on zaś, członek Rządu Narodowego w całym niemal ciągu powstania, nie swoją tylko myśl indywidualną wyraża, jest echem całego grona najwybitniejszych w powstaniu ludzi. „Powstanie“—mówi—„było prawie bez żadnej siły, wojska narodowe w obydwóch znajdowały się obozach... Warszawa jeszcze szczerze do powstania nie przystąpiła, młodzież tylko czynna uwijała się, a więc nic jeszcze pewnego, nic zdeklarowanego nie było. Z drugiej strony, W. Książę miał aż nadto siły, aby powstanie roztrącić, potrzebował tylko ku temu być namówionym, pchniętym, a w odwodzie miał całą potęgę Caratu gotową zawsze ku odwetowi i zemście. Wprawdzie okrzyk do broni rozległ się, walka była toczona, krew popłynęła, lecz w tych pierwszych chwilach kto wiedział, kto mógł odgadnąć, czy to był rozruch, tumult, bunt wojskowy, czy rzeczywiste powstanie?... Sam Lelewel, który we wszystko był wtajemniczony, któremu

związkowi ustanowienie władzy poruczyli, powiada: „„Twórcy nie wzięli żadnego środka do objaśnienia swoich myśli, Rząd więc musiał odgadywać rewolucyę.““ My więcej powiemy, naszem przekonaniem jest, że sami związkowi, robiąc powstanie, nie mieli jasnego wyobrażenia, czego ostatecznie chcieć trzeba i gdzie się ostatecznie zatrzymać należy. Na traf i los wszystko było puszczone... Wśród takiego położenia, wśród tej zupełnej nieświadomości, dla czego i w jakim celu za broń ujęto i walkę rozpoczęto, zgromadziła się Rada, odnowiła swój skład, ujęła za ster nawy narodowej już burzą miotanej i do narodu przemówiła... Z odezwy Rządu było wprawdzie wielu niezadowolonych, ale gdy ujrzeli na niej podpisy Czartoryskiego, Niemcewicza i innych, wszyscy byli zaspokojeni, nawet uradowani, i dopiero wtenczas jakieś zaufanie zaczęło się ukazywać. Oni więc jedynie uratowali powstanie“ — to wszystko mówi Barzykowski. Raczej uratował powstanie ten, który ich do Rządu wprowadził: książę Lubecki.

Gdyby nie to męzkie, to proste, zacne: *Trzeba być na swojem miejscu*... gdyby Lubecki do myszej dziury się schował, jak Sobolewski, jak Stanisław Grabowski, jak inni ministrowie — niewiadomo, coby się było stało. Wiadomo tylko, co się stało przez „odnowienie“ Rządu z jego inicyatywy. Twórcy ruchu nie umieli, nie mogli wytworzyć Rządu, któregoby słuchano. „Odnowiony“ zaś Rząd, choć w pierwszej chwili przemawiał w imieniu króla, osłonił rewolucyę wbrew swym zamiarom, „uratował powstanie,“ jak mówi Barzykowski. Pod opiekuńczem skrzydłem Rządu rosło wbrew jego woli to wątłe pisklę i nabierało siły, tyle siły, że stary ptak odmłodzony musiał, i znów wbrew własnej woli, przystosowywać się coraz bardziej do podrzuconego dziecięcia. Przez przezorność przestał zrazu przyznawać się otwarcie do króla, któremu posłuszeństwa nie wypowiadał, wierność pragnął utrzymać. Później zbaczał coraz bardziej z tej linii wśród dalszych metamorfoz, przed któremi nie mógł się już obronić, aż wreszcie ujrzał w swym składzie najzagorzalszych przywódców ruchu i jeden miał tylko środek — wyrzucić ich z swego łona: ostatnią metamorfozę w Rząd Tymczasowy, stający jawnie na czele rewolucyi.

Krótko przed tą ostatnią metamorfozą, Lubecki wręcz oświadczył Księżnej Łowickiej „że wstrzymać rewolucyi nikt już nie zdoła.“ Wówczas, wieczorem 2-go grudnia, było tak rzeczywiście. Czy jednak Książę Minister, wracając z Wierzbna, zdawał sobie dokładnie sprawę, że ten stan rzeczy był głównie jego własnem dziełem? Jeśli tak, to teraz bardziej, niż kiedykolwiek głos sumienia kazał mu rąk nie opuszczać i *być na swojem miejscu*...

Tymczasem dalsze jego postępowanie — zdawałoby się — nie licuje z tą wymowną dewizą. Zdawałoby się, że stracił głowę. Najsprawiedliwszy, najprzychylniejszy Lubeckiemu autor z pośród świadków jego ówczesnego działania, tak się wyraża: „Śmiało z początku po drodze pełnej niebezpieczeństwa postępował, wiele zrobił, ale droga była mylna i nakoniec zawieść musiała; wśród trudności opadły mu ręce i w końcu wierność dla Cara przeniósł nad wierność ojczyzny i tak swoje polityczne życie na scenie polskiej zakończył.“

Z pozorów sądząc, nie łatwo nawet oprzeć się takiemu wrażeniu. „Wyczerpała się w żelaznym człowieku odporność nerwów, kochający ojciec rodziny wziął górę nad mężem stanu; ustępował lękliwie, w końcu skorzystał ze sposobności, żeby się wymknąć“— tak myślał o Lubeckim niejeden z najprzychylniejszych. I to jednak, co dotychczas było wiadomem o jego postępowaniu po 3-im grudnia, mogło już sumiennego sędziego ostrzegać przed wydaniem stanowczego wyroku. „Zagadkowy, tajemniczy mąż, i nie można być dosyć bacznym w ocenieniu jego postępowania“ — to słowa sumiennego Barzykowskiego w opisie wydarzeń 3-go grudnia. Zagadka pozostałaby na zawsze zagadką, gdyby zaginęły papiery Lubeckiego, do których od lat 74 nikt nie zaglądał. One w innem świetle rzecz przedstawiają. A nie są to pamiętniki, w których autorowie tak często zwierzają się potomności z swych ukrytych myśli i najczystszych intencyj, gdy już dawno przebyli przysłowiową ulicę, wybrukowaną najlepszemi chęciami. Nie; są to wszystko papiery z grudnia 1830 i z następnych miesięcy, po największej części bruliony z licznemi kreśleniami i poprawkami, z tymi wymownymi śladami myśli, z wysiłkiem pracującej, z wiernem odzwierciedleniem chwilowego nastroju i chwilowych nadziei. To dokumenta pierwszorzędne, ważne a nie dla potomności pisane, lecz do natychmiastowego w danej chwili użytku, *nie* dla przyszłego historyka. Przypadek je zachował, nieuporządkowane i od lat tylu przez nikogo nietknięte; najbliższa nawet rodzina nic nie wiedziała o ich istnieniu. I nie dziw, bo Lubecki rozumiał doskonale po roku 1831, że niebezpieczną, wielką grę *przegrał* i ani nie mówił o niej, ani w jej pamiątkach się nie rozglądał.

*

* *

Po powrocie z Wierzbna, od W. Ks. Konstantego, Deputacya nie mogła nawet złożyć Radzie porządnego raportu o niepomyślnym skutku misyi, po której przed kilku godzinami tyle się spodziewano. O ścianę bowiem od sali obrad Rządu czekała powrotu czterech delegatów—inna, *sui generis* deputacya: deputacya Klubu Patryotycznego; cały zaś plac Bankowy pełen był tłumów, które miały posłużyć do terroryzowania zgromadzonego w gmachu Bankowym Rządu. Członkowie Rady i Wydziału, wyczekujący od 8-ej godziny powrotu czterech delegatów z Wierzbna, nie wiedzieli co począć z zuchwałą deputacyą Klubu, żądającą wpuszczenia do sali obrad. Z czem jednak przybyła ta deputacya, wiedzieli mniej więcej z góry, ostrzeżeni zawczasu przez referendarza Grzymałę, który wprost z wieczornego posiedzenia Klubu przybył do Banku, wyprzedziwszy o chwilę 12 członków klubowej deputacyi. Jednomyślne było poczucie, że nie można wpuścić klubowców na posiedzenie Rządu. Wyprawiono do nich Kochanowskiego i Dembowskiego; daremnie próbowano pozbyć się niepożądanych gości, pod pozorem, że Rada nie zebrana w komplecie; klubowcy oświadczyli, że będą czekać, dopóki delegaci nie powrócą z Wierzbna. Byli nawet tak grzeczni, że i po ich powrocie czekali dalej na wpuszczenie do sali, póki Rząd nie wysłucha raportu delegatów.

Z roztargnieniem więc słuchano raportu, a sama już treść jego, przygnębiająca i niweczące wszelkie wygórowane nadzieje, jakie pokładano w chybionej misyi do Konstantego, potęgowała straszliwą troskę decydującej chwili: co począć z klubowcami w sąsiedniej sali. Straszliwa troska — bez przesady straszliwa, w takiej chwili, gdy rozbicie rokowań z W. Ks. Konstantym sprowadzało zupełną zmianę położenia, wymagało tem więcej zimnej krwi i rozwagi. Wszak Lubecki, wyjeżdżając do Wierzbna, wyrzekł owe pamiętne słowa, że rezultat rokowań z W. Księciem pokaże, czy będzie można nadal pozostać „w obrębie konstytucyi,“ czy też „będzie konieczność wystąpienia z niego.“ Teraz właśnie przyszło o tem rozstrzygać, przyszło powziąć postanowienie decydujące może o przyszłości narodu — pod naciskiem klubowców i ulicy.

I teraz zatem, jak przed powrotem delegatów z Wierzbna, Rząd stał na stanowisku odpornem, stał na niem jednomyślnie i nikt głośno nie łamał jednomyślności, ani Lelewel nawet, prezes Klubu, ani Ostrowski, na którego Klub liczył. Gustaw Malachowski, jeden z czerwieńszych członków opozycyi sejmowej, najwymowniej, najenergiczniej sprzeciwiał się przyjęciu klubowej

deputacyi. Przemógł półśrodek: wyznaczono „deputacyę“ do rozmówienia się z klubowcami, pod przewodnictwem Kochanowskiego.

Oko w oko spotkały się ze sobą dwa pokolenia. Kasztelan Michał Kochanowski, nad grobem stojący starzec, połowę życia przeżył był jeszcze w niepodległej Polsce. Pierwszy rozbiór zastał go w szkole kadetów: chciał zabić, zarąbać Ponińskiego. W Sejmie Czteroletnim należał do najgorętszych a najpracowitszych zarazem posłów; był członkiem Rządu za Kościuszkowskiego powstania. I po trzecim rozbiorze rąk nie opuścił, krzątał się energicznie około zgromadzenia reprezentacyi narodowej w Medyolanie, pod osłoną Legionów; austryackiem więzieniem przypłacił te zabiegi. W roku 1806, on z kilku innymi rozbitkami Wielkiego Sejmu, witał Murata u rogatek Warszawy, wstępując na tę cierniową drogę, na której „między Jeną a Tylżą,“ za czasów Księstwa i w początkach Królestwa, niezmordowaną pracą i cierpliwem zaparciem siebie tyle zasług położył, jedno tylko zdobywając dla siebie: ciężko zapracowaną aureolę wielkiej cnoty obywatelskiej i czystego, jak kryształ patryotyzmu. Wespół z księciem Adamem, z Bnińskim i Bielińskim, był w r. 1828 redaktorem wyroku i raportu Sądu Sejmowego. On, nie kto inny, był wczoraj rano gorącym orędownikiem przybrania posłów opozycyjnych do składu Rządu. Ale z Klubem dzielić się władzą, „Jakobinom“ oddać na pastwę losy ojczyzny—to było zbrodnią w oczach weterana, zaprzeczeniem całego zawodu publicznego, w którym tak wiernie służył sprawie narodowej. Miał przed sobą dwunastu nieznanych ludzi, „niedowarzoną“ młodzież i kilku starszych za plecami aroganckiej młodzieży: co oni przeciwstawiali jego zasługom i doświadczeniu, jego miłości ojczyzny i jego kolegów w Rządzie? niektórzy, tylko niektórzy, tajne schadzki przed wybuchem powstania i szumne, podżegające oracye w salach redutowych, na posiedzeniach Klubu, wczoraj i dzisiaj, gdy takie retoryczne popisy dawały poklask, a na nic nie narażały. Stchórzyć przed nimi? Raczej zginąć, jak sędziwy kasztelan zawsze był gotów oddać życie ojczyźnie. Klubowcy nie chcieli nawet mówić z *deputacyą* Rządu: „Nie masz nic ważniejszego nad poselstwo nasze“— krzyczeli, według słów Mochnackiego—„pomykając się coraz bardziej ku drzwiom sali rządowej, której Kochanowski bronił jak siwy Cherubin, postawiony u straży tego politycznego Edenu.“ Próżno starał się ten Cherubin zniewolić napastników, by „jednego, dwóch z pomiędzy siebie wybrali.“

— „My tu jesteśmy z polecenia ludu, który ten gmach otacza, i wszyscy wejdziemy!“

„Wtem roztwierają się drzwi“ — kończy Mochnacki opis tej sceny — „Władysław Ostrowski wchodzi i zaprasza deputacyę do przedłożenia Rządowi życzeń Klubu.“ Stary kasztelan nie miał sobie nic do wyrzucenia. Według Barzykowskiego, Ostrowski otworzył drzwi, gdy Kochanowski wołał: „Nie, nie wejdziecie! Nie, chyba po mnie, po mojem ciele.“ I dodaje historyk listopadowego powstania, tu również będąc echem księcia Adama: „Już walka prawie osobistą stawała się, gwałt był dokonany, Rządowi nie przystało więc poświęcać jednego członka z grona swojego, trzeba było los dzielić; przyjęto więc determinacyę wpuszczenia.“

Gwałtem zatem, przemocą wtargnęli klubowcy do sali obrad Rządu, „w płaszczach i z bronią w ręku.“ Dwa pierwsze przemówienia, umiarkowane w tonie, pełne były jednak wyrzutów, że Rząd swojem postępowaniem gubi sprawę narodu a mężowie, poważani dla swej przeszłości, powagą swoich nazwisk osłaniają robotę Rządu przed „zgrozą publiczną.“ Po nich odezwał się Maurycy Mochnacki. Mówił namiętnie, z tą brutalną jasnością, która go cechowała, bez owych miękkich i ostrość wystąpienia łagodzących tonów, co mimowolnie się wkradały w poprzednie przemówienia, na widok tylu głów osiwiałych na usługach ojczyzny i czcią otoczonych powszechną. Oświadczył, że przemawia w imieniu ludu warszawskiego, stojącego za tymi, których Rząd teraz przed sobą widzi, a którzy rewolucyę zaczęli „i postanowili ją dalej rozwijać, postanowili nią kierować mimo oporu, jakiego w tej mierze doznają ze strony Rządu.“ Zakończył groźbą, że „lud stolicy, który ten gmach z orężem w ręku oblega, nie rozejdzie się, póki jego żądań w czasie jak najkrótszym, w czasie oznaczonym do skutku przywieść nie zechcecie; lud żąda...“ Tu wreszcie rozwinął papier i odczytał „instrukcyę,“ którą sam zredagował na prędce na posiedzeniu Klubu, „wśród wrzawy nieustającej;“ instrukcya ta, według własnych słów Mochnackiego, była w Klubie „zatwierdzona jednomyślnym okrzykiem przez ogół i podpisana w jego imieniu przez dwunastu posłanników, którym Klub ten ważny obowiązek poruczał.“

Rzekome „żądania ludu,“ których nawet tłum zgromadzony przed Bankiem nie znał, ani znać nie mógł, ujęte były bezładnie w ośmiu punktach, z uwzględnieniem różnych dezyderatów, z któremi się odzywano na posiedzeniu Klubu, gdzie, jak mówi Mochnacki, „strach był wielki, więc wszystko z łatwością przechodziło.“ Żądania zasadnicze, natury politycznej, były dziełem samego Mochnackiego; on z temi żądaniami wystąpił, on najwierniej je też zredagował. Nie układać się z W. Ks. Konstantym, ale

wprost z Mikołajem; Chłopickiemu wydać rozkazy, by natychmiast uderzył na Konstantego, rozbroił albo w razie potrzeby zniszczył stojące przy nim wojska, jego samego zaś wziął w niewolę; w Cesarzewiczu mieć rękojmię, a negocyować z Petersburgiem.“ Taki w tej chwili był program zasadniczy młodocianego trybuna, z takiemi samemi „negocyacyami“ w perspektywie, jakie Lubecki miał też na celu, tylko z takim równocześnie aparatem rewolucyjnym, który z góry przesądzał o losie rokowań z Mikołajem, po rozbrojeniu albo „zniszczeniu“ wojsk, stojących pod Wierzbnem. Inne punkta tyczyły się rozwinięcia powstania. Wojsko pod rozkazami Chłopickiego, było drobną cząstką polskiego wojska; drugie tyle niemal stało wówczas jeszcze przy W. Księciu; cała armia, rozłożona po województwach, stanowiła wieczorem 2-go grudnia tę wielką niewiadomą, o której nikt nie wiedział, czy na tę czy na tamtą przechyli się stronę. Żądano zatem, by wódz naczelny, Chłopicki, zawezwał wszystkich dowódców do połączenia z powstaniem, pod groźbą ogłoszenia zdrajcami kraju, z pozostawieniem krótkiego czasu, np. trzech godzin do namysłu; żądano również, aby „obywatele z prowincyi otrzymali upoważnienie do urządzenia powstania w kraju.“ Inne punkta miały na celu kilka doraźnych środków policyjnych, jak usunięcie dyrektora krajowej poczty, któremu nie ufano, jak wzięcie pod straż żon wojskowych i urzędników rosyjskich, aby nie mogły się porozumiewać z mężami. Najważniejsze, z ostrym politycznym przysmakiem, było w tej kategoryi żądanie aresztu dla ministrów, członków tej samej Rady, której przedstawiono ten sam dezyderat: „aby ministrowie i zastępcy ministrów otrzymali obserwacyę straży narodowej aż do dalszego z nimi postąpienia.“ Ostatni wreszcie, ósmy punkt wymagał: „aby natychmiast przystąpiono do wykonania tych żądań, inaczej bowiem Rada Administracyjna *zniewolona* będzie przyjąć do swego grona kilku członków Klubu, których Klub sam wybierze.“

Istna farsa to była, tragiczna farsa, t a k i e żądania stawiać Radzie Administracyjnej. „Precz z wami, my bierzem władzę“— tak należało mówić, chcąc spełnić postulaty, zawarte w ośmiu odczytanych punktach. Przyznać też trzeba, że za ten brak wszelkiej logiki i konsekwencyi nie spada odpowiedzialność na Mochnackiego. On był głową logiczną; on jeszcze na posiedzeniu Klubu zupełnie jasno postawił kwestyę: żądanie bezzwłocznego uderzenia na Wierzbno p o p r z e d z i ł dwoma wstępnemi żądaniami, które się w Klubie nie utrzymały: „1) aby się Rada Administracyjna Królestwa rozwiązała; 2) aby Rząd Tymczasowy był natychmiast

ustanowiony.“ Nie przeparł jednak tych postulatów, choć „strach był wielki, więc wszystko przechodziło.“ Zrezygnował więc z logiki i konsekwencyi. Mniejsza o to; i tą drogą spodziewał się dopiąć celu. Ugnie się Rada, stchórzy, odda pod areszt własnych swych członków, ministrów króla: to będzie niewolniczem narzędziem Klubu, mając już i tak w swoim składzie jego prezesa; na dziś i jutro, póki powstanie nie ogarnie kraju, imiona Czartoryskiego, Niemcewicza, Kochanowskiego, mogły przydać się Mochnackiemu. Jeśli zaś Rząd się oprze żądaniom Klubu — to zmiecie go przygotowany tumult uliczny, przywódcy Klubu wezmą władzę, a krew jednego lub drugiego ministra wzbudzi postrach i utrzyma ich panowanie nad tym „ludem,“ w którego imieniu przemawiali. Byle wziąć władzę: co z nią począć? to Mochnackiemu samemu nie było jeszcze jasne wieczorem 2-go grudnia...

Cisza zapanowała po odczytaniu tych „żądań ludu.“ Przerwał ją Czartoryski. Co mówił, wiemy z opowiadania Mochnackiego. „Ze zwykłą sobie uprzejmością oświadczył, że niektóre z tych punktów nie były do wykonania, a mianowicie przytrzymanie W. Ks. Konstantego, który na wszystko się zgadza, który obiecuje puścić wszystko w niepamięć, który teraz właśnie oświadczył, że żadnego kroku przeciw stolicy nie przedsięweźmie, nie uwiadomiwszy jej o tem naprzód na 48 godzin, który zawarł konwencyę z Rządem...“ Nie dał Czartoryskiemu dalej mówić Mochnacki. „To są żarty, Mości Książę“—zawołał—„my nie powstaliśmy dla przyjmowania łask i warunków od W. Księcia, który jest jeńcem rewolucyi, ale dla zbawienia Polski. Niechaj tedy Rząd nie gra komedyi, która się bardzo tragicznie zakończyć może albo dla powstania, albo dla jego nieprzyjaciół i wątpliwych stronników!“

„To ostatnie słowa“—opowiada Mochnacki—„które wszystkich członków Rady Administracyjnej obruszyły i zatrwożyły do do najwyższego stopnia, obróciłem szczególnie do Lubeckiego, zachowującego ciągłe milczenie. Chłopicki wyszedł z furyą z sali i zatrzasnął drzwi za sobą. Gustaw Małachowski napisał zaraz w wyrazach najenergiczniejszych protestacyę przeciw zgwałceniu miejsca posiedzeń rządowych i podał się do dymisyi. Za jego przykładem toż samo uczynił Radziwiłł. Wtedy Niemcewicz, rozdzierając suknię na piersiach swoich, zawołał: „„Ugodźcie w to serce, które zawsze biło dla ojczyzny; pomordujcie nas; wszak przyszliście tu z bronią; skoro cnocie, sumieniu i poczciwej nie ufacie siwiźnie.““ W końcu Władysław Ostrowski i książę Czartoryski oświadczyli, iż Rząd weźmie pod rozwagę przełożenia Klubu. Deputacya odeszła.“

Tyle Mochnacki. W protokóle urzędowym zamieszczono trzy słowa: „Dyskusya ustna. Wychodzą.“

Rzeczywista dyskusya zaczęła się dopiero po odejściu klubowców i po przyjęciu jeszcze jednej deputacyi, o której to jedynie wiadomo z protokółu, że „w innym duchu przemawiała;“ była to „deputacya obywateli cyrkułu 1-go stołecznego miasta Warszawy.“ Dembowski zapamiętał, że deputacya ta wprost żądała, „ażeby prosić W. Księcia, by z wojskiem przybył do Warszawy dla utrzymania porządku.“

W dyskusyi nie było mowy o tem, czy zgodzić się lub nie zgodzić na żądania Klubu. Ustąpić, złożyć władzę, czy też pozostać na stanowisku? o to się toczyła dyskusya. Barzykowski słusznie powiada: „Od chwili, jak Rząd po najściu dokonanem nie miał woli czy siły, aby Klub zamknąć, Mochnackiego do kozy wsadzić — odtąd Rząd przestał być Rządem.“ To wszyscy dobrze czuli, a przecież o zamknięciu Klubu lub uwięzieniu zuchwałego trybuna nie było mowy. Było to równie niewykonalne jak przyjąć żądanie Klubu. Nie darmo Chłopicki trzasnął drzwiami i wyszedł z furyą; wiedział, że nie ma siły do stłumienia, poskromienia anarchii; nie wiedział, czy jutro lub pojutrze tych sił przybędzie, pod czyją komendą stanie wojsko, któremu rozkazano ściągać do Warszawy: pod jego, Konstantego czy pod Klubu komendę? Wszakże, według słów Dembowskiego, nie dalej jak tego samego dnia w południe „przybył na sesyę pułkownik Skrzynecki i zapytał, czy Rząd działa w imieniu cesarza Mikołaja, a otrzymawszy zapewnienie, że do tej chwili nikomu na myśl nie przyszło wypowiadać posłuszeństwo panującemu, doniósł, że *w takim razie* natychmiast udaje się do swego pułku, który stosownie do wypisu protokółu Rady do Warszawy miał przybyć.“ W ślad za Skrzyneckim jednak zjawił się w Radzie przybyły z Siedlec porucznik artyleryi Leon Rzewuski „z oświadczeniem, iż baterya w Siedlcach konsystująca do powstania przyłącza się.“ Taką to niewiadomą było jeszcze w tej chwili, jak się wojsko zachowa; uzasadniona była w każdym razie obawa, że jedni dowódcy tą pójdą drogą, drudzy przeciwną. Wielkie też wrażenie sprawił na Radzie powrót Chłopickiego na posiedzenie. Wracał z miasta i przynosił wiadomość, że właśnie jenerał Szembek z 1-ym pułkiem strzelców nadciągnął do Warszawy — do Warszawy, a nie do Wierzbna. Wkrótce sam Szembek zjawił się w Banku. Ale właśnie całe postępowanie jenerała Szembeka było jaskrawą, pouczającą illustracyą ówczesnego położenia. Długo chwiał się; w rozterce obowiązków, równocześnie wzywany przez Rząd i przez Naczelnego Wo-

dza, poszedł ostatecznie za swymi podkomendnymi, którzy nie byliby go usłuchali, gdyby zakomenderował: „Do Wierzbna!“

Ustąpić czy też wytrwać? Za ustąpieniem, za rozwiązaniem Rady przemawiali Radziwiłł i Gustaw Małachowski; w teoryi mieli słuszność. Rząd bowiem przestał być Rządem, gdy na brutalne najście klubowców nie mógł, istotnie nie mógł się zdobyć na co innego, jak tylko na miękką obietnicę rozważenia ich żądań. Lubecki stanowczo oparł się abdykacyi: „Nie słuchajmy ich, nie możemy słuchać, a słuchalibyśmy, gdybyśmy ustępując ulegali ich życzeniom, bo oni tego tylko żądają.“ Wtórował mu Kochanowski: „Nie chwila porzucać; *le moment du danger existe; restons!*“ Stary kasztelan upierał się przez to samo poczucie obowiązku, którem się powodował zarówno przed dwoma laty w Sądzie Sejmowym, jak przed godziną, gdy własną piersią bronił klubowcom wstępu do sali: im gorzej, im niebezpieczniej, tem pewniej trzeba wytrwać do końca na posterunku, nie oddawać go szaleńcom czy niegodziwcom. Czy Lubeckiemu już w tej chwili zamętu i prostracyi przyświecał jakiś wyraźny plan wybrnięcia z tego położenia bez wyjścia? czy tylko, jak Kochanowski, wzdrygał się rzucać władzy na bruk uliczny? Być może, że już tej nocy miał przed oczyma plan dalszego działania, plan jasno zarysowany, na którego spełnienie trzeba było choćby dwóch dni; byle zyskać ten czas, nie rzucając choćby tej wątłej władzy na pastwę Klubu. Może ten plan już przed wyjazdem do Wierzbna rysował się w tym lotnym, elastycznym umyśle, gdy Lubecki powiedział: „Dotąd jesteśmy w obrębie konstytucyi; czekajmy, czy będzie konieczność wystąpienia z niego...“

Nie dość jednak wytrwać na posterunku. Pozostając na stanowisku, trzeba było powziąć decyzyę, co począć z Klubem, tak, z Klubem, nie z jego żądaniami, które obiecano „rozważyć,“ aby się pozbyć zuchwałych napastników — choćby na kilka godzin. Co do tych żądań, nie rozpoczynano nad niemi jakiejkolwek dyskusyi. Nikt nie śmiał tego nawet zaproponować, nawet sam prezes Klubu; Lelewel na to się tylko zdobył, że powiedział, według słów protokółu: „Znam niektórych z tego klubu; wczoraj mieli 30, dziś 500.“ Śmielej już przemawiali za liczeniem się z siłą Klubu: jego mąż zaufania, Ostrowski, i Dembowski, czerwony kasztelan. I oni jednak nie żądali dyskusyi o ośmiu punktach klubowych „żądań;“ twierdzili tylko, że „trzeba coś powiedzieć, wyjaśnić rzecz, wystawić niepodobieństwo żądań.“ Jeden Fredro—istna igraszka losu—Fredro, osławiony kurator Uniwersytetu, który tak cynicznie drwił z godeł narodowych, pod wraże-

niem słów Mochnackiego, nie wstydził się powiedzieć: „Oni pierwsi rewolucyę zrobili; ich zdania nie mogą być obojętne.“

„Coś powiedzieć...“ — dać Klubowi jakąś odpowiedź, jakąkolwiek, byle go na razie ugłaskać... Temu i Lubecki się nie sprzeciwiał, jeśli przez to da się zyskać na czasie; tymczasem się pokaże, po czyjej stronie staną wojska narodowe; staną po stronie Rządu, to rola Klubu będzie skończona. W tem położeniu, redakcya odpowiedzi była dość obojętną; im więcej frazesów, byle nic nie mówiących, tem lepiej i dogodniej. Z dwóch projektów, Niemcewicza i Ostrowskiego, przyjęto drugi; tekst Niemcewicza był zapewne zanadto patetyczny, za silnie drgał w nim ton oburzenia. Ostrowskiego tekst także nieznany, jak brzmiał mniej więcej, można wnosić z treści jego przemówienia, którą Krysiński w następujących słowach zapisał w protokóle: „Klubu członki najlepsze mają chęci: odpowiedź do nich zacząć od pochwalania chęci, a potem wystawić szkodliwość proponowanych środków; że zaraz po nich przybyła deputacya od miasta Warszawy, która w innym duchu mówiła.“ Po uchwaleniu „odpowiedzi“ w redakcyi Ostrowskiego, po krótkiej dyskusyi o „komitetach do formowania Straży bezpieczeństwa“—tak miała się nazywać gwardya narodowa—po przyjęciu gotowego projektu, który w tej mierze wypracował Dembowski: Rada skończyła posiedzenie o 3-ej w nocy (3-go grudnia).

Po takim dniu, po pięciu godzinach konferencyi z W. Ks. Konstantym, po wstrząśnieniach tego wieczora i nużącej nocnej dyskusyi, Lubecki korzystał z chwilowej ciszy i podyktował projekt raportu do Cesarza, już wówczas niezawodnie na to zdecydowany, że sam ten raport powiezie do Petersburga. Nie myślał jeszcze o jutrzejszem samobójstwie Rady Administracyjnej Królestwa. Przeciwnie, w nocy z 2-go na 3-ci grudnia był jak dawniej zdecydowany utrzymać u steru Rząd „działający w imieniu króla,“ uważając zarazem za rzecz tem konieczniejszą: jasno i z całą stanowczością przedstawić sytuacyę Mikołajowi i stanąć pomiędzy nim a narodem. Oto ostateczne konkluzye tego ciekawego raportu:

„Przyszłość Królestwa przedstawia nam się w trzech odmiennych postaciach:

1) Albo ruch rewolucyjny rozprzestrzeni się nie tylko w dawnych prowincyach polskich, ale i pośród ludów ościennych mocarstw, coby doprowadziło do zupełnego tryumfu nowych doktryn politycznych, i to, według okoliczności, w ostrzejszej czy też w łagodniejszej postaci.

2) Albo pożar ten zamknie się w granicach Królestwa; skoro zaś przewaga sił rosyjskich jest faktem tak pozytywnym, jak i moc polskiego patryotyzmu, który dziś zsolidaryzował się jak najściślej z wypadkami ostatnich dni, wyniknie stąd krwawa walka, walka eksterminacyjna, po której zwycięzca nic nie znajdzie w Królestwie prócz trupów i popiołów.

3) Trzecia możebność, to właśnie cel ostateczny wszelkich wysiłków Rady Administracyjnej i licznego zastępu najlepszych obywateli (*du Conseil et de la masse des meilleurs citoyens*) — to kompromis pomiędzy obydwoma równie zgubnymi extremami: ścisłe wykonywanie ustawy konstytucyjnej i jej ubezpieczenie wszelkiemi niezbędnemi w tym celu rękojmiami. Oto łącznik niespożytej trwałości (*Voilà le lien indissoluble*), mogący jedynie Polakom zachować króla, którego znają dotąd tylko z zacności charakteru, ze szlachetności postępowania i czystości dobrych intencyj; oto fundament, na którym ten Monarcha może ugruntować swe panowanie we własnych poddanych, bo w ich sercach zespoli się na zawsze miłość ojczyzny z wdzięcznością względem dostojnego Monarchy, gdy on sam podniesie z gruzów obalony ołtarz swojego panowania.

Aby Rada Administracyjna mogła ten cel osiągnąć, potrzeba:

1) Oddać do dyspozycyi Rady całą polską armię, dla wyposażenia jej w dostateczną siłę.

2) Wydać rozporządzenia, żeby wojska rosyjskie wyszły z granic Królestwa w terminie oznaczonym i w przyszłości nie mogły wkroczyć na terytoryum Królestwa, chyba w razie wojny z nieprzyjacielem (*et ne puissent y entrer à l'avenir qu'au cas d'une guerre extérieure*).

3) Ustanowić sprężystą administracyę we wszystkich gałęziach służby publicznej.

4) Rozwinąć i dopełnić niektóre artykuły ustawy konstytucyjnej i to beż żadnej zwłoki, o ile tak ważny przedmiot na to pozwoli.

5) Proklamować bezwarunkową i powszechną amnestyę."

Takie żądania zredagował Lubecki przed świtem 3-go grudnia. W ciągu dnia drugi punkt, w pierwszej części przynajmniej, był zupełnie zbytecznym, bo W. Książę znajdował się już w pochodzie do Brześcia Litewskiego. Na tę decyzyę wpłynęło przedewszystkiem przybycie Szembeka do Warszawy oraz wiadomość, że inne także pułki do Warszawy ściągają, a nie do Wierzbna; gdy wojsko się przechyliło na stronę powstania, rola W. Księcia była skończona, chybaby poszedł za myślą Lubeckiego i sam na

czele wojska z powstaniem się połączył. Decyzyę Konstantego przyspieszył jednak bezwątpienia dalszy bieg wypadków w Warszawie, rano 3-go grudnia. Sam Lubecki go ostrzegł, by uchodził bez zwłoki; co 2-go jeszcze grudnia wydawało mu się możliwem i zależnem jedynie od woli W. Księcia, to nazajutrz było już prostą niemożliwością.

## VII.

## Rozbicie Rady Administracyjnej.

Po kilkogodzinnej zaledwie ciszy, rano 3-go grudnia, znów było rojno i gwarno w gmachu Bankowym—zanadto rojno i gwarno, jak na miejsce posiedzeń Rządu, nawet w takim momencie. Około 10-ej przybył do Banku z Wierzbna Władysław Zamoyski. „Zastałem“— opowiada—„salę Rady opanowaną przez tłum ludzi, nie należących do Rządu. Książę Lubecki z księciem Adamem Czartoryskim wzięli mnie na stronę; opowiedzieli o niebezpieczeństwie, na jakie byli narażeni w nocy; wręczyli mi przepisany na czysto w tejże chwili list do W. Księcia, zawierający krótkie wyłuszczenie powodów, dla których niepodobna im było dalej prowadzić umowy wczoraj poczętej. Było to ostatnie słowo, jakie pod naciskiem wypadków napisać do niego mogli; było tam zarazem ostrzeżenie o niebezpieczeństwie grożącem mu ze strony ludności rozognionej, która się dłużej nie da powstrzymać, jeżeli on pozostanie w obrębie stolicy, albo zwlecze odprawienie części wojska polskiego przy nim będącej. Nie wahał się Rząd oświadczyć W. Księciu, że dla zabezpieczenia dni jego, pozostało mu tylko złożyć broń i zdać się na wspaniałomyślność narodu, albo uchodzić bez zwłoki. Wzburzenie panujące w sali i nagłość wypadków nie pozwoliły nawet zebrać Rady, żeby jej to pismo odczytać przed oddaniem mi; poprzestałem na otrzymaniu go z rąk księcia Adama, pełniącego obowiązki Prezesa, i księcia Lubeckiego, który był jakby duszą Rządu, bo za jego radą do tej pory, wszystkie niemal wzięte były postanowienia.“

W Wierzbnie dopiero, gdy W. Książę list otworzył i popatrzył, kto na nim podpisany: przekonał się Zamoyski, że na piśmie tak niesłychanie ważnem, nie było wcale podpisu. „Na honor się zakląłem“—powiada—„żem otrzymał list ten z rąk dwóch książąt i że jedynie pośpiech, z jakim mnie wyprawiali, mógł być przy-

czynią tego zapomnienia; zresztą, dodałem, to daje miarę zgiełku, panującego w mieście i w samymże pałacu rządowym. W. Książę przyjął to zapewnienie; tylko księżna Łowicka, zawsze obecna tym rozmowom, wymawiała mi surowo moje roztargnienie."

Listu tego nie podpisano z umysłu. „Car wziąłby go za zbrodnię i Klub także poczytałby go za zbrodnię" — tak podobno później tłómaczył Lubecki Zamoyskiemu brak podpisu na liście, wyznając, że i sam z rozmysłem nie położył swego podpisu i Czartoryskiego odwiódł od podpisania. Istotnie, nie o dokument tu chodziło, ale o skutek pisma, o to, by nie dopuścić do krwawego starcia, po którem „układy w Petersburgu" stałyby się mrzonką nie do urzeczywistnienia. Zrazu żądał Lubecki od Zamoyskiego, żeby się ustnie wywiązał z tej ostatniej misyi do Konstantego; gdy zaś „Zamoyski tak ważnego oświadczenia i polecenia nie chciał być prostem echem, ale zażądał, aby mu to na piśmie było danem, uczyniono zadość jego żądaniu..." Tekst piśmienny dawał rękojmię, że tak doniosłe oświadczenie dostanie się bez żadnej niedokładności do wiadomości W. Księcia, a zarazem uchroni młodego adyutanta od zarzutu przesady. Brak podpisów był zatem tylko przezornością, w tej właśnie chwili aż nadto zrozumiałą; gdyby klubowcy przejęli pismo urzędowe tej treści, cel zamierzony byłby najzupełniej chybiony, nietylko zaś podpisani, ale i cała Rada byłaby wystawiona na największe niebezpieczeństwo.

Klub bowiem był wówczas górą. „Zebrawszy się od świtu" — mówi Mochnacki — „jeszcze liczniej, jak w dniu poprzedzającym, już obradował, *szerzył postrach* i rządził stolicą, albowiem wszystkie władze przed nim drżały..." Mochnacki nie przesadza; w tej chwili tak było rzeczywiście. Przywódcy Klubu, widząc słabość i miękkość Rządu, poczuli w sobie siłę po wczorajszem wieczornem najściu na gmach Bankowy. To samo zaś, co było istotnem źródłem słabości Rządu, wzmogło zarazem w Klubie poczucie siły. Co bowiem tę siłę dawało i stanowiło? — wojsko i tylko wojsko. Gdy zaś Klub zgromadził się o świcie, a więc chyba jeszcze przed ósmą 3-go grudnia, na posiedzenie przybył po raz pierwszy — tak, po raz pierwszy dopiero — prezes Klubu, Lelewel, dotychczas zajęty w Rządzie, a przybył w towarzystwie jenerała Szembeka. Na nic nie zdały się umiarkowane słowa uczonego Prezesa; siedząc lękliwie na dwóch stołkach, nie mógł sobie zdobyć posłuchu. Szembek wszystkich ciągnął ku sobie: pierwszy jenerał, co przybył do Warszawy, z powstaniem się połączył i pospieszył na zgromadzenie Klubu, fraternizować z „Jakobinami," jak nazywano Klubowców w jego sferze, po wczorajszej „orgii jakobińskiej"

w sali rządowej; tak mówiono w tych samych kołach o wczorajszej napaści Klubu na gmach Bankowy.

Daleko było Szembekowi do wszelakiego „Jakobinizmu;“ dał tego później dowody, na stanowisku gubernatora miasta Warszawy. Zacny człowiek i dobry Polak, żołnierz Napoleoński, młodzieńcem jeszcze dwudziestoletnim, w r. 1809, ozdobiony za męstwo krzyżem *virtuti militari*, na dowódcę nieszczególny materyał, jak to wykazał Grochów — nie odznaczał się ani głową, ani też mocą charakteru. Traf wysunął go naprzód w pierwszych dniach listopadowego powstania; ze wszystkich jenerałów stał najbliżej Warszawy, w Sochaczewie; jemu zatem najpierw przyszło się zdecydować, po czyjej stanąć stronie, jego zaś przykład wiele i u innych zaważył w kollizyi obowiązków. I on się wahał, bardzo nawet się wahał; rozterka honoru wojskowego, wierności zaprzysiężonej i uczuć patryotycznych nie od razu dała mu poznać drogę, na którą go powoływał obowiązek żołnierza i Polaka. Im więcej doznawał względów, i od obu Cesarzy i od W. Księcia — co rzadko się zdarzało — tem trudniej było mu powziąć ostateczną decyzyę. Przeważyło uczucie, w takt idące z głosem korpusu oficerskiego w pułku, którym dowodził, z patryotycznym nastrojem pułku. Raz spaliwszy za sobą mosty, spełniwszy akt niesubordynacyi wojskowej, tem znamienniejszy, że go dokonał w obliczu W. Księcia, do którego zboczył po drodze, Szembek wziął rozpęd, który go w parę godzin po przybyciu do miasta—zaprowadził na zgromadzenie Klubu. Nie było w tem może nawet tyle nagannej gonitwy za łatwą do zdobycia popularnością, nie było tyle zdrożnej ambicyi w tym nierozważnym i lekkomyślnym kroku, ile raczej drażliwości sumienia u człowieka czystego charakteru a słabej głowy, któremu w takiej chwili ciężyła ustalona opinia ulubieńca Mikołaja i Konstantego. To właśnie była klątwa takich stosunków jakie się zgubnie rozpanoszyły w Królestwie Kongresowem, to było właśnie dziełem Belwederu a zwłaszcza Nowosilcowa, że według słów Lubeckiego, „indywidua znane z podłości, z wyzysku, z nadużywania charakteru urzędowego, doznawały jawnej protekcyi, a ludzie nieposzlakowani i zacni wystawieni byli na ustawiczne prześladowanie i tysiączne szykany;“ to klątwa, co w całej grozie ujawniła się w rewolucyjnym wybuchu, gdy ludzie „zacni, nieposzlakowani“ którzy zbiegiem okoliczności zażywali względów W. Księcia, zapędzali się dalej, niż tego wymagało uczucie i sumienie Polaka, pod nieprzezwyciężonym wpływem drażliwości, by ich nie poczytano za serwilistów, odpłacających doznane fawory i odznaczenia. Tak Szembekowi także niedość

było, 3-go grudnia, że wbrew rozkazom W. Księcia usłuchał wezwania Chłopickiego i pułk swój do stolicy przyprowadził, a nie do Wierzbna; gdy się znalazł w Warszawie, zdeptał względy należne Chłopickiemu i Radzie, od której to wezwanie odebrał: poszedł na zgromadzenie Klubu i tam stał się przedmiotem frenetycznych owacyj.

Po przybyciu Szembeka, zebranie Klubu przeobraziło się od razu w wielki meeting ludowy, pod gołem niebem, na rozległym placu Krasińskich. Wóz drabiniasty na środku placu służył za rewolucyjną trybunę; z niego płynęły ogniste przemówienia. Obecność jenerała, który w jednym momencie stał się bożyszczem roznamiętnionych tłumów, potęgowała w przywódcach Klubu poczucie siły, większej nawet siły, niż ją posiadali istotnie, choć rzeczywiście przykład Szembeka był faktem wielkiej wagi, wzbudził bowiem otuchę, że i inni dowódcy pójdą za tym przykładem, a Klub wsparty na wojsku, „siejąc postrach“ dokoła, zapanuje dziś nad Warszawą, jutro nad krajem. Płomienne mowy podżegały podniecony tłum przeciw Rządowi, przeciw „kontrrewolucyi,“ która gubi ojczyznę. „Idźmy do Banku, idźmy wszyscy razem!“ odzywały się zewsząd namiętne głosy. Rzucono hasło: „Litwa!“— rzucono je niestety, jakby na pohańbienie tego wzniosłego hasła, w związku z wezwaniem do wieszania niepopularnych ludzi: „Na nic się wszystko to nie zdało,“ — wrzeszczał Kuszel, typ rewolucyjnego klubowca, który się później splamił najmizerniejszem tchórzostwem — „na nic wszystko, jeżeli zaraz nie wpadniemy na Litwę, ale pierwej trzeba koniecznie powiesić prezesa Komisyi województwa augustowskiego...“ — „Dobrze, dobrze! Idźmy na Litwę! Powiesić Prezesa!“ — krzyczano ze wszystkich stron. Ten lub ów młody trybun—niewielu takich było na szczęście—napojony lekturą o wielkiej rewolucyi, patrząc na te roznamiętnione tłumy, słuchając tych okrzyków, myślał z zadowoleniem: „To rozumiem, to rewolucya, prawdziwa rewolucya!“

Oto słowa najwybitniejszego z pośród owych młodych demagogów, jedynego, w którym był rzeczywiście materyał na rewolucyjnego trybuna w wielkim stylu: „W tej chwili bujających już namiętności popularnych i rozdąsania się publicznego na Radę Administracyjną, przybywa Władysław Ostrowski, zamiast odpowiedzi kategorycznej na wczorajsze przełożenie Klubu przynosząc wezwanie, którem Rada rządowa przybrała na swoich członków mnie, Ksawerego Bronikowskiego i majora Machnickiego. „„Wzywam tych panów — oświadczył także z wozu drabiniastego Władysław Ostrowski—żeby się zaraz udali na miejsce posiedzeń

rządowych.““ „Byłto—pisze dalej Mochnacki—nowy wybieg kontrrewolucyi, nowa koncesya Lubeckiego. System tego ministra, który się gimnastycznie pasował z falą, zależał na sztucznem zobojętnianiu żywiołów rewolucyjnych, na stopniowej politycznej ich absorbcyi. Zrazu wspierał rząd zagrożony, na powadze Czartoryskiego, Paca, Niemcewicza. Gdy to nie uciszyło miasta, rozprzestrzenił swój zakres kontrrewolucyjny i wciągnął weń Władysława Ostrowskiego i Lelewela, jako głębiej już zanurzonych w ruchu. Gdy i to nie pomogło, postanowił nakoniec sięgnąć do gniazda poruszeń i wplątać Klub w swoje koło, ażeby, co tylko powstawało przeciw Radzie Administracyjnej, w niej grzęzło i z niej się nigdy wydobyć nie zdołało. Lecz co do tego ostatniego punktu, omylił się minister na zdaniu swojem: klubistom nie mógł dać rady...“

Tak osądził Mochnacki działanie Lubeckiego, wówczas i w parę lat jeszcze później, pisząc swą historyę powstania, która sąd ten podała potomności i utrwaliła w każdym razie na długo. Czy sądził słusznie, mianowicie, jak sam powiada, „co do tego ostatniego punktu,“ co do zaproszenia klubistów — na to niech dadzą odpowiedź fakty, dalszy przebieg wydarzeń 3-go grudnia i dni następnych.

Bądź co bądź, pojawienie się Ostrowskiego na wozie drabiniastym przerwało uroczy sen Mochnackiego, przerwało go brutalnie w najpiękniejszym momencie, gdy marzenie już zaczynało przybierać kształty rzeczywistości, gdy coraz głośniej, zacieklej rozlegał się krzyk: „Do Banku“ — i „wieszanie“ już szczęśliwie wtargnęło na porządek dzienny klubowego meetingu. Wezwanie Ostrowskiego zlało strumieniem zimnej wody wybuchający wulkan; trudna rada, Rząd ugiął się przed „ludem;“ rzecznicy jego, po myśli wczorajszych mniemanych „żądań ludu,“ musieli iść do Banku i zasiąść na posiedzeniu znienawidzonej Rady, na którą chcieli prowadzić roznamiętnione rzesze.

Cóż jednak sprowadziło Ostrowskiego na ten wóz drabiniasty, z zaproszeniem klubistów na posiedzenie Rządu, tego samego członka Wydziału Wykonawczego, który nad ranem jeszcze zredagował odpowiedź Rządu na wieczorne „żądania“ Klubu, odpowiedź pełną wprawdzie miękkich frazesów, ale stwierdzającą stanowczo niewykonalność klubowych postulatów i odporną, bądź co bądź, wobec tych postulatów postawę Rządu. Mochnacki, co do faktu samego, ma słuszność najzupełniejszą: Ostrowski był tylko wykonawcą uchwały, którą Rząd powziął *na wniosek Lubeckiego*. Chodziło o zyskanie kilku godzin drogiego czasu, o nic więcej.

Była to swoją drogą szczególniejsza uchwała, uchwała tak doniosła, po której żaden ślad nie pozostał w urzędowych protokółach Rady i Wydziału Wykonawczego. W szczególniejszych bo też ją powzięto warunkach, tuż przed przybyciem Zamoyskiego do Banku, czy też w ślad po jego odejściu i po wyprawieniu owego słynnego pisma do Konstantego. Tak czy inaczej, działo się to w sali „opanowanej — jak powiada Zamoyski — przez tłum ludzi nie należących do Rządu," wśród coraz groźniejszych wiadomości o przebiegu zgromadzenia na placu Krasińskich, pod naciskiem nadchodzących co chwila doniesień i ostrzeżeń, że tłum roznamiętniony wtargnie lada chwila do Banku z klubistami na czele. Odpowiedzi uchwalonej przed kilku godzinami według projektu Ostrowskiego nie posłano jeszcze do Klubu; czasu na to nie było. Na formalną reasumpcyę uchwały nie była pora, pośród takiego zgiełku i pod naciskiem takich okoliczności. Gdy więc Lubecki—sam Lubecki—zaproponował zawezwać klubistów na posiedzenie i przyjąć ich do składu Rady Administracyjnej, nikt zapewne nie oponował, a Władysław Ostrowski podjął się chętnie tak popularnego zadania. Taka uchwała zapadła prawdopodobnie — jak mogła zapaść w tem położeniu; może Lubecki ściągnął kolegów do jakiego zaciszniejszego zakątka sali i tam im swój wniosek przedstawił; nic też dziwnego, że takiej uchwały nie wpisano do protokółu.

Po przybyciu reprezentantów Klubu zaczęło się oficyalne już posiedzenie Rady Administracyjnej; przedtem, gdy ich postanowiono wezwać na sesyę, była tylko narada, pogadanka, w obecności dwustu jakich niepowołanych do udziału w obradach świadków. Krysiński umaczał pióro i zaczął znowu, ile się dało, spisywać protokół posiedzenia, rozpoczynając go od pamiętnych wyrazów: „Dnia 3 grudnia. Wezwani do Rady pp. Mochnacki i Plichta zasiadają." Niewiadomo, z jakich powodów nie zapisał trzeciego reprezentanta Klubu, który, jak o tem sam świadczy, był na tej sesyi także obecny; może się spóźnił, przybył po Mochnackim i Plichcie, gdy oficyalna sesya już się zaczęła. Był to sam wiceprezes Klubu, Ksawery Bronikowski. Czwarty z wezwanych, major Machnicki, nie pojawił się wcale. Stary żołnierz, oficer z czasów Księstwa Warszawskiego, jedna z ofiar prześladowania W. Księcia, od dawna wystąpił z wojska, czy też nawet nie wstąpił wcale do armii Królestwa Kongresowego. Popularny, z wszystkiemi robotami spiskowemi w styczności, był przez twórców powstania upatrzony do objęcia komendy w chwili wybuchu. Nie uchylał się od tego zadania, gotów w każdej chwili złożyć dowództwo w godniejsze i bardziej wypróbowane ręce. Zraził się

już jednak do organizatorów powstania, gdy go na samym wstępie spotkał zawód z ich strony i oddział kawaleryi, który w chwili wybuchu miał się zjawić przed mieszkaniem majora, nie stanął zgoła do jego dyspozycyi. Bywał wprawdzie na pierwszych zebraniach Klubu, bo go tam wiodła widocznie, starego patryotę, obawa „kontrrewolucyi“ z góry, nieufność do Lubeckiego i innych rządowych figur. Ale po zgromadzeniu na placu Krasińskich miał dosyć tej roboty; chociaż wezwany do składu Rządu, uchylił się od wszystkiego i wyjechał z Warszawy.

Posiedzenie zaczęło się przykładnie od dyskusyi w sprawach administracyi rządowej, która w ubiegłych trzech dniach powstania rozprzęgła się zupełnie. Biura rządowe stały pustką, urzędnicy bawili się polityką, w klubie lub na ulicy, do gwardyi się zaciągali, albo też wystraszeni siedzieli w domu. Pora więc była zająć się wprowadzeniem jakiegoś ładu w czynnościach magistratur rządowych. Wśród tej dyskusyi odezwał się Lubecki, zapowiadając swoje ustąpienie, z powodu braku zaufania u ludu. Było to już podobno skutkiem inwektyw, które Mochnacki w czasie dyskusyi brutalnie rzucił mu w oczy. On bowiem przecież nie po to przybył na sesyę, żeby spokojnie rozprawiać o szczegółach rządowej administracyi. Byłby nierównie wolał korzystać z „bujających już namiętności popularnych i rozdąsania się publicznego na Radę Administracyjną,“ byłby wolał przybyć do Banku na czele roznamiętnionych tłumów i Rząd „rozpędzić a może wymordować“ — jak twierdzi wtajemniczony w jego zamiary Ksawery Bronikowski. Zmuszony zasiąść w gronie tych samych ludzi, którym ten los gotował, przybył tu w tym tylko celu, ażeby Rząd obalić, nie w ten, to w inny sposób. To własne jego słowa: „Uważając udział mój i Bronikowskiego we władzy rządowej za *chwilowy* tylko, żądany ze strony Klubu, jako środek rozwiązania Rady przy spodziewanej pomocy Lelewela i Władysława Ostrowskiego,... oświadczyłem natychmiast Lubeckiemu, że nie wejdę do Rządu, póki minister Skarbu z innymi ministrami Mikołaja w nim zasiada. Rada Administracyjna — powiedziałem to wobec wszystkich jej członków, *powiedziałem to pierwszy* — koniecznie rozwiązać się musi. Naród jest oburzony przeciw Księciu Ministrowi — mówiłem dalej — rewolucya własnego Rządu potrzebuje, w imieniu króla działać nie może.“

W tym sensie mówił niezawodnie Mochnacki, nie wypowiedział tylko tego wszystkiego naraz, w tem samem przemówieniu. Inwektywy na Lubeckiego, rzucone prawdopodobnie w dyskusyi o urzędnikach Komisyi Skarbu, poprzedziły otwarte rzucenie rę-

kawicy Rządowi jako takiemu, Radzie Administracyjnej Królestwa, istotnie dotąd „działającej w imieniu króla,“ choć tego już od wczoraj nie akcentowano wyraźnie. Osobiste te inwektywy wywołały kilka z rzędu przemówień, które protokół posiedzenia streszcza w następujących słowach, z nieuniknionemi w tak pospiesznych zapiskach niezgrabnościami stylu, zresztą dość jasno:

— Lubecki: Słyszałem, że nie mam ufności ludu, zwłaszcza, abym był w Radzie. Nie ma ministra Skarbu, któryby mógł nie być w Radzie, ale dodajcie mi pomocnika, potem uwolnijcie. (Innemi słowy: Nie upieram się przy władzy; wyznaczcie mi pomocnika i zarazem następcę, któregobym mógł wprowadzić w urzędowanie, a ja się usunę, gdy to tylko będzie możliwe).

— Czartoryski: Byłoby to klęską dla kraju.

— Niemcewicz: Szlachetne i obywatelskie serce Księcia, dobrze mi znane, jest mi rękojmią, że w trudnych tych czasach Książę nas nie opuścisz. Potwarze mogły Cię dotknąć, ale poczciwy człowiek gardzić niemi winien.

— Lubecki: Jeśli mam opinię za sobą, jest nagrodą; zła nie upokarza mnie.

Zapowiedź dymisyi miała więc na razie ten sam skutek, co przedwczoraj, przed owem parlamentarnem jeszcze wtargnięciem opozycyjnych posłów do Rady Administracyjnej, przed pierwszem echem niechęci „ludu“ do niepopularnego ministra, jakie obiło się o ściany sali rządowej 1-go grudnia. Znów najpopularniejsze osobistości, Niemcewicz i Czartoryski, oddały hołd zasłudze i cnocie obywatelskiej zaatakowanego ministra. Jakie zaś akcenty odezwać się musiały w przemowie Niemcewicza, to dobitniej niż pospieszna i sucha zapiska protokółu, wyraża jego własny dziennik, w krótkim, lapidarnym ustępie o wybuchu powstania: „Wezwano mnie do tymczasowego Rządu; prace w dzień i w nocy, zgryzoty od zagorzałych klubów Jakobinów, zbytnie były na wiekiem i troskami stargane siły moje; zachorowałem niebezpiecznie.“

Ten zgoła niepożądany dla Mochnackiego skutek jego wystąpienia — dodał mu bodźca. Powracając do przerwanej dyskusyi, przystąpił do odczytania swego własnego w rozbieranej materyi projektu. Posłuchajmy znowu słów protokółu:

— Mochnacki czyta projekt co do nieoddalania się urzędników i zaczyna go od (wyrazów): *Rząd Tymczasowy*...

— Lubecki: Niema decyzyi, aby był Rząd Tymczasowy.

— Mochnacki: Nie występujmy już na widok publiczny z Radą Administracyjną; nie ma ona ufności.

W tych kilku krótkich, suchych, a tem samem dosyć parlamentarnych słowach, streszcza urzędowy protokół ostatnie odezwanie się Mochnackiego na ostatniem też posiedzeniu Rady Administracyjnej konstytucyjnego Królestwa. Jakie jednak znowu akcenty zabrzmieć musiały w tem przemówieniu młodego demagoga, łatwo sobie wystawić, pamiętając, w jakim celu i z jakiem postanowieniem Mochnacki przybył na posiedzenie Rady, jakim darem słowa był wyposażony z natury, jak wreszcie go podniecało zniecierpliwienie wskutek przemówień Czartoryskiego i Niemcewicza. Odzywał się w nim wreszcie w owej chwili Mochnacki do szpiku kości, odzywał się kandydat do władzy, mówił bowiem więcej do licznych zawsze, niepowołanych świadków rządowej sesyi, niż do tej władzy, w której gronie zasiadał, skazując ją na śmierć, co najmniej na śmierć moralną. „W sali posiedzeń — znów własne jego słowa — po wczorajszej orgii jakobińskiej (tak nazywano deputacyę Klubu) panował nieład, jak po sutym bankiecie, jak po nocnych saturnaliach. Jedno tchnienie ludu rozwiało tę starą władzę, dotąd tak sztucznie, tak dowcipnie utrzymywaną. Deputacye mnogie, coraz częstsze, od wszystkich oddziałów wojska, ze wszystkich punktów stolicy przychodziły za wczorajszym przykładem. Insurrekcya w masie założyła swój główny biwak przed Bankiem, a swoją główną kwaterę w Banku, w pokojach Lubeckiego. Nie było już żadnego rządu.“ Ta atmosfera, idealna dla młodego trybuna atmosfera, działała na niego w sposób tak silnie podniecający, że później, gdy o tem spokojnie pisał w ciasnej izdebce paryskiej na emigracyi, jemu samemu wydało się to ostatnie przemówienie na posiedzeniu Rady zanadto ryzykownem. Znajduje jednak dla siebie słowa usprawiedliwienia. „Mówiłem, jak myślałem — powiada — zdawało mi się, że widzę rzeczy jasno; biegłem nagle, *nadto nagle* i dlatego bez skutku, do władzy; te kroki i mowy moje podały mnie w nienawiść u osób bardzo znakomitych. Lecz milczano jeszcze, bo Klub był mocny, a ja w Klubie miałem przyjaciół. Lubecki i Mostowski podali się do dymisyi.“

Milczano zatem: ognistemu demagogowi nikt nie dał odpowiedzi. Obrady jednak przerwały się widocznie, a sam Mochnacki opuścił salę posiedzeń. Uważał, że dopiął celu: mową swoją obalił Rząd. Miał teraz coś ważniejszego do robienia po za murami Banku: przed Bankiem, na ulicach Warszawy wrzało coraz huczniej, coraz burzliwiej: wojsko polskie, które dotąd stało pod Wierzbnem, przy W. Księciu, maszerowało ulicami Warszawy, minęło już Krakowskie Przedmieście, skręciło w Senatorską i zdążało do Banku...

Krysiński tymczasem zapisał na końcu protokółu ostatniej sesyi Rady, po ustępie o przemówieniu Mochnackiego, następujące słowa — słowa, nie zdania:

„Zamoyski — List W. Księcia, potem odezwa — Wchodzi Paweł Bielski z 4-go pułku ułanów — Powrót kancelaryi — Wchodzi wojsko — Książę Lubecki i Fredro proszą o wyłączenie ich.“

Z wyjątkiem niezrozumiałej wzmianki o Bielskim i powrocie kancelaryi—inne zapiski dają się łatwo odgadnąć i uzupełnić.

Zanim członkowie Rządu opamiętali się po ognistej, piorunującej przemowie Mochnackiego, zanim zdołali stwierdzić, czy Rząd jeszcze istnieje, czy też go niema, jak to proklamował młody demagog: do sali wpadł Zamoyski — już bez białej kitki na czaku, bez odznaki adyutanta W. Księcia. Wpadł z tym sławnym francuskim autografem, który udało mu się w ostatniej chwili, przed samem pożegnaniem, wymódz na W. Ks. Konstantym. Tekst tego pisma znany: W Książę, naczelny wódz z ramienia króla, pozwalał „aux troupes polonaises qui sont restées fidèles jusqu'au dernier moment auprès de moi, *de rejoindre les leurs;*“ zapowiadał swój odwrót za granice Królestwa z rosyjskiem wojskiem, a bezpieczeństwo tego odwrotu, pozostałych w Warszawie Rosyan i rosyjskiego mienia, publicznego i prywatnego, oddawał pod opiekę polskiego narodu.

Im większe miał znaczenie ten nieoceniony dokument, tem bardziej stawało się to rzeczą i polityki i honoru narodowego: wytężyć wszystkie siły, by ten apel do narodu — nie zawiódł. Wobec tego Rada Administracyjna uznała, że jeszcze nie przestała być Rządem, choćby tylko w tym celu, żeby spełnić ostatni obowiązek i ogłosić autograf W. Księcia. Wydrukowano go bezzwłocznie z krótką, lapidarną odezwą „do publiczności“ i rozlepiono na rogach ulic. W odezwie powiedziano: „...Wielki Książę, polegając na dobrej wierze Narodu Polskiego, iż w cofaniu się swojem żadnej od nas nie doświadczy przeszkody, oddaje nam sprawiedliwość. Do nas, do naszego honoru należy, dowieść iż W. Ks. Cesarzewicz nie omylił się w mniemaniu swojem. Wzywa Rząd wszystkich obywateli, aby oddalającemu się z wojskiem rosyjskiem W. Ks. Cesarzewiczowi wszelkie ułatwiali trudności.“

Był to ostatni czyn Rady Administracyjnej konstytucyjnego Królestwa. Nazajutrz jeszcze jedna odezwa Rady pojawiła się na ulicach Warszawy: oświadczenie, że Rada się rozwiązała; podziękowanie wojsku, Straży bezpieczeństwa, młodzieży akademickiej i władzom municypalnym, że ją wspierano wśród tak ciężkich okoliczności; wezwanie, żeby nie odmawiano pomocy i poparcia

Rządowi Tymczasowemu, w którego ręce Rada Administracyjna złożyła rządy.

Być albo nie być — wytrwać na posterunku wbrew Klubowi i stojącej za nim ulicy, czy też ustąpić i złożyć rządy, w czyjekolwiek, byle nie Klubu, ręce? To była kwestya, najważniejsza dla Rządu kwestya, od wczorajszego wieczora. Jeszcze przed paru godzinami, przed godziną, gdy zaczynało się posiedzenie w obecności przyzwanych reprezentantów Klubu, jeszcze wówczas podobno zamierzano wytrwać na stanowisku. Po mowie Mochnackiego, po wiadomości o odwrocie W. Księcia, wobec doniesień o zbliżaniu się połączonych wojsk polskich do placu Bankowego, Walenty Sobolewski, przewodniczący Rady z nominacyi królewskiej, „oświadczył, iż niepodobieństwem jest dla niego dalej przy widocznej przewadze powstania utrzymać ster rządu przy Radzie Administracyjnej“ i „oddalił się“ z sali posiedzeń. I dotąd rzadko pojawiał się w gmachu Bankowym. Czartoryski zastępował go w przewodniczeniu obradom. Co innego jednak nieobecność prezesa, chorego na podagrę—co innego, jeżeli usuwał się stanowczo od obowiązku, który od króla miał sobie powierzony. Oświadczenia Sobolewskiego nie zapisano wcale w protokóle urzędowym—przypadkiem w tym chaosie i zgiełku, czy też może z umysłu—Krysiński bowiem, czy kto inny, spodziewał się może jeszcze, że prezes się rozmyśli, cofnie postanowienie. Bądź co bądź, od tej chwili Rada Administracyjna przestała istnieć. Dalsze jej utrzymanie pod przewodnictwem Czartoryskiego nie miało żadnego celu, odejmując Rządowi wszelkie pozory legalności i „działania *w imieniu króla*,“ bez żadnej kompensaty za cały ciężar wypróbowanej niepopularności. Jeśli kto nawet pragnął w tej jeszcze chwili utrzymać Radę na stanowisku: musiał uznać, że to było prostem niepodobieństwem po ustąpieniu Sobolewskiego.

Niepodobna było jednak, nie godziło się, choćby tę wątłą władzę, jaką Rada dzierżyła, najwyższą w kraju władzę, rzucić na bruk ulicy, przez klubowców rozmamiętnionej, oddać na pastwę Mochnackiego i towarzyszy. Co więc począć? Gdy się nad tem zastanawiano, rozprawiając o konieczności ustanowienia Rządu Tymczasowego, odezwały się z blizka wesołe dźwięki muzyki wojskowej, a Krysiński zapisał w protokóle: „Wchodzi wojsko,“ i zakończył protokół ostatniego posiedzenia Rady dopisując jeszcze 8 wyrazów: „Książę Lubecki i Fredro proszą o wyłączenie ich;“ „wyłączenie“ — skąd? czy ze składu Rządu Tymczasowego, o którego ustanowieniu właśnie rozprawiano?

Nie była to, co prawda, chwila do rozpraw, do skupienia umysłu przed decyzyą o tak ważnym przedmiocie, gdy czoło pułku konnych strzelców gwardyi dotarło wreszcie do placu Bankowego; na jego czele wjeżdżali obaj jenerałowie, którzy do końca dotrwali przy W. Księciu, Krasiński i Kurnatowski między Chłopickim i Szembekiem, chroniącymi obu kolegów swoją popularnością przed pogróżkami i obelgami ulicznych tłumów.

„Na placu Zamkowym—opowiada Sierawski, porucznik strzelców konnych gwardyi — niezliczona masa ludu ściśniętego; jedni witali nas przychylnymi okrzykami, drudzy klątwą i złorzeczeniem, za tak późne połączenie się z rewolucyą. Ciasno już było zupełnie na ulicy Senatorskiej, lud tłoczył się przy samych naszych koniach, potrząsał karabinami, wywijał pałaszami, padło kilka strzałów, szczęściem nikogo nie raniły. Prowadzono nas, jakby niewolników. Uściski, pozdrowienia, znów groźby nieprzestanne. Tłumy te szczególnie i dziwnie w swej masie wyglądały: zdawało się, że to nie jest ten poczciwy lud warszawski, o któryśmy się przed kilku dniami ocierali. Zasmolony, obrzękły w twarzach, niby radośnie i wesoło spoglądał, ale jakaś dzikość z oczu mu łyskała. Szły gdzieniegdzie i kobiety, z jakichś zaułków Starego Miasta i Mariensztadu wywleczone, namiętne, pięściami wygrażające—to znów od ust ręką nam pocałunki przesyłały. A nad tą masą głów, nakrytych Bóg wie jakiemi czapkami, to znów kaszkietami wojska naszego i rosyjskiego, wznosił się jeden ciągły i nieprzerwany krzyk, prawie nieludzkich głosów. Nareszcie doszło czoło pułku do gmachu Bankowego: pułk się zatrzymał, bo mu drogę zagrodzono. I tu wspaniały, ale zarazem straszny przedstawił się widok tej masy ludu, który literalnie plac Bankowy zalewał... Burza żywiołów, morska nawałnica, nie przedstawia takiego obrazu... Falowały tłumy na wsze strony, groźba była na wszystkich czołach... Polacy złorzeczyli rycerstwu swemu. Lud ten gniewny, rozhukany, siłę swą czujący, rozpychał się na wsze strony, sam się kaleczył, by dosięgnąć swej bezrozumnej zemsty... nie rozumiał się... wył i krzyczał, a cel miał jeden: krwią się napoić. Pod takim to pręgierzem trzeba było stać nieruchomie... Bledli żołnierze z gniewu, niektórzy dobyli pałaszy i jeżeli nie rzucili się w swej rozpaczy na ten lud bezrozumny i nie dopuścili się okropnej rzezi, zasługa w tem pozostaje przy nas oficerach, błagających nieprzestannie rozjątrzonych o cierpliwość i umiarkowanie...“

Ten, kto to pisał, Napoleon Sierawski, nie był wcale stylistą; za młodu żołnierz, później gospodarz, na stare lata pisał bez ża-

dnych literackich pretensyj pamiętnik o kampanii 1831 r. A przecież to bolesne wspomnienie 3-go grudnia wyrwało mu z pod pióra opis tak barwny, taką tchnący plastyką, takiem życiem, jakiegoby się nie powstydził i wybitny stylista. Tak silnie drgała po wielu latach cała dusza sędziwego żołnierza na wspomnienie tej straszliwej godziny, która w innych zupełnie barwach jaśniała przed oczyma jednego z najznakomitszych autorów i stylistów owej epoki i naocznego tak samo świadka, więcej niż świadka, wybitnego tych scen aktora i reżysera. „Między Trzema krzyżami i połową Alejów — pisze Mochnacki — lud dopiął swego celu: odbił braci żołnierzy. Powitanie było serdeczne i rzewne. Stąd ciągnęła potem ta ogromna masa Nowym Światem na Krakowskie Przedmieście i rozdzieliła się na dwie wielkie części, bo ją ulice zmieścić razem nie mogły. Wszystko jednak płynęło do Banku. Żadne pióro nie zdoła opisać tego widoku. Mieszkańcy zgromadzeni na ulicach wołali nieustannie: „Niech żyje wojsko polskie!“ i t. d., i t. d.

Obaj pisali prawdę. Tylko Mochnacki, pisząc ten ustęp w lat parę na emigracyi, przymknął oko na brzydką stronę tego podniosłego momentu, która tak głęboko wryła się w pamięć porucznika szasserów, na to, co było właśnie dziełem młodego demagoga, jego i jemu podobnych towarzyszy. Oni to swojemi płomiennemi mowami pod gołem niebem podniecili ten lud warszawski do takiego rozmamiętnienia, że gdzieniegdzie wybuchały w nim żywiołowo dobre uczucia na widok narodowych sztandarów przy dźwiękach „Jeszcze Polska,“ gdzieniegdzie groźnie sie odzywały straszne pomruki rozognionych, złych, najgorszych instynktów, żądnych krwi albo stryczka. Nie było nic łatwiejszego, jak skierować takie instynkta przeciw komendantowi gwardyi, który jechał właśnie na czele pułku szasserów; przeciw bohaterowi niegdyś z pod Wagram i Samosiery, co niedawno w Sądzie Sejmowym, on jeden ze wszystkich senatorów, uznał spiskowców winnymi zbrodni stanu. On czy kto inny, byle „zemsta ludu“ spłynęła krwią lub w stryczku zasmakowała, to zapach krwi i widowisko obwieszonych latarń zdołałby „szerzyć postrach“ w skuteczniejszy niż dotąd sposób, a młody trybun-terrorysta w swoje ręce chwyciłby władzę, tę władzę, do której „biegł tak nagle, nadto nagle,“ jak sam później przyznawał...

Uszedł śmierci jenerał Krasiński, ocalał dzięki własnej przytomności i opiece trzech towarzyszy broni. Przed samym Bankiem, Chłopicki i popularny od rana Szembek zasłonili go własnemi piersiami; stary zaś jenerał Sierawski, który z silnym oddzia-

łem piechoty strzegł gmachu Bankowego, wprowadził trzech kolegów do Banku, do dolnej sali, którą zatarasowano. Właśnie wpadł był do sal rządowych pułkownik Kicki — jeden z „czerwonych“ oficerów, który ważną odegrał rolę w sprowadzeniu Szembeka do Warszawy — wpadł przerażony, wołając o ratunek dla Krasińskiego. Popularny kasztelan, Dembowski, miał sobie powierzoną tę trudną misyę. „Lecz nawet — opowiada Dembowski — nie zdołałem dostać się na plac, bo i na schodach i w przedsionku taki był tłok, iż niepodobieństwem było spełnić dane rozkazy. Krasińskiego zaraz przyprowadzono do sali posiedzeń Rządu. Jednocześnie ukazał się Kurnatowski; i temu również grożono, i tego usiłowano ściągnąć z konia. Broniło go dzielnie dwóch akademików i udało im się ocalić mu życie.“

Stanisław Smolka.

# TRAGEDYA MYŚLICIELA

## *(Fryderyk Nietzsche i jego ideał humanitarny).*

---

Weh! weh!
Du hast sie zerstört
Die schöne Welt;
Sie stürzt, sie zerfällt!
Ein Halbgott hat sie zerschlagen!...
Mächtiger
Der Erdensöhne,
Prächtiger
Baue sie wieder
In deinem Busen baue sie auf
Neuen Lebenslauf
Beginne
Mit hellem Sinne,
Und neue Lieder
Tönen darauf!

*Goethe — Faust — Geisterchor.*

### I.

Przyznać trzeba, że nasza kultura nowoczesna nie odznacza się skromnością. Jakże się przechwala przez usta wielce wymownych swych rzeczników materyalnemi i duchowemi swemi zdobyczami! Jakże szczyci się swem bogactwem, swą potęgą, swą przewagą bezprzykładną w cywilizacyjnym świecie ludzkości!

Niestety, harmonię tych hymnów pochwalnych mącą nieraz głosy protestu, a najpotężniej odzywają się wtedy właśnie, gdy wysławiany rozwój kulturalny najwyższe zdaje się osiągać natężenie i tam gdzie najbujniej zdaje się zakwitać.

Za czasów starożytnego Rzymu, na drodze podążających na Kapitol tryumfatorów, stawiano żołnierzy, którzy, obsypując ich obelgami, mieli im przypominać zmienność szczęścia ludzkiego. I tryumfująca nasza kultura, wśród wznoszonych na cześć jej okrzyków pochwalnych, słyszy też dotkliwe obelgi, pochodzące nieraz od najdzielniejszych jej bojowników, niekiedy orężem geniuszu zbrojnych. Czy nieotrzymali oni wyższego posłannictwa, na mocy którego mają przypominać zbyt zaufanej w sobie tryumfatorce znikomość ziemskich jej zdobyczy?...

W wieku XVIII-ym najwspanialsze swe tryumfy święciła kultura nowoczesna we Francyi przedrewolucyjnej, święciła je pod hasłem oświaty racyonalistycznej, która na całą Europę rozlewała się z dzieł francuskich filozofów-reformatorów. Lecz oto jeden z tych „filozofów," J. J. Rousseau, jakąż obelgę rzucił w twarz szczycącej się nim tryumfatorce-kulturze! „Wszystko doskonałe jest, gdy wychodzi z rąk Stwórcy, wszystko ulega zwyrodnieniu w rękach człowieka!" Pamiętne te słowa, stanowiące punkt wyjścia całej doktryny autora „Umowy społecznej," brzmią zaprzeczeniem wszelkich zdobyczy cywilizowanej ludzkości, wyrzeczonem w chwili, gdy ona w czynach naczelnej swej przedstawicielki, ówczesnej Francyi, zdawała się zbliżać do najwyższego swego ideału.

Tryumfatorka tylokrotna w pokoju i w wojnie, Francya, padła w końcu, zwyciężona przez ulegające jej nieraz Niemcy. Znane jest powiedzenie, że nietylko żołnierz, lecz i nauczyciel niemiecki zwyciężył Francuzów. Miało to być zwycięstwo gruntownej i zdrowej kultury niemieckiej nad powierzchowną, pustą i zwyrodniałą kulturą francuską.

Nasłuchaliśmy się od tego czasu przechwałek z ową niemiecką kulturą. Wszystko cokolwiek uczyniono dla podniesienia potęgi nowego cesarstwa niemieckiego, dla pomnożenia dobrobytu i przewagi panujących w nim żywiołów narodowych — wszystko to miało być dziełem kulturalnem. Do takich dzieł zaliczono i walkę przeciw kościołowi katolickiemu i gnębienie obcych „mniejwartościowych" narodowości i wypieranie spokojnych mieszkańców kraju z odwiecznych ich siedzib i wszelkie wogóle środki, mające na widoku wyłączne popieranie narodowości i państwowości niemieckiej.

Wiemy, jak wątpliwa jest kulturalność podobnych środków, wiemy, że aż nadto często wkraczają one w dziedzinę barbarzyństwa; wszelako każdy nieuprzedzony przyznać musi, że w wielu sferach i kierunkach współczesnego życia niemieckiego praca kul-

turalna z ogromnem natężeniem się rozwija. Na początku ubiegłego wieku mówił Goethe: „My Niemcy jesteśmy z dnia wczorajszego. Od stulecia dzielnie glebę duchową uprawiamy, ale dużo jeszcze upłynie czasu, zanim przestaniemy być barbarzyńcami.“ Od epoki Goethego Niemcy nie ustawali w pracy nad uprawą swej gleby cywilizacyjnej. Troszczyli się więcej wprawdzie o materyalne, aniżeli o duchowe jej płody; wszelako i te ostatnie nie zostały zaniedbane i pojawiły się w postaci szeroko rozpowszechnionej oświaty ludowej, w rozwoju wiedzy, filozofii i sztuki.

Czy wobec tych postępów wielki poeta mógłby dzisiaj jeszcze odnaleźć w swych współziomkach ślady barbarzyństwa?—Dla nas jest to niewątpliwe, dla nich wprost niedopuszczalne. Gdzież ma być dziś kultura, powiedzą oni, jeśli jej niema w Niemczech, w doskonałej ich organizacyi społecznej i politycznej, w bogactwie ich pracy umysłowej, w mnóstwie ich instytucyj cywilizacyjnych?...

Gdzież ma być dzisiaj kultura?... Nie łatwo zaiste odpowiedzieć na to pytanie. Jeśli ogarniemy okiem cały obszar współczesnego bytu kulturalnego, to wszędzie, podobnie jak w Niemczech, obok licznych zdobyczy cywilizacyjnych, spotkamy tyle zdziczenia moralnego, tyle duchowego kanibalizmu, iż śmiało o barbarzyństwie mówić możemy. Jak ongi we Francyi przedrewolucyjnej, obecnie w Niemczech pobismarkowskich widzimy najwydatniejszy typ ogólno-europejskiego rozwoju w zasadniczych dodatnich i ujemnych jego objawach: tam w wykwintnym intelektualizmie i estetyzmie arystokratyczno-towarzyskim, okupionym przez straszliwą nędzę klas upośledzonych — tutaj w wytężonej do najwyższego stopnia pracy demokratyczno-społecznej, połączonej nieraz z zatratą najszlachetniejszych pierwiastków ducha ludzkiego. Nigdzie też pono rozwój kulturalny naszej doby nie doszedł do większego aniżeli w Niemczech samopoczucia swych zasług, nigdzie głośniej, bezwzględniej nie rozgłaszał ich na świat cały, z dumną postawą tryumfatora. Ale zaufany w sobie tryumfator nigdzie i nigdy nie usłyszał obelg dotkliwszych od tych, które z taką mocą ogromną rzucił mu prosto w twarz genialny myśliciel niemiecki, będący niewątpliwie jednym z owych, co powołani zostali do powiedzenia gorzkich prawd zbyt zaufanej w sobie i w swych zdobyczach kulturze nowoczesnej.

Drogo okupił Fryderyk Nietzsche to swoje powołanie, okupił je zupełną utratą wiary nietylko w obecny stan kultury, jak ją widział w życiu i rozwoju własnego społeczeństwa, lecz także w całą wielowiekową jej przeszłość, we wszystkie podstawowe jej czynniki społeczne, moralne i religijne.

„Biada! biada! zburzyłeś piękny świat, jak półbóg go zdruzgotałeś... Najpotężniejszy z synów ziemi, piękniejszym go odbuduj, we własnej duszy wznieś go na nowo.“

Czy zuchwały burzyciel świata ideałów kulturalnych słyszał wewnętrznie ten chór duchów wzywający Fausta Goethego do czynów i dążeń, samoistnie z odrębnego jego jestestwa mających wyniknąć?

To pewna, że był on najzupełniejszym w rzeczywistości życiowej wcieleniem tej idei ulubionego swego poety, idei samoistnego rozwoju, który na gruzach zburzonego przez zwątpienie i przeczenie porządku rzeczy miał wznieść cały świat nowy stosunków bytu z myśli oderwanej, z dążeń intelektualnych wysnuty. Faust — to poetycki prototyp ufających jedynie swej myśli, z niej czerpiących pobudki wszelkich swych dążeń intelektualistów-mózgowców naszej epoki; Fryderyk Nietzsche — to najzupełniejsza takiego typu realizacya, to człowiek, w którym umysł całą treść życia wewnętrznego pochłaniał, wszystkie uczucia i namiętności ogarniał, na cały świat zewnętrzny panowanie swe chciał rozpostrzeć, aż w tym nadmiernym swym rozroście doszedł do okropnego rozstroju i z całą pełnią swych blasków utonął na zawsze w mrokach obłędu.

Taka jest pełna grozy tragedya myśliciela, którą tu w kilku rysach ogólnych rozwinąć zamierzamy.

## II.

Dziwną jest zaiste rzeczą, iż ów zuchwały rewolucyonista myślowy wzrastał i rozwijał się w atmosferze na wskroś przesiąkniętej żywiołami tradycyi — ów zaklęty wróg istniejących stosunków kulturalnych od dzieciństwa podlegał wszechstronnym ich wpływom i przez całe życie należał do warstwy społecznej, która z nich powstała, im wyłącznie byt swój zawdzięczała.

Wiadomo, że w Niemczech nowoczesnych taką warstwą jest intelektualny patrycyat mieszczański, a szczególnie złączone ściśle w jego obrębie klasy pastorów i uczonych. Owóż Nietzsche z urodzenia, wychowania i zawodu całkowicie do tej sfery należał, a w zasadniczych właściwościach swego charakteru i usposobienia nader typowym był jej przedstawicielem.

Pochodził z rodu pastorów i to tak w ojczystej, jak i w macierzystej linii, od kilku z rzędu pokoleń. Otrzymał wychowanie bardzo moralne i religijne, wykształcenie niezmiernie gruntowne,

przeprowadzone systematycznie, przeniknięte na wskróś pierwiastkami typowo niemieckiej, pedantycznej nieco uczoności. Jedyna jego siostra i nieodłączna prawie towarzyszka nietylko dzieciństwa, lecz i znacznej części młodości, Elżbieta Förster-Nietzsche, dała nam wierny obraz życia rodzinnego, wśród którego wzrastał przyszły myśliciel-rewolucyonista oraz stosunków towarzyszących jego wychowaniu. [1])

Niewielkie o staroświeckim wyglądzie i staroświecko-prowincyonalnym trybie bytu miasto niemieckie — we wzorowym ładzie utrzymane życie rodzinne w domu zamożnej wdowy po zmarłym przedwcześnie pastorze; doskonale uregulowane stosunki towarzyskie w gronie przyjaciół i krewnych, typowych przedstawicieli wysoce kulturalnej inteligencyi mieszczańskiej: — oto są warunki, wśród których rozwijał się młody Fryderyk. Dodajmy do tego wspomnienia dziecinne z wioski saskiej koło Lützen, gdzie upłynęły pierwsze lata jego życia w pasterskim domu ojca, następnie częste wycieczki do bliskich krewnych, również wiejskich pastorów, wreszcie pobyt w wyborowej, sławnej na całe Niemcy szkole w Schulpforta oraz w znamienitych uniwersytetach w Bon i w Lipsku — a będziemy mieli skończony w swej typowości mieszczańsko-niemiecki obraz życiowy, na którego tle rozwijają się ludzie co się zowie porządni, dzielni, pracowici, niezbyt skłonni do wzlotów ponad swą sferę, ale za to niezrównani w jej obrębie działacze zawodowi, wznoszący zbiorowymi siłami ów gmach kultury, którym tak bardzo szczycą się, o którym tyle razy powiadają Niemcy współcześni.

Nieomal ideał przyszły takiego działacza zarysowuje się w osobie młodego Nietzschego, jak go poznajemy z opowiadania siostry, stwierdzonego mnóstwem listów i dokumentów autentycznych. Widzimy w nim istny wzór pracowitego, moralnego, pod każdym względem przykładnego młodzieńca. Ani mowy nie ma o porywach „górnych i chmurnych,“ o burzliwych niepokojach duszy młodzieńczej. Życie płynie równo i składnie w pracy systematycznej, w sposobieniu się na doskonałego zawodowca, w kształceniu niezwykle wszechstronnych uzdolnień filozoficznych, poetyckich, muzycznych. A jaka budująca moralność u tego młodego sensata! Oto szesnastoletni Fryderyk w liście do matki z żalem najgłębszym, nieomal z rozpaczą, donosi o straszliwym

[1]) W dwutomowym (niedokończonym dotąd) dziele, wydanym w 1895-97 u Naumana w Lipsku, p. t. „Das Leben Friedrich Nietzsche's.“

występku, którego się dopuścił, gdy na jakiejś wycieczce z kolegami pozwolił sobie przebrać miarę w napoju. Było to zdaje się jedyne wykroczenie tego wzorowego młodzieńca, który ani jednej chwili życia nie zmarnował i nigdy nie przestawał pracować nad wyrabianiem swego charakteru, nad kształceniem swego umysłu.

Chcecie poznać jego rozrywki? Pani Förster-Nietzsche bardzo charakterystyczne podaje nam w tym względzie wiadomości. Jako uczeń ostatnich klas gimnazyum, zakłada Fryderyk wraz z dwoma swymi kolegami literacko-artystyczne towarzystwo Germanię, które ma swoje statuty, ustawy, protokuły i odbywa systematyczne posiedzenia. Na tych trzej jego uczestnicy czytają swe rozprawy naukowe, studya literackie i poematy, wykonywują cudze lub własne utwory muzyczne, a w jak poważnym trzymane charakterze, w jak klasycznym stylu! Same fugi, sonaty, symfonie, oratorya. O muzyce lżejszej ani słyszeć nie chcą; chęć pustej zabawy, ani im w głowie nie postanie.

Czyż nie wzorowi młodzieńcy?—Jakąż pociechę mieć z nich będzie kiedyś ojczyzna niemiecka!

Pani Förster-Nietzsche podaje fotografię brata z tej epoki jego życia. Jakaż typowa twarz i postać idealnego młodzieńca niemieckiego, wzięta jakby z rysunku Kaulbacha do szylerowskiej „Pieśni o dzwonie.“ Czyż nie tak powinien wyglądać przyszły działacz i bojownik kultury niemieckiej?

Ale rzućmy oto okiem na późniejsze portrety Fryderyka z dojrzałej, męskiej epoki. Pyszna twarz o potężnem, wysoko sklepionem czole, bystrych oczach, gęstych, nawisłych brwiach, o sumiastym wąsie i kształtnym, nieco orlim nosie. Nie jest to wszakże twarz niemieckiego myśliciela, a tem mniej uczonego filologa-profesora, czem był naówczas Nietzsche. Jeśli chodzi o określenie w niej typu narodowego, każdy, choć trochę fizyognomista, od pierwszego rzutu oka powie: Najoczywistszy szlachcic polski w przepysznej i dziwnie pięknej typowości.

Ten szlachecko-polski wygląd Nietzschego łączy się z dość niepewną, nieco legendowo brzmiącą, wieścią o jego pochodzeniu polskiem, do której on sam przywiązywał wagę. Oto własne jego w tym względzie wyznanie, pochodzące z r. 1883 [1]).

„Mówiono mi, że pochodzenie mej krwi i nazwiska wywodzi się ze szlachty polskiej, ze szlacheckiej rodziny Nieckich, która więcej, niż przed stu laty, prześladowana z powodu swego wyzna-

[1]) Das Leben Friedrich Nietzsches, tom I, str. 10.

nia protestanckiego, musiała opuścić swą ojczyznę. Przyznać się muszę, że jeszcze jako mały chłopiec bardzo szczyciłem się tem mojem polskiem pochodzeniem. Krew niemiecką odziedziczyłem tylko po matce mej z rodziny Oehler i po matce mego ojca z rodziny Krause i zdaje mi się, że pomimo tej przymieszki w istotnym mym charakterze pozostałem Polakiem. Zwracano nieraz uwagę na wybitnie polski typ całej mej powierzchowności. Za granicą, w Szwajcaryi i we Włoszech, nieraz zwracano się do mnie jako do Polaka; w Sorencie, gdy tam całą jedną zimę spędzałem, zwano mię stale il Polacco; a szczególniej podczas jednego pobytu letniego w Marienbadzie co chwila przypominano mi moje pochodzenie polskie. Polacy nieraz przemawiali do mnie w swym języku, biorąc mię za kogoś ze swych znajomych, a jeden z nich, gdy się przed nim wszelkiej polskości wypierałem, smutnie na mnie popatrzył i rzekł: „znać jeszcze starą rasę, ale serce Bóg wie dokąd się zwróciło.“ Mały zeszyt mazurków, które jeszcze jako chłopiec ułożyłem, nosił napis: na pamiątkę przodków. Jakoż pamiętałem o nich zawsze w wielu moich wyobrażeniach, sądach i przesądach. Polacy wydawali mi się zawsze najdzielniejszym i najzdolniejszym z ludów słowiańskich, a Słowian wogóle poczytuję za nierównie zdolniejszych od Niemców; sądzę nawet, że Niemcy tylko dzięki przymieszce krwi słowiańskiej weszli w poczet narodów wyżej uzdolnionych. Z przyjemnością myślałem o prawie szlachcica polskiego, który przez swoje proste veto mógł obalić postanowienie sejmu. Zdaje mi się, że Polak Kopernik najwspanialszy i najszlachetniejszy z tego prawa uczynił użytek wbrew mniemaniu i naocznemu świadectwu wszystkich innych ludzi. Niezawisłość polityczna dawnych Polaków, ich słabości i wybryki nawet, poczytywałem za objawy świadczące raczej na korzyść ich uzdolnienia, aniżeli przeciw niemu. Chopina za to szczególnie wielbiłem, że muzykę wyzwolił z pod wpływów niemieckich, z towarzyszącej im skłonności do tego co szpetne, ociężałe, małomieszczańsko-nadęte: piękność i szlachetność ducha a osobliwie wykwintna wesołość, swoboda i wspaniałość, obok południowego żaru i mocy uczucia, przed nim nigdy w muzyce tak pełnego nie znalazły wyrazu.“

Przytoczyłem ten dość długi ustęp zwierzeń Nietzschego nie tyle ze względu na kwestyę polskiego pochodzenia filozofa, ile z powodu przejawiającego się tu krańcowo zaprzecznego stanowiska w jego zapatrywaniach na uzdolnienia kulturalne Niemców. Co do owego rodowodu polskiego, jak wyżej zaznaczyłem, jest on bardzo wątpliwy, legendowy pono, niekoniecznie jednak

musi być uznany za zupełną niemożliwość. Jeśli jest to tylko legenda, to dziwne jest zaiste owo potwierdzenie, jakie ona znajduje w powierzchowności, a może i w charakterze filozofa. Kto wie, czy jakiś atawistyczny objaw polsko-szlacheckiego indywidualizmu, występujący na gruncie głębokomyślnej umysłowości germańskiej i niezmiernie wytężonej intelektualnej jej kultury, nie mógłby posłużyć do wyjaśnienia tego dziwotworu psychicznego, jaki nam się przedstawia w potężnym, ale paradoksalnym geniuszu autora „Zaratustry."

Nie chodzi tu jednak o kwestyę rzekomej jego polskości. Istotną rzeczą jest tu ów jakiś rys egzotyczny, obcy duchowi niemieckiemu i niemieckiej kulturze, a widoczny tak na fizycznym, jak i na moralnym obliczu burzyciela uznanych powszechnie wartości duchowych. Idealny młodzieniec niemiecki zawiódł nadzieje, jakie mógł wzbudzać i wzbudzał zapewne w swoich współrodakach i stał się nie jednym z filarów wiedzy i kultury ojczystej, lecz, o zgrozo, zawziętym wrogiem tej i tamtej, a pośrednio i całej nowożytnej cywilizacyi europejskiej, o ile ta znajdowała w nich typowe swe odbicie, a jak sądzą zacietrzewieni patryoci niemieccy, całkowite nieomal swe streszczenie. Zmiana w rysach twarzy i w postaci dawnego ucznia przesławnej szkoły szulpfocskiej była oznaką niezmiernie doniosłych zmian i przewrotów w całej jego istocie duchowej, w najgłębszych jego przekonaniach, uczuciach i ideach.

Wszelako w życiu zewnętrznem młodego myśliciela nic się nie zmieniło: rozwijało się ono w tym samym kierunku, jaki od lat młodzieńczych został mu nadany. Wzorowy uczeń filologii klasycznej, stał się w bardzo prędkim czasie znamienitym jej mistrzem, wzbudzającym w świecie uczonym powszechne uznanie dla swej wiedzy rozległej i olbrzymich zdolności. Dzięki temu już w 24 roku życia mianowany został profesorem uniwersytetu bazylejskiego; wykłady jego ogromne miały powodzenie, a uczono-filologiczne jego dzieła zaliczone zostały do klejnotów nauki niemieckiej. Był istnym wzorem niemieckiego profesora, podobnie jak przed tem był wzorem pilnego ucznia niemieckiego. Zresztą zewnętrzny tryb jego życia tak spokojny był, jednostajny, próżny zdarzeń! Równowaga jego mącona była tylko przez ciężkie choroby i cierpienia, wynikające z nadmiernych wysiłków umysłowych, a znoszone z heroiczną mocą i rezygnacyą. Historya jego, to historya prac i myśli uczonego badacza; jego dźwignią jedyną olbrzymie zadanie ideowe, podjęte z niesłychanem wytężeniem sił fizycznych i umysłowych. Żadna namiętność, żadne uczucie sil-

niejsze ani na chwilę nie owładnęły duszą tego potężnego pracownika wiedzy i myśli. Kobieta, ta przyrodzona mącicielka najtęższych nawet dusz męskich, w życiu Nietzschego żadnej zgoła nieodgrywała roli. „Żywioł wieczno-kobiecy“ (das Ewig-Weibliche, jak się wyraża Goethe) objawił mu się tylko w dobroczynnem działaniu uczuć macierzystych i siostrzanych, które w ciągu całego życia stale mu towarzyszyły.

Cóż znaczył jednak spokój zewnętrznych warunków bytu, cóż znaczyła wewnętrzna równowaga duszy, niezmąconej nigdy burzą uczuć osobistych i namiętności zmysłowych—skoro pod wysoko sklepioną czaszką tego typowego mózgowca-intelektualisty taki okropny niepokój myśli wciąż panował, takie straszliwe i groźne wrzały burze ideowe! Nie był on kontemplacyjnym myślicielem, unoszonym na skrzydłach idei w krainę nadzmysłowości, ani tem mniej jedną z owych uczonych maszyn ludzkich, pracujących w licznych fabrykach umysłowości i wiedzy współczesnej. — Była to potężna, do najwyższego stopnia samodzielna indywidualność psychiczna, która całą moc swego życia wewnętrznego, swych uczuć, namiętności i porywów w sferze myśli oderwanej, w niezmiernie wytężonej pracy umysłowej rozwinąć tylko mogła. Punktem wyjścia tej pracy była dziwnie bystra, bezwzględna, druzgocząca krytyka istniejących stosunków kulturalnych, kresem jej—zupełne zaprzeczenie samej kultury, wszelkich najgłębszych, najistotniejszych jej podstaw. Dalszą konsekwencyę tego rozwoju stanowiła dążność do jakiegoś pozytywnego ideału życiowego, wysnutego z najczystszej abstrakcyi, a ożywionego olbrzymią siłą pragnień namiętnych, które nadawały mu złudne pozory możliwej, a nawet koniecznej rzeczywistości, mającej się spełnić gdzieś, kiedyś w odległem przestworzu czasów przyszłych.

## III.

Wielce charakterystyczne dla rozwoju Fryderyka Nietzschego jest przejście od pierwotnej jego pracy uczono-filologicznej do późniejszych dążeń filozoficznych, które w swem usiłowaniu stawiania nowych norm, nowych wartości życiowych, zrywały stopniowo z wszelką metodą naukową, z wszelką wogóle naukowością i przybrały kierunek, poczytywany przez samego filozofa za objaw wyższej, nieznanej dotąd wiedzy życia, a będącej w istocie rzeczy nie czem innem, tylko pewnego rodzaju tworzeniem poetyckiem, z motywów ideowych wysnutem.

Nietzsche-filolog stał silnie na gruncie nauki zawodowej, starannie unikał wszelkiego dyletantyzmu, jak od zarazy odżegnywał się od powierzchownego wszystkowiedztwa; — Nietzsche-filozof niechciał być wcale uczonym zawodowcem, przybierał ton mędrca, który nie w dowodach racyonalnych, lecz w intuicyi natchnienia czerpie uzasadnienie swej wiedzy. Na granicy pomiędzy tymi dwoma kierunkami jego działalności pisarskiej stoi pierwsze znakomite i rozgłośne jego dzieło „O narodzinach tragedyi greckiej z ducha muzyki.“ Ze względu na swój przedmiot, jest to praca filologa, ze względu na sposób ujęcia przedmiotu, dzieło filozofa, a ze względu na żywą i barwną swą formę—utwór ukrytego w filozofującym filologu poety.

Nie chodzi tu oczywiście o czysto naukową stronę dzieła. Zaznaczę tylko, że ongi bardzo gwałtownie potępiane przez zawodową krytykę—obecnie wobec nowszych badań na polu filologii greckiej w nierównie korzystniejszem przedstawia się świetle i świadczy o genialnej intuicyi autora w odczuciu i rozpoznaniu pewnych, nieznanych dotąd stron życia staroheleńskiego. Dla nas ważny tu jest wszakże nie tyle naukowy przedmiot dzieła, ile przenikający je nastrój podmiotowy autora, jego dążności duchowe, które tutaj biorą swój początek.

W „Próbie samokrytyki,“ poprzedzającej jedno z późniejszych wydań rozprawy o narodzinach tragedyi, zaznacza Nietzsche dający się w niej słyszeć „obcy głos wyznawcy jakiegoś nieznanego boga.“ Jest to „bóg,“ któremu późniejszy wieszcz-mędrzec Zaratustra przez całe życie w dziełach swych wznosił świątynie. Wywodzi on swój ród od greckiego Dionizosa, odbiera hołd żywiołowych instynktów i popędów natury ludzkiej, a jest nie czem innem, jak ubóstwionem człowieczeństwem w całej pełni ziemskiego, materyalnego jego bytu. Nietzsche mylił się, gdy to swoje bożyszcze uważał za nieznane ludziom współczesnym. Znają je aż nadto dobrze, co prawda w postaci bardzo odmiennej od tej, w jakiej je przedstawia odkrywca *dyonizejskiego* pierwiastku życia.

Czem jest wedle niego ten pierwiastek? — Jest człowieczeństwem, które w pełni żywiołowych swych objawów przelewa się po za obręb indywidualnego bytu, a zatem i po za wszelkie granice rzeczywistych jego warunków, jego form obyczajowych i kulturalnych. Zewnętrzny wyraz takiego społeczeństwa widział Nietzsche w starogreckim kulcie Dionizosa, oraz w powstałej z niego tragedyi, a głównym czynnikiem tego wyrazu miała być muzyka, jako mowa nie odrębnych stanów duszy jednostkowej, lecz zbiorowego nastroju duszy powszechnej, wszechludzkiej, w której

ujawnia się metafizyczna zasada bytu: w myśl schopenhauerowskiej filozofii pojęta wola do życia. Uprzedmiotowieniem się ma być powstająca z chórów dyonizowskich wizya tragiczna, która przedstawia upadek jednostek w najwyższem natężeniu swej mocy wewnętrznej, pochłoniętych przez grę wiekuistych sił życiowych. Taka tragedya, samorodnie z twórczości ludowej, z religijnej pieśni ludu wykwitająca, świadczy o najwyższem spotęgowaniu żywiołowego, po za brzegi indywidualizmu przelewającego się człowieczeństwa. W podobnym stanie znajdowało się ono w Grecyi za czasów Eschylosa i Sofoklesa i na gruncie jego życiowym mogła powstać bezpośrednio z uszlachetnionych przez piękno czyli przez apoloński pierwiastek życia, instynktów i żywiołowych popędów natury ludzkiej kultura tragiczna, zwana tak przez Nietzschego w odróżnieniu od kultury racyonalistycznej, będącej dziełem rozumu, opanowującego i tłumiącego samorodną żywiołowość człowieczeństwa.

Przemożne lub wyłączne panowanie tej kultury racyonalistycznej było w oczach filozofa objawem upadku, powstrzymaniem rozwoju swobodnego przyrodzonych sił naszego jestestwa, zdolnych wznieść się na takie wyżyny, których rozum i myśl świadoma nigdy nie dosięgną. To owładnięcie żywiołowości przez racyonalizm miało się już rozpocząć w Grecyi za czasów Sokratesa, a za dni naszych stało się powszechne i ujawniło się w rozwoju całej kultury współczesnej. Ale czyż rozkwitająca w dobie obecnej tak wspaniale muzyka, ta przyrodzona mowa dyonizowskiej żywiołowości, nie zdaje się zwiastować nowego zwrotu w rozwoju wszechludzkim, ponownego rozkwitu tragedyi i kultury tragicznej, tego najwspanialszego objawu czystego, samorodnego człowieczeństwa?

Takiem pełnem nadziei pytaniem kończy się dzieło Nietzschego, zawierające pierwszy zarys jego ideału humanitarnego. Jak wyżej zaznaczono, zgadza się on z ideałem kultury nowoczesnej w ubóstwieniu człowieczeństwa, pojętego w czysto-ziemskim, materyalnym zakresie, jako cel ostateczny rozwoju życiowego, jako najwyższa jego potęga, niezawisła od wszelkich mocy nadprzyrodzonych. Będąc wszakże jednym z rzeczników ducha czasu w materyalistycznym sposobie pojmowania istotnych zadań życiowych, jak bardzo oddala się nasz filozof od głównych jego prądów przez właściwy sobie sposób stawiania i rozwiązywania tych zadań, przez bezwzględność i nieustraszoność w dochodzeniu do najkrańcowszych, najbardziej wybujałych, często zgoła paradoksalnych ich wyników!

Wielka, osławiona w swem zuchwalstwie, śmiałość jego w tym względzie, w jakiemż przeciwieństwie stawia go do różnych prądów ideowych naszej epoki! Zaznacza się ono dobitnie w szeregu prac, noszących ogólną nazwę: „Rozważania nie na czasie“ (Unzeitgemässe Betrachtungen). Sama już ta nazwa uwydatnia arcy nieprzyjazne względem ducha czasu stanowisko młodego myśliciela. Jakoż w całej literaturze nowożytnej niełatwo się spotkać z bezwzględniejszem tegoż ducha i jego przejawów kulturalnych zaprzeczeniem. Nietzsche występuje tu, jako namiętny oskarżyciel obecnej naszej kultury i całymi garściami rzuca jej w twarz okrutne obelgi, trafiające w najsłabsze jej strony, druzgoczące z ogromną siłą najbardziej czczone jej bożyszcza. Dziwna rzecz, ten rzecznik krańcowej myśli wolnej, zwraca się na razie nie przeciw zwalczanym przez nią dawnym ideałom i tradycyom, lecz przeciw pewnym współczesnym jej prądom, w których widzi objawy największego obniżenia i znikczemnienia dążeń ludzkich.

Przedewszystkiem uderza z szaloną werwą polemiczną na jednego z najgłośniejszych i najbardziej wpływowych przedstawicieli wolnomyślicielstwa danej epoki (około roku 1870), Dawida Straussa. Słynny ten autor antychrześcijańskiego „Życia Jezusa,“ niepoprzestając na podjętem w tem dziele usiłowaniu, mającem na celu poderwanie historycznych podstaw chrześcijaństwa, pod koniec swego żywota wystąpił z książką, w której, w imieniu ogółu wolnomyślnych ludzi współczesnych, wyrzeka się wiary we wszelką religię objawioną, stawiając na jej miejscu wiarę w naukę i w postęp kultury ludzkiej. Strauss występuje tu, jako rzecznik optymistycznego liberalizmu mieszczańskiego, który kulturę nowożytną z jej dobrobytem materyalnym i zdobyczami umysłowemi poczytuje za jedyną drogę wiodącą do najwyższych celów ludzkości.

Nasz filozof „Nie na czasie“ potężną maczugą swej krytyki rozbija w puch to piękne marzenie. „Wy macie nam przewodniczyć w pochodzie do owych wysokich celów wszechludzkich, mówi on do Straussa i jeszcze podobnych wyznawców „nowej wiary“ kulturalnej. Ależ wy się nawet z miejsca nie ruszacie. Udajecie tylko pochód ku wyżynom, a w istocie rzeczy drepcecie na nizinach najpospolitszej codzienności. Celem waszym wygodne na nich legowisko i żerowisko obfite, ideałem waszym spokojny dobrobyt filisterski i filisterskie w nim używanie.“

Filister kulturalny — *Bildungsphilister* — oto epitet, którym Nietzsche wybornie scharakteryzował cały zastęp owych rzeko-

mych bojowników. Oznacza on ciasną pospolitość dążeń, przeniesioną z mieszczańskich poziomów na wyżyny cywilizacyjne. Są ludzie (dobrze ktoś powiedział), co ze sobą noszą swój widnokrąg: jakkolwiek wysoko wstąpią, zawsze mają przed oczami ten sam ciasny zakres widzenia. Taki to typ na szczytach kultury współczesnej dojrzał Nietzsche w wyznaniach autora „Starej i nowej wiary.“ Być może, iż rzeczywisty Dawid Strauss nie był tak doskonale typowym, jak nam się przedstawia w pierwszem „Rozważaniu nie na czasie.“ Ale czyż nam wiele zależy na posiadaniu wiernego portretu literackiego tej niknącej już obecnie w oddali czasu jednodniowej wielkości? — Czyż nie ważniejsze jest trafne pochwycenie w jej obliczu duchowem kilku znamiennych rysów epoki i dziś tak powszechnych w otaczającym nas świecie społecznym?— I tutaj występuje dobitnie zaznaczona już powyżej zdolność twórcza Nietzsche'go, która, pomimo i może wbrew jego woli, występowała stale w jego dążeniach i pracach filozoficznych. Wskutek tego dają nam one nie abstrakcyjne, ściśle naukowe odbicia duchowych prądów epoki, lecz raczej poetyckie ich obrazy, ukazane w świetle podmiotowych usposobień i nastrojów myśliciela-artysty.

Rzecz o „Dawidzie Straussie wyznawcy i pisarzu“ [1]) to więcej satyra, aniżeli rozprawa naukowo-krytyczna. Wzdłuż całej jej osnowy dźwięczy ton osobistego uczucia autora, dźwięczy szyderstwem, gniewem, oburzeniem, czasem przemawia w odcieniach subtelnej ironii, czasem w namiętnych wybuchach, a zawsze uderza szczerością i siłą w wypowiedzeniu odrazy do płaskiej pospolitości filisterstwa kulturalnego, które w śmiesznej swej zarozumiałości poczytuje się za szczyt nowożytnego rozwoju, gdy tymczasem jest tak wyraźnem obniżeniem jego dążeń, tak smutnem świadectwem jego zwyrodnienia czy zboczenia czasowego. Satyryczny ów ton rozprawy byłby zupełnie niewłaściwy, gdyby się stosował do poszczególnej osobistości; ale właśnie w tem rzecz, że autor ma na widoku nie tyle osobistość literacką, którą krytykuje, ile charakterystyczny typ życiowy, który w niej dostrzega i uwydatnia, typ w danej epoce nader powszechny, a co gorsza stanowiący nie jakiś dawny przeżytek, lecz właśnie nowe zjawisko społeczne, mające przyszłość przed sobą, a za sobą liczny bardzo ogół ludzi współczesnych, może ogół współczesnej ludzkości europejskiej. Owóż właśnie przypuszczalne jej poniżenie w po-

[1]) David Strauss der Bekenner und der Schriftsteller.

dobnym typie, możliwe sfilistrzenie jej w czasie obecnym lub przyszłym, pobudziło głównie satyryczną werwę myśliciela „Nie na czasie,“ który, wbrew zasadniczym filisterskim dążeniom swej epoki, poprzednio już postawił tak zupełnie im przeciwny ideał humanitarny, a następnie wyżej jeszcze miał go wynieść, jako ideał nadczłowieczeństwa, będący wprost zaprzeczeniem całej współczesnej ludzkości i nieskończenie ponad jej poziomy wzniesiony.

Satyryczną dążnością przeniknięta jest również druga rozprawa „Nie na czasie,“ której temat naukowy odtworzony został z nieporównanym artyzmem słowa. Rozwija w niej autor pogląd na historyę ze względu na pożytek i szkodę jej dla życia [1]). Już samo to sformułowanie tematu stawia Nietzsche'go w przeciwieństwie do ogółu, a przynajmniej do ogromnej większości przedstawicieli nauki współczesnej, biorących ją w jej znaczeniu oderwanem, niezależnie od warunków danej rzeczywistości życiowej.

Z całą siłą przekonania powstaje Nietzsche przeciw takiemu jej pojmowaniu w zakresie wiedzy historycznej, której charakterem coraz bardziej naukowym tak szczycą się badacze współcześni. „Nie na czasie jest i ta moja praca, mówi w przedmowie, ponieważ coś, czem szczególnie chełpi się nasza epoka, mianowicie historyczną jej kulturę, przedstawiam tu, jako ujemną jej stronę, ponieważ przekonany jestem, że chorujemy obecnie na prawdziwą gorączkę historyczną i co najmniej, istnienie tej choroby stwierdzić w sobie winniśmy.“

Oczywistą jest wszakże rzeczą, że historya nie została tu potępiona bezwzględnie — chodzi tylko o sposób jej pojmowania, o jej stosunek do życia, o ujawniający się w tym stosunku nadmiar jej za dni naszych. Rozróżnia autor trojaką historyę: monumentalną, antykwarską i krytyczną. Pierwsza utrwala pamięć wielkich czynów i wielkich ludzi przeszłości; druga jest zachowawczynią wspomnień jej i tradycyj; trzecia jest sądem surowym o ujemnych lub przeżytych jej objawach. Każdy z tych rodzajów historycznych przynosi swe pożytki lub szkody, o ile jest lub nie jest podporządkowany istotnym potrzebom życiowym. Historya monumentalna, jako zbiornik wielkich przykładów i wzorów, pobudzać może energię wyższych dążeń, ale jak często staje się ich zaporą, gdy zniewieściali potomkowie umieją tylko podziwiać dzielnych przodków, a niezdolni są w ich ślady wstępować, gdy dawna czczona powszechnie wielkość przeciwstawiana jest upor-

[1]) Vom Nutzen und Nachtheil der Historie für das Leben.

czywie wszelkiej nowo-powstającej wielkości, jako niemającej wobec niej prawa do bytu! Historya antykwarska, budząc cześć dla pamiątek starodawnych, staje się łącznikiem pomiędzy przeszłością i teraźniejszością; wieleż razy wszakże wyradza się w bezmyślny kult wszelkiego rodzaju starzyzny, która martwą masą niwy życia zalega i ruch swobodny na nich tamuje. Wreszcie historya krytyczna, rozjaśniając swem światłem przeszłość, jakże często działa rozkładowo na teraźniejszość, na różne najcenniejsze nieraz jej zasoby po przeszłości odziedziczone!

Zachodzi tu pytanie: jak przedstawiają się rozmaite owe dodatnie i ujemne oddziaływania historyi w czasach obecnych? Stosunek jej do życia, mówi Nietzsche, uległ za dni naszych szczególnemu zamąceniu, które spowodowane zostało głównie przez dążność do nadania wiedzy dziejów charakteru ściśle naukowego. Jako nauka samoistna, sama w sobie cel swój mająca, nietroszczy się ona wcale o potrzeby życia. Narzuca się mu pod różnemi postaciami, zalewa je ze wszystkich stron, a pod falami napływających w niej z rozlicznych sfer czasu i przestrzeni obcych żywiołów, giną w zarodku płody rodzimej, swojskiej gleby.

Ależ korzyści olbrzymie, jakie nam przynosi nowożytna wiedza historyczna: objektywny jej sąd o zjawiskach życia, prawda, sprawiedliwość, tolerancya w ich ocenie!... Nietzsche poddaje rozbiorowi krytycznemu wszystkie te jej zdobycze i wykazuje ogromną ilość tkwiącej w nich ułudy. W tej jego krytyce dużo znaleźć można uprzedzeń, dużo zapędów, wpadających w paradoksalność, ale i prawdy nie mało w niej się zawiera. Zresztą nie o przedmiotową prawdę wiedzy nam tu chodzi, lecz o podmiotową prawdę nastroju indywidualnego. I tutaj mamy nietyle krytykę, ile satyrę, w której charakterystycznie przebija właściwe autorowi odczucie ideału humanitarnego w jego przeciwieństwie do otaczającej rzeczywistości życiowej.

„Szczycicie się tem, że dziś nauka nad życiem poczyna panować. Być może, iż z czasem zostanie ono przez nią zupełnie opanowane; ale zaiste pozostające pod takiem panowaniem życie mniej jest życiem i mniej życia na przyszłość poręcza, aniżeli ongi, gdy instynkty i wynikające z nich potężne złudzenia nad nim panowały. Ale też epoka nasza nie ma na widoku wytwarzania dojrzałych i harmonijnych osobistości — jej celem możliwie największa ilość użytecznej, zbiorowej pracy. Ludzie mają być przystosowani do tego jej celu, a im prędzej to się stanie, tem lepiej: trzeba ich zapędzić do pracy w fabryce powszechnej użyteczności zanim dojrzeją; wogóle nie powinni wcale dojrzewać, bo

to zbytek, przez który rynek pracy znaczną ilość sił traci. Niektóre ptaki oślepiane bywają, aby tem piękniej śpiewały. Nie sądzę, aby ludzie współcześni piękniej śpiewali od swych praojców, ale to wiem, że system oślepiania jaknajwcześniejszego nieraz bywa do nich stosowany; a środkiem po temu światło wiedzy zbyt jaskrawe, zbyt nagłe, zbyt zmienne.“

Jak widzimy, w słowach powyższych powstaje Nietzsche przeciw nadmiarowi nietylko samej nauki historyi, lecz wogóle wszelkiej naukowości, powodującej wygórowany rozwój oderwanej od życia, bezosobistej inteligencyi, z ujmą nieświadomych sił i usposobień naszego jestestwa, które w żywiołowem swem działaniu naszą odrębną osobistość stanowią. Siły te oznacza nasz autor nazwą instynktu, ale rozumie przez nie—nie niższe, zmysłowe popędy natury ludzkiej, lecz pewne jej samorodne, żywiołowo objawiające się skłonności i uzdolnienia, mogące owszem wznieść się do najwyższych szczytów rozwoju. A jak wzniosły cel stawiał mu przyszły rzecznik „nadczłowieka,“ dowodem żywy jego protest przeciw tak powszechnemu za dni naszych ubóstwianiu faktów dokonanych, wynikającemu wedle niego z historycznego poglądu na życie.

„Fakt, mówi, jest waszym bożyszczem, ale fakt po wszystkie czasy raczej do złotego cielca, aniżeli do bóstwa był podobny... Człowiek przez to tylko wznosi się w cnocie i w doskonałości, że powstaje przeciw ślepej potędze faktu, przeciw despotyzmowi rzeczywistości, że płynie przeciw falom historycznym.“

„Wielcy ludzie, którzy najbardziej upamiętnili się w dziejach, działali zawsze niehistorycznie, przez bezwiedny zapęd czynu, nie przez poczerpniętą z historyi świadomość jego pobudek i celów.“ Nietzsche potępia historyę naukową dlatego głównie, że zaszczepia ona ludziom wiarę w jakieś zewnętrzne prawa rozwoju, która tłumi w nich z wewnętrznego ich jestestwa samorzutnie, instynktownie wynikającą energię rozwojową; podnosi natomiast historyę, która, nietroszcząc się o „prawa dziejowe,“ wysławia i upamiętnia tych właśnie, co przeciw owym prawom walczyli, t. j. przeciw potędze rzeczywistości, co nie wiele dbali o to „co jest“ a dążyli do tego „co być powinno.“ Z tegoż powodu podnosi znaczenie mytów, tych heroicznych marzeń ludzkości, z których tak złośliwie budzi ją świętokradzka dłoń krytyki historycznej, „rozwiewając przez to ów pełen czci nastrój złudzenia, w którem wszystko, co żyć chce, jedynie żyć może; albowiem jedynie ocieniony złudzeniem miłości człowiek tworzyć jest zdolny.“

W tym poglądzie na znaczenie mytów dawnych Nietzsche spotyka się z Mickiewiczem. Odyniec w swych „Listach z podróży“ opowiada, jak poeta nasz pod wrażeniem wspomnień dziejowych, otaczających go w murach Rzymu, oburzał się na Niebura za to, że swoją krytyką historyczną niweczył starorzymskie podania. Zresztą i w „Wykładach literatury słowiańskiej“ niejedno podobne zapatrywanie znaleźćby można. Jakżeż odbijają od nich zwrócone do „młodych bojowników postępu“ słowa Asnyka, poety epoki pozytywizmu:

Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mytów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Ludziom niezbraknie niebiańskich zachwytów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Czyż nie godne jest uwagi to spotkanie się wielkiego poety romantycznego z „filozofem“ modernistycznym po przez rozdzielający ich okres pozytywnych dążeń? Czyż nie jest ono jednym z wielu dowodów przezwyciężenia tych dążeń przez najnowsze prądy duchowe?

Z drugiej strony jak charakterystycznie zarysowuje się tu indywidualność naszego filozofa, jako wroga krytycznej wiedzy nowożytnej i lubownika „kwiecia barwnych mytów.“ Poetą myśli jest on, poetą, który z myśli oderwanej wysnuwał swój ideał humanitarny, a ożywić go pragnął krwią serdeczną własnych uczuć i pragnień. Ale czyż pragnienia owe zwrócone ku temu, co bezpośrednie, instynktowne, żywiołowe w naturze ludzkiej, niepozostawały w rażącem przeciwieństwie z istotnym charakterem tego typowego intelektualisty, który przez całe życie oddychał abstrakcyą i przeniknięty był do najwyższego stopnia samowiedną, nieinstynktywną kulturą umysłową?

Przeciwieństwo to stanowiło istotnie znamienny rys dążeń Nietzschego, rys wysoce tragiczny, który w pełnem swem rozwinięciu da nam poznać jedną z najbardziej wstrząsających tragedyj ideowych, jakie kiedykolwiek rozegrały się pod czaszką myśliciela.

## IV.

Nie było może na świecie człowieka, któryby mniej aniżeli Nietzsche użył życia, a więcej je miłował, miłował nie instynktem samozachowawczym, ani żądzą używania zmysłowego lub szczęścia osobistego, lecz pragnieniem doskonałej pełni sił życiowych, w najwyższem ich natężeniu, w najbujniejszym rozwoju.

Jakże surowy, jak próżny wszelkiego używania wiódł żywot ten potężny pracownik-myśliciel z taką namiętnością zatapiający się w najgłębsze tajniki bytu, ten tragiczny męczennik, który w okropnych cierpieniach fizycznych tak dotkliwie odczuł grozę istnienia. A jednak nie zwątpił o niem nigdy. Wśród najsroższych cierpień umysł jego snuł bez przerwy niemal wątek idej, które w swem logicznem rozwinięciu, w swem niezmiernem, wielogłosowem bogactwie stanowiły niby jedną wielką symfonię myślową, osnutą na zasadniczym temacie hymnu, głoszącego chwałę życia w jego rozlewnej wśród bezmiarów potędze. Różne w tej symfonii brzmiały tony, różne harmonie i rozdźwięki, ale wśród wszelkich jej powikłań, temat główny zawsze mniej lub więcej wyraźnie dawał się słyszeć.

Po raz pierwszy odezwał się on w młodzieńczej pracy Nietzschego o narodzinach tragedyi greckiej, o żywiołowej potędze ujawniającego się w niej dyonizejskiego pierwiastku życia. Jakimż rozdźwiękiem z odgłosami tej przeddziejowej wiosny człowieczeństwa brzmiały tony współczesnego jego bytu w pierwszych dwóch: „Rozważaniach nie na czasie.“ Jeden ton, to płaskość „filistrów kulturalnych,“ tak przemożnych liczbą swą i wpływem w otaczającym świecie społecznym, drugi—to bezduszna, a czasami i bezmyślna zgoła naukowość historyczna, martwymi szczątkami przeszłości przywalająca zielone niwy życia. Ale czyż poza podobnymi objawami nie ma w bycie współczesnym czynników, w którychby szczerze ludzkie życie uderzało tętnem? Młody myśliciel „Nie na czasie“ zdawał się o tem wątpić. Im bardziej rozglądał się po ludziach i stosunkach współczesnych, im głębiej rozważał zagadnienia ich bytu, tem mniej dostrzegał w nich prawdziwego człowieczeństwa, zdolnego wybujać pełnią swych sił żywiołowych. Nie znaleźć go w masach, ani w poszczególnych warstwach czy sferach społecznych; znajduje się ono chyba w wyjątkowych, genialnych jednostkach ludzkich.

Za takie jednostki poczytywał Nietzsche w tej epoce swego życia Schopenhauera i Wagnera, którym poświęcił dwa ostatnie swoje „Rozważania nie na czasie.“ W pierwszym z nich, w rozprawie p. t. „Schopenhauer, jako wychowawca“ (Schopenhauer als Erzieher), słynny mistrz pesymizmu nowożytnego, utożsamiony został z ideałem myśliciela, który nietylko potęgą swego umysłu, lecz także całą pełnią swej czysto ludzkiej indywidualności, wznosi się na szczyt człowieczeństwa współczesnego i pociąga ku niemu wszystkich ludzi, którzy w wyższych swych ponad powszednie poziomy dążeniach, za mistrza i przewodnika go uznają. Ten

wzniosły ideał człowieka-myśliciela przeciwstawia Nietzsche z właściwą sobie jaskrawą bezwzględnością urzędowym przedstawicielom myśli ludzkiej, jakich spotykamy na realnych poziomach życia w postaci zawodowych filozofów, zacietrzewionych szperaczów lub uczonych pedantów. Ci, to okazy myślącego człowieczeństwa w jego ułamkowości i bezdusznem zmechanizowaniu; tamten jest najzupełniejszym wykwitem jego żywej siły duchowej, jest celem i kresem, do którego cały jego rozwój zmierza.

Gorliwy życia miłośnik w jego pełni doskonałej ideał człowieczeństwa uznaje, a typowy intelektualista, myślą, ideą, wyłącznie prawie żyjący, w intelektualizmie do najwyższego stopnia wytężonym widzi główny czynnik tego wzniesienia się natury ludzkiej na szczyty rozwoju życiowego. Z połączenia tych dwóch postulatów Nietzschego wynika dziwna na pozór u tego wielkiego pracownika myśli nienawiść do wiedzy oderwanej i do wiernych jej sług: uczonych zawodowych. Nietylko w rozprawie o Schopenhauerze, ale i we wszystkich prawie swych pismach zdobywa się Nietzsche na najdosadniejsze wyrazy wstrętu, na najwspanialsze wybuchy gniewu, gdy mówi o urzędowych „kapłanach nauki.“ „Bezmyślność stałą jest ich cechą, praca ich jest typem najdoskonalszym bezpłodnej działalności, pilność ich ma w sobie coś z bezmiernej głupoty siły ciążenia, pracowite ich poszukiwania nie prawdy a szukania samego szukają.“

Oto na chybił trafił chwycone niektóre z olbrzymiej liczby podobnych sądów Nietzschego o sławetnem bractwie uczonych.— Te bezwzględne potępienia rzucane na klasę ludzi, do której przez zawód swój należał, stąd pochodziły, że sam pełen życia w każdem poruszeniu swych myśli, w każdym rzucie swych najgórniejszych idej, nie znajdował go wcale prawie w bezdusznej pracy umysłowej współczesnych zawodowców wiedzy. Wogóle nie uznawał on wiedzy samej w sobie, niesłużącej istotnym potrzebom życia, unoszonej w strefach czystej abstrakcyi, lub zamkniętej w ciasnych kręgach specyalności zawodowych; przeciwstawiał jej mądrość, jako wykwit całej pełni duchowego życia człowieka.

„Wiedza, mówił, w takim jest stosunku do mądrości, jak cnota do świętości: zimna jest, oschła, niezna co to miłość, co głębsze pragnienia i tęsknoty. Jest ona o tyle sama sobie pożyteczna, o ile szkodliwa jest tym, co ją uprawiają, gdy na nich charakter swój przenosi, a przez to człowieczeństwo ich do skostnienia doprowadza. Dopóki przez kulturę rozumiany jest głównie postęp wiedzy, dopóty z bezlitośną oschłością przechodzić ona będzie obok największych nawet cierpień ludzkich, ponieważ wiedza widzi

i uznaje li tylko problematy poznania; cierpienie po za obrębem jej świata się znajduje, jako coś niewłaściwego, niezrozumiałego, a zatem, co najwyżej, jako nowy problemat badań.“ [1])

Nie jako służebnika lub „kapłana“ wiedzy, lecz jako mędrca prawdziwego wysławia Nietzsche Schopenhauera. W jego filozofii widzi pełen soków odżywczych owoc żywej, twórczej myśli, wykwitającej z pełni życia duchowego genialnej indywidualności ludzkiej. W tym charakterze jej zawiera się wychowawcza jej siła. W swojej filozofii dał nam Schopenhauer nie system swych idej, lecz siebie samego, jako wzór myślowy społeczeństwa, w pełnem jego uświadomieniu wewnętrznem. To uświadomienie ma być najwyższym celem życia ludzkiego i życia całej przyrody. Twory jej bezwiednie i bezwolnie powstają i giną, unoszone szalonym wirem nieustannego stawania się. Dopiero w człowieku dochodzi ona do samopoznania się w swym bycie istotnym, ale w człowieku, stojącym u szczytu prawdziwie ludzkiego rozwoju. Takim jest człowiek-myśliciel, który potęgą umysłu wznosi się ponad ułudę wiekuistego stawania się, człowiek-twórca, który ją opanowuje w dziele sztuki, uwieczniającym istotę bytu i człowiek-święty, który przezwycięża ułudę a stwierdza istotę bytu w swej najwyższej doskonałości duchowej.

Oto są trzy szczyty człowieczeństwa, ku którym cała ludzkość, a w niej przyroda cała, dąży w nieustannym swym rozwoju. Aby je osiągnąć, trzeba mieć siłę geniuszu lub siłę świętości. Ta i tamta dane są niewielu wybranym. Czemże jest względem nich ogół zwykłych, pospolitych ludzi? Jaki zachodzi stosunek pomiędzy tymi szczytami a nizinami ludzkości? Nietzsche odpowiada: Niziny ludzkie po to istnieją, aby na nich szczyty wznosiły się ku wyżynom nadludzkim. Na tych wyżynach „ziemia traci swoją ciężkość; zdarzenia i potęgi ziemskie stają się sennem marzeniem. Wszystko dokoła promienieje, jakby gloryą letniego zachodu. Patrzącemu zda się, że w blaskach jej widzi tylko grę obłoków, pozostałych po rozwianym śnie ziemskim. Z czasem i one się rozwieją; wtedy dopiero nowy dzień zaświta.“ [2]).

Tak sobie wyobrażał Nietzsche naówczas kres rozwoju wszechludzkiego i widział w nim początek czegoś „niewysłowionego,“ czego marnem tylko odbiciem są wszelkie nasze tu na ziemi dążenia. Jakże dalekim był wtedy od późniejszych dróg swej myśli,

[1]) „Schopenhauer als Erzieher.“ Tom I „Dzieł,“ str. 453.

[2]) „Dzieła“ tom I, 432.

które doprowadziły go do ubóstwienia w „nadczłowieku“ ziemskiego naszego bytu i ziemskiej natury. A jednak niebyło tu zasadniczego przeciwieństwa: — była tylko odległość niezmiernie ostatecznych konsekwencyj, do jakich fatalizmem swej idei wiedziony doszedł w końcu nieustraszony myśliciel. Idea ta zarysowuje się już wyraźnie w rozprawie o Schopenhauerze, w uznaniu podobnych mu geniuszów myśli, serca lub czynu za cel istotny wszechludzkiego tu na ziemi bytu i rozwoju. Zadanie tego rozwoju nie polega na istnieniu jaknajwiększej liczby pośrednich jednostek, ani na jaknajwiększym ich dobrobycie, lecz na powstaniu typów, będących kresem rodzaju ludzkiego i przejściem do wyższego rodzaju.

Myśl ta w postaci, jaką jej tu Nietzsche nadaje, znajduje liczne analogie w przekonaniach najgenialniejszych umysłów naszej epoki. Ten kult ludzi wyższych, to uznanie w nich celu i kresu całej kultury ludzkiej, jest uznaniem istoty człowieczeństwa w żywym człowieku, nie w oderwanych systemach, nie w bezdusznych instytucyach, nie w martwych formułach, które za dni naszych coraz bardziej zdają się pochłaniać całą siłę żywą naszego rozwoju kulturalnego. Nie dziw, że wielbiciel tej siły, miłośnik życia, tak gwałtownie powstawał przeciw obecnej do zmechanizowania go dążności i wysławiał pełnię jego samorodnych objawów w genialnych jednostkach ludzkich. Podobnie Mickiewicz nie od wielkich instytucyj, lecz od wielkich ludzi oczekiwał odrodzenia współczesnej naszej kultury i w nich widział cel naszego rozwoju. „Cóż to jest, pyta, człowiek wielki i czem jest wielki? Oto tem, że każdy z nas małych postrzega cząstkę siebie w jego wielkości.“ [1])

Mickiewicz, unoszony porywem swych pragnień przedwcześnie czy mylnie ujrzał takiego człowieka-odrodziciela w „mistrzu“ Towiańskim — Nietzsche w danej epoce przypisywał tę wzniosłą rolę „wychowawcy“ Schopenhauerowi. Jakże bardzo mylił się w tym względzie! Jakże niepodobny jest nakreślony przezeń ideał człowieka-myśliciela do swego realnego pierwowzoru! Sam on to później jasno ujrzał i przyznał otwarcie. A skąd wyniknął jego błąd? Jeśli nie wyłącznie, to głównie pono z pewnego zasadniczego przekonania, które poprzednio w rozprawie o narodzeniu tragedyi kazało mu uznać świat za fenomen dający się tylko estetycznie usprawiedliwić, a później wyraziło się w takiem zdaniu

[1]) Rzecz o literat. słowiań. Lekcya 32, r. 1843.

Zaratustry: „Mówicie, że gust nie może być przedmiotem sporu? Ależ życie całe nie czem innem jest, jak sporem o gust.“ [1])

Owoż pisma Schopenhauera ze względu na swą formę były istnym fenomenem estetycznym w filozofii niemieckiej—a system jego, cokolwiek o nim skądinąd można powiedzieć, w swej budowie i charakterze ogólnym był niewątpliwie arcydziełem dobrego i wysokiego gustu. Nie dziw, że największy filozof wśród artystów, tak chętnie dał się porwać największemu artyście wśród filozofów. Zobaczymy następnie, jak doniosłe posiadała znaczenie w dalszym rozwoju Nietzschego ta przemagająca w nim dążność artystyczna.

## V.

Schopenhauera, jako ideał człowieka-myśliciela, odtworzył sobie Nietzsche tylko z jego filozofii, w epoce bowiem, w której się z nią zapoznał, twórca jej zakończył już życie; — Ryszarda Wagnera, w którym widział ideał człowieka-artysty, poznał nietylko w jego sztuce, lecz i w życiu realnem, w bardzo ścisłym stosunku przyjacielskim. Przedstawiony mu w r. 1868 w Lipsku podczas chwilowego tam pobytu mistrza, zbliżył się z nim następnie w Szwajcaryi, gdy będąc profesorem w Bazylei, często go odwiedzał w jego ówczesnej kilkuletniej siedzibie w Triebschen, pod Lucerną. Zawiązał się wtedy jak najserdeczniejszy pomiędzy nimi stosunek, utwierdzony przez długie, poufne rozmowy, przez szczere w nich zwierzenia mistrza, wskutek których młody jego przyjaciel stał się też jego wielbicielem gorącym i przejął się wszystkiemi jego pragnieniami artystycznemi, zwróconemi ku odrodzeniu sztuki w „dramacie przyszłości.“ Skoro te pragnienia zdawały się zbliżać do realizacyi w założonym r. 1872 teatrze bayreuckim, Nietzsche z najwyższym entuzyazmem całą siłą swego talentu i swej energii jął je popierać i współdziałać w wielkiej sprawie bayreuckiej. Wtedy to napisał jako czwarte „Rozważanie nie na czasie“ znakomitą swą książkę „Wagner w Bayreuth,“ najwspanialszą i najgłębszą apoteozę sztuki wagnerowskiej, jaka kiedykolwiek wygłoszona została.

Postać mistrza przybiera tam olbrzymie rozmiary, jednego z tytanów ludzkości; jego reformatorska idea artystyczna przed-

[1]) Also sprach Zarathustra. Dzieła (1899) tom 6, str. 171.

stawiona jest jako najwyższe w danej epoce zadanie kulturalne, zdolne odrodzić zwyrodniałe człowieczeństwo i otworzyć przed nim widnokręgi nieznanej mu dotąd pełni życia. Najpierwszym jej objawem sama osobistość Wagnera, jako genialnie wszechstronnego artysty, który „pierwszy cały świat sztuki opłynął," i jako człowieka potężnego zarówno myślą, czuciem i wolą, jednego z największych pracowników kultury wszechludzkiej. Nietzsche widzi w nim nietylko twórcę dramatycznego, lecz i dramatycznego bohatera na olbrzymią skalę, który ma do spełnienia czyn wielkiego posłannictwa i skupia wszystkie żywe siły swego jestestwa ludzkiego, aby przełamać martwy opór świata i wyzwolić potężne moce życiowe, skrępowane więzami bezdusznej cywilizacyi współczesnej.

Cywilizacya ta, mówi Nietzsche, jest zbiorem różnorodnych pierwiastków, rozrzuconych bezładnie po obszarach naszego bytu społecznego. Stan jej obecny, tak nieharmonijny i chaotyczny, poczytuje za odległe następstwo pomięszania od czasów wojen Alexandra Wielkiego dwóch różnych światów cywilizacyjnych: wschodniego i heleńskiego. Pierwszy dał nam w chrześcijaństwie najwznioślejszą religię, drugi w zabytkach staroheleńskich najbogatsze zasoby wiedzy i sztuki. Ale te żywioły do dziś dnia pozostają sobie obce, nie skupiły się w jedności organicznej, tylko różnymi czasy w różnych stosunkach mechanicznie były mięszane. Węzeł kultury greckiej, rozwiązany mieczem Alexandra, zawsze jeszcze wisi rozpostarty bezładnie na wszystkie strony świata. Potrzeba nam, jak się wyraża Nietzsche, całego szeregu Przeciw-Alexandrów, którzyby ten węzeł na nowo zawiązali, różnorodne, stare, nowe i najnowsze jego żywioły kulturalne złączyli w całokształcie jednolitej organicznej cywilizacyi [1]).

Jednym z tych Przeciw-Alexandrów był Wagner. Zawiązał on na nowo rozerwany oddawna węzeł sztuki — zawiązał go nie ku zewnętrznej ozdobie kultury nowożytnej, za co nieraz chciano go użyć, lecz ku utwierdzeniu jej jedności i siły wewnętrznej, będącej niejako wyciągiem żywiołowych potęg bytu ludzkiego, zwróconej ku najwyższym celom i zadaniom człowieczeństwa. Ta siła kulturalna rozproszona, a zatem niezdolna spełnić swych zadań w rzeczywistości naszego bytu społecznego, zjednoczona została w idealnym świecie sztuki wagnerowskiej. Cała moc pragnień wyższego harmonijnego bytu, mglistą mgławicą unosząca

1) Wagner in Bayreuth. Dzieła I, 516.

się ponad naszym poziomym zamętem życiowym, w twórczości Wagnera pełne osiągnęła ujawnienie: wyrażona natchnionem słowem poezyi, wyśpiewana z głębi nieokreślonych nastrojów serca tonami muzyki, uplastyczniona w widomych kształtach obrazu i czynu dramatycznego. Ostatecznym jej kresem świadomość tragiczna jestestwa ludzkiego, które wobec nieprzepartych ciemnych mocy świata nie cofa się, nie łamie, lecz rzuciwszy im na pastwę swój byt znikomy, swą niezniszczalną, wszechludzką istotą wznosi się ku krainie światła.

A skąd czerpie sztuka wagnerowska tę potęgę i pełnię życia, wznoszącego się w niej aż do najwyższych swych kresów? — Dlaczego nigdy przedtem nieznalazło ono tak zupełnego wyrazu artystycznego w całej swej prawdzie tragicznej? — Dlatego, odpowiada Nietzsche, że nigdy przed tem nie pojawiła się w sztuce indywidualność twórcza o tak bogatych zasobach życia wewnętrznego, o tak olbrzymiej sile i zdolności skupiania ich i ujawniania w natchnionych tworach artystycznych. Sztuka wagnerowska, to sam Wagner, przemawiający z pełni swej przebogatej duszy o najwyższych naszego bytu objawach, celach i zadaniach, które we własnem swem genialnem jestestwie tak żywo odczuł i tak wyraźnie sobie uświadomił.

W tej ocenie Wagnera przebija ta sama myśl zasadnicza, co w poglądzie na Schopenhauera. Największą wartością życiową jest genialna indywidualność ludzka. Nie masy ludzkie, nie działalność ich zbiorowa, ani wytworzone przez nie instytucye, lecz nieliczni geniusze ludzkości wyobrażają głównie żywą, twórczą jej potęgę. W nich życie osiąga moc swą największą i najwyższe natężenie; oni zatem są istotnym celem rozwoju ludzkiego, będącego najzupełniejszem ujawnieniem przyrodzonych potęg wszechbytu. Mamy tu więc apoteozę człowieczeństwa w naczelnych jego bohaterach, których heroiczna wielkość polega na rozwinięciu najbogatszej pełni sił życia w dążeniu ku jego wyżynom. Ale nie czeka tam na nich szczęsny byt bogów olimpijskich. Najcięższą, ostateczną walkę muszą tam stoczyć za ideały ludzkości. Ciemne moce ziemskie odniosą w niej pozorne wśród rzeczywistości widzialnej zwycięstwo, prawdziwy wszakże tryumf w świecie niewidzialnym stanie się udziałem tych, co do końca wierni swym ideałom, czysto ludzkim zadaniom, jako niezłomni bojownicy ludzkości w glorvi swego zachodu, zbudzą się ze znikomej ułudy upłynionego dnia ziemskiego. Tak więc istotnie, przez wielkich ludzi tylko całkowicie spełniane zadanie życia polega na wytężeniu wszystkich jego sił po najdalsze, ziemskie jego kresy.

Ale Nietzsche nie podzielał optymistycznej wiary w przyszłe doskonałe szczęście ludzkości, mające uwieńczyć wysiłki najdzielniejszych jej synów. Owszem, w danej epoce był stanowczym zwolennikiem pesymizmu filozoficznego. W życiu całej ludzkości widział jedną wielką tragedyę, a jej naczelnych przedstawicieli poczytywał za bohaterów tragicznych, którzy żyli i ginęli na wyżynach i do końca zachowali postawę niezwalczonych bojowników. Chodzi o to, aby za ich przewodem cały ogół ludzki wznosił się stopniowo do tego tragicznego nastroju. „Na tem polega prawdziwe uszlachetnienie człowieczeństwa. Ostateczne zrzeczenie się tego zadania pociągnęłoby za sobą najsmutniejszy upadek, jaki sobie wyobrazić możemy... Okrzykiem bólu na całą ziemię rozgłośnym, musielibyśmy przyjąć zupełną zagładę tragicznego nastroju ludzkości i naodwrót niema radośniejszej nadziei nad tę, którą budzi zakwitająca wśród nas ponownie myśl tragiczna.“ [1])

Tę „myśl tragiczną“ z entuzyazmem powitał Nietzsche w filozofii Schopenhauera i w sztuce Wagnera. Ale niedługo nią się cieszył. Spostrzegł niebawem, dla każdego zresztą dostrzegalny, zasadniczy swój błąd w ocenie, a raczej w przecenieniu obu mistrzów. Widział w nich nie ludzi genialnych, jakimi oni istotnie byli, lecz niejako wcielenie samego geniuszu ludzkości, ucieleśnione jej ideały najwyższe. Tutaj wystąpiła zasadnicza sprzeczność tej dwoistej natury myśliciela-poety, który oderwane swe idee mimowoli i bezwiednie przyoblekał w kształty kreacyj poetyckich, i te utożsamiał ze zjawiskami życia, mającemi w ideach owych znaleźć swe wyjaśnienie. Stąd wynikły nieporozumienia, w jakie sam ze sobą popadał.

Poeci, świadomi zadań swych twórczych, odróżniają idealne twory swej wyobraźni od realnych tworów życia i podają je za prawdę swej duszy, nie za prawdę obecnej czy przyszłej rzeczywistości życiowej. Poeci bezwiedni, aż nadto często tracą świadomość tej różnicy, tracą z oczu granicę, oddzielającą świat ich fantazyi od świata rzeczywistego. Takich poetów bezwiednych nie brakło nigdy wśród wielkich działaczy i reformatorów ludzkości. Nietzsche był pomiędzy nimi jedną z najoryginalniejszych i najbardziej zajmujących postaci. Zdawał on sobie sprawę ze swoich wybitnych zdolności poetycko-twórczych, przekonany był jednak, że te podporządkowane są w nim nierównie wyższym uzdolnieniom twórczo-myślowym, które go powoływały do tworzenia

[1]) „Dzieła“ tom I, str. 523.

nie w świecie fantazyi, lecz w świecie rzeczywistości, do głoszenia nie podmiotowych prawd swej duszy, lecz przedmiotowych prawd życia, określających przyszłe drogi rozwoju wszechludzkiego.

Tymczasem rzecz się miała wprost przeciwnie. W Nietzschem poeta przemagał ogromnie nad myślicielem, a tem więcej nad ideowym działaczem. Ale był to poeta-intelektualista, jakiego dotąd chyba świat niewidział, t. j. poeta, który nie z wrażeń życiowych, lecz z idei oderwanych snuł wątek swych natchnień, w sferze ideowej sercem i duszą zawsze przebywał, w niej pragnął, cierpiał, walczył, w niej żył całą pełnią swej bujnej, namiętnej natury psychicznej. Można o nim powiedzieć, parafrazując znany wiersz Słowackiego, że wszystkie uczucia skarby—nie wyobraźni, lecz myśli ognistej rzucił na pożarcie, a wyobraźnia, wierna służka myśli, oderwane jej twory pojęciowe stroiła tęczami najcudniejszych swych barw.

Poeta-myśliciel sądził, że to były tęcze, zwiastujące nowe światła i blaski życia rzeczywistego, które on dostrzegł na dalekich widnokręgach przyszłości, a to były tylko odbicia własnych jego pragnień, ożywione przez uczucie, wyzłocone przez fantazyę, podobne wielu innym odbiciom, unoszącego się ponad życiem naszem złotego snu poezyi. To złudzenie, któremu ulegał Nietzsche, stało się przyczyną wielu nieporozumień, wielu bolesnych jego zawodów. W życiu ukazywały mu się nieraz takie tęcze, promieniejące ponad złotemi wizyami przyszłości. Zrazu wierzył w ich realność i rwał się ku nim całą mocą, niekiedy nadludzkim prawie wysiłkiem swej duszy; skoro jednak zbliżył się do nich i chciał je pochwycić, wymykały mu się z rąk, rozwiewały się przed jego wzrokiem. Owładnięty przemożnem złudzeniem sądził, że to jakieś złe moce życiowe gaszą przed nim wciąż nowoodkryte przezeń światła przyszłości, że się zawodzi na ludziach, zjawiskach i stosunkach życiowych, którym zaufał, a on zawodził się na tworach własnego pragnienia, własnej wyobraźni, sam gasił swe tęcze, gdy je z krainy marzeń poetyckich na poziomy życia realnego usiłował ściągnąć.

Taki właśnie zawód sprawiły mu obie te wspaniałe kreacye, które ukształtował sobie z wyidealizowanych postaci Schopenhauera i Wagnera. Poznawszy swój błąd, przyczynę jego widział nie w fantastyce wyobrażeń, jakie sobie o nich wytworzył, lecz w rzekomej niższości ich typu ludzkiego i w nieszczerości zewnętrznych jego przejawów. Zmiana poglądu na Schopenhauera dokonała się stopniowo w umyśle Nietzschego, w miarę jak zrywał z filozofią pesymistyczną i na miejsce jej, własną swoją stawiał

filozofię, którą poczytywał za przezwyciężenie pesymizmu; zerwanie ze sztuką wagnerowską, a zarazem i z osobą mistrza, nastąpiło nagle i stanowiło prawdziwą katastrofę w jego życiu, której bolesny odgłos długo potem dawał mu się słyszeć i nigdy pono nie umilkł zupełnie.

Jakże charakterystyczne jest dla Nietzschego, że to zerwanie przypadło w chwili największych, bayreuckich tryumfów Wagnera. Wraz z innymi wielbicielami i przyjaciołmi mistrza podążał on w r. 1876 do Bayreuth na pierwsze przedstawienie „Pierścienia Nibelunga," pełen wielkich nadziei i radosnego oczekiwania; a w parę tygodni potem, opuścił stolicę sztuki wagnerowskiej, najzupełniej rozczarowany, zniechęcony, zrozpaczony, porzucił ją, aby nigdy już do niej nie powrócić, ani do tego ideału artystycznego, którego doskonałej realizacyi w niej oczekiwał.

„Błąd mój, mówi Nietzsche, na tem polegał, że przybyłem do Bayreuth z gotowym ideałem w duszy. Wysoko ponad Wagnerem widziałem tragedyę z muzyką, podobnie jak wysoko ponad Schopenhauerem słyszałem muzykę w tragedyi wszechbytu."[1])

Jednem słowem spodziewał się ujrzeć w Bayreuth ucieleśniony ideał sztuki „nie na czasie," sztuki nieskończenie ponad rzeczywistością obecną wzniesionej, a objawiającej się wybranemu zastępowi widzów, którzy sami, jak się wyrażał, godni są widzenia, jako zwiastuni nowej wyższej epoki bytu ludzkości. Zamiast tego, ujrzał przedstawienie teatralne genialnego dzieła dramatyczno-muzycznego, doprowadzone do skutku przez zdumiewającą energię jednego człowieka, który wielostronny geniusz twórczy łączył z geniuszem czynu organizatorskiego i jak każdy człowiek czynu opanowywał rzeczywistość przez to, że umiał z niej wydobyć to wszystko, co ona dać mogła, a nie żądał od niej tego, co tylko w krainie idei pomyśleć się dało.

Nieprzejednanemu w swym idealizmie artyście-myślicielowi wydał się taki zwycięzki czyn realny artysty-działacza zdradą ideału, której nigdy nie mógł mu przebaczyć i którą w następstwie najostrzejszemi piętnował słowy. Zaszło tu jedno z tych wielkich nieporozumień życiowych, jakie nieraz rozdzielają ludzi bliskich sobie siłą ducha lub geniuszu i szlachetnością dążeń, ale zupełnie różnych wewnętrzną organizacyą psychiczną. Wagner i Nietzsche przez czas pewien wspólnym żyli ideałem, do wspólnego dążyć pragnęli celu, ale skoro ten ideał miał się stać ciałem, to pragnienie czynem, różnica ich ustroju duchowego w całej jaskrawości na

[1]) Dzieła, tom XI.

jaw wystąpiła. Dla twórcy „Pierścienia Nibelunga“ celem mogła być tylko jego twórczość dramatyczno-muzyczna w możliwie najpełniejszej swej realizacyi artystycznej. Przyszły Zaratustra, zwiastun „nadczłowieka,“ nie posiadał pełni geniuszu twórczego w sztuce, obdarzony był natomiast przedziwnym darem tworzenia w dziedzinie idei oderwanych; ponieważ zaś te odnosił do życia i w nim pragnął je urzeczywistniać, więc czuł się powołanym do wzbudzania nowych kształtów życiowych, wobec których wszelkie kształty artystyczne wydawały mu się ułomne i nieszczere.

Za takie też uznał twory sztuki wagnerowskiej i tem bardziej takiemi je widział, im wyraźniej przedstawiały mu się w pełnej swej realizacyi artystycznej. To też przechodząc stopniowo od entuzyastycznych nad nimi zachwytów do stopniowego o ich wartości powątpiewania—w Bayreuth najzupełniej o nich zwątpił i odtąd stał się zaciętym przeciwnikiem Wagnera i bądź to w rozproszonych po późniejszych swych dziełach uwagach, bądź w luźnych urywkach, bądź w oddzielnych pismach (jak: Der Fall Wagner, Nietzsche contra Wagner) zwalczał całą sztukę wagnerowską, odsądzając ją od wszelkiej wyższej wartości.

Jednakże, pomimo potępień i szyderstw, jakich nie szczędził uwielbianemu niegdyś mistrzowi, zachował zawsze dla niego nietylko ślady dawnego, serdecznego przywiązania, ale także mimowolną, przez pół bezwiedną cześć dla jego geniuszu i bardziej jeszcze ukryte, bardziej bezwiedne poczucie jego wyższości w tej potężnej sile kształtowania artystycznego, którą w Wagnerze, chcąc nie chcąc, musiał odczuwać, a której, pomimo olbrzymich zasobów swego artyzmu, nigdy z siebie wydobyć nieździał.

Te różnorodne uczucia, nieraz odzywają się w późniejszych pismach Nietzschego głęboko tragicznymi tonami i wogóle cała tak boleśnie zerwana przyjaźń dla Wagnera, stanowiła jeden z głównych motywów jego tragedyi życiowej, którego rozwiązania harmonijnego, aż w podniebnych szukał strefach.

„Jest może (mówi w pięknym urywku p. t. Przyjaźń gwiezdna, Sternen-Freundschaft) jakaś bezmierna, niewidzialna droga gwiezdna, której odcinkami tylko drobnymi są różne kierunki naszego życia. Wznieśmy się do tej myśli. Ale życie nasze zbyt krótkie, wzrok nasz zbyt słaby, abyśmy dostrzedz się w niej mogli zjednoczonymi przyjaźnie. Wierzmy jednak w naszą gwiezdną przyjaźń, choćbyśmy tu na ziemi wrogami mieli pozostać.“[1])

Walery Gostomski.

[1]) Dzieła V, 212.

# ZE SZTUKI.

W zamęcie ruchów społeczno-politycznych chwilami nie mieliśmy poprostu możności zająć się sztuką. Rok 1905 był dla niej przykry i niewdzięczny. Już na początku samym, w pierwszym zaraz miesiącu, straszne wieści z północy odbiły się ponurem echem w naszych myślach. Niebawem potem w łonie własnego społeczeństwa odczuliśmy konwulsyjne drgania rewolucyi. Przyszły czasy okropne gorączkowego podniecenia, rozterki i najwyższego napięcia nerwów. Miasto zamierało zupełnie na długie okresy, zapadało w bezwład — ustawała wszelka praca twórcza. Po ulicach, na których zamilkł ruch kołowy, snuły się posępne tłumy z wyrazem niepewności i przerażenia na bladych twarzach. Na tle głuchego pomruku ogólnego wzburzenia rozlegał się gwałtowniej suchy trzask salw karabinowych, rzekłbyś grzechot rzuconych na blachę orzechów, to znowu huknął zbliska strzał pojedyńczy, lub rozdarł powietrze, wstrząsnął, zakołysał posadami ziemi, niby straszliwy kataklizm elementarny, potężny wybuch bomby. Rósł w tonie gwar roju ludzkiego do najwyższego napięcia, wzbijały się w niebo gromkie okrzyki rozpaczy i wściekłości, jęki bólu i konania, grzmiała rozgłośnie namiętna pieśń bojowa, to znowu cichło wszystko w przygnębieniu i trwodze, że tylko słychać było odgłos miarowy kroków przeciągających ulicami miasta patroli. Widzieliśmy sceny rozdzierające — okropne obrazy walki, przemocy i okrucieństwa. Widzieliśmy śmierć i cierpienie — bruki krwią zbluzgane, stosy trupów, pochlastane członki... Widzieliśmy zwycięstwa i upadki, radości i rozpacze, nadzieje i zwątpienia, blady strach i purpurowe blaski entuzyazmu— poświęcenia, wiary, męstwa...

Rok był brzemienny w wypadki olbrzymiej doniosłości, każdy dzień niemal przynosił zdarzenie niezwykłe, wiekopomne, każdy dzień niemal rył się niezatarcie wielkiemi głoskami na karcie dziejów, ale wszystko to razem wzięte właśnie fatalistycznie psuć musiało nastrój spokojnej kontemplacyi, tak konieczny dla uprawy sztuki, musiało nieodbicie uniemożliwić bezwzględne pogrążenie się w wyrafinowanym sybarytyzmie rozkoszy artystycznych.

A jednak w chwilach, kiedy rozwiewały się potrosze zbyt groźne chmury burzy rewolucyjnej, odczuwając silnie wkorzenioną przez kulturę potrzebę wrażeń estetycznych, mimo wszystko, bywaliśmy przecież w teatrze, czytaliśmy utwory literackie i wreszcie zwiedzaliśmy wystawy sztuki, gdzie, przyznać trzeba, stwierdzić można było, że „niespokojne czasy“ nie odbiły się dotkliwiej na produkcyi malarzów i rzeźbiarzów, zwłaszcza pod względem ilościowym.

Niestety, wrażenia w tym ostatnim wypadku z natury swej dość nikłe, wobec powagi wydarzeń dziejowych doby bieżącej, zasuwają się za nie potulnie i z pewnego, nieznacznego już nawet oddalenia perspektywicznego, tracą na intensywności, mętnieją w konturach, a często zupełnie wypadają z pamięci, to też trudniej jest odtworzyć dokładny obraz ruchu artystycznego za rok ubiegły, niż kiedykolwiek.

Co prawda nader rzadko spotykamy dziś na wystawach naszych utwory szerzej zakreślone ideowo, o pomysłach głębszych i pełnych ogólniejszego znaczenia, a ujętych energicznie i oryginalnie, któreby się tem samem trwalej zapisały w wyobraźni, natomiast przeważa drobiazg produkcyi powszedniej, często mdłej i bezlicowej. Naturalnie rzeczy takie łatwo wymykają się z pod uwagi widza, tembardziej w obecnych warunkach z konieczności mocno roztargnionego.

Rzeczywiście, cała nasza twórczość plastyczna doby ostatniej zamknęła się prawie wyłącznie w ciasnym zakresie portretu i pejzażu, przez co wobec znacznej stosunkowo podaży w tym rodzaju stała się trochę nudna i obojętna, powiedziałbym poprostu — szara. Niewątpliwie zdarzają się wśród tych portretów i pejzażów dzieła o znamionach rzetelnego talentu, zajmujące miejsce bądź co bądź wcale dostojne w hierarchii sztuki, ale tak mi się to właśnie przedstawia w perspektywie czasu. Z większego oddalenia nie widzę już tych subtelnych przejawów artyzmu, jakie narazie mogły być źródłem wysokiej rozkoszy estetycznej — zlały się one bowiem z tłem ogólnem. Natomiast gra tam jaskrawiej, niby wielkie plamy barwne, kilka rzeczy wyróżniających

się siłą oryginalności pod jakimkolwiekbądź względem. Pamiętam je lepiej. Wrażenie musiało być potężniejsze i bardziej bezpośrednie.

Może to być w pewnej mierze sprawdzianem, jeżeli nie bezwzględnej wartości artystycznej utworu, to przynajmniej jego władzy wzruszania.

Pamiętam takie dzieła, a pamiętam je, bo były dziwne w koncepcyi i pełne niewypowiedzianego uroku poetyckiego w ujęciu.

Było to w początkach roku zeszłego. Kawał czasu. Usunięto właśnie większość prac z pierwszej wystawy dorocznej zainaugurowanej w jesieni 1904 roku i na ścianach „Zachęty“ ukazały się niby nowe, a wiecznie te same pejzaże i pejzażyki. Wśród tego szarego tłumu, który mi w pamięci majaczy niewyraźnie i mglisto, z trudem zaledwie wyróżniam kilka pojedyńczych fizyognomij, ale z całą dokładnością wywołuję w wyobraźni dwa obrazy Malczewskiego: „Mojżesz“ i “Pójdźmy razem.“

Stanowiły one, jakby jedną całość kompozycyjną, gdyż łączy je ta sama postać na obydwu płótnach przedstawiona. Jest to mężczyzna w wieku poważnym, o wyrazie pełnym głębokiego liryzmu, a jednocześnie duchowej siły i rozumu. Nie jest to jeszcze starzec sędziwy, ale mąż stateczny, któremu czas zorał czoło brózdami, oszronił brodę, przerzedził włosy na czaszce, zgasił w oczach blask gwałtownych namiętności, chłodem filozoficznej rozwagi stłumił pożary krwi gorącej, któremu korowód ciężkich doświadczeń wyrzeźbił oblicze, porył niby hieroglifami w znaki tajemne, że jest jak szczelnie zapisana karta księgi życia. Jest niby historyą przebytych cierpień, walk, bolów, zwątpień, zawodów, pragnień żarliwych, hardych dążeń, radości niewypowiedzianych, szalonych zachwytów, czynów bohaterskich. Kto ją odczytać w całości potrafi? Z czoła strzelają mu rogi, jak z czoła Mojżesza. Nie jest to jednak mocarz Michała Anioła, o mięśniach atlety, tytan wspaniały, druzgoczący wszystkich groźnem spojrzeniem, ale duch mocny miłością, wyszlachetniony cierpieniem, dostojny przez myśl wielką i piękną, które mu lica ocienia łagodną melancholią. Szyję męża otacza twardy kołnierz szarego, żołnierskiego płaszcza, tego płaszcza, w który Malczewski tak często ubiera swoich bohaterów, a który u niego jest niejako symbolem całej, powstańczej martyrologii narodu. Wiążą się z tym burym szynelem smutne dumy o okropnościach wygnania, o bezbrzeżnych obszarach śniegowych Sybiru, o nieskończonych nocach polarnych w jurcie jakuckiej, wśród żalu i nieukojonej tęsknoty za krajem. Wiążą się z nim ponure legendy o okropnej pracy w podziemiach

Nerczyńska, o etapach, kazamatach, lochach, kajdanach, o strasznej mordowni dantejskiego piekła, przez jakie przechodzili ci szlachetni marzyciele o wejrzeniu melancholijnem i pełnem miłości.

W drugim obrazie ta sama postać męzka w tym samym płaszczu, tylko na kraju jego usiadł barwny motyl. Mężczyzna patrzy nań z rzewnem uczuciem tkliwości. Obok rogata głowa młodego fauna, dziwnego tworu fantastycznej wyobraźni malarza-poety. Faun z poufałością kapryśnej kochanki a gestem swawolnego chłopaka ciągnie za brodę poważnego męża, zapatrzonego marząco w barwne skrzydła motyle.

Nie probuję tłómaczyć symbolicznego znaczenia tych szczególniejszych zestawień, ani dociekać, jakiemi drogami myśl artysty doszła do ucieleśnienia się w podobnej formie plastycznej, nie chcę bowiem brać na siebie roli „pomniejszyciela olbrzymów.“

Schopenhauer utrzymuje, że przedmioty rzeczywiste nie zawsze są odbiciem mieszczącej się w nich idei, ale geniusz, obdarzony lotną fantazyą, w przedmiotach tych widzi nie to, co natura stworzyła, lecz to, co stworzyć pragnęła, czego jednak uczynić nie zdołała z powodu wzajemnej walki form. Otóż Malczewski geniuszem swym odgadł utajone jej cele, zamiary i dążenia, zrozumiał znaczenie jej głosów, a w sztuce swej odnalazł właściwy wyraz uplastycznienia tych objawień. On, człowiek, jako cząsteczka wszechjedności, odnajduje się ustawicznie w naturze. Siły przyrody upostaciował w tworach dziwnych, przez siebie poczętych i zaludnia niemi swoje płótna, łącząc z przedziwną prostotą fantastyczność z rzeczywistością. Z jakąś nadzwyczajną wiarą i szczerością stawia, obok ludzi żywych z krwi i kości, pełne dosadnej charakterystyki indywidualnej, urojone postacie wypielęgnowane fantastycznie we własnej wyobraźni, wiąże to jednak świadomie pracą woli twórczej, w całość konsekwentną i logiczną. Stwarza świat własny, niby urojony i chimeryczny, a jednak najzupełniej prawdziwy w wewnętrznej swej treści, gdyż jest on szczerym wyrazem uczuć i myśli artysty.

Znamy skądś te twarze szlachetne, myślące i zadumane, pochylone nad skowronkiem, szczygłem, świerszczem lub motylem; znamy tych ludzi smutnych, w szarym, żołnierskim szynelu i darzymy ich jakiemś dziwnie ciepłem uczuciem sympatyi, kochamy ich, jak najbliższych krewnych i przyjaciół. Znamy te fantastyczne postacie wielkiej legendy panteistycznej, które u Malczewskiego, ubrane w kształty nieoczekiwanych połączeń, mienią się wszystkiemi barwami tęczy; znamy te krajobrazy o bajecznych, bengal-

skich blaskach i kolorach i idziemy razem z nim w ten świat, zaludniony wizyami artysty.

Ja osobiście czuję w całej jego twórczości pewną myśl zasadniczą, pewien właściwy ton uczuciowy, który zabarwia wszystkie jego dzieła, przepaja je tęsknotą za ideałem jakimś nieuchwytnym, nieujętym, a ukochanym aż do samozaparcia się, ale nie śmiałbym pisać komentarzy do obrazów Malczewskiego, ani wyjaśniać ich treści ideowej, choćbym był pewny, że dobrze zrozumiałem myśl przewodnią autora, choćbym miał nawet od niego samego najdokładniejsze wskazówki, gdyż lękałbym się, ażeby niezręcznem, zbyt twardem słowem, nie osłabić uroku niedomówień, nie zmniejszyć wrażenia, jakie same mogą wywołać u ludzi w odmiennem niż mój nastroju, z bogatszą może niż moja wyobraźnią. Ścisłe określenie w słowach założenia kompozycyjnego byłoby tylko ograniczeniem pracy wyobraźni, która fantazyować może w nieskończoność.

Nieodgadnione pomysły Malczewskiego przez to właśnie posiadają szczególny urok i najwyższy interes artystyczny, a stawianie kropki nad *i* byłoby tu zupełnym nietaktem artystycznym — nietaktem, jakiego, zaprawdę, zbyt często dopuszczają się rozmaici krytycy przez nałóg szkolarskiego szufladkowania i etykietowania najpotężniejszych, a najmniej nadających się do podobnej operacyi talentów.

Fantazyę Malczewskiego, jego ducha twórczego istotnie trzeba brać pod kątem nieskończoności, ale jako malarz, przedstawia się on w zarysach określonych i zdecydowanych. Rzemieślniczą stronę sztuki swojej opanował całkowicie, więc może swobodnie wypowiedzieć się w formach plastycznych ze swych najśmielszych poczęć duchowych. Będąc panem formy zewnętrznej sztuki, władny jest wyrazić najistotniejszą jej treść wewnętrzną. Obrazy Malczewskiego mogą służyć za wymowny argument w sporze z tymi, którzy ową dążność do nieskończoności twórczego ducha ludzkiego, widzą jedynie w niedopowiedzeniach wyrazu zewnętrznego i siłą się umyślnie na hieratyczność przedstawienia; w sporze z tymi, którzy zwykłe niedołęstwo dyletantów, upatrując w ich mętnem, niemowlęcem gaworzeniu, jakoby ukryte skarby boskiej myśli, stawiają ponad świadomą celów i środków pracę malarza zawodowego, malującego jędrnie i plastycznie.

Malarzowi za środki wypowiedzenia się, służą kształt i barwa, które bierze ze świata rzeczywistego. Im łatwiej radzi sobie z przeniesieniem kształtu z trójwymiarowej przestrzeni na dwuwymiarową płaszczyznę płótna, tem łatwiej i pełniej wynurza na

zewnątrz wewnętrzną treść własnej duszy. Malczewski umie rysować, umie wyrazić realistycznie bryłę widzianą w naturze i bynajmniej się tego nie wstydzi. Zarzucano mu, że przerysowuje swoje wizye, ale właśnie owe przebogate w swej rozmaitości nachylenia płaszczyzn, składają całość niezmiernie interesującą estetycznie; zarzucano mu, że modelowanie jego jest twarde z powodu nadmiernego podznaczenia wielu rysów, ale właśnie w rysach tych zamyka nieskończenie wiele treści.

Pozatem były rzeczy niewątpliwie niepospolitej wartości, gdyż między innemi utwory Chełmońskiego i Pochwalskiego, ale, jak powiedziałem, trudnoby mi było z mgieł zapomnienia wywołać ich wizyę tak wyraźnie, ażeby mówić o szczegółach kompozycyi i wykonania, jak mówię o obrazach Malczewskiego.

Jaskrawiej zaznaczył mi się jeszcze w pamięci tylko „Most“ Władysława Wankego. Na tle nieba, płonącego łuną pożaru, widać było w ciemnej sylwecie kamienne arkady mostu, przez który ciągną zastępy wojowników. Do dziś jeszcze grają mi w wyobraźni czerwone blaski pożogi, odbijające się na wodzie i na pierwszoplanowej postaci jakiejś dziewicy, patrzącej w przerażeniu na groźne zjawisko. Obraz posiadał wiele siły dramatycznej i należał stanowczo do lepszych pomysłów kompozycyjnych w owej chwili.

*

* *

Tragiczne zajście położyło kres istnieniu jednego ze zdolniejszych malarzy. W zatargu z kolegą, od kuli rewolwerowej, padł Wacław Pawliszak w epoce pełnego rozwoju sił męzkich, nie wypowiedziawszy prawdopodobnie jeszcze w swej sztuce ostatniego słowa.

Powiadam — prawdopodobnie, gdyż jakkolwiek rzeczywiście na dorobku ostatnich czasów odczuwać się dawały jakby znamiona pewnego osłabienia władz twórczych, ale mogło to być jedynie niedomaganie przejściowe artysty, który szukał nowych dróg, nowych form wyrazu. Takie wahania się stopnia napięć intelektualnych znane są powszechnie w dziejach twórców we wszystkich dziedzinach pracy umysłowej, co u nas zwłaszcza tem łatwiej da się wytłómaczyć nizkim stosunkowo poziomem kultury ogólnej.

Talenty wyrastają często na gruncie niedostatecznie uprawnym i odpowiednio przygotowanym, to też na drodze dalszego kształtowania się spotykają przeszkody, jakie wykrzywiają fatalnie linię ich rozwoju. Ludzie praktycznie wychowani, wcześniej odnajdują w sobie miarę, która im pozwala ustosunkować dążenia z przyrodzonemi zdolnościami, a te znowu zestroić harmonijnie z nabytą wiedzą i umiejętnościami technicznemi. Mierzą oni zamiary na siły. Daje im to swobodę ruchu, pewność siebie i chroni od desperackiego miotania się w bezcelowej walce z niemożliwością. Inaczej rzecz się ma z naturami pierwotnemi o temperamentach gwałtownych i namiętnych. Jak dzieci nie znają oni niebezpieczeństwa i usiłują głową przebijać twarde mury. Stąd tragiczne szarpania się i upadki. Dlatego to na Zachodzie artyści niejednokrotnie z niewielkiemi zdolnościami do wysokich stosunkowo dochodzą rezultatów, podczas tego, kiedy u nas szczere i zgoła niepospolite talenty w szalonej pogoni za chimerą, puszczając się na awanturnicze wyprawy bez busoli, wśród krzyżujących się prądów artystycznych, nie zawsze na właściwą trafiają drogę.

Talent Pawliszaka niby kwiat cieplarniany wybujał niezmiernie szybko. Artysta już w siedemnastym roku życia wystawił swoje pierwsze dzieło na widok publiczny i stanął odrazu w jednym szeregu ze znanymi, zasłużonymi koryfeuszami sztuki. Jeżeli pierwszego tego obrazu nie można uważać za zupełnie dojrzały owoc jego ducha twórczego, to w każdym razie był to utwór, odpowiadający wymaganiom artysty dojrzałego, ze względu więc na młody wiek autora mógł mu rokować przyszłość niepospolitą. Jakoż rzeczywiście Pawliszak szybkim krokiem posuwał się po linii postępu czas jakiś, aż linia ta nagle załamywać się poczęła, zygzakować, zbaczać i cofać i znowu biegła równo ku wyżynom. W chwili, kiedy go śmierć zaskoczyła, niewątpliwie linia twórczości jego znaczyła ruch wsteczny, ale był to człowiek jeszcze młody i pełen sił żywotnych.

Przyjaciele zmarłego artysty pamięć jego uczcili zorganizowaniem wystawy, gdzie zgromadzono nietylko to, co tworzył w ciągu lat kilkunastu karyery artystycznej, ale i to, co kochał, a co mu było podnietą w twórczości. Oprócz obrazów, szkiców, notat, wykonanych w różnych chwilach życia, wystawiono też sprowadzony z pracowni oręż, przeważnie wschodniego pochodzenia, który zbierał z nadzwyczajnem zamiłowaniem i znawstwem.

Pawliszak był romantykiem-rycerzem i stanowczo przedstawiał sobą zjawisko dziwne, poprostu anachroniczne w naszych tak

mało rycerskich czasach. Szabla mu szła do garści, jakby z nią śluby zawarł od dziecka, jakby się zrodził w epoce Kmiciców i Wołodyjowskich. Kochał broń, konia i kobietę. Gotów był świat cały wyzywać na rękę i wyzywał dla lada powodu, ale skoro nie miał z kim wyjść w szranki do zbrojnych zapasów, rozkołysana rojeniami o rycerskich zabawach dusza, wylewała się żywiołowo w koncepcyach malarskich. Zaklinał w nie tak szczerze i bezpośrednio swoje ukochania i nienawiści, że odmalował się w nich dokładnie cały człowiek i cały artysta. Jak nić osnowy w tkaninie, przez wszystkie pomysły, wszystkie poczęcia malarskie, przewija się wyraźnie owa nuta dum rycerskich na podłożu mocno erotycznem. Ostry, błyszczący, różnokształtny oręż, bogactwo zbroi i strojów, zgiełk wrzawy wojennej i kobieta — kobieta naga, lub w stroju podniecającym zmysłowo, to główny temat i zasadniczy motyw obrazów Pawliszaka. Niema w tem jednak nużącej jednostajności, przeciwnie, skala jego wrażeń jest dość obszerna, myśl żywa, a lotna fantazya przenosi się do coraz innych ludzi, epok i krajów.

Co prawda, szczególniej pociągał artystę Wschód ze swoją barwnością stroju, bogactwem i rozmaitością oręża i wogóle całą dekoracyjną malowniczością ludzi i kraju. To też prócz krwawych rozpraw orężnych, harców na koniach i pieszo, z wielkiem upodobaniem maluje sceny haremowe, gdzie kobiety, jak hurysy z opowieści Szecherezady, palą nargile, siedząc na wzorzystych kobiercach, w komnatach o ścianach inkrustowanych srebrem, złotem i perłową macicą. Odbył też podróż do tych krajów „Tysiąca i jednej nocy,“ skąd przywiózł w tece mnóstwo szkiców, notatek i studyów z natury, a w duszy roje wspomnień płomiennych, z których powstawały potem obrazy pełne słońca, ciepła i barwy.

Pośmiertna ta wystawa Pawliszaka urządzona była w miesiącu maju, w jednym z salonów Pałacu Sztuki. Współcześnie w dwóch sąsiednich salonach wystawiono reprodukcye z dzieł Edwarda Burne-Jonesa. Miał to być jeden z szeregu pokazów dydaktycznych, jakie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych postanowiło stale prowadzić.

Rzeczywiście wystawy takie, jakkolwiek poprzestać tu trzeba na odbitkach jednobarwnych, nie dających zupełnie dokładnego pojęcia o wartości wielu utworów malarskich, mogą jednak już mieć bardzo poważne znaczenie kształcące, jako usystematyzowany w pewnym stopniu wykład prądów i kierunków panujących w sztuce europejskiej. Dziś zwłaszcza, kiedy Towarzystwo Zachęty zdecydowało się udostępnić dwa razy miesięcznie salony

swoje dla mas najszerszych, pobierając tylko po dziesięć groszy za bilet wejścia, a co podnieść należy z najwyższem uznaniem, wystawy podobne stałyby się niezaprzeczenie nader pożądanym środkiem wychowawczym i przyczyniłyby się do podniesienia świadomości artystycznej wśród ogółu.

Burne Jones jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli malarstwa angielskiego, malarstwa, które w drugiej połowie zeszłego wieku wyodrębniło się znamionami specyalnych dążeń estetycznych i wyrobiło sobie stanowisko zupełnie niezależne w ogólnym ruchu artystycznym. Wystąpiło ono pod mianem prerafaelityzmu i jakkolwiek dzisiejsi artyści, którzy grupują się pod tym sztandarem, znacznie odstąpili od niektórych zasad i haseł twórców pierwotnych kierunku, nazywają się przecież prerafaelitami niezmiennie. A jest ich zastęp bardzo liczny i najpotężniejszemi w sztuce angielskiej może poszczycić się nazwiskami.

Percy Bate, autor książki „*The english pre-Raphaelite painters their associates and successors*“ w gronie ich wylicza wszystkich niemal artystów, którzy w malarstwie angielskiem współczesnem wyróżniają się talentem i oryginalnością.

Prócz pierwszych założycieli „bractwa“ mianowicie Rossettiego, Hunta i Milais'a, tudzież Burne-Jonesa, spotykamy dziś głośne w świecie sztuki nazwiska jak: Alma Tadema, Herkomer, Walter-Crane, Leighton, Watts, dalej: Tissot, Burton, Hughes, Gerges Wilson, Murray, Strudwick, Brickdale, Moira, Robertson, Cowper, Shaw, Robinson i wielu innych.

Teoretyczne podstawy prerafaelityzmu utrwalił John Ruskin w książce swej „Modern Painters,“ a streszczać się one miały w zasadzie: „Brać rzeczy tak, jak one się prawdopodobnie zdarzyły, nie zaś według sztuki rozwijanej przez Rafaela.“

„Zadaniem artystów jest — dowodził dalej — ani nic nie wymyślać, ani nic nie próbować, lecz iść pokornie i sumiennie ścieżkami natury i śladem nakreślonym palcem Bożym.“

Robert de la Sizeranne, estetyk francuski, który sztuce angielskiej współczesnej poświęcił obszerne studyum, tak charakteryzuje dążenia tej szkoły malarskiej: „Ludzie nowi chcą stworzyć sztukę nową, zastępując ruch banalny i ogólnikowy ruchem ciekawym, indywidualnym i niezużytym, a farbę zlewającą się i wzmacnianą stopniowem nakładaniem zamienić na farbę szczerą, suchą, użytą bez podmalowywań. Słowem, zamiast linii dekoracyjnej, wprowadzili linię wyrazu, zamiast tonów *gorących*, tony *żywe*.“ Po za tem wszystkie określenia autor uważa za czczą logomachię.

Możnaby się sprzeczać z estetykiem francuskim, czy ogólniki o ruchu nie banalnym i linii wyrazu, które tak kategorycznie przypisuje prerafaelitom, ich jedynie były wynalazkiem i, że kierunek cały miał jednak pewne cechy znamienne, nie objęte definicyą Sizeranne'a, a określenie cech tych nie byłoby może czczą logomochią. Nie mam tu jednak na to miejsca, zaznaczę tylko, że ruch prerafaelityczny nabrał ostatecznie ogromnego znaczenia, kiedy w szeregach jego stanęli ludzie tej miary, co wielki poeta Swinburne i William Morris, poeta, malarz, dekorator, niezrównany mówca ludowy, agitator, reformator przemysłu i smaku estetycznego.

Towarzystwo zapowiadało w najbliższej przyszłości w dalszym ciągu wystawy utworów Rossettiego i Wattsa, tymczasem jednak widzieliśmy jedynie owe 140 doskonałych, przyznać trzeba, platynotypij, heliograwiur i fotografij z dzieł Burne-Jonesa, co zresztą reprezentuje prawie cały dorobek słynnego prerafaelity.

*

* *

Obecnie w Pałacu Sztuki znajdują się jeszcze dzieła z drugiej, tak zwanej Wystawy dorocznej, która właściwie przypadać powinna na miesiące jesienne, a która w roku zeszłym z powodu „niespokojnych czasów“ opóźniła się nieco i dopiero w grudniu można ją było otworzyć. Zanim jednak pomówię o tych najświeższych wrażeniach, chciałbym przebiedz inne nasze salony artystyczne, gdzie znajdzie się kilka ciekawszych rzeczy do zanotowania.

Przedewszystkiem zawsze ruchliwy salon p. Krywulta i w tym roku często odnawiał swoje wystawy, ukazując zawsze coś godnego obejrzenia.

Spotykaliśmy tam dzieła istotnie bardzo niepospolite, które powinny były przyciągnąć i zainteresować najszerszą publiczność. Niestety, spotykało się to wszystko z obojętnością zajętego innemi sprawami ogółu.

Bardzo ciekawie przedstawiał się naprzykład zbiór rysunków czeskiego symbolisty Kubina. Utrzymuję określenie „ciekawie,“ gdyż z malarskiego punktu widzenia wielebym musiał porobić zastrzeżeń, ażeby te senne majaczenia uznać za artystycznie

dostojne. Były one ciekawe i zgoła wyjątkowo przez chorą, szaloną jakąś, gorączkową poprostu fantazyę pomysłów i niesłychaną inkoherencyę przedstawienia.

Równie ciekawie a nieskończenie bardziej artystycznie wypadła wystawa karykatur, gdzie umiejętnie ujęte uproszczenia w przedstawieniu ruchu, wyrazu i charakteru musiały dla znawców stanowić obfite źródło rozkoszy estetycznych. Duża część zasługi za owe rozkosze przypada w udziale artystom francuskim, jak Léandre i Caran d'Ache, których kilka rysunków między innymi wystawiono, ale i wśród naszych malarzy panowie Frycz, Lenc i Samosiewicz zaznaczyli się, jako pełni temperamentu karykaturzyści.

Wielkie zainteresowanie budziła w swoim czasie wystawa rzeźb p. Ksawerego Dunikowskiego, profesora warszawskiej szkoły Sztuk Pięknych. Niewątpliwie p. Dunikowski jest bardzo utalentowanym rzeźbiarzem, o czem świadczył, znajdujący się na wystawie, portret malarza Szczyglińskiego — portret żywy, naturalny, podobny, doskonały w ruchu i charakterze, wymodelowany z ogromnem poczuciem kształtu i, co ważniejsza, koloru, z całą dojrzałą świadomością sztuki, którą uprawia, ale o kompozycyach tego artysty nie umiałbym nic pochlebnego powiedzieć. Zdaje się, że kształtując glinę w jakieś dziwaczne, potworne formy, którym nadaje szumne, górne tytuły, jest on w nieporozumieniu z samym sobą, jak również nieporozumieniem wytłómaczyć chyba należy zachwyt, jaki w pewnych kołach pracami temi wywołuje. O sprawie tej pomówię kiedyś obszerniej, niechcę bowiem formułować oskarżeń dorywczo i bez należytego umotywowania rzeczowego.

W zupełnej zato zgodzie ze sobą jest pan Slewiński, którego widoki morskie, głowy chłopów bretońskich, studya kwiatów i tak zwane martwe natury, świadczą o wysokiej kulturze duchowej artysty, gdyż występuje tam charakterystyczne, niezmiernie harmonijne skojarzenie treści wewnętrznej z zewnętrznemi formami malarskiego wyrazu. Pan Slewiński mieszka stale w Bretonii i jest złączony pokrewieństwem dążeń artystycznych z przedstawicielami szkoły w Pont St. Avain.

Że p. Żmurko jest artystą wytrawnym i pełnym wysokiego smaku, o tem powszechnie wiadomo, to też urządzona na wzór pracowni malarskiej wystawa dzieł jego, gdzie, prócz obrazów, umieszczono także szkice i studya przygotowawcze, ściągała przez pewien czas nieco liczniejszą publiczność do salonów p. Krywulta.

Po za tem były tu do obejrzenia przepyszne, nadzwyczaj energicznie traktowane akwaforty szwedzkiego malarza Zorna i innych artystów skadynawskich, tudzież ciekawe autolitografie Francuzów — Berthona i Louis Legrand'a.

Młody, bardzo utalentowany artysta nasz p. Antoni Gawiński, wystawił cykl z czterdziestu obrazów, przedstawiających królów polskich, a rzeźbiarz p. Makowski ogromną kolekcyę, bo składającą się z dwustu przeszło płaskorzeźb, profilów znanych w mieście naszem osobistości.

Królowie p. Gawińskiego odznaczają się oryginalnością ujęcia, a niektóre wizerunki bardzo subtelnem wniknięciem w styl i ducha epoki; profile zaś pana Makowskiego zaleca podobieństwo tudzież staranność wykończenia.

*

* *

W jednem z pism najwytworniejszych, a przynajmniej roszczącem sobie najwięcej pretensyi w tym kierunku, spotykałem obok rysunków naprawdę doskonałych, posiadających wartość niezaprzeczoną, niedołężne bohomazy, jakichby najmniej wymagająca ilustracya nie chciała pomieścić u siebie pod żadnym pozorem. Wszystko to razem sprowadzano do wspólnego mianownika i pod wspólną etykietą nowej sztuki, nowych prądów czy wyrafinowania artystycznego, sprzedawano poczciwemu filistrowi za jednakowe pieniądze. Wynikało to, jak mniemam, nie ze złej woli kierowników, ale z powodu pewnego pomieszania pojęć, jakie się wkradło do ich sądów estetycznych. Sprzedawano falsyfikaty z całą dobrą wiarą, że są brylantami najczystszej wody. Było to poprostu nieporozumienie.

Źródłem nieporozumień w danym wypadku jest niewniknięcie w istotę sztuki malarskiej i ocenianie jej ze stanowiska wyłącznie literackiego — osią, około której sprawa się obraca, to jest główną przyczyną błędnych wniosków, są pozorne podobieństwa w formie uproszczeń, spotykanych zarówno u malarzy zawodowych najwyżej posuniętych w swej sztuce, jako też u ludzi pierwotnych i dzieci, probujących malować. Różnica jednak między nimi jest taka, że uproszczenia pierwszych są rozumową lub intuicyjną syntezą, jako wynik świadomej pracy analitycznej,

u drugich naiwnem niedołęstwem. Różnicy tej nie dostrzegają właśnie ci, którzy rzeczy biorą powierzchownie, a jest ona olbrzymia i zupełnie zasadnicza.

Jeżeli uchodzi ona baczności widza pospolitego, sądzącego ze strony czysto formalnej, to zdaje się, powinno to być aż nazbyt widoczne dla tych wszystkich, którzy w sprawie kształtu mają pojęcia wyrobione na zasadzie specyalnego wykształcenia zawodowego. A jednak spotykałem plastyków zawodowych, ulegających również podobnym złudzeniom. Pokazywano mi np. na wystawie prac uczniowskich warszawskiej szkoły sztuk pięknych okropne, niezdarne malowanki, jako dzieła wyjątkowego talentu i kazano zachwycać się śmiałością kompozycyjną autora. Były to fantastyczne metafory poetyckie, przetransponowane najnaiwniej na język barw i linij przez nieuka, który się nie liczy z warunkami trójwymiarowości przestrzeni, wobec czego łatwo mu przyszło przewyższyć swą śmiałością prawdziwego plastyka, jeżeli ten stara się z całą ścisłością i prawdą wyrazić trójwymiarową bryłę na dwuwymiarowej płaszczyźnie. W tem leży cała trudność wypowiedzenia się artystycznego za pomocą kształtu i dopiero należyte poznanie jego istoty, co osiąga się przez studya i naukę, daje ostatecznie większą lub mniejszą swobodę wyrazu, daje łatwość, że tak powiem, dokładnego tłómaczenia się językiem form plastycznych.

Weźmy przykład:

Malarz chce, dajmy na to, przedstawić taką wizyę pięknej kobiety dosłownie, według koncepcyj poetyckich, to jest malując rzeczywiście łabędzią szyję, róże kwitnące zamiast ust, gwiazdy zamiast oczu i tak dalej. Otóż połączenie podobnych form naturalnych w tak dalece urągającej logice całości, to znaczy, że szyja będzie istotnie przypominała szyję ptaka, będzie posiadała jej okrągłość, puszystość i właściwą linię wygięcia, róże będą kwiatami i t. d. — przedstawiałoby ogromne trudności techniczne i wymagałoby kolosalnej pewności we władaniu formami, takiej, jaką niewątpliwie posiadać musieli mistrzowie, z których fantazyi zrodziły się wszelkie chimery, gryfy, syreny, centaury, maskarony o liściastych wąsach i brodach tudzież inne kombinacye świata zwierzęcego i roślinnego, często bardzo estetyczne, zwłaszcza w ornamentyce renesansowej. Ale ów samorodny geniusz malarski zamiast szyi okrągłej bądź co bądź trójwymiarowej, maluje sobie biały, płaski pasek bez formy, na końcu jego umieszcza płaską plamę, mającą przedstawiać głowę i... sprawa załatwiona, a bezkrytyczni entuzyaści wielbią w nim śmiałość i bezpośredniość.

Że malarze podlegają czasem złudzeniom na tym punkcie, to tłómaczę suggestyą ze strony literatów, w których przyzwyczaili się uznawać wyższość umysłową, ale skoro malarze zaczną powtarzać podobne historye, literaci, ufając znowu dokładności ich widzenia w zakresie kształtu, uwierzą jeszcze bezwzględniej w swoje teorye i wytworzy się ostateczne pomieszanie pojęć — zaczarowane koło, z którego wydobyć się będzie niepodobna.

Może to poczytane mi będzie za zarozumiałość, ale wierzę, że dla mnie, kiedy widywałem utwory choćby najdalej posunięte w uproszczeniach, nigdy nie było tajemnicą, o ile są dziełem ludzi z talentem i wyrobionych zawodowo, a o ile bezczelną arogancyą dyletantów, wdzierających się nieprawnie w dziedzinę sztuki i przykro mi było widzieć szczerych artystów ustawionych w jednym szeregu z tymi dyletantami.

W podobnem położeniu bywał pan Wawrzeniecki, malarz wytrawny i szczery artysta, który, dzięki pewnej chimeryczności swych upodobań estetycznych, sąsiadował o miedzę we wspomnianem wyżej piśmie z osobnikami innej rasy, innej kultury, którym tytuł artysty żadną miarą służyć nie powinien.

Pan Wawrzeniecki, urządzając wystawę prac swoich w salonie p. Krywulta, do obrazów dołączył też studya przygotowawcze, to jest zwykłe akty akademickie, które następnie przerabiał czy stylizował odpowiednio do potrzeb kompozycyjnych. Są one wykonane z właściwą plastyką i dokładnością szczegółów, dowiódł więc tem, że jest doskonałym rysownikiem i posiadł wszystkie tajemnice sztuki, a uproszczenia jego, pozornie tak łatwe, zależne są od szczególnych tendencyj estetycznych.

Tendencye te zaznaczają się również pod względem treści. Wszystkie wystawione obrazy połączone były jakby jednym kierunkiem zadumy. Była to, jakby ewokacya ponurej, groźnej wizyi średniowiecza, które artysta zna i rozumie, odtwarza też z wielką mocą przekonania. Całość wystawy nosiła tytuł: „Z martyrologii czarownicy.“ Widzieliśmy tam przerażające sceny, pełne okrucieństwa, ciemnoty i przesądu, wyrażone po malarsku z ogromnem odczuciem nastroju, że tak powiem, powietrza dramatycznego.

Można się z p. Wawrzenieckim nie zgadzać w zapatrywaniach na cele i zadania sztuki, można nie lubić rodzaju jego twórczości, ale trzeba przyznać, że jest artystą szczerym, indywidualnym i stoi na wysokości powołania swego.

Jeżeli wspomniałem o piśmie, gdzie i on między innymi umieszczał swoje rysunki, to niechodziło mi ostatecznie o filistra, który czasem z powodu wyżej określonych nieporozumień za do-

brą monetę kupuje odpadki artystyczne, ale, że artystom tej miary, co pan Wawrzeniecki, i wielu innym naprawdę oryginalnym i utalentowanym, dzieje się krzywda moralna przez traktowanie ich za pan brat z pretensyonalnymi niedołęgami lub szarlatanami bez cienia zasług rzeczywistych.

*

* *

Wzmagający się z nadzwyczajną potęgą przemysł fabryczny, przez pośpieszną, ordynarną produkcyę maszynową potrafił zohydzić każdy kształt nowy czy odnowiony, każdą formę narazie piękną i sympatyczną i zniechęcić ludzi o wybredniejszym smaku do pozornie wspaniałej, taniej a banalnej dekoracyjności naszych czasów.

Już w połowie zeszłego stulecia humaniści angielscy zaprotestowali energicznie przeciw nadmiernej a bezmyślnej wytwórczości fabrycznej tego, co powinno być wytworem rąk rozumnego człowieka, przeciw obrzydzaniu życia widokiem tandety i tanich, pospolitych ozdóbek, więc za sprawą takich artystów i myślicieli jak Ruskin, Wiliam Morris i Walter Crane rozpoczęła się szeroka akcya w kierunku estetycznego wyindywidualizowania zdobnictwa, stosowanego do przedmiotów codziennego użytku. Powstały wielkie warsztaty rękodzielnicze i szkoły przygotowujące rzemieślników-artystów, którzyby pracą inteligentną i osobistą odpowiedzieć mogli wymaganiom wytworniejszego smaku. W ostatnich czasach dążenia te rozlały się po całej Europie, a paryska wystawa powszechna w roku 1900, tudzież dwie wystawy specyalnie sztuce stosowanej poświęcone: w Darmsztadzie w 1901 i w Turynie 1902 roku, dowiodły, jak wielkie już na tem polu postępy poczyniono.

U nas w dziedzinie tej znaczne zasługi położyli dr. Matlakowski, Witkiewicz, a ostatnio stowarzyszenie „Sztuka polska stosowana,“ która, pomimo pewnej jednostronności, zbierając rodzime motywy zdobnicze, jako podstawę do swojskiej ornamentacyi, rozbudza bądź co bądź, artystów do oryginalnej twórczości. Obecnie we wszystkich szkołach artystycznych z Warszawską

szkołą sztuk pięknych na czele, nauka sztuki stosowanej staje się obowiązującą i na popisach rocznych mieliśmy sposobność stwierdzić w wielu razach wcale dodatnie rezultaty w tym kierunku.

Pozatem powstała specyalna szkoła dla kobiet, mająca na celu systematyczną naukę kompozycyi ornamentacyjnej. Szkoła prowadzona przez znaną malarkę francuską pannę Chalus, tudzież przez pannę Duninównę, artystkę polską, urządza doroczne wystawy prac uczennic w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych i właśnie taką wystawę, drugą z rzędu, oglądaliśmy w lecie roku zeszłego.

Panna Chalus jest uczennicą słynnego dekoratora paryskiego Grasseta i oczywiście przyjęła jego metody i zapatrywania.

Leon Thénevin w piśmie „La Plume“ tak w głównych zarysach charakteryzuje estetykę Grasseta. Uważa on, że sztuka nie może być naśladowaniem natury, ale jest jej interpretacyą. Natura daje materyał i suggestyonuje formę. Sztuka obrabia materyał, upiększa formę i nadaje jej ową cechę idealną i doskonałą, do której natura dąży, ale nie jest w stanie urzeczywistnić. Zasadą jego zdobnictwa jest prostota, utrzymuje się więc możliwie w zakresie form geometrycznych, przyczem nienawidzi ornamentacyi wypukłej.

Metoda czy teorya kompozycyi dekoracyjnej jest konieczna. Potrzebne tu jest ustalenie punktu wyjścia, znajomość stron technicznych w zastosowaniu materyałów, umiejętność podziału płaszczyzny, rozłożenia w równowadze walorów i tysiąca innych prawideł wykrytych przez doświadczenie pokoleń. Metoda panny Chalus widocznie musiała być dobra, gdyż niektóre uczennice doszły do tworzenia samodzielnie pomysłów dekoracyjnych naprawdę bardzo ładnych, które mogły zaraz znaleźć doskonałe zastosowanie w przemyśle artystycznym.

*

* *

Druga wystawa doroczna artystów polskich, otwarta w Towarzystwie Zachęty przy końcu roku nie różni się w niczem od poprzednich. Odczuwa się tu jak zawsze brak utworów o szer-

szych pomysłach, choć na ogół jest wiele rzeczy wartościowych i nie pozbawionych interesu artystycznego.

Zaznaczyć nadto wypada pojawienie się kilku nacechowanych prawdziwym talentem dzieł artystów dotąd nieznanych, jak np. p. Piekarskiego, który wystąpił z utworami pod każdym względem zasługującym na uznanie.

Na tem skończyć wypada przegląd ruchu artystycznego w tym niespokojnym roku.

T. Jaroszyński.

# RUCH UMYSŁOWO-LITERACKI

## we Francyi.

Przeglądając dzisiejszą twórczość francuskiego teatru, można zauważyć znamienny zwrot ku idealizmowi i dążność do wskrzeszenia tragedyi. Obok dramatów o tendencyi wybitnie społecznej, obok komedyj zgryźliwych lub służących chwilowym hasłom, spotyka się często dzieło czystego artyzmu. Zgrabne utwory Porto-Riche'a, owiane tchnieniem klasycznego teatru, lecz o piętnie zupełnie nowożytnem malują ową odwieczną moc miłości, której nic oprzeć się nie może; do niej powrócił, po długiem błąkaniu się, wybitny dramaturg współczesny, Maurice Donnay i w ostatniej swej komedyi[1]); na jej cześć śpiewa również Camille de Saint-Croix w „Armidzie," będącej niejako ucieleśnieniem żywiołowych wybuchów namiętności. We wszystkich powyższych utworach mamy do czynienia z miłością nie upadlającą lub zdrożną, jak tego pełno w literaturze francuskiej, lecz z uczuciem uszlachetniającem bohatera. Możnaby przytoczyć wiele innych jeszcze dramatów o podobnej tendencyi; widzieliśmy ją w subtelnych komedyach Renarda, a nie brak prób uwieńczonych pomyślnym skutkiem, powrotu do starożytnych tematów, do tragedyi o koturnowym nastroju. Takim jest „Hypolit uwieńczony" Juliusza Bois, który nie wahał się podjąć tematu, obrobionego dwukrotnie przez mistrzów tragedyi i zwycięsko wyszedł z próby, tworząc postać wprawdzie nieco zmodernizowaną, ale przytem nawskroś oryginalną i bardziej dla nas zrozumiałą. Takim jest „Cinthia" prowansalskiego poety

[1]) L'Escalade. Paris. 1905. Utwory dramatyczne, przy których niema innej wzmianki, cytuję w wydaniu „l'Illustration théâtrale."

Meuniera, dzieło wybitnego talentu, czarujące harmonijnym wierszem, przesiąknięte żarem południa; takim wreszcie jest „Dyonizyusz“ Casqueta, dramat religijno-symboliczny, osnuty na tle starożytnego mytu o królu Penteusie.

Zdania krytyków są podzielone, chwiejne, a czasem sprzeczne. W studyum niezwykle interesującem, choć miejscami niejasnem, Charles Méré omawia obecne usiłowania wskrzeszenia tragedyi[1]) i stara się uchwycić główne rysy, które będą charakteryzowały przyszłe utwory tragiczne. Autor wykazuje powolny rozwój tragedyi od najdawniejszych czasów, oraz jej każdorazowe przystosowanie się do środowiska. Jak teatr Corneille'a lub Racina pod nazwą Cydów, Horacyuszów i t. p. malował współczesnych ludzi i ich aspiracye, tak tragedya dzisiejsza lub raczej jutrzejsza będzie wizerunkiem obecnego społeczeństwa, bez względu, jakie postacie historyczne w niej figurować będą. Są tacy, dla których teatr klasyczny jest alfą i omegą; dla nich samo zestawienie tych dwóch wyrazów *tragédie moderne*, jest herezyą i niedorzecznością; ale ci grzeszą brakiem historycznego zmysłu. Każdy bowiem utwór tragiczny był czemś nowem, był wyrazem pragnień i uczuć nowej epoki, w której powstał. Tragedya zatem ma rozległe pole twórczości, ale jej osią główną jest walka między wolą jednostki a przeznaczeniem, mniejsza o to, czy je nazwiemy starożytnem fatum, czy opatrznością boską, czy porządkiem społecznym, czy owem nieubłaganem prawem dziedziczności; zawsze starcie się dwóch potęg moralnych w duszy człowieka, jest nieodzownym warunkiem tragiczności. Z chwilą jednak, gdy zamiast nich mamy walkę interesów dla idei, rozumowania filozoficzne, lub zatargi naukowe, z tą chwilą mamy do czynienia z dziełem, czasem bardzo zajmującem i wymownem, ale nie z tragedyą. Dlatego też nie jest nią ani „Le Duel“ Lavedana, ani „Les Ventres dorés“ Fabre'a, ani teatr Maeterlinka lub Ibsena (przy którym jednakowoż należałoby zrobić pewne zastrzeżenie), ani żaden z utworów, które tak często zwykliśmy chrzcić mianem „tragedyi nowożytnej.“

W dalszym ciągu Méré konstatuje, że współczesna tragedya znajduje się w upadku, dodaje jednak, iż wielu pisarzy zrozumiało jej dążność ewolucyjną i, zamiast kusić się o powrót, niemożliwy zresztą, do starożytnych form, maluje w swych utworach dzisiej-

[1]) La tragédie Contemporaine (Préface de Paul Mounet). Paris. 1905. (Bibl. de „la Chronique.“)

sze zapasy człowieka w wrogiej walce z instynktem i nieznanymi jeszcze czynnikami, które kierują naszem życiem. Do tego typu tragedyi zbliżają się dzieła takie, jak np. „La course du Flambeau“ Hervieuxgo albo „Chleb grzechu“ Teodora Aubanela, lub wreszcie „Miasto umarłe“ d'Annunzia. „L'Arlésienne“ Daudeta odtwarza również przedziwnie ten mistyczny nastrój, który jest konieczny do odczuwania grozy tragicznej. Przyszła więc tragedya, mówi autor, pokaże nam człowieka dumnego i zbuntowanego, człowieka dręczonego wątpliwościami lub biernego w nieszczęściu, borykającego się z wewnętrznymi i zewnętrznymi popędami, które tworzą jego przeznaczenie. Dążenia metafizyczne i moralne, dążenia społeczne, cała ta sieć niewidzialnych czynników, ogranicza jego wolę. To nie jest jednostka, to symbol ludzkości, poziomej lub heroicznej w zetknięciu się z „nieznanem“ (str. 46).

Co się tyczy formy zewnętrznej, to wiersz nie jest nieodzownym warunkiem tragedyi, proza rytmiczna może łączyć w sobie wszystkie zalety prawdziwej poezyi (str. 66).

Zupełnie odmienne poglądy wygłasza Paweł Souchon, młody poeta, którego tragedya „Phyllis“[1]) zawiera ciekawą przedmowę. Zdaniem jego, wiersz jest niezbędny i tylko on potrafi zakuć w nieśmiertelną formę podniosłe uczucia, lecz z tego nie wynika, aby miano powrócić do estetyki Racina lub Victora Hugo. Ani tragedya klasyczna, ani dramat romantyczny nie odpowiada naszej uczuciowości. Walka między miłością a obowiązkiem, konflikty serca i sytuacyi, naśladownictwo starożytnych pisarzy, uroczystość dyalogu, wszystko to, co interesowało w wysokim stopniu dworaków 17-go wieku, zajmuje nas daleko mniej. Tak samo przesadna retoryka i nadęte tyrady bohaterów romantycznych nie wzruszają nas bynajmniej. Tragedya nowożytna oddali się zarówno od jednego, jak od drugiego rodzaju dramatu, ściśle mówiąc; połączy je i dopełni *poezyą*, której blask oświetla ludzi rzeczy i idee.

*Poezya człowieka w naturze*, echo, jakie w nim budzą pory roku i krajobrazy; kontrast pogodnego nieba i wzburzonej duszy; wrażenia dnia, mroku, nocy; natchnienia wywołane potęgą huraganu, słońca, burzy, księżyca, gwiazd... oto, co poezya liryczna opiewa, lecz żadne dzieło dramatyczne, jak się autor wyraża, n'a haussé jusqu'à la vie et à l'action.

*Poezya człowieka w społeczeństwie*, które sobie wytworzył, jego radość i smutek, jego rozkosze i nudy, jego uczucia i prze-

[1]) Paris 1905 (Société du Mercure de France). La tragédie nouvelle.

miany, jakim ulega pod wpływem losu i wypadków, tem zajmował się dotychczas przedewszystkiem romans, a czasem utwór dramatyczny, lecz jedynie dramat poetyczny może mu dać piękno i trwałość.

*Poezya człowieka w jego własnej myśli*, gra idei i wspomnień, zwątpienia i wiary; popędy dziedziczne i męki umysłu, walka instynktów, i refleksyi, wzloty geniuszu i natchnienia, mizerye szału i agonia pamięci; o tem mówią nam traktaty filozofii i medycyny, lecz to ucieleśnione na scenie działać będzie ze wstrząsającą siłą prawdy.

Tak więc atmosferą nowego dramatu będzie poezya—to jest kwintessencya *wszystkich tworów*, żyjących czy nieożywionych, wszystkich czynników, widocznych czy ukrytych — a nie, jak to było w epoce klasycyzmu: kilka uczuć uprzywilejowanych, lub w czasach romantyzmu: kilka wyjątkowych sytuacyj. Poeta-dramaturg, mając przedmiot, będzie się starał wydobyć z niego całą piękność. Jego rzeczą jest uczynić wybór w materyale, który mu przynosi legenda, historya, doświadczenie życiowe i wyobraźnia. Wolność jego... nieograniczona, byle utwór odpowiadał warunkom poezyi i piękna. Okres ten zbliża się, okres bujnego rozkwitu poetycznego dramatu.[1]) Liczne oznaki wskazują na to, że jego ewolucya literacka wchodzi w nową fazę, która jest wynikiem artystycznej kultury, ogarniającej coraz szersze warstwy społeczne. Lud zaczyna uczęszczać z zamiłowaniem na widowiska klasycznego repertuaru, jego sympatye również idą ku utworom poetycznym, bo w nich znajduje zdrowy pokarm duchowy.

* * *

Zapatrywania powyższe, które można uważać za pewnego rodzaju manifest młodych poetów, charakteryzują dobitnie jeden kierunek dzisiejszej twórczości dramatycznej we Francyi. Nie da się zaprzeczyć, że ruch ten jeżeli nie rozpoczął się, to nabrał siły od chwili ogłoszenia Cyrana de Bergerac. Młody wówczas autor

[1]) Tegoż zdania jest Jules Bois. Zob. Cardonel et Vellay. „La littérature contemporaine.“ Paris. 1905. (Soc. du Mercure de France) str. 73.

obudził wielkie nadzieje u tych wszystkich, którym przejadł się był teatr naturalistyczny i komedya obyczajowa ze swem stałem trio: męża, żony i przyjaciela domu. Zapowiadano z uroczystą pompą nową erę, a gdy przewidywania nie ziściły się, zlekceważono Rostanda... niesłusznie. Wprawdzie „Cyrano“ nie rozpoczął nowej epoki w dziejach francuskiego dramatu, jak to się rzecz ma z „Hernanim“ lub Les „Corbeaux“ Becque'a, ale nie można się również zgodzić na sąd dzisiejszej krytyki, która odmawia Rostandowi wszelkiego wpływu, twierdząc, że jego utwór niema żadnej styczności ze współczesną literaturą, jak pierwszy lepszy melodramat.[1]) Jest to druga ostateczność, w którą popadają znów zwolennicy socyalnego teatru. Rzucony przez Rostanda posiew, nie poszedł na marne, a jeżeli dotychczas nie wydał dzieła równego mu wartością, to winy nie ponosi kierunek, uważany przez przeciwników za fałszywy i przestarzały,[2]) ale brak twórczego talentu, brak ideałów, a może i wiary, któraby ożywiła skostniałe pod wpływem materyalizmu uczucia. Zapał jednak raz obudzony uwydatnia się coraz silniej i ruch żywy, niemal gorączkowy tętni na polu twórczości dramatycznej. Cała plejada młodych dramaturgów, piszących wierszem, kupi się koło Armanda Boura. Dzięki energicznym zabiegom kilku jednostek, oddanych z namiętnością sztuce, dzięki poparciu głośniejszych poetów, jak Catulle Mendès, François de Nion, hrabina de Noailles, trupa aktorska, mając na czele wyżej wymienionego dyrektora, mogła się zająć wystawieniem przedewszystkiem dzieł poezyi. Zrazu w Trianon, potem w pięknym gmachu, znanym pod nazwą Bouffes Parisiens, Armand Bour rozpoczął szereg przedstawień, mających na celu nie poklask publiki, ale popieranie prawdziwych talentów i wydobycie na światło dzienne nieznanych poetów. Spełnia więc po części podobne zadanie, jak to, które temu lat dwadzieścia, przypadło w udziale dyrektorowi „Wolnego Teatru.“ Ten sztuce i grze realistycznej, ów idealności i poezyi otwiera na oścież wrota.

Z głośniejszych rymotwórców tej młodej generacyi wymienić można Jacques'a Richepina, którego jednak nie należy mieszać ze starszym poetą Jean'em, autorem słynnej „Pieśni żebraków“ (La Chanson des gueux), i wielu dramatów, jak np. „Fibustier,“ „Par le glaive,“ „le Chemineau.“ Jacques Richepin odniósł po-

[1]) Georger Pelissier: Le mouvement littéraire contemporain. Paris. 1902. (Plon-Nourrit) str. 167.

[2]) Le Théatre de demain. La Grande Revue. 1904. t. I str. 408.

przedniego roku sukces dwoma utworami: „Cadet Roussel“ oraz „Falstaffem.“ Treści do tego ostatniego dramatu, dostarczył mu oczywiście Szekspir, przedewszystkiem „Henryk IV“ i „Wesołe Kumoszki Windsorskie.“ Stamtąd przejął główne epizody awanturniczego życia bohatera, ale umiał dodać wiele nowych i zręcznie je skombinować. W technice i wierszach zauważyć się da wpływ Rostanda, mniej w „Cadet Roussel,“ niż w „Falstaffie,“ lecz zarówno jeden, jak drugi utwór, świadczy o znacznym talencie autora.

*

* *

„Rabelais“, poemat komiczny w 3 aktach, jest utworem w rodzaju „Cyrana de Bergerac.“ Młody poeta który tą komedyą święci swoje prymicye literackie, okazał wiele zręczności w ujęciu przedmiotu. Nieznany zupełnie kilka dni przed premierą, Albert du Bois, stał się zupełnie popularnym. „Rabelais“ nie daje nam tej szerokiej perspektywy, tego rozległego a poetycznego obrazu jaki otwiera się przed zdumionem okiem widza w głośnym utworze Rostanda, ale też życie i epoka bohatera były zupełnie odmienne i nie nadawały się wcale do epickiego traktowania. Trzeba mieć odwagę, mówi Faguet, aby napisać utwór o autorze „Gargantui,“ heroiczną zuchwałość, aby go napisać wierszem, du Bois nie cofnął się przed temi trudnościami i wyszedł z nich zwycięsko. Jego Rabelais jest oczywiście wyidealizowanym bohaterem, nie tym, jakim go przedstawia urzędowa krytyka, ale też który poeta może się pochlubić, że wiernie odtworzył rzeczywistość? L'histoire doit fournir au poète des modèles et des accessoires – pisze Max Nordau w swoich studyach psychichnych. La composition dans laquelle il groupe des êtres humains et des choses doit être son invention, limitée seulement par la loi du style, qui interdit l'emploi irrationnel de la matière donnée et des rapports qu'on sentirait impossibles, de ce qui est universellement connu. Cela me semble la solution du problème, tant discuté de la poésie historique.[1]) Jakkolwiek się rzecz ma, utwór Alberta du Bois, nie po-

[1]) Albert du Bois. Rabelais, poème comique en trois actes. Paris 1905. (Charpentier).

zbawiając bohatera charakterystycznych cech i wyskoków dowcipu, nieraz bardzo realistycznych, robi ogółem miłe wrażenie wśród powodzi komedyj prozaicznych, jako dzieło twórczej wyobraźni, a nie rzemiosła literackiego.

Hrabia d'Entraves, młody rycerz i rymopis, chce wbrew woli matki pojąć za żonę ubogą dziewczynę, sierotę bez imienia. Przybywa z nią do Meudon, aby wziąć tajemnie ślub, ale proboszcz wsi umarł przed kilku dniami. Nominacya nowego proboszcza zależy od hrabiny d'Entraves, matki młodego człowieka. Oczywiście ten z dwóch kandydatów otrzyma probostwo, który posłuży jej celom, to jest przeszkodzi małżeństwu. Jednym z kandydatów, jak się łatwo domyślić, jest autor nieśmiertelnych ksiąg o Pantagruelu, przedstawiony w dramacie, jako wielbiciel natury i piękna. Jego adwersarz, znany z romansów Sue'go, Angelot Pignon, charakter obłudny, pokroju molierowskiego świętoszka, asceta gardzący rzeczami ziemskiemi, a przytem pełen nizkich żądz, zarysowuje się pysznie w dyalogu z Rabelais'em, który na widok bohaterki nie może powstrzymać okrzyku uwielbienia:

Quelle beauté!
Les vieux murs enfumés de l'étroite ruelle
Tandis qu'elle passait, blanche et rose, autour d'elle
De fraîches clartés d'aube étaient tout tapissés.

Pignon: Voir certaines beautés remplit nos sens de bas
Appétits et réduit nos coeurs à l'impuissance
Contre l'impur démon de la concupiscence...
Ah!.. sous son joug honteux lorsque nous croupissons...

Rabelais: Assez de „croupissons“ et de „concupissons“
Vraiment, mon pauvre ami, je ne supposais guère
Que votre âme d'ascète était aussi vulgaire,
Et ne m'attendais point, en la sondant, à voir,
Que la Beauté, pour vous, n'est qu'un *concupissoir*.[1])

Pignon układa szatański plan, aby połączyć zakochanych nieważnym ślubem, a kiedy Rabelais udaremnia jego zamiar, usiłuje nakłonić dziewczynę do wstąpienia do klasztoru. Tam znajdzie swój ideał wymarzony, tam czeka ją oblubieniec, widziany w sennych marzeniach, do którego serce rwie się w ekstazie. Czyż może z całą pewnością twierdzić, że rycerz jest owym wybranym kochankiem, że nigdy żaden głos nie szeptał jej tajemniczych słów?

[1]) Akt I, scena II.

Nie przytaczam wyjątków, które dałyby niedołężne wyobrażenie o tej zręcznie przeprowadzonej scenie sugiestyjnej. Mowa obłudnika wywiera tem silniejsze wrażenie, że w rzeczywistości nie kochała rycerza. Poszła z nim, bo ją znalazł bezbronną, opuszczoną przez wszystkich, drżącą z zimna na ulicy, gdzie ją wypędziła bezlitosna ręka opiekuna. Jedynym jej grzechem było, że miała duszę rozmarzoną, rwącą się do wiekuistego piękna i do wzniosłych lotów poezyi, poszła z nim, bo sądziła, że to wyśniony trubadur-kochanek, lecz rychło się spostrzegła, iż młody rycerz chce ją poślubić nie tyle dla miłości jak aby na przekór zrobić matce. To też kiedy Rabelais rozwiewa jej złudzenia co do poetyckich zdolności hrabiego d'Entraves, którego madrygały miłosne dają się czytać w podwójny sposób, Dolly pragnie usłyszeć od niego, coby jej powiedział na ten sam temat:

Que sais-je?... Je voudrais au moins vous avoir dit
Un mot que jamais femme avant vous n'entendit,
Un mot infiniment magnifique et sonore,
Qui vous ferait sentir combien je vous adore,
Et qui révélerait à votre oeil ébloui
Au fond d'un coeur immense, un amour inouï!
J'aimerais mieux garder un silence farouche,
N'avoir qu'un vague cri de bête sur la bouche,
Que d'aller profaner mon rêve le plus doux
En l'entourant pour vous le présenter, — à vous —
De mots banals, souillés d'avoir vêtu naguères
Des sentiments communs et des amours vulgaires.

Je voudrais voir vers vous monter en tourbillon,
Pleurant dans mon sanglot et râlant dans mon râle
Tous le fauves désirs d'une âme impériale,
Et toute la tendresse exquise d'un enfant!
Je vours dirais: C'est vrai! C'est un poids étouffant
De tendresse et d'amour que j'ai sur la poitrine...
Penche-toi, vois, comprends, rends-toi compte, devine
Tout ce qui dans mon coeur à jamais enfermé,
Tressaille et veut crier vers l'Être bien-aimé!

Sa beauté que je vois dans toute chose belle
Car l'univers entier est pour moi rempli d'Elle:
Mon âme La retrouve au fond de chaque émoi
A travers tout rayon Elle rayonne en moi.
Je La respire au coeur de chaque fleur que j'aime
Tout rythme harmonieux me chante Son poème.[1])

[1]) Akt II, scena VII.

Dolly chce wyrzec się hrabiego d'Entraves, aby zostać przy autorze Gargantui. Przez chwilę tylko ogarnia ją zwątpienie, gdy obłudna ręka Pignona podsuwa jej rękopis romansu Rabelais'go. Lecz autor w mowie pełnej zapału i ognia tłómaczy jej cel dzieła i roztacza przed nią obraz zepsutego społeczeństwa, którego występki chciał chłostać biczem ironii.

Perse l'eût insulté, Juvénal flétri
Moi, je suis un Gaulois plus amer! j'en ai ri!

Ustęp to kulminacyjny dramatu, napisany z wielką wprawą. Młody poeta wniknął w dzieło Rabelais'go i, wydobywszy z niego ideę, umiał ją przedstawić w wierszach harmonijnych. Utwór świadczy o znacznym talencie autora, po którym spodziewać się można wiele.

*

* *

Wpływ Rostanda nie kończy się na tem; zapuścił on głębsze korzenie, niż się przyznawać zwykło w literaturze francuskiej. Ten rodzaj dramatu romantycznego, który autor „Cyrana de Bergerac“ na nowo powołał do życia, znalazł gorliwych adeptów u poetów starszej generacyi. Łatwo stwierdzić można, do jakiego stopnia ulegli temu wpływowi pisarze tacy, jak Jean Richepin lub Catulle Mendès, analizując ich ostatnie utwory dramatyczne. Weźmy np. „Scarrona,“[1]) dzieło, długo oczekiwane, autora rozgłośnej powieści Zo'har. Rozpoczyna się sceną analogiczną do tej, którą widzimy w „Cyranie.“ Tutaj widowisko sceniczne w hotelu de Bourgogne, tam komedya mytologiczna w halach miasta Mans. Ten sam ruch dramatyczny, to samo tempo panuje w obu utworach. Tłumy ludu, rycerzy i dam, przesuwają się, jakby w kalejdoskopie, różnobarwne, pstre szeregi masek migocą przy świetle pochodni. Wieczór karnawałowy ożywia całe miasto, hałas, gwar, nieustanne wybuchy śmiechu, cięte i dowcipne słowa, podnoszą ogólną wesołość. Bohaterem, jak tytuł pokazuje, jest Scarron, autor „Ro-

[1]) Catulle Mendès: Scarron, comédie tragique. Paris. 1905 (Charpentier et Fasquelle).

mansu komicznego," satyryk niemiłosierny, często zjadliwy, postać jednak oryginalna i niezmiernie ciekawa wśród pisarzy pierwszej połowy XVII wieku, smażących madrygały w nadętym stylu Mariniego i Voiture'a. Pod skórą olbrzymiego makaka, ugania się on po ulicach, a za nim tłumy ludu,—zwyczaj, który jeszcze dziś widzieć można w Paryżu, w wieczór niedzieli zapustnej, i prawdopodobnie na prowincyi. Poeta daje nam wizerunek moralny Scarrona, każąc mu wygłosić panegiryk na cześć... małpy. Kiedy zebrani widzowie oklaskują aktorów, a szczególnie Momusa, wołając: „Chwała Momusowi!" nasz bohater odpowiada:

Non! gloire au singe!
Le lion a du coeur, le singe a de l'esprit
Il fringue, vibre, court, mord, balbouine, rit,
Fait rire! Il irait dans la céleste banlieue
Chatouiller l'Ourse au nez, le Bélier sous la queue;
E c'est d'en voir jouer mille au Cheval Fondu
Que le cèdre, aux forêts du Bengale, est tordu.
Il est canaille, il est objeet, il est obscène,
Il est exquis! Et quel acteur, roi de scène
L'égale? Bellerose admire Fagotin
Buvant à la bouteille et clignant au tétin,
Cherchant ses poux, grattant son poil, croquant sa pomme
Il mime rage et pleurs, et l'amour, Dieu sait comme...
Ah! tout le monde hélas! n'est pas singe! mais quoi?
On a toujours assez du singe au fond de soi
Pour se complaire à voir, triomphe du Burlesque,
En couard, le vaillant, en nain, le gigantesque,
La belle en laideron, les maris en cocus
Virgile en Turlupin, les astres en écus,
Se refléter, plus vrais par la laideur cocasse
Dans la grimace parodique qui jacasse. (str. 51).

Następuje bluźniercza powiastka o małpach, które naśladują scenę na Golgocie:

Il vit, à trois gibets, formés d'un double épieu
Entre les deux larrons-singes, le singe-dieu. (str. 53).

Mendès chciał przez to zaakcentować brak wszelkich idealnych pierwiastków w duszy bohatera jego, niezdolność pojmowania rzeczy wzniosłych, co przedziwnie się zgadza z fizyognomią duchową autora „Eneidy strawestowanej." Wśród słuchaczy znajduje się młodziutka Franciszka d'Aubigné, która oburzona do głę-

bi w swych uczuciach religijnych, rzuca mu w twarz: Fi, monsieur! que c'est laid! Tłum przyklaskuje jej słowom, porywa niefortunnego błazna i ciągnie go do pobliskiej rzeki, aby mu sprawić zimną kąpiel. Bohater wraca z niej drżący z chłodu, z zarodami choroby, która go przykuje do łoża boleści na całe życie. Sceny powyższe są rodzajem prologu. Właściwy dramat rozpoczyna się dopiero w drugim akcie, ślubem Scarrona i... o ironio losu, Franciszki d'Aubigné. Samotna na świecie, lecz marząc ciągle o nim, biedna i opuszczona, gdy jej dano wybór między klasztorem a nędzą, zgodziła się wyjść za naszego Łazarza, aby być dlań siostrą miłosierdzia. Z przedziwną intuicyą, w szeregu plastycznych obrazów, Mendès odtworzył wspólne pożycie tej dziwnej pary. Około bohaterki uwija się rój wielbicieli, wietrzących zdobycz; lecz młoda małżonka-dziewica, zwycięsko opiera się pokusie, choć łatwo przewidzieć, że hart jej duszy powoli się zużyje w niebezpiecznej atmosferze dworskich kadzideł.

Triste, non, l'air d'un ange au monde résigné
Et qui se plaint comme on sourit. De neuves terres
Lointaines elle garde en ses yeux les mystères
D'une mer et d'un ciel que l'on ne connaît pas.
Que des lys inouïs ont parfumé ses pas
On le rêve au parfum qu'on respire à la suivre
Elle est bien façonnée et parle comme un livre;
Fière, non pas farouche, elle a sans nul défaut
Le geste qui convient, la parole qu'il faut,
Puis les lèvres vibrent, l'oeil qui songe en arrière
Se semble qu'elle imite un écho de prière...
Quand elle joint les mains, elle est bonne à prier. (str. 71).

Utwór Mendèsa postawiony przez krytykę obok „Cyrana de Bergerac," nie miał tego entuzyastycznego przyjęcia, jakiego się spodziewano. Wytłómaczyć to można do pewnego stopnia tą okolicznością, że bohater nie jest sympatyczną postacią, jak ów rycerz pełen brawury i poświęcenia; po drugie tem, iż akcya utyka w dalszej części dramatu: Scarron przykuty do fotelu nie wpływa na bieg wypadków, jest osobą bierną, podczas gdy w „Cyranie" wszystko wre życiem.

*

* *

Obok powyżej wymienionych dzieł twórczej imaginacyi, pełnych poetyckiego polotu, które jednak w dzisiejszych czasach burzliwego życia socyalnego, mimo wybitnego prądu idealistycznego we współczesnej literaturze francuskiej, błyszczą zawsze jeszcze, na kształt egzotycznych kwiatów, zapożyczonem światłem - mamy szereg dramatów, pisanych prozą, które święciły w ostatnich czasach niezwykły tryumf na deskach teatralnych. Publiczność oklaskiwała jeden utwór po drugim z równym entuzyazmem, gdyż każdy z nich pod formą mniej lub więcej ukrytą... odkrywał rany obecnego ustroju, wady i występki paryskiego społeczeństwa. Nie chcę przez to powiedzieć, że to były dramaty à thèse. Przeciwnie stwierdzić należy, że ten rodzaj zaczyna znikać. Jedynie utwór braci Marguerite, o którym niżej będzie mowa, wchodzi w kategoryę dramatów, mających na celu wykazanie szkodliwości względnie niedostateczności tej lub owej ustawy, jak np. prawa rozwodowego i t. p. Większą część utworów tegorocznych zaliczyć należy do komedyi obyczajowej i dramatu psychologicznego. Nie starczyłoby mi miejsca, gdybym je chciał omówić obszerniej, gdyż na tem polu produkcya we Francyi jest nader obfita, a miniony sezon należał do najpomyślniejszych. Wszyscy wybitni krytycy, jak Faguet, Brisson, Doumic, jednogłośnie przyznali, że od lat piętnastu nie widziało się takiego ruchu w dziedzinie twórczości teatralnej. Z konieczności więc ograniczę się do najważniejszych, rozpoczynając od Lemaître, w którym po kilku latach mozolnego borykania się z przeciwnikami na arenie politycznej, odezwała się dawna żyłka pisarska. Dwa jego utwory „La Massière“ oraz „Bertrade“ odniosły równy sukces, choć zgoła są niepodobne do siebie, tak że wierzyć się nie chce, iż wyszły z pod pióra tego samego pisarza. Pierwsza z nich, „La Massière,“—to komedya delikatna i sentymentalna. Publika z niecierpliwością oczekiwała premiery, rozciekawiona w najwyższym stopniu krążącemi pogłoskami o aktualnym podkładzie, jaki prezes „Ligi patryotycznej“ miał dać swemu utworowi. Pod tym względem oczekiwało ją rozczarowanie. Utwór jednak podobał się nadzwyczaj, bo dawny Lemaître odnalazł się ze wszystkiemi zaletami wytwornego stylisty i subtelnego obserwatora współczesnego życia. Dyalog jego zawsze żywy i dowcipny, często ironiczny, a czasem czuły, rozśmieszał, bawił i wzruszał naprzemian widzów.

Juliette Dupoy, młoda malarka, nazwana „la massière,“ bo zarządza wspólnym funduszem swoich towarzyszek,—co w żargonie paryskim nazywa się „la masse“ i z tąd dwie nazwy „le mas-

sier“ i „la massière“[1])—jest pierwszą uczennicą w akademii malarskiej Justiniana i protegowaną dyrektora Marèza. Uczucie, jakie tenże żywi dla utalentowanej uczennicy, jest może trochę egoistyczne, niejasne, sam nie zdaje sobie z niego sprawy. Marèze widzi w niej dzieło swoich rąk, talent, który on wykształcił i o który jest zazdrosny. To też burzy się na myśl, że Juliette mogłaby pokochać kogoś innego goręt̨szem uczuciem. Tym innym będzie właśnie jego syn Jacques. Sytuacya cokolwiek drażliwa, a nieraz śmieszna, lecz traktowana przez Lemaîtra z nadzwyczajną delikatnością, zamienia się w małe arcydzieło psychologicznego konfliktu. Rozwiązanie, zdaniem mojem, trafne, chociaż moderniści nazwaliby je banalnem. Marèze zadowalnia się afektem ojcowskim i Romeo... poślubia swoją Julię.

Zupełnie innego kroju jest drugi utwór „Bertrade,“ niemiłosierny obraz zdeprawowanej jednostki, pochodzącej ze sfer uprzywilejowanych. Zarzucano często Lemaîtrowi, że kokietuje z arystokracyą, że jej oddał się ciałem i duszą. Bardziej wtajemniczeni w sprawy zakulisowe nadsekwańskiej stolicy dodają szczegóły, których powtórzyć nie można. Autor „Bertrady“ chciał przez swój utwór pokazać, że jest niezależnym, że, kiedy fantazya mu przyjdzie do głowy, potrafi odmalować świat, z którym się związał w celach politycznych, z nieubłaganym realizmem, miejscami może zanadto oburzającym. Już przed dwoma laty w tomie studyów p. t. „Teorye i wrażenia“ Lemaître wynurzał się ze swemi zapatrywaniami. „Zdaje mi się, powiada tam, że nie powinienem być podejrzanym prawdziwym republikanom. Pochodzę z ludu i nie bywam w świecie“ (je ne fréquente pas ce qu'on appelle „le monde.“)[2]) „Bertrade“ ma być również dowodem, że Lemaître nie zamyka oczu na wady swoich sojuszników.

Wyobraźcie sobie księcia czy markiza, który roztrwonił nie tylko swój własny majątek, ale nadto posag córki i siostry, którego fortuna, jak się dowcipnie wyraża notaryusz, równa się „zéro moins trois millions.“ Otóż ów markiz chce wyjść ze smutnego położenia. Dwie drogi prowadzą zwykle do celu w tego rodzaju sytuacyi: sprzedać swoje imię, albo swą córkę. Autor przez zbytek

[1]) Paryskie wyrażenie „t'as la masse“? odpowiada warszawskiemu: „masz flotę?“

[2]) Théories et Impressions. Paris. 1904 (Soc. fr. d'imprimerie et de librairie) str. 10.

dobroci, nastręcza obie bohaterowi i przesuwa przed naszemi oczyma szereg scen, w których odkrywa się zgnilizna moralna markiza Maufferanda, zgnilizna tem wstrętniejsza, że pokryta maską obłudy i bigoteryi. Sprzedaż córki nie udaje się, bo Bertrade przeciwstawia ojcu kategoryczne: „non possumus.“ Charakter bohaterki skreślony z prawdziwym pietyzmem i bardzo sympatyczny. Książe jest więc gotów sam się sprzedać i poślubić dawną znajomą z życia kawalerskiego, która „uczciwem życiem“ en haut et en bas, nagromadziła kilkanaście milionów i zakupiła wszystkie długi swego byłego kochanka. Utwór powinienby się tak zakończyć. Ale w ostatniej chwili zabrakło księciu, a raczej autorowi, odwagi. Lemaître cofnął się przed ponurą ewentualnością i wprowadza „deux ex machina“ Bertrade, która wymownemi słowy przypomina ojcu świetną przeszłość, nienaganne postępowanie ich rodu etc. etc. Książe wyprawia córkę i z wyrazami: „Bóg mnie zrozumie,“ przykłada pistolet do skroni.

Oto treść w najogólniejszych zarysach niedawno ogłoszonego dramatu Lemaître. Prawda, zapomniałem o jednym szczególe, bez którego żaden utwór francuski obejść się nie może. Równocześnie z powyżej nakreśloną intrygą rozwija się inna: miłość Bertrady dla sąsiada, człowieka bardzo zacnego, ale niezamożnego. Te dwie akcye przeplatają się i krzyżują nawzajem, nie osłabiając w niczem jednolitości utworu. Wzięty jednak w całości, dramat Lemaître nie zadawalnia naszego poczucia estetycznego. Ewolucya głównej postaci dziwnie niejasno odmalowana a początkowe sceny są w rażącym kontraście z następnemi. W pierwszym akcie markiz występuje jako utracyusz, ale zarazem jak magnat umiejący zachować swą godność, jako człowiek wreszcie stałych zasad, który przyciśnięty okolicznościami śmiało zajrzy śmierci w oczy, ale nie spodli się nigdy, ani na chwilę. Tymczasem następne akty przynoszą kompletne rozczarowanie, a samobójstwo, które byłoby zrozumiałe, gdyby autor zatrzymał był charakter bohatera z pierwszego aktu, nie jest logicznym wynikiem trzech ostatnich, lecz czynem chwilowego podniecenia, wywołanego kazaniem córki. Prawdę więc mówiąc, koniec taki nie jest końcem, nie rozwiązuje bowiem danej sytuacyi. Jest raczej wygodnym fortelem dla autora, który nie może lub nie chce nam dać wizerunku bohatera w ostatniej jego fazie.

Nie byłbym obszerniej omawiał tego utworu, gdyby był przykładem odosobnionym we współczesnej literaturze dramatycznej. Zdaje się jednak, że mania samobójcza ogarnęła tegoczesnych pisa-

rzy francuskich. W pięciu utworach, wystawionych w przeciągu kilku tygodni, a więc niezależnych jeden od drugiego, bohaterowie, względnie bohaterki, ratują się tym pseudo-heroicznym środkiem od fatalnego kroku, do którego ciągnie ich przeszłość i do którego konsekwentnie dojśćby powinni. Poprzedniego razu widzieliśmy, że żony, porzucające domowe ognisko, aby po pewnym czasie powrócić i wybłagać przebaczenie, były, że tak powiem, w modzie, do czego przyczyniły się niemało znane wypadki na kilku dworach książęcych. Autorowie kruszyli w ich obronie swoje kopie. Tym razem zjawisko podobne, zamiast napiętnować zło, zyskuje sympatyę dla niegodnego bohatera, każąc mu porzucić czemprędzej nasz padół cierpień i bolów, do których ów nie okazuje zbytniego pociągu.

Takim utworem jest najnowszy dramat Bernsteina: „La Rafale.“ Robert de Chacéroy przegrywa pół miliona franków, które nie należą do niego. Jako przyjaciółkę ma córkę bogatego finansisty Helenę de Bréchebel, która zamierza wyłudzić tę kwotę bądź od ojca, bądź od męża, ażeby pokryć defraudacyę bohatera. Lecz delikatność nie pozwala Robertowi przyjąć pieniędzy od ukochanej. W tym samym czasie ojciec Heleny, baron Lebourg, ofiaruje byłemu przyjacielowi powyższą sumę pod warunkiem, że zerwie wszelkie stosunki z jego córką. Tym razem honor staje na przeszkodzie. Jakżeż wyjść z tej sytuacyi? Nie trudno odgadnąć z tego, co powyżej powiedziałem.

Samobójstwem również kończy się dramat Henryka Bataille'a: „Ślubny marsz.“ Grâce de Plessans, nie mogąc otrzymać pozwolenia rodziców na poślubienie swego nauczyciela muzyki opuszcza dom i miasto rodzinne, aby żyć w ubóstwie z wybranym serca. Idylla nie trwa jednak długo. Aby uprzyjemnić chwile samotności ukochanej, Claude kupuje fortepian za pieniądze wypożyczone z podręcznej kasy, bez zezwolenia szefa. Wprawdzie tenże mu przebacza, ale wiara bohaterki w charakter swego wybranego doznaje silnego ciosu. Od tej chwili świat salonów, którego się wyrzekła, odzyskuje nad nią swą magiczną władzę, hypnotyzuje ją i niebawem zobaczymy Grâce pod obcem nazwiskiem na balu u przyjaciółki z klasztoru, pani Lechâtelier. Dodajmy tutaj dla wyjaśnienia, że Lechâtelier jest właśnie zwierzchnikiem Claude'a i że poprzednio oświadczył swoją miłość bohaterce. Grâce zestawia swego nauczyciela z tym wykwintnym światowcem, którego wprawdzie odtrąciła, ale który nie mniej uprzedza każde jej życzenie, porównanie nie może wypaść na korzyść pierwszego. Czu-

jące zagrażające jej niebezpieczeństwo, bohaterka ucieka wśród nocy do Paryża. Podczas, gdy Claude gra ulubiony marsz, rozlega się huk i Grâce oddaje ostatnie tchnienie w objęciach zrozpaczonego męża.

*

* *

Kwestya rozwodu nie schodzi z porządku dziennego we francuskiej literaturze. Po romansie braci Margueritte: „Les Deux Vies," który był jednym z najwymowniejszych manifestów za rozszerzeniem odnośnej ustawy, ukazała się powieść Bourgeta, wymierzona przeciw rozwodowi nawet w tej formie, w jakiej istnieje w tutejszem prawodawstwie. Obaj przeciwnicy scharakteryzowali swoje poglądy w dwóch listach, ogłoszonych w czasopiśmie „Femina," które urządziło ankietę wśród swoich czytelniczek i zażądało od obu autorów konkluzyi praktycznej z ich utworów.

Bourget przyznaje, że w obecnej epoce anarchii i rozkładu sił francuskiego narodu, jego poglądy nie mają żadnych widoków powodzenia; żądania sformułowane przez braci Margueritte prędzej czy później wejdą do kodeksu, ale tam długo nie pozostaną. Jest to całkiem naturalne, logiczny wynik ustawy z roku 1884. Wszystkie argumenty, które służyły do uchwalenia prawa rozwodu „zabójczego dla religii i rodziny," przemawiają również za jego rozszerzeniem, a kto chce być konsekwentny w swoich poglądach, musi to uznać. Pytanie tylko czy zasada, na której opiera się to prawo jest słuszna. Zwolennicy rozwodu występują w imię dobra jednostki, która jest według nich, podstawową komórką społeczeństwa. Z chwilą, gdy ona cierpi, cały organizm staje się pomału chory. Ich hasło brzmi: jedna istota nie powinna cierpieć przez drugą i dla drugiej. Historya jednak udowadnia, że energia „ciała społecznego" była zawsze w prostym stosunku do energii życia rodzinnego. Komórką więc tegoż ciała społecznego nie jest indywiduum, ale rodzina. Historya również nas uczy, że życie rodzinne odbyło w ciągu wieków głęboką ewolucyę, dążąc nieustannie do monogamii. Rozwód, w jakiejkolwiek formie go weźmiemy, jest pewnego rodzaju poligamią sukcesywną i jako taki krokiem wstecz, a nie naprzód, w pochodzie cywilizacyi. Jego fatalne skutki nie dadzą długo na siebie czekać, jak to zresztą było w czasie Rewolucyi. Autor żywi nadzieję, że

ten stan umysłów nie będzie trwały, nie utrzyma się na zawsze. Skoro złe strony wyjdą na jaw, skoro rozkład ujawni się w całej swej potędze, społeczeństwo kierowane tak samo jak jednostka, instynktem zachowawczym, zażąda energicznie zmiany. Należy ten moment uprzedzić i nagromadzić materyały, aby ówczesny prawodawca nie był zaskoczony z nienacka, lecz mógł się oprzeć na zebranych przykładach. Zadaniem powieściopisarzy i dramaturgów jest notować swoje spostrzeżenia, a takąż cegiełką ma być utwór Bourgeta. Problem bowiem posiada niezwykłą doniosłość, gdyż decyduje o losie ojca, matki i dzieci „trois facteurs primordiaux de tout groupement humain.“ Przepaść między tradycyjną Francyą a młodą Francyą rewolucyjną, powiększa się z dnia na dzień, lecz zwycięstwo pierwszej nie ulega wątpliwości.

Bracia Margueritte rozstrzygają tę sprawę w duchu wprost przeciwnym. Z zadowoleniem konstatują, że od chwili rozpoczęcia walki zrobiono poważny krok naprzód ku wyzwoleniu jednostki z więzienia i „piekła niedobranego małżeństwa.“ Szanując poglądy przeciwnika i nie wątpiąc o ich szczerości, dziwią się jednak, jak można wierzyć w tryumf starej Francyi nad nową, w tryumf przeszłości nad przyszłością; dziwią się również, że w swych dążeniach biegunowo-różnych wychodzą z tego samego założenia. I dla nich monogamia jest ideałem cywilizowanego społeczeństwa, a rodzina jego podstawą, dla nich również: ojciec, matka i dzieci stanowią, w myśl formuły Bourgeta, „trzy pierworzędne czynniki każdej grupy ludzkiej.“ Jeżeli jednak jedna z tych istot jest znieważona w swych najistotniejszych prawach, tak że wspólne pożycie stało się niemożliwe, czyż to słuszne lub użyteczne, aby ofiara cierpiała bez końca, poświęciła się na zawsze? Dla kogo i w imię czego? Dla dobra społecznego? Ależ społeczeństwo nie ponosi żadnej szkody; rozwód nie zagraża w niczem zgodnym małżeństwom, a co się tyczy złych, jakiż pożytek dla społeczeństwa, aby je związać nierozerwalnemi więzami. Interes dzieci? Dla ich dobra właśnie należy zezwolić na rozwód, aby nie miały przed oczyma złego przykładu, nieustannych waśni i kłótni, i umieszczone między złą matką lub wyrodnym ojcem nie nauczyły się nienawidzieć jednego albo pogardzać drugą.

Powyższe zapatrywania oraz treściwy pogląd na obecny stan kwestyi rozwodowej, znajdziemy w książce, ogłoszonej temu kilka miesięcy p. t. „Kilka idej.“ [1]) Zawiera ona również wiele przy-

[1]) Paul et Victor Margueritte: Quelques idées. Paris. 1905. (Plon) str. 355.

czynków, rzucających ciekawe światło na stosunki między Francyą a Niemcami, na kwestyę Alzacyi i Lotaryngii i t. p., lecz to wychodzi po za obręb naszego studyum. Ogółem: książka bardzo użyteczna dla tych, którzy zajmują się dzisiejszym ruchem społecznym we Francyi.

Bracia Margueritte nie zadowolnili się książką teoretyczną, która zwykle ma niewiele czytelników; na romans Bourgeta należało odpowiedzieć dziełem przemawiającem wprost do wyobraźni i do uczuć, a nie do rozumu tylko, dziełem, któreby pod szatą dramatu narzucało tłumom te nowe idee. Takim utworem patetycznym jest „Serce i prawo,“[1]) a jego powodzenie na deskach teatralnych nadspodziewanie wielkie, skłoni przeciwników do spróbowania tego samego środka. W ten sposób scena przemienia się w trybunę parlamentarną, albo salę sądową, tracąc powoli swój charakter właściwy: świątyni sztuki. Czy to ewolucya teatru, czy jego upadek? Przyszłość nam okaże, który z dwóch rodzajów weźmie górę. Na razie oba mają wybitnych przedstawicieli.

*

* *

Wyłożyłem powyżej zapatrywania Bourgeta. Nie będzie może od rzeczy w tem miejscu omówić także jego najnowszy romans, zatytułowany „Dwie siostry“[2]) oraz kilka nowel zamieszczonych w tym samym tomie p. t. zbiorowym „Serce a zawód.“ Zwykłe wady metody powieściopisarskiej autora: „Wrażeń z za morza“ nie zanikły jeszcze w tej książce; a więc przeładowanie akcyi drobiazgowymi opisami, analiza doprowadzona do krańcowości, interesująca nie tyle przeciętnych czytelników, ile słuchaczy kursu psycho-fizyologicznego. Do wad zaliczyłbym również potęgujący się od kilku lat element dydaktyczny i moralizatorski, który nie wypływa z akcyi, ale ujawnia się w refleksyach autora, w ustępach czysto podmiotowych. Niekiedy Bourget przywiązuje szczególną wagę do jakiegoś drobnego wypadku i opisuje go

[1]) „Le coeur et la loi.“ Paris 1905 (le Grand Illustré théatral). Jest to udramatyzowana fabuła powieści „Les Deux Vies.“

[2]) Les deux soeurs. Le coeur et le métier. Paris. 1905 (Plon-Nourrit), str. 366.

w tak uroczystym nastroju, iż zdaje nam się, że przemawia nadworny mistrz ceremonii; inną razą przybiera ton doświadczonego pedagoga, który z głębokiem przekonaniem wykłada uczniom nieomylność tej lub owej teoryi psychologicznej.

Pani Liébaut, jedna z bohaterek powieści, kobieta w kwiecie wieku, odprowadza swoją siostrę na dworzec kolejowy. Obie są podobne do siebie, jak dwie krople wody; należy to zachować w pamięci, bo na tem oprze się intryga. Z ich rozmowy dowiadujemy się, że starsza, poślubiwszy hrabiego Méris, wiodła życie nieszczęśliwe, że zniechęcona i zgryźliwa nie myśli powtórnie wejść w śluby małżeńskie. Natomiast młodsza, zadowolona ze swego losu, stara się wszelkiemi siłami odwieść siostrę od tego postanowienia. W chwili gdy pociąg ma odjechać i obie kobiety po raz ostatni się żegnają, nadbiega młody oficer, na którego twarzy malowało się znużenie przebytych trudów. Na widok nieznajomych staje jak wryty. Zauważyła to pani Liébaut i usnuła na prędce plan doprawdy romantyczny, aby wyswatać siostrę za naszego bohatera. Na drugi dzień przyjaciel domu przyprowadza młodego człowieka — rzecz dzieje się w miejscowości kąpielowej, stąd łatwość zawiązania stosunków towarzyskich — i przedstawia go, jako uczestnika wyprawy Fachody do Egyptu: Quand un jeune homme et une jeune femme qui gardent, entre eux deux, sans se connaître encore, le petit mystère d'un secret, même le plus innocent, sont confrontés de la sorte et avec aussi peu de préparation, les premiers mots prononcés par l'un et par l'autre revêtent une signification décisive. La voix, la simple voix de quelqu'un dont on a remarqué la physionomie accroît ou détruit d'un coup un intérêt naissant. Un geste y suffit, une attitude, trop ou trop peu d'aisance. Que Brisonnet eût eu seulement une allure ou très assurée ou très empruntée, qu'il eût émis d'un timbre déplaisant quelque phrase ou prétentieuse ou banale, et le fragile échafaudage de l'édifice sentimental construit en imagination par la cadette pour y abriter le futur bonheur de son aînée s'écroulait (str. 49). Domyślamy się, jaki jest plan pani Liébaut: rozkochać oficera w sobie, a potem podstawić swoją siostrę. Naiwność zdumiewająca! To też łatwo przewidzieć, obrót tej intrygi. Brissonet pokocha Magdalenę, a gdy w kilka tygodni potem pozna starszą o rok siostrę, serce jego nie będzie już wolne. W tem nie byłoby jeszcze nic nadzwyczajnego, ale niepewność nas ogarnia, gdy autor każe bohaterce żywić gorętsze niż powinna uczucia, dla przyszłego szwagra. Z dwojga jedno, albo pani Liébaut jest ową idealną kobietą, idealną żoną i matką, jaką autor przedstawia, lub

przedstawić usiłuje, albo jest lekkomyślną istotą. Ta niezgodność między fizyognomią duchową bohaterki a jej czynami, uderza nas nieraz i trąci wprost paradoksem, kiedy Bourget zapewnia, że Magdalena nie czytywała nigdy książek, bo intrygi romansowe wydawały jej się wobec chimerycznych marzeń własnej fantazyi — zimnymi, prozaicznymi pomysłami, a zarazem dodaje, że ta marzycielka nigdy nie próżnowała, zajmując się ręczną robótką np. sporządzaniem sukienki dla córki i t. p. Wspomnę zaś nawiasowo, na co również Bourget zwraca uwagę, że miała sto pięćdziesiąt tysięcy rocznej renty. Te drobne niekonsekwencye nie szkodzą oczywiście piękności utworu, który się czyta ze wzrastającym interesem, zwłaszcza patetyczny koniec.

Henryk Reinhold.

# Współczesne znaczenie
# OBSERWACYI ZAĆMIEŃ SŁOŃCA.

Zaćmienia słońca, podobnie jak zaćmienia księżyca, należą do zjawisk znanych od czasów najdawniejszych. Spotykamy o nich wzmianki w najstarszych kronikach i zabytkach piśmiennictwa. Wiadomo, że kolebką astronomii była Babilonia i Chaldea i że chaldejscy kapłani, którzy przez liczne wieki obserwowali pilnie bieg świateł niebieskich, na podstawie swych spostrzeżeń odkryli okres, w którym zaćmienia słońca lub księżyca się powtarzają. Okres ten, zwany „caros," obejmujący 18 lat i 11 dni, dawał im możność przepowiadania zaćmień na przyszłość. Tajemnica tych przepowiedni przeniosła się później do Egiptu, Grecyi i Rzymu i często była wyzyskiwaną w tym celu, aby w tłumach budzić uległość i poszanowanie dla stanu kapłańskiego.

Okres chaldejski pozwala wszakże przewidzieć tylko, że zjawisko wogóle zajdzie. Nie pozwala on na oznaczenie dokładnego czasu, ani miejsca zjawiska. Dokładna znajomość ruchów ziemi i księżyca pozwala dzisiaj z wszelką żądaną dokładnością obliczać zaćmienia na dowolny okres czasu naprzód i wstecz. Wielki „Kanon zaćmień" Oppolzera obejmuje wszystkie zaćmienia słońca od r. 1206 przed N. Chr. do r. 2163 naszej ery w liczbie 5200 wraz z przebiegiem pasa całkowitości na powierzchni ziemi. Wskutek tego wiadomości starożytne o zaćmieniach mają pierwszorzędne znaczenie w badaniach chronologicznych, gdyż epoki, w których w danem miejscu było widzialnem zaćmienie, dadzą się ściśle określić współczesnym rachunkiem. Szczególnie całkowite zaćmie-

nia słońca, które dla danego miejsca są zjawiskiem rzadkiem, określają epokę z zupełną dokładnością.

Ale i dla astronomii wzmianki owe posiadają znaczenie nie małe, ponieważ zastępują one poniekąd obserwacye dokładne położeń słońca i księżyca, których z tak odległych epok nie posiadamy. Na podstawie starożytnych zaćmień wywnioskowano o istnieniu t. zw. wiekowego przyspieszenia ruchu księżyca, które nie znajduje teoretycznego uzasadnienia w działaniu mas, wywierających wpływ na ruchy księżyca. Jeżeli przyjąć, że prawo Newtona jest ścisłe i niezmienne, to dla wyjaśnienia tego przyspieszenia pozostaje tylko jedna hypoteza, mianowicie, że owe przyspieszenie jest tylko pozorne, a rzeczywistą jego przyczyną jest powolne wzrastanie długości doby. Wiekowe przyspieszenie księżyca jest bardzo małe i dla wyjaśnienia jego wystarczy przyjąć przedłużenie doby o $^1/_{1000}$ sekundy na 100 lat. Zmniejszanie się szybkości obrotu ziemi, tłómaczy się działaniem słońca i księżyca na ziemię, które powoduje deformacyę jej kształtu, bezpośrednio dostępne dla obserwacyi w przypływach i odpływach oceanów.

Jako zjawiska niecodzienne i bardzo efektowne, a przytem dokładnie z góry przepowiadane, zaćmienia zawsze wzbudzały ciekawość powszechną, ale nie miały większego znaczenia dla nauki. Aż do połowy wieku XIX-go obserwacye astronomów ograniczały się do dokładnego określenia momentów początku i końca zaćmienia (kontaktów), a służyły one za materyał do ściślejszego wyznaczania pewnych stałych, występujących w teoryach ruchu słońca i księżyca, a więc do poprawki tablic astronomicznych. Później, gdy wydoskonalone zostały metody obliczania przebiegu zaćmienia słońca na powierzchni ziemi, obserwacye kontaktów zużytkowane były do wyznaczania długości geograficznej miejsc obserwacyi.

Takie obserwacye kontaktów i dzisiaj jeszcze bywają robione, a przy zaćmieniach częściowych właściwie nie wiele co więcej zrobić można. Znaczenie tych obserwacyj dzisiaj jest niewielkie, wobec tego, iż bezpośrednie obserwacye położeń słońca i księżyca są o wiele dokładniejsze, a i do wyznaczania długości istnieją dziś metody nader ścisłe; pomimo to pewnego pożytku tym obserwacyom odmówić nie można.

Astronomia dawniejsza uważała za główny cel swój badanie ruchów ciał niebieskich — kwestye astrofizyczne wobec braku metod badania mogły stanowić tylko temat spekulacyj filozoficznych. Pomimo to nie uszły uwagi baczniejszych spostrzegaczy niektóre zjawiska, występujące w czasie całkowitych zaćmień

słońca. Tak np. o koronie wspomina już Plutarch, a Kepler, opierając się na dostępnych mu opisach tego zjawiska, wywnioskował już, że korona ta powstaje przez odbicie promieni słonecznych w atmosferze, otaczającej słońce lub księżyc. Tak samo dokładny rozbiór dawnych opisów zaćmień słonecznych pozwala wnioskować, że nie uszły uwagi też wyskoki ogniste słońca czyli, t. zw. protuberancye, a dosyć szczegółowy opis tych utworów podał profesor szwedzki Vasseniusz, który obserwował całkowite zaćmienie słońca w dn. 2 maja 1733 r. w Goteborgu. Na szczegóły te jednakowoż nie zwracano uwagi, uważając je za podrzędne akcesorya. Dopiero wiek XIX umiał pojąć pierwszorzędne znaczenie właśnie tych „akcesoryów," jako klucza do zbadania budowy fizycznej słońca.

Astronomowie pierwszej połowy XIX wieku nic nie wiedzieli ani o koronie, ani o protuberancyach. Gdy więc w r. 1842 d. 8 czerwca liczni obserwatorowie obserwowali zaćmienie, którego pas całkowitości przebiegał przez południową i środkową Europę, wspaniała korona oraz dwa różowe wyskoki na brzegu czarnej tarczy księżyca obudziły powszechną sensacyę. Istota tych utworów była całkiem tajemniczą i przypuszczenia w tym względzie były podzielone. Jedni uważali je za zjawisko czysto optyczne, powstające skutkiem dyfrakcyi promieni słonecznych przy brzegu księżyca, inni nie odmawiali im charakteru materyalnego, ale nie wiedzieli, czy to są utwory słoneczne czy też księżycowe. Rozstrzygnięcie tych kwestyj miało znaczenie ważne, gdyż sprawa atmosfer słońca i księżyca już wówczas zajmowała badaczy, a co do ostatniej, to z obserwacyj partyi gwiazd przez księżyc wywnioskowano, że niema na księżycu atmosfery.

Ale kwestye te mogły być rozstrzygnięte dopiero w ciągu następnego zaćmienia. Oczekiwano więc go też niecierpliwie i już z gotowym programem. Następne więc zaćmienie z 28 lipca 1851 r., widzialne w północnej Europie, było pierwszem, które miało wyświetlić pewne kwestye z góry przewidzianym sposobem. Chodziło o stwierdzenie najpierw, czy korona i protuberancye są utworami materyalnemi czy też tylko zjawiskiem optycznem; w tym ostatnim wypadku z innych miejsc powinnyby się one przedstawiać rozmaicie. Dalej, jeżeli to są utwory materyalne, to czy są one trwałe i niezmienne, czy też ulegają zmianie z biegiem czasu; należało więc dokładnie zaobserwować kształt korony oraz położenie protuberancyj i porównać z obserwacyami z r. 1842. Wreszcie należało stwierdzić, czy to są utwory słoneczne, czy księżycowe, a więc zauważyć, czy posuwają się one wraz z księżycem,

czy też księżyc, przesuwając się po tarczy słonecznej, zakrywa je z jednej strony, a odkrywa z drugiej. W istocie wszystkie te kwestye udało się wyjaśnić. Korona i protuberancye wystąpiły i tym razem, ale co do kształtu korona różniła się znacznie od korony r. 1842, a protuberancye wystąpiły w całkiem innych miejscach; obserwacye, dokonane w różnych miejscach, wykazały dostateczną zgodność tak co do wyglądu korony i protuberancyj, jak i co do kwestyi, że księżyc przesuwa się względem protuberancyj i korony. Wynik spostrzeżeń więc był ten, że korona i protuberancye są utworami, należącemi do słońca, ale występującemi w zmiennej postaci.

W czasie tego zaćmienia zauważono nowy ważny szczegół. Mianowicie całą tarczę księżyca otaczał wązki różowawy pierścień a protuberancye przedstawiły się tylko, jako deformacye tego pierścienia. Tę cienką zewnętrzną warstwę słońca, widzialną tylko w czasie całkowitych zaćmień, nazwano chromosferą.

Aczkolwiek sprawa przynależności korony i protuberancyi do słońca była rozstrzygnięta, to przecież jeszcze znaleźli się przeciwnicy, którzy twierdzili, że w ciągu kilku minut trwania zaćmienia zbyt trudno jest stwierdzić stanowczo przesuwanie się księżyca po protuberancyach, i że spostrzeżenia tego rodzaju zbyt są zależne od wrażeń subjektywnych. Należało jeszcze dać całkiem objektywny dowód prawdziwości owych spostrzeżeń. W tym czasie rozpoczął się dość szybki rozwój fotografii, i nawet już podczas zaćmienia r. 1851 po raz pierwszy, acz bez uwagi godnego wyniku — starano się otrzymać zdjęcie dagerotypowe korony. Gdy 18 lipca 1860 r. znowu przypaść miało zaćmienie słońca, sztuka fotograficzna była już tak dalece udoskonalona, iż zamierzano wyzyskać ją na szerszą skalę w celu możliwie dokładnego uchwycenia wszystkich szczegółów zaćmienia. W tym celu dwaj tak wytrawni badacze, jak Secchi i Warren de la Rue, udali się do Hiszpanii, przez którą pas całkowitości przebiegał, i wraz ze swemi przyrządami zajęli stanowiska o 55 klm. od siebie odległe, z których zdjęli jednocześnie szereg fotografij zaćmionego słońca. Fotografie, jednocześnie dokonane, wykazały zupełną identyczność w postaci korony i protuberancyj, szereg zaś zdjęć, dokonanych w kolejnych momentach zaćmienia wykazał wyraźnie ruch księżyca po koronie i protuberancyach; w ten sposób niezbicie przynależność tych okresów do słońca stwierdzoną została.

Natura tych dodatków słonecznych była zupełnie nieznaną. Pierwsza narzucająca się myśl była ta, że korona jest to atmosfera słoneczna, a protuberancye — to chmury, tworzące się w tej

atmosferze. Co do protuberancyj, to nadzwyczaj szczupły materyał obserwacyjny nie pozwalał jeszcze na jakiekolwiek porównywanie ich z chmurami ziemskiemi; natomiast pomiędzy koroną słoneczną a atmosferą ziemską zauważono odrazu wybitne różnice. Pierwszą taką różnicę stanowiła rozległość korony, której odgałęzienia sięgały na olbrzymią rozległość — większą niż średnica słońca — od tarczy słonecznej. Dalej, rozkład jasności w koronie nie był takim, któryby wskazywał, że gęstość tej atmosfery wzrasta w warstwach bliższych powierzchni słońca. Wreszcie różne szczegóły skłaniały do wniosku, że światło korony nie jest tylko odbitem światłem słonecznem, gdy z drugiej strony obserwacye Prażmowskiego w czasie zaćmienia r. 1860 w Hiszpanii stwierdziły, że korona po części świeci odbitem światłem słonecznem.

Powstał, jak widzimy, cały szereg zagadnień, których rozwiązanie mogło być osiągnięte tylko przez obserwacye zaćmień słońca. A dziwnym zbiegiem okoliczności na ową epokę przypadają badania Bunsena i Kirchhoffa nad znaczeniem linij ciemnych, występujących w widmie słońca. Wynikiem tych badań było powstanie nadzwyczaj płodnej w wyniki metody badania—analizy widmowej. W czasie najbliższego zaćmienia słońca metoda ta miała być zastosowaną do zbadania natury protuberancyj słonecznych.

Pierwszy raz spektroskop został zastosowany do badania tych utworów w czasie zaćmienia dn. 18 sierpnia 1868 r., które przebiegało przez półwyspy południowej Azyi i trwało wyjątkowo długo, bo 5 m. 38 sek. Udało się tam kilka ekspedycyj angielskich i francuskich, którym kwestye natury protuberancyj powiodło się pomyślnie zbadać. Stwierdzono, że widmo protuberancyj składa się z kilku oddzielnych jasnych linij, z których z całą pewnością zdołano tylko poznać linie wodoru. Prócz tego zauważono jasną linię żółtą, w bliskości znanych linij sodu; ale wobec trudności dokładnego pomiaru nie można było stanowczo określić pochodzenia tej linii. Bądź co bądź wynik był nader ważny, dowiedziano się bowiem, że protuberancye są to utwory gazowe, w głównej mierze złożone z rozżarzonego wodoru. Co do linii żółtej, to dopiero późniejsze pomiary dokładne wykazały, że należy ona do pierwiastka, nieznanego na ziemi, który nazwano helium. Otrzymano też parę fotografij i rysunków korony, która wyglądem znacznie różniła się od korony r. 1860.

Jednym z najważniejszych wyników tego zaćmienia było spostrzeżenie Janssena, iż rozszerzając szczelinę spektroskopu, można otrzymać całkowite obrazy protuberancyj w świetle tej długości fali, którą posiadają oddzielne linie ich widma, i że jasność tych

obrazów jest tak wielką, iż można je widzieć nawet w zwykłym czasie. Dzięki temu spostrzeżeniu protuberancye przestały być zjawiskami ściśle zaćmieniowemi i stały się przedmiotem codziennych badań. To też wkrótce zdołano zebrać olbrzymi materyał obserwacyjny, który pozwala nam głębiej poznać przyrodę tych ciekawych utworów i związek ich z innymi szczegółami budowy fizycznej słońca.

To, co w r. 1868 zrobiono dla protuberancyj, należało teraz zrobić dla korony, t. j. dowiedzieć się, w jakim znajduje się stanie skupienia i z jakich pierwiastków się składa. Uczyniono to w czasie następnego zaćmienia, które zaszło w d. 7 sierpnia 1869 roku i widziane było w Ameryce Północnej oraz na oceanie Spokojnym. Zauważono, że widmo korony ma charakter podwójny: że jest to słabe widmo ciągłe, na którem występuje kilka jasnych linij. Wynikałoby stąd, że korona składa się z drobnych cząsteczek stałych, prawdopodobnie rozżarzonych, pogrążonych w warstwie rozżarzonych pasów. Najjaśniejszą z linij jasnych była linia, odpowiadająca w widmie słonecznem ciemnej linii, oznaczonej przez Kirchhoffa liczbą 1474 i należącej do żelaza. Wynik ten był nader nieoczekiwany. Wiadomo bowiem, że widmo żelaza zawiera parę tysięcy linij; jeżeli więc w istocie, w widmie korony z tych wszystkich linij występuje tylko jedna, to pory żelaza w koronie musiałyby się znajdować w jakimś stanie, o którym nie można było wytworzyć sobie należytego pojęcia. Dopiero później, gdy widmo korony udało się odfotografować i dokładnie wymierzyć położenie najjaśniejszej linii, przekonano się, że nie jest to linia żelaza, lecz bardzo blizka linia nieznanego pierwiastku, który nazwano „koronium.“

Jednocześnie z widmem protuberancyj i korony starano się zaobserwować widmo emisyjne t. zw. warstwy odwracającej, t. j. tej warstwy, w której znajdują się pierwiastki, powodujące powstanie ciemnych linij fraunhoferowskich. Obserwacya taka udała się poraz pierwszy Yosengowi w czasie następnego zaćmienia 22 grudnia 1870 r. Widmo to zabłysło na sekundę i sprawiło wrażenie, iż wszystkie linie Fraunhofera odwróciły się, t. j. stały się jasnemi. Dokładne badanie widma warstwy odwracającej, które ma dla fizyki słońca olbrzymie znaczenie, stało się możliwe dopiero wówczas, kiedy zdołano otrzymać fotografię tego widma. Udało się to po raz pierwszy Schaeberlemu na Nowej Ziemi w czasie zaćmienia dn. 8 sierpnia 1896 r., a od tego czasu otrzymano liczne zdjęcia, które służą za podstawę badań nad uwarstwowaniem pierwiastków w atmosferze słońca.

Gdybyśmy tak, idąc dalej, kolejno brali pod uwagę wszystkie zaćmienia słońca aż do czasów ostatnich, zawsze możnaby przytoczyć pewne kwestye, dla których zbadania głównie miało być dane zaćmienie wyzyskanem. W tym celu przed zaćmieniem były opracowywane metody obserwacyi i odpowiednie środki instrumentalne przygotowywane. Zazwyczaj też otrzymywano doniosłe przyczynki do rozwiązania postawionych zagadnień, ale też z drugiej strony otrzymywano wyniki nieoczekiwane, które zagadnienie wikłały, albo też powoływały do życia inne kwestye, dotąd nie brane pod uwagę. Kwestye te, oczywiście, stoją w najściślejszym związku z budową fizyczną słońca, której badanie systematyczne dotyczy tylko tych zjawisk, do których obserwacyi zaćmienie słońca nie jest potrzebnem. Ale ponieważ ogólny rozwój naszych pojęć o budowie słońca wymaga współrzędnego traktowania wszystkich zjawisk słonecznych, a więc i zjawisk tylko w czasie zaćmień dostrzegalnych, więc rozwój ten nie jest ciągły, lecz odbywa się skokami, a podskoki owe przypadają na epoki zaćmień słońca. W tych krótkich chwilach, które w sumie od czasu poznania ich doniosłości, nie wiele więcej niż jedną godzinę wynoszą, powstał olbrzymi materyał obserwacyjny, który we wszystkich teoryach budowy słońca szczegółowo uwzględniony być musi — na równi ze wszystkiemi systematycznemi spostrzeżeniami normalnego czasu.

Olbrzymie znaczenie posiadały zaćmienia słońca, dając impuls do powstawania i doskonalenia się metod obserwacyi, pomimo licznych niepowodzeń i zawodów. Więc przedewszystkiem dosyć szybko wydoskonalone zostały metody fotograficzne w zastosowaniu do zaćmień. Wspaniałe fotograficzne obrazy korony otrzymano jeszcze w latach 1871 i 1878, a otrzymane w r. 1882 były już tak doskonałe, iż na tem polu nie wiele więcej już później osiągnąć się dało. Później tylko jeszcze osiągnięto tyle, że otrzymano obrazy korony w coraz większych rozmiarach, a więc z liczniejszemi szczegółami, oraz fotografię korony zewnętrznej, sięgającą niekiedy bardzo daleko, przez zastosowanie długiej (kilkominutowej) ekspozycyi. Z obrazów, w ten sposób otrzymanych, wywnioskowano wkrótce, iż postać korony zmienia się peryodycznie w okresie 11-letnim i że epokom minimum i maximum plam słonecznych odpowiadają zawsze określone typy korony. Obecnie dla każdego zaćmienia można ogólny kształt korony z góry przewidzieć.

Z większemi trudnościami połączone było fotografowanie widma korony z powodu jego małego natężenia świetlnego. Do-

piero w r. 1882 otrzymano po raz pierwszy widmo korony za pomocą spektroskopu ze szczeliną; znaleziono w tem widmie około 30 linij jasnych, z których najwybitniejszą jest linia 1474. Później przekonano się, że natężenie tej linii zmienia się wraz z kształtem korony; zmienia się również ciągły podkład widma: jest on najsilniejszy w epokach minimum plam słonecznych, linia zaś koronium jest wówczas najsłabszą; stosunek odwrotny zachodzi w epokach maximum. W r. 1882 zaszedł ciekawy fakt odfotografowania komety, która w czasie zaćmienia znajdowała się wewnątrz korony słonecznej. Kometę tę obserwowano też później i stwierdzono, że droga komety, skutkiem przejścia przez koronę, nie wykazała śladu zaburzeń. W ten sposób znalazło silne poparcie przypuszczenie, że korona składa się z substancyi nadzwyczaj rzadkiej której opór, nawet przy tak olbrzymiej szybkości, jaką kometa posiada w bezpośredniem sąsiedztwie słońca, jest minimalny. Jak już wspomnieliśmy, widmo warstwy odwracającej odfotografowano dopiero w r. 1896 przy zastosowaniu pryzmatu samego, umieszczonego przed objektywą lunety, a szczelinę spektroskopu zastąpił sam wąziutki snop słońca w chwili, poprzedzającej moment całkowitości.

Jedno z ważniejszych zadań w czasie całkowitych zaćmień słonecznych stanowiło też poszukiwanie planety intermerkuryalnej od czasu, kiedy o istnieniu jej wywnioskował Leverrier na podstawie pewnych zaburzeń ruchu Wenery. Poszukiwania te miały swój punkt kulminacyjny w czasie zaćmienia r. 1878, i zdawało się, że zostały one uwieńczone pomyślnym skutkiem, gdyż widziało ową planetę niezależnie od siebie kilku astronomów. Ale od tego czasu nikt jej odszukać nie był w stanie, tak, że zwątpiono prawie o jej istnieniu, kładąc obserwacye r. 1878 na karb jakiegoś nieporozumienia. Pomimo to sprawa planety intermerkuryalnej dotąd stanowi stały punkt programu obserwacyj w czasie zaćmienia.

W tym krótkim przeglądzie chodziło nam tylko o to, aby dać pojęcie o najważniejszych zadaniach obserwacyi zaćmień. Poza tem spostrzeżenia te dotyczą najrozmaitszych przedmiotów z dziedziny fizyki kosmicznej, których samo wyliczenie zajęłoby zbyt wiele miejsca.

Przechodząc do epoki dzisiejszej, zaznaczamy, że najważniejszemi zagadnieniami astronomii zaćmień i dziś pozostały te, które dotyczą zjawisk ściśle zaćmieniowych, t. j. tych, które tylko w czasie zaćmień badane być mogą. Są niemi przedewszystkiem korona słoneczna i warstwa odwracająca.

Co do korony, to stwierdzono jej materyalność, i poniekąd jej skład chemiczny, ale istota zjawiska, stosunek jego do słońca i związek z innemi zjawiskami słonecznemi—pozostały niewyjaśnione. Wszyscy się zgadzają na to, że nadzwyczajna jej rzadkość, jej rozmiary, zmienny kształt i dziwna budowa promienista, nie pozwalają uważać jej za atmosferę słońca w znaczeniu pospolitem t. j. za powłokę gazów, której warstwy wyższe wywierają ciśnienie na warstwy niżej położone, skutkiem czego gęstość ku dołowi szybko wzrastać musi i wiruje wraz ze słońcem. Ten drugi punkt nie został jeszcze należycie zbadany, t. j. nie zdołano jeszcze z całą ścisłością stwierdzić, że korona nie bierze udziału w ruchu wirowym słońca.

Co do kształtu korony, to stwierdzono, że zmienia on się nieustannie, przyczem zmiany są w związku z ilością plam na słońcu; wynika stąd, że przyczyna zmian korony leży w warunkach fizycznych słońca, a nie zewnątrz słońca. Ale nie udało się stwierdzić dotychczas, czy oprócz owych zmian powolnych w okresie 11 letnim, nie zachodzą też jakieś zmiany szybkie, świadczące, iż korona nawet w tak krótkim czasie trwania zaćmienia, nie znajduje się w stanie równowagi. A jeżeli materya korony jest ruchomą, to w jakim kierunku i pod działaniem jakich sił ruch się odbywa. Jest to pytanie nader ważne, szczególnie ze względu na dzisiejsze poglądy na ciśnienie, wywierane przez promienie światła; ponieważ istnienie takiego ciśnienia jest stwierdzone, więc jest rzeczą prawdopodobną, iż korona słoneczna składa sie z drobnych cząsteczek materyi słońca, wyrzucanych w przestrzeń przez promieniowanie słońca.

Trzecie zagadnienie, dotyczące korony, jest może dla postępu wiedzy najważniejsze. Od chwili, gdy zastosowanie szerokiej szczeliny przy spektroskopie pozwoliło na obserwacyę protuberancyj w każdej chwili, powstały też dążenia wynalezienia sposobu, któryby umożliwił badanie korony w każdym czasie — nietylko podczas całkowitych zaćmień. Wszystkie jednakowoż próby i usiłowania, zmierzające do tego celu, dotychczas nie przyniosły pożądanego wyniku. Zdaje się wszakże, iż obecnie znajdujemy się w przededniu tego odkrycia. Chodzi mianowicie o wykrycie w świetle korony takich przemian, które miałyby natężenie silniejsze, aniżeli światło odbite atmosfery. Są wskazówki, że istnieją takie promienie w części przedczerwonej widma korony słonecznej. Jeżeli takie promienie w istocie istnieją, to działając tymi tylko promieniami na odpowiednią kliszę fotograficzną, możnaby otrzymać fotografię korony w każdym czasie.

Drugi przedmiot, którego badanie tylko w czasie zaćmień jest możliwe, jest warstwa odwracająca. Wiadomo, z czego składa się ta warstwa — mówią nam o tem ciemne linie widma słonecznego. Wiadomo też, że warstwa ta jest bardzo cienka, bo zaledwie przez kilka sekund przed całkowitem zaćmieniem i przez tyleż po zaćmieniu widzialne jest jej widmo emisyjne, t. j. z jasnych prążków utworzone. Ale jest rzeczą nader ważną dowiedzieć się, czy pary pierwiastków, z których się ta warstwa składa, są pomieszane ze sobą w jakimś stosunku stałym, jak np. tlen i azot w atmosferze ziemskiej, czy też wysokości, do których sięgają różne pierwiastki, są różne, i czy jest jakiś związek pomiędzy temi wysokościami a własnościami pierwiastków. Gdyby np. stwierdzono, że w warstwie odwracającej, pierwiastki cięższe sięgają do mniejszych wysokości, aniżeli lekkie, to możnaby nieobecność pierwiastków o znaczniejszym ciężarze atomowym w atmosferze słonecznej, uważać tylko za pewną; pary tych pierwiastków bowiem, zajmując dolne warstwy atmosfery słońca, podlegałyby musiały tak wielkiemu ciśnieniu, iż dawałyby widmo ciągłe— a to, jak wiadomo, jest dla wszystkich ciał jednakowe.

W tych kwestyach rozstrzygającą odpowiedź dają fotografie widma brzegu słońca, ale widma, otrzymanego bez spektroskopu ze szczeliną, lecz wprost za pomocą pryzmatu, umieszczonego pod objektywą lunety, przyczem szczelinę zastępuje sam wąziutki sierp słońca, nie zakryty przez tarczę księżyca. Widmo warstwy odwracającej składa się wtedy nie z szeregu linij jasnych, lecz z szeregu takichże sierpów. Ale sierpy te mają długość rozmaitą: im wyżej ponad fotosferę sięgają pary jakiegoś pierwiastku, tem dłuższe są sierpy, odpowiadające owemu pierwiastkowi.

Ostatnie zaćmienia, począwszy od r. 1898, dostarczyły już do badań powyższych obfitego materyału obserwacyjnego, ale materyał nie jest dostateczny i metoda otrzymania spektrogramów warstwy odwracającej wymaga coraz większego udoskonalenia. Chodzi o to, aby otrzymywać coraz krótsze sierpy, a więc odkrywać warstwy coraz głębsze, przylegające do fotosfery bezpośrednio. Należy w tym celu fotografować widmo w chwili, gdy brzeg fotosfery i brzeg księżyca wzajemnie się pokrywają —a moment ten z góry z powodu nieznanej grubości warstwy odwracającej, określić się nie da; trzeba więc starać się utrafić na ten moment, zdejmując jaknajwiększą liczbę spektrogramów w jaknajkrótszych odstępach czasu.

Łączą się z temi badaniami niektóre zagadnienia natury czysto chemicznej. Tak, naprzykład, niektóre sierpy wodoru mają

długość rozmaitą, z czego możnaby wnioskować, że wodór, znajdujący się w warstwach wyższych, posiada widmo mniej złożone, aniżeli wodór warstw niższych, albo nawet, że wodór w atmosferze słonecznej nie zachowuje się, jako pierwiastek, lecz podlegać może rozkładowi na jakieś ciała prostsze. To samo dotyczy żelaza i niektórych innych pierwiastków. Do stanowczych twierdzeń materyał dotychczasowy jeszcze nie wystarcza.

Dalszą kwestyą pierwszorzędną dla poznania budowy wewnętrznej słońca jest zbadanie prawa ruchu wirowego słońca i wyjaśnienie związku owego prawa z innemi zjawiskami słonecznemi. Wiadomo, że okres obrotu słońca dokoła osi otrzymujemy rozmaity, zależnie od szerokości heliograficznej plam, na podstawie których okres ów określamy. Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że tarcie jednych warstw słońca o drugie powoduje, iż słońce nie wiruje jako bryła sztywna, t. j. we wszystkich swych punktach z jednakową szybkością kątową, lecz że warstwy zewnętrzne w swym ruchu wirowym pozostają po za wewnętrznemi. Niestety, w głąb bryły słonecznej nie mamy możności przeniknąć, granicę stanowi powierzchnia fotosfery, w warstwach zaś ponad fotosferą leżących różnice szybkości ruchu w różnych głębokościach nie mogą być wielkie. W każdym razie różnice długości fali linij pierwiastków, występujących w różnych głębokościach, dają możność wykrycia różnic szybkości. Są to przecież badania bardzo zawiłe ze względu na inne wpływy, mogące również powodować zmiany długości fali. Dodamy nawiasem, że badania te znajdują się w ścisłym związku z niewyjaśnionem dotychczas zjawiskiem nieciągłości, występującem na brzegu słońca, gdzie warstwa odwracająca i protuberancye, dające widmo liniowe, spotykają się bezpośrednio z jaskrawo świecącą fotosferą, dającą widmo ciągłe. Że zaś o gazowej naturze słońca z innych względów wątpliwości mieć nie można, więc należałoby sądzić, iż zmniejszanie się gęstości w miarę oddalania się od środka słońca powinnoby się odbywać stopniowo, bez tak jaskrawego skoku, jaki w istocie zachodzi. Starano się objaśnić tę sprzeczność, przyjmując, iż ta nieciągłość jest tylko optyczna, pomimo ciągłości materyalnej, a przyczyną jej jest refrakcya promieni, wychodzących z warstw o wiele głębszych.

Z innych ważniejszych kwestyj, które dotychczas wchodzą zawsze w program obserwacyj zaćmieniowych, wymienić należy poszukiwanie planety intermerkuryalnej. Poszukiwania te dzisiaj czynią się w ten sposób, iż za pomocą przyrządów krótkoogniskowych, obejmujących bardzo rozległe pole widzenia, przy mo-

żliwie jaknajdłuższej ekspozycyi, fotografuje się niebo w otoczeniu słońca. W czasie zaćmienia w r. 1902 otrzymano w ten sposób prawie wszystkie gwiazdy aż do 9-ej wielkości na przestrzeni około 200 stopni kwadratowych—ale pośród nich planety nie było. Teraz chodzi o to, aby objąć jeszcze większą część nieba i gwiazdy jeszcze mniejsze, 10-ej lub 11-ej wielkości. Dzisiaj da się tyle powiedzieć, że jeżeli intermerkuryalna planeta istnieje, to przedstawia się ona najwyżej, jako gwiazda 9-ej wielkości; ale tak drobne ciało nie wystarczałoby, aby miało powodować te zaburzenia, które działaniem jego starano się objaśnić. I jest rzeczą możliwą, że zamiast jednej znacznej planety, odkryje się cały rój drobnych planet, podobnych do owych planetek, które w tak wielkiej liczbie krążą między Marsem a Jowiszem.

Wszystkie wyżej przytoczone zagadnienia, oraz wiele jeszcze innych, które wymieniać szczegółowo, byłoby rzeczą zbyt trudną, stanowiły przedmiot badań także w czasie ostatniego całkowitego zaćmienia słońca, które zaszło w dniu 30 sierpnia 1905 r. Warunki obserwacyi tego zaćmienia były bardzo korzystne z rozmaitych powodów, tak że można było spodziewać się doniosłych wyników. Pewną okolicznością dodatnią było to, że pas całkowitego zaćmienia na lądzie w całości prawie przypadał w miejscach łatwo dostępnych i zaludnionych przez narody cywilizowane, gdzie badacze mieli zapewnione bezpieczeństwo, i z łatwością liczyć mogli na pomoc mieszkańców. Początek pasa całkowitości znajdował się w bliskości jeziora Winnipeg w Kanadzie, a strefa całkowitości biegła przez Kanadę, ocean Atlantycki, Hiszpanię, Baleary, morze Śródziemne, Algier, Tunis, Tripolis, Egipt, morze Czerwone, półwysep Arabski. Prawie środkowa część owego pasa znajdowała się w Europie, gdzie więc zaćmienie zaszło około południa, t. j. przy najwyższem położeniu słońca nad poziomem. Jest to okoliczność również nader ważna, gdyż w tej wysokości refrakcya i, co jeszcze ważniejsze, absorbcya atmosferyczna jest bardzo nieznaczna, skutkiem czego można było mieć uzasadnioną nadzieję, że dadzą się zaobserwować dalsze, niż przy niższem położeniu słońca, części korony oraz drobniejsze gwiazdy. Dalej zaćmienie trwało dosyć długo, i znowu najdłuższy czas trwania wypadł w Europie, dosięgając w Hiszpanii 3 min. 45 sek. A wreszcie letnia pora roku zdawała się gwarantować na stacyach europejskich i afrykańskich piękną pogodę, która jest najpierwszym koniecznym warunkiem udania się obserwacyi.

Wszystkie wymienione względy miały ten skutek, iż wyjątkowo wielka liczba astronomów wzięła udział w obserwacyi osta-

tniego zaćmienia. Prawie wszystkie narody cywilizowane miały tam swoich przedstawicieli, liczne ekspedycye zbiorowe, wzorowo zorganizowane, wyposażone w doskonałe przyrządy, zostały wysłane przez rządy i ciała naukowe. Tak np. Stany Zjednoczone i Francya miały po 6 ekspedycyj, Anglia 4, Niemcy, Rosya, Włochy po 3 i t. d. Naturalnie, co do rozmiarów i wyposażeń różne ekspedycye różniły się bardzo. Jedną z największych była niewątpliwie angielska ekspedycya Lockyera, która usadowiła się w mieście Palma na wyspie Majorce. Składała się ona z dziewięciu astronomów fachowych, specyalny okręt Wenus przeznaczony został do transportu przyrządów, a około 150 osób załogi, z oficerami na czele, brało udział w instalacyi i montowaniu przyrządów oraz miało wykonywać różne czynności pomocnicze w czasie zaćmienia. Dodamy tu zaraz, że wyniki tej ekspedycyi bynajmniej nie dorównały oczekiwaniu, a to z powodu chmur, które prawie całkowicie udaremniły obserwacyę. Prócz ekspedycyj zbiorowych tysiące amatorów astronomii lub też zwykłych turystów na własną rękę podążyło ku strefie zaćmienia i zajęło pozycye wzdłuż całego prawie pasa całkowitości, aby przyjrzeć się niezwykłemu zjawisku. A nie ulega kwestyi, że nawet spostrzeżenia laików mogą posiadać ważne znaczenie naukowe, wobec tego, że astronomowie, biorący udział w obserwacyi, zmuszeni są skupić swoją uwagę w pewnym określonym kierunku, czy to z powodu wyznaczenia im pewnych czynności przez zwierzchnika, czy to ze względu na przedmiot, który sobie za cel badania obrali. Znam astronoma, który brał udział w trzech ekspedycyach zaćmieniowych, a nie miał czasu nawet pobieżnie rzucić okiem na zaćmione słońce, gdyż uwaga jego była skoncentrowana na dokładne wykonanie całego szeregu mechanicznych czynności przy narzędziach.

Co do wymienionych wyżej zagadnień głównych, przytoczymy niektóre szczegóły, dotyczące metod, zastosowanych w czasie ostatniego zaćmienia. Pierwsza, oparta na zasadzie Dopplera, według której linie widma zmieniają długość fali, jeżeli źródło światła posiada ruch w promieniu widzenia, polega na tem, że obierając 2 dyametralnie przeciwległe punkty korony, przypadające w bliskości równika słonecznego, fotografuje się te widma na tej samej kliszy jednocześnie. Gdyby ruchu wirowego nie było, to oba widma wzajemnieby się nakrywały, gdy zaś ruch wirowy istnieje, to punkty po jednej stronie słońca zbliżają się ku nam, punkty zaś strony przeciwległej się oddalają; wskutek tego linie pierwszego widma przesunięte są ku stronie niebieskiej, drugiego — ku stronie czerwonej. Otrzymać się więc powinno widmo z po-

dwójnemi liniami, a odstęp między liniami określa szybkość ruchu wirowego. Tę metodę badania zastosowało kilka ekspedycyj. Druga metoda wymaga współdziałania obserwatorów, umieszczonych w jaknajwiększej odległości od siebie; zastosowaną ona była przez dwie ekspedycye amerykańskie, z których jedna ulokowała się w Kanadzie, druga w Egipcie. Całkowite zaćmienie dla drugiego z tych punktów obserwacyi rozpoczęło się o 2½ godziny później aniżeli dla pierwszego, w tym czasie słońce obróciło się dokoła swej osi o 1½ stopnia. Jeżeli więc i korona o ten kąt się obróciła, to obrazy jej otrzymane na obu stacyach powinnyby wykazać pewną różnicę, zależnie od tej zmiany fazy. Do wykazywania tak drobnych różnic, nie dostrzegalnych dla gołego oka, służy niedawno wynaleziony przyrząd, stereokomparator, na którego zastosowaniu właśnie powyższa metoda jest oparta.

W związku z powyższem dodamy, że stereokomparator miał też być zastosowany do wyszukania planety intermerkuryalnej. Dwa zdjęcia nieba w okolicy zaćmionego słońca, dokonane na odległych od siebie stacyach, jeżeli na nich znajduje się planeta, różnić się muszą tem, że planeta, jako punkt ruchomy, będzie miała na obu nieco odmienne położenie. Przypuśćmy, że na obu płytach występują gwiazdy jeszcze 11-ej wielkości, i że planeta też posiada tę wielkość, to wyszukanie planety pośród kilkunastu tysięcy punktów, jedynie na podstawie drobnej różnicy pozycyi, tylko przez zastosowanie stereokomparatora może być osiągniętem.

Badanie zmian kształtu korony opiera się na rysunkach i fotografiach korony. Po stwierdzeniu peryodycznych zmian tego kształtu w okresie 11-letnim, dziś głównie chodzi jeszcze o stwierdzenie ciągłości tych zmian i dokładne przedstawienie kolejnych faz. Dlatego coraz nowe fotografie i rysunki zawsze są pożądane. Obecnie bardziej szczegółowym badaniom poddano t. z. koronę zewnętrzną, której krańce rozszerzają się coraz bardziej, w miarę, im odpowiedniejszych do tego celu używa się lunet. Stosuje się w tym celu krótko ogniskowe lunety o rozległem polu widzenia, mogącem pomieścić całą koronę zewnętrzną, oraz jaknajdłużej wystawia się płytę fotograficzną na działanie światła korony. Przy takich zdjęciach części wewnętrzne korony są przeeksponowane, natomiast szczegóły korony zewnętrznej występują bardzo wyraźnie. Taką lunetę przywiozła ze sobą ekspedycya rosyjska z Pułkowa, która obserwowała zaćmienie ostatnie w Alcoesbre, nad morzem Śródziemnem, w Hiszpanii. Wreszcie dla badania wyżej wspomnianych zmian drobnych a szybkich, które zachodziły w czasie trwania całkowitości, robi się możliwie jaknajwięcej zdjęć w jak

najkrótszych odstępach czasu, a później oddzielne obrazy szczegółowo się porównywa. Te zmiany prawdopodobnie z czasem doprowadzą do poznania sił, którym korona zawdzięcza swoje istnienie. W celu otrzymania jaknajwiększej liczby zdjęć, istnieją specyalnie urządzone „koronografy," za pomocą których otrzymuje się nieprzerwany szereg zdjęć korony w czasie całego trwania całkowitości. Szereg obrazów takich można rozciągnąć na całe godziny, umieszczając koronografy w jaknajwiększej liczbie punktów strefy całkowitości, w których zaćmienie rozpoczyna się i kończy coraz później.

Starania w kierunku umożliwienia badań korony w każdej porze, mają już swoją długą historyę. Zawodnym okazał się sposób, stosowany przy protuberancyach, nie doprowadziły do skutku wycieczki na szczyty gór wysokich oraz wzloty balonami, mające na celu usunąć absorbcyę światła oraz zmniejszyć decydujące tu natężenie odbitego światła atmosfery etc. W celu wyszukania tych promieni światła korony, których natężenie jest największe, fotografuje się w czasie zaćmień koronę przez różnokolorowe filtry. Analizę taką światła korony, miała, jako jedno ze swych zadań, między innemi ekspedycya francuska, pod przewodnictwem Deslandres'a, która usadowiła się w mieście Burgos.

W jaki sposób odbywają się badania warstwy odwracającej co do składu, wyjaśnione zostało już wyżej; co do ruchu wirowego warstw zwrotnych słońca, to podstawą badania jest i tu, jak i przy ruchu wirowym korony, zasada Dopplera.

Te zasady ogólne, na których poszczególne poszukiwania się opierają, nie dają oczywiście nawet przybliżonego pojęcia o rozmaitości metod badania. W tym kierunku inicyatywa uczonych przynosi coraz coś nowego — i postęp jest zadziwiający.

Często dana ekspedycya ma za cel główny wypróbowanie tylko jakiejś nowej, a wróżącej pomyślny wynik, metody i rzadko tylko się zdarza, aby już od pierwszego razu rezultaty były dobre; dopiero doświadczenie daje poznać braki metody, którą tu stosownie się udoskonala. Rozmaitość metod i przyrządów, które na najrozmaitszych drogach prowadzą do jednakowego celu i jednakowych wyników, jest największą gwarancyą słuszności tych ostatnich; z drugiej strony, wyniki zgodne są najlepszym probierzem wartości stosowanych metod.

Oprócz zagadnień pierwszorzędnej doniosłości, których szereg wymieniłem wyżej, każde zaćmienie nastręcza wiele innych, może mniej efektownych, ale często również bardzo ważnych. Do takich należą np. obserwacye fotometryczne, polarymetryczne,

baro- i termometryczne, badania nad zmianami magnetyzmu i elektryczności ziemskiej etc. Badania takie, nie wymagające wielkich lunet, stanowią wdzięczne pole dla pracowników niewyposażonych w zbyt wielkie środki, aczkolwiek też wchodzą w program wielu ekspedycyj liczniejszych.

Fotometrya zaćmień ważna jest z wielu względów. Gdy słońce stopniowo ukrywa się po za tarczą księżyca, coraz mniejsza ilość światła dochodzi do naszego oka, coraz bardziej maleje natężenie światła, dochodzącego od przedmiotów, świecących odbitem światłem słonecznem. Zmniejszenie światła nie odbywa się równomiernie z powiększaniem się zakrytej części tarczy słońca, lecz zależy też od prawa promieniowania słońca. Słońce, jak wiadomo, nie jest tarczą, ale kulą, a więc promienie, wychodzące z różnych punktów tarczy słonecznej, tworzą różne kąty z normalnemi do powierzchni słońca w tych punktach: promienie ze środka tarczy są do powierzchni słońca normalne, promienie z brzegów tarczy są do tej powierzchni styczne. Obok tego absorbcya światła w atmosferze słońca wzrasta wraz z kątem, który promienie tworzą z normalną, czyli, że absorbcya wzrasta na tarczy słonecznej w kierunku od środka do brzegów tarczy. Z obu tych powodów najsilniej świeci środkowa część tarczy słonecznej. W czasie zaćmienia nie dostrzega się prawie zmiany oświetlenia, dopóki mniej niż połowa tarczy jest zakryta, od chwili zaś, gdy już połowa została zakryta, ciemność wzrasta z szybkością znacznie większą. Dotychczas niema dokładnych metod, pozwalających otrzymać krzywą zmian jasności dla całego przebiegu zaćmienia, która byłaby wyrazem wszystkich skomplikowanych czynników, wchodzących tutaj w grę. Na krótko przed początkiem całkowitości występuje inne ciekawe zjawisko: na przedmiotach kładą się smugi cieniów, poprzedzielane jaśniejszemi pasami, które przesuwają się w określonym kierunku i sprawiają wrażenie poruszających się fal. Krzywa więc fotometryczna oświetlenia jakiegoś przedmiotu podlega w tym czasie drobnym, krótkotrwałym zaburzeniom, które charakteryzują to nowe zjawisko, nie wyjaśnione dotychczas należycie. Wreszcie całe słońce zostaje zakrytem — ale bynajmniej nie nastaje noc zupełna. Na miejscu słońca występuje czarna tarcza księżyca, okolona jasną koroną, dokoła tarczy odrzyna się jasny pas chromosfery, a w niektórych miejscach występują protuberancye. Korona, chromosfera i protuberancye zastępują teraz światło słoneczne. Określić ilość światła, od tych części słońca do nas dochodzącą, jest dalszem zagadnieniem fotometryi zaćmienia. Jest to niewątpliwie ilość zmienna, dla każde-

go zaćmienia inna—i tylko dokładny jej pomiar daje możność wykrycia związku tych zmian z innemi zjawiskami słonecznemi. Po upływie krótkiego czasu całkowitości, w którym krzywa fotometryczna wykazuje minimum, pojawiają się znowu owe smugi ruchome, poczem jasność wzrasta statecznie aż do końca zaćmienia w ogóle.

Zatrzymałem się nieco dłużej nad fotometryą zaćmień, gdyż była ona głównym celem mojej podróży do Hiszpanii na ostatnie zaćmienie. Specyalną uwagę postanowiłem poświęcić owym smugom ruchomym ze względu na niewyjaśnione źródło zjawiska i liczne sprzeczności, które w jego opisach się spotyka, świadczące o różnorodności subjektywnego wrażenia. Chodziło mi o uzyskanie zupełnie objektywnego obrazu zjawiska za pośrednictwem kliszy fotograficznej. W tym celu zaopatrzyłem zwykły aparat fotograficzny błonkowy w przegródkę ze szczeliną wązką, tak że przy objektywie otwartym tylko odpowiednio wązki pasek kliszy wystawiony był na działanie światła. Wałek, na który nawija się klisza błonkowa, połączyłem z mechanizmem zegarowym, który nadawał mu jednostajny ruch dokoła osi. Dzięki temu klisza, nawijając się na wałek, przesuwała się pod szczeliną i coraz nowy jej pasek był naświetlany. Przyrząd był nastawiony na biały ekran, którego oświetlenie ulegało w czasie zaćmienia nieustannej zmianie, a więc i działanie na kliszę w różnych momentach było różne. W ten sposób przy poruszającym kliszę mechanizmie spodziewałem się otrzymać obraz o coraz zmniejszającem się natężeniu, aż do chwili całkowitości, a po jej skończeniu o natężeniu wzrastającem. Pomiar natężenia różnych części obrazu dałby możność wyprowadzenia krzywej zmian oświetlenia ekranu. Ale i owe smugi ruchome, przebiegające przez ekran, powinnyby na obrazie wystąpić, jeżeli tylko ruch ich nie jest zbyt szybki, szerokość nie za mała i różnice natężenia smug ciemnych i jasnych dosyć znaczne.

Po za tem głównem zadaniem chodziło mi o możliwie dokładne zaobserwowanie jaknajwiększej liczby szczegółów całego zaćmienia, co mogłem czynić z zupełną swobodą, gdyż kontrola przyrządu nie wymagała zbytniego natężenia uwagi. Chciałem obserwacyę tego zaćmienia traktować raczej, jako ćwiczenie, gdyż niezwykłe warunki, w których obserwacya się odbywa, podniecenie nerwowe, oraz niepewność tego, co nastąpi, szczególnie gdy zaćmienie obserwuje się poraz pierwszy, odbierają zaufanie we własne siły. Trzeba już mieć pewną praktykę zaćmieniową, być już do pewnego stopnia otrzaskanym z tem zjawiskiem, aby wyzyskać należycie drogocenne chwile trwania całkowitości. I w isto-

cie, później się okazało, iż o wielu szczegółach obserwacyi zapomniało się zupełnie, a niektórych okoliczności się nie przewidziało, co znowu czyniło zaobserwowanie niektórych szczegółów niemożliwem.

Jako miejsce obserwacyi obrałem wieś Alcoesbre, położoną na brzegu morza Śródziemnego, na samej linii centralnego zaćmienia. W tejże miejscowości obrały sobie stanowisko francuska ekspedycya Janssena, dyrektora obserwatoryum astrofizycznego w Meudon, ekspedycya rosyjska z Pułkowa pod kierunkiem Hańskiego, oraz hiszpańska Landerera. Nie mając wielkich instrumentów, mogłem zająć stanowisko nader korzystne na wierzchołku wzgórza San Bendito, wysokości 400 metrów, skąd obejmowałem wzrokiem bardzo rozległy widnokrąg, sięgający daleko poza wysepki Kolumbrety, odległe o 2 mile przeszło od brzegu morskiego. Chodziło mi głównie o to, aby módz z jaknajwiększej odległości dostrzedz brzeg cienia księżyca i ewentualnie zaznaczyć momenty jego zbliżenia się do pewnych wybitnie odznaczających się punktów na widnokręgu. W tym celu z wierzchołka góry wykonałem szkic fotograficzny całej okolicy.

O godzinie 11-ej rano 30 sierpnia wszystko było przygotowane do obserwacyi. Silny wiatr wieje od morza z południowego wschodu, na niebie widać w wielu miejscach wielkie chmury kłębiaste, które chwilami pokrywają słońce. O godz. 11 min. 41 dostrzegam pierwszy ciemny ślad na brzegu słońca i powoli księżyc coraz bardziej nasuwa się na słońce. Widać to tylko, gdy się patrzy na słońce przez ciemne okulary; bez okularów słońce wydaje się całkiem okrągłem jeszcze i wtedy, gdy blisko $^2/_3$ tarczy jego pokrywa księżyc; naturalnie okiem nieuzbrojonem spojrzeć można na słońce tylko na krótką chwilę. Dopiero o godz. 12 m. 26 można było zauważyć pewną różnicę w natężeniu oświetlenia słonecznego; zakrytą była wtedy przeszło połowa tarczy słońca. Od tej chwili ściemniać poczęło się szybciej, niebo powoli przyjmowało odcień zielonawy, przedmioty odległe otaczały się mgłą fiołkową. Dokoła słońca przez ciemne okulary z pomocą znakomitego binokla (tryedra) Zeissa nie widać żadnych śladów korony, niema też żadnego śladu księżyca nazewnątrz tarczy słońca; brzeg księżyca na tle tarczy słońca rysuje się nader ostro, a część jego tarczy, nasunięta na słońce, jest zupełnie czarna, — chociaż sam kontrast z tarczą słońca nie pozwoliłby zapewne dostrzedz na niej słabego światła, gdyby nawet księżyc posiadał atmosferę, załamującą i rozpraszającą światło. Poszukiwania korony w czasie zaćmienia częściowego oraz za księżycem nazewnątrz słońca, powtarzałem

kilkakrotnie — ale bezskutecznie. O godz. 12 min. 30 chmura zakryła słońce, które wszakże przez nią przeświecało, tak że wzrost fazy dokładnie można było przez chmurę obserwować. O godz. 12 min. 40 ujrzałem Wenus na południo-zachód od słońca; niezakryty sierp słońca miał wtedy szerokość $^1/_4$ średnicy.

Całkowite zaćmienie miało się rozpocząć według rachunku o godz. 1 m. 1 s. 48. Ciemność wzrastała coraz szybciej. Domki odległe i inne przedmioty, które służyć mi miały jako punkty stałe przy obserwacyi zbliżającego się cienia księżyca, kolejno poznikały mi z oczu, jasno zielone zarośla, pokrywające stoki góry, majaczyły tylko niewyraźnie, jako ciemne plamy o fiołkowem odcieniu, a w odległości 2-ch kilometrów na ciemniejszem tle odznaczał się szary pas gościńca. Wyspy Kolumbrety znikły również, nie mogłem ich dostrzedz nawet za pomocą tryedra. Morze miało barwę brudno niebieską.

Do całkowitego zaćmienia pozostaje jeszcze tylko 5 minut. Wysoko na niebie świeci wąziutki sierp słońca. Niezwykłe warunki oświetlenia nadają krajobrazowi tajemniczy wygląd — z oddzielnych efektów świetlnych nie można sobie zdać sprawy wobec coraz szybszego tempa zmian. Ciemność wzrasta szybko, płynie jak fala. Przedmioty rzucają nader ostre cienie, półcienie znikły zupełnie.

Na minutę przed początkiem całkowitości pojawiły się cienie falujące, ale zjawisko to przedstawiło mi się całkiem inaczej, aniżeli na podstawie opisów sobie wyobrażałem. Były to pasma szerokości co najwyżej 15 cm., ułożone nieco ukośnie do poziomu na ścianie pionowej, zwróconej ku słońcu. Ruchu postępowego tych smug równoległych do siebie, naprzemian jaśniejszych i ciemniejszych, nie było można dostrzedz; zdawało się, że smugi mają ruch wahadłowy w kierunku prostopadłym do ich położenia. Przypominał on kołysanie się fali morskiej, oświetlonej światłem księżyca, kiedy oświetlone grzbiety, opadając w głąb, pogrążają się w ciemności, aby po chwili zająć znowu poprzednie miejsce. Oczywiście wrażenie to mogło być całkiem subjektywne, wynikające stąd, że oddzielne pasma niczem się od siebie nie różniły. Przyrząd, mający te pasma utrwalić na kliszy, oddawna znajdował się w ruchu. Z wrażeń, jakie z ich obserwacyi wyniosłem, wyciągnąłem wniosek, że smugi są zjawiskiem, spowodowanem załamaniem promieni przez atmosferę ziemską oraz interferencyę, że znajdują się one w związku z dającem się zawsze obserwować falowaniem brzegu słonecznego, oraz posiadają analogię w równie

dobrze znanem zjawisku migotania czyli scintillacyi gwiazd. Smugi widziałem jeszcze na 3 sek. przed zaćmieniem.

Niebawem rozpoczęło się zaćmienie całkowite. Cień księżyca, niestety, niewyraźny z powodu ciemności, która nie pozwalała odróżniać przedmiotów w odległości kilkudziesięciu metrów, z nadzwyczajną szybkością rozlewał się po całym widnokręgu i po chwili objął i mój punkt obserwacyi. Trwało to nie dłużej nad sekundę, a po chwili pokrył on i morze na wschodzie, nadając mu jakąś stalową ciemną barwę.

Moment początku całkowitości wystąpił nadzwyczaj wyraźnie. Można go zaobserwować z dokładnością ułamka sekundy, ale tylko, gdy się nie patrzy przez lunetę. Nie trzeba czekać chwili zetknięcia jasnej tarczy słońca i ciemnej — księżyca; wystarczy zauważyć moment gwałtownej zmiany, jaka zachodzi przed naszemi oczami.

Wszelkie ochrony dla oka stają się zbyteczne. Czarna okrągła tarcza wisi na niebie, roztaczając naokoło siebie świetlaną aureolę. Tarcza ta wydaje się znacznie mniejszą, niż wtedy, gdy ją widzimy jasną. Gdy rozpoczęła się całkowitość, miałem wrażenie, że nagle się rozjaśniło; złudzenie to wynika ztąd zapewne, że w ostatnich chwilach przed zaćmieniem ciemność wzrasta tak szybko, iż oko niema czasu przystosować się do tak szybkich zmian; w czasie samego zaćmienia oko jest już dobrze przystosowane do oświetlenia.

Widok zaćmionego słońca był w istocie bardzo piękny. Jasny, wąziutki pasek chromosfery, barwy różowej, okalał tarczę czarną, w dwóch miejscach prawie przeciwległych widniały wybitne dwa wypiętrzenia tego paska — protuberancye, a dalej nieco mniej jasny pierścień korony, szerokości równej promieniowi słońca, barwy blado różowej, z odcieniem oliwkowym. Od tej jasnej korony wewnętrznej, ku górze i ku dołowi, oddzielały się mniej jasne odgałęzienia w postaci klinów i zębów, zlewając się nieznacznie z otaczającem tłem nieba. W kierunku normalnym ku tarczy łatwo było dostrzedz budowę promienistą korony zewnętrznej. Niektóre z tych jasnych niteczek wyginały się ku górze i przecinały wzajemnie, ograniczając owe sterczące ku dołowi i ku górze kliny; zresztą te srebrne nitki zdawały się niekiedy nagle pojawiać i znikać, jakby przebiegające w koronie meteory. Udało mi się wykonać kilka szkiców korony, które dają dosyć dobre wyobrażenie o zjawisku. Korona ma kształt typowy dla epoki maximum plam słonecznych.

Niebo miało barwę ciemno zieloną, unoszące się w kilku miejscach kłęby chmur miały błękitnawy stalowy odcień; zresztą żadnych barwnych lub świetlnych efektów nie spostrzegłem. Blask Wenery wydawał się bardzo jasnym; prócz Wenery zauważyłem jeszcze na zachód od słońca u dołu jasny słaby punkt, którym był, jak się zdaje, Merkury. Zresztą nie mogłem dostrzedz żadnych gwiazd, chociaż $^1/_2$ minuty z górą poświęciłem na ich poszukiwanie gołem okiem i za pomocą tryedra.

Wogóle było znacznie widniej, aniżeli przewidywano. Niebo było jasne, jak o wczesnym zmierzchu. Rysunki robiłem bez pomocy latarki, tak samo z całą łatwością widziałem ciągle wskazówkę sekundową zegarka, służącego do obserwacyi, oraz robiłem notatki; mogłem też dobrze czytać gazetę Heraldo de Madrid, której egzemplarz w tym celu miałem ze sobą. Wynika stąd, że w czasie zaćmienia było znacznie widniej, aniżeli w nocy, w czasie pełni księżyca; wtedy bowiem gwiazdy pierwszych 3-ch wielkości normalne oko dostrzedz może, a czytać mogę tylko duży druk, notatki zaś robię zawsze przy latarce. Wysp Kolumbretów nie mogłem dostrzedz nawet z pomocą tryedra. Twarze miały oliwkowy, trupi wygląd.

Ściśle po upływie 3 min. 42 sek., zgodnie z obliczeniem, zaćmienie całkowite się skończyło. Patrzałem na zaćmienie słońca gołem okiem; wtem na prawym brzegu słońca, jak gdyby powstał mały otworek, przez który z ogromną szybkością rozlała się materya świetlana, tworząc okrągłą jasną plamę wielkości pomarańczy. Po chwili nastąpił drugi taki wybuch, jasna plama powiększyła się i jak gdyby zalała cały kawał czarnej tarczy księżyca, która dobrze jeszcze była widzialna. Za chwilę wybuch światła się powtórzył, ale światło było już tak jaskrawe, że patrzeć gołem okiem nie było można. Włożyłem czarne okulary i ujrzałem po prawej stronie tarczy czarnej wązіutki sierp słońca. Całe to zjawisko było nadzwyczaj efektowne. Przyczyną owego skokowego, jakby wybuchowego pokazywania się światła, były prawdopodobnie drobne zazębienia tarczy księżyca, a nadzwyczaj wielkie natężenie promieni słonecznych było powodem, że punkty małe tarczy, widzialne przez te zazębienia, skutkiem irradyacyi przedstawiały się, jako znacznych rozmiarów tarcze.

To zjawisko nieoczekiwane całkowicie pochłonęło moją uwagę, tak, że nie zwróciłem uwagi na oddalający się cień księżyca, ani na falujące smugi, które powinny się były znowu zjawić z ukazaniem się pierwszych promieni słońca. Zresztą przyrząd bez przerwy był w ruchu i automatycznie fotometryczny przebieg zja-

wiska utrwalał. Dodam, iż wogóle i początek i koniec całkowitości zaskoczyły mnie o prawie półtorej minuty za wcześnie, a to dlatego, że czas swój regulowałem podług chronometru ekspedycyi rosyjskiej, którego poprawka, z powodu braku czasu, nie mogła być na miejscu obliczona. Dotychczas poprawki tej nie udało mi się otrzymać, wskutek czego nie mogę podać dokładnych momentów kontaktów, chociaż obserwacye wykonałem z całą ścisłością. Ponieważ obfity materyał obserwacyjny do obliczenia owej poprawki istnieje, więc nie wątpię, że obserwacye moje nie będą stracone.

Jak już wspomniałem, w ciągu zaćmienia w różnych okolicach nieba unosiły się gęste chmury kłębiaste, które kilkakrotnie pokrywały słońce. W czasie zaćmienia całkowitego słońce było niezasłonięte, tak, że warunki obserwacyi były bardzo dobre. Nieoczekiwaną była tak wielka jasność korony, skutkiem czego prawdopodobnie spełzły na niczem nadzieje, odnoszące się do znalezienia planety intermerkuryalnej na drodze fotograficznej. Silny wiatr południowo wschodni nie zmienił kierunku, tylko przycichł w czasie całkowitości. W dziesięć minut po skończeniu się zaćmienia całkowitego chmury pokryły słońce i wkrótce zaciągnęły się na całe niebo. Do samego wieczora już nie wychyliło się słońce z po za chmur, a popołudniu około g. 4-ej spadł nieznaczny deszcz — jedyny, który obserwowałem w czasie mojego trzytygodniowego pobytu w Hiszpanii. Być może, iż deszcz ten znajdował się w ścisłym związku z niezwykłymi warunkami, wytworzonymi przez zaćmienie.

M. Ernst.

# PIŚMIENNICTWO.

MOJŻESZ SCHORR. *Żydzi w Przemyślu do końca XVIII wieku.* Opracowanie i wydawnictwo materyału archiwalnego, Lwów 1903.

W przedmowie, autor słusznie zaznaczył, że w literaturze naszej zamierzano przedstawić dzieje Żydów w całej Polsce, nim jeszcze poznano tę historyę w poszczególnych miastach, i nim pojedyńcze okresy były wyświetlone. Istotną podstawę do zbadania całości dziejów żydostwa polskiego, może dać jedynie materyał archiwalny. Autor spożytkował też pilnie materyał archiwalny, znajdujący się w Przemyślu i na tej podstawie skreślił historyę Żydów w Przemyślu aż do końca XVIII w. Na Rusi czerwonej występują Żydzi w większej liczbie dopiero z początkiem XVII w. Najdawniejsza wzmianka o Żydach w Przemyślu pochodzi z 1466 r. a z księgi lustracyjnej z r. 1542 przekonywamy się, iż Przemyśl w tym czasie posiadał zaledwie rodzin 18, które posiadały 7 domów na własność. Pierwszy zasadniczy przywilej, stwierdzający istnienie gminy żydowskiej w Przemyślu, pochodzi z r. 1559. Dokument ten stanowi niejako prawną sankcyę stałego pobytu Żydów w Przemyślu, a zarazem podstawę legislatywną dla nowo-utworzonej gminy. Sądownie podlegali Żydzi jurysdykcyi królewskiej, a za opiekę płacili królowi po zł. 4 z domu. Od Zygmunta Augusta Żydzi otrzymali jeszcze trzy przywileje, w których monarcha upomina mieszczan, aby nie krzywdzili Żydów, „jako tych, którzy wszystkie popłatki z wami na spół płacą.“

W r. 1576 otrzymuje gmina żydowska statut „ad bonum ordinem,“ zajmujący się wewnętrznemi urządzeniami gminy, jako też jej stosunkiem do władzy wojewodzińskiej. W r. 1592 liczba

głów żydowskich w Przemyślu powiększyć się musiała, bo gmina przystępuje do wybudowania synagogi murowanej, na miejscu drewnianej i stara się o pozwolenie ze strony kapituły, od której plac nabyła. Trudno się jednak było uporać z mieszczaństwem, które spędzało murarzy i nie pozwalało budować synagogi. Zaburzenia jednak zdołano uśmierzyć i synagoga stanęła w r. 1594. W tym czasie rozpoczyna się walka ekonomiczna żydostwa z mieszczaństwem, która trwa aż do końca istnienia Rzeczypospolitej. W r. 1628 pospólstwo napada na Żydów i dotkliwe wyrządza im straty. Przyczyną tumultów bywa zazwyczaj podejrzenie o świętokradztwo, które rzadko kiedy mogło być sprawdzonem. W r. 1638, Żydzi zaskarżyli starostę, że działając bezprawnie wyrządził im dużo krzywd. Rok przedtem, nawiedził ich jednak wielki pożar, taki, że tylko synagogę z przyszkółkami zdołano uratować. Mieszczaństwo nie chciało dopuścić do odbudowania dzielnicy żydowskiej, żądając przytem, aby Żydom handel i wogóle środki zarobkowania ograniczono. Zgoda jednak nastąpiła, a Żydzi przyrzekli na rzecz miasta płacić rocznie 300 zł. i prochu dobrego dwa kamienie. I ta tranzakcya zawiera dla Żydów mało swobód a dużo ograniczeń. Wojny kozackie, szczególnie dwa smutne lata: 1648 i 1649, najstraszniej dotknęły polskich żydów, w Przemyślu jednak oszczędziły ich szczęśliwie.

Za Jana Kazimierza, obdarzała władza monarchiczna Żydów dość często przywilejami, tylko że one przestały mieć praktyczną wartość. Ile razy bowiem w kancelaryi królewskiej zjawili się Żydzi i dobrze zapłacili, otrzymali przywilej, nazajutrz jednak otrzymywali mieszczanie przywilej wprost przeciwny. Szły też bezustannie cytacye z kancelaryi królewskiej, to do Żydów, to do mieszczan, niedoprowadzając do właściwego celu z tej przyczyny, że Żydzi ekonomicznie zapewne upadli i nie mogli uczynić zadość wygórowanym żądaniom mieszczan. W końcu XVII-go i przez cały wiek XVIII-ty ekonomiczna sytuacya Żydów staje się coraz gorsza, pod ciężarem rosnących podatków i opłat. Gmina żydowska zadłużała się u szlachty, a szlachta, nie mogąc odebrać pieniędzy od zadłużonej i biednej gminy, wydzierała je gwałtem. Walka o byt między samymi Żydami staje się coraz cięższą, gdyż liczba mieszkańców niezmiernie wzrosła. Do upadku i nędzy gminy żydowskiej przyczyniła się jeszcze elementarna klęska w r. 1678. Straszny pożar zniszczył ulicę żydowską, pochłaniając ruchomy i nieruchomy majątek. W r. 1692 Jan III zwołuje do Przemyśla komisye, przedłużające Żydom terminy wypłaty długów, a to głównie dlatego, aby zapobiedz emigracyi

Żydów. August II zwrócił także uwagę na ruinę ekonomiczną Żydów, ale mimo to nie polepszyły się ich stosunki ekonomiczne w XVIII w. Kronika Żydów przemyskich w XVIII w. nie przedstawia zbyt wielkiego interesu, jest ona bowiem nieprzerwanym łańcuchem nędzy i niedoli, wzmagającej się coraz to więcej. W r. 1746 jezuici dali się we znaki Żydom przemyskim, ale później zostali zniewoleni zapłacić im odszkodowania 5000 złp.

W końcu zastanawia sią autor nad wewnętrzną organizacyą Żydów, poświęcając uwagę sądom wojewodzińskim, sądom żydowskim duchownym, opodatkowaniu Żydów, ściąganiom podatków i cechom Żydowskim. Pozwolę sobie przytoczyć kilka szczegółów z książki autora, zaznajamiających nas z cechami żydowskimi. Żydzi z początku dla Żydów, powoli jednak dla szlachty i duchowieństwa zaczynali produkować towary, szczególniej w zakresie krawiectwa i szmuklerstwa. Gdy się wytworzyła większa liczba producentów, powstały cechy z ustrojem prawnie ustalonym na wzór cechów chrześcijańskich. Pobudkę do tworzenia cechów dała Żydom ta myśl praktyczna, że korporacya więcej zdziałać może niż jednostka i że jako cech z cechem, posiadając własny majątek cechowy, mogą rzemieślnicy żydowscy łatwiej wejść w układy z mieszczaństwem i wyjednać sobie pewną opłatą pozytywne prawa. W istocie cechy miejskie, musiały, po długiej walce, te towarzystwa, jako faktycznie istniejące i interesa zawodu zastępujące, uznać, z niemi się liczyć i pewne ustępstwa im czynić, zależnie od wysokości opłaty, przez dotyczący cech żydowski opłacanej. W Przemyślu dochował się „pinaks“ (księga sądowa) cechu krawców, pochodzący z drugiej połowy XVII w., a akta w nim zawarte donoszą bezpośrednio, że istniały w tem mieście już z początkiem XVII w. cechy żydowskie, to znaczy towarzystwa rzemieślnicze, ze stałą organizacyą własną, które jako takie były i przez cechy chrześcijańskie uznawane. Podstawą organizacyi cechowej był t. zw. list pergaminowy, zawierający statuta fundamentalne towarzystwa, którym każdy członek nowo-wstępujący musiał bezwarunkowo się poddać. Na czele towarzystwa stali „Starsi,“ corocznie wybierani. Przewodnictwo honorowe zajmował t. zw. rabin i sędzia towarzystwa, który czasami tytułował się ojcem i patronem towarzystwa. W r. 1704 ustanowiono, ze względu na znaczne wydatki, na jakie towarzystwo jest narażone, że i tandetnicy, kupczący starymi ubiorami, są obowiązani należeć do cechu i te same, co inni członkowie, uiszczać podatki. Oprócz cechów ściśle zawodowych istniały towarzystwa i bractwa o charakterze ogólniejszym. Były też i to-

warzystwa czysto religijne, jak np. towarzystwo odczytujących psalmy.

Oprócz ciekawych historycznych notatek, autor wydrukował w swej pracy sporą ilość dokumentów rzadszych i donioślejszych z archiwum przemyskiego. Wogóle studyum powyższe, historyi Żydów w Przemyślu poświęcone, przedstawia się poważnie i świadczy dobrze o sumienności i przedmiotowem traktowaniu przedmiotu przez autora. Niewątpliwie autor dopiął celu, do którego dążył, albowiem praca jego jest cennym przyczynkiem do historyi Żydów w Polsce i przyszły historyk nie będzie jej mógł pominąć ani lekceważyć.

A. R.

---

*Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyskiego* (Moje przeprawy) o czasach powstania listopadowego (1830—1831), z autografu wydał, opatrzył wstępem i epilogiem, oraz przekładem fragmentów francuskich oryginału, Aleksander Kraushar.

We wstępie do tomu pierwszego pamiętników hr. Andrzeja Zamoyskiego wydawca przypomina, że w 1831 r. autor pamiętników wysłanym został z misyą do ks. Metternicha do Wiednia. Otóż przechowywane były dotychczas w manuskrypcie kartki, drobniutkiem, częścią polskiem, częścią francuskiem wypełnione pismem, które obejmowały dokładne sprawozdanie z owej właśnie misyi dyplomatycznej Zamoyskiego, z jego rozmów poufnych z kanclerzem austryackim i z przygód przebytych podczas kilkomiesięcznego pobytu nad Dunajem, z powrotu do Warszawy w końcu maja 1831 r. i z ponownej w czerwcu podróży do Wiednia. Urywają się pamiętniki na dacie 27 sierpnia, bez punktu i kropek, jakby swem niezakończeniem nasuwać chciały domniemanie, że autor wspomnień swych nie przerwał rozmyślnie, lecz że miał zamiar w przyszłości wykończyć swój pamiętnik. Pamiętnik powyższy nieznanym był z urzędowych źródeł. Kiedy bowiem po pierwszym powrocie Zamoyskiego do Warszawy z Wiednia w maju 1831 r. wyrażono życzenie, by relacya o dopełnionem poselstwie złożoną została na sejmie, Zamoyski wręcz odmówił, a nawet zagroził wyzwaniem temu, ktoby go o to śmiał interpelować. Dopiero z woli i wyraźnego rozkazu ks. Adama, złożył Zamoyski szczegółowe sprawozdanie o pierwszej swojej misyi rządowi na piśmie w czerwcu 1831 r.

Zamoyski rozpoczął pisanie pamiętnika w r. 1845 i prowadził swą pracę do r. 1851. Dopiero jako kierownik Roczników gospodarstwa krajowego i pochłonięty ważnemi przedsiębiorstwami przemysłowemi, nie znalazł widocznie chwil wolniejszych do jej wykończenia. Zachowawszy troskliwie wszelkie notatki z czasów dwukrotnej misyi wiedeńskiej, Zamoyski zabrał się do pisania pamiętnika „by wypełnić, jak opowiada, długie wieczory zimowe jakiemś pożytecznem zajęciem i pozostawić potomności pamiątkę wypadków, których był widzem i uczestnikiem.“ W notatkach owych, zdaniem wydawcy, jak w czystem zwierciedle, odbija się całkowita, duchowa postać Zamoyskiego. Jest to niejako spowiedź publiczna. Autor nie rościł bynajmniej pretensyi do nadania swym notatkom formy jednolitej, literackiej. Wydawca zachował wszystkie charakterystyczne cechy owych notatek i dodał urywki wspomnień Zamoyskiego z lat późniejszych, oraz myśli i urywki ogólniejszego znaczenia, spisane na luźnych kartkach, które w całości nie ocalały.

Pamiętnik rozpoczął Zamoyski od kategorycznego wyznania, że wypadki listopadowe wydały mu się szaleństwem. „Widziałem, pisze on, otchłań, wykopaną samochcąc, która kraj cały pochłonie i z zimną krwią na to patrząc, wyglądałem wciąż chwili, w której przyjdzie sposobność poświęcenia się, skacząc w nią jak Curtius. Szaleństwo zrobiliśmy nie do darowania, pisze dalej, to przynajmniej nie fanfaronujmy, bo źle się dzieje, i żebym nie był Polakiem, to Boga bym prosił, żeby się to nie udało, dla przykładu wiecznego przyszłym pokoleniom.“ Wypadki listopadowe zastały Zamoyskiego na stanowisku zastępcy dyrektora wydziału przemysłu i kunsztów Komisyi spraw wewnętrznych. Oddawna śniło mi się, pisze Zamoyski, o ważności dla kraju zaszczepienia instytucyj gminnych, które samodzielne życie budzą w każdej żyłce, że tak powiem, narodu, zdało mi się zrazu, że dla obrony kraju takie gminy, municypalności byłyby pomocne. Nowość wszelako takich stosunków zdawała mi się być zagrażającą nieporządkiem, bo niedobrze jeszcze pojmują u nas zasady, więc przestałem na wypracowaniu projektu municypalności dla stolicy. Jedna rada mu municypalna przyszła do skutku i bardzo pożyteczną okazała się do końca.

Dnia 4 marca, o godzinie 10 wieczorem, posłał po Zamoyskiego książe Adam i powiedział mu, że ma nazajutrz jechać do Wiednia dla traktowania z księciem Metternichem. Żeby mnie kula była trafiła, pisze Zamoyski, nie byłbym bardziej się zastanowił, jak na ten rozkaz, bo się nawet wymawiać nie pozwolił.

Ale jakże bez paszportu? Musisz dojechać. Nie śniło mi się nigdy o dyplomacyi. To się nauczysz. Z czemże pojadę? Będziesz miał instrukcyę. Dnia 5 marca wyjechał Zamoyski i zajechał do Wiednia przez Węgry d. 30 marca. W Wiedniu oświadczył na wstępie Konstanty Czartoryski Zamoyskiemu, że napróżno przybył i że go ks. Metternich nie przyjmie, a skoro się dowie o jego przyjeździe, albo mu każe natychmiast wyjechać, albo go do Gratz zamknąć. Dnia 14 kwietnia, czytając w gazetach, że wskutek uśmierzenia powstania we Włoszech, ks. Metternich dostał order Ś-go Szczepana z brylantami, przyszło Zamoyskiemu na myśl, że może jest w dobrym humorze i napisał do niego list. Prócz tego, na wszelki wypadek, postanowił się zająć wypracowaniem krótkiego memoryału, dla wręczenia takowego ks. Metternichowi, jeżeli go ujrzeć zdoła, lub do przesłania go, jeżeli audyencya nie będzie możliwa. Memoryał Zamoyskiego był wiernym obrazem instrukcyj, jakie otrzymał w Warszawie od hr. Gustawa Małachowskiego, z biura ministeryum spraw zagranicznych.

Ks. Metternich zgodził się na audyencyę. Zamoyski pisze o niej następne słowa: „Widziałem pierwszy raz w życiu człowieka tyle próżnego. Miałem okulary, bawił mnie ruch jego twarzy, choć trudno sobie wystawić twarz zimniejszą, jakby woskową, wyrachowanie na zrobienie wrażenia, ani śladu serca, mowa ciężka z niemiecka, wymowa wolna, sam siebie słuchał. Patrzyłem jak na uczącą komedyę. Czasami oziębłość jego do wściekłości mnie burzyła, alem się szczypał żeby mu nie przerwać, owszem, potakiwałem dumnie. Wnet poznałem, że dwa tylko uczucia do tego człowieka trafiają: próżność i bojaźń. Wytrawiony, doświadczony, dobrze opowiadał, różnych dotykał szczegółów, trafnie często oceniał. Nie dzieliłem we wszystkiem jego zdania, ale z prawdziwą przyjemnością słuchałem tego człowieka, który od ćwierć wieku do głównych spraw europejskiej polityki należał, sam w nich poniekąd główną odegrywał rolę.“ Ks. Metternich na tej pierwszej audyencyi powiedział Zamoyskiemu kilka ciekawych rzeczy. Podałem list pański, rzekł Metternich, do wiadomości cesarza, który mi rzekł: „Winieneś przyjąć człowieka, który ten list do ciebie napisał.“ Jesteś pan Zamoyskim, mogę do pana mieć zaufanie i rad będę objaśnić cię co do zasad gabinetu J. C. Mości. Przedewszystkiem winieneś pan wiedzieć, że Bóg umieścił mnie w taki sposób, iż wiem wszystko i widzę wszystko. Sądzę o wszystkiem bez uprzedzenia, bez namiętności. Nie mylę się zatem. Nie piszę historyi, nie piszę romansu, lecz tworzę go. Nie mam przeto żadnej trudności w oryentowaniu się we wszystkich

najzawikłańszych nawet wypadkach.“ W końcu ks. Metternich upewnił Zamoyskiego, że lubi Polskę, lecz spokojną—rewolucyjnej nie znosi; przedstawia cesarza, a cesarz tak myśli, jak on. Wróćcie do przeszłości, oczekujcie nowej odbudowy państw europejskich. Uczyniliście dosyć, spuśćcie się na opatrzność. Wierzcie mi, zróbcie tę ofiarę dla spokoju Europy. Nie mogę podać dłoni Europy.

Gdy Zamoyski wystąpił z cytatą Tacyta: „bellum justum quibus necessarium,“ Metternich namawiał Zamoyskiego do przyjęcia poglądu, iż nie pozostaje nic prócz poddania się. Złóżcie broń, mówił ks. Metternich, Polacy nie potrzebowali nowej wojny, by mówiono, że są dobrymi żołnierzami, zarówno jak Włosi, w nowych rozruchach, by mówiono o nich, że są tchórzami. Zdajcie się na cesarza Mikołaja. Nie tworzy on romansów, jak cesarz Aleksander. Ma on zalety rzetelne. Mówiłeś mi pan o pośrednictwie. Jest ono niemożliwem. Należałoby, aby się obie strony medyacyi domagały. W końcu rzekł Metternich: „a propos, żądałeś pan wskazania sobie jakiegoś pseudonimu. Otóż każ się anonsować, jako baron Andrassy. Dnia 16 kwietnia przesłał Zamoyski Metternichowi swój memoryał, a 21 kwietnia został znowu przez niego przyjęty. Metternich zapewniał Zamoyskiego, że przedstawił jego memoryał cesarzowi. Cesarz przyrzekł udzielić odpowiedź na piśmie. Nie może być ona pod formą ekspedycyi, lecz będzie w formie listu ułożona. Przechodząc od dyskusyi nad memoryałem, Metternich zauważył, że studenci polscy to nieponiie. Nauki wszędzie są bardzo źle uorganizowane. Wszystko to przychodzi z Niemiec. Reszta czasu przeszła na próżnej gadaninie o fałszywem położeniu Dybicza i tym podobnych ogólnikach.

Dnia 21 kwietnia napisał Zamoyski drugi memoryał do Metternicha, w którym czytamy ów zdumiewający swem niedoświadczeniem dyplomatycznem ustęp. Monarchowie dzisiejsi, pisze Zamoyski, odczuwają niesprawiedliwość wyrządzoną przez ich przodków. J. C. Mość cesarz Franciszek odczułby, twierdzę to bez obawy, prawdziwą radość, gdyby miał sposobność naprawienia jej, zwracając nam Galicyę, bezużyteczną zresztą dla jego monarchii. Przypomniał również Zamoyski w tym memoryale, że Austrya jest nam winna wdzięczność za krew przez nas w jej obronie przelaną, pod murami Wiednia. Na trzeciej audyencyi przyjął Metternich Zamoyskiego już stojący i na wstępie oświadczył mu, iż nie widział się z cesarzem i nie może mu co do odpowiedzi na piśmie nic pewnego powiedzieć. Następnie Metternich dosyć uporczywie unikał dawania audyencyi Zamoyskiemu.

Dopiero 6 maja przyjął Metternich Zamoyskiego, oświadczając mu, że okoliczności się zmieniły i cesarz Franciszek jedynie pragnie końca tej nieszczęsnej sprawy. Dnia 7 maja wystosował Zamoyski nowy memoryał do Metternicha, zaopatrzony dodatkiem. Zdaje się, że Zamoyski miał jeszcze jedną audyencyę u Metternicha i jeszcze jeden złożył mu memoryał, ale to wszystko żadnego nie osiągnęło rezultatu.

Tymczasem d. 8 maja otrzymał Zamoyski od księcia Adama bilecik, wzywający go z powrotem do Warszawy. W Wiedniu zupełną utracił był nadzieję otrzymania od ks. Metternicha pomocy. Czekał tylko, jedno zawsze powtarzając, aby sumienie jego poruszyć. Niestety głaz. Zamoyski pisze: „Ks. Metternich czy się mnie bał, bo w gorączce może za żywo mówiłem i pisałem, czy też raczej chciał się mnie pozbyć, nie kompromitując się odpisem, dość, że ani przyjął, ani odpisał, co mnie i gniewało i męczyło. W końcu nie przysłał nawet paszportu Zamoyskiemu, tylko prosty bilet, co również nie mogło mu humoru poprawić. Do Warszawy zajechał Zamoyski d. 28 maja. Ks. Adamowi zdał zaraz sprawę z wiedeńskiej misyi, potem pojechał na Pragę, aby się zameldować naczelnemu wodzowi. Gdy mu się Skrzynecki żalił na rozterki w kraju, Zamoyski go zapytał wprost: dlaczego przyjął bitwę pod Ostrołęką? Na to mu Skrzynecki odpowiedział: „Głupstwom zrobił, za które za Napoleona, powinien byłbym dostać kulą w łeb, ale odpowie za to przed potomnością Prądzyński.“

W końcu maja przedstawił się Zamoyskiemu kraj w niezbyt pocieszającem położeniu. Jego zdaniem sejm rozprawiał, gdy raczej lepiejby zrobił, gdyby się zalimitował. Cholera grasowała, wojsko rozbite organizowano na gwałt, smutna teraźniejszość, smutniejsza jeszcze przyszłość. Dla pokrzepienia ducha, miasto dało śniadanie dla wojska w ogrodzie Saskim, kazano być w mundurach z ładownicą. Dla ciekawości, pisze Zamoyski, ubrałem się i ja, żalem zdjęty, i na tę fetę poszedłem. Idąc środkową aleją, spotkałem generała Krukowieckiego po cywilnemu. Ach, jak się masz? dawno ciebie nie widziałem. Nie byłem w Warszawie. Nie chcąc na zapytania odpowiedzieć, gdzie, po co i t. p., bo moja bytność w Wiedniu była sekretem, zapytałem go, dlaczego dziś przyszedł po cywilnemu? Nie wiesz, niczem nie jestem, nie chcą mnie. Jakto? Tak, nie chcą mnie. Domyślałem się, że jak zwykle musiał intrygować, rzekłem, ejże generale, nie chcą generała w Warszawie, to być może, ale niech generał zażąda komendy na linii bojowej, to pewno dadzą. Och nie, ja tu niepotrzebny. Wiesz, gdy byłem komendantem Warszawy, czy był porządek?

Ani wątpię. Otóż wtenczas moja żona pisała do mnie, że powinienem się ogłosić naczelnym wodzem, ale to nie dla mnie. Regentem będę, bądź zdrów. Nasunął furażerkę na oczy i poszedł dalej. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie mową swoją zadziwił, bo znałem dumę człowieka, ale do smutku, którym byłem przejęty, dodał uczucie rozdzierające, że zginiemy nie przez siłę nieprzyjaciela, ale przez kłótnie domowe.

Te i tym podobne wieści, pisze dalej Zamoyski, kazały wnioskować, że Krukowiecki coś knuje. Generał Umiński z nim trzymał. Prądzyński z nienawiści ku Skrzyneckiemu łączył się z nimi. Wincenty Niemojowski, podobno wice-prezes rządu, poczciwy ale głuchy i od południa zawsze pijany, był ich narzędziem. Bonawentura Niemojowski, brat jego, szalony i głupi, gotów był grać rolę Robespierra. Biedny ks. Adam, światły, poświęcony dla kraju, jedyny do rady w pokoju, nie miał energii do rewolucyi a wierzył w nią. Zbyt szlachetny nie wierzył, żeby byli szelmy i byłby padł ofiarą, gdyby nie Lelewel był go przestrzegł 15 sierpnia i wtedy konno umknął do Bolimowa. W pamiętniku Zamoyskiego znajdujemy jeszcze sporo sangwinicznych sądów na różne wybitne osobistości. I tak, Skrzyneckiego uważa raz za wodza zbyt ograniczonego, by potrafił prowadzić, a za zbyt zarozumiałego, by chciał władzy uledz. To jednakże nie przeszkadzało, iż jest zdania, że zrzucać go nie należało, bo bał się go nieprzyjaciel i zresztą nie było zastępcy. Krukowiecki intrygant. To też Prądzyński, generał znakomitych talentów do rady wojennej, nie śmiał brać na siebie odpowiedzialności, psuł tylko zaufanie wojska do wodza. Chłopicki bez edukacyi wyższej, bez patryotyzmu, bez ambicyi, żołnierz napoleoński, piękny w ogniu, znakomity wódz, o tem tylko myślał, aby się raz i drugi z nieprzyjacielem zetrzeć i z sławą wojskową zginąć. W końcu pamiętnika Zamoyski jeszcze raz wraca do Skrzyneckiego, utrzymując, że o ile ten nie był Napoleonem, ale miał zalety, był pobożny, szlachetny, poświęcony, miał znowu swoje przywary, przy małym okręgu wyobrażeń, między innemi łatwo był obraźliwy.

Pamiętnik Zamoyskiego, obejmujący pełne sprawozdanie misyi do ks. Metternicha w Wiedniu, jest niewątpliwie cennym dokumentem historycznym. Należy się też wdzięczność wydawcy za jego wynalezienie i staranne wydanie. Pamiętnik Zamoyskiego wypełnia przedewszystkiem lukę, jaka dotychczas świeciła w historyi 1831 roku. Wydawca Pamiętnika słusznie zauważył, że Barzykowski, zarówno jak i inni historycy czy pamiętnikarze tej doby, podawali niedostateczne wieści o misyi Za-

moyskiego do Wiednia, albowiem nie znali sprawozdania urzędowego, jakie Zamoyski księciu Adamowi swego czasu złożył. Wydrukowany pamiętnik uzupełnia niedostatki, podając pełny obraz działalności Zamoyskiego oraz wszystkie jego listy i memoryały do Metternicha. Z notatek Zamoyskiego dowiadujemy się, że w zawodzie dyplomatycznym był zupełnym nowicyuszem i nie posiadał ani odpowiedniego wykształcenia, ani doświadczenia. Przyjął stanowisko na wyraźny rozkaz księcia Adama i przynajmniej udało mu się dotrzeć do Metternicha, o co się inni daremnie kusili. Z tem wszystkiem zarówno listy, jak i memoryały Zamoyskiego, nie robią należytego wrażenia i czuć w nich uczuciowy popis improwizowanego dyplomaty, który kreśli swoje młodociane ćwiczenia, zdolne jedynie wzbudzić uśmiech ironii na ustach tak wytrawnego gracza, jakim był Metternich. Na Zamoyskim zrobił Metternich wrażenie męża stanu, w którym nie było iskry serca. Niewątpliwie sąd jego tym razem był najzupełniej trafnym, ale to mu nie przeszkadzało w swych listach i memoryałach odwoływać się do Metternichowskiego serca i traktować sceptycznego kanclerza austryackiego sentymentalnym wykładem krzywd polskich z ostatniego stulecia. Jakżeż wytrawnego dyplomatę musiały bawić memoryały Zamoyskiego, gdy w nich doczytał się tak naiwnych zapewnień, jak te np. że cesarz Franciszek szczęśliwym będzie, gdy trafi mu się sposobność zwrócenia nam Galicyi, która wreszcie nie jest Austryi potrzebną, lub gdy przypomina Metternichowi obowiązek wdzięczności, jaką ma Austrya za krew naszą przelaną przez nas onego czasu pod Wiedniem. Spostrzegłszy tedy przed sobą nowicyusza, uposażonego jedynie w duży zasób dumy, Metternich nie omieszkał go należycie pouczyć o swem nieomylnem, opatrznościowem stanowisku. Takiego wybryku pretensyonalności nie pozwoliłby sobie Metternich przed zawodowym dyplomatą, wiedząc, że się narazi na śmieszność. Przed Zamoyskim odważył się jednak na puste frazesy, zdradzające wygórowaną jego próżność.

Andrzej Zamoyski żywił to przekonanie, że misyę jego do Wiednia można było uważać za udaną, gdyż przynajmniej dotarł do Metternicha, czego nie dokonał ani Kniaziewicz w Paryżu, ani Wielopolski w Londynie. Działyński, ten względny dyplomatyczny skutek przypisuje temu, że Zamoyski był szorstkim i to miało imponować Metternichowi. Z podobnym poglądem na rzeczy trudno się zgodzić. Zamoyski zjawił się w Wiedniu po Dębem Wielkiem, a zatem w chwili, kiedy sprawy polskie zaciekawiły niezmiernie świat dyplomatyczny europejski, a niewątpliwie i wie-

deński. Czy Metternich informowany zwykle bardzo dobrze przez tajną policyę austryacką, nie wiedział nic o przyjeździe agenta polskiego i kim jest ten agent, to pozostanie wielkiem pytaniem, ale przypuśćmy, że nic nie wiedział, to świadczy jedynie, że kanclerz austryacki uważał udzielenie tajnej i prywatnej audyencyi za niekompromitującą wobec rządu rosyjskiego. Dowiedziawszy się zaś od Zamoyskiego kim jest, a mianowicie, że jest siostrzeńcem ks. Adama i pochodzi z rodu sobie znanego a poddanego do r. 1809 Austryi, Metternich robił drobne towarzyskie ustępstwa Zamoyskiemu nie z powodu jego szorstkości, lecz dlatego, że widział w nim błękitną krew, dla której miał zawsze pewną słabość.

Prócz zdania sprawy ze swej misyi do Wiednia, spotykamy także w pamiętniku Zamoyskiego sądy o wypadkach i ludziach wybitnych z doby Listopadowej. Sądy te sprawiają wprost przygnębiające wrażenie swą sangwinicznością, zacierającą wszelki ślad poczucia sprawiedliwości. Wśród poważniejszych pamiętnikarzy z 1831 r. znajdowali się tacy, którzy ruch 1830—31 r. uważali za politycznie chybiony i za narzucony krajowi przez małą garstkę studentów i podchorążych. Leon Dembowski i Fryderyk hr. Skarbek nie tylko wyrazili, ale i motywowali podobny pogląd, wyrażając przy tem co najwyżej żal i współubolewanie, że na kraj spadło, skutkiem tego wybuchu, przygniatające nieszczęście. Zamoyskiego jednak zaślepia gniew, pociski jadowite ciska na wszystkich, wszystkich też uważa za winnych, zapominając o tem, że przedewszystkiem i on sam był między winnymi, i to był tem winniejszym, że pozował na dyplomatę, a nie spełniał najelementarniejszego obowiązku — jako żołnierz na pobojowisku. Podług niego Chłopicki był bez patryotyzmu, Prądzyński bez charakteru, Krukowiecki był łotrem, Umiński intrygantem, Skrzynecki ograniczonym, pijanicą Wincenty Niemojowski, Robespierrem Bonawentura Niemojowski i t. d. i t. d. Ale i Zamoyski poczuwa się do monarszego prawa ułaskawiania, chociaż to ułaskawienie nie zawsze bywa szczęśliwem. Tak np. swemu wujowi „najlepszemu do rady w pokoju,“ wyrzuca wprawdzie, że wierzył w powstanie, ale wylicza dziesiątki jego przymiotów i tylko w końcu przytacza, że ów idealny książę Adam, zamiast w sierpniu zapobiedz rozruchom lub uśmierzyć je w Warszawie, umknął, nie po rycersku, do Bolimowa, pozostawiając wolne pole Krukowieckiemu. Drugim nieosobliwie ułaskawionym przez Zamoyskiego jest Skrzynecki. Raz zwie go prawie idyotą, a następnie domaga się utrzymania go przy dowództwie, bo niema na jego miejsce kandydata lepszego, a on sam taki pobożny, pełen poświęcenia

i t. d. Że się Zamoyski w czternaście lat po wypadkach, t. j. w 1845 roku, nie zdołał dowiedzieć o tem, że na miejsce Chłopickiego, kwalifikował się do naczelnego dowództwa Dwernicki a nie Skrzynecki, następnie, że pod Iganiami złożył Prądzyński świetny egzamin na naczelnego wodza—to rzeczywiście może każdego wprawić w zdumienie. Ale nie dość na tem, Zamoyski ciska potępienie na mężów, przypisując im przywary na mocy fałszywych pogłosek, bez żadnego dowodu. Czyniąc z Wincentego Niemojowskiego opoja, a szaleńca-Robespiera z Bonawentury Niemojowskiego, Zamoyski dopuścił się co najmniej lekkomyślności, dowodząc, że 14 lat było zamało, aby go wyleczyć z namiętności stronniczej, która kazała mu widzieć przymioty i cnoty w gronie tylko rodziny i przyjaciół własnych, a przedewszystkiem w sobie. Sądy też historyozoficzne, jak to już przedtem zauważyłem, sprawiają w pamiętniku Zamoyskiego przygnębiające wrażenie. Dla pamięci autora byłoby daleko lepiej pozostawić cały ów pamiętnik w ukryciu lub co najwyżej wydrukować tylko to, co się odnosi do misyi jego wiedeńskiej. Z pamiętnika bowiem Zamoyskiego nabieramy przekonania, że autor, najzacniejszy obywatel wśród swego społeczeństwa, nie posiadał temperamentu, ani wykształcenia politycznego. Marzycielstwo, wrażliwość nerwowa i namiętność stronnicza mąciły mu spokój w życiu politycznem, a przedewszystkiem pozbawiały go nietylko wyrozumiałości, ale i poczucia sprawiedliwości oraz dążenia do prawdy.

A. R.

---

DR. ROMAN KOMIEROWSKI. *Koła polskie w Berlinie 1875—1900.* Poznań 1905.

Autor powyższej pracy, znany zaszczytnie bojownik parlamentarny pruski, dał nam dalszy ciąg parlamentaryzmu prusko-niemieckiego, nawiązując ów dalszy ciąg do początku skreślonego przez dr. Henryka Szumana w r. 1902 (Rys historyczny początków i zawiązku parlamentaryzmu polskiego w Prusiech). W swym zarysie dr. Szuman skreślił zawiązanie się i działalność Koła Sejmowego od r. 1848 do r. 1859 a pracę swoją podjął na prośby kolegów, do których przyłączył się i Komierowski, aby w pamięci szerszej społeczności odświeżyć te nasze polityczne sprawy i usiłowania, które już prawie zupełnie zaczęły się zacierać. We wstępie do swej pracy dr. Szuman zachęca młodszych kolegów do pi-

sania dalszego ciągu Historyi parlamentaryzmu polskiego w Berlinie i to zachęcenie było bodźcem dla d-ra Komierowskiego, bodźcem, któremu zawdzięczamy pracę, zawierającą ćwierćwiecze parlamentaryzmu polskiego. Autor starał się przedewszystkiem zebrać i streścić w swej pracy odnośny materyał. Zaznaczając, iż posłowie polscy w Berlinie tworzą dwa koła, t. j. koło składające się z członków izby pruskiej i izby panów, oraz koło składające się z członków Parlamentu, autor przypomina, że w r. 1859 Koło sejmowe polskie uchwaliło odpowiedni statut, który został następnie przyjęty przez koło sejmowe parlamentu związku północno-niemieckiego, a następnie rzeszy niemieckiej. Głównym rysem charakterystycznym statutów obydwóch kół jest zawarta w nich zasada solidarności. Zasada ta wyrobiła jednolitość politycznych naszych usiłowań, odróżniła nas od innych stronnictw i była kardynalną podstawą naszej jednolitości narodowej w wystąpieniach narodowych.

Zanim autor przystąpił do właściwego przedmiotu pracy, przypomniał jeszcze niektóre ważniejsze czyny kół polskich parlamentarnych z przed 1875 roku. Zwłaszcza położył autor szczególny nacisk na ten fakt, że zarówno w Związku północno-niemieckim, jak i w Rzeszy niemieckiej, posłowie polscy zastrzegali prawa Polakom przysługujące i na podstawie tego protestu wchodzili do parlamentu, nie dzieląc się w tym zbiorowym proteście na dwie części. W r. 1867 mimo protestu posłów polskich zapadła uchwała przyłączająca W. Księstwo Poznańskie i Prusy Zachodnie do Związku północnego. Kantak odczytał w imieniu Koła polskiego oświadczenie, że gdy ostateczny środek zapobieżenia aktowi przemocy wyczerpany został, posłowie polscy składają mandaty. Ta sama prawie scena powtórzyła się w pierwszym parlamencie Rzeszy, gdzie się odbył ciekawy pojedynek parlamentarny między Bismarkiem a Niegolewskim i Krzyżanowskim. Weszliśmy, powiada autor, w poczuciu krzywdy i niemocy zapobieżenia takowej, zmuszeni koniecznością w ten nowy okres działania politycznego, które stanowią obrady w parlamencie Rzeszy niemieckiej.

Sprawy w których występowali nasi posłowie można podzielić na te, które obejmują: 1) religię i szkołę, 2) narodowość, 3) ekonomiczno-społeczne potrzeby w przynależności słowiańskiej. Najcięższe walki staczali polscy posłowie w sprawach kościoła i praw narodowych. W obronie wiary, Polacy poparci przez stronnictwo katolickie, tak w sejmie jak i w parlamencie, odnieśli o tyle pewne korzyści, że większą część prawodawstwa majowego zwycięzko usunęli. Za to usiłowania podjęte ku wywalczeniu większej swo-

body dla polskiego języka i w ogóle dla szkoły, dla praw polskiej narodowości, spełzły niestety na niczem. Z wyjątkiem krótkiej ery Capriviego, w której się udało uzyskać posłom polskim kilka małych ulg i względniejsze obchodzenie oraz powstrzymanie skłonności do ustaw wyjątkowych przeciw Polakom, dotychczas panuje system praw wyjątkowych, które w r. 1886 Bismarck zainaugurował i co trwa dotąd z całą siłą i zapalczywością. W końcu przedmowy autor zaznacza, że nie objął w swym podręczniku prac posłów polskich w samych Kołach, jakoteż i usiłowań ich, które pozostały po za obrębem wystąpień publicznych. W końcu autor zapewnia, że starał się zająć w pracy stanowisko czysto przedmiotowe.

Rys historyczny parlamentaryzmu polskiego w Berlinie rozpoczyna autor od walki kulturalnej, która się srożyła aż do 1886 roku. Kończy zaś swoją pracę wraz z rokiem 1899, z początkiem którego zabrzmiały podniosłe słowa Mottego głoszące, że prześladowanie narodu do życia zdolnego i żyjącej narodowości, mającej znaczną kulturę, jest największą niesprawiedliwością, wołającą o pomstę do nieba. W końcu swego studyum autor zamieścił kilka ogólnych uwag, dotyczących owej ery parlamentarnej i na niektóre z nich pozwala sobie zwrócić uwagę czytelnika. Jeżeli całe 25 lecie czynności naszej reprezentacyi w Berlinie sobie uprzytomnimy, powiada autor, to ogólne wrażenie jest smutne, bo chociaż były chwile, gdzie czynność i wymowa polskich posłów znajdowała pewien odcień zadowolenia, to w góle 25 lecie, tak jak cała historya polskich kół parlamentarnych, była jednem pasmem zawodów w obec takich czy owakich konjunktur politycznych. Pod tym względem rezultat polskich usiłowań, czy to w czasie protestu Niegolewskiego, czy też w czasie ery Capriviego był zawsze jeden i ten sam. Ten sam rezultat był i mów polskich. Czy przebijał ostrzejszy, czy łagodniejszy ton w nich, odpowiedzi na nich były zawsze z małą różnicą te same, bo powoływano się w nich wyłącznie na racyę stanu i ta za wszelkie inne służyła motywy.

Wmawialiśmy w siebie, pisze dalej autor, że krytyką ówczesnych usiłowań kół w Berlinie, stworzymy podstawę szerszego i pożyteczniejszego działania i że pozytywną pracą, otrząsnąwszy się z rzekomej naleciałości protestowej epoki i szeregując się do prac parlamentarnych z resztą posłów Rzeszy niemieckiej, stworzymy albo utorujemy drogę dla korzystniejszego położenia politycznego. Krytyką wywołaliśmy niewątpliwie większe usiłowania reprezentacyi polskiej w Berlinie, ale też zarazem i poczucie niemocy, które znowu nas niecierpliwiło i zgorzkniałe utyskiwania

wywoływało. Tak obracając się w błędnem kole utyskiwań i nieproduktywnej krytyki, niejedne cenne siły albo odstraszyliśmy od pracy w Berlinie, albo też w waśń osobistą popadłszy, nie dopuszczaliśmy ich do Berlina. Krytyka, jaka się u nas wytworzyła, była wprost szkodliwą, bo nieporozumieniem i niechęcią powiększała uczucie niemocy politycznej. Autor wątpi, czy kiedykolwiek, gdziekolwiek i jakiekolwiek stronnictwo parlamentarne było przez własną swoją prasę tak często zaczepiane i krytykowane, jak Koło polskie. W czasach, w których Koła walczyły na podstawie protestu, w kraju żądano pracy rzeczowej. Lecz skoro Koło parlamentarne przeszło do pozytywnej pracy i rzeczowy, nie tylko opozycyjny zaczęło brać udział—w kraju nie było zgody w zapatrywaniach na te prace, ani pod względem ogólnej taktyki, ani pod względem poszczególnych prac, tak na polu socyalnem, jako też na polu ekonomiczno-politycznem.

Z postępującą niemocą naszą, mówi dalej autor, obniżał się i poziom znaczenia naszej reprezentacyi w Berlinie. Jeżeli parlamentaryzm w całej Europie stracił na znaczeniu, powadze i uroku, tem więcej to musiało nastąpić w Poznańskiem, gdzie ten parlamentaryzm przyjął za dewizę: „siła idzie przed prawem.“ Pomimo tego wszystkiego, co tak niefortunnie na reprezentantów polskich w Berlinie oddziałać musiało, utrzymali się oni jako placówka z tym hartem, którego od nich społeczeństwo wymagało i tak samo swego sztandaru bronili solidarnie we wszystkich parlamentarnych walkach, jak tego tradycya Koła wymagała. Nie było wypadku, aby nieprzyjaciel był w możności rozbić ten mały hufiec lub go osłabić. Pod tym względem miało też Koło po za sobą nie tylko poklask całego społeczeństwa polskiego, ale i uznanie najnieżyczliwszych wrogów. Autor uważa za swój obowiązek wskazać na chlubne usiłowania takich posłów, jakimi byli z pierwszej epoki: Gustaw Potworowski, ks. Janiszewski, August Cieszkowski, a z następnej epoki: Bentkowski, Niegolewski, Kantak, Karol Libelt, Ignacy Łyskowski, Wierzbiński, Edmund Radziwiłł, Roman Taczanowski, dr. Taczanowski, a z ostatniej epoki: Magdziński, Motty, Głębocki.

Z całego tego szeregu dzielnych posłów wyróżnił się Bentkowski, jako autor statutów Koła sejmowego. Wł. Niegolewski zaznaczył się siłą uczucia nawskroś polskiego, która mu nawet u nieprzyjaciół wyrobiła uznanie jego gorącego patryotyzmu, Kaz. Kantak, jeden z najlepszych mówców polemicznych sejmowych, i Wł. Wierzbiński, mówca ostrego tonu. Do szeregu polskich powag należał od r. 1893 do sejmu wybrany ks. Wawrzyniak, o któ-

rym minister Miquel z zazdrosnem uznaniem się wyraził, twierdząc, że podobnego męża w owym czasie społeczeństwo niemieckie nie posiadało, któryby takie jak on, jako patron spółek zarobkowych, oddał tyle usług swemu społeczeństwu. Następnie, że w Kole polskiem koleżeńswo było ścisłe i karność w służbie była przestrzegana, zawdzięczano to przedewszystkiem usiłowaniom dwóch kwestorów, t. j. posłów Konstantego Szczanieckiego i Emila Czarlińskiego. Dział językowy i religii był tym działem, w którym polscy posłowie najczęściej i najgoręcej przemawiali i gdzie też reprezentacya polska ma wielkie zasługi. Mniej wybitnymi punktami działalności polskich posłów, pozostała dziedzina ekonomiczna i socyalno-polityczna. Ta powściągliwość pochodziła z położenia rzeczy samej. Te sprawy nie były nigdy walką narodowościową objęte i nie potrzebowały nigdy takiej obrony, jak np. sprawy językowe i religijne, a następnie były to sprawy rozmaicie wśród Polaków pojmowane, które wymagały pracy przygotowawczej samego społeczeństwa. W obec antagonizmu w kraju panującego, trzeba się przedewszystkiem starać o porozumienie, aby posłom polskim ułatwić ich prace i wystąpienia. Niewątpliwie są to kwestye trudne, które powinny być wcześnie przez prasę poznańską podjęte. W przeciwnym razie wytworzą się nowe przeciwieństwa, pod nowemi hasłami, a wszakżeż dosyć już dawnych waśni.

Rozpatrzywszy się w owem dwudziesto-pięcio-leciu czynności sejmowych polskiej reprezentacyi w Berlinie, autor przychodzi do tego słusznego przekonania, że polscy posłowie robili co mogli, a jeżeli smutnych wypadków nie powstrzymali, to jednakże odmówić im nie można, że postępowali podług najlepszego i gorącego narodowego poczucia. Żaden sumienny badacz dziejów tego ostatniego 25-lecia XIX wieku, nie będzie mógł pominąć mów, oświadczeń, protestów i dyskusyj polskiej reprezentacyi w Berlinie i bogatego materyału w nich zawartego. Autor w pracy swej rzucił, jak to oświadcza, szkic skromny, albo raczej chronologiczny rejestr wystąpień polskich posłów. Pominął on jednak cały dział prac komisyjnych, w których przeznaczano zwykle miejsce dla jednego tylko członka polskiego. Rozpadały się wielokrotnie większe lub mniejsze stronnictwa, znikały lub przemieniały się inne pod parciem przewagi powstających nowych prądów, lub działaczy politycznych, jedynie koła polskie umiały swój byt niezależnie utrzymać z tym wybitnym charakterem odrębności narodowej pod każdym względem.

Wobec przewagi germańskiego świata, pragnącej tę odrębność narodową zniweczyć, jest ona niewątpliwie dodatnią stroną

i zasługą polskich posłów. Tego uznania polscy posłowie nie wywalczyli sobie wobec stronnictw niemieckich dzięki liczebnej niemocy i nie wywalczą sobie prawdopodobnie dopóty, dopóki biurokratyzm państwowy pozostanie jedyną siłą miarodajną w wymiarze sprawiedliwości. Niedobór ten polityczny polskiej akcyi w Berlinie, możemy jedynie o tyle powetować, o ile jednością i wszechstronną pracą w kraju poziom oświaty, poczucia i mienia narodowego podniesiemy i tamę przeciwko grożącemu zalewowi wzmocnimy.

Historya sejmików prowincyonalnych w W. Ks. Poznańskiem i historya parlamentaryzmu polskiego w Berlinie, mają dla całego naszego społeczeństwa niezmiernie doniosłe znaczenie. Historya bowiem tych organów państwowych poucza nas o tem, czy społeczeństwo dla obrony najważniejszych praw swoich potrafiło wynaleźć odpowiednie siły i wogóle, czy je w danej chwili miało w swem łonie. Działalność reprezentacyi prowincyonalnej, czy państwowej w Poznaniu, czy w Berlinie, objaśni najlepiej historyka o tem, jakiem było społeczeństwo polskie i jak swe obowiązki względem narodowości własnej spełniło. Prócz tego przedstawienie historyczne owej działalności wpłynie dodatnio nie tylko na W. Ks. Poznańskie, ale i na całe społeczeństwo polskie. Wspomnienie walki w imię obowiązku i bez względu na przewagę przeciwnika, wspomnienie niezachwianego męstwa i nierozerwalnej mimo nieustannych klęsk jedności, musi wśród społeczeństwa polskiego wytworzyć otuchę, podnieść ducha i ożywić słabnące szeregi. Historya sejmów prowincyonalnych W. Ks. Poznańskiego wraz z historyą parlamentaryzmu polskiego w Berlinie, winna być o ile możności najszczegółowiej i najgruntowniej napisaną, aby się stała katechizmem politycznym dla przyszłych posłów w Poznaniu i Berlinie, aby im wskazywała tradycyjną drogę, która wprawdzie nie prowadzi do zwycięstwa, ale zdobywa wiernym tradycyi bojownikom cześć narodową i spokój obywatelskiego sumienia.

Praca p. Komierowskiego, kreśląca ćwierćwiecze ostatnie w XIX wieku parlamentaryzmu polskiego w Berlinie, nie jest jedyną w literaturze naszej politycznej. Szuman, jak to i autor zaznaczył, odtworzył dzieje parlamentaryzmu polskiego w Berlinie, od początków istnienia aż do r. 1859. Istnieje więc poważna luka w historyi parlamentaryzmu, ale w każdym razie praca posła Komierowskiego ową lukę zmniejsza i daje nam historyczne studyum, pełne niezwykłego interesu, napisane ze spokojem i wyrozumiałością, a przedewszystkiem z głębokiem zrozu-

mieniem stanowiska, jakie wszelka reprezentacya polska w Prusach zająć powinna. Autor rozumie doskonale i zaznacza też najwyraźniej, że w zgodzie wewnętrznej, w spoistem, solidarnem występowaniu, jest jedyny ratunek dla wszelkich kół parlamentarnych polskich, a że rozkład frakcyjny i waśń wewnętrzna grożą kołom parlamentarnym nieodzowną zagładą. Całe też rozumowanie autora, cały jego pogląd na przeszłość parlamentaryzmu polskiego stoi na wysokości zadania i będzie mieć należyty wpływ nietylko na poznańską dzielnicę. Szkoda jedynie, że autor nadał swemu dziełu informacyjny, jak się sam wyraża, charakter i że nie uwzględnił szczegółowiej zarówno prac Polaków w komisyach, jak i mów parlamentarnych w Berlinie. Ponieważ Polaków w komisyach było nie wielu, a więc tembardziej należało uwzględnić ich działalność, boć ona nie wpłynęłaby zbytnio na rozszerzenie książki. Co się zaś tycze mów parlamentarnych, to przytaczanie ich w całości wpłynęłoby niewątpliwie na zbytnie rozszerzenie dzieła. Ale też tego nie potrzeba było wcale czynić. Kolmer w pracy swej, mogącej służyć za wzór innym, a noszącej tytuł „Parlament und Verfassung in Oesterreich," zawarł 21 lat parlamentaryzmu austryackiego (1848—1869) w sposób tak dokładny i wyczerpujący, że może służyć za przykład wszystkim pracom w powyższym kierunku. A jednakże Kolmer nie drukował całych mów i nie rozszerzał swej pracy zbytecznie. Znajdujemy w niej treść ważniejszą wszelkich przemówień, czy to w komisyach, czy to w izbie, i nie opuszczono w niej nic, coby mogło dotknąć którykolwiek kraj lub którąkolwiekbądź narodowość. Sądzę też, że autor nie byłby nadmiernie rozszerzył swej pracy, gdyby był w streszczeniu podał mowy polskich parlamentarzy w Berlinie. Tymczasem autor trzymał się odmiennego systemu. Niektóre z mów podał w streszczeniu, ale co do większości z nich trzymał się ogólnikowego zaznaczenia, że ta i ta mowa była świetną, mówca odparł w niej wszelkie zarzuty i t. d. i t. d. Dla historyka, tego rodzaju uogólnienia nie będą wystarczającemi: będzie się on musiał zapoznać z całym tekstem mów. Autor byłby mu ułatwił zadanie, które z biegiem lat stanie się coraz bardziej utrudzającem. W każdym razie praca posła Komierowskiego jest niezmiernie pouczającą i interesującą. Daje nam ona poznać wyjątkową doniosłość i wyjątkową trudność, na jaką bywa narażoną reprezentacya polska w Berlinie.

A. R.

TIMOSZCZUK. *Polska konstytucya 3 maja i zachowanie się względem niej Rosyi.* (Ruskaja starina, 1904, zeszyt za kwiecień, maj, czerwiec i lipiec).

Rosyjski historyk rozpoczyna swe studyum od skonstatowania faktu, że przewrót państwowy, jaki się w Polsce pod nazwą konstytucyi 3 maja dokonał, przyjęty został przez cały kraj radośnie. Cieszyła się z konstytucyi nie tylko szlachta, ale i mieszczanie, a w dodatku przychodziły z zagranicy wiadomości, że wybitni uczeni, mężowie stanu i monarchowie odzywali się o konstytucyi z żywem uznaniem. Jeden tylko Bułhakow zachował się wobec przewrotu z d. 3 maja milcząco, a rządowi swemu przesłał następujące uwagi: We wszystkich innych państwach reforma powyższa mogłaby osiągnąć zadanie, ale nie w Polsce, gdzie nie ma wytrwałości, ani siły. Na prowincyi wogóle chwalą konstytucyę, ale to dlatego, że nikt nie śmie wypowiedzieć swego zdania. Jest jednak wielu niezadowolonych z konstytucyi, którzy dotychczas nie śmieli wypowiedzieć przeciw niej ani jednego słowa. Sami główni sprawcy przewrotu rachowali na pomoc Prus, na intrygi Saksonii, a teraz sami nie wiedzą, co czynić dalej i jakim sposobem nadać trwałość swemu dziełu. Już obecnie dręczy ich strach przed zawarciem pokoju z Turcyą. Wprawdzie podrażniona przebywaniem obcych wojsk w kraju, szlachta przysięgła ochoczo na konstytucyę i poszła do wojska, ale jak zobaczy, że obietnice zwycięstw były urojone, a płacone z ich majątków podatki nie wystarczają na utrzymanie wojska, zmienią szybko swe przekonania i poczną inaczej myśleć. To jest pewnem, że Polacy niezadługo wyrzekną się dziedzicznego tronu i despotycznej władzy królewskiej.

Domniemania rosyjskiego posła nie były bez podstawy. Przeciwnicy konstytucyi obliczali nawet, że na 150 członków Sejmu, zasiadających w d. 3 maja, było nieprzychylnych reformie aż 70. Następnego dnia wszakże jeden tylko senator Czetwertyński z 27 posłami złożył oświadczenie, że konstytucya 3 maja drogą przemocy przyszła do skutku. W kilka dni później zjawiło się kilku posłów u króla z oświadczeniem, że d. 4 maja zrobili dla tego manifestacyę nieprzychylną konstytucyi, że sejmiki poleciły im niezgodzenie się na dziedziczność tronu, a więc chcieli decyzyę w tej ważnej kwestyi pozostawić wyborcom. Byli także posłowie, jak Hulewicz i Złotnicki, którzy konstytucyę 3 maja uważali za mogiłę polskiej wolności. Dnia 9 maja oświadczył się przeciw

konstytucyi Skórkowski, poseł sandomierski, a i wystąpienie drugiego posła sandomierskiego, Mężeńskiego, nie było dla konstytucyi przychylnem.—Jednem słowem od samego początku utworzyła się grupa opozycyjna, która się zbierała w mieszkaniu Borzęckiego i przemyśliwała o urządzeniu kontr-rewolucyi. Później opozycya przeniosła się do p. Walewskiej i zawiązała stosunek z Bułhakowem, zapewniając go, że jest w możności zmienić obecne położenie rzeczy i przywrócić dawny, gwarantowany przez mocarstwa porządek Rzeczypospolitej.

Bułhakow miał się jednak na ostrożności i przedewszystkiem otoczył twórców konstytucyi szpiegami. Kamerdyner Ignacego Potockiego był u niego na żołdzie. Wreszcie w wypłacaniu pensyi swoim stronnikom był bardzo przezornym i dawał instrukcye Branickiemu i jego żonie, jak mają służyć pożytecznie sprawie Rosyi. Bułhakow otaczał swe działania tajemnicą i przyjmował przeciwników konstytucyi z osobna. Branicki wszakże uważał ostrożność posła za zbyteczną i nosił się z zuchwałym planem porwania króla w Łazienkach, rozegnania Sejmu i zniesienia konstytucyi 3 maja. Gdy jednak wiadomość o tym zamiarze doszła do króla i ten wezwał Branickiego do tłómaczenia się, zuchwalec uciekł się do kłamstwa i wyparł się wszystkiego, prosząc o pozwolenie wyjazdu do Rosyi. Z całego obszaru Rzeczypospolitej przychodziły stosunkowo pomyślne wiadomości o wrażeniu, jakie uczyniła konstytucya na społeczeństwie szlacheckiem. Jedynie tylko południowe prowincye stanowiły poważną troskę dla Stanisława Augusta, albowiem szlachta okazywała się źle usposobioną dla mieszczan i wśród chłopstwa obawiać się należało rozruchów. Rząd polski starał się ukryć wszystkie swoje strapienia, ale w Petersburgu wiedziano o najmniejszych jego kłopotach i zastanawiano się w Radzie państwa, jak je w danym razie jaknajlepiej wyzyskać.

Na czele opozycyi stanął dość wcześnie Szczęsny Potocki, w którego Tulczyńskim pałacu znajdowali gościnne przyjęcie Potiemkin i Suworow. W chwili uchwalenia konstytucyi 3 maja, Szczęsny znajdował się w Paryżu i z zagranicy pisał do króla, poddając konstytucyę surowej krytyce. W końcu zaś prosił króla, aby poprawił swój błąd i powrócił Rzeczypospolitej dawne wolności, w przeciwnym bowiem razie on, Szczęsny, opuści Polskę i poszuka sobie innej ojczyzny. W równie stanowczy sposób napisał Szczęsny listy do Małachowskiego i Ignacego Potockiego i koło niego skupiła się cała opozycya przeciw konstytucyi 3 maja po za granicami Rz-tej. Jednocześnie cesarzowa Katarzyna

zwróciła uwagę na Szczęsnego Potockiego i na Rzewuskiego, jako na główne osobistości, które pomogą Rosyi do usunięcia konstytucyi 3 maja i przywrócenia Rzeczypospolitej dawnej zagwarantowanej wolności. Potiemkin nosił się z myślą daleko radykalniejszego rozwiązania polskiej sprawy. Dopraszał się on u cesarzowej godności atamana kozackiego. Jako taki miał on zamiar wstąpić w ślady Chmielnickiego, wzniecić bunt na Ukrainie i wsparty odpowiednim oddziałem wojsk rosyjskich, zadać Rzeczypospolitej cios śmiertelny. Katarzyna uważała plan Potiemkinowski za zbyt awanturniczy. Do przekonania cesarzowej przemawiała polityka ostrożna i na pewnej rachubie oparta. Przedewszystkiem wszelkie stanowcze decyzye odłożyła cesarzowa do czasu, kiedy pokój z Turcyą rozwiąże jej ręce. Następnie, znając lekkomyślność Polaków, a przedewszystkiem Stanisława Augusta, nie traciła nadziei, że prędzej czy później Polacy sami podadzą jej najlepszą sposobność do osiągnięcia zamierzonego celu. Naprzód więc upatrzyła sobie dwie osobistości, które w danym wypadku mogły być najwięcej pożyteczne, t. j. Szczęsnego Potockiego, który prawie od pieluch był wiernym i oddanym Rosyi oraz Rzewuskiego, który z wroga stał się sprzymierzeńcem Rosyi w tem przekonaniu, że Rzeczpospolita bez pomocy Rosyi ostać się nie może.

W chwili bardzo dogodnej dla Rosyi odezwał się z Wiednia listownie Szczęsny do Potiemkina, który naówczas przebywał w Jassach. Potocki przybył do Wiednia, aby Leopolda podburzyć przeciwko konstytucyi 3 maja, ale napotkawszy grunt zupełnie nieodpowiedni, postanowił udać się po pomoc do Petersburga. Potiemkin przesłał natychmiast list Szczęsnego cesarzowej, a ta wydała tajny reskrypt na ręce Potiemkina, w którym znajdowały się szczegółowe instrukcye, jak należy wyzyskać na dobie będące zgłoszenie się Potockiego. Cesarzowa zgadzała się na zawiązanie konfederacyi, na czele której stanąłby Potocki z Rzewuskim. Konfederacyę powyższą obiecywała poprzeć swemi wojskami, ale stanowczo pragnęła wystąpić dopiero po zawarciu pokoju z Turcyą i zastrzegała sobie najwyraźniej, że inicyatywa do jej interwencyi w sprawach polskich wychodzi od Polaków, którzy ją ubłagali, aby ratowała ich dawne wolności. W dodatku cesarzowa zastrzegała sobie, aby Potocki z Rzewuskim przybyli do Jass, w celu osobistego porozumienia się i ułożenia wspólnej kampanii z Potiemkinem. Obaj polscy magnaci przybyli do Jass, prawie w tym samym dniu, kiedy Potiemkin pod Jassami zmarł na rękach hetmanowej Branickiej. Strwożeni tym nagłym i nieoczekiwanym

wypadkiem, zniknęli oni z Jass, ale Bezborodko przysłany na miejsce Potiemkina dla zawarcia pokoju z Turcyą i dla wzięcia sprawy polskiej w ręce, wezwał ich do powrotu. Bezborodce zdawało się, że pewna skrytość byłaby pożyteczna negocyacyom i w tym celu proponował polskim magnatom, aby obrali siedzibę w wiosce Czerdak, odległej o milę od Jass, w której lubił odpoczywać i polować Potiemkin. Potocki i Rzewuski odpowiedzieli na to Bezborodce, iż nie uważają za stosowne otaczać działalność swoją jakąkolwiek tajemnicą. Urządzili się też świetnie w Jassach, a Rzewuski imponował mieszkańcom, przejeżdżając się po ulicach pojazdem i cugami Potiemkina, w czem udział przyjmować Potocki uważał za niestosowne.—Wkrótce do Jass przybył Branicki, niby do żony i w celu uregulowania spadku po Potiemkinie. W tem też gronie, do którego należała i żona Branickiego, odbywały się narady z Bezborodką, w których ułożono cały plan konfederacyi. Do Jass przybywali także gońce w imieniu króla i Rzeczypospolitej, aby upomnieć upornych spiskowców i skłonić do powrotu do ojczyzny. Stanisław August przeczuwał, że wszelkie jego posłannictwa do Szczęsnego na nic się nie zdadzą, ale mimo to wysłał do Jass Stanisława Potockiego, z listem niezmiernie ujmującym do Szczęsnego, aby powrócił do kraju i obowiązków publicznych. Pomimo wzruszenia, jakie chwilowo ogarnęło Potockim, wytrwał w uporze i wszelkie zabiegi królewskie okazały się daremne.

Otoczenie cesarzowej w Petersburgu miało jednak co do wierności magnatów polskich pewne obawy i wątpliwości. Bezborodko musiał kilkakrotnie wykazywać płonność tych podejrzeń i skłonił Katarzynę, iż mimo zajęć, na które się uskarżała, postanowiła przyjąć uroczyście w Petersburgu Potockiego i Rzewuskiego i nadać sprawie interwencyi w Polsce poważną postać. Potocki i Rzewuski, po przybyciu do Petersburga, otrzymali audyencyę u cesarzowej w przytomności jednego tylko Zubowa. Doręczyli oni Katarzynie prośbę uniżoną o udzielenie im łaskawej opieki i powrócenie im dawnej wolności, zniszczonej przez konstytucyę 3-go maja. Cesarzowa przyrzekła im swą łaskę i, za poradą Bezborodki, zaraz po zawarciu pokoju z Turcyą, armia powracająca z kampanii tureckiej, pod dowództwem Kachowskiego i Kreczetnikowa, miała wkroczyć w dzierżawy Rzeczypospolitej i dać konfederacyi Targowickiej należyte poparcie. Do wprowadzenia w rzeczywistość powyższego planu dopomogły wypadki w r. 1792. Przedewszystkiem pokój z Turcyą został zawarty, zostawiając cesarzowej Katarzynie wolne ręce. Następnie zmarł Leopold au-

stryacki, którego sympatye dla konstytucyi 3 maja były wiadome, a w końcu Prusy nie myślały bronić Rzeczypospolitej wobec Rosyi i przemyśliwały jedynie, jak najobficiej obłowić się przy oczekiwanym i wiszącym w powietrzu nowym podziale Rzeczypospolitej.

Stanisław August przyszedł wówczas do przekonania, że został najzupełniej wyprowadzony w pole przez dwór pruski. Widział on, że na wypadek wojny z Rosyą, nie może liczyć na najmniejszą pomoc od swego sprzymierzeńca, a śmierć cesarza Leopolda pozbawiała go poparcia moralnego i ze strony Austryi. Wtedy też, gdy Bułhakow wręczył Chreptowiczowi notę swojej monarchini, domagającą się powrotu do gwarantowanej przez mocarstwa konstytucyi Rzeczypospolitej, tenże na pożegnalnej biesiadzie zapytał Bułhakowa, czyby się niedało zawiązać negocyacyi z dworem rosyjskim. Dwór pruski wprowadził nas w matnię i zdradził nas najzupełniej, oświadczył Chreptowicz; chociaż dla tego samego, ażeby się odpłacić należycie wiarołomnemu sprzymierzeńcowi, król gotówby był nawiązać stosunki z Rosyą i szukać porozumienia się z cesarzową. W tym właśnie celu Stanisław August polecił księciu Józefowi unikać, o ile możności, wojennego starcia, aby odwlec stanowcze zerwanie. Bułhakow przyjął życzliwie wszelkie oświadczenia Chreptowicza, zaznaczając wszelakoż, iż tylko na podstawie doręczonej noty, która domaga się usunięcia konstytucyi 3 maja, może przystąpić do negocyacyi. Zresztą wszelkie oświadczenia Stanisława Augusta, gotów jest bezwłocznie przesłać cesarzowej do uwzględnienia. Czas do negocyacyj dyplomatycznych minął już bezpowrotnie. W chwili, gdy Chreptowicz żegnał Bułhakowa biesiadą, wojska rosyjskie wkraczały w dzierżawy Rzeczypospolitej i tylko miecz mógł rozstrzygnąć dyplomatyczny spór między obu państwami.

Dziejopis rosyjski nie wyczerpał literatury polskiej, odnoszącej się do powyższej epoki, chociaż znał i spożytkował ważniejsze prace, jak np. Kalinki i Smoleńskiego. Również literatura niemiecka, francuska i angielska pozostały dlań pod tym względem obcemi. Jedynie w dziedzinie źródeł rosyjskich autor objawił pewną skrzętność w zgromadzeniu ich, ale i w tym kierunku zadowolnił się dokumentami drukowanymi w „Ruskoj Starinie“ lub w „Ruskom Archiwie,“ a nie czynił poszukiwań samoistnych, źródłowych. Studyum autora nie jest więc wyczerpującem i pod względem głównego kierunku badania, t. j. nie daje nam wykończonego obrazu zachowania się Rosyi względem konstytucyi 3 maja, ale za to pod względem przedmiotowo-

ści badania, poczucia sprawiedliwości i dążenia do odtworzenia prawdy—praca p. Timoszczuka zadowolni badacza i czytelnika polskiego. Niema w jego studyum żadnej zjadliwej tendencyi i popisywania się z obłudną historyozofią. Jest więc w pracy dobra wiara, nadająca studyum p. Timoszczuka niewątpliwą wartość, którą polscy badacze uwzględnią i ocenią.

A. R.

---

GENERAŁ KWADRI. *Święta cesarza Aleksandra I w polskiej armii.* 1905. (Po rosyjsku).

Autor rozpoczął opowieść od utworzenia armii polskiej w roku 1815, przytem nie omieszkał cofnąć się wstecz i skreślić w sympatycznych rysach zasługi bojowe armii Księstwa Warszawskiego. Począwszy od r. 1815 autor przedstawia szczegółowo troskliwe zajęcie się Aleksandra I wojskiem polskiem, a przedewszystkiem usilne starania naczelnego wodza W. Księcia Konstantego, aby wojska polskie wyrobieniem i służbistością przewyższyły nie tylko wojska rosyjskie, ale i wszelkie wojska europejskiego kontynentu. Autor w pracy swojej posiłkował się obficie źródłami oraz ilustracyami polskiemi, ale przyznać trzeba, że nie zaniedbał i rosyjskich. Wszystkie pamiętniki rosyjskie zostały należycie wyzyskane i na podstawie źródeł polsko-rosyjskich odtworzony został udatny portret Aleksandra I i W. Ks. Konstantego. Pierwszy z nich odtwarza nam sympatyczną postać monarchy-wskrzesiciela i drugi nie jest pozbawiony pięknych barw, ale ostatecznie autor podzielił zdanie Szildera, utrzymującego, że jedna chwila zapalczywości u W. Ks. Konstantego kazała zapominać o wszystkich przymiotach, jakie posiadał, jako wódz naczelny wojska polskiego.

Zanim się autor zajął właściwem zadaniem swej pracy, to jest zanim skreślił historyę świty polskiej armii cesarza Aleksandra I, wymienił nazwiska tych wszystkich Polaków, którzy na początku wieku 19 otrzymali wyższe stopnie w świecie rosyjskiej Aleksandra I. Spotykamy w tym rzędzie na pierwszem miejscu Adama Ożarowskiego, który w r. 1807 został mianowany generał-adjutantem. Następnie w r. 1807 hr. Stanisław Potocki został general-adjutantem, a godności fligel-adjutantów otrzymali Włodek w r. 1808, Stanisław Branicki w r. 1809, Konstanty Lubomir-

ski w r. 1812 i w końcu hr. Jarosław Potocki. Wszyscy ci oficerowie byli w epoce wojen napoleońskich w bardzo fałszywem położeniu pozostając w rosyjskiej służbie. W r. 1812, zwłaszcza gdy na rosyjskich wodzów i oficerów padało podejrzenie nielojalności, Polacy tembardziej nie mogli się uwolnić od tego rodzaju następstw narodowego rozdrażnienia. W r. 1812 miał miejsce wypadek, który rzucił najniesprawiedliwsze podejrzenia na fligel-adjutanta ks. Lubomirskiego. W Smoleńsku, po odbytej radzie wojennej, pułkownik Toll zatrzymał się pod oknami mieszkania Lubomirskiego i opowiadał towarzyszom swoim o ruchach armii, które przedsięwziąć w najbliższej przyszłości należało. Lubomirski, usłyszawszy opowiadanie Tolla, uprzedził listownie matkę, mieszkającą w Jadach, iż zagraża jej w tej wiosce niebezpieczeństwo. List dostał się do rąk Murata, który stał kwaterą w wiosce księżnej Lubomirskiej i tym sposobem powstały podejrzenia bardzo przykre dla jej syna. Główna komenda rosyjska rozumiała jednak dobrze, że na charakterze Polaków świty rosyjskiej polegać można i że jedynie ze szczególnych, ówczesnych okoliczności wynikają wszelkie podejrzenia. Postanowiono też ułatwić im służbę wysyłając Włodka do Moskwy, Lubomirskiego do Petersburga a Branickiego i Potockiego do Gżatska. Fałszywe położenie Polaków w świcie rosyjskiej zostających, skończyło się z chwilą utworzenia Królestwa Polskiego. Prawie wszyscy ci oficerowie nosili w dalszym ciągu z chlubą mundur rosyjski i żadnemu z nich czynu niehonorowego zarzucić nie było można.

Do świty polskiej armii należał przedewszystkiem W. Ks. Konstanty, a jakkolwiek niema jego nominacyi na generał-adjutanta, w każdym razie nie ulega wątpliwości, że występował w mundurze świty wojsk polskich i kilkakrotnie się wyrażał, że noszenie polskiego munduru generał-adjutanta uważał i uważa za szczególną cześć. W r. 1815 mianowany został w świcie polskiej generał-adjutantem książe Antoni Sułkowski. W r. 1817 otrzymał tęż samą godność ks. Konstanty Czartoryski, w r. 1818 Wincenty Krasiński. Godność fligel-adjutanta polskiej świty otrzymał Fredro w r. 1817, Józef hr. Załuski w r. 1815 i Józef Szymanowski w r. 1818. Autor podał biografie dość ścisłe wszystkich oficerów polskiej świty cesarza Aleksandra I, a w dodatku zaopatrzył je podobiznami. Polski czytelnik doznaje bardzo przyjemnego wrażenia, czytając pracę generała Kwadri. Spotyka się w niej bowiem z wyrozumiałością, sprawiedliwym sądem i z tą wyjątkową przychylnością, jakiej nawet w tym stopniu u generała Szildera nie można było zauważyć. Wysokie przymioty, jakie generał

Kwadri w swej pracy okazał, sprawiły to niewątpliwie, że czytelnik polski z niecierpliwością oczekiwać będzie drugiego tomu, w którym spotkamy się z świtą polską cesarza Mikołaja I.

A. R.

---

J. G. *Materyały do dziejów Akademii Połockiej i szkół od niej zależnych* — Kraków, 1905, 8-o, str. 288.

Monografia p. J. G. stanowi IX tom cennego wydawnictwa „Materyały i opracowania, dotyczące wyższych zakładów naukowych w Polsce“ — wydawnictwa, które się walnie przyczyniło do poznania naszych ognisk oświaty i warsztatów pracy naukowej. Może żaden uniwersytet polski nie jest tak mało znany, jak istniejąca od 1812 do 1820 r. akademia jezuicka w Połocku, która w dziejach naszej umysłowości zajmuje odrębne, charakterystyczne stanowisko. P. J. G. nie pisał historyi, w ścisłem tego słowa znaczeniu, tej instytucyi, podał jeno przyczynki i źródła, które przeplata opowiadaniem o biegu życia tego zakładu. Autor wielce zacieśnił wybór materyału i pominął niesłusznie rzeczy, któreby dawały poznać ducha i fizyognomię uczelni połockiej, a strona ta stanowi niewątpliwie ciekawą kartę z przeszłości oświaty polskiej. Akademia połocka była zakładem niemal średniowiecznym: na katedrach kwitła scholastyka, profesorowie głosili zasadę, że wszystkie nauki są służebnicami teologii; organ akademicki „Miesięcznik Połocki“ szerzył konserwatyzm, ślepe trzymanie się tradycyjnych powag i niewolnicze naśladowanie przekazanych wzorów, a wszelkie zdobycze myśli wieku XVIII-go potępiał w czambuł. Postępowy odłam społeczeństwa ówczesnego zwalczał takie tendencye, zwłaszcza wstecznictwo akademii, które niekiedy przechodziło wszelkie granice. Ta walka przekonaniowa, której ślady znamienne pozostały z jednej strony na szpaltach „Miesięcznika Połockiego,“ z drugiej w „Dzienniku Wileńskim,“ „Pamiętniku Warszawskim“ i „Wiadomościach Brukowych“ — w historyi umysłowości naszej jest pierwszym poważnym objawem ścierania się dwóch prądów: reakcyi i postępu.

Najnowszy dziejopis tej twierdzy obskurantyzmu, jaką była w opinii najświatlejszych mężów ówczesnych, akademia w Połocku, zwana ironicznie smorgońską, nie tylko, że nic nie podaje z tych wielce ciekawych artykułów i broszur polemicznych, ale

całkiem zamilcza o zmagających się kierunkach myślowych; przytoczenie zaś tych charakterystycznych poglądów było stokroć ważniejsze, niżeli przedrukowywanie setek nazwisk celujących uczniów.

Jeśli autor pomija zupełnie tę stronę umysłowego życia opisywanej akademii, to nie zatrzymuje się także zgoła na stanie nauk w tym zakładzie. Chmielowski w swej pracy (Ateneum 1883), która autorowi nie jest znana, rozpatruje jedynie artykuły uwydatniające *przekonania* mistrzów połockich, a dotąd wcale nie zbadano, jak i czego tam uczono, co stanowi kwestyę pierwszorzędnej doniosłości. Wprawdzie autor podał in extenso kilka prospektów wykładów, atoli nie wystarczają one do wyrobienia dokładnego pojęcia o poziomie wiedzy. Materyał taki zawierają rozprawy naukowe, zagajenia kursów, zamieszczone w „Miesięczniku Połockim," tudzież dzieła, wydane osobno, aliści autor nie wyszczególnia je nawet ściśle bibliograficznie, a choćby krótkie scharakteryzowanie paru prac przekonałoby daleko więcej o ich wartości, niż panegiryczne określenia: np., autor wielce chwali uczoność i różne przymioty Angioliniego (str. 216), ale o głównym produkcie jego talentu: „Institutiones philosophiae" (Połock 1819), nie mówi nic a nic.

Wogóle autor nie wyprowadza na widownię ludzi, lecz same ich nazwiska, nie kusi się wcale o charakterystykę wybitniejszych osobistości; wylicza zaś mnóstwo imion i dodaje zawsze stereotypowe pochlebne wzmianki, nie rozróżniając zupełnie ziarna od plewy. Przypomina to dawny sposób pisania żywotów jezuitów, gdy każdy był clarisimus i celeberrimus, atoli obecnie takie gołosłowne określenia nie mają znaczenia. Bezstronniejsza, głębsza i więcej wyczerpująca ocena profesorów połockich, była koniecznym postulatem dla specyalnej pracy o tym instytucie naukowym. Gdyby autor należycie poznał niektóre ich rozprawy i rozejrzał się w ówczesnych czasopismach, znalazłby dane do charakterystyki i prawdziwej oceny; biorę na chybił trafił: „jezuici połoccy szczycili się swoim leksykografem Antonim Korsakiem, dodatni sąd o nim krystalizuje historyk piśmiennictwa tego zakonu [1]), za nim powtarza to samo ze zwykłą powierzchownością, Sobieszczański [2]), a tymczasem słynny filolog, profesor uniwersytetu wileń-

[1]) *Brown*, Biblioteka pisarzów assystencyi polskiej Towarzystwa Jezusowego — Poznań, 1862, str. 230.

[2]) Encyklopedya powszechna, T. XV, 1864, str. 530.

skiego, Ludwik Sobolewski, w rozbiorze zachwalonego słownika, dowodzi, że to marna kompilacya z Knapiusza, i że wiadomości lingwistyczne Korsaka były bardzo niedostateczne“ [1]). Nie znaczy to wcale, aby wśród profesorów uniwersytetu w Połocku nie było ludzi wykształconych i zdolnych, ale właśnie trzeba było ich wyeliminować, gdyż giną oni w lesie monotonnych i szablonowych ogólników autora i nikt nie zda sobie jasno sprawy, iż pomiędzy mnóstwem tych miernot byli utalentowani i nauczali z pożytkiem; wymowny Rajmund Brzozowski, znawca i miłośnik literatury polskiej, Piotr Hawryłowicz, biegły filolog i dobry nauczyciel, Wincenty Buczyński, cięty polemista, głowa tęga i rozumna, przytem myśliciel niepowszedni.

Nie znajdujemy w tem dziele zogniskowania w jedno donioślejszych stron działalności akademii, podsumowania jej wad i zasług, jednem słowem ogólnego poglądu na znaczenie i wartość tej instytucyi; autor bardzo optymistycznie i pochlebnie wyraża się o akademii połockiej (str. 67), atoli sąd swój nie osnuł na żadnych przesłankach, ani na faktach, gdyż zbył milczeniem najgłówniejsze kwestye, nie pogłębił rzeczy i nie odróżnił stron ważnych od błahych. Ponieważ połocka akademia jest znaną badaczom i to dość specyalnym, przeto po przeczytaniu tej księgi czytelnik może nabrać zupełnie opacznego pojęcia o tem ognisku oświaty.

Dość długo w piśmiennictwie naszem krążyły ujemne zdania o wartości uniwersytetu w Połocku: mówiono o zacofaniu, o nizkim stanie umiejętności, o braku rzetelnej nauki w pracach i wykładach profesorów etc. Były głosy i inne, starające się przedstawić, iż jezuici połoccy dobrze się zasłużyli oświacie, szerząc naukę prawdziwie chrześcijańską i tylko krótkość czasu stanęła na zawadzie rozkwitowi wiedzy. Ci, co formułowali swoje zarzuty przeciw szkole połockiej, lub jej bronili, opancerzali się szeregiem dowodów i argumentów. Autorowi zgoła nie są znane ani opinie współczesnych, ani sądy potomnych, przytacza jedynie pochlebne zdanie Strutyńskiego (Berlicza Sasa str. 132), a o innych głucho zupełnie. Rozbieżność zdań co do tego zakładu ma głębsze znaczenie: późniejsze ścieranie się prądów umysłowych posiada punkty styczne z antagonizmem uniwersytetu wileńskiego i akademii połockiej. Gdy nie stało obydwóch wyższych szkół na Litwie, obozy, których wyrazicielkami były wyżej wymienione

[1]) Dziennik wileński, 1819, T. I, 607 i następ.

wszechnice, skoncentrowały się z jednej strony w „Rubonie," redagowanym przez Bujnickiego, z drugiej w „Athenaeum" Kraszewskiego. Szermierzem tych zasad, które ongi propagował „Miesięcznik Połocki," stał się później w innej dzielnicy naszego kraju „Przegląd" poznański. Z biegunowo odrębnych stanowisk zapatrywania się wypływa sprzeczność poglądów, a właśnie ich beznamiętna analiza była niezbędną przy ocenie tej akademii, a nadto rozjaśniłaby niejednę kwestyę w kierunkach naszej umysłowości.

Kto jest nieprzychylny dla jezuitów połockich, zasługuje od autora na naganę, a jednym z takich był Jan Śniadecki; to, co autor przytacza z listów, drukowanych u Balińskiego, a co się mu tak nie podoba, jest jeszcze bardzo spokojne, w porównaniu z poufnemi zwierzeniami Śniadeckiego. Jak jezuici musieli mu dopiec do żywego, skoro w kilkanaście lat po znanych jego zatargach, nie może ukryć swego oburzenia i wypowiada swoje mniemanie bez ogródki: „Wielkie zrobił dla kraju dobrodziejstwo Senat krakowski, że nie dopuścił jezuity do katedry w uniwersytecie. Wszyscy tu błogosławią cesarza Aleksandra I za wypędzenie z kraju tego szkodliwego towarzystwu, moralności, a nawet samej religii zgromadzenia. Byli pod moim zarządem lat cztery, przypatrzyłem się ich sprawom i postępkom, a chcąc podnieść zgubioną przez nich na Białej Rusi instrukcyę szkolną, podawałem im radę prawdziwie przyjacielską i na ich korzyść, której nietylko nie przyjęli, ale przez podstępy, kabały i kłamstwa, wyrobili się na akademię od uniwersytetu niezawisłą; a bez nauki, bez talentu utrzymywali się przez kilka lat samą obłudą i oszustwem, aż do swego upadku, który im przepowiedziałem" [1]).

Niepochlebne też zdania czytamy u historyków ze szkoły wileńskiej: u Jochera, Styczyńskiego, Balińskiego, Rogalskiego, Kirkora, którzy podkreślają nieudolność uczonych połockich, prawią o zaciśnieniu i zaśniedziałości pojęć, niekiedy nawet ośmieszają ten zakład, a w ostatecznej konkluzyi mówią zgodnie, że ta akademia nie miała żadnej wartości. Jakże odmiennie brzmią głosy innych, przeważnie uczniów tej szkoły, którzy imiona profesorów nazywają świętemi, zachowują dla nich wdzięczność i uznanie za światło udzielane sobie i wogóle z najwyższą przyjemnością wspo-

[1]) List do prof. Franciszka Szopowicza dnia 20 lipca 1827 r. z Wilna. Kodeks Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego № 3139.

minają czasy akademickie.[1]) Sprzeczność ta jest dość zrozumiała: dla tych, co krytykowali szkołę w Połocku, miarą wartości był uniwersytet wileński, który kwitnął w całej świetności i musiał swą sławą tak olśniewać, że w jego promieniach zgasłaby nie jedna instytucya, a nie tylko akademia połocka, która znakomitemi siłami pochlubić się wcale nie mogła. Późniejsi pisarze, którzy potrącali o tę sprawę, tak samo rozmaicie twierdzą, jedni (Załęski, Helleniusz, Wołyniak) przypisują akademii duże zasługi, drudzy wygłaszają opinie ujemne, choć nie tak namiętne, ale podobne do twierdzeń wileńczyków, jak Feliks Zieliński i Piotr Chmielowski.

Za dalekoby nas zaprowadziło roztrząsanie tych poglądów; krótko mówiąc, ani jedna ani druga strona nie mają całkowitej słuszności: akademia połocka nie była bynajmniej zakładem, któryby zaznaczył wydatnie swoje istnienie w dziejach naszej nauki, brakło w niej ludzi, prawdziwie oddanych wiedzy, która na katedrach, z wyjątkiem paru, była w mizernym stanie; niemniej przeto choć słabo, ale szerzyła oświatę, posiadała kilku ludzi zdatnych, którzy umieli dobrze wykładać i potrafili wzbudzić poszanowanie i przywiązanie wśród młodzieży; następnie akademia, występując jako rzeczniczka pewnych poglądów, wywoływała protesty i polemiki, a spory te przyczyniły się do podniesienia wielu kwestyj literackich, społecznych i pedagogicznych. Napadać na akademię za obstawanie przy konserwatywnych pojęciach nie ma racyi, ponieważ one miały wielu stronników wśród społeczeństwa na Białej Rusi, a ścieranie się oddmiennych światopoglądów wpływa niezmiernie dodatnio na ruch umysłowy. Teraz uwierzyć trudno, iż wtedy w dalekim Połocku wychodziło czasopismo polskie, poruszające najrozmaitsze zagadnienia myśli ludzkiej—a to jedno już stanowi zasługę tej akademii.

Najkardynalniejszą wadą omawianej monografii jest małe wyzyskanie literatury przedmiotu; autor pomija milczeniem wiele rozpraw, a z niektórych, choć je cytuje, nie korzysta należycie. Z tego wypływają liczne usterki, które w krótkiem sprawozdaniu

[1]) Ob. *Jurkowski Aleks.* Pamiętnik naukowo-literacki, 1850, VI, str. 160; *Barszczewski Jan*, Rocznik literacki, 1844, str. 144—147; *Połocki Leon*, Urywek ze wspomnień—Poznań, 1876, str. 59; oraz liczne głosy przytacza *Rettel* w Roczniku Tow. hist.-liter. w Paryżu, 1873—78, II, str. 260. Na uboczu od tego chóru uznania stoi ujemny sąd wychowańca, Sergiusza Majewskiego—ob. Russkaja Starina, 1873, VIII, str. 130.

trudno wyszczególniać. Drugą wadą jest stronność autora, która najdobitniej uwydatnia się w rozdziale o sporach jezuitów z uniwersytetem wileńskim (str. 35—42): tendencyjne przedstawienie całej sprawy, niesłuszne pomawianie Jana Śniadeckiego o jakąś napaść, wymagałoby zbijania od początku do końca tych twierdzeń. Przytem genezę erekcyi akademii w Połocku przedstawił autor niewyczerpująco, nie zapoznał się bowiem z najważniejszą suppliką jenerała Brzozowskiego, podaną 16 października 1811 r., którą pomieścił w anneksach Tołstoj do drugiego tomu swej książki. Pobieżnie przedstawia autor kwestyę rozdawnictwa stopni uczonych w akademii, przecząc oczywistym faktom: mamy liczne przykłady karygodnej pobłażliwości czy opieszałości profesorów połockich, którzy np. promowali na doktora prawa ograniczonego nieuka, Pawła Kukolnika, który potem wcisnął się na katedrę wileńską i zajął tak niefortunnie miejsce Lelewela.

Wiedzieliśmy trochę o akademii na Białej Rusi, na podstawie tomów Miesięcznika Połockiego, oraz tego, co nam dawały nieliczne rozprawy i przyczynki.[1]) Brakowało w nich wielu wiadomości, ponieważ autorowie traktowali niemal wyłącznie zewnętrzną stronę: inauguracyjny akt, fundusze, organizacyę i t. d.; nieliczni tylko sięgali głębiej i badali to, co stanowi najważniejszą stronę każdej wyższej instytucyi nauczającej: ducha, fizyognomię umysłową i stan wiedzy. P. J. G. poszedł pierwszą utartą drogą i zebrał to, co było więcej znane; pragnął dać źródła i historyczny obraz tego zakładu, ale te dwa cele chybiły: materyały ze-

[1]) Ponieważ autor nie podaje literatury, z której korzystał, przytaczamy w porządku chronologicznym autorów, którzy pisali o tej akademii: 1) *Wincenty Buczyński*, Rozbiór wiadomości, pomieszczonych w recenzyi poematu Połtawa — Połock, 1818. 2) *Adam Jocher*, Obraz bibliograficzny, T. I, Wilno, 1840. 3) *Franciszek Radziszewski*, O b. połockiej akademii (Rubon, 1847, T. VIII). 4) *Brown*, Biblioteka pisarzów T. J. Poznań, 1862. 5) *Michał Baliński*, Pamiętniki o Janie Śniadeckim, T. I, Wilno, 1865. 6) *Ks. Stanisław Załęski*, Hist. zostawienia jezuitów na Białej Rusi, Lwów, 1875. 7) *Helleniusz*, Kolegium połockie (Wspomnienia lat minionych, 1875, I). 8) *Dymitr Tołstoj*, Rimskij katolicizm w Rossii, 1876, T. II. 9) *Antoni Moszyński* Kolegium jezuickie w Połocku (Upominek wileński, 1880). 10) *Chmielowski*, Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (Ateneum, 1883 i osobno 1898) oraz artykuł jego w Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej, T. I, 1890. 11) *Sapunow*, Zamietka o akadiemii w Połockie, Witebsk, 1890. 12) *Pogodin*, wilenskij uczebnyj okrug Ptb., 1902 i tóm. po polsku o akad. połockiej, Ognisko, 1903, № 10. 13) *Ludwik Janowski*, Uniwersytet w Połocku (Kurjer litewski, 1905, № 73—74).

brał jednostronnie, a obraz wyszedł zamglony. Księga ta byłaby niezmiernie cenną, gdyby autor ograniczył się na skrupulatnem zebraniu źródeł, a pominął opowiadanie, które sporo miejsca zabiera, a jest nadzwyczaj powierzchowne. Ale i w takiej formie jak jest, może być ten zbiór wiadomości pożytecznym, gdyż zawiera sporo przedruków rzeczy wielce rzadkich, których trzeba często szukać z wielkim mozołem. Szerszego ogółu nie zapozna omawiana książka z losem wyższej szkoły na Białorusi, ponieważ zbyt sucho pisana, a przytem liczne źródła in crudo nie mogą stanowić strawnej lektury.

Jeżeli pierwsza część nie odpowiada wymaganiom naukowym, to druga, zawierająca wiadomości o niższych i średnich szkołach, podlegających zwierzchnictwu akademii połockiej, opracowana jest bardzo sumiennie; wprawdzie i tu autor nie pogłębia badań, atoli i znaczenie tych zakładów było nie wielkie, a faktami, po większej części nieznanymi, z dziejów tych szkół, zebranymi bardzo pracowicie, przysłużył się autor wszystkim pracownikom na polu przeszłości szkolnictwa polskiego.

Ludwik Janowski.

# Kronika miesięczna.

Wybory.—„Maryawici“ i ich działalność.—Przygotowania do strejku rolnego.—Trzy jubileusze: Orzeszkowej, Promyka i d-ra Biegańskiego.—Wspomnienie pozgonne: ś. p. Piotr Górski.

Po wielu latach opłakanych warunków naszego życia zbiorowego, po wielu latach ciężkiego borykania się z przeciwnościami losu, ciężkiej walki, w której jedynym orężem narodu był milczący protest—stajemy obecnie na progu nowej ery.

Zgodnie z wolą Monarchy i na podstawie wydanych już zarządzeń w czasie możliwie najbliższym zebrać się ma w Petersburgu Duma Państwowa, w której wezmą udział i nasi przedstawiciele, aby po raz pierwszy głośno i na mocy prawa przemówić w obronie spraw i najżywotniejszych interesów polskich.

Duma ta daleka jest wprawdzie od ideału reprezentacyi ludowej, a warunki, w których odbywać się mają wybory do niej wielce różnią się od warunków, jakie w okresie przedwyborczym panują w innych państwach europejskich, ale błędem politycznym nie do darowania byłoby odrzucenie *a limine* całej Dumy i udziału w niej dla tego, że konstytucya rosyjska nie jest konstytucyą rzeczywistą, a stan wojenny tamuje swobodę agitacyi politycznej, przedwyborczej.

Zapewne — jest to niepożądane i smutne, ale czyż dla tego mamy wyrzekać się dobrowolnie prawa do jawnego zaniesienia przed oblicze Izby petersburskiej skargi uzasadnionej na samowolę władz administracyjnych, na te nadużycia, które w ciągu długich lat paraliżowały nasz rozwój społeczny i ekonomiczny i doprowadziły nas do tego, że mając wszelkie dane do zdobycia prawdziwej cywilizacyi i kultury, stoimy dziś na szarym końcu

wśród narodów europejskich i ustępujemy nawet pod niektóremi względami nikłym państewkom półwyspu Bałkańskiego, Serbii i Bułgaryi?

Nie. Ta skarga musi być zaniesiona. Ten głos musi się odezwać, musi zabrzmieć z trybuny parlamentarnej.

I zrozumiały to wszystkie uświadomione politycznie warstwy narodu. Zrozumiały wszystkie stronnictwa, dla których sprawa narodowa jest osią, dokoła której gromadzą się dopiero inne sprawy.

Inaczej postąpiły sobie partye skrajne. Te odrzucają Dumę jaknajkategoryczniej i występują przeciw niej jak najostrzej.

Wytworzyło to położenie dla kraju niepożądane. Zamiast zgodnych usiłowań do wybrania reprezentacyi najodpowiedniejszej, w której znaleźliby się rzecznicy wszystkich spraw, wszystkich warstw — podzieleni jesteśmy w chwili obecnej na dwa wrogie obozy, z których jeden pragnie przeprowadzić wybory, drugi — wszelkiemi dozwolonemi i niedozwolonemi środkami pragnieniom tym przeszkadza i akcyę przedwyborczą paraliżuje.

Zwłaszcza w Warszawie walka ta w ostatnich swoich momentach przybrała charakter wprost oburzający.

Na dwa zebrania przedwyborcze, jedno, urządzone przez „Spójnię“ w Resursie Obywatelskiej, drugie przez stronnictwo Demokratyczno-narodowe na Pradze, wtargnęli przedstawiciele Socyalnej Demokracyi i przy pomocy rewolwerów usiłowali rozpędzić zgromadzonych, przeszkodzić ich obradom, sterroryzować ich i zniechęcić do akcyi wyborczej wogóle.

Inna rzecz, że im się to nie udało.

Fakt jednak pozostaje faktem i ponuro zarysowuje się na tle chwili, w której bądź co bądź rozbrzmiewają hasła wolności obywatelskiej.

Socyaliści w pojmowaniu tych haseł zeszli jednak całkowicie na manowce. Ich taktyka, oparta na nienawiści, wydaje, jak to już zaznaczyliśmy poprzednim razem, gorzkie owoce i wprowadza do sfanatyzowanych doktrynią socyalistyczną głów—istny zamęt pojęć. Wskutek tego wolność identyfikuje się tam z samowolą, w imię wolności dokonywane są gwałty i pospolite zbrodnie.

Działanie takie wyrządza całemu społeczeństwu i całemu narodowi szkodę niepowetowaną. Cofa nas ono z drogi prawdziwego rozwoju i pcha ku wojnie domowej, która byłaby największą z klęsk, jakie w ciągu ostatnich czasów spadły na nas.

Przeciwdziałać temu jest obowiązkiem wszystkich, a zwłaszcza tych przywódców ruchu socyalistycznego u nas, których „newroza“

rewolucyjna nie pozbawiła zdrowego rozsądku i którzy mają dość rozumu politycznego na to, aby widzieć, że wzrost anarchii w kraju może wytworzyć falę, która nietylko zatopi i pochłonie kulturę kraju, ale pogrzebie także to, co stronnictwa socyalistyczne uważają za swoją zdobycz trwałą i co daje im racyę bytu w społeczeństwie.

Ale wracamy do wyborów.

Zdrowa myśl polityczna, licząca się z potrzebami i korzyściami narodu, ma to do siebie, że zwykle zwycięża, nie uciekając się do żadnych środków nadzwyczajnych, nie agitując na swoją korzyść, nie werbując sobie zwolenników podstępem. Zwycięża swoją mocą własną, swoją ważkością, swoją prawdą, która w niej tkwi.

Należy też przypuszczać, że wybory pomimo wszystko odbędą się i że jeżeli tylko Duma dojdzie do skutku, to i posłowie nasi do Petersburga pojadą.

Wobec tego nie będzie przedwczesne pytanie, z czem mianowicie mają oni pojechać, co ma być dla nich busolą w postępowaniu, na czem swoją działalność poselską mają opierać, skąd mają czerpać siłę do walki, jaka ich niewątpliwie na arenie parlamentarnej czeka.

Zwięzła, krótka, treściwa odpowiedź na to mieści się w naczelnym punkcie wszystkich programów, z jakimi w ostatnich czasach wystąpiły działające w kraju stronnictwa i partye narodowe.

Punkt ten—to hasło *autonomii Królestwa Polskiego*, autonomii *z Sejmem w Warszawie*, jako władzą wykonawczą kraju we wszystkich jego sprawach wewnętrznych i *z władzami wykonawczemi*, wychodzącemi z łona naszego społeczeństwa, a przed tym Sejmem odpowiedzialnemi.

Wywalczenie zasady ustroju autonomicznego Królestwa musi być pierwszym i głównym celem przedstawicielstwa polskiego w Dumie, która, nawet przy najlepszej swojej organizacyi nigdy nie będzie mogła posiadać kompetencyi dostatecznej do decydowania w sprawach wewnętrznych naszego kraju.

Duma petersburska może i powinna przyznać nam tylko autonomię, nic więcej, podstawy zaś tej autonomii winien już określić Sejm pierwszy, zwołany w Warszawie, na zasadzie sformułowanego w ostatnich czasach i przyjętego zgodnie przez wszystkie stronnictwa poczwórnego prawa wyborczego, powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego.

Oczywiście, nie można się łudzić co do tego, że posłowie nasi pojadą dziś do Petersburga, a jutro zatelegrafują nam o uzyskanej autonomii. Przeciwnie — czekać ich będzie długa i uporczywa walka z nieprzyjaciółmi Polski, których w Rosyi jest jeszcze poddostatkiem i którzy z pewnością znajdą się także w Dumie Państwowej.

Z tego powodu, niezależnie od usiłowań osiągnięcia zasadniczej reformy autonomicznej, stałem dążeniem posłów polskich w Dumie, niezależnie od tego, do jakich stronnictw będą oni należeli i jakie zawiozą postulaty społeczne i ekonomiczne, powinno być: zaprowadzenie języka polskiego, jako urzędowego, w jaknajszerszej mierze w administracyi i w sądownictwie, oraz spolszczenie ich składu osobistego; uregulowanie kwestyi szkolnej, która siłą faktów została rozstrzygnięta w ten sposób, że działanie szkoły rosyjskiej w naszym kraju jest już niemożliwe; zdobywanie, wreszcie, wszystkiego, co w uwzględnieniu odrębnych potrzeb i warunków Król. Polskiego prowadzić będzie do politycznego wyodrębnienia nas od reszty państwa.

Te trzy postulaty powinny być wysunięte przez wszystkich posłów i silnie przez nich bronione, gdyż tylko przy samoistnej organizacyi politycznej, przy całkowitej możności stanowienia o swych urządzeniach wewnętrznych, przyszłość może nas doprowadzić do pożądanych reform społeczno-ekonomicznych, zdążających do podniesienia dobrobytu i kultury kraju, a przedewszystkiem do wszechstronnego podźwignięcia ludu, który jest zrębem naszej siły narodowej.

Reform tych, ich zakresu, rozległości i charakteru nie dotykamy, są to bowiem już rzeczy dalsze i zależne od wzajemnego porozumienia się stronnictw, z których jedne mają dalej idące programy, jak N. D., inne są oględniejsze, więcej ostrożne, jak „Spójnia“ i „Realiści.“

Pragnęlibyśmy natomiast zwrócić jeszcze uwagę na konieczność zasady solidarności przedstawicielstwa polskiego w Dumie.

Zasada ta musi być postawiona mocno i przestrzegana ściśle, przyczem posłowie polscy z Królestwa, Litwy i ziem ruskich powinni tworzyć Koło Polskie, występujące w Izbie, jako jedna całość, bez względu na dzielące ich opinie.

Bliższy w tym względzie regulamin uchwalić powinno Koło przy swojem zawiązaniu.

W sprawach czysto miejscowych, dotyczących z osobna Litwy, Rusi lub Królestwa, postanowienia frakcyj miejscowych Koła Polskiego powinnyby mieć moc obowiązującą dla całego Koła.

We wszystkich zaś sprawach, mających ogólno-narodowe znaczenie lub związanych z ogólną polityką polską — decyzya należeć winna do całego Koła.

Mając na widoku te zasady, powinniśmy dążyć do przeprowadzenia wyborów w kraju i powierzenia mandatów poselskich takim ludziom, którzy nietylko odczuwają poważnie i rozumieją potrzeby kraju, nietylko są zdolni do pracy w zakresie przygotowań ustawodawczych, ale odznaczają się głębokiem umiłowaniem ojczyzny, osobistym hartem i odwagą, potrzebną do niezbędnej obrony sprawy naszej we wszelkich, choćby najbardziej nieprzyjaznych warunkach.

Ludzi takich mamy niewątpliwie pośród siebie, ale nie wszyscy oni stoją na widowni i narzucają się *à priori* opinii swoich współobywateli. Niejednego z nich trzeba dopiero odszukać i z zacisza domowego lub ze skromnego koła pracy społecznej na głębokiej prowincyi wyprowadzić na arenę szerszą. W tym właśnie celu potrzeba jest wielka zwoływania zebrań przedwyborczych, wzajemnego porozumiewania się i obmyślania takich sposobów głosowania, które przy obecnej ordynacyi wyborczej nie prowadziłyby do szkodliwego rozstrzeliwania głosów przy wyborach ostatecznych.

Jakoż w Warszawie odbyło się już takich zebrań sporo, przyczem ujawniło się, że porozumienie wzajemne i solidarność w niektórych okręgach miasta są wprost nieodzowne, w braku ich bowiem z okręgów tych mogą wyjść, jako wyborcy, ludzie dla polskiej sprawy narodowej usposobieni wrogo lub obojętnie. Tak np. w okręgu XI (Mokotowskim) ilość prawyborców Rosyan jest stosunkowo tak znaczna, że mogą oni z łatwością zepsuć sprawę ludności polskiej, o ile ta nie będzie szła zwartym szeregiem do urny i nie porozumie się zawczasu co do wyboru kandydatów. Wszelkie rozstrzelenie głosów polskich, grozi tam poprostu niebezpieczeństwem.

Również i na prowincyi ruch przedwyborczy zaczął się w ostatnich czasach ożywiać, aczkolwiek warunki akcyi wyborczej są tam bez porównania gorsze, niż w Warszawie.

Wypowiedzenie się opinii kraju jest tam niepomiernie trudne, dzięki kleszczom, jakie zacisnął nad wielu powiatami stan wojenny, silniej dający się odczuwać, wbrew wszelkim przypuszczeniom, na wsi, niż w miastach większych.

Pod osłoną stanu wojennego odbywają się nieustannie liczne areszty. Tysiące obywateli kraju zamknięto w więzieniach lub skazano na banicyę i w ten sposób odebrano głos tym właśnie,

którzy w danej chwili mogliby i powinni przemawiać, organizować i prowadzić lud do wyborów.

„W państwie konstytucyjnem — głosi w tym przedmiocie jedna z odezw wyborczych — gdzie obywatele mają zawsze możność odwołać się do prawa, moglibyśmy nie uznać wyborów, odbywających się w takich warunkach i do nich nie stanąć. Ale w państwie rosyjskiem, gdzie jednocześnie z nadaniem praw obywatelom, władze jakby dokładają wszelkich usiłowań, aby im korzystanie z tych praw utrudnić, *musimy dążyć do wybrania swego przedstawicielstwa*, pomimo wszelkich przeszkód, pomimo nadużyć, skierowanych do pozbawienia nas głosu.“

Uznając ten pogląd za całkowicie słuszny i jedynie obywatelski w tych ciężkich czasach ogólnego zamętu, podkreślamy raz jeszcze potrzebę wzięcia udziału w wyborach przez jaknajszersze warstwy narodu.

Wszyscy, którym sprawa narodowa przyświeca, jak latarnia, wskazująca drogę okrętom podczas mgły nocnej, wszyscy, którzy ponad interesy warstw poszczególnych stawiają dobro i przyszłość kraju — powinni, nie oglądając się na żadne przeszkody, nietylko sami brać udział w ruchu wyborczym, ale oddziaływać w tym kierunku na swoje bliższe i dalsze otoczenie, ale uświadamiać tych, którzy albo przez bierność i apatyę uchylają się od spełnienia swych obowiązków obywatelskich, albo nie zdają sobie dostatecznie sprawy z ich wagi i powagi, wskutek nieoryentowania się w sytuacyi politycznej.

Bo oto nadszedł czas, w którym wiele zależy od nas samych i jeżeli z chwili tej nie skorzystamy należycie lub skorzystamy nieumiejętnie — będzie to już naszą własną winą, nietylko wobec samych siebie, ale i wobec przyszłych pokoleń, które będą miały prawo sądzić nas i nasze postępowanie.

*

* *

Na horyzoncie naszego życia ukazała się nowa luna pożarna. Zabrzmiał nowy dzwon alarmowy, a serca ludzi, miłujących ojczyznę, napełniły się nową troską poważną.

Oto stoimy wobec niezdrowego ruchu religijnego, wobec sekciarstwa, dotąd w łonie kościoła katolickiego w Polsce nieznanego.

Od dłuższego już czasu krążyły po kraju wieści o sekcie *Maryawitów*, która popularną nosiła nazwę sekty „Czarnego Mankieta,“ gdyż zwolennicy jej, księża, odrzucili ze swego ubioru mankiety białe, płócienne, jako zbytek niepotrzebny.

Historya powstania tej sekty jest w krótkich słowach następująca:

Jeszcze przed laty kilkunastu O. Honorat, zakonnik-kapucyn z Nowego Miasta nad Pilicą zastanawiał się nad planem zreformowania duchowieństwa świeckiego w kierunku życia bardziej ascetycznego, bardziej oddalonego od uciech świata.

Pomiędzy penitentkami gorliwemi Ojca Honorata znajdowała się niejaka p. Kozłowska, z zawodu szwaczka. W jej posiadanie dostał się podobno częściowo opracowany plan reformy.

Wyjechawszy następnie do Płocka, Kozłowska przerobiła tam ów plan wspólnie z ks. Kowalskim i założyła z nim razem zgromadzenie ks. Maryawitów. Opracowane reguły zgromadzenia musiały się jednak bardzo różnić od planu Ojca Honorata, skoro ten zerwał wszelkie stosunki z inicyatorami.

Pierwszy zwrócił uwagę na działalność Maryawitów ówczesny biskup płocki, ś. p. ks. Szembek. Sekta nie uzyskała jego aprobaty. Księżom zakazał on zebrań, wskutek czego środek ciężkości zgromadzenia przeniósł się do Warszawy.

Ruch, obudzony i kierowany przez fanatycznych księży Maryawitów, powoli zaczął ogarniać trzy dyecezye: warszawską, płocką i lubelską, w których też dziś głównie się szerzy.

Początkowo zgromadzenie ks. Maryawitów miało charakter czysto duchowy, zmierzający istotnie do podniesienia poziomu życia duchowieństwa z dodaniem pewnych praktyk mistycznych.

Później jednak, księża, pozostawieni bez żadnej kontroli i dozoru, poczęli szerzyć propagandę pomiędzy ludem, rozszerzając nazwę „Maryawitów“ na wszystkich swoich zwolenników.

Dowiedziawszy się o tem biskupi wystąpili energicznie przeciw księżom „Czarnego Mankieta.“

Rezultatem tego było poddanie całej sprawy pod sąd Ojca Świętego w Rzymie.

W roku zeszłym na ręce biskupów polskich nadeszła z Rzymu odpowiedź, mocą której polecono im rozwiązać zgromadzenia ks. Maryawitów i zakazać im wszelkich stosunków, nawet korespondencyi z panią Kozłowską, którą list kancelaryi rzymskiej uznaje bądź za osobę złej wiary, bądź też za podlegającą halucynacyom chorą, która powinna być oddana pod opiekę lekarską.

Polecenie Rzymu zostało formalnie wykonane. Wezwano ks. Maryawitów, zwrócono im uwagę na różne niewłaściwości ich postępowania, ale — kroków energicznych nie przedsięwzięto. Niektórych księży za karę przeniesiono na inne parafie, co w rezultacie sprzyjało tylko krzewieniu zasad sekty pomiędzy ludem innych okolic.

Siew nie ustał, a plon stawał się coraz obfitszy.

Określić istotę nauki Maryawitów nie jest łatwo, gdyż dotychczas brak odpowiednich do tego materyałów, a sprawa znajduje się jeszcze przeważnie w rękach reporterów dziennikarskich, którzy z natury rzeczy uwydatniają przedewszystkiem to, co większą zawiera w sobie sensacyę.

Zdaje się jednak, że jest to zlepek dobrego ze złem, zlepek średniowieczczyzny z zupełnie nowoczesnemi teoryami Tołstoja, który głosił zasadę „niesprzeciwiania się złu.“

Bo oto podobno Maryawici twierdzą między innemi, że człowiek niema wolnej woli, że istnieją tylko stany łaski Bożej i bezgraniczne oddziaływanie Ducha Świętego. Tak więc—*nie potrzeba pracować*, bo łaska Boża może dać wszystko, nie trzeba uczyć się, nie trzeba chodzić do lekarza, bo na chorobę najlepszem lekarstwem jest modlitwa, bo z łaski Bożej każdego Duch Święty oświecić może. Tak samo *szkodliwa* jest wszelka działalność *społeczna* i *polityczna*, odrywa bowiem od modlitwy, a w niczem nie wpływa na bieg rzeczy, zależny wyłącznie od woli Boskiej, której wyraz uzyskuje się praktykami religijnemi.

W życiu rodzinnem Maryawici zalecają jakoby małżeństwa t. zw. *ewangeliczne*, oparte na platonicznym stosunku między mężem a żoną. Każdy wierny składa śluby dobrowolnego ubóstwa, czystości, wstrzemięźliwości.

Światopogląd ogólny ma być następujący:

Maryawici są naczyniem, wybranem przez Boga do walki z Antychrystem, naczyniem, powołanem do odrodzenia ludzkości, zagrzęzłej w grzechu.

Antychryst — duch zła — objawia się między innemi w partyach i związkach politycznych i narodowych. Wziął sobie do pomocy Socyalną Demokracyę, Polską Partyę Socyalistyczną i Ligę Narodową czyli Demokracyę Narodową. Uzewnętrznia się to we wszystkich pismach i książkach, które są pisane i kierowane przez *Masonów* i nie powinny się dostawać do rąk wiernych. Między innemi zakazane są pisma ludowe: *Gazeta Świąteczna*, *Zorza*, *Ziarno* i *Polak*. Nadto wierni nie powinni również należeć do spółek włościańskich, ani do stowarzyszeń spożywczych, ani

do żadnych zrzeszeń, jako prowadzonych przez masonów. Kościół katolicki według tej nauki rozpada się obecnie. Duch szatana wstąpił nawet w biskupów. Jedynie Maryawici są powołani do jego odrodzenia i wrócenia mu dawnych tradycyj. W tym celu Ojciec Święty, który znajduje się w niewoli u biskupów, pisze do nich listy i zagrzewa ich do walki z przełożonymi.

Wszystko to świadczy, iż sekta operuje pojęciami średniowiecznemi, obliczonemi na ciemną i bezkrytyczną masę.

Z drugiej jednak strony wszelkie relacye, jakie dotychczas zdawane były o Maryawitach, świadczą jednogłośnie, że postępowanie i życie księży, należących do tej sekty, stoją po nad wszelką krytykę. Ascetyczni, wstrzemięźliwi, wegetaryanie—mówi specyalna ankieta „Pracy Polskiej“ – nie potrzebują nic, albo prawie nic, na zaspokojenie swoich potrzeb. To też zyskują wpływ i zaufanie swoich parafian dwoma przymiotami: wielką pobożnością i bezinteresownością.

Ale bezinteresowność ta jest tylko osobista i wyraża się w tem, że księża Maryawici biorą za obrzędy duchowne tylko tyle „co łaska,“ a więc najczęściej nic. Potrzeby kultu zaspokajają natomiast w inny sposób. Każdy wierny, przyjęty do Zgromadzenia, podzielonego na dziesiątki, płaci dwa złote i prócz tego opłaca rubla miesięcznie, lub, jak w niektórych okolicach, tylko 50 groszy od duszy. Niezależnie od tego, wierni obowiązani są co tydzień zakupywać wotywy składkowe po 25 rb. Następnie prowadzony jest dość szeroko handel świętościami, na co Maryawici, jak sami twierdzą, mają *monopol*, gdyż im jedynie przysługuje prawo udzielania większych odpustów. Więc medaliki wartości kilkogroszowej, sprzedawane są po 20 groszy i po złotówce, paski tercyarskie, niciane, tej samej wartości, po 40 kop. gospodarzom, a po 40 groszy służbie i t. d. Przyjmowane są również ofiary w naturze, jak zboże, nabiał, etc.

W ten sposób powstają znaczne fundusze, używane częściowo na upiększenie i utrzymywanie kościołów, częściowo zaś na inne potrzeby kultu, o których mogą wiedzieć oczywiście tylko wtajemniczeni.

Podstawę tego kultu stanowi w każdym razie wyjątkowa cześć, oddawana Matce Boskiej, jako tej, przez którą ma przyjść zbawienie świata. Widomym symbolem tej czci jest wizerunek Najświętszej Maryi Panny nieustającej pomocy, pochodzenia greckiego, z napisem greckim i greckim krzyżem, który w pewnych okolicach kraju ruguje z chaty włościańskiej obraz Królowej Polski, Matki Boskiej Częstochowskiej (?!).

Należący do sekty wierni komunikują się małemi lub większemi papierkami z wizerunkiem Matki Boskiej nieustającej pomocy, przyczem mogą komunikować się codzień kilkakrotnie, a im czynią to częściej i im większe są papierki — tem większa spływa na nich łaska (?!).

Jak widać z tego, propagowana jest też usilnie cześć Najświętszego Sakramentu, ale na podstawach zgoła innych niż w kościele katolickim.

Maryawici nie uznają mianowicie Sakramentu pokuty. Wynika to z doktryny, że przyjęcie Komunii świętej wprowadza grzesznika odrazu w stan łaski. Pierwszemi stopniami do tego stanu są: modlitwa, kontemplacya i kilkogodzinne nieraz klęczenie przed Najświętszym Sakramentem.

Na tych podstawach zorganizowana sekta rozwinęła ożywioną działalność w kraju i wkrótce pozyskała sobie licznych zwolenników pomiędzy ciemnym a fanatycznym ludem

Działalność ta zwróciła na siebie uwagę nietylko władz duchownych, ale i władz policyjnych. Te ostatnie zażądały od Maryawitów wyjaśnień co do celu i charakteru „zgromadzeń."

Wówczas Maryawici udali się do władz rządowych z przedstawieniem, że ich nauka nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla rządu, bo uznaje, że „wszelka władza dana jest od Boga," cała zaś ich działalność zmierza jedynie do rozwoju pobożności. Władze zgodziły się z tem oświadczeniem, dały Maryawitom pewną swobodę ruchów, możność przenoszenia się z miejsca na miejsce bez pasportów (z czego, mówiąc nawiasem, duchowieństwo świeckie dotąd nie korzystało nigdy), możność urządzania zebrań, wieców, odprawiania misyj wśród ludu i t. d.

I dzięki temu Maryawici mogli rozwinąć jeszcze szerszą działalność, która, jak to już wiadomo z licznych doniesień, doprowadziła w ostatnich czasach do smutnych bardzo rezultatów.

Władze duchowne musiały przedsięwziąć środki ostrzejsze, rozkazy ich napotkały jednak opór, a w niektórych okolicach odbywały się nawet z tego powodu bójki w kościołach.

W ten sposób stanęliśmy wobec sprawy istotnie poważnej i istotnie groźnej, tem groźniejszej że czasy *newrozy rewolucyjnej* sprzyjają niewątpliwie i będą jeszcze sprzyjały szerzeniu się wszelkich fałszywych nauk, prowadzących ludność kraju do masowych obłędów, tak znanych w średniowieczu, a tak w następstwach swoich nieobliczalnych.

Maryawityzm — w tej postaci, w jakiej znamy go dotychczas, jest niewątpliwie jedną z odmian psychozy religijnej, ale dla tego

właśnie, że tak jest, nietylko władza duchowna, ale społeczeństwo całe powinno baczną zwrócić uwagę na tę sektę i nie dopuścić do dalszego jej rozwoju.

Jednym ze środków walki z tego rodzaju „chorobami zbiorowemi“ jest przedewszystkiem prawdziwe światło i prawdziwa nauka. Akcya w tym kierunku możliwa jest wszakże dopiero po zaprowadzeniu w kraju nowego ładu i porządku. Lud, o ile będzie miał możność wzięcia szerokiego udziału w samorządzie, odrazu odciągnięty zostanie od ruchu sekciarskiego, a siłą rzeczy przerzuci się na pole pracy realnej.

Następnie temu ludowi trzeba dać światło w postaci dobrej szkoły, na której czele stałby nauczyciel, umiejący oddziaływać na otoczenie, dalej biblioteki popularnej, zasobnej w dziełka nauczające, wreszcie — zorganizowanych wykładów ludowych z dziedziny rozmaitych nauk, wykładów, któreby miewali wędrowni prelegenci.

To dopiero wytworzyć może stopniowo we wsi polskiej atmosferę, w której nie będzie miejsca na sekciarstwo, ale dziś — czemże się ma zajmować wieśniak? czem karmić ma swoją duszę? Chwyta on na oślep ten pokarm, który mu podają, nie zdając sobie sprawy z tego, że wyrządza tem bolesną krzywdę samemu sobie i swojej ojczyźnie.

*

* *

W uzupełnieniu tego, co pisaliśmy już poprzednio o ruchach agrarnych i o spodziewanym na wiosnę wybuchu strejku rolnego, pozwalamy sobie przytoczyć na tem miejscu głos „Gazety Ludowej,“ organu Polskiej Partyi Socyalistycznej, usilnie kolportowanego wśród ludności wiejskiej.

W jednym z ostatnich numerów tego pisma znajduje się mianowicie artykuł, „fachowy“ p. t. „Jak się przygotować do strejku rolnego?“

Autor artykułu radzi, ażeby służba dworska zbierała się jaknajczęściej na narady i zgromadzenia, celem postanowienia, czego żądać, jakie postawić wymagania co do pracy, ordynacyi, długości dnia roboczego, mieszkań i t. d.

„Trzeba robić — nawołuje dalej „Gazeta“ — większe zebrania, złożone z fornali i robotników kilku i kilkunastu folwarków sąsiednich i na tych zebraniach radzić o sprawie walki strejkowej.

Trzeba z każdego folwarku w gminie wybrać po dwóch delegatów, czyli pełnomocników, którzy będą się z całej gminy schodzili na narady i będą stanowili *Gminny Komitet Strejkowy*. Przed strejkiem i podczas strejku jeździć będą wszędzie po wsiach nasi towarzysze z Polskiej Partyi Socyalistycznej dla porady w strejku i dla doglądania całej „roboty.“ Na dowód, kim są, będą oni mieli dokument z pieczęcią, wydany przez Partyę. Tych wysłańców należy słuchać, gdyż są to robotnicy, włościanie i inteligenci, znający się na sprawie. Zawczasu też należy porozumiewać się z włościanami wsi sąsiednich co do tego, żeby podczas strejku trzymali stronę robotników i nie puszczali do roboty takich, którzyby zechcieli strejk złamać.“

Strejk ma objąć również robotników „na dniówkę,“ którzy mają także omówić, sformułować i przedstawić żądania swoje.

Jest to już aż nadto wyraźna zapowiedź poważnego ruchu, który zbliża się do nas szybkiemi krokami. I nie należy tej zapowiedzi lekceważyć, zwłaszcza, że w stosunku służby folwarcznej do dworu niejedno istotnie domaga się uregulowania i poprawy. Byłoby więc rzeczą pożądaną, aby ze swej strony ziemianie zorganizowali również zawczasu jakąś akcyę zbiorową i odbyli szereg wspólnych narad w przedmiocie strejku. Żądania, które niewątpliwie będą wygórowane i przesadne, powinny spotkać się z silnym i jednolitym odporem, wszystko zaś, co ma za sobą słuszność, musi być jednak uwzględnione, gdyż w ten sposób tylko uda się zażegnać tę nową klęskę, jaka na kraj spaść może w wypadku, gdyby układy ze strejkującymi przeciągnęły się dłużej.

A czasu na przygotowanie się jest już nie wiele, bo wiosna za pasem.

*

* *

Eliza Orzeszkowa kończy w roku bieżącym 40 lat pracy na polu literackiem, pracy aż nadto dobrze znanej całemu społeczeństwu, ażeby ją na tem miejscu przypominać i oceniać należało.

Przedstawicielka „powieści społecznej“ w całem znaczeniu tego wyrazu, odegrała Orzeszkowa rolę wybitną w rozwoju duchowym pokoleń ostatnich, a wpływy jej sięgały bardzo głęboko, budząc z uśpienia niejedną duszę. Zwłaszcza kobieta polska zawdzięcza Orzeszkowej wiele. Pod jej wpływem dobroczynnym cały t. zw. ruch emancypacyjny przybrał u nas charakter poważny

i z manowców, na które wkraczał pierwotnie, wszedł na drogę jedynie dla siebie odpowiednią, wypisując na swoim sztandarze duchowe i umysłowe podniesienie kobiety.

Obdarzona sama umysłem żywym, przenikliwym, wolnym od złudzeń w ocenie życia i jego zjawisk, wykształcona rozlegle, a nadto posiadająca serce miękkie, czułe, szlachetne, pochylające się w zadumie nad każdem cierpieniem ludzkiem i po chrześcijańsku widzące w każdym człowieku napotkanym brata lub siostrę, potrafiła Orzeszkowa w powieściach swoich dosadnie napiętnować wszystko, co jest płytkie, poziome, głupie i fałszywe, a uwydatnić i podnieść do wyżyn ideału to, co czyste, dobre, pełne miłości i altruizmu.

Walcząc w początkach twórczości swojej z trudnościami techniki pisarskiej, powoli, stopniowo dochodziła do zupełnej doskonałości artystycznej, której przykład wybitny znaleźli czytelnicy w drukowanej w *Bibliot. Warszawskiej* oryginalnej a pięknej powieści „Ad astra.“

Jako kobieta, jako artystka i jako działaczka społeczna zajmuje też Orzeszkowa dzisiaj pierwsze i naczelne stanowisko wśród kobiet polskich.

Nie dziw też, iż hasło należytego uczczenia czterdziestoletniej wytrwałej a pożytecznej pracy znakomitej powieściopisarki, wywołało przedewszystkiem szeroki oddźwięk w naszym świecie kobiecym. Powstało też odrazu mnóstwo projektów takiego uczczenia. W jednych kołach poruszono myśl założenia w Warszawie wyższych kursów dla kobiet im. Orzeszkowej, w innych — stworzenia seminaryum nauczycielskiego, w jeszcze innych — domu wychowawczego dla sierot i t. d.

* * *

Drugi jubileusz święcić będzie w tym roku redaktor „Gazety Świątecznej“ p. Konrad Prószyński (Kazimierz Promyk), jeden z najbardziej zasłużonych u nas bojowników oświaty ludowej.

Konrad Prószyński urodził się w r. 1851 w Mińsku gubernialnym. Lata wczesnej młodości spędził na Syberyi, gdzie ojciec jego mieszkał przez czas dłuższy. W 19-ym roku życia powrócił Prószyński do kraju, a złożywszy, po dwóch latach usilnej pracy nad sobą, egzamin dojrzałości, wstąpił na wydział prawny Uniwersytetu Warszawskiego. W r. 1876 ukończył studya ze stopniem

naukowym kandydata. Zawód prawniczy nie pociągał go jednak ku sobie. Wabiła go natomiast leżąca wówczas jeszcze odłogiem praca nad oświatą ludu.

I do tej pracy Prószyński, jak się później okazało, był powołany. Na tym zagonie miał stać i na tem polu miał sobie zjednać uznanie całego społeczeństwa.

Jako pisarz ludowy potrafił on zdobyć ogromną popularność wśród włościan polskich. Jego skromna „Gazeta Świąteczna,“ prowadzona w warunkach niezwykle trudnych, bo pod cenzurą daleko surowszą niż ta, jakiej podlegały wszelkie inne wydawnictwa, umiała zgrupować dokoła siebie bardzo znaczną ilość czytelników, umiała ich zachęcać do pracy, do światła, do wyrabiania w sobie uczuć obywatelskich. Jego książki popularne trafiały łatwo pod strzechę i zaniosły tam niejeden promień wiedzy. Wreszcie jego *Elementarz* uznany został za *najlepszy* przez Zjazd pedagogiczny w Londynie i rozszedł się w kraju naszym w 850.000 egzemplarzy.

Ta działalność, prowadzona wytrwale i w ciężkich bardzo dla narodu chwilach, każe nam pochylić czoła przed jubilatem i życzyć mu długich jeszcze lat owocnej pracy. Praca ta będzie teraz tem milsza, bo oto na łanie, obsiewanym ukradkiem niemal i w nocy, wśród poświstu mroźnej wichury północnej, niejeden wyrósł kłos, a bliski jest dzień, kiedy cała niwa zazieleni się i zaszumi „zbożem rozmaitem.“ Lud polski budzi się, przeciera oczy i staje do pracy, jako uświadomiony obywatel. Widząc to Promyk musi odczuwać radość—bo jeżeli tak jest, to przyczyniła się do tego w niemałym stopniu jego praca. Trud całego jego życia wydaje teraz owoce.

Zapewne—dużo jeszcze do zrobienia pozostało, dużo jeszcze pracy potrzeba i czasu na to, ażeby włościanina polskiego podnieść do tego poziomu, na jakim pragnęlibyśmy go widzieć, ale — powtarzamy, iż to wszystko będzie już dziś o wiele łatwiejsze. Najtrudniejszą i najcięższą robotę wykonali: Prószyński i jemu podobni działacze ideowi. I za to lud polski, a z nim cały naród będzie im zawsze wdzięczny.

*

* *

O trzecim wreszcie jubileuszu przypomniało nam łódzkie *Czasopismo lekarskie*, wydając specyalny zeszyt, poświęcony dr. Władysławowi Biegańskiemu z okazyi 25-lecia jego pracy naukowej.

Dr. Władysław Biegański jest w tej chwili najwybitniejszym przedstawicielem nauki lekarskiej w Polsce, ponieważ jednak pracuje w ciszy i na uboczu, więc ogół szerszy mało wie o nim, a zresztą, zainteresowanie się nauką w społeczeństwie naszem nie jest jeszcze rzeczą częstą...

Dr. Biegański urodził się w r. 1857 w miasteczku Grabowie w W. ks. Poznańskiem. Do gimnazyum uczęszczał w Piotrkowie, a ukończywszy je w r. 1875, wstąpił na wydział lekarski Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w r. 1880 otrzymał dyplom.

Tytuły doktorskie uzyskał następnie od dwóch uniwersytetów — w Berlinie i w Pradze Czeskiej.

Osiadłszy w Częstochowie, poświęcił się obok ciężkiej pracy na chleb poważnym studyom naukowym, uprawianym w warunkach najtrudniejszych chyba, jakie dla uczonego lekarza istnieć mogą, bo bez odpowiednio urządzonego szpitala, bez laboratoryów, bez tego całego „warsztatu“ naukowego, jaki dają urządzenia uniwersytetu.

Ale Biegański potrafił przezwyciężyć i pokonać wszystko — i w ciągu lat kilkunastu stworzył w skromnym szpitalu częstochowskim pracownię naukową.

„Moje samouctwo — pisze sam o sobie znakomity autor „Logiki medycyny“ — to epopeja bolesna. Żeby zabarwić dobrze po raz pierwszy laseczniki gruźlicze, straciłem na nieudane próby całe dwa dni, a pierwsze plasmodye malaryczne zobaczyłem dopiero po dwóch próżnych poszukiwaniach. Pamiętam, że płakałem ze zmartwienia i złości, robiąc kilka godzin z rzędu skrawki na małym, ręcznym mikrotomie — skrawki za każdym razem wypadały za grube! To samo było z pierwszemi próbami liczenia krwinek, z barwieniem preparatów krwi i t. d. Na to, co dziś pierwszy lepszy student zrobi w ciągu godziny przy odpowiedniem kierownictwie, ja potrzebowałem dni i tygodni...“

A przecież pomimo to wszystko oprócz wspomnianej już, a pierwszorzędnej wartości naukowej, pracy p. t. „Logika medycyny“ Biegański opracował w Częstochowie takie dzieła, jak: „Dyagnostyka różniczkowa,“ „Choroby zakaźne,“ „Zasady logiki ogólnej,“ „Studya logiczne“ i t. d.—dzieła, które wszystkie w polskim dorobku współczesnym naukowym zajmują miejsce wybitne i które zdobyły Biegańskiemu rozgłos daleko poza granicami kraju.

* * *

Reprezentacya polska w Wiedniu poniosła dotkliwą stratę przez śmierć zmarłego niedawno ś. p. Piotra Górskiego, jednego z wybitniejszych przewódców stronnictwa krakowskiego.

Ś. p. Piotr Górski należał do wybitniejszych znawców ustawodawstwa gminnego i instytucyj samorządnych.

Będąc posłem do Rady państwa i do Sejmu krajowego we Lwowie, pracował on na obu tych stanowiskach umiejętnie i starannie.

Obdarzony umysłem bystrym i posiadający dużą wiedzę, cieszył się powszechnym szacunkiem. Zdanie jego było cenione i liczono się z niem nawet w obozach przeciwnych.

Zmarły był synowcem znanego u nas powszechnie prezesa Tow. Kredytowego Ziemskiego, p. Ludwika Górskiego ze Sterdyni.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z AKADEMIJ I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Dnia 12 lutego r. b. odbyło się posiedzenie wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie. Prof. Józef Kallenbach przedstawił pracę p. t. Nieznane artykuły A. Mickiewicza w „Tribune des peuples;“ prof. J. Rozwadowski rzecz: O cygańszczyźnie podtatrzańskiej; p. W. Klinger rozprawę p. t.: Ambrozya i Styks, a woda życia i martwa,—studyum mitologiczno-porównawcze. Dnia 19 lutego r. b. odbyło się posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego, na którem zasłużony prof. Fr. Piekosiński mówił o „Rozsiedleniu szlachty na podgórzu karpackiem w połowie XVI w.“ (powiaty: szczyrzycki, czchowski i sądecki); prof. Michał Roztworowski przedstawił pracę p. t.: Prawno-administracyjna strona budżetów Królestwa Polskiego (1816—1830).

— Towarzystwo naukowe w Toruniu. Z pośród nielicznych naszych Towarzystw naukowych, szczególnie żywą działalność rozwija od lat kilku „Towarzystwo naukowe w Toruniu,“ którego prezesem jest znany historyk ks. Stanisław Kujot. Towarzystwo to liczące około 400 członków, wydaje dwie publikacye, t. j. Roczniki Towarzystwa i Fontes. W XII Roczniku, który niedawno prasę opuścił, znajdujemy dalszy ciąg podstawowej, pełnej niezmiernej erudycyi pracy ks. St. Kujota p. t.: Kto założył parafie dzisiejszej dyecezyi chełmińskiej. Monografia ta rzuca nowe światło na kulturalną pracę Polaków w ziemi chełmińskiej, rozwiązuje mnóstwo spornych kwestyj, bada głęboko organizacyę parafialną tej części kraju, zastanawia się nie tylko nad sprawami należącemi do historyi kościelnej, ale nad rzeczami z dziedziny historyi społecznej i politycznej. Na tak szerokich ramach nie mamy opartej pracy, odnoszącej się do stosunków w Wielko lub Małopolsce. Prócz tej znakomitej pracy, mamy tu jeszcze: *Ks. Kaz. Chmieleckiego:* Przyczynki do archeologii Prus

Zachodnich, *K. Kościńskiego:* Parafia Barzyszkowska w powiecie człuchowskim w Prusach Zachodnich, *Ks. St. Kujota:* Jelenie rogi w kościoła dyecezyi chełmińskiej, *Dr. K. Nitscha:* Kilka uwag o wpływie zmian głosowych na typy odmian,—na przykładach zaczerpniętych z gwar zachodnio pruskich. — W IX t. *Fontium*, daje ks. Bruno Czapla dalszy ciąg wizytacyi biskupa chełmińskiego, Andrzeja Olszowskiego w dyecezyi chełmińskiej (1667 — 1672), w której znajdujemy obszerny i bogaty materyał historyczny, jak i gospodarczy.

— Za granicą oddawna zwrócono uwagę na historyę miast i na potrzebę publikacyi licznych źródeł miejskich. U nas ubóstwo pod tym względem jest wielkie, nieco zrobili Niemcy dla Ks. Poznańskiego,— co do reszty, to bardzo mało wydano. Jedynie Kraków może się szczycić pokaźną ilością wydanych źródeł. Tak Akademia umiejętności, jak i Archiwum miejskie w Krakowie, a zwłaszcza Rada miejska Krakowska, poczuła się do obywatelskiego obowiązku czuwania nad zabytkami przeszłości, i ich udostępniania uczonym. Rada m.' Lwowa i dzielny archiwaryusz miasta, Dr. Aleksander Czołowski, nie zostają jednak w tyle, i z archiwum miejskiego lwowskiego, chociaż mniej bogatego niż krakowskie, wydają źródła do dziejów Lwowa, nie mniej ciekawe i ważne. Właśnie *Dr. A. Czołowski* opublikował t. III Pomników dziejowych Lwowa,' które zawierają: Księgę przychodów i rozchodów miasta 1414—1426. Publikacya ta, ze wszech miar staranna, jest pierwszorzędnem źródłem do poznania dziejów m. Lwowa, a zwłaszcza gospodarki finansowej i stosunków lokalnych.

— Akademia Umiejętności w Krakowie wypuściła w świat t. I nowej publikacyi p. t.: Biblioteka przekładów z literatury starożytnej. Chodzi tu niewątpliwie Akademii nie tylko o dostarczenie doskonałych polskich przekładów, ale o danie sposobności naszym helenistom i latynistom do wniknięcia jaknajgłębiej w zabytki starożytnej literatury. W t. I dał p. M. K. Bogucki przekłady niektórych pism Voltaire'a starożytności Lukiana. Samo tłómaczenie poprzedza wstęp historyczny ś. p. J. Szujskiego o Lukianie, prześliczny i trafny, — głęboki przytem, jak wszystkie prace wielkiego historyka.

Literatura nasza, tak uboga w dobre tłómaczenia z pomników klasycznej literatury, wzbogaciła się obecnie jeszcze drugą pracą, w tymże co poprzednia kierunku. Ukazał się przekład Józefa Flawiusza: „Dziejów wojny żydowskiej przeciwko Rzymianom," którego z języka greckiego na polski dokonał Andrzej Niemojewski. Autor poprzedził swe tłómaczenie, o którem sąd wydadzą filologowie, obszernym wstępem historyczno-bibliograficznym. Z poza tła historycznego od tysiąca lat zamierzchłych dziejów, którymi zajmuje się przedmowa, wyłaniają się aluzye do czasów teraźniejszych: tłómacz przekładając dzieło Flawiusza, miał na oku i myśli stosunki wiele bliższe, daje, jak sam mówi „psychologię rodaków. Czy poznają oni siebie w zwierciadle? Jeżeli spojrzą tylko uważnie, może odnajdą nie jeden rys wieczysty, nie jednę

linię trwałą, nie jedną cechę godną zatarcia, niejedną zasługującą na wskrzeszenie.“ Tak więc, praca ta ma prócz naukowej, także swe tło polityczno-społeczne. Czy jednak na tem wartość naukowa pracy nie ucierpiała?

---

— Rok jubileuszowy rejowski zaznacza się znaczną liczbą wydawnictw na polu literatury polskiej XVI w. Po wspaniałym przedruku „Zwierciadła“ Reja, przyszła kolej na „Figliki,“ które w podobiźnie wydał p. Wiktor Wittyg. Dzieło to, opatrzone licznemi uwagami i przypisami, wypadło znakomicie pod względem typograficznym. Kilka wreszcie egzemplarzy odbitych na oryginalnym papierze XVI w., daje nam łudzącą podobiznę oryginału, tak rzadkiego, a dla dziejów naszej literatury i naszej kultury XVI w. tak ważnego dzieła. Równocześnie prawie prof. Stanisław Ptaszycki wydał również w Krakowie, nakładem Akademii Umiejętności: „Modlitewnik dla kobiet z w. XVI. Ułamek z rękopisu senatora Konstantego Małkowskiego.“ I w tym zabytku znajdzie historyk literatury i filolog, skarby niewyczerpane dla swych badań, historyk kultury nie jeden też szczegół ciekawy wyłowi. Pod względem zewnętrznego wyglądu, to dość wspomnieć, iż oba powyższe dzieła wyszły z tłoczni Uniwersytetu Krakowskiego. Są one do najdrobniejszych szczegółów typograficznych obmyślane tak artystycznie i wykonane tak świetnie, że uchylają się wprost z pod krytyki. Bo drukarnie krakowskie, a w pierszym rzędzie Uniwersytecka i Anczyca, nie mają sobie równych w Polsce, a za granicą nie wiele jest w ogóle tłoczni, którychby konkurencyi dwa te zakłady obawiać się mogły.

Wiek Reja zainteresował i warszawskich uczonych. Cały szereg publikacyj świeżo wydanych ma na celu rozszerzenie wśród naszych stosunków dość skąpych jeszcze wiadomości o XVI w. Pod redakcyą p. *Ignacego Chrzanowskiego* ukazała się księga jubileuszowa p. t.: „Z wieku Mikołaja Reja.“ Kilkunastu naszych uczonych przyczyniło się do wydania szeregu prac źródłowych i materyałów historycznych. *P. Br. Chlebowski* daje tu wykwintną i głęboko obmyślaną charakterystykę Mikołaja Reja, jako pisarza; p. *H. Merczyng* mówi o Rejach, jako o członkach polskiego kościoła ewangielickiego; prof. *J. Kallenbach* daje szereg ciekawych uwag i spostrzeżeń o mało zbadanej „Postylli“ Rejowej; prof. *H. Łopaciński* zajmuje się zawiłą kwestyą daty urodzin Reja, którą oznacza na dzień 4 lutego. P. *H. Galle* rozpatruje stosunek „Żywota człowieka poczciwego“ do dzieła Cycerona „Cato maior.“ W dziale materyałów podają: prof. *T. Wierzbowski*, *I. Chrzanowski*, *L. Meyet* wiązkę przyczynków do znajomości Mikołaja z Nagłowic. Nie samym jednak Rejem zajmuje się księga jubileuszowa, — daje ona ciekawy i obfity plon w postaci prac: *Wł. Smoleńskiego*: Z dziejów miasteczka (Dąbrowic, w województwie łęczyckiem); *Z. Glogiera*: Opisy majątkowe (inwentarze) na Litwie w XVI wieku; *A. Kraushara*: Pierwsza książka prawnicza polska z w. XVI; arcyciekawe studyum *Aleksandra Jabłonowskiego*: Jan Zamoyski na Podlasiu. Bardzo bogato zatem przedstawia się księga jubileuszowa rejowska, pozostanie ona trwałym pomnikiem badań naszych uczonych nad XVI wiekiem.

P. *Ignacy Chrzanowski*, redaktor księgi rejowskiej, ogłosił właśnie wielkie i cenne dzieło o Marcinie Bielskim. Przy pracy A. Brücknera o Reju, dzieło p. Chrzanowskiego nabiera tem większego znaczenia, że uwypukla nam wiele szczegółów z dziejów rozbudzenia naszej literatury w XVI w., rozjaśnia nam nowe horyzonty, rozszerza nasze pole widzenia wykazując, że dla dokładnego poznania epoki, potrzebna jest znajomość nie tylko gwiazd pierwszej, ale i średniej wielkości. Taką postacią, która sławą nie dorosła Rejowi ani Kochanowskiemu, był Marcin Wolski, czyli Bielski, który będąc starszym wiekiem od naszych najznakomitszych XVI wieku, jak Rej, Górnicki lub Kochanowski, przedstawia tem ciekawsze pole do badania, jako człowiek starszego pokroju i autoramentu. P. I. Chrzanowski bynajmniej nie stara się otoczyć aureolą niezwykłych zasług Bielskiego, traktuje go trzeźwo, sprawiedliwie, przyznając mu wielkie zasługi około stworzenia języka literackiego, odmawiając mu jednak większego talentu i oryginalności. Choć sąd autora wypadł raczej ujemnie o Bielskim, niż dodatnio, nie zaniedbuje on rozpatrzeć szczegółowo całej działalności pisarskiej Bielskiego. Stosunek i zależność Marcina od jego źródeł wyświetlona dokładnie, wpływy historyczne w całej rozciągłości ujawnione. Autor zużytkowuje całą swą ogromną erudycyę na objaśnienie działalności Bielskiego, a że przytem jest wykwintnym stylistą i włada piórem, jak mało kto, więc poważne to dzieło, dorobek wielkiej pracy i wielkiej nauki, czytać może z pożytkiem i wielkiem zajęciem każdy, kogo zajmują dzieje ojczyste. P. I. Chrzanowski potrafił połączyć w swej pracy ducha naukowego z formą świetną, — ideał do którego tak mało z pośród naszych uczonych dojść mogło.

— Trudności wielkie nastręczają badaczowi każdemu poszukiwania w naszych bibliotekach, zwłaszcza o ile chodzi o zbiory rękopiśmienne. Zaledwie kilka bibliotek posiada katalogi rękopisów odpowiednio opracowane i wydane. Akademia Umiejętności w Krakowie opublikowała właśnie „Katalog“ swych rękopisów, zestawiony przez bibliotekarza Akademii, prof. J. Czubka. Obejmuje on cały zbiór rękopisów Akademii, liczący 1588 numerów i zawiera krótką treść każdego rękopisu z osobna. Pod tym względem zbliża się „Katalog“ do Katalogu Biblioteki ks. Czartoryskich, wydanego przez dra J. Korzeniowskiego, — stoi zaś daleko w tyle za nadzwyczaj dokładnym i szczegółowym Katalogiem rękopisów Biblioteki Ossolińskich we Lwowie. Mimo to odda nowy Katalog niespożyte zasługi nauce. Przedewszystkiem otwierają się uczonym nowe dotychczas mało znane zbiory, w których przy pomocy Katalogu p. Czubka oryentować się łatwo. Powtóre może za wzorem i inicyatywą Akademii i inne mniejsze biblioteki polskie zechcą wydać krótkie, choćby sumaryczne, katalogi swych zbiorów, — w pracy tej żmudnej i trudnej będzie im nagrodą wdzięczność ogółu pracowników, którzy dziś witają z radością nowy Katalog rękopisów Akademii.

## WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— Pamiętnik literacki. Rocznik IV, zeszyt IV pod redakcyą Tadeusza Piniego. Zeszyt ten jest poświęcony pamięci M. Reja. Zawiera: *Stanisława Dobrzyckiego*: Rej; *Bronisława Chlebowskiego:* Najdawniejsze kancyonały protestanckie z połowy XVI w.; *Józefa M. Ujejskiego*: Pojęcia Reja, dotyczące Polaka i Polski; *Fr. Krecka*: W sprawie oryginalności „Warwasa“ Rejowego; *tenże*: O tak zwanym „Hejnale“ Rejowym; *St. Dobrzyckiego*: „Psałterz“ Kochanowskiego w stosunku do innych jego dzieł. W dziale materyałów daje p. *K. Miaskowski*: Sześć listów A. F. Modrzewskiego, i: Dwa nieznane listy Jana Zamoyskiego do Pawła Manucyusza. W bogatym dziale sprawozdawczym mamy także recenzyę dzieła A. Brücknera, o Reju, napisaną przez *St. Dobrzyckiego*, oraz oceny niektórych artykułów Księgi Rejowskiej.

— Krytyka. Rocznik VIII. 1906. Zeszyt I. Styczeń. (f) Bóg się rodzi. *J. Jedlicz*: Warszawskie kręgle. Słota jesienna. Poezye. *Ignacy Radliński:* Wolna myśl. Ostatni kongres jej wyznawców. *Wacław Sieroszewski*: Przepowiednia Wernyhory, *Dr. Wł. Gumplowicz*: Socyalizm a kwestya polska. *O. Ortwin:* Konstrukcya teatru Wyspiańskiego. *St. Przybyszewski*: Śluby. *I. Moszczeńska*: Podwójna moralność. Panowie stworzenia. *M. Romer*: Stosunki etnograficzno-kulturalne na Litwie. *I. Laforgue*: Skarga. Sonet na wachlarzu. Głowa zmarłego. Przekład F. Mirandoli. — Przegląd pracy polskiej i obcej. *O. Ł.*: Sprawa ukraińska. *Piotr Górkowski*: Zmartwychwstanie Łotwy. *F. Jasieński* i *L. G.*: O IX wystawę „Sztuki“ w Krakowie. *J. Sten*: Teatr krakowski. *A. S.*: Teatr zagraniczny. *K. Bujwidowa*: Młodzież o polskiej szkole w Galicyi.

— Lud. Tom XI, zesz. IV. *Dr. Zygm. Gargas*: W sprawie badań nad sprawnością ekonomiczną szczepów ludowych. *G. Smólski*: Ślady słowiańskie na ziemiach dawnej Recyi i Windelicyi (nowa teorya lechicka). *J. Świętek*: Liczby 3 i 9 w mitach, wyobrażeniach, mistycznych praktykach i zwyczajach ludowych. *S. Udziela*: O potrzebie zestawienia i uporządkowania opowiadań ludowych. *M. Udziela*: Przyczynki do medycyny ludowej. *B. J. K. z Gniezna*: Materyały historyczne, Latawiec. *S. Udziela*: Z łąk. *A Kallas*: Garść zapisków z Bolestraszyc. *U. S.*: Budownictwo. *J. Różańska*: Uroczystość św. Jana Nepomucena. — Przebieg obrad zjazdu Tow. ludoznawczego we Lwowie. — Wystawa etnograficzna. — Przegląd czasopism.

— Przegląd Polski. 1905. Grudzień. *Prof. St. Smolka*: Przed 75 laty I. Król królów. *Dr. Tad. Sinko*: Rej i Dante. *Prof. K. Morawski*: Elektra, tłómaczenie tragedyi Sofoklesa. *Adam Krzyżanowski*: Umiejętność zrzeszania się. — Sprawy krajowe. Reforma wyborcza w Sejmie, mowa posła St. Tarnowskiego wypowiedziana w Sejmie dnia 24 listopada 1905.

# BIBLIOGRAFIA.

## TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

Gouyau Jerzy: O katolicyzmie socyalnym. Z 3-go wydania francuskiego spolszczyła M. Cz.° Warszawa 1906. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 130.

Kobyłecki Stan. ks. T. J.: Postulaty psychologii doświadczalnej. Kraków 1906. Nakład Przeglądu Powszechnego. 8-o, str. 73.

Mini M. (Namysłowski Fr. ks.): Magdalenicza mapa polska, wskazująca miejscowości istniejących oraz ubyłych tytułów, kościołów, kaplic i altaryj pod wezwaniem św. Maryi Magdaleny na całym obszarze dawnego państwa polskiego. Według wskazówek autora rysował I. Kempa. 1:1,500,000. Kraków. Spółka wydawnicza polska.

Naudet ks.: Z myśli społecznej I. Główne zasady socyologii katolickiej. Warszawa 1906. Księgarnia nakł. Szczepkowskiego. 8-o, str. 88.

Pietrow O. G.: Ewangelia, jako podstawa życia. Zasadnicze początki cywilizacyi. Chrześcijańskie wyrobienie woli. Moralne wyrodnienie. Wielkość ewangelii. Królestwo Boże. Z 17-go wydania rosyjskiego, przełożyła i wydała Antonina Ochocka. Lwów 1906. 8 o, str. 74.

Struve Heinrich: Die polnische philosophie der letzten zehn Jahre (1894—1904) von... Berlin 1905. 8-ka, str. 80. Separatabdruck aus dem Archiv für Geschichte der Philosophie. Bd. XVIII. Warszawa, E. Wende i Sp. Verlag von Georg Reimer.

Sully Jakób: Psychologia wychowawcza, przekład z angielskiego Anieli Szycówny. Warszawa 1905. Nakład księg. naukowej. 8-o, str. 500.

## HISTORYA I ETNOGRAFIA.

Balzer O.: Historya ustroju Polski. Przegląd wykładów uniwersyteckich. Odbitka ze sprawozdania wydz. hist. filozof. Akad. Umiejęt. Kraków 1905. 8-o, str. 34.

Balzer O.: O Morskie Oko, wywód praw polskich przed sądem polubownym. Lwów 1906. 8-o, str. 254.

Bartosz: Powstanie listopadowe 1830/31 r. Wydanie tyg. „Ojczyzna“ nr. 22 — 23. Lwów 1904. Nakład Związku wydawniczego: Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 32.

Bogusz A.: Wieś Moderówka, szkic historycz. Kraków 1905. 8-o, str. 152.

Gawroński Fr. Rawita: Bohdan Chmielnicki. Lwów 1906. Nakładem księgarni Altenberga. 8-o, str. 360.

Księgi sądowe Brzesko-Kujawskie. Tom VII. 1418 — 1424, opracował i wydał I. K. Kochanowski. Warszawa, 1905. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. XXI + 631.

Krotowski-Szkaradek Kaz. dr.: Z dziejów reformacyi w Wielkopolsce. Odbitka z XXXI rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Kraków, 1905. G. Gebethnera i Sp. 8-o, str. 16.

Kościński Konstanty: Przyczynki do etnografii Kaszub. Parafia borzyszkowska w powiecie człuchowskim w Prusach zachodnich, wedle zapisków ks. Jana Gotfryda Borka, podał.... Odbitka z Rocz. Tow. nauk. toruńskiego. Toruń, 1905. Leitgeber i Sp. 8-o, str. 387 — 432.

Powstanie narodu polskiego 1830 — 31 r. w świetle krytyki mocarstw europejskich. Z rękopisów przełożył na język polski **. Kraków, 1906. Nakł. wydaw. pism politycznych. 8-o, str. 144 i 3 nl.

Pułaski Kazimierz: Szkice i poszukiwania historyczne. Serya III. Kraków, 1906. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 388.

Radziwiłł Karol Stanisław „Panie Kochanku“ (1751 — 1790). Listy księcia .... z różnych archiwów, wydał Ernest Łuniński. Warszawa, 1906. Nakład Jana Fiszera, Księgarnia Narodowa w Krakowie. 8-o, str. 143. (Okładkę rysował Jan Bukowski).

Rembowski Aleksander: Pisma. Tom III. Studya historyczno-polityczne, krytyki naukowe. Z częściowej zapomogi kasy imienia J. Mianowskiego. Warszawa, 1906. Nakł. autora, J. Fiszer. 8-o, str. 830.

Sorel Albert: Kwestya wschodnia w wieku XVIII-m, rozbiór Polski i traktaty w Kajnardżi. Z 2 wydania franc. przeł. Marya Gomólińska. Tom I i II. Bezpłatny dodatek do „Tyg. ilustr.“ 21. Warszawa-Kraków, 1905. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 157 + 150.

Zamoyski Andrzej hr.: „Moje przeprawy,“ pamiętnik... o czasach powstania listopadowego (1830—1831), z autografu wydał, opatrzył wstępem i epilogiem, oraz przekładem fragmentów francuskich oryginału Aleksander Kraushar. T. I i II. Kraków, 1906. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 247 + 160.

## HISTORYA LITERATURY.

Brückner Aleksander: O literaturze rosyjskiej i naszym do niej stosunku dziś i lat temu trzysta, szkic literacki. Wiedza i życie ser. III, tom IX. Lwów, 1906. Nakł. H. Altenberga, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 94.

Chrzanowski Ignacy: Marcin Bielski, studyum literackie przez... Warszawa, 1906. Skład gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-ka duża, str. 280.

Feldman Wilhelm: Henryk Ibsen, wykłady wygłoszone na kursach wakacyjnych w Zakopanem w lecie 1905 roku. Warszawa, 1906. Nakł. księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 217.

Grabowski Thadée M.: Une page de l'histoire de la littérature calviniste en Pologne 1550—1650. Première partie, Extr. de „Bull. de l'Acad. des Sciences.“ Cracovie, impr. de l'univ. 1905. 8-o, str. 71 — 77.

Jankowski Czesław: Na marginesie literatury, szkice i wrażenia. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. XII, 483 i 2 nl.

Jednodniówka ku uczczeniu 400 rocznicy urodzin Mikołaja Reja z Nagłowic 1505 — 1905, wydana na rzecz koła imienia T. Kościuszki T. S. L. we Lwowie. Lwów, 1905. 4-o, str. 15 i ogł.

Kallenbach Józef: Mikołaj Rey, szkic jubileuszowy. Odb. z „Przeglądu polskiego.“ Kraków, 1906. G. Gebethner. i Sp. 8-o, str. 16.

Karaś Franciszek dr.: O związkach zawodowych. Katowice, 1903. Nakł. i druk. „Górnoślązaka.“ 16-o, str. 112.

Tokarz Wenzel: Die letzten Jahre Hugo Kołłątaj's (1794—1812). Extr. du „Bull. de l'Acad. des Sciences.“ Cracovie impr. de l'univ., 1905. 8-o.

Wojciechowski Konstanty: Dwie notatki do dziejów romansu polskiego z początków XIX wieku. Odbitka z „Pamiętnika literackiego.“ Lwów, 1905. Nakł. Tow. lit. imienia A. Mickiewicza. 8-o, str. 16.

— Zwięzły podręcznik historyi literatury polskiej. Wyd. 2-gie poprawione. Lwów, 1906. Nakł. St. Köhlera. 8-o, str. 204.

## PEDAGOGIA.

Dom i szkoła, odezwa kołomyjskiego Koła Tow. nauczycieli szkół wyższych, do wszystkich Kół w kraju. Kołomyja, 1905. Nakł. Koła. 8-o, str. 12.

Sprawozdanie XIII c. k. państwowej Szkoły przemysłowej we Lwowie za rok szkolny 1904/5. Lwów, 1905. Nakł Szkoły przemysłowej. 4-o, str. 53.

— wyższéj szkoły handlowej w Krakowie, ogłoszone z końcem roku szkolnego 1905. Kraków, 1905. Nakł. szkoły handlowej. 8-o, str. 63.

Wanda W.: O wychowaniu dzieci. Wyd. tyg. „Ojczyzna“ nr. 14. Lwów, 1904. Nakł. Związku wydawn., Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 16.

Weryho Marya: W sprawie ochron, Wskazówki dla osób zakładających ochrony wiejskie przez... Warszawa, 1906. Nakł. Gebethn. i Wolffa. 8-o, str. 18.

## NAUKI SPOŁECZNE I PRAWNO POLITYCZNE.

Daszyński Ignacy: Mowa za powszechnem, równem, bezpośredniem prawem wyborczem, wygłoszona w Izbie posłów dnia 5 grudnia 1905 roku. Kraków, 1905. Nakł. „Naprzodu.“ Folio, str. 3.

Górski Piotr: Mowa wypowiedziana w generalnej debacie budżetowej w Sejmie dnia 24-go listopada 1905 roku. Kraków, 1905. Spółka wydawnicza polska. 8-o, str. 23.

H. R. Kooperacya kredytowa wiejska na Litwie, stan jej obecny i potrzeba reorganizacyi. Kraków, 1905. 8-o, str. 24.

Maeterlinck Maurycy. Głosowanie powszechne, przekład St. Michalskiego. Warszawa, 1906. Nakł. księg. K. Idzikowskiego. 8-o str. 8.

Panek Piotr: Zasady gospodarki narodowej. Wyd. tygod. „Ojczyzna.“ Lwów, 1903. Nakł. Związku wydawn., Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 16.

Prawo przyrodzone mowy ojczystej: Związek Tow. Samopomocy Społecznej. Warszawa, 1906. Księgarnia Naukowa. Wyd. Towarzystwa Pedagogicznego. 8-o, str. 32.

Reforma wyborcza w Sejmie. Kraków, 1906. Nakładem i drukiem „Czasu.“ 8-o, str. 145.

Studnicki Władysław: Historya Ustroju Państwowego Rossyi. Lwów, 1906. Nakł. księg. Maniszewskiego i Kędzierskiego. 8-o, str. III i 217.

Suligowski Adolf: Instytucye ziemskie w państwie rosyjskiem, przez... Kraków, 1905. Skł. gł. w księg. Spółki. 8-o, str. 24.

Urządzenia Polityczne... Austryi i Galicyi. Wydawnictwo tygodnika „Ojczyzna“ nr. 8. Lwów, 1905. Nakł. Związku wydawniczego Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 16.

## MEDYCYNA. — NAUKI ŚCISŁE.

Bier Leonard dr.: W sprawie oceny przyrządów formalinowych do odkażania mieszkań, oraz metodyki badania dezynfekcyjnej wartości chemicznych środków odkażających. Kraków, 1905. Odb. z „Przegl lek.“ 8-o, str. 9.

Krzyszkowski J. dr.: Zestawienie wszystkich przypadków róży z ostatnich lat dziesięciu, leczonej w oddziałach skórnych, oraz uwagi ogólne i leczenie, na tem zestawieniu oparte. Kraków, 1905. Odbitka z „Przegl. lekarskiego.“ 8-o, str. 15 z tabl.

Libański Edmund: Ze świata postępu techniki i przemysłu. Tomik IV. W krainie szkła i jedwabiu. Ilustr. szkice popularne. Lwów, 1906. Nakł. red. „Przemysłowca.“ 8-o, str. 38.

Mięsowicz Erwin dr.: Nowy przypadek choroby Basedow'a z zanikami mięśni i ze zmianami śluzowatemi na kończynach dolnych. Odbit. z „Gazety lekarskiej.“ Kraków, 1905. Nakł. i druk. W. L. Anczyca i Sp. 8-o, str. 13.

Prędowski dr.: O pożytku z łaźni. Wydawnictwo tygodnika „Ojczyzna“ nr. 18. Lwów, 1904. Nakł. Związku wydawniczego Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 16.

Sprawozdanie z czynności izb lekarskich galic. Izba lekarska zachodniogalic. nr. XII, za grudzień 1905 r. Kraków, 1906. 8-o str. 16.

— z międzynarodowego zjazdu przeciw gruźlicy w Paryżu (2—7 paźdz. 1905). Kraków, 1905. Odb. z „Przegl. lekarsk.“ 8-o, str. 19.

## POWIEŚĆ. — POEZYA.

Bandrowski Aleksander: Stara baśń, opera w 4 aktach, według powieści J. I. Kraszewskiego, słowa ... muzyka Żeleńskiego. Kraków, 1906. Nakł. autora. 8-o, str. 64.

Bułharyn Tadeusz: Dymitr Samozwaniec, romans historyczny w 4 tomach. Tom I — IV. Gródek, 1906. Nakł. i druk. J. Czaińskiego, Gubrynow. i Schmidt we Lwowie. 8-o, str. 125, 121 + 144, 206.

Czechow Antoni: Nowele, z rosyjskiego przełożył H. del C. Kraków, 1905. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 341.

Dante Alighieri: Boska komedya w przekładzie Edwarda Porębowicza. III. Raj. Warszawa—Kraków, 1906. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 16-o, str. 334.

Grabowski: Ostatni z czwartaków. Powieść historyczna z czasów walk o niepodległość, tłómaczenie z niemieckiego. Katowice, 1903. Nakł. i druk. „Górnoślązaka," Maniszewski i Kędzierski we Lwowie. 8-o, str. 904.

Hajota: Śni mi się. Uśmiech losu. Psinka. Żyje. 30 września. Sen panny Joanny. Nowele. Lwów, 1906. Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. 263.

Herbaczewski Józef Albin: Potępienie, tragedya duszy. (Cztery miraże na pustyni klątwy i wygnania). Kraków, 1906. G. Gebethner i Sp. (Okładka rysunku St. Kamockiego). 8-o, str. 145.

Konopnicka Marya: Pod prawem. Bibl. powieściowa, Księg. Narodowa we Lwowie pod red. J. Stena. Nakł. Księg. Narodowej. 8-o, str. 156.

Mickiewicz Adam: Pan Tadeusz czyli ostatni zajazd na Litwie, historya szlachecka z 1811 i 1812 r., w 12 księgach wierszem. Wyd. „Macierzy Polskiej." Książ. 40. Lwów, 1905. Nakł. „Macierzy." 8-o, str. 324.

Pieśni Narodowe. I wyd. tyg. „Ojczyzna." Lwów, 1905. Nakł. Związku wydawn., Maniszewski i Kędzierski. 8-o, str. 16.

Rey Mikołaj z Nagłowic: Figliki dla uczczenia czterechsetnej rocznicy urodzin autora wydał w podobiźnie Wiktor Wittyg. Kraków, 1905. 8-o, kn. 52, str. 64 i 2 nl.

Rodziewicz Marya: Joan. VIII. 1—12. Powieść przez ... Warszawa, 1906. Nakł. Geb. i Wolffa. 8-o, str. 319.

Rydel Lucyan: Pan Twardowski, poemat w XVIII pieśniach. Kraków, 1906. Nakład. D. E. Friedleina, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o duże, str. 130.

Sienkiewicz Henryk: Sturmflut, histor. Roman. Nach d. Polnischen v. E. u. R. Ettlinger. B. I—III. Einsiedeln, Benziger et Comp. 1906, z ilustr. F. Schwormstädta i P. Stachiewicza. 8-o, str. 522 + 621 + 459.

## PUBLICYSTYKA.

Burleigh Benuet: Państwo wschodu czyli wojna japońsko-rosyjska, 1904—1905 r. Przekład Emilii Węsławskiej. T. I—II. Warszawa, 1905. „Bibl. Dz. Wyb." № 409—410. 8-o, str. 171.

Baudouin de Courtenay J.: Kwestya polska w Rosyi w związku z innemi kwestyami kresowemi i „innoplemiennemi.“ Odb. ze „Świata Słowiańskiego.“ Kraków, 1905. Nakł. autora. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 18.

Bracke W.: Precz z socyalistami. Wydanie nowe. Przez... Warszawa, 1906. Nakładem Towarzystwa Wydawnictw ludowych. Skład w księgarni Centnerszwera. 8-o, str. 24.

Jakiej potrzeba nam szkoły? Z prac Tow. Pedagogicznego. Warszawa, 1905. Wyd. Tow. Pedagogicznego. Związek Tow. Samopomocy Społecznej. Skł. gł. w Księg. Narodowej. 8-o, str. 48.

Koskowski Bolesław: Jak wychować demokracyę? Warszawa, 1906. Nakł. księgarni E. Wende i Sp. 8-o, str. 39.

Moszyński Jerzy: Na rozdrożu pomiędzy odruchem a sumieniem. Kraków, 1905. Nakł. autora. 8-o, str. 18.

Moydieu A. F.: Pod hasłem patryotyzmu, przedmowa do dzieła: „Le combat pour le droit“ w przekładzie polskim Stanisł. Grzeszczucha. Lwów, 1905. Nakł. autora. Księg. Polska. 8-o, str. 16.

Prawo przyrodzone mowy ojczystej. Habeas Corpus. Warszawa, 1905. Związek Towarzystwa Samopomocy Społecznej. Wyd. Tow. Pedagogicznego. Skł. gł. w Księg. Naukowej. 8-o, str. 32.

Plechanow Jerzy: Anarchizm a socyalizm, tłómaczyła dr. Salomea Perlmutter. Lwów, 1906. Spółka nakładowa „Książka.“ Kraków. Warszawa, księgarnia Centnerszwera. 8-o, str. 93.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

№ 1.



# PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym

Treść: Uporządkowanie handlu zbożem, przez Józefa Jeziorańskiego.— Od redakcyi „Pracy.“

## UPORZĄDKOWANIE HANDLU ZBOŻEM.

Ministerium skarbu rozesłało w r. 1902 memoryał w sprawie handlu zbożowego. Jakkolwiek praca niniejsza nawiązaną jest do tego memoryału, jednakże ma znaczenie zupełnie samoistne i niezależne.

W pierwszym rzędzie przeszkód, utrudniających handel zbożowy, stawia memoryał: niedostateczną liczbę dróg podjazdowych, jako też niewystarczającą sprawność poczt i telegrafów. Braki te uwydatniają się najbardziej w okolicach naszego kraju, odznaczających się rozwojem przemysłu i górnictwa. Tak naprzykład drogi, otaczające Łódź, Zgierz, Tomaszów, oraz inne miasta fabryczne, bywają zwykle w stanie opłakanym. Porżnięte kołami na wiosnę, znajdują się one przez większą część lata w naprawie. Co gorsza, napotykają się pomiędzy niemi drogi, dotychczas, pomimo ożywionego na nich ruchu, nie żwirowane, co jest tem przykrzejsze, że skutkiem nader wygórowanych dla krótkich odległości taryf kolejowych, przewóz towarów pomiędzy powołanemi miastami fabrycznemi odbywa się częstokroć na kołach. Jest zatem wielce pożądanem, ażeby: a) do najznaczniejszych punktów przemysłowych: Łodzi, Częstochowy, Tomaszowa, Zgierza i t. d. przeprowadzono na traktach najbardziej ożywionych kolejki pod-

jazdowe, a to z powodu, że żwirowana powierzchnia dróg bitych nie wytrzymuje podczas słot ciężaru stosunkowo zbyt ładownych i zbyt licznych furmanek frachtowych; b) ażeby dołożono szczególniejszego starania ku doprowadzeniu dróg bitych do należytej trwałości i dobroci, za pomocą pogrubienia warstwy kamiennej, oraz odprowadzenia wód i źródlisk podziemnych; c) ażeby trakty drugorzędne przerobić na szosy, a wszystko to przy udziale komitetów miejscowych; d) ażeby na odnogach kolejowych, łączących z sobą miasta fabryczne, zaprowadzono wagony towarowe najwyższego wagomiaru (przenoszącego 1600 pudów), z obniżeniem taryfy za pełny ładunek, dla sprowadzenia ruchu z szos na drogi żelazne. e) Ażeby zapewniono niezmiernie ważną dla kraju spławność Wisły, przy udziale miejscowych komitetów rzecznych.

II. Chociaż niemożna oskarżać dróg żelaznych Królestwa o zaległości przewozowe, jednak szybkość ich jest bardzo niezadawalniającą. Pociągi osobowe i pocztowe na drodze Warszawsko-Wiedeńskiej chodzą z szybkością bardzo umiarkowaną 33 wiorst na godzinę, którąby bez żadnych trudności, a z wielkim pożytkiem dla dogodności publicznej należało doprowadzić do 40 lub 45 wiorst na godzinę. Liczne zaś tak zwane obecnie drogi nadwiślańskie, wykupione przez skarb z rąk prywatnych chodzą nieprędzej niż po 27 wiorst na godzinę.

Gdybyśmy pomnożyli ilość podróżnych przez ilość godzin, spędzonych przez nich niepotrzebnie w wagonach, w skutek zbyt powolnego biegu pociągów, to otrzymalibyśmy ogromną ilość czasu zmarnowanego bezpowrotnie dla pracy produkcyjnej. Okoliczność ta jest bardzo ważną w kraju, gdzie przedsiębiorczość przemysłowa czyni tak znaczne postępy.

Bardzo jest możliwem, że wobec nowego cła niemieckiego wywóz zboża z Królestwa do Niemiec przestanie się opłacać, i wypadnie skierować to zboże, w inną stronę. Wtedy okaże się, jak bardzo pożyteczną byłaby dla kraju droga żelazna, łącząca Warszawę z Libawą. Dziś otwarty jest dla produkcyi tutejszej jedynie tylko port gdański, a cały zarobek, jaki otrzymują tamtejsi kupcy na dosuszaniu i doczyszczaniu pszenicy, mógłby przypaść handlowi miejscowemu w udziale. Należałoby tylko zaopatrzyć port Libawski w odpowiednie urządzenia.

III. Uwagi przytoczone w memoryale ministeryalnym o powolnym ruchu poczt i telegrafów, możnaby uzupełnić dobitnemi szczegółami, że często wiadomości wysyłane jednocześnie z pomocą listu i telegrafu adresat otrzymuje również jednocześnie, i że z dwóch listów wysłanych o tej samej godzinie z zagranicy i z są-

siedniego punktu kraju, list zagraniczny dochodzi prędzej od krajowego. Winę takich uchybień niekoniecznie przypisywać należy niedbalstwu urzędników pocztowych, bowiem nieporządki te zdradzają raczej wielkie braki w urządzeniach telegraficznych i pocztowych. Co do telegrafu, jeżeli dla skomunikowania dwóch sąsiednich stacyj potrzeba niekiedy dłuższego czasu, przypisać to należy nieposiadaniu ulepszonych aparatów. Co do poczt, rządzą się one oszczędnością za daleko idącą. Tak np. w Warszawie, gdzie ludność z wojskiem wynosi przeszło 800000 mieszkańców znajduje się zaledwie 130 listonoszów, gdy w Petersburgu na 2,000,000 mieszkańców liczą ich cały 1000.

W urządzeniach pocztowych w Królestwie rażącym jest brak poczt wiejskich. Każdy zamożniejszy obywatel i każdy urząd gminny posyła u nas codziennie na pocztę po korespondencyę. Tu więc znalazłyby się źródła dla pokrycia kosztów poczt wiejskich. Tymczasem dostarczanie i wysyłanie codziennych korespondencyj stanowi jedno z najkapitalniejszych zadań techniki pocztowej, zwłaszcza w kraju, którego gęstość zaludnienia przenosi 90 mieszkańców na wiorstę kwadratową i w którym znajduje się przeszło 36,000 miejsc zamieszkałych w 1288-miu gminach.

Jedną z dotkliwych wadliwości urządzeń telegraficznych w Królestwie stanowi wysoka opłata za dostawę depesz do miejscowości położonych po za obrębem stacyi telegraficznej. Skutkiem tego dla rolnika zamiszkałego na wsi korespondencya telegraficzna wypada niezmiernie drogo. Telegrafując do majątku położonego w odległości 3-ch wiorst od stacyi płaci się za 10 wyrazów, (z których 4 zajmuje adres) 65 kop., a za odesłanie telegramu 50 kop., razem 1 rb. 15 kop. za sześć wyrazów tekstu, t. j. po 19 kop. za wyraz! W skutek takich okoliczności telegraf i poczta, na którą na wsi trzeba codziennie umyślnego posyłać, są zbyt kosztowne. Urządzenie poczt wiejskich, oraz przywrócenie strefowych taryf telegraficznych w znacznej części zaradziłyby złemu. Taryfy strefowe powinnyby być podzielone przynajmniej na dwa stopnie: *wewnętrzny* — niższy, dla korespondencyi w promieniu bliskim — i na *zewnętrzny* normalny, dla korespondencyj na większą odległość. Nie zmniejszyłoby to dochodu, jaki przynosi dzisiaj telegraf, lecz dałoby pobudkę do nierównie częstszej korespondencyi i do ożywienia stosunków przemysłowych we wszystkich kierunkach.

W sprawie telefonów trudno nie zgodzić się ze światłem zdaniem ministeryum, iż ze wszech miar potrzebują one ulepszeń.

IV. W memoryale ministeryum finansów powiedziano, że niwelacya cen zboża na całym świecie i w nieprzerwanym szeregu

lat byłaby dobrodziejstwem dla ludności. Z tem zdaniem zgodzić się trudno, znajduje się ono bowiem w jaknajbardziej rażącej sprzeczności z interesem okolic wyżej stojących w kulturze. Gdy od przyjęcia lub odrzucenia tego zdania zależy cały kierunek nadany z góry handlowi zbożowemu, trzeba się więc nad niem uważnie zastanowić.

W obec przewagi zaofiarowania nad zapotrzebowaniem, niwelacyi cen nie osiąga się nigdy przez podwyżkę cen w krajach produkujących (wywożących), lecz przez ich obniżkę w krajach przywożących. Gdyby do cen krajów wywożących dodać nawet koszta przewozu i przechowania towaru, to i wtedy jeszcze cena tak utworzona nie odpowiedziałaby interesom rolników krajów przywożących, gdzie z jedynym wyjątkiem sfer najgłębszej północy ziemia jest droższa, podatki wyższe, a o robotnika daleko trudniej niż w krajach wywożących zboże.

Jak zgubną dla rolnictwa jest niwelacya taka, dowodzi tego angielskie śledztwo parlamentarne, przeprowadzone w r. 1894 nad położeniem rolnictwa w hrabstwie Essex, leżącem u wrot Londynu. W czasie od r. 1873 do 1893 powierzchnia gruntów ornych spadła tam z 388 na 232 tysiące akrów, gdyż pola pozostałe zamieniono na pastwiska. Jeszcze bardziej zasługuje na uwagę okoliczność, że przecięciowa wydajność pszenicy spadła tam z 12 1/4 ziarn na 9, a ogólny jej plon roczny z 7,800,000 pudów na 3,160,000.—Zmiejszenie wydajności okazało się bezpośredniem następstwem zaniechania nakładów na gospodarstwo rolne, jako nieprzynoszące dochodów, i poprowadziło w dalszem następstwie do zapuszczenia pól urodzajnych na pastwiska, przyczem dawni fermerzy usunęli się, a na ich miejsce, z zamiarem prowadzenia gospodarstwa nabiałowego zjawili dzierżawcy szkoccy, których energia, umiejętność i środki materyalne nie ulegały żadnej wątpliwości.[1]) Wszystko to razem nie zapewniło im jednak powodzenia i nie wybawiło ich od bankructwa. Takie położenie w przeważnej części hrabstw Królestwa Anglii poprowadziło do zamiany ogromnych przestrzeni pól ornych na parki i pastwiska, narażając Anglię na ogromne niebezpieczeństwo braku zboża w razie niepomyślnej wojny. Takich następstw niwelacyi cen nie można chyba uważać za dobrodziejstwo.

Drugim i bardzo dobitnym dowodem przekonania, że niwelacya cen uważa się za klęskę dla krain przywożących, są opłaty

[1]) Revue des deux mondes, r. 1994, artykuł p. Moireau.

celne od zbóż, wynoszące obecnie od 100 kilogramów pszenicy:

| | | |
|---|---|---|
| W Niemczech | 3 1/2 marki . . . . . | 1 rb. 62 kop. |
| „ projektowane: | 5 1/2 marek . . . . . | 2 „ 55 „ |
| We Francyi | 7 frank . . . . . | 2 „ 62 „ |
| W Austryi | 1 1/2 guld. . . . . | 1 „ 18 „ |
| We Włoszech | 5 lir. . . . . | 1 „ 87 „ |
| W Hiszpanii | 4,20 pezetów . . . . . | 1 „ 25 „ |
| W Portugalii | 1000 rejsów 4,5 m. . . . . | 2 „ 08 „ |

Nie może być najmniejszej wątpliwości, że rządy tych państw bardzo dokładnie pojmują ciążący na nich obowiązek ułatwiania bytu ludności fabrycznej i rzemieślniczej, i nie lekceważą wcale korzyści, jaką w walce konkurencyjnej, międzynarodowej, odnosi przemysł, w miarę taniości chleba dla robotnika. Pomimo to, rządy te nie cofają się ani na chwilę przed obciążeniem zboża bardzo znacznemi opłatami celnemi, ażeby zapobiedz tą drogą niwelacyi cen, której nie uważają wcale za dobrodziejstwo, lecz za klęskę.

Że wyższe ceny zboża niekoniecznie hamują postępy przemysłu tego, mamy dowód w Niemczech, które, pomimo droższego chleba, zalewają Anglię swemi wyrobami. W Niemczech również spotykamy dowód, że postępy w rolnictwie nie uwalniają od starań o zapobieżenie niwelacyi cen. Niebacząc bowiem na wysoką doskłonałość tamtejszych gospodarstw rolnych, rząd upatruje niezbędną potrzebę rozciągnięcia pieczy nad cenami zboża, i z tego powodu obstaje uporczywie przy cłach zbożowych.

Niezależnie od tego, w Niemczech poczynając od r. 1894 zaniechano na kolejach taryf różniczkowych na przewóz zboża i przyjęto taryfę proporcyonalną po 4 1/2 feniga za tonno-kilometr, co razem z opłatą ekspedycyjną stanowi 213 rb. 90 kop. za 10 ton przy odległości 937 wiorst, wobec 110 rb. 59 kop. pobieranych od przebiegu na tejże samej odległości w Rosji. Zrozumiałem jest, jak dalece osłabia się stosunkowo przez to w Niemczech czynnik, dopomagający do niwelacyi cen. Nakoniec w Anglii, tym tradycyjnym kraju wolnego handlu, ministeryum Balfoura przeprowadziło w parlamencie (w dniu 9/22 kwietnia 1902 r.) prawo o obciążeniu opłatą celną pszenicy przywozowej. Wprawdzie cło to tak jest drobne, że przypisanem mu być może jedynie tylko znaczenie finansowe. Jednakże już sama ta okoliczność, że prawo to przeszło w parlamencie ogromną większością głosów (287 przeciw 198) dowodzi, że Anglia zaniechała zasadniczej opozycyi przeciw cłom zbożowym, tak że dzisiaj oddziela ją już jeden krok tylko od rozciągnięcia opieki nad rolnictwem własnego kraju. Nie upatrując w cłach zbożowych tego decydującego znaczenia, jakie

przypisują im agraryusze niemieccy, przyjąć je trzeba jednak za głośny i wymowny protest przeciw niwelacyi cen, której rządy nietylko nie pragną, lecz przeciw której, naodwrót, pilnie się bronią. Przy tem zauważyć trzeba, że Rosya ze względu na swój charakter klimatyczny, etnograficzny i ekonomiczny, ze względu na olbrzymią swoją rozległość i rozmaitość stref, nie jest krajem, lecz częścią świata; a gdy niektóre jej dzielnice są dla zboża przywożącemi w obec innych — wywożących, przeto niwelacya cen na całej przestrzeni Państwa bynajmniej nie jest pożądaną, lecz jest przeciwnie wręcz sprzeczną z polityką handlową, przez inne kraje uprawianą. Na dowód zaś, że pogląd ten znalazł wyraz również i w najwyższych sferach rządowych Państwa Rosyjskiego, można się powołać na orzeczenie połączonego zebrania Komitetu Ministrów i Departamenu ekonomii Rady Państwa, które na posiedzeniach odbytych 27 maja i 3 czerwca 1897 roku zdecydowały, że *„obniżenie cen zboża na rynkach wewnętrznych, wywołane przez dowóz zboża z dzielnic dalekich, stanowczo jest niepożądane.“* Dążenie do niwelacyi cen w Państwie, wręcz sprzeciwia się temu zdaniu.

Z drugiej strony niwelacya cen od roku do roku, t. j. w szeregu lat, jest również dla gospodarzy rolnych niepożądaną, ze względu, że w latach mniej urodzajnych polepszeniem cen zboża wynagradza się do pewnego stopnia ubytek na ilości. Skutkiem tego niwelacya cen od roku do roku sprzeciwia się ze szkodą rolników wyrównaniu dochodu z morgi z roku na rok, wyrównaniu niezbędnemu dla finansowej równowagi rolników, i okazuje się, że równość cen zewnętrzna wywołuje nierówność dochodu istotną, wewnętrzną.

Z tej to przyczyny rolnicy wszech klimatów, sfer i krajów, z wyjątkiem tylko miejscowości najodleglejszych, produkujących zboże głównie na wywóz, uważają niwelacyę cen za okoliczność dla siebie nader niepomyślną, ponieważ pod względem cen otrzymywanych za swoje zboża stają przez to narówni z miejscowościami mającemi najniższe koszta produkcyi. Tym sposobem zrozumiałem się staje, że handel terminowy zbożem, jako wpływający, za pomocą arbitrażu, na szybką niwelacyę cen, jest bardzo dla rolników niebezpieczny. Ale ponieważ znaczna część publiczności bierze za jedno *terminowość* w handlu *dostawowym* (w znaczeniu należytego spełniania zobowiązań na czas umówiony), *z handlem terminowym* (w znaczeniu giełdowej, szablonowej umowy) przeto dla odróżnienia handlu terminowego od handlu dostawowego, i uznania go za potrzebny, lub niepotrzeby, należy przedewszystkiem określić, na czem on właściwie polega. W handlu *na do-*

*stawę* zwykle umawiają się strony o kondycyę zboża (miarę, wagę, ciężar gatunkowy, dosuszenie, kształt, barwę, własności specyficzne i stan ziarna) o czas i miejsce dostawy, o terminy płatności, o zadatek i kaucyę, o skutki niedotrzymania umowy, oraz o inne okoliczności. W handlu terminowym wszystkie te szczegóły, z wyjątkiem jedynie ceny i ostatecznego terminu, nie podlegają umowie stron. Każda giełda, zajmująca się handlem terminowym, wyrabia dla nich schemat kontraktowy, szablon, według którego warunki dla wszystkich umów terminowych są jednostajne. Z ich liczby dotkniemy jedynie najgłówniejszych. Przedmiotem tranzakcyi w handlu terminowym jest z zasady zboże, pozbawione cech indywidualnych, przeciętnej dobroci, która w razie niezgodności stron poddaje się ekspertyzie, i odpowiednio do orzeczenia ekspertyzy zostaje przyjętem lub odrzuconem. Zboże to musi czynić zadość głównemu warunkowi handlu terminowego t. j. szablonowego, tak, iżby towar stanowiący przedmiot handlu był wymienny, oraz żeby można go było dostać każdego czasu w ilości dowolnej. Dla tego to w handlu terminowym kursują jedynie towary łatwiej wymienne, mianowicie z liczby zbóż: pszenica, żyto i owies. Już jęczmieniem, którego wartość głównie zależy od gatunku, nie zajmuje się wcale handel terminowy. Jeszcze mniej stosownym handel ten byłby dla siana, oraz innych towarów, o licznych a bardzo różniących się pomiędzy sobą gatunkach.

Pod względem kondycyi, to w Ameryce, gdzie handel terminowy powstał w czasie kiedy już istniały elewatory, gatunek zboża kursującego w handlu terminowym bywa znośny, ponieważ podciągają je pod jedną z klas elewatorowych. Przypuszczać należy, że i w Anglii gatunek pszenicy terminowej może uważać się za zadawalniający, gdyż krajowa pszenica jest tam w handlu terminowym niedopuszczalną, a przyjmuje się w nim jedynie pszenicę kalifornijską elewatorową N. 1. Lecz za to, na lądzie stałym Europy, gdzie dotychczas klasyfikacya elewatorowa gruntu jeszcze nie chwyciła, pszenica dostawiana w handlu terminowym, zwłaszcza na giełdach niemieckich i austryackich, jest lichą mieszaniną ziarna pośledniejszych gatunków, i stanowi towar nieprzydatny dla młynów, jeśli nie domiesza do niej i to obficie innej pszenicy. Ta podrzędna kondycya zboża w handlu terminowym tak ściśle jest związana z jego naturą, wymagającą przedewszystkiem towaru, w który łatwo byłoby zaopatrzyć się wszędzie i każdego czasu, że w latach wyjątkowych zboże terminowe, dobroci mniej niż średniej, zdarza się nawet w Ameryce. Cohn, namiętny zwolennik handlu terminowego zbożem, przyznaje otwarcie, że towar

kursujący w tym handlu, stanowi lada jaką mieszaninę (allerlei Gemisch).

Na wykonanie zobowiązania, daje się sprzedawcy jeden lub dwa miesiące. W tym przeciągu czasu, tylko sprzedawca wybiera chwilę odstawy, nabywca zaś obowiązany jest temu się poddać. Daje to wielką wyższość sprzedawcy, czyli stronie spekulującej na zniżkę. Wprawdzie nabywca nie jest obowiązany brać towaru zupełnie nieprzydatnego, ale musi zadawalniać się najniższą ze znośnych kondycyj. Gdy dla złożenia towaru terminowego takiej dobroci, by nie była wyższą po nad potrzebę, lecz możliwą do przyjęcia, potrzeba bardzo umiejętnego stworzenia mięszaniny, przeto w miastach posiadających giełdę terminową, istnieją osobne składy odpowiedniego zboża, niekiedy olbrzymie, które dając widomą przewagę podaży, muszą działać zniżkowo.

Z tego, co powiedziano powyżej, wypływa prawda jasna, jak słońce, że celem dla jakiego istnieje handel terminowy, nie jest bynajmniej dostawa zboża, starania bowiem o nabycie niepożądanego towaru byłyby zgoła nie do pojęcia, i zupełnie jest nieprawdopodobnem, by ktoś poświęcał temu czas, zachody i pieniądze. Celem, do którego dąży spekulant, jest poprostu gra giełdowa. Przypuśćmy, że sprzedawca sprzedał na termin majowy 50 ton, czyli 500 korcy pszenicy po 5 rb. za 100 kilogramów, czyli korzec. Jeżeli pszenica będzie na termin po 4 rb. 80 kop. za korzec, to nabywca, nie życzący sobie odbierać i przechowywać lichego towaru, chętnie zgodzi się zapłacić sprzedawcy 100 rubli różnicy, ponieważ zapłaciwszy umówione 2500 rubli otrzymałby za nie 500 korcy pszenicy, o wartości bieżącej nie przenoszącej 2400 rubli. Takie wyjście przyniosłoby mu zatem w stracie też same 100 rubli, nie licząc zachodu. Z tego powodu ogromna większość spekulantów będzie wolała zbyć się kłopotów płacąc dobrowolnie 100 rubli różnicy. Lecz jeżeli cena za korzec podniesie się w terminie do 5 rubli 20 kop., w takim razie 100 rubli różnicy zapłaci nabywcy sprzedawca, i na tem obie strony zakończą tranzakcyę. W przeciwnym bowiem razie sprzedawca byłby przymuszony nabyć z magazynów 500 korcy pszenicy za 2600 rubli, otrzymując za nie od nabywcy zaledwie 2500 i oprócz straty 100 rubli nabawiłby się jeszcze kłopotu nabycia i wydania towaru. Z tego, co powiedziano, jasnem jest, że w razie zniżki ceny towaru na termin, zysk odnosi *sprzedawca*, nabywca zaś traci. W razie *zwyżki* ceny—różnicę zyskuje *nabywca*, a traci sprzedawca.

Niemniej jednak handel terminowy ma stronę pożyteczną, gdyż daje kupcowi możność zneutralizowania ryzyka spadku ceny

w czasie pomiędzy nabyciem zboża u producenta, lub dostawcy, a sprzedaniem w ręce spożywcy lub negocyanta. Mianowicie kupiec *nabywszy* partyę towaru i oznaczywszy sobie przybliżony termin jej zbytu, *sprzedaje* na giełdzie na tenże sam termin taką samą partyę towaru według form handlu terminowego. Jeżeli na termin cena uległa zniżce, to on tyleż straci na partyi znajdującej się u niego w spichrzu, ile zyska na partyi sprzedanej na giełdzie, gdyż w handlu terminowym dla sprzedawcy zniżka ceny jest czystym zyskiem.

Jeżeli zaś na termin cena towarów pójdzie w górę, to kupiec straci w handlu terminowym tyleż, ile zyska na partyi znajdującej się u niego w śpichrzu.

Rozumie się samo przez się, że kupiec nie oddaje nabywcy giełdowemu normalnego towaru, nabytego dla obrotów towarowych istotnych, lecz rozlicza się z nabywcą, za pomocą pokrycia różnic, albo też wydaje mu partyę towaru, zakupionego umyślnie w specyalnych składach terminowych.

Ministeryum skarbu, chcąc postawić w lepszych warunkach handel wywozowy bierze w obronę handel terminowy. Nie przecząc przeto wcale, że dla ogromnych obrotów wywozu zboża handel terminowy przynieść może istotny pożytek, nie podobna jednak przeoczyć najistotniejszej szkody, wyrządzanej przezeń gospodarstwu rolnemu. Przytoczone poprzednio dokładne badania przekonywają bowiem, że handel terminowy ma nieubłagane działanie w kierunku zniżki cen. Na to składają się: licha kondycya zboża kursującego w tym handlu, nagromadzenie w miastach giełdowych wielkich zapasów zboża, niezbędnych dla tranzakcyj terminowych i wreszcie prawo wyboru dnia odstawy w ciągu miesiąca terminowego, przysługujące samemu tylko sprzedawcy.

Oprócz tych przyczyn objektywnych, można dopatrzeć się jeszcze bardzo silnych przyczyn subjektywnych. Pierwszą jest ta, że sprzedawcy nie mając w handlu terminowym żadnego innego interesu oprócz obniżenia ceny idą razem zwartą ławą na giełdzie produktowej i według świadectwa rzeczoznawców tak manewrują, iżby ku końcowi miesiąca zapasy zboża w mieście giełdowem znalazły się w nadmiarze. Ofiarują przytem zboże liche, ażeby natchnąć nabywcę wstrętem do rozrachunku zbożem i chęcią rozliczenia się na gotowiznę. Po przeminięciu ultimo zapasy zboża znikają, bo sprzedawcom potrzebne jest polepszenie ceny dla zawierania nowych tranzakcyj, przy których im drożej sprzedają zboże, tem więcej zarabiają. Znaczącym też jest fakt, że w szeregach sprzedawców grupują się wszyscy solidni kupcy i młynarze,

w celu ubezpieczenia sobie ceny posiadanego towaru. Zatem w grupie sprzedawców bessjerów (berów, niedźwiedzi) jednoczą się wszystkie odwiedzające giełdę poważne pierwiastki, a w obozie nabywców, hossierów, (bulli, byków) wszyscy ryzykowni, a w ich liczbie wielu niedoświadczonych graczy. Zbierając w jedno wszystkie te niewątpliwe czynniki, stanie się jasnem, że tendencya zniżkowa zwykle zwycięża.

Najgorszem jest, iż ceduła giełdowa, która reguluje ceny terminowe, ma jaknajwiększy wpływ na ceny płacone producentom, rolnikom, którym kupcy miejscowi ofiarują w najlepszym razie ceny giełdowe, za potrąceniem kosztów przewozu do miasta giełdowego. Tym sposobem spekulacya giełdowa w handlu terminowym wywiera wpływ stanowczy i obniżający na ceny otrzymywane przez producentów. To jest powodem, dla którego w Prusach prowadzenie w porządku giełdowym handlu terminowego jest zabronione.

Nadzwyczajnie ważną stronę handlu terminowego stanowi arbitraż. Spekulanci upatrują po całym kraju rynku, gdzie zboże jest najtańsze i tam je nabywają, a sprzedają na rynku, gdzie zboże ma cenę najlepszą. Operacya ta ciągnąć się będzie dopóty, dopóki różnica ceny dwóch rynków przewyższać będzie koszta przewozu zboża. *Zatem im niższe będą taryfy przewozowe dla zboża, tem mocniej i tem żywiej rozwinie się arbitraż.* Pod jego wpływem w tych punktach gdzie zboże jest droższe, zjawia się mnóstwo zamiejscowych zaofiarowań, które obniżają cenę, przeciwnie zaś, w miejscach gdzie zboże jest tańsze, zjawia się mnóstwo zapotrzebowań, które polepszają cenę. Skutkiem tego ceny dwóch rynków zbliżają się do siebie i dochodzi do bardzo niepożądanego wyrównania cen.

W konkluzyi na wyłaniający się z memoryału ministeryalnego zamiar uprawnienia u nas handlu terminowego, trzeba zapatrywać się z wielką obawą, ze względu na jego strony szkodliwe dla gospodarzy rolnych. Ale obok stron szkodliwych nie można zapoznawać też niektórych korzyści, jakie ten handel zapewnia. Jemu to zawdzięcza Amerykański wywozowy handel zbożem mocną podstawę, ułatwiającą odbyt zboża. Dla tego też protestując jaknajmocniej przeciw wprowadzeniu handlu terminowego na wzór Berlina, Wiednia, lub Pesztu, należy zadać sobie pytanie, czy niema możności postawienia tej sprawy w warunkach mniej dla rolników szkodliwych.

W urządzeniu europejskich giełd kontynentalnych jest bezwarunkowo najszkodliwszem, że do obrotów handlowych dopusz-

czają mięszaninę zboża; w urządzeniu zaś wszystkich giełd Europy i Ameryki, że chociaż wiedzą, iż operacya asekuracyjna młynarzy i negocyantów wcale nie wymaga istotnej dostawy zboża, będąc prostą grą na różnice, dozwalają jednak na obłudne przypuszczenie, że tranzakcya ma na celu dostawę zboża. Ta właśnie obłuda prowadzi do nadużyć i do zwyrodnienia handlu.

Pierwsza z tych wadliwości może być znacznie złagodzona przez postanowienie, że w handlu terminowym zabronionem jest używanie innego zboża, oprócz tego, które przeszło przez klasyfikacyę elewatorową. W tym rodzaju tranzakcyj, gdzie wyraźnie umówioną będzie dostawa zboża, rozwiązanie za pomocą wypłaty różnic, nie powinno być dopuszczalnem. W takich warunkach handel terminowy zostanie organicznie związany z rzeczywistym, i może stanowić przedmiot umowy dla producentów, również jak i dla konsumentów, a może też i dla kupców, lecz nie dla spekulantów.

Inny rodzaj operacyj giełdowych powinny stanowić ubezpieczenia cen. W operacyach tych dostawa zboża powinna być stanowczo niedopuszczalna, ponieważ tu nie chodzi o wydanie towaru znajdującego się na spichrzu u sprzedawcy, ale w najlepszym razie o wydanie partyi nabytej w spichrzach terminowych. Nabywca życzący sobie otrzymać zboże na spożycie, zawrze umowę pierwszego rodzaju. Tranzakcyę zaś drugiego rodzaju zawrą jedynie: sprzedawca pragnący ubezpieczyć cenę posiadanego zboża i nabywca pragnący spekulować na ubezpieczeniu ceny. Jeżeli tranzakcya ta, w której podlegałyby umowie kondycya zboża, ścisły termin i cena, zawartą będzie z otwarcie przyznanym celem ubezpieczenia ceny, bez żadnego pozornego zobowiązania wydania zboża, to trudno dopatrywać się w niej czegoś niemoralnego. Ubezpieczenie to mogłoby przynieść wielką korzyść handlowi wywozowemu.

Jeżeli dostawa pozornego zboża będzie odłączoną od operacyi asekuracyjnie terminowej, to obniżające działanie operacyi ubezpieczeniowej na ceny zboża zapewne złagodnieje. Przynajmniej ustaną manewry zniżkowców, zmierzające ku nagromadzeniu zboża na peryod terminowy, ku nastraszeniu nabywców.

Ceną regulacyjną będzie ta, jaką w tranzakcyach pierwszego rodzaju osiągnie ziarno, mające klasę elewatorową. W takich warunkach sztuczny wpływ operacyi terminowo-asekuracyjnej na ceny miejscowe byłby zupełnie usunięty.

Z poprzedzającego, widocznem jest, że za konieczną podstawę dla operacyi terminowej służyć winien elewator. Tranzakcye ter-

minowe w Ameryce i w Anglii dla tego są wolne od potwornych zwyrodnień berlińskich i wiedeńskich, że opierają się na ziarnie elewatorowem. Z tego powodu wszystko, co będzie uczynione w Rosyi w handlu terminowym, zanim państwo zaopatrzonem zostanie w elewatory, uważalibyśmy za przedwczesne. To jest tembardziej prawdziwe, że brak dróg podjazdowych, gromadzące się na drogach żelaznych zaległe transporty, niedostatecznie opatrzone porty i niewystarczające linie magistralne dróg żelaznych, przekonałyby wkrótce o zupełnej niestosowności handlu terminowego do czynników jeszcze niedojrzałych. Wystarczy, gdy przytoczymy, że na drodze żelaznej Warszawsko-Petersburskiej, na bardzo ożywionym dystansie Warszawa-Małkinia przez szereg lat zapowiadaną była budowa drugiego niezbędnego toru, i że to tak skromne życzenie odkładało się z roku na rok dla braku środków. Każde ultimo, zaznaczałoby się w takiem położeniu szeregiem niewypłacalności, a przynajmniej sporów sądowych. Lecz wprowadzenie handlu terminowego w jakimkolwiek kształcie, bez jednoczesnego i to mocnego złagodzenia dyferencyacyi w taryfie różnicznikowej na przewóz zboża w komunikacyi wewnętrznej, i bez przyprzybliżenia tej taryfy do pudowiorstowej, uważalibyśmy za największe dla naszych gospodarstw nieszczęście, gdyż wywołane przez handel terminowy wyrównanie cen może być znośnem dla strefy zachodniej państwa o tyle tylko, o ile koszta przewozu zrównoważą mniej więcej różnicę w kosztach produkcyi poszczególnych okręgów.

Myśl poruszoną w memoryale ministeryum skarbu, a dotyczącą popierania budowy elewatorów rolniczych i organizacyi ich w związek finansowo-odpowiedzialny, uważać należy za nader doniosłą i cenną, zwłaszcza wobec kredytu bankowego na zboże, który mógłby być w takim razie powiększony bez szkody, ze względu na sposób przechowania zboża umożliwiający kontrolę, i wobec odpowiedzialności solidarnej złączonych w związek właścicieli. Nie będzie zbytecznem zauważyć przytem, że założenie tego rodzaju elewatorów zapoczątkowane przez Grassa z Klanina w Prusach, stanowi pierwszy solidny krok stowarzyszeń rolniczych w kierunku korzystnego zbytu produkcyi swoich członków, ponieważ dawniejsze w tym kierunku usiłowania, za wyłączeniem jedynie produkcyi gospodarstw nabiałowych, nigdzie nie miały powodzenia. Tymczasem Ogólny Związek Niemiecki stowarzyszeń rolniczych w Offenbachu powołał do życia osobną delegacyę elewatorową, jako oddzielny organ doradczy dla działań ściągających się do przedaży zboża z elewatorów związkowych. W r. 1899/1900

sprzedaż kooperacyjna doszła do 381,987 centnarów zboża, gdy w roku poprzedzającym, sprzedaż ta stanowiła 210,889 centnarów. Cyfry z dwóch lat ostatnich nie są mi znane, ale interes oparty jest na podstawach niewzruszonych, chodzi tylko o wynalezienie osobistości odpowiednich do zarządu.

Najzupełniej słuszne są poglądy ministeryum na górujące znaczenie młynarstwa w handlu wewnętrznym, i dla tego z całem uznaniem przyjąć należy wyrazy: „wraz z rozwinięciem w różnych okręgach państwa młynarstwa na wielką stopę, powstaje obszerne i należyte wewnętrzne zapotrzebowanie zboża.“ Z tego względu wypadałoby, ażeby rządząc się bezstronnością i sprawiedliwością, ministeryum finansów uchyliło dla mąki taryfę ulgową, która ułatwiając dalekim dzielnicom z nad Uralu i Wołgi zalewanie tym towarem naszych rynków, odejmuje krajowemu młynarstwu możność powodzenia i postępu.

Projektowane przez ministeryum zjazdy kupców i rolników dla narad nad potrzebami handlu zbożowego, bardzo będą pożyteczne, z tem jednak zastrzeżeniem, ażeby oprócz przedstawicieli stowarzyszeń rolniczych brali w nich jeszcze udział kierownicy handlowi w tych Zjednoczeniach (Towarzystwach i Stowarzyszeniach): doświadczenie bowiem przekonało, że kierownicy ci zalecają się zrozumieniem handlu, w zupełności odpowiadają swemu zadaniu, i przez udział swój w zjazdach mogą tylko przynieść istotny pożytek. Tak ważny przedmiot, jak organizacya tych zjazdów, zasługuje na to, by mu poświęcić osobną naradę osób w tem interesowanych, pod kierunkiem ministeryum skarbu.

Przechodząc do przedmiotów nieporuszonych w memoryale, winniśmy zauważyć: I-o, że w skutek nowej niemieckiej taryfy celnej i spodziewanych rokowań[1]) o zawarcie, z Niemcami traktatu handlowego, nadchodząca chwila staje się nadzwyczajnie ważną, dla całego kraju naszego. Jakkolwiekbyśmy się zapatrywali na cła zbożowe, w nieodmiennym rezultacie ich podwyższenia zjawia się zawsze obniżka ceny, obok trudności zbytu zboża w krajach produkującej je na wywóz. Lecz razem z utrudnieniem eksportu wywiązuje się z podwójną mocą dążenie urodzajnej strefy Cesarstwa do umieszczenia swego zboża w strefie zachodniej państwa i gubernie nasze przemysłowe ze środowiskami tak wydatnemi jak Łódź, Częstochowa, Sosnowiec najpierwsze zapełniają się ziarnem przywozowem, skutkiem czego zboże miejscowe

[1]) Praca niniejsza pisaną była w roku zeszłym, lecz uwagi poniższe wcale aktualności nie straciły.

spada w cenie. W takiem położeniu, niezależnie od przerobienia taryf kolejowych na przewóz ziarna, niezbędnem jest dla dopomożenia rolnictwu podtrzymanie hodowli inwentarza. Pod tym względem ogromne straty sprawia nam praktykowane przez Niemcy, wbrew artykułowi V istniejącego traktatu handlowego, zamknięcie granicy dla inwentarza żywego, pod pozorem obawy o zawleczenie zarazy.

Nadzwyczaj wielką jest szkoda wyrządzana przez to nietylko większej, ale też zwłaszcza drobnej własności ziemskiej naszego kraju. Bydło miejscowego pochodzenia spotyka się u nas na rynku wewnętrznym z przemożną konkurencyą bydła stepowego, zewnętrzny zaś rynek odcięty mu został przez Niemcy. Skutkiem tego zanikła i zmarniała jedna z głównych podpór gospodarstwa intenzywnego, zasadzająca się na sprzedaży bydła na rzeź, a jednocześnie doznało mocnego utrudnienia gospodarstwo nabiałowe, dla którego powodzenia potrzebną jest łatwość korzystnego zbytu bydła wysortowanego z obory, gdyż bez peryodycznego usuwania sztuk mniej zdatnych, polepszenie obór jest niemożliwem. Mając na względzie niezbędność z państwowego punktu widzenia, iżby zachodnie dzielnice przeszły na intenzywność, i przez to, rozwijając hodowlę, otworzyły korzystny rynek zbytu dla zboża dzielnic wschodnich, ujawnia się wielka doniosłość usunięcia przeszkód nastręczających się na tej drodze.

Wielce ważną jest okoliczność, że z rozporządzenia Rządu Niemieckiego przez granicę niemiecką nie przepuszcza się tygodniowo więcej nad 1380 sztuk świń, a mianowicie przez komorę celną Sosnowicką 1130, i przez przykomórek Modrzejew 250 sztuk. Tym sposobem hodowla świń w tym kraju chyli się ku upadkowi. Tymczasem, wobec szachownicy u włościan, jest to jedyna gałąź hodowli, jaką mogą prowadzić z powodzeniem. Toż samo, dla braku własnych pastwisk, ściąga się do służby folwarcznej. Przy ośmiu milionach ludności wiejskiej i małomiejskiej w Królestwie Polskiem oraz pożywienia jej, składającego się głównie z kartofli, których według Warszawskiego Komitetu Statystycznego przypada po 4 korce na głowę ludności rocznie, ilość odpadków od ogromnej ilości 32 milionów korcy kartofli byłaby razem z innemi resztkami pożywienia wystarczającą dla utrzymania na sprzedaż 2-ch milionów sztuk świń, wtedy gdy włościanie, według przybliżonego obliczenia, sprzedają niewięcej od jednego miliona sztuk świń rocznie. Przy bardzo umiarkowanej cenie świń na pół dokarmionych 15 do 25 rubli za sztukę, wyobraża to dla drobnych gospodarstw coroczny ogromny ubytek w dochodzie — dochodzący do

20 milionów rubli rocznie. Około 25 rubli corocznego przybytku na rodzinę włościańską, mogłoby odegrać znakomitą rolę w jej gospodarstwie, obecnie zaś przepada zupełnie na darmo. I gospodarstwa folwarczne mocno cierpią na zamknięciu dla świń granicy niemieckiej, a to z powodu, że prawidłowe gospodarstwa nabiałowe potrzebują koniecznie spożytkować mleko odtłuszczone, właśnie za pomocą hodowli świń mocno rozwiniętej.

Ponieważ utrudnienia graniczne Niemcy tłómaczą obawą zarazy, przeto ze strony tutejszej, rząd wprowadził ścisły dozór weterynaryjny w Sosnowcu i w Granicy. Wszakże nic to nie pomogło, ponieważ zamknięcia granicy niemieckiej dla bydła i świń nie należy przypisywać nieistniejącej zarazie, tylko chęci przypodobania się niemieckim agraryuszom. [1]) Chwila obecna sprzyjałaby z dwóch względów wystąpieniu przeciwko nielegalnemu przez Niemcy zamykaniu granicy dla inwentarza żywego. Pierwszym jest ten, że o ile agraryusze z ogromnym naciskiem przeprowadzili w parlamencie w interesie własnym minimalne cła dla zbóż głównych, o tyle klasy przemysłowe i kupieckie tamtejszej ludności gorąco pragną i niecierpliwie oczekują zawarcia traktatu handlowego z Rosyą, którego niezbędność uznaje również i rząd niemiecki. W skutek tego zjawia się z tamtej strony niejaka skłonność do ustępstw.

Drugą zaś przyczynę stanowi okoliczność, że wywołane przez agraryuszy zamknięcie granicy dla rosyjskiego inwentarza żywego, sprowadziło drożyznę mięsa w Niemczech, co wobec oburzenia ogółu zwalczyło po części upór agrariuszy. W lecie r. 1902 można było napotkać co chwila w prasie niemieckiej gorące uty-

[1]) „Szereg użytych środków i surowy nadzór nad wykonaniem przepisów dotyczących nadzoru nad przewożonemi przez Sosnowiec świniami, przyniosły rezultaty o tyle dotykalne, że nie tylko usunęły wszelkie powody do skarg o zawleczenie do Prus jakiejś epidemicznej zarazy, lecz nawet racyonalność, ścisłość i trafność urządzonego w tym kierunku nadzoru zostały uznane przez specyalnych pełnomocników, przybyłych do Sosnowca z ramienia związku pruskich handlarzy mięsa w celu zapoznania się z warunkami handlu eksportowego nierogacizną".

„Niezależnie od tego, o rezultatach osiągniętych w Sosnowcu pod względem uporządkowania nadzoru nad wywozem świń, zaświadczył pruski minister rolnictwa i domen, p. Hammerstein, na jednem z posiedzeń parlamentu pruskiego. Minister ten przyznał, że rząd rosyjski uczynił wszystko, co było można, w sprawie należytego nadzoru weterynaryjnego nad świniami przeznaczonemi na wywóz." (Wyjątek z urzędowej pracy rosyjskiej p. t. „Szkic gub. Piotrkowskiej w ostatniem dziesięcioleciu." 1890 — 1900 r.

skiwania ludności miejskiej i fabrycznej na niesłychaną drożyznę produktów mięsnych i być nie może, aby rząd niemiecki pozostał względem takich faktów obojętnym.

Dla tego też okazuje się do najwyższego stopnia pożądanem wprowadzenie do traktatu postanowienia, ażeby na punktach pogranicznych *utworzone zostały komisye mieszane, złożone z weterynarzy rosyjskich i niemieckich, któreby, razem z miejscowymi przedstawicielami rolnictwa i handlu, rozstrzygały pytanie dotyczące podejrzanego stanu zdrowia inwentarza dostawionego na wywóz, i ażeby sztuki (świń i gęsi), nie usprawiedliwiające podejrzeń, mogły być bez przeszkód przepuszczane przez granicę.* Rozumie się samo przez się, że kolosalne cła od bydła rogatego i nierogacizny zaprojektowane przez Rząd niemiecki, nie mogą być przyjęte obojętnie, ponieważ ułatwienie handlu bydłem stanowi jedno z zadań kapitalnych państwowej polityki handlowej w zakresie produkcyi rolnej.

Obok tego nie można zbyć milczeniem ograniczeń, szykan i wprost prześladowań, jakim wbrew brzmieniu i treści Art. I-go traktatu obowiązującego, ulegają poddani rosyjscy, zajmujący się w Niemczech zarobkiem lub handlem pomimo tego, że rząd rosyjski ze swojej strony obchodzi się z poddanymi niemieckimi, przesiedlającymi się do Rosyi, sprawiedliwie i bezstronnie. Z tego powodu zdaje się, że koniecznem jest, by w tych miejscowościach w Niemczech, gdzie poddani rosyjscy zbierają się w znaczniejszej liczbie, urządzone zostały wicekonsulaty, obowiązane do rozciągnięcia czujnej pieczy nad tą ludnością.

Ponieważ Rząd niemiecki bez najmniejszego skrupułu tłómaczy umowy międzynarodowe jaknajdowolniej, byłoby więc może właściwem zapowiedzieć w traktacie środki odwetowe na wypadek jawnego łamania warunków.

2-o Uchylenie potrzeby dowodzenia tożsamości zboża (Identitaetsnachweis) miało ten skutek, że skoro tylko cena zboża w Niemczech w miejscowościach pogranicznych o tyle spadnie, że w porównaniu z nią cena tutejsza z dodaniem niemieckiego cła zbożowego, da przewyżkę wystarczającą na pokrycie kosztów przewozu, to rozpoczyna się w tej chwili mocny przypływ niemieckiego zboża do naszych miejscowości pogranicznych, szczególniej w guberniach Piotrkowskiej i Kaliskiej. Przypływ ten będzie mocniejszy i będzie zdarzać się coraz częściej od chwili powiększenia cła, i jeżeli dawniej obniżał on momentalnie cenę naszego zboża niekiedy o 15 kop. na pudzie, to w razie podwyższenia ceł wzmocni się jego działanie, tembardziej, że nader jest wątpliwem, aby agraryuszom niemieckim powiodło się doprowadzić różnicę

pomiędzy cenami zboża na rynku niemieckim i naszym do 5½ marek na tonnie (1000 kg.). Ponieważ za zboże prowadzone z Niemiec do nas rząd niemiecki wydaje świadectwo importowe na taką samą ilość, przeto okoliczność ta będzie mocną podnietą do przywożenia do nas zboża z Niemiec. Niezbędnem jest położyć temu tamę za pomocą nałożenia cła tej samej wysokości (35 kop. z puda) na zboże dowożone z Niemiec. Gdy jednakże otrzymujemy stamtąd nasiona zarodowe (żyto Probsztejskie, Petkuskie i inne, jęczmień Hanna i inne), na których braku mocno ucierpiałby postęp naszych gospodarstw, przeto pożądanem jest zwolnienie od cła zbóż sprowadzanych z Niemiec na nasienie, za świadectwami towarzystw i stowarzyszeń rolniczych.

3-o. Zupełnie w ten sam sposób, od chwili, jak cła na drzewo zostaną znacznie podwyższone w Niemczech, zacznie do nas masami wracać stamtąd drzewo, które już i dzisiaj wprowadza się do nas Wisłą w niepoślednej ilości. Zatem i tutaj potrzebnem będzie cło na drzewo przychodzące z Niemiec. Obok tego niezbędnem jest zaopatrzanie Wisły w przystań zimową, ponieważ skutkiem jej braku u nas, oraz zimowania drzewa na przystaniach pogranicznych w Niemczech (w Toruniu), import drzewa stamtąd nabiera na zimę i wczesną wiosnę poważnego znaczenia.

4-o. Ponieważ w myśl zdania Ministra Skarbu, w przyszłym traktacie handlowym z Niemcami, w odpowiedzi na podwyższone przez Niemcy cła zbożowe, produkcya przemysłu niemieckiego importowana do nas, zapewne podlegać będzie cłom znacznie wyższym niż dzisiaj, pożądanem jest przeto, aby przedmioty niezbędne dla podtrzymania rolnictwa, mogły być sprowadzane do nas z innych krajów, jako to z Anglii i Ameryki za cłem dzisiejszem, albo też wogóle obniżonem.

5-o. Przechodząc do innych potrzeb rolnictwa nie możemy pominąć jarmarków, które w życiu prostego ludu mają rolę pierwszorzędną.

Ilość tych jarmarków jest według dawnych obyczajów niesłychanie wielka i w miasteczkach dochodzi do 12-tu na rok. Oprócz tego we wszystkie piątki i wtorki mają miejsce dnie targowe, podczas których ludność okoliczna zgłasza się z zaofiarowaniem wiktuałów, jarzyn i zboża.

Gdy w skutek działalności Banku włościańskiego przestrzeń gruntów ornych u włościan powiększa się z każdym rokiem i włościanie dążą do nabywania około 15-tu morgów na rodzinę, o czem świadczą wykazy przestrzeni poszczególnych posiadłości nabytych z pomocą Banku, to nadeszła chwila, w której produkcya zbożowa

gospodarstw włościańskich zaczyna mieć w miejscowej produkcyi rolnej górujące znaczenie, a skutkiem tego jarmarki i dnie targowe nabierają wyjątkowej doniosłości, niejako giełdy zbożowej włościańskiej. Ponieważ przekupnie starają się zakupić u włościan zboże i wiktuały jeszcze na drodze do miasta, by włościan zbić z tropu co do ceny i warunków, przeto temu należy koniecznie położyć tamę. Podług przepisów istniejących, nie wykonywanych jednak dość ściśle, skupywanie produktów na drodze do miast jest zabronione, a nadto do godziny dwunastej w południe przekupnie nie powinni mieć dostępu do furmanek włościańskich, a to w tym celu, żeby ceny normowały się według bezpośredniego porozumienia producentów z konsumentami. Byłoby nader pożądanem utworzenie w każdem mieście i miasteczku delegacyi jarmarcznej, dla czuwania nad prawidłowym przebiegiem handlu w dnie targowe. Byłby to w miniaturze komitet giełdowy dla włościan.

Nakoniec bardzo byłoby pożądanem zaprowadzenie w miastach i miasteczkach śpichrzy dla sprzedaży zboża włościańskiego sposobem komisowym w dnie nietargowe. Być może, iż przy właściwych staraniach delegacyj jarmarcznych śpichrze te posłużyćby mogły do uporządkowania włościańskiego handlu zbożowego, który obecnie pozostaje całkowicie w rękach najniższych warstw handlowych.

Bezwątpienia jednak ludność włościańska traci na jarmarkach więcej czasu niż trzeba, z tego powodu delegacye jarmarczne powinny mieć prawo wyjednywania zmniejszenia liczby jarmarków, tam gdzie ilość ich nie da się usprawiedliwić należycie ani koniecznością, ani też miarą przynoszonych korzyści. Tak czy owak, sprawa jarmarków i targów bardzo jest ważną dla interesów materyalnych i moralnych ludności włościańskiej i zasługuje na gruntowne zbadanie.

W zakończeniu uważamy za niezbędne wypowiedzieć zdanie, że stosowany przez Ministra Skarbu sposób zwoływania interesowanych i doświadczonych osób do narad nad żywotnemi sprawami w zakresie przemysłu i handlu, uważamy za użyteczny i zasługujący na stałe jego praktykowanie. Na tej drodze bowiem osiąga się możliwie najdokładniejsze oznajomienie administracyi z życzeniami i potrzebami sfer wytwórczych, a za bliższem wtajemniczeniem się w te potrzeby idzie chętniejsze i gorliwsze dążenie do ich zaspokojenia.

Józef Jeziorański.

## Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materyałów, informacyj i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacyj.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa. Druk A. Glüsa.

№ 2.



# PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Robotnicy rolni w Królestwie Polskiem, przez Jordana Kańskiego.— Od redakcyi „Pracy.“

## Robotnicy rolni

## w

## KRÓLESTWIE POLSKIEM.

**I. Ogólna ich liczba, podział i warunki bytu. II. Wychodźtwo robotników rolnych — wewnątrz kraju i zagranicę. III. Środki zmierzające do polepszenia bytu robotników rolnych. IV. Uporządkowanie wychodźtwa.**

Ogół t. zw. „*robotników rolnych*“ (stałych i niestałych), oraz znaczna liczba robotników *innych kategoryj*, np. znajdujących zajęcie w miastach, w przemyśle wielkim albo w rzemiosłach, z pochodzenia swego niezaprzeczenie należy do warstw *bezrolnej i małorolnej* ludności wiejskiej. Zgodnie z powyższem — wszelkie badania dotyczące *klasy roboczej* winny się opierać na danych charakteryzujących warunki bytu *bezrolnej i małorolnej* ludności.

Ze współczesnych i dokładnych danych, dotyczących liczebnego składu i rozmaitych warunków bytu wspomnianej wyżej grupy ludności miejscowej, obecnie korzystać niepodobna, ponieważ w kraju naszym dotychczas nie istnieje jeszcze stałe i systematy-

czne gromadzenie materyałów niezbędnych dla opracowania t. zw. *Statystyki pracy* (Berufsstatistik). Brak tych materyałów mogą zastąpić dane, dorywczo tylko, dla rozmaitych celów i w rozmaitych czasach zgromadzone i do wiadomości ogółu podane. W pracy niniejszej z takich tylko wiadomości mogliśmy korzystać.

## I.

Ogół ludności *bezrolnej* w kraju naszym określają następujące dane:

W przeddzień reformy r. 1864, niezależnie od prawie 2.000.000 głów ludności miejskiej, korzystającej z ziemi na prawach włościan, znajdowało się 1.340.000 włościan *bezrolnych*, składających z wyrobników, parobków, służby dworskiej i t. p. [1]).

Pierwsza kategorya włościan z mocy Ukazu 2 marca 1864 r. otrzymała na własność grunta, z jakich użytkowała w chwili ogłoszenia powyższego prawa. W ten sposób powstało 427.760 osad *„ukazowych;“* większość zaś włościan drugiej kategoryi, t. j. *bezrolnych*, otrzymała na własność małe działki z t. zw. „Pustek,“ oraz z gruntów poduchownych lub skarbowych.

W powyższy sposób, oraz wskutek nabycia więcej lub mniej rozległych części gruntów folwarcznych w lat parę po r. 1864 i niezależnie od 427.760 osad „ukazowych,“ powstało 267.000 *nowych* osad włościańskich. Wobec tego faktu ogół wiejskiej ludności *bezrolnej* z czasów przedukazowych zmniejszył się o 1.120.000 głów, a to z uwagi, że średnia rodzina włościańska składa się u nas z 4·2 osób. Wypada z tego, że ogół ludności *bezrolnej*, stanowiący przed rokiem 1864 — 1.340.000 osób, około roku 1872 zmalał do 220.000 osób, czyli do 3·5% ówczesnej ogólnej liczby ludności 10-ciu gubernij Królestwa Polskiego (6.193.000).

Jednakże taki stosunek liczebny ludności bezrolnej do ludności osiadłej na zagonie własnym uległ wkrótce niepomyślnej, a poważnej zmianie, o czem świadczą późniejsze dane statystyczne, zebrane w r. 1891 [2]). Podług tych danych ogół *ludności bezrolnej* (z wyjątkiem miast i osad miejskich) dosięgnął w r. 1891—849.300 głów, czyli do 10·3% ogółu ludności 10 gubernij, który to ogół

[1]) „Prace Warsz. Kom. Stat.“ T. XIV.

[2]) „Prace Warsz. Kom. Stat.“ T. XIV, 1897 r.

stanowił w roku 1891, 8.258.000 głów, specyalnie zaś w gub. Piotrkowskiej 79.540 głów 6.1% i 1.246.000 głów.

W tym samym r. 1891 ogół ludności *wiejskiej* stanowił już 6.397.170 głów (w gub. Piotrkowskiej 810.670 głów), a stosunek ludności *bezrolnej* do ogółu ludności wiejskiej równał się 13.2% (dla gub. Piotrkowskiej 9.8%).

Zestawienie przytoczonych wyżej danych prowadzi do wniosku, że w przeciągu prawie 20-letniego okresu czasu (od 1872 — 1891 r.) kontyngens *włościan bezrolnych w 10 guberniach Królestwa Polskiego* **potroił się.**

Tak niespodziewanego zjawiska niepodobna przypisywać wyłącznie naturalnemu przyrostowi ludności, który w ciągu pierwszych 10 lat, po r. 1864 podniósł się do niebywałych wprost rozmiarów (2·6%), a następnie spadł do przeciętnej normy dla Królestwa czyli 1·5%. Uwzględniając normę ostatnią, miejscowa ludność *bezrolna*, mogłaby w powyższym okresie dwudziestoletnim dosięgnąć zaledwie 300.000 głów, czyli 4% ogólnej ludności Królestwa w r. 1891 w rzeczywistości zaś dosięgła 10·3% tejże ludności.

Taki nadmierny wzrost ludności bezrolnej, niezależny wyłącznie od przyrostu naturalnego, był następstwem przejścia bardzo znacznej liczby włościan małorolnych do rzędu bezrolnych, a to wskutek dobrowolnej lub przymusowej sprzedaży należących do nich gruntów, przeważnie zaś za sprawą działów rodzinnych, dokonywanych pomiędzy spadkobiercami takich osad włościańskich, które nie dały się podzielić w naturze na 5-ciomorgowe lub większe parcele.

Kontyngens ludności *bezrolnej i małorolnej* w poszczególnych guberniach Królestwa Polskiego, przedstawiał się w r. 1891 w następującym porządku malejącym:

**I. Włościanie bezrolni.**

Stosunek %-owy ogółu ludności wiejskiej

| w guberniach | |
|---|---|
| Warszawskiej . . . . | 21·0% |
| Płockiej . . . . . | 19·3 „ |
| Kaliskiej . . . . . | 18·9 „ |
| Suwalskiej . . . . . | 13·5 „ |
| Lubelskiej . . . . . | 11·5 „ |
| Siedleckiej . . . . . | 10·6 „ |
| Piotrkowskiej . . . . | 9·8 „ |

**II. Włościanie małorolni.**

Stosunek %-owy *osad III kategoryi* (3 mor. i niżej) do ogólnej liczby wszystkich osad włościańskich

| w guberniach | |
|---|---|
| Płockiej . . . . . | 34·3% |
| Kaliskiej . . . . . | 28·0 „ |
| Suwalskiej . . . . . | 26·3 „ |
| Kieleckiej . . . . . | 26·2 „ |
| Łomżyńskiej . . . . . | 25·0 „ |
| Warszawskiej . . . . | 23.8 „ |
| Radomskiej . . . . . | 17·9 „ |

| | | | |
|---|---|---|---|
| Kieleckiej . . . . . | 7·9% | Piotrkowskiej . . . . | 16·4% |
| Łomżyńskiej . . . . . | 7·8 „ | Siedleckiej . . . . . | 13·0 „ |
| Radomskiej . . . . . | 7·7 „ | Lubelskiej . . . . . | 11·0 „ |
| Przeciętny w 10 gubern. | 13·2% | Przeciętny w 10 gubern. a razem z osadami 25%. | 21·8% |

(Przytoczne dane dowodzą, że najwyższy % ludności *bezrolnej i małorolnej* spotykamy w guberniach nadgranicznych: Płockiej i Kaliskiej, które dostarczają zarazem największego kontyngensu wychodźców zagranicę).

Podług zatrudnień *bezrolna* ludność wiejska, rozpadająca się na dwie grupy główne: I. *pracujących na roli* i II. *oddanych innej pracy — nie rolnej*, dzieliła się w r. 1891 w sposób następujący:

**Grupa I — pracujących na roli**:

1) *Stali robotnicy folwarczni i słudzy dworscy* 369.400 głów, 2) *Stali robotnicy włościańscy* 18.400 głów. 3) *Niestali robotnicy, najemnicy na dniówkę* 317.900 głów. *Razem* 705.730 głów.[1])

Czyli w stosunku %-owym do ogółu *ludności bezrolnej:* 1) 43·5%, 2) 2·2%, 3) 37·4%, razem 83·1%.

**Grupa II — zajęcia nie rolnicze**:

Rzemieślnicy, robotnicy fabryczni, handlujący i należący do innych zawodów.

Ogólna ich liczba 143.600 głów (w tej liczbie w gub. Piotrkowskiej 20.290 głów), czyli 16·9% (w gub. Piotrkowskiej 25·1%), ogółu ludności bezrolnej.

Pomijając *grupę II* t. j. *bezrolnych*, znajdujących środki utrzymania w pracy, nie mającej nic lub bardzo mało wspólnego z rolnictwem, zatrzymamy się tylko nad *grupą I*, do której należą różne kategorye ludności bezrolnej, pracującej wyłącznie w gospodarstwach wiejskich.

*Stopień* zabezpieczenia bytu tej warstwy ludności nie jest jednostajny, a zależy od wpływu różnych czynników, oraz pozostaje w ścisłej zależności od *potrzeb* niezbędnych i rozporządzalnych *środków* średniej rodziny włościańskiej.

Pierwsze, t. j. *najniezbędniejsze potrzeby materyalne rodziny włościańskiej*, ściśle oszacowane, mogą być sprowadzone do następującej *przybliżonej normy przeciętnej*. Koszta pożywienia — 82 rubli rocznie (53·2% ogólnych wydatków na utrzymanie), ubranie 38 rb. (24·7%), mieszkanie (7·9%), opał (7·9%), światło (1·3%),

[1]) W szczególności w guberni Piotrkowskiej: 1) 25.960, 2) 730, 3) 32.660, 4) 59.350 głów. 32·6% + 0·9% + 41·4% = 74·9%.

porządki domowe (5%) — 34 rb., co czyni razem **154 ruble rocznie** [1]). Potrzeby zaś przeciętne pojedynczego *dorosłego robotnika* należy przyjąć w 1/3 wyżej wzmiankowanej sumy, t. j. 52 rb. a pojedyńczej dorosłej robotnicy — 48 rb.

Środki zaś niezbędne do zaspokojenia wymienionych wyżej *potrzeb* bezrolna ludność wiejska znaleźć może w stałych lub czasowych zarobkach, których *przeciętna norma roczna* dla dorosłego *mężczyzny* wyraża się przez sumę **90 rb.** [2]), dla dorosłej *kobiety* — 60 rb. i nieletniego robotnika — 38 rb.

---

[1]) Na wyżywienie jednego człowieka, bez różnicy wieku i płci potrzeba rocznie korcy:

w gub. Cesarstwa: 3·65 żyta wart. według cen przeciętn. 14 rb. 60 k. (Obruczew)
w sąsiednich prowincyach pruskich: 1·95 ziarna i 3·6 kartofli wartości według cen przeciętnych . . . . . 11 „ 40 „ (Engel)
w gub. Kieleckiej, Radomskiej, Łomżyńskiej i Suwalskiej 2·66 żyta i 2·46 kartofli wart. według cen przeciętn. 13 „ 10 „ (Spr. Gub.)
w sąsiedniej Galicyi: 0·2 pszenicy, 1·5 żyta, 0·9 jęczmienia, 0·2 gryki, 0·3 grochu, 1·3 kartofli wartości według cen przeciętnych . . . . . 15 „ 20 „ (Lange)
w Królestwie Polskiem: 0·4 pszenicy, 1·4 żyta, 0·3 jęczm. 2·95 kartofli wartości według cen przeciętnych . . 11 „ 95 „ (Załęski)

Średni koszt *wyżywienia* jednego osobnika . . . . . 13 rb. 25 k.,
a zatem rodziny (4·2 osób) 55 rb. 65 k. a w zaokrągleniu *56 rb.*

Niezależnie od zboża i kartofli przeciętna rodzina włościańska podług możliwie dokładnych obliczeń i przeprowadzonych przezemnie badań w 3 powiatach gubernii Piotrkowskiej zużywa rocznie: 7 kóp kapusty, 1·5 korca buraków, 30 garncy mleka, 36 funtów słoniny, 25 funtów mięsa i 100 funtów soli, wartości ogólnej 25 rb. 75 kop., a w zaokrągleniu *26 rb.* A zatem najskromniejsze wyżywienie rodziny włościańskiej u nas wyniesie rocznie 56 rb. + 26 rb. = *82 rb.*

Na pozostałe niezbędne wydatki: a) odzież, bieliznę, obuwie, rodzina włościańska wydaje: w guberniach Cesarstwa 46 rb 50 k., w sąsiednich Prusach około 60 rb., w sąsiedniej Galicyi 41 rb. 20 k., w gub. Suwalskiej 36 rb. 30 k., w Piotrkowskiej 35 rb., co przeciętnie (z wyjątkiem dwóch pierwszych stosunkowo wygórowanych wydatków) uczyni 37 rb. 77 k., a w zaokrągleniu *38 rb.* i b) wartość mieszkania co najmniej 12 rb. rocznie, opału 12 rb., oświetlenie 2 rb., porządki domowe 8 rb., razem 34 rb.; a zatem niezbędny wydatek roczny przeciętnej rodziny włościańskiej stanowi w warunkach normalnych 82 rb. + 38 rb. + 34 rb. = **154 rb.**

[2]) W miejscowych robotach rolnych należy odróżnić 4 okresy: żniwa 3 miesiące, sianożęcie 1 miesiąc, wiosenne i jesienne roboty 4 miesiące i roboty zimowe 4 miesiące. W zależności od tych okresów, przy urodzaju przeciętn-

Zestawienie przytoczonych wyżej danych wskazuje, że dla zaspokojenia *najniezbędniejszych potrzeb przeciętnej rodziny bezrolnej*, — potrzeb oszacowanych w wysokości *164 rb.* rocznie, gorliwa praca jednego dorosłego mężczyzny, łącznie z pracą dorosłej kobiety, należących do jednej rodziny, jest niewystarczającą nawet w warunkach zupełnie normalnych, t. j. przy stałym popycie na robotników rolnych, przy umiarkowanych cenach produktów spożywczych, oraz przy innych sprzyjających warunkach, od których zależy łatwość zarobkowania i zmniejszenia nieprzewidzianych wydatków rodziny pracowników bezrolnych.

Jeśli w rodzinie bezrolnej niezależnie od dwóch wymienionych wyżej dorosłych osób, znajduje się jeszcze jeden osobnik zdolny do pracy, to ogólna suma zarobku takiej rodziny, w warunkach normalnych, przewyższa zwykle przeciętną normę wydatków, niezbędnych do zaspokojenia potrzeb tej rodziny, a osiągnięta w ten sposób *przewyżka* zarobku bywa zwykle zużytkowana albo na polepszenie bytu rodziny, albo na zabezpieczenie przyszłości. Odwrotnie, wszelkie *niedobory* w normalnym budżecie rodziny włościańskiej, jeśli nie mogą być dopełnione na miejscu stałego zamieszkania rodziny, zmuszają ją do szukania odpowiedniego zarobku w miejscowościach mniej lub więcej odległych

---

nym i normalnej liczbie robotników, przeciętna dzienna płaca zarobkowa robotnika rolnego waży się w następujących granicach:

| | okres żniw | | stanowycie | | okr. wiosen. i jesien. | | zimowy | | przeciętna roczna | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | męż. | kob. | męż. | kob. | męż. | kob. | męż. | kob. | męż. | kob. |
| 1) W gub. Suwalskiej | 50 k. | 34 k. | 45 k. | 29 k. | 31 k. | 25$_5$ k. | 25$_5$ k. | 18 k. | 37 k. | 26 k. |
| 2) „ „ Kieleckiej i Lubelskiej . | 50 „ | 34 „ | 40 „ | 40 „ | 30 „ | 20 „ | 20 „ | 15 „ | 35 „ | 22 „ |
| 3) W gub. Piotrkows. | 56 „ | 32 „ | 50 „ | 30 „ | 35 „ | 24 „ | 25 „ | 20 „ | 41 „ | 27$_5$ „ |

Przeciętny zarobek dzienny w roku 37$_5$ k. 25 k.

1) Wyd. V prac W. Kom. St. 2) S. Szpilow: „Stan ekon. gub. Kieleckiej 1901 r. H. Wierciński, opis st. gub. Lubelskiej, 1901. 3) Według studyów moich

Dni roboczych w roku, z wyjątkiem świąt i półświąt, 280. Odliczając z tej liczby 40 dni na złą pogodę, niedyspozycyę robotnika i t. p., za przeciętny okres pracy robotnika rolnego w Królestwie Polskiem, należy przyjąć dni 240.

Przeciętny zatem zarobek 1 dorosłego mężczyzny = 37·5 k. × 240 = 90 rb. — k.
„ „ „ 1 dorosłej kobiety . . = 25 „ × 240 = 60 „ — „
„ „ „ 1 wyrostka . . . . . = $\frac{90+60}{2\times2} = \frac{150}{4}$ = 37 „ 50 „

a w zaokrągleniu 38 rb.

poza granicami stałego zamieszkania, albo stopniowo prowadzą ją do nędzy.

Przytoczone wyżej przeciętne normy: *potrzeb* i *środków* włościan bezrolnych określają przeważnie warunki bytu 37·4% (a w gub. Piotrkowskiej 41·4%) bezrolnej ludności wiejskiej, zajętej wyłącznie wykonaniem robót niestałych „na dniówkę“ w gospodarstwie rolnem.

Ale warunki bytu tych robotników różnią się bardzo od warunków bytu *stałych folwarcznych robotników, a zwłaszcza robotników familijnych.* Chociaż ostatni obowiązani są do wykonywania w ciągu całego roku roboty, do jakiej się zobowiązali w umowie, to jednak oprócz pensyi stałej, otrzymują w naturze mieszkanie, opał i t. zw. „ordynaryę;“ nadto - działek ziemi pod kartofle i warzywa, w ciągu lata pastwisko, a w zimie utrzymanie dla krowy lub krów, a nadto mają prawo utrzymywania pewnej liczby sztuk nierogacizny, owiec i drobiu.

Wszystko to razem wzięte, po ścisłem oszacowaniu względnie do warunków miejscowych, sięga w przecięciu sumy **160 rb.**[1]).

Familijny robotnik folwarczny podług miejscowego zwyczaju obowiązany utrzymywać na swój koszt dodatkowego robotnika, zwykle wyrostka zwanego „Posyłką.“ Wyrostek ów wykonywa w ciągu całego roku roboty wskazane przez właściciela folwarku, których koszt wynosi od 10 do 20 kop. - czyli przeciętnie 15 kop. dziennie.

Z wyżej przytoczonych danych wypada, że egzystencya *familijnych robotników folwarcznych* (43·5% ludności bezrolnej, 36·2% w gub. Piotrkowskiej), jest o wiele więcej zabezpieczoną, niż robotników bezrolnych, godzonych na dniówkę.

Oszczędni a trzeźwi służący folwarczni, zwłaszcza zaś tacy, w których rodzinie znajduje się dodatkowa siła robocza, zdolna zarobkować na miejscu lub w okolicy, przy zapewnionem stałem utrzymaniu i mieszkaniu, mogąca korzystać z własnego nabiału, a czasami i z mięsiwa, zwłaszcza mająca pewne dochody z przy-

[1]) W gub. Piotrkowskiej familijni robotnicy folwarczni otrzymują *pensyi* 18—30 rb., *ordynaryą* ich składa się z 10—12 korcy twardego ziarna, przeważnie: 1 korzec pszenicy, 6 korcy żyta, 4 korce jęczmienia i 1 korzec grochu; *działek* obrobionej i użyźnionej *ziemi* pod kartofle, kapustę i t. p., od 100—150 prętów; *opał* — 4 półkubiczne sążnie drzewa, lub 6 — 8 sążni torfu; paszę dla inwentarza; mieszkanie, chlew i komórkę. Co stanowi ogółem sumę około 160 rubli.

chówku — nietylko mogą się odżywiać i zaspokajać inne nieodzowne potrzeby, ale nadto składać pewne oszczędności, sprzyjające zabezpieczeniu przyszłego ich bytu.

Wniosek ostatni stwierdza ta okoliczność, że byli „robotnicy folwarczni“ zajmują *wybitne miejsce pośród włościan*, nabywających grunta dworskie za pośrednictwem Banku Włościańskiego.

Do drugiej kategoryi *stałych robotników folwarcznych* zaliczają się bezżenni *parobcy* i *dziewki*, pozostający na wikcie (stole) gospodarza i pobierający pensyi: parobcy od 30 — 40 rb., dziewki od 20 do 36 rb. rocznie, bez ordynaryi i innych dodatków.

Byt tych robotników mniej jest zabezpieczony, niż stałych robotników żonatych, ale i potrzeby ich są znacznie mniejsze. Stanowisko pojedyńczych robotników jest tylko przejściowe, bowiem każdy z nich stara się stworzyć własną rodzinę przez wejście w związki małżeńskie i w ten sposób przejść do kategoryi robotników stałych, korzystających z ordynaryi i innych dodatków. — Zresztą warunki bytu *pojedyńczych robotników folwarcznych* bardzo mało się różnią od warunków, w jakich się znajdują robotnicy, pracujący u zamożniejszych *włościan*, *kolonistów* i innych drobnych właścicieli ziemskich.

Robotnicy ostatniej kategoryi, stanowiący 2·2% (w gub. Piotrkowskiej 0.9%), prawie bez wyjątku bezżenni, pobierają pensyi rocznej 12—24 rb. oraz wikt wspólny z pracodawcą.

Widzimy więc, że warunki bytu robotników rolnych różnych kategoryj nie są jednakowe. W warunkach stosunkowo najlepszych znajdują się *stali familijni robotnicy folwarczni*. Po nich następuje kategorya *stałych pojedyńczych robotników folwarcznych*, dalej kategorya *robotników pracujących u włościan* a miejsce końcowe zajmują *robotnicy bezrolni pracujący na roli na dniówkę*.

Niezależnie od *bezrolnej* ludności wiejskiej do kategoryi robotników rolnych zaliczyć należy poważną liczbę włościan, którzy, chociaż posiadają własne osady, jednakże zmuszeni są poświęcać się pracy zarobkowej w sąsiednich gospodarstwach rolnych, by w ten sposób zapełnić stałe lub chwilowe braki w budżetach własnych.

Liczbę takich robotników można oznaczyć tylko w przybliżeniu.

Jeżeli przypuścimy, że w robotach „na dniówkę“ biorą udział (oprócz bezrolnych) tylko ci włościanie małorolni, co posiadają osady III kategoryi (t. j. 3-morgowe i mniejsze), a osad takich w roku 1890 liczono 129.197 (w gub. Piotrkowskiej 11.272), to w takim razie liczbę ogólną ludności bezrolnej, t. j. 705.730 (w gub. Piotrkowskiej 59.350) powiększyć należy o ogół ludności, posiada-

jącej osady III. kategoryi, t. j. o 542.630 głów, (w gub. Piotrkowskiej 47.540 głów), licząc po 4·2 osoby na jedną osadę.

Drogą powyższych zestawień dojść można do wniosku, że na początku ubiegłego dziesięciolecia, kontyngens ludności miejscowej, której środki egzystencyi zależały w zupełności od stałych lub dorywczych tylko zarobków, osiąganych z pracy w gospodarstwach rolnych, wynosił, 1.248.360 głów (w tej liczbie w gubernii Piotrkowskiej 106.840 głów).

Gdy weźmiemy pod uwagę stały przyrost ludności miejscowej oraz dotkliwy zastój w przemyśle i wogóle ciężkie współczesne warunki ekonomiczne, to z wszelkiem prawdopodobieństwem twierdzić możemy, że i *w obecnej chwili kontyngens robotników małorolnych i bezrolnych*, pomimo znacznego powiększenia się w ostatnich czasach powierzchni gruntów włościańskich [1]), w całym kraju, *nie jest mniejszy od* 1.000.000 głów (w tem w gub. Piotrkowskiej 100.000 głów). Czyli, że obecnie w Królestwie znajduje się robotników wiejskich bezrolnych i małorolnych około 9·5% ogółu ludności i 12·5% ludności wiejskiej.

Gdzież więc tak poważna liczba mieszkańców Królestwa, nie zabezpieczonych w sposób odpowiedni znajduje niezbędne środki egzystencyi na miejscu stałego zamieszkania, czy też po za jego obrębem?

Sprawę tę, wyjaśniają w pewnej mierze dane Warszawskiego Komitetu Statystycznego, wskazujące, że w ogólnej masie ludności bezrolnej Królestwa Polskiego (w r. 1891) liczono mieszkańców *stałych*, t. j. pracujących w gminach, do których ksiąg stałej ludności zostali zapisani — 53·8% ogółu ludności bezrolnej, zaś zamieszkujących za paszportem, czyli *niestałych* mieszkańców — 46·2%. — Największą liczbę ludności *bezrolnej niestałej* znajdujemy w gub. Warszawskiej — 54% i Piotrkowskiej — 43·4%; najmniejszą zaś w gub. Kieleckiej — 32% i Suwalskiej — 32·3%.

Tak wybitnej ruchliwości miejscowych włościan bezrolnych niepodobna tłómaczyć ani wrodzoną skłonnością do częstej zmiany miejsca zamieszkania, ani też jakimś przypadkiem, przeciwnie, nie ulega żadnej wątpliwości, że tylko istotna *potrzeba* i dążenie do poprawy i zabezpieczenia egzystencyi, zmuszają włościanina

[1]) W okresie 1888—1903 r. z gruntów dworskich na rzecz włościan przeszło: a) za pośrednictwem Banku Włościańskiego 441.000 mórg (w tem w gub. Piotrkowskiej 49.000 mórg) i b) na mocy umów dobrowolnych około 100.000 morgów.

do opuszczenia stałej siedziby i szukania poza jej granicami zarobku stałego — *z całą rodziną*, lub czasowo — *w pojedynkę*.

Wydalanie się ludności roboczej z miejsca stałego zamieszkania, zawsze i wszędzie bez względu na formę, w jakiej się ono odbywa, jest zwykle następstwem zachwiania się w danej miejscowości równowagi pomiędzy *popytem* na siłę roboczą i *podażą* takowej — czyli innemi słowy, wychodźtwo robotników jest następstwem braku równowagi pomiędzy *ogólną sumą zarobków* (*z*) i *liczbą robotników* (*r*), istniejącą w danej miejscowości.

Od wartości liczebnej wymienionych, a nader znamiennych ilości, zależy stopień zabezpieczenia egzystencyi, czyli względnego *dobrobytu* (*d*) klasy roboczej w danej miejscowości.

Naturalny a nierozłączny związek pomiędzy trzema wymienionemi ilościami wyraża się w postaci następującego *wzoru* ($z/r = d$), dosadnie przekonywającego, że ze wzrostem sumy zarobkowej, przy stałej liczbie robotników, *dobrobyt* klasy robotniczej wzrasta i odwrotnie, z powiększeniem się liczby robotników, przy niezmienionej sumie zarobków, dobrobyt klasy robotniczej maleje.

A więc w przytoczonym *wzorze* mieszczą się wyraźne wskazania i ostrzeżenia dla administratora, publicysty, praktycznego działacza, a nawet dla ojca rodziny, co mianowicie przedsięwziąć a czego uniknąć należy, celem ochrony pewnej grupy jednostek, od braku środków utrzymania.

*Płaca zarobkowa*, będąc główną dźwignią dobrobytu klasy roboczej, jest w ścisłym związku ze stopniem rozwoju rozmaitych gałęzi pracy w danej miejscowości.

W krajach rolniczych, do jakich należy Królestwo Polskie [1]), przeważnie widzimy *popyt* na siły fizyczne robotnika, t. j. na pierwotną formę pracy, wynagrodzenie za którą, w miejscowościach gęsto zaludnionych, nie dosięga do znacznej wysokości; nadto, płaca zarobkowa robotników rolnych podlega znacznym wahaniom, w zależności nietylko od pór roku, lecz i innych warunków, np. stopnia kultury rolnej; przewagi wielkiej lub drobnej własności ziemskiej [2]); jakości urodzajów; rozpowszechnienia maszyn rolniczych; oddalenia od miejsc gęsto zaludnionych i t. p.

[1]) W 10 guberniach Królestwa ludność wiejska wynosi 78·2%, a miejska tylko 21·8% ogółu mieszkańców Królestwa, w gub. Piotrkowskiej wiejska 67·8% miejska 32·2%, w Niemczech wiejska 53% miejska 47%.

[2]) Obecnie w Królestwie ogół gruntów dworskich stanowi 10·7, a włościańskich 10·2 milionów morgów.

Przeciwnie, *wielki i drobny przemysł* nie ogranicza się wyłącznie tylko do pracy fizycznej robotników, lecz wymaga od nich jeszcze pewnych specyalnych wiadomości, a więc odpowiedniego przygotowania się do pracy zawodowej, wskutek czego wynagrodzenie za taką pracę w warunkach normalnych przewyższa zwykle wynagrodzenie, jakie otrzymują robotnicy rolni.

Wobec przytoczonych wyżej faktów, prawidłowy i pomyślny rozwój zakładów przemysłowych i wzrost miast, sprzyjają napływowi wiejskiej ludności roboczej do zaludnionych środowisk, gdzie praca robotnika wynagradzana bywa stosunkowo lepiej i gdzie pracujący mają nadto możność korzystania z pewnych kulturalnych udogodnień życia miejskiego. To sprawia, że robotnicy wiejscy bardzo chętnie godzą się w miastach dla stałych lub czasowych robót przy przedsiębiorstwach budowlanych i ziemnych; przy ładowaniu i wyładowaniu ciężarów; do rozmaitych posług w gospodarstwie domowem i t. p.

Robotnicy wiejscy, którym udało się znaleźć stałą pracę w mieście, wogóle niechętnie i tylko w rzadkich wypadkach powracają na wieś do swych zajęć poprzednich.

Zresztą, *wysokość płacy zarobkowej* robotników rolnych i innych ma swoją *granicę*, ponad którą już wznieść się nie może, bez ujemnego wpływu na budżet pracodawcy. Zbytni wzrost płacy zarobkowej musiałby bezwarunkowo odbić się na cenie bieżącej *produktu*, a ta przekroczywszy normalną granicę, mogłaby sprawić, że produkt stałby się niedostępnym dla nabywców, co zatem przyczyniłoby się do ruiny właściciela danego przedsiębiorstwa.

I dlatego to płaca zarobkowa stosuje się zazwyczaj do *normy*, wyrażającej *minimalne koszta utrzymania robotnika*.

Wzrost płacy zarobkowej *po nad* normę wyżej wskazaną, daje możność zdolnemu i oględnemu robotnikowi gromadzenia pewnych oszczędności dla polepszenia i zabezpieczenia swego bytu.

Wynagrodzenie *niższe* od tejże normy, grozi robotnikowi perspektywą niedostatku i nędzy. Dla wyzwolenia się z ostatnich, robotnik znaglony bywa do szukania lepszych zarobków w innych miejscowościach, lub na innem polu pracy, o ile jest do niej przygotowany.

Jeśli liczba robotników, znajdujących się w danej miejscowości, zaspakaja jej potrzeby, to miejscowość taka znajduje się w warunkach normalnych ekonomicznych; w przeciwnym razie, t. j. przy braku lub nadmiarze siły roboczej, nieodwołalnie cierpieć muszą interesy pracodawców, lub klasy roboczej.

Pierwsi o wiele łatwiej znaleźć mogą środek zaradczy przeciw brakowi robotników, bowiem pracodawca, kosztem odpowiedniego wydatku może uzupełnić ten brak, za pomocą sprowadzenia robotników postronnych; zaś nadmiar robotników przyprawić może o znaczną szkodę miejscową klasę roboczą, która, nie wiedząc częstokroć, gdzie ma szukać zarobku, wystawioną bywa na najrozmaitsze niedogodności i braki, podkopujące warunki jej bytu.

Lecz sytuacya ekonomiczna zaczyna się gmatwać i zbliża się do stanu *krytycznego*, od chwili, gdy nie tylko w pewnej okolicy, lecz i na znacznej przestrzeni danego kraju ujawniać się zaczyna działanie jednego z przytoczonych wyżej nienormalnych warunków.

Wówczas albo pracodawca jest zmuszony do uszczuplenia, a nawet zupełnego zwinięcia przedsiębiorstwa, albo klasa robocza musi z konieczności podążać za kawałkiem chleba do innych miejscowości, a nawet poza granice własnego kraju. Zwiastun podobnie *krytycznej chwili* po dwakroć w ostatnim 15-letnim okresie wywołał panikę wśród odnośnych sfer miejscowej ludności, zamieszkałej na pograniczu naszego kraju.

## II.

Masowe wychodźtwo robotników rolnych ujawniło się w Królestwie Polskiem znacznie słabiej niż w Cesarstwie. Przyczyn tego szukać należy: w jednostajnych prawie warunkach klimatycznych naszego kraju; w stosunkowo wysokiej kulturze większych gospodarstw rolnych, niwelującej do pewnego stopnia różnice w gatunkach gleby; w odmiennym systemie miejscowych gospodarstw rolnych, które wobec stałej służby folwarcznej, korzystają z najemnych robotników tylko w okresach zwiększonych zajęć gospodarczych i t. d.

Wyjątek pod tym względem stanowią większe gospodarstwa, oraz miejscowości, sąsiadujące z ludnemi miastami i ogniskami przemysłu, albo przyległe do kolei żelaznych, w których dający się uczuć od czasu do czasu brak robotnika, uzupełniany bywa przez partye robotników postronnych, umówionych na czas robót sezonowych.

Nie zbyt dawno brak robotnika miejscowego zapełniali w gospodarstwach rolnych *górale*, sprowadzani z Galicyi; obecnie podczas żniwa i kopania kartofli, wielką pomocą w gospodarstwie są *żołnierze* najmowani z najbliższych załóg wojskowych.

Nadto w ostatnich latach w większych gospodarstwach zachodniej połowy kraju, spotykać się dają niewielkie partye robotników, pochodzących z oddalonych okolic: południowej części gubernij Lubelskiej, z gub. Łomżyńskiej i Siedleckiej, t. j. z okolic mniej urodzajnych i nie posiadających rozwiniętego przemysłu. W takich miejscowościach ludność nie może mieć nadziei znalezienia stałego zarobku i szuka go w dalszych stronach.

Wogóle *ruch robotników rolnych wewnątrz kraju*, za sprawą dogodnej komunikacyi, niewielkich odległości, jednakowych warunków bytu i niezbyt różniącej się płacy zarobkowej zależy w zupełności od istotnych potrzeb pracodawców i klasy roboczej. *Pierwsi* w braku robotników miejscowych, zapewniają sobie postronną siłę roboczą drogą niewielkiej podwyżki zwykłej płacy zarobkowej; zaś *drudzy*, zapewniwszy sobie możliwy zarobek, po za obrębem swojej siedziby, przy niewielkich wydatkach na przejazd i bardzo skromne utrzymanie, po kilkumiesięcznej pracy, przynoszą do domu oszczędności, sięgające 30 — 40 rubli.

*Nierolnicze wychodźtwo wewnątrz kraju* jest dosyć ożywione. Wychodźcy tej kategoryi udają się przeważnie do większych miast, a w szczególności do Warszawy i Łodzi, do okręgu górniczego gubernii Piotrkowskiej, stają do roboty w twierdzach i na drogach żelaznych.

Stały popyt na siłę roboczą w miejscowościach wymienionych sprzyja zarobkom nietylko okolicznych robotników, lecz i innych przybyłych niekiedy z miejscowości dość oddalonych, a czasami nawet z gubernij Cesarstwa i z zagranicy.

Niezależnie od dość ożywionego ruchu robotników wewnątrz kraju, jest jednak w Królestwie Polskiem nie mało miejscowości o wysokim procencie ludzi małorolnych i bezrolnych, — miejscowości położonych zdala od dróg żelaznych, i wogóle nie odznaczających się dostatecznym popytem na siłę roboczą.

W takich warunkach istniejący w tych miejscowościach nadmiar robotników nie znajduje dla siebie stałego korzystnego zarobku na miejscu — i lud robotniczy decyduje się na połączone z wieloma trudnościami, wyszukanie zajęcia po za obrębem swojej siedziby, korzystając zaś z blizkości granicy udaje się na zarobki po za obręb swojego kraju.

Niezależnie od wzmiankowanego wyżej ruchu ludności roboczej *wewnątrz* kraju, już po raz drugi w ostatniem piętnastoleciu ujawniło się, i to w szerokim zakresie, dążenie ludności miejscowej zagranicę.

Nowe to zjawisko uwydatniło się w dwóch odmiennych formach.

W latach 1889—1892 miało ono charakter „emigracyi za ocean“ osób różnych stanów, pojedyńczo, lub całemi rodzinami, i nietylko ludzi niezamożnych, lecz i osób, rozporządzających pewnymi funduszami.

Obecnie wyjaśniono dokładnie, że ruch emigracyjny, rozwijający się w owym okresie czasu nie tylko u nas, lecz i we wszystkich państwach europejskich, był spowodowany przez usilne zabiegi respublik Ameryki Południowej, które pragnęły ściągnąć jaknajwiększą liczbę imigrantów do swoich niezaludnionych obszarów.

Rozwinięta w tym celu niezwykle energiczna agitacya zachęcała wszędzie ludność roboczą do emigracyi i kaptowała ją, kreśląc widoki i dając obietnice świetnej przyszłości.

Pod wpływem tych obietnic znaczna część najbiedniejszej ludności miast i wsi, zwłaszcza położonych w pogranicznych guberniach Królestwa Polskiego udała się na emigracyę i to tak tłumną, że od r. 1887 do 1894 wyemigrowało z Królestwa do Ameryki 66.000, a w samym tylko r. 1900 około 17.000 osób [1]). Przytem niemała ilość tychże emigrantów zerwała zupełnie związki z krajem rodzinnym.

Wszakże otrzeźwiające wpływy prasy miejscowej i liczne odezwy wychodźców, zawiedzionych w swych nadziejach, miały ten skutek, że ruch emigracyjny począł stopniowo słabnąć i w okresie czasu od r. 1895 — 1898 zmniejszył się do 4.500 osób rocznie.

Lubo od tego czasu emigracya za ocean w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, zalicza się do wyjątków, dała ona jednak impuls do nowego ruchu emigracyjnego — do Ameryki Północnej — na czasowe, przeważnie bardzo korzystne zarobki,[2]) i do sąsiednich Niemiec na rolne roboty sezonowe.

*Krotkoterminowe wychodźtwo* robotników miejscowych z pasa granicznego do sąsiednich prowincyj pruskich, znane było oddawna, ale brał w niem udział jedynie *nadmiar* miejscowej ludności bezrolnej, zaś od 1898 r. spostrzegać się daje udział w ruchu emigracyjnym całych mas ludności. Ruch ten, trwający od 6 - 8 miesięcy objął nietylko ludność bezrolną, lecz i zamożniejszą, zdolną do pracy, początkowo w pogranicznych, a następnie w bardziej oddalonych miejscowościach kraju naszego.

---

[1]) Dane Warsz. Kom. Stat.

[2]) W 1900 i 1901 r. wyjeżdżało do Ameryki Północnej około 9.000 ludzi rocznie na sezonowe roboty rolnicze.

Pozatem, nowy prąd emigracyjny nie ograniczył się jedynie do wychodźtwa do sąsiednich prowincyj pruskich (Szlązk, Poznań, W. i Z. Prusy), ale skierował się także do Saksonii, Brandeburgii, Westfalii, Hannoweru i prowincyj Nadreńskich.

Wzrastające bezustannie wychodźtwo po za granice kraju dosięgło w latach 1900 i 1901 takich rozmiarów, że w wielu wioskach nadgranicznych pozostała tylko cząstka ludności roboczej, niezbędna dla podtrzymania gospodarstw włościańskich. Spowodowało to, że sporo właścicieli dóbr ziemskich, pozbawionych znacznej części robotników stałych i najemnych, znalazło się w nader trudnem położeniu, z którego wyjście połączonem było ze znacznymi kosztami, łożonymi na najem robotników postronnych.

Nic więc dziwnego, że nowe masowe *wychodźtwo za granicę* stało się znamienną i palącą sprawą chwili i wywołało konieczność wszechstronnego zbadania przyczyn nader skomplikowanego zjawiska i wynalezienia (o ile okaże się możliwem) środków zaradczych w celu ukrócenia, a przynajmniej ograniczenia, tego zjawiska.

Atoli różne próby zbadania „wychodźtwa robotników zagranicę“ były dotąd bardzo niedostateczne i zdołały zaledwie określić liczbę wychodźców w ostatnich latach z każdej poszczególnej gubernii.

Odnośny materyał, zebrany w drodze urzędowej, jest w ręku Warszawskiego Komitetu Statystycznego, a niezależnie od tego zjawiło się w czasach ostatnich w druku kilka prac poświęconych wychodźtwu ludności wiejskiej z kraju naszego [1]).

Na podstawie powyższych źródeł, *przyczyny*, pobudzające bezustannie włościan miejscowych do wychodźtwa na zarobki za granicę, należy podzielić na *wewnętrzne* i *zewnętrzne*.

Do pierwszych, czyli *wewnętrznych*, przeważnie należą:

1) Stosunkowo wysoki naturalny przyrost ludności (w Królestwie Polskiem 1·5%, w Niemczech 1·07%, w Cesarstwie 1·27%) i wynikająca stąd gęstość zaludnienia (w Królestwie na jedną wiorstę kwadratową ludności ogólnej 70·5; wiejskiej 55·2 głów; w gub. Piotrkowskiej 132 i 98 głów, w Niemczech 111 i 58·6 głów).

---

[1]) „Wychodźtwo zarobkowe włościan Kr. Polskiego“ 1901 r. B. Koskowski. „Wychodźtwo polskie w Niemczech,“ 1902 r., dr. Rakowski. „Ruch emigracyjny włościan na zarobki,“ 1902 r., Spasowicz i Piltz. „Emigracya do Ameryki z gub. Suwalskiej w 1889 i 1901 r.,“ Wyd. V, oprac. Warsz. Kom. St. „Wyciągi z „danych“ dotyczących wychodźtwa robotników zagranicę,“ 1903 r. Warsz. Kom. Stat.

2) Wybitna przewaga ludności wiejskiej nad miejską (w Kr. Pol. miejska 21·8% wiejska 78·2%, w Niemczech 47% i 53%) i nierównomierny rozkład w różnych dzielnicach Królestwa ludnych miast i ognisk przemysłu, przeważnie ześrodkowanych w guberniach: Warszawskiej i Piotrkowskiej.

3) Wysoki procent ludności bezrolnej w kraju całym 13·2% (a w gub. Piotrkowskiej 9·8%), i małorolnych w kraju 21·8% (w tem w gub. Piotrkowskiej 16·4%) i niejednakowa gęstość tej ludności w poszczególnych guberniach.

4) Niewielka stosunkowo urodzajność miejscowych gruntów (w Król. Pol. średnio 4 - 5 ziarn, w Niemczech 7, 5, we Francyi — 8, w Belgii 12·7 w Anglii 13·6) i nizkie ceny zboża, przy braku w znacznej części Królestwa korzystnych rynków zbytu produktów rolnych.

5) Brak dogodnego i dostępnego dla wszystkich warstw ludności wiejskiej *kredytu* wogóle i *długoterminowego* w szczególności, tyle niezbędnego dla zmniejszenia obciążenia długami posiadłości włościańskich.

6) Nadmierny ciężar podatków państwowych i najrozmaitszych opłat gminnych, częstokroć przewyższających zdolność płatniczą przeciętnego włościanina oraz wprost rujnujące klasę drobnych właścicieli, koszta obrony sądowej, opłaty rejentalne i inne.

7) Nizki wogóle poziom rozwoju umysłowego większej części ludności miejscowej i nader słabe przygotowanie tej ludności do pracy, nie polegającej jedynie na stosowaniu siły fizycznej. Skutkiem tego jest bardzo mały udział miejscowej ludności wiejskiej w przemyśle domowym, rzemiosłach, handlu i w innych tym podobnych gałęziach pracy.

8) Najzupełniej usprawiedliwione dążenie naszego włościanina do posiadania własnej chociażby najmniejszej osady, albo do rozszerzenia posiadanej już osady — w jakiej, być może instynktownie, upatruje on najlepszą gwarancyę egzystencyi własnej i rodziny.

Do przyczyn *zewnętrznych*, które w miejscowej klasie robotniczej wywołały wychodźtwo *peryodyczne*, przedewszystkiem zalicza się: olbrzymi, począwszy od r. 1871 (rok wojny francusko-pruskiej), rozwój przemysłu niemieckiego, który w ciągu ostatniego piętnastolecia dosięgnął niezwykłych rozmiarów.

Zwiększony popyt na siłę roboczą przez wielki przemysł niemiecki odwołał najprzód znaczną liczbę robotników rolnych

z okolic sąsiednich. Zmniejszenie siły roboczej w tych miejscowościach zaczęło się uzupełniać przez napływ nowych robotników, ze stron bardziej oddalonych, wysuniętych na wschód i w ten sposób z biegiem czasu, ruch emigracyjny wewnętrzny w granicach Niemiec owładnął wschodnie prowincye: Poznań, W. i Z. Prusy i Szlązk, a następnie sąsiadujące z niemi terytorya w granicach Królestwa Polskiego, gub. Kowieńskiej, Szląska Austryackiego i Galicyi.

Zwiększone wychodźtwo robotników z Królestwa Polskiego do Prus, zapoczątkowane w r. 1898 ma przeważnie charakter rolny i trwa w czasie robót sezonowych, zwykle od końca marca do listopada. Stosunkowo rzadko się zdarza, żeby robotnicy miejscowi udawali się zagranicę na dłuższy przeciąg czasu, do kopalń węgla, hut żelaznych i innych fabryk. Robotnicy miejscowi zagranicą zawierają umowy, według których pobierają wynagrodzenie za pracę od sztuki, t. j. „na akord.“ Dzienna płaca waha się od 1 do 2 marek, niezależnie od życia (wiktu), mieszkania i wydatków na podróż, obowiązujących pracodawcę. W fabrykach robotnik od 3 do 7 marek dziennie, bez pożywienia i innych dodatków.

O ile wnosić można z warunków, objętych blankietami kontraktów, nadsyłanych przez poznańską i wrocławską „komory rolnicze“ do wiadomości namiestnictwa w Galicyi, — wszystkie potrzeby robotników, zwabionych do robót w Prusach, są przewidziane, a wysokość zarobku dziennego lub miesięcznego, jest stosunkowo wyższa od przeciętnego zarobku praktykowanego w kraju,

Robotnicy wychodzący zagranicę za pośrednictwem prywatnych, przeważnie tajnych agentów, nie mają najmniejszej pewności dotrzymania warunków, ofiarowanych im przez tychże agentów.

Nie przeszkadza to jednak, o ile można wnosić z relacyj wychodzców i z innych źródeł wiarogodnych, że robotnicy miejscowi są w możności w ciągu 6—8 miesięcznego pobytu zagranicą, zarobić tyle, iż po potrąceniu wszystkich niezbędnych wydatków, przywożą ze sobą lub przysyłają pocztą do kraju, przeciętnie około 60 rubli na osobę, a w wypadkach wyjątkowych — po 100, a nawet więcej rubli.

Z rzędu ostatnich lat wychodźtwo dosięgło największych rozmiarów w latach 1900 i 1901.

Z uprzejmie udzielonych nam (w 1903 r.) materyałów, nadesłanych do Warszawskiego Komitetu Statystycznego okazuje się, że w r. 1900 wyszło z Królestwa Polskiego na roboty do Prus 118.175 robotników, a w r. 1901 — 139.708 osób.

Przeciętny zarobek jednego robotnika w r. 1900 wynosił 67 rb. 75 k., a w r. 1901 zmniejszył się do 65 rb. 75 k. [1]).

Jeśli przytoczone dane są zupełnie dokładne, to wziąwszy je pod rozwagę, dojdziemy do przekonania, że wychodźtwo włościan w ciągu ostatnich dwóch lat wzbogaciło nasz kraj o sumę od 15 do 16 milionów rubli, t. j. o sumę taką, jaka mogłaby wystarczyć na kupno 10.500 zagospodarowanych 10-morgowych osad włościańskich!!

Gdy dodamy do powyższego, że niezależnie od powiększenia zasobów materyalnych, włościanin miejscowy, podczas pobytu za-

[1]) Wychodźtwo robotników polskich do Prus, podług poszczególnych gubernij dzieli się w sposób następujący:

| | w 1890 r. | w 1900 r. | w 1901 r. |
|---|---|---|---|
| Gub. Kaliska | 13.895 osób | 55.681 osób | 70.743 osób |
| „ Płocka | 2.796 „ | 24.804 „ | 27.810 „ |
| „ Łomżyńska | 40 „ | 17.172 „ | 17.597 „ |
| „ Piotrkowska | 1.100 „ | 10.524 „ | 12.284 „ |
| „ Warszawska | 1.610 „ | 6.571 „ | 8.497 „ |
| „ Suwalska | 395 „ | 3.033 „ | 2.806 „ |
| „ Siedlecka | — „ | 215 „ | ? „ |
| „ Lubelska | — „ | 172 „ | 47 „ |
| „ Kielecka | — „ | 3 „ | 14 „ |
| „ Radomska | — „ | — „ | — „ |
| Razem | 19.836 osób | 118.175 osób | 139.798 osób |

| | Liczba gmin w gub. | Z ilu gmin wychodzili włośc. zagranicę w 1890 r. | w 1900 r. | w 1901 r. |
|---|---|---|---|---|
| Gub. Kaliska | 142 gmin | 42 gmin | 118 gmin | 124 gmin |
| „ Płocka | 95 „ | 23 „ | 83 „ | 83 „ |
| „ Łomżyńska | 72 „ | 1 „ | 54 „ | 56 „ |
| „ Piotrkowska | 151 „ | 2 „ | 45 „ | 44 „ |
| „ Warszawska | 189 „ | 11 „ | 45 „ | 52 „ |
| „ Suwalska | 92 „ | 5 „ | 39 „ | 36 „ |
| „ Siedlecka | 141 „ | — „ | 6 „ | ? „ |
| „ Lubelska | 140 „ | — „ | 5 „ | 5 „ |
| „ Kielecka | 128 „ | — „ | 1 „ | 2 „ |
| „ Radomska | 144 „ | — „ | — „ | — „ |
| Razem | 1294 gmin | 84 gmin | 396 gmin | 402 gmin |

Z samej tylko gubernii Piotrkowskiej w r. 1900 wyszło do Prus 10.524 osób, a w tej liczbie z powiatu Częstochowskiego 5.090 osób, Będzińskiego — 2.207, Łaskiego — 1.513, Noworadomskiego — 1.307 i Piotrkowskiego — 407 osób. W powiatach: Łódzkim, Brzezińskim i Rawskim wychodźtwa zagranicę w 1900 roku nie ujawniono.

granicą, znacznie podnosi swój poziom umysłowy, przyzwyczaja się do pracy bardziej intensywnej i nabywa niemało pożytecznych wiadomości z dziedziny gospodarstwa rolnego i innych, to musimy się zgodzić z tem, że praca jego na obczyźnie nie jest bezowocną.

Polepszając byt własny, robotnik przyczynia się zarazem do podniesienia poziomu ogólnego dobrobytu kraju własnego.

A więc, z czysto ekonomicznego punktu widzenia *wychodźtwo zagranicę*, o ile nie wpływa demoralizująco na młodzież i nie zanadto ogałaca niektóre okolice z robotników rolnych, winnoby być poczytane za zjawisko dodatnie.

Wniosek ten jednak jest tylko względnym i pozostanie takim dotąd, aż będą podjęte prace systematyczne, oparte na zupełnie wiarogodnych danych, na podstawie których można będzie dokonać wszechstronnych badań nad *wychodźtwem* i inemi nader skomplikowanemi a trudnemi do rozwiązania sprawami natury społeczno-ekonomicznej.

Dane te, jak to już niejednokrotnie przekonała praktyka, mogą być gromadzone przy współudziale organów rządowych, instytucyj społecznych i osób prywatnych rozporządzających odpowiednim zapasem wiedzy, i znanych z tego, że udział w sprawach dobra publicznego stanowi główny cel ich dążeń i działalności.

Bez wyczerpującego i wszechstronnego zbadania wszelkich szczegółów sprawy, stosowanie jakichkolwiek zarządzeń czy środków zabraniających, lub tolerujących wychodźtwo zagranicę, byłoby przedwczesnem i bezcelowem. Należy zaś co spieszniej przystąpić do *uporządkowania* sprawy i warunków wychodźtwa zagranicę, w celu obrony włościan miejscowych przed różnorodnym wyzyskiem w czasie przechodzenia linii granicznej oraz pracy ich i zarobków podczas pobytu na obczyźnie.

## III.

Wszystkie przytoczone wyżej dane i wnioski prowadzą do przekonania, że warunki bytu ludności *małorolnej* i *bezrolnej* w Królestwie Polskiem nie są zadawalniające i że na porządku dziennym winna być postawiona sprawa rozwinięcia wszechstronnych zabiegów około polepszenia bytu, nie tylko wyżej wymienionych klas ludności, lecz i wszystkich klas wogóle, gdyż pozostają one stale w organicznym i nierozerwalnym z sobą związku.

Praca podjęta w tym celu zdążać winna ku dwom następującym zadaniom: *ogólnym* — mającym na względzie dobrobyt całej ludności wiejskiej i *specyalnym* — zmierzającym ku zabezpieczeniu bytu i zaspokojeniu potrzeb niektórych tylko warstw tej ludności.

Do *zadań ogólnych* należą:

1) Przyspieszenie rozwiązania ostatecznego nieukończonych dotąd urządzeń agrarnych (serwituty, szachownice, komasacye), oraz uregulowania stosunków prawnych w sprawach najmu, dzierżaw, szkód leśnych i t. d.

2) Wszelkie możliwe starania o podniesienie w kraju kultury rolnej większych i drobnych gospodarstw wiejskich.

Urzeczywistnienie tych zadań winno zapewnić: a) unormowanie dość zadrażnionych częstokroć stosunków pomiędzy właścicielami większej i mniejszej własności, oraz między pracodawcami i pracownikami, b) bardzo pożądane zwiększenie dochodów z własności ziemskiej, c) zwiększenie stałego popytu na siłę roboczą, i wogóle d) podniesienie ogólnego dobrobytu.

Do *zadań specyalnych*, (pominąwszy te, co w zależności od dobrej woli i środków pracodawcy znalazły już zastosowanie w praktyce) zaliczyć należy:

1) Nieustającą i wszechstronną troskę chlebodawców o polepszenie bytu klasy roboczej za pomocą: stopniowego, w miarę możności, podnoszenia zasług i płacy zarobkowej, urządzania wygodnych i hygienicznych mieszkań, zachęcania i czynnego pomagania do uczestniczenia w kasach emerytalnych, lub innych instytucyach samopomocy, oraz czuwania nad duchowemi potrzebami pracowników i ich rodzin.

2) Powołanie do życia instytucyj *długoterminowego kredytu* dla włościan, nietylko dla nabywania gruntów, lecz i zaspokojenia innych potrzeb, mianowicie: spłacenia długów, ułatwienia działów spadkowych i t. d.

3) Powiększenie źródeł *kredytu krótkoterminowego* dla ludności wiejskiej wogóle, a w szczególności dla osób, trudniących się handlem, rzemiosłami i wiejskim przemysłem domowym.

4) Uporządkowanie *przemysłu drobnego* w znaczeniu popierania istniejących już i wprowadzania nowych gałęzi tego przemysłu, oraz ochrony drobnych przemysłowców od bezlitośnego wyzysku ich pracy przez różnych pośredników.

5) Zmniejszenie zbytniej liczby *jarmarków* po wsiach i osadach, oraz t. zw. *dni targowych*. Odrywa to ludność wiejską od zajęć prawidłowych, zmniejsza dotkliwie ogólną liczbę dni robo-

czych, a częstokroć sprzyja demoralizacyi ludności wiejskiej i wyzyskowi skromnych jej zasobów materyalnych.

6) Urządzenie całego szeregu bezpłatnych *„stacyj pośredniczących“* dla ułatwienia najmu czasowych i stałych robotników, bez udziału t. zw. *faktorów*. *Stacye* takie należałoby urządzić przy sądach i urzędach gminnych, herbaciarniach ludowych i instytucyach dobroczynnych.

## IV

*Uporządkowania wewnętrznego i zewnętrznego wychodźtwa* można się spodziewać pod wpływem urządzeń następujących:

1) Dla należytego informowania ludzi poszukujących pracy o zapotrzebowaniu siły roboczej, jakiego rodzaju, gdzie i na jakich warunkach, należałoby urządzać *odpowiedzialne kantory pośredniczące*, których obowiązki, zwłaszcza w sprawach dotyczących robotników rolnych, mogłyby spełniać z niezawodnym pożytkiem miejscowe Towarzystwa Rolnicze i ich filie.

2) Dla ułatwienia *przejazdu robotników wewnątrz kraju*, i dla podtrzymania stosunków robotników z ich rodzinami, należałoby zobowiązać zarządy kolei żelaznych, aby do zwyczajnych pociągów osobowych dodawano po jednym wagonie IV klasy „dla robotników.“

Wysyłane obecnie „pociągi robotnicze“ wymagające zgłoszenia się nie mniej od 40 robotników, nie odpowiadają owemu przeznaczeniu.

3) Celem zabezpieczenia potrzeb robotników, udających się do ognisk przemysłowych, byłoby pożądanem, żeby na wzór baraków, urządzonych przez kolej Warsz.-Wied. dla swoich robotników, urządzano *specyalne pomieszczenia* (z oddziałami — męzkim i żeńskim) dla noclegów i czasowego pobytu robotników, poszukujących pracy.

Takie instytucye winny podlegać ścisłej kontroli sanitarnej i pozostawać pod opieką właściwych instytucyj społecznych.

Zresztą troska o potrzeby robotników udających się na *wychodźtwo zewnętrzne*, to jest na roboty zagranicę, tymczasowo może się ograniczyć do *zabezpieczenia* tych robotników od wyzysku rozmaitych przygodnych pośredników i do *obrony* wychodźców przed wyzyskiem niesumiennych pracodawców

Dla uporządkowania *wychodźtwa zewnętrznego* na razie należałoby przedsięwziąć środki następujące:

1) Urządzenie w pasie granicznym *odpowiednich biur emigracyjnych* [1]), obowiązanych: a) do zawiązania bezpośrednich stosunków z zagranicznemi biurami pośredniczemi, celem gromadzenia dokładnych wiadomości o tem, jak dużym jest popyt na miejscową siłę roboczą, o szczegółowych warunkach najmu i nazwach miejscowości, do jakich należałoby skierować robotników; b) do zawierania *kontraktów piśmiennych* pomiędzy robotnikami a pracodawcami; c) do prowadzenia szczegółowych *rejestrów* robotników, umawiających się zagranicę; i d) do wydawania ugodzonym już robotnikom odpowiednich *świadectw* na prawo przejścia granicy i pobyt zagranicą.

2) Zobowiązanie Konsulatów Rosyjskich do wszechstronnej opieki i troski nad potrzebami naszych robotników wychodźców, w czasie pobytu ich zagranicą.

3) Użycie możliwego wpływu na rodziców i opiekunów, aby niedopuszczali wychodźtwa zagranicę nieletnich, a przynajmniej do 17 roku życia.

Najpewniejszym jednak środkiem przeciwdziałania *nadmiernemu wychodźtwu*, stać się winny ustawiczne starania o zapewnienie stałych i korzystnych zarobków dla robotników *wewnątrz kraju*. Wobec pewności takich zarobków istniejąca obecnie nieunikniona potrzeba wychodźtwa do obcych krajów mogłaby się stopniowo zmniejszać, nie przez zakazy, lub przymus osobisty, ale wyłącznie na podstawie równowagi pomiędzy popytem na pracę a jej podażą. Równowaga ta bezwarunkowo powstać musi, jeżeli spotęgowane i połączone usiłowania różnych warstw społecznych, nie napotykając żadnych postronnych przeszkód, zdołają powołać do życia wszelkie środki, mające na celu podniesienie obecnego stanu rolnictwa, przemysłu i handlu, oraz innych gałęzi pracy narodowej powstających i rozwijających się jednocześnie ze wzrostem ogólnej kultury kraju.

Jordan Kański.

Piotrków, 1905.

[1]) Biura takie istnieją we Lwowie, Krakowie, Rzeszowie i innych.

## Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materyałów, informacyj i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacyj.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa. Druk A. Ginza.

№ 3.



# PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materyałom spraw tych dotyczącym.

Treść: Duchowieństwo Rzymsko-Katolickie przez A. P. — Od redakcyi „Pracy.“

## Duchowieństwo Rzymsko-Katolickie.

Nie jest to monografija Kościoła Rzymsko-Katolickiego, a tem mniej historya. Jest to jedynie dalsze dążenie do wykonania celu jaki sobie „Praca“ postawiła, a celem tym jest, gromadzenie materyałów o rzeczach, przedmiotach i sprawach zbliżka naród nasz obchodzących. Materyały te są tak dalece rozproszone po różnych wydawnictwach, że trudno je zgromadzić na razie i każdy, kto w działalności publicznej może ich potrzebować, bądź dla potrzeb natury ogólniejszej, bądź jako argumentów w sprawie konkretnej, napotyka masę trudności, niemal do niepokonania, zanim zdoła zgromadzić daty odpowiednie. Oprócz tych względów nie możemy pominąć i innych, skromniejszej natury. Oto wielu jest ludzi, co, powodowani łatwą do pojęcia ciekawością, pragnęliby znać szczegóły o obecnym stanie kościoła katolickiego w Królestwie i Cesarstwie, o ilości arcybiskupstw, biskupstw i parafij, jaki obszar każda z nich obejmuje, jaki jest personel wyższego i niższego kleru, jakie i gdzie znajdują się zakłady naukowe kształcące duchownych, wreszcie jaką summę przeznacza skarb na utrzymanie duchowieństwa rzymsko-katolickiego.

Na wszystkie te pytania postaramy się dać odpowiedź w pracy niniejszej oraz w tablicach do niej dołączonych. Dążymy do tego, żeby każdy w miarę potrzeby mógł zaczerpnąć to, co mu jest

nieodzownem, w danej sprawie i żeby praca ta ogółowała w sobie wszystko, co we wskazanym wyżej zakresie może być powiedziane o dzisiejszym stanie i warunkach bytu duchowieństwa rzymsko-katolickiego.

Dla większej jasności i łatwości oryentowania się każdego z czytelników, rzecz naszą dzielimy na trzy odrębne działy stosownie do liczby wiernych. Pierwszy poświęcony kościołowi katolickiemu w Królestwie Polskiem w dzisiejszych jego granicach; drugi zawiera materyały dotyczące dziewięciu gubernij, zwanych zachodniemi, zaś trzeci obejmuje wszystkie gubernie wewnętrzne Cesarstwa oraz Syberyę i Kaukaz czyli wszystkie prowincye i miejscowości państwa, w których istnieją kościoły katolickie i wierni należący do tego kościoła.

## I. Królestwo Polskie.

Dzisiejszy stan rzeczy różni się wielce od tego, co było w początkach minionego stulecia, gdy uległy określeniu zasadnicze stosunki państwa do kościoła. Zarówno konstytucya Księstwa Warszawskiego (1807 r.), jako też Królestwa Kongresowego (1815), wreszcie statut organiczny (1832 r.) uznawały religię rzymsko-katolicką za religię stanu, a jako wyznawana przez większość mieszkańców kraju „była przedmiotem szczególniejszej opieki rządu!“ Duchowieństwo katolickie tak samo, jak i innych wyznań, „zostawało pod opieką prawa i rządu,“ a fundusze posiadane przez duchowieństwo lub te, co w następstwie miały być z dóbr narodowych nadane, „uznano za własność niewzruszoną i wspólną całej hierarchii duchownej.“ Te główne zasady stosowane były na całym obszarze kraju, którego granice polityczne określił najprzód traktat Tylżycki r. 1807 (Księstwo Warszawskie), a następnie kongres wiedeński r. 1815 (Królestwo Polskie). Co się zaś tycze granic dyecezyj, na które kraj był podzielony, to regulowały się one stopniowo, począwszy od r. 1774, i znalazły wyraz ostateczny w r. 1818 w Bulli papieża Piusa VII wydanej 2-go lipca: *Ex imposita Nobis divinitus.*[1]) Bullę tę poprzedził Ukaz Cesarza Aleksandra I. (18 marca r. 1817), który to Ukaz, biorąc za punkt wyjścia art. XI, XII i XIII Ustawy Konstytucyjnej Królestwa, określił

[1]) Vollständige Sammlung aller ältern und neuren Konkordate. Von Dr. Ernst Münch. Leipzig 1831. II Theil, str. 758.

zakres nadzoru i opieki rządu nad duchowieństwem katolickiem i jego majątkiem, a wreszcie wskazywał sposoby obsadzania posad zajmowanych przez osoby stanu duchownego.

Nadzór i opiekę nad duchowieństwem i jego majątkiem powierzono Komisyi do Spraw Duchownych i Oświaty Publicznej (art. 1—6). Obsadzanie wakujących katedr biskupich, oraz stanowisk biskupów suffraganów, dokonywało się za pośrednictwem Komisyi, która przedstawiała Namiestnikowi trzech kandydatów wskazanych przez biskupów i kapitułę, zaś kandydaci na administratorów dyecezyi oraz przełożeni w klasztorach (Opaci klaustralni) po wyborze duchownym przez kapitułę i zgromadzenie klasztorne, musieli być przedstawiani do zatwierdzenia Monarchy (art. 7 — 10). Co zaś do beneficyatów, to rekrutowali się oni z listy ułożonej corocznie przez biskupa, ale installacya ich dokonywała się zawsze po porozumieniu się z Komisyą do Spraw Duchownych, a to samo miało miejsce, gdy chodziło o wybór officyałów, członków konsystorzów i dziekanów oraz o zwierzchników klasztornych. Wybór osób na te stanowiska musiał być przez biskupa zameldowany przed Komisyą (art. 11—17).

Dyscyplina duchowna została także przewidziana w Ukazie r. 1817. Art. 18 - 25 mówią o tem: że synody nie mogą się zgromadzać bez zezwolenia rządu; że Bulle papieskie nie mogą być ogłaszane bez takiegoż zezwolenia; określają stopień i rodzaj kar, które mogą wymierzać sądy duchowne, formę zaskarżania wyroków, wreszcie zastrzegają, że biskup musi mieszkać w swojej dyecezyi, że beneficyat nie może mieć więcej nad jedno beneficyum; że duchowni nie mają prawa opuszczać parafii bez zezwolenia wyższej władzy duchownej, że granice parafii nie mogą ulegać zmianie bez zgody rządu i że biskupi składają corocznie Komisyi listy świeckiego i zakonnego duchowieństwa oraz informacye o stanie dyecezyi i seminaryów duchownych.

Ukaz r. 1817 nie pominął sprawy majątku kościelnego, i oddaje go pod opiekę i nadzór Komisyi do Spraw Duchownych i Oświecenia. Ona ma prawo żądać odbudowy czy odnowy budynków kosztem właściwych funduszów, ona posyła delegatów do spisania, wraz z delegatem biskupa, inwentarza kościelnego przy installowaniu beneficyata, ona przestrzega, żeby beneficyat korzystał z dochodów tylko dożywotnio i żeby dochody wakującego beneficyum szły na potrzeby kościoła lub poprawę gospodarstwa, jeśli pierwsze są całkowice zaspokojone. Wreszcie kontrakty dzierżawne majątków kościelnych zatwierdzane być muszą przez rząd, o ile są trzyletnie, bo tylko roczne ulegały zatwierdzeniu

biskupa, a bez zezwolenia rządu, ani kościoły, ani zgromadzenia duchowne nie mogły przyjmować żadnych legatów, ani darowizn. (art. 31—38).

Wykonanie tego Ukazu powierzone zostało Komisyi Rządowej do Spraw Duchownych i Oświecenia Publicznego, a przepisy w nim zawarte rozciągnięto na wszystkie dyecezye kraju sankcyonowane przez, wspomnianą wyżej, Bullę Piusa VII 2 lipca r. 1818.

Bulla, datowana 17 marca r. 1817 zmieniła warunki dawniejsze, podług których dyecezyą warszawską rządził arcybiskup gnieźnieński, jako administrator warszawski, a rządził przez biskupów t. z. wice-administratorów. Wskrzeszenie Królestwa wpłynęło na zmianę urządzeń kanonicznych i podziału kraju. Dążąc do zogniskowania w Warszawie władzy kościelnej w Królstwie, Papież Pius VIII utworzył arcybiskupstwo warszawskie i kościół katedralny podniósł do stopnia kościoła metropolitalnego. Pierwszym arcybiskupem i prymasem [1]) Królestwa był Franciszek Skarbek Habdank Malczewski, który wstąpił na katedrę w październiku r. 1818 gdy podział kraju, pod względem kanonicznym i religijnym, oparty był na Bulli, wydanej 2 lipca 1818. Królestwo Polskie miało wówczas: Archidyecezyę warszawską i dyecezye: Augustowską (Sejneńską), Lubelską, Sandomierską, Kielecką, Kujawsko-Kaliską, Płocką i Podlaską. Dyecezye te podług dat statystycznych, które posiadamy, miały ludności ogólnej: w r. 1816 — 2,717287 głów: w r. 1829 — 4,137634 głów; w r 1846 — 4,867129 głów; w r. 1854 — 4,797845 głów; w r. 1855 — 4,673869 głów; w r. 1856 — 4,696919 głów; w r. 1859 — 4,764446 głów. Co do podziału ludności na wyznania, to w r. 1855 katolików było 3,607,313 głów w r. 1856 — 3,623485 a w r. 1859 3,657140 głów. Dodać tu jeszcze należy że w r. 1856 było w Królestwie kościołów parafialnych 1639; filialnych 106; oddzielnych 27, kaplic 382; klasztorów męskich 152, mieszczących w sobie 1627 zakonników; żeńskich 33 z liczbą zakonnic 413, a księży świeckich liczono ogółem 2137. W ówczesnej warszawskiej akademii duchownej kształciło się 48 księży, a w 11 seminaryach duchownych 286 alumnów. [2])

Stosunki dzisiejsze przedstawiają się zgoła inaczej z powodu zmian, które zaszły głównie po r. 1864. Zanim do tej epoki

[1]) Do r. 1827 Arcybiskupi warszawscy tytułowali się Prymasami Królewa i dopiero arcybiskup Choromański (r. 1837 — 1838) zaczął się tytułować metropolitą.

[2]) Kalendarz Obserwatorium Astronomicznego w Warszawie za lata 1857, 1858 i 1861.

przejdziemy, zaznaczymy pobieżnie zarządzenia wydane pomiędzy rokiem 1818 a 1864 a dotyczące duchowieństwa katolickiego i jego stosunku do ludności kraju. W pierwszym rzędzie zanotować należy wydane przez Komisyę Rządową Spraw Duchownych i Oświecenia Publicznego, 24 stycznia r. 1819, zarządzenie do Komisyi Wojewódzkiej, dotyczące wprowadzenia w wykonanie, od 1 stycznia r. 1819, Bulli Papieskiej, stanowiącej nowy podział kraju na dyecezye. W odezwie Komisyi (№ 524) [1]) mamy wskazówkę, że dyecezye będą nosiły nazwę województw, że władza biskupów dotyczy kościołów wyłącznie danej dyecezyi oraz, że władza biskupa kaliskiego rozciąga się na kościoły znajdujące się w obwodzie Kujawskim województwa Mazowieckiego, zaś władza biskupa Chełmskiego (Podlaskiego) na kościoły wyznania grecko-katolickiego, znajdujące się we wszystkich województwach. W r. 1817 Komisya do Spraw Duchownych, przez reskrypt datowany 17 maja № 1652, pociągnęła Burmistrzów miast i Wójtów Gmin do obowiązkowego uczęstnictwa w spisywaniu inwentarza majątku danego beneficyum przy installacyi beneficyata, a 16 lutego r. 1869 № 710 Książe Namiestnik wydaje polecenie, żeby dla zachowania przystojności publicznej, szynki i restauracye w miastach i miasteczkach, w których są kościoły, były w dnie świąteczne obowiązkowo zamykane na czas od 10-ej z rana do godziny 1-ej po południu. 30 grudnia r. 1818 (№ 1738) określono taksę za posługi religijne (jura stolae), a 19 lipca r. 1824 (№ 7078/1664) przepisano taksę za sporządzenie aktów stanu cywilnego. Konsystorzom wzbroniony zostaje pobór jakichkolwiek opłat za wydanie t. z. „approbatów," „dyspens" i innych różnych „instrumentów" przez wzgląd na to, że na utrzymanie Konsystorzy wyznaczono fundusze specyalne, że przeto winny one załatwiać bezpłatnie wszelkie sprawy wiernych (reskrypt Namiestnika z 19 grudnia r. 1820, № 13105). Mamy też cały szereg zarządzeń porządkowych: o przechowywaniu aktów i dokumentów dotyczących kościołów i majątku kościelnego (4 grudnia 1828 r. № 13231/3624), o urządzaniu ołtarzy w Święto Bożego Ciała (21 sierpnia 1834 № 17615/30249): o utrzymaniu porządku w kościołach w czasie nabożeństwa (17 stycznia r. 1835 № 418/2643); o odległości na jakiej mogą być otwierane szynki i traktyernie opodal kościołów i świątyń (3 lutego r. 1835 № 19760); o urządzeniu cmentarzy (12 czerwca r. 1846)[1];

[1]) Razporiażenija otnosiaszczyjasia do rimsko- katoliczeskaho, jewangieliczeskaho i jewrejskaho wieroispowiedanij. Warszawa r. 1867 str. 10.

o urządzeniu kaplic domowych i ołtarzy przenośnych (17 listopada r. 1846 № 7224/49961). [1])

Niezależnie od zarządzeń natury powyższej znajdujemy i takie, które wkraczają w sferę zakresu kompetencyi władzy biskupiej i rozstrzygają sprawę na niekorzyść tej władzy.

Oto Rada Administracyjna na posiedzeniu odbytem 11 lutego r 1834 rozważała sprawę zarządzenia wydanego przez Biskupa Podlaskiego, 2 czerwca r. 1832, a dotyczącego zakazu zawierania przez katolików związków małżeńskich z osobami innych wyznań chrześcijańskich. Bez względu na to, że Biskup powoływał się na decyzyę Stolicy Apostolskiej, Książe Namiestnik był zdania, że rozporządzenie biskupa Podlaskiego jest niezgodne z Bullą Papieża Benedykta XIV, datowaną 4 listopada r. 1841, „o związkach małżeńskich," która to Bulla nie zabrania katolikom zawierać tych związków z osobami innych wyznań, oraz z p. 2 art. 10 traktatu r. 1768 gdzie powiedziano: „związki małżeńskie pomiędzy katolikami, a greko-nieunitami oraz osobami należącemi do obydwu wyznań ewangielickich, nie ulegają żadnemu zakazowi." Książe Namiestnik żądał, żeby zarządzenie Biskupa Podlaskiego zostało cofnięte; żeby mu została udzielona nagana za niezakomunikowanie swego rozporządzenia Komisyi do Spraw Duchownych i Oświecenia Publicznego i żeby zalecono innym dyecezyom, iż nie mają czynić żadnych trudności związkom katolików z osobami wszystkich innych wyznań chrześcijańskich.

Rada Administracyjna przychyliła się do wniosku Księcia Namiestnika i niezależnie od nagany udzielonej Biskupowi Podlaskiemu, zakomunikowała Komisyom Wojewódzkim i biskupom innych dyecezyj, uchwałę powyższą do wykonania i ścisłego przestrzegania w przyszłości. Komisyom Wojewódzkim nakazano nadto (4 marca r. 1834 № 1769/7964), żeby raportowały Komisyi do Spraw Duchownych i Oświecenia Publicznego o każdym wiadomym im wypadku niestosowania się duchowieństwa do uchwały powyższej.

Nie brak też i innych zarządzeń, w których interwencya władz administracyjnych zastrzeżoną została w mniej lub więcej szerokim zakresie. Do rzędu tych zaliczamy przepisy: o dozorach kościel-

[1]) Wszystkie cytowane wyżej zarządzenia, wydrukowane w specyalnym zbiorze. „Riasporiażenja otnosiaszczyjasia do rimsko-katolicz., jewangieliczeskaho i jewrejskaho wieroispowiedanij." Warszawa r 1867.

[2]) Dziennik Praw. T. 38 str. 60—109.

nych,[1]) o kościołach i budynkach na plebaniach, o kosztach ich odnowy lub przebudowy[2]) i o majątku duchowieństwa. W tym dziale przepisów władza duchowna skrępowana została przez wymagania, żeby kapitały duchowieństwa oparte na hypotekach miejskich lub wiejskich przelane zostały do Banku Polskiego; żeby wszelkie legaty i napisy na rzecz duchowieństwa podlegały uprzedniemu zatwierdzeniu władz rządowych, zaś spłata takich legatów i napisów dokonywała się bezwarunkowo za wiedzą Komisyi Spraw Wewnętrznych i Duchownych, wreszcie wydano cały szereg zarządzeń co do majątku pozostałego po śmierci beneficyata. Wymieniono tu szczegółowe opisy i inwentarze, wskazano jaką część tego majątku należy przeznaczyć na rzecz kościoła i t. d.

Z przytoczonych danych widzimy, że chociaż podług konstytucyi r. 1815 i statutu organicznego r. 1832, fundusze posiadane przez duchowieństwo uznane były „za własność niewzruszoną i wspólną całej hierarchii duchownej," to jednak władze administracyjne rozciągały nad temi funduszami coraz troskliwszą opiekę i władze duchowne nie mogły ani szafować temi funduszami ani ich pomnażać bez aprobaty i upoważnienia władz administracyjnych. Zobaczymy niebawem, że w epoce następnej opieka, rozciągnięta za rządów autonomicznych w kraju, przybrała nie tylko zgoła inną formę, lecz ustąpiła całkowicie miejsca innym stosunkom, których początek widzimy w zarządzeniach prawodawczych, wydanych począwszy od r. 1864. Dzisiaj epokę tę uważać już należy za zamkniętą. Co nam nowa przyniesie, przesądzać nie podobna, bo wobec dzisiejszego chaosu w pojęciach i działaniach, nie można przewidzieć, jak się stosunki ukształtują i w jakim kierunku rozwinie się działalność społeczna. Przeżywamy obecnie chwilę przełomową i niepodobna się dziwić, że naród, któremu przez lat 40 wolno było jedynie być milczącym widzem wprowadzanych reform, burzących całkowicie wszelką samodzielność działania i pracy dla siebie, nie jest na razie przygotowany do trafnego zoryentowania się w wyborze środków działania i sposobów prowadzących do osiągnięcia najpomyślniejszych rezultatów.

Nowa epoka musi uwzględnić cały szereg potrzeb, których zaspokojenie jest nieodzownem, we wszelkich kierunkach życia narodu. Podstawy do tego widzimy w reskryptach Najwyższych wydanych w ciągu ubiegłych 16 miesięcy ile, że pierwszym który

[1]) Dzien. Praw. T. VI str. 232—242.

[2]) Dz. Pr. T. VIII str. 320 i T. XVIII str. 71.

wyraźnie zaznaczył konieczność zmian w stosunkach dotychczasowych, był reskrypt datowany 25 (12) grudnia r. 1904. Reskrypt ten zamknął straszne dla kraju naszego czterdziestolecie poprzedzające, i dla tego powiedzieliśmy wyżej, że epokę ową mamy wszelkie prawo poczytać za skończoną. Przed rokiem prawie, bo 17 kwietnia r. 1905, ukazał się znamienny reskrypt Cesarski zwany powszechnie „tolerancyjnym.“ Przyznając ludności swobodę wyznania i sumienia, reskrypt 17 kwietnia położył koniec dotychczasowemu stanowi rzeczy, a odsłonił zarazem braki, które ustąpić muszą miejsca stanowi normalnemu w sferze działalności kościoła katolickiego. Braki te dadzą się poznać najsnadniej przez szczegółowe zbadanie stanu rzeczy wytworzonego przez reformy rozpoczęte w r. 1864, a które dotrwały niewzruszenie aż do 17 kwietnia r. 1905, gdy z wysokości Tronu stosunki religijne i kościelne w Państwie uznane zostały za nielicujące nie tylko z pojęciami, ale i z potrzebami dzisiejszemi.

Przechodząc do reform rozpoczętych w r. 1864, zaczynamy, w porządku chronologicznym, od Ukazu datowanego 30 sierpnia (11 września)[1]) „o szkołach początkowych.“

Art. 35 i 54 są niejako zapowiedzią zmian, które wprowadzono następnie do stosunków religijno-kościelnych. Artykuł 35 zastrzega, że „nauczycielem ani nauczycielką w szkołach początkowych nie mogą być osoby należące do zgromadzeń zakonnych tak męzkich, jak i żeńskich lub do kongregacyj,“ zaś art. 54 upoważnia „zebrania szkołą zawiadujące“ do powołania do nauki pacierza i religii „bądź nauczycieli innych przedmiotów, bądź proboszcza miejscowego,“ ale wybór ten zależny jest od decyzyi Naczelnika Dyrekcyi Naukowej. Następstwem tych zastrzeżeń było, że duchowni miejscowi odsunięci zostali całkowicie od nauki religii w szkołach początkowych gminnych i wiejskich, a nie zmienił tego stanu rzeczy i Ukaz późniejszy, wydany za panowania Cesarza Aleksandra III-go. Ukaz ten biorący za punkt wyjścia konieczność religijnej opieki nad młodem pokoleniem i poddający szkółki początkowe pod tę opiekę, w skutek odpowiedniej interpretacyi, nadanej jego brzmieniu za rządów Feldmarszałka Hurki i Kuratorstwa senatora Apuchtina, nie miał dla szkółek wiejskich Królestwa znaczenia praktycznego, bowiem księża katoliccy nie zostali dopuszczeni ani do opiekowania się szkółkami początkowemi po wsiach, ani też do nauczania w nich pacierza i religii.

---

1) Dzien. Praw. Tom 62.

## A. Duchowieństwo zakonne.

Zastrzeżone w Ukazie wrześniowym r. 1864, niedopuszczenie osób zakonnych do nauczania w szkołach, było niewątpliwie w związku z opracowywaną wówczas przez komisyę Księcia Czerkaskiego reformą klasztorów. Niebawem też, bo 8 listopada (27 października) wydany został Ukaz „o urządzeniu klasztorów“ [1]) zaopatrzony nadto w „przepisy dodatkowe.“

Nie leży bynajmniej w zakresie tej pracy, podawanie historyi powstania i organizacyi klasztorów w Polsce; nadmieniamy tylko, że bez względu na idący z Zachodu prąd nieprzychylny dla zakonów w ogóle, bez względu na kasowanie klasztorów w różnych Państwach Europy Zachodniej, począwszy od drugiej połowy stulecia XVIII, [2]) klasztory w Polsce utrzymały się w dużej liczbie i dopiero Ukaz r. 1864 ograniczył ich liczbę bardzo znacznie.

Głównym punktem wyjścia Ukazu, przeprowadzającego reformę klasztorów w kraju, było to, „że zakonnicy nie bacząc na przykazania Ewangelii i pogardzając dobrowolnie złożonemi przed ołtarzem ślubami zakonnemi, pobudzali w r. 1863 do przelewu krwi, poduszczali do morderstw, profanowali mury klasztorne, odbierając w nich świętokradzkie przysięgi na spełnienie zbrodni, a niektórzy wchodzili sami w szeregi buntowników i broczyli swe ręce w krwi ofiar niewinnych,“ następnie Ukaz powołuje się na przykład Europy Zachodniej, gdzie zniesiono klasztory i wzięto w administracyę rządową majątki klasztorne, „któremi zarządzanie, odrywa duchowieństwo od jego prawdziwego powołania.“ [3])

Reforma ujętą została w 26 artykułach Ukazu i 59 artykułach przepisów dodatkowych, a podstawami zasadniczemi reformy było:

1-o Zupełne zamknięcie klasztorów, w których jest mniej niż 8 zakonników lub zakonnic, oraz tych, które brały jawny udział w powstaniu r. 1863.

2-o Zakonnicy i zakonnice przebywający w klasztorach podlegających zamknięciu, mogą się przenieść do klasztorów pozostałych lub wyjechać za granicę. W obu wypadkach otrzymują

[1]) Dzien. Praw. T. 62 str. 407 i następne.

[2]) Zakon Jezuitów zniesiony w r. 1773. W Austryi zniesiono klasztory w r. 1781: we Francyi w r. 1789; w Hiszpanii 1836 r; w Portugalii w r. 1834; w Szwajcaryi w r. 1843; następnie we Włoszech i Niemczech. (Encyk. kościelna T. X. str. 357).

[3]) Dzien. Praw. 62 str. 408; 409.

wsparcia pieniężne tak na pobyt w innym klasztorze, jak na wyjazd i stałe przebywanie za granicą.

3-o Nowicyuszom klasztorów zamkniętych, którzy jeszcze nie złożyli ślubów zakonnych, dozwala się wystąpić z klasztoru i obrać inny tryb życia, albo przenieść się do klasztorów pozostałych, ale wsparcia żadnego nie otrzymują.

4-o Kościoły klasztorne przechodzą pod juryzdykcyę Zwierzchności dyecezyalnej, szkoły początkowe klasztorne pod zarząd Komisyi Oświecenia Publicznego, szpitale, domy przytułku i inne zakłady dobroczynne pod zarząd Komisyi Spraw Wewnętrznych i Duchownych, wreszcie seminarya kongregacyi księży Misyonarzy w Warszawie, Lublinie, Włocławku i Płocku—pod juryzdykcyę Zwierzchności Dyecezyalnej.

5-o Pozostałe klasztory podzielono na etatowe i nieetatowe. Ostatnie mają być zamykane stopniowo, gdy liczba zakonników lub zakonnic będzie mniejszą niż ośm. Wszystkie klasztory przechodzą pod władzę Zwierzchności Dyecezyalnej.

6-o Majątek nieruchomy klasztorów tak dobrze zamkniętych, jak i pozostawionych, etatowych i nieetatowych, oraz kapitały własność klasztorną stanowiące, przechodzą na skarb, z tem, że dochody z majątków i kapitałów, po potrąceniu z nich 10% na koszta administracyi, jakkolwiek wpływają do skarbu, mogą być użyte wyłącznie: na utrzymanie klasztorów pozostałych; na pensyę, wsparcia i koszta podróży zakonnikom i zakonnicom klasztorów zamkniętych; na zapewnienie nabożeństwa w kościołach klasztorów zamkniętych; na dalsze utrzymanie klasztornych zakładów naukowych i dobroczynnych; na podtrzymanie i rozwój oświaty publicznej, w szczególności szkół początkowych, i na zasiłki duchownym katolickim, którzy odznaczyli się szczególnemi zasługami dla dobra kościoła lub Państwa, oraz na polepszenie bytu katolickiego duchowieństwa parafialnego.

Nad właściwem i zgodnem z temi zastrzeżeniami szafowaniem dochodami z funduszów poklasztornych czuwać ma Komisya Umorzenia długu krajowego, która składać winna coroczne rapporty Radzie Administracyjnej.

Ukaz noszący datę 27 października (8 listopada) r. 1864 ogłoszony został 19 (31) grudnia tegoż roku, a zarazem ogłoszone zostały „przepisy dodatkowe o klasztorach Rzymsko-Katolickich w Królestwie Polskim.“

Przepisy te zawiarają wskazówki szczegółowe co do inwentarzowania majątku klasztornego, co do formy zamknięcia części klasztorów, rozlokowania zakonnikow i zakonnic w innych klaszto-

rach, wysłania za granicę tych, co tego pragną i wydawania zasiłków na podróż za granicę. Udzielono także szczegółowych wskazówek, co do urządzenia kościołów klasztornych i zakładów istniejących przy klasztorach, a wreszcie, jak należy obliczać liczbę zakonników i zakonnic wskazanych i niewskazanych w rubrykach i jakie przyczyny mają służyć za podstawę do zupełnego zamknięcia klasztoru. Do rzędu tych przyczyn należą: podmawianie do powstania, odbieranie przysiąg za udział w powstaniu, udzielanie rozgrzeszenia za zabójstwa w czasie powstania, zbieranie składek na powstanie, przechowywanie broni i amunicyi i powstańców. Nadto zamykano klasztor, z którego bodaj jeden zakonnik poszedł do szeregów powstańczych, chociażby bez wiadomości przełożonego i jeśli udowodnionem będzie, że przełożony wiedzący o udaniu się zakonnika do powstania, nie zaraportował o tem władzy właściwej.

Artykuły 8 i 9 „przepisów dodatkowych“ orzekają, że w całem Królestwie ma być 25 męzkich i 10 żeńskich klasztorów etatowych o ogólnej liczbie 360 zakonników i 140 zakonnic, mianowicie: W klasztorze Częstochowskim 24 paulinów, a w 24 pozostałych klasztorach po 14 zakonników, zaś w klasztorach żeńskich po 14 zakonnic w każdym. Nadto za nieetatowe uznano 20 klasztorów męzkich i 7 żeńskich.

Przez zastosowanie reformy klasztornej na podstawach powyższych, za bezpośredni lub pośredni udział w powstaniu zamknięto 39 klasztorów męzkich i zwinięto klasztorów męzkich 71 i żeńskich 4. Ogółem 110 klasztorów męzkich i 4 żeńskie.

W pozostałej, a wskazanej wyżej liczbie klasztorów, było z końcem r. 1864 w klasztorach etatowych męzkich 724 zakonników

„ nieetatowych „ 338 „

w klasztorach etatowych żeńskich 196 zakonnic

„ nieetatowych „ 137 „

Ogółem więc pozostało jeszcze 45 klasztorów męzkich o 1072 zakonnikach i 17 klasztorów żeńskich o 333 zakonnicach. Utrzymanie tych klasztorów podług zamierzeń budżetowych na r. 1866 kosztowało na ogół 158,740 rub.[1])

[1]) Preliminarz budżetu Królestwa na r. 1866 oraz Rys historyczny budżetów Królestwa. „Zbiór Przepisów Administr.“ T. V. To 158,740 rb. przeznaczone były, jak następuje: Klasztor Paulinów w Częstochowie 3000 r. 24 klasztory męzkie po 1750 r. razem 24000 r. 10 klasztorów żeńskich po 1750 r.=17500 r. na nabożeństwa w Kościołach po zwiniętych klasztorach 3320 r. na 8 wizytatorów po r. 400=3200 r.; 144 zakonnikom pozostawionym w charakterze wika-

Obecnie, a raczej w roku minionym, jak to wykazuje tablica № VII, w Królestwie Polskiem istnieje klasztorów męzkich 5 i żeńskich 8, a na utrzymanie klasztorów i inne wydatki skarb przeznacza rocznie 41,435 rubli.

Wydatki, jakie skarb przejął na siebie wślad za reformą klasztorów, pokrywane były z dochodów pobieranych przez klasztory od kapitałów ulokowanych w Banku Polskim lub zahypotekowanych na dobrach prywatnych, wreszcie z majątków ziemskich stanowiących własność klasztorną. Zarówno kapitały, jak i majątek nieruchomy klasztorów (domy i dobra ziemskie), wzięto na skarb z zastrzeżeniem, że dochody z tego źródła mają być użyte wyłącznie na potrzeby kościoła i duchowieństwa katolickiego w Królestwie, tak zakonnego, jak i świeckiego.

O wysokości kapitałów i szacunku majątków klasztornych wziętych na skarb, dowiadujemy się ze „sprawozdania z wykonania budżetu na r. 1866“ - sprawozdania [1]) sporządzonego przez Zarząd Finansowy Królestwa, który zastąpił zniesioną Komisyę Rządową Przychodów i Skarbu.

Podług tego sprawozdania (str. 61) wszystkich klasztorów było w r. 1864 w Królestwie 173. Przy spisywaniu inwentarzy majątku klasztornego sporządzono w r. 1865 — 181 protokułów, które wskazują, że majątek klasztorów składał się:

*a*) ze 162 domów, które wraz z placami położonemi w miastach, przynosiły klasztorom dochodu rocznego . . 57075 r. 12 k.

*b*) z majątków ziemskich, obszaru ogólnego 28945 mórg, które przynosiły rocznie . . . . . 58040 r. 35 k.

*c*) Procenty od kapitałów ulokowanych w Banku Polskim, na hypotekach i od listów likwidacyjnych, ulokowanych w Kasie Głównej Królestwa 50400 r. 87 k.

Dochód roczny klasztorów stanowił ogółem: — 165516 r. 34 k. czyli, że dochody te przewyższały przewidziany w budżecie koszt

---

ryuszów w kościołach po klasztorach zwiniętych po r. 150 każdy razem 21,600 r. 850 zakonnikom w klasztorach niecławych po r. 40 każdemu 34,000 r.; dodatkowo 26 klasztorom niecłatowym męzkim po r. 1000 razem 26,000 r.; 40 zakonnikom, którzy wyjechali zagranicę, po r. 150 razem 6000 rub. i 6 klasztorom niecłatowym żeńskim na nabożeństwa w kościołach klasztornych 2120 r. Ogółem, jak wyżej: 158,740 r.

[1]) Otczot Finansowaho Uprawlenja w Carstwie Polskom za 1866. (w Bibliotece Ordynacyi Hr. Krasińskich).

utrzymania duchowieństwa zakonnego (158740 r.) o 6,776 rub. rocznie. Wszakże przewyżka ta była znacznie większą, a to dla tego, że w „Sprawozdaniu Zarządu Finansowego“ nie jest uwzględniony dochód z lasów klasztornych, które przekazane zostały zarządowi leśnictwa, ale których powierzchni, ani szacunku nie wykazano w Sprawozdaniu, a nadto kapitały sporne dochodzone w drodze sądowej, a stanowiące 315,682 rub. 31 k. oraz kapitały w sumie 133,265 rub., które skarb pożyczył od klasztorów w r. 1831.

Ogółem po skapitalizowaniu majątku klasztornego zabranego na skarb, a to w stosunku do dochodu jaki przynosił, Zarząd Finansowy oblicza, że wartość tego majątku równała się sumie 3,329,851 r. 5 k., ale bez wartości lasów, których oszacowanie na pieniądze nie było jeszcze w r. 1866 dokonane.

Losy dalsze klasztornego majątku nieruchomego są znane. Przypominamy więc tylko, że część gruntów, mianowicie prawie około 10,000 morgów, nadano włościanom bezrolnym, a ten sam los spotkał folwarki Niedzwiada i Klewków, które miały obszaru 600 morgów, a należały do Kongregacyi księży Emerytów. Reszta gruntów i lasy zostały sprzedane na rzecz skarbu.

W Warszawie 16 domów stanowiących własność klasztorów zabrano na skarb, a następnie zarządzono [1]) sprzedaż ich w ręce prywatne. W r. 1866 dokonano sprzedaży tylko 6 domów (№ hypoteczne: 386, 1318, 1806, 1259, 233 i 2569) i osiągnięto ogółem 219,263 r. co przewyższało szacunek licytacyjny o 52,157 rub. Kiedy i za jaką sumę sprzedano dziesięć domów pozostałych, nie zdołaliśmy odnaleźć w materyałach archiwalnych.

Dla skończenia z klasztorami, wymienimy jeszcze następujące zarządzenia prawodawcze.

8 (20) stycznia r. 1865 ogłoszony został Ukaz Najwyższy datowany 22 listopada (4 grudnia) r. 1864 [2]) dotyczący „utrzymania i zarządu klasztorami Rzymsko-Katolickiemi w Królestwie Polskiem.“ Dla porównania z tem, co jest obecnie (Tablica № VII), a tem, co przez Ukaz powyższy było ustalone w r. 1866, wymieniamy, że do rzędu klasztorów etatowych czyli takich, w których jest 14 zakonników lub zakonnic, z wyjątkiem klasztoru księży Paulinów w Częstochowie, gdzie etat ustala 24 zakonników, zaliczono:

[1]) Komitet Urządzający 20 stycznia (10 lutego r. 1866).

[2]) Dziennik Praw. T. 63 str. 15 i następne.

*a) Klasztory męzkie:*

Zakonu księży Paulinów w Częstochowie *jeden* klasztor.
„ „ Reformatów *siedm* klasztorów: w Kaliszu, Włocławku, Stopnicy, Pińczowie, Lutomiersku, Pilicy i w Jędrzejowie.
„ „ Bernardynów *pięć* klasztorów: w Kole, Kazimierzu, Warcie, Widawie, i we wsi Wielko-Wola (pow. Opoczyński).
„ „ Augustyanów *jeden* klasztor w Wieluniu.
„ „ Dominikanów *cztery* klasztory: w Lublinie, Klimontowie, w Gidlach i w Kole Wysokim (pow. Radomski).
„ „ Franciszkanów *jeden* klasztor w Kaliszu.
„ „ Kamedułów *jeden* klasztor w Bielanach (pod Warszawą).
„ „ Kapucynów *trzy* klasztory: w Łomży, Nowem Mieście i w Zakroczymiu.
„ „ Karmelitów trzewiczkowych *jeden* klasztor w Oborach (pow. Lipnowski).
„ „ Maryanów *jeden* klasztor w Maryampolu.

*b) Klasztory żeńskie:*

Zakonu Benedyktynek *dwa* klasztory: w Łomży i Sandomierzu.
„ Bernardynek *trzy* klasztory w Wieluniu.
„ Dominikanek *jeden* klasztor w Piotrkowie.
„ Franciszkanek *jeden* klasztor w Chęcinach.
„ Norbertanek *jeden* klasztor w Imbramowicach.
„ Sakramentek *jeden* klasztor w Warszawie.
„ Wizytek *jeden* klasztor w Warszawie.

Wszystkie klasztory etatowe i nieetatowe poddane zostały władzy Zwierzchności Dyecezyalnej. Przyjmowanie nowicyuszów w klasztorach nieetatowych zostało wzbronione i klasztory te ulegały zwinięciu w miarę, jak liczba osób zakonnych zmniejszała się, z biegiem czasu, do siedmiu. Pozostałe osoby zakonne przenoszono do innych klasztorów. Dodamy jeszcze, że nowicyusze mogli być przyjmowani do klasztorów etatowych jedynie za zgodą Gubernatora i Zwierzchności Dyecezyalnej.

Wyznaczono w każdej dyecezyi specyalnych wizytatorów klasztornych, których obowiązkiem było przestrzeganie ścisłego wykonywania przepisów tego Ukazu: o nowicyacie, o nieprzenoszeniu osób zakonnych z klasztorów etatowych do nieetatowych i o za-

pełnianiu miejsc w klasztorach etatowych. Wizytator jest najbliższym pośrednikiem pomiędzy Zwierzchnością Dyecezyalną a Zakonnikami i bierze udział w posiedzeniach Konsystorza z prawem głosu. Klasztory zwolniono od obowiązku składania Izbie Obrachunkowej rachunku z dochodów, a księgi klasztorne sprawdzane były i rewidowane przez wizytatorów. Art. 38 zastrzega nadto, że za niezapisanie do ksiąg wszystkich dochodów lub niewłaściwe ich użycie, prokurator komunikuje o tem Zwierzchności Dyecezyalnej i Wizytatorowi. Kapituły klasztorne zostały zniesione oraz godności Definitorów, Kustoszów i t. p.

Artyk. 39—62 Ukazu określają szczegółowo stosunek władz cywilnych do klasztorów i odwrotnie, a treść tych artykułów przekonywa, że władzom cywilnym nadano rozległe bardzo prawa w sferze dozorowania nad klasztorami. Obok innych zarządzeń figuruje prawo nakładania kar pieniężnych na klasztory nie wykonywujące ściśle przepisów. Kary w wysokości od 3 do 300 rb. mógł nakładać gubernator, a Komisya Rządowa Spraw Wewnętrznych i Duchownych władną była kary te podwyższać. Fundusze z takich kar powstałe, szły na zwiększenie funduszów szkół elementarnych. Przewidzianą jest także i odpowiedzialność kryminalna osób zakonnych „za ważniejsze przestępstwa i występki pojedyńczo lub wspólnie popełnione," a w razie „popełnienia ważniejszego przestępstwa policyjnego" wolno było władzom cywilnym wchodzić do klasztoru i dokonywać rewizyi z wiedzą przełożonego lub przełożonej.

Zażalenia na niewłaściwe postępowanie władz cywilnych względem klasztorów mogły być zanoszone do Komisyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, jako instytucyi „mającej zwierzchni nadzór cywilny nad klasztorami" — nadzór wykonywany za pośrednictwem gubernatorów i podwładnych im urzędników cywilnych i policyjnych.

Ukaz streszczony powyżej stanowi ostatnie ogniwo w szeregu zarządzeń wydanych w sferze urządzenia, zaopatrzenia klasztorów i dozorowania nad niemi. Zarządzenia późniejsze dotyczą już tylko zasobów klasztornych. Pierwszem z takich zarządzeń jest uchwała Komitetu Urządzającego, zapadła pod datą 1 (13) grudnia roku 1865 [1]). Uchwałę tę wywołała okoliczność, że reforma klasztorna i zwinięcie znacznej ich liczby, spowodowało przepełnienie klasztorów etatowych i konieczność utrzymania na czas pe-

[1]) Dziennik Praw T. 64, str. 403.

wien klasztorów nieetatowych, o czem na razie nie myślano. Fundusze przeznaczone pierwiastkowo dla klasztorów etatowych, okazały się w praktyce zbyt szczupłe, a na utrzymanie klasztorów nieetatowych nic nie przeznaczono. Uwzględniając taki stan rzeczy, Komitet Urządzający przeznaczył na każdy klasztor nieetatowy rb. 1000 tytułem specyalnego zasiłku, że zaś klasztorów tych, jak o tem mówiliśmy wyżej, pozostało 26, przeto wpisano do budżetu na r. 1866 sumę 26.000 rb., którą kazano zaczerpnąć z majątku klasztornego, zabranego na skarb. Drugiem zarządzeniem jest uchwała Komitetu Urządzającego z d. 7 (29) marca r. 1866 [1]), orzekająca, że sumy i kapitały poprzednio zaofiarowane na utrzymanie i odnowienie gmachów klasztornych, jeśli gmachy te zostały w zawiadywaniu Komisyi Spraw Wewnętrznych i Duchownych i na cel inny nie zostały obrócone, nie mogą przejść pod zawiadywanie Skarbu.

W zakończeniu zaznaczymy jeszcze reskrypt wydany przez Namiestnika Królestwa 4 (16) grudnia r. 1864 [2]), dotyczący zniesienia Stowarzyszenia Felicyanek czyli Sióstr Św. Feliksa. „Istniejące bez zatwierdzenia prawnego Stowarzyszenie Felicyanek, czyli Sióstr Św. Feliksa, znosi się bezzwłocznie.“

Tak brzmi ten lakoniczny reskrypt, a za motyw do tego kategorycznego zarządzenia posłużyły premisy następujące:

że stowarzyszenie to nie było nigdy przez rząd zatwierdzone;

że przed 9 (21) lipca r. 1859 nie przedstawiło ustawy do zatwierdzenia;

że wbrew art. 56 Ukazu 18 lutego (2 marca) r. 1842 i 28 sierpnia r. 1851, nie wykazało stałych środków utrzymania;

że wbrew Ukazom 15 (27) maja r. 1841, 3 (15) lutego i 8 (20) listopada r. 1858 istnieje nielegalnie; wreszcie,

że nie jest obce udziału w intrygach politycznych.

Bliższych szczegółów, uzasadniających zarzuty wyżej przytoczone, odnaleźć nie zdołaliśmy.

Wszystkie przepisy, któreśmy podali wyżej, skodyfikowano z biegiem czasu i zawarto w T. XI części I-ej Zbioru Praw Cesarstwa [3]) w artykułach od 182 do 237 włącznie. Obowiązywały one niemal do chwili ostatniej, ale Ukaz tolerancyjny, wydany 17 kwietnia roku 1905, nie mógł pominąć ograniczeń w nich zawartych

[1]) Dziennik Praw T. 64, str. 449.

[2]) Dziennik Praw T. 63, str. 13.

[3]) „Swod Zakonow T. XI czast' I,“ wyd. r. 1896.

i wprowadził pewne zmiany do zarządzeń wydanych w epoce poprzedniej a dotyczących klasztorów.

Oto ukazała się świeżo Najwyżej zatwierdzona 26 grudnia r. 1905 (8 stycznia r. 1906) Uchwała Rady Państwa [1]), która uchyla całkowicie art. 187 T. XI cz. I Zbioru Praw i uwagę do tego artykułu, wskazującego warunki obowiązkowego zamykania klasztorów katolickich w Królestwie Polskiem.

Treść tego artykułu jest następująca:

„Skoro w którymkolwiek klasztorze *nieetatowym* liczba osób zakonnych zmniejszy się do siedmiu, klasztor ten ulega zwinięciu, a osoby zakonne przenoszą się w granicach Królestwa Polskiego do innych klasztorów tego samego zakonu. Przy wyborze w tym celu klasztoru uwzględnia się starannie ich położenie, dogodność umieszczenia osób przybywających, oraz środki ku przyzwoitemu ich utrzymaniu. Gdyby dla jakichkolwiek przyczyn okazało się rzeczą niemożliwą przeniesienie osób zakonnych z klasztorów znoszonych lub zwijanych do innych klasztorów tego samego zakonu, to dozwala się przenieść te osoby do klasztorów innych zakonów.

*Uwaga.* Ministrowi Spraw Wewnętrznych za porozumieniem się z Warszawskim Generał-Gubernatorem dozwala się zamykać *etatowe* klasztory Rzymsko-Katolickie i w tych wypadkach, gdy w klasztorze pozostanie mniej niż ośm osób zakonnych, lub też gdy okaże się nieodzownem zająć gmachy klasztorne na inne instytucye użyteczności publicznej, z zachowaniem przytem przepisów w tych sprawach obowiązujących.“

Prawa te, wydne w r. 1864, 7 czerwca r. 1870 (uchwała Komitetu do Spraw Królestwa Polskiego) i 11 stycznia r. 1874 (uchwała Rady Państwa) a oparte na art. 243 Ustawy o ogólnem urządzeniu Zarządu Gubernialnego i art. 2 Urządzenia Zarządu Gubernialnego w Królestwie Polskiem, zostały zniesione całkowicie przez zacytowane wyżej prawo Zatwierdzone Najwyżej 26 grudnia r. 1905 (8 stycznia r. 1906). Jest to pierwszy wyłom w przepisach obowiązujących przez minione lat 40. Nie wchodzimy w roztrząsanie tego, jaki skutek pociągnie za sobą prawo powyższe i jaki wywrze wpływ na dzisiejsze warunki egzystencyi i liczby istniejących obecnie klasztorów w Królestwie Polskiem. Horoskopy co do przyszłości przekraczają najzupełniej zakres naszej pracy. Wracając do głównego jej celu, dania czytelnikom możliwie dokładnie zebranych materyałów, zaznaczymy, że gdy w r. 1866 skarb pań-

[1]) „Prawit. Wiestnik“ № 42, r. 1906.

stwa przeznaczał na klasztory 158,000 rb., to obecnie wydatkuje (Tablica VII) 41,435 rb., co w stosunku do dochodów, jakie z majątku klasztornego przeszły na rzecz skarbu (165,516 rb.), stanowi zaledwie część czwartą tych dochodów, zaś w stosunku do szacunku majątku klasztornego, zabranego w r. 1864 na skarb (3,329,851 rb. bez wartości lasów), stanowi mniej niż 1½%. Przechodzimy teraz do duchowieństwa świeckiego.

## B. Duchowieństwo świeckie.

Pierwszem zarządzeniem, wydanem przed 40 laty w sprawie duchowieństwa świeckiego w Królestwie Polskiem był Ukaz Najwyższy, noszący datę 14 (26) grudnia r. 1865, a ogłoszony 8 (20) lutego tegoż roku [1]). Ukaz ten powołując się na zapowiedź, daną w Ukazie 27 października (8 listopada) r. 1864, wychodzi z zasady, że:

„duchowieństwo to (świeckie) pobierając środki utrzymania z różnorodnych źródeł, po części z majątku nieruchomego i kapitałów, po części z dochodów niestałych a po części z funduszów skarbowych, nie było dostatecznie zabezpieczone a znaczniejsza liczba proboszczów cierpiała największy niedostatek i nędzę.“

Rozwijając w dalszym ciągu myśl powyższą i powołując się na streszczony na początku tej pracy reskrypt cesarza Aleksandra I, wydany 6 (18) marca r. 1817, Ukaz r. 1865 zatwierdza wnioski Komitetu Urządzającego, rozważone w Komitecie do Spraw Królestwa Polskiego, a dotyczące zabezpieczania bytu duchowieństwa świeckiego i określa na przyszłość etat stały, który ma być pokrywany corocznie z funduszów skarbu.

Jest więc dołączony do Ukazu etat duchowieństwa, liczba dyecezyj, personel kapituł dyecezyalnych, podział parafij na dwie klasy, liczba dekanatów i liczba wikaryuszów, wreszcie liczba parafij etatowych, to znaczy I i II-ej klasy oraz tych, których do żadnej z tych klas nie zaliczono i obsadzono administratorami. Wszystkich tych szczegółów przytaczać tu nie potrzebujemy, gdyż zawarliśmy je w tablicach № II, III i VI, że zaś dane tych tablic, obejmują rok 1905 i różnią się nieco od dawniejszych, przeto różnice te wyświetlimy w dalszym ciągu tej pracy.

W dalszych artykułach Ukaz r. 1864 zastrzega, że żadna z osób duchownych nie może zajmować dwóch lub kilku urzędów

[1]) Dziennik Praw T. 63, str. 369 i nast.

z wyjątkiem wypadków, gdy nastąpi w tym kierunku zezwolenie Monarchy; że kapituły kollegiat: Łowickiej, Pułtuskiej, Zamościskiej, Kaliskiej i Opatowskiej utrzymują się nadal, ale, że członkowie ich nie pobierają żadnego wynagrodzenia etatowego, „gdyż nie spełniają żadnych stałych w zarządzie dyecezyi obowiązków;“ że wybór osób duchownych na proboszczów i administratorów parafij dokonywa się przez Zwierzchność Dyecezyalną, lecz musi być zatwierdzony przez Komisyę Rządową Spraw Wewnętrznych i Duchownych i że liczbę wikaryuszów oznacza i zatwierdza Namiestnik na podstawie porozumienia Komisyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych ze Zwierzchnością dyecezyalną.

Co się tyczy majątku duchowieństwa świeckiego, to art. 24 Ukazu, datowanego 14 (26) grudnia r. 1865, wyraża się w te słowa:

„Po zapewnieniu duchowieństwu świeckiemu Rzymsko-Katolickiemu stałego utrzymania etatowego według słuszności wyznaczonego, wszelki majątek nieruchomy i kapitały, należące do tegoż duchowieństwa i do instytutów duchownych, jako to: probostw, kapituł i seminaryów, konsystorzy i t. p. przechodzą w zupełne zawiadywanie i rozporządzenie skarbu na zasadzie oddzielnych przepisów dodatkowych, do Ukazu niniejszego dołączonych.“

Dochody z tego majątku (art. 25) przeznaczono na pokrycie wydatków utrzymania duchowieństwa świeckiego i instytutów duchownych. Pobór dziesięcin dla duchowieństwa został wzbroniony (art. 27), ale opłaty za sporządzanie aktów stanu cywilnego oddano na rzecz duchownych, zaś opłaty za posługi religijne (jura stolae) uznano za należące do podziału pomiędzy służbą kościelną a dozorem kościelnym na potrzeby kościoła.

Co się zaś tyczy konsystorzów i seminaryów katolickich, to etaty ich miały być dopiero opracowane i przedstawione do zatwierdzenia, a zanim to nastąpi, w art. 35 i 36, zapewniono wypłatę ze skarbu takich samych funduszów, jakie dotąd były na ten cel przeznaczane.

W końcu Ukaz w art. 37 przewiduje, że wydatki, zawarte w etacie mogą przewyższyć dochód z majątków i kapitałów duchowieństwa świeckiego. Gdyby istotnie miało to miejsce, nadwyżka wydatków pokrytą być winna z funduszów suppresyjnych i innych, pochodzących z dawnych czasów, a ostatecznie z ogólnych funduszów skarbu Królestwa.

Etat dołączony do Ukazu r. 1865 przewidywał, że wydatki ogólne na utrzymanie duchowieństwa katolickiego wymagać będą corocznie sumy 790,500 rb.

W dalszym ciągu porównamy to z etatem dzisiejszym. Tu zanotujemy, że przepisy dodatkowe obejmują wskazówki co do zinwentarzowania majątku nieruchomego i kapitałów duchowieństwa świeckiego i co do sposobu zabrania tego majątku na skarb. W przepisach tych mieszczą się wskazówki, że Komisye Rządowe Przychodów i Skarbu i Spraw Wewnętrznych i Duchownych, mają przedsięwziąć środki ku temu, żeby kapitały duchowieństwa, umieszczone u osób prywatnych, niezwłocznie przeszły na skarb, a Bankowi Polskiemu zalecono, żeby powierzone mu kapitały duchowieństwa świeckiego przepisał całkowicie na rzecz skarbu Królestwa.

Streszczone wyżej podstawy główne urządzenia duchowieństwa katolickiego wprowadzono w wykonanie z dniem 1 stycznia r. 1866, a w ciągu tegoż roku zakrzątnięto się około zabrania na skarb majątku tego duchowieństwa.

Sprawozdanie Zarządu Finansowego za r. 1866 [1]), daje wskazówki co do szacunku ogólnego majątku duchowieństwa świeckiego i dochodów, jakie przynosił. Opisy i inwentarze majątku zostały dokonane w r. 1866, przy czem znaleziono, że znaczna część folwarków ziemskich puszczona była w dzierżawę osobom prywatnym lub oddana w administracyę poręczającą. Tam, gdzie kontrakty lub umowy były legalne, pozostawiono nadal dzierżawców i administratorów dawniejszych, zaś folwarki, zarządzane osobiście przez osoby duchowne, puszczono w dzierżawę na trzy lata z prawem zerwania kontraktu w każdym roku. Obszar ogólny majątków ziemskich równał się „w przybliżeniu," jak się wyraża Zarząd Finansowy, 173,146 morgom, z których folwarki drobne, nie mające więcej nad 92 morgi, oddano włościanom bezrolnym.

Co zaś do dochodów, jakie przynosił majątek duchowieństwa świeckiego, to Zarząd Finansowy ujął go w cyfry następujące:

| | | | |
|---|---|---|---|
| *a*) z dzierżawy majątków ziemskich . . . . . | 270,708 | rb. | 32 k. |
| *b*) z dzierżawy domów i placów . . . . . | 49,140 | „ | 57 „ |
| *c*) z kapitałów zahypotekowanych oraz ulokowanych w Banku Polskim i Kasie Głównej Królestwa . . . . . | 67,445 | „ | 57 „ |
| Ogółem . . | 387,294 | rb. | 47 k. |

[1]) „Otczot Finansowaho Uprawlenija w Carstwie Polskom za 1866 god." (Biblioteka ordynacyi hr. Krasińskich).

Dwie pierwsze pozycye skapitalizowane w stosunku 5% reprezentują kapitał 6,396,978 rb., który należy powiększyć o całą sumę kapitałów, ulokowanych na hypotekach, w Banku Polskim i w Kasie Głównej, czyli o 1,528,423 rb. 17 k. W ten sposób szacunek ogólny majątku duchowieństwa świeckiego, który to majątek zabrano na skarb, reprezentuje sumę ogólną 7,925,401 rb. 17 k. niezależnie od kapitałów spornych, dochodzonych w drodze procesu sądowego w sumie ogólnej 517,514 rb. 7½ k., oraz lasów, które oddano pod zarząd władz skarbowych, ale których szacunek nie był ustalony w r. 1866.

Dalsze losy majątku po-duchownego znane są powszechnie. Majątkiem nieruchomym czyli folwarkami zarządzały pierwiastkowo zorganizowane w r. 1869 Izby Skarbowe, a następnie Zarządy Dóbr i lasów rządowych. Następnie na mocy specyalnych przepisów, wydanych w r. 1871, rozprzedano je na warunkach ulgowych osobom pochodzenia rosyjskiego, zaś majętności drobne oddano na place dla szkółek wiejskich i włościanom bezrolnym.

Zarządzenia te wszakże poprzedzone były przez kilka innych, które nie dotyczyły już majątku duchowieństwa świeckiego, lecz organizacyi i atrybucyj. Do rzędu ostatnich zaliczyć należy zastrzeżone dla duchowieństwa świeckiego prawo wykładu religii w gimnazyach i progimnazyach Królestwa Polskiego. Art. 21 ustawy, zatwierdzonej 5 (17) stycznia 1866, orzeka, że do wykładu religii w średnich zakładach naukowych powołują się osoby duchowne świeckie, a nominuje je Dyrektor Główny Komisyi Oświecenia po porozumieniu się z Dyrektorem Głównym Komisyi Spraw Wewnętrznych i Duchownych. Rok 1866 nie przyniósł nowych zarządzeń prawodawczych, dotyczących duchowieństwa świeckiego. Natomiast r. 1867 obfituje w nowe zarządzenia, które wprowadziły nowe radykalne zmiany w stosunkach dotychczasowych. Oto przez Ukaz wydany 19 Maja r. 1867, a ogłoszony 8 (20)[1] lipca tegoż roku, na przedstawienie Namiestnika zniesiono dyecezyę Podlaską wraz z kapitułą, konsystorzem i Seminaryum. Biskup Szymański został usunięty od obowiązków zwierzchnika dyecezyi, a należące do niej kościoły przyłączono do Dyecezyi Lubelskiej. Przez Ukaz datowany 12 (24) lipca r. 1867,[2] ogłoszono o zerwaniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy Dworem Cesarskim a Rządem Papieskim i zalecono, żeby wszelkie czynności dotyczące komunikowa-

[1] Dzien. Praw, T. 67, str. 85.
[2] „ „ T. 67, str. 208.

nia się z Papieżem, skoncentrowane zostały w Kolegium Duchownem Rzymsko-Katolickiem w Petersburgu, wobec czego wszyscy zwierzchnicy duchowni Cesarstwa i Królestwa, sprawy przechodzące zakres ich władzy duchownej przedstawiać mieli do kolegium. Kolegium to po zdecydowaniu, że sprawa przedstawiona nie może być przez nie rozstrzygnięta, przesyła ją do decyzyi papieskiej „najdogodniejszą do tego drogą.“ Atoli nawet taki pośredni stosunek duchowieństwa Katolickiego do Stolicy Apostolskiej uznano jeszcze za niedostateczny, bowiem art. 3 Ukazu zaleca że „każda decezya Papieża, wszelkie bulle, odezwy, nauki i w ogóle akty i pisma pod każdą nazwą“ muszą być, przed ogłoszeniem ich lub rozpowszechnieniem, przedstawione w oryginale Ministrowi Spraw Wewnętrznych, który po przekonaniu się że „niezawierają w sobie nic przeciwnego postanowieniom państwowym i świętym prawom i prerogatywom Najwyższej Władzy Samowładnej, nadaje sprawie właściwy bieg wykonawczy.“ Taką samą procedurę zastrzeżono (art. 4) przy obsadzaniu katedr Arcybiskupich i Biskupich i nominowaniu Biskupów Suffraganów; a wszelkim bullom, naukom, odezwom Papieża, rozpowszechnionym bez zachowania przepisów powyższych, cofnięto moc obowiązującą (art. 5), zaś osoby, któreby się nie stosowały do wymagań i przepisów przez Ukaz r. 1867 nakazanych, pociągano do kar w drodze administracyjnej lub sądowej. W dalszym ciągu zarządzeń prawodawczych zniesiono Warszawską Rzymsko-Katolicką Akademię Duchowną na skutek Najwyższego rozkazu, o czem 15 (27) lipca r. 1867 [1]) Zarządzający sprawami obcych wyznań w Królestwie Polskiem zawiadomił Biskupów. Wychowańcy tej Akademii zostali przeniesieni do Akademii Duchownej w Petersburgu i odtąd w budżecie państwa figuruje rocznie suma 6500 r., przeznaczona na kształcących się w Akademii Petersburskiej wychowańców z Królestwa Polskiego. Zaznaczamy jeszcze że w r. 1871, przez Ukaz datowany 10 (22) lipca, zwinięto istniejący w Warszawie Zarząd Obcych Wyznań w Królestwie Polskiem.

Na tem zakończymy rzecz naszą, dotyczącą zarządzeń prawodawczych, wydanych w sferze stosunków duchowieństwa świeckiego, a nie mamy już miejsca na przytaczanie całego szeregu zarządzeń administracyjnych, krępujących działalność duchowieństwa i wpływ jego na ludność kraju. Przywrócenie z biegiem

[1]) „Sbornik Cyrkularow po Uprawlenju Duchownymi dielami“ (część II paragr. 96).

czasu stosunków dyplomatycznych, ze Stolicą Apostolską i obsadzenie w kraju Arcybiskupstwa Warszawskiego i biskupstw dyecezyalnych, było następstwem przewlekłych układów, prowadzonych za panowania cesarza Aleksandra III-ego i czyniło w pewnej mierze zadość potrzebom religijnym ludności, ale warunków pracy duchowieństwa nie zmieniło w sposób wyraźnie różniący się od poprzedniego. Budowa lub odnawianie i naprawa kościołów zależała od pozwoleń władz administracyjnych, zamykanie istniejących było na porządku dziennym. Wszelkie uroczyste przejawy kultu religijnego były po dawnemu wzbronione, swoboda ruchów osób duchownych była skrępowana szczególnemi przepisami paszportowemi, a duchowni byli stale pilnie dozorowani przez odpowiednie organy władzy. Do opieki nad szkółkami początkowemi, ani do wykładu w nich religii faktycznie dopuszczeni nie zostali, a rozmaite kary, wymierzane w drodze administracyjnej za rzekome przewinienia, były zjawiskiem codziennem, nękającem sługi kościoła.

Dopiero Ukaz „tolerancyjnym“ zwany, a wydany 17/30 kwietnia r. 1905, zmienił te warunki.

Art. 13 Ukazu upoważnia do budowy, odnowienia i reparacyi kościołów i domów modlitwy wszystkich wyznań chrześcijańskich, a więc i katolickiego, i zastrzega, że odtąd potrzebną jest tylko: zgoda zwierzchności duchownej, posiadanie odpowiedniego funduszu i przestrzeganie przepisów ustawy budowlanej. Wyjątki od tego przepisu, gdyby były gdziekolwiek potrzebne, mogą być wydane tylko w drodze prawodawczej. W ten sposób prawodawca kładzie kres samowoli administracyjnej, która tylokrotnie, wbrew istotnej potrzebie ludności, tamowała wznoszenie nowych świątyń lub utrudniała odnowienie istniejących.

Art. 14 rozstrzyga sprawę nauki religji w zakładach naukowych. Niema tu żadnych ograniczeń, bowiem użyto określenia, że „we wszelkiego rodzaju zakładach naukowych“ wykład religii prowadzi się w języku ojczystym uczniów i przez duchownych wyznania właściwego i tylko w braku tychże może być powierzony nauczycielom świeckim.

I tu więc niema niedomówień i władze lokalne nie będą mogły usuwać osób duchownych od szkół, ile że osób tych nigdzie w kraju nie zbraknie.

Co zaś do zmian, dotyczących duchowieństwa świeckiego, to przepisy, wydane z mocy tego Ukazu i zatwierdzone przez Monarchę 26 grudnia r. 1905 (8 stycznia r. 1906) [1]) ujęły w szereg

[1]) „Prawit. Wiestnik“ № 42 r. 1906.

artykułów sprawę mianowania osób duchownych, wymierzania na nich kar i większej niż dotąd swobody ruchów. Wszakże bez względu na duch liberalizmu tchnący z Ukazu 17 kwietnia r. 1905 co do swobody sumienia i wyznania, nie uznano za możliwe zwolnić z pod kontroli rządowej sprawy obsadzania posad duchownych. Proboszczów, administratorów i wikaryuszów mianuje Zwierzchność Dyecezyi, ale tylko za zgodą generał-gubernatora warszawskiego. To samo ma miejsce, gdy chodzi o mianowanie regensów, inspektorów i profesorów seminaryum oraz regensów i sekretarzy konsystorzów. Dziekanów mianuje Zwierzchność Dyecezyalna, o ile nominat zajmował jedną z posad wyżej wskazanych. W przeciwnym razie musi być wyjednana zgoda władz administracyjnych. Pozwolono także na obsadzanie różnych urzędów duchownych poddanymi zagranicznymi, ale tylko za pozwoleniem generał-gubernatora. Wreszcie, gdyby działalność którego z duchownych uznana jest za szkodliwą, to minister Spraw Wewnętrznych zawiadamia o tem Zwierzchność Dyecezyalną dla zastosowania środków odpowiednich ku ukróceniu tej szkodliwej działalności. Gdyby zaś użycie tych środków nie nastąpiło, lub gdyby środki zastosowane uznane były za niewystarczające, wówczas minister Spraw Wewnętrznych zawiadamia Zwierzchność Dyecezyalną o usunięciu danej osoby duchownej i Zwierzchnik Dyecezyi musi się do tego zastosować.

W sprawie wyjazdów osób duchownych w obrębie Królestwa Polskiego, nowe przepisy orzekają, że stosowane tu być winny zasady przyjęte w innych miejscowościach państwa. Zniesiono zarazem artykuł 97 ustawy obcych wyznań [1]), który nakazywał duchownym wyjednywać u gubernatorów pasporty na wyjazd do innych gubernij. Odtąd książeczki pasportowe wskazane w artykule 40 ustawy pasportowej, [2]) mają być wydawane osobom duchownym przez właściwą władzę duchowną, a zakonnicy, którzy przeterminowali wydane im pozwolenia na wyjazd, zwolnieni zostali od obowiązującego dotąd odstawiania ich „pod dozorem“ do zwierzchności dyecezyalnej.

Szereg tych zarządzeń zamykają ulgi znoszące dawne przepisy, stosowane do zewnętrznych przejawów kultu religijnego. Odtąd urządzanie i odbywanie procesyj religijnych nie podlega

[1]) Zbiór Praw Cesarstwa T. XI, wyd. r. 1896.
[2]) „ „ „ T. XIV, wyd. r. 1903.

już krępującym je zapatrywaniom władz miejscowych i nowe przepisy zawierają, co do tego wskazówkę następującą:

„Duchowieństwo Rzymsko-Katolickie urządzające pochody pogrzebowe, procesye lub pielgrzymki w celu religijnym, obowiązane jest stosować się pod tym względem do wskazówek swojej zwierzchności dyecezyalnej, ale za każdym razem winno uprzedzać zawczasu najbliższą władzę policyjną o czasie i miejscu zamierzonej procesyi.“

Co do konsystorzów i seminaryów dyecezyalnych, czekających od r. 1865 na pomnożenie funduszów, któremi rozporządzają, to jak dotąd, żadnych zmian nie wprowadzono. Ukaz r. 1865 zalecił b. Komisyi Spraw Wewnętrznych i Duchownych opracowanie przepisów o organizacyi i etatach dla seminaryów duchownych, ale aż do chwili obecnej nic w tym kierunku nie zdziałano i skarb wypłaca corocznie to samo (Tablica V), co wypłacał w chwili, gdy organizacya duchowieństwa świeckiego uległa radykalnym zmianom. Dopiero w ostatnich czasach zjawiają się luźne wzmianki, jakoby Ministeryum Spraw Wewnętrznych zakrzątnęło się około opracowania nowego etatu dla wszystkich seminaryów w Królestwie Polskiem. Niepodobna przewidzieć, jak szybko Ministeryum wywiąże się z tego zadania, a sprawa to pilna. Seminarya są bardzo słabo uposażone, więc pod tym względem zmiany w etatach powinny być znaczne, a nadto muszą być uwzględnione potrzeby ludności, dotychczas pomijane, ale które wobec Ukazu 17 (30) kwietnia roku 1905 nie mogą już być traktowane po macoszemu, jak się to działo dotąd. Należy mniemać, że bez opinii władz duchownych, sprawa organizacyi seminaryów i nowych etatów dla nich, załatwioną nie będzie. To samo rzec można i o konsystorzach dyecezyalnych. Dzisiejszy personel ich osobisty jest niewystarczający, zaś etaty są tak nizkie (Tablica IV), że nie licują wcale z warunkami obecnemi i nie zapewniają osobom duchownym, zajmującym urzędy w konsystorzach, przyzwoitej egzystencyi.

Zamykając na tem szczegóły o reformie stosunków w sferze potrzeb religijnych ludności oraz o urządzeniu świeckiego duchowieństwa katolickiego, przeprowadzonem przez Ukaz r. 1865 i zarządzenia późniejsze, przytoczymy kilka zestawień cyfrowych. Dadzą one wyraźniejsze pojęcie o stosunku parafij i liczby osób duchownych do ogółu ludności katolickiej kraju oraz o zmianach, jakie zaszły w wydatkach skarbu na utrzymanie duchowieństwa w Królestwie.

| | r. 1855 [1]) | r. 1866 | r. 1905 |
|---|---|---|---|
| Ludność katolicka. . . . | 3,607,313 gł. | 3,737,000 gł. | 7,506,000 gł. [2]) |
| Liczba archidyecezyj. . . | 1 | 1 [3]) | 1 [4]) |
| „ dyecezyj. . . . . | 7 | 7 [3]) | 6 [4]) |
| „ parafij . . . . . | 1,639 | 1,638 [3]) | 1,635 [4]) |
| „ dekanatów. . . . | (?) | 84 [3]) | 84 [4]) |
| Liczba księży świeckich nie licząc arcybis. i biskupów | 2,137 | 2,599 [3]) | 2,629 [5]) |
| Liczba klasztorów męzkich | 152 | 25 [3]) | 5 [4]) |
| „ „ żeńskich | 33 | 10 [3]) | 8 [4]) |
| „ „ niecłat. . | — | 26 [3]) | 1 [4]) |
| „ kościołów i kaplic . | 2,154 | (?) | 2,526 [2]) |
| „ wychowańców akademii duchownej | 48 | (?) | 14 |
| „ alumnów w seminaryach . . . . . | 286 | (?) | 621 |
| Koszt utrzymania duchowieństwa świeckiego. . . . . | | 790,500 rb. [6]) | 818,844 rb. [7]) |
| Koszt utrzymania seminaryów. . . . | | 24,455 „ [11]) | 24,455 „ [8]) |
| „ „ konsystorzów . . . | | 17,100 „ [11]) | 17,100 „ [9]) |
| „ „ klasztorów . . . . | | 158,740 „ [12]) | 41,435 „ [10]) |

Zestawienia te świadczą, że gdy w r. 1855 przy ludności wyrównywającej 3,607,313 głów, jeden ksiądz świecki i jeden kościół lub kaplica przypadał na 1,688 — 1,700 głów ludności, to w r. 1905, przy zdwojonej liczbie ludności katolickiej (7,506,000 głów), jeden ksiądz świecki przypadał na 2,855 głów ludności, zaś jeden ko-

[1]) Kalendarz Obserwatoryum Astronomicznego w Warszawie na r. 1857.

[2]) Podług rubrycelli dyecezyalnych r. 1905.

[3]) Podług etatu Dzien. Praw. T. 63, str. 383.

[4]) Podług budżetu Ministeryum Spraw Wewnętrznych na r. 1905, oraz Tablice II, III, IV, V, VI i VII.

[5]) Tablica III i VI.

[6]) Etat. Dzien. Praw. T. 63, str. 383.

[7]) Tablice II, III, VI i budżet Ministeryum Spraw Wewnętrznych na rok 1905.

[8]) Tablica V.

[9]) Tablica IV.

[10]) Tablica VII.

[11]) Dawniejszy koszt z przed r. 1865 pozostawiony bez zmiany przez Ukaz r. 1865.

[12]) Preliminarz budżetu na r. 1865.

ściół lub kaplica na 2,972 gł. ludności. Czyli że bez względu na podwojenie się ludności liczba księży świeckich powiększyła się o 492 a liczba kościołów (parafialnych, filialnych i kaplic) wzrosła o 372. Powiększenie to przypada głównie na kościoły filialne, których w ciągu lat 50 przybyło 99, (w r. 1855 było 106 a w r. 1905 podług rubrycelli było 205) i na kaplice, których przybyło 312 (w r. 1855 — 382, w r. 1905 — 694). Klasztorów męzkich i żeńskich w r. 1855 było aż 185, a w r. 1905 istniało już tylko 14.

Co się tyczy wydatków skarbu na utrzymanie świeckiego duchowieństwa katolickiego, to w ciągu lat 40 wzrosły one zaledwie o 28,000 rb., co odpowiada powiększeniu się liczby księży świeckich. Utrzymanie konsystorzów i seminaryów pozostało bez zmiany, a koszt utrzymania duchowieństwa zakonnego zmniejszył się o 117,305 rb., jako następstwo zwinięcia znacznej liczby klasztorów i znakomitego zmniejszenia liczby osób, pędzących życie zakonne.

Pozostał jeszcze do wyświetlenia stosunek wydatków skarbu na duchowieństwo katolickie w Królestwie do wartości majątków nieruchomych i kapitałów, które z mocy Ukazów r. 1864 i 1865 przeszły na rzecz skarbu. Widzieliśmy wyżej, że majątek poklasztorny, podług rachunku ustalonego w r. 1867 przez Zarząd Finansowy, równał się cyfrze 3,329,851 rb., zaś duchowieństwa świeckiego wraz z kapitałami spornemi cyfrze 8,442,915 rb. Ogółem więc stanowił poważną cyfrę 11,772,766 rb., nieobejmującą nadto wartości lasów po-duchownych, których szacunku w r. 1866 nie dokonano. Ponieważ szacunek ustalony został na podstawie kapitalizacyi dochodu w stosunku 5%, czyli przez rozmnożenie dochodu rocznego przez 20, przeto i w danym wypadku przyjmujemy 5%-ową stopę procentową. Otrzymamy w ten sposób, że kapitał, stanowiący 11,772,766 rb., daje tytułem procentu rocznego sumę 588,638 rb., skoro zaś skarb wydatkuje corocznie 901,834 rb., przeto dopłacałby z funduszów ogólnych 313,196 rubli rocznie. Wszakże ściślej rzecz biorąc dopłata ta nie obciąża ogólnych zasobów skarbu, a to dlatego, że w powyższym szacunku ogólnym majątku po-duchownego nie jest zawarta wartość lasów poduchownych, a następnie, że znaczną część ziemskich majątków po-duchownych sprzedano z biegiem czasu, po cenach przewyższających znacznie szacunek dokonany w r. 1866. W ten sposób skarb osiągnął faktycznie więcej, niż to, co w „przybliżeniu“ obliczył Zarząd Finansowy w sprawozdaniu z wykonania budżetu na rok 1866, a przewyżka ta wraz z wartością lasów niewątpliwie znacznie powiększyła wskazany wyżej kapitał 11,772,766 rb. Można więc bez obawy

błędu, przewidywać, że procenty od przekazanego na skarb kapitału, pokrywają w całości koszta utrzymania duchowieństwa katolickiego w Królestwie.

W tablicy VI zwrócić może uwagę czytelnika cyfra 36,550 rb., umieszczona pod lit. *b* pozycyi 9. Sumą tą szafuje obecnie Minister Spraw Wewnętrznych na potrzeby nadzwyczajne duchowieństwa katolickiego. W etacie, dołączonym do Ukazu r. 1865 suma przeznaczona na „potrzeby nadzwyczajne“ równała się 50,000 rb., następnie zmniejszono ją do 40,550 rb., a w budżecie na rok 1905 znajdujemy już tylko 35,550 rb. Kredyt, dawniej przyznany, zredukowała Rada Państwa przy zatwierdzaniu preliminarza budżetowego na rok miniony i nie uwzględniono motywów, które przytaczało Ministeryum Spraw Wewnętrznych w obronie dawnego kredytu. Ministeryum rzeczone wskazało potrzeby, pokrywane z tego kredytu, i dowodziło, że jest niewystarczający. Nie przekonało to wszakże Rady Państwa, która, przez uchwałę, zapadłą 28 października (10 listopada) r. 1904, zmniejszyła na r. 1905 kredyt żądany o 5,000 rb.

Z wykazu wydatków, poczynionych z tego funduszu w roku 1903, widzimy, że Ministeryum wyszafowało nawet więcej po nad przyznane w budżecie 40,550 rb., mianowicie:

| | | |
|---|---|---|
| *a*) | dodatki osobom duchownym po rb. 100 każdej . . . | 3000 rb. |
| *b*) | „ na utrzymanie konsystorzów . . . . . | 4508 „ |
| *c*) | „ „ „ seminaryów . . . . . | 13806 „ |
| *d*) | kościołom katedralnym na nabożeństwa i muzykę . | 5200 „ |
| *e*) | stróże i odźwierni w instytutach duchownych . . . | 2212 „ |
| *f*) | do dyspozycyi warszawskiego generał-gubernatora na nagrody duchownym za szczególne zasługi dla kościoła i państwa . . . . . | 4000 „ |
| *g*) | zasiłki emerytalne księżom wobec braku funduszu na to przeznaczonego . . . . . | 2000 „ |
| *h*) | szpitalom za leczenie osób duchownych . . . . . | 5891 „ |
| *i*) | pensya dodatk. 4 profesorom seminaryów w Kielcach | 2400 „ |
| *k*) | zwrot kosztów osobom duchownym, przybywającym do Petersburga dla poświęcania nowo-mianowanych biskupów . . . . . | 1750 „ |
| *l*) | kancelaryi Papieskiej tytułem annuaty za prekonizacyę nowo mianowanych biskupów . . . . . | 2500 „ |
| *ł*) | za podarki Najjaśniejszego Pana nowo-mianowanym biskupom (paliusze, pastorały, pierścienie i t. p.) | 1450 „ |
| | Ogółem . . | 48717 rb. |

Ani ten wykaz wydatków, ani inne argumenty, przytoczone przez Ministeryum Spraw Wewnętrznych, nie przekonały Rady Państwa i, jak powiedzieliśmy wyżej, kredyt zmniejszono o 5000 rb.

W Tablicy VIII wskazaliśmy dochody skarbu na pokrycie wydatków na duchowieństwo katolickie. Szczegóły w tablicy podane nie wymagają komentarzy, gdyż wyraźnie wskazują źródła dochodów. Nadmienić tylko wypada, że dochody z majątków ani procenty od kapitałów poduchownych, zabranych na skarb w latach 1864 i 1865, nie są wykazane w budżecie, jako odrębna pozycya dochodowa. Tak majątki nieruchome, jak i kapitały, utonęły w ogólnych pozycyach i wyodrębnić ich niepodobna.

(D. c. n.).

A. P.

# TABLICA I.

Wykaz wydatków ogólnych z funduszów skarbu na utrzymanie Duchowieństwa Rz.-Katolick. w Królestwie Polskiem w r. 1905.

| № porządkowy | NAZWA GUBERNII. | Suma wydatków w każdej gubernii | |
|---|---|---|---|
| | | RUBLI | K. |
| 1 | Warszawska . . . . . | 179062 | — |
| 2 | Kaliska. . . . . | 90775 | — |
| 3 | Kielecka . . . . . | 109330 | — |
| 4 | Łomżyńska . . . . . | 43160 | — |
| 5 | Lubelska . . . . . | 74015 | — |
| 6 | Piotrkowska. . . . . | 83532 | 20 |
| 7 | Płocka . . . . . | 76490 | — |
| 8 | Radomska. . . . . | 89620 | — |
| 9 | Suwalska . . . . . | 51600 | — |
| 10 | Siedlecka . . . . . | 46950 | — |
| | Ogółem. . | 844534 | 20 |

# TABLICA II.

Etat arcybiskupów, biskupów dyecezyalnych i suffraganów oraz utrzymanie pałaców arcybiskupich i biskupich w Król. Polsk. w r. 1905.

| № porządk. | NAZWA ARCHIDYECEZYJ I DYECEZYJ | Pensya | Utrzymanie pałacu kapelana, służby, opał, światło i t. p. | Koszta objazdu dyecezyi | Ogółem |
|---|---|---|---|---|---|
| | | R U B L E | | | |
| 1 | Arcybiskup Warszawski . . . | 5125 | 500 | 375 | 6000 |
| 2 | Biskupi dyecezyalni: Kaliski . | 4125 | 500 | 375 | 5000 |
| | Płocki . . . | 4125 | 500 | 375 | 5000 |
| | Lubelski . . | 4125 | 500 | 375 | 5000 |
| | Sandomierski | 4125 | 500 | 375 | 5000 |
| | Kielecki . . | 4125 | 500 | 375 | 5000 |
| | Augustowski. | 4125 | 680 | 375 | 5180 |
| 3 | Biskupi suffragani: Warszawski | 1500 | — | — | 1500 |
| | Kaliski. . . | 900 | — | — | 900 |
| | Płocki . . . | 900 | — | — | 900 |
| | Augustowski. | 900 | — | — | 900 |
| 4 | Suma ryczałtowa do dyspozycyi Ministra Spraw Wewnętrz. na utrzymanie biskupów suffraganów w Królestwie [1]) . . . | — | — | — | 3600 |
| | Ogółem. . | — | — | — | 43980 |

[1]) Suma ta powstała z powodu nieobsadzenia sufraganii: Łowickiej, Lubelskiej, Sandomierskiej i Kieleckiej.

# TABLICA III.

Koszt utrzymania Kapituł Rzymsko-Katolickich w Królestwie Polskim w r. 1905.

| № porządk. | NAZWA KAPITUŁ | Liczba osób | Pensya etatowa jednego | Ogółem |
|---|---|---|---|---|
| | | | RUBLE | |
| | **A. Kapituła metropolitalna.** | | | |
| I | W Warszawie: | | | |
| | Dziekan . . . | 1 | 600 | 600 |
| | Archidyakon . . . Prałaci | 1 | 600 | 600 |
| | Scholastyk . . . | 1 | 600 | 600 |
| | Kustosz . . . | 1 | 600 | 600 |
| | Kanonik gremialny . . . . . | 4 | 400 | 1600 |
| | „ honorowy . . . . . | 4 | — | — |
| | Na odprawianie uroczystych nabożeństw i muzykę . . . . | — | — | 600 |
| | Wikaryusze katedralni . . . . | 6 | 225 | 1350 |
| | Ogółem . . | 18 | — | 5950 |
| | **B. Kapituły dyecezyalne.** | | | |
| II | Kujawsko-Kaliska (Włocławek), Kielecka, Lubelska, Płocka, Sandomierska, Augustowska (Sejny). | | | |
| | Dziekan . . . | 6 | 375 | 2250 |
| | Archidyakon . . . Prałaci | 6 | 375 | 2250 |
| | Scholastyk . . . | 6 | 375 | 2250 |
| | Kustosz . . . | 6 | 375 | 2250 |
| | Kanonik gremialny . . . . . | 24 | 300 | 7200 |
| | „ honorowy . . . . . | 24 | — | — |
| | Wikaryusz katedralny . . . . | 36 | 150 | 5400 |
| | Na odprawianie nabożeństwa . . | 6 | 200 | 1200 |
| | Ogółem . . | 114 | — | 22800 |
| | Ogółem kapituły w Królestwie . | 132 | — | 28750 |

# TABLICA IV.

Etat konsystorzów Rzymsko-katolickich w Królestwie Polskiem w r. 1905.

| № porządkowy | NAZWA URZĘDU | Warszawski archidyecezyal. | | | Kujawsko-Kaliski dyecezyal. | | | Kielecki dyecezyalny | | | Sandomierski dyecezyalny | | | Lubelski dyecezyalny | | | Płocki dyecezyalny | | | Augustowski dyecezyalny | | | Ogółem |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | Liczba osób | Etat | Suma ogólna | Liczba osób | Etat | Suma ogólna | Liczba osób | Etat | Suma ogólna | Liczba osób | Etat | Suma ogólna | Liczba osób | Etat | Suma ogólna | Liczba osób | Etat | Suma ogólna | Liczba osób | Etat | Suma ogólna | |
| 1 | Officyał. . . . . | 1 | 600 | 600 | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | |
| 2 | Sędzia Surrogat I-y . . . . . | 1 | 450 | 450 | 1 | — | — | 1 | — | — | } 3 | — | — | 1 | — | — | } 3 | — | — | 1 | — | — | |
| 3 | „ „ II-gi . . . . | 1 | 450 | 450 | 1 | — | — | — | — | — | | — | — | 1 | — | — | | — | — | 1 | — | — | |
| 4 | Assesor . . . . . | 1 | 350 | 350 | 1 | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | 2 | — | — | |
| 5 | Regens kancelaryi . . . . . | 1 | 600 | 600 | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | |
| 6 | Referent do spraw małżeńskich | 1 | 150 | 150 | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | |
| 7 | Fiskał do spraw duchownych . | 1 | 150 | 150 | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | |
| 8 | Sekretarz I-y . . . . . | 1 | 450 | 450 | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | |
| 9 | „ II-gi . . . . . | 1 | 400 | 400 | — | — | — | — | — | — | — | — | — | 1 | — | — | — | — | — | — | — | — | |
| 10 | Archiwista . . . . . | 1 | 450 | 450 | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | — | — | — | — | — | — | |
| 11 | Dziennikarz . . . . . | 1 | 350 | 350 | — | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | — | — | — | 1 | — | — | — | — | — | |
| 12 | Protokólista I-y . . . . . | 1 | 330 | 330 | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | |
| 13 | „ II-gi. . . . . | 1 | 300 | 300 | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | |
| 14 | Obrońca do spraw małżeńskich | 1 | 150 | 150 | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | 1 | — | — | |
| 15 | Materyały piśmienne . . . . | — | — | 550 | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | |
| 16 | Woźny I-y . . . . . | 1 | 170 | 170 | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | |
| 17 | „ II-gi . . . . . | 1 | 100 | 100 | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | |
| | Ogółem . . | 16 | — | 6000 | 9 | — | 2100 | 8 | — | 1800 | 10 | — | 1800 | 9 | — | 1800 | 9 | — | 1800 | 9 | — | 1800 | 17100 |

# TABLICA V.

Seminarya duchowne Rzymsko-Katolickie
w Królestwie Polskiem w r. 1905.

| № porządkowy | NAZWA SEMINARYUM | Ogółem Ruble |
|---|---|---|
| 1 | W Warszawie seminaryum archidyecezyalne. | 4860 |
| 2 | „ Kielcach „ dyecezyalne. . . | 7650 |
| 3 | „ Lublinie „ „ . . . | 2470 |
| 4 | „ Płocku „ „ . . . | 3230 |
| 5 | „ Sandomierzu „ „ . . . | 3105 |
| 6 | „ Sejnach „ „ . . . | 3140 |
| | Ogółem . . | *) 24455 |

*) Suma ta wydatkuje się na utrzymanie seminaryów na podstawie art. 36 Ukazu Najwyższego, wydanego dnia 14 (26) grudnia r. 1865 o urządzeniu duchowieństwa Rzymsko-Katolickiego w Królestwie Polskiem.—(Dziennik Praw T. 63, str. 369).

Personel każdego seminaryum składa się z osób następujących stanu duchownego: dwu Prowizorów, Regens, Vice-Regens, 8 nauczycieli przedmiotów, spowiednik i bibliotekarz oraz stanu świeckiego: nauczyciel języka rosyjskiego i historyi, lekarz i zarządzający gmachem. Liczba alumnów w r. 1905: w seminaryum warszawskiem 117, Kieleckiem 95, Lubelskiem 72 (r. 1904), Płockiem 80, Sandomierskiem (r. 1904) — 73 i w Sejneńskiem 71. Ogółem alumnów 508, do utrzymania i wykształcenia których przykłada się skarb sumą 24,455 r. Nadto we Włocławku istnieje seminaryum z legatów Biskupów: Stanisława Karnkowskiego i Mateusza Golanczewskiego. Podług rubrycelli w seminaryum tem było w roku 1905 alumnów 105. Ogółem więc w seminaryach duchownych Królestwa kształciło się 621 alumnów.

# TABLI

## Koszt utrzymania świeckiego duchowieństwa Rzymsko- oraz organistów w kościołach

| № porządkowy | NAZWA DYECEZYI | Proboszcze parafij I klasy | | | Proboszcze parafij II klasy | | | Administratorowie parafij | | | Dodatkowe wynagrodz. dziekanom | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| | | Liczba osób | Wysokość pensyi | Ogółem | Liczba osób | Wysokość pensyi | Ogółem | Liczba osób | Wysokość pensyi | Ogółem | Liczba osób | Wysokość pensyi | Ogółem |
| 1 | Archidyecezya Warszawska . . . . . | 12 | 600 | 7200 | 18 | 400 | 7200 | 252 | 300 | 75600 | 14 | 150 | 2100 |
| 2 | Dyecezya Kujawsko-Kaliska . . . . . | 10 | 500 | 5000 | 25 | 400 | 10000 | 303<br>1 | 300<br>1302 | 91202 | 13 | 150 | 1950 |
| 3 | Dyecezya Płocka . . . | 6 | 500 | 3000 | 18 | 400 | 7200 | 210<br>1 | 300<br>1376 | 63376 | 12 | 150 | 1800 |
| 4 | „ Kielecka . . | 6 | 500 | 3000 | 18 | 400 | 7200 | 207<br>1<br>1<br>1 | 300<br>1300.20<br>1304<br>1400 | 63104.20 | 8 | 150 | 1200 |
| 5 | „ Sandomierska | 5 | 500 | 2500 | 15 | 400 | 6000 | 177 | 300 | 53100 | 7 | 150 | 1050 |
| 6 | „ Augustowska (Sejny) . . | 3 | 500 | 1500 | 9 | 400 | 3600 | 108 | 300 | 32400 | 11 | 150 | 1650 |
| 7 | „ Lubelska . . | 6 | 500 | 3000 | 20 | 400 | 8000 | 202 | 300 | 60600 | 19 | 150 | 2850 |
| 8 | Utrzymanie bractwa niemieckiego w Warszawie (kompetencya). . | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — |
| 9 | Do dyspozycyi Ministeryum Spraw Wewnętrznych: | | | | | | | | | | | | |
| | *a*) Budowa i naprawa kościołów w majątkach należących do skarbu . . . . . | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — |
| | *b*) Utrzymanie księży demerytów . . . . | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — |
| | *c*) Utrzymanie emerytów duchownych . . | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — |
| | *d*) Wydatki nadzwyczajne na potrzeby Duchowieńst. Rzymsko-Katolickiego . . | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — |
| | Ogółem . . | 48 | — | 25200 | 123 | — | 49200 | 1464 | — | 439382.20 | 84 | — | 12600 |



# CA VI.

## Katolickiego w dyecezyach Królestwa Polskiego, po-klasztornych w r. 1905.

| Wikaryusze | | | Dodatki proboszczom mającym 65 lat wieku | | | Organiści w kościołach po-klasztorn. | | | Koszta przewozu księży demerytów | Ogółem |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| Liczba osób | Wysokość pensyi | Ogółem | Liczba osób | Wysokość pensyi | Ogółem | Liczba osób | Wysokość pensyi | Ogółem | | RUBLE |
| 50 | 225 | 11250 | 104 | 150 | 15600 | 46 | 100 | 4600 | 6<br>15 | 150<br>75 | 2025 | 100 | 125675 |
| — | — | — | 149 | 150 | 22350 | 43 | 100 | 4300 | 23 | 75 | 1725 | 200 | 136727 |
| — | — | — | 87 | 150 | 13050 | 27 | 100 | 2700 | 12 | 75 | 900 | 100 | 92126 |
| — | — | — | 97 | 150 | 14550 | 62 | 100 | 6200 | 9 | 75 | 675 | 100 | 96029.20 |
| — | — | — | 91 | 150 | 13650 | 31 | 100 | 3100 | 12 | 75 | 900 | 100 | 80400 |
| — | — | — | 114 | 150 | 17100 | 26 | 100 | 2600 | 6 | 75 | 450 | 200 | 59500 |
| — | — | — | 170 | 150 | 25500 | 47 | 100 | 4700 | 15 | 75 | 1125 | 200 | 105975 |
| — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | 482 |
| — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | 7000 |
| — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | 1650 |
| — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | 5000 |
| — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | — | 35550 |
| 50 | — | 11250 | 812 | — | 121800 | 282 | — | 28200 | 98 | — | 7800 | 1000 | 746114.20 |

# TABLICA VII.

Koszt utrzymania klasztorów męskich i żeńskich i wizytatorów klasztorów w Królestwie Polskiem w r. 1905.

| № porządkowy | NAZWA DYECEZYI I KLASZTORU | Suma ogólna Ruble |
|---|---|---|
| | **A. Klasztory męskie.** | |
| 1 | Archidyecezya Warszawska: | |
| | Kapucyni w Nowem Mieście . . . . . | 1750 |
| 2 | Dyecezya Kujawsko-Kaliska: | |
| | *a*) Bernardyni w Kole . . . . . | 1750 |
| | *b*) Paulini w Częstochowie . . . . . | 3000 |
| | *c*) Reformaci we Włocławku . . . . . | 1750 |
| | *d*) Zasiłek na utrzymanie zakonników nadetatowych . . . . . | 600 |
| 3 | Dyecezya Augustowska (Sejny): | |
| | Maryanów w Maryampolu . . . . . | *) — |
| | Zasiłek na utrzymanie zakonników nadetat. | 280 |
| 4 | Dyecezya Płocka: | |
| | Karmelici w Oborach . . . . . | 1750 |
| | | 10880 |
| | **B. Klasztory żeńskie.** | |
| 1 | Archidyecezya Warszawska: | |
| | *a*) Sakramentki w Warszawie . . . . . | 1750 |
| | *b*) Wizytki . . . . . | 1750 |
| | *c*) Za nabożeństwa w kościołach, należących do tych klasztorów, po rb. 460 | 920 |
| | *d*) Zasiłek na utrzymanie zakonnic nadetat. | 2925 |
| 2 | Dyecezya Kujawsko-Kaliska: | |
| | *a*) Bernardynki w Wieluniu . . . . . | 1750 |
| | *b*) Dominikanki w Przyrowie . . . . . | 1750 |
| | *c*) Za nabożeństwa w kościołach, należących do tych klasztorów, po rb. 300 | 600 |
| | *d*) Zasiłek na utrzymanie zakonnic nadetat. | 500 |

*) Klasztor ten skasowany został z decyzyi Ministra Spraw Wewnętrznych, zapadłej 28 lipca r. 1904. Dawny kredyt 1750 rb. cofnięto i pozostał tylko zasiłek 280 rb.

Biblioteka Śląska

| № porządkowy | NAZWA DYECEZYI I KLASZTORU | Suma ogólna Ruble |
|---|---|---|
| 3 | Dyecezya Kielecka: | |
| | *a*) Norbertanki w Imbranowicach . . . . | 1750 |
| | *b*) Temuż klasztorowi za nabożeństwa . . | 300 |
| 4 | Dyecezya Sandomierska: | |
| | *a*) Bernardynki u św. Katarzyny . . . . | 1750 |
| | *b*) Temuż klasztorowi za nabożeństwa . . | 300 |
| | *c*) Zasiłek na utrzymanie zakonnic nadetat. | 970 |
| 5 | Dyecezya Lubelska: | |
| | Zasiłek na utrzymanie zakonnic nadetat. | 420 |
| 6 | Dyecezya Augustowska (Sejny): | |
| | *a*) Benedyktynki w Łomży . . . . . | 1750 |
| | *b*) Temuż klasztorowi za nabożeństwa . . | 460 |
| | *c*) Zasiłek na utrzymanie zakonnic nadetat. | 300 |
| 7 | Dyecezya Płocka: | |
| | *a*) Nieetatowy klasztor Felicyanek w Przasnyszu . . . . . | — |
| | *b*) Zasiłek na utrzymanie zakonnic nieetat. | 1360 |
| | *c*) Za nabożeństwa w kościele klasztornym | 300 |
| | | 21605 |
| | **C. Dyececzyalni wizytatorowie klasztorów.** | |
| 1 | W archidyecezyi Warszawskiej pensya 400 rb., koszta podróży 400 rb. . . . . | 800 |
| 2 | W dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej pensya 400 rb., koszta podróży 450 rb. . . . . | 850 |
| 3 | W dyecezyach: Kieleckiej, Płockiej, Sandomierskiej i Augustowskiej pensya 400 rb., koszta podróży 300 rb., razem 700, a dla 4-ch | 2800 |
| | | 4450 |
| 1 | Suma ryczałtowa, oddana do dyspozycyi Ministra Spraw Wewn. na zasiłki dla nadetat. zakonników i zakonnic w Królestwie . . | 3000 |
| 2 | Takaż suma na pensye dożywotnie zakonnikom, którzy wyjechali zagranicę bezpowrotnie . | *)1500 |
| | | 4500 |
| | Ogółem w Królestwie . . . | 41435 |

*) Justynian Kalinowski, Szymon Łukaszewski, Feliks Gawroński, Brunon Kulik, Andrzej Prawdzikowski, Leon Przyłuski, Aleksy Lemarkiewicz, Andrzej Szczęsny, Kwiryn Zieliński i Ludwik Dąbrowski.

# TABLICA VIII.

Dochody skarbu państwa pokrywające część wydatków na Duchowieństwo Rzymsko-Katolickie w Królestwie Polskiem w r. 1905.

| № porządkowy | ŹRODŁA DOCHODÓW | Suma roczna Rub. | k. |
|---|---|---|---|
| 1 | Procenty od kapitałów legowanych na rzecz kościołów Rzymsko-Katolickich. (Kapitały te są zahypotekowane na dobrach legataryuszów a procenty od tych kapitałów z mocy Ukazu wydanego w r. 1865 wpływają do skarbu państwa) . . . . . | 3000 | — |
| 2 | Procent od kapitału 8000 rb. złożonego przez parafian na utrzymanie proboszcza w Zawierciu (gub. Piotrkowska) . . . . . | 300 | — |
| 3 | Procent od kapitału 7894 rb. na utrzymanie proboszcza w Bobrownikach (gub. Piotrkows.). | 304 | — |
| 4 | Procent od kapitału 4000 rb. na pokrycie części kosztów utrzymania administratora we wsi Zajączki (gub. Piotrkowska) . . . . | 152 | — |
| 5 | Procent od kapitału 4000 rb. także we wsi Koluszki (gub. Piotrkowska). . . . . | 152 | — |
| 6 | Procent od kapitału 10530 rb. na utrzymanie administratora parafii Sosnowice (gubern. Piotrkowska) . . . . . | 400 | — |
| 7 | Procent od kapitału 4000 rb. także we wsi Lelów (gub. Kielecka) . . . . . | 150 | — |
| 8 | Procent od kapitału 9400 rb. legowanego przez ks. Wasilkowskiego na utrzymanie administratora parafii w Dumczynie Kościelnym (gub. Płocka) . . . . . | 376 | — |
| 9 | Procent od kapitału 7900 rb. złożonego przez parafian na utrzymanie administratora parafii we wsi Pińczyce (gub. Piotrkowska). | 300 | 20 |
| 10 | Z dzierżawy tej części Pałacu Arcybiskupiego w Warszawie (№ 492), w której mieścił się zwinięty w r. 1871 Zarząd Spraw Duchownych Wyznań Obcych w Królestwie . . | 2665 | — |
| 11 | Gmach b. seminaryum w Janowie (gub. Siedlecka) dochodu nie przynosi . . . . . | — | — |
| | Ogółem . . . | 7799 | 20 |



## Od redakcyi „PRACY.“

Prosimy czytelników o nadsyłanie nam wszelkich materyałów, informacyj i notatek dotyczących spraw administracyjnych, ekonomicznych i społecznych. Na nadesłane nam pytania z zakresu spraw powyższych, postaramy się udzielać stosownych odpowiedzi lub informacyj.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

Warszawa. Druk A. Ginsa.

# SPIS RZECZY

## ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

## z roku 1906.

### FILOZOFIA.


*Str.*

TRAGEDYA MYŚLICIELA (Fryderyk Nietzsche), — przez *Walerego Gostomskiego* . . . . . 475


### HISTORYA.


Z ŻYCIA MINISTRA LUBECKIEGO, — przez *Stanisława Smolkę* . 5, 350 i 448


### SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.


WPŁYW STREJKÓW NA SOCYALIZM PAŃSTWOWY, — przez *J. Kirszrot-Prawnickiego* . . . . . 76

SPRAWA ROBOTNICZA, — przez *Stefana Gorskiego* . . . . . 209


### LITERATURA.


NAD GŁĘBIAMI, powieść, — przez *d-ra T. Konczyńskiego* . . . 43, 238 i 417

PAN BALCER W BRAZYLII, — przez *Maryę Konopnicką* . . . . . 319

Str.

## STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

PATRYOTYZM SŁOWACKIEGO, — przez *Juliusza Kleinera* . . . . . 90
UNARODOWIENIE TEATRÓW WARSZAWSKICH, — przez *Władysława Bogusławskiego* . . . . . 121
NIEOBECNI, — przez *T. Jaroszyńskiego* . . . . . 141
SZTUKA A ILUZYA, — przez *Dr. Jakóba Segała* . . . . . 272
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez *Jana Kaczkowskiego* . . . 290
ZE SZTUKI, — przez *T. Jaroszyńskiego* . . . . . 503
RUCH UMYSŁOWO-LITERACKI WE FRANCYI, — przez *Henryka Reinholda* . . . . . 520

## NAUKI PRZYRODNICZE.

ZNACZENIE PRZYPADKU W WYNALAZKACH, — przez *Mieczysławę Biegańską* . . . . . 328
WSPÓŁCZESNE ZNACZENIE OBSERWACYI ZAĆMIEŃ SŁOŃCA, — przez *M. Ernsta* . . . . . 540

## ROZMAITOŚCI.

BŁĘDY JĘZYKOWE, — przez *Henryka Ułaszyna* . . . . . 151

## KRYTYKA.

Aleksander Kraushar: Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk. Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. 1824—1828, — przez *A. R.* . . . . . 164
Ks. Arcybiskup Teodorowicz: Z ostatnich doświadczeń. Uwagi po strejkach, — *A. R.* . . . . . 170
J. K. Kochanowski: Szkice i drobiazgi historyczne. 1904, — przez *A. R.* 176
Ignacego Daniłowicza, b. profesora w uniwersytetach: wileńskim, charkowskim i kijowskim, „Kodeks Napoleona w porównaniu z prawami polskiemi i litewskiemi," — przez *A. R.* 181
Władysław Grabski: Historya Towarzystwa rolniczego 1858 — 1861. (Warszawa, 1904), — przez *A. R.* . . . . . 384
Mojżesz Schor: Żydzi w Przemyślu do końca XVIII w., — przez *A. R.* . 562
Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyskiego (Moje przeprawy) o czasach powstania Listopadowego (1830—1831), — przez *A. R.* . . . 565
Dr. Roman Komierowski: Koła polskie w Berlinie 1875—1900, — przez *A. R.* 573
Timoszczuk: Polska konstytucya 3 maja i zachowanie się względem niej Rosyi, — przez *A. R.* . . . . . 580

Str.

Generał Kwadri: Świta cesarza Aleksandra I w polskiej armii, — przez *A. R.* . . . . . 585

J. G.: Materyały do dziejów Akademii Połockiej i szkół od niej zależnych, — przez *Ludwika Janowskiego* . . . . . 587

## KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ:

Lud wiejski na arenie politycznej. — Próba charakterystyki chwili obecnej. — Artykuł „pana“ Nałkowskiego w „Młodości.“ — Walka bratobójcza . . . . . 184

LUTY:

Otrzeźwienie socyalistów a ruina przemysłu. — Ruchy agrarne. — Potrzeba reform. — Kwestya litewska w prasie polskiej. — Podstawy statystyczne projektu odłączenia od Królestwa Polskiego wschodnich powiatów gub. Siedleckiej i Lubelskiej . . . . . 393

MARZEC:

Wybory. — „Maryawici“ i ich działalność. — Przygotowania do strejku rolnego. — Trzy jubileusze: Orzeszkowej, Promyka i d-ra Biegańskiego. — Wspomnienie pośmiertne: ś. p. Piotr Górski . . . . . 594

## WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ . . . . . 197

LUTY . . . . . 406

MARZEC . . . . . 610

## DODATEK „PRACA.“

PRZY ZESZYCIE STYCZNIOWYM (№ 1): Uporządkowanie handlu zbożem, — przez *Józefa Jeziorańskiego* . . . . . 1

PRZY ZESZYCIE LUTOWYM (№ 2): Robotnicy rolni w Królestwie Polskiem, — przez *Jordana Kańskiego* . . . . . 1

PRZY ZESZYCIE MARCOWYM (№ 3): Duchowieństwo rzymsko-katolickie, — przez *A. P.* . . . . . 1